A woman in a black Victorian dress and lace parasol stands on a beach. The background is a cloudy sky over the ocean.

*Barwna saga rodzinna
rozgrywająca się na tle
wspaniałych krajobrazów
Nowej Zelandii*

SARAH
LARK

BOGOWIE
MAORYSÓW



S A R A H

L A R K

BOGOWIE
MAORYSÓW

Z języka niemieckiego przełożyła
Anna Makowiecka



WYDAWNICTWO
SOWA DŁUGA

Tytuł oryginału:
DIE TRÄNEN DER MAORI-GÖTTIN
Copyright © 2012 by Bastei Lübbe AG, Köln
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga
Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Mapy: © Reinhard Borner

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Aneta Iwan, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-7999-682-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Podziękowanie

Prolog

Prezenty bogów

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Silne kobiety

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Wszystko dla miłości

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Błogosławieństwo duchów

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Czarnoksiężnik z Krainy Oz

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Przebudzenie](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Powrót gwiazd](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

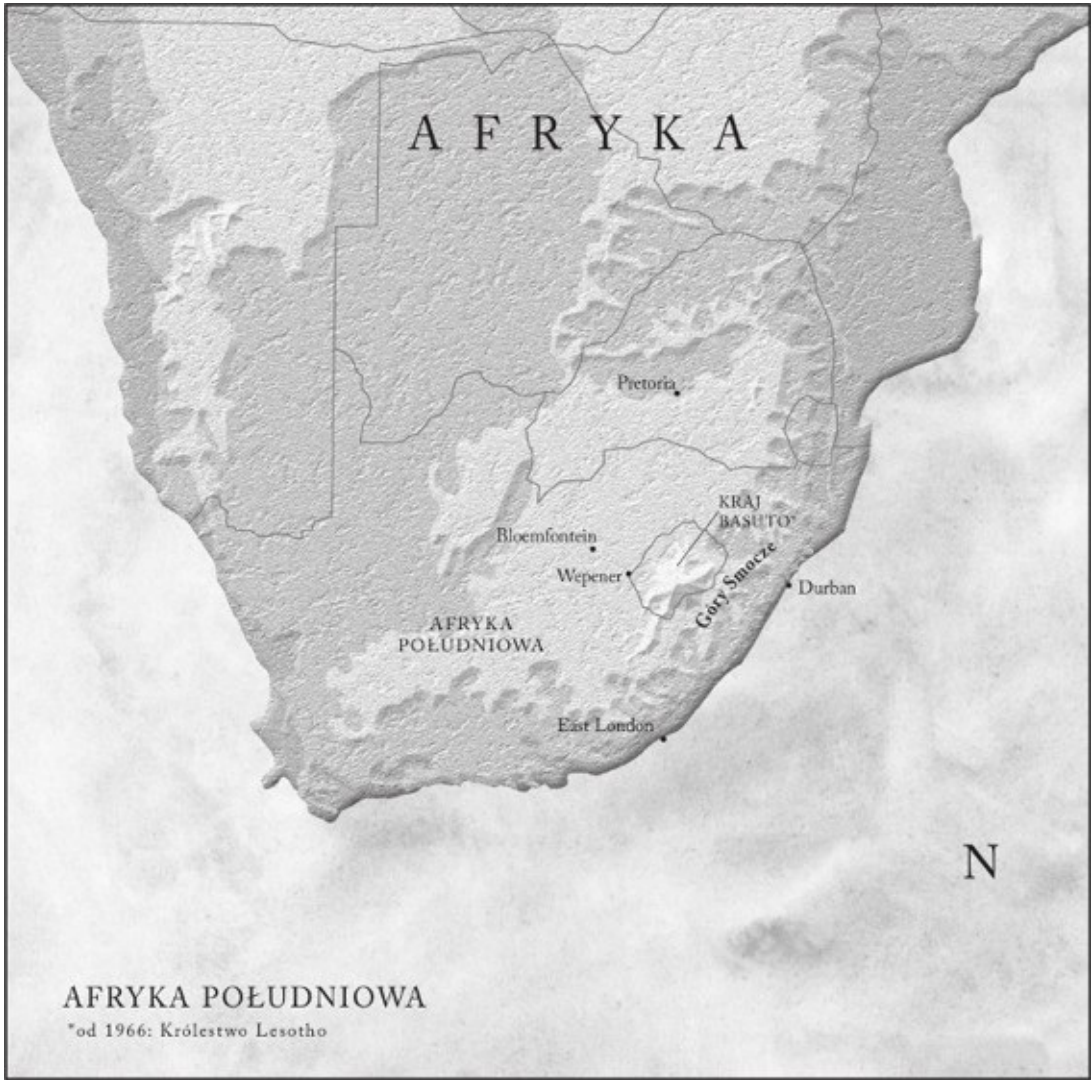
[Rozdział 4](#)

[Posłowie](#)

NOWA ZELANDIA



*w roku 1866 miasto Tuapeka zostało przemianowane na Lawrence



PODZIĘKOWANIE

Jak zawsze do powstania tej książki przyczyniło się wielu ludzi, poczynając od mojego cudownego agenta Bastiana Schlücka, poprzez moją nie mniej cudowną lektorkę Melanie Blank-Schröder, a kończąc na wspaniałej redaktorce tekstu Margit von Cossart. Bez nich pogubiłabym się w gęstwinie dat i lat. Kierunki świata i liczby oznaczające kolejne lata były zawsze moją słabą stroną.

Dziękuję pięknie moim czytelnikom dokonującym wstępnego czytania tekstu, tym razem także moim rodzicom i przyjaciółom z Mojácar, którzy musieli znosić moją trwającą całymi tygodniami duchową nieobecność. Szczególnie wdzięczna jestem także parze moich dozorców domu, Joanowi i Annie Puzcas – którzy mogli przeczytać moje książki, teraz wydane również w języku hiszpańskim. Bez Was nie udałoby się nic – ani „czytelnicze podróże”, ani też zanurzenie się na wiele miesięcy w obcych kulturach!

Dziękuję oczywiście wszystkim tym, którzy pomogli udostępnić tę książkę czytelnikom, poczynając znów od pracowników działu marketingu, poprzez dział dystrybucji w Bastei Lübbe, kończąc na księgarzach. A największy udział w sukcesie Sarah Lark macie przede wszystkim Wy, czytelnicy! Wielu z Was dane mi było ostatnio poznać i możliwość osobistego kontaktu sprawiła mi ogromną przyjemność.

Sarah Lark

PROLOG

NOWA ZELANDIA

PARIHAKA

1894

Nad górami i morzem powoli zapadał zmrok. Niskie słońce na zimowym niebie osuwało się z wolna za horyzont, a blask jego pomarańczowych promieni oświetlał majestatyczny szczyt Mount Taranaki.

Wierzchołek góry pokryty był śniegiem i stanowił wspaniałe tło wsi Parihaka.

On jest jak strażnik, mawiała matka Atamarie, cieszy nas jego uroda, a zarazem czujemy się bezpieczni w jego cieniu. Atamarie te słowa wydawały się czasem osobliwe – w końcu uczyła się w szkole, że Mount Taranaki to wulkan, a one nigdy nie były bezpieczne! Ten wybuchł ostatni raz zaledwie sto pięćdziesiąt lat temu, teoretycznie więc w każdej chwili mógł zacząć zionąć ogniem i pluć lawą. Ale matka zawsze machała lekceważąco ręką, kiedy Atamarie jej to przedkładała. „Ależ nie, Atamarie – mówiła – bogowie będą teraz dbać o pokój, czas wojen już minął”. I potem opowiadała córce i innym dzieciom legendę o bogu góry Taranaki, który walczył z innym bogiem gór o miłość bogini lasu. Bogini Pihanga ostatecznie zdecydowała się na jego rywala i rozszłoszczony Taranaki po walce z innymi bogami gór wycofał się na wybrzeże. Ale ten spór sprowadził w świat bogów i ludzi wojnę. Jednak – pozostała nadzieja. Kiedyś Taranaki ustąpi, a gdy bogowie zaczną się nawzajem tolerować, także ludzie będą mogli liczyć na długotrwały pokój. Prawie wszystkie dzieci słuchały tej opowieści poważnie i z otwartymi buziami – tylko Atamarie interesowała się bardziej aktywnością wulkaniczną Mount Taranaki i skutkami jej działalności. Jej ulubionymi przedmiotami w Otago Girls' School w Dunedin były matematyka, fizyka i geografia. Romantyczne opowieści były konikiem jej przyjaciółki Roberty. Dlatego też Atamarie również tego wieczoru nie za bardzo przysłuchiwała się opowieściom i pieśniom starych ludzi z Parihaka o gwiazdnej konstelacji, która miała się ukazać w czasie najbliższych nocy na niebie: o Matariki – oczach boga Tawhrimatea – albo o matce z sześcioma córkami pomagającej wyczerpanemu słońcu podnieść się po zimie... Dla Atamarie gwiazdozbiór ten nazywał się po prostu Plejady – i nie było nic nadzwyczajnego w tym, że jak co roku w zimie o tej porze był widoczny na niebie nad Nową Zelandią. Fakt ten był bardzo pomocny przy określaniu przesilenia zimowego, a dawniej widok Plejad pomagał także przy nawigacji na morzu między Hawaiki, pierwotną ojczyzną Maorysów, i Aotearoa, krajem, w którym mieszkali dziś, zwanym przez białych Nową Zelandią. I oczywiście gwiazdozbiór ten prezentował się bardzo pięknie na nocnym niebie. Jednak Atamarie nie ulegała magii gwiazd, niezbyt uważnie przysłuchiwała się też legendom i bajkom związanym z Matariki. Interesowało ją za to działanie ziemnych pieców, które mieszkańcy Parihaka wypełniali mięsem i warzywami. Należało to do ceremonii święta Nowego Roku, obchodzonego przez Maorysów w końcu maja lub początku czerwca wraz z ukazaniem się na nocnym niebie Plejad.

Atamarie zerknęła zaciekawiona do kilku gorących, rozżarzonych jam, które mężczyźni wykopali już przed południem. W *hangi* wykorzystywano wulkaniczną aktywność Taranaki do duszenia potraw. Mięso i warzywa zawijano w liście, wkładano do koszy, po czym stawiano je na gorących kamieniach. Kosze przykrywano mokrymi ściereczkami i zasypywano dół ziemią. Potrawy miały się dusić przez najbliższe kilka godzin – powinny być gotowe dokładnie w chwili ukazania się gwiazdozbioru Matariki na niebie. Atamarie wypatrywała gwiazd tak samo pożądliwie jak inne dzieci. Cieszyła się na to święto – specjalnie dlatego przyjechała z Dunedin na Wyspę Północną. A przecież wcale nie było pewne, czy Plejady ukażą się na niebie w czasie krótkich ferii zimowych. Ale Matariki i Kupe, matka i ojczym Atamarie, bardzo chcieli, aby ona przyjechała właśnie teraz. „Musisz kiedyś przeżyć święto Nowego Roku w Parihaka!”, pisała Matariki, której imię pochodziło właśnie od nazwy gwiazdozbioru. Wiele maoryskich imion było jednocześnie określeniem jakiegoś fenomenu czy też zjawiska przyrody – imię Atamarie oznaczało wschód słońca. „To święto jest tutaj pełne czaru i wyjątkowego uroku” – pisała matka. Atamarie skrzywiła się sceptycznie. Zdaniem jej rodziców wszystko, co wiązało się z Parihaka,

pełne było uroku i czaru. Oboje na długo przed narodzinami Atamarie mieszkali w słynnej wsi, jeszcze wtedy, kiedy prorok Te Whiti nauczał tutaj o pokoju, który miał zapanować między białymi, zwanymi *pakeha*, a Maorysami. Kupe znalazł się w więzieniu po inwazji Anglików na wieś i wywłaszczeniu jej mieszkańców. A Matariki uciekła z mężczyzną, który później został biologicznym ojcem Atamarie. Kilka lat później Te Whiti wrócił do Parihaka, a wraz z nim wielu jego najwierniejszych zwolenników. Odbudowali wieś, chcąc, aby znów stała się ona duchowym centrum pierwotnych mieszkańców Nowej Zelandii. Tym razem budowniczowie opierali się bardziej na umowach i wyraźnych uzgodnieniach, a nie na marzeniach – jak poprzednio. Kupe i Matariki kupili swój kawałek ziemi od zarządu regionu Taranaki, choć nadal uważali, że nie było słuszne dawać białym pieniądze za ziemię własnego kraju. Kupe, adwokat z zawodu, zaskarżał ten fakt kilkakrotnie. Było całkiem prawdopodobne, że Te Whiti i jego szczerp dostaną odszkodowanie i na zawsze otrzymają swoje ziemie. Coraz więcej dawnych mieszkańców wsi wracało do swoich domów, znów rodziło się więcej dzieci, które Matariki uczyła w swojej szkole. Choć co prawda na razie nie było co myśleć o *high school*. Z tego powodu Atamarie uczęszczała do renomowanej szkoły dla dziewcząt w Dunedin i spędzała weekendy na zmianę u dziadków albo u rodziny swojej przyjaciółki Roberty. Parihaka mogła odwiedzać tylko w czasie ferii i uważała tę wieś za coś cudownego. Zawsze się cieszyła, że zobaczy rodziców, że w maoryskiej wsi będzie mogła wieść swobodne, radosne życie i nie będą mu towarzyszyły tak liczne zakazy i ścisłe zasady jak w Otago Girls' School. Jednak kilka tygodni tkania lnu, tańców i nauki gry na tradycyjnych maoryskich instrumentach, łowienia ryb oraz pracy na polach w zupełności jej wystarczały. Motto Parihaka: „Chcemy zmienić świat, aby stał się on lepszym miejscem do życia!” bardzo jej wprawdzie odpowiadało, ale zmienianie świata wyobrażała sobie zupełnie inaczej niż ludzie, którzy uczyli w Parihaka tradycyjnych sztuk maoryskich. Zawsze kiedy dziewczyna próbowała rzeczywiście zmienić coś konkretnego – na przykład krosna do tkania lnu albo węćierze do łapania ryb – jej propozycje spotykały się z oburzeniem i były odrzucane. I czasami nawet padały niezbyt miłe słowa na temat jej pochodzenia *pakeha*, co bardziej irytowało Matariki niż jej córkę. Atamarie było zupełnie obojętne, ilu jej przodków pochodziło z tego czy innego ludu. Nie chciała tylko spędzać przy krosnach więcej czasu, niż było to rzeczywiście konieczne, i nie miała ochoty tracić złowionych ryb tylko dlatego, że węćierze nie zamykały się prawidłowo.

Pod koniec ferii cieszyła się, że wyjeżdża z Parihaka i wraca do Dunedin. Otago Girls' School była szkołą na wskroś nowoczesną i nauczycielki wspierały inwencję i pomysłowość swoich uczennic.

Teraz jednak Maorysi czekali na święto nadejścia Nowego Roku – kiedyś wreszcie Plejady musiały pojawić się na niebie. Starzy ludzie czuwali już trzecią noc, choć właściwie nie miało to sensu. Kiedy gwiazdy wreszcie rozbłyskiwały na niebie, to zwykle następowało to zaraz po zachodzie słońca.

– To czas czekania i czas wspomnienia, Atamarie – tłumaczyła Matariki. – Starzy ludzie myślą o dniu wczorajszym, także o dniu dzisiejszym i o jutrze, o starym roku i o nowym... I wcale nie jest takie ważne, czy gwiazdy ukażą się tego dnia czy też następnego.

Atamarie wprawdzie tego nie rozumiała, ale oczywiście nikt jej nie zmuszał, aby nie kładła się spać. Kiedy wszystko już było zjedzone, a dorośli siedzieli jeszcze przy muzyce i rozmawiali, dzieci zwykle udawały się do domów-sypialni, tuliły się do siebie i opowiadały sobie swoje historie. Atamarie czuła się wtedy niemal tak samo jak w internacie w Dunedin – choć tu nie trzeba było liczyć się z tym, że nagle zjawi się nauczycielka i energicznie przywoła swoje podopieczne do porządku.

Ale teraz dziewczynka przyglądała się spokojnie wraz z dziećmi, jak zachodzące słońce powoli tonie w Morzu Tasmanskim. Światło dnia nad zaoranym polem stawało się coraz bardziej rozproszone i tylko śnieg na wierzchołku góry połyskiwał złotym kolorem w jego promieniach. Niebo ciemniało bardzo szybko – i nagle Atamarie dostrzegła gwiazdy! Plejady – jasne i czyste – pojawiły się nad

morzem, a wśród nich wyróżniała się gwiazda świecąca najmocniejszym blaskiem: Whanui. Dzieci natychmiast powitały gwiazdozbiór tradycyjną pieśnią, której nauczyła je Matariki:

Ka puta Matariki ka rere Whanui.

Ko te tohu tena o te tau e!

Matariki wróciła! Whanui rozpoczyna swój lot.

To znak Nowego Roku!

– To dobry znak! – cieszyła się matka Atamarie, objąwszy ramionami męża i córkę. Kupe specjalnie przyjechał z Wellington, aby wraz z nimi świętować nadejście Nowego Roku. Miewał tam często sporo pracy, a równocześnie starał się też zdobyć mandat maoryskiego posła w parlamencie. Pocałował teraz Matariki i Atamarie i słuchał, jak żona objaśniała pojawiające się znaki.

– Jeśli gwiazdy na niebie są takie jasne, to zima będzie krótka i będziemy mogli rozpocząć zasiewy już we wrześniu – pouczała rodzinę i uczniów. – Jeśli jednak są zamglone i wydają się być bliżej siebie niż zwykle, zima będzie sroga, a sadzenie roślin rozpocznie się dopiero w październiku.

Atamarie znów zmarszczyła czoło. Jej nauczycielka w Dunedin sądziłaby, że za taki stan – kiedy gwiazdy są źle widoczne – odpowiadają raczej chmury. W tym momencie Atamarie zadawała sobie inne pytania.

– Dlaczego właściwie babcie płaczą, *mommy*? – spytała w końcu. Starzy ludzie na widok gwiazd rzeczywiście rozszlochali się jak na komendę. – Przecież jest tak pięknie, kiedy gwiazdy już się pojawiły! I kiedy nadchodzi Nowy Rok!

Matariki przytaknęła i odgarnęła sobie z czoła długie czarne włosy.

– Tak, ale starzy zawsze myślą wtedy o mijającym roku. Wymieniają gwiazdom imiona tych ludzi, którzy zmarli od chwili ich ostatniego pojawienia się na niebie, i modlą się za nich. I oplakują zmarłych po raz ostatni, zanim zacznie się Nowy Rok.

Ale starsi zaraz zaczęli otwierać *hangi*, w czym pomagał im także Kupe i inni mężczyźni ze szczepu. Z wykopanych w ziemi dołów zaczęła się wydobywać smakowita woń.

– Ten zapach to pokarm gwiazd – powiedziała Matariki. – To on przywraca im siłę po długiej podróży.

Atamarie ciekła ślinka, ale zanim wszyscy się zebrali, aby zasiąść do uczy, miały jeszcze miejsce liczne ceremonie powitalne dla gwiazd. Zarówno młodzi, jak i starzy śpiewali i tańczyli tradycyjną *haka*. Wśród dorosłych krążyły już dzbanki z piwem i butelki whiskey, a Matariki i Kupe posmutnieli, wspominając z przyjaciółmi dawne czasy w Parihaka. Jeśli wierzyć ich słowom, to życie było wówczas jednym wielkim świętem. We wsi mieszkali przeważnie młodzi ludzie, którzy przybyli tu ze wszystkich części Aotearoa, każdego wieczoru tańczono, słychać było śmiechy, śpiew i muzykę.

Większość dorosłych spędzała noworoczną noc na dworze przy ogniskach, ale Atamarie i pozostałe dzieci w którymś momencie zasypiały – aby następnego ranka z nowymi siłami wziąć udział w kolejnych uroczystościach. Bo przecież w dzień Nowego Roku święto trwało dalej, znów tańczono, śpiewano, grano w różne gry, a co najważniejsze, chłopcy wyciągali swoje latawce. Konstruowanie latawców, zwanych w języku maoryskim *manu*, należało do tych tradycji Aotearoa, które podtrzymywano w Parihaka. Kilku fachowców biegłych w tej sztuce uczyło jej w ostatnich tygodniach we wsi. Ale kiedy Atamarie przyjechała z Dunedin, mężczyźni i dzieci ze wsi, którzy się tym zajmowali, ukończyli już swoje prace, więc ona sama nie mogła wziąć w tym udziału. I teraz stała obok z pustymi rękoma, podczas kiedy inni gorączkowo wyczekiwali chwili, w której będą mogli wysłać prosto do nieba swoje *manu*, będące czymś w rodzaju pośredników między światem a gwiazdami, między bogami a ludźmi. Oczywiście dziewczynka była mocno rozczarowana tym, że nie mogła uczestniczyć w nauce, ale i tak nie mogła się doczekać widoku wznoszących się latawców.

W przeciwieństwie do reszty dziewcząt właściwie nie podziwiała kolorowych ozdób *manu*, składających się z piór i muszelek, ani też kunsztownych rysunków przedstawiających twarze, dzięki którym latawce zamieniały się w *birdmen* – ludzi ptaków. Dla Atamarie ważniejsze było ustalenie, dlaczego te płaskie, ale mimo wszystko ciężkie konstrukcje z drewna i liści w ogóle wznosiły się i szybowwały w powietrzu. Podeszła do jednego z chłopców, który przygotowywał do lotu wyjątkowo duży, starannie ozdobiony oznaczeniami szczepu i rombami latawiec.

– Przecież on nie ma wcale ogona – stwierdziła.

Chłopiec spojrział na nią, marszcząc czoło.

– A dlaczego *manu* ma mieć ogon? – zapytał.

– Bo latawce *pakeha* mają ogony – nauczyła go Atamarie. – Widziałam na obrazkach.

Chłopiec lekceważąco wzruszył ramionami.

– O tym *tohunga* nic nam nie wspominał. Mówił tylko, że potrzebny jest stelaż i linka – albo dwie, jeśli chce się sterować latawcem. Ale tego nam jeszcze nie pokazał. Powiedział, że to jest trudne.

Mimo to chłopiec przymocował do swojej konstrukcji dwa sznurki uplecione z lnu.

– Najpierw to wszystko musi się w ogóle wznieść w powietrze – zauważyła Atamarie. – Jak to zrobić? Dlaczego właściwie *manu* się unosi?

– Dzięki oddechowi bogów – odpowiedział chłopiec. – *Manu* tańczy wraz z ich siłą życiową.

Teraz z kolei Atamarie zmarszczyła czoło.

– Czyli dzięki wiatrowi – powiedziała. – Ale co wtedy, kiedy nie ma wiatru?

– Kiedy bogowie odmawiają mu swojego błogosławieństwa, *manu* nie leci – odrzekł chłopiec. – To znaczy, można go skądś spuścić, z jakiegoś klifu czy czegoś podobnego. Ale wówczas *manu* nie przekazuje swych posłannictw bogom, nie wznosi się, tylko szybuje w dół. A poza tym oczywiście gdzieś ginie.

Chłopiec zaczął coś majstrować przy linkach swego olbrzymiego latawca. Atamarie pomogła mu postawić całą konstrukcję.

– On jest prawie tak duży jak ja – zauważyła. – Jak myślisz, czy można by na nim... hm, jeździć jak na koniu? I polecieć w górę?

Atamarie poruszało to o wiele bardziej niż komunikacja z bogami.

Chłopiec roześmiał się w odpowiedzi.

– Ponoć ktoś już tego próbował. Wódz Ngati Kahungunu – Nukupewapewa. Chciał zdobyć Pa Maungaraki, ale się nie udało, bo jego wojownicy nie mogli pokonać murów fortu. Dlatego zbudował olbrzymiego *manu* z liści *raupo*, w kształcie ptaka z szeroko rozstawionymi skrzydłami. A potem przywiązał do niego jednego ze swoich ludzi i opuścił latawiec ze skały powyżej Pa. Latawiec wylądował w forcie, a lotnik otworzył zwycięzcom bramy.

Atamarie słuchała z błyszczącymi oczami.

– Twój latawiec to też *manu raupo* – stwierdziła. – Pewnie musiałeś daleko chodzić, ja nie miałabym pojęcia, gdzie rośnie *raupo*.

Raupo było rośliną z gatunku trzciny, która rosła w płytkich wodach. Chłopiec uśmiechnął się łobuzersko i sprawiał wrażenie, jak gdyby odkrył jakąś tajemnicę.

– Taaak... – powiedział. – Nie było łatwo ją znaleźć. Ale może ten trud się opłaci.

Życzenie, które chciał przekazać bogom, miał niemal wypisane na twarzy.

– Rawiri! Co ty robisz? Może wreszcie wypuścisz swój latawiec?

Chłopiec drgnął przestraszony, słysząc głos *tohunga*. Rzeczywiście i on, i Atamarie przeoczyli start pierwszych latawców – większość chłopców trzymała je na uwięzi w powietrzu i obserwowała zafascynowana, jak się wznosiły. Kapłani z Parihaka modlili się i śpiewali, a latawce miały ponieść ich

życzenia i błogosławieństwa do gwiazd. Atamarie na parę chwil zapomniała o całym świecie, podziwiając widok kolorowych *manu* na bardzo dziś czystym zimowym niebie. Także mistrz-nauczyciel wysłał w powietrze swojego ogromnego *manu* i sterował nim zręcznie pomiędzy mniejszymi latawcami uczniów. Rawiri nie mógł się jednak sam uporać ze swoim latawcem i dwoma sznurkami do sterowania.

– Mam go potrzymać w górze? – spytała Atamarie.

Chłopiec skinął głową. Dziewczynka chwyciła latawiec, uniosła go i niemal się przewróciła, kiedy silny wiatr zaczął wrywać całą konstrukcję z jej rąk. Latawiec wzniósł się pionowo w górę, ale kiedy Rawiri wykonał pierwszą próbę zmiany jego kursu, ciągnąc mocniej prawą linkę, latawiec gwałtownie opadł w taki sam sposób. Atamarie i Rawiri podbiegli przerażeni do leżącego na ziemi *manu* – na szczęście był cały.

– W każdym razie nic ważnego nie jest uszkodzone – stwierdziła Atamarie. Ucierpiały jedynie ozdoby z piór i muszli. Rawiri zmarszczył czoło i zastanawiał się gorączkowo, jak naprawić uszkodzone ozdoby.

– *Tohunga* twierdzi, że one są bardzo ważne. Latawiec patrzy przez oczy z muszli, a rysunki są naszym przesłaniem do bogów...

Tohunga byli fachowcami nie tylko w specjalistycznych dziedzinach, jak budowa latawców, rzeźbienie w jadeicie, muzyka czy też sztuka leczenia, lecz utrzymywali też kontakt z duchami odpowiedzialnymi za nauczane przez nich sztuki.

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Do bogów to on musi najpierw dotrzeć – zauważyła. – Spróbujmy jeszcze raz. Przesłanie możemy wysłać dopiero wtedy, kiedy będziemy wiedzieli, że to się uda.

W żadnym wypadku nie miała ochoty czekać, aż Rawiri upora się z ozdobami. Zamiast tego zaczęła wpatrywać się w niebo i skoncentrowała na latawcu *tohunga*, który zerkał ze złośliwą radością na leżący na ziemi latawiec Rawiri. Oczywiście *tohunga* od razu powiedział chłopcu, że bardzo trudno jest początkującemu zbudować latawiec, którym można sterować w powietrzu. Atamarie poczuła się urażona w swej ambicji.

– Musisz trzymać linki bardziej na zewnątrz – zaproponowała. – I niżej. A najlepiej byłoby mieć cztery...

Rawiri najwyraźniej też poczuł się dotknięty w swojej dumie, ale po nieudanej próbie rzeczywiście zaczął trzymać linki tak, jak chciała Atamarie. Sukces był zaskakujący! Latawiec znów uniosł się w powietrze, ale tym razem pewniej i szybciej, a kiedy Rawiri ostrożnie spróbował nim sterować, zmieniał tor lotu.

– Udało się! Leci, on leci! Leci tam, dokąd chce!

Rawiri cieszył się i wiwatował. Jego latawiec w kształcie ptaka dumnie unosił się w powietrzu tuż obok trójkątnego latawca mistrza.

– Chcesz spróbować? – spytał Rawiri wielkodusznie.

Atamarie bez wahania sięgnęła po sznurki. Była jedyną dziewczyną, która trzymała linki latawca, ale to jej nie przeszkadzało. Latawiec, wykonując wielkie zakręty, wznosił się coraz wyżej ku niebu.

– Myślę, że ta legenda o Ngati Kahungunu mówi prawdę – stwierdził Rawiri. – Można latać tak jak ptak. Latawiec musi być duży i mieć poparcie bogów.

Atamarie skinęła głową. Pewnie, że można byłoby na tym latać, wiatr ją samą niemal poderwał. Ale...

– To musi być możliwe bez wiatru – stwierdziła zdecydowanie.

PREZENTY BOGÓW

**NOWA ZELANDIA
DUNEDIN, CHRISTCHURCH,
LAWRENCE, PARIHAKA
1899–1900**

ROZDZIAŁ I

Seminarium nauczycielskie mieściło się w bocznym budynku uniwersytetu w Dunedin i ta brzydka, pozbawiona wszelkich ozdób budowla wydała się Atamarie po prostu wstrętna. Ale dobrze, nie musiała tu przecież studiować. College, który ją właśnie przyjął w poczet studentów, miał budynek o wiele bardziej imponujący i znacznie większy. Ciocia Heather powiedziała, że to styl gotycki, choć oczywiście replika, bo kiedy w Europie budowano gotyckie katedry, to w Nowej Zelandii nie mieszkali jeszcze biali ludzie.

Atamarie się zastanawiała, czy będzie musiała zapamiętać nazwy wszystkich stylów architektonicznych, jeśli zacznie studiować w Canterbury College. W planie nauczania rzeczywiście znajdowało się pojęcie „konstrukcje budowlane”. Ale to chyba było coś innego niż architektura... No cóż, będzie miała dość czasu, aby się tym zająć. Teraz musiała koniecznie opowiedzieć Robercie o swoim sukcesie – i dowiedzieć się, jak upłynął pierwszy dzień jej studiów.

Atamarie poszła po schodach w stronę wejścia i usiadła na jednym z górnych stopni. Była co prawda zmęczona po długiej podróży pociągiem, ale za to w doskonałym nastroju i nuciła cicho jakąś melodię. Zresztą połączenie między Dunedin a Christchurch było znakomite i dziś taka podróż nie stanowiła już żadnego problemu. O tym w każdym razie zapewniały się wzajemnie Roberta i Atamarie, kiedy zdecydowały się na swoje kierunki studiów i stwierdziły, że po raz pierwszy od dziewięciu lat ich drogi się rozejdą. Dziewczyny poznały się, kiedy ich matki mieszkały jeszcze w Wellington na Wyspie Północnej i wspólnie prowadziły biuro jednej z organizacji walczących o prawa wyborcze kobiet. I kiedy wreszcie cel został osiągnięty, obie kobiety wyszły za mąż. Matariki, matka Atamarie, przeprowadziła się wraz mężem Kupe do Parihaka, a matka Roberty, Violet, wróciła wraz z Seanem do jego ojczystego miasta Dunedin. Oczywiście zabrali ze sobą Robertę, która podobnie jak Atamarie zaczęła uczęszczać do Otago Girls' School. Obie dziewczyny przed kilkoma tygodniami świętowały ukończenie *high school* i cieszyły się właśnie z kolejnego sukcesu bojowniczek o prawa kobiet w Nowej Zelandii: wszystkie uniwersytety na Wyspie Południowej zezwalały kobietom na studiowanie w swoich murach. Nawet jeśli któraś ze studentek decydowała się na tak niezwykły kierunek jak Atamarie.

Z wnętrza budynku szkoły dobiegał hałas. Najwyraźniej zakończyły się zajęcia i za chwilę pierwsi studenci wyszli z bram. Były to przeważnie młode kobiety, bardzo konserwatywnie ubrane – w ciemne spódnice i bluzki oraz obszerne, zakrywające wszystko żakiety. Kilka dziewcząt miało na sobie pozbawione wszelkich ozdób suknie reformowane, które zdaniem Atamarie były równie staropanieńskie i nudne jak nieśmiertelny czepek, który zakładała tu każda młoda kobieta w czasie spaceru. A przecież moda się już zmieniła. Atamarie i Roberta nie nosiły gorsetów, ale ich znakomicie skrojone suknie pochodziły z Lady's Goldmine, najsłynniejszego domu mody w mieście. Zarówno Roberta, jak Atamarie nazywały babcią jego właścicielkę Kathleen Burton, choć tak naprawdę tylko Atamarie była z nią spokrewniona. Jej biologiczny ojciec Colin Coltrane był synem Kathleen, podobnie jak ojczym Roberty Sean.

Tego dnia Atamarie także miała na sobie suknię reformowaną z żółtego materiału w niebieskie kwiaty, ciemnozieloną mantylkę i mały słomiany kapelusz na blond włosach. Zauważyła, że chłopcy spoglądali na nią z przyjemnością, podczas gdy dziewczęta zerkwały raczej niełaskawie. I z pewnością siedzenie na schodach nie było czymś oczywistym, a możliwe, że nawet tego zabraniano.

Ale wreszcie zjawiła się też Roberta i Atamarie poderwała się, aby uściskać przyjaciółkę. Niemal jej nie rozpoznała na pierwszy rzut oka, bo Roberta za wszelką cenę starała się nie wyróżniać strojem.

Miała na sobie niepozorną ciemnoniebieską suknię i krótki czarny płaszcz.

– Wyglądasz jak sowa! – wypomniała jej Atamarie po chwili, kiedy już się przywitały. – Czy wy naprawdę musicie się tak ubierać? Ten kapelusz wygląda tak, jak gdybyś wygrzebała go z samego dna jednej ze skrzyń babci Daldy!

Amey Daldy była zagorzałą bojowniczką o prawa kobiet, którą matki Atamarie i Roberty wprawdzie bardzo ceniły, ale która nie była akurat znana z ekstrawagancji w kwestiach mody.

Roberta uśmiechnęła się z zawstydzaniem – i dzięki temu, mimo swego skromnego stroju, przyciągnęła uwagę studentów. Roberta Fence była prawdziwą pięknoscią i nie mógł temu przeszkodzić żaden strój. Miała gęste kasztanowe włosy – teraz ciasno związane w węzeł – które rozpuszczone opadały falą na jej plecy. Jej twarz w kształcie serca mimo klasycznej urody była zawsze pełna ciepła i łagodności, a oczy, choć nie tak turkusowe jak oczy matki, zwracały uwagę intensywnością niebieskiego koloru.

– Mamy wyglądać poważnie – stwierdziła dziewczyna. – No bo przecież wszystkie studentki powinny tak wyglądać, prawda?

Roberta niezbyt przychylnie popatrzyła na strój przyjaciółki. Atamarie w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– I tak zwracam na siebie uwagę, bez względu na to, jak się ubiorę. I nie mów, że sowy są ptakami mądrości. Moim zdaniem papugi są o wiele sprytniejsze.

Roberta się roześmiała i chwyciła Atamarie pod rękę. Bo jeśli miała być szczerą, to brakowało jej przyjaciółki już w czasie tych dwóch dni, kiedy Atamarie była w Christchurch. W każdym razie w tym czasie śmiała się o wiele za mało.

– Dostałaś się w końcu na te studia? – spytała, kiedy obie szły w kierunku kawiarni w pobliżu uniwersytetu.

Atamarie skinęła głową.

– Jasne, nie mogło być inaczej. Miałam przecież najlepsze stopnie. Ale było naprawdę wesoło! Profesor Dobbins uważał mnie chyba z początku za coś w rodzaju fatamorgany.

Zachichotała i poruszyła zabawnie nosem, jak gdyby miała na nim grube okulary czy też binokle, po czym sparodiowała nauczyciela: „Mr Parekura Turei... nie... ee... Miss?”. Ten człowiek był kompletnie skonsternowany. A tak się cieszył, że będzie miał pierwszego maoryskiego studenta. Pewnie się spodziewał, że pojawi się przed nim wielki wojownik z tatuażami.

Roberta także zachichotała.

– A tymczasem pojawiłaś się ty...

Atamarie nie miała nic wspólnego z maoryskim wojownikiem. Wprawdzie nie była niska, ale jednak drobna i delikatna, a pod jej szeroką suknią można było dostrzec zarysy kobiecego ciała. W dodatku na pierwszy rzut oka nie można było dopatrzeć się w niej Maoryski. Miała wprawdzie nieco ciemniejszą cerę niż większość białych ludzi i lekko skośne oczy, ale poza tym bardzo przypominała swoją babkę Kathleen – klasyczną pięknoscią o wysokich kościach policzkowych, prostym nosie i delikatnie wykrojonych wargach.

– Ale jak on mógł...? Przecież twoje imię...

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Musisz przyznać, że wiele maoryskich męskich imion także kończy się na „i” – stwierdziła. – A poza tym ten człowiek jest inżynierem, a nie lingwistą. I można to było zauważyć od razu, kiedy zaczynało mu brakować słów. Ale potem pokazałam mu moje świadectwo...

– I co on na to? – spytała Roberta.

Atamarie się roześmiała.

– Jak tylko nie musiał na mnie patrzeć, wszystko było w porządku. A przecież wcale nie wyglądam przerażająco, prawda?

Roberta przewróciła wymownie oczami. Atamarie doskonale wiedziała, że wygląda świetnie.

– Ale kiedy tylko podnosił wzrok znad papierów, to zdawało mi się, że wątpi w swój własny rozum i nie dowierza oczom. A potem zapytał, czy wiem, co mnie tu czeka, i pokazał plan studiów: podstawy budownictwa na- i podziemnego, wykonywanie pomiarów, rysunek techniczny, geometria praktyczna i konstrukcja maszyn parowych...

Atamarie już na samą myśl o tym uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– I co mu na to odpowiedziałas? – Roberta się spodziewała, że usłyszy coś okropnego.

Atamarie spojrzała na nią.

– A co miałam powiedzieć? Powiedziałam, że interesuję się maszynami latającymi. A potem trochę poopowiadałam o Cayleyu i Lilienthalu, żeby nie myślał, że jestem kimś w rodzaju... jakiejś roztrzepanej i rozkapryszonej panienki!

Atamarie znów się roześmiała. Roberta otworzyła drzwi kawiarni.

– To prawdziwy cud, że od razu nie wyleciałaś – stwierdziła.

Atamarie uniosła brwi w zdumieniu.

– Wtedy wujek Sean zaskarżyłby college – powiedziała spokojnie. – Ale profesor Dobbins i tak zniósł to ze spokojem. W sumie był bardzo sympatyczny i nawet zaczął się uśmiechać. I stwierdził, że zawsze się cieszy, kiedy jego studenci wysoko mierzą. A potem mogłam już iść – aby za chwilę następnemu facetowi odebrało mowę na mój widok. To był student, który miał pokazać nowo przyjeźdzącym uniwersytet. I potrzebował o wiele więcej czasu, aby dojść do siebie!

Canterbury College of Engineering istniał już od dwunastu lat; na początku pracowało w nim dwóch nauczycieli i uczyło się dwudziestu dwóch studentów. Dziś studiowało tam niewiele więcej osób – Atamarie zaś została przyjęta do college’u jako pierwsza kobieta.

– No a co poza tym? – spytała Roberta. – Widziałaś się już z Heather? Byłyście gdzieś razem?

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Najpierw musiałyśmy znaleźć pokój. Ale to akurat było proste, Heather i Chloé mają jakieś znajome w Christchurch, dwie bardzo sympatyczne kobiety. Mieszkają razem, jak Heather i Chloé, i prowadzą księgarnię. To od razu kupię u nich wszystkie fachowe książki i podręczniki. Ich dom jest śliczny i stoi w pobliżu uniwersytetu. A pokój – ogromny, ale oczywiście odwiedziny mężczyzn muszą być odpowiednio wcześniej zgłaszane! – zachichotała.

To ostatnie i tak było bardzo wielkoduszne, zwykle zabraniano studentom przyjmowania w pokoju znajomych przeciwnej płci. Ale Heather i Chloé były kobietami na wskroś nowoczesnymi, a ich przyjaciółki najwyraźniej też.

– Chyba nie chcesz od razu poszukać sobie przyjaciela! – oburzyła się Roberta.

Atamarie westchnęła.

– Robbie, jestem jedyną żeńską istotą, która studiuje inżynierię. Jeśli nie chcę być całkowicie osamotniona, chcąc nie chcąc, muszę zaprzyjaźnić się z chłopcami. Co przecież nie musi od razu znaczyć, że będę dzielić z nimi łóżko.

Roberta się zaczerwieniła, kiedy Atamarie tak swobodnie mówiła o współżyciu między kobietą a mężczyzną. Obie młode kobiety od dawna były uświadomione – a Atamarie spędziła już niejedne ferie w Parihaka i była świadkiem dość swobodnego podejścia maoryskich kobiet do kwestii fizycznej miłości. Jednak powinna była wyrażać się nieco ostrożniej. Roberta nie miała jeszcze żadnych praktycznych doświadczeń z płcią przeciwną, podczas kiedy Atamarie już nieraz wymieniała pocałunki z chłopcami w Parihaka. Roberta patrzyła na świat bardziej romantycznie. Mogłaby się

zakochać, ale to zachowałyby dla siebie...

– A poza tym byłyśmy na torze wyścigowym w Addington, bo Rosie koniecznie tego chciała. Ale niestety akurat nie rozgrywano żadnej gonitwy kłusaków, choć mimo to było wesoło. Lord Barrington zaprosił nas do prywatnej loży i piłyśmy szampana – i mogłyśmy stawiać na konie!

– Atami!

Roberta była przerażona. Dorastała w środowisku ludzi pracujących przy wyścigach konnych i nienawidziła wszystkiego, co było z tym związane. Matka powtarzała jej od małego, że zakłady i whisky mogą zrujnować rodzinę. I mówiła to na podstawie własnego doświadczenia: biologiczny ojciec Roberty był ofiarą jednego i drugiego.

– No nie patrz tak! Lord Barrington upierał się przy tym. A Heather swój zakład przegrała, za to ja wygrałam, i to dwa razy. I właściwie było to bardzo proste, wystarczy postawić na konia z długimi nogami i najbardziej smukłym tułowiem. Czysta fizyka... No, choć za trzecim razem już się nie udało, sądzę, że ta chabeta była po prostu leniwa. Ale wystarczy na to, aby teraz zapłacić za kawę!

Zadowolona Atamarie zamówiła jeszcze wielki talerz ciasta.

– Byłyśmy też w pewnej galerii... Choć co prawda zapomniałam, jak nazywał się ten artysta, którego obrazy oglądałyśmy. Ale Heather była zachwycona. Przyjdiesz dziś wieczór? A może nie tylko trzeba koniecznie ubierać się jak sowa, ale także chodzić spać z kurami, jeśli się chce zostać nauczycielką?

Roberta spojrzała na przyjaciółkę z dezaprobatą.

– Sowy są ptakami aktywnymi nocą – skwitowała jej złośliwości. – I oczywiście przyjdę. To przecież wernisaż, a nie odwiedziny w nocnym klubie! Jak się nazywa ta artystka?

Atamarie wzruszyła ramionami. Tego także nie zapamiętała, ale nie ona jedna w Dunedin. W tym mieście było bardzo wielu bogatych ludzi, lecz tylko niewielu naprawdę interesowało się sztuką. Ale mimo wszystko wernisaże w galerii Heather i Chloé Coltrane należały do ulubionych wydarzeń towarzyskich w mieście, a zaproszenia na nie były zawsze bardzo pożądane. Chloé była wspaniałą gospodynią, a Heather była znana jako artystka daleko poza granicami Nowej Zelandii. Obie kobiety mieszkały razem od dziesięciu lat i wielu ich klientów zakładało, że są siostrami. Nie była to prawda, Chloé zawdzięczała swoje nazwisko małżeństwu z bratem Heather.

Atamarie i Roberta umilkły na chwilę, kiedy kelner przyniósł kawę i ciasto. Roberta wysypała cukier do filiżanki, a Atamarie się zamyśliła. Pewnie się zastanawiała, jaką suknię ma włożyć na wieczór – Kathleen z pewnością przygotowała coś nowego dla swoich obu wnuczek. Mawiała, że dziewczyny robią jej przysługę, kiedy przyjmują drogie suknie, bo w końcu jest to jakiś rodzaj reklamy Lady's Goldmine.

Roberta przez chwilę się wahała, ale wreszcie odważyła się zadać Atamarie pytanie, które dręczyło ją już od dłuższego czasu.

– Nie wiesz przypadkiem, czy... czy twój... hm... wujek... też przyjdzie? – spytała pozornie obojętnym głosem.

Atamarie się uśmiechnęła.

– Który? – spytała.

Roberta zaczerwieniła się natychmiast.

– Hm... no... Kevin.

Cały czas próbowała mówić swobodnie i udawała, że nie pamięta imienia Kevina. Ale było to daremne, Atamarie znała ją aż za dobrze. I wiedziała, o którym z obu braci jej matki była mowa. Roberta była od wielu miesięcy zakochana w starszym z nich, Kevinie, nazwanym tak na pamiątkę irlandzkiego świętego i dziadka. Ale o tym nikt nie mógł się oczywiście dowiedzieć. Nonsensem było

w ogóle mieć nadzieję, że wzięty młody lekarz zauważy przyjaciółkę swojej siostrzenicy, nie mówiąc już o tym, że miałby zacząć jej robić jakieś awanse. W każdym razie kiedy Roberta i Atamarie chodziły jeszcze do szkoły, było to wysoce nieprawdopodobne. Ale teraz, kiedy Roberta była studentką... Jej rodzice należeli do najlepszego towarzystwa w Dunedin, toteż młoda kobieta otrzymywała zaproszenia na koncerty i bale, wernisaże i przedstawienia teatralne. Kevina Drury'ego można było spotkać przy każdej z tych okazji. Razem ze swoim przyjacielem otworzył przed kilkanaście laty gabinet lekarski w Dunedin i ciągle zabiegał o nowych pacjentów. Najchętniej oczywiście z najbogatszych warstw społecznych, a zwłaszcza o kobiety. I właśnie te ostatnie zjawiały się u niego tłumnie. Kevin był niezwykle przystojnym mężczyzną – miał czarne kręcone włosy i intensywnie niebieskie oczy. Był też namiętym jeźdźcem, brał udział we wszystkich polowaniach, a także w niektórych gonitwach końskich.

Brat Kevina, Patrick, był bardziej niepozorny. Ukończył studia rolnicze i zamierzał w przyszłości przejąć farmę rodziców. Na razie pracował jako doradca w związku hodowców bydła i ministerstwie rolnictwa w Otago. Okolica, kiedyś centrum poszukiwań złota, powoli zamieniała się w region wybitnie rolniczy. A nie wszyscy właściciele farm i hodowcy owiec znali się naprawdę na produkcji wełny czy uprawie roślin. Niejeden z nich marzył o tym, aby zostać „owczym baronem”, ale w gruncie rzeczy mógł się wykazać jedynie doświadczeniem – a czasami także szczęściem – przy płukaniu złota.

– Kevin przyjdzie na pewno – oświadczyła Atamarie. – Choć Heather jest zdania, że on ma znów nową przyjaciółkę. Ponoć bardzo piękną i Heather się zastanawia, czy nie poprosić jej o pozowanie...

Portrety kobiet należały do ulubionych motywów malarskich Heather i to dzięki nim odniosła najwięcej sukcesów. Heather potrafiła na swoich obrazach oddać istotę kobiety i jej życiowe doświadczenia.

Roberta westchnęła.

– Kevin też świetnie wygląda – powiedziała pozornie bez związku, ale zabrzmiało to rozpaczliwie. Atamarie się roześmiała i położyła rękę na ramieniu przyjaciółki, jak gdyby chciała nią potrząsnąć.

– On może jest księciem, Robbie, ale ty nie jesteś w żadnym wypadku Kopciuszką! Kiedy się odpowiednio wyszykujesz i nie będziesz patrzeć w podłogę ani też czerwienić się i zapominać języka w gębie na widok Kevina, pokonasz wszystkie jego przyjaciółki.

Roberta mieszała kawę, wpatrując się w filiżankę.

– W tym celu musiałby na mnie najpierw popatrzeć – wymamrotała. – Ale on...

– No to zrób coś innego i na przykład zemdlej w jego obecności – zaproponowała żartobliwie Atamarie. – Ty upadniesz, a ja zacznę krzyknąć: potrzebujemy lekarza! To wtedy będzie musiał na ciebie spojrzeć.

Roberta powinna była się roześmiać, ale tylko zagryzła wargę.

– Nie traktujesz mnie poważnie – powiedziała po dłuższej chwili.

Atamarie jęknęła.

– Może ty zbyt poważnie podchodzisz do sprawy z Kevinem – zwróciła jej uwagę. – Co rzeczywiście budzi pewne obawy. Bo ty... ty nie oczekujesz od niego tylko kilku pocałunków, prawda? Szukasz mężczyzny, który będzie cię rzeczywiście kochał. A jeśli o to chodzi, to Kevin nie jest dobrym kandydatem. To zły adres. On jest miły, dowcipny – naprawdę go lubię, Robbie. Ale on nie szuka żony, przynajmniej na razie, i wyraźnie to powiedział, kiedy babcia Lizzie go o to zapytała. Kiedyś oczywiście będzie musiał się ożenić, tego przecież oczekuje się od szanowanego lekarza. Ale teraz... Babcia Lizzie jest zdania, że on jest taki jak dziadek Michael. Musi się naprawdę wyszaleć i przytrzcęć sobie rogów, zanim naprawdę zainteresuje się jakąś kobietą. Kevin na razie nie chce się żenić. On szuka przygody!

ROZDZIAŁ 2

Heather Coltrane nie przesadziła, opowiadając o urodzie nowej przyjaciółki Kevina Drury'ego. Juliet, bo Kevin, przedstawiając młodą kobietę, wymienił tylko jej imię, była wyjątkową piękną. Pozostawało zagadką, do jakiej grupy narodowościowej należeli jej przodkowie. Juliet z pewnością nie była białą kobietą, ale pochodzenia maoryskiego też nie miała wypisanego na twarzy. Jej czarne, mocno kręcone włosy spływały falą na ramiona i plecy, a całości dopełniały złotobrązowa cera, pełne zmysłowe wargi i zaskakująco jasne, niebieskie oczy pod ciężkimi powiekami.

– Ona sprawia raczej wrażenie Kreolki – wyraziła swoje przypuszczenie Heather, która dużo podróżowała i spotykała ludzi z najróżniejszych kręgów kulturowych. – I nie uważacie za dziwne, że Kevin przedstawił ją tylko imieniem? Gdzie też on mógł ją spotkać?

Heather przywitała właśnie matkę Roberty Violet i jej ojczyma Seana, którzy weszli do galerii zaraz po przybyciu Roberty i Atamarie. Atamarie od razu podeszła do Kevina oraz jego nowej przyjaciółki i przez chwilę z nimi rozmawiała – swobodnie i bez żadnych zahamowań. Za to Roberta ze zdenerwowania najwyraźniej chciała się niemal zapaść pod ziemię. Kiedy przedstawiano jej Juliet, prawie nie mogła wydobyć z siebie głosu, choć co prawda Juliet i tak nie sprawiała wrażenia osoby, która zamierza zapamiętać imię jakiejś dziewczyny. Za to chętnie wdawała się w rozmowy z różnymi panami, którzy gromadzili się natychmiast wokół niej, prześcigając się w podawaniu jej szampana i przeróżnych przystawek.

– Jeśli chodzi o kraj, z którego pochodzi szampan, to ta lady preferuje Francję – zauważyła kwaśno Chloé i na powitanie pocałowała w policzek Violet. – Ona pije już na pewno trzeci kieliszek najdroższego szampana, jakiego mamy. Jak tak dalej pójdzie, to pod koniec wieczoru będzie tańczyć na stole.

– Troszkę *demi-monde*, prawda? – spytała Violet, marszcząc czoło, a Sean się uśmiechnął, bo zabrzmiało to trochę tak, jak gdyby jego żona chciała właśnie wypróbować jakieś nowe słowo. Violet jako młoda dziewczyna otrzymała w podarunku kilka tomów leksykonu i stamtąd pochodziła niemal cała jej wiedza. Czytała leksykon całymi latami, aż nawet najbardziej niezwykle pojęcia stały się dla niej oczywiste. Nawet takie, dla których mieszkańcy Dunedin właściwie nie znajdowali zastosowania.

Heather się uśmiechnęła.

– W każdym razie nic nie wskazuje na to, żeby miała cokolwiek wspólnego z którąś z „owczych baronówien”. Michael i Lizzie nie będą zachwyceni.

Rodzice Kevina i Patricia, Lizzie i Michael Drury, prowadzili owczą farmę w Otago i oczywiście mieli nadzieję, że ich synowie znajdą kiedyś żony, które wraz z nimi zajmą się gospodarstwem. Ale Kevin był zupełnie innym typem człowieka. Nigdy nie interesował się za bardzo pracą na farmie, a już na pewno nie pociągała go żadna z córek bogatych hodowców bydła z Canterbury Plains.

Tajemnicza Juliet była głównym tematem rozmów tego wieczoru – nieco mroczne obrazy, które prezentowano dziś w galerii, cieszyły się z tego powodu znacznie mniejszym zainteresowaniem. A pochodzeniem Juliet interesowały się przede wszystkim kobiety. Mężczyźni nie zawracali sobie tym głowy – woleli wpatrywać się i podziwiać jej fascynującą postać: szczupłą, ale bardzo kobiecą figurę oraz wyraźnie cudzoziemską twarz. Kevin prowadził młodą kobietę przez galerię tak, jak gdyby była ona jego kolejnym trofeum. Był niezaprzeczalnie dumny ze swojego podboju, choć nie zanieczyli przy tym pozostałych podziwiających go kobiet. Z towarzyszącą mu na każdym kroku Juliet wędrował od jednej matrony do drugiej i szarmancko wymieniał kilka uprzejmych uwag na przeróżne, choć mało znaczące tematy, Juliet zaś uśmiechała się tajemniczo i nie pozwalała się też wypytywać.

– Kobieta po prostu wygląda o wiele lepiej, kiedy włoży gorset – westchnęła teatralnie Roberta, kiedy Juliet właśnie przechodziła obok. A przy tym ona sama wyglądała tego dnia zachwycająco: miała na sobie pięknie skrojoną niebieskozieloną suknię, której fałdy znakomicie podkreślały jej figurę. Gorset oczywiście podkreśliłby ją jeszcze bardziej, ale bez sztywnego pancerza z rybich ości Roberta mogła swobodnie oddychać i poruszać się bardziej naturalnie. Za to Juliet, która miała na sobie jedną z bardzo modnych i nieco ekstrawaganckich wąskich spódnic, mogła tylko dreptać drobnymi krokami, co z kolei powodowało, że zdaniem Roberty sprawiała wrażenie wzruszająco bezradnej.

– Ale w gorsecie można łatwiej zemdleć – dokuczyła jej Atamarie. – I na ten pomysł cały czas możesz się jeszcze zdecydować. Jazda, Robbie, popatrz na ten obraz, na jego widok można naprawdę dostać zawrotów głowy. Stań przed nim, a potem osuń się na podłogę!

Obrazy rzeczywiście sprawiały deprymujące wrażenie, ale Roberta i bez oglądania mrocznych krajobrazów czuła się dzisiaj źle. Z nieszczęśliwą miną śledziła Kevina i obiekt jego najnowszego podboju. W końcu Atamarie odciągnęła ją na bok.

– Uśmiechnij się w końcu, Roberto! Patrz, tam jest Patrick, a z nim jeszcze się nie przywitaliśmy.

Patrick Drury, młodszy z braci, był otwartym, sympatycznym człowiekiem i w stosunku do niego Roberta nigdy nie czuła onieśmienia. Często przydzielano jej rolę jego damy do towarzystwa, bo zawsze zjawiał się sam, a przez wszystkich gospodarzy uważany był za kogoś bardzo przystępnego. Ktokolwiek siedział obok – Patrick z każdym potrafił swobodnie rozmawiać. W końcu także jego zawód zmuszał go do uprzejmej konwersacji z najróżniejszymi ludźmi. Na wielkich owczych farmach spotykał niemal wszystkich – począwszy od brytyjskiej szlachty, a skończywszy na poszukiwaczach złota, którym raczej daleko było do szlachectwa. Dotychczas Atamarie miała wrażenie, że Patrick lubił przebywać właśnie w towarzystwie Roberty, a jego oczy jaśniały radością, kiedy ją widział. Dawniej traktował ją tylko jak małą dziewczynkę, ale teraz najwyraźniej zaczął dostrzegać w niej piękną młodą kobietę. Tak było dotychczas – jednak tego wieczoru brat Kevina zachowywał się inaczej. Choć chętnie służył młodym kobietom, przynosząc im szampana i trochę z nimi rozmawiając, to jego uwaga skierowana była gdzie indziej i raczej tylko z uprzejmości zajmował się Atamarie i Robertą. Roberta nie zwróciła na to uwagi, ale Atamarie natychmiast dostrzegła, że Patrick najwyraźniej miał taki sam problem jak jej przyjaciółka: także on nie mógł oderwać oczu od Juliet i Kevina. Wydawało się, że czarnowłosa piękność zafascynowała go zupełnie, choć tu z pewnością nie miał żadnych szans. Patrick nie był tak przystojny jak jego brat. Zamiast czarnych gęstych włosów swego ojca Michaela odziedziczył ciemnoblond loki swej matki Lizzie, także jej łagodne, porcelanowo niebieskie oczy. Był niższy i nie sprawiał tak imponującego wrażenia jak Kevin – z pewnością nie był to mężczyzna, na którego zwróciłaby uwagę kobieta taka jak Juliet, już choćby po to, aby dostrzec jego wewnętrzne przymioty.

Atamarie przestała w końcu podtrzymywać rozmowę między Robertą a Patrickiem. Dziś oboje mieli na siebie negatywny wpływ. Pociągnęła więc Robertę dalej i rozejrzała się za kelnerem, licząc na to, że po kieliszku szampana nastrój przyjaciółki się poprawi. Patrick szedł jak piesek za swoim bratem i jego przyjaciółką.

Pośrodku galerii natknęły się obie na Rosie, służącą Heather i Chloé. Jasnowłosa kobieta stała nieruchomo, trzymając w rękach tacę z kieliszkami szampana. Sprawiała wrażenie tak dalece oderwanej od rzeczywistości, jak gdyby próbowała udawać stół.

Atamarie wzięła dwa kieliszki szampana i uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Jak tam żrebak, Rosie? – spytała przyjaźnie, a Rosie w odpowiedzi natychmiast się rozpromieniła i zwróciła w jej stronę właściwie śliczną twarz. Bo jeśli chodzi o opiekę nad końmi, to Rosie wychodziła z siebie. Jako służąca nie za bardzo się sprawdzała, choć od dziecka pomagała swojej siostrze Violet,

była też pokojówką u Chloé. Ale naprawdę szczęśliwa – i wyjątkowo sprawna – była tylko wtedy, kiedy mogła zajmować się końmi kłusakami. Nauczyła ją tego Chloé, gdy razem ze swoim byłym mężem prowadziła hodowlę koni w Fiordlands. Dziś z liczego stada pozostała tylko klacz Dancing Rose, dawniej hodowana z przeznaczeniem do gonitw kłusaków, ale teraz zaprzęgana przez Chloé i Heather do bryczki, co smuciło Rosie. Jednak poprzedniego roku Chloé zleciła pokrycie klaczy i teraz w stajni stał już śliczny źrebak – malutka klaczka. Chloé zaś nie broniła się tak gwałtownie przed myślą o wystawianiu konia w gonitwach. Nie widziała przecież byłego męża od lat, a nazwisko Colina Coltrane’a zupełnie już się nie liczyło w wyścigach konnych na Wyspie Południowej i ani Chloé, ani też Heather i Rosie nie potrzebowały się obawiać ewentualnego spotkania z nim. Dlaczego więc Trotting Diamond nie miałyby w przyszłości odnosić wielkich sukcesów? Rosie w każdym razie wyczekiwała gorączkowo chwili, kiedy źrebak osiągnie odpowiedni wiek i można go będzie zaprzęć do wózka *sulky*.

Atamarie słuchała więc opowieści Rosie o jej marzeniach, a Roberta rozmawiała z Kathleen Burton i jej mężem Peterem. Słowa i sama obecność wielebnego zawsze uspokajały młodą kobietę – Roberta doskonale pamiętała, jak bezpiecznie czuła się w domu Petera i Kathleen, kiedy jej matka przyjechała tu po śmierci jej brutalnego męża. W dodatku Roberta zauważyła, że wielebny należał do nielicznych mężczyzn, którzy nie zwracali uwagi na Kevina i Juliet. Zamiast tego Peter zapytał Robertę, a później także Atamarie o studia, i uważał za bardzo ciekawe, że Atamarie postanowiła studiować inżynierię, po czym od razu zaczął zachęcać Robertę do pracy w jego parafii.

– Właśnie budujemy szkołę, Roberto, bo wreszcie ma to sens; ludzie osiedlają się tu na stałe i rodzi się coraz więcej dzieci!

Peter zawsze zajmował się nie tylko duchowymi, ale także praktycznymi problemami przybywających tu imigrantów, a także kłopotami wracających ze złotonośnych pól i często bardzo sfrustrowanych poszukiwaczy złota. Choć co prawda teraz gorączka złota w Otago już opadła. Europejscy poszukiwacze złota i przeróżnej maści awanturnicy woleli jechać do południowej Afryki, aby na tamtejszych polach i w kopalniach szukać złota – i diamentów. Ci „diggersi”, którzy nie odnieśli sukcesu w Nowej Zelandii, znaleźli już inne sposoby zarabiania pieniędzy, w czym często pomagał im wielebny. Budowali swoje domy wokół jego kościoła, parafia się rozrastała i Peter cieszył się ze swej zwykłej, codziennej pracy, budowy szkoły niedzielnej, kolejnych chrztów i ślubów.

Wreszcie także Chloé i Heather przyłączyły się do Kathleen i Petera. Jako właścicielki galerii i gospodynie wernisażu uporały się już ze wszystkimi obowiązkami – goście mieli do dyspozycji różne napoje i przekąski, a Chloé przywitała zarówno ich, jak i artystkę kilkoma słowami wprowadzenia o prezentowanych obrazach.

– Sprzedaż idzie raczej opornie – stwierdziła Heather z żalem. – A te dzieła to przecież małe klejnoty – dodała, studiując z uwagą starannie wykonane obrazy.

Atamarie ostentacyjnie wzniosła oczy do nieba.

– Jak na klejnoty, to niezbyt pięknie migoczą i błyszczą – stwierdziła. – Ale może powinnyście porozmawiać z przedsiębiorcą pogrzebowym. Moim zdaniem te obrazy znakomicie prezentowałyby się w jego pomieszczeniach...

Wszyscy się roześmiali.

– Nie znasz się na sztuce – zrugła Heather bratanicę.

– Za to znam się na strukturach krystalicznych węgla – odparowała Atamarie. – Ile takich śmiesznych obrazów trzeba namalować, aby móc sobie pozwolić na taki pierścionek?

Wskazała przy tym na rękę Heather, zwracając w ten sposób uwagę Kathleen i Roberty na złoty pierścionek z migoczącym diamentem.

Kathleen uśmiechnęła się do swojej córki.

– Co za cudowny klejnot! W ogóle wyglądasz wspaniale w tym nowym kostiumie. Szkoda tylko, że on nie pochodzi z mojej kolekcji.

Heather, słysząc ten komplement, natychmiast się zaczerwieniła. Nie była kobietą o niezwyklej urodzie, a jej delikatne popielate włosy zawsze sprawiały wrażenie trochę nieuczestnych. W czasie pobytu w Europie Heather ścinała je na krótko, ale tu nawet u artystki uchodziłoby to za zbyt daleko posuniętą ekstrawagancję. I tak plotkowano na temat jej słabości do orientalnych, szerokich spódnicospodni oraz odpowiednich do tego bluzek i żakietów. Heather miała delikatne rysy twarzy – niemal jak rysy Madonny – teraz jednak stały się one nieco surowe, a jej brązowe oczy nie były jak dawniej pełne łagodności. Patrzyły na świat ciepło, mądrze, choć nieco kpiąco.

– Jestem zdania, że ten pierścionek wygląda o wiele lepiej na palcu Chloé – odparła, po czym zawołała: – Chloé, chodź, pokaż twój!

Ciemnowłosa Chloé wyglądała o wiele bardziej kobieco niż jej przyjaciółka. Miała dziś na sobie czerwoną suknię w stylu *empire* z kolekcji Kathleen, której kolor niemal odbijał się w diamentach.

– Diamentowe pierścionki! – uśmiechnął się wielebny. – Cóż to za luksus. Widzę, że nie wywieram na was odpowiedniego nacisku, kiedy zbieram datki na moją kuchnię dla ubogich. Coś mi się zdaje, że macie za dużo pieniędzy.

– Heather sprzedała kilka obrazów – odpowiedziała Chloé, sprawiając przy tym wrażenie nieco zakłopotanej. – I postanowiła... bo galeria istnieje już prawie dziesięć lat... Że powinniśmy to uczcić.

– Naprawdę już tak długo? – zdziwiła się Kathleen, umilkła na chwilę, po czym zaczęła głośno liczyć. Było jasne, że Heather i Chloé nie chciały w ten sposób uczcić znakomicie kwitnącego interesu, lecz wzajemną miłość. – W każdym razie te pierścionki są przepiękne – powiedziała. – A diamenty mają dziś bardzo przystępne ceny, od kiedy tak łatwo je znaleźć w... gdzie to jest, Peter, w południowej Afryce, prawda?

Peter Burton skinął głową i spoważniał przy tym.

– Koło Przylądka Dobrej Nadziei. I obawiam się, że teraz nazwę tego kraju będziemy słyszeć częściej – stwierdził. – To znaczy, że dojdzie tam do wojny...

– Do wojny? – zainteresowała się Atamarie. Dotychczas знаła wojnę jedynie z lekcji historii – i oczywiście także z opowieści rodziców, którzy doskonale pamiętali potyczki między Maorysami a *pakeha*. Jej samej trudno było sobie wyobrazić ludzi mierzących do siebie nawzajem z broni czy też atakujących się dzidami. Wojny kojarzyły jej się raczej z potyczkami słownymi, artykułami w gazetach i pisaniem ogromnych ilości petycji, za pomocą których usiłowano przekonać parlament do słuszności własnych politycznych celów.

– A między kim a kim? – dopytywała się.

Dla Roberty takie wydarzenie byłoby raczej obojętne – dziewczyna zupełnie nie interesowała się polityką, mimo ich dawnego dzieciennego marzenia o zostaniu pierwszą kobietą premierem Nowej Zelandii. Ale teraz Roberta się ożywiła, widząc podchodzącego do nich Kevina Drury'ego. Juliet oczywiście także się przyłączyła, już choćby po to, aby zerknąć na pierścionki Chloé i Heather, ale raczej nie zrobiły na niej zbyt wielkiego wrażenia. Ona sama nosiła biżuterię o wiele bardziej krzykliwą i tandetną – i chyba wszystkie damy się zastanawiały, czy nie były to zwykłe, niezbyt szlachetne kamienie. W kalwińskim społeczeństwie Dunedin raczej nie noszono biżuterii, a jeśli już, to wyłącznie szlachetną – coś innego uchodziło za faux pas.

Kevin usłyszał ostatnie słowa wielebnego, także Patrick przyłączył się do rozmowy, wyraźnie zadowolony, że wreszcie będzie mógł coś powiedzieć. Juliet nie zamieniła z nim ani jednego słowa.

– Między Anglią a Burami – odpowiedział Kevin na pytanie Atamarie. – Ci ostatni są właściwie Holendrami, ale od kiedy osiedlili się w Afryce, nazywa się ich Burami albo Afrykanerami. Roszczą

sobie prawa do kilku obszarów, choć właściwie ten kraj już kilkaset lat temu został podbity przez Anglię.

Wielebny skinął głową.

– I dotychczas nie interesował się tym pies z kulawą nogą – dodał. – Dopiero kiedy Burowie zaczęli masowo wydobywać diamenty i złoto, zaczęto kwestionować ich prawa do tych terenów. Oczywiście pod nader szlachetnymi pretekstami. Bo czyż Anglia może spokojnie znieść fakt, że tubylcy są traktowani gorzej niż bydło? Że imigranci przebywający na złotonośnych polach nie mają prawa głosu?

Kathleen zmarszczyła czoło.

– A od kiedy poszukiwacze złota interesują się polityką? – spytała. – Większość z nich prawie nie umie czytać i pisać, a już absolutnie obojętne jest im to, kto sprawuje rządy.

– Jest raczej odwrotnie – uśmiechnął się Kevin. – To polityka interesuje się złotem.

Roberta patrzyła zafascynowana, jak w jego niebieskich oczach pojawiła się kpina i jak na policzkach wraz z uśmiechem ukazały się zabawne dołki. Dzięki nim ostre rysy Kevina nieco zmiękły – a wyraz oczu stał się wręcz urzekający. Roberta musiała zadać sobie dużo trudu, aby odpowiedzieć w miarę swobodnym uśmiechem i przypomnieć sobie o pomyśle Atamarie. Musiała jakoś zwrócić na siebie uwagę Kevina – na przykład mówiąc coś. Koniecznie coś mądrego. Myślała przez chwilę usilnie.

– Ale przecież Nowa Zelandia nie ma nic wspólnego z tym, że Anglia będzie prowadzić wojnę w południowej Afryce, prawda? – spytała w końcu i zaczerwieniła się, kiedy wszyscy na nią spojrzeli.

– To zależy od tego, co przyjdzie do głowy naszemu premierowi – odparła sucho Heather. – Mr Seddon znany jest przecież ze swoich zaskakujących pomysłów. A już częste zmiany jego poglądów...

Osoba Seddona w czasie walki kobiet o prawa wyborcze była naprawdę czymś w rodzaju trudnego do zgryzienia orzecha.

– Nie mówiąc już o tym, że każdego myślącego człowieka powinno obchodzić to, że z powodu złota i diamentów wszczynane są wojny – dodał wielebny, a Roberta znów się zaczerwieniła. Jej uwaga nie była więc zbyt mądra.

– Sądzicie, że naprawdę Nowozelandczycy mogą być wysyłani do południowej Afryki, aby tam walczyć? – spytała Atamarie. Bardziej chodziło jej o aspekt przygody w owej ewentualnej wojnie.

– A dlaczego nie? – odparł Kevin, bawiąc się jak gdyby od niechcenia palcami Juliet. Młoda kobieta położyła mu rękę na ramieniu, a on przykrył ją swoją dłonią. Kathleen dostrzegła już tego wieczoru kilka podobnych gestów – Kevin i Juliet właściwie cały czas trzymali się za ręce.

– Czy się wyśle oddziały wojska z Anglii czy z Nowej Zelandii, to i tak trzeba je tam przewieźć statkiem. Oczywiście nie można nikogo zmusić. Ale ochotnicy...

Roberta nagle poczuła narastający lęk.

– Ale pan... ty... wy... – W ostatniej chwili przyszło jej do głowy, aby zapytać o to wszystkich mężczyzn. Choć oczywiście w grę mogła wejść jeszcze tylko osoba Patricka, wielebny był już za stary, aby ruszyć na pole bitwy. – Wy chyba nie pojedziecie?

Odetchnęła, kiedy wszyscy roześmiali się głośno, choć zaraz poczuła się niemile dotknięta, kiedy Juliet zgodziła się z nią.

– Bez mojego zezwolenia na pewno nie – oświadczyła złośliwie i przyciągnęła Kevina do siebie. – Są o wiele słodsze pola bitwy niż Cap, gdzie także można zostać bohaterem...

ROZDZIAŁ 3

– Czy ty myślisz, że związek z ową... Juliet dobrze wpłynie na twoją renomę? – Lizzie Drury weszła do gabinetu Kevina i była bliska głośnego trzaśnięcia drzwiami. A przecież chciała spokojnie porozmawiać z synem. Kiedy jednak dostrzegła, jak kobieta będąca obiektem jej niechęci opuszcza mieszkanie Kevina, nawet zbytnio się nie kryjąc, nie mogła się powstrzymać. – Dobry Boże, przecież na sto jardów widać, że ona pochodzi z półświatka. Skąd ją w ogóle wytrzasnąłeś? I jak mogło ci przyjść do głowy, aby zabierać ją na przyjęcie takie jak... jak wczoraj?

Kevin gwałtownie odwrócił się do Lizzie.

– Mamo, proszę cię! Nie tym tonem i nie tak głośno, zaraz z pewnością pojawią się pacjenci...

Kevin spojrział zaniepokojony w kierunku mieszkania znajdującego się nad gabinetem. Mieszkał tutaj, a jego kolega Christian Folks miał dom w pobliżu.

– Pacjenci! – Lizzie załamała ręce. – Dzisiaj jest niedziela, Kevin. I jeśli miałyby cię to uspokoić, to owa młoda dama już wyszła.

Słowo „dama” zabrzmiało w jej ustach raczej jak obelga, a nie grzecznościowy zwrot, jakiego zwykle używano, mówiąc o szanujących się kobietach.

– Dobrze, że ma choć tyle dobrych manier, aby się wymknąć, zanim przyjdzie pokojówka.

Na twarzy Kevina, zwykle zdradzającej wielką pewność siebie, pojawił się lekki rumieniec. Bez wątpienia nie było mu na rękę, że rodzice widzieli, jak Juliet opuszczała jego mieszkanie. Znał przecież swoją matkę i wiedział, co ona myśli o jego licznych, bardzo różnych znajomościach z kobietami.

Lizzie właściwie nie zamierzała poruszać tematu Juliet, kiedy już poznała nową przyjaciółkę Kevina na wernisażu. Jednak dziś rankiem sprawa wydała jej się na tyle pilna, że nawet nie była w stanie rozkoszować się spokojnie wykwintnym hotelowym śniadaniem. Kiedy było już na tyle późno, że jej poranna wizyta była możliwa do zaakceptowania, zaciągnęła swego męża Michaela do eleganckiej kamienicy na Lower Stuart Street, w której Kevin i Christian wynajmowali gabinety.

– Juliet tylko... eehm... zapomniała czegoś... w moim mieszkaniu i...

– Nawet nie ważę się pytać czego – przerwał mu wyraźnie ubawiony Michael. Miał takie same błyszczące niebieskie oczy i dołki w policzkach jak jego syn. W latach młodości także nie przepuszczał żadnej okazji – i wykręty akurat wobec Lizzie z trudem przechodziły mu przez gardło.

Kevin próbował nie dać po sobie poznać zmieszania.

– Juliet jest naprawdę szanującą się damą, która wszędzie potrafi się właściwie zachować – bronił swojej zdobyczy. – I wydawało mi się, że będzie właściwym towarzystwem dla mnie na przyjęciu u państwa Dunloe. A Mr Dunloe był pod wrażeniem jej osoby...

– Co świadczy o niewątpliwych talentach tej młodej damy – stwierdziła Lizzie kąśliwie. – Mr Dunloe może być pod wrażeniem. Ale Mrs Dunloe była raczej mocno zakłopotana.

To ostatnie było lekką przesadą. Claire Dunloe zerkała wprawdzie z pewnym oburzeniem na czerwoną, rzucającą się w oczy suknię Juliet i jej tandetną biżuterię, ale poza tym niczego nie dało się zauważyć. Zachowanie Juliet przy stole było nienaganne i tym razem ograniczyła nawet konsumpcję szampana. Ale mimo wszystko na przyjęciu u dyrektora banku Dunloego i jego małżonki Claire Juliet sprawiała wrażenie dość egzotycznego przybysza – przy czym Lizzie nie tylko na jej widok przychodziła na myśl straż pożarna. Ta młoda kobieta mogła stanowić coś w rodzaju łatwopalnego materiału, tego Lizzie była pewna.

– W każdym razie w towarzystwie krążą bardzo ożywione plotki na jej temat – stwierdziła Lizzie. –

I na tyle głośne, że dotarły aż do Tuapeka.

Miasteczko Tuapeka, w pobliżu którego znajdowała się farma Lizzie i Michaela, leżało w odległości czterdziestu mil od Dunedin i od 1866 roku nazywało się Lawrence. Ale Lizzie i Michael nigdy nie mogli przyzwyczać się do zmiany nazwy. Oboje Drury przyjeżdżali do Dunedin raczej rzadko, ale zaproszenia dyrektora banku nie wypadało im odrzucić.

– I w każdym razie słyszałam, że ona nawet śpiewała na wernisażu u Chloé i Heather!

Kevin nerwowo potarł czoło. Ten występ raczej nie należał do jego miłych wspomnień, Juliet z pewnością nieco przesadziła. Ale sam wernisaż był nudny, to akurat nie ulegało wątpliwości, obrazy dość mroczne i nieciekawe, ludzie zaś niezbyt rozmowni. Za to było dużo szampana, i Juliet nie potrafiła mu się oprzeć... W każdym razie, kiedy konwersacja coraz bardziej się nie kleiła, zwróciła się do muzyków i trio w końcu akompaniowało jej przy wykonaniu popularnego amerykańskiego szlagieru. Reakcja towarzystwa z Dunedin wcale nie była nieprzychylna, o ile Kevin mógł to sobie przypomnieć. On także wypił przedtem kilka kieliszków... W każdym razie... Burtonowie i Dunloowie, jak też McEnroe i McDougalowie sprawiali wrażenie może nieco zaskoczonych. W końcu sytuację uratowała taktowna Chloé, rozmawiając krótko ze śpiewaczką i przedstawiając ją gościom. I rozwiązała także zagadkę związaną z jej imieniem i historią jej przeszłości, co znów stało się kolejnym tematem plotek: Juliet LaBree była obywatelką amerykańską i należała do zespołu pewnego variétés goszczącego w Wellington. Należała – przynajmniej jeszcze przed kilkoma tygodniami...

– To jak ta szacowna dama dotarła tutaj aż z Wellington? – dopytywał się Michael. W jego głosie słychać było czystą ciekawość, a nie chęć inkwizytorskiego przepytывania. Juliet rzeczywiście zrobiła na nim duże wrażenie – co miało miejsce w przypadku każdej męskiej istoty, poczynając od zamiataacza ulic, a kończąc na dyrektorze banku. I mimo że panowie gorliwie potakiwali, kiedy towarzyszące im damy mówiły, że Juliet z pewnością nie obracała się w najlepszych kręgach towarzyskich, to wszyscy mężczyźni zazdrościli trochę Kevinowi jego połowu.

Kevin zagryzł wargi.

– Juliet... ehm... chyba miała dość tego zespołu. I podoba jej się w Nowej Zelandii. Wolałaby gdzieś tutaj poszukać sobie jakiegoś angażu...

– Ach tak? – zakpiła Lizzie. – To może powinna rozejrzeć się w Auckland albo w Wellington. A nie akurat w Dunedin, metropolii Church of Scotland z najbardziej ograniczonymi obywatelami na całej Wyspie Południowej. Co ona chciałaby tutaj śpiewać, Kevin? Pieśni kościelne?

– Ze swoim głosem mogłaby śpiewać wszystko! – odparł Kevin. – A poza tym Dunedin zmieniło się ostatnio, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, mamó. Tu była gorączka złota!

Lizzie się zaśmiała.

– Pamiętam dobrze – zauważyła. – W Tuapeka ciągle jeszcze stoją ruiny burdelu.

– I co, właśnie ty zaniósłaś tam chorągiew moralności? – odparł Kevin.

Lizzie spojrzała na syna.

– W Tuapeka nigdy się nie... – Umilkła zawstydzona. Oczywiście nie opowiadała synom o swojej niezbyt chlubnej przeszłości w Londynie i Kaikourze, ale Kevin był w stanie domyślić się wielu rzeczy. Kiedy jednak przyjechała za Michaeliem na złotonośne pola, od dawna parała się uczciwym zajęciem – o ile można było tak określić sprzedaż nielegalnie pędzonej whiskey w pubie w Kaikourze.

Michael wtrącił się teraz, chcąc bronić żony.

– Kevin, twoja matka i ja nie byliśmy aniołami, ale właśnie dlatego jesteśmy w stanie ocenić Juliet LaBree. Ona przed czymś ucieka, Kevin, uwierz mi, ja znam to spojrzenie. Prawdopodobnie ta grupa wyrzuciła ją po prostu. I teraz ona jest w drodze do Otago, na złotonośne pola koło Queenstown. Jest tam pełno mężczyzn, pełno pubów...

Kevin nieco spuścił z tonu.

– No tak, a jeśli nawet... Ale musisz przyznać, tato, że ona jest porywająca! I bez względu na to, co było przedtem, to jest wszystko, co chcę o niej wiedzieć. W końcu nie chcę się z nią od razu zenić...

Zerknął na masywny zegar w rogu pokoju, który był ozdobą jego gabinetu. Wiedział, że Lizzie i Michael byli zaproszeni na małe poranne przyjęcie – miał to być pokaz mody w Lady's Goldmine. Lizzie na pewno będzie chciała to zobaczyć. I teraz dostrzegła i zrozumiała spojrzenie syna.

– Już dobrze, Kevin, zaraz idziemy – powiedziała. – Ale o ile trafnie oceniam Juliet LaBree, to teraz nie jest ważne, czego ty chcesz. Ważne jest jedynie to, czego chce ona!

Juliet LaBree chciała przede wszystkim spokoju. Przy czym z trudnością przychodziło jej przyznać się do tego nawet przed sobą samą. Prowadziła przecież szalone życie przez całe lata i przez ten czas nie mogła sobie wyobrazić, że może być coś piękniejszego niż zmiana kolejnych miast, teatrów i oczywiście mężczyzn. I było to takie życie, o jakim zawsze marzyła, podczas wszystkich lat nauki i usilnego wtłaczania jej w ramy obrazu „panny z dobrego towarzystwa”. Juliet nie była w stanie dać się porwać książkom, jeździe konnej, eleganckim przyjęciom i piknikom. Nie tylko jej egzotyczny wygląd odróżniał ją od grzecznych córek okolicznych luizjańskich plantatorów w Terrebonne Parish. Juliet chciała cieszyć się życiem i używać go, pociągały ją koncerty i przedstawienia teatralne. Niezbyt odległy Nowy Orlean nadawał się do tego znakomicie, a rodzice Juliet też nie należeli do „dzieci smutku”. Jej matka była Kreolką z Wysp Karaibskich i kiedyś przyjechała do Nowego Orleanu z Jamajki – Juliet nie robiła sobie żadnych iluzji, jak zdobyła potrzebne na to środki. Z całą pewnością nie przybyła tu z rodziną, tylko z mężczyzną. Ale ojciec Juliet uległ w swoim czasie wdziękowi jej matki tak dalece, że zabrał ją na swoją plantację i godził się na wszelkie kaprysy, jakie tylko mogła mieć kobieta. Kiedy na świat przyszła Juliet, od razu stała się też jego oczkiem w głowie – pięknej córce nie mogło zabraknąć niczego. Juliet miała więc najlepszych nauczycieli, choć właściwie interesowały ją tylko lekcje muzyki. Ale uczyła się też francuskiego i tańców towarzyskich, a kiedy skończyła siedemnaście lat, miał się też znaleźć dla niej jakiś idealny mężczyzna. Jej ojciec znalazł go dwie plantacje dalej: w pewnej starej rodzinie, która przetrwała wojnę domową tylko z niewielkimi stratami finansowymi, a której majątek był wprost olbrzymi. Ale młody człowiek był tak bezkrwisty, że Juliet w czasie każdej wizyty na plantacji rozglądała się dookoła i wypatrywała rozrabiających tam wampirów. Do całości znakomicie pasował także dwór – przypominał on Juliet kryptę grobową. I na krótko przed weselem niedoszła panna młoda uciekła do Nowego Orleanu, a potem dalej, do Tennessee. Na początek wystarczały jej pieniądze, które zabrała z domu, oraz te, które otrzymywała za zastawiane suknie i biżuterię. Jeśli śpiewała w klubach i różnych lokalach – to raczej dla rozrywki i przyjemności. W Memphis wkrótce została miejscową gwiazdką. Ale wówczas pewien mafijny boss zaczął jej robić trudności i Juliet musiała szybko opuścić miasto – tym razem bez pieniędzy. Nie była zbyt dumna z tego, co robiła, aby zdobyć środki na dotarcie do Nowego Jorku. I w końcu pojawiła się możliwość podróży do Europy. Juliet śpiewała na luksusowym liniowcu, który wiozł bogatych podróżnych do Londynu – a potem zamieniła Londyn na Paryż. W ciągu trzech lat wystąpiła na połowie kontynentu – rozkoszowała się każdą nocą, a często także dniami. Juliet zakochiwała się rzadko, za to nader często całowała, a jej życie było ciągłym pasmem upojenia.

A potem pojawiła się kolejna możliwość – angażu do Australii i Nowej Zelandii. Właściwie była to trupa operowa, choć niezbyt profesjonalna. Juliet była miła dla jej szefa, ale ten znalazł sobie inną dziewczynę – długą i smutną historią. Juliet spróbowała zrobić scenę i w efekcie natychmiast wyleciała. Nie omieszkała przy tym zabrać części dochodów trupy – w końcu i tak płacono jej za mało. Ale nie chciała już zostać na Wyspie Północnej. Udała się na Wyspę Południową i stwierdziła, że miasta są tu jeszcze bardziej zaściankowe niż na północy. Praktycznie nie było tu żadnych variétés –

a jeśli jakieś puby czy hotele angażowały młode kobiety jako śpiewaczki lub tancerki – to w gruncie rzeczy były to tylko luksusowe burdele. Juliet była więc uszczęśliwiona, kiedy przypadkiem poznała Kevina Drury'ego – i z zaskoczeniem stwierdziła, że po upływie kilku tygodni bycia razem wcale jej się nie znudził. Wręcz przeciwnie, cieszyło ją poczucie bezpieczeństwa, które zapewniał jej Kevin, a które jednocześnie znakomicie umiał połączyć z rozrywką. W dodatku był wyjątkowo przystojny i doświadczony – Kevin potrafił zaspokoić Juliet. I był też zachwycony jej umiejętnością uszczęśliwiania mężczyzny. Nie zadawał żadnych pytań i był bardzo wielkoduszny. Kiedy ona wyrażała jakieś życzenie, było ono spełniane natychmiast, przynajmniej w zakresie finansowych możliwości Kevina. Juliet szybko się zorientowała, że Kevin był dobrze sytuowany, choć nie oszałamiająco bogaty. Jego praktyka lekarska kwitła, ale oczywiście nie było to wielkie przedsięwzięcie finansowe, w dodatku musiał się dzielić dochodami ze swoim kolegą wspólnikiem. Choć bądź co bądź miał w przyszłości sporo odziedziczyć – farma jego rodziców uchodziła za wzorową. I Juliet ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że jej roszczenia nie były już tak wygórowane. Nie oczekiwała teraz wynajęcia takiego lokalu, w którym można by z nią tańczyć, nie potrzebowała też luksusowej biżuterii, którą później znów pewnie zastawiłaby w jakimś lombardzie. Oczywiście imprezy towarzyskie, na które zabierał ją Kevin, były bardzo prowincjonalne: wernisaż w Dunedin, koncert w Christchurch... Juliet była przyzwyczajona do występów o nieco innej skali. Ale z drugiej strony nigdy przedtem nie zrobiła takiej furory jak w tej prowincjonalnej dziurze! W Memphis, w Nowym Jorku, Paryżu czy Berlinie – była piękną, ale jedną wśród wielu innych. Tu za to cały męski świat leżał u jej stóp.

Juliet zaczęła marzyć o tym, aby się osiedlić i znaleźć swoje miejsce wśród tutejszego lepszego towarzystwa – i nieco je ożywić. Jeśli to ona będzie wydawać przyjęcia – będzie o nich mówić cała Wyspa Południowa. Salon młodej Mrs Drury będzie przyciągać najbardziej znanych artystów i muzyków, a wszystkie miejscowe gazety będą pisać o tym, jakie suknie i z jakiej okazji miała na sobie gospodyni. Oczywiście potrzebny będzie bardziej reprezentacyjny dom. Ale kiedy ona i Kevin będą mieli dzieci, to i tak nie będą mogli mieszkać w wynajmowanym mieszkaniu. Nawet sama służba, która będzie wtedy potrzebna... Juliet z rozbawieniem stwierdziła, że już samo planowanie zaczęło jej sprawiać przyjemność. Może powinna napisać do rodziców i opowiedzieć im o swoim dworze na końcu świata...

Jedyną kroplę goryczy w tym marzeniu stanowił fakt, że jak dotychczas nic nie wskazywało na to, żeby Kevin zamierzał poprosić ją o rękę. Juliet zorientowała się już, że młody lekarz uchodził za kobieciarza. I najwyraźniej nie myślał o zakładaniu rodziny, co było przyczyną prawdziwej rozterki Juliet. Jeśli więc zamierzała skłonić Kevina do małżeństwa, to powinna zająć w ciężę – choć właściwie nie pragnęła mieć od razu dziecka. Juliet wyobrażała sobie, że jeszcze przez najbliższe dwa lata użyje uroków nocnego życia w skromnym Dunedin, owinie sobie wokół palca cały tutejszy męski świat i będzie cieszyć się zazdrosnymi spojrzeniami co bardziej szacownych matron. Dziecko byłoby przyczyną mocnych ograniczeń i opóźniłoby jej start jako uroczej gospodyni i damy będącej centralną postacią każdego towarzystwa. Ale jeśli nie było innej możliwości...

Juliet stała się nieco nerwowa od chwili, kiedy na klatce schodowej natknęła się na matkę Kevina. Elizabeth Drury nic nie powiedziała, ale spojrzenie, którym obrzuciła młodą kobietę, było jednoznaczne. Podobnie jak poprzedniego wieczoru, w czasie kolacji u państwa Dunloe. A przy tym trudno było nie doceniać owej Lizzie Drury. Juliet była gotowa się założyć, że ta szacowna, ubrana w drogie suknie matrona nie miała za sobą przeszłości bez skazy. Opowiadano, że jej mąż ponoć doszedł do wielkiego bogactwa jako poszukiwacz złota. Czy ta kobieta podawała mu wtedy łopatę, czy też w jakiś inny sposób przyczyniła się do pomnożenia rodzinnego majątku? Lizzie w każdym razie miała przenikliwe, wiele mówiące spojrzenie i z całą pewnością będzie starała się odwieść Kevina od

związku z Juliet. I Juliet się wydawało, że matka Kevina odniosła już na tym polu pierwsze sukcesy – bo Kevin nie zabrał jej na ów pokaz mody, który zdaniem kobiet był najgłośniejszym wydarzeniem sezonu. A ostatnio wołał wychodzić z Juliet sam, zamiast pokazywać się z nią na spotkaniach towarzyskich. Ona przeczuwała, że to początek końca, i była zdecydowana do tego nie dopuścić! Kiedy więc Kevin któregoś wieczoru kazał jej na siebie czekać, bo w gabinecie ciągle jeszcze zjawiali się kolejni pacjenci, zamknęła za sobą drzwi jego mieszkania i przeszukała szuflady jego nocnej szafki. Kevin, jako lekarz, w kwestiach zapobiegania ciąży raczej nie zdawał się na kobietę, co Juliet przynajmniej na początku znajomości uważała za bardzo miłe. Choć oczywiście знаła powszechnie stosowane metody i potrafiła obliczyć swoje dni płodne cyklu oraz wykonać płukanie pochwy w wątpliwych przypadkach. Kevin wołał jednak kondomy. Juliet znała już wcześniej mężczyzn, którzy je stosowali – i zawsze napawało ją to obrzydzeniem, ponieważ były one zwykle wykonane z owczych kiszek albo jakiegoś innego zwierzęcego materiału. Kevin jednak preferował nowocześniejsze modele wykonane z gumy. Były one grube, często nieprzyjemne w użyciu, ale budziły zaufanie. Z pewnością nie mógł się z nich wydostać żaden płyn, o ile nie były uszkodzone.

Juliet od razu znalazła całe opakowanie w szufladzie Kevina – a z tyłu było kolejne. Najwyraźniej jej kochanek kupował kondomy hurtem! Rozważała, czy ma się zająć jednym i drugim pudełkiem – ale doszła do wniosku, że jedno powinno wystarczyć. Ostatnią menstruację miała przed dwoma tygodniami, teraz więc były najpewniejsze płodne dni. Miłość dwa lub trzy razy – i powinno wystarczyć...

Juliet zdecydowanie sięgnęła po szpilkę do kapelusza i przeklęła pierwszy kondom. Najpóźniej za dwa miesiące Kevin powinien poprowadzić ją do ołtarza...

ROZDZIAŁ 4

Atamarie nigdy nie przypuszczałyby, że kiedykolwiek będzie zazdrościć Robercie jej nudnych studiów. I oczywiście nigdy też nie myślała, że będzie wolała uczyć dzieci niż budować latające maszyny. Ale po dwóch miesiącach samotnego życia w Christchurch była po prostu śmiertelnie znudzona. Każdego dnia po zakończeniu seminariów i zajęć siedziała samotnie w swoim pokoju albo wędrowała sama przez miasto – podczas kiedy Roberta pisała jej o wesołych spotkaniach i o wycieczkach z koleżankami ze studiów. I mimo że nie była tak otwarta jak Atamarie, znalazła już przyjaciółki i sprawiała wrażenie szczęśliwej – wyłączwszy oczywiście jej beznadziejne zadurzenie w Kevinie Drurym. Atamarie za to nie mogła zapoznać się bliżej ze swoją grupą i tu nie przydało jej się mocno liberalne nastawienie właścicielki wynajmowanego pokoju w kwestii męskich odwiedzin. Wszyscy studenci wydziału inżynierii trzymali się od Atamarie z daleka. Z początku przyglądali jej się nader nieufnie, a potem zaczęli przebąkiwać, że na pewno jest faworyzowana przez wykładowców i prowadzących zajęcia. Bo nie dało się w inny sposób wyjaśnić jej znakomitych stopni. Atamarie była o wiele lepsza od wszystkich uczestników swojego kursu. A w dodatku nie sprzyjały jej problemy towarzyskie: Nowa Zelandia wprawdzie otworzyła wszystkie swoje uniwersytety dla kobiet, ale stosunek do nich można było nadal określić jako angielsko-wiktoriański: bez przyzwoitek chłopcom i dziewczętom nigdzie nie uchodziło wyjść razem. Żaden uniwersytet świata nie przewidywał jakiegoś nadzoru nad spędzaniem wolnego czasu przez studentów, a mimo to stosunki między chłopcami i dziewczętami były raczej trudne. Na tych fakultetach, gdzie udział kobiet był większy, dziewczęta przeważnie łączyły się w grupy i spędzały czas razem – o ile któraś z nich się nie zakochała i nie zaczęła organizować na własną rękę potajemnych spotkań z wybrankiem serca. Atamarie nie miała żadnej sojuszniczki ani też rywalki, a w dodatku college znajdował się w osobnym budynku uniwersytetu. Nie było więc żadnej potrzeby ani możliwości kontaktu ze studentkami innych fakultetów. W efekcie Atamarie była wykluczona z wszelkich przyjemności, jakich dostarczały studia w metropolii tak pełnej życia jak Christchurch. Przejazdźki łodziami po rzece Avon, zawody wioślarskie, wycieczki na Canterbury Plains odbywały się bez jej udziału. Atamarie żyła więc od weekendu do weekendu w Dunedin albo wyczekując na odwiedziny jej krewnych i przyjaciół. Heather i Chloé przyjeżdżały czasem na wyścigi konne do Addington, stanowiącego przedmieście Christchurch, także Sean zjawiał się tu dość często w związku ze swoją pracą. A poza tym Atamarie z braku innego zajęcia koncentrowała się wyłącznie na nauce – dzięki czemu miała znacznie lepsze stopnie, a koledzy patrzyli na nią coraz mniej przychylnie. Za to profesor Dobbins był zachwycony pilną studentką, która była zawsze do dyspozycji, jeśli chodziło o pomoc przy pracach badawczych i projektach specjalnych. Studia sprawiały jej wyraźną przyjemność, a chcąc nie chcąc, także długie wieczory spędzała na czytaniu. Atamarie pochłaniała książki Lilienthala i Mouillarda na temat teorii budowy maszyn latających. Ale oczywiście czytała także powieści, a przede wszystkim gazety. Romantyczne opowieści zajmowały ją mniej niż prawdziwe życie. I właśnie w gazetach natknęła się znów na kraj, którego nazwę wymienił wielebny w czasie wernisażu u Chloé i Heather: Afryka Południowa, republika – czy kolonia? – na Przylądku Dobrej Nadziei.

Dowiedziała się, że kraj ten pierwotnie był zasiedlony przez Holendrów. Holenderska Kompania Wschodnioindyjska chciała mieć tu swoją wysuniętą placówkę w celu dostarczania prowiantu do należących do niej statków, które znajdowały się w drodze na wyspę Jawa. Później osadnicy wdarli się dalej w głąb lądu, aż wreszcie któregoś roku Kompania Wschodnioindyjska zbankrutowała i kraj dostał się bez walki pod okupację brytyjską. Osadnicy, zwani Burami, nie byli tym raczej zachwyceni,

czego można się było spodziewać, ale jak na razie potrafili się odnaleźć w nowej sytuacji i nie sprawiali Brytyjczykom żadnych kłopotów. Tym bardziej że Anglicy byli w stosunku do nich bardzo cierpliwi. Atamarie uważała za oburzające, że okupanci pozwolili Burom traktować mieszkających tam czarnych tubylców jak niewolników. Hotentoci, jak ich niezbyt sympatycznie nazywano, nie mieli żadnych praw. Brytyjczycy ciągle zakładali, że z czasem się to powoli zmieni – aż do chwili gdy znaleziono tu złoto i diamenty! Następstwa były podobne jak na całym świecie: tysiące ubogich, zrozpaczonych Europejczyków ruszyły na złotonośne pola i do kopalń, dzięki którym mieli stać się bogaci. Skutki Nowozelandczycy znali z własnego doświadczenia: liczba ludności zaczęła gwałtownie wzrastać, a centra poszukiwań złota stały się siedliskami nędzy i rozpusty. Burowie, bardziej rolnicy niż handlarze, w dodatku surowo religijni, nie bardzo potrafili się z tym uporać. Nowi osadnicy bardzo szybko zaczęli się skarżyć na represje, których rzekomo bądź faktycznie doznawali z ich strony – a Korona Brytyjska przysłuchiwała się bacznie tym głosom. I nagle jej cierpliwość w stosunku do republik Burów, Transwału i Oranii, się wyczerpała. Anglicy zaczęli rościć sobie prawo do panowania nad całym krajem. Nowozelandzki premier Richard Seddon podchwycił temat. Kiedy wojna była już nieunikniona, wygłosił płomienną mowę przed parlamentem, żądając wystawienia do dyspozycji Korony kontyngentu kawalerzystów.

– Nowa Zelandia będzie walczyć za flagę, za królową, za język i kraj! – grzmiał Seddon. – I tym krajem będzie Brytania!

Atamarie nie za bardzo rozumiała, dlaczego miało to być aż tak konieczne. Bo Wielka Brytania coraz rzadziej wtrącała się w sprawy Nowej Zelandii i Atamarie się zastanawiała, dlaczego nie było dokładnie na odwrót. Oczywiście Anglia była krajem macierzystym, ale obie wyspy, Południowa i Północna, bardzo się od niej różniły – Atamarie traktowała swoją ojczyznę jako niezależne państwo. Jednak teraz wszyscy oprócz niej najwyraźniej byli zachwyceni tym, że należało bronić praw kraju, którego właściwie się nie znało i o którym słyszało się po raz pierwszy w życiu. Parlament obiecał Brytyjczykom poparcie tylko przy pięciu głosach sprzeciwu, a biura rekrutacyjne zostały dosłownie zalane przez ochotników, nawet szczepy maoryskie zaoferowały wysłanie swoich oddziałów. Także koledzy Atamarie chcieli koniecznie iść walczyć pod brytyjską flagą, nie zostali jednak przyjęci – preferowano tych ochotników, którzy już służyli w małej armii nowozelandzkiej.

– Z głupcami nie wygra się tej wojny – stwierdziła kiedyś Atamarie pogardliwie w czasie odwiedzin w Dunedin.

Była wiosna, a wielebny Burton zorganizował właśnie kolejny doroczny festyn gminny. Bronił się jednak przed tym, aby pójść za głosami członków swojej parafii i przekazać zyski z loterii i kiermaszu na cele przyszłej wojny.

– Tę przygodę niech Seddon sam sfinansuje – stwierdził z irytacją. – Bo ze złota i diamentów, które oni tam wydobywają, i tak nie zobaczymy ani odrobiny. Zresztą nigdy bym nie przyjął pieniędzy, na których jest krew. Ale wszyscy ludzie najwyraźniej zwariowali.

Nieufnie popatrzył na kilku członków swojej gminy, którzy z zapalem wymachiwali angielskimi flagami.

– Nowa Zelandia się cieszy, że tym razem poszukiwacze złota pojedą gdzie indziej! – roześmiał się Sean. – Otago oszczędzone będzie to wszystko, co teraz zmierza w stronę Johannesburga. Ale nie uogólniajmy! Nie wszyscy są za tą wojną. Kupe na przykład głosował w parlamencie przeciw.

Atamarie właśnie się tego dowiedziała i była niesłychanie dumna z ojczyma.

– Organizacje kobiece są bardzo podzielone – dodała Violet. Cały czas kierowała przedstawicielstwem Women's Christian Temperance Union w Dunedin, która w znacznym stopniu przyczyniła się do uzyskania przez kobiety praw wyborczych. – Niektóre nasze członkinie są

nastawione bardzo patriotycznie, inne znowu potępiają bezsensowne przelewanie krwi. Ja w każdym razie nie chciałabym wysłać swojego syna na wojnę do jakiegoś obcego kraju. Ale wiele kobiet aż pali się do tego, aby tam pojechać i pokazać, że sprawdzimy się także w niebezpiecznych sytuacjach.

Wielebny uniósł jedną brew.

– Ale raczej jako pielęgniarki, prawda? Chyba nikt nie ma zamiaru wciskać im do ręki broni...?

– Ponoć właśnie tak ma być – stwierdziła odważnie Violet, co spowodowało wybuch śmiechu części słuchaczy.

Violet była drobna, szczupła i bardzo wytworna. Nikt nie potrafił jej sobie wyobrazić trzymającej broń w ręku.

– A jeśli chodzi o Anglię: kobiety nie mają tam nawet praw wyborczych. Większość uniwersytetów jest przed nimi zamknięta... O to warto walczyć, a nie o złoto i diamenty!

Atamarie zaczęła bić brawo, podczas kiedy Roberta znów nie odrywała wzroku od Kevina Drury'ego. Młody lekarz właśnie przyjechał, oczywiście w towarzystwie Juliet LaBree, ubranej w ciemnoniebieską letnią suknię uszytą zgodnie z najnowszą modą. Najwyraźniej Juliet była teraz klientką Lady's Goldmine.

– Obawiam się, że on się z nią ożeni – zwierzała się później Roberta Atamarie ze swych ostatnich trosk. – Jest już z nią tak długo, że po prostu nie może inaczej być. A ja... ja towarzyszę swoim rodzicom niemal na każde przyjęcie czy podobną okazję i ciągle próbuję coś powiedzieć. Naprawdę. Ale on... widzi tylko ją.

– Naprawdę? – zdziwiła się Atamarie. Już dawno zauważyła, że ta para nie jest tak bardzo ze sobą związana jak przed kilkoma tygodniami w czasie wernisazu. Juliet nie szła za Kevinem trop w trop, aby przypochlebiać się jego pacjentkom. Biegała od jednego mężczyzny do drugiego i rozmawiała z wyraźnym, nieco sztucznym ożywieniem – przede wszystkim z kawalerami i wdowcami. Nie dostrzegała tylko Patricka, choć on szedł za nią jak cień i patrzył na nią wyraźnie zakochanym wzrokiem. A Kevin nie próbował już trzymać Juliet z dala od innych mężczyzn. Nie było już namiętnych, pozornie przypadkowych dotknięć, Kevin sprawiał raczej wrażenie kogoś otwartego na nowe znajomości. Przez chwilę przekomarzał się z jedną z kobiet na temat ceny podgrzewacza do kawy – brzydkiego, ale wykonanego własnoręcznie przez damę będącą prawdziwą podporą gminy. I ta rozmowa nawet z daleka sprawiała wrażenie flirtu.

– Ja uważam, że temperatura uczuć między nimi nieco opadła – oświadczyła Atamarie i nieznacznie pociągnęła Robertę w stronę Kevina.

– Och, wujaszku, podgrzewacz do kawy? – dokuczała mu żartobliwie. – Czyżbyś zaczynał myśleć o gospodarstwie domowym?

Kevin odwrócił się do bratanicy i obdarzył ją swym urzekającym uśmiechem.

– Bardziej chodzi tu o wsparcie dla gminy – odparł. – Coś muszę kupić. Ale jeśli obie zbieracie posag, to chętnie wam go podaruję.

Atamarie machnęła ręką.

– To bezcelowe, wujku Kevinie, wiesz przecież, że najpierw chcemy skończyć studia.

Kevin skinął głową, ale tym razem spojrzał z większym zainteresowaniem na obie dziewczyny. Rzeczywiście, to nie były już uczennice i tego dnia wyglądały świetnie. Jego siostrzenica była śliczna – ale Roberta była prawdziwą pięknoscią. Dziewczyna z przerażenia niemal zapadła się pod ziemię, kiedy zwrócił się wprost do niej:

– Oczywiście, oto przyszła nauczycielka. Ale czy nie chciałaś kiedyś zostać lekarką?

Roberta zaczerwieniła się jak zwykle. Była zadurzona w Kevinie od lat i z początku rzeczywiście marzyła o tym, aby zostać lekarką i pracować razem z nim. Ale szybko jej to przeszło.

– Nie mogę patrzeć na krew – przyznała. – Choć próbuję się do tego przyzwyczaić, dzieci czasem się kaleczą – jak w ostatnim tygodniu... To była moja pierwsza lekcja, kiedy stanęłam przed klasą, a jedna z dziewczynek dostała krwotoku z nosa...

Robercie natychmiast zrobiło się słabo, ale na szczęście zdołała się opanować.

– No to ja jestem przecież niedaleko – powiedział Kevin pocieszającym tonem. – Jak przejmiesz szkołę w Caversham, to stamtąd do mojego gabinetu jest tylko kilka minut drogi. I po prostu przyślesz do mnie swoich małych pacjentów... – uśmiechnął się do Roberty uwodzicielsko – albo sama ich przyprowadzisz. W tym drugim wypadku będę przynajmniej miał piękny widok...

Roberta popatrzyła na niego tak rozjaśnionym wzrokiem, jak gdyby nie powiedział jej komplementu, lecz wręcz położył świat u jej stóp. Ale Juliet dostrzegła właśnie przyjaciela rozmawiającego z dwiema młodymi kobietami i niby przypadkowo podeszła bliżej.

– Chodź, Kevin, zajmijmy się loterią. Musisz za mnie wyciągnąć los, ja nie mam szczęścia.

Kevin odwrócił się w stronę bębna z losami, Atamarie zaś zamierzała pociągnąć w drugą stronę wpatrzoną w niego przyjaciółkę, kiedy Kevin zapytał:

– Też potrzebujecie szczęśliwej ręki? Dobrze, to zafunduję po trzy losy trzem najpiękniejszym damom na tej imprezie. I w ten sposób wesprę gminę. Ale ostrzegam was: jeśli wygracie ten serwis do herbaty, to nikt się z wami nie ożeni!

Pierwszą nagrodą w loterii był rzeczywiście wyjątkowo brzydki serwis do herbaty, składający się z ponad pięćdziesięciu elementów.

– Oby nas to ominęło – roześmiała się Atamarie i otworzyła swoje losy. Były puste.

Juliet certowała się i udawała, że nie potrafi otworzyć kopert z losami. Kevin pomógł jej w końcu i wprost zatrząsł się ze śmiechu, kiedy drugi z nich okazał się wygraną.

– Podgrzewacz do kawy. Prawdopodobnie ten, który właśnie oglądałem. Miłej zabawy, Juliet!

Juliet popatrzyła na niego z oburzeniem – jej trzeci los także był pusty.

Roberta trzymała swoje losy w ręku, jak gdyby nie mogła się zdecydować, czy ma rozerwać małe koperty, których przedtem dotknęły palce Kevina.

– No otwórz! – poganiała ją Atamarie. – Nawet gdybyś miała wygrać ten okropny serwis... to przed weselem jest zawsze wieczór panieński i będzie co tłuc.

Roberta otworzyła po kolei dwa puste losy – ale trzeci okazał się szczęśliwy: wygrała małego szmacianego konika.

– No proszę, konik! – ucieszył się Kevin. – Zawsze może się przydać. Choć ja, co prawda, wolę żywe...

– Ale żywego nie mogłabym zabrać na uniwersytet – stwierdziła Roberta i natychmiast zawstydzila się swej głupiej uwagi. Kevin w żadnym wypadku nie powinien się dowiedzieć, że odtąd będzie nosiła konika ze sobą wszędzie, jak dziecko ukochaną lalkę. Bo przecież było to coś w rodzaju prezentu od niego... Zacisnęła konika w dłoni.

– Ale dlaczego nie? Przecież konie są mądrymi zwierzętami!

Kevin zażartował z jej zakłopotania, a Roberta była w siódmym niebie.

– A więc jednak! – stwierdziła spokojnie Atamarie, kiedy Kevin wraz ze swoją Juliet, a raczej Juliet ze swoim Kevinem, opuścili festyn. Młoda kobieta sprawiała wrażenie wyraźnie rozgniewanej faktem, że jej przyjaciel poświęcił dziewczętom tyle czasu, i zaraz potem koniecznie chciała już iść.

– Miałam rację, przeszło mu z tą Juliet! Ona jest przecież nudna, o czym on może z nią rozmawiać?

Juliet nigdy nie sądziła, że tak trudno jest zająć w ciążę. Od chwili kiedy przedziurawiła kondomy Kevina, upłynęły już cztery miesiące, był luty, lato miało powoli, miało też zainteresowanie Kevina jej osobą. Trudno już było temu zaprzeczyć, oznaki były nader wyraźne. Dawniej Kevin zabierał ją na

wszystkie przyjęcia i kolacje, dziś jedynie na takie głupie imprezy jak ów gminny festyn. Na którym w dodatku prawie nie spędzał z nią czasu, lecz flirtował z innymi kobietami albo rozmawiał z mężczyznami na temat tej wojny na drugim końcu świata. Juliet zaczęła się więc rozglądać za ewentualną alternatywą. W Dunedin nie było zbyt wielu kawalerów, a przynajmniej takich, którzy byliby odpowiedni, ale zdaniem Juliet dwóch czy trzech wdowców można już było brać pod uwagę. Oczywiście żaden z nich nie sięgał Kevinowi do pięt, jeśli chodziło o atrakcyjny wygląd – także Patrick, jego brat, który z pewnością byłby łatwą zdobyczą. Patrick czasami działał jej na nerwy, kiedy niemal bez przerwy kręcił się koło niej. Juliet nie brała już pod uwagę opuszczenia Dunedin. Zdążyła się przyzwyczaić do wszelkich zalet tego miasta – jak też wszelkich związanych z nim przyjemności. Szerokie, piękne ulice, możliwości zakupów – w tym kolekcje Lady's Goldmine! – i od trzech kwartałów obserwowała zmiany klimatyczne Nowej Zelandii. Dużo deszczu, także latem, i śnieg zimą – czegoś takiego w żadnym wypadku nie przeżyłaby w obozie poszukiwaczy złota! Nie, Juliet był zdecydowana zacząć wieść osiadły tryb życia. A najlepszym sposobem do osiągnięcia tego celu było posiadanie dziecka.

Powoli rozpiniała swą wieczorową suknię, w której tego wieczoru towarzyszyła kochankowi na koncercie. Wyjątkowa impreza towarzyska, na której obecni byli także państwo Dunlo i Coltrane'owie ze swą prześliczną córką, która wpatrywała się w Kevina jak zakochana owca. Kevin tego nie dostrzegał, ale gdyby ktoś zwrócił mu na to uwagę, mogłoby być niebezpiecznie. Mała Roberta byłaby z pewnością wymarzoną synową dla mrukliwej matki Kevina...

Juliet zmusiła się do uśmiechu i do uwodzicielskiego kołysania biodrami. Musiała zacząć uważać, bo ostatnio trochę przytyła... Kevin, który już leżał na łóżku, podniósł się, aby pomóc jej zdjąć gorset. Uwielbiał ją z niego uwalniać i pieścić jej wyłaniające się ciało.

– Nie do wiary – wymruczał, rozpinając jej biustonosz. – One wydają się jeszcze większe...

Zaczął całować jej piersi i lekko ssać brodawki. Ta pieśczoła zawsze podobała się Juliet, ale teraz nieoczekiwanie zaczęło jej to sprawiać ból. Jej piersi były napięte i twardsze niż zwykle...

Usta Kevina wędrowały najpierw po jej brzuchu i biodrach, zanim podniósł ją i położył na łóżku. A potem sięgnął do szufladki nocnego stolika, szukając kondomu.

– Czy w ogóle dziś tego potrzebujemy? – zamruczał, nie przerywając pieśczoł.

Żadne z nich nie lubiło grubych kondomów, ale też oboje wiedzieli wszystko na temat kobiecego cyklu. Dwa, trzy dni po i przed menstruacją były bezpieczne. A teraz...

Julia policzyła błyskawicznie. Miał rację. Dziś tego nie potrzebowali – właściwie menstruacja powinna się już zacząć.

Kevin zostawił kondom i zaczął głaskać delikatnie brzuch Juliet. Zwykle to wystarczało, aby jej wewnątrz stało się wilgotne, ale dziś najwyraźniej nie. Kevin, cierpliwy i doświadczony kochanek, zaczął znów kolistymi ruchami gładzić jej brzuch... i poczuł, że był on dziwnie twardy i...

Kevin znieruchomiał. A potem podkręcił gazową lampę, której przytłumione światło tylko nieznacznie rozjaśniało pokój. Z twarzy znikł mu wyraz rozmarzenia, który zawsze pojawiał się w chwilach miłości. W jego miejsce pojawił się badawczy, uważny wzrok lekarza.

– Juliet, większe piersi... I poza tym... Juliet, jesteś w ciąży?

ROZDZIAŁ 5

– Nie, w żadnym wypadku się z nią nie ożenię!

Kevin miał właściwie nadzieję, że będzie to po myśli matki, ale ona siedziała, milcząc z zaciętą twarzą, i obracała w ręku kieliszek do wina. Michael otworzył właśnie butelkę jej ulubionego bordeaux, aby wszyscy troje wypili po kieliszku i zdołali się chociaż trochę uspokoić. Kevin był niesłychanie wzburzony – tak bardzo, że dzień po swoim odkryciu zostawił gabinet swojemu wspólnikowi i wyruszył do Lawrence. Rodzice spokojnie wysłuchali jego opowieści, a Michael zadał w końcu pytanie na temat planów małżeńskich syna.

– Ona to przecież zaplanowała! – uniósł się Kevin. – Nie mam pojęcia jak, ale w jakiś sposób mnie złapała. A w dodatku powtarzała, że nie chce dziecka.

– No, to nie zawsze można dokładnie zaplanować – łagodził Michael.

Lizzie popatrzyła na syna z wściekłością.

– Oczywiście, że to zaplanowała – oświadczyła. – Od początku tego właśnie się obawiałam. Ale tak, Kevin, teraz cię po prostu złapała. I ożenisz się z nią.

– Co?!

Kevin i Michael zadali to pytanie niemal jednocześnie. I zaczęła się burza.

– Nie ożenię się z nią! – wrzasnął Kevin. – Nie pozwolę sobie tego zrobić!

– Nie można go przecież do tego zmusić, Lizzie. – Michael potrząsnął głową.

Lizzie westchnęła, spoglądając na obu mężczyzn.

– Oczywiście, że nie. Może ją przecież rzucić. I co ona wtedy zrobi? Sama z dzieckiem?

– Mogę na nie płacić – stwierdził Kevin, niezbyt zachwycony, ale z pewną ulgą.

– Można to przecież ustalić – dodał Michael. – Popatrz na Matariki.

Matariki miała osiemnaście lat, kiedy zaszła w ciążę z Colinem Coltrane’em, ale wkrótce potem rozstała się z nim i sama wychowywała Atamarie. Nie było to oczywiście proste, bo często musiała się podawać za wdowę, aby nie stracić swojej pozycji w społeczeństwie. Ale przecież jej się to udało – choć także dzięki pieniądзом Lizzie i Michaela. Matariki nie była skazana na utrzymywanie się wyłącznie z pieniędzy, które zarabiała, bo wspierali ją rodzice.

– Właśnie! Matariki też nie musiała wychodzić za mąż! – zatriumfował Kevin.

Lizzie potarła czoło i napiła się wina.

– Co innego Matariki, co innego ty – stwierdziła po chwili.

– Ach tak?! – zawołał Kevin. – Bo ona ma maoryskie pochodzenie? A u nich się to nie liczy? A jak to w ogóle było z tobą i Matariki? I jej ojcem? Kto nie chciał kogo poślubić?

Lizzie spojrzała na syna.

– Ryzykujesz policzek, Kevin – odparła spokojnie. – I to bez względu na to, ile masz lat. Ale skoro chcesz wiedzieć: ja nie chciałam wyjść za Kahu Heke, ojca Matariki. A ciąża Matariki w ogóle nie ma nic wspólnego z jej pochodzeniem. Różnica polega na tym, że... no, że to ona była w ciąży z Colinem Coltrane’em, a nie Colin z nią...

Kevin omal się nie roześmiał.

– No, to byłby cud z medycznego punktu widzenia – powiedział cynicznie.

– I katastrofa z ludzkiego punktu widzenia – dodała poważnie Lizzie. – Przykro mi, jeśli nie wyrażam się dość jasno. Ale powiedz sam, Michael, czy powierzyłbyś naszego wnuka Colinowi Coltrane’owi? Byliśmy przecież przeszczęśliwi, że Riki nie chciała, aby był ojcem Atamarie. A teraz ta... Juliet... ma w brzuchu dziecko Kevina.

– Co możemy jej wynagrodzić złotem – stwierdził Michael.

Lizzie gwałtownie potrząsnęła głową.

– A jak sobie to wyobrażasz? Kupisz jej dom w Dunedin i zabezpieczysz ją finansowo, ale w społeczeństwie ona i tak będzie nikim? Czy to dziecko ma dorastać w poczuciu całkowitego odrzucenia?

Michaelowi krew uderzyła do twarzy. Wtedy, przed laty, kiedy deportowano go z Irlandii, zostawił Kathleen w takiej samej sytuacji. Wprawdzie udało mu się przekazać jej swoje oszczędności, ale jej to nie uratowało. I w końcu te pieniądze stały się posagiem wniesionym przez Kathleen do małżeństwa z Ianem Coltrane’em – dzięki nim Kathleen sfinansowała Ianowi podróż do Nowej Zelandii, a on za to dał Seanowi nazwisko. I przez całe lata wypominał Kathleen pozamałżeńską ciążę i traktował ją jak dziwkę.

– Mogłaby przeprowadzić się do innego miasta – powiedział Kevin.

Lizzie skinęła głową.

– I w ten sposób stracimy z oczu i ją, i dziecko. To by ci pasowało, Kevin! W ten sposób kupisz sobie wolność, a dzieciak będzie gdzie indziej. Kto wie, co ta Juliet z nim zrobi...

Michael nalał jej wina.

– No, no, Lizzie – powiedział uspokajająco. – Przecież ta kobieta nie jest jakimś potworem. Może rzeczywiście nie chciała dziecka, ale skoro ono już jest...

Lizzie wciągnęła powietrze do płuc. Przed jej oczami pojawiło się drewniane przepierzenie w Londynie, brudna dziura, którą dzieliła z drugą prostytutką Hannah, matką dwojga dzieci.

– Ach tak? Myślicie, że coś takiego zaszła? Wtedy sobie poradzi, tak? Jak miło jest udawać, że jest inaczej niż naprawdę...

Lizzie dawno nie myślała o dwójce dzieci Hannah, o Tobym i Laurze, ale teraz niemal czuła, jak drobne ciała dzieci tulą się do niej... Jak wtedy, przed laty, kiedy nocami zakradały się do niej przemarznięte i wystraszone. A Hannah chichotała z kochankiem na swoim łóżku. Jak ten typ się nazywał? Laurence czy Lucius? A może najpierw był Laurence, a potem Lucius? A Hannah ciągle mówiła o miłości. Tylko nie wtedy, kiedy chodziło o Toby’ego i o Laurę. *Lizzie, jesteśmy głodni... Przyniesiesz coś do jedzenia?* Lizzie znów usłyszała głosy dzieci i ich płacz. Co też się z nimi stało, kiedy ją zesłano do Australii – tylko dlatego, że ukradła chleb, aby te dzieci nakarmić? A Hannah nawet nie stanęła w jej obronie. Wręcz przeciwnie, udawała w sądzie wraz z Lucysem i dziećmi, że wiodą zgodne, dostatnie życie.

– Ale istnieje przecież coś w rodzaju instynktu macierzyńskiego – odezwał się Kevin głosem lekarza.

– Tak, u kotów – zakpiła Lizzie. – U koni też, i u fok... Ale twoja Juliet będzie miała w dupie twoje dziecko. Pieniądze może weźmie, ale kto wie, co z nimi zrobi... To nie wchodzi w grę, Kevin, musisz się z nią ożenić.

– A jeśli damy jej pieniądze, aby zostawiła dziecko nam? – spytał Michael niechętnie. Nie miał ochoty na kolejne dziecko. Ani on, ani Lizzie nie byli już na tyle młodzi, aby raz jeszcze decydować się na taką przygodę.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Ona tego nie robi, Michael. To już lepiej niech się zdecyduje na aborcję.

Kevin odetchnął głęboko. W czasie jego studiów spędzenie płodu uważane było za największą zbrodnię.

– No nie patrz tak, Kevin, ona doskonale wie, że coś takiego jest, nie uważaj jej za tak naiwną! Jeśli ją rzucisz, prawdopodobnie to zrobi. A więc kolejny powód przemawiający za tym, abyś się z nią

ożeń. O ile ty rzeczywiście rozumiesz aborcję jako wielki grzech.

Kevin przycisnął rękę do skroni.

– Ale ja nie chcę! Jeśli się z nią ożenię... W ogóle nie chciałem się teraz żenić. A kobieta taka jak ona... To nigdy nie było planowane, to była zabawa. Ale teraz... Kiedy ożenię się z Juliet, moje życie będzie zmarnowane!

Lizzie i Michael nie mogli temu całkiem zaprzeczyć, nawet jeśli Michael nie traktował sprawy aż tak poważnie. Fakt, Kevin musiałby pogodzić się z tym, że nie będzie miał u swojego boku dokładnie takiej kobiety, jakiej pragnął, ale z drugiej strony – Juliet była piękną dziewczyną i wydawało się, że miała też sporo innych zalet... A pozycja społeczna Kevina też nie byłaby zagrożona. Oczywiście nie obyłoby się bez plotek i sporo osób zastanawiałoby się, co skłoniło atrakcyjnego młodego lekarza do małżeństwa z kobietą z półświatka. Ale niejedna z mieszkanek Dunedin miała za sobą gorszą przeszłość niż Juliet LaBree. Nikt nie odważyłby się zadawać niedyskretnych pytań.

– Musisz tylko uważać, żebyś miał ją stale pod kontrolą – poradził synowi Michael. – Bo ta kobieta jest w stanie cię zrujnować. Już sądząc choćby po tym, co do tej pory zgarnęła; nie zaprzeczaj, Kevin, Jimmy Dunloe wspomniał mi, że robisz dług!

– Zgodnie z tym, co mówią Claire i Kathleen, ona zostawia majątek w Lady's Goldmine – dodała Lizzie. – Musisz to ukrócić, Kevin, nawet jeśli miałyby ci to przyjść z trudnością. Uświadom jej, że lekarz nie jest właścicielem plantacji.

O pochodzeniu Juliet i o uprawie bawełny w Luizjanie mówili już wszyscy. A Kevin poczuł ulgę, kiedy Juliet przestała robić z tego tajemnicę. Przynajmniej to nie podlegało żadnej wątpliwości.

– Kiedy się z nią ożenię, będę musiał kupić dom – westchnął Kevin. Było to pierwsze żądanie Juliet, kiedy już ochłonęła z szoku po tym, jak Kevin zdiagnozował jej ciążę. Ponoć niczego nie podejrzewała i oczywiście była tak samo przerażona jak on – albo przynajmniej udawała.

– No to już się zaczyna – westchnęła Lizzie. – Ale dobrze, możemy cię jeszcze wesprzeć, jeśli chodzi o kupno domu. O ile będzie to w rozsądnych granicach. Nie myśl więc o pałacu na Upper Stuart Street. Raczej o małym domku, na przykład w Caversham...

Kevinowi kłębiły się w głowie przeróżne myśli, kiedy w końcu wyruszył od swoich rodziców w drogę do Dunedin. Siedział na koniu ciasno zawinięty w nieprzemakalny płaszcz, jechał do domu w strugach deszczu i walczył z wiatrem – oraz myślami na temat swojej przyszłości. Powinien był snuć plany, ale tak naprawdę mógł jedynie głowić się, co przyniesie przyszłość. Nie chciał żenić się z Juliet! Im dłużej o tym myślał, tym bardziej go to przerażało. Do tej pory nie tracił czasu na rozmyślenia o czymś takim jak wielka miłość. Jeśli w ogóle myślał o małżeństwie, to miał to być jakiś miły, spokojny związek z odpowiednią kobietą. Otaczająca go społeczność miała dość jasne wyobrażenia na temat małżonki lekarza. Od takiej kobiety oczekiwano społecznego zaangażowania, być może nawet pomocy w praktyce lekarskiej męża, przynajmniej jeśli chodzi o los jego pacjentów. Pożądane były też kulturalne zainteresowania; sam Kevin też nie chciał mieć u swojego boku głuptaska. Życzył sobie kobiety otwartej i zmysłowej – nowoczesnej, młodej, może po studiach... właściwie myślał o takiej dziewczynie jak Atamarie albo jej przyjaciółka – jak ona się nazywała? Juliet LaBree nie do końca pasowała do takiego obrazu, choć co prawda Kevin nie mógł jej odmówić umiejętności choćby częściowego przystosowania. Zastanawiał się tylko, czy ona będzie tego chciała – a raczej w to wątpił. W czasie ostatnich tygodni kłócili się często o takie błahostki jak to, czy ta albo inna okazja naprawdę wymaga kolejnej sukni, czy nowy powóz ma być zwykłym „wozem lekarskim” czy też czymś bardziej reprezentacyjnym, co będzie się nadawało także na weekendowe wyjazdy. A teraz jeszcze miał jej w dodatku uświadomić, że jego rodzice być może sfinansują im kupno domku w Caversham, ale z pewnością nie domu w mieście, w którym znajdował się jego gabinet i mieszkanie. Ten dom właśnie

został wystawiony na sprzedaż i Juliet poruszyła to natychmiast, kiedy tylko dowiedziała się o swojej ciąży. Kevin nie obawiał się małżeństwa z niezbyt kochaną kobietą, ale przerażała go perspektywa ciągłych kłótni, które go czekały. A to będzie chodziło o dom, o jego urządzenie, o służących... Dotychczas Kevin miał tylko dochodzącą kobietę, która utrzymywała jego mieszkanie w czystości, ale Juliet z pewnością nie będzie chciała sama gotować ani też opiekować się dzieckiem. Nie docierały do niej rozsądne argumenty. Już teraz zdarzały się łzy i krzyki – Juliet zarzuciła mu wprost, że zmarnował jej życie, robiąc jej dziecko. I poczynając od tego, będzie wysuwała coraz więcej żądań – Kevina przerażało to już teraz. Do tego dochodziła jeszcze jej niefrasobliwość, Kevin w czasie ostatnich tygodni zaczął już trochę powątpiewać w wierność Juliet. Czy będzie musiał to robić całe życie? Kevin pod wieloma względami przypominał swojego ojca. Obaj byli szarmanccy, choć czasami sprawiali wrażenie ludzi beztrudnych, którzy woleli ominąć trudności, niż się z nimi uporać. Nie znaczyło to jednak, że nie byli godni zaufania – wręcz przeciwnie. Michael trwał latami przy swojej pierwszej miłości, a Kevin pilnie studiował i uparcie dążył do zdobycia upragnionego zawodu. I mając rozliczne zainteresowania, był też doskonałym lekarzem. Ale o ile Michael zawsze potrzebował Lizzie, aby uporać się ze swoimi problemami, to Kevin nigdy nie stanął wobec konieczności konfrontacji z przeciwnościami losu. Lizzie i Michael sfinansowali mu studia, a on szybko odnalazł się w społeczeństwie Dunedin – Kevin dotychczas nie musiał o nic walczyć. I w czasie tej długiej deprymującej jazdy w deszczu uświadomił sobie, że nie chciał, aby w przyszłości było inaczej. Ani też nie był w stanie o cokolwiek walczyć. A już zwłaszcza we własnym domu i z własną żoną.

Deszcz przestał padać dopiero wtedy, kiedy Kevin dotarł do Dunedin. Humor poprawił mu się nieco, kiedy mijał Caversham. Właściwie była to całkiem miła dzielnica, ta parafia wielebnego Burtona. Kevin nie miałby nic przeciwko temu, gdyby tu właśnie znajdował się jego gabinet – a śliczna przyjaciółka Atamarie też miałaby bliżej, gdyby któreś z jej dzieci w szkole dostało krwotoku z nosa... Kevin prawie się uśmiechnął wobec tej myśli, ale potem wyobraził sobie Juliet w jednym z tych domków, w czasie gotowania albo pracy w ogrodzie... nie, to było wprost nie do pomyślenia. Tej wojny nie będzie toczył. Ale może jakąś inną.

Przemknęła mu przez głowę ta niedorzeczna myśl, kiedy mijał ponurą budowlę ozdobioną przy wejściu flagami Anglii i Nowej Zelandii: BIURO REKRUTACYJNE W DUNEDIN. Mimo złej pogody przed wejściem czekało trzech mężczyzn, biuro zapewne nie było jeszcze otwarte. Kevin pozdrowił ich krótko, przejeżdżając obok. Ale potem zatrzymał konia.

– Ochotnicy na wojnę na Przylądku Dobrej Nadziei? – spytał.

Mężczyźni – ich prosta odzież i kraciaste kaszkiety świadczyły, że byli to synowie robotników – uśmiechnęli się wesoło i zasalutowali.

– Tak jest, sir!

– Jeżeli nas przyjmą... – dodał jeden z nich.

Kevin przypomniał sobie szybko, co wiedział o najnowszych wydarzeniach wojny burskiej. Działania wojenne rozpoczęły się dwunastego października, ale Nowa Zelandia już po poruszającej mowie premiera rozpoczęła rekrutację ochotników. I wkrótce dwustu piętnastu ochotników mogło wyruszyć na wojnę, kiedy ministerstwo obrony dzięki swym wysiłkom zdoła skompletować dla nich odpowiednie wyposażenie, wozy konieczne do sformowania taboru i konie. I w końcu Nowa Zelandia zaczęła ścigać się na oceanie z Australią – oba kraje chciały śpieszyć jako pierwsze na pomoc Anglikom na Przylądku Dobrej Nadziei. Nowa Zelandia wyprzedziła Australię niemal o włos: dwudziestego trzeciego listopada do Kapsztadu dotarły pierwsze statki. Przybyłe na nich oddziały zostały natychmiast wysłane na północ i walczyły po raz pierwszy już w początkach grudnia. I od tej chwili trzymały się dzielnie mimo ciężkich potyczek. A teraz, kiedy przyłynęli pierwsi ochotnicy z Wyspy

Północnej, także Wyspa Południowa organizowała kontyngenty wojska. W najbliższych dniach z portu w Lyttelton miał wyruszyć pierwszy statek transportowy wiozący regiment wojska sformowany dzięki datkom bogatych mieszkańców Christchurch. Miasto Dunedin nie chciało być gorsze i także tu werbowano ochotników.

W biurze rekrutacyjnym dało się dostrzec jakiś ruch, ktoś podniósł żaluzje w oknie i chwilę potem otworzyły się drzwi. Kevin nie zastanawiał się długo. Może był to szalony pomysł: uciekać przed „wojną domową” na prawdziwą wojnę – ale w tej chwili było to też jego jedyne wyjście. Poza rodzicami nikt nie wiedział o jego ojcostwie – Juliet mogła udawać, że zauważy ciążę dopiero wtedy, kiedy jego już nie będzie. Kevin nie będzie uchodził za łotra, który ją porzucił. A Juliet – no cóż, narzeczonej żołnierza społeczeństwo z pewnością prędzej wybaczy błąd niż kurtyzanie. I wszyscy zaczną patrzeć, czy ona będzie wiernie na niego czekać, czy też znajdzie innego ojca dla dziecka. Kevin w każdym razie nie chciał się nad tym zastanawiać. Zdecydowanym ruchem zsiadł z konia i wszedł do biura rekrutacyjnego.

ROZDZIAŁ 6

Powołanie Kevina do Otago Mounted Rifles przebiegło zaskakująco prosto. Kiedy tylko młody medyk wymienił swój zawód, oczy oficera przyjmującego rekrutów rozbliły.

– Lekarzy potrzebujemy zawsze! – oświadczył uradowany oficer. – A może przypadkiem umie pan też strzelać?

Kevin uniósł brwi.

– Wychowałem się na farmie owczej, sir – odpowiedział spokojnie. – Tam każdy umie strzelać.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu nie byłoby to prawdą, bo wówczas prawie żaden pasterz maoryski czy też *pakeha* nie nosił broni. Nie istniała taka konieczność, bo prawie wcale nie było złodziei bydła, a jeśli nawet się tacy trafiali, to nie na tyle głupi, aby wdawać się w zbrojne potyczki, prawie wcale nie było też zwierzyny łownej. Przed przybyciem białych Nowej Zelandii nie zamieszkiwały żadne ssaki oprócz maoryskich psów i pewnego gatunku nietoperzy. Ptaki żyjące na wyżynach były na tyle powolne, że chwytało je w pułapki bądź za dnia po prostu zbierano śpiące osobniki należące do aktywnych nocą gatunków. Ale potem któryś statek przywiózł na Wyspę Południową pierwsze króliki, a te z powodu braku naturalnych wrogów szybko stały się istną plagą. Mięso królików najpierw weszło w skład jadłospisu każdej farmy, a później także każdej maoryskiej wsi – i każdy ośmio- czy dziesięcioletni chłopiec uczył się zabijać te zwierzątka jednym strzałem.

Sierżant skinął więc głową z zadowoleniem i spytał pełen nadziei:

– Jazda konna?

Kevin się roześmiał i wskazał na stojącego pod oknem długonogiego siwka.

– Mój koń także melduje się do służby.

Podpisanie koniecznych dokumentów było już tylko czystą formalnością. Mounted Rifles grupowali się w obozie koło Waikouaiti, gdzie otrzymywali umundurowanie – Kevin uśmiechał się do siebie w duchu, bo były to mundury typu khaki. Przynajmniej jego ojciec Michael nie będzie mógł mu zarzucić, że jego syn został jedną ze znienawidzonych w Irlandii „czerwonych spódnic”, jak nazywano wówczas angielskie wojsko. Nowoczesna wojna wymagała stroju kamuflażowego i Kevin z zaskoczeniem stwierdził, że w nowych, mało twarzowych kurtkach i spodniach rzeczywiście można było niemal stopić się z otoczeniem. A wreszcie mężczyźni poddawano podstawowemu, bardzo pobieżnemu szkoleniu, pod koniec którego rekruci sami wybierali spośród siebie oficerów. Była to zwyczajowa praktyka w oddziałach ochotniczych. Kevin, świeżo upieczony lekarz sztabowy, natychmiast awansował na kapitana. Potem zaś wszyscy bardzo szybko wyruszyli na statek – między zgłoszeniem Kevina i zaokrętowaniem upłynęły niecałe trzy tygodnie. Młody mężczyzna i tak siedział jak na rozżarzonych węglach. Tylko na krótko wrócił do swojego mieszkania, aby zabrać kilka osobistych rzeczy i porozmawiać ze współnikiem. Tu Kevin okazał się bardzo wielkoduszny. Christian mógł w całości przejąć praktykę – jeśli Kevin wróci z tej wojny, to i tak zacznie wszystko od początku. Jedynym warunkiem, który postawił Kevin, było milczenie przyjaciela.

– Napiszę do mojej rodziny, kiedy będę na morzu, nie martw się. Ale teraz... ja... nie chcę dyskutować na temat tej wojny. Po prostu potrzebuję... trochę czasu dla siebie.

Christian Folks się roześmiał.

– Jedziesz, że tak powiem, na wojnę, aby pobyć w samotności? Ciekawy pomysł. Ale czy naprawdę musisz jechać na koniec świata, aby uciec przed tą Juliet? Człowieku, a ja ci zazdrościłem!

Folks nie był odpowiednią „ofiara” dla Juliet. Zaraz po studiach ożenił się z przyjaciółką z młodości.

– Ona ma swoje zalety – odparł Kevin niejasno. – Ale czasami... do diabła, nie chcę o tym mówić. Trzymaj po prostu przez trzy tygodnie buzię na kłódkę, dobrze? Bez względu na to, kto cię będzie pytać. Powiedz po prostu... powiedz, że wędruję z Maorysami.

Christian popukał się wymownie w czoło.

– Maorysi wędrują latem, Kevin, a teraz jest jesień. Zresztą twoja matka i tak nigdy mi nie uwierzy. Bo z jakim szczeniem miałbyś się udać na wędrowną?

Lizzie i Michael mieszkali w bezpośrednim sąsiedztwie szczepu Ngai Tahu, a Kevin i Patrick jako dzieci rzeczywiście czasami udawali się z nimi na wędrowną. Szczep z Lawrence robił to jednak rzadko, nigdy też wszyscy jego członkowie nie wyruszali w drogę. Zasadniczym powodem dłuższych wędrownych maoryskich szczepów był po prostu głód. Kiedy kończyły się zapasy zgromadzone poprzedniego roku, szczepy ruszały w góry, aby polować i łowić ryby. Jednak Ngai Tahu w Tuapeka nie musieli tego robić. Mieli swoje pole i swoją hodowlę owiec, a w najgorszych latach po prostu płukali złoto. Fakt występowania złota w rzece koło Elizabeth Station był dobrze strzeżoną tajemnicą, znaną obojgu Drurym i Ngai Tahu.

– To powiedz im coś innego, jest mi wszystko jedno. Żeby tylko zostawili mnie w spokoju!

Kevin jeszcze raz objął przyjaciela i wyszedł z gabinetu. Wcale nie czuł się nieszczęśliwy, wręcz przeciwnie, teraz zaczęła go pociągać związana z tym wszystkim przygoda.

Lizzie i Michael Drury nie dowiedzieli się więc o decyzji syna, ale z początku nie odczuwali niepokoju. Nie było nic niezwykłego w tym, że przez trzy tygodnie nie mieli od niego żadnej wiadomości.

– Musi się z tym uporać – powiedział Michael do żony, kiedy upłynął drugi tydzień, a Kevin nie dawał znaku życia.

– Przede wszystkim musi uświadomić Miss Juliet, że z narodzinami dziecka nie będzie związany prezent pod nazwą „dom w centrum Dunedin” – stwierdziła twardo Lizzie. – A to nie przyjdzie mu łatwo. On już teraz jest całkiem pod pantoflem tej dziewczyny. Mam nadzieję, że zrobi to, co mówię, i że nie przyjdzie mu do głowy coś innego...

Także Patrick nie wiedział na razie nic na temat zniknięcia brata – był właśnie w górach Otago i przeprowadzał inspekcję owiec, które pod koniec lata sprowadzano z wyżyn na farmy. Patrick doradzał hodowcom, wypowiadał się na temat skupu i sprzedaży, łagodził konflikty między niektórymi właścicielami farm, którzy za wszelką cenę chcieli zostać „owczymi baronami”, a pewnymi siebie maoryskimi pasterzami. Nieprędko miał wrócić do domu, Kevin zaś w tym czasie miał być od dawna na morzu.

I w końcu to Juliet i Roberta zaczęły się martwić nieobecnością Kevina. Roberta napisała o jego zniknięciu do Atamarie – nie odważyła się zapytać Christiana o jego kolegę, a Patricka ciągle jeszcze nie było. „Szaleję ze strachu, kiedy myślę, co mogło mu się stać” – pisała Roberta w swoim liście. Atamarie popukała się w czoło, czytając te słowa. Nawet nie była w stanie sobie wyobrazić, że coś złego mogłoby się przytrafić jej wujowi na Wyspie Południowej. A już zwłaszcza coś takiego, co mogłoby wyjaśnić jego zniknięcie. Oczywiście mógł ulec jakiemuś wypadkowi albo nawet zginąć, ale o tym dowiedziano by się w Dunedin szybko. „W każdym razie nie wyjechał nigdzie z Miss LaBree – pisała dalej Roberta. – Ją akurat widziałam niedawno, wyglądała bardzo źle”. I tu Atamarie znalazła rozwiązanie zagadki: Kevin najwyraźniej zostawił Juliet, pytanie tylko, dlaczego w tym celu musiał się ukrywać. Jednak Atamarie nie martwiła się zbyt długo. Kevin na pewno wkrótce się pojawi, napisała do Roberty. A jeśli Roberta będzie mieć szczęście, to do tego czasu zniknie Juliet.

Juliet wprawdzie szalała z wściekłości, ale także nie martwiła się zbyt długo. Nie sądziła, żeby jej przyjaciel zostawił swoją praktykę w Dunedin, gabinet i mieszkanie po to tylko, aby zacząć wszystko

od nowa gdzie indziej. W końcu przecież nie zabrał swoich rzeczy ani też nie zlikwidował konta, bank cały czas udzielał jej kredytu na jego nazwisko. Jej zdaniem Kevin najprawdopodobniej potrzebował trochę czasu, aby się uporać z nową sytuacją. Juliet miała tylko nadzieję, że nie będzie to trwało zbyt długo. Nie chciała przecież stanąć przed księdzem z dużym brzuchem.

Kiedy wreszcie dostała list Kevina, poczuła się tak, jakby spadła z różowych obłoków wprost na ziemię. Rozwścieczona wrzuciła kilka rzeczy do walizki i w pierwszej chwili chciała wynająć dorożkę. Po chwili zastanowienia stwierdziła jednak, że nie może sobie pozwolić na podróż do Lawrence wynajętą dorożką z woźnicą. Ruszyła więc do małego domu w Caversham, który wynajmował Patrick. Dom stał już prawie na wsi, a przede wszystkim należała do niego duża stajnia – Patrick miał trzy konie: żaden nie był rasowy, jak koń Kevina, ale były to dwa konie nadające się do długiej jazdy i potomek jednego z nich. Ten ostatni był właśnie w stajni, dwa pozostałe Patrick zabrał ze sobą.

Juliet miała szczęście i trafiła na chłopaka, który zajmował się końmi w czasie nieobecności Patricka. Był to mały rudowłosy Irlandczyk, który z pewnością umiał powozić dorożką. I oczywiście od razu uległ wdziękowi Juliet. Choć co prawda sceptycznie odniósł się do jej pomysłu.

– Tak, wiem, że jest pani znajomą Mr Patricka. To znaczy...

– ...narzeczoną jego brata – dokończyła Juliet. – Ale Mr Drury wyjechał, a ja muszę natychmiast porozmawiać z jego rodzicami. Poprosiłabym Patricka, żeby mnie tam zawiózł, ale go nie ma. A więc proszę, zrób mi tę przysługę i zaprzęgnij tego konia. Ja... to znaczy państwo Drury ci zapłacą.

Chłopak zagryzł wargi. Wyraźnie się wahał.

– Ale ten koń jest jeszcze bardzo młody, a to dość daleka podróż. Muszę dać znać mojej matce. I nie wiem, czy Mr Patrick będzie zadowolony...

– Mr Patrick na pewno będzie się cieszył, że może mi pomóc – oświadczyła dumnie Juliet. – A koło twoich rodziców będziemy przejeżdżać. Dobry Boże, no nie rób z tego takiego problemu! Zaprowadzisz konia z jednej stajni Drurych do drugiej i w drodze nikt nie porwie ani ciebie, ani też tej chabety! Zaprzęgnij więc konia i jedziemy.

Chłopiec imieniem Randy ustąpił w końcu, ale podróż do Elizabeth Station trwała niemożliwie długo. Randy bardzo się obawiał i nie chciał przeciążać młodej klaczy, która szła stępą całymi godzinami. A przecież droga była naprawdę dobra i można była jechać co najmniej klusem, nawet mimo tego, że znowu padał deszcz. Juliet denerwowała się coraz bardziej. Czy w tym kraju stale padał deszcz?

– To są łzy maoryskiej bogini – stwierdził Randy, kiedy powiedziała to głośno. – To naprawdę zabawne, ale Maorysi twierdzą, że na początku ziemia i niebo były parą. Bóstwo nieba nazywało się Rangi, a ziemi – Papa. Ale potem oni musieli się rozstać i dlatego Rangi płacze niemal codziennie.

Juliet wzniosła oczy do nieba.

– Opanuj się, Rangi – wymamrotała. – Nie tylko od ciebie uciekła kochanka i nikt z tego powodu nie beczy przez cały czas.

Rangi oczywiście nie odpowiedział i jego łzy pod postacią deszczu dalej bębniły o dach bryczki Patricka. Elegancki, ale cienki płaszcz Juliet przemókł już i dziewczyna się denerwowała, że nie zmusiła chłopaka do zaprzęgnięcia większego wozu. Randy twierdził, że do drugiego wozu trzeba byłoby zaprząć dwa konie – ale Juliet było to obojętne. Niechętnie przebiegła oczami krótki list, w którym Kevin wyjaśniał jej przyczyny swojego zniknięcia. Sprawy ich małżeństwa nie poruszał w ogóle, zamiast tego pisał o patriotycznym obowiązku. Kompletna bzdura, dotychczas nigdy nie okazywał jakichkolwiek sympatii w stosunku do Anglii – kraju matki Nowej Zelandii. Właśnie, bo jeśli chodzi o ten kraj – Juliet rozejrzała się po zalanym deszczem krajobrazie. Bryczka mijала właśnie dawne złotonośne pola.

– To Ściek Gabriela – powiedział Randy, który także się nudził, i wskazał na pustą, porośniętą nędzną trawą okolicę, gdzie od czasu do czasu można było dostrzec smutne resztki osiedla, które chyba składało się jedynie z drewnianych komórek. – Wszystko powoli zarasta, ale przez całe lata była tu tylko istna pustynia i błoto. Poszukiwacze złota przekopali wszystko tyle razy, że zniszczyli aż do korzeni całą roślinność.

– A czy chociaż się wzbogacili? – spytała niezbyt tym wszystkim zainteresowana Juliet.

Bo tak naprawdę znała odpowiedź, która w przypadku wszystkich złotonośnych pól była taka sama: na kilku szczęściarzy przypadają tysiące nieszczęśników, którym się nie powiodło i których egzystencja była bezpowrotnie zniszczona.

– Jeśli chodzi o rodziców Mr Patricka, to wystarczyło na farmę – odparł Randy. – Powinniśmy zaraz być na miejscu, Mr Patrick mówił, że oni mieszkają tylko kilka mil od Lawrence. Możemy zapytać w miasteczku.

W Lawrence mieszkało niewielu ludzi, którzy pamiętali jeszcze gorączkę złota. Dziś była to bardziej wieś i miejsce zaopatrzenia dla okolicznych farmerów. Jeden pub, jeden sklep z towarami mieszanymi i jedna kawiarnia – to było wszystko, ale oczywiście chyba każdy mieszkaniec wiedział, gdzie znajduje się farma Drurych. Nieliczni przechodnie, których można było spotkać mimo deszczu, zerkali z zaciekawieniem na kobietę w powozie: egzotyczna piękność, choć co prawda niezbyt praktycznie ubrana, następnego dnia z pewnością miała stać się przedmiotem licznych plotek i domysłów.

Randy popytał o farmę Drurych i skierował klacz w stronę gór – tu droga z każdą chwilą stawała coraz bardziej stroma i kręta. Koń był wyraźnie zmęczony i szedł coraz wolniej, a Juliet czuła się niepewnie. Jak miała wrócić do miasta, jeśli koń już teraz ledwie szedł?

Krajobraz był przepiękny – mijali właśnie rzadki bukowy las pełen strumieni, małych stawów i skał. Mimo mocno zachmurzonego nieba w tle można było dostrzec zarysy gór i pokryte śniegiem wierzchołki. Juliet nie zwracała na to uwagi – była dzieckiem miasta i lubiła jego nocne życie. Choć co prawda ostatnio potrzebowała znacznie więcej snu... Może jednak ten pomysł z ciężką nie był najlepszy.

– Tam, tam jest wodospad! – zawołał w końcu Randy po niekończącej się jeździe przez serpentyny. – Zaraz powyżej niego musi być dom!

Rzeczywiście, za chwilę powyżej wodospadu i za małym stawem, do którego spadał, pojawił się dom. Solidna, surowa, ale sprawiająca miłe wrażenie budowla z drewnianych bali – Juliet była rozczarowana. Spodziewała się czegoś o wiele bardziej reprezentacyjnego, właściwie willi podobnej do tych na plantacjach w jej ojczyźnie. W końcu państwo Drury uchodzili za zamożnych. No ale może tutaj tak po prostu budowano... Juliet postanowiła się nie zniechęcać. Ci ludzie mieli jej pomóc znaleźć rozwiązanie – dla niej i dla tego przeklętego dziecka. Przy czym ona sama na razie nie miała żadnego pomysłu, jak miałoby to wyglądać.

Randy zatrzymał konia przed domem, ale wcale nie zamierzał pomóc Juliet wysiąść z powozu, tylko natychmiast pobiegł do drzwi i zastukał w nie energicznie. Odczuwał chyba pilną potrzebę znalezienia się w suchym miejscu – podobnie jak jego koń. Ale w domu już ich zauważono. Drzwi otworzył Michael Drury – był ubrany w wytarte dżinsy i koszulę w kratę, jaką zwykle noszą drwale; nie wyglądał tak dystyngowanie jak ostatnio w czasie kolacji u państwa Dunloe.

– A co to takiego... w taką pogodę... Patrick? – Pierwsze spojrzenie Michaela padło na małą klacz, którą natychmiast rozpoznał. – Dobry Boże, przecież to Lady! Czy to nie za długa droga dla niej?

Lizzie, która pojawiła się tuż za nim, zobaczyła za to chłopca i natychmiast zbladła.

– Czy coś się stało Patrickowi? – spytała przerażona. – Ty przecież jesteś jego chłopcem stajennym. Co... co ty tu robisz?

Randy uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Nie, nie, wszystko w porządku, Mrs Drury. Patrick jest jeszcze w drodze. Ale lady była zdania, że to pilne, więc...

– Koń sądził, że to pilne? – zdziwiła się Lizzie, lecz wówczas dostrzegła Juliet, która właśnie niezdarnie wysiadała z bryczki. W swej modnej wąskiej spódnicy była w stanie robić tylko małe kroki.

Lizzie wyszła jej naprzeciw – i najwyraźniej wcale się nie wstydziła swej luźnej, staroświeckiej, domowej sukni. Ona także w Dunedin sprawiała o wiele bardziej imponujące wrażenie. Aż trudno było uwierzyć, że ta niewielka, okrągła osóbką o niedbale upiętych blond włosach była cenioną klientką Lady's Goldmine.

– Miss LaBree! – powitała gościa. – O nieba, gdzie jest Kevin? Jak mógł wysłać panią tutaj samą, jeszcze w taką pogodę!? Proszę, niechże pani wejdzie do środka. I ty też, zaraz, ty się nazywasz Randy, prawda?

Randy oświadczył, że najpierw musi zaprowadzić konia do stajni. Chłopak sprawiał wrażenie nieco skruszony po tym, jak usłyszał uwagę Michaela, że ta droga była za ciężka dla młodej klaczy. Miał nadzieję, że nie dostanie bury od Mr Patricka.

Michael zajął się w końcu i koniem, i chłopcem, a Lizzie zaprowadziła Juliet do domu. Jego wnętrze też nie było zbyt reprezentacyjne. W salonie stało wprawdzie kilka pięknych mebli, importowanych z pewnością z Anglii, ale pozostałe, a tych była większość, stanowiły proste, wykonane samodzielnie stoły i krzesła.

Lizzie chciała wziąć od Juliet płaszcz, ale ona nie czekała z tym, co miała do powiedzenia, i od razu przeszła do sedna.

– Ach tak, nie wie pani, gdzie jest Kevin? Czy coś takiego mogło umknąć pani uwadze?

Juliet bez niczyjej pomocy zdjęła płaszcz, rzuciwszy najpierw na stół pognieciony list Kevina. Lizzie chwyciła kartkę, rozprostowała ją i przebiegła oczami kilka linijek. Znów zbladła, walcząc tym razem z atakiem prawdziwej paniki. Kevin wyruszył na wojnę, będą do niego strzelali... Lizzie osunęła się na stojące obok krzesło. Ale Juliet w ogóle nie dostrzegała jej przerażenia.

– Czy to był pani pomysł? – spytała ostro.

Lizzie spojrzała na młodą kobietę i z trudem powstrzymała histeryczny śmiech.

– To tyle w temacie „instynkt macierzyński” – odparła, mając w pamięci niedawne słowa Michaela. – Gdyby posiadała go pani choćby odrobinę, to wiedziałyby pani, że żadna normalna kobieta nie wysyła syna na wojnę! Nawet jeśli w ten sposób miałby uciec przed weselem! Co za głupi chłopak... Jeśli go zastrzelą...

Lizzie nerwowym ruchem zebrała niedbale upięte włosy, jeszcze bardziej rujnując fryzurę. Juliet, patrząc na nią, uniosła brwi. Jak ta kobieta mogła się tak zaniedbywać?

– On jest lekarzem sztabowym – odpowiedziała spokojnie. – Nikt nie będzie do niego strzelać – o Kevina się nie martwię.

Lizzie spojrzała na nią z wściekłością. Jej własnych trosk wystarczyłoby spokojnie na dwie osoby. Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, do salonu wszedł Michael – Randy zapewne został z koniem w stajni.

– Miss LaBree... – Michael przypomniał sobie o dobrych manierach, a całowanie ręki pięknej przyjaciółki jego syna sprawiło mu wyraźną przyjemność. – Co panią do nas sprowadza?

– To! – powiedziała twardo Lizzie i wręczyła mu list Kevina. – Zakładam, że coś podobnego czeka na nas na poczcie. Chyba nie doceniliśmy problemów Kevina. Sądziłam, że to tylko zwykła panika przed zapadnięciem kłamki. Ale to znaczy, że on woli dać się zastrzelić, niż ożenić z tą lady... – Wskazała na Juliet.

Michael także spowaźniał, czytając list. Ale opanował się znacznie szybciej niż jego żona.

– Niezbyt to pochlebne dla pani, Miss Juliet – uśmiechnął się. – Ale mimo to... nie denerwuj się, Lizzie, on jest lekarzem. Będzie pracował w szpitalu, przy odrobinie szczęścia daleko poza linią frontu. Teraz rodzi się pytanie, co zrobimy z tym jego, hm, „spadkiem”...

– Nie mów tak... – mruknęła Lizzie.

Juliet położyła rękę na swoim brzuchu.

– A więc o tym przynajmniej państwo wiecie... – powiedziała gorzko.

Michael skinął głową.

– Kevin powiedział nam, że będzie ojcem – oznajmił młodej kobiecie. – I poradziliśmy mu, aby ożenił się z panią. Ale jak widać, wybrał inne rozwiązanie, chcąc zapewne przesunąć problem na później. Co pani zamierza zrobić, Miss LaBree?

Juliet wzruszyła ramionami.

– Jestem zupełnie bez środków – oświadczyła krótko. – Byłam zdana na Kevina...

– Kevin zapewne otrzyma żołąd – stwierdził spokojnie Michael. – I z pewnością przekaże pani i dziecku jakieś pieniądze, będzie więc pani mogła wieść skromne życie. I kiedy wróci...

– Ja mam... Ja mam sama wychowywać to dziecko... w Dunedin? Bez ojca? – Juliet patrzyła na niego skonsternowana.

– Może pani przecież dowodzić, że Kevin ożeniłby się z panią, gdyby wiedział o mającym przyjść na świat potomku. Trzeba przyznać, Lizzie, że sprytnie to ukartował...

Michael mrugnął do żony, której panika nieco zelżała. Lizzie zaczęła powoli myśleć. Michael – i ta impertynencka Juliet – mieli rację. Kevin jako lekarz był bezpieczny, a ta wojna... Anglia wysłała sto tysięcy żołnierzy przeciwko garstce krnąbrnych wieśniaków. Nie dojdzie więc do wielkiego przelewu krwi – a przynajmniej nie po stronie Brytyjczyków.

– Przestań, Michael – przerwała, nie pozwalając mu dokończyć zdania. – Mogę zrozumieć, że Miss LaBree niechętnie będzie znosić ciekawskie spojrzenia obywateli Dunedin. Mam więc inną propozycję, Miss Juliet: może pani zamieszkać tutaj, na Elizabeth Station, i tu urodzić dziecko. Ta wojna nie będzie długo trwała – możliwe, że się skończy, zanim Kevin wróci do domu. Wobec takiej przewagi Anglików...

Michael, który nie mógł odmówić sobie przyjemności dokuczenia Juliet, zmarszczył czoło.

– Jeśli chodzi o Irlandczyków, to też wysłali przeciwko nam przeważające siły! – oświadczył z dumą. – A mimo to latami stawialiśmy im opór, my...

Lizzie machnęła lekceważąco ręką.

– Nie wysłali oddziałów zmobilizowanych z połowy imperium – powiedziała krótko. – I wybacz, kochany, ale Brytyjczykom łatwiej przyszło się uporać z kilkoma bimbrownikami w górach niż teraz, kiedy będą musieli walczyć w kraju pełnym religijnych fanatyków, do których należą niemal wszystkie kopalnie złota i diamentów. A zgodnie z tym, co mówią, to nawet Church of Scotland jest liberalny w porównaniu z tymi Burami. Oni ponoć są gotowi zamykać te kopalnie, bo bogacenie się bez ciężkiej pracy na polach nie podoba się Bogu. A Anglia nie będzie tego ryzykować.

Słowna potyczka między Lizzie a Michaeliem umożliwiła Juliet ochłonięcie. Chciała coś powiedzieć, ale, co zdarzało się rzadko, nie była w stanie nic wymyślić. Zostać tutaj? Całe miesiące na tym pustkowiu...

– Co pani na to, Miss Juliet? – Lizzie w końcu zwróciła się do swojego gościa.

Juliet machinalnie bawiła się obszyciem swojego żakietu.

– Tutaj? Ale przecież tu nie można rodzić dziecka... bez lekarzy, bez akuszerki...

Lizzie się uśmiechnęła.

– Troje moich dzieci przyszło na świat właśnie tutaj. Kilka mil stąd leży maoryska wieś, a ich akuszerka jest doskonała, o wiele lepsza niż każda *pakeha*...

Juliet popatrzyła na nią z przerażeniem. Widziała wszystko w coraz gorszych barwach: całkowita, trwająca wiele miesięcy izolacja wraz z Lizzie i Michaeliem, a jeszcze w dodatku tubylcy...

– Kevin będzie mógł panią potem zabrać, kiedy tylko wróci – mówiła dalej Lizzie. Już w trakcie tego sama zaczęła dostrzegać jakieś szanse dla niekonwencjonalnego rozwiązania sprawy przez Kevina. Juliet zostanie może na Elizabeth Station do chwili narodzin dziecka. Ale z pewnością ani miesiąca dłużej. Potem będzie mogła zająć się dzieckiem. Z pewnością nie będzie to szczyt jej marzeń, ale może tymczasem pojawią się inne możliwości. Na przykład Matariki i Kupe nie mieli dzieci i może podejmą się wychowania bratanicy czy też bratanka w Parihaka. Lizzie bezlitośnie mierzyła spojrzeniem młodą kobietę, która walczyła z ogarniającym ją uczuciem rozpacz. Juliet na Elizabeth Station już po kilku dniach będzie się czuła jak w więzieniu.

– Może to pani przemyśleć – dodała Lizzie. – Przecież nie musi pani od razu tutaj zostawać.

Lizzie uważała za całkiem możliwe, że Juliet znajdzie w Dunedin jakieś nieładne i zabronione, ale ostateczne rozwiązanie swego problemu. Lizzie nie była tak negatywnie nastawiona do kwestii aborcji jak jej syn czy też wychowany w surowej katolickiej tradycji Michael. W jej dawnym rzemiośle cień kobiety produkującej aniołki unosił się nad każdą z dziewcząt. A dla niektórych dzieci – Lizzie pomyślała o Tobym i Laurze – byłoby lepiej, gdyby się nigdy nie urodziły.

Michael najwyraźniej walczył z tą samą myślą, choć podchodził do tej sprawy nieco inaczej.

– Nonsens, Lizzie, Juliet... Będę panią nazywał po prostu Juliet, Miss LaBree, dobrze? Oczywiście, że zostanie pani od razu tutaj, nie pozwolimy pani jechać z powrotem, zwłaszcza w tym deszczu, samej, tylko w towarzystwie Randy'ego... nie, nie, to w ogóle nie wchodzi w grę.

Odwrócił się do Juliet i zdołał się nawet dość ciepło uśmiechnąć.

– Głowa do góry, młoda damo! Urodzi pani tutaj swoje dziecko, a kiedy Kevin wróci, co z pewnością nastąpi niedługo, to będzie mógł panią poślubić.

Jeszcze gdy mówił te słowa, otworzyły się drzwi wejściowe, na co nikt nie zareagował. Bo przecież mógł to być Randy, który już oporządził konia w stajni. Jednak zamiast chłopca do salonu wszedł wysoki mężczyzna w bryczesach i nieprzemakalnym płaszczu i zdjął z głowy ociekający wodą kapelusz. Patrick Drury przejeżdżał w drodze z Otago do Dunedin w pobliżu Lawrence i z powodu fatalnej pogody postanowił przenocować u rodziców. Ku swemu zaskoczeniu w stajni zastał Lady – i Randy'ego.

Teraz zaś stał w salonie i patrzył to na matkę, to na ojca. Woda spływała z jego płaszcza – Patrick nerwowo przyglądał mokre włosy.

– Kevin nie będzie musiał tego robić – powiedział spokojnie Patrick. – Skoro uciekł gdzie pieprz rośnie, to niech tam zostanie. Ja się ożenię z Miss LaBree!

ROZDZIAŁ 7

Geodezyjne pomiary gruntów nie należały do ulubionych przedmiotów Atamarie. Jednak były one ważną częścią kursu inżynierii i miały w Nowej Zelandii duże znaczenie. Ciągle jeszcze tylko niektóre części kraju były pomierzone i opisane – wielu absolwentów jej kierunku mogłoby prawdopodobnie spędzić całe swoje życie na kartografowaniu i z pewnością byłiby z tego zadowoleni. Lecz Atamarie dosłownie i w przenośni mierzyła wyżej – wciąż fascynowało ją przede wszystkim lotnictwo. Niezbyt chętnie poświęcała się więc pomiarom gruntów i koniecznym obliczeniom, choć mimo to nawet i tu odnosiła sukcesy. Jak z każdego przedmiotu, także z geodezji miała znacznie lepsze oceny od pozostałych studentów. I tym razem jej zaangażowanie wreszcie się opłaciło: jesienią 1900 roku profesor Dobbins przygotował szczególną niespodziankę dla swoich najpilniejszych studentów.

– Wyobraźcie sobie państwo, że jeszcze w tym roku zostanie utworzony kolejny park narodowy! – oświadczył któregoś dnia grupie Atamarie. – Mówiąc dokładnie, na Wyspie Północnej, koło Mount Egmont.

Atamarie nadstawiła uszu. W pobliżu Mount Egmont znajdowała się też wieś Parihaka. Choć co prawda ona sama знаła tę górę pod maoryską nazwą Mount Taranaki. Nazwę Mount Egmont nadał jej kapitan James Cook, który oczywiście nie zadał sobie trudu, aby zapytać krajowców o miejscową nazwę imponującego wulkanu.

– Zanim to jednak nastąpi, trzeba wykonać liczne prace pomiarowe – kontynuował profesor. – I oczywiście państwo nie chce na to wydawać zbyt dużo pieniędzy. Dlatego zwrócono się do uniwersytetów, zwłaszcza do naszego, jako jednego z najlepszych.

Studenci, chcąc wyrazić uznanie, zaczęli stukać o pulpity ławek, co Dobbins skwitował głośnym śmiechem.

– No, chętnie zgodzę się z tą opinią, zwłaszcza że upoważnia mnie ona do tego, aby wyciągnąć w teren moich najlepszych studentów. Organizujemy kilkutygodniową ekspedycję w celu dokonania pomiarów gruntów na dotychczas nieopisanych terenach. Tam na górze panuje... – Zaczął kartkować swoje notatki.

Wówczas zgłosiła się Atamarie.

– Na samej górze prawie nic nie rośnie – oświadczyła. – I przeważnie leży tam śnieg. Pomiary będą utrudnione z powodu nastromienia terenu i trzeba będzie się wspinać. Wokół Taranaki rosną lasy deszczowe. Deszcz pada tam stale i jest to jeden z najbardziej wilgotnych terenów w kraju. – Uśmiechnęła się, po czym dokończyła: – Maorysi mawiają, że Rangi płacze z powodu kłótni bogów...

Dobbins zmarszczył czoło.

– Jakich bogów, Miss Turei? Coś mi się zdaje, że pani dobrze się na tym zna. Była tam pani kiedyś?

Atamarie oświadczyła, że raz już nawet weszła na sam szczyt góry, razem z pewną *tohunga*, która opowiadała dzieciom ze wsi Parihaka baśń o nieszczęśliwie zakochanym wulkanie i wykonała parę obrzędów koniecznych do tego, aby między bogami zapanował pokój.

– A wokół deszczowego lasu znajdują się tereny rolnicze – mówiła dalej. – I to bardzo urodzajne, bo to przecież ziemia powulkaniczna. Ale znowu z jej powodu dochodzi do licznych sporów i konfliktów. Może być tak, że farmerzy *pakeha* będą nam robili trudności, jeśli zabierzemy się za pomiary. A w każdym razie na pewno niczego nie oddadzą.

Dobbins się uśmiechnął.

– To bardzo cenne wyjaśnienia, Miss Turei, dziękuję. I cieszy mnie to szczególnie, bo zdecydowałem się umożliwić pani uczestnictwo w tej ekspedycji. Oczywiście pojedzie pani tylko

wtedy, jeśli będzie pani miała ochotę i jeśli zezwoli na to pani rodzice. Oprócz pani będą tam tylko studenci ze starszych roczników. W pani wypadku zastanawialiśmy się... – profesor przerwał. Z pewnością nie było wskazane poruszać teraz kwestię płci. Już od dłuższego czasu zastanawiał się nad tym i dyskutował też ze swoimi kolegami, czy będzie można zaakceptować pomysł wysłania na ekspedycję jedynej dziewczyny z grupą studentów płci męskiej. Ale wreszcie profesor doszedł do wniosku, że obchodzi go jedynie naukowe wykształcenie Atamarie, a nie obrona jej cnoty. Dziewczyna, względnie jej rodzice, muszą sami zdecydować, czy zezwolić jej na podróż bez przyzwoitki.

– Ale skoro pani w dodatku tak dobrze zna tę okolicę...

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Bardzo chętnie pojedę! Jeśli jednak rzeczywiście szuka pan kogoś, kto zna te tereny naprawdę dobrze, to proszę zapytać w Parihaka. Maorysi osiedlają się od siedmiuset lat wokół Mount Taranaki i znają okolicę jak własną kieszeń.

– I może zamordują panią, strzelając z tyłu, kiedy ustawi pani na świętej górze drążek pomiarowy – roześmiał się szyderczo jeden ze studentów.

Atamarie popatrzyła na niego z nieukrywaną złością, ale pomyślała, że być może przemawia przez niego zawiść. Ten student zapewne też chciałby pojechać.

– Maorysi popierają tworzenie parków narodowych – przyszedł jej z pomocą Dobbins. – Miss Turei ma rację. Jeśli napotkamy na opór, to wyłącznie ze strony miejscowych farmerów. Ale pomiary nie będą robione na ich ziemi. Interesuje nas rzeczywiście powierzchnia wokół Mount Egmont. To dobra okazja, aby powtórzyć pomiary terenów mających formę koła. Mr Porter, proszę nam opowiedzieć, co pan o tym wie...

Atamarie wiedziała, że jesień nie była najlepszą porą na badanie okolicy Mount Taranaki, nie mówiąc już o wchodzeniu na szczyt. W wyższych partiach góry mógł już padać śnieg, a poza tym szczyt spowijała gruba warstwa chmur. W lesie poniżej góry zapewne nikt nie zmarznie, ale Atamarie liczyła się z tym, że będą to trzy bardzo mokre tygodnie. Jeśli chodzi o zezwolenie rodziców, to nie zawracała sobie tym głowy. Pojęcie przyzwoitki nie istniało w maoryskim słowniku, a jej dziadkowie także byli przyzwyczajeni do samodzielnych młodych kobiet. Lizzie martwiła się tylko o to, czy namiot Atamarie był szczelny, a śpiwór dostatecznie ciepły, Matariki zaś w ogóle nie traciła czasu na takie rozmyślenia, lecz zaprosiła od razu cały korpus ekspedycyjny do Parihaka, gdzie studenci mogliby założyć stację badawczą. I tylko kłopoty związane z porą roku mogły zatrzymać lub opóźnić Dobbinsa i jego studentów w drodze. Wprawdzie większą część drogi mieli pokonać pociągiem, jadąc do Blenheim, ale podróż promem na Wyspę Północną o tej porze roku okazała się bardziej niespokojna niż zwykle. Atamarie nie bez złośliwej radości obserwowała, jak jej koledzy ze studiów z zielonymi twarzami wisieli za relingiem. Jedynie pewien młody mężczyzna był równie dzielny jak ona, może dlatego, że bardziej interesowała go technika napędu statku parowego niż stan własnego żołądka.

– Kołysanie statku można byłoby właściwie wyrównać – powiedział wreszcie do niezbyt tym zainteresowanego, bo bardzo cierpiącego z powodu choroby morskiej Dobbinsa. – I to jedynie za pomocą stabilizatorów. Na przykład montując z boku statku coś w rodzaju tratw...

– I wystarczyłoby, gdyby przynajmniej pomieszczenia dla pasażerów nie podlegały takiemu kołysaniu. Można by je zamontować tak, aby się obracały i dzięki temu były stale w pozycji horyzontalnej – dodała Atamarie.

– Tego już próbowano – poinformował ją młody mężczyzna. – Zrobił to Henry Bessemer w 1875 roku. Jednak to nie działało tak, jak się tego spodziewano.

Atamarie zrobiła grymas mający oznaczać rozczarowanie, o którym wiedziała, że wywierał nieodparte wrażenie na mężczyznach. Nie za bardzo ją interesowało, co myślą czy mówią inni

studenci, ale nagle poczuła, że chciałaby, aby ten młody człowiek zwrócił na nią uwagę. Ale on był pochłonięty pomysłem stabilizacji pozycji statku i spoglądał uważnie za reling, jak gdyby już szukał możliwości umocowania swoich „tratw”.

– Jeśli chodzi o stabilizatory, to patent już jest, Pearse – zauważył Dobbins, trzymając rękę przy ustach. – O Boże, im więcej pan o tym mówi, tym gorzej się czuję... Ale proszę sprawdzić w Christchurch, zdaje mi się, że to było mniej więcej dwa lata temu...

Student westchnął. Na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci.

– Nie będę mieć po temu okazji – stwierdził i odwrócił się. – Przecież już nie dostanę karty biblioteczej.

Odszedł kilka kroków dalej, jak gdyby chciał zakończyć rozmowę. Dobbinsowi najwyraźniej to odpowiadało – przechylił się właśnie za reling.

Atamarie poszła za tajemniczym studentem, którego profesor nazwał Pearse'em, i przyjrzała mu się dokładniej. Chłopak miał brązowe krótkie włosy, okrągłą twarz i wydawał się trochę starszy niż ona.

– Skończył pan już studia? – spytała go zdziwiona. – Przecież wygląda pan bardzo młodo. A może zaczął pan wcześniej niż inni?

Młody mężczyzna potrząsnął głową.

– To byłoby pięknie... Nie, ja tak naprawdę nie studiowałem. Wysłuchałem jedynie kilku wykładów, przeważnie na drugim roku, bo profesor był na tyle miły, że mi na to pozwolił. Chociaż byłem tylko pomocnikiem w laboratorium. Moi rodzice nie mogą sobie pozwolić na moje studia. Ale bądź co bądź mogłem w ten sposób spędzić kilka miesięcy w Christchurch. A teraz jeszcze ta ekspedycja... To bardzo miłe ze strony profesora, że mi to umożliwił. Instytut też płaci coś niecoś. Ale potem nie będę już miał wyjścia, muszę wracać do Temuka.

Było to małe miasteczko na północ od Timaru, leżące na wschodnim wybrzeżu Wyspy Południowej.

– Kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, dostałem w pobliżu sto akrów ziemi. A więc zostanę farmerem...

Młody mężczyzna sprawiał wrażenie wyraźnie nieszczęśliwego.

– Przykro mi – wymamrotała Atamarie. – Z powodu pana studiów. Sto akrów na Canterbury to na pewno... hm... – Nie przyszło jej do głowy właściwe słowo. Umilkła zniechęcona.

Pearse się roześmiał i spojrzał na nią.

– A więc pani także by to nie kusilo. Prawdziwa odmiana. Dziewczętom na Canterbury Plains już na samą wzmiankę o liczbie metrów kwadratowych ziemi błyszczą się oczy. Dodatkowym i bardzo właściwym określeniem byłoby słowo „płaski”. Tam okolica jest całkiem płaska. I to bardzo.

Atamarie się roześmiała. Cieszyła ją ta rozmowa, która powoli zamieniała się we flirt.

– Ja pochodzę z Otago, tam mamy o wiele więcej gór. Gdyby więc chciał się pan z rozpaczy rzucić w przepaść...

– Nie z rozpaczy – odparł mężczyzna. – Najwyżej... Ale proszę wybaczyć, nie przedstawiłem się dotychczas. Pearse, Richard Pearse.

– Atamarie Parekura Turei – odrzekła Atamarie.

Pearse skinął głową.

– Wiem. Jest pani znana w college'u. Jedyna dziewczyna i w dodatku najlepsza na roku. A jak pani sobie wyobraża to z rotacyjnymi pomieszczeniami dla pasażerów?

Atamarie z wyrazem skupienia wpatrywała się w wodę.

– Proszę o tym zapomnieć, to zbyt skomplikowane. Ale chyba lepsze byłyby duże zbiorniki, które

można by wypełnić wodą i umieścić pod pokładem. Jako przeciwwagę.

– Z boku statku! – podchwycił Pearse z zapalem. – W kształcie litery U. Wówczas woda mogłaby przepływać z jednej strony na drugą i stanowić przeciwwagę dla kołysania morskich fal.

Atamarie skinęła głową z zainteresowaniem, ale chętnie sprowadziłaby rozmowę na lżejsze tematy. Wreszcie się uśmiechnęła.

– Proszę to zgłosić jako patent! Jeśli potem każdy parowiec na świecie otrzyma to jako wyposażenie, zarobi pan niesłychane pieniądze i będzie pan mógł dalej studiować!

– Ale skąd, przecież to był pani pomysł – odparł Pearse uprzejmie. – I prawdopodobnie przyszedł już do głowy komuś innemu. Tak w każdym razie kończyły się wszystkie moje próby wynalazków. Nie mam szczęścia.

Chłopak opuścił głowę.

– Ono jeszcze nadejdzie! – Atamarie chciała poprawić mu nastrój. I wskazała na morze, gdzie na północy można już było dostrzec wybrzeże. – Proszę spojrzeć, przed nami Wellington. Za pół godziny nasi chorzy będą uzdrowieni. Nie wie pan, czy dziś ruszamy dalej?

Pearse wzruszył ramionami.

– To raczej mało prawdopodobne, zważywszy na stan większości grupy. Ale może rzeczywiście wszyscy szybko wyzdrowieją. A poza tym... tu też jest uniwersytet...

Atamarie uśmiechnęła się do niego.

– Możemy tam pójść i zapytać, czy przyznają stypendia. Ja spytam pierwsza. Bo potem oni się ucieszą, kiedy zjawi się młody mężczyzna!

Cała grupa zatrzymała się na noc w Wellington, aby uzupełnić konieczne wyposażenie, a studentów umieszczono u rodzin absolwentów. Atamarie spędziła długi i nieco męczący wieczór ze studentką medycyny o jasnych włosach i holenderskim pochodzeniu. Ani Petronella, ani jej rodzice nie widzieli jeszcze Maorysa i spodziewali się jakiejś nieokrzesej, ciemnowłosej istoty, a nie drobnej dziewczyny o blond włosach.

– Nie jest pani w ogóle wytatuowana – stwierdziła Mrs van Bommel z ulgą, ale i rozczarowaniem. – Myślałam, że przynajmniej wokół oczu...

– Jestem Maoryską tylko w jednej czwartej – powiedziała Atamarie. – A *moko* w moim szczepie robi się bardzo rzadko. I poza tym u kobiet tatuowana jest tylko okolica ust. Jako znak, że bogowie właśnie kobiecie dali oddech życia, a nie mężczyźnie.

Mrs van Bommel i jej córka były zachwycone tą opowieścią i naciskały Atamarie, aby opowiedziała im więcej legend i przekazów jej ludu. Atamarie miała co prawda nadzieję, że spotka się tego wieczoru z Dobbinssem i studentami – a przede wszystkim z Richardem Pearsem. Ale to było raczej niemożliwe, van Bommelowie nie wyobrażali sobie, że ich gość mógłby udać się nocą do Wellington, choć miasto sprawiało wrażenie bardzo prowincjonalnego. Atamarie z pewnością by się tu nie zgubiła. W czasie walki o prawa wyborcze dla kobiet mieszkała tu wiele lat ze swoją matką i знаła nawet budynek parlamentu od wewnątrz. Ale niestety także ta historia nie znalazła uznania w oczach obu pań van Bommel, które jedynie podziwiała Atamarie mimo jej „nieprawdziwego” koloru włosów i cery.

– Taki dziwny kierunek studiów dla młodej kobiety, i w dodatku jesteś zupełnie sama pośród tylu młodych mężczyzn! Że też cię to nie przeraża! Czy oni cię nie zaczepiają? Ja bym się bała...

Petronella van Bommel otrząsnęła się z niechęcią, a Atamarie w odpowiedzi przewróciła oczami.

– Wcale mnie nie zaczepiają, wręcz przeciwnie, w ogóle ze mną nie rozmawiają – oznajmiła swoim gospodyniom, ciesząc się, że przynajmniej to ostatnie od dziś nie było już prawdą. Na samą myśl o miłym uśmiechu Richarda Pearsa i jego mądrych słowach poczuła szybkie bicie serca. I teraz

cieszyła ją perspektywa ekspedycji, w której udział uważała co prawda za wielki honor, ale o tej porze roku także za uciążliwy obowiązek.

Następnego dnia ruszyli pociągiem dalej nową, częściowo jeszcze niewykończoną North Island Main Trunk Line. Atamarie usiadła koło profesora Dobbinsa i Richarda Pearse'a – tego miejsca nikt nie ośmieliłby się zakwestionować, ale z pewnością wszyscy znów będą mówić o jej kujoństwie. Mimo że dziewczyna zawsze była daleka od tego, aby się przypochlebiać profesorowi. Teraz chodziło jej wyłącznie o jego asystenta – poczuła się natychmiast jak w siódmym niebie, kiedy on uśmiechnął się do niej i posunął się, robiąc jej miejsce.

– Brakowało mi pani wczoraj, Miss Turei – powiedział Pearse. – Myślałem, że pójdzie pani z nami na kolację.

Atamarie się skrzywiła i opowiedziała o rodzinie van Bommel i zainteresowaniu, jakie jej gospodarze żywili w stosunku do kultury „tubylców”.

– Jeśli w ogóle mogłabym wyjść, to musiałabym zabrać ze sobą Petronellę – dodała. – Ale jej rodzice z pewnością by na to nie pozwolili. Dwie młode kobiety i dwunastu młodych mężczyzn to wcale nie lepsza proporcja niż jedna kobieta i dwunastu młodych mężczyzn.

Richard zastanawiał się nad czymś. Najwyraźniej dopiero teraz przyszło mu do głowy, że czymś niezwykłym dla kobiety było udać się w podróż z całym kursem studentów płci męskiej.

– A pani rodzice nie mieli nic przeciwko temu? – spytał zdziwiony. – To znaczy... ehm... nie dlatego, że miałyby pani znaleźć się w niebezpieczeństwie...

Atamarie machnęła ręką i opowiedziała o Matariki i Parihaka.

– Wśród Maorysów idea przyzwoitki jest nieznana – roześmiała się. – A moja matka odebrała wprawdzie wychowanie *pakeha*, ale mi ufa. A poza tym na uniwersytecie każdego dnia jestem wyłącznie wśród mężczyzn. Tam byłoby o wiele łatwiej spotykać się potajemnie z jednym z nich niż tutaj, gdzie ciągle jesteśmy wszyscy razem.

To oczywiście była prawda, ale nie uspokoiłaby ona żadnej troskliwej matki *pakeha* w rodzaju Mrs van Bommel. Richard przyjął te słowa bez komentarza – ale wtedy głos zabrał profesor, choć co prawda zajął się zupełnie innym tematem. Dobbins chwalił linię kolejową Wyspy Północnej i nazwał ją cudem sztuki inżynierskiej. Prowadziła ona najpierw wzdłuż Rangitikei River i profesor szczegółowo opowiadał studentom o rozlicznych problemach, na jakie napotkali budowniczowie torów kolejowych w trudnym górskim terenie, poprzerznanym licznymi wąwozami i przepaściami. Tłumacząc zasady układania podkładów kolejowych, Dobbins objaśniał różnice między budownictwem nadziemnym i podziemnym oraz opowiadał o szczegółach budowy mostów kolejowych w górach. Jednak ku jego niezadowoleniu większość studentów nie była zainteresowana – wszyscy walczyli z kolejnymi atakami mdłości. Bo rzeczywiście, jeśli trasa prowadziła przez wąskie mosty, gdzie miejsca starczało za ledwie na tory, wielu podróżnym robiło się niedobrze. Tylko Richard Pearse i Atamarie dyskutowali zażarcie o wadach i zaletach wiszących mostów i odległości między wysokimi przęsłami koniecznymi do ich budowy oraz omawiali konstrukcje mostów łukowych i kratowych. Oboje ogarnął smutek, kiedy linia kolejowa skończyła się w Palmerston. Pozostały odcinek uczestnicy ekspedycji musieli pokonać konno. Richard patrzył na wynajętego konia nieszczęśliwym wzrokiem.

– Jak długo będziemy w drodze? – spytał, ale mimo wyraźnej niechęci bardzo sprawnie zajęł miejsce w siodle.

– Mniej więcej trzy dni – odpowiedziała Atamarie, która oczywiście dobrze znała drogę. – Jeśli będziemy jechać szybko. Ale jeśli mam być szczerą... – popatrzyła na pozostałych studentów, którzy zbliżali się do swych zwierząt z dużym respektem i wyraźnymi obawami – sędzę, że potrwa to dłużej.

Rzeczywiście niektórzy studenci okazali się bardzo niezgrabnymi jeźdźcami, a jazdę spowalniał

dodatkowo wóz, na którym Dobbins wioził wszystkie przyrządy do przeprowadzania pomiarów. Wypożyczone konie też nie odpowiadały wyobrażeniom Atamarie na temat szybkich rumaków, i z tym zgadzał się Richard, który wprawdzie nie przepadał za jazdą konną, ale ponieważ wychował się na farmie, jeździł dobrze. I także bardziej odpowiadałby mu koń o większym temperamencie.

– Pańscy rodzice mają owczą farmę? – spytała Atamarie, kiedy wreszcie ruszyli po kolejnej przerwie. Profesor Dobbins przez nieuwagę wjechał wozem do dziury pełnej błota, co znów opóźniło podróż. Dobbins był z pewnością genialnym inżynierem, geodetą i konstruktorem – ale z Ben Hurem niewiele miał wspólnego. Richard śmiał się pobłaźliwie, kiedy Atamarie podzieliła się z nim tą myślą.

– Też nie jestem w tym o wiele lepszy – przyznał się. – Tak, pochodzę ze wsi, ale nie za bardzo umiem obchodzić się ze zwierzętami. Mamy więcej gruntów uprawnych niż owiec. Mój ojciec ciężko pracuje, ale nie odpowiada mu hodowla bydła. Do dziś nie wiem, dlaczego koniecznie chciał zostać farmerem, może to wynika z tradycji rodzinnej. A w Temuka mógł tanio kupić dużo ziemi. To go skusiło. W Kornwalii nigdy nie mieliśmy tyle ziemi, a jesteśmy rodziną liczną, którą trzeba wyżywić. Razem dziewięcioro dzieci...

Atamarie się zdziwiła.

– Dziewięcioro dzieci! To prawie jak drużyna rugby!

– Raczej orkiestra – śmiał się Richard. – Moi rodzice pasjonują się kulturą, a każde dziecko musiało się nauczyć gry na jakimś instrumencie. Ja na przykład gram na wiolonczeli.

Atamarie była pełna podziwu. Ona sama oprócz kilku dyletanckich prób gry na maoryskich instrumentach dętych nie miała żadnego wykształcenia muzycznego.

– Dobrze pan gra na wiolonczeli? – spytała.

Richard potrząsnął głową.

– Naprawdę dobry to ja jestem tylko z matematyki i fizyki. I z budowy maszyn – chciałbym zostać wynalazcą.

Ostatnie zdanie powiedział cicho, jak gdyby wstydził się swoich marzeń.

Atamarie była daleka od tego, aby śmiać się z Richarda.

– Przecież może pan nim zostać – powiedziała spokojnie. – Aby zgłosić patent, nie trzeba mieć skończonej szkoły wyższej. I może pan zacząć właśnie od rolnictwa – maszyny rolnicze na przykład. Tam na pewno można wiele poprawić! Albo technika holownicza.

Wskazała z uśmiechem na Dobbinsa i jednego ze studentów trzeciego roku, którzy właśnie bardzo szczegółowo, aczkolwiek teoretycznie, objaśniali problem ciągle stojącego w błocie wozu.

– Tu przecież potrzebna jest dźwignia. Chodźmy, możemy się tam przydać. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło się panu wjechać wozem w błoto, to na pewno pan wie, jak go stamtąd wydobyć.

Atamarie zaprzęła w końcu dwa dodatkowe konie do wozu za pomocą prowizorycznej upręży, Richard zaś pokazał dwóm studentom, gdzie mają włożyć dźwignię. Mężczyźni szybko podnieśli pojazd, a Richard bez trudu zmienił uszkodzone koło. Atamarie dostrzegła, że dysponował nie tylko wiedzą teoretyczną, ale też miał wyjątkowo zręczne dłonie. Były to duże, bardzo silne dłonie, które podobały się Atamarie tak samo jak jego otwarta, sympatyczna twarz i gęste, mocno kręcone włosy. Na koniec i Atamarie, i Richard byli tak samo ubrudzeni błotem, ale za to wysłuchali pochwał profesora Dobbinsa – podczas kiedy pozostali studenci patrzyli na nich coraz bardziej nieufnie. Richard chyba także był outsiderem – odnosił się do wszystkich bardzo uprzejmie, ale z nikim nie przyjaźnił się bliżej. Aż do tej chwili. I najwyraźniej nie był też żonaty, a w każdym razie nie nosił obrączki.

Atamarie jechała dalej obok Richarda, a on opowiadał jej szczegółowo o technice budowy pojazdów. Rzeczywiście miał sporo pomysłów w kwestii ulepszenia maszyn rolniczych i był najwyraźniej zachwycony, że takie umiejętności przypisywała mu Atamarie. Dziewczyna miała

wrażenie, że dzień przeminął jak jedna chwila, mimo uporczywego deszczu i kolejnych postojów. Właściwie góry powinny być już widoczne, ale Mount Taranaki ukrywał się za nisko wiszącymi chmurami.

– Właściwie po co zakładać tutaj park narodowy? – mruknął z niezadowoleniem jeden ze studentów, który najwyraźniej stracił ochotę do jazdy konnej w deszczu. – Okolice niewiele się różni od Canterbury Plains.

Rzeczywiście z początku jechali przez tereny wybitnie rolnicze – rozległe wyżyny porośnięte trawą, bardzo podobne do regionu Otago na Wyspie Południowej. Od czasu do czasu mijali pola uprawne, z których teraz zebrano już plony, ale większość tej ziemi należała do hodowców owiec. Te zwierzęta można też było często zobaczyć – zwykle stały w mniejszych lub większych stadach, ze stoickim spokojem przeczekując deszcz. Dzięki grubej warstwie gęstej wełny wilgoć i deszcz najwyraźniej im aż tak nie przeszkadzały.

– Ależ im dobrze – westchnął Richard. Jego płaszcz był zupełnie przemoczony, podobnie jak płaszcz Atamarie. – Gdzie właściwie będziemy spać?

Z niechęcią myślał o rozstawianiu namiotu przy tej pogodzie. Jednak tej nocy szczęście sprzyjało podróżnym. Już wczesnym wieczorem natrafili na farmę, której właściciel zaoferował zmarzniętym naukowcom nocleg w szopie. Ci studenci, którzy byli dziećmi miasta i nie znali wsi, kręcili wprawdzie nosami wobec intensywnej woni nawozu i lanoliny, ale w gruncie rzeczy wszyscy się cieszyli, że nie muszą spędzać kolejnej nocy w namiocie. Żona farmera przygotowała nawet posiłek dla młodych ludzi, farmer pozwolił im rozpaścić ognisko, cała zaś rodzina zjawiała się wieczorem w szopie, aby wspólnie spędzić czas.

– Czyli tam na górze, na zboczach Taranaki, ma powstać park narodowy? – spytał farmer przyjaźnie. – Ale dawniej te ziemie należały do Maorysów, prawda? A potem rząd wszystko zaanektował. Jednak tam niewiele rośnie. Chociaż... ta wzorcowa farma Maorysów, jakżeż ona się nazywa... tamtejsi ludzie naprawdę zrobili coś wspaniałego...

– To Parihaka – odpowiedziała spokojnie Atamarie. – Ale lasów deszczowych nie zdołali zrehabilitować. Bardziej urodzajne są ziemie leżące wokół nich. Tylko że one teraz należą w większości do farmerów *pakeha*...

Rzeczywiście mieszkańcom wsi Parihaka nie zostało zbyt wiele z setek hektarów ziemi, które kiedyś uprawiano po to, aby wyżywić dwa tysiące mieszkańców i bardzo licznych, przybywających co tydzień gości. Rząd zwerbował nowych osadników i po prostu sprzedał im ziemie Maorysów. Obecnie do maoryskich farmerów należała niewielka część ich dawnych pól, które uprawiali, stosując najnowocześniejsze metody rolnicze. Ich biali sąsiedzi często patrzyli na to z zawiścią.

– Maorysi nie mają nic przeciwko parkowi narodowemu, w przeciwieństwie do białych osadników, którzy nie są tym zachwyceni, miały nawet miejsce protesty... – dokończyła dziewczyna.

Sympatyczny farmer otworzył butelkę whisky i podał ją najpierw Dobbinsowi.

– Niech pan się lepiej przygotowuje na spanie w namiocie, profesorze. To raczej mało prawdopodobne, że ktoś zaoferuje wam nocleg. A kto w ogóle wpadł na pomysł, aby prowadzić te pomiary akurat teraz, jesienią?

Dwóch studentów także wyjęło butelki ze swoich bagaży i zaczęły one krążyć wśród wszystkich siedzących przy ognisku. Atamarie przypomniały się wspólne wieczory w Parihaka oraz święta spędzane przy ogniskach u Ngai Tahu. Tu jednak atmosfera nie była tak radosna i swobodna. Studenci drugiego i trzeciego roku tworzyli między sobą małe grupy i wyraźnie konkurowali o względy profesora. Dobbins ze swej strony już choćby poprzez uprzejmość rozmawiał z farmerem, choć co prawda nie za bardzo potrafił znaleźć z nim wspólne tematy. Tu znów prym wiodła Atamarie, która

rozumiała się znakomicie z gospodarzem. Dziewczyna opowiadała o Parihaka, o hodowli owiec dziadka, która ku jej zaskoczeniu była doskonale znana farmerowi.

– Michael Drury? Dziewczyno, jaki świat jest mały! Ja mam potomka od jednego z jego najlepszych baranów!

Farmer nalał whisky Atamarie, aby oblać to jego zdaniem „niemal pokrewieństwo”, i koniecznie chciał ją wyciągnąć na pola, aby już teraz pokazać jej owo zwierzę cud.

– To baran Herbert, zwyciężył na wystawie krajowej, wie pani chyba...

Atamarie wiedziała. Olejny obraz przedstawiający barana, autorstwa jej ciotki Heather, wisiał w salonie Drurych.

Wreszcie tematem rozmowy stało się pozyskiwanie wełny i strzyża owiec, a profesor i Richard zajęli się teoretycznymi rozważaniami na temat zastosowania elektryczności w maszynkach do strzyżenia owiec. Atamarie uważała, że to bardzo interesujący temat, a wypita whisky dodała jej trochę odwagi. Richard Pearse podobał jej się coraz bardziej i właściwie był już czas, aby zaczął postrzegać ją jako kobietę. W końcu byli już w drodze od dwóch dni i rozmawiali nie tylko na tematy związane ze studiami. Atamarie postanowiła przejąć inicjatywę. Udała, że jest jej zimno, i oparła się nieznacznie o przyjaciela. Pearse zauważył to dopiero po kilku minutach i uśmiechnął się do niej. Atamarie miała nadzieję, że Richard obejmie ją ramieniem, ale jej rachuby przekreślił farmer.

– Cóż, to był miły wieczór – stwierdził. – Ale muszę się już pożegnać, rano czeka mnie mnóstwo pracy. A przed wami też długi dzień. Urządźcie sobie wygodne posłania na słomie, ognisko jest na tyle daleko, że nic się nie stanie i samo zgaśnie, jak nie będziecie dokładać. Ach, prawda, Miss... Jak pani ma na imię? Mary? Moja żona czeka na panią w domu, przygotowała dla pani pokój gościnny...

Atamarie nie zamierzała przyjmować tej oferty, ale sympatyczny farmer nie chciał o niczym słyszeć. W żadnym wypadku nie pozwoliłby, aby młoda dama nocowała w szopie wspólnie z dwunastoma mężczyznami! Atamarie w końcu ustąpiła – i była zadowolona. Tej nocy i tak nie mogłaby dzielić posłania z Pearse’em, to musiało jeszcze potrwać. Przecież ta farma to nie była maoryska wieś, w której dziewczyna i chłopiec śpiący razem musieli liczyć się najwyżej z kilkoma żartobliwymi uwagami. Tu Atamarie naraziłaby na szwank swoją opinię, gdyby rzuciła się Richardowi na szyję, a on z pewnością był dżentelmenem i nie odwzajemniłby jej zalotów. Atamarie tej nocy cieszyła się więc, że mogła spać w łóżku, które z pewnością było wygodniejsze niż słoma w szopie. Była nawet ciepła woda i dziewczyna poświęciła sporo czasu na wyczyszczenie swej sukni z resztek błota oraz umycie włosów. Następnego ranka miała wyglądać naprawdę pięknie. Może dzięki temu zwróci na siebie uwagę Richarda i jego oczy na jej widok wreszcie rozbłysną.

Następnego dnia nie padało już tak intensywnie, a później przejaśniało się coraz bardziej i można było wreszcie zobaczyć łańcuch gór Poukai, nad którym górował ośnieżony wierzchołek Mount Taranaki. Widok wprost zapierał dech w piersiach, a większość uczestników ekspedycji przez długi czas była pochłonięta wpatrywaniem się w majestatyczny szczyt na tle ciemnoniebieskiego nieba. Z gór spływał potok o czystej wodzie i płynął dalej przez zielone przedgórza, przez które Dobbins prowadził dziś swoją grupę. Nawet Richard Pearse, przekraczając potok, przerwał rozmowę z Atamarie na temat automobili. Pierwszy z tych pojazdów sprowadzono niedawno do Nowej Zelandii, ale żadne z nich jeszcze go nie widziało, jedynie studiowali jego technikę.

– Ta okolica jest przepiękna! – powiedział Richard, wskazując na Mount Taranaki. – A przede wszystkim fascynująca jest ta góra. To wulkan, prawda? Czy należy liczyć się z wybuchami? Może powinniśmy skłonić profesora, aby rozstawił sejsmografy, i zająć się obserwacjami aktywności skorupy ziemskiej...

Atamarie westchnęła. Liczyła się wprawdzie z nieco bardziej euforycznymi reakcjami na widok

świętej góry, ale spodziewała się też, że będzie nieco bardziej romantycznie. W końcu ten widok pobudzał innych ludzi do naprawdę lirycznych wyznań, więc Atamarie wyobrażała sobie, że zakochany młody mężczyzna będzie na przykład porównywał ubóstwianą kobietę do bogini Pihanga. I właściwie na tego rodzaju pochlebstwa liczyła przez cały dzień. Rankiem dziewczyna przeglądała się długo w lustrze i była bardzo zadowolona ze swojego wyglądu. Jej twarz była zaróżowiona po długiej jeździe konnej w deszczu poprzedniego dnia i śnie w wygodnym łóżku, którego pościel pachniała różanymi płatkami, a świeżo umyte włosy dziewczyny lśniły w słońcu. Atamarie aż żal było je zaplatać, ale oczywiście musiała mieć praktyczną fryzurę w czasie kolejnego dnia w siodle. Jej suknia do jazdy konnej była jeszcze wilgotna i ciągle niezbyt czysta, dziewczyna zdecydowała się więc włożyć drugą, nieco ładniejszą. Właściwie nie były to suknie, lecz szerokie spódnicospodnie oraz dopasowana do nich górna część. Całość zaprojektowała dla swojej wnuczki Kathleen Burton, bo Atamarie za żadną cenę nie chciała jeździć w damskim siodle. A ponieważ szerokie spodnie były już bardzo modne wśród kobiet jeżdżących na rowerze, nietrudno było przekonać krawcową, aby uszyła coś podobnego. Druga suknia była więc w kolorze ciemnoniebieskim i podkreślała figurę Atamarie oraz stanowiła znakomity kontrast z jej delikatną, ciemną cerą. Robotnicy na farmie, koło których dziewczyna przechodziła, gwizdali z uznaniem, także oczy niektórych studentów rozbliły na jej widok. Nawet Dobinns zdobył się na komplement, mówiąc:

– Ślicznie pani wygląda, Miss Atamarie!

I tylko Richard Pearse milczał niewzruszenie. Wreszcie skomentował przynajmniej krój spódnicy.

– Bardzo praktyczne i bardzo... eleganckie... jeśli wolno mi tak powiedzieć. Ten krój znakomicie wykorzystuje układ fałd. Czy słyszała pani o maszynach do szycia? Rok temu uczestniczyłem w pokazie jednej z nich – bardzo interesujące!

I w ciągu kolejnych kilku godzin zabawiał Atamarie opowieściami o mechanicznym urządzeniu do nawlekania nici do igły, które wymyślił jako chłopiec dla swojej matki. Oboje stwierdzili, że już jako dzieci lubili eksperymentować. Richard zbudował dla swoich sióstr stroboskop, a sama idea ruchomych obrazów fascynowała go tak samo jak Atamarie.

Podróż z nim była naprawdę bardzo zajmująca – ale Atamarie powoli zaczynała pragnąć czegoś więcej niż tylko długich rozmów. Przecież mogłoby być tak romantycznie jechać obok niego przez okolicę, która coraz bardziej przypominała krainę czarów, w dodatku sprawiała wrażenie nietkniętej ludzką ręką, nawet owiec prawie nie można było dostrzec. Na wzgórzach raz po raz pojawiały się szare i białe skały, sprawiające wrażenie wymytych w deszczu, a lasy przecinające łąki zachwycaly oczy wszystkimi możliwymi odcieniami zieleni. Teraz Atamarie opowiadała nieco zdziwionemu przyjacielowi, że dla Maorysów każde z tych drzew miało własną osobowość, i poleciła mu, aby w czasie odpoczynku dotknął przynajmniej jednego z nich i spróbował poczuć jego duszę. Ale Richard spojrzał na nią pobłaźliwie, choć przyjaźnie – i szybko zmienił temat. Po czym wygłosił dłuższy referat na temat pił motorowych.

Ale mimo wszystko zachowywał się bardzo rycersko. Miał znakomite maniery, przynosił jej kanapki i herbatę – i przy okazji opowiadał o idei materiałów izolacyjnych, za pomocą których można byłoby przez dłuższy czas utrzymać wysoką temperaturę napojów. Atamarie uznała to za bardzo ciekawe – ale czy ona sama rzeczywiście sprawiała wrażenie nudnej?

Pod koniec dnia niestety nie znaleźli farmy, która przyjąłaby pod swój dach całą grupę, ale Atamarie odważyła się rozpałić ognisko. Może Richard tego wieczoru spróbuje się do niej zbliżyć? Przynajmniej mogła mu pomóc rozstawić namiot. Genialny wynalazca nie potrafił sobie poradzić z połączeniem stelażu zgodnie z instrukcją.

– Przecież tu nie ma co myśleć, tylko musi pan wszystko zrobić dokładnie tak, jak jest podane

w instrukcji! – roześmiała się Atamarie i błyskawicznie połączyła rurki stelaża.

– Ale statycznie to nie jest dobrze wymyślone – protestował Pearse. – Nie mówiąc już o tym, jakie ciężkie są te rurki. Ja wymyśliłbym zupełnie inną konstrukcję – z giętkich rurek... Może z bambusa...

Rozwinał ten pomysł w czasie jedzenia i tym razem sprawiło mu przyjemność, kiedy Atamarie oparła się o niego w czasie rozmowy z Dobbinem o sejsmografach. Nawet się do niej uśmiechnął i nie cofnął ręki, kiedy ona delikatnie pogładziła jego palce w czasie nalewania herbaty. Choć co prawda nie przerwał ani na chwilę rozmowy z Dobbinem. Atamarie doszła do wniosku, że Richard był po prostu nieśmiały. I oczywiście jej próby zbliżenia były nad wyraz niezgrabne. Atamarie była dziewicą – mimo letnich wakacji spędzanych w Parihaka wśród bardzo bezpruderyjnej młodzieży. I ona też nie była pruderyjna. Jednak otrzymała wychowanie w szkole dla dziewcząt i pamiętała mądre, choć nieliczne rady babki Lizzie: „Zrób to tylko wtedy, kiedy będziesz tego naprawdę chciała. Nie dlatego, że chłopiec będzie cię pragnął i może nawet cię zmuszał. Miłość może być cudowna, ale nie zapomnij o tym, że nie musisz być dla nikogo czymś w rodzaju prezentu. Nie jesteś pudełkiem czekoladek! Wręcz przeciwnie, traktuj innych jako prezent – tylko dlatego, jeśli będziesz zdania, że bogowie błogosławią cię poprzez spotkanie z tym, a nie innym mężczyzną. I wtedy możesz mu się oddać”.

Atamarie nie miała tak bogatej duchowości i w myślach zastąpiła bogów czymś w rodzaju szczęśliwego losu: chciała sypiać tylko z tym mężczyzną, który będzie jej główną wygraną. Na razie otrzymywała jedynie nagrody pocieszenia – aż do tej chwili! Z Richardem Pearse'em łączyło ją pokrewieństwo dusz i ona to czuła. Wreszcie był to ktoś, z kim mogła rozmawiać, kto dzielił jej zainteresowania – i najwyraźniej absolutnie nie przeszkadzał mu fakt, że była dziewczyną.

Atamarie westchnęła i zawinęła się w swój wilgotny śpiwór w małym, nieprzytulnym namiocie. Mimo wszystko wydało jej się to czystym marnotrawstwem. Kilka jardów dalej jej „prezent od bogów” prawdopodobnie marzył w namiocie tak samo jak ona. Może powinna częściej składać ofiary duchom przodków albo przynajmniej zatańczyć *haka*...

ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia grupę czekała niemiła niespodzianka. Po długiej jeździe, tym razem przez żyzne pola farmerów, dotarli do farmy leżącej po wschodniej stronie Taranaki, która miała być ich pierwszą bazą pomiaru terenów dla przyszłego parku narodowego. Jej właściciel rozmyślił się jednak i zrezygnował z poczynionych ustaleń. Dobbins i jego studenci musieli wysłuchać jego pełnego wściekłości kazania o tym, że rząd z pewnością planuje budowę drogi dojazdowej do parku narodowego, która będzie prowadziła przez jego tereny, narażając je tym samym na szwank. A na to Mr Peabody się nie zgadza i w związku z tym nie przyjmie Dobbinsa i jego ludzi, którzy muszą za to w ten sposób odpokutować.

– I żebyście nie rozstawiali namiotów na mojej ziemi! Wynoście się do lasu! I bądźcie pewni, że skontroluję każdy z tych waszych „pomiarów”. Państwo nie dostanie ani kawałka mojej ziemi!

– A przecież państwo i tak wyświadczyło mu przysługę, kradnąc jego obecną ziemię Maorysom – stwierdziła gorzko Atamarie. – I dobrze by było, gdyby mu ją teraz odebrało.

– Żadnych politycznych deklaracji, Miss Turei – zganił ją niechętnie Dobbins, którego cieszyła perspektywa suchej szopy albo nawet jakiegoś pokoju na farmie. Nie był już młody i po nocy w wilgotnym namiocie bolały go wszystkie kości. – Jedziemy dalej, aż dotrzemy do deszczowego lasu – prawdopodobnie dziś w nocy poznamy tam interesujące gatunki insektów, to będzie coś ciekawego dla naszych przyrodników...

Studenci zareagowali nieco wymuszonym śmiechem. Tylko Atamarie zmarszczyła czoło.

– Profesorze Dobbins, przecież możemy po prostu pojechać do Parihaka – zaproponowała. – Moja matka nas tam zapraszała, i to kilkakrotnie. I będzie się cieszyć z naszych odwiedzin, podobnie jak wszyscy mieszkańcy.

Część studentów uważała to za bardzo dobry pomysł, ale profesor był sceptyczny.

– Nie wiem, Miss Turei. Pani matka z pewnością się ucieszy, kiedy panią zobaczy. Ale od razu cała grupa, dwunastu ludzi i czternaście koni...

– ...która w dodatku przyjedzie w środku nocy... – dodał Richard.

Co prawda rozłożył już mapę i obejrzał drogę do Parihaka. Wieś była jeszcze daleko i z pewnością nie przybyliby tam przed północą, bo przecież musieli objechać jeszcze połowę góry.

Jednak Atamarie potrząsnęła głową.

– To jest Parihaka, profesorze! Dawniej w czasie każdej pełni księżyca zjawiało się tam dwa tysiące gości! A szczepy maoryskie zawsze przychodzą w odwiedziny razem. Kiedy udają się na wędrowkę, to razem – mężczyźni, kobiety i dzieci. I kiedy przyjedzie w gości trzynaście osób – to w Parihaka będą się tylko śmiać! A im prędzej wyruszymy, tym prędzej tam dotrzemy.

Profesor Dobbins zgodził się w końcu – na szczęście zanim ktoś wpadł na pomysł, aby to przegłosować. Ale wówczas i tak większość byłaby za jazdą do Parihaka, gdzie można było liczyć na dach nad głową. Dla niektórych młodych mężczyzn z Dunedin była to pierwsza wycieczka tego typu i ci już po pierwszej deszczowej nocy mieli dość sypiania w namiocie.

Grupa jechała więc nocą, prowadzona przez Richarda z mapą i Atamarie, która pokazywała swoim kolegom, jak należy orientować się za pomocą gwiazd. Na szczęście przejaśniło się i księżyc oświetlał drogi – należało jechać w kierunku morza, bo Parihaka leżała między wulkanem a Morzem Tasmanskim.

– A właściwie jaki szczep Maorysów tam mieszka? – spytał Richard.

Tym razem zainteresowani byli wszyscy studenci; kilku z nich jeszcze nigdy nie miało kontaktu z Maorysami i ci byli najbardziej zaciekawieni. Inni, między innymi Richard, znali szczepy

mieszkające w pobliżu farm ich rodziców, którzy zatrudniali Maorysów jako pasterzy albo służbę. Jednak nikt z grupy nie nocował jeszcze w *marae*.

– To nie jest pojedynczy szczepek, to Parihaka! – wyjaśniała Atamarie, dziwiąc się, że żaden z młodych mężczyzn nie znał historii wsi ani o niej nie słyszał. – Wieś została założona przez Te Whiti, wodza i proroka, po wojnach domowych, właściwie tylko po to, aby przyjmować pod swój dach uciekinierów. Ale potem rozwinęła się, tworząc coś w rodzaju... jak to nazwać... wsi wzorcowej, jak mówią niektórzy. I stała się swego rodzaju świętością. Czyli z jednej strony chciano pokazać *pakeha*, że Maorysi mogą sami zarządzać tym, co mają. Parihaka miała szkoły, szpital, bank, urząd pocztowy... wszystko zgodnie z wzorem *pakeha*. Ale z drugiej strony wieś podtrzymywała wszystkie stare zwyczaje dotyczące muzyki, sztuki i religii. A Te Whiti nauczał. Opowiadał się po stronie walczących o prawa dla Maorysów, a przeciwko zabieraniu im ziemi i niepłaceniu za nią albo wręcz przeciwko woli osadników. Ale też pragnął pokoju. Chciał, aby zarówno Maorysi, jak i *pakeha* uczyli się od siebie wzajemnie. Przez kilka lat w Parihaka przy każdej pełni księżyca zjawiały się tysiące ludzi, aby go wysłuchać. I prawie każdy szczepek maoryski wybudował w Parihaka swoje własne *marae*...

– *Marae* to domy? – spytał Dobbins.

– To są właściwie miejsca, gdzie się mieszka. W szerokim znaczeniu. Czyli miejsca zebrania, domy mieszkalne, spichrze... W Parihaka z reguły każdy szczepek miał swój dom zebrania. Po prostu po to, aby zaznaczyć swoją obecność albo, jak mówi moja matka, odetchnąć duchem Parihaka i zabrać go ze sobą w każdy zakątek wyspy. Nie urodziłam się tam, ale moi rodzice mówią, że wówczas było tam wprost cudownie. Panowały pokój i miłość. Było wiele pracy, ale był też taniec i muzyka... moja matka mówi, że każdy wieczór był świętem.

– Ale potem przyszli rządowi mierniczy – przypomniał Dobbins.

Kiedy trwała walka o Parihaka, pisały o tym wszystkie gazety na Wyspie Południowej.

Atamarie skinęła głową.

– Rząd chciał osiedlić farmerów *pakeha* w okolicy i zaczął bez żadnych skrupułów sprzedawać im ziemię maoryskich szczepeków, które mieszkaly tu od setek lat. Te Whiti i jego ludzie zaczęli protestować – w pokojowy sposób, stosując pomysłowe metody...

Dobbins się uśmiechnął.

– Pamiętam, że zaorywali pastwiska, prawda? I w ten sposób stawały się one bezużyteczne dla właścicieli owiec...

– Zaczęli też grodzić obszary należące do Maorysów – dodała Atamarie. – Ale w ten sposób tylko rozwścieczyli władze, w efekcie doszło do inwazji na Parihaka i wieś została całkowicie zniszczona. Te Whiti i jego zwolennicy znaleźli się w więzieniu... To musiał być bardzo smutny czas, kilka osób w wyniku prześladowań nawet zmarło. Ale później, kiedy Te Whiti wyszedł na wolność, wrócił do Parihaka, wróciło także wielu dawnych mieszkańców. Moi rodzice kupili tam ziemię i nie można ich już przepędzić. A teraz Parihaka staje się... można powiedzieć, że czymś w rodzaju „duchowego centrum”. Odbywają się tam kursy tradycyjnego rzemiosła, obchodzone są dawne święta... Bardzo pięknie jest przyjechać tam w odwiedziny, ale mieszkać na stałe nie chciałabym. W końcu wynaleziono już maszyny tkackie, a w Parihaka musiałabym się męczyć jak w epoce kamienia łupanego...

Profesor Dobbins śmiał się, kiedy Atamarie opowiedziała mu o swoich próbach udoskonalania ram tkackich i więcierzy.

– A więc mamy jeszcze jednego wynalazcę. Mr Pearse i Miss Turei. Ciekaw jestem, co zrewolucjonizujecie oboje w ciągu najbliższych lat.

W czasie jazdy do Parihaka już nie padało – Matariki przypuszczalnie przypisałyby to działaniom przyjaznych duchów, które zawsze troszczyły się o to, aby Parihaka prezentowała się naprawdę

pięknie. Studenci zjeżdżali powoli ze wzgórz w dół i widzieli wieś leżącą przed sobą – górował nad nią majestatyczny wulkan, a w dali połyskiwały wody Morza Tasmana oświetlane promieniami księżyca. Parihaka zawsze stanowiła wspaniały widok – wielu jej obecnych mieszkańców zakochało się we wsi od pierwszego wejrzenia. Dobbins i jego studenci nie dostrzegli na pierwszy rzut oka urody wsi, lecz z zaskoczeniem patrzyli na jej oświetlone główne ulice.

– Do pioruna! – zdziwił się Dobbins. – To miejsce jest bardziej postępowe niż połowa Wyspy Południowej. I najwyraźniej ktoś tam jeszcze nie śpi. Jak to było? Że każdego wieczoru jest jakieś święto?

Parihaka ciągle nie była otoczona żadnym solidnym płotem – miała to być wieś otwarta dla wszystkich, a nie twierdza. Atamarie otworzyła po prostu drewnianą furtkę i weszła do środka razem z gośćmi. Na pierwszym placu zebrań płonęły jeszcze ogniska, a wokół nich siedziało kilkanaście osób. Ci powitali gości swobodnie, bez zbytecznego zaskoczenia. Zaraz znalazła się też butelka whisky.

– Siadźcie na razie i napijcie się po łyku, a my zobaczymy, czy da się jeszcze zdobyć coś do jedzenia – powiedziała płynnym angielskim jedna z młodych kobiet. – W piekarni powinni już pracować, żeby jutro był świeży chleb. Na pewno zostało im coś z dzisiejszego dnia...

Dziewczyna ruszyła nieco chwiejnym krokiem w stronę zabudowań, a jej przyjaciele zrobili przybyszom miejsce przy ognisku.

W chwilę potem pojawił się o wiele bardziej trzeźwy „komitet powitalny”, wespół z matką Atamarie. Matariki Parekura Turei była szczupłą kobietą o długich czarnych włosach, które zgodnie z maoryskim zwyczajem nosiła rozpuszczone. W jej dużych jasnobrązowych oczach można było dostrzec złote iskierki, a jej nieco jaśniejsza cera miała także złotawy odcień.

– Ach, jak dobrze mieć cię znowu w domu, Atami! – cieszyła się Matariki i zwyczajem *pakeha* chwyciła córkę w ramiona, aby potem zwyczajem Maorysów przyłożyć czoło i nos do jej twarzy i wymienić tradycyjne *hongī*. – Kupe znów pojechał do Wellington i czuję się samotna. Poczekaj, pokażemy twoim przyjaciołom nowe domy dla gości, a potem pójdziesz do mnie.

Nowa Parihaka składała się z szybko zbudowanych chat pozbawionych wszelkich ozdób i domów zebrań ozdobionych kunsztownymi płaskorzeźbami. Dla gości przeznaczone były nowoczesne domy gościnne z wieloosobowymi pokojami i nawet bieżącą wodą.

– Co prawda brakuje im trochę ducha Parihaka – wyjaśniła Matariki z żalem. – Wolelibyśmy proponować naszym gościom wspólne domy w stylu maoryskim, ale większość przedkłada komfort nad tradycję. I bardzo wielu z nich to *pakeha*. A nie chcemy, aby myśleli, że nie radzimy sobie z nowoczesną techniką.

Profesor Dobbins i jego studenci chętnie zrezygnowali z błogosławieństwa bogów. Zapewnili Matariki, że w czasie tej podróży jeszcze nie zdarzyło im się tak wygodnie nocować.

– Zostańcie, proszę, tak długo, jak tylko chcecie! – zapraszała ich Matariki. – Możecie zacząć swoje pomiary stąd, przecież wszystko jedno, czy zaczniecie to robić od wschodu czy od zachodu. A najlepiej uzależnijcie to od pogody: jeżeli będzie dobra, to możecie zostać na kilka dni w lesie, ale jeśli będzie źle, śpijcie tutaj. Jutro w każdym razie chętnie powitalibyśmy was na tradycyjnym święcie *hangi*. Wykorzystujemy wulkaniczną aktywność Taranaki w naszych piecach, ta technika na pewno pana zainteresuje, profesorze.

Atamarie była pewna, że zwłaszcza Richard wymyśli dziesięć możliwości ich usprawnienia, ale jednak tego wieczoru każdy z uczestników ekspedycji był zbyt zmęczony, aby myśleć o czymkolwiek innym niż sen. Atamarie z zadowoleniem zawinęła się w ciepły koc na macie w domu swoich rodziców. Wprawdzie Kupe i Matariki zachwycali się maoryskimi tradycjami, ale chętnie korzystali z dobrodziejstw wychowania *pakeha*. Wspólne spędzanie nocy z całym szczepem w domu zebrań nie

miało dla nich żadnego uroku – oboje woleli choćby niewielką sferę prywatności. Dlatego mieszkali w małym domu z bali w pobliżu szkoły, przepięknie ozdobionym maoryskimi płaskorzeźbami.

– Wszystko w porządku jak na razie? – spytała krótko Matariki, zanim wysłała córkę do łóżka. – Ta ekspedycja... Radzisz sobie sama wśród tylu młodych mężczyzn?

Atamarie uśmiechnęła się do niej szczęśliwa.

– Cudownie – westchnęła. – To najpiękniejsza podróż... jaką kiedykolwiek odbyłam!

Ziewnęła. Matariki uśmiechnęła się pobłaźliwie, ale była nieco zdziwiona. Trzy dni w deszczu, a jej córka, raczej niezbyt wrażliwa na uroki natury, mówiła o najpiękniejszej podróży życia? Matariki postanowiła przyjrzeć się jutro dokładniej pozostałym uczestnikom ekspedycji. Najwyraźniej był wśród nich ktoś, dzięki komu dla Atamarie wzeszło słońce...

Mieszkańcy Parihaka oddali do dyspozycji Dobbinsa i jego studentów przewodnika, który miał ich oprowadzić po terenie przyszelego parku narodowego. Jak powiedział profesor jeszcze w Christchurch, Maorysi popierali projekt utworzenia parku.

– Tu nie potrzebuje pan się też obawiać zdziczałych farmerów, jeśli wejdzie pan na jeden metr kwadratowy pola – oświadczyła Matariki. – Wszystkie ziemie między wulkanem i Parihaka należą do nas – i nawet rząd z Seddonem na czele wielkodusznie oświadczył, że nam się to należy. Mówią, że jest to ziemia mniej urodzajna niż ta między wsią a morzem. Częściowo należy ona do białych farmerów. Dawniej uprawialiśmy ją, ale dziś nie mieszka tu już tylu ludzi.

W ostatnich słowach słyhać było smutek, ale Dobbins zapewnił Matariki, że Parihaka cały czas jest czymś szczególnym. Profesor był pod wrażeniem miejscowych sklepów, banku i piekarni – a studenci zdążyli już kupić pamiątki dla swoich rodzin. Atamarie się cieszyła, kiedy jej matka oświadczyła gościom, że wieczorem odbędzie się tradycyjne *powhiri* – ceremonia powitania przybywających szczepów.

– Chyba będę mogła zatańczyć ze wszystkimi? – zapytała Atamarie matkę, zanim dosiadła konia.

Miała ze sobą profesjonalne wyposażenie – lornetkę, mapy i tyczki pomiarowe – i była znów ubrana w starą suknię do jazdy konnej. Zaplotła też swoje długie włosy i dla ochrony przed deszczem włożyła na głowę skórzany kapelusz z szerokim rondem. Matariki znów się zdziwiła. Oczywiście nauczyła córkę tańca *haka*, który ona jeszcze jako dziecko wykonywała z zachwytem. Ale w ostatnich latach Atamarie właściwie nie przejawiała specjalnej ochoty do występowania w spódniczce *piu piu* z opinającą ciało górną częścią wykonaną z konopi oraz piłeczkami *poi poi*. Była to kolejna wskazówka, że interesowała się którymś z młodych mężczyzn z grupy. Ale jak na razie Matariki nie mogła dostrzec, czy któryś uczestnik ekspedycji wodzi za jej córką oczami. Wcześniej Atamarie siedziała przy śniadaniu wraz profesorem i jego najwyraźniej ulubionym uczniem, szczupłym młodym mężczyzną o gęstych kręconych włosach. Ale nie flirtowała z nim. Matariki była wobec tego ciekawa, jak będzie wyglądał wieczór.

– Oczywiście, że możesz tańczyć ze wszystkimi – powiedziała dobrodusznie. – Zobaczę, czy znajdę dla ciebie strój do tańca. Ale żebyś się potem nie skarżyła, że w tym marzniesz!

Tego dnia pogoda była dobra i studenci z zafascynowaniem oglądali niezwykły las deszczowy. Strefy wegetacyjne u stóp wulkanu zmieniały się zadziwiająco szybko – krajobraz obfitujący w pola i łąki z rozrzuconymi gdzieniegdzie pojedynczymi grupami drzew iglastych, sprawiających bardzo europejskie wrażenie, nagle przechodził w baśniowy, mroczny las, pełen olbrzymich drzewiastych paproci, pnączy i porostów.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby tu gdzieś zwisała z gałęzi jakaś żmija – zażartował któryś ze studentów, patrząc na jedno z olbrzymich drzew *kamahi* i jego osobliwe, znajdujące się na powierzchni ziemi korzenie. – Albo małpy... Zupełnie jak w *Księżce dżungli*.

Przewodnik, słysząc to, uśmiechnął się pobłaźliwie i dowiódł swego wykształcenia, mówiąc:

– Mr Kipling opisywał w swojej książce dżunglę w Indiach. Ale tu wegetacja jest zupełnie inna, a wiele roślin Aotearoa to rośliny endemiczne. Jak na przykład *rimu*, które potrzebuje ochrony, bo *pakeha* ścięli bardzo wiele tych drzew do budowy swoich domów, a niektóre z nich mogły liczyć nawet po kilkaset lat.

Wskazał na jedno z wysokich, prostych drzew o długich igłach.

– A żmij ani małp nie potrzebujecie się obawiać, tu są tylko ptaki i insekty... Ach, prawda, jest jeszcze jeden gatunek ślimaka. – Chłopak uderzeniem dłoni zabił komara.

Profesor Dobbins dodał, że wierzchołek Taranaki jest jednym z najbardziej symetrycznych szczytów na świecie, i wytłumaczył, jak można tak charakterystyczny obiekt wykorzystać do przeprowadzenia pomiarów. Atamarie i jej koledzy wspięli się na wzgórze, rozłożyli mapy i zaczęli nanosić na nie punkty orientacyjne. Niestety dziewczyna rzadko widziała teraz Richarda, który siedł z profesorem i zbierał dla niego rezultaty badań poszczególnych grup. Atamarie pracowała z dość zarozumiałym studentem trzeciego roku. Porter McDougal zaczął zauważać dziewczynę u swego boku dopiero wtedy, kiedy wskazała mu popełniony przez niego zasadniczy błąd. Potem traktował ją jak natrętnego insekta, ale łaskawie pozwalał, aby wykonywała swoją część pracy. Chętnie przekazywał jej trudniejsze zadania związane z podchodzeniem w stromym terenie i przedzieraniem się przez gęste zarośla. Las nie za bardzo mu odpowiadał, przypuszczalnie dotychczas w ogóle nie wyjeżdżał z Christchurch.

– Jutro wyjdziemy jeszcze wyżej, tam wegetacja nie jest tak obfita – pocieszyła go Atamarie, kiedy wreszcie jechali z powrotem do Parihaka. Dziewczyna miała podartą, brudną suknię i podrapane ręce, za to McDougal był wystrojony jak na początku podróży.

– Będzie tam trochę zarośli i trawy, ale też nastromienie zboczy będzie większe.

– Oczekujemy od pana więcej sportowego zacięcia, Mr McDougal – dodał profesor, który oczywiście zauważył różnicę w wyglądzie odzieży Atamarie i Portera. – I proszę nie starać się robić wrażenia kogoś kompletnie wyczerpanego. Lepiej niech pan weźmie przykład z tej młodej damy. A czy nie zamierzała pani jeszcze dziś wieczorem zatańczyć, Miss Turei?

Atamarie ucieszyła ta pochwałą – dziewczyna wpadła niemal w euforię, kiedy dotarli do Parihaka. Mieszkańcy otworzyli już swoje pierwsze piece ziemne i w całym osiedlu czuć było aromatyczny zapach.

Matariki czekała na córkę z tradycyjnym strojem do tańca i z zadowoleniem patrzyła, jak dziewczyna rozpuszcza włosy, przewiązuje je opaską w barwach wsi Parihaka i wkłada spódniczkę oraz górną część stroju.

– Któremu z tych panów chciałabyś teraz zaimponować? – spytała niby od niechcienia i wiedziała już, że jej przypuszczenia były słuszne, bo Atamarie się zaczerwieniła, co u niej było raczej niezwykle. Dziewczyna nigdy nie miała tajemnic przed matką, a dla niej, jako pół-Maoryski, było oczywiste, że córka mogła mieć już za sobą jakieś seksualne doświadczenia.

– Wspaniale mi się z nim rozmawia! On ma dokładnie te same pragnienia i wyobrażenia co do swego zawodu jak ja! Jest wynalazcą, *mommy*! Mogłabym mu pomagać, moglibyśmy pracować razem...

Matariki się roześmiała.

– A więc prawdziwy prezent od bogów. To w czym problem?

Atamarie westchnęła.

– Dotychczas ani razu nie próbował mnie pocałować. Utrzymuje jakiś dystans, on... Obawiam się, że on się mną nie interesuje.

Matariki się uśmiechnęła.

– Dziecko, ty nie jesteś na noworocznej wycieczce w Parihaka, tylko na ekspedycji naukowej. Trzymanie się za rączkę nie jest wtedy mile widziane. I słusznie z jego strony, że zachowuje dystans. Może po prostu czeka, aż ta wyprawa się zakończy...

Atamarie przygryzła wargę.

– Może... Też już tak myślałam. Tylko to jest... Bo on... jakoś... nie patrzy na mnie.

Matariki zmarszczyła czoło. Postanowiła obejrzeć sobie tego młodego mężczyznę dziś wieczorem.

Ceremonia *powhiri* była uroczystością, która mogła trwać kilka godzin. Dziś miała trwać nieco krócej, bo goście nie brali w niej zasadniczego udziału. Zwykle obie strony tańczyły i modliły się, dziś jednak mieli to robić tylko mieszkańcy Parihaka.

– *Powhiri* ma na celu powitanie, ale także onieśmielenie patrzących – wyjaśniała Matariki profesorowi i, chcąc nie chcąc, także Richardowi. Zajęła miejsce między oboma mężczyznami. – Wita się gości, którzy przeważnie nie przybywają pojedynczo, lecz całym szczeniem, jako uzbrojeni po zęby wojownicy, ale też daje się im do zrozumienia, że gospodarze też znają się na broni i są gotowi do obrony.

Wskazała z uśmiechem na młodych mężczyzn, którzy właśnie wykonywali *haka*, robiąc przy tym bardzo marsowe miny, uderzając dzidami o ziemię i nawet pozorując atak.

– Znam to z rugby – powiedział jeden ze studentów z Dunedin, a Matariki się roześmiała.

– Tak, to piękny nowy zwyczaj i potwierdzenie tezy Te Whiti, że Maorysi i *pakeha* mogą sobie nawzajem wiele zaoferować. Gry w rugby nauczyliśmy się od Anglików, a oni nauczyli się od nas tańczyć *haka*, aby trochę przestraszyć drużynę przeciwników.

Wreszcie nastąpiło powitanie gości przez najstarszą kapłankę, która wydając z siebie gardłowy okrzyk zwany *karanga*, doprowadzała do powstania duchowego związku między niebem a ziemią, gośćmi i gospodarzami.

– Ale teraz będzie bardzo pokojowo – skomentowała Matariki i rzeczywiście przed zgromadzonymi widzami pojawiły się młode dziewczęta, które miały zatańczyć *haka powhiri*. Matariki patrzyła na córkę – dziewczyna mimo braku wprawy i wyczerpującego dnia pracy dobrze dotrzymywała kroku tańczącym. Skrzydła miłości... Matariki się uśmiechnęła i zaczęła zwracać baczną uwagę na Richarda. I szybko zrozumiała, co miała na myśli Atamarie.

Richard Pearse przyglądał się tańcowi z zainteresowaniem i przyjemnością. Opowiadał przedtem, że pochodzi z bardzo muzycznej rodziny, i z całą pewnością cieszył go ten wieczór. Ale jego oczy nie błyszczały, kiedy parzył na Atamarie. Matariki nie dostrzegła w nich pożądania, jak w oczach niektórych studentów, ani też uwielbienia. Jak na razie Richard Pearse najwyraźniej nie był zakochany w Atamarie. Ale może była to kwestia przyszłości. Matariki była optymistką, bo u niej też trwało to bardzo długo, zanim z jej sympatii i przyjaźni z Kupe rozkwitła miłość. I wyciągnęła wnioski ze swego nieszczęśliwego związku z Colinem Coltrane'em: w miłości ważne było nie tylko seksualne pożądanie, lecz także wspólne zainteresowania i poglądy. A to najwyraźniej istniało między Atamarie i Richardem. Matariki uśmiechnęła się do obojga, kiedy Atamarie, rozgrzana tańcem, przyłączyła się do grupy studentów i usiadła obok Richarda. Dziewczyna nie przebrała się i z pewnością miało jej się za chwilę zrobić zimno. Matariki postanowiła przynieść jej koc. Ale tu nieoczekiwanie wyręczył ją Richard.

– Cudownie pani tańczyła, Miss Atamarie – powiedział swym miło brzmiącym tenorem. – I rzeczywiście wyglądała pani jak Maoryska, bo zwykle pani blond włosy każą pamiętać o obecności *pakeha* w pani rodzinie.

Atamarie ucieszona skinęła głową. Bądź co bądź wreszcie zauważył, że ona ma jasne włosy. Co za postęp! Ale po chwili poczuła dezaprobatę wobec tej myśli. Traciła głowę w pobliżu Richarda

dokładnie tak samo jak Roberta wobec Kevina Drury'ego. Richard od wielu dni jechał konno obok niej i nie mógł nie dostrzec koloru jej włosów.

– Ale teraz pani marznie, Miss Atamarie. Przyniosę pani koc.

Richard wstał, a Atamarie pomyślała, że to jednak rzeczywiście postęp. Głupie było tylko, że teraz jej wdzięki były ukryte pod kocem. Niby od niechcienia opuściła koc na ramiona, jedząc przygotowane w piecach *hangi* i podane na wielkich liściach potrawy.

– To zawsze jest pyszne – stwierdziła, oblizując wargi. W powieściach, które czytywała Roberta, napisane było, że ten gest zawsze wywiera wielkie wrażenie na mężczyznach. Ale Richard nie zareagował jakoś specjalnie, lecz poświęcił uwagę technice ziemnych pieców.

– Smakuje rzeczywiście wspaniale. Ale wygrzebywanie tych dołów jest bardzo uciążliwe. Może dałoby się wydobyć ciepło ziemi na jej powierzchnię. Potrzebny byłby chyba rodzaj jakiejś pompy ciepłej...

Atamarie w końcu się poddała. Nie chciała mu już imponować i zajęła się jedzeniem wielkiej porcji mięsa z warzywami – po całodniowej wycieczce była głodna jak pies.

Pozostałe maoryskie dziewczęta, a także chłopcy, przynieśli do ogniska instrumenty muzyczne i zaczęli na nich grać.

Richard z zafascynowaniem przyglądał się różnym rodzajom fletów, w końcu wziął do ręki *tumutumu*, rodzaj instrumentu smyczkowego, i nawet udało mu się wydobyć z niego kilka całkiem przyjemnych dźwięków. Atamarie wzięła *nguru* i zagrała jakąś odpowiednią do tego melodię.

– Ależ to piękne! – uśmiechnął się Richard. – Rzeczywiście gra się na flecie, dmuchając w niego nosem?

Atamarie skinęła głową.

– I wydaje mi się, że człowiek wygląda przy tym na kogoś strasznie ograniczonego – dodała prowokująco. Piła do jedzenia piwo, a butelka whisky też już krążyła wśród gości. Jej opory i skrupuły ustępowały – za to Richarda najwyraźniej nie. Ale tu młody mężczyzna zgotował jej niespodziankę.

– Nie może pani wyglądać na kogoś ograniczonego, Miss Atamarie. Sądzę, że jest pani najmądrzejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ale czy nie przyszło pani do głowy, że barwa dźwięku fletu się zmieni, a gra będzie łatwiejsza, kiedy otwory będą rozmieszczone w większej odległości albo może należałoby nawet zrobić w instrumencie szparę?

Matariki, która właśnie podchodziła do gości, ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że oczy Richarda Pearse'a wreszcie rozbłysły, kiedy obserwował Atamarie w czasie dmuchania w *nguru* i bardziej skomplikowany *putorino*.

– To śmieszne – stwierdziła później matka Atamarie w rozmowie z przyjaciółką, opowiadając jej o nieodwzajemnionym zadurzeniu córki. – A dotychczas zawsze uważałam, że w czasie dmuchania w te flety każdy wygląda na kogoś ograniczonego...

ROZDZIAŁ 9

Richard Pearse tego wieczoru wprawdzie zachwycił się Atamarie, ale pozostał dżentelmenem. Nie pozwolił sobie na więcej tkliwości niż lekkie dotknięcia jej palców czy ramion, w czasie których dziewczyna nie wiedziała, czy one elektryzowały bardziej ją czy jego. Pozostali studenci nie byli tak powściągliwi i kiedy maoryskie dziewczęta przyłączyły się do nich po tańcu, znikali z nimi gdzieś pośród okolicznych wzgórz wokół Parihaka.

Rankiem zostali za to ostro zrugani przez profesora, choć we wsi najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało.

– To nie uchodzi, abyśmy nadużywali gościnności naszych gospodarzy! – oburzał się profesor. – A w ogóle nie jesteśmy tu dla przyjemności! Jest dziewiąta godzina, moi panowie, a wy dopiero wstaliście z łóżek! O tej porze chciałem być w połowie drogi na Mount Taranaki!

– Nie, nie byli w łóżkach, tylko na polach – chichotała Atamarie. – Prowadzili badania terenowe...

Była wyjątkowo rozbawiona, bo w czasie śniadania plotkowała z dziewczętami po maorysku. Prawdopodobnie wiedziała teraz więcej o najintymniejszych tajemnicach swoich kolegów niż ich matki i wsiadając na konia, zastanawiała się, jak to wykorzystać wobec zarozumiałego partnera McDougala. Ale potem musiała skoncentrować się na prowadzeniu konia i na drodze. Tym razem jechali dalej, pokonując najpierw pas lasów deszczowych, a potem rozległe łąki porośnięte trawą *tussock*, które ustąpiły miejsca roślinności alpejskiej. Konie miały sporo trudności w tego rodzaju terenie i Atamarie się cieszyła, że matka pożyczyła jej swojego konia – małą silną klacz rasy cob. Atamarie nie była tak namiętną amazonką jak Matariki, ale jechała mocnym tempem, a któryś z pożyczonych na tę wyprawę koni szybko by się zmęczył. Porter także złościł się na swoją klacz, która była w nie najlepszej kondycji, ale próbował mimo wszystko wjeżdżać na każde wzgórze – jednak tak wolno, że Atamarie miała wrażenie, iż zrobiłaby to szybciej na piechotę.

– Kto wie, co tu siedzi w tych krzakach – mruczał wyraźnie niezadowolony Porter, któremu tego dnia nie dopisywał humor.

Atamarie zachichotała.

– No, w tych krzakach, w których był pan dziś nocą z Pai, wcale nie miał pan takich obaw. A było o wiele bardziej niebezpiecznie, bo większość tutejszych zwierząt jest aktywna nocą. Bardziej boi się pan ptaków czy ślimaków?

Porter w końcu musiał przyznać, że rzeczywiście nie pozostało mu nic innego jak wspinać się na piechotę – teren robił się coraz trudniejszy. Atamarie przyglądała się zafascynowana osobliwym formacjom skalnym oraz fragmentom zastygłej lawy, które na mapach zaznaczone były jako Humphries Castle, Lion Rock lub Warwick Castle. Raz po raz przed oczami uczestników ekspedycji rozpościerały się w dole wspaniałe widoki na morze i rzeki.

– Bogowie nam sprzyjają – śmiała się Atamarie, kiedy dostarczyła profesorowi i Richardowi pierwsze wyniki badań. – Tak wspaniała pogoda o tej porze roku!

– Ale jest zimno – narzekał Porter.

Profesor spojrział na niego karcącym wzrokiem.

– Wchodzimy na górę, Mr McDougal – przypomniał mu. – A w górach przeważnie jest zimno, powinien pan zająć się dokładniej strefami klimatycznymi, zwróć na to uwagę przy okazji pańskiego egzaminu końcowego. Teraz proszę jechać dalej, ale ostrożnie, bo zbcza są tu strome i zdarzają się też przepaście, przed którymi ostrzegał mnie nasz przewodnik. W trudniejszych miejscach niech pan jedzie za nim... Chociaż nie, on jest dziś z inną grupą. A więc proszę dobrze uważać.

Richard Pearse uśmiechnął się krzepiąco do Atamarie.

– Pani z pewnością nie spadnie, Miss Atamarie – stwierdził spokojnie. – Tak elegancko się pani porusza...

Atamarie się rozpromieniła, słysząc ten komplement, ale profesor zmarszczył czoło. Najwyraźniej się zastanawiał, czy ma zganić takie próby flirtu, jednak się rozmyślił.

– Właściwie pan też mógłby trochę się powspinać, Richardzie – zachęcił swojego ulubionego studenta. – Niech pan sam wyrobi sobie zdanie na temat tego krajobrazu, żebyśmy nie popełnili żadnego błędu, a my naniesiemy na mapy wszystkie pańskie spostrzeżenia. Też bym z chęcią poszedł, lecz wspinaczka górską jest już dla mnie zbyt męcząca. Ale pan... Może zechciałby pan towarzyszyć Miss Turei...

Atamarie uśmiechnęła się uszczęśliwiona, a Richard lekko się zaczerwienił. Jednak opanował się szybko i odpowiedział jak zawsze uprzejmie, choć nieco sztywno.

– Dla każdego z nas to prawdziwa przyjemność, móc towarzyszyć Miss Atamarie. A więc, Porter, walczmy o przywilej podania jej ręki w czasie trudniejszego podejścia...

Porter McDougal nie sprawiał wrażenia, jakoby uważał to za jakiś przywilej, ale dzielnie ruszył za obojgiem w kierunku najbliższej góry. Lion Rock, skała usytuowana pomiędzy morzem a górą, była idealna do tego, aby dostrzec z niej wszystkie charakterystyczne punkty terenu. Jednak Porter nie zwracał na nie uwagi – patrzył na morze, bo widok z Lion Rock na zatokę ograniczoną niezwykle formami skalnymi był rzeczywiście porywający. Atamarie przemknęło przez głowę, że ten widok tworzyłby wspaniałe tło dla pierwszego pocałunku, ale Richard nanosił na mapę kolejne oznaczenia i zaczął właśnie porównywać zapiski Atamarie ze swoimi. Bądź co bądź dziewczyna się cieszyła, że przynajmniej co chwila pytał ją o maoryskie nazwy gór i rzek i zapisywał te, które Atamarie знаła. Richard, podobnie jak Atamarie, nie w pełni czuł ducha Parihaka, ale umiał słuchać i już po krótkim czasie spędzonym w maoryskiej wiosce szybko pojał, od czego zależało zachowanie jej dziedzictwa.

Patrząc ze skały, w którymś momencie Atamarie dostrzegła coś, co w pierwszej chwili wydało jej się czymś w rodzaju fatamorgany. Potem chcąc nie chcąc pomyślała o duchach – i wtedy dosłownie krew zastygła jej w żyłach. Na skale naprzeciwko Lion Rock stała jakaś istota przypominająca olbrzymiego ptaka – z początku nieruchomo, ale Atamarie dostrzegła jej twarz, zanim dziwna postać zaczęła się obracać i kręcić. Wyglądało to tak, jak gdyby kłaniała się niebu albo tańczyła *haka*. I rzeczywiście, Atamarie się wydawało, że słyszy fragmenty jakiejś pieśni i strzępy słów niesione wiatrem. Najwyraźniej niczego sobie nie wmawiała, bo Richard także podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. I wówczas oboje dostrzegli, że postać, najwyraźniej w samobójczych zamiarach, podeszła w stronę stromego klifu.

– Richard, patrz!

Przerazona Atamarie chwyciła go za rękę – ale kiedy dziwny stwór zeskoczył z klifu i natychmiast został uniesiony przez wiatr, zrozumiała, że był to ogromny latawiec, *manu* o tradycyjnej formie. Te latawce miały postać czegoś pośredniego między ptakiem a człowiekiem, była to ulubiona forma Maorysów. Jeśli jednak miał to być latawiec – to nie miał linek. Nie było nikogo, kto je trzymał...

– To szybujący aeroplan! – powiedział zaskoczony Richard. – Ale coś takiego nie może latać i zaraz spadnie. Rozpiętość skrzydeł nie jest odpowiednia do jego rozmiarów...

– Byłoby jednak dobrze, gdyby to mogło latać – zauważył Porter, który zdążył już chwycić za lornetkę. – Bo do tego przywiązany jest człowiek.

Atamarie też go już dostrzegła. Podmuch wiatru uniósł latawiec, który rzeczywiście zaczął szybować i unosić się w powietrzu. Wiszący na nim człowiek sprawiał wrażenie ukrzyżowanego – i było całkiem możliwe, że sam się do niego przywiązał.

– On się unosi! – zawołała Atamarie, przerażona, ale i zafascynowana. – Unosi się, unosi... ale... ale czy będzie w stanie tym sterować?

Richard potrząsnął głową.

– On nawet nie jest w stanie szybować. Skrzydła są za małe, a cała forma latawca nie jest idealna. Nadaje się jedynie do dzieciennego latawca, ale nie uniesie tego człowieka. I w ruchu wpadnie w korkociąg... A prędkość startu...

Ale Atamarie już go nie słuchała – najszybciej jak tylko mogła zbiegała z góry. Zrozumiała, że Richard miał rację. Latawiec wystartował dobrze, być może dzięki korzystnym podmuchom wiatru, ale nie mógł utrzymać się w powietrzu. Siła wiatru była zbyt mała – lecz dzięki udanemu startowi latawiec zdołał odlecieć od stromego klifu. I nie spadł w dół jak kamień, tylko rzeczywiście wpadł w korkociąg – dokładnie tak, jak powiedział Richard. Przywiązany do niego człowiek mógł przeżyć upadek do morza tylko dzięki szczęściu.

Atamarie zatrzymała się i zerknęła na Richarda i Portera, którzy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w spadający latawiec z przywiązanym do niego człowiekiem.

– Co wy robicie? Chodźcie, musimy ratować tego człowieka! – zawołała.

Richard ocknął się z osłupienia i zaczął szybko zbiegać na dół. Porter zachował zdumiewający spokój.

– On i tak będzie martwy, jeszcze zanim spadnie na dół – stwierdził.

Atamarie, biegnąc, postukała się w czoło. Czemu ten człowiek miałby umrzeć w powietrzu? Niebezpieczne było jedynie uderzenie o powierzchnię wody – i fale morskie w zatoce. Dziewczyna zbiegała w dół w tempie, które było już ryzykowne – ale wiedziała, że musi znaleźć się na dole jak najszybciej. Jeśli lotnik rzeczywiście był przywiązany do stelaża, mógł utonąć, zanim się uwolni. A nawet jeśli zdoła tego dokonać – to przybój mógł go rzucić na skały. Dobrze przynajmniej, że leciał w kierunku zatoki, a nie na otwarte morze. Skały otaczające zatokę wytlumiały nieco olbrzymie morskie fale. I może zdołają mu pomóc, rzucając w dół linę czy w jakikolwiek inny sposób.

Trójka studentów była już w połowie góry, kiedy wirujący w powietrzu latawiec zanurzył się w wodzie – względnie powoli, jak wydawało się Atamarie. *Birdman*, jak nazywano tę podobną do ptaka formę latawca, zanurzył najpierw jedno ramię, przy czym jedno z jego skrzydeł się złamało. Atamarie się zastanawiała, z jakiego materiału zrobiony był latawiec. Konstruktor najwyraźniej zastosował korę drzewa *aute*. Teraz mogła jedynie przypatrywać się bezradnie, jak ten człowiek walczył o życie. Wszyscy troje byli już na dole i biegli jak najszybciej przez kamienistą plażę. Dzięki temu, że złamało się jedno skrzydło latawca, lotnik mógł uwolnić lewe ramię i teraz próbował rozpaczliwie odczepić linę, którą był przywiązany do stelaża. Latawiec na szczęście ciągle unosił się na powierzchni wody, ale fale przybojowe rzucały nim to w jedną, to w drugą stronę. Przywiązany do niego człowiek co chwila zniknął pod wodą, ale kiedy się z niej wynurzał, powinien być w stanie zaczerpnąć powietrza. Atamarie nie dostrzegała jednak, czy się poruszał.

Kiedy dotarli na brzeg, Richard błyskawicznie zrzucił kurtkę – na szczęście wybrzeże nie było tu strome, choć co prawda linię brzegową tworzyły dość wysokie skały.

– Dobrze pływam! – krzyknął zdyszany. – Wyciągnę go. Ale potem musicie mi pomóc...

Nie dokończył i skoczył ze skały wprost do wody. Atamarie zrozumiała natychmiast, co miał na myśli: łatwo było wskoczyć do wody, ale wyjść z niej cało było prawie niemożliwe z powodu wysokich fal. A ratujący, który ciągnął kogoś za sobą, nie miał właściwie żadnych szans. Atamarie badawczo obserwowała wybrzeże, podczas kiedy Richard szybko zbliżał się do tonącego. Porter przyglądał się wszystkiemu z zainteresowaniem.

– Potrzebna jest nam lina! – Krzyk Atamarie sprawił, że chłopak przestał bezmyślnie gapić się na

wodę. – Musimy coś zrobić! Niechże się pan ruszy!

Porter niósł plecak ze sprzętem do wspinaczki górskiej. Nie było to co prawda wyposażenie potrzebne w terenie takim jak Alpy, lecz tylko sprzęt ratunkowy niezbędny w razie upadku ze skały lub do asekuracji w razie stromego podejścia.

Atamarie gorączkowo przerzucała zawartość plecaka i wreszcie wyciągnęła linę. Richard właśnie dotarł do unoszącego się na wodzie latawca, był więc już najwyższy czas. Przywiązany do niego człowiek nie próbował już wiosłować lewą, wolną ręką – najwyraźniej był nieprzytomny.

– Pearse musi go odciąć – zrozumiał wreszcie Porter. – Mam nadzieję, że ma przy sobie nóż...

Atamarie popatrzyła w tamtą stronę, ale nie miała takich obaw. Richard był dzieckiem wsi, nie wyruszyłby na wycieczkę bez noża w kieszeni.

Rzeczywiście Pearse miał nóż w skórzanej pochwie przy pasku. Mimo wysokich fal zdołał go teraz wyciągnąć i błyskawicznie uwolnił tonącego.

Atamarie z ulgą dostrzegła, że wyciągnął ku niej rękę w geście zwycięstwa. Czyli tonący człowiek żył. Richard ciągnął go teraz w kierunku brzegu.

A Atamarie wiedziała już, jak mu pomóc. Wskazała Porterowi fragment wybrzeża kawałek dalej i znajdującą się tam małą zatokę.

– Nie możemy pozwolić, aby płynął w stronę skały – wyjaśniła. – Naprężymy linę między dwiema skałami, żeby mógł się jej chwycić i po niej przesuwać w stronę brzegu. Tu, między tymi dwiema skałami, niech pan tu wbije hak! I tam dalej drugi! Jazda, Porter, oni za parę minut tu będą! Sama będę na to potrzebowała wielu godzin!

Porter patrzył sceptycznie, ale Atamarie zdecydowanym ruchem wcisnęła mu młotek do ręki. I na szczęście McDougal, mimo że flegmatyczny, był także nadzwyczaj silny. Wbił pierwszy hak dwoma uderzeniami młotka, a Atamarie po prostu go skrzyczała, kiedy zaczął dyskutować na temat miejsca wbicia drugiego.

– Niech pan nie gada, tylko wbije tu ten hak! A jak pan stanie tam, na tym występie, to niech pan nie zleci do wody!

Atamarie niemal wychodziła z siebie, kiedy Porter powoli i z namysłem stawiał nogę we wskazanym miejscu.

– Dobry Boże, Porter, ten człowiek już prawie utonął! – krzyknęła. – A Richard połamie sobie wszystkie kości, jeśli go rzuci na skałę! Niech pan wbije ten przeklęty hak w skałę i napręży linę!

Kiedy Porter, mrużąc coś, zabrał się do pracy, Atamarie owinęła sobie drugą linę wokół bioder. Byłoby lepiej, gdyby Richardowi w decydującym momencie pomógł mężczyzna, Porter był o wiele silniejszy od niej. Ale nie mogła ryzykować, że ten zarozumiały głupiec opuści rannego! Przywiązała więc drugi koniec swojej liny do tej, która była naprężona między skałami, dzięki czemu mogła utrzymać się w wodzie kilka jardów dalej od skalistego brzegu. Potem przywiązała kolejny kawałek liny dla Richarda i zsunęła się do wody. Fale natychmiast zaczęły szarpać jej suknię i gdyby nie lina, rzuciłyby ją o skałę.

Richard zrozumiał natychmiast, co zamierzała. Trzymał nieprzytomnego człowieka jednym ramieniem, drugą zaś ręką zdołał uchwycić się liny. Atamarie obiema rękami chwyciła ratowanego – był to maoryski chłopak o długich czarnych włosach. Trzymała go mocno obiema rękami w oczekiwaniu, aż obaj mężczyźni będą mogli mu pomóc. Jakoż Porter także opuścił się po linie do wody i pomógł Richardowi się podciągnąć. Richard oddychał ciężko, kiedy już wydostał się na skałę, ale po chwili przywiązał się i znów opuścił do wody, podczas gdy Porter dowodził, że można wyciągnąć jednocześnie dziewczynę i ratowanego.

– To niemożliwe – odpowiedział, dysząc. Tracił już powoli siły i oddychał z trudem. – Człowieku,

Porter, nie słyszałeś o sile wyporu? To prawo Archimedes! Atamarie może utrzymać tego człowieka w wodzie, ale za ciężko będzie wyciągać ich razem. Zwłaszcza że jest mokry i może wyslizgnąć jej się z rąk. Ja go wezmę, a ty pomożesz dziewczynie. A potem wyciągniecie po kolei nas obu.

Po kilku minutach Richard i nieprzytomny chłopak leżeli na skale. Richard kaszlał głośno i wypluwał wodę, a chłopak się nie ruszał.

– Mówiłem, że nie żyje – stwierdził Porter.

Atamarie omal go nie spoliczkowała. Obróciła chłopaka na brzuch i próbowała wypompować mu wodę z płuc. Rzeczywiście po kilku jej raczej nieporadnych ruchach chłopak zaczął się dławić wodą i wypluwać ją.

– A jednak! – zawołała Atamarie. – Maorysi to naród żeglarzy, tak łatwo nie toną.

– No, ale już niewiele brakowało – wymamrotał Richard. – Potrząśnijmy nim trochę, może przyjdzie do siebie. Myślę, że nic mu nie jest, ale może jednak uderzył się gdzieś w głowę...

Rzeczywiście chłopak po chwili otworzył oczy i patrzył zmieszany w zaczerwienioną od wysiłku, ale i promieniejącą z dumy twarz Atamarie i jej blond włosy.

– Ha... Hawaiki? – spytał niepewnie.

Atamarie przewróciła oczami.

– No, tak łatwo to nie pójdzie – odparła. – O ile dobrze zrozumiałam moją matkę, musiałbyś najpierw dotrzeć do Cape Reinga, potem przywiązać się liną do drzewa *pohutukawa*, opuścić się w dół i... A może od razu weźmiesz tam swój *manu*? Jak będziesz duchem, to polecisz, bo wtedy nie będziesz nic ważył...

Młody mężczyzna najwyraźniej nie wiedział, czy ma się śmiać z kpin Atamarie, czy też oburzyć się i potraktować to jako obrazę swojej wiary.

– Chciał lecieć na Hawaje? – spytał Porter. – To jest dopiero optymizm! Do Hawajów są setki mil. Lilienthal był dumny, kiedy udało mu się przelecieć sto stóp.

– Lilienthal przeleciał prawie tysiąc stóp – poprawił go Richard. – Także podobną lotnią. Ale o innej powierzchni nośnej. Wyporność wtedy...

Maoryski chłopak słuchał, nic nie rozumiejąc, Porter zaś nie był zbyt zainteresowany.

– Hawaiki – poprawiła go Atamarie. Teoria Lilienthala na temat paralotni nie była dla niej niczym nowym. – To dla Maorysów coś w rodzaju raj. Ale duszom zmarłych nie jest łatwo się tam dostać. Najpierw muszą wędrować na północ, potem opuścić się na linie ze stromego urwiska... On po prostu myślał, że już nie żyje...

– Rawiri – powiedział chłopak, wskazując na siebie. – A ty...

Atamarie się uśmiechnęła. I potem przypomniała sobie ten dzień święta Matariki, kiedy puszczała latawiec razem z pewnym chłopcem. Miała jeszcze przed oczami dziecinną buzię Rawiri. Już wówczas był bardzo szczupły i wysoki jak na Maorysa. Jego duże ciemne oczy o długich rzęsach błyszczały wtedy – jak ciągle jeszcze dziś. Miał łagodną, miłą twarz i z trudem można było sobie wyobrazić, że współ z innymi mężczyznami tańczy *haka* albo gra w rugby. Chłopak nie miał marsowego tatuażu *moko*, a jego wargi były miękkie i jeszcze nieco dziecinne.

– Już wtedy chciałeś latać! – roześmiała się Atamarie. – I ja też. Pamiętasz? I... to była twoja pierwsza próba?

– Moglibyście mówić w zrozumiałym dla nas języku? – warknął Porter.

Atamarie i Rawiri zaczęli wprawdzie rozmawiać po angielsku, ale pod koniec przeszli na maoryski.

Rawiri spróbował usiąść.

– Przepraszam – powiedział. Jak wszyscy mieszkańcy Parihaka, mówił płynnie w obu językach. –

Wy... wy mnie uratowaliście. Dziękuję. Ale... ale gdzie jest *manu*?

– Latawiec – przetłumaczyła Atamarie.

Richard wskazał na morze.

– Jego już nie byłem w stanie uratować – stwierdził. – I tak by się zresztą nie opłacało. Jeśli chodzi o formę, to nie mógłby cię unieść, budując kolejny, musisz kierować się bardziej budową ptaków, a nie pomnikiem bogów.

Richard przypomniał sobie, że widział *birdmana* w domu zebrań w Parihaka.

– I teraz preferuje się raczej dwupłatowce, w każdym razie jeśli chodzi o szybowanie...

– Ale bogowie... – westchnął Rawiri. – *Manu* był poświęcony bogom powietrza. Nie miał zatonać w morzu, on...

– No to bogowie powietrza powinni byli bardziej uważać – oświadczyła Atamarie bez cienia szacunku. – Czym on był obsyty?

– Płótnem żeglarskim – odpowiedział Rawiri. Sprawiał wrażenie wyraźnie przygnębionego. – I był dość drogi...

– I ciężki – dodał Richard. – Zupełnie nienadający się do latania, zwłaszcza w czasie deszczu. Lilienthal użył do tego celu schirtingu, to taki nawoskowany, cienki materiał bawełniany, który...

– Może ten twój latawiec jeszcze przyplynie – zastanawiała się Atamarie, zerkając do zatoki. Argument o kosztach ją przekonał. – To właściwie całkiem prawdopodobne i jeśli kierunek wiatru się nie zmieni, powinien przyplynać...

Zaczęła przyglądać się uważnie wybrzeżu.

– Powinienem być wziąć korę drzewa *aute* albo liście *rampo*. One głaszczą twarz boga nieba... A te materiały *pakeha*... Prawdopodobnie bogowie nie lubią do nich śpiewać.

– Śpiewać? – spytał zdezorientowany Richard.

– Bogowie kierują swoje *manu* poprzez *karakia*, śpiewy i modlitwy – poinformował go Rawiri.

Atamarie westchnęła.

– Ale jeśli chodzi o materiały, to chyba jednak nie robią im zbyt wielkiej różnicy. Moi przodkowie przybyli na Aotearoa na „Elizabeth Campbell” i to był żaglowiec. Czyli bogowie nie mają jakichś zasadniczych zastrzeżeń, jeśli chodzi o płótno żeglarskie, inaczej wszyscy *pakeha* wylądowaliby nie wiadomo gdzie...

Richard, którego nie interesowały rozmowy o bogach, zlikwidował tymczasem wszystkie liny i haki i zapakował je do plecaka Portera. A ten ostatni miał już dość maoryskiej mitologii.

– Cholera, zimno się robi – oświadczył. – Wy nie marzniecie?

Atamarie dopiero teraz uświadomiła sobie, że miała zupełnie przemoczoną suknię. Z powodu wysiłku i stresu w trakcie ratowania Rawiri nie zwracała na to uwagi, ale teraz poczuła, że jej też zrobiło się zimno.

– Słusznie, powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do obozu. Może profesor ma w swoim wozie jakieś suche rzeczy. Przynajmniej dla was... – Spojrzała na mężczyznę z pewną zazdrością. Dobbins z pewnością nie zabrał drugiej sukni dla swojej jedynej studentki.

– Możesz wstać? – zwróciła się do Rawiri.

Chłopak skinął głową. Wszedł ze swej przygody właściwie bez szwanku, jeśli nie liczyć kilku zadrapań i siniaków, które zawdzięczał chyba rozpaczliwej walce ze stelażem latawca w wodzie. Rawiri był już prawie suchy. Mimo zimna ubrany był tylko w tradycyjną maoryską spódniczkę z utwardzonych włókien lnu. Górną połowę ciała miał nagą i Atamarie zauważyła, że chłopak był niezwykle muskularny, choć szczupły. Jednak Richard bardziej jej imponował – zdjął właśnie mokrą koszulę, obnażając szerokie ramiona i znakomicie umięśnioną pierś. Prawdopodobnie pracował

każdego lata na farmie swoich rodziców, o czym świadczyła także opalenizna.

Atamarie się zawstydziała i spuściła oczy, kiedy Richard odwrócił się do niej – miała nadzieję, że nie zauważył jej zaciekawionych spojrzeń!

Ale Richard był jak zwykle uprzejmy.

– Musi ci być zimno, Atamarie... masz moją kurtkę.

Było to wzruszające, bo kurtka Richarda była jedyną suchą częścią ich garderoby. Porter nie pomyślał o tym, aby zdjąć swoją, zanim zanurzył się w wodzie. Ale Richard mógł teraz chronić się przed dokuczliwym chłodem. Atamarie dostrzegła na jego ramionach gęsią skórę.

– Och, przepraszam, zwróciłem się do ciebie przez „ty”, ale...

Atamarie się uśmiechnęła.

– Ja do ciebie przedtem też. Niech już tak zostanie. Chodź!

Wyciągnęła rękę w stronę Richarda, aby pomógł jej wstać – ciągle jeszcze klęczała koło Rawiri. A potem z przyjemnością zawinęła się w jego kurtkę.

Kilka godzin później oboje siedzieli przy ognisku w Parihaka i zajadali słodkie ziemniaki z mięsem. Tym razem otrzymali też gorącą herbatę. Rawiri i jego ratownicy ciągle nie byli w stanie się rozgrzać, powrotna droga w mokrych ubraniach ciągnęła się niemal godzinami. Oczywiście zaraz pod Taranaki też próbowali się ogrzać i wysuszyć przy ognisku, co było trudne, już jeśli chodziło o dzinsy, w które ubrani byli chłopcy. A sukni Atamarie w ogóle nie można było wysuszyć. W końcu wszyscy zdecydowali się na szybki powrót na końskich grzbietach i Atamarie zmarzła jeszcze bardziej, zanim wreszcie mogła się przebrać. Choć co prawda Porter McDougal tym razem potrafił się znaleźć, wygrzebał ze swego plecaka butelkę whisky i nieoczekiwanie dolał jej do herbaty swoich kolegów. Richard i Atamarie nie skomentowali faktu, że w oczach studentów i maoryskich dziewcząt chciał uchodzić za bohatera i robił co mógł, aby wszyscy w to uwierzyli. Zgodnie z jego opowieściami uratował Rawiri prawie sam. Rawiri miał teraz na sobie odzież *pakeha*, która była o wiele cieplejsza, i siedział obok Atamarie i Richarda. Z zafascynowaniem przysłuchiwał się ich rozmowie – a Matariki stwierdziła, że jej córka była już bliżej swojego celu. Bo tym razem dostrzegła w oczach Richarda Pearse’a ów błysk, na który Atamarie tak bardzo czekała w ostatnich dniach. I w ogóle nad obojgiem chyba świeciły gwiazdy, także Atamarie promieniała szczęściem, a pod koniec wieczoru oboje nawet trzymali się za ręce i wreszcie powędrowali na spacer po okolicznych wzgórzach.

– Tylko tematy ich rozmów wydają mi się dość niezwykle – stwierdziła Emere, przyjaciółka Matariki. – Nie chciałam podsłuchiwać, ale kiedy ich mijałam, mówili o systematyce techniki lotu, cokolwiek to jest, i że zgodnie z zasadami fizyki według Lilienthala aeroplany napędzane silnikiem też powinny latać. Nie brzmi to, jakby mieli motyle w brzuchu.

Matariki się roześmiała.

– Atamarie zawsze obserwowała motyle tylko pod kątem formy ich skrzydeł, dzięki której mogą latać... – zauważyła. – Patrząc na sprawę od tej strony, to z tym młodym mężczyzną rzeczywiście łączy ją pokrewieństwo dusz.

Atamarie i Richard wędrowali przez oświetlone księżycem wzgórze otaczające Parihaka i rozmawiali o tym, czy w trakcie zbiegania z nich można by osiągnąć odpowiedni kąt ustawienia powierzchni nośnych lotni i unieść się, czy Lilienthal mógłby uniknąć upadku w Gollenberg, gdyby dało się lepiej wykorzystać termikę powietrza, i czy można osiągnąć większe dystanse w trakcie przelotów tylko za pomocą ustawienia większego kąta i poprzez to obniżonej prędkości lotni. Kiedy Richard wreszcie przyprowadził młodą kobietę przed dom jej rodziców, nieśmiało pocałował ją w policzek na dobranoc.

– Jesteś najcudowniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem – wyszeptał. – Ty... ty... nigdy

nie myślałem, że można aż tak dzielić z kimś myśli i uczucia... Atamarie...

Drobna Atamarie wspięła się na czubki palców i oddała pieszczotę. Była jednak nieco odważniejsza niż on i delikatnie pocałowała jego wargi.

– Któregoś dnia – wyszeptła – będziemy latać razem...

Kiedy się wreszcie rozstali, szła przez ogród rodziców, tańcząc. Tańczyła także w ich domu.

– On mnie kocha! – śpiewała, obejmując matkę. – Och, *mommy*, on mnie kocha! Jesteśmy dla siebie stworzeni. On jest jedynym mężczyzną, z którym mam tak wiele wspólnego!

Rawiri, młody konstruktor latawców, nie myślał już o nędznym położeniu, w jakim znalazł się dzisiejszego dnia. Tak, bogowie nie potrafili docenić jego kunsztu, odmówili mu swego wsparcia w czasie lotu. Prawdopodobnie nie utrafił we właściwe tony i dźwięki, kiedy im śpiewał, aby zakłócić wiatr, tak jak zrobił to bóg Tawhaki, kiedy przekazywał ludziom swą wiedzę poprzez *manu aute*. I może także ci ludzie z Christchurch mieli rację – ów *pakeha* o brązowych kręconych włosach i ta dziwna dziewczyna, która była i nie była Maoryską. Było też możliwe, że bogowie odrzucili formę jego latawca i że on, Rawiri, będzie musiał spróbować jeszcze raz.

A może było to coś jeszcze – może nie wystarczyły *karakia*, może potrzebna była taka wiedza, jaką kiedyś objawił ludziom Tawhaki. *Pakeha* najwyraźniej umieli czasami zrobić z tego prezentu lepszy użytek. Rawiri czuł szum w głowie, kiedy myślał o wykładach Richarda na temat termiki powietrza, napędu, kąta ustawienia i energii przy starcie. Nie ważył się zadawać dodatkowych pytań temu *pakeha*, któremu zawdzięczał życie. Ale może zapyta o to najbliższego ranka dziewczynę. Tę cudowną dziewczynę o jasnych włosach, która wydała mu się pozdrowieniem z rajów, w chwili kiedy nieomal zmartwychwstał. Atamarie – Wschód Słońca. Już jako dziecko miała w oczach ów blask, gdy była mowa o lataniu. Wtedy prawie tego nie zauważył, ale teraz... Bogowie odmówili mu dziś błogosławieństwa w czasie lotu, ale zesłali mu Atamarie.

Dziewczyna, którą mógłby pokochać. Dziewczyna, która dzieliła jego marzenia. Rawiri zwrócił twarz ku gwiazdom i dziękował bogom za Atamarie.

Kiedyś będą latać razem.

SILNE KOBIETY

AFRYKA

EAST LONDON, WEPENER

NOWA ZELANDIA

DUNEDIN, LAWRENCE

1900–1901

ROZDZIAŁ I

Dokładnie w tym czasie, kiedy jego brat planował wesele z Juliet LaBree, Kevin Drury przyplłynął statkiem wraz z całym kontyngentem wojskowym do Albany w zachodniej Australii. Miejsowość leżała w Wielkiej Zatoce Australijskiej – kiedyś mieściła się tu osławiona kolonia karna. Kevinowi wydało się to ciekawe, ciągle przecież miał w pamięci opowieści swoich rodziców, którzy rozpoczęli życie poza Europą jako skazańcy właśnie tu, w Australii. Lizzie i Michaela osadzono na Ziemi van Diemena, a opisy ich pobytu na tej australijskiej wyspie znacznie się od siebie różniły. Bo kiedy Michael opisywał warunki w tamtejszym więzieniu jako wyjątkowo ciężkie, to Lizzie była właściwie całkiem zadowolona. I uciekła tylko dlatego, że molestował ją pracodawca. Ale patrząc teraz na piękne wybrzeże Albany, rozległe plaże i porośnięte zielonym lasem zbocza, Kevin był niemal skłonny przyznać rację matce. Nie mogło tu być aż tak okropnie, zwłaszcza że i klimat wydał mu się bardzo przyjemny. Białe, oświetlone promieniami słońca domy Albany i twierdza Princess Royal były widoczne z daleka, a w pięknym naturalnym porcie, którym była zatoka, stały na kotwicach różne wojskowe statki transportowe, bo także Australia wysyłała do Afryki Południowej kolejne oddziały.

Jednostka Kevina zatrzymała się tu tylko na krótko, aby załoga mogła uzupełnić zapasy i przeprowadzić drobne naprawy statku. Kevin, który zdążył się zaprzyjaźnić z płynącym jego statkiem weterynarzem Vincentem Taylorem, znalazł akurat czas na mały spacer po mieście w celu uzupełnienia zapasów whisky – i na krótką przyrodniczą wycieczkę w głąb lądu, od której Vincent nie dał się odwieść za żadną cenę. Fascynował go świat zwierząt Australii, podczas gdy Kevin nie mógł znieść zwłaszcza żmij, pajaków i wszelkich insektów. I odetchnął z ulgą, kiedy miał za sobą wycieczkę do miejscowego buszu.

– W Afryce też nie będzie brakować zwierząt! – dokuczał mu żartobliwie nowy przyjaciel. – Lwy, nosorożce, gepardy...

Kevin się roześmiał.

– Ale one raczej nie przyjdą do mojego namiotu sanitarnego, czego nie można powiedzieć o tych miłych zwierzątkach tutaj. Te czarne żmije na przykład – jak one się nazywają? I są niemal wszędzie, a jakie jadowite... A mógłbyś potem obejrzeć mojego konia? Mam wrażenie że jakoś dziwnie chodzi. Choć właściwie przyczyna może leżeć po mojej stronie: mój strach przed nadeptaniem na żmiję pewnie mu się udzielił...

Na czas podróży do Afryki Vincent umieścił konia Kevina i swojego na pokładzie.

– Mogą się co prawda spłoszyć, a już w razie sztormu... Ale te przepierzenia pod pokładem są nie do zniesienia, już się na to poskarżyłem. O wiele zbyt duszne dla zwierząt, a już zwłaszcza w tym upale, który nas czeka. Ale oczywiście dowództwo mówi, że jak ludziom jest dobrze, to tym bardziej czworonogom. A oddziały też są stłoczone jak śledzie. Tylko że koń nie zgłosił się do służby dobrowolnie...

Vincent sam najwyraźniej nie był zachwycony. Na wojnę wyruszył ze względów finansowych – ale także, jak zwierzył się Kevinowi po czwartej whisky trzeciej nocy na Oceanie Indyjskim – z powodu nieszczęśliwej miłości.

– Naprawdę nie ożeniłem się z nią dla pieniędzy, choć co prawda nie powiedziałem nie, kiedy jej ojciec chciał mi sfinansować gabinet. Chyba powinienem był sprawdzić, co się kryje za taką wielkoduszością. Później myślałem, że on się po prostu cieszył, kiedy się jej pozbył. On się, że tak powiem, wykupił...

Vincent nalał sobie jeszcze jedną whisky.

– W każdym razie przyprawiła mi takie rogi, że pozazdrościłby mi każdy baran hodowlany. Z początku niczego nie dostrzegałem, ubóstwiałem ją, była przecież taką cudowną dziewczyną, „owcza baronówna”... Ale w końcu mówiło o tym całe miasto. Mary Ann nie darowała żadnemu mężczyźnie, poczynając od pasterza, a kończąc na kupcu zza rogu. Sądzę, że była chora... U klaczy coś takiego nazywa się snębica... – Vincent jednym haustem wypił whisky.

– A u kobiet nimfomania – roześmiał się Kevin. – Ale ona chyba nie ma nic wspólnego z cystami jajników...

Vincent, wysoki młody blondyn, wzruszył ramionami.

– Może tak, w każdym razie w ciążę nie zaszła. Na szczęście! To bardzo uprościło rozwód. Niestety jej *daddy* nie był tak wyrozumiały, kiedy dostał z powrotem swoją księżniczkę. Straciłem gabinet, ale moja opinia była i tak zrujnowana wcześniej... I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, aby ruszyć na wojnę. Dam radę odłożyć trochę pieniędzy, bo przecież żołdu nie będę potrzebował wydawać. I możesz mi wierzyć, że lwy, gepardy i nosorożce mnie nie przerażają. Ani żmije. A w porównaniu z Mary Ann nawet grzechotnik jest miłutki.

Trwająca ponad cztery tygodnie podróż przebiegała spokojnie i bez żadnych incydentów. Kevin i Vincent, jak wszyscy oficerowie, dzielili komfortową kabinę pierwszej klasy. Vincent troszczył się o konie, pilnował, aby miały świeżą wodę oraz by zawsze były wyszczotkowane i myte w czasie upału. Już sam fakt, że się nimi zajmował, dobrze wpływał na ich kondycję; Vincent chodził więc od jednego zwierzęcia do drugiego, przemawiał do nich i głaskał je. Kevin był trochę zaniepokojony. Słyszał, że Burowie nie rozpieszczali swoich zwierząt i nienawidzili przede wszystkim dużych koni Anglików. Oni sami mieli tylko kucyki, które znakomicie się sprawdzały, ale w walce ustępowały pod każdym względem koniom pełnej krwi angielskiej kawalerii. Dlatego też Burowie z pełną premedytacją próbowali ranić albo zabijać konie przeciwników. Z tego powodu Vincent mógł mieć wkrótce więcej pacjentów niż Kevin i z pewnością nie przysłoby mu łatwo patrzeć na śmierć swoich ulubieńców pod gradem kul. Kevin wykorzystywał podróż, aby dowiedzieć się jak najwięcej na temat wyposażenia lazaretów polowych, poza tym jego zadaniem było też prowadzenie kursów pierwszej pomocy dla żołnierzy.

– Na weldzie wasi ranni towarzysze broni mogą być często zdani tylko na waszą pomoc – powtarzał Kevin zdanie, które często słyszał jeszcze w obozie szkoleniowym. – Tak nazywają się w południowej Afryce rozległe, porośnięte krzakami wyżyny, które wcale albo prawie wcale nie są zasiedlone. Wrogie oddziały chętnie się tam ukrywają i nie będzie można od razu odesłać kogoś z was do lazaretu polowego, kiedy będziecie je ścigać. A więc uważajcie, panowie, bo ten kurs może uratować życie wasze albo waszych towarzyszy...

Kevin uczył więc ludzi zakładać opatrunki szynowe i uciskowe. Uważał, że takie szkolenie jest bardzo potrzebne – o wiele bardziej niż szkolenia strzeleckie, w których oddziały musiały wziąć udział jeszcze w obozie szkoleniowym. Choć co prawda młodzi ludzie wychowani na farmach uśmiechali się lekceważąco – ale za to robotnicy pochodzący z miast za mało uczyli się o tym, jak można przeżyć w bitwie. Kevin zapamiętał kilku maruderów i ku swojej radości stwierdził, że czterech z nich znakomicie sprawdzało się w czasie kursu pierwszej pomocy. Był więc zdecydowany mianować ich pielęgniarzami, kiedy tylko lazaret polowy zostanie obsadzony załogą, i miał pełne poparcie ich przełożonych. Przyszli pielęgniarze sprawiali wrażenie ludzi rozsądnych – na razie przynajmniej chyba dokonali słusznego wyboru, decydując się na służbę w lazarecie.

– Jest dla was chyba jasne, że na miejscu będziemy mieli do czynienia z angielskimi oficerami zawodowymi – stwierdził któregoś dnia sierżant w czasie towarzyskiej pogawędki. – A nie wszyscy z nich mają odpowiednio dużo rozumu. Na przykład Buller, naczelny dowódca, o którym słyszy się

nader dziwne opowieści. Ponoć podróżuje z całą kuchnią hotelową, rekwiruje galony wina z miejscowych majątków i wlecze ze sobą stada zwierząt na rzeź, żeby nikt nie głodował. Ale za to któregoś dnia nagle wpada na pomysł, aby wysłać kilka tysięcy ludzi w pole po to tylko, żeby zdobyć jakieś nędzne wzgórze, które nikogo nie obchodzi. Będziemy musieli uważać na naszych żołnierzy.

Ale poza tym wieści na temat przebiegu wojny były jak na razie raczej pomyślne. Po początkowych sukcesach Burów, którzy zajęli kilka ważnych miast, jak Kimberley, Ladysmith i Paardeberg, i utrzymywali je zdumiewająco długo, ruszyła ofensywa angielska. Większość okupowanych miast została wyzwolona i Anglicy powoli przebijali się w głąb lądu, do centrum burskiej republiki. Także Nowozelandczycy świętowali swoje pierwsze zwycięstwa. Co prawda ich zaangażowanie z początku było niewielkie, a pierwsze oddziały poniosły ciężkie straty w Jasfontein, ale po tej klęsce żołnierze zdołali się pozbierać i walczyli dosłownie jak lwy. I już piętnastego stycznia Nowozelandczycy w zażartych walkach odparli atak Burów na swój obóz. Na pamiątkę tego wydarzenia wzgórze, na którym miała miejsce potyczka, otrzymało nazwę New Zealand Hill.

– Pewnie ziemia nie jest tam za bardzo ceniona, skoro musimy nadawać nazwy byle górkom – zauważył sceptycznie Vincent, kiedy oficerowie na statku oblali ten sukces alkoholem. – Kiedy pomyślę, że u nas wszystko ma dwie nazwy...

Większość gór, jezior i pozostałych obiektów geograficznych oznaczonych na mapie znana była pod nazwą maoryską i pod nazwą *pakeha*.

– Pierwsi osadnicy chyba nadawali tym górcom nazwy – zauważył Kevin. – Tylko Burów to zupełnie nie obchodzi. Oni nie wiedzą nawet, jak nazywały się pierwotnie mieszkające tam szczepy. A może sądzisz, że chrzcili Hotentotów czy innych Kafrów?

– Swoją drogą ciekawe, jak oni się zachowują w czasie tej wojny. – Vincent uniósł brwi. – Popierają Burów czy Anglików?

– Chyba nie opowiadają się po żadnej ze stron – odpowiedział sierżant, który wiedział nieco więcej o sytuacji w południowej Afryce niż pozostali oficerowie. Sierżant był jednym z niewielu żołnierzy zawodowych i przedtem służył w małej armii Nowej Zelandii. Tam jednak nigdy nie doszło do żadnego kontaktu z wrogiem, od czasów wojen maoryskich minęło już wiele lat. Sierżant Willis zgłosił się dobrowolnie natychmiast, kiedy tylko mógł mieć nadzieję, że wreszcie kule zaczną mu świstać koło uszu.

– W każdym razie Anglicy chcą, żeby tubylcy trzymali się od tego z daleka – mówił dalej sierżant. – Dlatego od nas nie przyjechał żaden oddział złożony z Maorysów... I to mimo że ci chłopcy walili tłumnie do biur rekrutacyjnych. Anglicy nie chcą, aby wszystko stało się jeszcze bardziej skomplikowane, niż i tak już jest.

Po pięciu tygodniach dość nudnej podróży, w czasie której oficerowie zabijali czas, prowadząc niekończące się dyskusje, a żołnierze organizowali równie niekończące się walki bokserskie, nowozelandzki kontyngent wojskowy dotarł do miasta East London. Co prawda pierwotnie statek miał zawinąć do Beira, jak poprzednie statki wiozące oddziały wojskowe, ale jeszcze na morzu dowódca oddziału, major Jowsey, otrzymał radiotelegram, że wojsko jest potrzebne w Wolnym Państwie Oranii, jednej z powstańczych republik burskich. Tu, na wschodzie i zachodzie, miały miejsce liczne potyczki i przede wszystkim ataki na linie kolejowe.

Jednak sam East London sprawiał wrażenie miasta wręcz idyllicznego – i o wiele spokojniejszego niż jego wielki imiennik. Leżało ono na wyjątkowo pięknym fragmencie wybrzeża, gdzie na przemian pojawiały się rozległe piaszczyste plaże, zielone wzgórza i skały o dziwnej, czerwonej barwie. Samo miasto składało się z bardzo zadbanych, pomalowanych na biało domów, a otaczały je liczne farmy. Panował tu przyjemny subtropikalny klimat, piękne, szerokie ulice obsadzone były palmami

i kolorowymi kwiatami. A ponieważ znajdowało się tu także ujście rzeki Buffalo River, miejscowość była też jedynym portem rzeczny południowej Afryki.

Co prawda ów port był raczej mały i Vincent niepokoił się o wyładunek koni. Czekąca go jednak przyjemna niespodzianka. Wszyscy pracownicy portowi mówili płynnie po angielsku, także z drobnymi ciemnoskórymi pomocnikami, którzy pomagali przygotować rampę wyładunkową, można się było bez trudu porozumieć.

– Myślałem, że oni tutaj mówią po niderlandzku – powiedział Kevin do jednego z angielskich oficerów, którzy witali przybyłe oddziały. – A jeśli chodzi o tubylców, to też wyobrażałem sobie, że mają ciemniejszą skórę...

Colonel się roześmiał.

– East London ma angielskie korzenie – wyjaśnił młodemu lekarzowi. – Dawniej był to posterunek wojskowy i baza obronna przeciwko tubylcom. Khosa to bardzo wojowniczy lud, choć nie tak agresywny jak Zulusi. Po wojnach krymskich przyjechali tu najpierw niemieccy osadnicy. Ale ci znali angielski, bo służyli w legionie niemiecko-brytyjskim. Ta miejscowość należy do nielicznych, które były od początku angielskie, tu prawie nigdy nie było Burów. Oni w ogóle nie lubią mieszkać na wybrzeżu. Bur to właściwie znaczy „rolnik” i należy to rozumieć dosłownie. Ci ludzie wolą mieszkać na wsi, nie lubią obcych, a ich dzieci chodzą do szkoły tylko do chwili, kiedy nauczą się czytać Biblię. Podróże morskie i handel nigdy ich za bardzo nie interesowały. Kiedy Kompania Wschodnioindyjska splajtowała, cały handel na Przylądku Dobrej Nadziei znalazł się w rękach hugenotów, którzy tymczasem tu przyjechali, albo też w rękach Żydów. A teraz jest także w rękach Anglików. A poza tym centrum handlowym kraju jest raczej Durban. East London jest miły, ale nieco nudny...

– A tubylcy nie protestują przeciwko obecności tylu imigrantów i ciągłym zmianom własności?

Kevin ciągle spoglądał na zadziwiająco jasnoskórych i bardzo sympatycznych robotników portowych.

– Tubylcy bardzo się między sobą różnią, każdy szczep jest inny. Nie tylko jeśli chodzi o wygląd, ale także zachowanie. Ci koło Kapsztadu byli bardzo przyjaźni – ale Holendrzy niemal ich wytrzebili. Ale owi drobni ludzie o brązowej skórze to Hindusi z oddziałów pomocniczych armii. Pracują także jako pielęgniarze, przydzielę panu kilku do służby. Są bardzo pracowici i zręczni.

Kevin zmarszczył czoło.

– Chce pan powiedzieć, że nie ma już w ogóle miejscowych czarnoskórych? Ale czy w tej wojnie nie chodzi o to, aby skończyć z niewolnictwem?

Colonel się uśmiechnął.

– Pod pewnymi względami tak – mruknął. – I oczywiście są tu czarnoskórzy tubylcy. Ale ci Khosa tutaj i Zulusi z okolic Durbanu to nie jest dobra siła robocza. Czarni jak noc i przede wszystkim wojowniczy. Mogliśmy ich natychmiast zwerbować do zmasakrowania Burów. Oni mają w tym swoje tradycje i lubią to robić. I niech mnie pan nie pyta, dlaczego nasze dowództwo nie chce o tym słyszeć – ale tam prawdopodobnie się boją, że Zulusi potem zrobią to samo z Anglikami. A praca na farmie... Ścinanie trzciny cukrowej na plantacjach koło Durbanu... Czegoś takiego to oni nie będą robić! I robią to praktycznie tylko wtedy, kiedy są niewolnikami, co u Burów jest oczywiste, jak pan słusznie zauważył, i także dlatego prowadzimy tę wojnę.

Uśmiech colonela zamienił się w ironiczny grymas – oficer wiedział zapewne, że w tej wojnie chodziło raczej o bogactwa naturalne, a nie o prawa ludzi.

– Tu w każdym razie nikogo nie zmuszamy do pracy ponad siły, pozwalamy ludziom robić to, na co mają ochotę. Większość ludzi mieszka dalej, w głębi kraju, uprawiają ziemię, hodują bydło...

Kevin skinął głową i przyłączył się do Vincenta, który nadzorował wyładunek koni. Młody

weterynarz był bardzo zadowolony ze stanu swoich podopiecznych i mówił coś do swojej klaczy Colleen. Kevin też sprowadził swojego siwka ze statku.

– Dlaczego nie ruszamy dalej? – spytał Kevin i był przyjemnie zaskoczony, kiedy się dowiedział, że oddziały miały tu zostać przez kilka dni w celu aklimatyzacji.

– Chyba wyciągnęli wnioski z tej katastrofy pierwszego kontyngentu; oni poszli do bitwy praktycznie po zejściu ze statku – stwierdził z zadowoleniem sierżant Willis i zarządził na następne dni ćwiczenia z końmi. Vincent jednak zaprotestował, mówiąc, że dla koni będzie lepiej, jeśli po długiej podróży na statku powoli rozprostują nogi i dojdą do siebie bez jeźdźców, biegając na wielkich padokach wokół koszar.

– Tutaj to się nazywa *kraal* – wyjaśnił nowy przyjaciel Kevina, colonel Ribbons, najwyraźniej także miejscowy. Później powiedział, że pochodzi z Kapsztadu. – Zresztą tak samo nazywają się wioski tubylców...

– No, ten fakt sporo mówi o traktowaniu czarnych w tym kraju – zadrwił Vincent. – Nie do pomyślenia, co powiedzieliby Maorysi, gdybyśmy wpadli na pomysł, aby nasze zagrody dla bydła nazwać *marae*...

Ribbons wzruszył ramionami.

– Tu współzycie z nimi nie zawsze jest pokojowe – stwierdził. – Patrząc z zewnątrz, każdy kłóci się z każdym. Ale stosunki między czarnymi i białymi rodzinami są nieraz bardzo zażyłe. A większość burskich oddziałów ma swoich tropicieli śladów – a ci są bardzo dobrzy w tym, co robią, i całkowicie lojalni! Podobnie jest po stronie angielskiej. Oficjalnie nie ma wprawdzie czarnych oddziałów pomocniczych, ale niektórzy oficerowie nie zrobią nawet kilku kroków bez swoich „bojów”. W mesie oficerskiej też służy kilku czarnych. Co panowie na to, abym was tam teraz zaprowadził? Wypijemy piwo za szczęśliwą podróż – a jeśli jutro czy pojutrze będziecie mieli ochotę, a wasze konie wypoczną, to chętnie zabiorę was też na weld. Tu w okolicy jest wiele ciekawych zwierząt...

Pierwsze dni, które Kevin i Vincent spędzili w Afryce, rzeczywiście bardziej przypominały urlop niż wojnę. Choć oczywiście Kevin oraz dwóch pozostałych lekarzy organizowali swoje lazarety polowe, a Vincent zajmował się końmi. Był jak na razie jedynym weterynarzem w całym East London, bo jego koledzy byli już w drodze z oddziałami bojowymi. Dlatego też zgłaszali się do niego wszyscy okoliczni farmerzy, a Vincent z dumą opowiadał o nowo narodzonych cielętach i uratowanych od kolki koniach.

– Tylko Burowie się tym w ogóle nie interesują – stwierdził prawie ze smutkiem, kiedy trzeciego dnia swego pobytu rzeczywiście obaj jechali z colonelem Ribbonssem do buszu.

– Burowie? – spytał Kevin. – Myślałem, że ich tutaj nie ma.

Ribbons przytaknął.

– Jest tylko kilku, nazywamy ich Kap-Burami, bo większość mieszka w Kolonii Przyładkowej. Są pokojowo usposobieni do Anglików, Anglicy w stosunku do nich także, nawet zawierają z nimi małżeństwa w wyjątkowych wypadkach...

Kevin musiał się roześmiać.

– W wyjątkowych wypadkach?

Ribbons jednak zachował powagę.

– Burska dziewczyna, która wżeni się w angielską rodzinę, jest potem dla tych ludzi niczym, traktują ją niemal tak samo źle, jak gdyby wzięła sobie czarnoskórego kochanka. A przy tym ich ojcowie nie muszą za bardzo pilnować swoich córek, one same zachowują się tak, jak gdybyśmy my, Anglicy, byli wcielonymi diabłami. To już prędzej któryś z ich młodych mężczyzn zakochuje się w angielskiej dziewczynie, choć oczywiście tu też są trudności. Mój szwagier jest Burem, właścicielem winnicy, dlatego mam z tym do czynienia we własnej rodzinie. Nie mamy w ogóle nic przeciwko

Pieterowi, ale od kiedy Joan za niego wyszła, prawie jej nie widzimy. On sam też prawie nigdy do nas nie zagląda, wydaje mi się, że jego rodzina robi mu piekło, kiedy odwiedza teściów. W jego wsi akceptują jakoś Joan – lecz tak jest tylko do chwili, kiedy nie mówi po angielsku. Ale na przykład w kościele wszyscy unikają Pietera. A on chętnie objąłby tam jakieś stanowisko – kościół jest bardzo ważny dla Burów – ale na to nie ma szans. I jak mówiłem: Kap-Burowie są jeszcze dość umiarkowani, oni też nie opowiadają się po żadnej stronie w tej wojnie. Za to inni...

– W każdym razie nie chcieli, abym zajął się ich kucykiem – stwierdził Vincent z żalem. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słyszał słów colonela. – Ich angielski sąsiad chciał mnie tam zaprowadzić, bo już od kilku dni patrzy na to biedne bydlę ze spuchniętą nogą w swoim *kraalu*. To postrzał, trzeba robić okłady z kwasu karbolowego. A ten Bur po prostu sika na to, dosłownie. To w zasadzie też jest dobre, ale należałoby najpierw zbadać ranę. Jeśli jest głęboka, to ta, hm... ciecz nie dociera do środka.

Kevin i Ribbons się śmiali.

– Burowie mają swoje domowe lekarstwa – stwierdził Ribbons. – I nie można ich odwieść od ich stosowania, co do tego niech pan nie robi sobie nadziei. Tutaj prawie nie ma lekarzy. Nie tylko konie zdychają, ludzi też wykańczają choroby, które można wyleczyć. Na wojnę Burowie zabierają również swoje żony – całkiem poważnie, one jadą za oddziałami wozami zaprzężonymi w woły i leczą mężów. Z amputacjami włącznie. To twardy lud, także kobiety. I bardzo wierzący... W beznadziejnych przypadkach po prostu się modlą.

Kevin był coraz bardziej zaintrygowany i prawie nie mógł się doczekać jakiegoś osobistego spotkania z Burami. Najpierw jednak dane mu było poznać czworonożnych mieszkańców kraju. Tuż za East London zaczynał się Weld – wyżyna porośnięta głównie trawą, trochę podobną do nowozelandzkiej trawy *tussock*. Ale rosły tu także niewielkie grupy drzew o dość osobliwych formach i niskie krzewy. Kevin był bardzo zaskoczony, kiedy zobaczył wychodzącą z nich brązową antylopę – a zaraz potem całe ich stado.

– To impala – wyjaśnił Ribbons. – Burowie nazywają je *rooibok*.

I wówczas koń Kevina Silver wpadł niemal w panikę, kiedy spomiędzy dwóch drzew wysunęła się spokojnie przeżuwiająca żyrafa, z pyskiem jeszcze pełnym liści.

– Niewiarygodne! – zachwycił się Vincent. – A lwy też tu są?

– Nosorożce – uśmiechnął się Ribbons. – Ale żeby je zobaczyć, musielibyśmy pojechać dalej w głąb kraju i mieć trochę szczęścia. One są bardzo szybkie i nie powinniśmy podchodzić do nich zbyt blisko, bo mogą zaatakować.

Kevin doskonale rozumiał, dlaczego jego koń nie miał zbyt wielkiej ochoty na spotkania z większymi zwierzętami żyjącymi na weldzie. Jego pan wiedział wprawdzie, że żyrafa nic mu nie zrobi, ale mimo wszystko było dość niesamowicie znaleźć się między egzotycznymi zwierzętami w okolicy, gdzie nie było żadnej ochrony w postaci płotów czy jakichkolwiek ogrodzeń. Kevin chwycił za broń, kiedy tylko coś się ruszało w buszu, a Vincent z zachwytem wykrzykiwał nazwy poszczególnych gatunków antylop. Te zwierzęta wcale nie wydawały się Kevinowi zupełnie bezbronne. Silver znów przeraził się wprost śmiertelnie, kiedy w ich stronę zaczął galopować samiec gnu wielkości dobrze wyrosniętego byka, który zamierzał bronić swojego terenu.

I w końcu minęli prawdziwy *kraal*, wioskę tubylców. Kevinowi wydała się ona o wiele bardziej prymitywna niż wioski maoryskie, ale tu oczywiście było o wiele cieplej, niepotrzebne były tak solidne budowle jak u Maorysów. Wieś składała się z kilku okrągłych chat, także całe osiedle tworzyło krąg. Ogrodzenie stanowiła ściana kolczastych krzewów, która najwyraźniej wystarczała jako osłona przed dzikimi zwierzętami.

– Także jako obrona przeciwko innym tubylcom uzbrojonym w oszczepy w zasadzie wystarczy –

stwierdził Ribbons. – Ale nie przeciwko broni palnej. Dawniej takie wsie były niemal obozami wojskowymi i były też o wiele większe. Ale czarni już od dawna nie triumfują – cieszą się, że ich zostawiamy w spokoju.

To ostatnie wydawało się prawdą, ludzie w *kraalu* zerkali wprawdzie na jeźdźców podejrzliwie i sceptycznie, ale też próbowali ich zignorować. Nie można ich było porównać do Maorysów, którzy także w stosunku do *pakeha* byli bardzo gościnni.

– Raj po prostu! – rozmarzył się wieczorem Vincent.

Kevin milczał. Bez wątpienia Afryka Południowa była piękna, jednak nie czuł się zbyt dobrze w tym kraju. Może słusznie, że Brytyjczycy zaprowadzą tu pokój i porządek. Ale być może z tego powodu będzie tu jeszcze gorzej.

ROZDZIAŁ 2

– Jutro ruszamy, mamy pomóc uwolnić Wepener – oświadczył następnego dnia swoim oficerom major Jowsey. – I jeśli nikt z was nie słyszał jeszcze nic na temat tej dziury...

Mężczyźni się roześmiali, bo oczywiście ta nazwa już wszystkim coś mówiła.

– Chodzi o małe osiedle niecałe trzysta mil na północ stąd, nad Jammerdrif – to dopływ rzeki Caledon...

Odpowiedzią były znów śmiechy i jęki. Najwyraźniej nikt nie interesował się geografią Afryki Południowej. Major Jowsey, drobny, dziarski mężczyzna z wielkimi wąsami, bynajmniej nie był tym zniechęcony i rozłożył na stole mapę.

– To centralny punkt miejscowego rolnictwa – wyjaśnił i wskazał na niewielką miejscowość przy granicy obszaru należącego do plemienia Basuto. – Tam są, albo właściwie były, największe młyny zbożowe południowej Afryki.

– To jest kraj Burów! – Kevin postanowił zrobić użytek ze swej dopiero co nabytej wiedzy, kiedy major przerwał, nie wiedząc, co mówić dalej. – Farmy, pola, hodowla bydła... Tam wróg ma swoje osady. Tylko nie jedźcie do najbliższego gospodarstwa, jeśli któryś z was będzie ranny albo oddział się rozproszy. Bądźcie ostrożni. Miejscowi mówią, że kobiety Burów strzelają równie dobrze jak ich mężowie!

Mężczyźni znów się roześmiali, ale major skinął głową z całą powagą.

– Słuchajcie doktora, on ma zupełną rację. Wepener leży na skraju Wolnego Państwa Oranii, czyli jest to gniazdo rebeliantów zawsze trzymane w szachu przez garnizon brytyjski liczący dwa tysiące ludzi, który Burowie teraz oblegają. Trwa to już cały tydzień, a my należymy do oddziałów, które mają ich przepędzić. Ludzie czekają tam na nas. A więc ruszamy wczesnym rankiem i będziemy jechać szybko!

Dotyczyło to także Kevina, który miał tu zostawić już zapakowany na wóz lazaret polowy.

– Proszę załadować na dwa konie to, co najpotrzebniejsze – rozkazał Jowsey – bo wychodzimy z założenia, że także inne oddziały będą mieć ze sobą lekarzy, środki opatrunkowe i lekarstwa. Jakies oddziały muszą tam być w pobliżu. Nam zalecono przede wszystkim szybkość, ta miejscowość musi być wyzwolona.

Nowozelandczycy jechali najpierw cały dzień przez weld i nawet Silver przyzwyczał się po kilku godzinach do wszechobecnych stad antylop. Potem wjechali w górzystą okolicę, która wymagała od koni znacznie większego wysiłku. Wieczorem mężczyźni rozbili swoje namioty u stóp gór na wzgórzach, skąd widać było rozległe wyżyny. Okolica wydawała się zupełnie niezamieszкана. Może byli tu gdzieś tubylcy, ci jednak się nie pokazywali.

– Dalej będzie niebezpiecznie – oświadczył major rankiem szóstego dnia, kiedy zostawili za sobą góry. Przed nimi leżały żyzne niziny, rolniczy kraj Burów.

– Oto Wolne Państwo Orania – pouczał Ribbons, który towarzyszył Nowozelandczykom jako miejscowy przewodnik. – Założyli je Burowie po aneksji Kolonii Przylądkowej przez Brytyjczyków, którzy zabronili niewolnictwa! To Burom nie odpowiadało, więc zaczęli się wynosić w głąb lądu. Jechali na wozach zaprzężonych w woły, co musiało być bardzo uciążliwe. Dziś oni to nazywają Wielkim Trekiem. Ale wewnątrz lądu też nie było niezamieszkanego, żyli tu Zulusi, Soto, Tswana... I oni nie zamierzali oddawać Burom swojej ziemi. Doszło do krwawych walk, inne kolonie rolnicze zrezygnowałyby. Ale nie Burowie, ci się przedarli – Anglia zaś w końcu uznała ich państwo...

– Aż znaleziono tu złoto – uśmiechnął się Kevin.

Ribbons zmarszczył czoło, mrugając przy tym porozumiewawczo.

– Oficjalna wersja brzmi, że my nie możemy ścierpieć, jak oni traktują obcokrajowców i tubylców. A poza tym te liczne prowokacje i...

– ...i diamenty – uzupełnił sucho Vincent. – Dobrze już, na pewno zjawimy się tam jako oswobodziciele.

Choć to raczej Burowie przybyli do tego kraju jako zdobywcy, wykazując się znakomitą wyczuciem, jeśli chodzi o żyzną, nadającą się do uprawy ziemię i łąki. Dziś było tu niewiele niezagospodarowanych terenów, kiedyś zamieszkałych przez antylopy gnu, i prawdopodobnie już od dawna nie widziano tu nosorożca. Wszędzie ciągnęły się pola, na których uprawiano różne zboża i warzywa. Niektóre były gotowe do zbioru i gdzieś tam jeźdźcy widzieli pracujących na polach ludzi: byli to głównie czarni robotnicy, czasem także białe kobiety, dziewczęta i mali chłopcy. Nikt nie zwracał uwagi na przejeżdżające oddziały, co Kevinowi przypominało zachowanie mieszkańców tubylczej wioski na wyżynie weldu. Czarni robotnicy nawet nie podnosili głów, biali zaś obrzucali mundurowych spojrzzeniami pełnymi nienawiści.

– Dobry Boże, ten mały sprawia wrażenie, jak gdyby miał zamiar do nas strzelać! – zauważył Vincent, kiedy mijali pole pszenicy, na którym pięciu wysokich czarnych robotników pracowało pod nadzorem najwyższej dziesięcioletniego białego chłopca. Dziecko spojrzało na jeźdźców z nieukrywaną wściekłością.

– Mamy szczęście, że tego nie robi – odpowiedział Ribbons poważnie. – Prawdopodobnie jego *mommy* odebrała mu flintę, bo także się tego boi, a jej synek chciał jednak coś zatrzymać. Pomijając flintę, bo tę odebrali byśmy mu także. Właściwie ci ludzie powinni oddać całą broń, te obszary są już od dawna w rękach angielskich i już odbieraliśmy im to wszystko. Ale proszę nie robić sobie żadnych iluzji, oni są ciągle uzbrojeni po zęby, nikomu nie radziłbym iść na jedną z tych farm. A jeśli chodzi o czarnych – mówiłem, oni są wobec nas lojalni. Może dlatego, że nie pozostaje im nic innego. Ich szczepy zostały rozbite, ziemia od dawna należy do białych... Jeśli nie chcą umrzeć z głodu, to nigdzie się nie ruszają i słuchają swojego *baas*, jak tu nazywają białych panów. I ich dzieci.

Tymczasem żołnierze dostrzegli też pierwsze farmy – a te Kevinowi i Vincentowi przypominały ich własne domy. Oczywiście nie były w ogóle podobne do feudalnych dworów „owczych baronów”, ale przeciętne farmy Burów dało się śmiało porównać do mniejszych posiadłości na Canterbury Plains. Były to zwykłe, proste drewniane domy z werandami, przy czym te ostatnie były o wiele większe niż w Nowej Zelandii – z tej prostej przyczyny, że tu codzienne życie toczyło się częściej na zewnątrz. Domy Burów były nieco bardziej masywne i stabilne, ich właściciele oszczędniej też obchodzili się z farbami. Czasami używano też gliny zamiast drewna, zapewne wzorem tubylców. Domy były zupełnie pozbawione ozdób i bardzo funkcjonalne, egzotyczne wrażenie sprawiały jedynie okrągłe, stojące nieco dalej chaty, w których mieszkali czarni robotnicy.

– Domy wokół East London są jednak ładniejsze! – zauważył Vincent, który odwiedził tam kilka farm i opowiadał właśnie, że są większe, bardziej oryginalne i wykończone łukowatymi zwieńczeniami, które trochę zdobiły proste fasady.

– Najpiękniejsze domy są w Kolonii Przylądkowej. – Ribbons musiał pochwalić swoją ojczyznę. – Tam można często spotkać winnice, a ich właściciele nie skąpią pieniędzy na nic. W końcu od nich można oczekiwać jakiejś radości życia. A tu ludzie w ogóle nie chcą słyszeć o alkoholu. Ich przywódca, ten Ohm Krüger, nawet przy stole u niemieckiego cesarza zażądał mleka zamiast wina! Oni tylko się modlą i pracują, i są twardo przekonani, że to Bóg sprowadził ich do tego kraju, zupełnie tak jak kiedyś sprowadził Żydów do Izraela. I trzymają się tej ziemi pazurami. Ciężko będzie na tej wojnie...

Kevin miał wkrótce otrzymać jej przedsmak. Po czterech dniach szybkiej jazdy dotarli w końcu do

Wepener i dowódca angielskich sił zbrojnych zebrał swoją armię na rozległym polu, skąd rozpościerał się widok na łańcuch wzgórz. Na nich właśnie ufortyfikowały się wojska oblegające miasto i to te wojska chciano zaatakować. Armia przybywająca z odsieczą oprócz Nowozelandczyków składała się także z jednostek szkockich i australijskich, a ich dowódcy musieli się najpierw porozumieć między sobą, zanim dali sygnał do ataku. Naprzód kazali swoim ludziom zbudować obóz i czekać.

Kevin nie za bardzo mógł się przyglądać przygotowaniom do bitwy, bo został odkomenderowany do doktora Barristera, dowodzącego lekarza sztabowego, który był majorem, ale najwyraźniej nie przywiązywał do tego zbytnej wagi. Używał rozkazującego tonu w granicach rozsądku i był zachwycony zapasami lekarstw i opatrunków na dwóch jucznych koniach.

– To dobrze, kiedy ludzie odczytują czyjeś myśli – pochwalił. – Będziemy potrzebowali wszystkich materiałów opatrunkowych, jakie tylko uda nam się zdobyć. Wszystkie oddziały przybyły tu tak prędko, że wozy z wyposażeniem nie mogły nadążyć i jeszcze nie dotarły. W każdym razie kuchnia polowa jest już całkowicie wyposażona, do tego nasz nieoceniony naczelny dowódca Redvers Buller przywiązuje wielką wagę: nikt nie może umierać z pustym brzuchem.

Najwyraźniej Barrister nie darzył zbyt dużym szacunkiem Bullera, który co prawda miał być wkrótce zastąpiony przez lorda Robertsa i jego adiutanta Kitchenera.

– No to nie mamy żadnych namiotów – zauważył Kevin. – Jak mamy opatrywać rannych, pod gołym niebem?

– Mamy jeden namiot – odparł Barrister. – Wycygańmy go od załogi kuchni. Ale wystarczy oczywiście tylko na czas zabiegów. Potem zarekwirujemy farmę.

– Co zrobimy, sir? – spytał z niedowierzaniem doktor Tracy, australijski lekarz.

Barrister się roześmiał.

– Też jesteście pierwszy raz na wojnie, co? Słuchajcie więc: rekwirowanie własności pokonanego przeciwnika jest powszechną praktyką w czasie zbrojnych konfliktów między różnymi narodami. Po prostu zabiera się wrogowi to, co jest potrzebne. W przypadku farmy to nic złego, bo ci ludzie dostaną swój dom z powrotem. Ruszajmy w drogę i poszukajmy najbliższego majątku. Zakładam, że każdy z was już kiedyś strzelał.

Lekarze – Kevin, rudowłosy Szkot nazwiskiem McAllister oraz Australijczyk, sprawiający wrażenie delikatnego intelektualisty, spojrzeli na niego z urazą. Co prawda ten ostatni nie sprawiał wrażenia kogoś, kto umie strzelać, ale oczywiście miał za sobą podstawowe przeszkolenie. I teraz zapytał z oburzeniem:

– Sądzi pan, że będziemy musieli strzelać?

Barrister wzruszył ramionami.

– Na tej wojnie trzeba być przygotowanym na wszystko. Jak właściwie na każdej, ale ci Burowie dadzą nam jeszcze w kość. A więc ostrożnie. Zabieramy ze sobą cały nasz sztab, żołnierze pielęgniarze mają się uzbroić, a Hindusi mają próbować wyglądać tak, jak gdyby byli uzbrojeni.

Czterej indyjscy pielęgniarze, którzy służyli chyba dłużej u Barristera, skwitowali tę uwagę przyjaznymi śmiechami. Atmosfera była tu najwyraźniej dobra. Kevin także poczuł się lepiej.

– A więc jazda, ludzie, wie ktoś, gdzie jest najbliższa farma?

Najbliższą farmę znaleźli zaraz za drugim wzgórzem i była to bardzo zadbana i pięknie położona posiadłość. Dom stał tuż nad rzeką i trochę przypominał Kevinowi dom jego rodziców. Choć tutaj uprawiano ziemię, nie zaś hodowano owce, zamiast szop do strzyży były tu stodoły i silosy zbożowe, a zaraz za ogrodem i przydomowymi łąkami, na których teraz nie było ani wołów, ani koni, zaczynały się pola. Dotychczas nie sprzątnięto z nich plonów, a było to już naprawdę konieczne. Nikt też nie pracował na dworze, właściciele obawiali się chyba maszerującej armii i zabarykadowali się w domu.

– Może uciekli, co byłoby najlepsze – powiedział Barrister, ale energicznie powstrzymał swoich młodych lekarzy, kiedy ci chcieli po prostu wjechać konno na podwórze.

– Zsiąść z koni i zostawić je na zewnątrz! – rozkazał. – I założyć hełmy, broń gotowa do strzału, ogólna gotowość do walki. Idziemy powoli do przodu, każdy pod osłoną towarzysza.

– Zupełnie jakbyśmy mieli atakować twierdzę – powiedział Kevin do rudowłosego Szkota, kiedy obaj ukryli się za drzewem, osłaniając pozostałych. – Będzie dopiero głupio, kiedy dom okaże się pusty.

Szkot prychnął lekceważąco.

– Pański poprzednik też tak mówił – odparł. – I wtedy z domu zaczęli strzelać ze wszystkich okien. Tam, koło Ladysmith, sytuacja była bardzo podobna. Kompania sanitarna straciła trzech ludzi.

Kevin przełknął ślinę i po raz pierwszy w czasie pobytu w Afryce poczuł gwałtowne bicie serca. Szybko pobiegł do przodu i ukrył się za stodołą. Także pozostali żołnierze w podobny sposób zbliżali się krok za krokiem do domu i w końcu znaleźli się tak blisko, że zobaczyli dwie lufy strzelb, wycelowane wprost w nich z prawego i lewego okna po obu stronach drzwi wejściowych.

– Ani kroku dalej! – usłyszeli kobiecy głos. Należał z pewnością do młodej kobiety, ale był bardzo zdecydowany. – Jak ktoś podejrze bliżej, będziemy strzelać!

Kobieta mówiła poprawną angielszczyzną, ale z wyraźnym obcym akcentem.

Barrister podniósł głos.

– Niechże pani będzie rozsądna, Miss, nazywam się Barrister, major Barrister, komendant piątego ambulansu polowego. Chcemy zorganizować na pani farmie lazaret polowy. I nie zamierzamy pani przepędzić, tylko chcemy, aby udostępniła nam pani jedną ze swych stodół... I może jeden albo dwa pokoje dla lekarzy.

– Nic pan nie dostanie! – Dziewczyna podkreśliła swoje słowa salwą z broni. Kule uderzyły w czerwony piasek tuż przed Barristerem.

– Nie może się pani sprzeciwiać, to nasze prawo.

– Prawo?!

Kobieta strzeliła celniej, a Barrister ledwo zdążył się ukryć za drzewem.

– Nie macie w ogóle żadnych praw! Ani do tego kraju, ani do tej farmy! Wynoście się!

Barrister podniósł rękę i pierwsi pielęgniarze otworzyli ogień. Pomysł wykorzystania żołnierzy nieudaczników Kevin uznał teraz za wręcz fatalny. A w dodatku nie miał ochoty na zbrojną potyczkę z młodą kobietą. Przyjrzał się dokładniej posiadłości. Od frontu dom nie miał werandy, ale wydawało się raczej nieprawdopodobne, że jej w ogóle nie było. Zapewne znajdowała się z tyłu, od strony rzeki. Czyli musiały tam być drugie drzwi.

– Niech pan idzie ze mną! – zawołał Kevin do Szkota, któremu przypisywał najwięcej odwagi i umiejętności celnego strzelania. – Tak nie ma sensu, wejdziemy do środka od tyłu.

– A na czym opiera pan swoje przekonanie, że tam nie ma nikogo z bronią? – spytał McAllister, ale posłusznie pobiegł za kolegą.

Kevin wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale jak długo Barrister dyskutuje tu z dziewczyną, to nikt nie liczy się z tym, że my wejdziemy z drugiej strony. W każdym razie mam taką nadzieję. I raczej nie sądzę, że ta kobieta ma duże doświadczenie bitewne.

McAllister chciał coś odpowiedzieć, ale umilkł. Na drugą stronę domu łatwo było się przedostać. Obaj lekarze przekradli się za dom w cieniu stodoły i schowali za żywopłotem. Z tyłu znajdował się ogród otoczony kłującymi krzewami – i była też weranda, z której szerokie dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do wnętrza domu.

– A jednak! – wyszeptał Kevin. – Chodźmy, zakradniemy się tam od prawej i lewej strony. Przy odrobinie szczęścia drzwi są otwarte, otworzymy oba skrzydła jednocześnie, wtedy ich zaskoczymy. I za drzwiami musimy się nawzajem osłaniać, jeśli ktoś będzie próbował strzelać.

– Ale wchodzimy ze słońca do ciemnego domu – zauważył McAllister. – Zanim się oczy przyzwyczają, oni mogą nas dopaść. Zajrzyjmy najpierw przez okna, czy rzeczywiście jest bezpiecznie.

Po obu stronach werandy znajdowały się okna.

– Tu jest kuchnia – wyszeptał McAllister, kiedy obaj zakradli się na werandę i zaglądali do wnętrza. – Ale nikogo w niej nie ma.

– A tu coś w rodzaju jadalni – odpowiedział Kevin. – Też nikogo nie ma. Zajmujemy pozycje?

Szkot skinął głową.

– Ma pan chyba rację, oni bronią domu tylko od strony tamtego wejścia. A więc jazda! Na raz... dwa... trzy...

Mężczyźni ostrożnie otworzyli drzwi – światło padło na grubo ciosany drewniany stół i proste krzesła. Najwyraźniej mieszkała tu duża rodzina, Kevin dostrzegł dziewięć krzeseł. Jadalnia przylegała do równie dużej kuchni – w oszklonej szafce ustawione były ceramiczne naczynia z niebieskim wzorem.

– Bardzo dobrze, a więc osłaniajmy się i powoli idźmy do przednich pomieszczeń – powiedział McAllister. – Niech pan uważa, możemy natknąć się na ludzi, którzy nie powinni krzyczeć, jeśli chcemy wykorzystać moment zaskoczenia.

Kevin przemilczał pytanie, jak miał temu zapobiec. Tu przecież będą mieli do czynienia z kobietami i dziećmi, a nie z mężczyznami. Obaj lekarze z bronią gotową do strzału otworzyli drzwi prowadzące z jadalni do dalszych pomieszczeń i weszli do środka.

– Nie... nie strzelać!

Zduszony kobiecy głos nie był tak stanowczy, jak głos młodej kobiety z drugiej strony domu, lecz raczej mocno wystraszony.

– Proszę, nie strzelać, *baas!*

Kevin zerknął w ciemny korytarz, który wydał mu się całkiem pusty, i omal nie strzelił, widząc wymierzoną w siebie lufę. Młoda kobieta w panice chyba zapomniała ją opuścić – a może trzymała broń, tak jak jej rozkazano. Nie była to pewna siebie burska córka, lecz półżywe ze strachu czarnoskóre stworzenie o krótkich, mocno kręconych włosach i ogromnych okrągłych oczach.

– Nie zabijać Nandé.

Kevin opuścił broń.

– Nikt ci nic nie zrobi – powiedział cicho. – Ale musisz opuścić broń, o tak, widzisz?

Demonstracyjnie opuścił lufę w kierunku podłogi. Młoda kobieta natychmiast upuściła broń na ziemię. Myśliwska flinta, stwierdził Kevin.

– Co to miało znaczyć? – spytał Kevin, czując jeszcze lęk. – O nieba, dziewczyno, mało cię nie zastrzeliłem, ty...

– Najpierw nam powiesz, kto jeszcze jest w domu! – McAllister brutalnie chwycił dziewczynę za ramię, wepchnął ją do jadalni i zmusił, aby usiadła na krześle.

– Kto ci kazał pilnować tylnego wyjścia?

– *Mejuffrouw Doortje* i *baas*... Ale ja...

– To ten sierżant w spodnicy, który strzela tam do naszego lekarza sztabowego? – upewnił się McAllister.

– Hm?

To pytanie przerosło możliwości dziewczyny. Najwyraźniej słabo mówiła po angielsku.

– Kobieta z bronią? Tam, z przodu domu? – spytał przyjaźniej Kevin.

Może Burowie byli twardymi orzechami do zgryzienia, ale pomyślał, że tego wystraszonego stworzenia, które nie miało chyba jeszcze osiemnastu lat, nie należało traktować tak okrutnie.

– Być trzy kobiety – chętnie udzieliła odpowiedzi Nandé. – *Baas* Doortje i Bentje, i Johanna. I małe *baas* Thies i Mees...

– Thies i Mees to chłopcy? – Kevin starał się być przebiegły.

Nandé skinęła głową.

– Ile broni? – spytał McAllister i wskazał na swoją. – Ile takich?

Dziewczyna uniosła dwa palce.

– I ta. – Pokazała na swoją strzelbę.

Kevin skinął głową. To się zgadzało z obserwacjami sprzed domu. Muszą więc obezwładnić tylko dwie kobiety z bronią – albo jedną i dziecko. Ale o tym nawet nie chciał myśleć.

– Słuchaj – powiedział do ciągle drżącej czarnej dziewczyny. – Nic ci nie zrobimy, jeśli będziesz siedzieć cicho. Siedź tu i nie ruszaj się.

– Jeśli napadniesz na nas od tyłu, to zginiesz – zagroził jej McAllister i zarzucił sobie na ramię jej myśliwską flintę.

– Przykro mi, Drury – wyszeptał, kiedy bezszelestnie wysunęli się na korytarz. – Wiem, ona sprawia wrażenie nieszkodliwej. Ale widziałem już tutaj, jak dzieci zamieniają się w hieny. Od kilku pogróżek nie umrze. A skoro musimy zaanektować ten dom i jeśli we wnętrzu dojdzie do wymiany ognia...

Jak na razie co prawda nie było mowy o wymianie ognia. Barrister próbował rozmawiać z dziewczyną i co jakiś czas rozmowę przerywały kolejne salwy. Ułatwiało to zadanie Kevinowi i McAllisterowi – musieli tylko przedostać się tam, skąd dobiegały strzały i gdzie ukrywali się strzelcy. W końcu znaleźli się przed ścianą, za którą było wejście do domu. Słyszeli już głos Barristera, choć nie rozumieli jego słów – oraz odpowiedzi *meijuffrouw* Doortje: kolejne salwy z broni. Najwyraźniej w tym domu nie brakowało amunicji.

– Teraz do środka – wyszeptał McAllister, kiedy właśnie przebrzmiało echo kolejnej salwy. – Pan bierze na siebie tego sierżanta, a ja drugą. I żadnych gróźb! Zaatakować i rozbroić, oni są gotowi nawet dać się zastrzelić.

Kevin znów się zdziwił, ale posłuchał McAllistera, kiedy ten otworzył gwałtownie drzwi. Oczywiście Kevina przyzwyczaiły się już do półmroku panującego w domu – na korytarzu nie było okien, a poza tym wszędzie pozamykano okiennice, zostawiając jedynie wąską szparę, przez którą można było wysunąć lufę strzelby. Kevin jednym spojrzeniem ogarnął ludzi w pokoju: przy oknie szczipła młoda kobieta z bronią, ubrana w ciemną domową suknię i biały koronkowy fartuszek, w jasnym czepku na głowie. Kobieta wpatrywała się w mężczyznę przed domem. Drugą broń trzymał mały chłopiec, może dziesięcioletni, i także celował z niej do żołnierzy. Z tyłu, w kącie pomieszczenia, stała starsza kobieta obejmująca troje młodszych dzieci.

– Nie ruszać się! – krzyknął Szkot, ale jego słowa zginęły w opętańczym wrzasku dzieci. Oboje strzelcy odwrócili się gwałtownie – lecz Kevin dopadł już do młodszej kobiety i kolbą swojej strzelby wytrącił jej broń z ręki. McAllister zrobił to samo z chłopcem, ale Kevin nie miał czasu na to patrzeć. Jego ofiara wcale nie miała zamiaru się poddać. Kobieta mimo lufy strzelby przed sobą waliła pięściami w pierś Kevina, który natychmiast odrzucił broń i chwycił atakującą obiema rękami. Jedna z młodszych dziewczynek – może trzynastoletnia – natychmiast spróbowała podnieść broń Kevina, ale ten wymierzył jej kopniaka. Powoli zaczynał rozumieć McAllistera. Udało mu się wreszcie wykręcić ramię młodej kobiety do tyłu i obezwładnić ją w ten sposób. Mały chłopiec, któremu McAllister

odebrał broń, płakał z wściekłości. Szkot mierzył ze strzelby do niego i starszej kobiety z dziećmi.

– W porządku, majorze Barrister! – krzyknął głośno. – Mamy ich pod kontrolą.

Za parę chwil w pomieszczeniu zaroilo się od angielskich żołnierzy i lekarzy. Młoda kobieta, którą Kevin cały czas trzymał w uścisku, zaczęła wydawać okrzyki wściekłości i obrzucać żołnierzy przekleństwami, usiłowała też kopać i gryźć Kevina.

– Dobra robota, McAllister i... Drury, prawda? Naprawdę dobra robota. Ale może ktoś powinien panu pomóc uporać się z tą małą furią...

Kevin się uśmiechnął. Właściwie całkiem przyjemnie byłoby trzymać w ramionach małą furię – gdyby tylko była nieco spokojniejsza. Nie chciał jej jakoś nieobyczajnie dotykać, ale jeśli miał wyjść cało z tej potyczki, musiał przycisnąć ją mocno do siebie. Czuł jej szerokie, silne ramiona, duże, ale twarde piersi, szczupłą talię i okrągłe biodra. Bardzo kobiece, ale i silne ciało, zapewne przyzwyczajone do ciężkiej pracy – Kevin inaczej wyobrażał sobie właścicielkę niewolników. Był ciekaw jej twarzy, ale miał przed sobą tylko tył jej głowy – spod starannie wyprasowanego czepka wysuwały się włosy jasne jak len. Młoda kobieta pachniała oszalamiająco – nie perfumami, jak Juliet i inne dziewczyny w Dunedin, także nie świeżo i naturalnie jak dziewczyny Maorysów. Pachniała świeżo upieczonym chlebem – jeśli pominąć woń potu i prochu strzelniczego.

– Może zacznie się zachowywać w bardziej cywilizowany sposób – stwierdził Kevin. – Wtedy mogę ją puścić. Proszę, *mejuffrouw* Doortje – cokolwiek miałyby to znaczyć. Niechże mi pani da słowo honoru. Nic pani nie zrobimy...

– Skąd pan zna moje imię?

Młoda kobieta uwolniła się błyskawicznie, kiedy tylko Kevin nieco zwolnił uścisk, po czym odwróciła się do niego. Kevin zobaczył szeroką, płaską twarz o zgrabnym nosie i ładnie wykrojonych wargach. Policzki dziewczyny były mocno zaczerwienione, zapewne z wściekłości i wysiłku. Chyba rumieniła się przy każdej okazji także dlatego, że miała bardzo jasną cerę. Oczy Doortje były ciemnoniebieskie, a Kevinowi na ich widok natychmiast przypomniła się porcelana z Delft, którą matka trzymała w oszklonej szafce w jadalni.

Zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju przez otwarte drzwi wsunął się czarny cień.

– *Baas...*? – wyjąkała czarnoskóra dziewczyna.

– Nandé!

Burska kobieta, którą Kevin dopiero co trzymał w uścisku, zaczęła krzyczeć na czarną służącą i dodała coś, co brzmiało jak mocna obelga, bo Nandé z zawstydzeniem spuściła głowę i zagryzła czerwone wargi. Miała ciemną, całkowicie czarną skórę, a Kevin się zastanawiał, czy przy takiej barwie w ogóle widoczny jest rumieniec.

– Co ona powiedziała? – zapytał bezradnie, podczas kiedy *mejuffrouw* Doortje nie przestawała krzyczeć na czarną dziewczynę.

– Coś w rodzaju: ty czarna zdrajczyni – przetłumaczył wyraźnie zgorszony i nieprzyjemnie poruszony Australijczyk. – Oszczędzę panu reszty... Ta młoda dama wyraża się... hm... wulgarnie.

– Mówi pan po afrykanersku? – spytał zdumiony Barrister.

Posiłki z Australii i Nowej Zelandii były miłą niespodzianką – najpierw akcja Kevina i McAllistera, a teraz nieoczekiwane umiejętności tego młodego lekarza, sprawiającego wrażenie kogoś bardzo delikatnego.

– Po niderlandzku, sir. Studiowałem dwa semestry w Lejdzie.

Mejuffrouw Doortje w odpowiedzi obrzuciła teraz paroma obelgami także i jego.

Lekarz sztabowy Barrister westchnął głośno.

– Niechże pani zamknie buzię, Miss, w ten sposób nie zajedziemy daleko. Czas już, abyśmy

porozmawiali o pani domu. Czy to jest pani matka?

Wskazał na starszą kobietę, która ciągle obejmowała ramionami dzieci; nie było wiadomo, czy chce je w ten sposób chronić, czy też przeszkodzić im w atakach na żołnierzy. A zwłaszcza dziewczynka patrzyła na nich niemal z taką samą nienawiścią jak jej siostra. Starsza kobieta patrzyła przed siebie dziwnie jasnymi, nieruchomymi oczami.

– Moja matka nie mówi po angielsku! – wtrąciła Doortje. – I jest ślepa. Jak jej coś zrobicie...

Tracy zwrócił się do pani domu w jej ojczystym języku. Kobieta odpowiedziała niechętnie, ale najwyraźniej uprzejmie.

– To jest *mevrouw* Bentje van Stout – przedstawił ją. – Ze swoimi córkami Dorotheą... – Tracy wskazał na „łup” Kevina... – i Johanną...

Tracy, dżentelmen w każdym calu, uklonił się lekko przed młodszą kobietą i dokończył prezentacji:

– ...oraz synami Thiesem i Meesem. O swoim małżonku lady nie chce się wypowiadać, zapewne jest gdzieś na weldzie. Poza tym do gospodarstwa należą jeszcze dwie rodziny czarnych robotników, ale oprócz tej młodej damy... – Nandé popatrzyła zaskoczona, kiedy uklonił się także przed nią – ...wszyscy się chyba ukryli na widok nadciągającego wojska. Może pojawią się niedługo, będziemy potrzebować pomocy...

– A co mówi na temat lazaretu polowego? – spytał Barrister.

Kobieta wyrzuciła z siebie kilka pełnych nienawiści słów, a na twarzy Tracy'ego pojawił się lekki rumieniec.

– Nie wiem, czy powinienem to...

– Niech oni wszyscy zdechną! – wrzasnęła starsza kobieta.

Barrister potarł czoło.

– Pięknie, a więc ta lady mówi jednak trochę po angielsku. Nieważne, chyba będziemy mieć głównie do czynienia z panią, Miss Dorothea...

– Doortje – odpowiedziała dziewczyna niechętnie. – I proszę nie oczekiwać ode mnie żadnej współpracy. Ani moje rodzeństwo, ani ja nie pójdziemy panu w żaden sposób na rękę, my...

– O tym już wiemy – przerwał jej Barrister. – Wyraziła się pani wcześniej dostatecznie jasno. Czy mimo wszystko pokaże mi pani swoją farmę? Jak już pani mówiłem, nie będziemy naprzykrzać się bardziej, niż jest to konieczne. Interesują nas stodoły – i słoma na prowizoryczne łóżka... Może trochę świeżej żywności, jeśli ma ją pani na zbyciu. Czy tam z tyłu jest piekarnia? Ten cudowny zapach świeżego chleba...

– Proszę sobie wziąć wszystko i udławić się tym! – krzyknęła Doortje w odpowiedzi.

Barrister podrapał się z zakłopotaniem po głowie, był jednak cały czas uprzejmy.

– Zakładam, że nie ma już pani bydła mlecznego?

– Oczywiście, że nie! Nasze ostatnie krowy zarekwirowała pańska tak zwana armia idąca z odsieczą. Także kucyki!

– Kłamstwo – powiedział McAllister do Kevina, kiedy szli obejrzeć zabudowania farmy, podążając za gospodynią, która ani na chwilę nie przestawała ukrywać swojej niechęci. – Wojsko idące z odsieczą z całą pewnością nie rekwiruje kucyków, kawaleria ma własne konie, a wozy kuchenne i wiozące zaopatrzenie są od dawna zaprzęgnięte. Konie z tej farmy z pewnością zabrał *mijnheer* van Stout. Wszyscy Burowie jeżdżą konno. Nie ma u nich piechoty. No, ściśle biorąc, nie ma też żadnych oddziałów wojskowych. Chłopcy biorą konia i po prostu przyłączają się do któregoś z oddziałów, wybierają sobie dowódcę i ruszają na wojnę. Wszystko to jest strasznie niezdiscyplinowane, każdy przychodzi i odchodzi, kiedy chce. Ale oni nie boją się śmierci – i ciągle tym zaskakują. Dlatego z początku odnosili takie sukcesy. Ale ostatecznie to my wygramy tę wojnę.

Kevin skinął głową, ale w duchu pytał sam siebie, ile czasu upłynie, zanim poddadzą się ostatnie z tych dziwnych oddziałów. Bo nie wyglądało to tak, jak gdyby jeden kraj wypowiedział drugiemu wojnę, lecz raczej przypominało pochód wielkiej armii przeciwko tysiącom małych oddziałów. I co imperium zamierzało zrobić z krajem, w którym nawet małe dzieci tak dzielnie walczyły z jego wielką armią?

ROZDZIAŁ 3

W ciągu najbliższych kilku dni niektóre zapewnienia Doortje van Stout okazały się nieprawdziwe. Na przykład jeszcze przed bitwą kilku na razie niepracujących pielęgniarzy przyłapało Nandé z wiadrem świeżego mleka. Najprawdopodobniej czarni robotnicy z farmy wcale nie uciekli, lecz pilnowali ukrytego gdzieś na wyżynie weldu bydła mlecznego.

Kevin, któremu mężczyźni opowiedzieli o swoim odkryciu, nie zdradził jednak Burów przed Barristerem. Rozumiał, że ci ludzie chcieli po prostu bronić swojej własności – a przecież on sam nie cierpiał głodu u Anglików. Wręcz przeciwnie, lazaret otrzymał do dyspozycji wóz kuchenny, kiedy się okazało, że panie van Stout rzeczywiście nie zamierzały nawet ruszyć palcem, aby pomóc lekarzom. Barrister znów próbował nawiązać jakieś bardziej pokojowe stosunki – zaprosił na kolację rodzinę van Stout i swoich oficerów. Ale Doortje miała mu za złe już sam fakt, że w tym celu zarekwirował kuchnię farmy, mrugając do dziewczyny porozumiewawczo.

– Proszę pozwolić naszemu kucharzowi wyczarować coś pysznego, on to naprawdę potrafi! Generał Buller zalicza go w każdym razie do swoich ulubieńców. Ale w tym wozie kuchennym nasz geniusz nie może rozwinąć skrzydeł...

Doortje, Johanna i ich matka wysłuchały tego w milczeniu, z zaciętymi twarzami, sprzątnęły swoje i tak idealnie czyste królestwo, po czym wyniosły się z praniem nad rzekę. Mali chłopcy spoglądali pożądliwie na dom, bo już na sam zapach pieczeni ciekła im ślinka. Co prawda na farmie rodziny van Stout nikt nie musiał głodować, ale mięsa z pewnością nie było już od dawna. Kobiety zapewne ukryły gdzieś woły i świnię, ale nie odważyłyby się zarzynać zwierząt w pobliżu angielskiej armii. I bez względu na to, jak dobrze strzelała Doortje – Kevin wiedział już, czego można się spodziewać po kobietach Burów – to z pewnością nie dałaby się przyłapać z bronią myśliwską. Zapach pieczonego jagnięcia był bardzo kuszący, ale mimo to w umówionym czasie przy elegancko zastawionym stole nie zjawił się nikt z rodziny van Stout.

– No cóż, próbowałem – westchnął Barrister i otworzył butelkę wina. – Ale właściwie mogłem się tego spodziewać. Ta Dorothea to doprawdy twardy orzech do zgryzienia... Podobnie zresztą jak matka i siostra.

– Ta siostra to prawdziwy zastrzyk z trucizną – dodał Tracy, który dzięki znajomości języka podsłuchiwał rodzinę van Stout. – Ona ma oczy dookoła głowy i jeśli ci mali chłopcy albo ktoś z czarnych wykazuje w stosunku do nas choćby najmniejszą chęć pomocy, to zaraz donosi Doortje, która ruga ich najpóźniej w czasie tych ich modłów. Mała Nandé strasznie się obawia anioła z ognistym mieczem za każdym wzgórzem.

– A przy tym to całkiem miłe stworzenie – stwierdził Kevin, któremu często żal było młodej czarnoskórej dziewczyny.

Tymczasem na farmie pojawili się obaj bracia dziewczyny i pracowali na polach od wschodu do zachodu słońca. Doortje pędziła ich do roboty bez cienia litości, nie oszczędzała także samej siebie ani swojej rodziny. Johanna przeważnie była z matką w kuchni, aby jej pomóc, ale mali chłopcy także musieli pomagać przy żniwach. Doortje z oburzeniem odrzuciła ofertę pomocy dwóch nowozelandzkich pielęgniarzy, którzy nie mieli na razie co robić, a pochodzili ze wsi i chcieli być bardzo rycerscy wobec kobiet. Nandé z pewnością przyjąłaby pomoc. Sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej, kiedy wracała wieczorem z pola, a musiała jeszcze podać jedzenie całej rodzinie, przynieść wody oraz wykonać wszystkie pozostałe prace domowe. Często była już późna noc, kiedy sama mogła coś zjeść – i prawdopodobnie musiała swoją porcję przygotować oddzielnie. Van

Stoutowie nigdy nie jedli razem ze swoimi czarnymi robotnikami. Z pewnością nie pozwalali im głodować, ale wspólna kuchnia była raczej nie do pomyślenia.

– No, no! – zaśmiał się McAllister i pogroził Kevinowi palcem. – Czyżby ktoś zamierzał się zakochać w czarnych kręconych włosach? Ale ostrzegam pana, mówią, że te zuluskie kobiety nie są zbyt namiętne...

Lekarze wiedzieli już, że Nandé była Zuluską czystej krwi. Jej imię nie było też zdrobnieniem od Nancy czy też Suzanne, jak myślał Kevin, lecz zostało jej nadane na pamiątkę matki legendarnego króla Shaka Zulu.

Kevin ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Ja miałbym się zakochać? No nie, proszę, przecież ta mała to jeszcze dziecko...

Doktor Tracy, który nigdy nie pozwalał sobie na tego typu uwagi, ale za to, jak się okazało, był doskonałym obserwatorem, uśmiechnął się.

– Oczywiście, ma pan rację – stwierdził. – Postawa doktora Drury'ego jest bardzo chwalebna.

Tracy wypił duży łyk wina, zanim zaczął mówić dalej.

– Ale widziałem za to, jak pan patrzy na młodą Miss Doortje.

Kevin, słysząc to, omal się nie udławił kolejnym kęsem baraniny. Zakrztusił się i miał nadzieję, że właśnie temu koledzy przypiszą nagły rumieniec na jego twarzy.

– Doortje? – spytał McAllister z niedowierzaniem. – No, wyobrażam to sobie jako akt miłosny z brzytwą do golenia!

– Colonel! Jak pan się wyraża o młodej damie? – Major Barrister walczył z rozbawieniem, ale mimo to zganił swoich podwładnych.

Kevin się cieszył, że wobec tego nie musiał już nic mówić. Bo nie potrafiłby wyjaśnić osobliwego przyciągania, które odczuwał wobec Doortje van Stout. Oczywiście dotykał jej, kiedy ją obezwładniał, i jej ciało mu się podobało. Także twarz jego zdaniem miała piękną, podobnie jak jasne włosy. Ale to nie mogło być wszystko, co tłumaczyłoby owo dziwne przyciąganie. A może to była... jej nieposkromiona energia? Jej namiętność? Gdyby któregoś dnia kochała tak, jak dziś nienawidziła, Doortje van Stout byłaby chyba wówczas burzą zmysłowości. A może pociągały go jej upór, jej głębokie i niezachwiane przekonania, których Kevin wprawdzie nie podzielał, ale które go fascynowały. On sam uważał siebie za kogoś dość powierzchownego, a jego wcześniejsze związki... Juliet była tylko motylem, który przelatywał z jednego kwiatka na inny. Za to Doortje... Ona bez wątpienia była wierna, niezachwiana w swoich postanowieniach i nieskomplikowana.

Kevin kręcił głową wobec tej myśli. Od kiedy to ostatnie było kobiecym atrybutem, który go pociągał? Prawdopodobnie był po prostu ślepo zakochany!

– Ta młoda dama z pewnością jest dużym wyzwaniem! – zauważył Tracy.

Chciał jeszcze coś dodać, ale wówczas wszyscy usłyszeli uderzenia kopyt – przed domem zatrzymał się koń. I chyba jeździec zamienił kilka słów z kimś z rodziny van Stoutów albo z którymś żołnierzem, po czym ruszył od razu galopem i zatrzymał się z drugiej strony domu, przed werandą, na której Barrister i jego oficerowie jedli kolację.

Jeździec, młody Australijczyk, przekazał wiadomość, zanim zsiadł.

– Majorze! W Wepener pierwszy kontakt z wrogiem, dwóch rannych. Proszę obsadzić swój namiot szpitalny i przygotować się do pracy w lazarecie polowym. Bitwa rozpocznie się jutro.

Major Barrister natychmiast wstał od stołu i wydał rozkazy swoim lekarzom. On sam zamierzał udać się na front i udzielać na miejscu pierwszej pomocy.

– Przez pierwszych dziesięć godzin będzie mnie wspierał doktor Tracy, a potem zmienią nas doktor McAllister i Drury. Chciałbym, aby każdy nowy lekarz najpierw pełnił służbę z doświadczonym

lekarzem frontowym. Później taki podział będzie nieważny, może wystarczy nam jeden lekarz na miejscu, a pozostali będą operować tutaj. Zobaczymy, jak krwawo będzie...

– Co to będzie, szybki kurs chirurgii? – spytał Kevin McAllistera, kiedy Barrister i Tracy odjechali. Oni obaj mieli sprawdzić przygotowane łóżka oraz pomieszczenia operacyjne w dodatkowym szpitalu i przespać się. W następnych dniach nie będą mieli ku temu zbyt wielu okazji.

– Przyznaję, że nie mam wielkiego doświadczenia, ale może mógłby mnie pan czegoś nauczyć w ciągu tych dziesięciu godzin...

McAllister roześmiał się gorzko.

– Nauczy się pan tutaj wszystkiego bardzo szybko i będą to ciężkie chwile dla rannych. Jestem przekonany, że pierwszych dziesięciu pacjentów do amputacji zamordowałem... Ale o to tutaj wcale nie chodzi, raczej... Nauczy się pan patrzeć na krew, doktorze Drury. Jak właściwie ma pan na imię? Ja jestem Angus, możesz mi mówić Gus...

Kevin myślał jeszcze o osobliwych słowach Gusa McAllistera, kiedy usłyszał od strony domu głośny brzęk rozbijanego szkła i hałas rąbanego drewna. Zaalarmowany zeskoczył ze swojego słomianego posłania – brzmiało to tak, jak gdyby ktoś rabował dom. Czy to oddział jakichś maruderów zaatakował lazaret polowy? Kevin chwycił za broń. Biegł właśnie przez stodołę, kiedy naprzeciwko pojawił się Angus McAllister. Miał widocznie lepszy słuch, bo zdążył już wybiec ze stodoły i właśnie do niej wracał – w samych spodenkach i podkoszulku. Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Nie, to nie wojna, Kevin. To tylko twoja przyszła ukochana. Miss Doortje tłucze właśnie rodzinną porcelanę. I rąbie krzesła w jadalni. Wszystko zostało sprofanowane przez brytyjskie palce i tyłki. Przecież nie może być tak, że ktoś z rodziny van Stoutów zje coś z tego albo na tym usiądzie – roześmiał się głośno. – A teraz w dodatku zobaczyła Szkota w samych kalesonach. Mam nadzieję, że się uspokoi, zanim wykluje sobie oczy...

Kevin z niedowierzaniem dotknął ręką czoła. Ale nic nie mógł poradzić na to, że zasnął z obrazem Doortje pod powiekami. Jasnowłosy anioł zemsty, który z wściekłością tłucze niewinną porcelanę i rąbie równie niewinne meble – i który potem całuje go z taką samą namiętnością...

Następnego ranka słychać było najpierw bitewny zgiełk. Co prawda także w ostatnich dniach padały strzały, ale właściwie sporadycznie. Brzmiało to raczej jak ćwiczenia w strzelaniu, a nie wymiana ognia, nie mówiąc już o bitwie. Ale teraz eksplozje granatów następowały po kolejnych salwach z broni i nawet na farmie van Stoutów było głośno – hałas na froncie musiał być wręcz piekielny.

Do lazaretu przyjechał najpierw doktor Willcox, zastępca Barristera. W ostatnich dniach Willcox opiekował się namiotem sanitarnym na froncie i leczył jedynie niewielkie zranienia czy też obtarcia na piętach. Wczoraj po raz pierwszy zrobiło się naprawdę poważnie, ale dwóch ciężko rannych przetrwało noc. Jeden był lżej ranny, drugiego Willcox operował natychmiast – skończył właśnie, kiedy nadjechali Barrister i Tracy. I teraz towarzyszył obu rannym wiezionym do lazaretu.

– Pierwszy transport przybędzie najpóźniej za godzinę – wyjaśnił. – Bitwa szaleje od wschodu słońca i pierwsi ranni byli już w namiocie, kiedy odjeżdżałem... Przygotujcie się, panowie.

Choć słowa Willcoxa brzmiały naprawdę poważnie, to pierwsi dwaj pacjenci nie stanowili żadnego wyzwania. Obaj byli dobrze opatrzeni i leżeli spokojnie na swoich siennikach w jednym z trzech zamkniętych wozów sanitarnych, na których transportowano rannych. Pielęgniarze musieli jedynie przenieść ich do stodoły. Ale potem przyjechał drugi transport – i Kevin miał przedsmak tego, jak mogło to wyglądać na froncie. Było niemal nie do pomyślenia, że dwóch lekarzy i kilku pielęgniarzy będzie w stanie zająć się taką liczbą rannych – jakoś ich zabiegów była już drugorzędna. Rany były tylko prowizorycznie opatrzone, kończyny, które miały być amputowane, obwiązano, ale pacjentami prawie nikt się na froncie nie zajmował. Mężczyźni leżeli ściśnięci na twardym drewnianym wozie,

niektórzy krzyczeli głośno, stękali i płakali.

– Ci tutaj najpierw! – orzekł doktor Willcox i wskazał na mężczyznę z krwawiącym kikutem oraz drugiego z rozszarpanym ramieniem. Pierwszy był nieprzytomny, drugi jęczał głośno.

– Drury, amputował pan już komuś nogę? Już widzę, że nie. Ale wie pan, jak się posługiwać piłą? Niechże pan nie robi się zielony na twarzy, Drury, tylko bierze narzędzia operacyjne i asystuje mi...

Kevin dość szybko opanował przerażenie. W jego gabinecie zdarzyło mu się amputować czubek palca, także w czasie, gdy był asystentem lekarza w szpitalu w Dunedin, operował raczej mało. Kevin lubił kontakt z ludźmi i wolał medycynę ogólną od chirurgii. Jednak na sali operacyjnej był bardzo sprawny, podobnie jak w czasie kursu patologii na studiach. Kiedy teraz przyzwyczał się do ogromnej ilości krwi – nie było tu asystentów, którzy wycierali krew natychmiast po wykonaniu nacięcia przez chirurga – pracował szybko i bardzo wydajnie. Willcox był z niego zadowolony.

– Niech się pan nie irytuje z powodu krzyków, jeśli skończy nam się morfina – powiedział. – Wszystko jest dobrze przygotowane, ale w bitewnym zgiełku nie zawsze diagnozuje się trafnie, a wszystko musi być zrobione szybko...

Wszystko szło rzeczywiście niewiarygodnie szybko. Na stole operacyjnym pojawiał się jeden pacjent za drugim, pielęgniarze zmieniali ich tak prędko, że lekarze nie mieli chwili przerwy. Przy drugim stole pracował McAllister wraz z jednym z indyjskich pielęgniarzy. Obaj zajmowali się złejszymi przypadkami – i przeprowadzali coś w rodzaju selekcji. Tę ostatnią Kevin zauważył dopiero wtedy, kiedy przy dziesiątym czy też piętnastym pacjentce zaczął się zastanawiać, jakim cudem udało mu się wszystkich uratować.

– Beznadziejnych przypadków w ogóle nie dostajemy na stół – odpowiedział Willcox krótko i wskazał ruchem głowy na McAllistera, który oprócz prowadzenia zabiegów zajmował się też kolejnością operacji. I pomijał najtrudniejsze przypadki...

– Ale to jest nieludzkie! – uniósł się Kevin. – Właściwie powinniśmy najpierw...

Willcox potrząsnął głową.

– Młody człowieku, jeśli spróbujemy uratować tego... – wskazał na mężczyznę z postrzałem płuc – to będziemy stali przy stole co najmniej dwie godziny i tymczasem umrze nam trzech innych. Za dziesięć procent szansy przeżycia tego z postrzałem płuc. Na wojnie tak się nie da. Też jest mi przykro...

Mężczyzna z postrzałem płuc był jeszcze bardzo młody, zapewne oszukiwał w czasie rekrutacji i ukrył swój wiek. Willcox spojrzał na niego z żalem.

– Lepiej było od razu zostawić go tam, na froncie, żeby umarł. Ale Barrister ma czasami wrażliwe serce.

Kevin miał wrażenie, że pierwszych dziesięć godzin minęło jak mgnienie oka – operował ciągle, kiedy wraz z zapadnięciem ciemności przybył kolejny, ostatni już transport rannych. W towarzystwie doktora Tracy'ego, który natychmiast zajął miejsce Kevina przy stole operacyjnym.

– Drury, ma pan jechać na front. Barrister ciągle operuje i może potrzebować pomocy. Robimy tu coś w rodzaju lotnej zmiany. McAllister może przyjechać za dwie godziny. Do tego czasu powinien tam zapanować spokój.

– Ale pan powinien odpocząć – rzekł Kevin, spojrzawszy na twarz kolegi.

Doktor Tracy ciągle trzymał się prosto, jak przystało na dżentelmena, ale wyglądał przerażająco. Jego jeszcze poprzedniego wieczoru nienagannie czysty, wyprasowany mundur był brudny i przesiąknięty krwią. Twarz miał zapadniętą, podobnie jak podkrążone oczy, których wyraz był zupełnie inny niż wczoraj. Doktor Tracy wyglądał tak, jak gdyby spojrzał w przepaść.

– Wszyscy powinniśmy – odparł krótko, a Kevin spytał sam siebie, czy wygląda tak samo jak jego

kolega. Ale nie czuł jeszcze zmęczenia – wiedział, że prawdopodobnie odczuje je dopiero wtedy, kiedy opadnie napięcie.

– I chciałbym kogoś uratować – dodał Tracy. – Jeśli... jeśli zobaczą jeszcze więcej zmarłych, to... – urwał i z widocznym wysiłkiem przełknął ślinę – ...to mógłbym stracić wiarę w siebie – dokończył po chwili i chwycił za skalpel.

Kevin w drodze do stajni skontrolował jeszcze krótko stan swoich pacjentów. Pielęgniarki – Hindusi oraz krótko przeszkoleni Nowozelandczycy – robili, co do nich należało. Dwóch początkujących walczyło przez jakiś czas z mdłościami, ale zdążyli się już przyzwyczaić. Ranni leżeli na czystych siennikach, pielęgniarki chodzili między nimi, dodawali im otuchy, wlewali im do ust wodę albo zupę. Jeden z nowych pielęgniarzy siedział obok umierającego mężczyzny z postrzałem płuc, mówił coś do niego i modlił się wraz z nim. Kevin go pochwalił – i zastanawiał się, dlaczego nie ma tu duchownego, który byłby w tych sprawach bardziej kompetentny.

Zapytał drugiego pielęgniarza o rodzinę van Stoutów. Może cierpienie, którego byli tu świadkami, poruszyło serce tych ludzi i będą wreszcie odnosili się życzliwiej chociaż do pielęgniarzy i lekarzy. Ale pielęgniarz wzruszył ramionami. Van Stoutowie nie pokazali się przez cały dzień.

– A z pewnością nie ma ich na polu – dodał jeden z Hindusów.

Kucharz, którego pomocnicy wnieśli właśnie do stodoły wielki kocioł z gęstą zupą, głośno wciągnął powietrze do płuc.

– Oni się modlą! – wyjaśnił i szybko nalał miskę zupy dla Kevina, który dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny. – I to już od wielu godzin. Nic nie rozumiem z tej ich paplaniny, ale założę się, że chodzi o zwycięstwo Burów... Nie można tego ukrócić, doktorze? Mnie to doprowadza do szału.

Kevin uśmiechnął się między dwiema łyżkami zupy.

– Pewnie o to właśnie im chodzi. Najlepiej niech pan nie zwraca na to uwagi. Zabronić im tego nie możemy, musi pan po prostu zdać się na Boga. Choć on też nie wszystkich wysłuchuje... Ależ pyszna zupa – gdzie jest ta restauracja, w której pan dawniej pracował? W Melbourne?

Kevin rozmawiał przez chwilę z kucharzem, kiedy pielęgniarki zjawiali się po kolei, aby coś zjeść – wszyscy równie głodni jak młody lekarz. A potem niechętnie opuścił szpital – i ku swemu zaskoczeniu zobaczył jednego z czarnych robotników, brata Nandé. Mężczyzna przekradał się pod stodołę pod osłoną ciemności i postawił na jej progu wiadro wody. Jego państwo najwyraźniej nie mieli pojęcia, że tu pomagał.

– On cały dzień przynosi nam wodę – rzekł jeden z nowozelandzkich pielęgniarzy. – Duże udogodnienie, mamy pełne ręce roboty. A ta zuluska kobieta przyniosła przedtem pół wiadra mleka. Myślę, że oni są za nami, ci Murzyni. Też nie lubią Burów.

Kevin pomyślał, że nie mają także specjalnych powodów, aby lubić Anglików. W końcu Anglicy nie musieli uznawać republiki Burów ze wszystkimi jej zawiłymi przepisami. W czasie zajmowania kraju mogli też walczyć za czarnych – a nie o złoto. Ale potem myślał tylko o Doortje. Kiedy przejeżdżał obok domu, słyszał jej pełen skargi głos. Mówiła po afrykanersku czy po niderlandzku – jakkolwiek się to nazywało. Najwyraźniej czytała coś głośno z Biblii albo z jakiegoś modlitewnika. W świetle gazowej lampy zobaczył przez okno jej szczupłą postać, jej czepek na jasnych włosach. Najwyraźniej nigdy go nie zdejmowała, Kevin postanowił spytać, czy miało to jakieś uzasadnienie. Wyobrażał sobie, jak rozwiązuje jego wstążki, a włosy spadają miękką falą na jej plecy. Jak złoto, ale bez tego metalicznego połysku, dzięki któremu tak niezwykle były włosy jego siostrzenicy Atamarie. Włosy Doortje były jak złote kłosa pszenicy...

Kevin pomyślał, że oplaca się walczyć o takie złoto.

Kiedy śmiertelnie zmęczony dotarł do obozu Anglików, panował tam całkowity spokój. Było

dokładnie tak, jak sobie wyobrażał – wraz ze spadkiem napięcia poczuł wyczerpanie. Przed namiotem szpitalnym siedziało kilku pielęgniarzy i paliło papierosy, nieopodal leżały liczne podłużne zawiniątka, Kevin domyślił się szybko, że to zwłoki. Tu było o wiele więcej zmarłych niż tylko dwóch, jak na farmie.

– Doktor Barrister? – spytał krótko pielęgniarzy.

Jeden z nich wskazał na wnętrze namiotu.

– Jeszcze operuje. Kilka ciężkich przypadków, przeżyli aż do teraz. Niech pan wejdzie...

Barrister był tak samo ubrudzony i poplamiony krwią jak Tracy, sprawiał też wrażenie wyczerpanego, nie był jednak tak wypalony jak jego młody kolega.

– Niech pan wejdzie, Drury, proszę mi pomóc. Postrzał brzucha, niewielkie szanse przeżycia. Ale skoro nie umarł do tej pory... to przynajmniej spróbujmy. Byliście w stanie zrobić coś tym postrzałem płuc?

Kevin potrząsnął głową.

– Doktor Willcox...

– ...spróbuje dzisiaj w nocy, o ile chłopak jeszcze żyje – dokończył Barrister. – Ale musimy się przespać chociaż dwie godziny. Jutro będzie tak samo... Burowie w Wepener ani myślą się poddawać, walczą do ostatniego naboju. A mają znakomitą pozycję, to może potrwać jeszcze dwa, trzy dni, nim zdobędziemy miasto.

Kevin wziął do ręki skalpel.

– Ale to my w końcu zwyciężymy? – upewnił się.

Barrister skinął głową.

– To nie ulega wątpliwości. Ci ludzie mogliby poddać się już teraz. Ale nie zrobią tego. A my mamy ich także za plecami. Większość z tych ludzi... – wskazał na namiot – nie została zraniona w czasie ataku na miasto. Tylko przez ich partyzantów, którzy włóczą się po całym kraju i zjawiają się dosłownie znikąd. Już kilka naszych oddziałów zostało odkomenderowanych do zabezpieczenia tych wzgórz. Także wielu pana rodaków, bo jeżdżą konno równie dobrze jak Burowie. Nie wiem, czy to ma być komplement, ale oni nazywają ich już teraz „Rough Riders”. Chyba odnieśli jakieś sukcesy, bo prawie żaden nie wylądował u mnie na stole...

Mimo starań Kevina i Barristera tej nocy zmarło jeszcze trzech ludzi z tak zwanych „ciężkich przypadków” – a Kevin zaczynał rozumieć Tracy’ego. Jeśli cały następny dzień będzie równie frustrujący... no, to się miało okazać rankiem. Dziesięciogodzinna służba Kevina na froncie miała się rozpocząć wraz ze wschodem słońca. Dwie godziny przedtem Kevin padł na siennik obok swojego ostatniego pacjenta.

ROZDZIAŁ 4

Lizzie i Michael chcieli wyprawić wesele Juliet i Patricka na Elizabeth Station i Patrick nie miał nic przeciwko temu. Kochał tę farmę, kiedyś miał ją też odziedziczyć, bo Kevin nie przejawiał tym żadnego zainteresowania – a Patrick był przy tym bardzo związany z mieszkającym w pobliżu maoryskim szczepem. W czasie uroczystości na Elizabeth Station ta dodatkowa „rodzina” także mogłaby wziąć w niej udział, a dla przyjaciół i rodziny z Dunedin znalazłoby się miejsce w Lawrence. Ale Juliet ostro sprzeciwiała się weselu „na końcu świata”, jak nazywała Lawrence. Chciała, aby samo wesele odbyło się w hotelu w Dunedin, ślub zaś miał mieć miejsce w St. Paul’s Cathedral. Na to ostatnie nie zgodził się Patrick, który chciał, aby ślubu udzielił im wielebny Burton. Juliet spróbowała wszystkich sposobów, łącznie ze łzami i argumentem, jakoby wstydziła się wielebnego i jego małżonki. Oboje przecież znali Juliet jako przyjaciółkę Kevina i mogli zacząć się zastanawiać, kto jest ojcem dziecka. Ale tu Patrick zdecydowanie potrząsnął głową.

– Kochanie, oni i tak dowiedzą się o wszystkim. Państwo Burton i Drury są bardzo zaprzyjaźnieni. Sean jest synem Kathleen i moim przyrodnim bratem. A ty na pewno zamierzasz nabyć suknię ślubną w Lady’s Goldmine, prawda? Chcesz wmówić Kathleen, że kupujesz ją dla siostry? Nie, kochanie, pobierzemy się w Caversham i wielebny Burton da nam ślub. I nie ma co debatować na ten temat.

Na temat hotelu natomiast Patrick był skłonny dyskutować i nawet bronił zdania Juliet przed rodzicami:

– To ona jest panną młodą. Ma prawo do uroczystości w Dunedin. Ze wszystkim swoimi przyjaciółmi...

– Ciągłe słyszę: przyjaciele – nadała się Lizzie. – Ale przed rokiem nikt tutaj nie znał Juliet LaBree, nie widzę też koleżki gratulujących przyjaciół, świadków i друзbów.

Patrick zagryzł wargi.

– Posłuchaj, mamó! Ona jest panną młodą. I to ma być najpiękniejszy dzień jej życia. Zasłużyła na to!

– Zasłużyła? – spytała Lizzie ostro. – A czym? Tym, że zaszła w ciążę, nie pytając, czy ojciec jej dziecka ją kocha? Chcąc go po prostu złapać i usidlić? Tym to zasłużyła raczej na bicie. Powinna w ogóle się cieszyć, że dasz dziecku nazwisko!

– Nie lubisz jej... – powiedział Patrick z rezygnacją.

Lizzie westchnęła.

– Życzyłabym ci innej, sympatyczniejszej żony, Patrick. Serdecznej, pełnej ciepła i miłości. Ale dogadam się z nią. I ona ze mną. Jeśli świat ma uwierzyć, że to jest twoje dziecko, to ona musi spędzić następne miesiące tutaj, w Tuapeka. Chyba to jest dla niej jasne, prawda?

Patrick skinął głową.

– I właśnie dlatego... – zaczął.

Ale tu z nieoczekiwaną pomocą przyszedł mu Michael.

– Do chwili kiedy dziecko przyjdzie na świat, będzie musiała przełknąć niejedną żabę, która wyskoczy z naszego strumienia – oświadczył niejasno. – Dlatego też nie odmawiamy jej tego wesela w Dunedin. Lizzie, miej trochę serca! Z Maorysami możemy to uczcić kilka dni później. Ale pozwól Miss LaBree być królową balu, jeśli... – Umilkł, spojrzawszy na Patricka.

Jego syn przytaknął gorliwie, nie zwracając uwagi na to, że ojciec nie dokończył zdania. Ale Lizzie zrozumiała. Michael umilkł ze względu na Patricka. Dla Juliet ten ślub był rozczarowaniem. Nie dostawała nic z tego, czego chciała. Jedynie męża, którego nie kochała, i dziecko, o którym nikt nie

wiedział, czy ona będzie je kochała.

Drury wynajęli więc salę weselną hotelu Leviathan w Queens Gardens. Patrick zaangażował muzyków zgodnie z życzeniem Juliet – „Twoja matka wzięłaby pewnie jakąś grupę grającą muzykę kameralną, a ojciec jakiegoś rzepołę z irlandzkiego pubu!” – a Kathleen zaprojektowała śnieżnobiałą suknię oraz bladozielone kreacje dla drухen, którymi miały być Roberta i Atamarie.

– No to tym samym nie potrzebujemy już reklamy dla tegorocznej kolekcji ślubnej – stwierdziła z zadowoleniem Claire, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Juliet w jej kreacji. – Każda dziewczyna w Dunedin będzie teraz marzyć tylko o tym, aby przed ołtarzem wyglądać tak pięknie!

– Ale byłoby pożądane, aby każda była nieco szczuplejsza w okolicach pasa – zauważyła sucho Kathleen. – Co prawda i tak u niej nie będzie nic widać, bo bezlitośnie sznuruje gorset... Biednemu dziecku będzie brakować tchu.

– Dziecku? – pisnęła Claire zupełnie jak podłotek. – Myślisz, że ona jest w ciąży?

– Pewnie. I to nie od przedwczoraj. Nie chcę plotkować, ale czy to nie ma związku z nagłym pragnieniem Kevina, aby służyć pod sztandarem imperium?

Claire zachichotała.

– Tak, w ogóle nie chcesz plotkować. Oczywiście, że nie, Kate. To doprawdy nie przystoi żonie wielebnego... No, to komu jeszcze o tym powiemy?

Claire i Kathleen nie powiedziały o tym nikomu i oprócz uważnej krawcowej nikt z gości weselnych nie zauważył, że panna młoda była nieco bardziej korpulentna. Suknia tuszowała to znakomicie. Była to nader światowa kreacja, a stroik na głowie, dół sukni oraz rękawy miały kształt kwiatu *rata*. Góra sukni była obcisła i podkreślała bujne piersi Juliet. Kathleen w ostatnich latach coraz częściej inspirowała się w swoich projektach bogatą florą Wyspy Południowej i Północnej. Jej suknia ślubna „Biała Kamelia” zrobiła przed rokiem prawdziwą furorę. Delikatny kształt kwiatu podkreślał zmysłowość panny młodej – a z drugiej strony białe kamelie były symbolem walki o prawa wyborcze kobiet.

– Też chcę mieć taką, kiedy będę wychodzić za mąż! – oświadczyła Atamarie.

W małym kościele w Caversham słychać było okrzyki zachwytu, kiedy Patrick prowadził do ołtarza narzeczoną w sukni przypominającej kwiat *rata*. Wielebny popatrzył na zbyt hałaśliwych gości z wyraźną dezaprobatą. Wiedział dobrze, że kościół tego dnia był wypełniony do ostatniego miejsca także dlatego, że damski świat Dunedin jeszcze przed jesiennymi pokazami mody chciał koniecznie popatrzeć na kreacje jego żony.

– Czy kwiat *rata* nie jest w początkowej fazie swego rozwoju pasożytem? – wyszeptała Lizzie do męża, a on w odpowiedzi także popatrzył na nią strofującym wzrokiem.

Patrick natomiast promieniał. Był ubrany w szary garnitur i wyglądał w nim rzeczywiście bardzo postawnie.

– Choć nie tak imponująco jak Kevin – wyszeptała Claire do męża. – Kto wie, czy Miss Juliet nie jest tym rozczarowana...

James Dunloe, którego wszyscy nazywali „Jimmy”, słysząc to, niemal się uśmiechnął, postarał się jednak, aby spojrzenie, którym obrzucił swoją małżonkę, było pełne dezaprobaty.

Za to drухny były zachwycone swoją rolą. Choć co prawda wydawało się, że obie promieniały szczęściem z zupełnie innych powodów, Atamarie zaś domyślała się, dlaczego Roberta była taka zadowolona. Jej przyjaciółka dostatecznie długo się obawiała, że któregoś dnia będzie musiała grać tę samą rolę co dziś na ślubie Kevina i Juliet. Wobec takiego rozwoju sytuacji jej troska znikła. Choć oczywiście zaciągnięcie się Kevina do armii bardzo przygnębiło Robertę i tu Atamarie nie była w stanie jej pocieszyć. „Popatrz – mówiła – on teraz całymi miesiącami nie będzie widział żadnej

kobiety. I kiedy wróci, to popatrzy na ciebie zupełnie inaczej!”

W każdym razie to wesele stanowiło doskonałą pożywkę dla nadziei Roberty. Za to Atamarie nie miała czasu, aby donieść przyjaciółce o najnowszych wydarzeniach w swoim życiu. Dopiero co wróciła z Taranaki i przyjechała do Dunedin tuż przed weselem. Dziewczęta miały dostatecznie dużo zajęć przy ubieraniu się i układaniu włosów i nie znalazły czasu na opowieści. Teraz słuchały uważnie, jak Juliet i Patrick wygłaszali przed ołtarzem słowa przysięgi małżeńskiej. On – stanowczym, zdecydowanym głosem, ona – niemal obojętnie i cicho.

– Cud, że w ogóle jest w stanie wydobyć z siebie głos – wyszeptała Violet do swojego męża. – Jest tak mocno ściśnięta gorsetem... Ale jednak nieco przytyła. Zastanawiam się...

Sean Coltrane się uśmiechnął.

– Patrząc na to od tej strony, Kevin poniekąd podtrzymuje pewną tradycję rodzinną – zauważył.

Michael przed laty także zostawił Kathleen w ciąży. Choć trzeba przyznać, że z zupełnie innych powodów.

– Ale Patrick dostaje to, czego chciał. Miejmy nadzieję, że będzie szczęśliwy – dodał Sean.

Tego dnia Patrick był rzeczywiście najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Cieszyła go uroczystość w hotelu Leviathan i z radością poprowadził Juliet do walca, a potem do bardziej nowoczesnych tańców. Choć co prawda pannie młodej szybko zakręciło się w głowie, czemu nie należało się dziwić. Juliet była tak mocno zasznurowana, że nie mogła przełknąć prawie niczego z bardzo eleganckich i wystawnych dań.

– I prawie nie pije szampana – wyszeptała Chloé do swojej partnerki Heather. – Więc chyba nie będzie dzisiaj śpiewać.

– Właściwie szkoda – odparła Heather. – To akurat robi całkiem ładnie. Jeśli w przyszłości będzie śpiewać tylko kołysanki dzieciom, jej talent się zmarnuje.

Chloé uniosła brwi.

– Naprawdę myślisz, że ona wkrótce będzie miała dzieci? Ja raczej sądzę, że ona doskonale wie, jak temu zapobiegać! No i to przecież mogłoby zepsuć jej figurę!

Heather zmarszczyła czoło i popatrzyła na Juliet badawczym spojrzeniem malarki.

– Jeśli nie chce mieć dzieci, to czemu rezygnuje ze sztuki i wychodzi za Patricka? I czy ja się mylę? Bo wydaje mi się, że ona przytyła. Jest trochę grubsza.

Atamarie i Roberta nie zwracały uwagi na problemy panny młodej z jej figurą. Pozwoliły, aby panowie kilka razy zaprosili je do tańca, ale tak naprawdę wołały ze sobą porozmawiać. W końcu więc Atamarie porwała ze stołu butelkę szampana i dziewczęta znikły na jednym z balkonów sali weselnej, gdzie było wprawdzie zimno, ale też nikt im nie przeszkadzał. Tylko muzyka docierała aż tutaj – orkiestra grała właśnie marsze Johna Philipa Sousy – i stanowiła doskonałe tło do rozmowy.

– I potem po prostu zniknął? – pytała Roberta.

Atamarie opowiedziała jej właśnie o uratowaniu Rawiri, o cudownym wieczorze, kiedy razem z Richardem Pearse'em spacerowała po wzgórzach, i o swoim marzeniu o lataniu.

– On myśli dokładnie tak jak ja! I czuje tak jak ja! A potem mnie pocałował!

– I potem po prostu zniknął? – powtórzyła Roberta.

– No, nie całkiem zniknął – uściśliła Atamarie. Chciałaby móc dalej opowiadać swojej przyjaciółce miłosną historię, ale następny dzień był właściwie jednym wielkim rozczarowaniem.

– Było tak, że profesor Dobbins stwierdził, że nie skończymy badań. I że nie robimy tego tak szybko, jak planował. Nic dziwnego, z takimi maminsynkami jak ten Porter, który na każde wzgórze zakładał raki. A to trzydzieści trzy tysiące mil obszaru, wyżyna... Trzeba się ruszać, jeśli chce się zdążyć w kilka tygodni. W każdym razie Dobbins podzielił grupę. My dalej robiliśmy swoje, mieszkając

w Parihaka, ale studenci trzeciego roku musieli przenieść się na zachodnią stronę wulkanu Taranaki. Pod kierownictwem Richarda.

Atamarie ściągnęła usta.

– I koniecznie musiał to być Richard? – dopytywała się Roberta. – Ktoś inny nie mógł tego robić? To znaczy... Przecież twój Richard nie był właściwie studentem, o ile dobrze zrozumiałam. A może być tak, że ten profesor Dobbins chciał, żebyście się rozstali? Żebyście nie byli razem?

Atamarie potrząsnęła głową.

– Nieee, nie sędzę. Wręcz przeciwnie, miałam wrażenie, jakby on uważał, że to takie słodkie...

– Słodkie? – spytała Roberta surowo. Nie bardzo mogła sobie wyobrazić, że profesor uniwersytetu użyłby takiego słowa.

Atamarie się roześmiała.

– No, nie „słodkie”, ale może... hm... że pasujemy do siebie. W każdym razie czułam, że był nam bardzo przychylny. A nie patrzył tak życzliwie, kiedy Porter i inni znikali w krzakach z maoryskimi dziewczętami... I widział, że moja matka widziała...

– Twoja matka uważała, że to w porządku? – pisnęła Roberta. – Że ty z Richardem w krzakach...?

– Przecież nie byłam z Richardem w krzakach – westchnęła Atamarie z wyraźnym żalem. – Poszliśmy tylko na spacer po wzgórzach. Mówiłam. Żeby porozmawiać o prądach termicznych. I o kącie nachylenia. Myślałam, że on jest decydujący w próbach latania, ale Richard stwierdził, że wówczas nie osiągnie się prędkości koniecznej do lotu ślizgowego. Najwyżej dwupłatowcem. Lilienthal...

– Atami! – jęknęła Roberta. – Nie chcę technicznego seminarium! Opowiedz coś więcej o tym Richardzie. Czy przynajmniej trzymał cię za rękę?

Atamarie przytaknęła.

– Oczywiście. I pocałował mnie. W usta.

Przemilczała, co musiała robić, aby go do tego skłonić.

– Richard to dżentelmen.

– Który następnego ranka po prostu zniknął – powtórzyła Roberta. – A nie mogłaś jechać z nim na drugą stronę góry?

Atamarie potrząsnęła głową.

– Nie, profesor nie chciał mi pozwolić. Byłam przecież najmłodszą w grupie i do tego jedyną dziewczyną...

– Ale czy on spytał profesora? – dopytywała się Roberta. – To znaczy ten twój Richard...

– Taaak...

W rzeczywistości spytała Atamarie. I otrzymała odpowiednią odprawę. A Richard Pearse najwyraźniej wcale o tym nie myślał. Był zbyt przejęty powołaniem na kierownika ekspedycji. Oczywiście był to wielki zaszczyt, w końcu ogółem biorąc, uczestniczył w niewiele większej liczbie seminariów niż Atamarie.

– Ale on jest geniuszem – oświadczyła Atamarie, kiedy Roberta raz jeszcze wróciła do tego, czy Richard nie mógł po prostu zostać z jej powodu. – I profesor o tym wie. On ma przed sobą wielką przyszłość!

Roberta zmarszczyła czoło. Wyglądała tego wieczoru zachwycająco w bladozielonej sukni zaprojektowanej przez Kathleen. W ostatnim czasie ubierała się zbyt skromnie i zdawała sobie z tego sprawę. Ale bez Atamarie, która ciągle ją przekonywała, aby odważyła się na żywe kolory, większe dekolty i w ogóle na podążanie za modą, szybko ulegała wpływowi ducha swojej akademii. Dziewczęta tam studiujące ubierały się tak, aby nie rzucać się w oczy, co było przygotowaniem do ich przyszłego

stanu. Żadna z nich nie planowała też w najbliższym czasie zamążpójścia, bo było przyjęte, że nauczycielka wówczas rezygnowała ze swego zawodu. I wiele studentek już teraz sprawiało wrażenie starych panien. Wprawdzie brały udział w raczej niewinnych rozrywkach, w czasie których spotykali się wszyscy studenci akademii, ale nigdy nie flirtowały z nielicznymi kolegami. Ci zresztą nie mieli dla Roberty żadnego uroku. Z trzech chłopców na jej roku jeden był już żonaty, drugi wyglądał jej zdaniem niezbyt męsko, a trzeci był przeraźliwie chudy i tak dziecinny, jak gdyby dopiero co skończył czternaście lat. Nie warto więc było zadawać sobie trudu i starać się być dla nich piękną. Zwłaszcza że wówczas cała akademika gapiła się na taką studentkę. Roberta nienawidziła się wyróżniać.

– I kiedy go znów zobaczyłaś? – podjęła znów przepytывanie Atamarie. – Wracaliście przecież razem, prawda? I widujecie się jeszcze?

Atamarie nawijała sobie na palec pasmo swoich złotoblond włosów.

– Nie całkiem, to znaczy... Tak, oczywiście wracaliśmy razem. Znów było tak pięknie, cały czas rozmawialiśmy, na promie i w pociągu...

– Rozmawialiście? – spytała Roberta. – Nic więcej? Po tym, kiedy już się całowaliście?

– No, tak przed wszystkimi i przed profesorem...

Atamarie była wyraźnie zakłopotana. To z kolei zaalarmowało Robertę. Rozumiała to wprawdzie, ona sama także nigdy by się nie odważyła odezwać się do któregoś z kolegów w obecności profesora. Ale Atamarie była zupełnie inna. Nigdy nie była nieśmiała i właściwie zawsze potrafiła znaleźć sposób, aby dostać to, co chciała. I z pewnością potrafiłaby się uporać ze wszystkimi przeszkodami, aby być z Richardem sam na sam.

– Ale na pożegnanie mnie pocałował – powiedziała przekornie. – W Christchurch, zanim się rozstaliśmy. Był taki słodki, trochę nieśmiały, ale całkiem... całkiem porywający. I powiedział, że z przyjemnością spędzał ze mną czas. I że koniecznie musimy się zobaczyć.

W rzeczywistości Richard Pearse mówił przede wszystkim o swojej farmie w Temuka, na którą musiał teraz wrócić. Wręcz nienawidził tej myśli, a Atamarie go pocieszała. „Mogę przecież przyjechać cię odwiedzić – powiedziała głosem pełnym nadziei. – Tak na... to znaczy mogliśmy razem zbudować latawiec...”

Richard Pearse w odpowiedzi uśmiechnął się do niej – łagodnie, nieśmiało, ale i z rozpaczą. „Zawsze jesteś mile widziana, Atamarie!” – tak powiedział. I potem ją pocałował. Bardzo tkliwie. W policzek.

Tym razem nie było przedtem *hangi*, piwa czy whisky. Atamarie stała z nim po prostu przed szkołą i nie odważyła się powtórzyć swej próby zachęty. Nie czuła zadowolenia, jego wargi nawet nie musnęły jej ust.

– Będziemy do siebie pisać – powiedziała zdecydowanie.

Roberta ściągnęła usta. Niewiele wiedziała o miłości, ale nie sądziła, że to było właśnie to.

Patrick i Juliet wprowadzili się do komnaty weselnej w hotelu Leviathan i zgodnie z obawami i nadziejami Juliet Patrick był ostrożny i czuły. Właściwie nie miała nic przeciwko swojemu nowo poślubionemu małżonkowi, wręcz przeciwnie, oddanie Patricka pochlebiało jej, a jego pełna bezradności uległość skłaniała ją niemal do tkliwych uczuć. Nie była gotowa do miłości i namiętności w stosunku do niego, ale zachowała pewien optymizm. Ten mężczyzna był bratem Kevina! Nie mogło być tak, że w ogóle nie stać go było na podobną dzikość i fantazję. Juliet była gotowa na niespodziankę. Wprawdzie uważała to za dziwne, że Patrick przed nocą poślubną nawet jej nie dotknął, ale może oszczędzał energię.

Ale było dokładnie tak, jak się spodziewała.

Patrick, śmiejąc się, podniósł ją silnymi ramionami i zaniósł do pokoju. Położył ją na łóżku i nawet

pomyślał o tym, aby posypać je uprzednio płatkami róż. A potem zaczął ją delikatnie całować i próbować rozpiąć jej suknię.

– Nie jesteś za bardzo zmęczona, kochanie? – spytał przyjaźnie, kiedy ona nie wykonała żadnego ruchu, aby mu w tym pomóc.

– Ależ skąd – wymamrotała Juliet. – Jeśli tylko pomożesz mi się uwolnić z tego gorsetu. Po prostu nie mogę się w nim poruszać.

– Dlaczego się tak mocno zasznurowałaś? – Patrick walczył ze śliskimi, obszytymi jedwabiem guzikami jej sukni. – Wiesz, że ożeniłbym się z tobą nawet wtedy, gdybyś włożyła którąś z tych luźnych sukien reformowanych...

– To może od razu w namiocie cyrkowym? – stęknęła ordynarnie Juliet, szarpiąc jeden z guzików. Po co ta cała ostrożność, przecież i tak nigdy już nie włoży tej sukni. Kevin dawno by ją z niej zerwał. Patrick roześmiał się nerwowo, a potem zaczął rozwiązywać sznurówki gorsetu. Juliet odetchnęła, kiedy w końcu mu się to udało. Leżała przed nim naga, a Patrickowi najwyraźniej na ten widok zabrakło tchu. Juliet niemal zachichotała histerycznie.

– Jesteś taka piękna – wyszeptał Patrick z uwielbieniem. – Nie wiem, nie wiem...

Juliet westchnęła. Nie mogło przecież być tak, że wyszła za mąż za męską dziewicę!

Ale Patrick wreszcie przejął inicjatywę. Zaczął całować jej ciało i delikatnie pieścić palcami. Było to bardzo miłe i Juliet zdała się na jego tkliwość – i na własne zmęczenie po trudach tego dnia. Ale za chwilę wzięła się w garść. Nie wolno jej było przecież zasnąć! Zaczęła odwzajemniać pieścioty, starając się, aby były bardziej intensywne, i próbowała skłonić Patricka do dzikszych pocałunków, a potem do silniejszych pchnięć. Ale na próżno. Patrick był powolnym, bardzo taktownym kochankiem. Taka noc poślubna cieszyłaby nieśmiałą dziewicę, Juliet była jednak doświadczona i rozpieszczona, lubiła gry miłosne, chętnie zamieniała się rolami, chciała śmiać się, krzyczeć i prężyć pod ciężarem ciała kochanka. Tkliwość Patricka nie podniecała jej. We właściwym momencie udała więc szczytowanie, co nie było dla niej żadną nowością, bo robiła to już z niejednym mężczyzną. Ale nawet w czasie najbardziej ponurych koszmarów nie przypuszczała, że będzie to robić przed własnym mężem!

– To było bardzo piękne – wyszeptał Patrick. – Uczyniłaś mnie szczęśliwym, moja cudowna ukochana. Będziemy mieli wspaniałe życie.

Juliet nie odpowiedziała – w myślach złorzeczyła własnemu losowi i nadziejom. Pragnęła bezpieczeństwa i je dostała. Wszystko wskazywało na to, że będzie bezpiecznie, ale i nudno. Nic nie wskazywało na namiętność.

ROZDZIAŁ 5

Kevina obudził dopiero hałas wybuchających granatów. Strzałów, które padły w czasie jego krótkiej nocy, w ogóle nie słyszał. Spał tak głęboko, że byłby skłonny zaprzeczyć, iż tej nocy w ogóle miały miejsce jakieś działania wojenne – gdyby nie dwóch szkockich żołnierzy, którzy czekali na opatrzenie lekkich postrzałów.

– Nie chcieliśmy pana budzić, doktorze – powiedział jeden z nich. – Nie leżymy w końcu na łożu śmierci.

– W przeciwieństwie do tych łotrów, którzy nas zaatakowali – dodał drugi z wyraźną satysfakcją. – Prawdziwe szczęście, że McDuff ma słaby pęcherz, bo strażników wyprowadziliby w pole. Ale on wyszedł z drugiej strony namiotu...

– I miałem ze sobą broń. Nie pierwszy raz walczyliśmy z tymi typami!

Oddział Szkotów najwyraźniej od samego początku brał udział w tej wojnie.

– Jednego od razu zestrzeliłem z konia, a wtedy u nas obudzili się wszyscy...

Rzeczywiście, około trzeciej w nocy dwa oddziały Burów zaatakowały obóz Brytyjczyków – mimo licznych patroli i straży. Ale Australijczycy odparli atak równie skutecznie jak Szkoci. Po stronie brytyjskiej nie było strat, za to trzech Burów zginęło na miejscu, byli też ciężko ranni. Kevin przyszedł akurat wtedy, kiedy dopiero co przybyły doktor Willcox beszał dwóch pielęgniarzy, którzy nie zbudzili ani Kevina, ani Barristera w chwili, kiedy przyniesiono ciężko rannego wroga. Mężczyzna zmarł – i Kevin po raz pierwszy miał okazję zobaczyć jednego z budzących powszechny strach Burów. Nie wyglądał imponująco – przede wszystkim nie miał na sobie munduru ani wysokich butów. Zamiast tego był ubrany w skórzaną kurtkę, sztruksowe spodnie i grube, miękkie skórzane buty. Miał blond włosy i szeroką twarz oraz krępe, silne ciało.

– I tak niewiele bylibyśmy w stanie dla niego zrobić, ale tak oczywiście nie można! – złościł się Willcox na pielęgniarzy. – Nawet rannego wroga musimy leczyć, to jest nasz humanitarny obowiązek wobec jeńców wojennych. Teraz wynieście tego człowieka i sprawdźcie, czy ma przy sobie jakieś papiery – może zdołacie ustalić, jak się nazywał. Wtedy będzie to zaprotokołowane, żeby po wojnie można było dać znać rodzinie. Ciężko walczyliśmy, chłopcy, ale nie jesteśmy zwierzętami! Wystarczy, że inni naruszają wszelkie zasady!

Willcox przywitał Kevina i lekarze mieli akurat tyle czasu, aby obejrzeć wszystkich operowanych w nocy pacjentów, zanim przybyli nowiranni. Jeden z ciężko rannych zmarł, ale Barrister i Kevin zdołali uratować dwóch. Willcox natychmiast wysłał obu lekarzy wraz z rannymi do lazaretu polowego na farmie van Stoutów.

– I niech woźnica jedzie powoli, żeby za bardzo nie trzęsło – przykazał pielęgniarzom. – Teraz to jeszcze możliwe. Jeśli zaraz trzeba będzie odtransportować dużą liczbę rannych...

Bitewny hałas od strony Wepener nie wróżył nic dobrego. Kevin i Willcox stali już przy stole operacyjnym, zanim ktoś z kuchni przyniósł śniadanie. Między jednym a drugim pacjentem pili kawę i pośpiesznie przetykali chleb. Przy czym tu ranni zjawiali się o wiele szybciej niż w lazarecie polowym na farmie van Stoutów. Lekarze na froncie dokonywali tylko wstępnych opatrunków – i przeprowadzali selekcję. Kevin był przerażony, kiedy Willcox od razu zakwalifikował dwa ciężkie przypadki jako beznadziejne i pozwolił tym ludziom umierać na siennikach w lazarecie polowym.

– Ale można byłoby przynajmniej spróbować – powiedział Kevin. – Przecież to lekki postrzał płuc, o ile umiem to prawidłowo ocenić, on ma spore szanse...

Willcox spojrział na niego ze współczuciem.

– On miałyby spore szanse, gdybyśmy mieli więcej czasu i lekarzy. Ale tak zajmuje tylko miejsce innym. Przykro mi, Drury. Jak przeżyje do wieczora, to spróbuję w nocy...

Kevin zobaczył też kapelanów polowych, których tak brakowało na farmie. Byli tu naprawdę potrzebni, pocieszali rannych, których potem wysyłano na farmę, i udzielali innym sakramentów dla umierających. Kevin wkrótce zaczął się zastanawiać, czy oni w ogóle słyszeli własne słowa – hałas w namiocie szpitalnym był iście piekielny. Ranni krzyczeli i stękali, Kevin i Willcox nie mogli nadażyć z opatrywaniem i podawaniem morfiny. Do tego dochodził hałas docierający z pola bitwy – Kevin już po kilku godzinach był kompletnie znużony i wyczerpany. Mundur kleił mu się do ciała i był przesiąknięty potem i krwią.

– Czy przynajmniej odnosimy jakieś sukcesy? – spytał jednego z łżej rannych, któremu wskazał jedynie drogę do lazaretu.

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Myślę, że tak. Ostrzał haubicami jest nader skuteczny, a w forcie powoli kończy się amunicja. Zdaje się, że mamy kontrolę nad oddziałami atakującymi z zewnątrz, oni chyba też widzą, że nie są w stanie pokonać całej armii. Ale czy jeszcze dziś wejdziemy do miasta...

Mężczyzna sprawiał wrażenie uradowanego, że wreszcie nie będzie musiał brać udziału w kolejnych potyczkach.

Kevin był niemal zaskoczony, kiedy także i ten dzień dobiegł końca. Wraz z zapadającym zmrokiem milkiły powoli strzały, a w ostatnich godzinach przywieziono mniej rannych. Willcox i on zaczęli operować trudniejsze przypadki, bilans zmarłych Kevina nie był tak duży jak bilans Tracy'ego z poprzedniego dnia. Mimo to doskonale rozumiał, co czuł jego kolega. On tamtego dnia widział za dużo krwi i zbyt wielu ludziom nie był w stanie pomóc.

Tracy zjawił się wkrótce, aby go zmienić. Także w lazarecie polowym było spokojniej, Australijczyk mógł się przebrać i znów był wystrojony. Sprawiał też bardziej optymistyczne wrażenie. Kilka udanych operacji dobrze mu zrobiło.

– A jutro będzie po wszystkim – oświadczył Willcox, który rozmawiał z kilkoma wyższymi oficerami z dowództwa armii. – Obrona jeszcze się wprawdzie trzyma, oni walczą do ostatniego naboju, jeśli nie do ostatniej kropli krwi. Ale w gruncie rzeczy są już pokonani, najpóźniej po południu wejdziemy do Wepener.

– A więc wszystko na nic – stwierdził Tracy, sfrustrowany mimo pozytywnych wieści. Kevin siodłał właśnie konia, aby wracać na farmę van Stoutów. Tracy wyszedł za nim na zewnątrz i zapalił papierosa.

– Najpierw Burowie mieli w rękach tę miejscowość, potem my, potem Burowie, a teraz znowu my. Ceną każdej takiej zmiany są setki zmarłych. A na koniec oddamy miasto z powrotem Burom, bo przecież nie będziemy go okupować wiecznie. To szaleństwo. Cała ta wojna jest jednym wielkim szaleństwem.

Tracy zaciągał się głęboko papierosem. Kevin chciał właśnie zapytać, dlaczego jego kolega dobrowolnie zgłosił się na tę wojnę, kiedy zawołał go sierżant Willis.

– Doktorze? Dobrze, że pan jest, nie mogę znaleźć Willcoxa. Ale jest coś, co powinien pan zobaczyć... Wzięliśmy kilku z nich do niewoli.

– Ranni? – spytał Tracy.

Kevin zaczął z powrotem przywiązywać swojego konia.

– Tak... i nie. Powiedziałbym, że to taki rodzaj burskiego lazaretu polowego. Trzech rannych i dwie kobiety.

Willis zaprowadził obu lekarzy w stronę wozu krytego plandeką, który zdaniem Kevina był

zaskakująco silnie strzeżony. Po jednej stronie plandeka była podniesiona i trzech angielskich żołnierzy stało z bronią gotową do strzału i wymierzoną w znajdujących się na wozie ludzi. Dwie kobiety w schludnych, teraz poplamionych krwią ubraniach i mężczyzna z ręką na temblaku, patrzący na żołnierzy z nieukrywaną nienawiścią. Został z pewnością ranny w walce, ale jak na żołnierza miał na sobie dość osobliwe ubranie – podobne do tego, jakie miał na sobie zmarły, którego rano oglądał Kevin. Białe sztruksowe spodnie, kamizelka i rodzaj dziwnej kurtki, do tego kapelusz z szerokim, zwisającym rondem. Mężczyzna miał brodę, jasne włosy i jasne, niebieskie oczy i patrzył na Kevina z wściekłością. Kobiety zajmowały się dwoma pozostałymi mężczyznami, którzy leżeli na siennikach i kocach.

– Obaj są ciężko ranni – stwierdził Willis. – Jednemu te kobiety chyba wyjęły kulę z ramienia czy coś. Drugi krwawi jak zwariowany i z tym sobie nie poradzą.

Kevin zaczął się wspinać na wóz. Lżej ranny mężczyzna natychmiast zagroził mu drogę i wykrzyknął do niego kilka słów po afrykanersku.

– Zabierzcie go! – rozkazał Willis.

Dwóch żołnierzy trzymających straż nie kazało sobie tego dwa razy powtarzać. Musieli jednak zadać sobie dużo trudu, aby ściągnąć z wozu broniącego się z furią mężczyznę. Groźenie bronią nic nie dawało – mężczyzna po prostu był gotów dać się zastrzelić. Także kobiety odrzuciły pomoc Kevina, kiedy chciał się zająć rannym, ale przynajmniej nie próbowały przemocy. Nie odpowiedziały, kiedy Kevin odezwał się do nich przyjaźnie, przedstawił się jako lekarz sztabowy i wyraził chęć pomocy.

– Czy one nie rozumieją po angielsku? – spytał Willisa.

Ten w odpowiedzi prychnął z oburzeniem.

– Przedtem rozumiały całkiem dobrze – oświadczył.

Tymczasem podszedł Tracy i przetłumaczył słowa Kevina, ale kobiety dalej milczały. Kevin pobieźnie zbadał obu rannych.

– Jeden potrzebuje przede wszystkim spokoju – powiedział. – Można było bardziej fachowo przeprowadzić tę operację usunięcia kuli, a opatrunek, który założyły te damy, też nie budzi mojego zaufania. Ale dobrze, domowe środki też działają, te ladies mają już doświadczenie. U drugiego jest postrzał tętnicy udowej. Nie sądzę, żeby była rozszarpana, z dość dużą pewnością można go uratować. Przedtem należałoby lepiej podwiązać nogę...

Kobiety próbowały to zrobić, ale krew mimo to płynęła z rany.

– Proponuję podwiązać arterię, a potem zawieziemy ich do lazaretu polowego. Tam można go zoperować, a kobiety będą się potem mogły zająć swoim pacjentem.

Kevin zwrócił się do obu kobiet.

– Czy to wasz krewniak? – spytał.

Przypomniało mu się, co mówił colonel Ribbons o burskich kobietach towarzyszących swoim mężom na wojnach.

Starsza z kobiet spojrzała na niego z wściekłością.

– Wy mój syn nie dotykać! – powiedziała łamaną angielszczyzną, ale twardo i zdecydowanie. – Ja troszczyć się o mój syn.

Kevin zagryzł wargi.

– Ależ Mrs... *Meuvrow*... jeśli nie zoperujemy pani syna, on umrze. Doktorze Tracy, może pan to przetłumaczyć? Ona chyba mnie nie rozumie.

Tracy westchnął i przetłumaczył słowa Kevina na niderlandzki. Jednak reakcja kobiety była taka sama.

– Ręce precz od mój syn! – krzyknęła do obu lekarzy po angielsku, dodając coś w rodzaju krótkiego

kazania po afrykanersku.

Tracy bezradnie podniósł rękę.

– Ona rozumie pana doskonale – powiedział. – Ale jej to nie interesuje. Ona w żadnym wypadku nie pozwoli, żeby jakiś Anglik czy ktokolwiek inny dotknął jej ciała i krwi. A poza tym jest przekonana, że może sama uratować tego chłopca. Z pomocą bożą...

– Nie można jej wyjaśnić, że Bóg nas właśnie przysłał z pomocą? – spytał Kevin i schował głowę w ramiona, słysząc kolejną kanonadę przekleństw.

Tracy potarł czoło.

– Nie muszę tego tłumaczyć, prawda?

Kevin potrząsnął głową.

– Nie możemy jej zmusić? – spytał Willisa.

Ten skinął głową i zwrócił się do żołnierza z bronią:

– Szeregowy, proszę przytrzymać te kobiety, kiedy lekarze będą robić swoje. Ale chwila, dam wam posiłki. Bo wydrapią wam oczy.

I rzeczywiście potrzebnych było dwóch dodatkowych żołnierzy, aby odciągnąć obie kobiety od legowiska ciężko rannego mężczyzny. Na przemian przeklinając i skarżąc się, patrzyły, jak Kevin i Tracy założyli ucisk na arterię, po czym obandażowali nogę. Pacjent był jeszcze bardzo młody, mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Jego blada twarz o jasnym, młodzieńczym zarostie pod burzą jasnych jak len włosów wydała się Kevinowi sympatyczna. Miał wrażenie, że chłopak jest podobny do Doortje.

– To wytrzyma przez jakiś czas, zanim znajdzie się w lazarecie – zwrócił się do żołnierzy, kiedy skończył opatrunki. – Zawieźcie więc tych ludzi na farmę van Stoutów, ja zaraz przyjadę. Dziś w nocy musimy to zoperować, bo zbyt długi ucisk spowoduje, że on straci nogę. Ach, prawda, kiedy wypuścicie te kobiety, uważajcie, żeby mu nie zerwały opatrunków.

Kevin nie był pewien, ale miał wrażenie, że dostrzegł w oczach kobiet błysk radości, kiedy wymienił farmę van Stoutów. Kryty plandeką wóz odjechał powożony przez jednego z angielskich żołnierzy. Drugi pilnował z bronią obu kobiet.

Tracy wyciągnął w jego stronę paczkę papierosów i podał mu ogień. Kevin przyłapał się na tym, że tak samo jak Tracy wciągał papierosowy dym głęboko do płuc.

– Rozumie pan to? – spytał gorzko. – Ta kobieta woli, aby jej syn umarł, niż żeby uratował go jakiś Anglik. Może powinienem był jej powiedzieć, że jestem Nowozelandczykiem?

Tracy potrząsnął głową.

– Przynajmniej jeśli chodzi o Australijczyków, to dla nich żadna różnica – stwierdził mimochodem.

Kevin się zdziwił.

– Miał pan już jakichś burskich pacjentów? – zapytał.

Barrister i Tracy z pewnością postąpiliby podobnie jak on i potem odesłali rannych do lazaretu, bez względu na to, czy tamci tego chcieli czy nie.

– Nie, ale ja... – Tracy najwyraźniej się wahał, czy ma opowiedzieć Kevinowi to, co zamierzał. Po chwili jednak zdecydował się i zaczął mówić, zaciągawszy się papierosem.

– Dla mnie to wszystko tutaj to zupełnie nieznaną kraj, kompletna nowość. Od czasu studiów nie robiłem operacji na otwartej klatce piersiowej, nie mówiąc już o amputacji kończyn. Od pięciu lat jestem specjalistą chorób oczu. I ja... No, na tej farmie przez trzy dni nie mieliśmy co robić. Więc zaproponowałem Mrs van Stout, że zdejmę jej zaćmę.

Kevin popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– I ona odmówiła? – spytał.

Tracy skinął głową.

– Ma zwykłą kataraktę, można to zoperować bez problemu, odzyskałaby całkowitą zdolność widzenia. – Zamyślił się. – Ale nie, odmówiła. Bóg tak zrządził, że oślepla, i z pewnością nie pozwoli jakiemuś brudnemu Anglikowi, żeby to zmienił.

Kevin potarł czoło.

– To jest... niepojęte. A co... co mówi na to jej córka?

– Uroczą *mejuffrouw* Doortje? – zakpił Tracy. – Od razu przytoczyła kilka stosownych cytatów z Biblii. Wszystko ze Starego Testamentu. Bo jeśli chodzi o Jezusa Chrystusa, to chyba poczytują mu za słabość to, że przed żadnym z cudownych uzdrowień nie spytał chorego o jego przynależność państwową. W każdym razie – żadnej szansy. A z nimi też będzie pan miał problemy, Drury! – Wskazał na wóz z plandeką, który wyjeżdżał z obozu. – Mówiąc uczciwie, cieszę się, że nie będę musiał się z nimi znów użerać.

Kiedy Kevin przyjechał na farmę van Stoutów, wóz z plandeką stał przed głównym wejściem – ale ani jeńców, ani też pilnujących ich żołnierzy nigdzie nie było widać. Kevin miał nadzieję, że znajdzie obu rannych w zaimprovizowanych salach operacyjnych, ale zastał tam jedynie obu żołnierzy dyskutujących gwałtownie z Barristerem i McAllisterem.

Kevin przywitał naczelnego lekarza sztabowego i swojego kolegę.

– Już pan pewnie słyszał – powiedział, spoglądając na żołnierzy. – Musimy jeszcze raz operować. Rozerwana tętnica udowa. Jak tego zaraz nie zrobimy, to pacjent się wykrwawi. Gdzie on jest? – Kevin się rozejrzał.

– To naprawdę nie nasza wina – usprawiedliwiał się żołnierz, który powoził wozem z plandeką. – Myślałem, że... Wydawało mi się, że te kobiety się znają i że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że one zajmą się same rannymi...

– Jakie kobiety? – zdziwił się Kevin.

– Ludzie z tego wozu i van Stoutowie – sprecyzował McAllister. – O ile zrozumiałem tych mężczyzn, to nasze gospodynie przyjęły przybyszów pod swój dach. Powitanie było bardzo serdeczne, szeregowy usłyszał chyba, że to ich krewni. W każdym razie one kazały czarnym robotnikom zanieść tych mężczyzn do domu – i teraz zabarykadowali się wszyscy w jednym z pokoi dzieciennych. Noże w zębach i gotowi na wszystko...

– Co takiego? – spytał Kevin przerażony. – I dopuściliście do tego?

Żołnierz wzruszył ramionami.

– To był bez wątpienia błąd – powiedział drugi, wyższy rangą. – Ale jak mówię, nie spodziewaliśmy się niczego złego... te kobiety z farmy pozwoliły, żeby tu urządzić szpital i...

– Już dobrze – westchnął Kevin. – Jak ich stamtąd wydobędziemy?

McAllister wzruszył ramionami.

– W ogóle ich nie wydobędziemy – odpowiedział. – Wprawdzie nie mają broni palnej, ale mają noże kuchenne. Grożą, że się nimi pozakluwają, zanim angielski lekarz dotknie któregoś z ich mężczyzn. I że przedtem będą walczyć... I jestem przekonany, że to zrobią. Wysłać tam ludzi bez broni – to byłoby niebezpieczne. A z bronią? Wygląda na to, że najpierw musielibyśmy zastrzelić te kobiety, zanim zajmiemy się mężczyznami. Czy sprawa jest tego warta?

– Chodzi o zasadę! – oświadczył Kevin. – Jesteśmy angielską armią, do cholery! Nie możemy dać się wodzić za nosy kilku kobietom! Nie możemy ich zaskoczyć?

McAllister potrząsnął głową.

– Nie. To udało się raz, po raz drugi nie dadzą się podejść. Jedyna możliwość, żeby ich stamtąd wydobyć, to wziąć dom szturmem. A potem będziemy musieli wyjaśnić dowództwu, dlaczego zastrzeliliśmy trzy czy cztery kobiety.

Kevin zagryzł wargi.

– Ale musi być przecież jakaś możliwość! – powiedział z rozpaczą. I umilkł, kiedy zabrał głos Barrister.

– Chodzi o zasadę, doktorze Drury, dobrze pan to ujął – zauważył naczelny lekarz sztabowy. Długimi szczupłymi palcami nerwowo przeczesał krótką brodę. – Ale może mniej chodzi o zasady wojskowe. Jesteśmy lekarzami, Drury, ludzie przychodzą do nas wtedy, kiedy chcą być leczeni. Jeśli nie chcą być przez nas leczeni, to nikt ich do tego nie zmusza. Mogą iść do cudotwórców albo uzdrowicieli. W cywilu nie zmuszamy nikogo do niczego. Ale teraz chce pan przemocą zaciągnąć pacjenta na stół operacyjny? Tak nie można, Drury, musi pan to zrozumieć. Choć żal mi tego chłopaka, bo jak mówi kapral, on nie ma nawet dwudziestu lat. Ale jest pod opieką swojej matki i to ona musi zdecydować. My mamy związane ręce.

Kevin chciał coś odpowiedzieć, ale zrozumiał, że jego przełożony ma rację. Podobnie jak Angus. Byłoby nie fair narażać życie żołnierzy czy pielęgniarzy, zmuszając ich do obezwładnienia tych zdecydowanych na wszystko i uzbrojonych w noże kobiet. Gdyby nie twarz tego młodego chłopaka, którą miał przed oczami...

– Zgodziłbym się z panem, doktorze Barrister, gdyby to była rzeczywiście decyzja pacjenta – odpowiedział powoli. – Ale tego mężczyzny nikt nie pytał o zdanie. Czy on naprawdę chce umrzeć?

Barrister wzruszył ramionami.

– Niech go pan zapyta, jeśli pan może, Drury. Albo niech pan porozmawia z rodziną van Stout. Możemy go operować w każdej chwili. Od nas to nie zależy.

ROZDZIAŁ 6

– I wtedy zbudowali obóz. Przywiązali głowy wołów i koni, ustawili w kręgu wozy jeden za drugim, aby mężczyźni mogli się za nimi ukryć. Cały obóz miał kształt okręgu i wszyscy, kobiety i dzieci, zbierali drewno, zrywali cierniste krzewy i wypełnili tym wszystkie otwory między wozami. Mężczyźni przymocowali wozy do ziemi i naszykowali muszkiety. Kobiety i dzieci ładowały je, a mężczyźni strzelali... O tak, Thies, nasi dziadkowie mieli broń i amunicję! Wiedzieli, że muszą walczyć o swój kraj i że Bóg jest z nimi. A zanim nadeszli Kafrowie, najpierw przeczytali Biblię i odmówili modlitwę. Boga wzywali nasi dzielni przodkowie, zanim tamci zaatakowali tabor, ale nie, nie robili tego ze strachu, lecz w ufności, że to On ich prowadzi... Nie, Mees, Kafrowie nie mieli żadnej broni, na to nie zezwoliłby Bóg! Mieli tylko dzidy i noże. I to nie byle jakie dzidy! Długie i ostre jak brzytwy, a ich tarcze były ogromne i pokryte skórą zwierząt. A jak oni wyglądali! Setki olbrzymich czarnuchów, prawie nagich, tylko z opaskami na biodrach i piórami, a całe ciała mieli obrzydliwie pomalowane...!

Doortje van Stout zawiązała wstążki świeżo upranego białego czepek. Jednym uchem przysłuchiwała się opowieści matki, która siedziała w salonie z młodszym rodzeństwem i opowiadała im o Wielkim Treku. O taborach z wozów i bitwach, o wielu zabitych i wreszcie o zwycięstwie. O kraju, który był obiecany i darowany Burom przez Boga, a ceną tego była tak wielka danina krwi, że woda w rzekach była czerwona.

Doortje też potrafiła opowiadać takie historie i kiedyś, kiedy będzie miała własne dzieci, będzie to robić. Tego wymagała od niej tradycja, a wiedza o zajmowaniu tej ziemi musiała być zawsze żywa. Tak żywa jak w słowach Bentje van Stout. A przecież matki Doortje nie było jeszcze na świecie, kiedy zaczął się Wielki Trek, ani nawet jej rodziców. I jej dziadkowie musieli być jeszcze dziećmi, kiedy jako *voortrekkerzy* wyruszyli z Kapsztadu, aby obejmować w posiadanie ziemie w głębi kraju. Wypędzeni przez Anglików, którzy zdobyli Kapsztad i chcieli odebrać Burom wszystko: ich język, ich prawa, ich Kościół – a przede wszystkim ich niewolników! A tego Bóg nie chciał z pewnością. I wtedy Burowie wyruszyli w drogę przez góry, załadowawszy na wozy zaprzężone w woły cały dobytek, niewolnicy pędzili ich bydło, idąc obok, a wszystkiego pilnowali jeźdźcy, którzy otaczali cały Trek. Nocami budowano tabory z wozów, aby bronić się przeciwko dzikim zwierzętom. I przeciwko czarnym, którzy nie chcieli zrozumieć, że to Bóg zesłał osadników... I Bóg karał ich za to okrutnie: tylko w czasie bitwy nad Blood River padło trzy tysiące zuluskich wojowników. A Bóg trzymał swą rękę nad Burami. Nikt nie zginął, a jedynie trzech Burów było rannych!

Doortje już prawie nie pamiętała, że z początku pytała, dlaczego Bóg nie mógł od razu zniszczyć także Anglików. Albo dlaczego w ogóle stworzył tych zuluskich Kafrów. I tak do niczego nie byli przydatni, tylko niewielu pracowało na farmach, a tak czy owak robili głupstwa. Doortje ciągle żywiła urazę do Nandé za to, że nie stanęła na wysokości zadania w czasie obrony farmy. Bentje potrafiła to wyjaśnić, choć Doortje nie pamiętała wszystkich słów. Z pewnością było to z jej strony głupie pytanie i nie należało się nad nim dłużej zastanawiać. Podobnie jak pytanie, dlaczego Anglicy teraz znów zwyciężali. Bo zwyciężali, ciotka Jacoba i kuzynka Antina powiedziały im o tym. Anglicy przepędzili oddział, do którego należeli dziadek Jonas i kuzyn Cornelis, po mężu Jacoby zaginał wszelki ślad, małżonek Antyny Willem był ciężko ranny, a kuzyn Cornelis umierał. O ile można było wierzyć temu angielskiemu lekarzowi. Ciotka Jacoba i kuzynka Antina mówiły przecież, że już jest z nim lepiej. W każdym razie krwawienie ustało. I zaraz przecież wszyscy będą się za niego modlić.

Doortje dotknęła koronki, którą obszyty był czepek, i sprawdziła, czy jej włosy były pod nim

skromnie schowane. Zwłaszcza na czas modlitwy chciała wyglądać naprawdę porządnie – Doortje pamiętała, że zanim matka oślepla, często odsyłała ją z powrotem do pokoju, aby zamieniła czepek na czysty i starannie wyprasowany albo zdjęła poplamiony fartuszek. Doortje ciężko przychodziło się tego nauczyć, wołała pracować na polu niż w domu, a jeśli miała być szczerą, to najchętniej trzymała głowę w książkach. Ale to był grzech – nawet jeśli ojciec Doortje upierał się, aby jego dzieci nauczyły się angielskiego, który był językiem wroga. Łatwiej będzie pokonać wroga, którego się zna, nauczał, a Doortje trafiało to do przekonania. Choć nie było łatwo jednocześnie mówić w danym języku i uczyć się go nienawidzić. Nikomu z jej rodzeństwa tak naprawdę się to nie udało, ale Doortje była przez długi czas jedyną uczennicą, która przed wieczornym nabożeństwem brała udział w lekcjach, jakich udzielał Adrianus van Stout. I starała się przypodobać ojcu – choć jego rozczarowywał za każdym razem sam jej widok.

Adrianus van Stout pragnął syna, ale Bentje wydała na świat jedynie dziewczynkę, a potem przez lata nie zachodziła już w ciążę. Doortje każdego dnia musiała się przysłuchiwać, jak rodzice modlili się o to, aby wreszcie zaznać błogosławieństwa posiadania męskiego potomstwa. Dopiero kiedy Doortje miała osiem lat, na świat przyszła Johanna. Znów dziewczynka. I chyba w tym czasie Adrianus porzucił już nadzieję posiadania syna, a surowe purytańskie wychowanie, któremu chciał poddać synów, otrzymała najstarsza córka. Doortje uczyła się więc historii swojego kraju, tego, kim byli jej wrogowie i jak należało z nimi walczyć. Uczyła się, jak miała się zachowywać burska kobieta w czasie walki, jak też tego, że miała być surowa dla siebie samej i nigdy nie płakać ani nad sobą, ani nad innymi. I nikt nigdy nie widział Doortje van Stout płaczącej od chwili, kiedy urodziła się jej siostra.

Ale potem Bóg wysłuchał prośb i dał swemu wiernemu słudze Adrianusowi dwóch synów. Mees i Thies stali się od tej chwili centralnym punktem rodziny. Matka i siostry hołubiły ich jak mogły, a ojciec nie ustawał w trudzie wychowania ich na swych godnych dziedziców. I zanim przed kilkoma miesiącami poszedł na wojnę, uczył chłopców każdego dnia – obaj umieli już strzelać i mówili trochę po angielsku. Wychowanie Doortje Adrianus uznał z tą chwilą za zakończone. Dziewczyna umiała pisać, czytać Biblię i w miarę dobrze znała angielski. I oczywiście potrafiła strzelać i prowadzić gospodarstwo domowe. Więcej od burskiej dziewczyny nie żądano, wręcz przeciwnie, jej dalsze kształcenie uchodziło niemal za grzech. Z tym jednak Doortje nie mogła się pogodzić. Wieczorem po nabożeństwie zakradała się do regału z książkami, na którym obok rodzinnej Biblii po niderlandzku stały też książki angielskie, i przy nikłym świetle świecy przedzierała się przez tekst z dziwną mową Williama Szekspira. I tak jej zasób słów powoli rósł. Cornelis jednak zaczął się śmiać, kiedy usłyszał, jak ona mówi po angielsku.

– Doortje, Anglicy tak nie mówią! Te książki napisano trzysta lat temu. Język od tego czasu się zmienił, i to całkiem...

A potem pożyczył jej potajemnie inne książki. Współczesne powieści Dickensa i Kiplinga. Rodzina Cornelisa Pienaara mieszkała w Transwalu i kiedyś brała udział w Wielkim Treku. Druga jej gałąź została koło Kapsztadu i miała tam winnicę. W oczach Adrianusa van Stouta uchodziło to za grzech śmiertelny.

– Któregoś dnia Bóg nas za to skarże – powtarzała Doortje słowa ojca i miała nadzieję, że nie dotknie to rodziny jej kuzyna Cornelisa. Lubiła Cornelisa, mimo że czasami myślał o rzeczach zabronionych i nawet je robił.

– No, jak na razie Bóg pozwala, aby winorośl rosła bujnie! – zauważył któregoś dnia Cornelis w odpowiedzi na jej wyrzuty. – I Burowie z Kolonii Przylądkowej są bogatsi niż my!

Młody mężczyzna wiedział o tym z własnego doświadczenia, bo odwiedzał niejednokrotnie krewnych koło Kapsztadu. Jego rodzice także chcieli, aby syn nauczył się angielskiego, byli jednak przy

tym bardziej praktyczni. Cornelis uczył się nie tylko z zakurzonego podręcznika, lecz miał poznawać Anglików i z nimi rozmawiać. W rezultacie mówił teraz płynnie po angielsku – i chętnie dzielił się swą wiedzą z Doortje. Choć był też narażony na zgubne wpływy...

Doortje oderwała się od swych myśli, zawiązała pod brodą śnieżnobiałe kokardy czepka i podeszła do drzwi. Bentje opowiadała właśnie dzieciom, jak Andries Pretorius gonił uciekających zuluskich wojowników.

– Wziął stu pięćdziesięciu jeźdźców na kucykach – tak, stu pięćdziesięciu przeciwko tysiącom Kafrów! I z nimi wpędził czarnych do rzeki. A Bóg kierował ich kulami, strzelali do tych pogan jak do zajęcy i rzeka zabarwiła się na czerwono od ich krwi...

Doortje przez chwilę pomyślała, że to nie widok kucyków tak przeraził Kafrów. W jednej z ksiązek Cornelisa była mowa o starożytnych Grekach, którzy nie jeździli na koniach, lecz jedynie zaprzęgali je do swych wozów. I kiedy zobaczyli pierwszych jeźdźców, uważali połączone postacie ludzi i koni za bogów – centaurów. Może Zulusi byli równie przesądni. Ale dobrze im tak, w końcu byli poganami... Doortje zdecydowanie odpędziła myśl o argumentach Cornelisa, który mówił, że Zulusi po prostu nigdy nie słyszeli o Bogu Ojcu i Synu, zanim nie przyszli biali. Według jej matki natomiast fakt ten świadczył jedynie o ich niższości. Bóg nie zadał sobie trudu, aby im się objawić...

Był już najwyższy czas, by przyłączyć się do rodziny. Doortje była zadowolona ze swego wyglądu i weszła do drugiej, lepszej izby.

– Czy odprawimy teraz modły?

Bentje van Stout podniosła głowę, a Doortje popatrzyła w jej oczy, których puste spojrzenie zawsze ją przerażało. Jej matka dawniej szła przez życie i świat, patrząc dookoła błyszczącymi, pełnymi radości oczami, których uwadze nie uchodził żaden drobiazg. Ale potem Bóg pokarał ją ślepotą – za jakie grzechy... Doortje próbowała nie myśleć o Angliku, który powiedział, że mógłby to wyleczyć. Jej matka miała z pewnością rację, mówiąc, że trzeba we wszystkim zdać się na Boga i odrzucić propozycję wroga.

– Tak, dziecko, pewnie – odpowiedziała Bentje – już prawie skończyłam moją opowieść. Chciałam tylko jeszcze opowiedzieć o kraju, który nasi przodkowie objęli w posiadanie... Johanno, ty znasz już tę historię. Daj znać, proszę, cioci Jacobie i kuzynce Antinie, może choć jedna będzie mogła przyjść na modlitwy...

Doortje wzięła do ręki rodzinną Biblię.

– Pójdę później do pokoju, gdzie leżą chorzy, i przeczytam Willemowi i Cornelisowi kilka wersetów – oświadczyła.

Najpierw myślała, że odprawia modły przy łóżkach chorych, w pokoju, w którym zwykle sypiali jej bracia Thies i Mees, ale był on po prostu za mały. I nieco za ciemny. Ale za to dobry do obrony. Doortje nie mogła popełnić drugi raz takiego błędu jak w czasie rekwizycji farmy. Jej ojciec z pewnością już teraz wstydził się za córkę!

Bentje kończyła opowieść, a Doortje tymczasem szukała odpowiednich fragmentów Biblii. Ale nagle podniosła głowę. Najpierw usłyszała stukanie od strony drzwi, a potem od okna. Rozpoznała ostre rysy twarzy i ciemne kręcone włosy angielskiego doktora i ogarnęła ją niechęć. Nie, to nie był Anglik, skąd on właściwie pochodził? Z Australii? Nie, z Nowej Zelandii, czy jakoś tak... W każdym razie odniosła wrażenie, że ma coś ważnego do powiedzenia, bo gestykułował gwałtownie, kiedy dostrzegł Doortje.

– Miss... ehm... *mejuffrouw* Doortje... – Doortje niemal się uśmiechnęła, bo chyba nikt nie wymawiał tego słowa tak śmiesznie, jak ten Nowozelandczyk.

– Proszę! Mogę z panią pomówić?

Doortje wstała z najwyższą niechęcią. Właściwie kobiety ustaliły, że będą po prostu ignorować tych mężczyzn, ale jeśli ona teraz nie zareaguje, to ten człowiek zakłóci ich modlitwy. A Jacoba i Antina tak bardzo potrzebowały pociechy...

– Tak?

Doortje uchyliła drzwi i popatrzyła zimno na lekarza. Właściwie dopiero teraz po raz pierwszy patrzyła mu prosto w twarz i starała się nie zauważyć, jak bardzo był przystojny. Wyostrzone jeszcze bardziej rysy, intensywnie niebieskie oczy i pełne wargi, choć sprawiał też wrażenie wyczerpanego – oczy miał mocno podkrążone, a wokół jego ust powstały ostre zmarszczki.

– *Mejuffrouw* Doortje, jest pani przecież mądrą kobietą – zaczął trochę bezradnie. – Chyba pani rozumie, w jakim stanie jest ten młody żołnierz, którego przywieźliśmy z frontu...

– To mój kuzyn Cornelis – odparła Doortje. – A jego życie jest w ręku Boga...

– Pani kuzyn! – W głosie Kevina można było usłyszeć wyraźną ulgę. – To chyba... odczuwa pani w stosunku do niego jakąś sympatię. Poza tym... patriotyzmem. Może... Miss Doortje, musi nam pani pozwolić zoperować pani kuzyna. Jeśli nie, to on umrze... Wykrwawi się.

– Stan mojego kuzyna wyraźnie się poprawił – stwierdziła Doortje. – Moja ciotka mówi, że przez ostatnie godziny nie stracił już ani kropli krwi.

Kevin westchnął.

– Oczywiście, że nie. W przeciwnym wypadku byłby już martwy. Miss Doortje, doktor Tracy i ja założyliśmy opaskę na nogę. W tej chwili krew nie płynie do otwartej arterii. Ale nie płynie też do naczyń krwionośnych. To znaczy, że jego stopa i noga będą obumierać. Jeszcze kilka godzin, a będzie można tylko amputować nogę.

– On może żyć także z jedną nogą – zauważyła Doortje, ale z trudem przychodziło jej udawanie obojętności.

Cornelis był bardziej mołem książkowym niż rolnikiem. Ale nie chciał zostać duchownym ani nawet kościelnym tak jak Martinus. Lubił jeździć konno przez wzd, obserwować zwierzęta – kiedyś wyznał jej, że chciałby zostać weterynarzem. Ale oczywiście jego rodzice nigdy nie pozwoliliby mu studiować. Mimo to opiekował się troskliwie kucykami, pomagał krowom, gdy się cielily... Z jedną nogą będzie to raczej trudne.

– On umrze, Miss Doortje, jeśli go nie zoperujemy – powtórzył Kevin z naciskiem. – Noga nie odpadnie tak po prostu, lecz będzie powoli gnić. Nie życzyłbym tego pani kuzynowi ani nikomu, to gorsza śmierć niż z wykrwawienia. Już teraz musi odczuwać silne bóle. Czy jest przytomny?

Doortje zagryzła wargi. Uczciwie mówiąc, dotychczas unikała podchodzenia do łóżka Cornelisa. Zbyt bolesne było patrzeć na niego, kiedy leżał taki blady i chory. Zawsze był takim dobrym przyjacielem.

– Nie sądzę – powiedziała, po raz pierwszy normalnym głosem. – Myślę, że jest jeszcze nieprzytomny.

Kevin skinął głową.

– Tym lepiej dla niego. Ale to nie potrwa długo, Miss Doortje. A przynajmniej uważam, że to nieprawdopodobne, bo nie stracił na tyle dużo krwi, żeby teraz tylko drzemał. Obudzi się i będzie umierał w strasznych bólach. Proszę pozwolić mi go zoperować, Miss Doortje!

Doortje popatrzyła na młodego lekarza badawczo. Wydawało jej się, że mówi poważnie. Ale czy poddany Korony Angielskiej mógł się rzeczywiście troszczyć o jakiegoś Bura? Raczej nie. Doortje zeszywniała.

– Nie decyduję o losie mojego kuzyna, doktorze. Jest z nim jego matka, proszę z nią pomówić...

Kevin miał ogromną ochotę potrząsnąć dziewczyną. Była taka śliczna, sprawiała wrażenie mądrej

kobiety – i skazywała właśnie swojego kuzyna na śmierć z powodu czystego uporu i jakiegoś bezsensownego patriotyzmu – i archaicznej wiary...

Z rozpaczą wskazał Biblię w ręku Doortje.

– Czyta to pani od czasu do czasu? – spytał prowokująco. – Nie tylko fragmenty mówiące o zasadzie „Oko za oko, ząb za ząb”? Ale także te o miłosierdziu. O miłości bliźniego. O pomocy potrzebującym. Naprawdę wierzy pani w to, że pani kuzyn chce umrzeć? Niechże pani to przemyśli...

Kevin odwrócił się i odszedł, zanim Doortje zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Ale właśnie jej matka zawołała ją z wnętrza domu. Młoda kobieta poszła do matki, choć czuła, że kręci jej się w głowie. Izba była oświetlona lampą olejną, ale Doortje macała za Biblią jak ślepa. Otworzyła ją w zupełnie przypadkowym miejscu. Księga Samuela. *I tego samego dnia Pan uratował Izraela...* To chyba będzie pasować. Chodziło o wojnę między Filistynami a Izraelitami, a Izrael był wtedy w bardzo złej sytuacji. Dokładnie jak teraz Burowie. To chyba będzie słuszny fragment... Doortje zaczęła czytać.

„A Saul zaklinał lud i rzekł: przeklęty niech będzie każdy, kto zje coś przed wieczorem, zanim zemszczę się na moich wrogach! I cały lud nie skosztował strawy, choć nadszedł czas miodobrania i miód spłynął na pola. Ale Jonatan nie słyszał, że jego ojciec związał lud przysięgą. I wyciągnął swą laskę, którą trzymał w ręku, i dotknął jej czubkiem plastra miodu, i prowadził rękę do swoich ust, a jego oczy znów nabrały blasku...”

Doortje umilkła wstrząśnięta. Jego oczy nabrały blasku? Bóg uzdrowił ślepego, pozwalając mu złamać przysięgę? Jej ręce kurczowo zacisnęły się na Biblii.

„Jeden człowiek z ludu zaczął mówić: Twój ojciec uroczyście zaklął lud i rzekł: przeklęty niech będzie ten, kto dziś coś zje. I tak lud stał się słaby. I odpowiedział Jonatan: mój ojciec sprowadza na kraj nieszczęście”.

Doortje umilkła. To nie mogło być to miejsce... Opuściła trzymaną w rękach Biblię, po chwili jednak podniosła ją gwałtownie i otworzyła w innym miejscu.

„Zaufaj Panu z całego swojego serca i nie polegaj na własnym rozumie! Pamiętaj o Nim na wszystkich swoich drogach, a On prostować będzie twoje ścieżki! Nie uważaj się sam za mądrego, bój się Pana i unikaj złego! To wyjdzie na zdrowie twojemu ciału i odświeży twoje kości”.

Werset nie kończył się w tym miejscu, ale Doortje była zdania, że to wystarczy. Jej słuchacze sprawiali wrażenie uszczęśliwionych i pocieszonych. Mimo tego dziwnego pierwszego fragmentu. Drugi był bardziej stosowny. Nie wolno jej było sądzić, że jest mądrzejsza od Boga; musiała Mu zaufać.

Doortje van Stout odetchnęła głęboko.

– Czy odmówimy kilka modlitw, matko?

Bentje van Stout zaintonowała modlitwę, ale nagle przerwało jej wołanie z pokoju, gdzie leżeli ranni. Antina, która została przy Cornelisie, wołała Jacobę.

– Ciotko Jacobo! Twój syn się budzi!

Jacoba przeżegnała się.

– Dzięk Ci, o Panie! – wyszeptała.

Bentje powtórzyła wraz ze wszystkimi:

– Dzięk Ci, o Panie!

Tylko Doortje milczała.

Doortje spędziła niemal całą noc na rozpaczliwym szukaniu pierwszego fragmentu w Biblii. Ale nie mogła go znaleźć, mimo że cierpliwie kartkowała książkę w migotliwym świetle lampy. Może dlatego, że jej uwagę odwracały stękania, a od czasu do czasu także krzyki dobiegające z pokoju chorych. Zamieniała też za każdym razem kilka słów z Jacobą albo Antiną, kiedy te szły do kuchni, aby zaparzyć herbaty albo przygotować okład.

– To łagodzi ból – twierdziła Jacoba, która z upływem nocy sprawiała wrażenie coraz bardziej wyczerpanej i zrozpaczonej.

Doortje rozmyślała o tym, co powiedział jej lekarz z Nowej Zelandii. Zwykle zioła uśmierzyłyby ból, ale nie w tym wypadku, nie wtedy, kiedy obumierała kończyna... Próbowała nie zwracać uwagi na pozostałe kobiety i wzięła na ręce najmłodszego brata, kiedy ten przyszedł do izby, skarżąc się, że nie może spać.

– Cornelis tak głośno stęka. Boli go noga. Czy Bóg nie może sprawić, żeby go nie bolało? – marudził chłopczyk.

Doortje zagryzła wargi. I wreszcie koło północy nie mogła już wytrzymać.

– Mogę trochę koło niego posiedzieć, ciociu Jacobo – powiedziała, wchodząc do pokoju chorych. – Powinnaś się położyć, wyglądasz na wyczerpaną.

– Ale ja... ja nie mogę go opuścić...

Jacoba wyglądała tak, jak gdyby miała się za chwilę załamać. Dzień na polu bitwy był długi, cały czas podążała za oddziałem, widziała, jak zostali pokonani. I jak umarł jej mąż. Jonas Pienaar był dowódcą grupy. Doortje pamiętała jeszcze, jak zwoływał wszystkich mężczyzn. Jej ojciec i narzeczony walczyli już od dawna. Wsiedli na konie i odjechali, kiedy tylko wybuchła wojna. Ale rodzina Pienaar zwlekała. Aż kraj był naprawdę zagrożony. Aż szczęście opuściło Burów. Szczęście? A może Bóg? A może był to po prostu fakt, że sto tysięcy żołnierzy ze wszystkich części imperium wylądowało na wybrzeżu południowej Afryki? To ostatnie powiedział Cornelis...

Doortje podeszła do jego łóżka.

– Prawda, Cornelisie, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli posiedzę trochę przy tobie? Twoja matka powinna odpocząć...

Ranny skinął głową. Doortje przeraził jego widok – chłopak był śmiertelnie blady, miał wyostrome rysy i zapadniętą twarz, ale jego oczy wydawały się wręcz płonąć. Z pewnością miał gorączkę.

– Idź, ciociu Jacobo – powiedziała Doortje do jego matki. – Połóż się w moim pokoju.

Antynę dawno już zmogło wyczerpanie. Leżała na macie obok swego na szczęście spokojnie śpiącego męża i chrapała cicho. Doortje usiała na łóżku Cornelisa, kiedy Jacoba z wyraźną niechęcią, ale i rezygnacją wyszła. Ranny stęknął głośno. Doortje rozejrzała się za krzesłem, ale żadne nie mieściło się w małym pokoju.

– Bardzo źle? – spytała cicho.

Cornelis skinął głową. Najwyraźniej nie mógł albo też nie chciał mówić, może się obawiał, że zacznie krzyczeć. Doortje chciała wziąć go za rękę – i dostrzegła strzępki pościeli w jego palcach. Szarpał materiał, by nie krzyczeć z bólu.

– Umieram – powiedział z trudem. – Za nic.

Doortje pogładziła go po mokrych od potu włosach. Miała przed oczami odjazd oddziału i pamiętała dobrze, jak wściekły był Jonas Pienaar na swego najstarszego syna. Cornelis zjawił się ostatni i próbował wpłynąć na mężczyzn.

– Nie możemy utrzymać Wepener. Ich jest zbyt wielu. Widzieliście przecież, ile angielskich oddziałów już przybyło. My...

– Możemy zaatakować ich od tyłu! – oświadczył jego ojciec. – Będziemy jak szerszenie, które na nich napadną!

– Ale kilka ukłuć szerszeni ich nie przepędzi – protestował Cornelis.

Wyglądał tak jak wszyscy Burowie w swoich brązowych spodniach ze sztruksu, grubej kurtce na kamizelce i burskim kapeluszu na głowie, podczas kiedy jego ojciec miał na sobie coś w rodzaju generalskiego munduru. Doortje się zastanawiała, skąd wziął kurtkę i melonik, który miał na głowie.

I nie wiedziała, czy wyglądał w tym imponująco, czy po prostu śmiesznie.

– Pewnie, że możemy zabić kilku Brytyjczyków – przyznał Cornelis. – Tylko po co?

– Po co? – Jonas wyciągnął swoją staroświecką szablę, choć oczywiście miał zamiar strzelać z broni palnej, ale tę uważał za nieodzowną, jeśli miał być oficerem. I teraz kilka razy machnął szablą przed twarzą syna.

– Pytasz, po co mamy zabijać to zmiłowe plemię? To bardzo proste: żeby oni nie zabijali nas! I żeby nie płodzili dzieci, które będą kiedyś zabijać nasze dzieci! Śmierć Anglikom! Z bożą pomocą przepędzimy ich z naszej ziemi obiecanej!

Około stu ludzi, którzy tworzyli oddział, wiwatowało głośno, słysząc słowa swojego dowódcy. Wybrali Jonasa przeważającą większością głosów i czuli teraz, że ich wybór był słuszny.

– A więc, Cornelisie Pienaar, chcesz nam pomóc czy zostaniesz na twojej ziemi jak tchórz i Kafr, podczas kiedy my będziemy wyzwalać nasz kraj? – spytał Willem DeWees, mążzonek jego kuzynki Antyny.

Doortje popatrzyła wtedy w udręczoną twarz kuzyna i pytała w duchu samą siebie, nad czym tu się zastanawiać. Ona sama natychmiast ruszyłaby z mężczyznami już wtedy, kiedy odjeżdżał jej ojciec, i żałowała, że nie może tego zrobić – bo była dziewczyną i nie wolno jej było brać udziału w bitwie. Ale z drugiej strony nigdy nie uważała Cornelisa za tchórze.

– On nie dostanie ani piędzi ziemi, jeśli teraz stchórze! – oświadczył Jonas Pienaar. – I nie jest już moim synem! Jacoba? – zwrócił się do swojej żony, która siedziała już na wozie z plandeką, gotowa do tego, aby jechać za oddziałem.

Jacoba spojrzała na syna z wściekłością.

– Nigdy nie wejdiesz do naszego domu i nie staniesz na naszej ziemi!

Cornelis spuścił głowę i po prostu dołączył do pozostałych na swoim kucyku. A teraz leżał tutaj.

Doortje podjęła decyzję.

– Nie umrzesz – powiedziała cicho. – Czekaj i ani słowa. Nie budź Antyny. A zwłaszcza twojej matki, na miłość boską!

Kevin się przeraził, kiedy ktoś nagle go trącił. Mimo troski o umierającego Bura spał głęboko – był śmiertelnie wyczerpany po niekończącym się dniu. A teraz myślał, że to jakiś senny majak, kiedy zobaczył nad sobą twarz dziewczyny. Nie chłodną, pełną wściekłości albo kpiny, jak zwykle, lecz bladą, wystraszoną i bardzo młodą. Dostrzegł warkocze zwisające spod czepka, zwykle ciasno upięte, i pasmo jasnych włosów. Byłaby piękna, gdyby otoczyły jej twarz...

– Doortje... – wyszeptał na wpół przytomny. – Prze... przepraszam, *meju*...

– Niechże pan sobie nie łamie języka – odpowiedziała chłodno Doortje. – I proszę ratować mojego kuzyna.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy Kevin budził pozostałych lekarzy, Doortje zaprowadziła do domu kilku silnych pielęgniarzy. Miała chyba nadzieję, że uda jej się wynieść Cornelisa niepostrzeżenie, ale na to jej kuzynka Antina miała zbyt lekki sen. Kobieta się zbudziła i natychmiast zaczęła głośno lamentować, co oczywiście obudziło matkę Cornelisa, Bentje i Johannę van Stout. Ale rozespiane kobiety łatwo było obezwładnić. Przytrzymało je dwóch pielęgniarzy, dwóch zaś pozostałych wyniosło rannego. Kevin słyszał wrzaski protestu i przekleństwa burskich kobiet – zrobiło mu się żal Doortje, na której oczywiście wszystko się skrupiło. W myślach zganiał sam siebie za to, że nie zatrzymał jej w stodole, można było przecież potem dowodzić, że Anglicy ją obezwładnili. Ale za chwilę zapomniał o kobietach w domu i poświęcił się ratowaniu pacjenta. Samej operacji podjęli się doświadczeni chirurdzy Barrister i McAllister, zadaniem Kevina było podawanie narkozy, co było i tak niełatwe, bo należało bardzo ostrożnie dozować eter, aby osłabiony wpływem krwi mężczyzna nie umarł. Ale wszystko przebiegło pomyślnie i Barrister był nawet w stanie uratować nogę.

– Przynajmniej na razie – zastrzegł lekarz sztabowy. – Musimy obserwować, jak to się rozwinie. Jak będziemy mieli pecha, to rano trzeba będzie operować jeszcze raz.

W domu panowała kompletna cisza, kiedy Cornelis po opatrunku leżał już na swoim sienniku. Powoli robiło się szaro i Kevin wiedział, że właściwie powinien się położyć przed przybyciem kolejnych rannych, jeśli chciał trochę odpocząć. Ale zobaczył w domu van Stoutów mdłe światło i poszedł w tamtą stronę. Doortje na pewno będzie chciała wiedzieć, jak przebiegła operacja.

Rzeczywiście. Kiedy Kevin zajrzał przez okno, zobaczył ją siedzącą przy stole. W mdłym świetle świecy studiowała Biblię. Kevin powoli i możliwie bezszelestnie otworzył drzwi – nie chciał jej przestraszyć, a już w żadnym wypadku nie chciał obudzić pozostałych kobiet.

– Zepsuje pani sobie oczy – wyszeptał, wskazując na jej książkę. – Przy tak złym świetle nie powinna pani czytać.

Doortje nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Musiała chyba nasłuchiwać, może się spodziewała, że on tu zajrzy.

– Jeśli Bóg będzie chciał pokarać mnie ślepotą, to... – urwała. – Co z Cornelisem? – spytała, zamiast skończyć poprzednie zdanie.

– Żyje i mamy nadzieję, że będzie miał nogę. Podkreślam: mamy nadzieję. Proszę nas nie atakować z nożem, jeśli jednak będziemy musieli ją amputować. Jeśli miałoby się udać, to ratunek przyszedł w ostatniej minucie, tkanka już bardzo długo nie była ukrwiona. W każdym razie rzeczywiście ma pani teraz powód do modlitwy.

Kevin chciał usiąść obok młodej kobiety, ale nie wiedział, jak ona na to zareaguje, i wolał stać. Doortje popatrzyła na niego. Była blada i sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej, niemal tak jak jej kuzyn.

– Robię to cały czas – odpowiedziała. – My... My nie jesteśmy tacy jak pan... Nie traktujemy Boga jak ostatniej szansy. My... My... On jest zawsze z nami.

Kevin wzruszył ramionami.

– Waszych ludzi w Wepener chyba jednak opuścił – zauważył. – Oni wprawdzie jeszcze walczą, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, ale dzisiaj to się skończy. I wtedy otrzyma pani swoją farmę z powrotem. I może, mam nadzieję, nie będzie pani o nas myślała tylko źle. Bądź co bądź uratowaliśmy pani kuzyna. Może więc zesłał nas wasz Bóg...

Kevin zagryzł wargi. Ale wybuch, którego się spodziewał, nie nastąpił. Doortje milczała.

Rankiem znów przybyli kolejni ranni, ale tym razem było wśród nich mniej ciężkich przypadków. Obleganym najwyraźniej skończyła się amunicja i próbowali teraz bronić się przed atakującymi za pomocą szabli, noży i drewnianych kijów. Około południa transporty z frontu ustały. Ostatni ranni, którzy przyszli sami, opowiadali o zwycięskim pochodzie przez miasto.

– Ale nie było tam nic do zdobywania – opowiadał młody Nowozelandczyk. – Ludzie w garnizonie byli na wpół zagłodzeni, młyn częściowo zburzyli, aby wzmocnić palisadę, domy są podziurawione kulami... Tak naprawdę to miasto trzeba odbudować od samych podstaw; to Burowie będą mogli robić po wojnie.

– Burowie dostaną to miasto po wojnie? – zdziwił się Kevin. Chciał o to zapytać Tracy'ego już poprzedniego dnia, ale tymczasem zawołano go gdzie indziej. – Więc po co to wszystko?

Barrister, który słyszał rozmowę, przewrócił wymownie oczami.

– Oczywiście, że dostaną miasto z powrotem, Drury. Po co imperium ta przygraniczna dziura? A my też nie zamierzamy przepędzać Burów. Chcemy tylko, żeby podporządkowali się angielskim prawom i przepisom. Żeby uznali gubernatora – i może zaczęli się uczyć angielskiego, bo to będzie język urzędowy. Do chwili kiedy to zrozumieją, to znaczy skapitulują, będziemy w takich twierdzach jak Wepener utrzymywali załogi. Ale kiedy tylko zapanuje tu pokój, odejdziemy. Proszę teraz nie mówić, co pan o tym wszystkim myśli. Mógłbym panu opowiedzieć w zamian coś zupełnie innego. Tu bądź co bądź ciągle jeszcze chodzi o to miasto. Kilka tygodni temu nasi ludzie, podobnie jak Burowie, wykrwawiali się na pewnym wzgórzu. Na idiotycznej małej górcie, która nikomu nie jest potrzebna. To jest wojna, Drury. I chodzi tu, jak sam pan wczoraj zauważył, o zasadę. A poza tym może pan już iść do swojego ulubionego pacjenta, odzyskał przytomność. I może skłoni pan swoją ulubienicę – tę herod-babę z flintą – żeby odwiedziła kuzyna. Miss Doortje przekrada się koło stodoły jak duch...

Kevin nie za bardzo wiedział, o kogo ma się zatroszczyć najpierw. Serce ciągnęło go do Doortje, która z pewnością przeżywała ciężkie chwile. Wszystkie kobiety w domu ostentacyjnie okazywały jej pogardę, z Anglikami zaś dziewczyna też nie chciała rozmawiać. A Doortje nie zmieniała przecież poglądów – bez wątpienia zdecydowana była dalej nienawidzić Anglików. Odwiedziny Kevina z pewnością nie przysłużyłyby jej się teraz. Była bacznie obserwowana przez swoją rodzinę i wypomniano by jej każdą rozmowę z lekarzem. Postanowił więc pójść do Cornelisa. Młody mężczyzna czuł się tego dnia wyraźnie lepiej i mile zaskoczył Kevina, kiedy ten mu się przedstawił. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

– A więc to panu zawdzięczam ratunek. Panu i Doortje. Ja... ja naprawdę myślałem, że koniec ze mną... Dziękuję. Bardzo dziękuję...

Kevin uśmiechnął się także.

– Przyznaję, że spodziewałem się raczej przekleństw i obelg – odrzekł. – W końcu nie byliśmy pewni, czy nie leczymy pana wbrew pańskiej woli...

Cornelis Pienaar spojrzał mu prosto w twarz, a Kevin dostrzegł w jego jasnych oczach głęboki ból.

– Mam dziewiętnaście lat – powiedział Bur. – Ja... ja chciałbym móc uczyć się w college'u. Chciałbym zostać nauczycielem albo lekarzem, a najbardziej weterynarzem. Ale jeśli tak musi być, to będę uprawiał ziemię mojej rodziny. Umierać... To planowałem tak za sześćdziesiąt lat... Ale wiem, że jestem tchórzem i hańbą dla mojego ludu. Pan pewnie też jest tego zdania. Przecież w końcu jest pan ochotnikiem, prawda? Wszyscy Anglicy są ochotnikami...

Kevin wzruszył ramionami.

– Nowozelandczycy i Australijczycy są ochotnikami – uściślił. – I jeśli mnie pan o to pyta, to wszyscy przed czymś uciekamy. A więc moglibyśmy się spierać o to, kto tu jest tchórzem. Pańska kuzynka z pewnością nie. Proszę jej podziękować, a jeśli to pocieszy pańską matkę: wasze ladies nieźle

napędziły stracha naszym ludziom. Cała angielska armia nie odważyłaby się wyciągać pana wbrew pańskiej woli z tego domu.

Cornelis skinął głową. Żal w jego oczach stał się jeszcze większy.

– Rozumiem to – wymamrotał. – Znam moją matkę.

Doortje nie odważyła się tego dnia odwiedzić Cornelisa. Nie zamieniła też ani słowa z Kevinem, który w końcu poprosił Nandé, aby przekazała, że jej kuzyn przetrwał kryzys. Czarna dziewczyna poinformowała go w odpowiedzi, że stan drugiego rannego Bura, *baas* Willema, dramatycznie się pogorszył. Wobec tego Kevin wybrał się raz jeszcze do domu van Stoutów i próbował porozmawiać z kobietami. Ale Johanna van Stout obrzuciła go obelgami i przekleństwami w swojej łamanej angielszczyźnie.

– Tu nie można nic zrobić – stwierdził Barrister. – Tym razem jest to chyba wyraźna wola pacjenta. A pańska Miss Doortje nie odważy się znów na coś takiego jak poprzednio, już choćby dlatego, że ten człowiek nie jest jej aż tak bliski jak kuzyn. Pytał pan, czy oni oboje są parą?

Kevin poczuł ukłucie w sercu, słysząc tę uwagę. Dotychczas nie zastanawiał się ani przez chwilę, czy Doortje jest z kimś związana. I zamiast to ustalić, z każdym dniem był coraz bardziej zakochany w nieprzystępnej burskiej kobiecie. Tak, był z pewnością czas, aby stąd odjechał. Szpital będzie zlikwidowany, gdy tylko ciężiej ranni pacjenci będą nadawali się do transportu. Willcox i Tracy przygotowali już w Wepener pomieszczenia, w których będzie można kontynuować ich leczenie.

Za to konsekwencją pogorszenia stanu zdrowia Willema DeWeesa było to, że kobiety poświęcały mniej uwagi Doortje. Wieczorem wszystko wskazywało na to, że została wręcz przywrócona do łask – mogła nawet znów głośno czytać Biblię.

Kevin wobec tego znów rozmawiał z Cornelisem, który wieczorem odzyskał przytomność. Chłopak potrząsnął z uśmiechem głową, kiedy Kevin zapytał go ostrożnie o jego stosunek do Doortje i powiedział więcej, niż spodziewał się Kevin.

– Dla Adrianusa van Stouta moja osoba jako ewentualnego zięcia w ogóle nie wchodzi w grę – oświadczył. – Nawet gdybyśmy się z Doortje kochali. Ale od dzieciństwa jesteśmy dla siebie jak brat i siostra, nic innego nawet nie przyszłoby mi do głowy. A gdyby, wówczas naraziłbym się na to, że van Stout przepędziłby mnie z flintą ze swojej ziemi. Nie, nie, dziewczyna van Stoutów nigdy nie poślubiłaby takiego mola książkowego i tchórza. Nie mam żadnego stanowiska w Kościele, a nasza farma też nie jest zbyt duża. Martinus za to już zasiada w radzie kościelnej, będzie też powołany do rady starszych, jak tylko założy rodzinę. Jego farma graniczy z...

– Martinus? – przerwał mu Kevin.

Ranny skinął głową i poruszył się na swoim sienniku, szukając wygodniejszej pozycji. Kevin pomógł mu i cieszył się, że Cornelis nie mógł widzieć jego twarzy.

– Tak, to narzeczony Doortje. Stara szlachta *voortrekkerów*, jeszcze z czasów Wielkiego Treku. Jego pradziadek wraz z pradiadkiem Doortje wyruszyli razem na Wielki Trek. Jest też między nimi jakieś bardzo dalekie pokrewieństwo... W każdym od dawna jest ustalone, że Doortje i Martinus się pobiorą. I było to planowane na ten rok. Ale Martinus i Adrianus oczywiście wyruszyli na wojnę jako pierwsi. Doortje chętnie poszłaby z nimi – jak moja matka i ciotka Antina. Ale nie uchodzi, aby robiła to tak młoda dziewczyna, a ciotka Bentje nie mogła z powodu swojej ślepoty. No i potrzebowała też pomocy na miejscu, w domu. Wszyscy zostali więc tutaj i teraz czekają tylko na to, żeby Adrianus i Martinus wrócili.

Kevin zagryzł wargi.

– Martinus jest z pewnością także znakomitym jeźdźcem i świetnym strzelcem...

Cornelis się uśmiechnął i spojrzał na niego uważniej.

– No, doktorze, to brzmi tak, jak gdyby pan był zazdrosny!

Kevin nie odpowiedział. Ale pomyślał, że mógłby zapytać wprost. Skoro i tak jego uczucia były aż tak widoczne...

– *Mijnheer* Pienaar... Doortje... czy ten Martinus... Czy ona go kocha?

Lazaret polowy na farmie van Stoutów istniał jeszcze prawie przez tydzień. Tyle czasu trwało, aż ciężko ranni byli zdolni do transportu – albo zmarli. A poza tym oddziały wojskowe i lekarze sztabowi czekali już na nowe rozkazy.

Doortje van Stout schodziła Kevinowi z drogi – niewiele zmieniło się w jej stosunku do okupantów. Ani ona, ani też matka Cornelisa nie odwiedzały go.

– Co z panem zrobimy, kiedy będziemy stąd odjeżdżać? – martwił się Kevin o swojego burskiego pacjenta, z którym zdążył się prawie zaprzyjaźnić. Cornelis był otwartym człowiekiem i chętnie odpowiadał na wszystkie pytania Kevina dotyczące Afryki Południowej oraz jej mieszkańców. I obraz Burów z jego punktu widzenia był zupełnie inny niż ten, który prezentowali Ribbons i Anglicy z Kapsztadu. Kevin chętnie słuchał jego długich opowieści o tym, jak *voortrekkerzy* zajmowali ten kraj.

– Oni byli niesłychanie dzielni i waleczni; mieli na wozach zaprzężonych w woły cały swój dobytek i ruszali w nieznaną, nikt przedtem nie był po tamtej stronie gór. Otaczała ich wroga natura... góry stołowe, pustynia... Najpierw trzeba było to wszystko pokonać. A potem tubylcy...

– ...którzy z niewiadomych powodów nie pozwalali sobie odebrać swojej ziemi – zakpił Kevin.

Cornelis wzruszył ramionami.

– Pan widzi to w ten sposób. Ale dla tych ludzi... *Voortrekkerzy* uważali samych siebie za następców Izraelitów i jechali do ziemi obiecanej przez Boga. Byli kompletnie zaskoczeni atakami Zulusów – traktowali je jako obrazę. I czuli się prześladowani zewsząd i przez wszystkich. W Kolonii Przylądkowej Anglicy, tutaj czarni... Tworzyli więc z wozów tabory i walczyli.

– Z niemałym sukcesem, jak słyszałem – wtrącił Kevin. – Ponad trzy tysiące zabitych czarnych w jednym dniu...

– A wcześniej kilkuset Burów, których zwabiono w pułapkę. Obie strony nie były zbyt delikatne w stosunku do siebie. Nie wolno patrzeć na Zulusów jako na naiwny, miły ludzek mieszkający w kilku wsiach. To było królestwo z dobrze funkcjonującą społecznością i bardzo waleczną armią. Nieobawiającą się śmierci, podobnie jak *trekkerzy*. Ich pech polegał na tym, że Burowie mieli broń palną, a oni nie. U was w Nowej Zelandii też pewnie nie było inaczej. Też macie Murzynów, prawda?

Kevin potrząsnął głową.

– Nasi Maorysi są Polinezyjczykami. I niemal wszyscy są nastawieni bardzo pokojowo. Nie mieli nic przeciwko białym osadnikom. Przynajmniej z początku. Później były oczywiście konflikty...

Cornelis się uśmiechnął.

– Cóż za piękne słowo...

– Prawdziwe słowo – bronił Kevin swojego kraju. – Były potyczki, strzelaniny i zabici po obu stronach – ale nigdy w takich rozmiarach! To były problemy regionalne. Z pewnością Maorysom często działa się krzywda, ale już teraz zajęły się tym sądy. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszystko jest w idealnym porządku. Ale Maorysi zasiadają w parlamencie, mają prawa wyborcze i oczywiście posiadają ziemię na własność... Może małżeństwa między Maorysami i *pakeha* nie są jakąś regułą, ale też nie należą do rzadkości i niesłychanych wyjątków...

– Małżeństwa? – spytał Cornelis zaskoczony. – Między czarnymi i białymi?

Kevin skinął głową.

– A przede wszystkim nigdy nie było niewolnictwa. Tak jak wy tu traktujecie czarnych...

Cornelis uniósł jedną brew.

– Może wasi Maorysi są bardziej cywilizowani. Nasi czarni są naiwni jak dzieci. Potrzebują prowadzenia za rączkę. I są nam wierni i bardzo oddani. Tylko z naszym oddziałem wyruszyło na wojnę czterdziestu Kafrów...

Kevin potarł czoło.

– Są jak dzieci? – spytał powoli. – A przecież zbudowali królestwo, mieli ziemię, miasta, armię... Czy człowiek staje się dorosły dopiero wtedy, kiedy posiada muszkiet?

Cornelis Pienaar był o wiele lepiej wykształcony i oświecony niż Burowie, których dotychczas poznał Kevin. Ale jeśli chodziło o stosunek do czarnych mieszkańców tych ziem, to rozmawiało się z nim równie trudno jak z Doortje i jej rodziną. Mimo wszelkich niekonsekwencji cechujących jego poglądy był przekonany o niższości ciemnoskórych ludzi wobec białej rasy i tak naprawdę im nie ufał. Kevin wykazywał mu niejednokrotnie, że to oczywista sprzeczność, ale ten nie ustawał w podkreślaniu przywiązania i oddania czarnych służących. Po kilku dyskusjach z Pienaaarem Kevin był przekonany, że Burowie po prostu bali się swoich czarnoskórych robotników.

– To nie odwaga nimi powoduje, to jest coś w rodzaju gryzienia ze strachu – wyjaśniał swojemu przyjacielowi Vincentowi.

Weterynarz po kapitulacji Wepener zjawił się u Kevina z trzema rannymi końmi, prosząc o pomoc.

– W ich mięśniach utkwily kule, Kevin. Trzeba je wydobyć. Ale sam nie jestem w stanie tego zrobić, przecież nie będą stały spokojnie. Czy możesz... czy mógłbyś spróbować...

Kevin najpierw chciał zdecydowanie odrzucić tę prośbę, ale potem spojrzał w wynędzniałą twarz młodego weterynarza i ustąpił. Po trzech dniach w polu Vincent wyglądał tak, jak gdyby postarzał się o całe lata. Przypominał doktora Tracy'ego po pierwszym dniu pracy w namiocie sanitarnym. Coś umarło w Vincencie, z jego twarzy znikły życzliwość i ufność, a zamiast tego pojawiły się konsternacja i jakaś pełna goryczy bezradność.

– To było potworne – opowiadał, kiedy Kevin otworzył butelkę whisky. – Oni... Oni... Dotychczas zawsze myślałem, że ludzie prowadzą wojnę... no, przeciwko ludziom. Pewnie, że jakiś koń może być przy tym trafiony, ale... ale przecież strzela się do jeźdźców... A ci Burowie... można by sądzić, że oni kochają konie. Wszyscy jeżdżą konno... znakomicie panują nad swoimi kucykami. Ale jeśli chodzi o nasze konie, to oni ich chyba po prostu nienawidzą. Strzelają do nich, dźgają je... Pięć moich koni zginęło, Kevin...

Kevin zakładał, że Vincent mówi o koniach kontyngentu wojskowego Nowej Zelandii. Klacz Vincenta stała przywiązana do płotu i wydawała się całkiem zdrowa.

– ...i wiele innych koni. Całkiem bezsensownie. Ci ludzie są... są...

Kevin zrezygnował z pomysłu opowiadania o równie bezsensownych stratach wśród ludzi. Vincent przypuszczalnie odpowiedziałby, że żołnierze w końcu walczyli dobrowolnie, jako ochotnicy. I nie wdając się w tego rodzaju dyskusje, opowiedział mu krótko o swoich przemyśleniach dotyczących Burów.

– Gryzą ze strachu. Jak niektóre psy.

Vincent uśmiechnął się słabo.

– Może tak być. Ale co to nam pomoże? Przecież nie możemy ich wszystkich zastrzelić. I mówiąc szczerze, w tej chwili nie za bardzo wierzę w „działania budujące zaufanie”.

Kevin potrząsnął głową. Myśląc o Doortje, miał przed oczami raczej przestraszone zwierzątko, które z czystej rozpacz i lęku gryzło wszystkich naokoło i raczej nie powodowały nim agresja ani chęć ataku. Ale tego nie mógł powiedzieć przyjacielowi.

– To też nam nic nie pomoże – stwierdził. – Ale niepokoi mnie to. Dla tych ludzi wojna nigdy się

nie skończy. A teraz chodź, zoperujemy twoje konie. Choć nie wiem, co na to powie Barrister...

Dwa konie przeżyły niekonwencjonalny sposób leczenia. Vincent wydawał się szczęśliwszy, kiedy odwiedził je dwa dni później i opowiedział o przewidywanych operacjach kontyngentu Nowej Zelandii.

– Nie będziemy już razem. Nowozelandczycy przechodzą pod dowództwo majora Robina, także część Australijczyków. Nowy pułk będzie się teraz nazywać Rough Riders. Anglicy byli ponoć zachwyceni naszą kawalerią.

Kawalerią można było też nazwać połączony oddział Nowozelandczyków, z którym Kevin przybył do południowej Afryki. Składał się on przeważnie z młodych mężczyzn z Canterbury Plains, którzy dorastali, jeżdżąc konno, i byli jednocześnie znakomitymi strzelcami. Nie za bardzo odpowiadała im musztra, a już rozkazy przełożonych wypełniali raczej niechętnie. Ale trzeba było przyznać, że brytyjscy dowódcy zauważyli to od razu i dostrzegli w tym pewną szansę, a nie problem. Bo w gruncie rzeczy owi waleczni „kiwi”, jak nazywano Nowozelandczyków, byli wręcz podobni do Burów i o wiele łatwiej przychodziło im zrozumieć ich strategię i sposób myślenia niż brytyjskim zawodowym żołnierzom. Dlatego też Rough Riders nie otrzymali przydziału do oddziałów idących z odsieczą czy też bezpośrednio atakujących pozycje Burów. Ich zadaniem miała być ochrona kolei żelaznej w prowincji Transwal. A dokładniej walka z plądrującymi okolicę oddziałami Burów, kontrola poszczególnych farm, które często służyły jako schronienie dla burskich bojowników, i ogólna pacyfikacja terenu.

„Zabezpieczajcie nam tyły!” – taki rozkaz wydał feldmarszałek lord Roberts, który wraz z generałem Kitchenem objął naczelne dowództwo. Vincent dostał przydział do Rough Riders jako weterynarz, Kevin Drury i Preston Tracy – jako lekarze. Obaj wieźli ze sobą swój zaimprovizowany lazaret na dwóch jucznych koniach i niechętnie rozstawali się z Barristerem, Willcoxem i McAllisterem, którzy wraz z całym oddziałem ruszyli w kierunku Bloemfontein.

Barrister wydał im zaświadczenie o znakomitej pracy.

– Obaj udowodniliście, że jesteście w stanie patrzeć na krew. Teraz poradzicie sobie już sami!

– I może zobaczymy się niedługo – dodał beztrąsko McAllister. – Ponoć wojna ma się wkrótce skończyć, choć co prawda nigdy nic nie wiadomo. I może zostanie pan tutaj, Kevinie. To byłoby takie romantyczne, gdyby pan po zwycięstwie wrócił do swojej Doortje...

Kevin udał, że go to ubawiło, ale tak naprawdę chciało mu się płakać, kiedy myślał o Doortje. Dziewczyna unikała go w ostatnich dniach i powoli zaczął godzić się z tym, że po prostu nic sobie z niego nie robiła. Ciągle miał w pamięci odpowiedź Cornelisa na pytanie o uczucia Doortje w stosunku do jej narzeczonego: „To nie gra roli, doktorze. Doortje i Martinus – oni są z jednego pnia, z jednej krwi. Nie dosłownie oczywiście, ale ich łączą poglądy, wiara, pragnienia i marzenia, wszystko. Nie nazwałbym tego miłością, lecz o tym chyba nie myślą ani Doortje, ani Martinus. Oni świetnie do siebie pasują i będą mieć cudowne dzieci...”.

W oczach Cornelisa pojawił się przy tych słowach jakiś tęskny wyraz i Kevinowi zrobiło się go niemal żal. Cornelis był inny i trwał przy swoich przekonaniach. Ale mimo wszystko niczego nie pragnął bardziej, niż być częścią tej społeczności.

Kevin poszedł do niego jeszcze raz, zanim wyjechał wraz z pozostałymi lekarzami, aby dołączyć do swojego oddziału w Wepener.

– Naprawdę mogę pana tak tu zostawić? – spytał z powątpiewaniem. – Może zabrać pana do Wepener, tam będzie pan leczony dalej.

Ale Cornelis potrząsnął głową.

– To bardzo miłe z pana strony, ale nie. Kiedy tylko odjedziecie, moja rodzina zajmie się mną.

Matka przywróci mnie do łask.

Westchnął, zanim dokończył:

– Będzie twierdziła, że zoperował mnie pan wbrew mojej woli, bez względu na to, czy będę temu zaprzeczać czy nie. A Antina... może się trochę zmieniła po śmierci Willema.

Drugi ranny Bur po długiej ciężkiej walce z chorobą zmarł z powodu gangreny. Ale w zmianę poglądów jego żony Kevin nie wierzył. Antina DeWees już nad grobem męża obrzucała Anglików obelgami.

– To proszę przekazać Doortje pozdrowienia ode mnie – powiedział Kevin z rezygnacją. – Myślałem, że zamienimy jeszcze parę słów, ale...

– Ona nie może tego zrobić – pocieszył go Cornelis. – Nikt by jej tego nie wybaczył. Ale jestem pewien, że... myśli o panu z sympatią.

Kevin westchnął. Nie mógł powiedzieć Cornelisowi, że jemu to nie wystarczało.

A potem, kiedy dosiadał już swego konia, zobaczył koło studni Doortje z jej siostrą Johanną i Nandé. Czarna dziewczyna uśmiechnęła się do niego nieśmiało, Johanna udała, że go nie widzi, a Doortje... tylko na chwilę podniosła wzrok. Serce Kevina zabiło gwałtownie, kiedy nie dostrzegł w jej oczach nienawiści, lecz raczej żal.

– Do widzenia, Nandé! – powiedział uprzejmie, choć prowokująco. Burskie kobiety musiały odebrać jako afront to, że odezwał się do czarnej dziewczyny. – I Johanno, i *meijuffrouw* Doortje. Mam nadzieję, że nie byliśmy zbyt uciążliwi...

Doortje sprawiała wrażenie, jak gdyby walczyła ze sobą. Potem przełknęła ślinę i na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Niechże pan sobie nie łamie języka i mówi po prostu Doortje. A poza tym... musimy godzić się z tym, co zsyła nam Bóg.

Kevinowi wydało się niemal, że mrugnęła do niego przy tych słowach. Uśmiechnął się do niej także.

– Wszystko dzieje się według Jego woli – odpowiedział głosem kaznodziei. – I mam nadzieję, że nie weźmie Mu pani tego za złe, jeśli pozwoli, abyśmy się kiedyś spotkali.

Ruszył po tych słowach, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że Doortje wciąż za nim patrzyła. I to mimo tego, że Johanna mówiła coś do niej z wyraźną złością. Coś w postawie dziewczyny i jej wzroku dało mu odrobinę nadziei. Co wiedział Cornelis, co wiedział ten wspaniały Martinus o najbardziej ukrytych marzeniach Doortje van Stout?

Kevin przyłapał się na tym, że jechał, gwizdząc jakąś wesołą melodię. Kiedy mówił o Bogu, nie miał na myśli surowych patriarchów Starego Testamentu. Myślał raczej o urażonym Taranaki albo o Rangi, bogu, który ciągle opłakiwał Papa.

ROZDZIAŁ 8

Lizzie Drury była właściwie osobą zgodną i wyjątkowo cierpliwą. Bardzo szybko się nauczyła, jak obracać wszelkie przeciwności losu na swoją korzyść. Jednak życie nie przygotowało jej na synową taką jak Juliet.

– Mogłaby chociaż cokolwiek zrobić! – irytowała się już kilka tygodni po wprowadzeniu się Juliet, a Michael cierpliwie wysłuchiwał jej wynurzeń.

Była zima i wszystkie owce znalazły się w owczarniach koło domu. Należało je codziennie nakarmić i oboje Drury'owie mieli pełne ręce roboty. W dodatku wiele maciorek wcześniej pokryto i jagnięta właśnie przychodziły na świat, co wprowadzało wiele dodatkowego zamętu. Lizzie niemal zawsze niosła na rękach jakieś odrzucone albo osierocone maleństwo i robiła to tak długo, aż było ono na tyle silne, że becząc głośno, chodziło za nią krok w krok jak piesek. Zwykle każda żeńska istota na widok takiego jagnięcia wołała: „Ach, jakie milutkie!”. Atamarie i Matariki podczas odwiedzin na farmie niemal nie mogły się z nimi rozstać, także za Haikina, maoryską przyjaciółką Lizzie, dreptały dwa albo trzy jagnięta. Tylko Juliet uważała potomstwo zwierząt za wstrętne. Nie lubiła nawet doskonale wychowanych i zawsze przyjaźnie odnoszących się do ludzi psów rasy border collie.

– Przecież nikt od niej nie żąda, żeby pomagała przy koceniu się owiec! – odpowiedziała Lizzie, nie kryjąc wściekłości, kiedy Michael tłumaczył jej, że są ludzie, którzy nie lubią dzielić domu z czworonogami. – Nie musi przecież karmić jagniąt z butelki ani też wychowywać szczeniaków, ale mogłaby chociaż ugotować kolację, kiedy my cały dzień jesteśmy na dworze. Albo posprzątać – cieszyłabym się, gdyby przynajmniej pozamiatała... A ona zamiast tego tylko siedzi i narzeka, że jej się nudzi.

Juliet bardzo niechętnie zaakceptowała fakt, że jej dziecko może uchodzić za dziecko Patricka tylko wtedy, kiedy oficjalnie przesunie się nieco termin porodu. W przeciwnym wypadku Juliet stanie się obiektem domysłów i plotek, a także, co Lizzie uważała za znacznie gorsze, dziecko będzie narażone na kpiny, kiedy podrośnie. A ponieważ Patrick w żadnym wypadku nie mógł zrezygnować ze swojej pracy, żeby towarzyszyć Juliet w czasie kilkumiesięcznej podróży poślubnej, o czym wbrew wszelkiemu rozsądkowi roiła młoda kobieta, pozostawała jedyna możliwość – Juliet miała spędzić najbliższe miesiące na Elizabeth Station. A potem jeszcze dodatkowo dwa lub trzy, co z pewnym żalem radził Patrick. I wówczas niemowlę będzie uznane za jego dziecko. Musiało mieć ono jednak przynajmniej dwa miesiące, aby wszystko wydawało się w miarę wiarygodne. Juliet w odpowiedzi zapytała kpiąco, skąd on tyle wie na temat nowo narodzonych niemowląt – a ten z całą powagą i spokojem odpowiedział, że czerpie swą wiedzę z hodowli owiec. Patrick i jego rodzina mówili z takim spokojem o wszystkich szczegółach owczych ciąży i porodów, że Juliet krew uderzała do twarzy. Egzotyczna piękność w żadnym wypadku nie była pruderyjna, ale sam przebieg porodu jakoś umknął jej świadomości. A potem... potem były oczywiście niańki.

Na razie jednak miesiące dłużyły się Juliet w nieskończoność, zwłaszcza że nie mogła znaleźć wspólnych tematów z rodziną męża. Drury nie za bardzo interesowali się muzyką i sztuką. Przychodzili na wernisaże Heather i Chloé, kiedy byli w Dunedin, a Lizzie lubiła też chodzić na koncerty, ale prawdę mówiąc, nie miała żadnego pojęcia o muzyce, która jej zdaniem była ogólnie „piękna”, bez względu na to, co oferowało Dunedin. Nie było jednak tematu do rozmowy w sensie krytyki muzycznej, co chętnie robiła Juliet. Lizzie była wprawdzie wierną i zagorzałą klientką Lady's Goldmine, ale interesowała się przede wszystkim tym, jakie kroje sukien tuszowały niewielkie fałdki tłuszczu. Co było szczytem mody w Paryżu i co mogłoby zrobić następnego roku furorę w Londynie –

to było jej obojętne. Pozostawała literatura i Juliet odczuła ulgę na widok biblioteki Drury'ch. Regały ugięły się wprost pod książkami. Ale Michael czytał tylko książki na temat hodowli owiec, przy czym wolał zawsze takie, gdzie było dużo rysunków. Lizzie czytała chętnie, lecz bardzo powoli. Powieść, na którą Juliet potrzebowała tygodnia, ona czytała kilka miesięcy. Stosownie do tego w jej szafie było też niewiele literatury pięknej. Lizzie gromadziła głównie książki na temat uprawy winorośli.

– Moje obawy budzi przede wszystkim fakt, że Juliet tak rzadko wychodzi z domu – stwierdził Michael. Właściwie nie chciał zgadzać się z narzekaniami Lizzie na temat młodej kobiety i w zasadzie nie miał nic przeciwko swojej synowej. W głębi ducha ciągle uważał Juliet za zachwycającą kobietę i lubił, kiedy dla zabawy nawet z nim flirtowała. Ale martwiło go jej ciągłe przesiadywanie w izbie.

– To niedobrze dla dziecka, kiedy ona cały czas tkwi z nieszczęśliwą miną w domu.

– Moje słowa! – oświadczyła Lizzie, choć ją akurat mniej obchodziło szczęście czy nieszczęście Juliet. – Ona musi wyjść, musi się ruszać. Myślałam już o winoroślach, teraz akurat je przycinam. Że jej to sprawi przyjemność, w końcu wino lubi pić. Ale nie, najpierw nie chciała nawet się temu przyjrzeć, ale kiedy jednak wyszła z domu, miała na sobie rękawiczki, buciki z cielęcej skórki i mantylkę, która nadawała się jedynie na pójście do opery. No i zmarzła w tym wszystkim... Od razu wysłałam ją z powrotem do domu. Świeże powietrze nie przysłuży się dziecku, jeśli ona dostanie zapalenia płuc.

Michael westchnął.

– Tu po prostu nie ma nic, co ona lubiłaby. Nie zna wiejskiego życia, ona...

– Ona pochodzi z wielkiej plantacji w Luizjanie – syknęła Lizzie. – Taka posiadłość jest zawsze położona na wsi. I o dziwo, ona doskonale pamięta, ile hektarów liczyła ta plantacja. Pamiętam, jaki byłeś zszokowany, kiedy ci powiedziała, że nasza farma to małe podwórko w porównaniu z królestwem jej tatusia. Jeśli nigdy nie ruszyła tam palcem, to z pewnością nie dlatego, że nie było po temu okazji. Ale tam ludzie wolą, żeby ich czarni na nich harowali, i jeszcze narzekają na niewolnictwo...

– Lizzie po prostu jej nie lubi – skarżył się Michael. Maorysi świętowali jak co roku Matariki, *manu aute* tańczyły na długich sznurkach, lecąc w stronę gwiazd, a Michael leżał na grubej macie przed namiotem obok swojego maoryskiego przyjaciela Tane i zerkał w stronę nieba. Światło gwiazd wraz z każdym łykiem whisky jaśniało coraz bardziej, a obaj zadbali o jej okazały zapas. Michael i Tane znali się od wielu lat. Najpierw pracowali razem przy połowie wielorybów, potem na owczej farmie, a w końcu Tane przejął od Michaela destylarnię whisky koło Kaikoury. Szczep Tane utrzymywał bardzo zażyłe związki z Ngai Tahu, którzy mieszkali w sąsiedztwie Lizzie i Michaela. Raz w roku *iwi* Tane wędrował do Otago i radosne spotkanie obu mężczyzn było zwykle mocno zakrapiane. Tym razem ludzie Tane przybyli na święto Nowego Roku, a rytuały powitalne ciągnęły się cały dzień. Teraz jednak, wieczorem, przyjaciele wreszcie znaleźli czas, aby wymienić ostatnie wieści. Osoba pięknej, ale skomplikowanej nowej synowej Michaela oczywiście wzbudziła wielkie zainteresowanie Tane.

– A przecież można by sądzić, że one obie muszą mieć coś wspólnego – mówił dalej Michael.

Tane nie zamierzał niczego owijać w bawełnę, krępy Maorys znał doskonale przeszłość zarówno Michaela, jak i Lizzie.

– To znaczy... nie chcę mówić nic złego o Juliet, ale ona potrafiła jakoś kilka lat przetrwać w... hm, no w półświatku, który...

– Była dziwką? – spytał Tane z całkowitym spokojem. – Od kiedy nie nazywasz już po imieniu rzemiosła dziewczyn lekkich obyczajów?

Michael przewrócił się na bok.

– No, tak bym tego nie nazwał. Raczej... hm... damą do towarzystwa albo coś takiego. Ale ona... to znaczy, myślę, że ona była na utrzymaniu mężczyzn.

Tane skinął głową.

– Dlaczego? – dopytywał się. – Nie miała szczepu tak jak Lizzie?

Lizzie była znajda, ale wszędzie znajdowała przyjaciół.

– A może zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie? A może jej ojciec ją... no, patrzył na nią i dotykał jej tak, jak nie powinno się dotykać dzieci?

Tane ciągle jeszcze dostarczał do okolicznych burdeli whisky i był typem mężczyzny, którego można określić jako miły niedźwiedź. W ostatnich latach niejedna dziewczyna lekkich obyczajów otwierała przed nim serce i Tane dobrze wiedział, dlaczego kobiety musiały się sprzedawać.

Michael potrząsnął głową.

– Nic o tym nie wiem. Ona pochodzi z bogatego domu. Coś takiego jak...

Zastanawiał się, jak ma opisać Maorysowi amerykańskie plantacje bawełny.

– Ona jest kimś w rodzaju córki owczego barona – przyszło mu w końcu do głowy. – Strasznie rozpuszczona. Ale chciała zostać śpiewaczką... I uciekła. I chyba jej się to... też podobało.

Tane się roześmiał.

– I ty się dziwisz, że Lizzie jej nie lubi. Michael, Lizzie nienawidziła się sprzedawać! Większość dziewczyn tego nienawidzi. A ta Juliet robiła to dobrowolnie, ona porzuciła to, czego ponad wszystko pragnęła Lizzie i jej dawne przyjaciółki: dom i rodzinę. Rzuciła to wszystko, żeby śpiewać po barach i włączyć się z mężczyznami. I pewnie w dodatku odbierała bogatych klientów ciężko pracującym dziwkom. A teraz jeszcze złapała waszego Patricka. To nie pasuje jedno do drugiego. Raczej spodziewałbym się, że kręci się w pobliżu Kevina...

Michael westchnął.

– Przyjacielu, w jakiej jeszcze dziedzinie jesteś *tohunga*? Jasnowidztwo?

Tane uśmiechnął się szeroko i otworzył kolejną butelkę.

– Czyż Lizzie nie mówi czegoś takiego: w whisky kryje się prawda?

– W winie – poprawił go Michael. – Ale masz rację, może prawda kryje się w winie, ale w whisky ona pływa na wierzchu... A więc dobrze, powiem ci. Szczep i tak o tym wie. Nie mów tego tylko żadnemu *pakeha*...

Tane gwizdnął przeciągle, kiedy Michael opowiedział mu o ciąży Juliet i o Kevinie.

– I Patrick jest w tym wszystkim szczęśliwy? – spytał zdziwiony. – Gdzie on w ogóle jest? Przecież zawsze przychodzi na święto. A gdzie jest ta dziewczyna? Powoli robię się ciekawy...

Michael pociągnął duży łyk z nowej butelki. Maorysi zaczęli śpiewać, a gwiazdozbiór Matariki był już dobrze widoczny na nocnym niebie. Powietrze było zimne i suche, w dodatku księżyc w pełni – idealna pogoda na święto. Oba szczepy będą pewnie tańczyć i śpiewać przez całą noc, a do mężczyzn dotarły właśnie aromatyczne zapachy przygotowywanych potraw. Michael rozejrzał się za Lizzie, ale ona świętowała razem z kobietami. Mówiła dobrze po maorysku i uchodziła u Ngai Tahu za kobietę o wielkim *mana*, czyli wielkim poważaniu. Michael uspokojony odwrócił się do przyjaciela. Lizzie nie powinna była usłyszeć, że wyrażał się źle o Juliet.

– Juliet nie chciała przyjść – powiedział w końcu. – Ona... nie ceni i nie lubi szczepów... Przy czym można ją zrozumieć, w jej kraju...

– Wiem, w Ameryce Afrykanie byli niewolnikami i dopiero musiało dojść do wojny, żeby Amerykanie przestali pędzić tych biedaków batem na swoje pola.

Tane nie był zbyt wykształcony, ale wiedział o świecie więcej, niż spodziewał się po nim Michael.

– No, ale minęło już trzydzieści lat i nie ma usprawiedliwienia dla kogoś, kto traktuje drugiego człowieka jak gówno tylko dlatego, że on ma inny kolor skóry...

– Ona tego nie robi – powiedział Michael, wyraźnie udręczony. – Tylko dla niej to nie jest takie

oczywiste, świętować razem i...

– A gdzie jest Patrick? – Tane przerwał jego nieskładne tłumaczenie.

– Patrick został z nią – przyznał Michael. – Nie chciał jej zostawiać samej. Twierdzi, że z farmy też można zobaczyć gwiazdy, a *manu aute*... Jak dziecko się urodzi, to on dla niego zrobi latawiec...

Tane prychnął z dezaprobatą.

– Nie sądzę. Ona znajdzie powody, aby trzymać swój skarb z daleka od Ngai Tahu. Jeszcze raz, Michael, żebym cię dobrze zrozumiał: Patrick specjalnie przyjechał tu z Dunedin, żeby jak zwykle świętować z nami, ale ona mu to wyperswadowała?

Michael skinął głową, ale był w stanie wykazać więcej zrozumienia dla Patricka.

– Ja też – powiedział, wzruszając ramionami – mam żonę o wielkim *mana*...

W pierwszych latach wspólnego życia często dochodziło między nimi do konfliktów, bo Lizzie miała skłonności do samodzielnego podejmowania decyzji dotyczących ich wspólnego życia.

Tane uśmiechnął się pobłażliwie.

– Czy ta Juliet ma *mana*? U jakiego szczepu? Wśród ludzi w Dunedin? Gdyby miała *mana*, to nie musiałaby ukrywać swojego dziecka ani też chować się w łóżku mężczyzny, którego nie kocha. I gdyby miała *mana*, to Kevin by jej nie opuścił. Bo on potrzebuje kobiety z wielkim *mana*, dokładnie jak ty, przyjacielu!

To powiedziawszy, trącił przyjaźnie starego kumpla. Obaj nie zauważyli, że podeszła do nich przyjaciółka Lizzie Haikina. Śmiejąc się, usiadła obok mężczyzn.

– Mam wam powiedzieć, że macie się ruszyć i iść do ognisk. Jest już jedzenie. Ale najpierw zatańczysz z nami *haka*, Tane, twoja matka mówi, że mamy cię nie karmić, zanim nie zatańczysz. Robisz się gruby!

Klepnęła ręką w imponujący brzuch Tane.

– To tyle na temat kobiet z wielkim *mana* – stęknął Tane.

Haikina uśmiechnęła się szeroko.

– Słyszę właśnie, że omawiacie kwestię *mana*... na przykładzie pewnej Juliet, prawda?

Haikina mówiła bardzo dobrze po angielsku i po ukończeniu szkoły misyjnej została nauczycielką.

– Ty też jej nie cierpisz – stwierdził Michael płaczliwie. – Jak Lizzie...

Haikina się roześmiała.

– Większość kobiet jej nie lubi. Bo my, Michael, lubimy mieć *mana*, ale nie wykorzystujemy go do tego, aby wodzić mężczyzn za nos. A w tym Juliet jest wręcz *tohunga* i wasz Patrick będzie tańczył na jej sznurku jak *manu*...

Miesiące przed porodem dziecka Juliet ciągnęły się nieznośnie powoli. Patrick był nieszczęśliwy, bo widywał swoją młodą żonę najwyżej w weekendy i nawet nie w każdy mógł sobie pozwolić na to, aby dosiąść konia i jechać do Lawrence. Ciągle pracował jako doradca farmerów i często spędzał cały tydzień w zupełnie innej okolicy.

– Z tego względu dobrze, że jesteś tu u moich rodziców – pocieszał Juliet, kiedy ona znów skarżyła się na samotność na Elizabeth Station. – W naszym domu byłabyś całkiem samotna i wówczas, gdyby dziecko miało przyjść na świat...

Do porodu było jeszcze około czterech tygodni, ale brzuch Juliet był już teraz mocno zaokrąglony. Dlatego Patrick nie sypiał z nią od dawna – i nawet nie czekał, aż ona sama zacznie się przed tym wzbraniać. Juliet stała się od tego czasu jeszcze bardziej nieznośna. Wprawdzie miłość z Patrickiem nie była dla niej źródłem takich doznań jak wtedy z Kevinem, ale jednak czegoś jej brakowało, a poza tym nienawidziła swego zdeformowanego ciała i tego, że chcąc nie chcąc, zrobiła się ciężka i nieruchawa jak wyrzucony na plażę wieloryb.

– No i nie znajdę tu właściwej opieki – poruszyła znów jeden ze swoich ulubionych tematów, jakim była kwestia pomocy przy porodzie.

Po niekończących się sprzeczkach w końcu doszło do kompromisu: Juliet nie będzie miała maoryskiej akuszerki, ale też nie przyjedzie lekarz z miasta. Zamiast tego we właściwym momencie miała pojawić się akuszerka *pakeha* z Lawrence – o ile w tym czasie nie będzie zajęta przy innej położnicy. Toteż Juliet ciągle przedkładała mężowi i teściom, że jedna akuszerka nie może przecież zaspokoić potrzeb całej okolicy i że wobec tego takie rozwiązanie jest ryzykowne. Patrick i Lizzie zastanawiali się raczej nad fałszywą datą porodu – w końcu w Lawrence też każdy potrafił policzyć miesiące, jakie upłynęły do tej chwili od wesela. Jednak nikt tam nie wiedział, że Juliet była przedtem związana z Kevinem, więc ewentualne plotki z pewnością nie byłyby zanedo złośliwe. Lizzie mimo wszystko wolałaby maoryską kobietę – im ojcostwo dziecka było kompletnie obojętne.

W końcu jednak wszystko poszło dobrze – przynajmniej zdaniem Drurych, którzy sprawę porodów traktowali realistycznie. Jak większość kobiet rodzących po raz pierwszy w życiu Juliet musiała znieść trwające wiele godzin bóle. Akuszerka miała dość czasu, aby zjawić się we właściwym czasie i nie była też zajęta nigdzie indziej. A dziecko wybrało sobie w dodatku na przyjście na świat sobotę – Patrick był już w drodze do Lawrence, kiedy zaczęły się bóle. Przyjechał na Elizabeth Station niemal jednocześnie z położną – i zastał tam zupełnie spokojną Lizzie oraz rozhisteryzowaną Juliet. Juliet cierpiała już od wielu godzin i była przekonana, że jeszcze tego dnia będzie musiała umrzeć.

– Powiedziałam jej trzy razy, że poród u ludzi trwa nieco dłużej niż u owiec – oświadczyła Lizzie synowi, który wykazał od razu gotowość do solidarności z Juliet. – Ale ona mi nie wierzy, doprawdy, na jakim świecie ona dotychczas żyła! Nie rób mi w każdym razie wyrzutów, bo zrobiłam wszystko, co mogłam. Ma własny, przytulny pokój, czyste łóżko, zrobiłam jej herbaty i nawet otworzyłam butelkę wina w nadziei, że ją to trochę uspokoi. I Sharon też już jest, więc ona jest naprawdę w dobrych rękach.

Z pokoju Juliet dobiegł właśnie głośny krzyk, a Patrick zbladł.

– Czy mogę... chyba mogę do niej iść?

Sharon Freezer, akuszerka, wyszła właśnie z pokoju Juliet i usłyszała trwożliwe pytanie Patricka.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała zamiast Lizzie. – Niech pan tam idzie, może potrafi pan uspokoić swoją żonę. Wszystko jest w najlepszym porządku, szyjka macicy otwiera się powoli. To może potrwać jeszcze pięć, sześć godzin i ta perspektywa, hm... nieco przeraża pańską małżonkę. Ona jest trochę nadwrażliwa. Ale może poczuje się lepiej, kiedy ją pan pocieszy. Dostanę tymczasem herbaty, Lizzie?

Lizzie i Sharon piły spokojnie herbatę, podczas kiedy Patrick, którego pokłady cierpliwości wydawały się nie mieć końca, poświęcał swój czas i uwagę małżonce. Nieporadnie opowiadał jej o wszystkich porodach, które miał okazję oglądać – począwszy od owiec maciorek, poprzez kłaczki, a skończywszy na sukach. Nie oszczędzał drastycznych szczegółów. Juliet bardzo szybko była najpierw znudzona, potem ogarnęło ją obrzydzenie, a w końcu niemal wpadła w panikę. Ale przynajmniej nie krzyczała, tylko jęczała głośno, kiedy bóle się nasilały. Patrick z radosnym spokojem doświadczonego hodowcy zauważył, że odstępy pomiędzy kolejnymi falami są coraz krótsze – prawdopodobnie sam byłby w stanie odebrać poród. Ale Juliet odczuwała jego obecność przy łóżku jako niemal uwłaczającą jej godności – jak będzie mogła potem czarować i uwodzić tego mężczyznę, kiedy on teraz widział ją spoconą, zdeformowaną i krzyczącą? W końcu zażądała, aby natychmiast zjawiła się akuszerka, i Sharon, kiedy tylko stwierdziła, że sprawa jest poważna, natychmiast wyrzuciła Patricka z pokoju.

– Wymyśliliście już jakieś imię? – spytał Michael, chcąc odwrócić uwagę syna.

Patrick wzruszył ramionami.

– Wszystko, tylko nie Kevin – uśmiechnął się. – Ja chciałbym Joseph, Joe tak dobrze się woła. Albo Herold, Harry. Ale Juliet pewnie będzie wołała coś z jej ojczyzny, coś francuskiego: Baptiste albo Laurent...

– Co...? – spytała Lizzie, ale głośny krzyk z pokoju Juliet nie pozwolił jej dokończyć zdania.

Patrick był gotów natychmiast tam bieć, ale Lizzie go zatrzymała.

– Brzmiało okropnie, ale i była w tym ulga – skonstatowała. – Uważaj, zaraz będzie po wszystkim...

I rzeczywiście krzyk się nie powtórzył. Zamiast tego po kilku minutach drzwi pokoju się otworzyły i ukazała się w nich rozpromieniona Sharon. Niosła w ramionach maleńkie, zawinięte w pieluszki dziecko.

– Ma pan córeczkę, Mr Drury! I czy nie jest to najśliczniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam?

Patrick patrzył, najwyraźniej nie dowierzając, ale po chwili bez wahania wziął dziecko na rękę. Uśmiechnął się mimowolnie, patrząc na drobniutką buzię.

– Dziewczynka?

Sharon skinęła głową.

– I proszę popatrzeć, jaka słodka!

Lizzie musiała wspiąć się na palce, aby popatrzeć na wnuczkę, ale była od razu tak samo zachwycona jak akuszerka.

– Jakie ma długie włosy! I będzie miała ciemną cerę, prawda? Ach, właściwie powinno się obowiązkowo mieszać ze sobą najróżniejsze typy ludzi! Tak ślicznego dziecka nie widziałam od chwili narodzin Matariki!

Michael popatrzył na niemowlę nieco sceptycznie. Był dumny ze wszystkich swoich dzieci, ale nigdy nie mógł pojąć, jak można doszukiwać się rodzinnego podobieństwa już po pierwszym spojrzeniu na taką czerwoną istotkę o pomarszczonej buzi. Już nie mówiąc o doszukiwaniu się w niej cech przyszłej piękności, jaką niewątpliwie miało stać się dziecko.

– I jak ona ma się nazywać? – spytał.

Jeśli o tę kwestię chodzi, to w rodzinie rozgorzały w następnych dniach gorące dyskusje, można było wręcz mówić o toczących się walkach. Patrickowi było to dość obojętne, był jedynie zachwycony dzieckiem i jednocześnie pełen ulgi, że wszystko poszło dobrze. Dlatego też gotów był odczytywać każde życzenie z oczu Juliet – zwłaszcza jeśli dawało się ono tak łatwo spełnić jak w sprawie wyboru imienia. Lizzie za to walczyła z każdą propozycją swojej synowej.

– Celine, Laetitia, Monique! Już kiedy to słyszę...

– Rzeczywiście nieco egzotycznie – przyznał Patrick. – Ale tylko dlatego, że nigdy tego nie słyszeliśmy...

– Mów za siebie, synu – odrzekł Michael, który w tej sprawie całkowicie zgadzał się z Lizzie. – Choć co prawda aż tak niezwykle te imiona nie są, one...

– Twój ojciec chce przez to powiedzieć, że znał przynajmniej trzy dziwki, które wybrały sobie „artystyczne” imiona w rodzaju Claudine, Michelle albo Clarisse – sprecyzowała Lizzie. – Może w Nowym Orleanie tak nazywają się całkiem zwyczajne dziewczyny. Ale tutaj... nie możesz przecież tego zrobić swojej córce!

Patrick zagryzł wargi. On naprawdę nie znał żadnych dziewczyn lekkich obyczajów. W Dunedin Church of Scotland zadbał już o to, aby prostytutka zeszła głęboko do podziemi, gdzie zresztą wspaniale kwitła.

– A dlaczego nie jakieś dobre irlandzkie imię? – spytał Michael. – Na przykład...

– Wszystko, tylko nie Kathleen – ostrzegła go Lizzie i wzięła na rękę dziecko, które zaczęło kwilić.

Pominąwszy kwestię gorączkowego szukania imienia, Juliet prawie wcale nie zajmowała się córką i wzbraniała się też przed karmieniem jej piersią.

– Ona nie bardzo wygląda na Irlandkę, ale jeśli o mnie chodzi, możecie ją nazwać Mary albo Bridget. Tylko niech to będzie imię, które jej nie skompromituje i które będzie można wymówić, nie łamiąc sobie przy tym języka.

Konflikt zakończył się wreszcie tym, że Juliet przystała na wybór imienia przez Michaela, które jednak miało być zapisane zgodnie z francuskimi zasadami pisowni. I już urzędnik stanu cywilnego w Dunedin pomylił się dwa razy, kiedy przedstawiono mu małą Marie Brigitte w wieku trzech miesięcy. Wielebny Burton dokonał wpisu w rodzinnej Biblii bezbłędnie, choć marszczył przy tym czoło.

– Jak będziecie na nią wołać? – spytał rodziców, kiedy ci zjawili się u niego celem zgłoszenia dziecka do chrztu.

– Marie – odpowiedziała Juliet.

– Bridey – odpowiedział niemal jednocześnie Patrick, a Juliet popatrzyła na niego ze złością. Kathleen, która właśnie pochylała się nad dzieckiem, zobaczyła w promieniach padającego słońca śliczną, gładką buzię o smagłej cerze.

– Pomijając wszystko, jest prześliczna! – oświadczyła. – W Irlandii mawiają: piękna jak majowy dzień. Chodź, mała May! Potrzymam cię na rękach. I jaka jest duża, Juliet, jak na trzymiesięczne dziecko...

I rzeczywiście imię May albo Mae przyjęło się. Patrickowi się podobało, a wymówić mógł je każdy. Juliet upierała się przy Marie, ale niezbyt często odzywała się do dziecka, wymieniając to imię. Najpierw mała May wędrowała po kolei do każdej z uradowanych matron z Dunedin. Każda z nich była zachwycona dzieckiem, a Juliet mogła rozkoszować się tym, że wreszcie zaczęła zwracać na siebie uwagę wszystkich. Uroczystość chrztu May miała się odbyć w Dunedin i Juliet czuła się tak, jak gdyby wyszła na wolność po rocznym pobycie w więzieniu. Patrick i Juliet Drury z dumą prezentowali światu swą pierwszą córkę i nikt nie podawał w wątpliwość daty jej urodzenia – a przynajmniej nie robiono tego głośno. Juliet w końcu mogła przeprowadzić się do domu Patricka na skraju miasta, a jej mąż był szczęśliwy jak nigdy. Zachwyt Juliet był tylko nieco przytłumiony z powodu obecności Lizzie – jej teściowa upierała się przy tym, aby zamieszkać z obojgiem rodziców przynajmniej do chwili chrztu.

– Musisz się do wszystkiego przyzwyczaić, Juliet! – tłumaczyła Lizzie swoją decyzję. – I nauczyć opiekować się małą. Dotychczas prawie jej nie przewijałaś ani nie karmiłaś. Rozumiem, ale...

Tak naprawdę Lizzie nie rozumiała tego zupełnie, ale sama widziała, że Juliet szybko straciła pokarm. Od chwili porodu młoda kobieta wyznaczyła sobie bardzo rygorystyczną dietę, chcąc koniecznie odzyskać jak najszybciej dawną figurę, zanim zacznie pokazywać się w Dunedin. I rzeczywiście udało jej się to szybko, a wszystkie kobiety z towarzystwa, na czele z Kathleen i Claire, przyjęły ten fakt z ogromnym uznaniem.

– Ale to doprawdy nie jest konieczne, żeby się aż tak katować – stwierdziła Claire w czasie pierwszej wizyty Juliet w Lady's Goldmine. Młoda matka szukała właśnie odpowiedniej sukni na uroczystość chrztu. – Dziś można już nosić luźne suknie reformowane, a już tym bardziej po rozwiązaniu. Przecież to niezdrowo tak się ścisnąć gorsetem.

Juliet pogardliwie ściągnęła wargi.

– Nie będę chodziła po ulicy jak tłusta krowa – stwierdziła, zerknąwszy na Lizzie, która na szczęście tego nie słyszała.

Claire i Kathleen, obie z natury bardzo szczupłe, przeważnie nosiły jeszcze gorsety, podczas kiedy Lizzie dawno z tego zrezygnowała. Woląла luźno opadające suknie reformowane, w których zresztą

bardzo dobrze wyglądała. Lizzie była kobietą drobną i niewielkiego wzrostu, a teraz, kiedy była już starsza, zrobiła się pulchna. Luźne, długie suknie nieco ją wyszczuplały – a przede wszystkim były wygodne. Lizzie czuła się w nich dobrze i promieniała zadowoleniem. A w dodatku suknie reformowane z kolekcji Kathleen były prawdziwymi dziełami sztuki. Lizzie w żadnym wypadku nie wyglądała w nich grubo ani też prowincjonalnie.

– Znakomicie pani w tym wygląda! – Claire chwaliła właśnie niebieską jedwabną suknię, na którą zdecydowała się Juliet. – Nie wiem, czy w pani rodzinie jest przekazywana sukienka do chrztu? Bo nasza uczennica mogłaby wykroić sukienkę dla pani córeczki z tego samego materiału. Został jeszcze spory kawałek, a ta mała ma prawdziwie twórcze ambicje...

Juliet łyknęła pochlebstwo, zgodziła się – i wprost promieniała dumą, kiedy Marie Brigitte Drury jako pierwsze dziecko w Dunedin była trzymana do chrztu w kreacji Lady's Goldmine. Malutka rzeczywiście wyglądała prześlicznie, a młoda krawcowa zebrała zasłużone pochwały. Juliet była w najwyższym stopniu zadowolona – do chwili kiedy Patrick dwa dni później otrzymał rachunek.

– Juliet, nie pojmuję, doprawdy! Tyle pieniędzy za suknię? Za to... za to mógłbym kupić konia!

Lizzie, która szykowała się właśnie do wyjazdu i przychodziło jej to z trudem, bo nie mogła rozstać się z wnuczką, roześmiała się.

– Tyle kosztują suknie! – Tym razem wyjątkowo wzięła w obronę Juliet. – Lady's Goldmine to ekskluzywna firma. Ale nie obawiaj się, Patrick, to nie musi Juliet wejść w nawyk. Chrzest jest szczególną okazją, a to teraz to takie małe niedopatrzenie. Suknie Juliet i May idą na mój rachunek. Mogę ci coś podarować, prawda, Juliet? Jako małe zadośćuczynienie za to, że przez rok robiłam ci z życia piekło.

Lizzie uśmiechnęła się do synowej w gotowości do pojednania. Patrick skinął głową, także uspokojony.

– To bardzo miło z twojej strony, mamó. Juliet oczywiście chętnie to przyjmie. Ale w najbliższym czasie musimy się naprawdę ograniczyć. Wesele właśnie spłaciłem. A teraz te chrzciny... Nie zarabiam tak dużo, Juliet. Nie możemy sobie pozwolić na Lady's Goldmine.

W spojrzeniu Juliet, którym obrzuciła swego męża, można było dostrzec rosnącą złość, ale i zmieszanie.

– Ale... to gdzie mam...?

Patrick się roześmiał.

– Kochanie, w Dunedin jest z tuzin sklepów albo i więcej. A ty będziesz wyglądała przepięknie w każdej sukni, którą tam kupisz.

– Ale ja... Kevin...

Lizzie dosłownie odjęło mowę. Ta kobieta odważyła się teraz wymienić imię Kevina? Także Patrick był poruszony i w jego oczach błysnęła wściekłość. Ale za chwilę opuścił wzrok.

– Kevin... – zaczął.

Lizzie weszła mu w słowo.

– Kevin na dłuższą metę też nie mógłby sobie na to pozwolić. I przestań wracać do tej sprawy, Juliet. Dostałaś właśnie nową suknię, wyglądasz w niej przepięknie, a suknie Kathleen są niemal wieczne, można je nosić latami. W najbliższych miesiącach i tak nie za bardzo będziesz miała czas, aby w niej paradować. Masz małe dziecko, Juliet, nie możesz o dowolnej porze wychodzić ani wracać, kiedy ci się spodoba. A już zwłaszcza nie nocą. Najbliższe koncerty i wernisaże odbędą się bez twego udziału, lepiej się przyzwyczaj do tej myśli.

Lizzie wcisnęła w ramiona Juliet May, którą dotychczas huśtała na rękach. Dziecko się obudziło i oburzone zaczęło głośno krzyczeć.

– Możemy oczywiście zamieszkać na farmie... – wymamrotał Patrick. – Mój ojciec z pewnością by się ucieszył, gdybym pomagał mu przy owcach, moglibyśmy powiększyć hodowlę. Farma prosperuje dobrze...

Rzeczywiście Drury zarabiali dobrze na hodowli owiec – ale swoje bogactwo częściowo zawdzięczali też zasobom złota w potoku. Były one ciągle niewyczerpane, bo zarówno Drury, jak i Maorysi korzystali z niego w rozsądnych granicach. W ostatnim roku nie czerpał z nich nikt – ryzyko, że Juliet mogłaby się o tym dowiedzieć, wydawało się zarówno Lizzie, jak i Maorysom zbyt duże. Lizzie miała nadzieję, że jej syn także zachowa to w tajemnicy. Było nie do pomyślenia, co by się stało, gdyby dowiedziała się o tym Juliet i zaczęła na ten temat plotkować. Efektem mogłaby być kolejna fala gorączki złota – co pociągnęłoby za sobą zniszczenie pastwisk Michaela i ojczyzny Ngai Tahu.

Juliet w odpowiedzi potrząsnęła teraz z przerażeniem głową, a Lizzie śmiała się w duchu. Patrick nie miał nic złego na myśli i mówił całkiem poważnie. Ale to na razie powstrzymało Juliet. Zrobiłaby wszystko, byle tylko nie być zmuszoną mieszkać na wsi. A co będzie dalej – Patrick miał przecież odziedziczyć farmę – o tym Juliet wołała na razie nie myśleć.

Patrick miał nadzieję, że wspólne życie z Juliet będzie istnym rajem. Długo marzył o tym, że będzie ją widywał każdego wieczoru, że będzie z nią rozmawiał, a nocami brał ją w ramiona – i że będą szczęśliwi. Cieszył się także, że będą mieli dziecko, i nawet był gotów we wszystkim pomagać Juliet. Lubił karmić May z butelki i z przyjemnością obserwował, jak maleńkie usteczka łapczywie ssą smoczek – był szczęśliwy, kiedy dziecko uśmiechało się do niego. Ale czas płynął – i Patrick musiał stwierdzić, że nie wszystko toczyło się tak, jak sobie wymarzył. Juliet ani nie miała ochoty, ani też nie potrafiła zająć się gospodarstwem domowym. Kiedy pierwszego wieczoru wrócił do domu, powitały go zapachy gotującej się kolacji – ale też Mrs O’Grady, matka jego chłopca stajennego, Randy’ego. Rezolutna Irlandka trzymała na ręku zadowoloną, sytą May i patrzyła na Patricka przepaszająco – ale też z oburzeniem.

– Przykro mi, Mr Patrick... Wiem, pana matka powiedziała mi, że mam już nie przychodzić...

Mrs O’Grady wysprzątała do połysku dom Patricka przed wprowadzeniem się tam Juliet. Dawniej od czasu do czasu zaskakiwała go, gotując mu zupę, kiedy późno wracał do domu – była to taka mieszanina stosunku pracy i dobrego sąsiedztwa. Ale teraz, kiedy w domu była już kobieta, Patrick chciał oczywiście zaoszczędzić pieniądze wydawane na Mrs O’Grady. Lizzie zawiadomiła ją o tym jeszcze przed swoim wyjazdem i między kobietami panowała pełna zgoda i zrozumienie. Mrs O’Grady i tak uważała za dziwny fakt, że teściowa Juliet zamieszkała u Patricka na całe dwa tygodnie. I nie miała najmniejszego zamiaru wtrącać się teraz do gospodarstwa młodej kobiety.

– Ale Randy powiedział mi, że dziecko cały czas krzyczy, to wpadłam, żeby zobaczyć, czy mogę w czymś pomóc...

Juliet wobec tego znów zatrudniła kobietę jako pomoc domową i obarczyła ją znacznie większą ilością obowiązków. Mrs O’Grady gotowała, przewijała i karmiła dziecko, sprzątała dom, podawała do stołu. Juliet siedziała właśnie wśród stosu nut, które zamówiła pocztą i otrzymała tego dnia. Kiedy Patrick wszedł do salonu, uśmiechnęła się do niego.

– Kochanie, koniecznie potrzebne nam jest pianino! Wprawdzie potrafię czytać partytury, ale lepiej byłoby je od razu zagrać. Mogłabym wieczorem urządzać ci koncerty...

Juliet patrzyła na niego uwodzicielsko.

Gniew Patricka ustąpił w jednej chwili. Nie był w stanie złościć się na Juliet. Choć z drugiej strony ona też powinna zrozumieć...

Tego wieczoru Patrick wyjaśnił Juliet swoją sytuację ekonomiczną z najdrobniejszymi szczegółami. Zrobił to także następnego wieczoru, kiedy znów drzwi otworzyła mu Mrs O’Grady z dzieckiem na

ręku. Rezolutna Irlandka nie była jednak w tak pogodnym nastroju jak poprzedniego dnia i dała mu wyraźnie do zrozumienia, że chętnie zajmie się jego gospodarstwem, ale nie za darmo. Nie mogła jednak nie zareagować na ciągły płacz May, więc przyszła. Mała dziewczynka dawno podbiła jej serce.

– Proszę powiedzieć swojej żonie, że musi się zająć dzieckiem! – ofuknęła Patricia. – Jeśli jest panu wszystko jedno, że dom popada w ruinę, to mnie to nie obchodzi. Ale nie mogę spokojnie słuchać, jak ta mała bez przerwy płacze!

– No ale przecież każde dziecko czasem płacze... – powiedział Patrick bezradnie.

Mrs O'Grady w odpowiedzi popatrzyła na niego ze złością.

– Oczywiście, ale nie pięć godzin bez przerwy. I kiedy przyszłam, miało mokrą pieluszkę i w dodatku było głodne...

– Potrzebuję przynajmniej niańki! – lamentowała Juliet, kiedy Patrick skonfrontował ją ze słowami Mrs O'Grady. – I wózek dla dziecka, muszę czasem wyjść. Zwariuję, siedząc tu ciągle samotnie.

Patrick znów powiedział jej dokładnie, ile zarabia – i następnego dnia kupił wózek. Tu przynajmniej Mrs O'Grady była zadowolona: May nie płakała przez pół dnia, bo Juliet z nią wychodziła. Młoda kobieta spacerowała ulicami miasta, a najpóźniej wtedy, kiedy May zaczynała płakać, składała komuś wizytę. I przynajmniej na początku funkcjonowało to znakomicie: Kathleen i Claire, Heather i Chloé, Violet i Laura, małżonka doktora Folksa, uważały zgodnie May za przeurocze dziecko. Cieszyły się, kiedy Juliet pozwalała im przewijać małą i karmić albo prosiły swoje służące, aby te zajęły się dzieckiem.

– Trochę za długo zatrzymałyśmy się na mieście – mówiła Juliet przepaszająco, stojąc z krzyczącym dzieckiem u drzwi.

A potem oddawała się konwersacji, aż nadchodził czas, aby iść do domu. Tam oczywiście nic nie było ugotowane ani posprzątane, ale była pewna, że Patrick z tego powodu nie będzie się złościł. I w końcu przekonała go, że należy zatrudnić Mrs O'Grady na dwa dni w tygodniu, tylko do sprzątania.

Nikt jednak nie był zadowolony z tego rozwiązania. Juliet nudziła się cały dzień, bo dawno już stwierdziła, że niewiele miała wspólnego z damami z towarzystwa w Dunedin. Najbardziej lubiła odwiedzać Claire Dunloe, która miała pianino. Ona przynajmniej nie miała nic przeciwko temu, że Juliet na nim grała, chętnie też rozmawiała o muzyce i sztuce. Claire była córką lekarza, dorastała w Liverpoolu, otrzymała też jako młoda dziewczyna odpowiednie wykształcenie. I próbowała w dyplomatyczny sposób wytłumaczyć Juliet, że jej wizyty odrywają ją od pracy. Claire i Kathleen prowadziły razem Lady's Goldmine, a do obowiązków Claire należało doradzanie klientkom oraz sprzedaż. Kathleen projektowała suknie i nadzorowała szwaczki – przeważnie pracowała na zapleczu. Kiedy Claire miała wizytę, do sklepu musiała wejść Kathleen albo zajmowała się nim przez parę godzin jedna z pracownic. Jeśli miało to miejsce raz czy dwa razy w tygodniu, nie stanowiło to problemu, ale jeśli częściej, to nie podobało się ani Claire, ani Kathleen.

– Mam wrażenie, że ona nadużywa naszej uprzejmości i wyręcza się naszymi dziewczynami, jak gdyby były niańkami – stwierdziła Kathleen któregoś popołudnia, kiedy Juliet wreszcie poszła. – Przecież nie może się doczekać, żeby twoja Paika wreszcie wzięła od niej dziecko.

Paika była pokojówką Claire. Młoda Maoryska kochała dzieci.

– Nie tylko waszymi – stwierdziła Heather, która właśnie kręciła się przed lustrem w nowej żółtej sukni. – Do nas też zagląda przynajmniej raz w tygodniu. Właściwie mi to nie przeszkadza, ta mała jest urocza i w tej chwili głównie śpi, kiedy ją ktoś przewinie. Ale za kilka miesięcy będzie chodzić. I wtedy zapaćka wam suknie, a mnie poprzewraca sztalugi. A Rosie nie jest tak zachwycona jak twoja Paika, kiedy ma się nią zająć. Rosie lubi konie, a dziećmi opiekuje się tylko wtedy, kiedy musi. No i nie

wiem jak wy, ale my nie sądzimy, że towarzystwo Juliet jest aż tak ciekawe, abyśmy musiały dla niego otwierać przedszkole...

Wkrótce więc damy z Dunedin zaczęły w bardziej lub mniej dyplomatyczny sposób zamykać przed nią drzwi. Juliet znów siedziała całymi godzinami sama w domu i wyładowywała zły humor na Patricku, kiedy tylko wracał do domu. A on robił co mógł, aby była szczęśliwa. I któregoś z nielicznych weekendów, który Juliet i Patrick spędzali w Lawrence, Michael przyłapał syna na potajemnym płukaniu złota.

– Nie macie nic przeciwko temu, prawda? – spytał Patrick, uśmiechając się krzywo.

Michael westchnął.

– Owszem, Patrick, mamy coś przeciwko temu – oświadczył po chwili. – I powiem ci szczerze, jeśli pytasz. Jesteś nieszczęśliwy i próbujesz żyć ponad stan. Sprowadzasz na nas wszystkich niebezpieczeństwo. Gdzie chcesz sprzedać to złoto, Patrick? W banku Dunloego? A może u jakiegoś handlarza złotem? On zacznie cię wypytywać. Ja sprzedaję je w małych ilościach w różnych miastach, tam gdzie akurat sprzedaję albo wystawiam owce. Wtedy to można traktować jako coś w rodzaju: a, płukaliśmy raz dla zabawy i niespodziewanie nam się udało. A gdzie? A gdzieś nad jeziorem takim a takim, nawet nie pamiętam miejsca. A Maorysi wysyłają różnych ludzi tu czy tam i zwykle nikt nie pamięta jakiegoś Maorysa, który usiłuje sprzedać małą ilość. Ale ciebie znają i farmerzy, i bankierzy, doradzasz też w kwestiach pożyczek i kredytów. Jeśli nagle pojawisz się z dużą ilością złota...

– Tylko ten jeden raz... Ja... Juliet chce mieć pianino.

Patrick opuścił trzymaną w rękach miskę do płukania złota i usiadł w trawie obok potoku. Przez kilka chwil napawał się spokojem niezwykłego widoku wodospadu, którego kulisami były zielone góry, lasy i łąki. Michael potarł czoło i usiadł obok syna.

– Podarujemy jej pianino – powiedział po chwili. – To da się zrobić i nie będzie to aż taki problem. Ale obawiam się, że ona zaraz będzie miała kolejne życzenie. Musisz jej wyznaczyć granice, Patrick, bez względu na to, jak bardzo ją kochasz.

Wyjął z rąk syna miskę i wrzucił jej zawartość do potoku. W czarnym piasku, który Patrick wypłukał z dnia potoku, zamigotało coś w świetle słońca.

Patrick zagryzł wargi.

– Ale jest mi jej żal – wyznał. – Ona... ona nie może znaleźć przyjaciół w Dunedin, jest samotna, to wszystko ją po prostu przerasta... ona...

Michael podniósł ręce.

– Wiedziała, co ją czeka. Wiedziała, co robi, kiedy wychodziła za ciebie. I teraz musi się pogodzić z tym, co zastała. A jeśli się nudzi i nie chce wykonywać żadnych prac domowych, to musi sama zarabiać pieniądze, których potrzebuje.

Patrick poderwał się i popatrzył na ojca z oburzeniem.

– Ale ona... Ona przecież nie może.

– Dotychczas jakoś sobie radziła – powiedział bezlitośnie Michael. – Jest wykształcona, ma świetne maniery... Może hotel potrzebuje kogoś do recepcji. Może być też sprzedawczynią w Lady's Goldmine. Może Kathleen i Claire rzeczywiście kogoś potrzebują. A ostatecznie może dawać lekcje gry na fortepianie. Nie sprowadzaj wszystkich jej umiejętności tylko do tej jednej, Patrick! W ten sposób ją poniżasz!

Patrick zaczerwienił się gwałtownie.

– Nie pytam, jak definiujesz tę jedną, jak mówisz, umiejętność, tato – powiedział lodowato i odwrócił się.

Michael, którego wykształcenie ograniczało się tylko do szkoły niedzielnej, nie za bardzo rozumiał

słowo „definiować”. Jednak upór syna powoli zaczynał go martwić.

– Zastanawiam się, jak to się skończy... – powiedział sfrustrowany do Lizzie, Haikiny i jej męża Hemi, którzy przyszli do nich na kolację. Oboje byli bardzo zaprzyjaźnieni z Patrickiem i chcieli go zobaczyć – w końcu nie pokazał się u nich w maoryskiej wsi od chwili wesela. I z pewnością cieszyłby się, mogąc odwiedzić przyjaciół, ale Juliet prawie nie dała mu teraz czasu, aby mógł z nimi porozmawiać. Choć oboje mówili po angielsku i naprawdę starali się wciągnąć ją do rozmowy, Juliet udzielała tylko krótkich, mrukliwych odpowiedzi. Zawinęła się w gruby szal, mimo że tego roku jesień była naprawdę ciepła, piła małymi łykami wino i tylko z uprzejmości zjadła kawałek jagnięcego kotleta, który Michael grillował specjalnie dla niej na werandzie przed budynkiem farmy. W końcu Juliet oświadczyła, że boli ją głowa, i poszła do domu. Patrick, wyraźnie zatroskany, zaraz poszedł za nią.

– Wszystko się ułoży – pocieszała Haikina. – On jest po prostu ślepo zakochany, to przecież zrozumiałe, że młode pary przez kilka miesięcy po ślubie muszą być ciągle razem...

– Ciągle razem? – spytał Hemi. – Ona powiedziała, że boli ją głowa. Czy to nie znaczy u *pakeha*: „dzisiaj nie wpuszczę cię do łóżka”?

Haikina i Michael się roześmiali. Ale Lizzie patrzyła z dziwnym wyrazem oczu, w którym były i złość, i żal, na dolinę poniżej domu, na potok i wodospad.

– Och, to małżeństwo wkrótce się skończy – powiedziała po chwili milczenia. – Popatrzcie tylko na jej twarz. Na to niestałe, niespokojne spojrzenie. To się wkrótce skończy. A Patrick będzie miał złamane serce...

ROZDZIAŁ 9

Juliet cieszyła się z otrzymanego pianina, ale nie na długo przykuło ono jej uwagę. Nie była artystką, dla której opracowanie jakiejś kompozycji i staranne przygotowanie występu było celem samym w sobie. Juliet żyła dzięki publiczności, której się swoim głosem przypochlebiała i której pochwały oraz aplauz stanowiły dla niej zasadniczą inspirację. Patrick jej nie wystarczał, był widzem zbyt bezkrytycznym. Najwyraźniej było mu wszystko jedno, czy May piszczała z radości, uderzając paluszkami w klawiaturę, czy też słuchał starannie przygotowanego występu Juliet. Zachwycał się jednym i drugim. Za to Mrs O'Grady okazała się zdaniem Juliet prawdziwą ignorantką, jeśli chodzi o sztukę, i uważała grę na pianinie za denerwującą. Jedynie Randy słuchał chętnie i głośno, aczkolwiek fałszywie gwizdał w czasie czyszczenia koni zasłyszane melodie. Kiedyś zlitowały się także Heather i Chloé i na nieśmiałe prośby Patricka poprosiły Juliet o oprawę muzyczną jednego z wernisaży.

– To nawet będzie pasowało – powiedziała Chloé do swojej matki i Heather. – Ta wystawa będzie dość odważna jak na stare, dobre i bardzo pocziwe Dunedin. *Piękno i miłość – akty kobiece*. Jeśli Juliet zajęczy trochę przy fortepianie... Jak myślisz, mam rozesłać zaproszenia tylko do stałych bywalców czy też raczej do szerszego kręgu publiczności?

Wystawa odbiła się szerokim echem w prasie i oczywiście zrobiła furorę – przy czym połowa mieszkańców Dunedin była zachwycona, a połowa zszokowana. Redakcje niemal wszystkich gazet Wyspy Południowej przysłały natychmiast swoich reporterów, z których większość była tylko wolnymi strzelcami w sensie zawodowym. Ci oczywiście pisali zwykle drobne doniesienia z regionu Otago, ale pewien dziennik z Queenstown przysłał kierownika swojego działu kulturalnego. Sporą rolę odegrał tu przypadek, bo ten mężczyzna przyjechał do Dunedin także ze względów rodzinnych. Redaktor zachwycił się wystawą – a jeszcze bardziej osobą Juliet, która oczywiście nie „jęczała” przy pianinie, lecz całkiem poprawnie zaśpiewała parę utworów bluesowych rodem z Nowego Orleanu. Juliet miała na sobie tym razem jedną ze swoich starszych kreacji – piękną czerwoną suknię, w którą zdołała się wcisnąć po dłuższej głodówce, ale widok jej wąskiej talii i głębokiego dekoltu rzeczywiście robił wrażenie.

Pit Frazer, ów dziennikarz, po występie nie odstępował jej na krok, co nie było trudne, bo Juliet unikała Patricka jak mogła. Rosie, którą zaangażowano jako opiekunkę do dziecka, skapitulowała wobec bezustannych wrzasków May. Młoda kobieta po prostu nie miała ręki do dzieci i z ulgą oddała małą Patrickowi, w którego ramionach dziecko uspokoiło się natychmiast. May jednak nie zasnęła, lecz obserwowała uważnymi, okrągłymi oczami gości. Patrick nosił ją więc ze sobą, a May najwyraźniej podobała się muzyka, a już najbardziej to, że co chwila ktoś inny chciał ją wziąć na ręce. W końcu znalazła się także w objęciach Roberty Fence.

Juliet obrzuciła młodą kobietę krótkim, taksującym spojrzeniem. Ta dziewczyna była dawniej zakochana w Kevinie. Może teraz postanowiła zająć się Patrickiem? Ale tu chyba raczej nie było niebezpieczeństwa. Roberta ubierała się jak stara panna i na tej wystawie dosłownie nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. Zdaniem Juliet prezentowane tu akty nie były specjalnie gorszące, ale z punktu widzenia absolwentki seminarium nauczycielskiego w Dunedin mogły chyba uchodzić za coś w rodzaju Sodomy i Gomory. Dziecko było bardzo pożądanym pretekstem, by skupić się na nim, i Roberta najwyraźniej z wielką radością trzymała je w ramionach. Patrick obserwował ją nieco zatroskany, bo w ogóle niezbyt chętnie rozstawał się z May.

Juliet przestała więc zwracać na nich uwagę, zwłaszcza że to, co mówił dziennikarz z Queenstown, było o wiele ciekawsze. Młoda kobieta wprost rozkwitła, kiedy mężczyzna zaczął z całkiem niezłą

znajomością rzeczy rozprawić o muzyce południowych stanów Ameryki Północnej. Jego zdaniem „ta część świata” jeszcze nie wyrosła ponad poziom *Waltzing Mathilda*. Juliet i Pit z lubością rozprawiali więc o pseudoznawcach sztuki z Nowej Zelandii i Australii – przy czym lekceważyli zupełnie bogactwo kultury Maorysów, ich niezwykłych instrumentów i bogatego pieśniarstwa.

– Właściwie prawie wcale nie ma tu możliwości występów dla prawdziwych artystów – skarżyła się Juliet, podczas kiedy Pit pozornie przypadkowo położył rękę na jej ramieniu i delikatnie poruszał palcami. – Tylko od czasu do czasu wędrownie zespoły, jeden czy dwa teatry, które wystawiają jedynie klasykę... na co te śmieszne chrześcijańskie ugrupowania i tak patrzą ze zgorzeleniem. Zdaniem Church of Scotland przeklęty jest już każdy, kto wkłada czerwoną suknię.

Pit się roześmiał i zaczął z nią otwarcie flirtować.

– Chętnie podzieliłbym się z panią owym przekleństwem – powiedział.

Heather, która właśnie przechodziła w pobliżu i usłyszała te słowa, spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Życzy pan sobie czerwoną suknię, Mr Frazer? – spytała złośliwie. – Myślę, że mam jedną w szafie. To luźna suknia reformowana, bardzo obszerna. Może się pan w nią zmieści.

Juliet zachichotała, ale spojrzenie Heather było raczej niechętnie.

– Może coś zaśpiewasz? – zwróciła się do niej przyjaźnie, ale w pytaniu słychać było rozkazujący ton.

Heather zauważyła rękę Frazera na ramieniu Juliet – z całą pewnością nie chciała skandalu na swoim wernisazu.

– Myślałem raczej o miejscu wiecznego potępienia – poprawił się Frazer, lekko czerwieniejąc. – Z panią mógłbym dzielić nawet piekło.

Juliet mruczała jak zadowolony kot.

– Tam i tak byłoby za gorąco... na jakąkolwiek suknię... – wyszeptała, bawiąc się ramiączkiem swej sukni bez rękawów.

Ale po chwili podeszła do pianina – nie chciała przecież w żadnym wypadku narazić się Heather.

Frazer czekał na nią z kieliszkiem szampana, kiedy skończyła.

– Niewiarygodne... Pani głos jest... idealnie czysty, a jednak tajemniczy... i kuszący...

Juliet wprost pławiła się w jego pełnym podziwu spojrzeniu, ale prawie nie słuchała jego pochlebstw – do chwili kiedy Frazer wygłosił pewną znaczącą uwagę.

– Musi pani koniecznie występować! Nie może się pani zagrzebać gdzieś na przedmieściach Dunedin. Proszę posłuchać, mamy coś naprawdę ciekawego w Queenstown. Daphne's Hotel. Dawniej pub, jak wszystkie hotele, trochę... no, bezpruderyjny... Ale ostatnio... Zarządczyni zbudowała scenę, mają tam miejsce przedstawienia artystyczne, także... hm... wieczory taneczne. Pub staje się powoli restauracją, panom coraz częściej towarzyszą damy, może to lepiej opisuje zmiany, które tam zachodzą.

– To jest klub nocny? – spytała Juliet z zainteresowaniem.

Frazer zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

– A przynajmniej wkrótce ma się nim stać. Wie pani, Queenstown naprawdę się cywilizuje. Nie ma tam już tylko poszukiwaczy przygód i złota, ale za to przyjeżdża coraz więcej wielkich hodowców bydła – a złoto teraz wydobywa się w kopalniach, ich zarządcy też nie należą do biednych i niewykształconych. No i próbuje się zrobić wszystko, aby miasto stało się atrakcyjne dla przybyszów. To naprawdę piękne miejsce, dookoła góry, jeziora...

Juliet nie interesowała się górami ani jeziorami.

– A zarządca tego klubu angażuje artystów?

Frazer wzruszył ramionami.

– Myślę, że tak. To zarządczyni. Daphne O'Hara. Chyba Irlandka, choć nic o tym nie słyszałem...

Juliet się skrzywiła. Właściwie miała dość Irlandczyków. Ale mimo wszystko brzmiało to zachęcająco.

– Może powinniśmy... pomówić o tym jutro... – Niby przypadkiem dotknęła jego palców, co zauważyła tylko Chloé Coltrane, która wobec tego podeszła w ich kierunku.

– Myślę, że muszę teraz coś zaśpiewać. Ale jutro... Możemy wypić razem kawę. Mieszka pan w hotelu Leviathan?

Daphne O'Hara była bardzo zainteresowana gościnnymi występami pieśniarki z Nowego Orleanu. Pit Frazer zatelegrafował do niej natychmiast i zaskoczył Juliet dobrą wiadomością, kiedy tylko zjawiała się w jego hotelu. Tego dnia nie zabrała ze sobą May – Mrs O'Grady przyszła jak zwykle posprzątać i Juliet bez trudu namówiła ją, aby podjęła się dodatkowego zadania, czyli opieki nad dzieckiem. Rezolutna Irlandka była ciągle zakochana po uszy w małej dziewczynce. Oczywiście nakarmi May, ukołysz je do snu, śpiewając jej nader fałszywie jakieś kołysanki. Przy czym brak słuchu muzycznego Mrs O'Grady zupełnie nie przeszkadzał May, dziecko ją kochało. I krzyczało tylko wtedy, kiedy było pod opieką Juliet albo Rosie – ani jedna, ani druga nie poświęcała mu takiej uwagi, jakiej potrzebowało.

– To cudownie! – zagruchała Juliet. Jej ręka dotknęła palców Frazera, kiedy brała od niego telegram od Daphne O'Hary. – Wygląda na to, że wreszcie mam szczęście...

Frazer się uśmiechnął i otworzył butelkę szampana.

– Ja mógłbym panią uszczęśliwić o wiele bardziej...

Juliet miała na sobie skromny, nierzucający się w oczy kostium, kiedy dwa dni później odwiedziła Claire Dunloe. W sklepie niewiele się działo i Claire nie znalazła dostatecznie przekonującego powodu, aby nie zaprosić swego gościa na herbatę. Kathleen nadzorowała właśnie jakieś ważne przeróbki krawieckie i nie mogła się przyłączyć. Juliet ją nudziła – a poza tym jej uwadze także nie uszedł jej flirt z dziennikarzem z Queenstown. Kathleen wiedziała, że może było to śmieszne, ale mimo wszystko czuła się po tylu latach jakoś związana z rodziną Michaela. W ich historii było zbyt wiele osobliwych punktów przecięcia. I chodziło nie tylko o jej dawną miłość do Michaela, lecz także o krótki romans między Matariki a synem Kathleen Colinem, którego owocem była Atamarie. Kathleen i Lizzie nigdy nie łączyła prawdziwa przyjaźń, ale jeśli chodzi o Juliet, to obie kobiety były tego samego zdania. Kathleen także poślubiła przed laty mężczyznę, którego nie kochała, po to tylko, aby dać swojemu dziecku nazwisko. I choć rozumiała, że musiało to być dla Juliet trudne, to jednak stała po stronie Patricka, który dosłownie nosił ją na rękach! Kathleen musiała wypełniać wszystkie obowiązki wobec swojego męża, który ją wykorzystywał i źle traktował. I uważała, że Juliet jest po prostu niewdzięczna. Teraz więc Kathleen wolała zostać na zapleczu sklepu, niż z nią rozmawiać. Gdyby miały to być jakieś ważne nowiny, Claire i tak wszystko jej potem opowie.

Paika, pokojówka Claire, wzięła natychmiast na ręce małą May i znikła z nią w kuchni. Claire miała nadzieję, że dziewczyna znajdzie chwilę, aby zaparzyć herbatę, w przeciwnym wypadku wizyta mogła trwać całymi godzinami. Ku jej zaskoczeniu jednak Juliet tego dnia najwyraźniej się gdzieś śpieszyła. Odpowiedziała coś krótko na grzecznościowe pytania Claire i siedziała jak na rozżarzonych węglach. Kiedy Paika podała herbatę, wypila ją niemal jednym haustem.

– Mrs Dunloe, chciałam... hm... zapytać, czy mogę na krótko zostawić u pani moją córkę. – Juliet zdobyła się w końcu na wyjawienie prawdziwego celu swojej wizyty. – Mam parę ważnych spraw do załatwienia, a... a pani pokojówka... na pewno chętnie się nią zajmie.

Claire odpowiedziała uprzejmie, ale patrzyła przy tym badawczo na młodą kobietę. Dotychczas

Juliet nigdy nie zostawiała u niej dziecka. Cóż to były za ważne sprawy, że nie mogło być przy tym małej? Juliet ciągle robiła zakupy w ekskluzywnych sklepach, a nie w zwykłych domach towarowych. Tam dbano o klientki – a jeśli było trzeba, zajmowano się także ich potomstwem. A do tego dość niezwykły jak na Juliet strój. Zapięty wysoko pod szyją elegancki kostium – strój podróżny? Ciekawość Claire powoli zamieniała się w podejrzliwość.

– A cóż to takiego ważnego? – spytała niby mimochodem. – Musi pani iść do galerii? Kolejny występ na wernisażu? Ostatni bardzo się nam wszystkim podobał, Miss Juliet. Ma pani piękny głos i właściwy tylko pani styl muzyczny. Myślę, że Heather i Chloé też były bardzo zadowolone.

Claire dostrzegła błysk w oczach Juliet, kiedy padło słowo „występ”. Pochlebilo jej to? A może było to poczucie winy?

– Mnie także sprawiło to wiele radości – odpowiedziała Juliet spokojnie.

Nie była to odpowiedź na pytanie Claire. A jej podejrzliwość zamieniła się teraz w pewność.

– Miss Juliet – powiedziała cicho – proszę mu tego nie robić...

Juliet nie potrafiła ukryć przerażenia. Chciała coś gwałtownie odpowiedzieć, ale zastanowiła się przez chwilę. Claire po prostu ją przejrzała i było za późno, aby szukać kogoś innego, kto zająłby się May. Dorożka pocztowa do Queenstown odjeżdżała za pół godziny. Juliet zagryzła wargi i nerwowym ruchem poprawiła włosy, starannie ukryte pod eleganckim małym kapeluszem.

– Nie mogę poświęcić swojego życia dla szczęścia Patricka – oświadczyła teatralnie. – Przykro mi, ale to byłoby zbyt wiele...

Claire popatrzyła na nią niemal kpiąco. Małżonka bankiera należała do nielicznych kobiet, których nie onieśmiały pewność siebie i uroda Juliet.

– A czym jest pani życie, Miss Juliet? – spytała. – Czy to jakaś kolejna podrzędna knajpa, gdzie pani będzie występować? A może nowy mężczyzna...? – urwała. – Ale to mnie właściwie nie obchodzi, Juliet. To musi pani wiedzieć sama. Tylko... tylko... Patrick...

– Mam z nim zostać? Następne dwa lata przewijać dziecko? Może dać sobie zrobić jeszcze jedno? – Głos Juliet brzmiał opryskliwie. – Tylko po to, żeby święty Patrick dostał to, za co zapłacił swoim podpisem?

– Swoim nazwiskiem – poprawiła ją Claire spokojnie. – Może pani tego nie ceni. Ale to wyprostuje ścieżki pani dziecku, jeśli będzie się nazywać Drury, a nie LaBree. Zwłaszcza że chce pani zostawić dziecko tutaj. Ale to wszystko też mnie nie interesuje, Juliet. Niech pani robi, co pani chce. Ale proszę nie niszczyć życia Patrickowi! Pani...

Juliet zaśmiała się nerwowo i rzuciła spojrzenie na zegar stojący w rogu elegancko umeblowanego salonu.

– Nie umrze z powodu małego zawodu miłosnego.

Claire westchnęła.

– Nie rozumie mnie pani. Inni ludzie nic dla pani nie znaczą, prawda? Podobnie jak pewne zasady... Najwyraźniej nie wie pani, że takie w ogóle istnieją... Ale teraz musi to pani zrozumieć! Nie chodzi o to, czy opuści pani Patricka, Juliet. Bo prawdę mówiąc, nic lepszego nie może go spotkać. Ale, na miłość boską, nie w ten sposób! Proszę z nim porozmawiać! Proszę zażądać rozwodu!

Juliet zmarszczyła czoło.

– A co to zmieni? – spytała.

Claire potarła czoło, czując narastającą wściekłość.

– Dla pani oczywiście nic! – odpowiedziała ostro, nie kryjąc już swych uczuć. – W ciągu kilku minut zamieni się pani z powrotem w piękną, z nikim niezwiązaną Juliet LaBree! Dokądkolwiek się pani wybiera, nikt tam pani nie zna i nikt nie wie o pani dziecku i pani małżeństwie. Ale Patrick zostanie

tutaj. A tu każdy o pani wie...

Juliet wzruszyła ramionami.

– Plotki umilkną prędzej czy później, Mrs Dunloe. Pewnie, że będą o nim gadać i może nawet śmiać się z niego. Ale za rok będzie po wszystkim.

– Wszyscy będą go raczej żałować – poprawiła Claire. – Ale to nie minie, jeśli teraz pani nie zostanie i nie zakończy tej sprawy tak, jak należy. Na Boga, Juliet, Patrick nigdy nie będzie mógł się ożenić! Albo po bardzo długim i skomplikowanym procesie. Proszę mi wierzyć, bo sama przez to przechodziłam. Mój mążonek opuścił mnie z dnia na dzień. I rzekomo wyjechał do Chin. A przedtem sprzedał jeszcze za moimi plecami dom. To było gorsze niż plotki i zawód miłosny. Ale najgorsze było to, że nie byłam wolna. Nie byłam ani żoną, ani wdową – a w towarzyskich kręgach mojego obecnego męża nie uchodzi, aby tak po prostu razem zamieszkać.

Spojrzenie Claire złagodniało, kiedy rozejrzała się po eleganckim, ale przytulnym salonie domu Jimmy’ego Dunloego. Z pewnością wiodła teraz takie życie, jakiego zawsze pragnęła.

– Przeprowadziliśmy w końcu rozwód, także dzięki stosunkom Jimmy’ego, ale było to bardzo trudne. I drogie. Dawaliśmy ogłoszenia we wszystkich możliwych gazetach, szukając mojego pierwszego męża. Nie zgłosił się nigdy i w końcu został uznany za zaginionego. I kiedyś wreszcie sędzia uznał mnie za wolną. Ale nikomu tego nie życzę, Juliet! Proszę więc, niechże pani wyłoży karty na stół i zwróci Patrickowi wolność!

Claire mówiła teraz błagalnym głosem.

Juliet popatrzyła na zadbaną, już nieco starszą damę w gustownej spódnicy z kaszmirskiej wełny i starannie wyprasowanej białej bluzce. Był to jej strój do pracy. Nudny. Równie nudny jak jej prośba.

– Moja dorożka odjeżdża za dwadzieścia minut – odpowiedziała Juliet, starając się, aby w jej głosie słychać było choć cień żalu. – Teraz jest więc na to za późno. A Patrick... Myślę, że tylko by go to bolało. Ale dobrze, że o tym porozmawialiśmy, Mrs Dunloe. Postaram się... to zapamiętać. Ewentualnie napiszę...

Juliet wstała i pożegnała się uprzejmie, zanim wyszła. Ale jednak wyszła.

Claire była zbyt zdenerwowana, aby wrócić do sklepu. Natychmiast powiedziałaaby o wszystkim Kathleen, a nie należało tego robić, jeśli były tam klientki. Wypiła więc jeszcze jeden łyk herbaty, poszła do kuchni i wzięła dziecko od Paiki.

– O tobie całkiem zapomniała – mruknęła, przytulając May. – Ale bez niej będzie ci lepiej.

Pocałowała dziecko w policzek i zwróciła się do Maoryski:

– Muszę teraz wyjść, Paika. Powiedz, proszę, Mr Dunloemu, że pojechałam najpierw do wielebnego, a potem do Mr Drury’ego – być może wrócę późno...

WSZYSTKO DLA MIŁOŚCI

AFRYKA

TRANSWAL, KARENSTAD

NOWA ZELANDIA

DUNEDIN, CHRISTCHURCH, TEMUKA

1900–1902

ROZDZIAŁ I

Obleżenie i decydująca bitwa o Wepener były jedynymi większymi działaniami wojennymi, w których w wojnie burskiej brał udział Kevin Drury. Kiedy nowozelandzcy Rough Riders opuścili farmę van Stoutów, wojna przypominała wycieczkę z namiotami przez Transwał, przerywaną jedynie drobnymi potyczkami z niewielkimi oddziałami Burów. Jeźdźcy przemierzali kraj przeważnie wzdłuż linii kolejowej, bo w końcu Burowie grozili, że ją właśnie będą atakować. Ale z początku nic się nie działo – jak długo w rękach Burów pozostawały pojedyncze miasta, a ich dowódcy jeździli między poszczególnymi częściami kraju, to w ten sposób odcinali sobie własne drogi ucieczki bądź transportu zaopatrzenia. W dodatku wzdłuż torów kolejowych ciągnęły też główne armie brytyjskie. Dlatego też Rough Riders patrolowali raczej rozległe tereny weldu – a Kevin czuł się chwilami tak, jak gdyby ktoś przeniósł go w jakąś baśniową krainę.

Krajobraz wokół miejscowości Waterval Boven był zupełnie inny niż wszystko, co znał z Nowej Zelandii. Vincent z zachwytem obserwował słonie i zebry – tego zachwytu nie podzielał Kevin, kiedy na brzegu pozornie bezpiecznej rzeki dostrzegł krokodyla. Na szczęście zobaczył gada, zanim ten zdążył zainteresować się jego osobą. I choć Mzuli, miejscowy czarnoskóry przewodnik, zapewniał, że mięso tej istoty jest wyjątkowo dobre, żołnierze zrezygnowali z polowania i wycofali się ostrożnie znad wody. W ogóle dzikie zwierzęta wydawały się Kevinowi o wiele bardziej niebezpieczne niż Burowie – mimo to młody lekarz ciągle zadawał sobie pytanie, czy Rough Riders są myśliwymi, czy też raczej zwierzyną łowną. Bo tak naprawdę rzadko kiedy udawało im się wytropić jakiś oddział Burów. Jeśli Afrykanie kwaterowali akurat na jakiejś samotnej farmie i byli na tyle nieostrożni, że zostawiali swoje kucyki na łące koło domu, Nowozelandczycy od razu brali do niewoli dziesięciu czy też piętnastu członków oddziału. Częściej jednak oddziały burskie atakowały Rough Riders. Przy jednej z pierwszych potyczek tego rodzaju jednostka Kevina straciła jednego człowieka, ale potem Nowozelandczycy, nauczeni doświadczeniem, zawsze wystawiali nocą straż i starali się nie spać zbyt głęboko. Bardzo szybko nauczyli się też orientować w obcym kraju i odróżniać odgłosy wydawane przez dzikie zwierzęta od uderzeń kopyt kucyków. I kiedy strażnik dawał sygnał do alarmu, wszyscy byli bardzo szybko gotowi do obrony, ale z reguły obie strony strzelały raczej w powietrze niż do siebie nawzajem. Noce na weldzie były bardzo ciemne, było też tam dość możliwości ukrycia się w zaroślach i za olbrzymimi drzewami. Jeśli w czasie wymiany ognia w tych warunkach ktoś został trafiony, to był to zwykle czysty przypadek. Kevin i Preston Tracy mieli też niewiele pracy, a Vincent w ogóle nie miał co robić. Koniom też dobrze robiły długie, ale spokojne galopy przez puste, rozległe tereny weldu, porośnięte wysoką suchą trawą, w której się potem nocą pasły. Jeśli mężczyźni mijali jakąś farmę, rekwirowali owies i uzupełniali własne zapasy żywności. I zawsze musieli liczyć się z oporem. Spotkania z wojowniczymi żonami farmerów były najbardziej niebezpiecznymi momentami ich misji.

Lekarze spędzali długie ciepłe noce przy ognisku, opowiadali sobie nawzajem historie swego życia i pili whisky. I wszystko wskazywało na to, że wojna wkrótce się skończy. Padły kolejne miasta: Bloemfontein i Pretoria, burski prezydent Ohm Krüger uciekł do Europy. Pierwszego września Transwał został oficjalnie anektowany jako kolonia brytyjska, Queen Victoria przedłużyła uroczystości z okazji sześćdziesięciu trzech lat swego panowania i w Londynie pasowała na rycerza naczelnego dowódcę tej wojny – lorda Kitchenera. On właśnie miał zorganizować wymarsz brytyjskich jednostek.

Pułk Kevina i Tracy'ego podczas kończącej się wojny znajdował się na weldzie o dwa dni jazdy od Pretorii. Lekarze oraz cały oddział liczący około trzydziestu mężczyzn, którym towarzyszyli, dowiedzieli się dopiero kilka dni później o oficjalnym zakończeniu działań wojennych.

– Mamy pokój? – dziwił się Kevin. – A co to było wczoraj, Preston?

Zmieniał właśnie opatrunki rannemu, kiedy przybył posłaniec z wiadomością o zakończeniu wojny. Ale zaledwie wieczór wcześniej o zmroku oddział Burów zaatakował obóz i walczył z niezwykle zaciętością. Nowozelandczycy zabili dwóch ludzi i wzięli do niewoli czterech rannych Burów, sami mieli trzech lekko rannych żołnierzy i jednego ciężko. Vincent opatrzył lekki postrzał u jednego konia.

– No, Burowie też z pewnością nic nie wiedzieli o podpisaniu pokoju – stwierdził Preston. – Prawdopodobnie będziemy musieli tak długo mieć się na baczności, aż dotrzemy do Pretorii; ostatnie rozproszone oddziały będą walczyć jeszcze z kilka tygodni.

Wieczorem Rough Riders świętowali swoje zwycięstwo. Whisky lała się strumieniami, a w czasie ostatniego obchodu zaimprovizowanego lazaretu Kevin i Preston zabrali też jedną butelkę dla lekko rannych Burów.

– Mamy pokój, ludzie! – ogłosił Kevin, już lekko pijany i bardzo zadowolony. Życie ciężko rannego młodego szeregowego, o które obawiał się wieczorem, nie było już zagrożone. – Znów jesteśmy przyjaciółmi... – Wyciągnął butelkę w stronę mężczyzn. Ci popatrzyli na niego, nic nie rozumiejąc. Kevin westchnął.

– Teraz możecie się uczyć angielskiego, a nie strzelać! – powiedział zadowolony i próbował przekazać swą wieść na migi. W końcu zdał się na sprawdzoną w kwestii jednania narodów siłę whisky i napełnił menażki jeńców – po czym cofnął się przerażony, kiedy pierwszy z nich chlusnął mu zawartością prosto w twarz.

– Preston? – Kevin, daleki od tego, aby się obrazić, zawołał swojego kolegę. – Potrzebujemy tu tłumacza, ci chłopcy chyba czegoś nie rozumieją.

Preston, który jako dżentelmen bardzo powściągliwie pił whisky, zbliżył się ostrożnie. Dlatego uniknął uderzenia blaszanym kubkiem, który drugi jeniec cisnął w jego stronę, obrzucając go jednocześnie stekiem obelg i pełnych nienawiści słów.

Kevin popatrzył z irytacją.

– Czy on nie rozumie? – spytał. – Wojna się skończyła.

– Nie dla niego – przetłumaczył Preston. – Albo przynajmniej nie dla jego narodu. On osobiście nie robi sobie żadnych nadziei, zwłaszcza że jest jeńcem.

– Ale przecież wkrótce wyjdzie na wolność! – Kevin ciągle był zdania, że Burowie powinni podzielać jego nastrój. – Człowieku, chłopcy, oni potrzymają was jeszcze przez kilka tygodni, ale potem wypuszczą z powrotem na wasze farmy! I będziecie wtedy może nieco miłsi dla waszych pracowników i...

Jeńcy znów obrzucili lekarza przekleństwami i obelgami.

Preston pociągnął go do tyłu.

– Chodźmy, Kevin, szkoda dla nich słów – zauważył. – A już zwłaszcza whisky... Będziemy jej potrzebowali dla siebie. Te typy doskonale wiedziały, że wojna się skończyła. Myśleli, że nie będziemy już strzelać i że zanim zrozumiemy, że nie przyszli z nami świętować, połowa z nas nie będzie już żyła.

– Oni wiedzieli, że...? – Kevin spoważniał.

Preston skinął głową.

– Tak, wiedzieli. I otwarcie się do tego przyznają. Nie czują się związani żadnym traktatem pokojowym. Ich zdaniem Ohm Krüger może się poddać, ale generał de Wet jeszcze nie. Dla tych oddziałów wojna dopiero się zaczyna!

Preston Tracy także pociągnął duży łyk z butelki.

– Powinniśmy tu wystawić strażę – zaproponował potem. – Ranny jeniec czuje się już całkiem dobrze, a oni też mogą coś wymyślić. Innym też to powiedzmy. Musimy wyznaczyć strażę tej nocy

i także w następane. I to podczas całej drogi do Pretorii. Ciekaw jestem swoją drogą, jak tam wygląda sytuacja.

Ale oddział Rough Riders w ogóle nie miał wyruszyć do stolicy Transwalu – następnego dnia natknął się na inną jednostkę Nowozelandczyków. Byli to bardzo doświadczeni żołnierze, którzy przyjechali do Afryki Południowej już z pierwszym transportem wojsk. Czterdziestoma ludźmi dowodził major Colin Coltrane i prowadził ich w takim szyku, jak gdyby zbliżał się prawdziwy oddział kawalerii, a nie kupa przypadkowo dobranych, zuchwałych jeźdźców w mundurach.

– I od tej chwili ja przejmuję dowództwo! – oświadczył Coltrane zaskoczonemu kapitanowi, który dotychczas dowodził oddziałem. – Co to w ogóle za jednostka? Pan jest dowódcą? Dlaczego nikt nie staje przed panem na baczność?

Kapitan, w cywili cieśla z Fiordlands, poczerwieniał jak burak. Był wybrany przez swoich ludzi i prowadził oddział raczej jak korpus ekspedycyjny, a nie oddział wojskowy. Jeśli ktoś miał coś do powiedzenia, to mówił i nikt nie musiał trzaskać obcasami. Major Coltrane wyjaśnił żołnierzom, że od tej chwili ma się to natychmiast zmienić.

– To jest brytyjska armia, człowieku! I od tej chwili tak będziemy się zachowywać. To nie jest wycieczka na ryby, to jest wojna! Pan ciągle jeszcze nie stoi na baczność, nikt panu nie pokazał, jak to się robi?

Kapitan Jones i jego ludzie spędzili następane pół godziny na ćwiczeniach postawy, a kolejnych kilka godzin na ćwiczeniach pieszo i konno.

– Co to za jeden? – spytał Vincent skonsternowany, kiedy wieczorem przysiadł się do ogniska do Kevina i Tracy’ego. – I co on tutaj robi? Myślałem, że wojna się skończyła.

Weterynarz wrócił właśnie z obchodu zagród dla koni, w czasie którego natknął się na strażnika nowego oddziału – ten w bardzo służbisty, nieprzyjemny sposób zażądał od niego podania nazwiska i stopnia służbowego. A potem zaczął wypytywać o hasło, którego Vincent w ogóle nie znał.

– Dobry Boże, gdyby drugi strażnik mnie nie znał, to chyba zostałbym rozstrzelany. I to przez smarkacza, który robi w portki ze strachu przed swoim majorem.

Vincent zaczął rozglądać się za butelką whisky – wyraźnie potrzebował się pokrzepić. Kevin wygrzebał ją spod stosu drewna.

– Masz. Ale schowaj ją tu zaraz, whisky będzie chyba racjonowana.

Vincent popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Wojna w żadnym wypadku się nie skończyła, ale tego należało się obawiać po ostatnim ataku – wyjaśnił Preston. Miał dyżur i od razu musiał opatrywać pęcherze, których nabawili się Rough Riders w czasie ćwiczenia kroku defiladowego. Oczywiście poskarżyli mu się i nie tylko przekazali trochę nowych wiadomości, lecz także pozwolili sobie na kilka uwag na temat nowego dowódcy.

– I rzeczywiście tylko miasta są wolne, oddziały Burów walczą dalej i spełniają swoje groźby. W czasie ostatnich trzech nocy miały miejsce trzy ataki na linię kolejową między Johannesburgiem i Kapsztadem. Za każdym razem Burowie wysadzili w powietrze kilkaset jardów torów kolejowych, w odstępach co pięćdziesiąt mil. Lord Kitchener szaleje. Wzmacnia wszystkie jednostki i tworzy nowe patrole. Nie ma już mowy o wymarszu jednostek.

– I dlatego musimy teraz ćwiczyć i racjonować whisky? – spytał niechętnie Vincent. – I to pod komendą takich typów jak ten Coltrane?

Preston wzruszył ramionami.

– Chyba nad wszystko przedkłada się doświadczenie żołnierzy zawodowych. A co oni robią, to z pewnością kwestia uznania. A nasz Coltrane... On jest chyba Nowozelandczykiem. Tak w każdym razie sądzą Australijczycy. A „kiwi” mówią, że on jest Irlandczykiem. Ale na pewno jest angielskim

oficerem z dyplomem Sandhurst Academy. Potem powinęła mu się noga, jeśli chodzi o karierę. Ponoć został wydalony ze służby i teraz jest tutaj jako ochotnik.

– Sądząc po jego wyglądzie, musi mieć za sobą doprawdy ciężkie walki – zauważył złośliwie Vincent i znów pociągnął whisky.

Rzeczywiście major miał twarz pokrytą bliznami, brakowało mu też kilku zębów, nos i szczęka były krzywo zrosnięte po kilku złamaniach. Utrudniało to ocenę wieku mężczyzny. Zwłaszcza że prawie nie można było dostrzec siwych pasm w jego jasnych blond włosach o metalicznym połysku.

Kevin Drury zagryzł wargi.

– Otóż jeśli się nie mylę, nie nabawił się tych ran na twarzy w czasie wojny, lecz w czasie bójek z bukmacherami i różnymi rzezimieszkami – wyjaśnił. – Mogę się mylić, Coltrane to w końcu dość popularne nazwisko, a ja wówczas byłem jeszcze dzieckiem. Ale taki kolor włosów miał typ, który zrobił dziecko mojej siostrze i potem ją rzucił, kiedy moi rodzice nie chcieli im wypłacić zbyt wysokiego posagu. No to ożenił się z pewną bogatą dziedziczką – i zmarnował jej życie. Sfinansowała mu tor wyścigowy dla kłusaków czy coś takiego na Fiordlands, który on potem doprowadził do ruiny. I miało to coś wspólnego z oszustwami przy zakładach w wyścigach konnych... Ale wcześniej rzeczywiście skończył renomowaną akademię wojskową. Dyplom jest prawdziwy.

Vincent i Tracy się zdziwili.

– Świat jest mały – stwierdził ten ostatni.

Vincent i Kevin się roześmiali.

– A Nowa Zelandia to prawdziwa wieś! – pouczył Vincent Australijczyka. – W każdym razie Wyspa Południowa. Ale co zrobimy teraz? To znaczy, kiedy już o wszystkim wiemy...

Tracy wzruszył ramionami.

– A co mamy robić? Polowanie na posag nie przystoi dżentelmenowi, ale nie jest zabronione. A oszustwa przy zakładach też nie będą niczym interesującym dla dowództwa armii. A już zwłaszcza wtedy, kiedy on jest dobrym oficerem. Popatrzmy więc, co będzie dalej. A jeśli nie będziemy mogli się z nim porozumieć, to poszukamy sobie innego oddziału.

Jak na razie lekarze mieli pewien wybór, w jakiej jednostce Rough Riders chcieliby pracować. Major Coltrane, jak się okazało, miał także i to wyjaśnić. Zaraz następnego dnia dokonał inspekcji izby chorych.

– Panowie jesteście lekarzami sztabowymi? I nie jesteście przydzieleni do konkretnej jednostki? A więc od teraz należycie do tego pułku – załatwię to oficjalnie, jak tylko będziemy w Pretorii. Otrzymamy jeszcze dodatkowe posiłki. Wygląda na to, że Burowie zwiększają liczebność swoich oddziałów.

– Zwiększają liczebność? – spytał Tracy. – A jak? Przecież nie mają żadnych regulacji w kwestii powołań, a że wojna oficjalnie jest zakończona...

– Małe grupy łączą się razem – poinformował sucho Coltrane. – A w efekcie zawarcia pokoju wolne są także te oddziały, które broniły zdobywanych przez nas miast. Nie uznano ich za jeńców wojennych.

Z tonu Coltrane'a jasno wynikało, że on sam uważał to za duży błąd. Na jego twarzy nie można było jednak dostrzec choćby śladu jakiegokolwiek uczucia.

– Przygotujcie się więc, panowie, do pracy. Będziemy z nimi bezwzględnie walczyć.

Dla Rough Riders znaczyło to przede wszystkim, że mieli postępować zgodnie z nazwą swojego oddziału. Colin Coltrane skończył ze spokojnymi wyjazdami patrolowymi kończącymi się zwykle patem między „myśliwymi” a „zwierzyną”. Myśliwymi mieli być teraz definitywnie Nowozelandczycy, a w dodatku mieli oni kontrolować znacznie większy obszar i poruszać się szybko. W ciągu następnych kilku tygodni mężczyźni spędzali na koniach jedenaście do dwunastu godzin i nie byli już w stanie

polować w sensie dosłownym na mniejszą lub większą zwierzynę, która dotychczas stanowiła znakomite uzupełnienie obozowego menu. Coltrane zabronił strzelania z broni, tłumacząc to tym, że nie należało zdradzać wrogowi własnego miejsca pobytu. I wyżywienie składało się teraz z okrętowych sucharów oraz suszonego mięsa – jedno i drugie było pośpiesznie łykane w siodle. Po kilku dniach Vincent zgłosił skargę, że konie przy takim trybie życia szybko tracą na wadze.

– Trawa nie jest tutaj zbyt treściwa – argumentował. – Jeśli ma stanowić główny składnik pokarmu zwierząt, to muszą paść się znacznie dłużej.

Coltrane się skrzywił, ale uznał ten argument. Jego strategia okazała się jednak zupełnie inna, niż spodziewał się Vincent.

– Proszę o zgłoszenia ochotników do oddziałów specjalnych w celu rekwirowania żywności! – zagrzemiał przed następnym wymarszem na poranny patrol. Rough Riders jechali teraz czwórkami, a za nimi podążała kuchnia polowa oraz lekarze ze swoimi mułami. – Oddziały specjalne oddalą się od linii kolejowej i udadzą na farmy Burów. Tam zarekwirujecie owies dla koni, ewentualnie przygotujecie kwaterę na noc, jeśli farmy nie leżą zbyt daleko od siebie. To będzie też zależało od zapasów siana na farmie. Oddziałem dowodzi sierżant Beavers.

– Ten? – spytał niechętnie swoich przyjaciół Vincent. – To ten chłopak, który mało mnie nie rozstrzelał pierwszej nocy, bo nie znałem hasła. Niesympatyczny typ...

Kevin wzruszył ramionami.

– No, nie można być wrażliwcem, jeśli chce się wyłudzić owies od burskich kobiet – stwierdził. – Nie chce pan jechać, Preston? Żeby ewentualnie coś przetłumaczyć?

Preston Tracy skinął głową, podjechał do Colina Coltrane'a i zgłosił się do służby. Ten spojrzał na niego lekceważąco, ale jednak skinął głową.

– Dobrze mieć ze sobą lekarza. Jeśli jednak chodzi o porozumiewanie się, to zdaję się na Beaversa. On już wyjaśni tym babom, czego chcemy.

Oddział odłączył się więc od głównej jednostki, która tego dnia mogła zapisać na swoim koncie pierwszy sukces. Żołnierze schwytali bardzo młodego Bura, prawdopodobnie zwiadowcę, który zaprowadził ich do kryjówki swego oddziału. Kevin, któremu polecono postawić namiot szpitalny i czekać na ewentualnych rannych w pobliżu linii kolejowej, zdziwił się.

– Przecież oni są tacy uparci – powiedział do Vincenta. Także jego Coltrane nie chciał mieć w swoim oddziale, choć Vincent lubił być w pobliżu swoich podopiecznych. Rannego konia w końcu nie można było tak łatwo załadować na wóz jak żołnierza.

– A ten zwiadowca zaledwie po kilku słowach z Coltrane'em gotów jest zdradzić swoich kumpli?

Vincent zagryzł wargę.

– Widziałeś tego chłopaka, kiedy oni odjeżdżali? Nie byłem zbyt blisko, ale mimo wszystko dostrzegłem, że wyglądał tak, jak gdyby z trudem trzymał się na koniu. Coltrane na pewno nie poprzestał na kilku uprzejmych słowach, kiedy z nim rozmawiał.

Obóz Burów nie znajdował się daleko i lekarze doskonale słyszeli odgłosy potyczki. Najwyraźniej Coltrane i Rough Riders toczyli regularną bitwę z oddziałem Burów. Wkrótce do lazaretu przybyło kilku lekko rannych.

– Ciężko rannych odnoszą natychmiast na farmę – powiedział młody kapral z lekkim postrzałem. – Jest tylko dwóch, dopadliśmy tych drani. Ten Coltrane to kat i oprawca, ale na prowadzeniu wojny zna się doskonale. Dokładnie zaplanował atak i prawdopodobnie nikomu z nas nic by się nie stało, gdyby nie uciekł ten chłopak, którego Coltrane... no, którego przekonał, aby zaprowadził nas do swojego obozu. W ostatniej chwili dał ostrogi swojej szkapie i pojechał prosto do *kraalu*, w którym oni się zabarykowali. Colin zestrzelił go z konia, ale oczywiście byliśmy wtedy zdradzeni.

Vincent rzucił Kevinowi wiele mówiące spojrzenie. Zestrzelił go z konia... Ten wywiadowca był prawie dzieckiem.

– Byli jeszcze inni... zabici? – spytał Kevin.

Mężczyzna skinął głową.

– I to bardzo wielu! – oświadczył z dumą. – Major był zdania, że lepiej ich zastrzelić niż brać jeńców. Bo co mielibyśmy z nimi zrobić? W każdym razie to było wielkie zwycięstwo.

– A oddział do zadań specjalnych też ma na swoim koncie sukcesy – oświadczył drugi mężczyzna, któremu Vincent właśnie bandażował rękę. – Wykurzyli ludzi z farmy i urządzili tam kwaterę na noc. Także pan ma tam urządzić swój lazaret polowy, doktorze Drury. Doktor Tracy już tam jest.

Ranni mężczyźni byli w stanie jechać konno i udzielili dokładnych informacji na temat położenia farmy. Trudno jej było zresztą nie dostrzec, zwłaszcza że część zabudowań spłonęła. Wprawdzie płomienie szybko ugaszono, ale nad gruzami ciągle unosił się dym. Spłonął jednak dom mieszkalny, jak od razu stwierdził Kevin.

– Nie dało się nic innego zrobić, te baby się tam zabarykadowały! – Beavers właśnie składał meldunek Coltrane'owi.

Major przybył właśnie na farmę ze swoim pułkiem i – mimo masakry – z pięćdziesięcioma jeńcami. Kevin i Vincent nie słuchali meldunku. Zobaczyli Prestona Tracy'ego w wejściu do stodoły i płonęli chęcią usłyszenia jego wersji. Obaj przerazili się na widok młodego lekarza. Potwornie blada twarz Prestona pełna była zarówno obrzydzenia, jak i przerażenia. Wyglądał znacznie gorzej niż po bitwie pod Wepener.

– Zna się pan na ranach oparzeniowych? – spytał Kevina, zanim ten zdążył go pozdrowić. – Nigdy nie miałem z tym do czynienia... A tu jest dwoje dzieci.

Kevin i Vincent byli przerażeni na widok tego, co zastali w stodole. Na siennikach leżało dwoje dzieci. Jedno płakało rozpaczliwie z bólu, drugie było nieprzytomne. Stara kobieta, może ich babka, kołysała je w ramionach. Kevin też niewiele wiedział o oparzeniach – ale jednak trochę więcej niż okulista. I natychmiast się zorientował, że małej dziewczynki nie można już uratować, a Vincent to potwierdził. I co zaskakujące – właśnie weterynarz miał najwięcej doświadczeń, jeśli chodziło o oparzenia. Po pożarze w końskiej stajni w Blenheim opiekował się poparzonymi końmi.

– Mam nadzieję, że nie odzyska już przytomności – wyszeptał, patrząc na potwornie poparzone dziecko. – Mamy morfinę dla tego chłopca?

Kevin pobiegł rozjuczyć muły, aby jak najszybciej podać dziecku środek uśmierzający ból. Jednak stara kobieta, na której rękach i ramionach także można było dostrzec rany i pęcherze po oparzeniach, odrzuciła wszelką pomoc. I wpadła w histerię, kiedy Vincent chciał zabrać z jej ramion umierające dziecko. Lekarze nie prosili Tracy'ego o tłumaczenie, oskarżenia kobiety były aż za dobrze zrozumiałe.

– Co tu się, na miłość boską, stało? – spytał w końcu Kevin.

Preston, Vincent i Kevin pracowali kilka godzin, aby opatrzyć rannych – dwaj ciężko ranni Nowozelandczycy powinni przeżyć, nie było jednak, co zadziwiające, żadnego rannego Bura. Tracy nie odezwał się już ani słowem. Zbladł jeszcze bardziej, kiedy Kevin i Vincent zaczęli usuwać spaloną skórę i zakładać czyste opatrunki – więcej nie byli w stanie zrobić. Stara kobieta ciągle nie pozwalała się nikomu do siebie zbliżyć; młodsze dziecko zmarło, nie odzyskawszy przytomności. Chłopiec zasnął pod wpływem morfiny, babka siedziała koło niego i patrzyła przed siebie nieruchomymi, pustymi oczami. Wyczerpani lekarze wyszli z butelką whisky. Jak na razie nie była ona racjonowana – Preston Tracy miał swoje specjalne preferencje, jeśli chodziło o jej rodzaje, co teraz wyszło im na dobre. Zamiast korzystać z ogólnie dostępnych zasobów, zawsze mieli do dyspozycji swoje butelki. Preston pił dużymi łykami – wyraźnie szukał zapomnienia w alkoholu.

– To było potworne – powiedział cicho po chwili dziwnie bezbarwnym głosem. – Trzy kobiety, chyba trzy pokolenia, jedna była jeszcze całkiem młoda. I troje dzieci, trzecie miało tak z osiem, może dziewięć lat...

Ranny chłopiec mógł mieć może pięć lat, zmarła dziewczynka była niemal niemowlęciem.

– Oczywiście wszyscy uzbrojeni, to znaczy kobiety i to starsze dziecko. Strzelali ze wszystkich stron, kiedy przyjechaliśmy, ale to już znacie. Lecz tym razem nie było to właściwie takie ważne, kobiety zabarykadowały się gdzieś głębi domu, a my chcieliśmy przede wszystkim dostać owies. Mogliśmy iść do stajni, wziąć sobie wszystko, co chcieliśmy. Zamiast tego... zamiast tego oni podpaliли dom. I zaczęli strzelać do ludzi, którzy z niego uciekali. Młodszą kobietę zastrzelili. Ale dzieci wbiegły z powrotem do środka, pozostałe kobiety też. I wtedy wyszło to starsze dziecko... Jego ubrania paliły się... A oni znów strzelali! Nie, chłopiec nie zmarł od poparzeń, możecie zobaczyć, leży w stajni. Ale oni... oni strzelili ośmioletniemu dziecku w pierś! I wtedy dom runął i wypelzła z niego ta stara kobieta z małym chłopcem. Zabrałem dwóch czy trzech rozsądnych ludzi, którzy byli tak samo przerażeni jak ja, i zaczęliśmy szukać tych, którzy przeżyli. Małą dziewczynkę wyciągnęliśmy...

Tracy drżał.

– Nie powinienem był mówić tego o koniach... – wymamrotał Vincent.

Kevin nappełnił kubki kolegów whisky.

– To wówczas znalazłby inny powód – pocieszył go Kevin. – Ten Beavers to prawdziwy łotr. I Coltrane też, on przecież go znał, wiedział, komu przekazuje dowództwo. Ale tu muszą być wyciągnięte konsekwencje. Zgłosimy to...

– To już i tak nie wróci życia tym dzieciom – powiedział Tracy i jednym haustem opróżnił kubek.

ROZDZIAŁ 2

Pułk został jeszcze dwa dni na spalonej farmie, której nazwy Nowozelandczycy nigdy się nie dowiedzieli. Potem jeńców odtransportowano do obozu, także starą kobietę oraz dziecko, które przeżyło. Oboje czuli się źle, kobieta miała gorączkę i ciągle odmawiała poddania się leczeniu, nie przyjmowała też jedzenia. Rany dziecka powoli zaczynały się goić, ale miało upłynąć jeszcze dużo czasu, nim całkowicie wyzdrowieje.

– Ono potrzebuje też dużo morfiny – stwierdził Tracy i zaaplikował chłopcu jeszcze jedną dawkę przed transportem. – Czy oni tam w tych obozach mają jej wystarczająco dużo?

Colin Coltrane, który nadzorował transport, spojrzał na niego niechętnie.

– Zaopatrzenie w angielskich obozach jenieckich jest wzorowe – oświadczył sztywno. – Ci prymitywni ludzie prawdopodobnie jeszcze nigdy nie byli w tak dobrych warunkach, nie mówiąc już o wyżywieniu i opiece medycznej. Niech więc pan nie narzeka, doktorze, temu dziecku nic się nie stanie.

Tracy nie odpowiedział, także Kevin i Vincent starali się nie myśleć o małym pacjencie, kiedy Rough Riders pokonywali konno kolejne długie odcinki. Na razie nie było żadnych możliwości złożenia meldunku na temat Beaversa i Coltrane'a u wyższego dowództwa, ale wkrótce okazało się to zbędne, ponieważ nowe rozkazy Kitchenera całkowicie usprawiedliwiały postępowanie tych dwóch. Choć Brytyjczycy wcale się nie wycofywali – i nic nie wskazywało na to, aby miało to niedługo nastąpić – lecz powoływali coraz więcej żołnierzy, którzy mieli patrolować jak największe obszary zajętych przez Burów oraz oczyścić je z burskich oddziałów, to ataki ze strony wroga wcale nie ustawały. Celem tych ataków były przeważnie tory kolejowe, ale także depozyty amunicji i zaopatrzenia Brytyjczyków. W miejsce każdego rozbitego oddziału natychmiast formowały się nowe, szkody powstające w efekcie ich działań były ogromne, a oddziały imperium często bezradne. Kraj był po prostu zbyt duży, aby móc go dokładnie kontrolować.

– I nieprzenikniony – stwierdził Kevin, kiedy założyli obóz w ogromnej dolinie, która zaskakiwała różnorodnością i urodą krajobrazu. W cieniu formacji skalnej o stromo opadających stokach migotały wody ciemnoniebieskiego jeziora, porośnięte lasami zbocza wydawały się chronić graniczące z nimi pola uprawne. Farma, do której należały, leżała pośród wysokich drzew.

– Tu można się wszędzie ukryć. Jeśli nie przyłapie się jakiegoś oddziału na gorącym uczynku, to nigdy się go nie znajdzie.

– I z głodu też nie umrą. – Vincent spojrzał z nieukrywaną zazdrością na pola leżące pod nimi. Żołnierzom Rough Riders znów kończył się prowiant i od wielu dni bazowali wyłącznie na żelaznych racjach. – Ich oddziały są przyjmowane na każdej farmie, nie możemy skontrolować każdej zagrody.

Do tego samego wniosku doszedł bardzo szybko lord Kitchener i wyciągnął logiczne wnioski, których konsekwencje były wyjątkowo okrutne. Wraz z bardzo wyczekiwany zaopatrzeniem żywnościowym przyszły też nowe rozkazy. Wszystkie farmy i pola Burów miały być spalone i spustoszone.

– Mogą walczyć! – oświadczył Kitchener. – Ale nie będą mieli nic do żarcia.

– A skąd my wtedy weźmiemy zaopatrzenie? – spytał z obrzydzeniem Kevin, kiedy w ciągu jednego dnia widział drugą płonąca farmę. Kobiety i dzieci obezwładniono wcześniej i teraz czekały one na odtransportowanie do obozu dla jeńców wojennych. – Przecież żywność dla naszych oddziałów, o ile się nie mylę, dotychczas rekwirowaliśmy na farmach.

Tracy wzruszył ramionami.

– Nie pozwolą przecież, aby wojsko głodowało – wyraził swoje zdanie. – Ale co z tymi obozami dla jeńców? Liczył pan? Tylko my w czasie ostatniego tygodnia zatrzymaliśmy pięćdziesiąt kobiet i dzieci. Jeśli przełożyć to na wszystkie oddziały, które są tutaj w terenie – to liczba jeńców idzie w tysiące! A my tu palimy zbiory po żniwach, którymi właściwie moglibyśmy ich nakarmić.

Kevin z niejasnym żalem i ogromnym niepokojem myślał o farmie van Stoutów. Czy dom Doortje też zniszczono? Co się stało z jej ojcem i narzeczonym? Zgodnie z tym, co opowiadał Cornelis, było raczej nieprawdopodobne, że mężczyźni złożyli broń.

I rzeczywiście Burowie tego nie zrobili, a w dodatku wszystko wskazywało na to, że niszczenie wszystkiego, co stanowiło podstawę ich życia, jeszcze bardziej ich rozwścieczyło. I kiedy już dochodziło do walki pułku Coltrane'a z ich oddziałem, to Burowie walczyli z rozpaczą i straceńczą odwagą. Często wcale nie trzeba było brać więźniów, bo mężczyźni walczyli na śmierć i życie. Kitchener podjął więc dalsze działania, które z jednej strony świadczyły o jego desperacji, a z drugiej, co zauważył Kevin, kosztowały imperium majątek. Wzdłuż wszystkich linii kolejowych wzniesiono masywne okrągłe forty z bali, których załogi liczyły po siedmiu żołnierzy. Pomiędzy fortami Brytyjczycy przeciągnęli druty kolczaste, tworzące bariery przedzielone pułapkami, w które zapędzano oddziały Burów, uniemożliwiając im ucieczkę.

Oburzało to Vincenta – zwłaszcza kiedy pułk Coltrane'a wziął do niewoli pierwszy oddział. Burowie pędzili swoje kucyki wprost na druty i większość z nich cofała się, były jednak takie, które próbowały przeskoczyć. Jeśli im się to nie udawało, Vincent musiał je dosłownie zszywać, a niektóre zastrzelić.

– Oni pędzą na druty także stada bydła – powiedział Tracy, który wygrzebał skądś jakąś gazetę. Mężczyźni siedzieli w obozie pod Witbank w pobliżu Pretorii i tu zaopatrzenie w żywność było wyjątkowo dobre. – Pędzące byki zrywają druty, a potem generał de Wet i jego ludzie natychmiast znikają.

– A potem te byki zdychają gdzieś na weldzie – mruknął Vincent. – Wiem, Burowie walczą rzeczywiście dzielnie, ale nie cierpię tych ludzi!

Dwaj pozostali lekarze się roześmiali.

– A ja nie cierpię Coltrane'a – oświadczył Tracy, kiedy już zapadła noc.

Padał deszcz, co w Afryce Południowej zdarzało się niesłychanie rzadko, i lekarze urządzili izbę chorych właśnie w jednym z drewnianych fortów. Pacjentów prawie wcale nie było, jedynie stacjonujący na tym odcinku żołnierze przychodzili na konsultacje z powodu jakichś błahostek. Co prawda mogło się to szybko zmienić. Niektóre forty wyposażone były w telefony i właśnie nadszedł meldunek, że Coltrane i jego ludzie są na tropie jakiegoś burskiego oddziału.

– Ten typ jest jak wściekły pies, zimny i bez cienia litości. Bo te kobiety i dzieci na farmach... Właściwie powinniśmy karać tylko te, których mężowie walczą na froncie i które ich aktywnie popierają. Ale ta ostatnia kobieta, której dom on spalił, była wdową. I ten dom – to właściwie była tylko chata. Jak ona ma to odbudować? To wszystko tylko wznieca nienawiść...

Kevin wzruszył ramionami.

– To jest wojna, Preston – powiedział znużonym głosem.

Tracy uniósł brwi.

– Wojna przeciwko kobietom i dzieciom? Znienawidzą nas na całym świecie. Międzynarodowe czasopisma piszą o tym bardzo nieprzychylnie i częściowo wyraźnie stają po stronie Burów.

Vincent nagle podniósł rękę.

– Cicho bądźcie! – powiedział. – Tam na dworze coś się dzieje.

Rzeczywiście konie przed fortem tupały nerwowo kopytami, a Kevin rozpoznał rżenie Silvera.

– Szkapom nie podoba się ta pogoda – stwierdził po chwili. – Kiedy Silver wróci do Nowej Zelandii, będzie musiał znów przyzwycząić się do naszego płaczącego boga niebios.

A potem rzenie się powtórzyło. Brzmiało tęsknie, przyzywająco – co zastanowiło Kevina. Silver był wałachem, ale późno wykastrowanym i ciągle interesował się klaczami. Przed budynkiem stała tylko jedna klacz, Colleen należąca do Vincenta, którą Silver znał od wielu miesięcy. Z pewnością nie rzał z jej powodu. Kevin wstał zaniepokojony. Rzenie Silvera znaczyło tylko jedno: koń czuł obce klacze! Także Vincent zinterpretował to prawidłowo i chwycił za broń.

– Chodźmy tam i zobaczmy, co się dzieje!

Kevin poszedł za nim, podobnie jak trzech żołnierzy z załogi fortu. Na wewnątrz było zupełnie ciemno i Kevin zaczął macać za latarką. Żołnierz obok niego potrząsnął głową.

– Lepiej iść bez światła!

Jeśli tam rzeczywiście coś się działo, to nie należało zwracać na siebie uwagi wroga. Żołnierze wpatrywali się w nieprzeniknione ciemności – ale Kevin musiał tylko dostrzec Silvera, aby wiedzieć, gdzie należało szukać. Koń miał postawione uszy i patrzył gdzieś na zachód. Kevin zerknął w tamtą stronę. Linia kolejowa zakręcała tutaj i następnego fortu nie było widać. Ale jeśli się wiedziało, czego wypatrywać, można było w ciemności rozpoznać sylwetkę kucyka i usłyszeć jakiś odgłos.

– Tylko jeden? – wyszeptał Vincent.

Jeden z żołnierzy przysunął się do dwóch pozostałych, którzy kryli się w cieniu fortu.

– Pierwszy przecina drut – wyjaśnił żołnierz, kapral. – Przy zakręcie. Kiedy skończy, pozostali wejdą z dynamitem.

Żołnierz cofnął się jeszcze bardziej.

– A może powinniśmy go pojmać? – spytał Vincent.

Kapral potrząsnął głową.

– Nie. Przyczaimy się tutaj i poczekamy, aż wejdą wszyscy. Po co chwycić jednego, kiedy możemy złapać pięciu albo sześciu? Albo i więcej. To z całą pewnością ten oddział, który tropi major Coltrane.

Kevin i Vincent wymienili krótkie spojrzenia. Uważali za wręcz konieczne, aby jak najszybciej schwytać tych ludzi. Bo jeśli wpadną w ręce lekarzy i raczej spokojnych żołnierzy stanowiących załogę fortu, a nie zostaną schwytani przez strzelców Coltrane’a, może to oznaczać ich ocalenie.

Trzymając broń gotową do strzału, mężczyźni patrzyli, jak pierwszy Bur najpierw walczył z zaporą z drutów kolczastych za pomocą obcęgów, a potem dał znak ręką swoim rodakom. Żołnierze dostrzegli ich ruch. Kapral tymczasem zdążył już zawiadomić wszystkich w forcie; także następny fort za zakrętem torów był już zaalarmowany. Gdyby Burowie próbowali coś zrobić przy szynach, zostaliby schwytani. Broń leżała pod ręką. Ośmiu Burów czołgało się przez otwór w płocie, próbując wejść na niebezpieczny teren pomiędzy dwoma rzędami zasieków.

– Dwóch ubezpiecza ich z bronią. Tych musimy wyłączyć z gry – wyszeptał kapral. Wskazał na broń lekarzy.

– Umiecie się z tym obchodzić? – spytał.

Kevin i Vincent skinęli głowami.

– Dobrze. Chodźcie ze mną!

Mężczyźni bezszelestnie podkradli się do zasieków – Burowie byli tak skoncentrowani na swej pracy, że wydawali się niczego nie dostrzegać. Tylko dwóch strażników zwracało uwagę na okolicę.

– Rzućcie broń! Poddajcie się!

Kevin się przeraził, słysząc głos żołnierza z drugiego fortu. Jednocześnie rozbłysły latarki, które wprawdzie nie oświetliły dostatecznie torów, ale za to oślepiły burskich strzelców. Ci mimo to zaczęli natychmiast strzelać w stronę Anglików, którzy odpowiedzieli ogniem. Anglicy mieli o wiele lepszą

widoczność i uzbrojeni Burowie padali w ogniu. Kapral obok Kevina zastrzelił jednego, gdy ten próbował sięgnąć po broń któregoś z żołnierzy. Kolejny próbował zdetonować minę, ale od strony drugiego fortu zabrzmiał strzał, zanim Kevin zdążył zareagować. Mężczyzna osunął się na ziemię. Trzech Burów usiłowało uciekać – jeden chciał wspiąć się na zasieki, dwóch biegło wzdłuż torów. Żołnierze przeszkodzili im w tym, strzelając w ziemię tuż przed nimi i odcinając im drogę. Burowie, nie mając szans, zatrzymali się z dużymi oporami, najwyraźniej chcąc się poddać. I tylko jeden z nich, dryblasowaty młody mężczyzna, natychmiast podniósł ręce, odrzuciwszy uprzednio broń – był najwyraźniej zdecydowany nie umierać za „świętą sprawę Burów”. Kevin podszedł bliżej i oświetlił latarką jego twarz.

– Cornelis! – krzyknął zaskoczony. – Cornelis Pienaar?

– Doktor Drury! – W głosie Cornelisa słychać było radość. Młody Bur zrobił kilka niepewnych kroków w stronę Kevina, który zauważył, że chłopak mocno utyka. I wtedy wokół nich rozpętało się istne piekło! Rozległy się strzały, za chwilę zabrzmiał tętent końskich kopyt. Kevin, padając na ziemię, gwałtownie pociągnął za sobą Cornelisa i przycisnął jego głowę, kiedy kucyk któregoś Burów w panice przeskoczył przez nich obu.

– Do kotła! Pędźcie je na druty!

Angielskie okrzyki – Kevin odważył się podnieść głowę i dostrzegł kolejne kuczki z jeźdźcami, które potykały się na torach. Za nimi galopowały duże konie Rough Riders – ci strzelali do Burów z siodła. Nie tylko do uciekających! Kevin dostrzegł z przerażeniem osuwających się na ziemię Burów, którzy wcześniej usiłowali zdetonować miny i już się poddali. Żołnierze z obu fortów krzyczeli przeraźliwie – nie bez podstaw obawiali się, że zostaną wzięci za Burów i także zastrzeleni. Kevin wciąż leżał na ziemi i nie pozwalał wstać oszołomionemu Cornelisowi. Krzyki i strzały oddaliły się, ale ciągle nie ustawały. Kevin szybko się domyślił dlaczego. Kilkaset jardów dalej za fortem przygotowana była jedna z pułapek – Burowie przekonali się właśnie, że pozorna droga ucieczki była zamknięta. Mogli się poddać albo walczyć dalej. Ten oddział postanowił walczyć. Wydawało się, że domyślił się tego także Cornelis, bo ciężko westchnął.

– Kevin! Wszystko w porządku? – Kevin rozpoznał zaniepokojony głos Vincenta. Odgłosy potyczki były tak donośne, że nie usłyszał nadchodzącego przyjaciela; teraz weterynarz skierował światło latarki na leżącego na ziemi Drury’ego.

– Koń cię potracił? Leżałeś akurat tam, gdzie one biegły, ty...

Kevin się podniósł.

– Nie, pony przeskoczył przez nas bez problemu – wyjaśnił. – Brytyjczycy powinni go zarekwirować, bo to zwierzę ma potencjał w skokach. Ale wolałem nie wstawać. Zwłaszcza że... – Wskazał na Cornelisa, który też usiłował wstać. Kevin mu pomógł.

Vincent oświetlił go latarką.

– Czy to nie twój pacjent z farmy van Stoutów? – spytał zdumiony.

Kevin przytaknął.

– Co pan tu robi? – spytał Vincent Cornelisa. – Przecież pańska noga jeszcze się nie zagoiła!

Młody mężczyzna popatrzył na niego przekornie, ale i ze wstydem.

– Jestem Burem – powiedział znużonym głosem. – A dla Bura kulawa noga jest śmiechu warta. A już na pewno nie przeszkadza mu w jeździe konnej, kiedy Bóg go wzywa, aby walczył za ojczyznę.

Cornelis uśmiechnął się krzywo.

– Czy to jest oddział Adrianusa van Stouta? – spytał Kevin zaskoczony. – Tak daleko na północ od Wepener?

Cornelis potrząsnął głową.

– To był oddział Martinusa de Groota – powiedział z rezygnacją. – Adrianus van Stout zginął dwa miesiące temu. Oddział przejął Martinus – i zwerbował mnie. Dokładnie miesiąc potem, kiedy mnie pan połatał.

Mężczyzna wytarł ręką brud z twarzy.

Odgłosy walki powoli cichły. Burowie uciekli albo, co było bardziej prawdopodobne, zostali zastrzeleni przez brygadę Coltrane'a, a może wzięci do niewoli. Być może Brytyjczycy właśnie ich rozbajali.

– Ale czy nie był pan jeńcem? – dziwił się Vincent. – Kevin, chodźmy do fortu. Musimy postawić namiot szpitalny. Zaraz z pewnością zjawią się ranni – pewnie tylko Anglicy...

Kevin zagryzł wargi. Zobaczył właśnie, jak kapral, z którym dopiero co odpierał atak Burów, podchodził do najpierw pojmanyh, a teraz leżących na ziemi mężczyzn i sprawdzał, czy żyją. Po chwili spojrział na Kevina i potrząsnął głową. Nie było konieczne, aby robił to lekarz.

– Matka i ciotka mnie przeszmuglowały – powiedział Cornelis. – Zaraz po waszym wymarszu...

– Zaraz po operacji? – spytał Kevin przerażony. – Ze świeżo połataną arterią, która w każdej chwili mogła się znów rozerwać?

Cornelis wzruszył ramionami. Ale nagle wydał okrzyk przerażenia i zatoczył się, podchodząc do jednego z poległych. Był to jeden z Burów, którzy chcieli się przedrzeć przez zasieki. Daremnie oczywiście, ale to nie rany, których wtedy doznał, były przyczyną jego śmierci. Wysoki jasnowłosy mężczyzna zmarł w wyniku postrzału w plecy.

– Martinus... – wyszeptał Cornelis z niedowierzaniem i rozpaczą.

Kevin patrzył na niego z przerażeniem.

– Ten... Martinus? – spytał.

Cornelis przytaknął.

Kevin i Vincent pomogli mu uwolnić ciało narzeczonego Doortje van Stout z zasieków.

ROZDZIAŁ 3

Miesiąc później Kevin Drury stał przed majorem Robinem, któremu od początku wojny podlegały wszystkie oddziały wojskowe z Nowej Zelandii. Major oraz dwóch wojskowych wysłuchał skargi Kevina, jaką ten wniósł przeciwko Colinowi Coltrane'owi, który także został przesłuchany.

– Major Coltrane nie przyznaje się do winy – oświadczył krótko Robin. – Wtedy zbliżał się do fortu pełnym galopem, w dodatku była noc. Jeźdźcy nie byli w stanie rozpoznać, czy sabotażyści na torach już się poddali czy też nie...

– Oni podnieśli ręce... – zauważył Kevin.

– Jak już zostało powiedziane, jeśli nawet tak było, to major Coltrane i jego ludzie przeoczyli to. A człowiek, któremu strzelili w plecy, był przecież w trakcie próby ucieczki, prawda?

Robin przesunął leżące na stole akta.

Kevin westchnął.

– Ten człowiek wisiał na drutach. Jeszcze nie zdążyliśmy go z nich uwolnić, ale nie był już w stanie walczyć. Nie istniała też żadna szansa ucieczki. Strzelać do niego – to było zupełnie niepotrzebne. Podobnie jak strzelanie do dwudziestu trzech czy też trzydziestu uciekających jeźdźców...

– Ci ludzie wszczęli wymianę ognia z Rough Riders – stwierdził jeden z dwóch wojskowych, młody porucznik. – Majorowi Coltrane'owi nie pozostawało nic innego, jak odpowiadać ogniem. Oczywiście po tym, kiedy wezwał ich do poddania się...

– A potem wszyscy byli martwi? – spytał Kevin. – Ani jednego rannego? Mój kolega i ja obejrzelśmy zwłoki. Wielu ludzi najwyraźniej zastrzelono z bliskiej odległości...

Robin podniósł ręce.

– Doktorze Drury, jest pan tutaj od wielu miesięcy. Zna pan Burów. Wielu z nich walczy aż do śmierci i już niejeden nasz żołnierz przypłacił życiem to, że pochylił się nad rannym w chęci pomocy. Oni wtedy wyciągają nóż i jeśli ma się broń gotową do strzału i odrobinę doświadczenia, to się strzela. Z bliska. Sugerowanie, że nasi ludzie ich po prostu dobijali...

– ...tym bardziej że pana przy tym nie było – dodał drugi porucznik.

Kevin potarł czoło.

– Ale także wszystkie pozostałe ataki, podpalenia...

– To wszystko było zgodne z rozkazami dowództwa armii – stwierdził Robin. – I choć strategia lorda Kitchenera może nam się nie podobać, to jestem pewien, że także major Coltrane niechętnie prowadzi wojnę przeciwko kobietom i dzieciom. Ale postępuje tak, jak trzeba. Pańskie oskarżenia nie mają więc podstaw, doktorze Drury, proszę to zrozumieć!

Kevin przełknął ślinę i stuknął obcasami.

– Jak pan uważa, sir – stwierdził gorzko. – Jednak... Wiem, że może mnie pan za to ukarać, i proszę to zrobić, ale służba pod rozkazami majora Coltrane'a nie odpowiada zasadom mojego sumienia...

– Pułkownika Coltrane'a – przerwał mu jeden z poruczników. – Major Coltrane właśnie został awansowany.

Kevin potarł skronie.

– Odmawiam służby pod rozkazami Colina Coltrane'a – oświadczył krótko. – Proszę mnie przenieść albo uwięzić, jest mi wszystko jedno. Ale w tym, co robi Colin Coltrane, dłużej brać udziału nie będę.

Brytyjscy oficerowie wstrzymali oddech – tylko major Robin zachował całkowity spokój. Zachowanie Kevina było nie do przyjęcia dla całej armii brytyjskiej, ale on sam przeżył już podobne

uchybień swoich „kiwi” przeciwko wojskowemu regulaminowi. I jego zdaniem byłyby to niepotrzebna strata, gdyby miał więzić tylko z powodu naruszenia dyscypliny tych często dzielnych i cennych podczas partyzanckiej wojny, aczkolwiek czasami krnąbrnych żołnierzy. Major więc uśmiechnął się teraz.

– Przypadek chciał, że już wcześniej obmyślałem dla pana inne stanowisko – spojrzał ostrzegawczo na obu poruczników, kiedy jeden z nich najwyraźniej chciał się obruszyć. Bo dotychczas nie było w ogóle mowy o przeniesieniu lekarza sztabowego Drury’ego. Ale ta mała improwizacja pozwoliła Robinowi spełnić prośbę Kevina, a nie być zmuszonym do ustąpienia. Gdybyż ci Brytyjczycy byli choć odrobinę bardziej dyplomatyczni...

– Właśnie ktoś taki jak pan, kto potrafi zachować w miarę przyjazne uczucia wobec wroga...

Kevin zeszywniał.

– W żadnym wypadku nie mam zamiaru się fraternizować...

Robin, postawny mężczyzna o lekko posiwiałych skroniach, potrząsnął głową.

– W ogóle tego panu nie zarzucamy. Wręcz przeciwnie, wiemy o pańskim współczuciu przede wszystkim wobec burskich kobiet i dzieci i cenimy to. Dlatego chciałbym panu zaoferować stanowisko, na którym będzie pan mógł im pomagać. Doktorze Drury: od tej chwili powierzam panu kierownictwo obozu uciekinierów w Transwalu.

– Obóz uciekinierów? – Doktor Barrister śmiał się, kiedy to usłyszał, ale nie brzmiało to wesoło. Ani nawet kpiąco. W jego śmiechu było słycać rezygnację i smutek. – Powinien pan więc posłuchać, co mówi Emily Hobhouse! Ona mówi wprost o obozach koncentracyjnych, a nawet o obozach śmierci.

– Słyszałem, ale ponoć ta lady przesadza – odparł Kevin.

Dowiedział się od dowódców Robina, że jego poprzedni przełożony kieruje szpitalem wojskowym w Pretorii, i natychmiast go odwiedził. Barrister ucieszył się ze spotkania i zaprosił Kevina do kasyna oficerskiego na kolację. Pyszne, choć nieco egzotyczne dania zaskoczyły Kevina, zwłaszcza kiedy podano stek z mięsa lwa.

– Ta lady na mnie osobiście zrobiła wrażenie rozsądnej – oświadczył Barrister i napił się wina. – Rozmawiałem z nią, znam też jej rodzinę. I nie da się zaprzeczyć pewnym cyfrom: prawie ośmiuset zmarłych, tylko w czasie ostatniego miesiąca. Ponoć stan tych obozów jest fatalny. I nie są to „obozy uciekinierów”, te kobiety nie zjawily się tam dobrowolnie, wręcz przeciwnie, są tam transportowane w koszmarnych warunkach i pod nadzorem wojska. To raczej „obozy wypędzonych”. Ale wszystko jedno, jak się te obozy nazywa, zgodnie z tym, co mówi Miss Hobhouse, panują tam warunki urągające ludzkiej godności. I łatwo to sprawdzić – te obozy znajdują się na samych końcu kolejności zaopatrzenia. Dociera tam ta żywność oraz te medykamenty, których nie potrzebują oddziały wojskowe, szpitale oraz mieszkańcy miast. I jest ono bardzo złe: nie opłaca się palić zbiorów tego kraju!

Kevin zagryzł wargę.

– Sądzi pan więc, że powinienem odrzucić tę propozycję?

Barrister zaprzeczył zdecydowanie.

– Wówczas ryzykuje pan kary dyscyplinarne – przypomniał. – Choć te obozy podlegają kierownictwu cywilnemu, czyli inaczej mówiąc, nie jest pan tam lekarzem sztabowym. Mimo wszystko: po tej sprawie z Coltrane’em nie ma pan co liczyć na jakieś stanowisko w armii. I w zasadzie Robin ma rację, ktoś musi wykonywać i tę pracę. A więc lepiej wysłać tam kogoś, kogo stać na odrobinę współczucia bądź kogoś, kto jest osobiście... Czy słyszał pan coś na temat naszej wojowniczej *meijuffrouw van Stout*?

Kevin potrząsnął głową.

– Raczej nie wymieniliśmy adresów – odpowiedział z krzywym uśmiechem.

Barrister westchnął.

– Obawiam się, że to też niewiele by dało. Miss Doortje nie ma już pewnie adresu. Sam pan mówi, że jej ojciec i narzeczony byli w oddziałach burskich...

– Oni nie żyją – oświadczył Kevin.

Barrister skinął głową.

– Tak, wiem. Ale to nie zmienia faktu, że w efekcie rodzina zwróciła na siebie uwagę. I jeżeli wszystko odbyło się tak jak zwykle w takich wypadkach, to ich farma została spalona.

Zaintrygowany Kevin pochylił się do przodu.

– Czy to znaczy, że Doortje jest w jednym z tych obozów?

Barrister wzruszył ramionami.

– Jeśli nie zginęła w czasie niszczenia farmy... Zna ją pan przecież, Drury, ona nie poddaje się tak łatwo.

Kevin się wyprostował.

– A więc moja decyzja jest oczywista. Przejmuję kierownictwo tego obozu. Wiem, prawdopodobnie Doortje jest zupełnie gdzie indziej. Ale jeśli przeżyje tę wojnę, to chciałbym móc spojrzeć jej w oczy. W moim obozie nikt nie będzie umierał!

– Jeśli o mnie chodzi, to mogę przydzielić panu tego człowieka...

Lord Alfred Milner, nowy cywilny kierownik obozów koncentracyjnych w Transwalu, był bardzo otwarty wobec prośby Kevin, aby zatrudnić Cornelisa Pienaara jako tłumacza i osobę odpowiedzialną za kontakty z więźniami w nowym miejscu pracy Kevina. Milner był zaskakująco uprzejmy, prawdopodobnie nikt nie rwał się do pracy na kierowniczych stanowiskach w obozach. Milner cieszył się więc z każdego ochotnika z kwalifikacjami, a Kevin mógł nawet wyszukać sobie obóz, w którym chciał pracować. Kierownika brakowało w trzech.

– To będzie tańsze, niż wysłać go do St. Helena – mówił dalej Milner. Większość jeńców wojennych płci męskiej została już deportowana do obozów poza Afryką. – Ale czy rzeczywiście wyświadcza mu pan w ten sposób jakąś przysługę?

Kevin zdziwiony uniósł brwi.

– Myślę, że tak, sir. Mr Pienaar i ja dobrze się rozumieliśmy, a on jest jednym z niewielu rozsądnych ludzi wśród Burów. Z pewnością chętnie pojedzie ze mną, jego zaś pomoc będzie błogosławieństwem.

Milner wzruszył ramionami. Przyjął Kevina w Pretorii, w swoim jasnym biurze umeblowanym drogimi meblami, i wielkodusznie zaoferował whisky oraz przekąski. Kevin patrzył na to niechętnie. Jeśli braki w zaopatrzeniu obozów rzeczywiście były tak duże, to tu nie powinien być demonstrowany taki luksus.

– Nie wątpię, że ten młody człowiek jest bardzo uczynny – stwierdził lord. – Ale pan zupełnie sobie nie wyobraża, jakie nastroje panują w tych obozach! Te burskie baby... Tak, tak, zgodnie z tym, co piszą gazety, to one mrą jak muchy i z osłabienia ledwo trzymają się na nogach. Ale w rzeczywistości mają dość sił, aby prowadzić agitację. I jak tylko dopadną jakiegoś reportera, składają płomienne oświadczenia i wzywają swoich mężczyzn, aby ci walczyli dalej. Odrzucają wszystko: opiekę medyczną, zajęcia szkolne dla dzieci... A jeśli ktoś z nich choć trochę wyjdzie naprzeciw działaniom kierownictwa obozu, to staje się obiektem powszechnej nienawiści.

Milner upił łyk whisky.

– W Chrissiesmeer chcieliśmy kilka tygodni temu umieścić kilku jeńców wojennych. I okazało się to zupełnie niemożliwe. Baby zarzuciły im, że są tchórzami, bo się poddali, zamiast dać się zastrzelić.

I one nie ograniczyły się do tego, w końcu musieliśmy zabrać stamtąd tych ludzi, boby ich zamordowały! Proszę się dobrze zastanowić, czy chce pan na to narazić swojego *mijnheer* Pienaara...

Kevin westchnął.

– Mój *mijnheer* Penaar ze swoimi liberalnymi poglądami narazi się prawdopodobnie wszystkim i wszędzie, także w obozie dla mężczyzn. Ale zawsze mogę spróbować. I chyba byłoby bardzo pomocne, gdyby znalazł się w otoczeniu ludzi ze swojej ojczyzny – i okolicy. Może mi pan powiedzieć, dokąd zesłano Burów z okolic Wepener? I czy ten obóz jest wśród tych, który mógłbym sobie wybrać?

Okolica miejscowości Karenstad przypominała Kevinowi bardziej jego ojczyznę niż sawanny i busz terenów, które przemierzał z Rough Riders. Miasteczko leżało na przedgórzu, nie było tam tak gorąco jak na wyżynach, powietrze wydało się Kevinowi cudownie świeże, góry poprzerzynane licznymi wąwozami były ekscytujące, a soczyście zielone łąki zapraszały do wypoczynku. W licznych potokach z pewnością było dużo ryb i Kevin oraz Vincent znów poczuli się jak na wędkarskiej wycieczce, kiedy któregoś dnia biwakowali nad jednym ze strumieni. Czysty przypadek oraz decyzja Kevina, by podjąć pracę w obozie w pobliżu Ventersburga, sprawiły, że przyjaciele znów się spotkali. Vincent, podobnie jak Kevin i Tracy, także zeznawał przeciwko Coltrane'owi, major Robin przeniósł ich więc obu razem. Tracy wylądował w Pretorii, w szpitalu u Barristera, a Vincent jako weterynarz – w Karenstad. Obaj mężczyźni pojechali więc razem konno do Ventersburga, podczas kiedy Cornelis Penaar został przydzielony do transportu jeńców wojennych.

– To absolutnie niemożliwe, aby on jechał z wami! – oświadczył Milner, kiedy Kevin zaproponował, że od razu zabierze ze sobą nowego pracownika. – Kobiety zaraz wyjdą z założenia, że on jest po naszej stronie. A jeśli przyjedzie normalnym transportem, to przynajmniej ma małe szanse.

– Ładnie tutaj właściwie – zauważył Kevin, kiedy zbliżali się do Karenstad, i spojrzał z żalem na mijane ruiny farmy. Dom był z pewnością zbudowany tak, jak dom z bali jego rodziców, ale dziś niewiele z niego zostało. Jak we wszystkich zbuntowanych republikach Burów, także i tutaj większość farm była spalona, a pola, na których przeważnie uprawiano kukurydzę – spustoszone.

– Bardziej mi się tu podoba niż tam, na weldzie...

Vincent się roześmiał.

– Bo wychodzisz z założenia, że tu jest mniej lwów i nosorożców – dokuczał przyjacielowi. – Ale popatrz: antylop, jak widać, na pewno nie brakuje.

Stado tych zwierząt ciągnęło właśnie przez trawiastą wyżynę, która dawniej była zapewne polem kukurydzy. Natura szybko zawłaszczala odebrane jej tereny.

– W takim razie zastanawiam się, dlaczego w obozach brakuje mięsa – mruknął Kevin. – Można przecież iść tutaj na polowanie.

Ale im bliżej było do Karenstad, tym mniej zwierząt dostrzegali. Nie było w tym nic dziwnego, miejscowość bowiem otaczała kilka linii kolejowych, które dodatkowo zabezpieczono zasiekami z drutów kolczastych. To skutecznie odstraszało zwierzęta.

Mężczyźni nie byli zbudowani widokiem nowego miejsca pracy. Karenstad składało się właściwie z blaszanych bud. Miejscowość pierwotnie stanowiła ważny węzeł kolejowy i jako taki była też obozem dla dostaw wojskowych. W czasie wojny liczba jego mieszkańców szybko rosła, głównie z powodu niesłabnącego strumienia uchodźców. Wokół miasta toczyły się ciężkie walki, a farmy zostały zniszczone już w początkowym okresie wojny. W Karenstad pojawiły się setki ludzi, którzy szybko stali się bardzo niewygodni dla angielskich wojskowych: byli to także ci Burowie, którzy z braku innych możliwości obozowali w pobliżu brytyjskiego składu amunicji i dlatego wydali się niebezpieczni. Prowizorycznie wzniesione domy zarekwirowano więc na potrzeby obozu wojskowego, a poza Karenstad powstał obóz koncentracyjny. Najpierw zapędzono tam miejscowe rodziny, a potem

przywieziono wypędzonych z innych części kraju. W samym miasteczku aż roіło się od Anglików. Stacjonowało tu kilka brygad kawalerii, a także te jednostki, które gromadziły prowiant i miały walczyć gdzie indziej. W mieście i obozie wojskowym panował więc ożywiony ruch, a kawalerzyści galopowali na swych koniach, nie zwracając uwagi na nieutwardzoną ziemię.

– Mój Boże, ależ kurz! – zauważył Vincent, kaszląc. Rzeczywiście nad miastem unosiła się jak gęsty welon chmura pyłu. – To bardzo źle dla koni!

Kevin zmrużył oczy.

– Dla ludzi też – dodał. – A obóz w ogóle nie jest chroniony od wiatru, ludzie pewnie się tam duszą. Muszę zadbać o to, aby nakazano tu jeździć tylko stępa.

Vincent się roześmiał.

– No to powodzenia! – zakpił. – Ciekaw jestem, czy Rough Riders albo pozostałe oddziały kawalerii będą jeździć wolniej tylko dlatego, że produkują tyle kurzu. A przecież bez wątpienia wszyscy mają bardzo ważne zadania...

Kevin zirytowany zacisnął wargi.

– Mógłbyś mnie przecież poprzeć, bo to dotyczy także twoich podopiecznych! Założymy się, że mieszkania oficerów są położone w lepszych miejscach niż stajnie dla koni?

Sam obóz koncentracyjny leżał w całkiem ładnej okolicy, a namioty rozstawione były na lewym i prawym brzegu rzeki. Wszystko jednak wskazywało na to, że jej wody często występują z brzegów. Kevin, który zbliżał się od strony brzegu północnego, był przerażony błotem i wodą, którą ludzie odprowadzali ze swych namiotów naprędcę wykopanymi rowami.

– Północna część obozu musi zostać przeniesiona! – oświadczył kategorycznie, kiedy miał już za sobą oficjalne powitanie dotychczasowego komendanta obozu, Szkota w randze porucznika.

Porucznik Lindsey rezydował w kamiennym budynku, w którym mieścił się także cały zarząd obozu. Więźniowie mieszkali w prowizorycznych namiotach – w ogóle cały obóz robił wrażenie ogromnej prowizorki. Za to domicyl Lindseya sprawiał wrażenie nadzwyczaj komfortowego. Pomieszczenia umeblowane były solidnymi sprzętami i przypominały wnętrza farmy van Stoutów. Meble zapewne skonfiskowano z jakiegoś burskiego domu.

– No to niech pan spróbuje! – zakpił Lindsey, stawiając na stole butelkę whisky i dwie szklanki. – Ale niech pan wypije kilka łyków, zawsze jest wskazane, aby coś wypić przed wyjściem. Ponoć to chroni przed zarażeniem.

– Zarażeniem czym? – spytał Kevin, marszcząc czoło.

Ale Lindsey od razu nawiązał do jego planów ewakuacyjnych.

– Chciałem przenieść obóz, kiedy rzeka po raz pierwszy wystąpiła z brzegów. Przecież od razu było widać, że to obszar bagienny... Ale ludzie nie chcą. Trzymają się tego miejsca tak kurczowo, jak gdyby to był ich rodzinny dom. A przecież mieszkają tu dopiero kilka miesięcy... I proszę się na mnie nie złościć, kiedy zobaczy pan szpital. Tak, jest prawie pusty, mimo że ludzie chorują. Jeśli ktokolwiek tam przychodzi, to jedynie kobiety z umierającymi dziećmi. Ale dopiero w ostatnim stadium choroby i nasz doktor niewiele może zrobić. Co dodatkowo umacnia ich w przekonaniu, że nasza medycyna jest diabła warta.

– W ostatnim stadium czego? – spytał Kevin.

Lindsey wzruszył ramionami.

– Tyfus? – próbował zgadnąć.

Kevin potarł czoło.

– Pięknie... – powiedział. – Najpierw więc obejrzę sobie szpital, a potem namioty. Ile ich jest? A ilu ma pan więźniów?

Ku jego zaskoczeniu Lindsey znów wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – To się stale zmienia.

– Nie prowadzi pan ksiąg? – dopytywał się Kevin.

Lindsey przewrócił oczami.

– Co jeszcze mam tu robić? Zajmuję się tym obozem, potem jeszcze jednym i jest to obóz czarnych o milę stąd w górę rzeki. Pomocników prawie nie ma i wszystko skupia się na mnie. Czy mogę coś poradzić na to, że przysyłają mi jedną pielęgniarkę z Pretorii, a ona tylko siedzi przy butelce whisky? Czy to ja wyliczam te racje pokarmowe? Stale ktoś się skarży, a to, że mięso łykowate, że nie ma warzyw... Mam tu uprawiać marchew?

Kevin spojrział na porucznika.

– A dlaczego nie? – zauważył. – To bardzo sensowne zajęcie. Może należałoby skłonić do tego kobiety?

Lindsey się roześmiał.

– Mogę tylko powtórzyć: jak nie spróbujesz, to się nie dowiesz. Ale chodźmy, bo dziś jeszcze chcę wyjechać najbliższym pociągiem do Bloemfontein. Z powrotem do mojego pułku, żeby zapolować na Burów. Będę dziękować niebu, kiedy znów dosiędę konia. On przynajmniej nie będzie się stale skarżył z powodu niedostatecznych porcji owsa.

Szpital był jedną z nielicznych solidnych budowli w obozie, choć także wzniesioną z blachy falistej. Latem musiało tam być nieznośnie gorąco, także teraz nad nielicznymi pacjentami unosiły się roje much. Nie było w tym nic dziwnego, bo w obu salach chorych śmierdziało wprost strasznie. Leżeli tam chorzy na tyfus, a opieka medyczna była niedostateczna. Przy niektórych chorych siedzieli członkowie rodziny i zajmowali się utrzymywaniem ich w czystości. Ale zwłaszcza starsi pacjenci, wśród nich wiele kobiet, leżeli we własnych odchodach. Jedyne lekarz, doktor Greenway, był tym wyraźnie zakłopotany.

– Robię co mogę, doktorze Drury – bronił się. – Ale w tej chwili mam dwudziestu siedmiu pacjentów i ani jednej pielęgniarki. Jeśli nie znajdzie się jakaś matka, która mi pomaga tylko dlatego, że leży tu jej dziecko, to gotuję sam!

– Nie można skłonić kobiet do pomocy? – zdziwił się Kevin.

Greenway prychnął podobnie jak Lindsey.

– Oni nic nie robią – powiedział lekarz z goryczą. – Nic, czym mogliby nam chociaż trochę pomóc, nawet jeśli przez to szkodzą sami sobie. Otworzyli w jednym z namiotów coś w rodzaju konkurencyjnego szpitala i leczą tam domowymi środkami. I skarżą się, jeśli chcemy ich od tego powstrzymać. Wczoraj jedna z kobiet chciała mnie zamordować, bo nie mogłem jej dostarczyć martwej kozy. Całkiem poważnie, ona była przekonana, że jej chore na zapalenie płuc dziecko można uratować, zawijając je w skórę świeżo zabitej kozy! Moją medycynę odrzuciła, podobnie jak łóżko w szpitalu. Dziecko zmarło dzisiaj rano. To żalosna sytuacja, doktorze Drury, jedna wielka tragedia.

– Ma pan tylko te dwa pomieszczenia? – spytał Kevin.

Był przyzwyczajony do dużych sal szpitalnych, ale jednocześnie nieprzyjemnie poruszony faktem, że ludzie muszą tu umierać w śmierdzących wspólnych pomieszczeniach. W szpitalu w Dunedin, w którym był asystentem po studiach, dysponował zawsze parawanami, aby zapewnić ciężko chorym choć odrobinę intymności.

Doktor Greenway potrząsnął głową.

– Nie, są jeszcze cztery mniejsze. Jeśli chce je pan zobaczyć...

Zaprowadził Kevina do czegoś w rodzaju korytarza i odsunął zasłonę przed prowizoryczną salką dla dwóch osób. Pokój był z pewnością od dawna niesprzątnięty, ale Kevin zaniechał krytyki. Trudno

było przecież oczekiwać, że lekarz chwyci jeszcze za wiadro i miotłę.

– W żadnym nie ma pacjentów? – spytał.

Doktor Greenway zagryzł wargi.

– Są. Dwóch. Ale kobieta w jednym z nich już zmarła. Nie chcę tak od razu zabierać od niej dzieci...

Zawieziemy ją na cmentarz, kiedy znajdzie się ktoś, kto się nimi zaopiekuje. A drugi pacjent... Jeszcze jeden dramat, ale dzięki niemu choć trochę rozumiemy postawę tych ludzi w stosunku do nas.

Lekarz potarł czoło.

– Nie rozumiem – dopytywał się Kevin.

– On próbuje dać panu taktownie do zrozumienia, że nasi ludzie są przyczyną stanu tej dziewczyny – powiedział porucznik Lindsey. – Wyjątkowe świństwo i powinno się przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie! Ale kobiety nic nie mówią, a indywidua, które nadzorowały ten transport, nie podlegały mi. W innym wypadku siedzieliby w więzieniu, jeszcze zanim kobiety cokolwiek by zeznały, może pan być pewny!

Oficer unosił się wyraźnie w trakcie mówienia, co Kevina nieco zdziwiło. Bo dotychczas u Lindseya nie można było dopatrzeć się choćby śladu sympatii do jego burskich podopiecznych.

– To co się stało? – spytał Kevin. – Chciałbym zobaczyć te kobiety, jeśli pan pozwoli...

Doktor Greenway wzruszył ramionami.

– Nie mam nic przeciwko temu, jest pan lekarzem. Ale te kobiety nie dopuszczają do siebie nikogo. Jedna jest w stanie wstrząsu, druga drapie i gryzie, jeśli chce się ją zbadać. A byłoby to wskazane, bo ciągle krwawi...

Kevin spojrział na niego.

– Czy to ma znaczyć, że te kobiety zostały zgwałcone? Tutaj, w obozie?

Lindsey potrząsnął głową.

– W czasie transportu. Przy czym mężczyźni, którzy je tu przywieźli, twierdzą, że to nie oni. Ponoć był to pułk kawalerii, który im przez jakiś czas towarzyszył. Tak się czasami robi, jeśli spodziewamy się burskich oddziałów w terenie, przez który są transportowane kobiety i dzieci. Wówczas oddziały transportujące kobiety proszą jednostki wojskowe o ochronę.

– Ochronę? – spytał Kevin gorzko.

Lindsey wzruszył ramionami.

– Mogę tylko powiedzieć, że coś takiego zdarza się rzadko. A przynajmniej my się o tym nie dowiadujemy. Zgwałcenia kobiety nie traktuje się oczywiście jako czegoś normalnego. Ale te dziewczyny zostały jeszcze ciężko pobite. Prawdopodobnie dlatego, że się broniły. W każdym razie musieliśmy je umieścić tutaj, w tym stanie nie mogły się znaleźć w namiocie. Nawet jeśli z tego powodu byłyby szczęśliwsze.

Kevin zesztywniał.

– Chciałbym je zobaczyć. Może uda się je skłonić do złożenia zeznań. Czy te kobiety mówią po angielsku? Jeśli nie... jutro będziemy tu mieli tłumacza.

– One w ogóle nie mówią – odparł Lindsey i zaprowadził kolegę do następnego oddzielnego pomieszczenia. – Jedna jest w stanie katatonii. A druga nikogo nie chce widzieć.

Lekarz odsunął zasłonę i przepuścił Kevina.

– Ladies, przykro mi, że wam przeszkadzam od razu po mojej wizycie... – Greenway wyraźnie ostrożnie dobierał słowa i starał się być uprzejmy. Kevin przestał mieć do niego jakiegokolwiek zastrzeżenia. Ten człowiek rzeczywiście robił co mógł, aby stworzyć w tym szpitalu jakieś ludzkie warunki. Kevin zerknął na prymitywne łóżka polowe, na których leżały kobiety – na pomiętą szarą pościel i twarde poduszki. Dziewczyna na jednym z łóżek leżała nieruchomo na plecach. Jej jasne

nieruchome oczy wpatrywały się w sufit, jedno z nich było niemal całkowicie zapuchnięte. Prawy policzek dziewczyny był rozerwany, a wargi popękane. Ale mimo tej strasznie zmienionej twarzy dziewczyna wydała się Kevinowi znajoma.

– ...ale mamy tu nowego komendanta obozu – mówił dalej Lindsey. – Doktor Kevin Drury będzie od dziś razem ze mną opiekował się paniami. On...

Kevin spojrzął na drugie łóżko. Leżąca na nim kobieta odwróciła twarz do ściany. Spod przykrycia widać było jedynie jej szczupłą postać i czepek na głowie, spod którego wysuwały się jasne włosy. Czy to był przypadek, że się poruszyła, kiedy Lindsey wymienił nazwisko Kevina?

Lekarz obozowy stanął koło pierwszego łóżka i przedstawił historię choroby jak lekarz asystent.

– Johanna van Stout, czternaście lat, liczne siniaki i zranienia w wyniku pobicia...

Kevin znieruchomiał. W tym momencie kobieta na drugim łóżku odwróciła twarz w jego stronę. Kevin zobaczył przed sobą pełne nienawiści ciemnoniebieskie oczy, opuchniętą twarz i popękane wargi. Ale dla niego ta twarz była pomimo to piękna...

– Doortje! – zawołał skonsternowany. – Me... *meijuffrouw* van Stout...

Na pobitej twarzy Doortje pojawił się brzydki uśmiech. Prawie nie mogła się ruszać, ale w jej oczach była przerażająca nienawiść.

– Niechże pan sobie nie łamie języka, panie doktorze sztabowy Drury, i nie nazywa mnie już panną – powiedziała cynicznie.

ROZDZIAŁ 4

– I co masz zamiar teraz robić? – spytała Atamarie swoją przyjaciółkę Robertę.

Właściwie było to zbędne pytanie, Roberta miała robić dokładnie to, do czego przygotowały ją studia. Świeżo upieczona młoda nauczycielka poszuka sobie teraz posady i będzie uczyć. Z góry przesądzone, nudne życie...

Atamarie sfrustrowana wypija kilka łyków szampana. Alkohol rzadko pojawiał się na stole Violet Coltrane, ale tego wieczoru jej mąż Sean postawił na swoim. Ukończenie dwuletnich studiów Roberty należało uczcić. Coltrane'owie zaprosili przyjaciół i znajomych, wydali uroczystą kolację, z szampanem podanym jako aperitif i dobranymi do potraw winami. Wieczór był naprawdę piękny, a dla Atamarie zaczynały się ferie. Sama nie wiedziała, dlaczego właściwie miała tak podły nastrój.

Roberta, która w ogóle nie była przyzwyczajona do alkoholu, już po kilku łykach wina miała zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. Wyglądała prześlicznie w swojej sukni z ciemnoniebieskiego jedwabiu, ale była też podekscytowana. Atamarie dawno jej takiej nie widziała. Bo w ciągu dwóch lat studiów Roberta nie robiła nic innego, tylko próbowała się dopasować do sztywnego obrazu szkolnej nauczycielki i już teraz sprawiała wrażenie starej panny.

– No, myślę, że to już zostało ustalone całe wieki temu – zauważył z uśmiechem wielebny Burton, zanim Roberta zdążyła odpowiedzieć. – Miejsce w naszej szkole jest dla ciebie zarezerwowane, Roberto. Cieszymy się, że będziesz u nas pracować.

Roberta zaczerwieniła się jeszcze bardziej, a Atamarie usłyszała w swej głowie tysiące alarmowych dzwonek. To było coś więcej niż radość z powodu zdanych egzaminów! Jej przyjaciółka wyglądała w ten sposób wtedy, kiedy zamierzała ogłosić coś bardzo ważnego. I najwyraźniej miała zamiar poinformować o czymś swoją rodzinę, ale jednocześnie coś ją ciągle powstrzymywało. Ciekawość Atamarie rosła. Zadziwiające było już to, że Roberta ukrywała coś przed rodzicami, ale od kiedy miała jakieś tajemnice przed przyjaciółką?

Kathleen Burton, która była dobrą obserwatorką, rzuciła mężowi niechętnie spojrzenie.

– Nie naciskaj jej, Peter – zganiała go. – Kto wie, może Roberta ma inne plany. Może chce wyjść za mąż...

Patrick Drury, który tego dnia towarzyszył Robercie przy stole, drgnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. Nie potrafił uporać się ze sprawą swojego rozbitego małżeństwa, zwłaszcza że Juliet nie dawała znaku życia. I nikt oprócz niego nie martwił się o tę tak pewną siebie śpiewaczkę – Patrick nie ukrywał, że godzinami rozmyślał o jej zniknięciu i zastanawiał się, co jej się mogło stać. Atamarie uśmiechnęła się krzepiać do niego i jego córki. Mała May siedziała na kolanach Patricka, patrzyła uważnie na bąbelki w kieliszku szampana i gaworzyła coś do siebie beztrudno. Atamarie powstrzymała się od uwagi, że dziewczynka zapewne podziela upodobania swej matki. Heather Coltrane, która siedziała naprzeciwko, najwyraźniej myślała podobnie – Atamarie dostrzegła jej uśmiech oraz to, że szepnęła coś do Chloé, po czym obydwie się roześmiały.

Roberta zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie, oczywiście, że nie! Przecież nie po to studiowałam!

Atamarie była coraz bardziej zaintrygowana. Co tu było do ukrywania? I dlaczego Roberta przy każdym słowie czerwieniła się coraz bardziej?

– Ale ja... pomyślałam... – Roberta odetchnęła głęboko. – Wczoraj podpisałam umowę – ogłosiła. – Jadę do Afryki Południowej. Na rok albo dwa.

– Do Afryki Południowej? – spytał Patrick zaskoczony. – Chcesz strzelać do Burów?

Roberta roześmiała się nerwowo.

– Nie. Wręcz przeciwnie, ja... Czy nie słyszeliście nic o Emily Hobhouse?

Violet, jej matka, rozejrzała się badawczo dookoła. Kathleen i wielebny spokojnie wytrzymali jej spojrzenie. Oczywiście wiedzieli o Miss Hobhouse i jej protestach, byli usposobieni do tej wojny równie krytycznie jak Sean i Violet. Także uwadze Chloé i Heather nie uchodziło nic, co miało związek z prawami kobiet. Jedynie Patrick i Atamarie najwyraźniej nie mieli o niczym pojęcia.

– Miss Hobhouse opowiada się za likwidacją obozów koncentracyjnych w Afryce Południowej – wyjaśniła w końcu Violet. – To obozy, w których stłoczono kobiety i dzieci burskich bojowników, aby doprowadzić do demoralizacji ich mężów i skłonić je, by ich przekonali...

– I byłby już na to czas – zauważył Patrick. – Bo ta partyzancka wojna...

– To już jest inna sprawa – przerwał mu Sean. – Ale Miss Hobhouse słusznie argumentuje, że to niegodne Korony Brytyjskiej, aby toczyć wojnę przeciwko kobietom i dzieciom.

– Więc w tych obozach jest tak źle? – spytała Atamarie i wypila kolejny łyk szampana. Musiała jakoś przetrwać to, co właśnie ogłosiła Roberta. I ani przez sekundę nie myślała o altruistycznych powodach jej decyzji. Dotychczas Roberta nigdy nie oburzała się z powodu obozów uchodźców w Afryce Południowej. – Słyszałam, że oni muszą mieszkać w namiotach. Ale to...

– To nie są wakacje w namiotach, Atamarie, nawet jeśli tak właśnie przedstawia to dowództwo wojskowe – powiedział surowo wielebny. – Tam kobiety i dzieci głodują, umierają z powodu licznych infekcji... Miss Hobhouse ma rację: te obozy to hańba dla Anglii!

– Ale teraz ma się coś zmienić. – Roberta zdecydowanie weszła wielebnemu w słowo, co już samo w sobie było niezwykle. Kiedy indziej nie odważyłaby się mu przerwać. Najwyraźniej było to dla niej bardzo ważne, aby przedstawić swoją misję.

– Emily Hobhouse zebrała pieniądze. A Fund for South African Women and Children wysyła do obozów pielęgniarki i nauczycielki. I oczywiście żywność, lekarstwa i tak dalej. Płynę w przyszłym tygodniu – z Dunedin na „Beauty of the Sea”.

– Mam nadzieję, że ten statek nie transportuje oddziałów wojskowych? – spytała Heather i wzięła z talerza jedną z przekąsek przygotowanych przez Violet. Heather była głodna, a oświadczenie Roberty nie zrobiło na niej zbyt wielkiego wrażenia. Artystka przed laty także dużo podróżowała.

Roberta potrząsnęła głową.

– Nie, to normalny statek pasażerski. I nie ma nas tak wiele. Tylko dwie pielęgniarki i ja. Potem przyjedzie jeszcze kilka ochotniczek z Wyspy Północnej, ale większość jest chyba z Anglii.

Violet skinęła głową i była z jednej strony dumna z powodu decyzji córki, a z drugiej rozczarowana, że Roberta nie wtajemniczyła jej w swoje plany.

– A dlaczego dotychczas o tym nikomu nie powiedziałaś? – spytała surowo. – Zrozum mnie, proszę, dobrze, nie mam nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, ale my...

– Mogliśmy zebrać dla nich jakieś dary – stwierdził wielebny. – Dary rzeczowe i pieniężne, ludzie zawsze są bardziej wielkoduszni, kiedy ktoś zaangażuje się w jakąś sprawę osobiście.

Roberta zagryzła wargę.

– Ja... ja dość późno się na to zdecydowałam...

Atamarie widziała wyraźnie, że przyjaciółka nie mówi prawdy. Roberta prawdopodobnie nosiła się z myślą wyjazdu do Afryki od wielu tygodni, jeśli nie miesięcy. To nie Miss Hobhouse i jej inicjatywa skłoniły ją do tego...

Atamarie niemal rzuciła się na Robertę, kiedy wszyscy zjedli deser i wstali od stołu, aby wypić kawę czy też zapalić cygaro w innej części dużego mieszkania Seana i Violet. Dziewczyna zaciągnęła przyjaciółkę do jej pokoju, gdzie z pewnością nikt nie miał im przeszkadzać.

– Przyznaj, że to chodzi o Kevina Drury’ego! – zaczęła. – I nie mówiłaś o tym tak długo, bo się bałaś, że ci to wyperswaduję!

Roberta była już spokojniejsza i przy stole rozmawiała swobodnie o czekającej ją służbie. Ale teraz znów krew uderzyła jej do twarzy.

– To nieprawda! – oświadczyła. – To tylko... Tam warunki są naprawdę straszne. Chciałabym pomóc... I zobaczyć kawałek świata...

Jednak opuściła wzrok – w jej oczach nie można było dostrzec żądy przygody.

Atamarie przewróciła ostentacyjnie oczami.

– Tak, pewnie! – zakpiła. – Zwariowałaś na punkcie lwów i nosorożców. I zawsze chciałaś jeździć na słońcu... Nie trudź się, Robbie! Ani nie jesteś taka odważna, ani też nie interesujesz się przyrodą. Jesteś tylko zakochana. Ale jak możesz ciągle jeszcze być w nim zakochana?

Roberta spojrzała na nią ze złością.

– Ty przecież też jesteś zakochana! – stwierdziła. – W twoim Richardzie. Chociaż nie widziałaś go od dwóch miesięcy...

Związek Atamarie i Richarda Pearse’a rzeczywiście rozwijał się jakoś powoli, ale o tym młoda kobieta nie chciała tego wieczoru mówić.

– To coś zupełnie innego! – oświadczyła. – Richard jest... no, trochę powolny. Ale Kevin... Dziewczyno, Robbie, on nigdy cię nawet nie zauważał! Prawdopodobnie ledwo cię pamięta. A w ogóle: Afryka Południowa to olbrzymi kraj. Ty będziesz pracować w jednym z tych obozów, a Kevin jest lekarzem sztabowym w wojsku. Jak chcesz go odnaleźć?

Roberta znów zagryzła wargę. To rzeczywiście był najsłabszy punkt jej planu.

– Wcale nie muszę go znajdować – powiedziała cicho. – Ja... ja chcę tylko być bliżej niego. I kto wie...

Atamarie ostentacyjnie chwyciła się za czoło.

– Teraz pewnie znów będzie mowa o prezencie bogów – zakpiła.

Roberta wzruszyła ramionami.

– Też przecież w to wierzysz – odparła. – To dlaczego mamy bogom trochę nie pomóc?

Roberta wyjechała w końcu z niezliczoną ilością bagaży po tygodniu bardzo ciężkiej pracy. Wielebnemu udało się jednak zmobilizować swoją gminę do akcji zbierania darów. Peter zakupił wielkie ilości mleka w proszku oraz medykamenty – wszystko razem zmieściło się do ogromnej skrzyni. Violet wygłosiła płomienne przemówienie przed miejscową grupą członkiń Women’s Christian Temperance Union, które w odpowiedzi zebrały ubrania, pieluszki i zabawki dla dzieci przebywających w obozach. Sean zwrócił się do swoich klientów, Kathleen – do klientów Dunloego, którzy w Dunedin znali wszystkich albo byli znakomicie ustosunkowani. Od nich nadeszły głównie dary pieniężne. A wszystko pomimo tego, że nastawienie większości Nowozelandczyków do pomocy Burom było dość ambiwalentne. Nowa Zelandia popierała wprawdzie całym sercem Anglię w wojnie z Burami i nadal niechętnie słuchano krytycznych głosów, ale nietrudno było przekonać ludzi, aby pomogli dzieciom i kobietom. A już zwłaszcza wtedy, kiedy prosiła o to młoda sympatyczna obywatelka miasta. Roberta musiała więc chodzić na wszystkie spotkania oraz akcje charytatywne i była kompletnie wyczerpana, kiedy Atamarie odprowadziła ją w końcu na statek. Parowiec „Beauty of the Sea”, lśniący i biały, stał na kotwicy na ciemnoniebieskich wodach naturalnego portu w Dunedin. Atamarie na ten widok nabrała ochoty, aby pojechać z Robertą.

– Wygłaszanie przemówień i to wszystko co ostatnio, to jest po prostu nie dla mnie – wyznała Roberta przed swoim ostatnim występem poprzedniego wieczoru. Heather i Chloé wydały przyjęcie w swojej galerii i zorganizowały aukcję dwóch obrazów, z której dochód miał być przeznaczony na rzecz burskich rodzin. – Męczy mnie to bardziej niż sześć godzin lekcji.

Atamarie westchnęła, a potem się roześmiała.

– Dawniej chcieliśmy zostać kobietami premierami. Wówczas musiałabyś naprawdę dużo mówić. Studia w seminarium nauczycielskim po prostu zniszczyły w tobie radość życia. Tam wszyscy chodzą jak na pogrzebie, a odezwać się można prawdopodobnie dopiero wtedy, kiedy się podniesie rękę. Musisz mówić głośniej i zwracać na siebie uwagę!

Roberta poczerwieniała. Na wystąpienia przed komitetami charytatywnymi wkładała swój mundurek nauczycielki i rzeczywiście na mównicy z trudem mogła wydobyć z siebie głos. Atamarie bardzo krytycznym okiem spoglądała na jej strój podróżny.

– W tym ubraniu Kevin nigdy cię nie zauważy – zganiała ją i jednocześnie bez trudu przekonała trzech tragarzy, aby zanieśli wszystkie paczki z darami na nabrzeże. Robotnicy patrzyli na młodą kobietę tak, jak gdyby już sam jej widok wystarczył zamiast sutych napiwków. Roberta spoglądała na przyjaciółkę niemal z zawiścią. Atamarie bez wahania zabrałaby głos przed setkami słuchaczy, ale mężczyzna, którego kochała, też nie zwracał na nią uwagi! Roberta się zawstydziła, bo ta ostatnia myśl stanowiła dla niej dziwną pociechę.

– A teraz jedziesz do Afryki! – mówiła dalej Atamarie. – Założę się, że Afrykanie nie są tak sztywni jak wyznawcy Church of Scotland! Czarnych wyobrażam sobie raczej jak Maorysów. Na pewno lubią kolorowe suknie, lubią też tańczyć i się śmiać.

Wiatr rozwiewał jasne włosy Atamarie – dziewczyna w czasie wakacji nie widziała konieczności upinania ich w ciasny kok. W swej czerwono-zielonej sukni wyglądała jak kolorowy kwiat.

Roberta potrząsnęła głową.

– Atami, zgodnie z tym, co słyszałam o tych Burach... to w porównaniu z nimi Church of Scotland jest czymś w rodzaju grupy karnawałowych tancerzy! A z czarnymi mieszkańcami nie będę miała do czynienia. Miss Hobhouse pisze tylko o białych w obozach...

Młode kobiety dotarły już do trapu prowadzącego na statek i patrzyły, jak na pokład ładowane są bagaże. Roberta miała się tu spotkać z Seanem i Violet – oboje zbierali dary na mieście, ale zapewnili, że przyjdą punktualnie, aby pożegnać się z córką. Atamarie się dziwiła. Niewiele wiedziała o wojnie burskiej, krytyczne uwagi wielebnego i Violet raczej puszczała mimo uszu, a w Canterbury College interesowano się raczej tym, jak działają różne rodzaje używanej na tej wojnie broni. Na hasło „Afryka” Atamarie myślała przede wszystkim o dzikich zwierzętach i czarnych ludziach. Ci ostatni musieli tam przecież mieszkać! Atamarie niejasno sobie przypomniała, że ta wojna – przynajmniej oficjalnie – toczona była także po to, aby umożliwić im lepsze życie.

– No to gdzie właściwie są ci wszyscy Murzyni? – spytała w końcu. – Ci służący albo niewolnicy białych? Przecież mieszkali razem z nimi na farmach, które zostały spalone. Uciekli? No, tak czy owak – napiszesz mi o tym. Ale proszę, żeby to nie były takie nic niemówiące listy! Opowiedz mi o wszystkim! I oczywiście trzymam kciuki, żebyś spotkała Kevina. Już choćby po to, abyś pojęła, że...

Roberta podniosła rękę i energicznie przerwała potok słów Atamarie.

– Może zatroszczysz się o twoją własną wielką miłość – powiedziała surowo. – I może się okaże, że jest coś, czego ty też nie rozumiesz. Atamarie, Kevin może mnie nie chce, ale on też nie może... ponieważ jest dość daleko, a Juliet... – Roberta urwała.

Atamarie chwyciła się za czoło i westchnęła teatralnie. Roberta ścisnęła w dłoni szmacianego konika, którego nosiła ze sobą zawsze od chwili, w której Kevin go dla niej wygrał.

– Ale twój Richard – mówiła dalej poważnie – on nie mieszka sto mil od Christchurch. I też cię nie zauważa. A ty ponoć godzinami z nim rozmawiałaś, nawet trzymałaś go za rękę i całowałaś się z nim. Jeśli więc teraz nigdy cię nie odwiedza, to...

Atamarie chciała coś odpowiedzieć, ale wówczas obie dziewczyny zobaczyły nadjeżdżającą dorożkę

z Seanem i Violet w środku. Rodzice Roberty z pewnością mieliby ją za szaloną, gdyby cokolwiek wiedzieli o tym, co ona czuje do Kevina... Sean wyładował kolejną skrzynię pełną darów, a Roberta – już cała we łzach – zaczęła się żegnać z matką. Potem objęła ojczyzna, a wreszcie Atamarie.

– Na pewno napiszę, Atamarie! Będę pisać każdego dnia! – zapewniła ją. – I nie bądź, proszę, zła...

Atamarie się roześmiała i przycisnęła przyjaciółkę do siebie.

– Każdego dnia to będzie zbyt męczące – powiedziała serdecznie. – Wystarczy, jak napiszesz co tydzień. I oczywiście nie jestem zła. Bo jest dokładnie tak, jak mówisz: musi się coś wydarzyć między mną a Richardem...

Atamarie planowała swą podróż do Timaru, patrząc na odpływający statek i machając Robercie. Jej przyjaciółka miała całkowitą rację: między nią a Richardem nie było tysięcy mil morskich. A ona była odważna – przynajmniej tak samo jak Roberta. I jeśli Roberta mogła jechać za Kevinem do Afryki Południowej, to Atamarie mogła gwizdnąć na wszystkie konwenanse i odwiedzić Richarda. Postanowiła obejrzeć jego farmę. Kiedy będzie z nim sam na sam, na pewno się okaże, czy on ją jeszcze kocha.

ROZDZIAŁ 5

– Miss van Stout, Doortje, jedyne, co mi pozostaje, to zapewnić panią, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co zrobili moi... o nieba, to przecież nie byli moi rodacy!

Kevin z rozpaczą potarł czoło. Od wielu dni próbował jakoś wpłynąć na Doortje i nawiązać z nią kontakt, ale ona nawet nie chciała na niego patrzeć.

– W każdym razie jest mi bardzo żal, że panią i pani siostrę spotkało coś takiego...

Reakcja Johanny van Stout na wszelkie słowa była jeszcze bardziej frustrująca. Wydawało się, że dziewczyna nawet nie słyszy słów lekarza.

– Chcielibyśmy to zgłosić dowództwu, ale musiałyby pani złożyć zeznanie. Proszę opisać tych ludzi, wymienić ich nazwiska i stopnie, jeśli cokolwiek pani zauważyła. Proszę z nami porozmawiać, Miss van Stout!

Kevin z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Doortje, proszę ze mną porozmawiać!

Doortje van Stout nie zwracała na Kevina najmniejszej uwagi i powoli pakowała swoje nieliczne rzeczy, bo doktor Greenway pozwolił jej opuścić obozowy szpital. Johanna także mogła już wyjść, ale poruszała się jak lunatyczka.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli one wrócą do swojej rodziny, zamiast siedzieć tutaj z nosami opuszczonymi na kwintę – powiedział lekarz. – Może da się im przydzielić osobny namiot.

Ale w jego głosie słychać było rezygnację, Greenway wiedział równie dobrze jak Kevin, jaki był stan obozu: Karenstad było przepełnione do niemożliwości. I rzeczywiście Kevinowi zajęło to wiele godzin, zanim zdołał w ogóle ustalić, gdzie umieszczono ślepą *mevrouw* van Stout i jej małych synów. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że nie było tu żadnych planów zasiedlenia, nikt nie wiedział, ile rodzin i pojedynczych osób mieszkało w Karenstad ani gdzie należało szukać tej czy innej rodziny. Rejestrowana była jedynie liczba zmarłych – a tych było przerażająco dużo. W ogóle wszystko, co dotyczyło śmierci, było w tym obozie najlepiej zorganizowane. Był więc grabarz, stolarz, który wykonywał prymitywne trumny, i fotograf, który sporządzał portrety zmarłych dzieci. Ojcowie mieli je oglądać, kiedy wojna się skończy – niektóre z tych zdjęć już teraz mogły dostać się w ręce jeszcze walczących burskich oddziałów... Lord Kitchener musiał być człowiekiem bez serca – albo po prostu głupcem – jeśli zakładał, że to skłoni tych ludzi do kapitulacji. Było wręcz przeciwnie, warunki panujące w obozach jeszcze bardziej rozwścieczały Burów.

A teraz Kevin prowadził milczące siostry van Stout przez błotniste drogi wzdłuż długich rzędów okrągłych, niegdyś białych namiotów. Każdy z nich przeznaczony był dla piętnastu osób – jednak mieli to być żołnierze, którzy w namiotach tylko sypiali. Takie pomieszczenia nie były pomyślane dla rodzin, które tu gotowały i musiały przebywać przez cały dzień. Ale mimo to dowództwo wojskowe zajmujące się obozami wymagało pełnego obłożenia namiotów. Oznaczało to, że w każdym musiało mieszkać kilka rodzin. Przynajmniej dwie, częściej trzy kobiety i ich dzieci oraz starcy, którymi się opiekowały, dzielili między siebie jeden namiot – na razie ze stoicką obojętnością. Ale w miarę upływu kolejnych miesięcy rosło napięcie, które rozładowywało się w gwałtownych kłótniach. Jeśli pogoda była znośna, ludzie uciekali na dwór – także prowizoryczne kuchnie były zbudowane poza namiotami.

– Chcieliśmy zaoferować ogólne wyżywienie – zwrócił się do Doortje wyraźnie zawstydzony Kevin – ale ludzie tego nie przyjęli, bo ktoś im powiedział, że Anglicy dodają do niego roztarte szkło, żeby mordować dzieci.

Doortje spojrzała na niego z niechęcią i wręcz odrazą.

– A to jest jeszcze potrzebne? – spytała, nie kryjąc złości i wskazując na płaczącą matkę, której zmarłe dziecko właśnie wynoszono z namiotu otoczonego rojem much.

Były to pierwsze słowa, które usłyszał od Doortje od chwili ponownego spotkania w szpitalu, ale Kevin nie był w stanie się cieszyć. Dziecko zmarło na tyfus, a matka odmówiła oddania go do szpitala. I był to kolejny namiot, w którym może tkwiło ognisko zarazy – a być może to muchy prznosiły bakterie. Także insekty oraz ich ilość stanowiły poważny problem, z którym Kevin nie mógł się uporać. Muchy zlatywały się do brudnych naczyń, wabiły je także niemyte ludzkie ciała, czemu można było zapobiec jedynie poprzez dostarczanie odpowiednich ilości wody. Ale wody pitnej brakowało, a wodę do mycia wprawdzie można było przynosić z rzeki, ale było tam za daleko, a kobiety były przeważnie zbyt słabe. Prawie nie było mydła ani środków czystości i już Lindsey skarżył się z tego powodu. Jednak odpowiedzialne za to placówki zaopatrzeniowe nie reagowały. I odpowiednio do tego stan higieny w obozie był fatalny – kobiety nie były w stanie utrzymać w czystości ani siebie i dzieci, ani też odzieży. Ta ostatnia też szybko się niszczyła, jeśli miało się ją na sobie stale. Kevin słyszał, że w Karenstad nikt się nie rozbierał do snu.

– Ludzie śpią na ziemi – wyjaśnił Cornelis, który był tak samo jak Kevin przerażony, kiedy przydzielono mu miejsce, gdzie miał zamieszkać. – Większość z nich nie ma nawet żadnego przykrycia na noc. I jest zimno, jeśli ktoś się rozbierze. Nie mówiąc o wstydzie – bo jak się rozbierać przy obcych w namiocie...

Kevin skinął głową i zażądał koców oraz płacht namiotowych, aby można było przedzielić namioty i zapewnić rodzinom choćby minimum intymności. Pomógł także Vincent, oddając kilka końskich derek, i doradził, aby ich nie prać.

– Pchły nie lubią końskiego potu – stwierdził. – Może więc przyda się jakaś mała pomoc w walce z robactwem.

Kevin nie podzielał jego nadziei. Z przerażeniem stwierdził, że wszyscy nowi przybysze byli zapchleni i zawszeni. Czy robactwo gnieździło się w szparach wozów, na których transportowano ludzi, czy też może w kocach – tego nie wiedział. Może Burowie łapali je na weldzie. W każdym razie zarządził, aby wozy porządnie wyczyszczono, ale problemu to nie usunęło: w całym Karenstad roiło się od robactwa.

– Ale mamy przecież proszek na pchły – powiedział Kevin do Cornelisa. – I to w dużych ilościach. Tylko najwyraźniej nikt nie wie, jak go używać. Doktor Greenway trzymał to pod zamknięciem od czasu, gdy któregoś razu dwie kobiety dosypały tego dzieciom do jedzenia... Nie rozumiem tych ludzi... Oni przecież żyją w tym samym świecie co my, umieją czytać i pisać, ale...

– Oni odrzucają ten świat – odpowiedział krótko Cornelis. Młody mężczyzna był jeszcze bardziej zszokowany warunkami panującymi w obozie i oczywiście bardziej przejęty. Jego patriotyczna postawa utrzymywała się dotychczas w rozsądnych granicach, ale teraz jego wściekłość na Brytyjczyków rosła.

– Bur uczy się pisać i czytać tylko po to, aby czytać Biblię. Bur uprawia swoją ziemię tak, jak robili to jego przodkowie. Ziemia go żywi, kobiety utrzymują dom w czystości, a dzieci w zdrowiu tylko za pomocą domowych środków, o których dowiadują się od swoich matek. A jeśli dziecko mimo wszystko umiera, to taka jest wola boska. Tylko teraz tutaj...

Kevin machnął ręką.

– To z pewnością nie jest wola boska, co do tego chyba jesteśmy zgodni. Ale może uda się panu wytłumaczyć kobietom, jak należy dozować i stosować proszek na pchły. I jeśli o mnie chodzi, może pan w tym celu znaleźć odpowiedni cytat nawet w Biblii...

Cornelis się uśmiechnął.

– „Lecz oddzielę w tym dniu ziemię Goszen, którą zamieszkuje mój lud, a nie będzie much, abyś wiedział, że Ja, Pan, rządę w całym kraju”. Księga Mojżeszowa.

Kevin skinął głową.

– Wspaniale, już myślałem, że chodzi o jakiś boski wynalazek. Niech więc pan przyniesie ten proszek i weźmie się do roboty.

Cornelis ruszył w stronę szpitala, a Kevin odetchnął. To była mądra decyzja, aby zabrać tu Cornelisa Pienaara. Młody mężczyzna odnalazł się tu lepiej, niż Kevin się spodziewał. Nie potrzebował specjalnych wyjaśnień co do niebezpieczeństwa, które zagrażało mu w obozie – znał swoich rodaków. Kulał więc przesadnie i udawał, że prawe ramię ma niemal bezwładne. Nie mógł więc walczyć dalej na froncie, a ponieważ twierdził, że został znaleziony przez Brytyjczyków ranny i nieprzytomny, darowano mu fakt, że przeżył ostatnią walkę. I kobiety nawet trochę matkowały Cornelisowi – przynajmniej do chwili, w której Kevin odnalazł Bentje van Stout. Matka Doortje podejrzewała Cornelisa o fraternizację z wrogiem i o to, że nie był ranny. A Doortje nawet nie chciała go widzieć. Kevin zakładał, że się wstydziła – i czuł wściekłość wobec prześladowców Doortje i Johanny.

– Zaraz będziemy na miejscu – zwrócił się do obu kobiet. – Wasza matka mieszka w namiocie bliżej rzeki, ale nie urządźcie się tam na stałe, będziemy przenosić to osiedle. Karenspruit przy każdym deszczu występuje z brzegów i...

– Urządzimy się tam i będziemy mieszkać tak długo, aż uwolnią nas nasi mężowie – odpowiedziała Doortje spokojnie. Wydawało się, że powoli wraca do siebie, a widok warunków panujących w obozie obudził w niej ducha przekory. Kevina przerażała jednak jej uwaga. Najwyraźniej nie wiedziała o śmierci ojca i Martinusa de Groota.

– Gdzie jest moja matka? – spytała.

Kevin zastał Bentje van Stout przed jej namiotem, otoczoną gromadką dzieci.

– I nie myślcie, że dzieci się ukrywały i chowały głowy pod koce! Nie, one odważnie spacerowały po obozie i przynosiły swoim ojcom wodę i jedzenie, aby ci nabrali sił do dalszej walki, i kiedy Kafrowie znów zaatakowali, dzieci stały za nimi i ładowały ich broń...

Kevin potarł czoło. Bentje van Stout wpatrywała się niewidzącymi oczami w nicość, ale w jej głosie słychać było dumę, kiedy opowiadała dziecięcej publiczności historię Wielkiego Treku, co tylko umacniało malców w nienawiści. Oczy dzieci błyszczały jednak od gorączki. Także najmłodszy syn Bentje, który tulił się do jej rąk, sprawiał wrażenie chorego.

– Mamo!

Kevin odwrócił wzrok, kiedy Doortje i Johanna witały matkę. I dostrzegł, że Johanna patrzyła nie na Bentje, ale gdzieś obok, podobnie jak patrzyła na lekarzy. Coś się w tej dziewczynie załamało. Kevin westchnął.

– Doortje – powiedział łagodnie, zanim się pożegnał. Z trudem się na to odważył, bo spojrzenie Doortje było pełne goryczy i wściekłości, kiedy zobaczyła prymitywny namiot matki i braci, gdzie teraz miały zamieszkać także ona i Johanna. Kevin chciał coś wyjaśnić, ale jak miał się do tego zabrać? Odczuwał głęboki wstyd, ale i rozpaczliwą miłość do tej młodej kobiety, która mimo wszystko nie opuściła głowy.

– Doortje, jeśli stan Johanny się nie poprawi... musi ją pani przyprowadzić do szpitala. Coś z nią jest nie w porządku, Może... może ona potrzebuje dodatkowych badań albo lekarstw... – Kevin nie za bardzo wiedział, co należało robić w takich wypadkach, ale Johanna potrzebowała przynajmniej ciągłego nadzoru. Nie przejawiała żadnej inicjatywy, po prostu nie robiła nic, a w pierwszych dniach w szpitalu trzeba ją było nawet karmić. Teraz jadła już zupę z miski, o ile wciśnięto jej łyżkę do ręki. Jeżeli stawiano jedzenie na stole, siedziała nieruchomo i nie jadła.

– Ma wszystko, czego potrzebuje – oświadczyła krótko Doortje. – Czyż nie tak mówi się o tych obozach? Że powodzi nam się lepiej niż na naszych farmach. Opieka jest tu wspaniała, czujemy się świetnie...

Kevin się odwrócił i odszedł bez słowa.

W czasie kolejnych kilku dni nie słyszał nic o rodzinie van Stout – i walczył z pragnieniem spotkania Doortje, aby choć zobaczyć, jak radzi sobie ona i jej rodzina. Miał na szczęście dość pracy, ale często ogarniała go rozpacz. Jeśli tylko próbował poprawić warunki bytowe w obozie, to wszystko rozbijało się albo o przepisy, albo o niechęć brytyjskich placówek zaopatrzeniowych. Albo też o niechęć samych więźniów, którzy nie byli skłonni do współpracy choćby w najmniejszym stopniu. Kevin skarżył się na racje żywnościowe, które uważał za zupełnie niewystarczające. Nie było przydziałów tłuszczu, mięso było łykowate i pełne kości – dałoby się ugotować z niego zupę, ale brakowało wszelkich warzyw, dostarczano jedynie niewielkie ilości ryżu i ziemniaków, a czasami tylko mąkę, z której można było robić podplomyki. Nie było też mleka dla dzieci, najwyżej skąpe przydziały mleka skondensowanego, które należało rozcieńczać wodą pitną – jeśli było jej pod dostatkiem. I tu udało się Kevinowi czegoś dokonać – znów z pomocą weterynarza Vincenta i kilku kawalerzystów. Powyżej obozu wojskowego było i źródło, i kilka potoków z dobrą, czystą wodą – w przeciwieństwie do pełnej szlamu wody z rzeki koło obozu. Wodę przywożono do miejscowości wozami cysternami, a Vincent kilka z nich kierował do obozu kobiet. Jednak rodziny musiały przynieść ją sobie same, a jeżeli matka leżała chora, zwykle przekraczało to możliwości dzieci. Cornelis przez pół dnia nosił wiadrami wodę dla najbardziej potrzebujących rodzin, ale w obozie mieszkało prawie tysiąc pięćset osób. Niepodobna było pomóc wszystkim. Także inne próby Kevina zmierzające do poprawy warunków były bezowocne. Bezskutecznie poszukiwał pomocnic ochotniczek do szpitala. Czy była to przekora, lęk przed zarażeniem czy też nieufność wobec nowoczesnej medycyny – dość, że nie zgłosiła się żadna z mieszkających w obozie kobiet. Rosła za to liczba chorych. Cornelisowi udawało się czasem przekonać kobiety, aby powierzyły siebie albo swoje dzieci opiece doktora Greenwaya. Ale lekarz nie był w stanie sam zaopiekować się czterdziestoma chorymi. W końcu pomógł lekarz garnizonowy z Karenstad, przysyłając trzech doświadczonych hinduskich pielęgniarek. Choć co prawda ci też nie mogli zbyt wiele pomóc. Kobiety reagowały histerycznie, jeśli mężczyźni – i w dodatku kolorowi – choćby tylko próbowali je dotknąć.

– Gdzie są właściwie czarni? – spytał któregoś wieczoru Kevin. Po obchodzie w szpitalu zaprosił doktora Greenwaya do siebie. Obaj lekarze siedzieli zmęczeni w fotelach w dawnym luksusowym salonie Lindseya, teraz mocno zaniedbanym. Kevin nie miał czasu sprzątać. Za to zapasy whisky wydawały się niewyczerpane. Kevin zaczął ją stosować jako lekarstwo. Przypomniawszy sobie opowieści swojej matki o podróży statkiem z Londynu do Australii – lekarz okrętowy kazał nacierać chorych mężczyzn dzinem.

– Cała służba tych ludzi, oni przecież należeli niejako do rodziny. O ile wiem, nie ma tu szczepów, do których mogliby wrócić. A tam były też kobiety...

Greenway wypił duży łyk.

– Nikt panu nie mówił? – spytał. – Czarni mają swój obóz niecałą milę w górę rzeki. On także podlega panu.

– Co takiego? – spytał Kevin przerażony. – I mówi mi pan o tym dopiero teraz?

Greenway przepaszającym gestem uniósł rękę.

– Myślałem, że Lindsey panu o tym powiedział. Albo dowództwo...

– I nie dziwił się pan, że w ogóle mnie tamten obóz nie interesuje?

Kevin jednym haustem opróżnił szklanekę i nalał sobie znów whisky.

Greenway wzruszył ramionami.

– Lindsey też się nim nie zajmował. Myślę, że był tam tylko raz. A ja... O nieba, wie pan, ile mam tu zajęć...

Kevin skinął głową, starając się zachować spokój.

– Jakże panują tam warunki? – spytał.

Greenway przełknął z trudem ślinę.

– Pod pewnymi względami lepsze, pod pewnymi gorsze niż tutaj... tam jest... inaczej...

– Co to znaczy inaczej? – Kevin chciał dowiedzieć się wszystkiego już teraz.

– Czarni nie dostają przydziałów żywności. Muszą na to zapracować. Albo wolno im pracować, zależy, jak na to spojrzeć. Jeśli rodzina ma jakiegoś żywiciela, który pracuje, albo jeśli kobiety uprawiają warzywa, to są w stanie się utrzymać. Tam jest też więcej mężczyzn, wielu przyszło do obozu dobrowolnie, nie zmuszano ich tak jak Burów. Oni niekiedy współpracują z załogą. W pobliżu czarnych oddziały burskie nie mają żadnych szans, dlatego też osiedla się ich koło linii kolejowych. Najgorzej powodzi się rodzinom, które składają się tylko z kobiet i dzieci. Zwłaszcza w tych obozach, w których osadzono ludzi z różnych szczepów. I ci nie są zbyt przyjaźnie nastawieni do sąsiadów, a nie mają z czego robić prezentów. I rodziny głodują – umieralność w obozach czarnych jest o wiele wyższa niż u białych.

– A przyczyną jest także brak opieki lekarskiej – zauważył Kevin. – Pojadę jutro w górę rzeki. Muszę to zobaczyć.

– Doktorze Drury! – Kevin i Greenway obrócili się gwałtownie, słysząc głos Cornelisa. W obozie od dawna panowała cisza nocna, czego zwykle przestrzegano. Także dlatego, że było tam tylko kilka gazowych lamp i latarek.

– Proszę wybaczyć moje wtargnięcie, wołałem, ale pan nie słyszał.

Kevin wyrozumiale skinął głową.

– Co się dzieje? – spytał.

Cornelis opuścił głowę.

– Chciałem prosić o kilka latarek. Musimy... obszukać obóz, bo zaginęła jedna dziewczyna.

Kevin się poderwał, ale Greenway spokojnie potarł czoło.

– Młody człowieku, jeśli ona jest w obozie, to znajdzie się jutro. Wiem, że kobiety nie chcą o tym wiedzieć, ale... wśród tych surowych chrześcijanek są takie, które... no, które za mydło albo jedzenie...

Cornelis popatrzył na niego surowo.

– Które się prostytuują, to ma pan na myśli? – spytał z wyraźną złością. – Może tak jest, sir. Ale nie w tym wypadku. Ta dziewczyna to Johanna van Stout.

Kevin poczuł niemal zawrót głowy. Obawiał się czegoś takiego, do cholery, należało tę dziewczynę zostawić szpitalu!

Zrezygnowany wziął do ręki kurtkę.

– Idę z panem – powiedział. – Proszę zaalarmować strażników, doktorze Greenway, niech zorganizują grupy poszukiwawcze. Zadzwońię do miasta, może uda mi się skontaktować z moim przyjacielem.

Połączenie telefoniczne było nowością, która wprawdzie ludziom w obozie niezbyt się przydawała, ale przynajmniej nic nie kosztowała, a Kevinowi ułatwiała komunikację z placówkami wojskowymi i składami zaopatrzeniowymi w mieście. Prawie zawsze udawało mu się skontaktować z Vincentem, weterynarz w razie konieczności był zawsze gotów pomóc.

– Doktor Taylor z pewnością będzie mógł zwerbować dodatkowych ludzi. Ale myślę, że szukanie w obozie niewiele da... Chodźmy nad rzekę...

Rzeka wyrzuciła zwłoki Johann van Stout następnego dnia poniżej obozu – natknął się na nie żołnierz w czasie patrolu. Na ciele nie było żadnych śladów przemocy, co nie przeszkodziło Bentje van Stout oskarżyć strażników obozu o morderstwo.

– Jeden z tych przeklętych Tommych zepchnął ją do rzeki! My jesteśmy wierzącymi chrześcijanami! Moja córka nigdy by nie...

Bentje krzyczała i szlochała, przy czym utrata córki przerażała ją chyba w tym samym stopniu co podejrzenie, że Johanna popełniła samobójstwo.

– Ale to jest wykluczone, *mevrouw* van Stout. Brzeg tutaj opada do wody łagodnie i nie ma po prostu z czego kogoś zepchnąć.

Kevin mówił do kobiety bezradnie, ale ona w otoczeniu sąsiadów oddawała się swojej rozpacz. W końcu lekarz zwrócił się do Doortje:

– Miss van Stout, może to pani wyjaśnić swojej matce? To tragedia, wiem, ale Johanna nie została zamordowana... To nie było morderstwo, ona...

Doortje odwróciła w jego stronę twarz bez śladu łez – tak bladą, że niemal białą jak śnieg.

– Johanna była zbyt słaba, aby żyć z hańbą – powiedziała twardo. – Tylko Bóg może jej wybaczyć. Ale jeśli On wybaczy temu, kto jej to zrobił... nie wczoraj w nocy, doktorze Drury... mam... ale tamtej nocy na weldzie... Jeśli On mu przebaczy, to... – młoda kobieta zacisnęła pięści.

Kevin zmusił się do spokoju. Nie pragnął w tej chwili niczego więcej, jak wziąć w ramiona Doortje van Stout.

– On chyba nie tak szybko stanie przed swoim Bogiem – powiedział w końcu tak twardo, jak tylko był w stanie. – Chyba że pani zgodzi się przeciwko niemu zeznawać. Wówczas będzie wisiał.

Doortje zagryzła wargi. I milczała.

ROZDZIAŁ 6

Atamarie w głębi ducha była przekonana, że Richard Pearse ją kocha, ale musiała też przyznać, że raczej nie było na to dowodów. Od chwili kiedy Richard opuścił uniwersytet po wyprawie jesienią ubiegłego roku, widziała go tylko raz. Miał coś do załatwienia w Christchurch i przy tej okazji odwiedził profesora Dobbinsa – i był w urzędzie patentowym! Atamarie cieszyła się jak zwariowana, kiedy profesor pod pieczęcią tajemnicy zdradził jej, że Richardowi w końcu się udało. Patent, o który wystąpił, dotyczył roweru – wyjątkowo lekkiego modelu z bambusową ramą, przerzutką do zmiany biegów i hamulcami w pedałach. Dobbins opowiadał Atamarie, że Richard interweniował w tej sprawie właśnie u niego.

– Czy on do pani o tym nie pisał? – spytał profesor zaskoczony, widząc jej radość. – Przecież koresponduje pani z nim, czy też... a może coś źle zrozumiałem?

Atamarie pośpieszyła z zapewnieniem, że Richard pisze regularnie – choć co prawda zaczął to robić dopiero w ostatnich miesiącach. Po wyprawie pod Mount Taranaki wymienili tylko dwa listy, a te od Richarda były krótkie i właściwie nic niemówiące. Ale oczywiście była to pora żniw, może po prostu nie miał czasu, a też nie bardzo miał o czym pisać. Wiedział przecież, że ona nie interesuje się pracą na farmie, podobnie zresztą jak on sam. W każdym razie Atamarie się obawiała, że on o niej zapomniał – do chwili kiedy otrzymała dość euforyczny list, w którym Richard pisał o swoim nowym warsztacie. Urządził go w szopie i koncentrował się teraz na dążeniu do zbadania nowych technik. Atamarie odpowiedziała przyjaźnie – i od tej chwili nie mogła się uskarżać na brak poczty. Richard donosił o swoich planach budowy roweru i szczegółowo opisywał każdą próbę, wszystkie postępy i niepowodzenia. Atamarie fachowo komentowała sprawę, przedstawiając swoje propozycje. Jedną z nich była zamontowana na stałe pompka do opon roweru.

– Zakładam, że chciał mi zrobić niespodziankę – powiedziała w końcu.

Odwróciła wzrok, czując na sobie badawcze spojrzenie profesora. Dobbins potarł policzek – był to gest, który u niego zawsze oznaczał niepewność. Czy było coś, o czym jeszcze chciał pomówić? Czy może lekceważył związek Atamarie i Richarda? Ale Canterbury College to nie było seminarium nauczycielskie! A w Taranaki Dobbins wydawał się przecież aprobować jej stosunek do Richarda.

– Czy on... zajrzy tu dzisiaj?

Atamarie wiedziała, że kompromituje się tym pytaniem, ale jeśli Richard był teraz w Christchurch, to chciała go zobaczyć! I tak niedobrze, że w ogóle nie dał jej znać.

Dobbins skinął głową.

– Z pewnością, Miss Turei – odpowiedział, ale zabrzmiało to dość niechętnie. – Powiedziałem mu... ehm... on chce... on potem po panią przyjdzie. Żeby coś z panią uczcić.

Atamarie się rozpromieniła i rzeczywiście Richard czekał na nią przed bramą szkoły. Co prawda na powitanie pocałował ją tylko w policzek, ale publicznie tak przecież było lepiej. I wyraźnie się cieszył z jej obecności, zaprosił ją na kolację i po dwóch butelkach wina znów trzymał ją za rękę, kiedy odprowadzał ją do domu. Rowerowy patent już mu jednak tak nie imponował – Richard przez cały wieczór mówił o swoim nowym, bardzo ambitnym projekcie: samolot.

– Ale nie szybowiec, Atamarie, tylko samolot o napędzie śmigłowym. On musi...

– On musi latać bez wiatru! – roześmiała się Atamarie. – Zawsze przecież o tym mówiłam. Jedno- czy dwupłatowiec?

Dyskutowali jeszcze o wszystkich możliwych wadach i zaletach, kiedy szli wolno brzegiem rzeki Avon do jej mieszkania. Atamarie była szczęśliwa, a właściwie prawie szczęśliwa. Inne parki, które

spotykali, nie tylko trzymały się za ręce. Mężczyźni obejmowali ramieniem dziewczyny, a one przytulały się do nich. Atamarie wobec tego przysunęła się bliżej do Richarda, a on natychmiast zrozumiał. Przyciągnął ją do siebie, nie przestając mówić o energii napędu i wielkości śmigłowca.

– Dwadzieścia pięć koni mechanicznych. Myślę o dwudziestu pięciu koniach. Myślisz, że to wystarczy? A może przesadziłem? Żeby maszyna nie wymknęła się spod kontroli...

Zatrzymali się przed domem Atamarie i Richard sprawiał wrażenie dziwnie bezradnego. Atamarie objęła go rękami za szyję.

– To nic złego, jeśli coś trochę wymyka się spod kontroli – stwierdziła, popatrzyła na niego i rozchyliła wargi.

Richard Pearse wahał się przez chwilę, ale potem ją pocałował.

Atamarie tańczyła, wbiegając po schodach do domu. On ją kocha! Oczywiście, że ją kocha. I może było to bardzo rozsądne, że nie zabrał jej do swojego hotelu. W małym rodzinnym pensjonacie rzuciłoby się to w oczy! I byłoby naprawdę nieprzyjemnie, gdyby ktoś ich nakrył. Chociaż... nie, o tym lepiej było nie myśleć! Atamarie kontrolowała swojego ducha wynalazczości – pod każdym względem bardzo pomysłowego. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Richard może miał jakieś powody, aby nie zaprosić jej do siebie tej nocy.

Ale teraz, kiedy uniwersytet na lato został zamknięty, miała dość. Atamarie była zdecydowana odwiedzić przyjaciela. Istniało połączenie kolejowe z Christchurch do Timaru, a z Timaru jakoś pojedzie dalej. Do farmy Richarda koło Temuka było tylko trzynaście albo czternaście mil. Na pewno znajdzie się jakaś możliwość podwózki. Oczywiście Richard też mógłby ją odebrać – Atamarie się zastanawiała, czy ma mu o tym napisać. Ale może on wtedy zacznie się wykręcać i znajdzie wymówki – jak na przykład ta sprawa z przyzwoitką. Wszystko wskazywało na to, że Richard mieszka sam na swojej farmie, dziewczyna skompromitowałaby się więc, odwiedzając go w domu, a już zwłaszcza nocą. Atamarie było jednak wszystko jedno – jeśli chodziło o seksualność, to czuła się bardziej Maoryską i przestrzegała zasad moralności *pakeha* tylko po to, aby nikomu nie podpaść. W Christchurch publicznie zachowywałyby się powściągliwie, ale na samotnej farmie, gdzieś na wsi w dystrykcie Waitohi – tam Atamarie mogła robić, co tylko chciała. Cieszyła się na bycie tylko we dwoje – i była przekonana, że Richard będzie widział to tak samo, jeśli tylko przewycięży swoje opory. I tym razem nikt nie będzie im przeszkadzał w ich miłości!

Atamarie wsiadła więc w Christchurch do pociągu jadącego do Dunedin – Timaru było akurat po drodze i stamtąd będzie mogła pojechać prosto do swoich dziadków. Był właśnie niezwykle piękny, jasny dzień, pokryte śniegiem wierzchołki Alp Południowych wydawały się tak bliskie, że można było ich niemal dotknąć. Atamarie nie robiła tu sobie żadnych iluzji. Wiedziała, że między linią kolejową a górami całymi milami ciągnęły się trawiaste łąki – rozległe wyżyny Canterbury Plains. Teraz, latem, trawa *tussock* sięgała kolan i falowała na wietrze jak zielonobłękitne morze. Atamarie rozmyślała o podróży pociągiem z Richardem i o budowie mostów na Wyspie Północnej. Na Wyspie Południowej budowa torów kolejowych napotykała mniejsze trudności, dlatego też tutejsze linie kolejowe należały do najstarszych w Nowej Zelandii.

Atamarie dotarła do Timaru późnym popołudniem. Była ciekawa tego miasta, bo choć tyle razy przez nie przejeżdżała, to jeszcze nigdy tu nie wysiadła. Słyszała jednak, że okolica jest pagórkowata, co było dość niezwykle jak na nizinne i płaskie tereny Canterbury Plains. Richard jeszcze w czasie pomiarów w regionie Taranaki opowiadał o swoim mieście, że zostało zbudowane na aglomeracie wulkanicznym. Jednak miejscowy aglomerat różnił się od tego, który oglądali w Taranaki. Ponoć w czasie deszczu miał niebieskawy połysk, widok miasta był więc dość niezwykle, jako że wiele domów zbudowano właśnie z miejscowego kamienia o tym zabarwieniu. Teraz jednak świeciło słońce i małe

miasto sprawiało wrażenie całkiem zwyczajnego i swojskiego, jak wiele mu podobnych na Wyspie Południowej. Atamarie pospacerowała trochę wzdłuż nabrzeża portowego, a potem przez miasto. I w końcu wpadła na mądry pomysł, aby zapytać o możliwość podwózki w okolicy farmy Richarda w sklepie z towarami mieszanymi. Zarządzająca nim kobieta, okrągła, sympatyczna lady, spojrzała najpierw nieco zdziwiona na dziewczynę z plecakiem, ale za chwilę uśmiechnęła się przyjaźnie.

– No, to ma pani szczęście, dziewczyno. Widzi pani ten wóz na dworze? To jest sąsiad Pearse'ów. On może panią zabrać. To Toby Peterson – proszę po prostu zaczekać, zapytamy go zaraz, kiedy przyjdzie tutaj płacić.

Toby Peterson, wysoki, chudy mężczyzna w typowym, znoszonym ubraniu farmerskim, ładował właśnie na swój wóz worki z paszą. Atamarie miała nadzieję, że pozwoli jej jechać obok siebie na koźle. Miała na sobie śliczny kostium podróżny i niechętnie usiadłaby w nim na zakurzonych workach. Najpierw jednak musiała zaspokoić ciekawość żony kupca. Ona oczywiście знаła Pearse'a i wprost płonęła chęcią, aby dowiedzieć się czegoś o tej ślicznej dziewczynie z niekonwencjonalnym bagażem.

– Ale nie należy pani do jego rodziny – zaczęła swoje przesłuchanie ukryte pod maską zwykłej, towarzyskiej rozmowy. – Pearse'owie mają wiele dzieci, ale żadne z nich nie ma takich blond włosów jak pani.

Atamarie przez chwilę rozważała opcję podawania się za kuzynkę, ale właściwie nie miało to sensu. Kuzyn i kuzynka też się kompromitowali, jeśli spędzali ze sobą noc. Młoda kobieta potrząsnęła głową i opowiedziała otwarcie i szczerze, skąd znała Richarda.

– Ja studiuje nauki inżynieryjne, wie pani? Tak jak Richard.

I ku zaskoczeniu Atamarie nie usłyszała komentarza na temat niezwykłego jak na dziewczynę kierunku studiów. Zamiast tego kobieta zaczęła opowiadać o Richardzie.

– Tak, tak, on zawsze miał głupstwa w głowie, ten Dicky Pearse... Znamy ich wszystkich dobrze, Sarah Pearse pracowała tutaj, wie pani. A Digory ma ten dom w Trewarlet, to wielka posiadłość na wyżynie Waitohi, bardzo urodzajna ziemia... No i przyjechał tu kiedyś na zakupy, zobaczył Sarah i zaiskrzyło... I mają dziewięćdziesięć dzieci! Czego to życie nie robi z człowiekiem...

Atamarie pokiwała głową, choć ta historia nie wydała jej się wcale tak niezwykła: pewien gospodarz i sprzedawczyni poznali się w sklepie z towarami mieszanymi. Na wiejskich obszarach Wyspy Południowej ciągle brakowało kobiet, a dobre dwadzieścia lat temu zapewne było gorzej. Młoda Sarah mogła więc wyszukać sobie męża i bez wątpienia zdecydowała się na tego farmera, który posiadał więcej ziemi niż inni. Choć co prawda ta historia różniła się nieco od opowieści Richarda. Zgodnie z tym, co mówił, farma Pearse'ów uchodziła raczej za posiadłość średniej wielkości i w żadnym wypadku nie była to wielka własność ziemiska. Nie pasowało to też do finansowych możliwości rodziny. Jeśli rzeczywiście należała do nich połowa wyżyny Waitohi, to byłiby w stanie sfinansować Richardowi studia.

– I Richard przejął tę farmę? – spytała nieco skonsternowana.

Do dziś nie rozumiała za bardzo wszystkich okoliczności i przyczyn, dla których młody uzdolniony technik chciał koniecznie zostać farmerem.

Żona kupca się roześmiała.

– Nie, nie, dziecko, Pearse'owie nie są jeszcze tacy starzy. Dickowi podarowali inną farmę, położoną trochę poza Temuka. Bardzo to było wielkoduszne, czterdzieści hektarów i dom też już tam stoi. Teraz musiałby sobie znaleźć żonę i zacząć prowadzić bogobojne życie.

Kobieta spojrzała na Atamarie badawczo, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy ona nadaje się do takiego życia. Atamarie niewinnie popatrzyła jej w oczy.

– Ja myślę, że Richard wolałby zostać inżynierem – stwierdziła. – Wynalazcą...

Odpowiedzią był znowu śmiech.

– No, mówię przecież... jemu w głowie tylko zwariowane pomysły, rodzice byli zrozpaczeni. I to już szkole... Marzył w czasie lekcji i budował przeróżne małe aparaty, na których nikt się nie znał. Jego brat Tom jest zupełnie inny. Wie, czego chce, mądry, studiuje medycynę w Christchurch, wie pani? Będzie kiedyś doktorem!

Brzmiało to tak dumnie, jak gdyby ów fantastyczny Tom Pearse był jej własnym synem. Atamarie powoli zaczynała rozumieć. To nie było tak, że rodzice Richarda nie mogli czy też nie chcieli wesprzeć studiów syna – oni jedynie nie zgadzali się na wybór kierunku. Czterdzieści hektarów ziemi – gdyby to sprzedać, to można było sfinansować trzy lata studiów! Zastanawiała się, dlaczego Richard sam dotychczas nie wpadł na ten pomysł.

Ale Toby Peterson wszedł właśnie do sklepu i przerwał potok słów żony kupca, wyraźnie zadowolonej z możliwości poplotkowania. Atamarie ukradkiem obserwowała go z boku i doszła do wniosku, że budzi zaufanie. Żona kupca też nie miała żadnych obaw i od razu poleciła jego opiece młodą kobietę.

– Tobbs, ta mała lady chce się dostać do Dicky'ego. Ona też jest tą inż... inżynierem. Możesz ją zabrać?

Mężczyzna obdarzył Atamarie szerokim uśmiechem.

– No, jak ode mnie nie odleci po drodze! – zażartował dobrodusznie. – Albo na moim wozie nie wysadzi czegoś w powietrze... Mamy już sporo doświadczeń z wynalazkami, *missy*. Żeby mi pani psa nie spłoszyła.

Pies, sympatyczny i bardzo przyjazny collie, natychmiast skoczył na Atamarie. Dziewczyna pogłaskała go, a zwierzę przytuliło się do niej ufnie.

– On się boi strzałów – dodał Mr Peterson.

Atamarie się roześmiała.

– Obiecuję nie strzelać i niczego nie wysadzać w powietrze – oświadczyła i podniosła rękę jak do przysięgi. – A latać też nie umiem, bo wtedy nie szukałabym podwózki.

Mr Peterson skinął głową.

– To niech pani wdrapuje się na kozioł – powiedział. – Ja tu jeszcze zapłacę i potem ruszamy. Do farmy Richarda jest około czternastu mil, zdążymy przed zmrokiem.

Drogi wokół Temuka były zakurzone po kilku bezdeszczowych dniach, ale były też bardzo uczęszczane i można było poruszać się naprawdę szybko. Mr Peterson okazał się sympatycznym towarzyszem podróży. Opowiedział Atamarie wszystko, co wiedział o dystrykcie Waitohi, gdzie – znów inaczej, niż opowiadał Richard – głównie hodowano owce.

– Pewnie, mamy też trochę pól, Pearse'owie nawet tylko tym się zajmują, jakoś nie lubią owiec. A przecież przy takiej ilości ziemi... Mówiłem to Cranky z dziesięć razy.

– Cranky? – spytała Atamarie, marszcząc czoło.

Peterson z zakłopotaniem dotknął róna kapelusza.

– Och, *sorry*, proszę się nie złościć, zwykle mówimy „Dick”. Niektórzy mówią „Mad Dick”, ale to trochę nie fair. On przecież sporo potrafi. Rok temu zepsuł mi się płóg, a on naprawił i jeszcze wymyślił świetne usprawnienie. Trzymało się to dwa tygodnie... Ale nie szkodzi, potem sprzedałem kilka owiec i mogłem sobie już kupić nowy. Stary dałem Dickowi, on zbiera różne rzeczy. Próbuje zrobić z tego coś naprawdę wielkiego, jakieś motory i takie tam. Z końmi też jakoś... W każdym razie u niego na farmie jest pełno takiego złomu... Ale poza tym to miły facet. A co pani zamierza wobec niego? To coś poważnego?

Atamarie nie mogła się nie roześmiać. Bawiła ją otwartość farmera, ale też było w niej coś miłego.

Było to o wiele przyjemniejsze niż ostrożne pytania żony kupca.

– Nie wiem jeszcze – wyznała. – Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

Peterson zachichotał.

– W to akurat uwierzę natychmiast. On nigdy nie rozmawia o czymś normalnym. I jeśli w ogóle mówi, to tylko o tych technicznych rupieciach. Stale z głową w chmurach...

– Bo on chce kiedyś latać – broniła Atamarie przyjaciela. – Nie ma nic złego w takim założeniu.

Peterson potrząsnął głową.

– Ale nie jest to zbyt przyszłościowe. Wspomni pani moje słowa, ten człowiek zabije się kiedyś na tych swoich szalonych maszynach. Gdyby Bóg chciał, aby ludzie latali, to dałby im skrzydła.

Atamarie potrząsnęła głową – tak żarliwie, że Peterson spojrział na nią z prawdziwą troską. Nie mógł przecież wiedzieć, że tu chodziło także o jej własne marzenia.

– Ludzie kiedyś będą latać, Mr Peterson – powiedziała z przekonaniem. – Już teraz to robią, proszę pomyśleć o szybowcach Lilienthala, o balonach na uwięzi, o maoryskich *manu aute*... Legenda mówi, że Maorysi latali na tym już setki lat temu. Musimy tylko dojść do tego, jak można to robić bez wiatru. I tu wszystko przemawia za silnikami spalinowymi. Jak w autach...

Peterson lekceważąco machnął ręką.

– To też już było – mruknął. – Rok temu na Wyspie Południowej pewien człowiek po raz pierwszy przejechał się autem, co spotkało się w odpowiednim podziwem tłumów. Ale czy to się przyjmie?

Atamarie się uśmiechnęła.

– Mogłabym się założyć, że tak! – powiedziała.

I urwała nagle, zobaczywszy, że w ich stronę pędziło ze wzgórze coś wielkiego, o dziwnej konstrukcji. Owo coś ciągnęły cztery konie, które najwyraźniej były przerażone.

Peterson wydał okrzyk zaskoczenia i wrzasnął:

– Trzymać się!

Po czym błyskawicznie skierował własny zaprzęg tak, aby zjechać z drogi. Wóz zaczął niebezpiecznie podskakiwać, a collie ukrył łeb w spódnicy Atamarie. Ona sama uczepiła się poręczy siedzenia, ale równocześnie wpatrywała się zafascynowana w trzykołowe, obciążone lnianym płótnem monstrum, które turkoczając, jechało w ich kierunku. Ciągące je konie mogły się już uwolnić, Atamarie zakładała, że jakiś mechanizm w tej latającej maszynie uwolnił ich linki, kiedy tylko osiągnęła odpowiednią prędkość. I rzeczywiście, zwierzęta pognały na łeb na szyję w pole, a trzeszcząca, podobna do wielkiego latawca maszyna wykonała podskok, którego konsekwencją miało być wznoszenie się, ale jednak skręciła w bok i z hałasem wpadła w żywopłot.

Toby Peterson zatrzymał swój zaprzęg.

– Mówię, że to nie ma przyszłości – stwierdził z całym spokojem, kiedy Atamarie zeskoczyła z kozła i pobiegła w stronę urządzenia. Jedna z powierzchni nośnych obciążonych płótnem żeglarskim była oderwana, ale Atamarie od razu zauważyła, że przymocowano ją do stelaża tylko drutem, łatwo więc będzie ją naprawić. Przeraził ją jednak widok Richarda. Wynałazca wisiał na siedzeniu z twarzą zalaną krwią.

– Richard... Richard, słyszysz mnie? Coś złego? Mr Peterson! Proszę tu przyjść, bo potrzebujemy pomocy!

Ale Richard już się poruszył, najwyraźniej nie był ciężko ranny, główny problem polegał na uwolnieniu się z przykrego położenia.

– Tylko zadrapania – bronił się, kiedy Peterson spokojnie podszedł bliżej.

– Tylko spokojnie, mała lady, ten żywopłot jest miękki – stwierdził, kiedy zdenerwowana młoda kobieta próbowała pomóc lotnikowi wydobyć się z siedzenia. Richard, chwając się, zszedł z niego

wreszcie.

– To przecież nie pierwszy raz – dodał Peterson.

– Co? – spytała przerażona Atamarie i podparła przyjaciela. – Już to robiłeś? Czyś ty oszalał?

Richard wytarł rękawem krew z twarzy. Wyglądał rzeczywiście strasznie, ale jedynie zranił sobie dość poważnie stopę. Nie za bardzo mógł na niej stanąć.

– Muszę osiągnąć większą prędkość wznoszenia i przede wszystkim opanować ten silnik – wymamrotał. – Bo on pracuje nierówno, zacina się...

Atamarie chwyciła się ostentacyjnie za czoło, podobnie jak Peterson.

– Cranky – powiedział spokojnie farmer. – Zachowujesz się fatalnie. Tak nie wita się lady. Prawidłowo byłoby: Miss Turei, cóż za niespodzianka! Proszę wybaczyć mój niestosowny strój, ale oczywiście cieszę się niezmiernie, że panią widzę! Tak się mówi, Cranky, jeśli mężczyznę odwiedza dama!

Richard rzeczywiście sprawiał wrażenie, jak gdyby dopiero teraz zauważył Atamarie.

– Atami... ty... och, ja w ogóle... ja cię w ogóle nie widziałem. Ale oczywiście cieszę się, że jesteś... to jest... wspaniałe... ty...

Atamarie w ogóle go nie słuchała.

– Czemu on się zacina?

Uważnie obserwowała silnik.

– Może to zapłon?

Peterson przewrócił oczami.

– Widzę już, co was łączy – zauważył. – Chętnie bym was zostawił, żebyście mogli sobie poflirtować, ale obawiam się, Dick, że twoja matka mnie zamorduje, jeśli przestanę się o ciebie troszczyć. Stopa jest pewnie złamana. To gdzie chcesz jechać, Dick? Do lekarza czy do twojej *mommy*?

Richard sprawiał wrażenie, jak gdyby każda możliwość była zła. Atamarie też nie była zachwycona żadną z propozycji. Nie sądziła, że stopa jest złamana, wołałaby opatrzyć Richarda na miejscu i przejść do bardziej romantycznej części swojej wizyty, choć oczywiście nie miałyby nic przeciwko temu, żeby przedtem wyjąć silnik i go rozebrać. Była to najprawdopodobniej własna konstrukcja i Atamarie paliła się do tego, aby zanalizować problem.

– Możesz ruszać stopą? – spytała.

Richard skinął i od razu to zademonstrował.

– Dobrze, to jedziemy do twojej *mommy*! – zdecydował Peterson. – Miss, proszę wsiąść, a ja pomogę Dickowi. Albo chwileczkę, najpierw złapiemy konie.

Atamarie pomagała uspokoić zdenerwowane konie. Farma Richarda nie była daleko, mogli więc zaprowadzić zwierzęta pieszo do stajni i zdjąć im uprząż. Atamarie przerażała się trochę, kiedy mogła już spojrzeć na obejście. Nie przypominało ono w żaden sposób podwórek na farmach. Szopy i stajnie były zaniedbane i wymagały przynajmniej częściowej naprawy, kilka świń i kur spokojnie spacerowało między zardzewiałymi pługami i bronami, także częściami do rowerów i dziwnymi aluminiowymi konstrukcjami obciążniętymi żaglowym płótnem. Jedna z szop najwyraźniej pełniła funkcję hangaru, Richard budował tam zapewne swoje samoloty. W kącie ustawione były cylindry i wały napędowe, obok także stare puszki po papierosach i żelazne rury odpływowe. Atamarie próbowała zrozumieć dziwne, zmontowane z nich przez Richarda konstrukcje.

Peterson i jego pies, nie zwracając na nic uwagi, spokojnie przepędzili świnię i kury do zagrody, za nimi poszły też dwie kozy, głośno mecząc.

– To jedyne miejsce, które da się tutaj porządnie zamknąć – powiedział farmer, uzasadniając to, co zrobił. – Jeśli jeszcze znajdzie się dla nich trochę paszy...

Jedna z kur usadowiła się na jakiejś rurze. Atamarie wątpiła, czy takie zakwaterowanie będzie odpowiadało Richardowi.

– Jemu jest raczej wszystko jedno – skomentował to farmer. – Ale te bydlaki od czasu do czasu postanawiają sobie powędrować, a pół mili dalej jest mój dom i ogród mojej żony. Kozy Dicka odwiedziły ją już dwa razy i od tej pory ona nie wyraża się o nim dobrze. Bo kozy wolą żreć warzywa niż trawę i dokładnie wiedzą, gdzie co rośnie.

Atamarie westchnęła. Na Wyspie Północnej Richard wydawał się całkiem dobrze zorganizowany, utrzymywał też idealny porządek we wszystkim, co było związane z pomiarami. Ale tu wszystko go najwyraźniej przerastało. Chociaż to niweczyło jej plany, była jednak ciekawa jego rodziny. Czy oni też byli takimi beznadziejnymi farmerami?

Richard lamentował, że jego noga jest właściwie całkiem w porządku, ale Peterson nie słuchał i w czasie jazdy do Pearse'ów robił mu wyrzuty z powodu jego zwierząt.

– Wszystko to bardzo pięknie, to z tymi twoimi wynalazkami. Ale tak nie można prowadzić farmy! Czy znalazłeś już robotników na żniwa? Bo większość z nich już ma pracę, Dick. A ja nie mogę ci stale pomagać, muszę zająć się własnymi żniwami.

Richard nie odpowiadał, lecz wyraźnie zrozpaczony wpatrywał się w ziemię. Mogło to być związane także z tym, że w polu widzenia znalazła się już farma jego rodziców. Był to porządnie pomalowany i zadbane dom średniej wielkości, obok wiatrak, stodoły i młockarnie, zapewne przygotowane do żniw. Digory Pearse był najwyraźniej lepszym farmerem niż jego syn. I najwyraźniej obserwował teraz przyjazd syna. Bo w przeciwieństwie do farmy Richarda tu natychmiast zaczęły szczekać psy, a farmer zaraz wyszedł przed drzwi. Ojciec Richarda był wyższy, silniej zbudowany, miał ostre rysy i stanowczy wyraz twarzy. Delikatne rysy twarzy i kręcone włosy Richard musiał zapewne odziedziczyć po matce. I może także marzycielską, łagodną naturę. Digory sprawiał wrażenie człowieka skłonnego do nagłych wybuchów gniewu. I zaledwie zamienił kilka słów z Petersonem, niemal eksplodował.

– Co zrobiłeś? Znowu? Nie pojmuję, Dick, wkładasz wszystkie pieniądze w te bzdury i w końcu się zabijesz! Tego Cecila Woodsa dopadnę w przyszłym tygodniu, bo on jeszcze cię popiera w tym szaleństwie!

– Cecil Woods? – spytała Atamarie z zainteresowaniem. – Czy to nie on zbudował pierwszy silnik spalinowy w Nowej Zelandii?

Richard skinął głową i chciał coś odpowiedzieć, ale jego ojciec dopiero teraz dostrzegł młodą kobietę.

– Kim pani jest? Może tą Maoryską... ehm... dziewczyną, która dodatkowo nabija mu głowę bzdurami? Nie wygląda pani na miejscową, ale...

– To jest Atamarie Parekura Turei – przedstawił ją Richard z godnością. – Znamy się od czasów ekspedycji pod Taranaki.

– To jest jedyna dziewczyna, jaką Richard kiedykolwiek się zachwycił!

W tym o wiele bardziej sympatycznym głosie można było usłyszeć także ciekawość. Sarah Pearse także wyszła z domu i popatrzyła na wszystkich z uśmiechem. Rzeczywiście miała brązowe, mocno kręcone włosy i takie same brązowe oczy jak syn. – Cieszę się, że mogę panią poznać! Digory, nie odstraszaaj tej młodej kobiety, zaproś ją lepiej do środka. O nieba, Dicky, co ci się stało?

Peterson właśnie pomagał Richardowi zejść z kozła, a jego matka dostrzegła skrzywioną z bólu twarz syna oraz to, że kulął.

– Czy to znowu próba wzniesienia się w powietrze za pomocą tej piekielnej maszyny? Chodź, Dicky, obejrzę to, opatrzę ci stopę i... Niech pan poczeka, Mr Peterson, dam panu coś dla Joan,

w ramach małych przeprosin za te kozy... Dziś właśnie robiliśmy marmoladę... Jenny, przynieś słoiczek.

Ostatnie słowa skierowane były do chudej, może dwunasto- albo trzynastoletniej dziewczynki, która dotychczas przyglądała się całej scenie z wejścia do domu. Podobnie jak przynajmniej pięcioro pozostałych dzieci. Atamarie uśmiechnęła się do nich.

Sarah Pearse wydawała się należeć do gatunku wiecznie zapracowanych i sumiennych kobiet, które potrafiły robić wszystko naraz. Najpierw zadysponowała, aby Peterson zaprowadził Richarda do domu i znalazła tymczasem dla każdego dziecka jakieś zadanie, które związane było z przyjęciem gości. Jej mąż i Peterson bardzo szybko znaleźli się na tarasie, gdzie mogli spokojnie wypić po szklance lemoniady z jeżyn, a ona znalazła dzięki temu czas, aby zająć się Richardem.

– Proszę pójść ze mną! – zawołała, sadzając syna na krzesło i oglądając skaleczenie. – Zaraz to oczyścimy, a pani może potrzymać miskę z wodą...

Atamarie grzecznie robiła, co jej nakazano. Najwyraźniej matka Richarda sprawdzała jej wrażliwość, ale jeśli o to chodziło, to nie miała się czego obawiać. Bo wprawdzie Atamarie nieza bardzo interesowała się medycyną, ale mogła spokojnie patrzeć na krew. I nie zrobiła na niej żadnego wrażenia zabarwiona nią woda w misce, kiedy Sarah Pearse przemywała nogę syna kawałkiem gazy. Richard drgnął, kiedy posmarowała ranę maścią. Atamarie także się skrzywiła. Znała tę maść, jej dziadek opatrywał tym konie i owce – była piekąca jak ogień.

Sarah Pearse ściągnęła synowi but i skarpetę, aby zabandażować jego już spuchniętą stopę. Robiąc to wszystko, nie przestawała mówić.

– Musisz skończyć z tymi bzdurami, Dicky, wszyscy sąsiedzi już gadają, a mnie to boli, kiedy nazywają cię „zwariowanym Dickiem”. Popatrz, masz taką piękną farmę, mógłbyś coś z nią zrobić... i jaką śliczną dziewczynę znalazłeś.

Matka Richarda uśmiechnęła się ciepło do Atamarie.

– Musi mi pani koniecznie opowiedzieć więcej o sobie, Atamarie. Mogę tak panią nazywać? Nie byłam w stanie sobie pani wyobrazić, bo myślałam, że jest pani Maoryską. Ale to też by mi odpowiadało, wie pani? Jeśli mój Richard w ogóle znajdzie jakąś dziewczynę... to znaczy, mam na myśli to, że kobieta... że tak powiem, sprowadzi go na ziemię.

Richard rzucił Atamarie zrozpaczone spojrzenie, ale ona była zbyt uradowana wieścią, że on o niej marzył, aby martwić się tym, że Mrs Pearse już niemal widziała w niej gospodynię na zaniedbanej farmie Richarda.

– I oczywiście zostanie pani na kolacji, Atamarie... żadnych sprzeciwów, chciałabym panią poznać. Łóżko też dla pani znajdziemy, nie może pani przecież wracać do Timaru. Dicky, ciebie także dziś zatrzymamy na noc. Jeśli będzie trzeba, to Joe weźmie konia i pojedzie nakarmić twoje zwierzęta.

Atamarie przełknęła ślinę. Mrs Pearse chciała ją wyswatać, ale dokładnie według zwyczajów *pakeha*. Jeśli tak to będzie wyglądać dalej, to teraz także nic nie wyjdzie z miłości – i oglądania silnika na farmie Richarda... Atamarie nie była pewna, co ją bardziej pociągało. Teraz jednak uśmiechała się grzecznie do Mrs Pearse, podziękowała za zaproszenie i pomogła nakryć do stołu. Tak jak się spodziewała, Sarah Pearse była też wspaniałą kucharką, która miała tyle jedzenia, że starczyłoby dla całego pułku, i nie zaskoczyłaby jej dowolna liczba gości. Atamarie teraz dopiero poczuła, jak bardzo jest głodna. Mrs Pearse z zadowoleniem patrzyła, jak dziewczyna nakłada sobie na talerz ziemniaki, fasolę i mięso i je z wilczym apetytem. Za to Richard mało co jadł i prawie nic nie mówił w czasie kolacji. Nieudana próba lotu najwyraźniej mocno go przygnębiła, podobnie jak rozmowa przy stole, w czasie której najpierw znów poruszano sprawę „głupstw w jego głowie”, po czym zajęto się równie niemłym tematem żniw i siewu. Mr Pearse egzaminował syna, podobnie jak przedtem Peterson, i nie

był zadowolony, kiedy Richard odpowiadał milczeniem na jego pytania o pomocników przy żniwach i konserwację maszyn. Nie szczędził słów, komentując zaniedbania Richarda, podczas kiedy jego żona próbowała dowiedzieć się od Atamarie czegoś bliższego na temat jej rodziny. To, co usłyszała, najwyraźniej bardzo jej się spodobało, przy czym bardziej interesowała ją farma jej dziadka niż stanowisko Matariki jako kierowniczkii szkoły oraz zaszczytna funkcja Kupe jako posła do parlamentu.

– To dobrze, że pani praktycznie też dorastała na farmie! – cieszyła się Sarah Pearse. – Ale odziedziczy pani tę ziemię, prawda?

Atamarie odetchnęła głęboko. To pytanie wydało jej się niezbyt taktowne i mało dyskretne jak na pierwsze spotkanie. Kusilo ją przez chwilę, aby powiedzieć, że farma musiała zostać sprzedana w celu sfinansowania jej studiów inżynierskich, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Bezczelność była bezcelowa, bo przecież zależało jej na dobrych stosunkach z Pearse'ami. Opowiedziała więc spokojnie o swoich obu wujach.

– Mój wujek Kevin nie interesuje się owcami – podkreśliła, zerkając przy tym na Richarda. – Ale Patrick studiował na akademii rolniczej i on przejmie kiedyś farmę. Kevin jest lekarzem...

Ta ostatnia uwaga nieopatrznie sprowadziła rozmowę na osobę cudownego brata Richarda – Toma, którym Sarah i Digory zaczęli się zachwycać jak na komendę. Richard dzięki temu mógł odetchnąć, bo Digory na razie przestał robić mu wyrzuty. A Atamarie nie do końca rozumiała, na czym właściwie polega problem. Digory Pearse mówił o pomocnikach przy żniwach i konserwacji maszyn – a to przecież nie było nic specjalnego. Ona sama była całkowicie pewna, że potrafiłaby uporać się ze wszystkimi zadaniami organizacyjnymi, z którymi najwyraźniej nie radził sobie Richard. Ale wydawało jej się, że jej przyjacielowi nie zależało na utrzymywaniu kontaktów z sąsiadami ani też na pracy na farmie. A z rozmowy Richarda z ojcem Atamarie wynioskowała, że to właśnie Peterson był najbardziej życzliwie usposobiony do młodego wynalazcy. Pozostali sąsiedzi skarżyli się na hałas, jaki robiły jego maszyny, na chwasty rosnące na jego polach, których nasiona wiatr roznosił na ich pola, i na stale uciekające zwierzęta.

– Fred Hansley stwierdził ostatnio, że wojna burska dotarła chyba i do nas! – uniósł się znów Digory, bo rozmowa zeszła na temat wspaniałych osiągnięć Toma i niepowodzeń Richarda. – I on nie pożyczyci ci już swojej przetrząsarki do siana. Bo te „ulepszenia”, które zrobiłeś w ubiegłym roku...

– On nie chciał nawet pozwolić, abym mu je objaśnił – bronił się Richard, wyraźnie zrozpaczony. – A to przecież było bardzo proste i bardzo efektywne, trzeba było tylko...

– W każdym razie musisz się rozejrzeć, skąd weźmiesz inną przetrząsarke, albo przewracać siano ręcznie – przerwał mu ojciec.

Richard, wyraźnie przygnębiony, nie jadł i przesuwiał widelcem jedzenie na talerzu. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy Sarah Pearse wstała od stołu. I przynajmniej ona sprawiała wrażenie zadowolonej. Jej zdaniem Atamarie Turei jak najbardziej nadawała się na małżonkę dla jej syna. Choć co prawda jej nieco osobliwe studia matka Richarda chętnie zamieniłaby na piękny dom i kilkoro miłych dzieci...

Atamarie zaś była szczęśliwa, kiedy wreszcie mogła uciec do małego, ale czyściutkiego pokoju gościnnego – który dawniej był najprawdopodobniej pokojem cudownego Toma. Na ścianie wisiały przeróżne szarfy i medale zdobyte na wystawach rolniczych, a liczne plakaty i puchary świadczyły o sukcesach sportowych. Atamarie się zastanawiała, czy Richardowi też pozwolono by zaprezentować we własnym pokoju swoje drobne wynalazki i udoskonalenia. Było jej coraz bardziej żal przyjaciela. Ale dobrze, że przynajmniej ona zdała pomyślnie egzamin u jego matki. Atamarie gratulowała sobie dyplomatycznego wyczucia: nie wspomniała ani słowem o swoim marzeniu o lataniu.

ROZDZIAŁ 7

Następnego ranka w czasie obfitego śniadania podobnie jak i poprzedniego wieczoru toczyły się równie deprymujące rozmowy. Wreszcie Mr Pearse odwiózł syna i Atamarię na jego farmę i w drodze znów rozpoczął swą litanię obelg i narzekań, kiedy konie spłoszyły się na widok urządzenia do latania, które ciągle tkwiło w przydrożnym żywopłocie. Powtórzył ją, kiedy jego zaprzęg zatrzymał się na podwórzu farmy Richarda.

– Tu wygląda jak na złomowisku! Wywal w końcu te graty! I dopilnuj wreszcie organizacji zniw... Czy mam panią zawieźć teraz na dworzec, Miss Turei?

Atamarię drgnęła przestraszona, kiedy ojciec Richarda tak nieoczekiwanie zwrócił się wprost do niej. Dotychczas Digory Pearse nie odezwał się do niej ani słowem. Zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie, nie, dziękuję, ja tu jeszcze zostanę. Richard... to znaczy, w ogóle nie mieliśmy okazji porozmawiać, on... on jeszcze nie pokazał mi tego samolotu.

Digory prychnął z oburzeniem.

– Nie musiała pani przyjeżdżać tu aż z Christchurch, aby to zobaczyć – stwierdził. – Ale dobrze, sama pani o tym wie. Niech się pani jednak pośpieszy, pociąg odjeżdża o dwunastej. Jeśli do tego czasu chce pani wyciągnąć to monstrum z żywopłotu, to nie bardzo jest na to czas.

Digory Pearse mierzył młodą kobietę pytającym, ale i niechętnym spojrzeniem. Atamarię wyprostowała się i odważnie popatrzyła mu prosto w oczy.

– To pojedę jutro – odpowiedziała spokojnie. – Myślę, że tutaj i tak jest trochę roboty.

I nie czekając na odpowiedź Digory'ego, wzięła plecak i ruszyła w stronę domu. Richard, odetchnąwszy z ulgą, poszedł za nią. Ale kiedy wyciągał klucz spod brudnej, zaklejonej nawozem wycieraczki i otwierał drzwi przed Atamarię, sprawiał wrażenie przybitego i niespokojnego.

– Moi rodzice będą myśleć...

Atamarię zerknęła do wnętrza domu, które wydało jej się tak samo nieposprzątane i zaniedbane jak podwórze. Ale za chwilę widziała tylko Richarda, który sprawiał wrażenie tak wystraszonego i przybitego, że jego wahanie wprost chwyciło za serce. Atamarię odwróciła się do niego, uśmiechnęła się szelmowsko i objęła go ramionami za szyję.

– Nie myśl o nich – powiedziała spokojnie.

Atamarię całowała Richarda w jego brzydkiej, zapuszczonej kuchni i cieszyła się, kiedy on odwzajemniał jej pocałunki. Potem zabrała się za porządki – a Richard w tym czasie zaprzęgił dwa konie, aby wyciągnąć z żywopłotu wrak samolotu. Nie było to trudne, bo cała konstrukcja nie ważyła wiele, a najcięższym elementem był silnik.

– On musi być lżejszy – skonstatowała, kiedy to, co zostało z urządzenia, wreszcie znalazło się w hangarze. Richard, nie namyślając się wiele, najpierw wygonił z niego zwierzęta. – Albo powierzchnie nośne muszą być większe. Ale to z kółkami – to był dobry pomysł.

– Ale przy szybowcach też tak robiono – zauważył Richard. – A tutaj... trzeba jakoś przetrwać ten czas, zanim zaskoczy silnik.

– Ale silnik mógłby od razu wprawiać samolot w ruch, jak w samochodzie – odparła Atamarię. – I dopiero potem podnieść. I trzeba byłoby mieć możliwość sterowania.

Dyskutowali nad tym problemem coraz bardziej zapalczywie, aż nagle drzwi do szopy się otworzyły i wściekły Mr Peterson zagonił do środka świnie i kozy Richarda.

– Do cholery, Dick, mówiłem ci już sto razy! Zamknij te bydłeta! Znów były w moim ogrodzie! Joan jest naprawdę zdenerwowana. Tak doprawdy nie można...

Richard przytaknął, zgodził się z sąsiadem i podziękował mu. A potem zaraz wrócił do tematu zapłonu iskrownikowego o wysokim napięciu.

– Nie jestem jeszcze zadowolony z tego połączenia na styku przerywacza pomysłu Woodsa. Konstrukcja świecy zapłonowej...

Atamarie zmarszczyła czoło.

– Richard – powiedziała – myślę, że najpierw musimy się zająć konstrukcją chlewa dla świń.

Do końca jej pierwszego dnia na farmie Atamarie i Richard zbudowali bezpieczne zagrody dla zwierząt. A mówiąc dokładnie, to Atamarie zbiła kilka boksów z desek, podczas kiedy Richard perorował na temat nowej konstrukcji zamknięcia, opartej na zasadzie wykorzystania trzeszczenia i skrzywienia bramki. Wówczas wystraszone zwierzęta nie byłyby w stanie otworzyć go z taką łatwością jak zwykłego, prostego haczyka.

– Genialne – stwierdziła Atamarie. – To zrób jutro kilka takich zamknięć i podaruj je Petersonowi. Może go to ułagodzi. Mógłby wykorzystać jedno z nich w swojej bramce do ogrodu.

Podczas kiedy Richard karmił zwierzęta, dziewczyna poszła do jego zarośniętego chwastami ogrodu i poszukała tam czegoś jadalnego. Znalazła kilka marchewek i ziemniaków oraz sporo fasoli i ugotowała z tego zupę. Nie za bardzo smakowała i nie można jej było w ogóle porównać do obfitych i pysznych posiłków Mrs Pearse, ale wydawało jej się, że Richard i tak nie wiedział, co je. I przestał się rozwodzić na temat zalet prostego systemu latawców w porównaniu z dwupłatowcami dopiero wtedy, kiedy Atamarie wstała od stołu, swobodnymi ruchami rozpuściła włosy i zaczęła rozpinać bluzkę.

Richard gapił się na nią zdumionymi oczami.

– Atami... ty... ja... Jesteś pewna, że tego naprawdę chcesz?

Atamarie się uśmiechnęła.

– A czy wszystko na to nie wskazuje? – spytała.

Richard wstał i odwrócił się.

– Atamarie, ty mnie nie znasz – powiedział cicho.

Atamarie zmarszczyła czoło.

– Znam cię dobrze! – oświadczyła. – Ty jesteś... ty jesteś taki jak ja!

Pearse potrząsnął głową.

– Nie jestem, Atami, uwierz mi. Rozczaruję cię...

Atamarie przytuliła się do jego pleców.

– Tak jak rozczarowałaś wszystkich? – spytała łagodnie. – Nie jestem taka jak twoi rodzice. Nie chcę farmy. Nawet nie chcę wychodzić za męża. Chcę tylko ciebie, Richard... Dick... Chcę tylko ciebie.

Richard odwrócił się do niej.

– Nie wiesz, na co się zdajesz – wymruczał.

Atamarie się uśmiechnęła.

– Masz na myśli ten bałagan tutaj? Z tym się szybko uporamy. Ty nie urodziłeś się na farmera. Ale przy małej pomocy...

– Nie będę dla ciebie kimś właściwym, Atami. Dla nikogo nie będę...

W głosie Richarda słychać było rezygnację i smutek.

– Ty miałbyś nie być dla mnie kimś właściwym? – wyszeptała. – Jesteś wybrany! Jesteś moim prezentem od bogów!

Richard uśmiechnął się słabo, ale Atamarie dostrzegła w tym uśmiechu nadzieję.

– Jeśli tak to widzisz... – zamruczał i wziął ją w ramiona.

Atamarie widziała to właśnie tak i myślała o mądrości, którą bóg Tawhaki darował człowiekowi, i o urodzie ziemi, którą ona zawdzięczała bogowi Tane. Nie myślała o puszcze Pandory.

Richard Pearse okazał się wyjątkowo tkliwym, bardzo powolnym i uważnym kochankiem. Atamarie się obawiała, że w łóżku także będzie musiała go zachęcać i dodawać mu odwagi wobec jego niewiedzy w kwestii miłości. Ale Richard doprowadził Atamarie do spełnienia z taką cierpliwością, łagodnością i doświadczeniem, jakiego się po nim nie spodziewała. Atamarie przez chwilę się zastanawiała, gdzie on nabył tak rozległych doświadczeń. W Christchurch, w czasie swoich krótkich studiów? Wiejskie dziewczyny z okolic Waitohi z pewnością nie szły do łóżka z synami sąsiadów, a już zwłaszcza nie bez uprzedniej obietnicy małżeństwa. I tu rodziło się pytanie, dlaczego Richard mimo swej wielkiej posiadłości nie miał jeszcze żony albo przynajmniej narzeczonej. Czy dziewczyny nie chciały za niego wyjść, czy po prostu żadnej o to nie poprosił? A może go nie chciały, bo inni mężczyźni śmiali się z niego albo przerażały je jego wieczne rozmyślania? Atamarie zdecydowała w końcu, że on po prostu czekał na tę jedyną kobietę, która byłaby jego bratnią duszą. Którą teraz znalazł! Tej nocy zasnęła szczęśliwa w jego ramionach i rankiem nie miałaby nic przeciwko miłości. Ale Richard już o świcie był na nogach i wprost palił się do pracy.

– Muszę jeszcze raz obejrzeć ten gaźnik! – tłumaczył swój pośpiech. – To stukanie... przyczyną może być wentyl, a może mieszanka paliwa z powietrzem nie jest...

Atamarie zmarszczyła czoło i przeciągnęła się.

– Czy przyszło ci to do głowy, kiedy...

Richard się uśmiechnął.

– Kiedy się kochaliśmy? Ależ nie, oczywiście, że nie, Atami. Dopiero... hm... później... ja... hm... w ogóle nie potrzebuję zbyt wiele snu. Ale nie jesteś tego samego zdania? Fakt, że zbyt tłusta mieszanka...

Atamarie westchnęła i wstała. Gaźniki także jej wydawały się bardzo ciekawymi urządzeniami, ale tak wcześnie rano... Jednak Richard nie zwracał już na nią uwagi. Kiedy się ubrała i przyszła do kuchni, zrobił już wprawdzie kawę, ale zupełnie nie myślał o miłym wspólnym śniadaniu. Pośpiesznie wypił trochę czarnego, podejrzanie wyglądającego płynu i pobiegł do swojego warsztatu. Atamarie otrząsnęła się po pierwszym łyku. Dla niej było to kompletnie niestrawne. A w ogóle potrzebowała masła i chleba. Mąka musiała gdzieś tu być, a kury pewnie niosły jajka...

W drodze do kurnika stwierdziła, że Richard zapomniał nakarmić zwierzęta. Potrząsnęła głową z dezaprobatą i zrobiła to. Będzie musiała w ogóle doprowadzić tu to i owo do porządku.

W ciągu następnych kilku dni zorganizowała wszystko na farmie Richarda Pearse'a. Zatroszczyła się o bydło, odwiedziła sąsiadkę Joan Peterson, przeprosiła za uciekające zwierzęta i wytargowała od niej warzywa, mleko i masło.

– Ale na dłuższą metę musi pani oczywiście sama doprowadzić do porządku swój ogród... to znaczy, jeśli zamierza pani zostać – stwierdziła żona farmera i od razu zaoferowała nasiona i sadzonki. Atamarie pominęła milczeniem pytania o plany na przyszłość jej i Richarda. Podziękowała za wszystko i wróciła, ale nie zamierzała zabierać się do porządkowania ogrodu. Richard z pewnością nie będzie się nim zajmował, a ona tu nie zostanie. Mimo jej uczucia dla Richarda chciała najpierw skończyć studia i dopiero potem myśleć o założeniu rodziny. I nie planowała zamieszkać potem na żadnej farmie. To wszystko jednak było sprawą dalszej przyszłości. Najpierw należało zająć się żniwami na farmie Richarda i zapanować nad jego gospodarstwem domowym.

Atamarie zapytała więc Mrs Peterson o pomocników do żniw – ale ci rzeczywiście znaleźli już zatrudnienie gdzie indziej. Richard faktycznie bardzo się spóźnił, inni farmerzy kosili już swoje zboże i strzepili sobie języki na temat niedbalstwa Cranky Dicka. Atamarie podziękowała za informacje i zdecydowała się poradzić sobie inaczej. Bez większych trudów znalazła osiadły w pobliżu maoryski szczerp i postanowiła spróbować namówić mężczyzn do pomocy przy żniwach u Richarda. Od razu

udało jej się nawiązać kontakt z kobietami, które pomogły jej chętnie, wymieniając nasiona i sadzonki od Joan Peterson na słodkie ziemniaki i inne warzywa. Sprawa prawa pracy na farmie wymagała jednak rozmowy z radą starszych szczepu – ku zaskoczeniu Atamarie Ngai Tahu okazali się zdumiewająco dobrze poinformowani o osobie Richarda Pearse'a i jego marzeniach, ale także kłopotach. Jedna ze starych kobiet imieniem Waimarama nazwała go *birdman*.

– On tu nawet raz był – oświadczyła. – Tego roku, po święcie Matariki. Widział nasze latawce. Wtedy wychodził właśnie z okresu długiej ciemności. Ale dzięki *manu* zaczął znów dostrzegać światło. On szuka dotknięcia bogów. Ale nie wie, co robi.

Atamarie uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Ależ wie, *tupuna*, oczywiście, że on wie, co robi. Jeśli chodzi o technikę, to on jest *tohunga*.

Waimarama uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Dziecko, bez wątpienia jest tak, jak mówisz. Ale Rangi sam postanowi, przed kim on otworzy swoje serce...

Atamarie się roześmiała.

– Bóg nieba powinien się przecież cieszyć, kiedy jedno z jego dzieci przychodzi do niego w odwiedzinach – powiedziała. – Bo wówczas nie musiałby stale płakać.

Bo choć poprzedniego dnia panowała piękna pogoda, to dziś Atamarie musiała jechać konno do maoryskiej wioski w strugach deszczu.

– I przekazałibyśmy Rangi pozdrowienia od Papa.

Waimarama popatrzyła na dziewczynę z lekką niechęcią, ale jednak uniosła rękę – jak gdyby w geście błogosławieństwa. Bo wypowiedź Atamarie można było właściwie uznać za bluźnierczą, jednak stara *tohunga* miała dużo cierpliwości w stosunku do krnąbrnych młodych ludzi.

– Może Rangi płacze z powodu twojego przyjaciela. Z powodu ciemności, która go otacza – odpowiedziała spokojnie. – Ty jej nie czujesz i nie widzisz, ale ta ciemność mu zagraża i dlatego on tak uparcie dąży w kierunku światła Rangi...

Atamarie nie rozumiała ani słowa z wywodów *tohunga*, ale odetchnęła, kiedy rada starszych zaakceptowała jej prośbę. Już następnego dnia na farmie Richarda zjawili się trzech silnych maoryskich mężczyzn, którzy wprawdzie mówili łamaną angielszczyzną, ale byli gotowi zająć się żniwami. Richard powitał ich radośnie i zniknął w szopie, Atamarie zaś objaśniła Maorysom działanie maszyn żniwnych. Na szczęście kosiarki i młockarnie nie były niczym nowym dla Hamene, Koraka i Kuri. Wszyscy trzej pracowali już chyba przy żniwach na innych farmach i zaczęli od razu zaprzęgać konie do maszyn.

Oczywiście sąsiedzi zaczęli teraz plotkować o nowych kontaktach Richarda z Maorysami. Maoryscy mężczyźni wykonywali niektóre prace na polach nieco inaczej niż *pakeha* i farmerów bardzo to irytowało. Richard jednak nie zwracał uwagi na ich krytykę i nie wtrącał się do swoich pomocników. Wprawdzie pracował razem z nimi równie ciężko jak pozostali farmerzy, ale myślami był przy świecach zapłonowych i gaźnikach swoich silników, a nie przy kukurydzy i pszenicy. Richard żył tylko swoimi wynalazkami – i w ogóle nie zauważał, że jego koń nie ciągnie pługa prosto po polu, lecz wykonuje zabawne esy-floresy, podczas kiedy on trzymał nos w jakimś magazynie naukowym, który wyciągnął z kieszeni. Jego sąsiadów bardzo to bawiło – a Maorysi patrzyli na to albo obojętnie, albo niemal z nabożną czcią.

– Dick *tohunga*! – oświadczył poważnie jeden z pomocników zdumionemu Toby'emu Petersonowi. – On buduje maszyny. Musi mówić dużo z duchami...

Atamarie brak jakichkolwiek umiejętności rolniczych u Richarda był właściwie obojętny, ale całość jego zachowania czasami wydawała jej się zagadkowa. Kochali się teraz każdej nocy, czasami przez

wiele godzin, Richard niemal nie mógł się nią nasycić, a Atamarie podzielała jego namiętność. Dzięki jego pieczołom zapomniała o wyczerpaniu po tylu godzinach miłości i zasypiała w jego ramionach szczęśliwa jak dziecko. Spałaby tak przez wiele godzin, gdyby nie to, że Richard przewracał się niespokojnie każdej nocy, nie mogąc zasnąć. I prawie zawsze wstawał wczesnym rankiem, zostawiał Atamarie i znikał w szopie, gdzie znów pochłaniały go silniki oraz ich konstrukcja. W czasie pierwszych nocy trochę ją to denerwowało – po pierwsze nie chciała spać sama, a poza tym chętnie wzięłaby udział w konstruowaniu silnika. Ale po pewnym czasie zaczęła się martwić. Richard wydawał się dysponować niesłychanymi pokładami energii, w końcu przecież musiał kiedyś sypiać! Było to dość niesamowite i Atamarie zaczęła się pocieszać, zakładając, że może odsypia te noce w czasie przerwy w pracach polowych i ucina sobie drzemki. Maoryscy pomocnicy wprawdzie tego nie potwierdzili, ale przecież nie patrzyli na swego pracodawcę przez cały dzień.

Atamarie, acz niechętnie, wzięła więc na siebie obowiązki żony farmera i milczała. Jeśli chodzi o tradycyjne zajęcia kobiet, takie jak pranie i gotowanie, to nie była zbyt sprawna, ale z kolei Richard nie miał pod tym względem żadnych wymagań. Nie ganił Atamarie za jej często niezbyt udane dokonania, ale też nie zachwycał się jej sukcesami, choćby pasztetem z kurczaka, który zmuszona była przyrządzić, kiedy on, jak zwykle nieobecny duchem, przejechał kurę żniwiarką. Richard pochłaniał przygotowane jedzenie i bez słowa szedł znów do pracy. Atamarie mogła mieć tylko nadzieję, że wszystko się zmieni, kiedy skończą się żniwa i oboje będą mogli poświęcić się razem konstruowaniu jego aparatu latającego. Miała już mnóstwo pomysłów co do powierzchni nośnej i przede wszystkim śmigła. Dotychczas zakładano, że ono musi znajdować się z tyłu aparatu, ale przecież można było je umieścić równie dobrze z przodu! Najchętniej powiedziałaaby Richardowi o tym pomysłe już teraz, ale obawiała się, że wówczas mógłby rzucić wszystko i zniknąć w szopie. Na samym początku żniw już to zrobił, kiedy Atamarie zadała mu pytanie na temat mieszanki paliwa z powietrzem w gaźniku, co w dosłownym znaczeniu tego słowa podsunęło mu rozwiązanie palącego problemu... Krótco potem zjawił się jego ojciec i zrobił mu głośną awanturę, bo okazało się, że Richard zostawił go samego przy zwożeniu siana, chociaż zanosilo się na deszcz...

Atamarie chciała za wszelką cenę uniknąć podobnego zajścia. Pocieszała się więc tym, że jej życie miłosne nie pozostawiało nic do życzenia. Zachwyt Richarda nie mijał, kochał ją nawet coraz bardziej ekstatycznie i dziko. Kiedy ją całował, szeptał czule słowa i razem docierali do szczytowania, czuła się nieludzko szczęśliwa i potem sobie wmawiała, że dotyczyło to całości jej życia z Richardem.

I dopiero kiedy któregoś popołudnia znalazła dość czasu, aby napisać list do Roberty i opowiedzieć jej o swej fascynacji i codziennym dniu na farmie, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest samotna. Przez cały dzień na każdej farmie ludzie przychodzili i wychodzili. Właśnie teraz, podczas żniw, kontakty między farmerami na wyżynie Waitohi były szczególnie ożywione, wszyscy nawzajem sobie pomagali w razie jakichś kłopotów z maszynami i biegli do kolejnego sąsiada, kiedy na horyzoncie pojawiała się deszczowa chmura i trzeba było pomóc przy zwożeniu siana. W stosunku do Atamarie farmerzy byli nadzwyczaj uprzejmi, jednak najwyraźniej nie widzieli w niej osoby, z którą chcieliby spędzać czas i komunikować się – w ich oczach była jedynie trybikiem w mechanizmie. Nikt nie wspominał o jej życiu „na kocią łapę” z Richardem – choć z pewnością za jej plecami na ten temat plotkowano. Od czasu do czasu docierały do niej uwagi w rodzaju: „To mu na dobre wyjdzie...” czy: „Już nie jest takim dziwakiem ja dawniej...”, czy też: „...poza tym śliczna dziewczyna...”. Wszyscy najwyraźniej odczuwali ulgę, że Richard wreszcie „funkcjonował”. A przede wszystkim miejscowe matrony czuły się utwierdzone w swoim przekonaniu, że brakowało jedynie kobiety, aby sprowadzić tego dziwnego młodego mężczyznę na właściwą drogę. Nawet jeśli to była kobieta nieco egzotyczna, która w tej okolicy nie całkiem pasowała do obrazu dobrej żony. I nikogo nie interesowało, czy to Atamarie była

osobą, która „funkcjonowała”, czy też Richard. Może i było to normalne jak na kobietę *pakeha* na wsi, ale Atamarie denerwowało. Jako maoryska kobieta oczekiwała, że jej dokonania będą doceniane, ale ci ludzie zaprzeczali istnieniu jej *mana*!

Atamarie coraz bardziej nieufnie patrzyła na swoje otoczenie, kiedy to pojęła, ale z początku nawet się nie obruszała. Wraz z każdym dniem codziennej harówki żniwa zbliżały się ku końcowi i była przekonana, że potem znów będzie tylko z Richardem, zamiast pracować u jego boku. Atamarie często rozmyślała o połączeniu stelaża i silnika aparatu latającego. Bo gdyby powierzchwnie nośne były ruchome, to wówczas trzeba móc tym wszystkim lepiej sterować. Jeśli to w ogóle poleci...

I wreszcie któregoś dnia wszystkie pola były uprzątnięte. Richard zapłacił swoim maoryskim pomocnikom – i nawet jego ojciec zdobył się na kilka słów uznania, kiedy zobaczył szopy pełne siana i zboża.

– Zatem dziś wieczorem trzeba to uczcić! – oświadczył brat Richarda Warne. Warne był jeszcze chłopcem w wieku szkolnym, ale pilnie pomagał przy żniwach. – O siódmej w remizie u Hansleyów! I zobaczcie: przyjdę z Marthą Klein!

Atamarie mrugnęła do chłopca. Lubiła Warne’a, bo wydawało jej się, że należał do nielicznych ludzi w Temuka, którzy ją akceptowali bez zastrzeżeń i z którymi mogła śmiać się i wygłupiać bez obaw. Warne był naprawdę mądrym chłopcem, zresztą jak wszystkie dzieci Pearse’ów, i za młody, aby uważać związek Atamarie i Richarda za niestosowny.

– To niedługo zabrzmiały dzwony weselne – zażartowała Atamarie wobec zapewnień chłopca. – O ile w czasie tańca nie będziesz zbyt często deptał jej po nogach!

Warne zachichotał, ale za chwilę spoważniał i oświadczył, że musi teraz nazrywać kwiatów. I może uwić z nich wianek, który włoży Marcie na głowę.

– Choć co prawda nie bardzo umiem pleść wianki – uściślił chłopak.

Atamarie podchwyciła pomysł wplatania kwiatów we włosy. Zerwała kilka liliowych stokrotek, które rosły na skraju drogi, w nadziei że wytrzymają do wieczora. Ich jasny kolor znakomicie pasował do pięknej sukni w kwiaty z kolekcji Lady’s Goldmine, którą Atamarie zapakowała do plecaka na specjalne okazje. Dotychczas nigdy jej jeszcze nie włożyła i liczyła na podziw i aplauz, gdy stanie w niej przed Richardem. Umyła włosy – teraz nosiła je rozpuszczone, a nie, jak dawniej, zaplecione w warkocze czy też upięte. Długie złotoblond loki sięgały jej aż do bioder, a w wianku będzie z pewnością wyglądać jak wróżka z bajki. Atamarie była z siebie zadowolona, ale jej dobry nastrój znikł natychmiast, kiedy tylko zobaczyła Richarda w stroju roboczym wchodzącego do kuchni.

– Nie ma dziś nic do jedzenia, Atami? – spytał, nie z wyrzutem, lecz z zaskoczeniem.

Dotychczas Atamarie zawsze coś szykowała, kiedy wracał z pola, i to bez względu na to, jak długo z nim pracowała.

– Ale mogę sobie sam coś zrobić... – Richard spojrział na nią i dopiero teraz zauważył jej strój. – Jak ty wyglądasz?

Atamarie uderzyła się ręką w czoło.

– O to właściwie powinnam spytać ciebie! Zapomniałeś? Dziś wieczorem są dożynki. Idziemy! A twój brat powiedział, że będziemy tam grillować i gotować. Nie musimy więc gotować tutaj. Ale musisz się przebrać. I umyć. Jazda, Richardzie, pośpiesz się! Inaczej będą na nas patrzeć...

Richard zmarszczył czoło.

– Chcesz tam iść? – spytał z wyraźną niechęcią. – Nie sądziłem, że ty...

– ...że interesuję się jeszcze czymś innym niż tylko silniki i ich napęd? – dokończyła Atamarie, już nieco zirytowana. Mógł coś powiedzieć choćby na temat jej pięknej sukni. – Owszem, Richardzie, wyobraź sobie, że lubię potańczyć. Lubię się też ładnie ubrać i chętnie poszłabym gdzieś z moim

mężczyzną. O ile będzie on czysty i porządnie ubrany.

– Myślałem, że pójdziemy do szopy i rozbierzemy silnik – powiedział Richard wyraźnie rozczarowany.

Atamarie chwyciła się za czoło.

– Ty chcesz majstrować przy swoim silniku, kiedy inni będą się bawić? No to rzeczywiście nie możesz się dziwić, że cię nazywają Cranky Dick! Człowieku, Richardzie, przecież ten silnik ci nie ucieknie! Ale muzyki możemy posłuchać tylko dzisiaj, bo tylko dziś gra kapela, dziś możemy iść coś zjeść, potańczyć, pogadać trochę z sąsiadami, nawet jeśli nie mamy im zbyt wiele do powiedzenia. Czasami trzeba tak zrobić. Jak długo tu mieszkasz, musisz postępować tak, jakbyś należał do tej społeczności. I takie okropne to znowu nie jest. Wręcz przeciwnie, będziemy się bawić! Jazda, Richardzie, pośpiesz się! Ja w tym czasie mogę zaprzęgnąć konie do wozu. Mam nadzieję, że się przy tym nie ubrudzę...

Rzeczywiście Atamarie udało się zaprzęgnąć konie i nie wonieć potem i stajnią, a Richard też robił dobre wrażenie, kiedy w końcu wyszedł z domu umyty i ubrany w swoje jedyne porządne ubranie – Atamarie znała je jeszcze z Taranaki.

– No widzisz! – zaśmiała się Atamarie i przytuliła się do Dicka, kiedy zajęła obok niego miejsce na koźle. Eleganckiej bryczki, jaką można byłoby pojechać w odwiedziny czy też do kościoła, Richard nie posiadał. Taki mały luksus nie wydawał mu się godny wydawania pieniędzy. – I uśmiechnij się teraz! Jest piękny letni wieczór, Richardzie! Popatrz, ile gwiazd na niebie: to gwiazdozbiór Syriusza... Czy kiedyś tam polecimy, Richardzie? Tam, do gwiazd?

Położyła mu głowę na ramieniu.

– Będę się cieszyć, jeśli dotrzemy tylko do następnego wzgórza – odparł Richard. – Gdzie mają być te dożynki? Nie pamiętam, czyja kolej jest w tym roku...

Farmerzy z wyżyny Waitohi organizowali dożynki po kolei: każdego roku inny farmer udostępniał swoją szopę czy też remizę. Tym razem rodzina Hansleyów zabrała z szopy swoje maszyny i wozy, a żony farmerów od rana zajmowały się sprzątaniami i przystrojeniem jej wnętrza. Atamarie było trochę przykro, kiedy nie zaproszono jej do pomocy, ale oczywiście Richard był jednym z ostatnich farmerów, którzy uporali się ze żniwami, i kobiety zapewne zakładały, że Atamarie była jeszcze potrzebna. Postanowiła więc nie przejmować się tą sprawą i od razu przyłączyła się do kobiet, zapewniając je, że wnętrze szopy jest naprawdę pięknie ozdobione.

Zauważyła też, że dzięki swojej fryzurze i sukni bardzo się wyróżniała. Wszystkie żony farmerów, także matka Richarda i jego siostry, miały wprawdzie na sobie niedzielne suknie, ale były one ciemne, skromne i nie rzucały się w oczy tak jak kolorowa suknia Atamarie. Żadna z kobiet nie nosiła luźnych sukien reformowanych, wszystkie były mocno ściśnięte gorsetami i miały ciasno upięte włosy. Starsze kobiety miały nawet na głowach czepki. A kwiaty Atamarie dostrzegła tylko we włosach bardzo młodej dziewczyny – małej przyjaciółki Warne'a. Martha miała najwyżej dwanaście, może trzynaście lat.

Odnalezienie się Atamarie w tej grupie ludzi mogło być raczej problematyczne. Matrony spoglądały niechętnie na jej rozpuszczone włosy i luźną suknię, młodsze kobiety zerkwały na nią wręcz lekceważąco, a dziewczęta otwarcie się na nią gapiły. Atamarie udawała, że tego nie dostrzega. Zaczęła rozmawiać z Joan Peterson i matką Richarda – obie były sympatyczne, aczkolwiek oschłe.

– Poszukam Richarda – mruknęła w końcu Atamarie, aby mieć pretekst do opuszczenia kobiet, ale stwierdziła, że ten pomysł był błędem.

Przynajmniej do chwili oficjalnego rozpoczęcia tańców kobiety i mężczyźni stali w osobnych grupach. Richard rozmawiał z Petersonem i Hansleyem i najwyraźniej próbował ich znów przekonać do swoich udoskonaleń, które niepytany zamontował rok wcześniej w przetrząsarce do siana należącej

do Hansleya.

– W rolnictwie w przyszłości i tak wszystko się zmieni! – usłyszała Atamarie jego słowa, kiedy podchodziła do mężczyzn. Kobietom podano do picia tylko poncz herbaciany, ale mężczyźni pili piwo i Richard zdążył już się go napić na pusty żołądek, co najwyraźniej uderzyło mu do głowy. A może to marzenia o podróżach do gwiazd, o których Atamarie opowiadała mu w drodze, dodały mu odwagi i ośmielił się wobec tego opowiadać o swoich utopiach? – O wiele więcej prac będzie wykonywanych maszynami – mówił Richard. – Zwierzęta pociągowe to także przeżytek. Za kilkadziesiąt lat na polach nie będzie już mułów czy koni, a pługi będą ciągnąć pojazdy mechaniczne. Albo pługi czy też młockarnie będą napędzane silnikami.

Oczy Richarda rozbłysły, kiedy o tym mówił. Za to pozostali farmerzy śmiali się głośno.

– No, one przynajmniej nie będą się bały wznoszących się i lądujących latających maszyn! – kpił Peterson. – Co jest bardzo ważne, bo wszyscy będziemy takie mieli! Możesz marzyć dalej, Cranky!

– Ja też uważam za całkiem możliwe, że kiedyś każde gospodarstwo domowe będzie miało własny pojazd latający. – Atamarie przyszła z pomocą swojemu przyjacielowi. Wbrew własnemu przekonaniu, bo wiedziała, że w oczach tych ludzi tylko się ośmiesz, wygłaszając takie poglądy. – I to zwłaszcza tutaj, na tak odległych farmach. W miastach zapewne przyjmie się automobil.

Mężczyźni zaśmiali się jeszcze głośniej.

– I nasze dziewczyny będą tym latać! – zachichotał Hansley. – Już widzę, jak moja Laura wznosi się, żeby pofrunąć do kupca.

– Jak koliber! – dodał Peterson i postukał się w czaszkę. Jemu chyba także piwo uderzyło już do głowy. – Bo kolorową sukieneczkę już pani ma, Miss Turei. Pytanie, czy na dłuższą metę nektar na farmie Pearse'ów będzie płynąć także dla pani.

Atamarie nie rozumiała, co było w tym aż tak śmiesznego, że mężczyźni znów wybuchnęli głośnym śmiechem. Richard wydawał się raczej zirytowany i nieprzyjemnie dotknięty.

– Nie powinniśmy byli tu przychodzić. Nie mamy z nimi nic wspólnego – stwierdził, idąc z Atamarie do bufetu.

Na długich stołach stały miski z sałatkami i ciastem, z zewnątrz aż tu docierały zapachy grillowanego mięsa. Atamarie nałożyła pełen talerz dla przyjaciela. Richard musiał koniecznie coś zjeść, zanim znów pod wpływem alkoholu zacznie opowiadać o swoich marzeniach.

– Ci ludzie są tylko ograniczeni – stwierdziła, wzruszając ramionami. – W Christchurch i Dunedin dyskutuje się na takie tematy całkiem serio. I nawet tu i ówdzie można już zobaczyć automobile; one całkowicie zmienią kiedyś obraz miast, jeśli nie cały świat. Pojawią się też maszyny latające, bez względu na to, czy ci głupi chłopcy to rozumieją czy nie.

Richard wzruszył ramionami.

– Tylko że ci „głupi chłopcy” są moimi sąsiadami – stwierdził z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, ale za chwilę zajął się pochłanianiem swojej solidnej porcji jedzenia. Po ciężkiej pracy na polu musiał być bardzo głodny, ale i tak poszedłby bez jedzenia do szopy i pracował przy swoim silniku. Jego głód wiedzy był o wiele większy niż potrzeba jedzenia. W irytacji Atamarie wobec ograniczonych chłopów słysząc było też współczucie – i pragnienie, aby zabrać stąd Richarda. W Temuka nigdy nie będzie szczęśliwy.

Ale wkrótce rozpoczęły się tańce i Atamarie zapomniała o swoich ponurych myślach i o zmęczeniu po długim dniu. Richard co prawda nie miał zbyt wielkiej ochoty do tańca i chwiał się tylko w rytm muzyki zaimprovizowanej kapeli. I za chwilę przyłączył się do swego ojca.

– Muszę się tam pokazać. Inaczej mój *dad* będzie mi zarzucał, że tkwię cały wieczór tylko z tymi małorolnymi wieśniakami – powiedział przeprasząco.

Digory Pearse siedział przy osobnym stole wraz z najbardziej szanowanymi osobistościami okręgu. Atamarie zauważyła, że Pearse'owie nie uchodzili tutaj za farmerów takich jak inni. Określenie „farmer dżentelmen” padło podczas tego wieczoru już kilka razy. Pearse'owie mogli sobie pozwolić na większą liczbę pomocników przy żniwach i lepsze maszyny niż reszta farmerów, także Richard posiadał znacznie więcej ziemi niż Hansley i Peterson. Sarah Pearse miała na sobie o wiele ładniejszą suknię niż pozostałe kobiety, a siostry Richarda wyróżniały się wśród gromady dziewcząt, które nosiły suknie po starszych siostrach. Dziewczęta Pearse'ów miały co prawda staroświeckie, ale za to nowe suknie w pastelowych kolorach. To potwierdziło zdanie Atamarie, że ta rodzina mogła sobie pozwolić na sfinansowanie studiów Richarda. Zmuszanie go do pracy na farmie było tylko czymś w rodzaju środka dyscyplinującego. Po prostu w rodzinie nie chciano mieć dziwaka, który marzył o maszynach latających i o pługach bez koni. I teraz Richard siedział z nieszczęśliwą miną między swoim ojcem a jego przyjaciółmi i w milczeniu pił swoje piwo. Ale potem nie mógł dłużej usiedzieć cicho, tylko wdał się w rozmowę z księdzem i nauczycielem – zapewne mówił coś o swoich wizjach, bo gwałtownie wymachiwał rękami. Prawdopodobnie znów wkrótce palnie jakąś gafę. Atamarie postanowiła nie dać sobie popsuć dobrego nastroju. Stukała stopą w podłogę w takt muzyki i kiedy któryś z młodych mężczyzn poprosił ją do tańca, nie odmówiła. A potem zaraz zjawiał się następny – Atamarie cały wieczór fruwała z jednych ramion w drugie.

– Nasz koliberek! – usłyszała uwagę Petersona, kiedy jeden z farmerskich synów przemknął w tańcu wraz z nią koło niego i długie włosy Atamarie musnęły go w przelocie. Nie wiedziała, czy ma jej to pochlebić, czy też ją urazić. Pozwoliła też jednemu z chłopców, aby postawił jej piwo, kiedy okoliczne matrony akurat nie patrzyły w jej stronę, i bawiła się potem jeszcze lepiej. Jedynym, co jej przeszkadzało, były zbyt natrętne objęcia chłopców, z którymi tańczyła. Na potańcówkach w Dunedin nie było czymś oczywistym, że ręce tancerzy przysuwały się po jej plecach i niemal dotykały jej pośladków. Przy tym oddech mężczyzn był szybszy, a komplementy często niemal obsceniczne. Atamarie się zastanawiała, czy na wsiach to jest normalne. Może ludzie rzeczywiście byli tu prości i nieco ordynarni w porównaniu z dziećmi osobistości miasta Dunedin albo młodymi chłopcami z Parihaka. Maoryscy mężczyźni i kobiety nie tańczyli razem, chyba że podczas *haka*, który był pokazem tanecznym. Ani chłopcy, ani dziewczęta nie potrzebowali pretekstu, jakim był taniec towarzyski, aby się nawzajem dotykać, jak to robili tutaj ci wiejscy chłopcy. I z pewnością żaden maoryski mężczyzna nie był natrętny, jeśli kobieta nie sygnalizowała wyraźnie swojej zgody.

Tu jednak było zupełnie inaczej. W miarę upływu wieczoru Atamarie musiała coraz energiczniej bronić się przed swymi tancerzami. Najchętniej pojechałyby do domu, ale Richard rozmawiał właśnie z dwoma młodszymi farmerami i pokazywał im jakieś rysunki, czyli pewnie opowiadał o swoich nowych wynalazkach, więc Atamarie nie chciała mu przeszkadzać. A poza tym była na niego trochę zła. Tańczyła cały wieczór na jego oczach, śmiała się i nawet trochę flirtowała. Ale Richard nie okazywał ani odrobiny zazdrości! Ani nie prześladował jej niechętnymi spojrzeniami, ani też nie przejawiał żadnych zamiarów zatroszczenia się o swoją przyjaciółkę. Miłe było, że tak dalece jej ufał, lecz Atamarie się zastanawiała, czy to było całkiem normalne. I cieszyłoby ją nieco większe zainteresowanie z jego strony.

A teraz uciekła od swojego ostatniego wielbiciela na dwór. Trochę świeżego powietrza z pewnością dobrze jej zrobi i nie będzie zwracać na siebie uwagi. Kilka dziewcząt też wyszło z szopy na dwór. Atamarie ruszyła w stronę koni. Zaprzyjaźniła się z roboczymi końmi Richarda i przyniosła im teraz trochę chleba. Zwierzęta zarżały na jej widok. Ale zanim Atamarie zdążyła do nich podejść, ktoś z tyłu mocno chwycił ją za ramię.

– To miłe, słodziutka, że postanowiłaś wyjść razem ze mną. Ale takie coś trzeba wcześniej omówić.

Bo musiałem cię szukać...

Atamarie z zaskoczeniem zobaczyła przed sobą twarz swego ostatniego tancerza. Potrząsnęła głową bez słów i chciała się uwolnić z uchwytu.

– Nie ma mowy o „wychodzeniu z tobą”! – powiedziała twardo. – Chciałam wyjść na powietrze. Sama!

Młody mężczyzna się roześmiał.

– Ach, chodź, myszko, przecież nie będziesz mi opowiadać, że czekasz tu na Jeda Hansleya albo na Jamiego Frizzera?

Atami potrząsnęła energicznie głową, mając ciągle nadzieję, że uda jej się wyjaśnić nieporozumienie.

– Ja...

– Na obu? – zachichotał mężczyzna. Był najwyraźniej pijany. – Chodź, tymczasem uszczęśliwisz szybko mnie. Założymy się, że jestem lepszy niż Cranky Dick?

Chłopak przyciągnął Atamarie do siebie, chcąc ją pocałować. Poczowała na twarzy jego gorący, zalatujący piwem oddech i było to obrzydliwe. Próbowwała uwolnić ramiona i odepchnąć go, ale było to daremne, podobnie jak próba ugryzienia jego wilgotnych warg. Młoda kobieta nie należała do bojaźliwych. Ogarnęła ją wściekłość. Zdecydowanie podniosła kolano i z całej siły uderzyła natręta między nogi. Młody mężczyzna krzyknął i puścił dziewczynę.

– Ty... ty... suko! Najpierw rozpalasz człowieka, a potem... Ty maoryska dziwko!

Stęknął, zwijając się z bólu.

Atamarie się uśmiechnęła i spokojnie odeszła. Z początku odczuwała triumf, ale wchodząc do remizy, dygotała. Nie dlatego, że ten pijany typ rzeczywiście był niebezpieczny. Ale czuła się obrażona – i brudna. I zastanawiała się, co mówili o niej ci wiejscy chłopcy. Po ataku ostatniego tancerza zaczęła patrzeć inaczej na próby zbliżenia pozostałych tancerzy. Czy oni wszyscy myśleli, że łatwo ją osiąść? Że ofiarowywała każdemu to co Richardowi? I ta obelga! Maoryska dziwka. Atamarie się otrząsnęła. Choć oczywiście dawno zauważyła, że farmerzy w Temuka nie chcieli mieć nic wspólnego ze swoimi maoryskimi sąsiadami. Żaden z ich pomocników przy żniwach nie został zaproszony na dożynki, chociaż także inni farmerzy zatrudniali potem mężczyzn ze szczepu Ngai Tahu, kiedy ci sprawdzili się u Richarda. Jego sąsiedzi wydawali jej się teraz coraz mniej sympatyczni. Rasistowscy, tęp i ograniczeni. Richard powinien koniecznie wyjechać z tej okolicy!

Atamarie trąciła go, kiedy nie zauważył jej od razu.

– Chciałabym wracać do domu – powiedziała krótko. – Nie powinniśmy byli przychodzić.

Richard skinął głową – najwyraźniej nie interesowały go powody jej zmiany decyzji. Kiedy dotarli na jego farmę, wymamrotał coś niewyraźnie i od razu powędrował do szopy. Atamarie wyprzęgła konie i poszła do łóżka. Sądziła, że Richard zaraz przyjdzie. Ale tym razem czekała daremnie. Richard Pearse nadrabiał czas stracony na dożynkach i pracował przez resztę nocy przy swoim silniku.

ROZDZIAŁ 8

Roberta nigdy nie myślała, że będzie się aż tak rozkoszować podróżą do Afryki, ale rzeczywiście, zaledwie parowiec opuścił Dunedin, ustąpiły wszystkie jej troski i uczucie ciągłego zmęczenia. W czasie podróży do Australii dzieliła kabinę z dwiema pielęgniarkami, przyjaciółkami z Christchurch. Wysoka jasnowłosa Jennifer, bardziej rozważna, była zdeklarowaną zwolenniczką Wilhelminy Sherriff Bain, która od początku sprzeciwiała się tej wojnie. Jennifer z czysto altruistycznych względów chciała pojechać do Transwalu, aby dorównać swej idolce i Emily Hobhouse. Daisy, drobna, okrągła dziewczyna o czarnych włosach i błyszczących niebieskich oczach, przyłączyła się do przyjaciółki z czystej chęci przeżycia przygody. Oczywiście także chciała pomagać, ale oprócz tego zobaczyć lwy i nosorożce i jeśli tylko będzie to możliwe, pogłaskać słonia.

– A poza tym chciałam koniecznie wyjechać z Christchurch – opowiadała z rozbrajającą szczerością. – Ale bez tej wojny nigdy by z tego nic nie wyszło. Zgłosiłam się od razu, kiedy tylko wysłali pierwszy kontyngent żołnierzy, ale wtedy byłam jeszcze w szkole pielęgniarskiej i moi rodzice też by na to nie pozwolili. Ale teraz już jestem po szkole i przecież nie jadę na wojnę, tylko do tych obozów uchodźców. Więc moi rodzice już nie mogli powiedzieć nie. A już zwłaszcza że jedzie Jenny...

Daisy najwyraźniej była skłonna być za to dozgonnie wdzięczna przyjaciółce.

Jenny i Daisy były młodsze od Roberty, ale o wiele bardziej otwarte niż jej koleżanki z seminarium nauczycielskiego. Robertę bardzo to dziwiło. Zgodnie z tym, co słyszała, szkoły pielęgniarskie pilnowały swoich uczennic niemal jak w żeńskim klasztorze, dokładnie według surowej tradycji Florence Nightingale. Daisy zachichotała, kiedy Roberta o to zapytała.

– Każdy harem ma swoje wyjścia – powiedziała z udawaną pobożnością i poprawiła wymaginowany zakonny welon. – Podobnie jak każdy klasztor.

Tu Daisy złożyła modlitewnie ręce i zamknęła oczy jak w czasie modlitwy.

Roberta się roześmiała.

– U nas przed oknem rosło wielkie drzewo – wyjaśniła trzeźwo Jenny. – Piękny buk południowy, z gałęziami jak drabina. W każdy sobotni wieczór schodziłyśmy po nich na dół i udawałyśmy się na potańcówki.

– Potańcówki? – Roberta nie wiedziałaaby nawet, gdzie miałyby czegoś takiego szukać, ale Christchurch było oczywiście bardziej otwarte i postępowe niż zdominowane przez religijnych Szkotów Dunedin. – I znaliście mężczyzn?

Daisy pisnęła ze śmiechu.

– Jasne! Połowa naszych pacjentów to mężczyźni!

– Ale do młodych oczywiście nas nie dopuszczali – poinformowała Jenny. – Co było też lepsze, bo który chciałby zatańczyć z dziewczyną, która mu... hm... no...

– ...wycierała tyłek – zachichotała Daisy i przeciągnęła się na swojej koi. – No powiedz to głośno, Jenny! – dodała, po czym zwróciła się do Roberty:

– Wy nie miałyście mężczyzn w seminarium nauczycielskim?

Roberta opowiedziała więc o trzech beznadziejnych przypadkach wśród studentów i za kilka dni więzy przyjaźni pomiędzy trójką dziewcząt były już na tyle zadzierzgnięte, że opowiedziała im o swojej miłości do Kevina Drury'ego. Spodziewała się podobnych kpin jak ze strony Atamarie i podczas swej spowiedzi nerwowo ścisnęła w ręce szmacianego konika. Ale Daisy i Jenny jej misja wydała się niesłychanie romantyczna.

– Och, o tym można by napisać książkę! – westchnęła Daisy. – Dziewczyna, która jedzie na wojnę,

aby odnaleźć zagubionego ukochanego. A on na pewno będzie ranny i będziesz mogła go uratować, a wtedy... Musimy ci udzielić lekcji pierwszej pomocy na wypadek wszelkich przypadków...

Jenny wymownie postukała się w czoło.

– On jest lekarzem sztabowym, Daisy, i sam ratuje ludzi. A jeśli rzeczywiście zwicznie sobie rękę w czasie operacji, to jest wokół niego dwadzieścioro innych lekarzy i sióstr... Ale tak poważnie, Robbie, dlaczego myślisz, że nie będziesz mogła znaleźć tego doktora Drury'ego? Właściwie musisz tylko spytać w dowództwie wojskowym. A za wszystkich Nowozelandczyków odpowiada major Robin. Wysyłałyśmy mu ciągle jakieś noty protestacyjne, także teraz, z powodu tych obozów. Znam adres na pamięć – on siedzi w Pretorii. Jak ci powie, gdzie stacjonuje Drury, to możesz do niego napisać.

Roberta się zaczerwieniła.

– Napisać mogłam do niego dawno. Tylko że... Ja nie wiem, czy...

Daisy przewróciła oczami.

– Jedziesz za nim przez pół świata i potem nie odważysz się z nim spotkać?

Jenny wykazała więcej zrozumienia.

– Możesz zrobić wszystko tak, jak gdyby to był przypadek. Przyjechałaś śladami Miss Hobhouse do Kapsztadu – i wtedy przyszło ci głowy, że on też... Albo nie: jego matka stwierdziła, że musisz się z nim skontaktować. Matki są zawsze do czegoś takiego przydatne. Znasz jego matkę?

Organizacja Miss Hobhouse także gromadziła swoje pomocnice najpierw w Australii, choć nie w wojskowym porcie Albany, ale w Sydney. Roberta sądziła, że będzie tam musiała przyłączyć się do pozostałych nauczycielek – razem było ich sześć. Były to blade i delikatne intelektualistki, podobnie jak jej koleżanki z Dunedin. Ale Daisy i Jenny zabierały Robertę ze sobą i dzięki temu dziewczyna mogła obejrzeć naturalny port i budynki dawnego więzienia z czasów, kiedy Australia była kolonią karną.

– Zatoka Botaniczna, Ziemia van Diemena... – powiedziała Daisy teatralnie grobowym głosem. – Dziewczyny, wtedy to tutaj roilo się od przystojnych młodych mężczyzn, którzy w domu ukradli owcę. Mogłybyśmy wtedy podać się za złodziejki biżuterii i...

– Ona słucha za dużo irlandzkich piosenek ludowych – stwierdziła Jenny z przesadnie współczującym spojrzeniem. – Daisy, ale jeśli lecisz na facetów, z którymi można strzyc owce, to czemu jedziesz do Afryki? Jesteś przecież z Canterbury, a tam jest pełno chłopców, którzy śmierdzą owczym tłuszczem!

W czasie podróży z Sydney do Durbanu Roberta dzieliła kabinę z innymi nauczycielkami i już nie było tak wesoło. Ale bądź co bądź żadna z nich nie była też zainteresowana zawieraniem nowych przyjaźni, bo w Afryce tak czy owak miały znaleźć się w różnych obozach. Młode kobiety odnosiły się do siebie z wielkim dystansem – a połowa i tak cierpiała stale z powodu choroby morskiej. Roberta tak często, jak tylko mogła, szła na pokład i spotykała się tam z pielęgniarkami. Było ich razem na statku pięćdziesiąt i tylko nieliczne były „dziećmi smutku”. Młode kobiety flirtowały z marynarzami i rywalizowały ze sobą o to, która pierwsza zostanie dostrzeżona przez jakiegoś oficera. Najodważniejsze także wieczorem uciekały spod nadzoru nielicznych starszych pielęgniarek, które niezbyt chętnie patrzyły na młodsze koleżanki, i szły z członkami załogi na potańcówki. Jeden z marynarzy grał na akordeonie, drugi na skrzypcach – a Daisy improwizowała bęben. Roberta odważyła się kiedyś tam zajrzeć i od razu pozazdrościła dziewczętom wesołej zabawy. Ale nie odważyła się przyłączyć do nich. Pielęgniarki kryły się nawzajem, ale jeśli któraś z nauczycielek złapałaby drugą na „bezwstydnym” rozrywkach, z pewnością zostałoby to zgłoszone. Roberta nie robiła sobie żadnych iluzji: komitet dam zgromadzonych wokół Miss Hobhouse pilnował dokładnie tak samo cnoty i moralności jak kiedyś kobiety z Women's Christian Temperance Union. Roberta i Atamarie dobrze pamiętały, że ich matki musiały się ukrywać, jeśli chciały wypić choćby łyk

szampana, kiedy pracowały w Wellington dla tych bardzo wojowniczych kobiet. Nienawidziła tego szczególnie Matariki.

– Szkoda by było, gdybyśmy teraz musiały się rozstać, prawda? – spytała Daisy ostatniego wieczoru podróży. Młode kobiety wymknęły się na pokład pod pretekstem chęci obejrzenia światła Durbanu i zerknięcia na miejsce swojej przyszłej działalności. – Jak myślicie, kogo musimy przekonać, żeby dostać się razem do jakiegoś obozu?

Przy tych słowach Daisy ukradkiem podsunęła Robercie piersiówkę. Roberta wypila łyk i natychmiast zaczęła kaszeć: była to whisky rozcieńczona wodą!

– To jest wstrętne – powiedziała i otrząsnęła się. – Myślę, że będziemy rozdzielone, a może nawet już mamy przydział. Na pewno nie pozwolą, żebyśmy miały tu coś do powiedzenia.

– Ale ty i tak pomówisz z tym majorem Robinem – oświadczyła Jenny i odebrała Robercie piersiówkę. Jej ta mieszanka najwyraźniej smakowała. – I od razu możesz spytać, czy my...

Roberta czuła, że się czerwieni. Wstydziłaby się wprost śmiertelnie, gdyby rzeczywiście pojawiła się możliwość przedstawienia majorowi ich sprawy. Ale z drugiej strony – jeśli ona się na to nie odważy, to straci twarz w oczach przyjaciółek. Zdecydowanym ruchem wzięła piersiówkę i pociągnęła jeszcze jeden łyk whisky. W końcu ponoć ona dodawała odwagi...

Potem zaś wszystko okazało się śmiesznie proste! Młode kobiety rzeczywiście przywitała przedstawicielka miejscowej organizacji charytatywnej, ale nie ona miała przyznawać im miejsca w obozach. Kobiety mogły wybierać, czy chcą pracować w kolonii Orania czy też w Transwalu, i wówczas Daisy zdecydowanie szturchnęła Robertę, aby ta wybrała Transwal.

– Tam jest Pretoria, a w niej – Robin. Jenny i ja też wybierzemy Transwal, to nie będziesz sama.

Daisy i Jenny było wszystko jedno, gdzie będą pracować. Daisy może wolałaby nawet Transwal, bo znajdował się w głębi lądu. Chciała jak najwięcej zobaczyć w Afryce i już teraz patrzyła jak urzeczona na różne kolory skóry spotykanych w Durbanie ludzi. Niestety nie pojawiła się żadna możliwość kontaktu z czarnoskórymi Zulusami, którzy ją najbardziej fascynowali.

– To śmieszne, myślałam, że prowadzimy tu wojnę, aby oni mieli więcej praw – zauważyła. – Ale Anglicy źle ich traktują. Dziewczyna od Mrs Mason nawet nie odważyła się ze mną rozmawiać...

Jenny i Daisy umieszczono w domu Mrs Mason do chwili, kiedy miały wyjechać do Pretorii. Roberta i jej koleżanki zamieszkały w szkole dla dziewcząt z internatem. Także tam nie widziano czarnych, jedynie w kuchni pracowały miejscowe pomocnice.

– Za to jest wielu Hindusów – stwierdziła Roberta po spacerze przez miasto. – Z nimi Anglicy chyba lepiej sobie radzą.

– I oni mówią też po angielsku – dodała spostrzegawcza Jenny. – A ci Murzyni najwyżej w tym ich... Jak to się nazywa? Afrykanerski? Powinniśmy się go chyba nauczyć, jeśli chcemy pracować z burskimi kobietami.

Roberta kupiła więc leksykon angielsko-niderlandzki, bo afrykanerski nie był uznawany za samodzielny język. Była zdecydowana zajrzeć do niego w czasie podróży do Pretorii, ale krajobraz, który oglądały, porwał ją tak samo jak Jenny i zachwyconą Daisy. Linia kolejowa prowadziła w poprzek kraju, a koleżanki Roberty trochę się bały, bo ciągle jeszcze walczyły tu oddziały burskie, które może zamierzały wysadzić tory w powietrze.

– Ale nie w biały dzień! – śmiała się Daisy. – A poza tym, gdyby nawet miało się tak stać, to wówczas nie byłoby tu tylu stad gnu, bo wystraszyliby je. I zebry też! Popatrzcie, tam są zebry! Rzeczywiście wyglądają jak konie w paski albo kucyki, myślałam, że są większe. Żyrafa! Prawdziwa żyrafa!

Na dłuższą metę nieustanny zachwyty Daisy był nieco męczący, bo nawet dwudziesta żyrafa była powodem jej radosnych okrzyków. A potem nizina zaczęła ustępować przedgórzom Gór Smoczych,

w polu widzenia ciągle pojawiało się coś nowego i Roberta nawet nie otworzyła swojej książki. Następnego zaś ranka były już w Transwalu. Tu okolica nie wydawała im się tak obca – ale za to mijane widoki nie zawsze dostarczały przyjemnych wrażeń. Obok linii kolejowych znajdowały się liczne spalone farmy i pola – przede wszystkim jednak tory otaczały zasieki z drutów kolczastych, a co kilkaset jardów pojawiały się silnie strzeżone forty. Młode kobiety umilkły zupełnie na widok obozu pracy dla czarnych mieszkańców kraju: składały się nań okrągłe nędzne chaty, zbudowane częściowo z blachy, a częściowo z płótna, oraz jakieś zabudowania gospodarcze – przed chatami siedziały apatyczne dzieci, a ich wychudzone matki, sprawiające wrażenie kompletnie wyczerpanych, pracowały w palącym słońcu na zakurzonych polach. Także obóz otaczały zasieki z drutów kolczastych, przy bramach stali angielscy żołnierze, którzy wyglądali niemal tak samo żałośnie jak więźniowie.

– To okropne – stwierdziła trzeźwo Daisy po chwili milczenia, kiedy obóz zniknął z pola widzenia. – Ale pewnie w obozach dla białych, dokąd jedziemy, jest lepiej...

Jenny potrząsnęła głową.

– Zgodnie z tym, co mówi Miss Hobhouse, nie jest – odparła. – Nie czytałaś jej doniesień?

Roberta ciągle myślała o czarnych dzieciach widzianych w obozie. Na dłuższą chwilę zapomniała o Kevinie Drurym i prawdziwych powodach, dla których zdecydowała się na taką przygodę. Nie przyjechała tutaj, aby gonić swoje marzenie, tylko po to, by pomagać!

– Jeżeli w obozach dla białych jest lepiej – oświadczyła – to musimy jechać do tych dla czarnych!

Pretoria, do której pociąg dotarł późnym przedpołudniem, była bardzo ożywionym miastem, a przyczynę tego stanowił z pewnością fakt, że stacjonowały tu liczne jednostki armii brytyjskiej. Anglicy sprawiali wrażenie zdecydowanych i pełnych optymizmu, za to właściwi mieszkańcy, którzy chodzili po ulicach swego miasta z opuszczonymi głowami, wyglądali na przybitych i przygnębionych.

– To są pewnie Burowie – stwierdziła Daisy, nie kryjąc swojej fascynacji. Tym razem zachwyciły ją przesadnie schludne suknie i czepki burskich kobiet, które sprawiały wrażenie jak z innej epoki. Nikt w Nowej Zelandii ani Australii tak się nie ubierał. Burskich mężczyzn widziało się raczej rzadko, bo zapewne albo byli w niewoli, albo walczyli jeszcze z okupantami. Wśród mężczyzn na ulicy dominowali ci w angielskich mundurach. Roberta drgnęła przerażona, kiedy jedna z grzecznie wyglądających burskich kobiet ostentacyjnie splunęła na widok przechodzącego obok angielskiego porucznika.

– Oni nas nie lubią – skomentowała Jenny. – Ale czy można brać im to za złe?

Czarnych pramieszkańców kraju też prawie nie można było tutaj zobaczyć, także w oficerskich kasynach obsługiwali indyjscy boye. Młody Hindus otworzył przed kobietami drzwi do biura lorda Milnera, któremu podlegały obozy koncentracyjne w Transwalu. Lord przyjął około trzydziestu angielskich pomocnic w sali konferencyjnej.

– Jesteśmy paniom naprawdę bardzo wdzięczni za zaangażowanie... i oczywiście także bardzo szanownej Miss Hobhouse – oświadczył lord po uprzejmym powitaniu pielęgniarek i nauczycielek. Słowa uznania wobec Miss Hobhouse z trudem przeszły mu przez gardło, co było widoczne. Bo tak naprawdę lord nie cierpiał owych nieustraszonych bojowniczek, które przyjechały tu z zamiarem pomagania burskim kobietom. – Kierownictwa obozów dla uciekinierów bardzo na panie czekają; osadzeni potrzebują opieki pielęgniarskiej oraz nauczycieli. Przekonacie się panie, że bardzo wielu tym kobietom brakuje podstawowych umiejętności prowadzenia cywilizowanego gospodarstwa domowego.

Roberta zmarszczyła czoło. Trudno jej było w to uwierzyć, bo kobiety w Pretorii w żadnym wypadku nie sprawiały wrażenia zaniedbanych.

– Kobiety burskie nie są skłonne do kooperacji i nauki. Czekają was, szanowne panie, naprawdę

trudne zadania. Jeśli tylko będę mógł wam w czymś pomóc, zwracajcie się bez wahania do kierownictwa obozów. Czy któraś z pań ma pytania...

Wszystko wskazywało na to, że lord Milner zamierzał jak najszybciej zakończyć audiencję. Robertcie zaparło dech, kiedy Daisy spokojnie podniosła rękę.

– Jesteśmy trzema przyjaciółkami i chciałybyśmy pracować w jednym obozie, sir – oświadczyła dziewczyna bez żadnego skrępowania. – Czy sądzi pan, że będzie to możliwe?

Lord Milner uśmiechnął się do czarnowłosej rezolutnej dziewczyny.

– Trzech pielęgniarek nie możemy niestety przydzielić do jednego obozu. Jest ich zbyt mało, ale...

– Dwie z nas to pielęgniarki, a jedna jest nauczycielką. – Daisy bez żadnych obaw weszła mu w słowo.

Milner popatrzył przez chwilę surowo, ale potem skinął głową.

– To co innego i powinno to być możliwe. Sierżancie Pinter! – zwrócił się do swojego adiutanta, który z tyłu za nim porządkował jakieś papiery. Najwyraźniej to on zajmował się przydzielaniem kobiet do obozów. – Proszę poszukać odpowiedniego miejsca dla tych młodych ladies. A jeśli pozostałe panie będą miały jakieś życzenia... to o ile będzie to leżało w naszej mocy, też je spełnimy. Chcemy przecież, abyście się panie dobrze u nas czuły. To samo dotyczy też... hm... naszych burskich podopiecznych. Jeśli w obozach występują jakieś niedociągnięcia, to jest to... niezamierzone i... no tak. Raz jeszcze dziękuję, drogie panie, za wasze zaangażowanie. Teraz pańska kolej, Pinter!

Lord opuścił pomieszczenie, a jego sekretarz chwycił za pióro.

– Prosiłbym o podchodzenie, drogie panie... Po kolei...

Daisy bezczelnie ustawiła się pierwsza, a Jenny i Roberta, nieco zakłopotane, stanęły tuż za nią.

– A więc to panie są tym, że tak powiem, zaprzęgiem trzykonnym. Popatrzmy... dwie pielęgniarki i nauczycielka. A więc mogłybyście panie udać się do Klerksdorp albo do Middelburga. Springfontein też jest bardzo pięknie położone... Ach, prawda, doktor Drury też prosił o dwie pielęgniarki... Karenstad.

– Doktor Kevin Drury? – wyjąkała Roberta i zbladła.

Daisy uśmiechnęła się do niej szeroko.

– No, jak to było z tym prezentem od bogów? – spytała. – Bardzo dziękujemy, sierżancie Pinter. Chciałybyśmy pojechać do Karenstad.

ROZDZIAŁ 9

Śmierć Johanny van Stout doprowadziła do licznych niepokojów w obozie Karenstad. Pogłoska, że dziewczyna rzekomo została zamordowana przez strażników, czemu wkrótce zaczęły towarzyszyć kolejne podobne historie, rozeszła się lotem błyskawicy. Bentje van Stout cieszyła się ogromnym szacunkiem, a oddział jej męża już teraz otaczała sława i legenda. Jeśli więc sama Bentje wносиła oskarżenia przeciwko strażnikom, to pozostałe kobiety traktowały to jak najbardziej poważnie.

– Jeśli ona dowie się jeszcze o śmierci swojego męża, to będziemy mieli powstanie – westchnął Kevin.

Zrobił właśnie kolejną rundę przez cały obóz, w trakcie której zapewniał kobiety, że nikt nie dosypywał rozdrobnionego szkła do mleka w proszku wydzielanego zamiast mleka skondensowanego i po raz setny wyjaśniał, że w chwili śmierci Johanny van Stout strażnicy nawet nie mieli wstępu do obozu. Z tego ostatniego kobiety tylko się śmiały. Greenway miał rację, w obozie rzeczywiście istniała prostytutka. Wprawdzie Kevin z trudem mógł w to uwierzyć, ale nie wszystkie burskie kobiety podzielały surowe przekonania moralne, jakie wyznawała Doortje van Stout. Niektóre z nich po prostu nie widziały sensu w poświęcaniu się, jak też w głodowaniu ich własnych dzieci, skoro istniały inne możliwości. I te kobiety właśnie utworzyły coś w rodzaju obozowego burdelu – pogardzanego przez ich współtowarzyszkę o innych przekonaniach, ale cenionego przez strażników. Pieniądze rzadko zmieniały właścicieli, mężczyźni częściej płacili chlebem albo marmoladą, konserwami mięsnymi czy też słodyczami. Dzieci obozowych dziwek wprawdzie nie głodowały, ale za to musiały znosić kpiny i pogardę otoczenia. Kevin wołał nie myśleć o tym, co będzie później, kiedy obozy zostaną rozwiązane i nikt nie będzie przeszkadzał kobietom w wymyślnym dręczeniu dziwek Tommych. W każdym razie strażnicy wcale nie przestrzegali zakazu wchodzenia do obozu w czasie ciszy nocnej. Choć oczywiście dalecy byli od tego, aby topić młode kobiety, ale tego nie można było wyjaśnić Bentje i jej zwolennikom.

– Jako wdowa będzie wręcz bohaterką.

Cornelis, który pełnił funkcję tłumacza Kevina, sfrustrowany skinął głową.

– Powiniennem był jej o tym powiedzieć. Tak jak Doortje o Martinusie. Ale wtedy... wtedy nie ważyłbym się nawet wejść do obozu.

Dotychczas obaj mężczyźni trzymali się wersji wydarzeń, którą wymyślił Cornelis. Zgodnie z nią mężczyźni z oddziału van Stouta przedostali się na tyły Brytyjczyków. Dwóch mężczyzn zostało zastrzelonych, Cornelis był lekko ranny i dostał się do niewoli tylko dlatego, że zastrzelono jego konia. Pozostali członkowie oddziału rzekomo uciekli, także Adrianus van Stout i Martinus de Groot.

– Wolę nawet nie myśleć o tym, jak zareaguje na tę wieść Doortje – westchnął Kevin.

Cornelis spojrzał na niego ze współczuciem.

– Pan jest w niej zakochany, doktorze – skonstatował młody Bur. – Ale to jest beznadziejne. Ona jest... – Cornelis szukał właściwych słów.

– Ona jest burską kobietą, ale przede wszystkim jest właśnie kobietą! – przerwał mu Kevin zdecydowanie. – Potrafi przecież śmiać się, kochać, cieszyć się. Gdyby tylko sobie na to pozwoliła.

Cornelis potrząsnął głową.

– Nie zrobi tego nigdy – oświadczył. – Jej nie można złamać, ona...

– O nieba, ja wcale nie chcę jej złamać! – jęknął Kevin. – Chcę ją tylko... chcę ją kochać, być dla niej dobry, rozpieszczać ją...

Cornelis wzruszył ramionami.

– W tym celu najpierw należałoby rozbić jej pancerz. Zachwiać jej wiarę, podważyć jej patriotyzm. Ale wówczas... kto wie, czy coś z niej wtedy jeszcze zostanie, doktorze Drury. I czy będzie ją pan wtedy jeszcze chciał...

Cornelis chciał się odwrócić, ale Kevin szukał jego spojrzenia.

– Będę ją chciał w każdych okolicznościach – oświadczył. – Jeśli tylko ona da mi szansę.

Potańił sobie czoło, ale Bur nie odpowiedział.

– Pojedziemy jutro w górę rzeki? – spytał w końcu, zanim się rozstali. Kevin cieszył się na szklaneczkę whisky z doktorem Greenwayem, Cornelis musiał wracać do namiotu, który dzielił z dwiema rodzinami. – Chcę wreszcie zobaczyć ten obóz dla czarnych.

Cornelis skinął głową.

– Jak pan sobie życzy – powiedział z dystansem.

Kevin znów westchnął. Cornelis może rzeczywiście był niezwykłym Burem, ale jeśli chodzi o czarnych, to nastawienie do nich miał takie samo jak jego kuzynki. Także on uważał czarnych za ludzi silnych, zdolnych do pracy, ale gorszych. Najchętniej pozostawiłby ich samym sobie, podobnie jak Lindsey, i miał im w dodatku za złe, że współpracowali z Brytyjczykami. Tak, on wprowadził też to robił, ale tylko po to, aby ratować swoich rodaków. A wielu czarnych zdradziło swoich byłych białych panów, tego zaś Cornelis nie mógł zrozumieć ani też temu pobrażać.

– Zawsze byliśmy dla nich dobrzy – zapewniał następnego dnia, kiedy jechał na klaczy Vincenta Colleen obok Silvera Kevina. Kevin mógł co prawda pożyczyć mu konia z pułku, ale nie chciał upubliczniać, jak bardzo ufał swojemu burskiemu jeńcowi wojennemu.

– Zanim tu przyjechaliśmy, oni byli prymitywnymi dzikusami. Nie znali Biblii...

Kevin przewrócił oczami.

– Słyszałem, że Zulusi mieli wspaniałe królestwo, w którym wszystko było świetnie zorganizowane, a zwłaszcza wojsko. Czyli aż tak prymitywni nie mogli być. A jeśli chodzi o Biblię... Cornelisie, nie chcę pana urazić, ale każdy kraj ma swoich własnych bogów. Nie wiem, na czym to polega, nie jestem teologiem. W każdym razie to nie jest powód, aby robić z ludzi niewolników...

– Ale tego nie zrobiliśmy! – upierał się Cornelis. – Oni przyszli do nas dobrowolnie, jeszcze teraz w oddziałach są Kafrowie. Wszyscy tropiciele śladów to Kafrowie i Hotentoci, choć tych ostatnich nie ma już zbyt wielu...

Kevin zrobił wiele mówiący grymas.

– Na pewno się dobrowolnie sami wytępilli – zakpił. – A co z *voortrekkerami*, o których tak pięknie opowiadała pańska ciotka? Którzy w jeden dzień wymordowali trzy tysiące Zulusów? Po to, żeby potem zabrać ich ziemię i wielkodusznie pozwolić im na niej mieszkać za to, że pracują dla białych?

Kevin się oburzał, ale wkrótce te słowa uwięzły mu w gardle. Warunki w obozie dla czarnych nie dowodziły, że Anglicy obchodzili się z czarną ludnością lepiej niż Burowie. Wręcz przeciwnie, obóz dla kobiet robił wrażenie niemal luksusowego w porównaniu z obozem dla czarnych.

– Co to za koszmarnie rudery? – spytał Kevin strażnika, który raczej tylko pro forma stał przy bramie. Czarnym nie zakazywano opuszczania obozu, wielu mężczyzn pracowało na zewnątrz, a kto miał pieniądze, mógł w każdej chwili iść do miasta na zakupy. – Czy tu nie dostarczono namiotów?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie, sir. Ludzie mieli sobie sami coś zbudować. I niektórzy to zrobili.

Rzeczywiście, w obozie było parę okrągłych chat w tradycyjnym stylu, w jakim budowano chaty w *kraalu*, ale obok stały nędzne rudery z kanistrów po parafinie. Wiele kobiet i dzieci spało też pod gołym niebem na błotnistej ziemi, niektórzy mieli jedynie nędzne schronienia z koców.

– Nie mężczyzna, nie drewno... – wyjaśniał swoje położenie w łamanym afrykanerskim jeden

z więźniów.

Kevin zrozumiał.

– To znaczy, że nie dostarczono materiałów do budowy domów – zwrócił się surowym tonem do strażnika. Ten w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Ci ludzie mogą pracować. Mają sobie zarobić na materiały do budowy domów i potem je zbudować.

– A jak ci mężczyźni mają jednocześnie pracować na zewnątrz i tutaj budować domy? – nie ustępował Kevin. – Tu coś się musi zmienić, i to szybko! Cornelisie, potrzebujemy tłumacza. Gdzie się podział domowy personel van Stoutów? Nandé i jej brat mówili przecież dobrze po afrykanersku i nawet znali kilka angielskich słów. Można jakoś ustalić, czy oni są tutaj w obozie?

Kevin co prawda nie robił sobie zbyt wielkich nadziei, bo przecież nawet w obozie dla białych prawie nie prowadzono rejestru więźniów. Tu chaos był jeszcze większy. Kevin udał się więc sam na poszukiwania, a za nim szedł Cornelis, nie kryjąc swego obrzydzenia i niechęci. Obóz dla czarnych nie odpowiadał w żadnym stopniu podstawowym wymogom higieny. Nie było wcale latryn, ilość insektów była przerażająca, a szpital, i tak prymitywny, służył jako noclegownia dla tych kobiet i dzieci, którzy nie mieli opiekunów. Obóz był więc straszliwie przepełniony, a większość ludzi chora – kobiety z niedożywienia znajdowały się w stanie na pograniczu letargu. Wiele z nich nie opiekowało się już swoimi dziećmi i Kevin dostrzegł leżące tu i ówdzie liczne zwłoki. Nikt nie usuwał ciał, nie było też żadnej służby pogrzebowej. Jeśli brało się do tego kilku członków rodziny, to sami wynosili zwłoki – albo pomagali strażnikom, aby nie dopuścić do nieznośnego smrodu.

Kevin był już bliski rezygnacji – i wtedy znalazł Nandé. Młoda kobieta leżała apatycznie w jednej z chat zbudowanych z kanistrów po parafinie. Czuwało nad nią dwóch młodych mężczyzn, którzy wpuścili do środka przedstawicieli kierownictwa obozu. Patrzyli jednak nieufnie, gdy Kevin zbliżał się do dziewczyny.

– Miss Nandé! – Kevin pochylił się nad nią, pamiętając, jak się cieszyła z tego uprzejmego zwrotu. Także teraz na wychudzonej twarzy Nandé pojawił się cień uśmiechu.

– *Mijnheer* doktor! Pan z powrotem? Co z *baas* Bentje? I Doortje? I dzieci?

Kevin zagryzł wargi. Czy Nandé wiedziała, co się stało z Doortje i z Johanną? Kevin sądził, że to niemożliwe, bo z pewnością czarnych i białych transportowano osobno.

– Miss Johanna zmarła – powiedział otwarcie. – Ale wszyscy pozostali są w obozie Karenstad. Miss Nandé, ja...

Kevin chciał właśnie zabrać się do wyjaśniania swojego pomysłu poprawy tutejszych warunków, ale Nandé mu przerwała.

– Brat też martwy – powiedziała, zerkając trwożliwie na obu mężczyzn przy wejściu do chaty.

Jeden z nich rozmawiał właśnie z trzecim, który zamierzał tu wejść. Cornelis chyba zrozumiał kilka słów z ich rozmowy i sprawiał wrażenie mocno zdegustowanego. Nandé, wyraźnie zawstydzona, odwróciła wzrok. Kevin zmarszczył czoło.

– Twój brat nie żyje? Na co umarł? Był chory?

Umieralność kobiet i dzieci w tym obozie była z pewnością niesłychanie wysoka, ale brat Nandé był silnym młodym mężczyzną. Choć oczywiście mógł mieć tyfus albo dyfteryt...

Nandé potrząsnęła głową, a Cornelis wyciągnął swoje wnioski.

– Sądzę, doktorze, że pomogło w tym tych dwóch – stwierdził, wskazując ruchem głowy mężczyzn przy wejściu. – Niech się pan rozejrzy, doktorze! To nie jest chata służąca do mieszkania! Tutaj te typy sprzedają swój towar... A jej brat chyba nie miał chęci sprzedawać tej małej.

Nandé wydała z siebie zduszony dźwięk. A Kevin zrozumiał, co miał na myśli Cornelis. W chacie

nie było miejsca do gotowania ani żadnych innych legowisk, oprócz słomianego siennika, na którym w kącie leżała Nandé. W biały dzień, choć chata była ciemna, brudna i śmierdząca parafiną, a w dodatku wszędzie były stada much. Nandé sprawiała wprawdzie wrażenie chorej, ale nie na tyle, aby nie móc opuścić łóżka.

Kevin się wyprostował.

– Nandé, zabieramy cię teraz do obozu dla białych – oświadczył zdecydowanie. – A na tych typów strażnicy będą mieć oko; skontroluję to. Tu w najbliższym czasie i tak będą liczne kontrole. Zaczniemy od czegoś w rodzaju spisu ludności. Musimy ustalić, ile tu jest ludzi, przede wszystkim kobiet i dzieci. U nas też brakuje wszystkiego, a że burskie kobiety nie chcą pomagać... Ty, Nandé, zajmiesz się moim gospodarstwem. I zaraz poszukamy dziesięciu kobiet, które będą chciały pomagać doktorowi Greenwayowi w szpitalu i sprzątać pomieszczenia dla strażników... A jeśli chodzi o tych typów... Nandé, jest więcej takich dziewcząt... hm... jak ty?

Nandé spuściła oczy. Obawiała się czegoś wyraźnie, ale Kevin już u van Stoutów widział, że była odważna i dumna. Kiedy pomógł jej wstać, uczepliła się go rozpaczliwie i wskazała mu drogę do dwóch podobnych chat. Z jedną z dziewcząt nie można było już rozmawiać – miała bardzo wysoką gorączkę. Druga, najwyżej siedemnastoletnia piękność, tylko z trudem mogła wstać. Kevin wysłał bardzo niechętnego Cornelisa, aby sprowadził kilku strażników, którzy mieli zanieść kobiety do bramy.

– Zabierzemy je razem z pracownicami – powiedział do mężczyzn, którzy nie kryli swej niechęci. Brzydzili się położyć dziewczyny na noszach. To przynajmniej świadczyło o tym, że oni nie brali udziału w ich wykorzystywaniu. Klientami byli zapewne więźniowie, którzy zarabiali dość, by wydawać pieniądze na prostytutki i pijaństwo, zamiast wyżywić za nie rodziny. W chacie trzeciej dziewczyny leżały puste butelki po whisky.

– Do tych dwóch typów przyślę tu Żandarmerię Wojskową. A wam oni też będą chcieli zadać kilka pytań! – zwrócił się Kevin do strażników. Ci spojrzeli z wściekłością na kierownika obozu.

– A jak pan sobie wyobraża to z tymi pracownicami? – spytał ten, który wpuścił Kevina i Cornelisa. Jako kapral był tutaj najwyższy stopniem. – Te baby nie mogą przecież biegać codziennie między dwoma obozami.

– A dlaczego nie? – odparł Kevin. – Mężczyźni chodzą przecież nawet do miasta. Ale one nie będą musiały biegać. Te kobiety i ich dzieci umieścimy w obozie dla białych.

Strażnicy i Cornelis wstrzymali oddech.

– To wykluczone, doktorze – powiedział w końcu ten ostatni. – Nie może pan trzymać Kafrów razem z białymi rodzinami. Tego... tego pan po prostu nie może zrobić!

Kevin wzruszył ramionami.

– Nie wie pan jeszcze, co ja mogę – poinformował swojego pomocnika. – I nie widzę tutaj w ogóle żadnego problemu. Na farmach czarni i biali mieszkali drzewi w drzewi. Oczywiście dla czarnych kobiet postawimy osobne namioty.

Kevin doskonale wiedział, że będą z tego powodu kłopoty, ale nie zamierzał iść na jakiegokolwiek kompromisy. Dwa drabiniaste wozy podstawione przez kawalerzystów, którymi odwożono zwykle pomocnice ochotniczki oraz cięższe przypadki chorych, zawiozły ponad trzydzieści kobiet i dzieci do Karenstad. Doktor Greenway, którego Kevin wstępnie poinformował o swoich zamiarach, zdecydowanie potrząsnął głową, kiedy się dowiedział, że jego kolega chce zarekwirować dwa namioty dla białych.

– Drury, będziemy tu mieli powstanie! Burowie sobie na to nie pozwolą. Nie znajdzie pan też zrozumienia u władz wojskowych. Są istotne powody, dla których te obozy muszą być oddzielne.

– Ale pan jest... Proszę nie mówić, że odmawia pan leczenia tych kobiet! – Kevin patrzył na swojego

kolegę z niedowierzaniem. – I nie cieszy się pan z nowego personelu?

Greenway wzruszył ramionami.

– Nie mam z tym problemu – odparł. – Jeśli się pan upiera, zawieźmy najpierw chore kobiety do szpitala, do mniejszych pomieszczeń, proszę, nawet jeśli będzie ciasno... Ale na miłość boską, niech pan coś wymyśli, jeśli chodzi o umieszczenie gdzieś tych czarnych bab, doktorze Drury! Bo dojdzie do nieszczęścia!

Kevin najpierw pomógł zejść z wozu kobietom, czemu nieufnie przyglądali się biali więźniowie obozu. Wreszcie kazał czekać Nandé i pozostałym kobietom w swoim własnym mieszkaniu i w pomieszczeniach biurowych, aż znajdzie się jakieś rozwiązanie. Nie można było ich skazać na swego rodzaju „ścieżkę zdrowia”, którą z pewnością urządziłyby kobietom białe więźniarki. Burskie kobiety patrzyły na czarne tak wrogo, jak gdyby osobiście prowadziły przeciwko nim wojnę. Kevin ostatecznie zrezygnował z pomysłu, że burskie kobiety mogłyby ścieścić się nieco w swych namiotach i odstąpić dwa dla swego dawnego personelu.

Zatelegrafował więc do Vincenta, ale weterynarz akurat zajmował się koniem z kolką.

– Czy mamy namioty dla koni? – powtórzył jego pytanie Vincent. – Muszę spytać, ale myślę, że tak. Większe jednostki kawalerii powinny czymś takim dysponować. A muszą być zaraz?

Kevin jęknął.

– Vincent, mam tu trzydzieści kobiet i dzieci...

– Mimo wszystko będziesz musiał poczekać – odparł weterynarz. – I mieć nadzieję. Możesz nawet się modlić, jeśli masz taki nastrój. W każdym razie teraz muszę zająć się tym koniem. Zwłaszcza że należy do kierownika placówki zaopatrzeniowej i jest jego ulubieńcem. Przywiózł go aż ze Szkocji, w dodatku to bardzo miłe zwierzę.

– Vincent! – westchnął Kevin.

– Mam na myśli tylko to, że on będzie mi wdzięczny, jeśli koń nie zdechnie – wyjaśnił Vincent. – I wówczas chętnie wyświadczy mi jakąś przysługę. A jak ma jeden z tych namiotów, to...

Kilka godzin później wyraźnie zadowolony major McInnes osobiście nadzorował transport przestronnego namiotu stajni do obozu Kevina, a dodatkowo także dostawę żywności.

– To są dary – wyjaśnił nieoczekiwane błogosławieństwo. – Z Durbanu, ale właściwie z Nowej Zelandii. Potem mają nadejść następne, także odzież i zabawki dla dzieci. Przyjadą także trzy pielęgniarki!

– Trzy siostry? – Kevin z trudem mógł pojąć szczęście, które go właśnie spotkało.

– No, jedna to chyba nauczycielka – uściślił McInnes. – Ale może też się tutaj przyda...

Zajęcia lekcyjne dla burskich dzieci McInnes uważał chyba za zbędne.

– W każdym razie teraz wygląda to tak, jak gdyby miało być lepiej! – stwierdził Kevin zadowolony.

Burskie kobiety na razie nie protestowały, kiedy kawalerzyści rozbili namiot w kącie obozu – mimo że był on o wiele bardziej komfortowy niż ich własne. Namiot miał o wiele lepszą wentylację, przystosowaną do wrażliwego układu oddechowego koni. O tym jednak burskie kobiety nie myślały i na razie zadowolili się informacją, że czarni będą spać w stajni, czyli będą mniej uprzywilejowani niż one same. A dodatkowy przydział żywności jeszcze bardziej załagodził konflikt – rankiem zaś na Kevina czekało idealnie wysprzątane biuro. Nandé zapewne musiała wstać nocą, aby zrobić porządek i przygotować mu śniadanie. Sprawiała też wrażenie osłabionej i rozgorączkowanej.

– Nandé, praca może na razie poczekać – powiedział Kevin przyjaźnie. – Najpierw musisz być zdrowa; najlepiej będzie, jak pójdziesz do razu ze mną do szpitala i dokładnie cię zbadamy. Może chciałabyś też zobaczyć Miss Doortje i jej rodzinę...

Młoda kobieta potrzebowała też pilnie jakiejś odzieży – i kąpieli. Na farmie van Stoutów była

zawsze czysto i schludnie ubrana. Ale teraz jej suknia była sztywna od brudu.

– Bać się pójść do rzeki – powiedziała zawstydzona. Najwyraźniej zauważyła jego spojrzenia. – Białe kobiety...

– Możecie myć się w rzece poza obozem – powiedział Kevin, wiedząc, że będzie to przyczyną konfliktów. – Nie jesteście więźniami, pracujecie dla nas. Jeśli chcesz, idź zaraz!

Nandé nie dała sobie tego dwa razy powtarzać – i płakała ze szczęścia, kiedy Kevin podarował jej kawałek mydła. Był to w obu obozach bardzo pożądanym towarem, którego zawsze brakowało. Ironią losu był fakt, że tylko dziwki miały go dość i mogły się regularnie myć. Kevin chciał oczywiście podarować mydło także Doortje, ale burska kobieta odrzucała każdą formę uprzywilejowania. Nandé nie miała tego typu zahamowań. Wróciła wkrótce w zupełnie mokrej sukni, ale za to pachnąca bzami, jak mydło.

– Nandé o wiele lepiej! – oświadczyła, ale Kevin mimo to uparł się, aby zabrać ją do szpitala. Tam czekała go następna niespodzianka – na pierwszy rzut oka bardzo przyjemna. Już podwórko przed wejściem było idealnie pozamiatane, a wyszorowane sale chorych lśniły czystością. Chore czarne kobiety i dzieci leżały w świeżo powleczonej pościeli.

– To wygląda dobrze! – pochwalił Kevin doktora Greenwaya, który siedział w swoim biurze i porządkował akta chorych. – Jak w prawdziwym szpitalu!

Lekarz prychnął niechętnie.

– Tylko że bez pacjentów! – zauważył. – Niech pan się rozejrzy...

Zaskoczony Kevin stwierdził, że Greenway miał rację. Pomijając czarne kobiety i dzieci, które wymagały opieki lekarskiej, szpital był zupełnie pusty. Burskie kobiety zabrały swoich krewnych z powrotem do namiotów – w większości dzieci i kobiety cierpiące na choroby zakaźne.

– Ale... ale co...? – Kevin nic nie rozumiał.

– Mówiłem panu – powiedział Greenway. – Burowie nie chcą mieć nic wspólnego z kolorowymi. Niechętnie pozwalają też, aby ktoś taki opiekował się nimi, zwłaszcza że traktują czarne kobiety jak zdrajczynie. Może mieć pan tutaj osobno szpital dla czarnych i dla białych. Ale nie razem.

Kevin był urażony i rozczarowany – ale czuł też narastającą wściekłość. W tym szpitalu było dość miejsca, nawet przy pięćdziesięciu chorych były jeszcze wolne łóżka. A teraz były też w dodatku opiekunki. Jeśli burskie kobiety wołały, aby ich dzieci umierały...

– Nie ustąpimy – zdecydował, nie namyślając się długo. – Ten szpital jest otwarty dla wszystkich. Jeśli te kobiety nie chcą tu przyjść, to nie mogą im pomóc. Ale zaraz dokonamy inspekcji obozu, Greenway. I nie cofniemy się nawet przed przymusowym skierowaniem do szpitala, jeśli wystąpi duże niebezpieczeństwo zakażenia.

W rezultacie dzień upłynął Kevinowi bardzo niemiło – podobnie jak strażnikom, którzy musieli zastosować środki przymusu, jak też dla Cornelisa, który musiał to wszystko tłumaczyć kobietom. Wszystkich ich kobiety potraktowały jako wrogów, obrzuciły obelgami i opluły, na koniec zaś tylko trzydzieścioro dzieci leżało w szpitalu, płacząc, bo przymusowe skierowanie wystraszyło je, a ich matki nie mogły zostać z nimi.

– Tak na dłuższą metę być nie może! – oświadczył zmęczony doktor Greenway po ostatniej wizycie.

Czarne kobiety zachowały się wzorowo, wszystko było idealnie czyste, a na chorych w szpitalu czekała gęsta zupa. Ale dzieci nie chciały jej jeść, bez względu na to, jak były głodne. Starsze mówiły o szkle w zupie, a młodsze nie ważyły się im sprzeciwić.

– Nie może pan zmusić ludzi. Najlepiej byłoby odesłać czarnych i zatrudnić ich we własnym szpitalu...

– Jako lekarzy? – zakpił Kevin. – Greenway, te kobiety sprzątają i gotują. Ale więcej nie potrafią i nie mogą zrobić dla chorych. Oczywiście będziemy tam teraz jeździć każdego dnia, mamy więcej

czasu, bo zuluskie kobiety nas wspierają.

– Za to nie przychodzą do nas pacjenci – odparł równie złośliwie Greenway. – Niechże pan nie będzie taki opryskliwy, też nie wiem, jak to rozwiązać. Nie możemy przecież przywiązać ludzi do łóżek i karmić ich przemocą.

ROZDZIAŁ 10

Burskie kobiety były uparte, ale teraz także Kevin przypomniaws sobie o swojej odpornej irlandzkiej czaszce. Jego szpital był nadal otwarty, Kevin wydawał przymusowe skierowania – i osiągnął przynajmniej jeden mały sukces, kiedy udało mu się skłonić dzieci do jedzenia. Był to czysty przypadek: jedna z czarnych pomocnic należała do „Kafrów” rodziny małego Matthesa Pretoriusa, w którego domu pracowała. Dziesięcioletni Matthes powitał ją z radością, a ponieważ bezgranicznie jej ufał, zjadł chciwie przyniesioną przez nią kaszkę. I kiedy po tym posiłku nie umarł – a w dodatku ku uldze lekarzy szybko wyzdrowiał po zapaleniu płuc – inne dzieci także chwyciły za łyżki.

Dla lekarzy praca była jednak nieprzyjemna i męcząca. Kevin się wstydził, że znów nie miał czasu na rewizję obozu dla czarnych. Aż do chwili, kiedy czwartego dnia po zatrudnieniu czarnych kobiet nocą obudziło go tupanie bosych stóp na korytarzu przed sypialnią. Kevin na tyle długo służył u Rough Riders, że teraz gotów był natychmiast wszcząć alarm. Instynktownie sięgnął po broń, ale tej oczywiście już nie było obok jego łóżka, jak w czasie tych miesięcy, które spędził na weldzie... Kevin zaklął i szykował się do obrony pięściami. Ale wówczas usłyszał nieśmiały kobiecy głos.

– *Mijnheer* doktor, sir?

– Nandé?

Zaskoczony Kevin szybko namacał zapałki i zapalił gazową lampę obok swojego łóżka. Tymczasem do pokoju wsunęła się zuluska kobieta o mocno kręconych włosach – Kevin omal nie wybuchnął śmiechem, kiedy zobaczył, że dziewczyna ma na sobie staroświecką, obszytą koronkami koszulę nocną. Koszula była nowa, przynajmniej zdaniem Nandé, w rzeczywistości pochodziła z używanej odzieży z darów. Poprzedniego dnia do obozu przysłano trzy takie skrzynie i czarne kobiety posortowały wszystkie rzeczy. Nandé zachwyciła się koronkowym marzeniem i śmiała się po raz pierwszy, od kiedy Kevin uwolnił ją z brudnej chaty. Młody lekarz nie mógł się oprzeć jej dziecinnej radości – i z pewnością było to po myśli ofiarodawczyni, kiedy dał dziewczynie koszulę. Nandé potrzebowała odzieży podobnie jak burskie kobiety. Jej zachwyt był jedynym radosnym momentem tego dnia. Ale teraz Kevin poczuł niepokój. Czy dziewczyna przyszła, aby w specjalny sposób podziękować za prezent?

– Ty... chyba nie przyszłaś, aby pokazać mi tę koszulę? – spytał ostrożnie. – Skąd się tu w ogóle wzięłaś?

Nandé miała właściwie spać wraz innymi kobietami w namiocie stajni, ale jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że wymknęła się stamtąd niepostrzeżenie, aby przyjść do niego.

Nandé potrząsnęła głową.

– Nie, *baas* doktor, sir. Tylko, bo słyszeć... coś.

Młoda kobieta zaczęła naśladować stękanie, chcąc wyjaśnić sprawę lekarzowi.

– Przed drzwiami do doktora. Ja patrzeć i...

– To gdzie ty byłaś, Nandé?

Rzecz stawała się coraz bardziej dziwna. Namiot stajni nie miał drzwi, tylko rodzaj zasłony przed wejściem.

Nandé popatrzyła na niego pokornie i zagryzła wargę.

– Ja tu. W kuchni.

– Spałaś w mojej kuchni?

Nandé skinęła głową.

– Nie być zły, nie kara, sir. Ale tak piękna suknia, jak biała *baas*. I kuchnia, pokój Nandé. Jak białe

baas...

Na stroskanej twarzy Nandé błysnęła radość.

Kevin westchnął. Absolutnie nie mogło tak być, żeby Nandé spała w jego domu, nie był nawet w stanie wyobrazić sobie plotek, jakie się pewnie pojawią. Ale z drugiej strony kuchnia mieściła się w otwartej przybudówce i było to coś w rodzaju miejsca do grillowania. Nikomu nie mogło nawet przyjść do głowy, że on tam sypiał z czarną pokojówką. Oczywiście było stamtąd wejście do domu, Nandé zakradła się tu niewidziana przez nikogo. Kevin postanowił zabronić młodej kobiecie nocowania w kuchni, ale teraz jej za to nie ganić.

– Porozmawiamy o tym później – powiedział. – A teraz powiedz, słyszałaś jakieś jęki czy stękanie przed moimi drzwiami? A teraz to coś uciekło?

Nandé potrząsnęła głową.

– Nie, nie uciekło. Chciałam uciec, ale widzi mnie, ale... dziecko za ciężkie. Teraz przed szpitalem.

– Kobieta z dzieckiem? – Kevin poderwał się z łóżka, zawinawszy sobie wokół bioder lekkie prześcieradło, pod którym sypiał.

– Wyjdź, Nandé. Muszę się ubrać. Przyjdę zaraz. Możesz powiedzieć tej kobiecie...

Urwał. Prawdopodobnie pacjentka myślała już sobie wszystko, co możliwe na temat jego i Nandé. Jeśli jeszcze wysła ją teraz z wiadomością...

– Nie mówić z Nandé *baas* Doortje.

Kevin się wzdrygnął, słysząc te słowa. Doortje była tą pacjentką? Musiała być ciężko chora, jeśli przekradła się do niego w środku nocy. Albo przyniosła chore dziecko.

Kevin błyskawicznie włożył bryczesy, buty i wybiegł na zewnątrz, wciągając koszulę. Nandé, która czekała na niego przed drzwiami pokoju, zaintrygowana ruszyła za nim.

– Idź spać, Nandé! – powiedział, kiedy mijali namiot stajnię. – Do innych kobiet. Sam znajdę szpital.

– Ja nie pomóc? – spytała młoda kobieta.

Kevin zawahał się przez chwilę, bo mógł rzeczywiście potrzebować pomocy. Jeśli będzie sam z Doortje, to skompromituje się tak samo, jak gdyby był z Nandé. Choć co prawda Doortje na pewno nie będzie w nocnej koszuli, lecz w sukni zapiętej pod szyję jak za dnia.

– Przyślij te dwie kobiety, które pomagają doktorowi Greenwayowi – zdecydował. Lekarz pozwolił, aby pomagały mu dwie najbardziej rozgarnięte kobiety. Miał nadzieję, że po takim przeszkoleniu wkrótce wyśle je jako „siostry” do obozu czarnych.

– Ale mają się porządnie ubrać!

To polecenie nie było konieczne, oprócz Nandé żadna z czarnych kobiet w obozie nie posiadała nocnej bielizny – a z białych także mało która. Większość sypiała w sukniach na ziemi w swoich namiotach. Także Doortje miała teraz na sobie starą niebieską suknię, którą Kevin pamiętał z Wepener. Choć teraz nie była ona już tak schludna ani obszyta białą koronką, lecz znoszona, brudna i przepocona. Czepek Doortje był przekrzywiony, jego nieusztynione wstążki wisiały niezwiązane. Twarzy młodej kobiety w ogóle nie było widać – przyciskała ją do wilgotnych, spoconych włosów najmłodszego brata. Trzymając dziecko w ramionach, siedziała skulona przed wejściem do szpitala.

– Doortje! Miss van Stout! Na miłość boską, niosła pani dziecko aż tutaj?

Kevin podszedł do młodej kobiety i zabrał jej z ramion wiotkie ciało Meesa. Było wręcz rozpalone gorączką. Doortje przyniosła dziecko do niego – nie czekając, aż umrze. Patrzyła teraz na Kevina chłodno, z mieszaniną pogardy i nadziei.

– Dlaczego pani nie zastukała, kiedy chciała się pani do mnie dostać?

Mówiąc to, niósł dziecko do sali zabiegowej. Doortje patrzyła, jak szybko zapalał lampy.

– Nie chciałam przeszkadzać – powiedziała sztywno. – Zwłaszcza że nie był pan sam... – Ostatnie słowa niemal wypluła.

A Kevin zrozumiał w tym momencie, że wszystkie jego obawy okazały się słuszne. Ale niestety nie tylko te dotyczące sprawy Nandé, lecz także cierpienie dziecka. Dostrzegł na tułowiu Meesa charakterystyczne zaczerwienienia. Tyfus.

– Oczywiście, że byłem sam, co to za bzdura! – odparł.

Szukał gwałtownie stetoskopu. Musiał przynajmniej udawać, że będzie mógł pomóc. A szanse chłopca w tym stadium choroby były niewielkie.

Doortje w odpowiedzi westchnęła pogardliwie i zmieniła temat.

– Może pan coś zrobić? – spytała i pogłaskała Meesa po wilgotnych włosach. – On jest chory od dwóch tygodni.

Kevin pokiwał głową.

– Widzę – odpowiedział surowo. – Powinna pani była przynieść go wcześniej.

Doortje popatrzyła na niego i po raz pierwszy jej spojrzenie było pełne rozpaczy i bezradności.

– Moja matka... doktorze Drury, zna pan moją matkę. Ona modliła się i myła go w rzece, aby go ochłodzić, i...

– Tyfus wywołują bakterie, które prawdopodobnie żyją w wodzie, w której był kąpany. A on ją przedtem z pewnością pił...

Kevin usiłował zmierzyć dziecku temperaturę. Już wiedział, że będzie przerażająco wysoka.

Doortje skinęła głową.

– Mleko w proszku – powiedziała. – Jakoś je trzeba było rozpuścić. A rzeka jest tak blisko. Woda to woda, matka ją filtrowała...

Kevin jęknął.

– Cornelis chętnie przyniósłby wam każdego dnia wodę pitną, gdyby nie traktowała go pani jak wroga i zdrajcę i nie obrzucała obelgami. Ale on już nie waży się do pani zbliżyć.

– Jego miejsce jest na weldzie, w oddziale! – odparła twardo. – Nie powinien być tutaj!

Kevin tymczasem rozebrał chłopca i zaczął go myć. Chłodna woda z octem przynosiła wyraźną ulgę, można było też spróbować robić okłady. A przede wszystkim dziecko potrzebowało dużo płynów, ciągła biegunka mocno odwodniła organizm.

– Cornelis Pienaar nie jest tu dobrowolnie. Dostał się do niewoli – oświadczył Kevin i popatrzył na termometr. Ponad czterdzieści stopni...

Doortje odrzuciła głowę do tyłu. Z jej twarzy znikły łagodność i rozpacz, była to znów twarz upartej, wojowniczej burskiej kobiety.

– I właśnie dlatego zawiódł! Mój ojciec nie dostał się do niewoli. Martinus de Groot też nie dostał się do niewoli...

– Nie! – wyrwało się Kevinowi. Kochał Doortje, ale jej upór i ślepe zaciętrzewienie doprowadzały do tego, że tracił panowanie nad sobą. – Pani ojciec i pani narzeczony, Doortje, zostali zastrzeleni. Przykro mi, że dowiaduje się pani o tym w taki sposób i w takiej chwili, ale nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Byłem przy śmierci Martinusa. A o pani ojcu wiem tyle, że nie żyje, o bliższe okoliczności musi pani spytać Cornelisa. Ale Martinus de Groot nie zginął w walce. Poddał się, a nadgorliwy dowódca kazał strzelać do jeńców. Doktor Taylor, doktor Tracy i ja protestowaliśmy przeciwko temu, złożyliśmy skargę, ale niestety nic nie wskóraliśmy i winni nie zostali ukarani. Dlatego jestem tutaj, bo potem wystąpiłem ze służby. Ale w to prawdopodobnie pani nie uwierzy. Będzie pani nienawidziła mnie i Brytyjczyków jeszcze bardziej, i nawet panią rozumiem. Ale swego kuzyna nie powinna pani nienawidzić, bo to czysty przypadek, że wtedy uszedł z życiem. A teraz proszę mi pomóc i potrzymać

tę lampę, położę pani brata do łóżka i podam mu sztucznie płyny, bo prawdopodobnie nie może już pić.

– Tak, od dwóch dni – wyszeptała Doortje. Jej głos był bezbarwny, a twarz śmiertelnie blada. – Mój ojciec nie żyje... i Martinus...

– ...został wzięty do niewoli w czasie próby wysadzenia w powietrze torów kolejowych i zastrzelony – powtórzył Kevin. Zaczęło go teraz dręczyć poczucie winy. W żadnym wypadku nie powinien był jej tego przekazywać w taki sposób! – Naprawdę mi przykro, Doortje. Ale musi pani zrozumieć, że nie ma sensu walczyć dalej. I proszę nie bronić się przeciwko leczeniu brata w tym szpitalu. Może będzie leżał obok czarnego dziecka, ale to dziecko naprawdę nie farbuje. Za to tyfus jest bardzo zaraźliwy, pani drugi brat i pani matka też mogą zachorować, o ile już nie są chorzy.

Milczenie Doortje mówiło samo za siebie. Zapewne była jedyną zdrową osobą w rodzinie. Kevin westchnął i podniósł chłopca.

– Zaniosę go teraz do pokoju chorych i podam kroplówkę. Na razie Mees będzie tutaj. Może pani przy nim zostać, robić mu okłady, żeby go ochłodzić, i umyć go, jeśli dalej będzie miał biegunkę. Ale może to pani zlecić Sophie.

Wskazał na jedną z czarnych pomocnic, która właśnie weszła do sali, całkowicie ubrana, w czystym fartuchu i pielęgniarskim czepku.

– Niech pani lepiej pójdzie do namiotu i przyniesie drugiego brata, a może przyprowadzi też pani matkę, może... może będziemy mogli uratować przynajmniej ją.

Kevin zagryzł wargi. To też był błąd, nie powinien był mówić, jak źle było z Meesem. Ale z drugiej strony nie chciał już oszukiwać Doortje. Spojrzał jej teraz prosto w oczy.

– Zrobię wszystko co w ludzkiej mocy, aby utrzymać Meesa przy życiu. Ale niczego nie mogę obiecać. Powinna pani się za niego modlić.

– Tak nagle? – spytała Doortje zduszonym głosem. – A co z cudami nowoczesnej medycyny?

Kevin westchnął.

– Doświadczenie mówi, że modlitwa i nowoczesna medycyna świetnie się uzupełniają – zauważył. – Jak to było? Pomóż samemu sobie, to i Bóg ci pomoże. To właściwie musiało znakomicie pasować do filozofii *voortrekkerów*... Pójdzie pani teraz? Czy też nie ufa pani mnie i Sophie?

Doortje przełknęła ślinę i wyszła w milczeniu. Kevin sam modlił się tej nocy tak żarliwie jak jeszcze nigdy w życiu, ale to także nie pomagało i mały Mees gasł w oczach. Sophie starała się jak mogła, i nie odstępowała go na krok, a rano przyszła też Nandé, aby jej pomóc.

– Mnie zna. Ze mną spokojniejszy – twierdziła, a Kevin pozwolił jej, aby się nim zajęła, choć Mees od dawna był już zbyt chory, aby w ogóle móc kogokolwiek rozpoznać. I ku przerażeniu lekarza nie lepiej było też z Thiesem, drugim bratem Doortje. Dziewczyna przyniosła go do szpitala z pomocą dwóch innych burskich kobiet, sama nie dałaby już rady go nieść. Doktor Greenway, który miał więcej doświadczenia, jeśli chodzi o tyfus, potrząsnął tylko głową, kiedy zobaczył dziecko.

– To byłby cud, gdyby udało nam się wyprowadzić z tego dziecko – stwierdził. – Szkoda, bo wreszcie jedna z tych kobiet przemogła się i pozwoliła, abyśmy spróbowali pomóc, ale to za późno.

Kevin bronił się przed przyjęciem tego do wiadomości. Z rozpaczą walczył o życie obu braci van Stout, podczas kiedy Greenway zajął się małą dziewczynką, którą przyniosła jedna z dwóch pozostałych kobiet. I była to jedyna radosna chwila tego dnia, bo choć mała Wilhelmina była niedożywiona i kaszłała, to na szczęście nie dostała zapalenia płuc i z pewnością mogła wyzdrowieć. Greenway umieścił ją razem z matką w jednym z mniejszych pokoi dla chorych, nie razem z czarnymi.

– I wkrótce mają przyjechać te białe pielęgniarki, prawda? – spytał około południa Kevina. – Kiedy to miało być?

Kevin był przy łóżku Meesa i właśnie zmieniał worek z kroplówką. Doortje na jego polecenie robiła chłopcu okłady z octu. Od rana nie odezwała się do niego ani słowem. Jej twarz była blada, nieruchoma i nie zdradzała żadnych uczuć. Kevin na ten widok odczuwał mimowolny podziw. Jej upór doprowadzał go do szaleństwa, ale godność, z jaką znosiła swój los, napełniała go podziwem.

Teraz, słysząc słowa Greenwaya, przeraził się.

– O nieba, pielęgniarki! One dziś przyjeżdżają do Karenstad, ktoś musi je odebrać z pociągu. Ale ja teraz w żadnym wypadku nie mogę. Może pan...

Greenway spojrział sceptycznie po sobie, miał brudny fartuch, był spocony po pracy w dusznym namiocie.

– Musiałbym najpierw wyszykować się na podróż do miasta – mruknął niechętnie i dodał: – A poza tym Sophie właśnie mi powiedziała, że mamy trzy nowe pacjentki. Burskie kobiety wreszcie się poddają i przynoszą swoje dzieci.

Doortje usłyszała jego słowa.

– My się nie poddajemy, doktorze! – powiedziała ostro. – Ustępujemy tylko wobec przemocy. Tylko w naszym rzędzie namiotów w ostatnich dniach zmarło dwanaście osób. Nie możemy już dłużej przyglądać się temu beczynnemu. Mam nadzieję, że cieszy pana fakt złamania naszej dumy.

Kevin chciał zaprzeczyć, ale się rozmyślił. Nie chciał się powtarzać. A teraz miał na głowie inny problem.

– Zadzwoń do Vincenta – powiedział i wstał z westchnieniem. – On wprowadzi już marudzi, że stale musi coś dla nas załatwiać i nie może zająć się własną pracą, ale może będzie wolał odebrać z pociągu trzy dziewczyny, zamiast robić koniom lewatywy.

A potem Kevin przez następne dwie godziny z rozpaczą walczył o życie Meesa van Stouta. Próbował obniżyć gorączkę, podawał środki wzmacniające serce i przeciw biegunce. Doktor Greenway tylko potrząsał głową z dezaprobatą, bo jego zdaniem było to marnowanie lekarstw. Szpital obozowy zawsze cierpiał na ich niedostatek i Greenway dawno przyzwyczył się do tego, aby nie wydawać ich umierającym. Jeśli więc chory był w ostatnim stadium tyfusu, ograniczał leczenie do utrzymywania go w cieple i czystości oraz podawania płynów. Walkę Kevina uważał za bezsensowną i niestety miał rację. Mees zmarł po południu w ramionach Nandé. Doortje cały czas opiekowała się Thiesem, który chwilami ją jeszcze rozpoznawał. Przebieg jego choroby był jednak bardzo szybki i Greenway zakładał, że chłopiec tego samego dnia dołączy do brata.

– Czy ktoś sprawdził, co z ich matką? – spytał lekarz towarzyszący wyczerpanemu Kevinowi, kiedy ten szedł do łóżka Thiesa po śmierci Meesa. – Jedna z sąsiadek mówiła, że z nią też bardzo źle. I że przeklina swoją córkę, bo jej przy niej nie ma.

Doortje, usłyszawszy jego słowa, pogłaskała jeszcze raz Thiesa po włosach i wstała.

– Pójdę zaraz do niej. Ale... to była jej decyzja, ja... Jak... jak czuje się Mees?

Nie załamała się, kiedy przekazał jej trzecią tego dnia wiadomość o śmierci, nie rozpląkała się nawet. Jedynie drżenie rąk, kiedy próbowała rozwiązać zapięcie pożyczonego szpitalnego fartucha, zdradzało jej ból.

– To idę – wyszeptała.

Kevin znów walczył z pragnieniem przygarnięcia jej do siebie.

– Doortje, zrobiłem co mogłem. Ja... ja też się modliłem...

Wydawało mu się, że dostrzegł przeblysłk ciepła w jej oczach.

– Wiem – powiedziała cicho. – Dziękuję... bardzo.

ROZDZIAŁ II

Podróż pociągiem do Karenstad dłużyła się Robercie nieznośnie, choć widoki za oknami zapierały dech w piersiach, a Daisy i Jenny paplały z ożywieniem. Ale Roberta nie mogła uwierzyć, że jej podróż dobiegała właśnie końca – i że tylko niewiele czasu dzieliło ją od spotkania z Kevinem Drurym. I tak wszystko wydawało jej się cudem – bo jak na razie przebiegało zbyt prosto i łatwo. A teraz miała pracować razem z nim – jako jedyna kobieta z Nowej Zelandii w obozie, oczywiście oprócz Jenny i Daisy. Ale w porównaniu z taką Juliet LaBree one obie nie mogły stanowić żadnej konkurencji. Kevin bez wątpienia zauważy wreszcie Robertę, będzie z nią rozmawiał, pozna ją – i może się w niej zakocha.

Serce Roberty biło gwałtownie już na samą myśl o tym. Ale było jej też trochę nieprzyjemnie. Nie widziała Kevina już tak długo – może jej uczucia w stosunku do niego też się zmieniły. Może nie poczuje już tego osobliwego gorąca w piersiach, kiedy go zobaczy, może na dźwięk jego głosu nie będzie już dostawała gęsiej skórki i nie będzie czuła się jak zelektryzowana, kiedy przypadkiem muśnie jego rękę. Ciągle od czasu do czasu dotykała konika w swojej torbie i ścisnęła go mocno w ręce, kiedy pociąg dojeżdżał do Karenstad. Brzydkie małe miasto, ale o tym sekretarz lorda Milnera też mówił. I bardzo odradzał młodym kobietom ten obóz – były przecież inne, położone w o wiele ładniejszej okolicy, w których ponoć chaos był mniejszy, a warunki lepsze. Doprowadziły do tego działania i protesty Emily Hobhouse i jej Ladies' Committee, ale dotyczyło to większych, bardziej centralnie położonych obozów. Jednak Roberta upierała się oczywiście przy Karenstad, a zachwycone Jenny i Daisy przystały na to. Daisy miała nadzieję być świadkiem jakiejś romantycznej historii, a Jenny i tak nigdy nie liczyła na to, że będzie lekko. Ucieszyła ją też wiadomość, że do Karenstad należał obóz dla czarnych.

– Jedna z nas będzie pracowała z białymi, a druga z czarnymi! – oświadczyła zdecydowanie. – A ty, Roberto? Otworzysz wspólną szkołę dla wszystkich?

Roberta nie odpowiedziała, bo właściwie jeszcze w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Jeśli miała być szczerą, to myślała tylko o Kevinie Drurym. Pociąg właśnie się zatrzymał i... Roberta w głębi ducha miała nadzieję, że to on przyjedzie odebrać ją z dworca. Jako komendant obozu był za nie odpowiedzialny, może powita je sam i podziękuje za dary. Skrzynie zostały wysłane wcześniej i powinny były już dotrzeć do obozu. Ale teraz, w ostatniej chwili, nagle ogarnął ją strach. Jeśli on nie ucieszy się z faktu, że ona tu przyjechała? Jeśli będzie na nią patrzył jak na natręta... Roberta powoli przeciskała się do wyjścia, niosąc swój bagaż, podczas kiedy Daisy i Jenny już zdążyły dotrzeć do drzwi. Dziewczęta ciekawie wyglądały na zewnątrz.

– Hej, to chyba twój Kevin? – spytała Daisy, wskazując na peron. – Świetnie wygląda w tym mundurze! Chociaż... Kierownictwo obozów to przecież cywile...

Daisy energicznie chwyciła swoje walizki. Także Roberta zaczęła się nagle śpieszyć do wyjścia. Nie, nie mogło być tak, że on najpierw będzie rozmawiał z Daisy i Jenny. Nie wolno jej być nieśmiałą, ona... Roberta obciągnęła swój elegancki ciemnoniebieski kostium podróżny i zdecydowanie wyszła na peron. Jednak Kevin Drury na nią nie czekał. Zamiast jego twarzy poszukiwacza przygód o ostrych, wyraźnych rysach zobaczyła przed sobą uśmiechnięte szare oczy. Pociągłą twarz mężczyzny czekającego na peronie otaczały kręcone jasne włosy, a gęste brwi i długie rzęsy nadawały jej pogodny, dobroduszny wyraz. Ubrany w mundur khaki mężczyzna nie był Kevinem Drurym. Roberta starała się nie okazywać rozczarowania. Było to całkiem słuszne ze strony Kevina, że przysłał kolegę. Wyraźny znak na klapie jego munduru świadczył o tym, że był to oficer sanitarny. Choć co prawda obok znajdowała się litera W.

Mężczyzna podszedł do dziewcząt i elegancko pomógł Jenny wysiąść z pociągu.

– Ladies, jestem doktor Vincent Taylor i mam przyjemność powitać panie w imieniu kierownictwa obozu!

Doktor Taylor powitał je bardzo oficjalnie, ale sympatyczny tembr głosu nie pozwalał wątpić w szczerą intencję jego właściciela.

– Są panie pilnie oczekiwane, bo jest tu bardzo, bardzo wiele pracy. Świadczy o tym choćby fakt, że żaden z lekarzy obozowych nie znalazł czasu, aby panie odebrać. Doktor Drury, kierownik obozu, prosi o wybaczenie, ale właśnie zajmuje się dwójką śmiertelnie chorych dzieci.

– A pan mógł się oderwać od pracy? – Daisy natychmiast zaczęła flirtować.

Lekarz się uśmiechnął.

– Moi pacjenci są mniej wymagający – wyjaśnił. – Ich ogólny stan jest lepszy niż stan kobiet i dzieci w obozie, w wypadku zaś choroby dysponuję dużą liczbą pielęgniarek.

– A więc pracuje pan tutaj, w mieście? – spytała Jenny. – I opiekuje się pan brytyjskimi żołnierzami?

Roberta też zdążyła już wynieść swoje walizki z pociągu. Jedna z nich zawierała dary z Nowej Zelandii i zapomniano o niej przy wysyłce skrzyń. Doktor Taylor odebrał ją od dziewczyny i najwyraźniej zapomniał o pytaniu Jenny, kiedy spojrzał w twarz Roberty. A Roberta się przeraziła, kiedy zobaczyła wyraz jego oczu. Zaskoczenie? Zdziwienie? Radość? Przerazona spuściła oczy. Czy gapiła się na niego? A może to on wpatrywał się w nią nieruchomo?

– Prze... Przepraszam... – wyszeptał. – Pani jest...

Roberta się zaczerwieniła, zaraz zabroniła sobie tego w myślach i spróbowała śmiało popatrzeć mu w oczy.

– Jestem Roberta Fence – powiedziała zdecydowanym głosem. – Nauczycielka.

– Jestem Vincent Taylor – powtórzył młody lekarz i najwyraźniej wraz z tymi słowami wracał do rzeczywistości. – Przepraszam – zwrócił się do Jenny. – Co... Czego chciałaby się pani jeszcze dowiedzieć? Ach tak, brytyjscy żołnierze... – Uśmiechnął się. – Nie nazwałbym ich w ten sposób, choć co prawda też należą do armii. Jestem weterynarzem, Miss...

– Harris – dokończyła Jenny z rozbawieniem. – A więc leczy pan koty i psy?

– Konie – roześmiał się Vincent. – Udział kotów i psów w armii brytyjskiej jest raczej niewielki. Ale teraz chodźcie, panie, wynajęłam wygodny powóz. I dwóch moich zdrowych pacjentów... – Wskazał na wygodny drabiniasty wóz z dwoma rzędami siedzeń.

– Jeśli będziecie panie z tego zadowolone...

Roberta chciała podnieść swoją walizkę, ale Vincent odebrał jej bagaż. Ich palce zetknęły się przy tym i oboje szybko cofnęli ręce. Roberta uśmiechnęła się nieśmiało i znów poczuła irytację wobec spojrzenia Vincenta. On patrzył na nią tak... jak Kevin na Juliet! Ale to przecież nie mogło być prawdą!

– Przepraszam – powtórzył znowu.

Roberta zostawiła mu swoją walizkę, a potem zajęła miejsce obok Jenny w drugim rzędzie. Daisy bez żadnych zahamowań wdrapała się na kozioł i usiadła obok Vincenta.

– Stąd będę mogła więcej zobaczyć – powiedziała z zadowoleniem. – Fascynuje mnie ten kraj! Czy będziemy jechać przez puszcę?

Wóz turkotał najpierw po często uczęszczanej drodze łączącej dworzec z miastem i poza smutnymi, szybko wznoszonymi budynkami i wojskowymi namiotami niewiele było widać. Ale Daisy już po dwóch minutach wciągnęła lekarza w ożywioną rozmowę na temat flory i fauny Transwalu. Roberta, słysząc to, czuła podziw, ale i niemal zawiść. Ona sama nigdy nie potrafiła tak swobodnie rozmawiać z obcymi.

– A pani, Miss Fence?

Roberta się przeraziła, słysząc to pytanie. Była całkowicie pogrążona w swoich myślach, rojenia Daisy na temat świata zwierząt w Afryce jakoś do niej nie docierały.

– Co takiego? – spytała nieprzytomnie.

– Czy też się pani tutaj podoba? – powtórzył Vincent pytanie. – Lubi pani południową Afrykę?

Roberta aż drgnęła. O tym na razie w ogóle nie myślała. A on pewnie zaraz zacznie uważać ją za głupią i może nawet opowie o tym Kevinowi.

– Ja... tak, tu jest bardzo pięknie – wymamrotała. – Ale też... trudno. To znaczy, mówią, że ludzie są tutaj trudni i ta wojna...

Vincent Taylor z powagą skinął głową.

– Tak. Ta różnica jest czasami przerażająca. Uroda tego kraju i ci... no, ograniczenie i ciasnota umysłowa tych ludzi. Można przecież sądzić, że ten piękny, rozległy kraj, cudowna przyroda... że to uczy człowieka pokory...

Roberta wzruszyła ramionami. Dorastała jako pasierbica adwokata, który zajmował się sprawami własności ziemskiej Maorysów. Sean Coltrane dawno rozstał się z myślą, że uroda krajobrazu uczy człowieka pokory i wrażliwości.

– Niektórzy ludzie dostrzegają przyrodę, inni widzą tylko bogactwa naturalne – zauważyła. – Albo ziemię nadającą się pod uprawę. Zawsze przecież tak jest. Ktoś widzi drzewo *kauri* i myśli o historiach związanych z bogiem Tane Mahuta, a ktoś inny się zastanawia, ile pieniędzy dostanie za zrąbane drewno.

Vincent, wyraźnie zafascynowany, odwrócił się do Roberty.

– To prawda, Miss Fence. Świetnie to pani wyraziła.

– Niektórzy widzą człowieka – dodała Jenny – a inni tylko siłę roboczą.

Przejeżdżali właśnie koło składu zaopatrzeniowego, przed którym obdarci czarni robotnicy ładowali worki na wóz. Mężczyźni sprawiali wrażenie niedożywionych i zubożonych na wszystko.

– A przecież to jest właściwie ich kraj – powiedziała zatopiona w myślach Roberta.

Zastanawiała się, jak żyli tutaj czarni, zanim przybyli Burowie.

– Czarni stanowią rzeczywiście wielki problem – powiedział Vincent i tym razem, kiedy opowiadał o kłopotach Kevina w obozie, słuchały go uważnie wszystkie trzy kobiety. Ucieszył się, kiedy Jenny zaproponowała, że będzie pracować w obozie dla czarnych, ale nie zareagował tak euforycznie jak na komentarz Roberty. Nie uszło to uwagi Daisy.

– No, to dokonałaś niezłego podboju – wyszeptała do Roberty, kiedy Vincent zamieniał kilka słów z jeźdźcami, którzy nadjechali z przeciwka. – Ten weterynarz już je ci z ręki, musisz tylko jeszcze zrobić wrażenie na twoim Kevinie. Zapamiętałaś to zdanie o drzewach?

Roberta poczerwieniała. Vincent Taylor wydał jej się sympatyczny, ale nie wywierał na niej takiego wrażenia jak Kevin.

Vincent skierował wóz na nieutwardzoną drogę i Jenny zaczęła narzekać na kurz.

– W obozie jest o wiele gorzej – oświadczył Vincent. – To właściwie niedopuszczalne. Ale jeśli o to chodzi... Wszystko jest tu poniżej ludzkiej godności.

– Ale teraz my tu jesteśmy! – oświadczyła zarozumiale Daisy, jak gdyby była w stanie osobiście zmienić politykę obozową Brytyjczyków. – My sobie z tym poradzimy.

Za niecałe pół godziny przejechały przez bramę obozu otoczonego zasiekami z drutów kolczastych. Strażnicy, wyraźnie znudzeni, kiwnęli głowami na ich widok – wszystko wskazywało na to, że do prób ucieczki raczej tu nie dochodziło. Młode kobiety przyglądały się im z ciekawością, ale powstrzymały się od wszelkich uwag. A zaraz potem Roberta i pielęgniarzki zobaczyły pierwsze burskie kobiety

i dzieci. Wychudzone postacie w zniszczonych, brudnych ubraniach, które luźno na nich wisały. Większość więźniarek była bosą albo miała na nogach połatane buty, ale niemal wszystkie nosiły na głowach czepki, nawet jeśli były brudne i zniszczone.

– Te dzieci wcale się nie bawią – powiedziała przerażona Roberta, kiedy jechali wzdłuż długiego rzędu namiotów, okrągłych, obsypanych czerwonym piaskiem, przeważnie otwartych, otoczonych rojami much. Przed każdym stała prymitywna kuchnia.

– A te kobiety... czy one nie miały przedtem normalnych domów?

Vincent skinął głową.

– Miały i były to bardzo porządne i czyste domy. Nasze dowództwo określa Burów jako ludzi prymitywnych, i to fakt, że oni nie wyróżniają się znakomitą wykształceniem ani pięknym sposobem wyrażania. Ale przecież podobnie jest w przypadku ludności wiejskiej w Anglii i Nowej Zelandii, i dopiero to jest właściwe porównanie. W każdym razie to nie jest zgodne z ich prawdziwym obrazem i bezczelne jest twierdzenie, jakoby tu było im lepiej niż na ich własnych farmach. Zgadzałoby się to jedynie, jeśli chodzi o opiekę medyczną – gdyby nie epidemie. Ale skoro mamy tu cholera, tyfus, suchoty, zgorzel płuc... nasi lekarze są wobec tych chorób bezradni. Dlatego ich działania nie robią żadnego wrażenia na burskich kobietach. Dawniej umierało tu mniej dzieci... Tam, popatrzcie, panie, zbliżamy się do budynków gospodarczych. To jest szpital... prymitywna budowla, wiem, ale spełnia swoją funkcję. W tych kilku domach sypiają strażnicy i lekarze, a ta płaska budowla to zarząd obozu i jednocześnie dom mieszkalny doktora Drury'ego. Zobaczmy, czy jest teraz w swoim biurze.

Kobiety, nieco onieśmiałe, szły za Vincentem przez zakurzony plac między domami a szpitalem. Wszystko tu sprawiało przygnębiające wrażenie, także nędzne budowle, wielki namiot, przed którym kilka czarnych kobiet coś prało, szpital, gdzie przy wejściu czekały dwie białe kobiety z wynędzniałymi dziećmi – i niechętnie spoglądały w stronę czarnych, które choć były równie wychudzone i obdarłe, nie sprawiały wrażenia aż tak nieszczęśliwych.

Vincent bez pukania otworzył drzwi do domu Kevina. Za nimi był przedpokój, a zaraz dalej biura. Wszystkie pomieszczenia były puste.

– Czy tu się nie zamyka drzwi? – spytała Daisy zdziwiona.

Vincent wzruszył ramionami.

– Chyba nie – odparł. – Prawdopodobnie nie ma tu co kraść. A te kobiety nie są też złodziejkami. Jak mówiłem, to uczciwi ludzie, choć ich kultura jest nieco odmienna od naszej.

Vincent zastukał do drzwi mieszkania Kevina, ale także tam nie było nikogo.

– Zapewne jest w szpitalu. Mam nadzieję, że mu to dziecko nie umarło, tak się starał.

Vincent mówił na wpuł do siebie, wyprowadzając z domu kobiety i zamykając za nimi drzwi.

– Nigdy nie wolno zostawiać drzwi otwartych na oścież, bo wtedy do domu dostaje się kurz i muchy – doradzał kobietom. – Choć tu jest się rozrywaniem na wszystkie strony. A przy zamkniętych drzwiach nie dostaje się do środka także wiatr. I zwłaszcza w namiotach upał staje się wręcz nieznośny, kiedy powietrze jest nieruchome.

Vincent szedł w stronę szpitala, a Roberta czuła gwałtowne bicie serca. Zaraz, zaraz zobaczy Kevina.

Weterynarz zaprowadził kobiety do głównego wejścia do szpitala, przepuścił jednak młodą burską kobietę, która szybkim krokiem, z opuszczoną głową szła w stronę budynku. Vincent jednak ją rozpoznał.

– Dzień dobry, Miss van Stout – powiedział przyjaźnie. – Słyszałem już o pani bracie. To... było mądre z pani strony, że go pani tu przyniosła.

Kobieta podniosła głowę i popatrzyła na niego. Roberta zobaczyła wynędzniałą, bladą twarz, która

mimo to wydała jej się piękna. Kobieta miała niebieskie oczy i był to ów fascynujący błękit, który zwykle kojarzy się ze szlachetną porcelaną. Mimo wychudzenia i wyraźnego zgorzknienia jej rysy były niezwykle regularne.

– On właśnie umarł – powiedziała bezbarwnym głosem. – A moja matka... – Urwała.

Vincent otworzył przed nią drzwi.

– Przykro mi bardzo, Miss van Stout – powiedział swoim łagodnym głosem. – Ale jestem pewien, że doktor Drury zrobił wszystko, co było w jego mocy.

Kobieta nie skomentowała tego i ruszyła w stronę tylnych pomieszczeń szpitala, podczas kiedy Vincent najpierw pokazał Robercie i pielęgniarkom sale chorych i pokoje zabiegowe. Tu także nigdzie nie było Kevina, ale kobiety wiedziały już mniej więcej, co je czeka w tym kraju. Burskie kobiety zrezygnowały wprawdzie ze swego sprzeciwu wobec leczenia czarnoskórych pacjentów w tym szpitalu, ale wyznaczyły wyraźne granice: w jednej części sali w łóżkach leżały białe kobiety i dzieci, w drugiej czarne, i były to głównie dzieci. Łóżka dla białych były wyposażone w poduszki i koce, czarnym dzieciom za poduszki służyły jakieś gałgany. Ich koce były wytarte i brudne w porównaniu z kocami białych kobiet. Czarne opiekunki najwyraźniej się z tym zgadzały. Wyraz twarzy Jenny mówił sam za siebie, kiedy dostrzegła ten stan rzeczy.

Roberta nie miała czasu się oburzać. Ciągłe wypatrywała Kevina, ale także tutaj nigdzie nie było widać lekarza.

– Dla ciężko chorych są przeznaczone mniejsze pomieszczenia – wyjaśnił Vincent i poprowadził kobiety przez sale chorych na tył budynku. – Tam pewnie będą i Drury, i Greenway.

Mówiąc to, odsunął zasłonę dzielącą korytarz i cztery mniejsze pomieszczenia dla chorych.

Roberta miała nigdy nie zapomnieć tego, co teraz zobaczyła. Kevin Drury, nieco szczuplejszy, ale ciągle przystojny i świetnie wyglądający, z kręconymi, czarnymi i nieco dłuższymi włosami, podnosił się właśnie znad łóżka dziecka. A przynajmniej można było przypuszczać, że ciało dziecka znajdowało się pod prześcieradłem, które Kevin właśnie zaciągnął na jego twarz. Lekarz zwrócił się teraz do kobiety, którą poprzednio Vincent nazwał Miss van Stout. A na jego twarzy wyraźnie można było dostrzec bezradność, rozpacz i – miłość.

– Doortje... Doortje, ja... pani... Thies...

Nie był w stanie tego powiedzieć, ale kobieta oczywiście widziała, że dziecko zmarło. Zachwiała się. A wtedy Kevin chwycił ją w ramiona. Przyciągnął do siebie tę Doortje...

Roberta poczuła, jak coś się w niej załamuje i pęka. Jechała tu przez pół świata, żeby zobaczyć Kevina Drury'ego. Ale zobaczyła go – tak jak w czasie ostatniego spotkania w Dunedin – trzymającego w ramionach kobietę, inną kobietę...

Choć co prawda Doortje van Stout nie tuliła się do niego tak chętnie jak dawniej Juliet LaBree. Kobieta przez kilka sekund tkwiła nieruchomo w jego objęciach, na tyle długo, aby można było dostrzec jej rezygnację, zwłaszcza jeśli obserwowało się to tak dokładnie jak Roberta. A potem Doortje gwałtownie uwolniła się z objęć Kevina, rzuciła pełne nienawiści spojrzenie na łóżko i drugą kobietę, którą Roberta zauważyła dopiero teraz. Piękna, jeszcze bardzo młoda dziewczyna o czarnej skórze i mocno kręconych włosach. Siedziała w cieniu i trzymała rękę dziecka.

– Jak pan śmie! Jak pan się może... po tym, co...

Doortje urwała. Podniosła rękę, jak gdyby chciała uderzyć Kevina, ale nagle opuściła ją bezsilnie.

– Doortje, nie chciałem pani urazić. Chciałem tylko... tak mi przykro...

Roberta doskonale rozumiała rozpacz Doortje, choć zupełnie nic nie wiedziała o tej młodej kobiecie. Współczuła komuś, kto stracił członka rodziny. Ale ponad wszystkim były gorycz i ból z powodu zniszczonego marzenia.

ROZDZIAŁ 12

– Ale ona sobie z niego nic nie robi! – oświadczyła Daisy tonem głębokiego przekonania.

Trzy młode kobiety wprowadziły się do własnego namiotu – z lekkim poczuciem winy, bo szybko stwierdziły, że w podobnych namiotach mieszkało piętnaście burskich kobiet. I oczywiście Daisy sprowadziła rozmowę na osobę Kevina, który zrobił znakomite wrażenie również na obu pielęgniarkach. Potrzebował co prawda trochę czasu, aby ochłonąć po tej sprawie z Doortje. Vincent, obserwator równie dobry jak Roberta i bez wątpienia wtajemniczony w miejscowe stosunki, zaraz po scenie między Kevinem a młodą burską kobietą szybko zaciągnął płócienną zasłonę.

– Myślę, że doktor Drury jest teraz zajęty – powiedział spokojnie. – Przedstawię panie najpierw doktorowi Greenwayowi.

Greenway przywitał się bardzo uprzejmie z nowymi pomocnicami i natychmiast zabrał się do nieco dokładniejszego oprowadzania po szpitalu, co oczywiście było interesujące przede wszystkim dla Daisy i Jenny. Roberta natomiast wolała przyjrzeć się tylnym pomieszczeniom wielkiego namiotu. Chętnie przyłączyłaby się do Vincenta Taylora, który jednak bardzo szybko, nie zwracając na siebie zbytnej uwagi, pożegnał się i zniknął w pokoju, w którym zmarło dziecko, zapewne po to, aby załagodzić wynikłą sytuację. Dobięły stamtąd podniesione głosy, ale Roberta nie rozumiała, o co właściwie chodziło. W końcu najpierw wypadła stamtąd czarna dziewczyna, a potem Vincent wyprowadził burską kobietę. Nieco później Kevin dołączył do swego kolegi i nowych współpracowniczek – opanowany i w nowym fartuchu.

– Muszę panie przeprosić na swoją nieuwagę... oczywiście to ja powinienem był powitać panie i oprowadzić po szpitalu. – Kevin uśmiechnął się do młodych kobiet w swój zwykły szarmancki sposób i wydawało się, że naprawdę się cieszy, mogąc zobaczyć Robertę. I wystarczyłby ów charakterystyczny błysk w jego oczach, aby poczuła się szczęśliwa, gdyby nie owa scena, która rozwiła wszystkie jej iluzje. – Roberta! A może mam mówić Miss Fence? Wreszcie jesteś prawdziwą nauczycielką, choć właściwie jesteś na to zbyt piękna. Jak to zrobisz, żeby dzieci się ciebie bały?

Popatrzył na nią szelmowsko.

– Ale tak poważnie, Roberto, musimy jak najszybciej usiąść i zaplanować twoją pracę tutaj. Co prawda można by stwierdzić, że dzieci najpierw potrzebują lepszego jedzenia, a dopiero potem nauki czytania i pisania. Ale z drugiej strony nie należy nie doceniać strawy duchowej. Te dzieci muszą koniecznie nauczyć się angielskiego.

Kevin zaprosił kobiety do swojego przytulnego biura, a czarna dziewczyna podała kawę i herbatę. Sprawiała wrażenie zapłakanej i wystraszonej, choć Kevin odnosił się do niej bardzo przyjaźnie. W końcu podziękował za liczne dary z Nowej Zelandii, porozmawiał z kobietami o ich rozdzielaniu i pokazał im ich namiot.

– Od razu jutro zameldujcie się panie do służby w szpitalu, siostrzynie Towls i siostrzynie Harris, a my porozmawiamy o szkole, Roberto. I jak tylko znajdę chwilę, pokażę paniom obóz dla czarnych.

– W każdym razie masz dokładnie to, co chciałaś – analizowała później Daisy w namiocie rozmowę z Kevinem, rozważając szanse Roberty. – Był dla ciebie miły, zauważył cię, nawet powiedział, że uważa cię za śliczną! Czego chcesz więcej? A jutro czeka cię rozmowa z nim. Sam na sam. To możesz starać się dalej wywrzeć na nim wrażenie.

– Ale coś jest z tą burską kobietą – wtrąciła Jenny, która też uważnie obserwowała całą scenę. – On jest w niej najwyraźniej zakochany, tu Roberta ma rację.

Roberta po przyjaznej rozmowie z Kevinem była dość przygnębiona. Najchętniej zaciągnęłaby na

głowę koc, żeby w spokoju popłakać, zamiast analizować całą kwestię z przyjaciółkami.

– Ona sobie w ogóle nic z niego nie robi! – skonstatowała znów Daisy. – To prawda, obejmował ją. Ale ona była bliska wymierzenia mu policzka. I bardziej obawiałabym się tej Nandé. Jest wprost prześliczna... no, jak na czarną. I pracuje dla niego.

– Ale on na nią nie patrzy – nie zgodziła się Jenny. – Nie, nie, rywalką jest ta burska kobieta. I to z nią musisz się zmierzyć, Robbie! Jemu może jest jej żal i poza tym jest rzeczywiście piękna. Ale na dłuższą metę... Roberto, ubierz się jutro ładnie i uśmiechaj się troszkę, a przede wszystkim: nie dawaj od razu za wygraną!

Roberta skinęła głową, bo wiedziała, że obie tego oczekiwały. Ale w gruncie rzeczy dawno już dała za wygraną. Choć nie pogrzała wszystkich nadziei, to jednak nie mogła już zapomnieć tego uśmiechu, którym Kevin Drury obdarzał dotychczas niemal każdą kobietę – tylko nie ją, Robertę Fence.

Następnego dnia kobiety czekał najpierw pogrzeb. Kevin nie wspomniał o tym poprzedniego dnia, może o tym nie pomyślał, ale jak opowiadał przyjaciółkom doktor Greenway, Burowie organizowali uroczystości żałobne mniej więcej co trzy dni.

– Nie zawsze wtedy, kiedy ktoś umiera – uściślił lekarz. – To ma miejsce najwyżej raz na trzy tygodnie. Ale tym razem mamy wyjątkowo dużo przypadków śmierci – z powodu tego fatalnego bojkotu szpitala przez burskie kobiety. Doortje van Stout już panie poznały, należy do rodziny zmarłego dziecka, jak panie wiedzą...

– Czy ta Miss van Stout to ktoś wyjątkowy? – Pytanie Daisy było nieco wścibskie. – To znaczy, ponieważ doktor Drury... – Zaczerwieniła się, a Robertę znów zachwyciła jej sztuka aktorska.

Greenway machnął lekceważąco ręką.

– Doktor Drury zna tę rodzinę, a jej dom był kiedyś zarekwirowany na lazaret – odpowiedział spokojnie. – A tu w obozie ta rodzina ma wielkie wpływy, bo Adrianus van Stout jest słynnym, legendarnym już komendantem... a właściwie był, bo poległ. I ta kobieta prowadziła tu coś w rodzaju szkoły.

Roberta nadstawiała uszu. Czy Doortje także była nauczycielką?

– Na co patrzyliśmy niezbyt chętnie, bo tylko podburzano tam dzieci przeciwko Anglikom. No ale ona dziś w nocy też zmarła...

– Doortje van Stout zmarła? – spytała Jenny.

Lekarz potrząsnął głową.

– Nie, jej matka. To bardzo tragiczne dla tej kobiety, wczoraj obaj bracia, dziś w nocy matka. Też będzie zaraz pochowana. I to Miss Doortje zwykle w czasie pogrzebu czyta odpowiedni fragment z Biblii. Prowadzi też modlitwy, bardzo ładnie to robi, a przede wszystkim ogranicza się tylko do religii. Przynajmniej kiedy my przy tym jesteśmy. Bo zwykle ci ludzie chętnie mieszają religię do polityki. Zdaniem Burów Biblia to taki rodzaj instrukcji obsługi podboju Afryki Południowej. Traktują siebie samych jako lud wybrany przez Boga i nie darują żadnej okazji, żeby o tym wszystkim przypominać. Ale dziś Miss van Stout chyba nie będzie w stanie tego zrobić. Czyli my się musimy poświęcić. Prawdopodobnie zrobi to doktor Drury. To jego obowiązek jako kierownika obozu.

Kevin Drury rozumiał swoją odpowiedzialność. Przeprosił Robertę i Jenny, bo zarówno omawianie spraw szkolnych, jak i jazda do obozu czarnych musiały być przesunięte, i ze spokojem stanął przed kobietami, które czekały już na cmentarzu za szpitalem. Kobiety zgromadziły się bardzo licznie – wyglądało na to, że każdy, kto tylko był w stanie wyjść z namiotu, przyszedł na pogrzeb Bentje van Stout. Doortje van Stout stała opanowana i ze skamieniałą twarzą przed dwiema małymi trumnami i szybko, niedbale zbitą trumną matki. Obozowy stolarz zawsze zadawał sobie dużo trudu przy

wykonywaniu trumien dla dzieci. Wprawdzie ledwo mógł nadążyć z pracą, starał się jednak ze wszystkich sił, aby maluchy miały przynajmniej godny pochówek. Ten mężczyzna, który zakończył swą służbę w stopniu starszego szeregowego i dobrowolnie został, aby pomagać w obozach, stał obok żałobników i miał łzy w oczach. Był dobrym człowiekiem, nie zasługiwał na pogardę, jakiej stale doznawał ze strony kobiet w obozie. Z usług fotografa Doortje zrezygnowała. Nie było już nikogo z jej rodziny, komu mogłaby pokazać zdjęcia zmarłych. Ale przynajmniej zniosła obecność Cornelisa obok siebie – wyglądało na to, że był jej ostatnim żyjącym krewnym, który stał u jej boku.

Teraz jednak zostawił Doortje i zwrócił się do Kevina, zanim ten zabrał głos.

– Doktorze Drury, byłoby lepiej, gdybym ja wziął na siebie ten obowiązek – powiedział poważnie. – Moja ciotka Bentje... to znaczy już sama myśl o tym, że nad jej grobem będzie przemawiał... obawiam się, że to może dojść do buntu, jeśli pan podejmie się czytania Biblii.

Kevin wzruszył ramionami.

– No, pana ona też za bardzo nie lubiła – zauważył.

Cornelis zagryzł wargi.

– Na koniec obrzuciła obelgami Doortje i nazwała ją zdrajczynią, bo zaniosiła chłopców do szpitala. A ponieważ sądziła... – Potarł sobie skronie. – Nie, to... tego nie będę mówił tutaj. Ale Doortje jest u kresu sił. Nie będzie protestować, jeśli ja poprowadzę uroczystość...

Jeszcze w trakcie ich rozmowy zabrzmiał chór dziecięcych głosów. Dzieci śpiewały jakąś kościelną pieśń, która Kevinowi wydała się znajoma – prawdopodobnie istniała też jej angielska wersja. Ale kto tak szybko zorganizował chór? Ze zdumieniem dostrzegł wśród dzieci młodą nauczycielkę Robertę Fence. A jedna z pielęgniarek wciskała im właśnie kwiaty do rąk.

– A teraz modlitwa! – wezwała druga, zwracając się do dzieci okropnie złym niderlandzkim.

– Ojcie nasz... – zaczęła Roberta.

Także w obcym języku. Brzmiało to tak, jak gdyby wszystkie trzy dopiero co nauczyły się tekstu po niderlandzku, ale burskie kobiety szybko podchwyciły i jedna z nich zaczęła prowadzić modlitwę.

Na koniec Roberta otworzyła holenderską Biblię i zaczęła czytać tekst.

– „Jam jest zmartwychwstanie i życie...”

Bardzo nieporadnie wymawiała obce słowa, ale po chwili wcisnęła Biblię do ręki jednej dziewczynce, która z zakłopotaniem przeczytała kilka zdań i przekazała Biblię dalej.

Kevin nie był pewien, czy Burowie wybraliby tekst z Nowego Testamentu, bo zwykle woleli Stary Testament. Bezradna, ale życzliwa improwizacja uroczystości w wykonaniu Roberty chwyciła kobiety za serca. Nikt nie protestował, kiedy na koniec Cornelis powiedział kilka słów i opisał ciotkę jako kobietę surową, ale pełną miłości, posłuszną małżonkę i matkę gotową do poświęceń. Kiedy trumny opuszczano do grobów, ludzie płakali, a dzieci wraz z Robertą podeszły do grobów i po kolei wrzucały kwiaty na małe trumny. Tak jak zrobiły to najpierw Roberta, Daisy i Jenny. Doortje pozwoliła, aby Cornelis objął ją ramieniem. Wyrazy współczucia ze strony Kevina przyjęła bez słów, z kamienną twarzą bez śladu łez.

– Cudownie to pani zrobiła! – oświadczył zachwycony Vincent Taylor, kiedy po zakończeniu uroczystości wszyscy się rozeszli, a on przyłączył się do Roberty, pielęgniarek i lekarzy. – Naprawdę, Miss Fence, to chwyciło za serce...

– A przede wszystkim zapobiegło rebelii! – dodał Kevin i z ulgą zapakował Biblię. – Bardzo dobrze, ladies, widzę już teraz, że będą panie wielką pomocą w naszej pracy. Kobiety już zaczęły paniom ufać. Wspaniale to zaimprovizowałyście! Ale co ty tu znowu robisz, Vincencie? Konie już nie chorują?

Vincent natychmiast zaczerwienił się jak panna.

– Tu... hm... przyszła przesyłka z darami na nazwisko Miss Fence i pomyślałem... – Uśmiechnął się

nieśmiało do Roberty. – Myślałem, że będzie pani zadowolona, jeśli my...

Daisy trąciła Robertę porozumiewawczo. Gdyby nie fakt, że to był pogrzeb, zachichotałaby. Także Kevin najwyraźniej prawidłowo interpretował wyraz oczu przyjaciela.

– Ach tak... hm... tak... – powiedział wymijająco. – To... hm... pomóż jej przy rozpakowywaniu. Skoro nie masz nic do roboty...

Kevin zniknął w szpitalu, aby poświęcić się swoim obowiązkom, a Vincent rzeczywiście pomógł Robertcie otworzyć skrzynię i przejrzeć ubrania oraz zabawki. Znalazła się nawet tablica szkolna, co przypomniało Robertcie o jej właściwych zadaniach.

– Gdzie ja urządzę szkołę? – spytała nieco bezradnie. – Nie ma tu budynku i...

– Niech ją pani urządzi po prostu pod gołym niebem – stwierdził Vincent. – Jeśli mogę coś zaproponować... Niech pani poprosi stolarza, żeby zbił kilka ławek. On to zrobi chętnie, bo będzie to miła odmiana w ciągłym robieniu trumien. Tablicę zawiesi pani na drzewie i może pani czekać na dzieci. Może z początku nie będzie to takie proste. Matki są nieufne i z całą pewnością nie będą chciały, aby dzieci uczyły się angielskiego. Ale na dłuższą metę... Tu przecież nikt nie ma nic do roboty.

– Już ja je zwabię – uśmiechnęła się Roberta. – Wszystkie dzieci są przecież głodne. A mamy w końcu żywność z darów. Starczy chociaż na kilka tygodni dla szkolnej stołówki.

Daisy miała podobny pomysł, jeśli chodziło o szpital.

– Jeśli nie może pan namówić ochotniczek do pomocy, to musi pan je zwabić – oświadczyła zdumionemu doktorowi Greenwayowi. – Dodatkowe racje żywnościowe dla każdej, która pomoże tu przy gotowaniu, sprzątaniu i pielęgnowaniu chorych. I wtedy zbyteczne będą czarne pielęgniarki. Jenny i ja także tu coś wymyśliłyśmy: wyślemy te kobiety do ich obozu, gdzie razem z Jenny będą mogły zorganizować jakiś szpital. A ja tu przeszkolę białe kobiety. Dzięki temu lekarze będą mieli mniej pracy, a pan będzie mógł codziennie jeździć na wizyty do obozu dla czarnych. Co pan sądzi o tej propozycji? I kiedy obejrzymy tamten obóz? Jenny bardzo się niecierpliwi.

Roberta i Jenny towarzyszyły Kevinowi następnego dnia do obozu dla czarnych i były tak samo przerażone panującymi tam warunkami jak lekarz kilka dni wcześniej. Jenny najchętniej zostałyby od razu. Ale zaraz następnego dnia przeprowadziła się tam razem z czarnymi pomocnicami i namiotem, który ku przerażeniu burskich kobiet zamierzała dzielić z Sophie i pozostałymi pracownicami. A do Roberty i Daisy wprowadziła się – ku jeszcze większemu przerażeniu burskich kobiet – Nandé.

– Ja nie opuścić doktor Drury! – oświadczyła z całą powagą Nandé. – I piękny dom. Musi ktoś sprzątać!

Angielski Nandé poprawiał się z każdym dniem, młoda kobieta była inteligentna i chętna do nauki, ale bała się śmiertelnie powrotu do obozu czarnych. Kevin wykazał tu zrozumienie i odczuł dużą ulgę, kiedy Daisy i Roberta nie miały nic przeciwko temu, aby Nandé zamieszkała z nimi.

– Miałem sporo kłopotów z powodu tej sprawy – wyznał Kevin Robertcie. Oboje jeździli teraz codziennie do obozu dla czarnych, Kevin na wizyty lekarskie, a Roberta, aby uczyć w szkole. Bo o ile burskie dzieci z najwyższą niechęcią korzystały z jej szkolnej oferty, o tyle dzieci czarnych były żądne wiedzy i z zapalem uczyły się angielskiego, także czytać i pisać. A już zwłaszcza wtedy, kiedy było to związane z kromką chleba z marmoladą czy też jakimiś słodyczami. – Kobiety w obozie i tak plotkują o mnie i o Nandé, co oczywiście jest kompletną bzdurą.

– Tak? – Roberta zdobyła się na odwagę. Chciała wiedzieć i nie chciała być ciągle nieśmiała. – To znaczy... Miss... hm... LaBree też miała ciemną cerę.

Kevin się zaczerwienił. Słyszał już o weselu Patricka i Juliet, ale o dalszych losach małżeństwa dowiedział się dopiero od Roberty. Ten temat był dla niego w najwyższym stopniu nieprzyjemny. Jednak jeśli chodziło o Nandé, nie poczuwał się do żadnej winy.

– Proszę cię, Roberto! Ta dziewczyna ma najwyżej osiemnaście lat. To jeszcze na wpół dziecko i bez żadnego wykształcenia...

Serce Roberty zabiło gwałtownie. Jeśli Kevin przywiązywał wagę do wykształcenia, to nic nie mogło być między nim a Doortje! Choć ona co prawda umiała czytać i pisać i pewnie знаła na pamięć połowę Biblii.

– Ale Nandé jest bardzo piękna – zauważyła Roberta.

Kevin wzruszył ramionami.

– Dlatego też przypisuje mi się Bóg wie co. W każdym razie cieszę się, że ona mieszka u was, bo w innym wypadku urządziłaby się w mojej kuchni. Co raz zresztą zrobiła i od tej chwili Doortje sędzi...

– Zagryzł wargi i szybko zmienił temat. – A co z twoimi lekcjami jazdy konnej, Roberto? To rzeczywiście kłopot, kiedy każdego dnia jeździmy tym wozem od jednego obozu do drugiego.

Teraz z kolei zaczerwieniła się Roberta. Vincent Taylor od wielu dni oferował jej naukę podstaw jazdy wierzchem na jakimś spokojnym koniu. Ale Roberta nie miała na to specjalnej ochoty, ciągle dobrze pamiętała konie ze swego dzieciństwa, tory wyścigowe dla kłusaków – i bijącego matkę ojca. Jak też ciągle lęk matki przed stratami w zakładach i kłótnię między Colinem Coltrane’em a Chloé. A w dodatku nie wiedziała, czy przebywanie z Vincentem Taylorem niepokoi ją czy też sprawia jej przyjemność. Młody weterynarz szukał jej bliskości, co było wyraźnie widoczne, i był w gruncie rzeczy sympatyczny. Ale Roberta ciągle chciała być z Kevinem, nawet jeśli rozsądek podpowiadał jej, że ta miłość nie ma przyszłości. Z tym przeświadczeniem mogła żyć tylko wtedy, kiedy nie dopuszczała do swojej świadomości własnych uczuć. W żadnym wypadku nie chciała robić nadziei doktorowi Taylorowi i w ten sposób odcinać sobie możliwość związku z Kevinem...

Roberta wiedziała, że te rozmyślenia zawierały w sobie dużą dozę sprzeczności i sama sobie wydawała się nieuczciwa i głupia. A ciągle zachęty Kevina, aby w końcu przyjęła ofertę lekcji jazdy od Vincenta, dodatkowo ją bolały. Mogła sobie powtarzać, że Kevin może wcale nie myślał o miłości ani też o wyswataniu jej. Raczej chodziło mu o to, aby nie trzeba było codziennie zaprzęgać koni do wozu dla przejechania z jednego obozu do drugiego. Droga do Karenstad II, jak ostatnio nazywali obóz dla czarnych zgodnie z propozycją Jenny, była fatalna, ryzykowano złamanie osi, a w dodatku wóz jechał bardzo powoli. Jeździec mógł natomiast kłusować i galopować i był w niecałe pół godziny na miejscu.

– No, dziś i tak musielibyśmy jechać wozem – powiedziała Roberta wymijająco i wskazała na jego wnętrze: wypełnione skrzyniami z darami żywności i odzieży, których docierało do nich coraz więcej. Kiedy dzięki działaniom Emily Hobhouse jej Ladies’ Committee skontrolował obozy koncentracyjne, każdy zdawał sobie sprawę, że stan rzeczy musi ulec poprawie. I choć damy krytkowały raczej ostrożnie, to informacje o warunkach panujących w obozach dotarły do Anglii i jej kolonii, a doniesienia pielęgniarek i nauczycielek, które wysyłała organizacja Miss Hobhouse, zrobiły resztę.

– Podzieliłyście wszystko sprawiedliwie? – spytał Kevin z uśmiechem.

Podział darów był stałym tematem rozmów wśród kobiet w obozie. Bo kiedy Roberta i pielęgniarki chciały dzielić wszystko sprawiedliwie i równo dla wszystkich, burskie kobiety nie rozumiały, że także czarne dzieci miały otrzymywać zabawki i przybory szkolne. Ciągle kłótnie towarzyszyły podziałowi rzadkich medykamentów, zwłaszcza kiedy pierwsze białe kobiety nauczyły się podstaw nowoczesnego pielęgniarstwa. Pomysł Daisy, aby płacić dodatkowymi racjami żywnościowymi za pracę w szpitalu, był zdumiewającym sukcesem. Matki, aby tylko móc dostać lepsze wyżywienie dla dzieci, bardzo szybko okazały się nader kompetentne i w lot pojmowały wszystkie nowe zadania. Burskie dziewczęta i kobiety w żadnym wypadku nie były głupie – tylko po prostu brakowało im podstaw wszelkiego wykształcenia. Doskonale radziły sobie ze wszystkimi domowymi pracami, ale czytanie i pisanie już szwankowało. Dzieci na odległych farmach nie chodziły do szkoły, obowiązkiem ojca było je uczyć.

I niektórzy, tak jak ojciec Doortje, a już zwłaszcza rodzina Cornelisa, podchodzili do tego poważnie, jednak zdaniem innych było to nieważne. A w dodatku w domach prawie nie było co czytać oprócz Biblii, inne lektury, jako niechrześcijańskie, były z reguły odrzucane. Kościół *voortrekkerów* życzył sobie, aby jego członkowie byli ludźmi prostymi i oddanymi Bogu. Umysły jasne i krytyczne, jak na przykład Cornelis, były po prostu wykluczane.

Roberta wzruszyła ramionami.

– Jedzenie podzieliłyśmy sprawiedliwie, a jeśli chodzi o dary rzeczowe... żadna z białych dam nie wydzierała ich sobie z rąk, bo tym razem były to głównie książki. Zobaczmy, czy przydadzą mi się w szkole. Tu nikt nie czyta oprócz Doortje van Stout. A ona najwyraźniej woli nie pokazywać się z książką, ostatnio spotkałam ją nad rzeką, gdzie czytała po kryjomu.

Ku ogólnemu zaskoczeniu Doortje należała do pierwszych kobiet, które zgłosiły się do pracy w szpitalu. Roberta była początkowo nieufna i sądziła, że Doortje szuka w ten sposób bliskości Kevina, ale ona właściwie starała się schodzić lekarzowi z drogi. Jenny zakładała, że Doortje raczej szukała w ten sposób zapomnienia, bo nagła strata całej rodziny musiała być straszliwie bolesna. I prawdopodobnie można było się z tym uporać właśnie w ten sposób, odwracając uwagę od własnych myśli. Daisy natomiast zaobserwowała coś zupełnie odmiennego, co kazało jej wyciągnąć zupełnie inne wnioski.

– Ona po prostu chce więcej jeść – wyjaśniła. – Ostatnio ją widziałam, pochłaniała jedzenie, jakby była wręcz zagłodzona. Inne kobiety zawsze oddają coś swoim rodzinom, a większość swoim dzieciom. Ale Miss van Stout nikogo już nie ma.

– Ona poza tym trochę przytyła – skonstatowała Jenny, która spędzała dużo czasu ze swymi czarnymi podopiecznymi i dlatego prędzej dostrzegała wszelkie zmiany po dłuższej nieobecności. – I zdumiewająco dobrze wygląda, jeśli zważyć warunki.

Rzeczywiście mimo tylu trosk i nieszczęść Doortje wracała do siebie zdumiewająco szybko. Kevin nie mógł oderwać od niej oczu, kiedy teraz – znów w czystej odzieży i porządnie wykrochmalonym czepku – szła przez szpital. Szpitalna pralnia dysponowała teraz wystarczającymi ilościami mydła i krochmalu, także dzięki działalności Ladies' Committee. Kevin nie komentował tego, co pielęgniarki mówiły o młodej burskiej kobiecie. W ogóle nigdy nie rozmawiał z nimi o Doortje van Stout, choć Daisy ciągle próbowała wyciągnąć z niego więcej informacji na temat czasu spędzonego w Wepener. Tu na zwierzenia dawał się namówić Cornelis i dziewczyna wkrótce owinęła go sobie wokół palca, choć Roberta uważała, że ktoś tak spokojny, raczej typ uczzonego, pasowałby bardziej do Jenny. Jednak on nieufnie i z wielką niechęcią podchodził do jej pracy w obozie dla czarnych, toteż nigdy nie szukał jej bliskości, a wręcz stronił od Jenny.

Teraz jednak Kevin miał inny pomysł.

– Może należałoby zatrudnić Miss van Stout także w szkole – powiedział do Roberty. – Z pewnością wie lepiej niż my, jak trafić do tych kobiet i dzieci.

Roberta poszła za jego radą z krwawiącym sercem. Nie chciała mieć zbyt wiele do czynienia z Doortje, nie tylko z powodu zazdrości. Pewność siebie Doortje, jej pozorny brak uczuć i upór ją przerażały. Doskonale rozumiała fakt, że Nandé obawiała się jej i ciągle ze czcią zwracała się do niej per *baas*, kiedy Doortje kilkakrotnie ostro wyprosiła sobie używanie w stosunku do siebie określenia „*meijuffrouw*”. Doortje także w stosunku do Daisy i Roberty była powściągliwa i wręcz nieuprzejma. Roberta uważała, że Nandé jest o wiele bardziej sympatyczna niż burska piękność. Ale jeśli chodziło o szkołę, to Doortje rzeczywiście okazała się dużą pomocą.

– Proszę nauczyć dziewczęta czegoś pożytecznego, to wtedy matki wyślą je do szkoły – rzekła krótko.

Jak na razie niewiele burskich dzieci przychodziło do klasy Roberty pod gołym niebem. A jeśli w ogóle, to byli to prawie wyłącznie mali chłopcy, w dodatku bardzo nieposłuszni i krnąbrni.

– A czy jest coś bardziej pożytecznego niż czytanie i pisanie? – spytała zaskoczona Roberta.

Doortje roześmiała się kpiąco.

– Szycie, tkanie i przędzenie – oświadczyła. – Jeśli tylko ma się coś do szycia, tkania i przędzenia...

Roberta darowała sobie ostrą odpowiedź i posłuchała jej rady. Sama nie umiała prząć, a ramy tkackie stolarz musiałby dopiero zrobić. Ale szycie opanowała dobrze, jej matka jako młoda dziewczyna pracowała krótko w Lady's Goldmine i podpatrzyła to i owo. Sama szyła dziecinne sukienki dla Roberty i nauczyła córkę naprawiania oraz przerabiania odzieży na wypadek konieczności. A teraz młoda nauczycielka przyniosła kilka lalek z otrzymanych darów i spruła jedną starą suknię. Dziewczynki uczyły się szyc z tego sukienki dla lalek i robiły to z prawdziwym zapalem. A szkolna stołówka też zrobiła swoje – na koniec słowa: „szyć”, „lalka” i „sukienka” były wypisane po angielsku na tablicy, a dzieci uczyły się ich wymowy.

I w krótkim czasie Roberta szturmem podbiła serca wszystkich swoich uczennic. Chłopcy byli bardziej zdystansowani, choć powoli także zaczęli uwielbiać Robertę. Osobowość młodej nauczycielki, jej miły sposób bycia i umiejętność uczenia dzieci poprzez zabawę – wszystko to było całkowicie odmienne od surowych metod wychowawczych Burów. Roberta opowiadała wesołe albo romantyczne historyjki, w których pojawiały się księżniczki i dzielni rycerze, a nie zarzynani zuluscy wojownicy i rzeki czerwone od ich krwi. I od kiedy zaczęła uczyć dzieci, w obozie częściej słychać było śmiech. Spadła nawet śmiertelność wśród dzieci, nie tylko dzięki szkolnej stołówce. Roberta od razu zwracała uwagę na to, że któreś z jej podopiecznych jest chore, i natychmiast prowadziła dziecko do szpitala. Niektóre matki patrzyły na to niechętnie, a nawet zabierały dzieci ze szkoły, ale niejedno dziecko dzięki temu mogło po prostu żyć. W ogóle w ciągu kolejnych kilku tygodni sytuacja w obu obozach nieco się poprawiła. Jenny okazała się istnym aniołem dla czarnych. Kierowała szpitalem, uczyła w szkole, jeśli Roberta nie dawała już rady przyjechać, a przede wszystkim doprowadziła do tego, że niecny proceder kryminalistów i sutenerów został mocno ukrócony. Jednak to z kolei spowodowało, że jej życie było niejednokrotnie w niebezpieczeństwie. Po kilkakrotnych pogroźkach dziewczyna nie chciała już mieszkać na stałe w Karenstad II – każdego wieczoru wracała w towarzystwie dwóch żołnierzy do obozu białych. A rankiem jechała tam razem z Robertą na zarekwirowanych przez Brytyjczyków burskich kucykach. Kiedy Jenny wyraźnie poprosiła Vincenta o lekcje jazdy konnej, Roberta także przestała się przed nimi bronić.

– Przecież nie może być tak, Miss Fence, że pani nie lubi koni! – stwierdził Vincent. – Czyż nie nosi pani ze sobą stale swojego szmacianego konika?

Weterynarz się zdziwił, kiedy Roberta zaczerwieniła się po tych słowach.

– To... to jest... on przynosi szczęście. To... hm... prezent...

Vincent się zastanawiał, dlaczego jej samej wydało się to nieprzyjemne, ale nie dociekał, tylko pokazał jej łagodną, siwą małą klacz.

– Proszę popatrzeć, to bardzo spokojne, miłe zwierzę i może mu pani nadać imię. Poprzedni właściciel chyba nie będzie mógł jej pani przedstawić.

Burski oddział, do którego należał koń, został rozbity przed kilkoma dniami. Strategia Brytyjczyków powoli przynosiła coraz więcej sukcesów. Mimo niesłychanego uporu i waleczności Burów stan życia w ciągłej ucieczce oraz świadomość niewoli ich dzieci i żon prowadziły do upadku morale. A poza tym zaczynało też brakować broni i amunicji – Brytyjczycy sprowadzili kolejne jednostki wojska, których patrole przeczesywały dokładnie weld i odcinały drogi, którymi do oddziałów docierało zaopatrzenie. Także Nowa Zelandia wysłała następne kontyngenty wojska,

a Rough Riders byli teraz wyjątkowo dzielni i odważni. Rozbijano coraz więcej burskich oddziałów – albo też poddawały się one same. Dowództwo wojskowe rozważało rychłą likwidację obozów koncentracyjnych. Zakładano, że wówczas mężczyźni wrócą na swoje farmy i złączą je odbudowywać – nie mogli przecież zostawić żon i dzieci samych pośród zniszczonych zabudowań i spalonych pól.

Roberta się cieszyła, że może zmienić temat, i nieśmiało pogłaskała konika. Uśmiechnęła się, kiedy zwierzę ostrożnie potarło miękkimi nozdrzami jej rękę.

– Nie powinnam obawiać się koni, nawet nazwano mnie imieniem jednego z nich – przyznała i opowiedziała Vincentowi i Jenny o cudownej klaczy Lucille, która jej ojcu przyniosła wielką wygraną, dzięki czemu jej matka mogła wyprowadzić się z zachodniego wybrzeża. W czasie podróży urodziła się Roberta – i otrzymała na drugie imię Lucille.

– No to nazwij tego siwka „Lucie” – zaproponowała Jenny.

Ona sama nazwała swojego wałacha „George”, po swoim wujku, którego koń jej ponoć przypominał. Zaraz też kazała sobie zademonstrować, jak należy go siodłać.

Vincent pokazał to również Robertcie, nauczył ją też starannego zakładania uzdy i cieszył się z każdego uśmiechu, którym go obdarowywała. I wreszcie jej także zaczęła sprawiać przyjemność jazda konna – oraz towarzystwo Vincenta. Lucie miała miękki chód i Roberta była rozpromieniona, kiedy wróciła z pierwszej przejażdżki po weldzie, podczas której widziała zebry i antylopy gnu. A Vincent sprawiał wrażenie najszczęśliwszego człowieka na ziemi, kiedy mu dziękowała.

Ale także Kevin odnosił małe sukcesy w swoim staraniu się o Doortje van Stout. Zastanawiał się nad uwagą Roberty, która stwierdziła, że Doortje interesuje się książkami. Cornelis też oczywiście opowiadał mu, że ona dawniej czytała ukradkiem. Kevin zaczął więc zostawiać w szpitalu książki, obserwował Doortje i zaskoczył ją raz, kiedy zerknęła na nie z zainteresowaniem. Pożyczał jej więc książki i próbował potem rozmawiać z nią o ich treści. A kiedy nadeszła pora deszczowa i Doortje nie mogła chodzić czytać nad rzekę, zostawiał jej do dyspozycji swoje biuro.

– Tam nikogo nie ma oprócz Nandé, Miss Doortje. A ona ani nie będzie pani przeszkadzać, ani też nikomu o tym opowiadać.

Doortje z początku się wzbraniała, ale perspektywa ucieczki z błota i lepkiej wilgoci w obozie do suchego pokoju choćby na krótki czas była zbyt kusząca. Zwłaszcza że w namiocie Doortje zakwaterowano nowe rodziny – a ją bolało, kiedy widziała obcych ludzi leżących na tych samych matach, na których niedawno sypiali jej bracia i na których zmarła jej matka. Także hałas w namiocie był teraz dla Doortje nieznośny – wszyscy członkowie obu nowo przybyłych rodzin mieli krzykliwe, ostre głosy i stale komenderowali swoimi dziećmi. Doortje ganiła w duchu samą siebie za swoją dziwną nadwrażliwość, ale ostatnio każda drobnostka wyprowadzała ją z równowagi. Dziewczyna marzyła o odrobinie spokoju i ciągle cierpiała z powodu dosłownie wilczego apetytu, którego nie mogła zaspokoić, choć przecież zjadała sama wszystkie dodatkowe porcje, zamiast dzielić się nimi z dziećmi w namiocie, tak jak bez wątplenia zrobiłaby to jej matka. Jednak Doortje uważała, że nie jest w stanie sprostać wszystkim swoim obowiązkom, czuła się stale zbyt zmęczona, aby wraz ze swoimi towarzyszkami niedoli modlić się i śpiewać. Na szczęście mniej było teraz uroczystości pogrzebowych, bo umieralność w obozie znacznie spadła. Uprzejmość Kevina i jego próby zbliżenia się do niej jednego dnia doprowadzały ją do pasji, a drugiego – osobiwie wzruszały. Doortje była pewna, że dzieje się z nią coś niedobrego. Może mogłaby o wszystkim zapomnieć, gdyby od czasu do czasu miała możliwość ucieczki z obozowego życia – choćby na kilka godzin. Powieści Kevina przenosiły ją w zupełnie inny świat. Połknęła jednym tchem *Dumę i uprzedzenie* Jane Austen i *Jane Eyre* Charlotte Brontë, a potem ganiła samą siebie za zachwyt wobec tak płytkich jej zdaniem historii miłosnych, a już tym bardziej żędziało się to tak szybko po śmierci jej rodziny. Czym był miłosny zawód jakiejś

angielskiej guwernantki wobec cierpień *voortrekkerów*? W końcu zajęła się książkami popularnonaukowymi. Kevin się uśmiechnął, kiedy któregoś wieczoru zobaczył ją pochyloną nad albumem o Nowej Zelandii.

– Podoba się pani mój kraj, Miss Doortje? – spytał łagodnie. – Świat zwierząt nie jest tam tak różnorodny jak tutaj i nie robi takiego wrażenia. Ale za to wszystkie żyjące tam istoty nikomu nie zagrażają.

Kevin przysunął fotel i ustawił go koło krzesła z oparciami, na którym obok pustego kominka lubiła siadać Doortje. Zastanawiał się po raz setny, po co w tym klimacie komuś potrzebny był kominek. Doortje odwróciła się do niego. Z coraz większą trudnością przychodziło jej go nienawidzić, ale uważać angielskiego czy też nowozelandzkiego lekarza za atrakcyjnego było jej zdaniem czymś gorszym niż znajdowanie pociechy w głupawych angielskich powieściach.

– Czy dlatego szuka pan wojny w naszym kraju? – spytała, nie kryjąc niechęci. – Bo w pana kraju jest zbyt miło i zbyt spokojnie?

Kevin usiadł.

– Nie całkiem, po prostu przed czymś uciekłem – wyznał po chwili. – Mówiąc dokładnie, to przed pewną kobietą, zanim zacznie pani myśleć, że chodzi o jakąś zbrodnię... A jeśli chodzi o wojnę: jestem lekarzem. Przyjechałem tu, aby pomagać ludziom. Dotychczas nikogo nie zabiłem i chciałbym, aby tak było dalej.

Doortje uniosła brwi.

– A moi bracia i moja matka? I wszyscy ci pozostali zmarli? Za to pan jest odpowiedzialny, bez względu na to, co pan powie!

Kevin wzruszył ramionami.

– Za to odpowiedzialne jest dowództwo angielskiej armii – poprawił. – Oraz upór waszych oddziałów, które przeciągają w nieskończoność tę wojnę, choć nie mogą jej wygrać. Ale mimo wszystko nie wolno było internować kobiet i dzieci ani palić waszych domów, tu się z panią zgadzam. Ja sam nie mogę tego zmienić. Podobnie jak rozsądni Burowie, tacy jak Cornelis, nie mogą wpłynąć na burskie oddziały prowadzące wojnę. Czy przynajmniej my oboje nie moglibyśmy zawrzeć pokoju, Doortje? Wie pani przecież, że nie życzę pani niczego złego.

Bezradnie wyciągnął rękę w jej kierunku. Jednak Doortje nie ujęła jej. Ale zaczerwieniła się. Czy był to znak jakiegoś wewnętrznego wzburzenia, niepokoju?

– Nie mogę tego wszystkiego zapomnieć! – powiedziała twardo. – A już zwłaszcza przebaczyć. To nasz kraj, nie wolno panu tu być, pan...

Kevin potarł czoło.

– Doortje, znowu... Dość tych bolesnych dyskusji o tym, komu i gdzie nie wolno być. Proszę po prostu pozwolić, abyśmy pomówili o nas obojgu. Musi pani to czuć! Nie jestem pani wrogiem!

Doortje ze świstem wypuściła powietrze z płuc.

– Czy ma pan teraz zamiar uwieść drugą kobietę z naszego domu? Nie wystarczy już panu Nandé? Biała skóra jest bardziej atrakcyjna, prawda, panie doktorze?

Kevin potrząsnął głową, czując lekką irytację. Sprawę z Nandé wyjaśniał jej już z dziesięć razy.

– Doortje, nikogo nie chcę uwodzić! – odpowiedział gwałtownie. – Nie potrzebuję tego robić. Ani nie potrzebuję żadnej kobiety przekonywać czy też zmuszać, aby poszła ze mną do łóżka, chętnych na to jest dość i bez tego!

Zagryzł wargi, kiedy Doortje popatrzyła na niego z przerażeniem. Oczywiście w jej otoczeniu nie mówiono tak otwarcie o miłości fizycznej. A w dodatku te potworne przeżycia, z którymi musiała się uporać...

– Proszę wybaczyć – powiedział cicho. – Nie chciałem... być ordynarny. Ale pani... Pani też nie musi wyprowadzać mnie z równowagi! Boli mnie, kiedy mi pani nie wierzy. I obraża mnie, kiedy pani...

– Kiedy nie jestem zachwycona pańskim romansem z moją pokojówką? – spytała. – Podczas kiedy mnie obraża sam fakt, że biały mężczyzna uprawia nierząd z babą od Kafrów?

Kevin westchnął. Postanowił nie dać się znów sprowokować. Zwłaszcza że nie wierzył, że przez Doortje przemawiało obrzydzenie wobec nierządu ze służącą. Przypuszczał raczej, że była to zazdrość. Doortje w końcu nie była głupia, musiała zaakceptować jego wyjaśnienia na temat tamtej nocy.

Ogarnęła go pokusa, aby ze swojej strony także trochę podrażnić Doortje.

– Za pozwoleniem, Doortje, wyjaśniałem pani wielokrotnie, co było albo raczej czego nie było między mną a Nandé – powiedział spokojnie. – I zadałem sobie tyle trudu po to, aby znała pani prawdę i w nią wierzyła. Bo gdybym rzeczywiście kochał Nandé, nie potrzebowałbym niczego wyjaśniać. Wówczas nic by to panią nie powinno obchodzić.

Z zadowoleniem dostrzegł, że patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. I zaczął mówić dalej.

– Nie jestem z nikim związany, Nandé także nie, więc nie potrzebowałibyśmy robić z tego żadnej tajemnicy, gdybyśmy chcieli się pobrać.

– Pobrać się? – spytała Doortje ostro.

Kevin skinął głową.

– Dlaczego nie? Gdybym naprawdę kochał Nandé, byłbym ją spytał, czy zechciałaby wyjść za mnie za mąż.

– Ale ona jest czarna! – oburzyła się Doortje.

Kevin się roześmiał.

– No i co z tego? Mnie byłoby wszystko jedno, czy moja żona jest czarna czy biała. Najważniejsze, żeby była mądra, elokwentna, namiętna i może trochę przekorna.

Przesunął się na skraj fotela, bliżej Doortje.

– Nandé jest kochanym, miłym dzieckiem, Doortje. I ma za sobą ciężkie przeżycia, proszę mi wierzyć, podobnie jak pani. Także ją wykorzystano, także jej rodzina nie żyje. Jeśli choć trochę ucieszy ją nocna koszula z koronką i jeśli będzie szczęśliwa tylko dlatego, że może spać w mojej kuchni i choć przez chwilę poczuć się tak, jak gdyby sama była *baas*... to co w tym złego? Ja w każdym razie o tym nie wiedziałem, zanim mnie wtedy nie obudziła. Mówię to pani po raz ostatni i może mi pani wierzyć albo nie. Ale jeśli już mówimy o tym, jakiej kobiety bym pragnął, to chciałbym, aby mi pani ufała.

Kevin z zafascynowaniem patrzył na grę uczuć na jej twarzy, na osobliwą mieszaninę nieufności i pragnienia wyznania samej sobie uczuć, z którymi od dawna walczyła. I wreszcie wydało mu się, że wyraz jej oczu złagodniał. Czy mógł się odważyć i spróbować ją teraz pocałować? Albo choćby dotknąć jej ręki?

– Kevin?

Wraz z tym wołaniem rozległo się głośnie stukanie do drzwi wejściowych – Kevin i Doortje usłyszeli wyraźnie podekscytowany głos Vincenta. Doortje drgnęła przerażona, jak gdyby przyłapano ją na czymś niedozwolonym. A może przeraził ją obcy męski głos w ciemnościach?

– Spokojnie, Doortje, to tylko doktor Taylor. – Kevin łagodnie dotknął jej ręki, którą dziewczyna kurczowo zacisnęła na oparciu. – Słyszysz pani przecież, że Nandé już otwiera.

Vincent nie czekał, aż Nandé wprowadzi go do pokoju, lecz od razu ściągnął z siebie gumowy płaszcz chroniący przed tropikalnym deszczem.

– Kevin, dobre wiadomości! Och, Miss Doortje! Dobry wieczór. Jak miło panią tu widzieć, też się pani od razu wszystkiego dowie. Kitchener likwiduje kolejne obozy! Tym razem także Karenstad! Okolice wokół Wepener jest spokojna, mężczyźni wracają na swoje farmy, a kobiety i dzieci mają być

repatriowane. Pretoria przysłała jednostkę kawalerii, która ma zorganizować powrót i towarzyszyć kobietom.

Doortje, która z początku się uśmiechnęła, teraz nagle zeszywniała.

– Tak jak nas tu przyprowadzono? – spytała, nie kryjąc złości.

Kevin potrząsnął głową.

– Oczywiście, że nie, Doortje, nie dopuszczę do napadów. Złożę wniosek o możliwość towarzyszenia pani. I tak nie będzie pani mogła wyjechać z dnia na dzień, a zanim do tego dojdzie, dostanę takie pozwolenie. A jeśli nie, to pojedę bez pozwolenia.

Uśmiechnął się do niej krzepiąco, ale ten uśmiech zamarł mu na wargach, kiedy pomyślał, dokąd miałby jej towarzyszyć. Farmy pod Wepener już nie było. Nie było też rodziny van Stout. Co Doortje i Nandé miałyby robić same na kilku hektarach spalonej ziemi?

– My... porozmawiamy jeszcze o tym – powiedział bezradnie.

Doortje, której chyba przemknęły przez głowę podobne myśli, milczała.

– Pójdę już – powiedziała po chwili, kiedy Vincent przekazał kilka dalszych szczegółów na temat rozwiązania obozów. – Dziękuję panom, doktorze Taylor, doktorze Drury... Było bardzo miło.

Kevin się poderwał i zarzucił na ramiona kobiety płaszcz Vincenta, zanim wyszła. Na dworze cały czas padał deszcz.

– Przemoknie pani, zanim dotrze do swojego namiotu, Doortje...

Doortje nie odpowiedziała, przyjęła jednak płaszcz. Kevin spojrzał na Vincenta przepaszająco, kiedy wyszła.

– Pożyczę ci swój na powrót. W porządku?

Vincent się uśmiechnął i podszedł do szafki, w której Kevin przechowywał whisky.

– Nie śpieszy mi się. Zanim ruszę, będzie sucho. Doortje? Już nie „Miss Doortje” czy też „Miss van Stout”? Czyżbym coś przeoczył?

Kevin wzruszył ramionami i wziął podaną szklanekę.

– Powiedzmy, że robię powoli postępy – odparł. – A może raczej robiłem... Bo teraz... Pewnie już koniec.

Vincent wypił łyk i patrzył równie przygnębiony.

– Tak – stwierdził. – Niedługo wrócimy do domu. A pielęgniarce...

Kevin mrugnął do niego.

– Masz chyba na myśli nauczycielkę – poprawił go.

Vincent westchnął.

– Tak. Obawiam się, że to po mnie widać. Ale nie sądzę, że Miss Fence odpłynie statkiem transportującym jednostki wojskowe. Zwłaszcza że nauczyciele będą tu potrzebni. Dzieci mają przecież uczyć się angielskiego. Miss Fence może będzie przeniesiona, a jak mnie nie będzie widzieć, to szybko o mnie zapomni.

Kevin opróżnił szklanekę jednym haustem.

– Doortje mnie nie zapomni. Za to będzie mnie nienawidzić. Pytanie, co jest gorsze.

ROZDZIAŁ 13

Atamarie nie powiedziała Richardowi o incydencie w czasie tańców, próbowała też nie mieć mu za złe samotnej nocy po dożynkach. Ale była zdecydowana odwieść go od bezsensownego pomysłu prowadzenia farmy i jednocześnie pracy przy wynalazkach. Ona nie będzie go dłużej wspierać w tym obłądzie, grając rolę gospodyni domowej!

Od razu następnego dnia zostawiła kuchnię nieposprzątaną i poszła za Richardem do szopy. Na szczęście w ramach pomocy znów zjawił się jeden z Maorysów i zajął się karmieniem zwierząt. I od razu zwrócił się do Atamarie:

– Co z polami, Atamarie? Trzeba je zaorać. Nowy siew...

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Musisz to omówić z Richardem – odparła. – Ale sądzę, że on będzie się cieszył, jeśli ty to zrobisz.

I tak rzeczywiście było. Richard był już całkowicie pochłonięty rozkładaniem po raz setny swojego silnika na części i nie wykazywał najmniejszego choćby zainteresowania obsiewaniem pól. Kiedy Hamene spytał go o to, odpowiedział coś niecierpliwie i bardzo nieprzychylnie.

– Zrób to po prostu – powiedziała Atamarie do zawsze chętnego do pracy pomocnika, który wobec reakcji Richarda teraz sprawiał wrażenie niemal obrażonego.

Musiała coś zrobić, bo byłoby nie do pomyślenia, że młody mężczyzna już się nie zjawi i wszystko znów spadnie na Richarda.

– Wiesz, które pola są nasze – powiedziała. – Zaorz je po prostu i zasiej tam coś.

Jeśli miałyby być szczerą w stosunku do siebie samej, to była tym równie mało zainteresowana jak Richard. W następnym roku, kiedy zboże, czy też cokolwiek zasieje Hamene, dojrzeje, ona będzie już dawno z Richardem w Christchurch.

A potem wreszcie dostała nagrody za wszystkie swoje trudy. Richard radośnie powitał ją w swojej szopie, zaczął mówić do niej z wielkim ożywieniem, a potem cierpliwie pokazywał jej rozebrany silnik i dyskutował z nią długo o wszystkich efektach swojej pracy. I nie miał nic przeciwko temu, że tym razem ona znów kilka razy rozebrała silnik i pomagała mu przy konstruowaniu maszyny latającej. Atamarie poprawiła napięcie płótna żeglarskiego na powierzchniach nośnych, podczas kiedy Richard wypróbowywał ulepszenia silnika. Z ożywieniem dyskutowali o szybkości w czasie startu i o impulsie pędu, przy czym Richard ponad teorię przekładał swoje praktyczne doświadczenia i wołał wszystko wypróbować niż bawić się w żmudne obliczenia. W ogóle nie był w stanie usiedzieć spokojnie. Atamarie czasami irytowało, że nerwowo biegał po warsztacie i w kółko przenosił wszystko z miejsca na miejsce. Miała wrażenie, że robi wszystko zbyt szybko i że niektóre decyzje są zbyt pośpieszne, a ich efekt nieodwracalny, bo materiał był już wykorzystany. Do tego wiele bardzo tanich konstrukcji, które Richard wymyślał w celu rozwiązania problemów, wydawało się młodej kobiecie wręcz zabawne albo niebezpieczne. W czasie wyprawy pod Taranaki poznała Richarda jako mężczyznę bardzo rozsądnego i rozważnego, ale teraz wydał jej się on wręcz szalony.

– W ten sposób nic z tego nie będzie, Richardzie – spróbowała po kilku dniach ująć w słowa swoje przemyślenia. – Jeśli rzeczywiście chcesz, żeby to latało, musisz zainwestować w to trochę pieniędzy. Potrzebny ci jest porządny silnik, a nie ten poskładany z różnych części rupieć, który w dodatku jest za ciężki. Powinieneś spróbować dostać silnik do samochodu. I płótno wysokiej jakości... Masz przecież pieniądze po żniwach.

Richard prychnął, a Atamarie zagryzła wargi. Jej zarzut był niezręczny, właściwie wiedziała od dawna, że Richard wprawdzie wysłuchiwał jej propozycji, ale reagował bardzo gwałtownie na wszelką

krytykę swoich eksperymentów.

– Pieniądze po zniwach, akurat! – uniósł się teraz. – Za nie muszę kupić przetrząsarke do siana, słyszałaś przecież, co mówił mój ojciec. I część maszyn nie jest przecież spleciona. Rodzice podarowali mi wprawdzie farmę, ale nie to wszystko, co jest na niej potrzebne. I pieniądze, które zarabiam, muszę na to wydać.

W jego głosie słychać było wściekłość, za chwilę się zerwał i znów zaczął niespokojnie biegać po pomieszczeniu. Atamarie się zamyśliła. Farma przynosiła dostatecznie dużo dochodu na wszystko, co konieczne – starczyłoby nawet dla całej rodziny. Gdyby ktoś chciał być farmerem, to byłby szczęśliwy, mając takie dochody. Ale czy z tych sum dałoby się sfinansować produkcję maszyn latających? Słyszała, że badacze w Ameryce otrzymali na to bardzo dużo pieniędzy. Popierał ich ciężki przemysł i państwo, a może pochodzili z bogatych domów i mogli sobie pozwolić na takie drogie hobby. Za to Richard... Właściwie mógł się na coś zdecydować i postawić wszystko na jedną kartę. Ale to, czego potrzebował, to były pieniądze, więcej pieniędzy. I mimo swego geniuszu potrzebował kierownictwa, a przynajmniej wymiany myśli z równymi sobie. Nie tylko z takimi początkującymi inżynierami jak Atamarie, lecz z koryfeuszami w dziedzinie techniki, takimi jak profesor Dobbins.

Atamarie zebrała się na odwagę.

– Sprzedaj farmę! – powiedziała zdecydowanie. – Weź pieniądze i zbuduj maszynę latającą, która... która naprawdę polec! Zbuduj też prawdziwy pas startowy. Nie może być tak, że ciągle lądujesz w żywopłocie, nie mówiąc już o tym, że to niebezpieczne. Najlepiej pojedź ze mną do Christchurch i poszukaj odpowiedniego kawałka ziemi poza miastem. Możesz tam dalej studiować i budować maszynę latającą.

Richard się roześmiał, bawiąc się machinalnie zbiorem swoich materiałów i zaimprovizowanych części do silnika.

– A z czego będę żyć? – spytał.

Atamarie podniosła ręce w błagalnym geście.

– No, na jakiś czas miałbyś pieniądze z farmy – powiedziała. – A potem... Richardzie, jeśli będziesz pierwszym, który wzniesie się w powietrze maszyną napędzaną silnikiem, to... to wygrales, Richardzie! Wówczas cały świat będzie stał przed tobą otworem, będziesz popierany ze wszystkich stron!

Richard patrzył na nią tak, jak gdyby była niespełna rozumu.

– Mój ojciec by mnie zamordował! – oświadczył.

Atamarie potarła czoło.

– Twój ojciec by to potępił – poprawiła go. – Podobnie jak potępia wszystko, co robisz. Zawsze go irytujesz, cokolwiek byś robił. Ale w ten sposób nie robisz ani jednego, ani drugiego. Nie jesteś dobrym farmerem i nie możesz być dobrym konstruktorem samolotów, bo po prostu brakuje ci na to środków. Zdecyduj się, Richardzie! Rób to, co naprawdę chcesz zrobić!

Richard potrząsnął głową i przez krótką chwilę wydawało się, że się uspokaja.

– Nie mogę! – powiedział z żalem. – Przecież mam nie tylko ojca, lecz także matkę, rodzeństwo... Jeśli się od nich wszystkich odwrócę, to... to będę całkiem sam.

Przy tych słowach Atamarie odczuła bolesne ukłucie w sercu. On się obawiał, że zostanie sam? A co z nią? Czy ona nie dała mu wyraźnie do zrozumienia, że jest po jego stronie? I że zawsze będzie chciała go wspierać?

Atamarie chciała krzyknąć i zarzucić mu, że jej nie kocha. Ale powstrzymał ją wyraz rozpaczy na jego twarzy. Może on był inny. Może sądził, że ona go nie kocha – albo tylko wtedy, kiedy on „funkcjonuje”, jak najwyraźniej miało to miejsce w przypadku jego rodziny. Ale jak mógł sądzić, że nic

dla niej nie znaczy? Atamarie wzburzona rzuciła ścierkę, którą czyściła świecę zapłonową w silniku. Richard następnego ranka chciał spróbować ponownie uruchomić silnik. Ale teraz...

Atamarie nagle zapragnęła być sama. Położyła Richardowi rękę na ramieniu, zanim wyszła.

– Nie byłbyś sam – powiedziała łagodnie. – Ale nawet gdybyś musiał być sam... Czy to nie byłoby tego warte? Richardzie, jeśli zawsze będziesz się wahał, to nigdy nie polecisz!

Atamarie opuściła szopę i swego przyjaciela i wybiegła na zewnątrz, na rozległe łąki Canterbury Plains. Z początku szła bez celu, ale w końcu niemal bezwiednie skierowała kroki w stronę maoryskiego osiedla. Wolą być ze swymi przyjaciółmi niż odwiedzić na przykład Joan Peterson, nie mówiąc już o spotkaniu z ojcem Richarda. Żniwa wprawdzie się skończyły, ale teraz farmerzy zaorywali swoje pola, a Digory Pearse był z pewnością na swoich, które graniczyły z polami Richarda. Za to droga do Maorysów prowadziła przez naturalne łąki; wzgórza wokół Temuka przechodziły stopniowo w typową nizinę Canterbury Plains. Ten widok zielonej przestrzeni, której tłem były wierzchołki Alp Południowych, zawsze wydawał się Atamarie uspokajający. A teraz po raz setny zadała sobie pytanie, czy chciałaby mieszkać w tej okolicy – bo wszystko wskazywało na to, że gdyby miała być z Richardem, sprowadziłoby się to do tego właśnie.

Dotychczas zawsze zakładała, że życie Richarda na farmie jest tylko krótkim epizodem. Ten człowiek był w końcu uzdolnionym inżynierem i jego miejsce było w mieście, w szkole wyższej. A z Atamarie było podobnie. Z życiem na farmie było tak jak z życiem w Parihaka: przez krótki czas sprawiało jej ono przyjemność, ale nie chciała zestarzeć się ani między kurnikiem a pokojem dla dzieci, ani też między krosnami a *haka*. Atamarie chciała przede wszystkim konstruować maszyny, a jeśli miałyby to być konieczne, to także budować domy albo przeprowadzać pomiary ziemi. Chciała mieć prawdziwy warsztat, pragnęła wymiany myśli z równymi sobie, chciała skończyć studia i mieć swój udział w intrygujących i rewolucyjnych innowacjach, jakie oferował dwudziesty wiek. Poczynając od samochodu, a kończąc na samolocie. Atamarie nie tylko chciała być z Richardem, ona chciała z nim latać!

Kiedy młoda kobieta dotarła w końcu do *marae* miejscowego szczepu Ngai Tahu, zdążyła się już trochę uspokoić. Powiedziała kilka żartobliwych słów do starszych ludzi, którzy pilnowali dzieci, podczas kiedy ich synowie i córki pracowali na polach, i przyłączyła się do kilku młodych kobiet w jej wieku, które właśnie wygrzebywały z grządki *kumara*. Atamarie chętnie pomogła w zbiorze słodkich, smacznych ziemniaków i od razu wdała się w rozmowę. Oczywiście chodziło o mężczyzn – kobiety chciały wiedzieć wszystko o tym *pakeha*, z którym mieszkała Atamarie. I jak zwykle u maoryskich szczepów, także i tu mówiono bez ogródek.

– Czy nie jest tak, że właściwie za *pakeha* należy wyjść za mąż, kiedy dzieli się z nim łóżko? – spytała jedna z kobiet, kiedy Atamarie drażniła się z nią w żartach, twierdząc, że jej mąż jest wprawdzie „śliczny” i ma miękkie loki oraz pełne czerwone wargi, ale jest z pewnością zbyt niezdarny na to, aby nosić włócznię i tańczyć *haka*. – On ma ciało jak wojownik, ale jego duch zabawia się jak *manu aute* ze śpiewami bogów...

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Nie chcę jeszcze wychodzić za mąż – stwierdziła. – I Richard też nie chce się żenić. Ale ja... ja chętnie odeszłabym stąd wraz z nim.

Dziewczęta pokiwały głowami.

– On jest *tohunga*, tak mówią mężczyźni – stwierdziła najstarsza z nich, z wszystkowiedzącym wyrazem twarzy. – On musi wędrować, aby się uczyć. Ale nie wiem, czy on to robi. Tutejsi *pakeha* nie wędrują.

Atamarie westchnęła. Lepiej nie można było tego wyrazić. Richard musiał stąd wyjechać.

W Temuka uprawiano ziemię, ale nie zdobywano nieba.

W drodze powrotnej na farmę snuła plany. Pierwszy rozruch silnika przewidziany był na najbliższy ranek – Atamarie się upierała, aby najpierw wypróbować go w szopie, a dopiero potem zamontować w samolocie. Ale gdyby pracował dobrze, to nic nie stałoby na przeszkodzie, aby wykonać próbę lotu. Może udałoby się tego dokonać jeszcze w czasie wakacji – nawet gdyby mieli porzucić plany odwiedzenia jej dziadków w Lawrence. Bo w razie niewielkich nawet sukcesów można by pokazać plany gotowej maszyny latającej profesorowi Dobbinsowi i wówczas profesor poparłby Richarda. I na pewno znalazłoby się miejsce na uniwersytecie, może nawet jakieś stypendium badawcze.

Atamarie pogrążyła się w marzeniach o wsparciu dla Richarda w Christchurch i ostatecznym pożegnaniu z farmą, gdy nagle otaczającą ją ciszę przerwał piekielny hałas. Towarzyszył mu tętent kopyt końskich i Atamarie ledwo zdążyła uskoczyć na bok, kiedy minął ją zaprzęg mułów. Zwierzęta ciągnęły za sobą pług, którego uczeplił się Digory Pearse i klnąc, próbował zatrzymać pędzące zwierzęta. Ale co doprowadziło do takiego szaleństwa zwykle spokojne i łagodne muły?

Atamarie obawiała się najgorszego. Zaczęła biec i zaraz za zakrętem drogi dostrzegła sprawcę paniki zwierząt. Na niewielkim wzgórzu powyżej farmy Richarda dudnił silnik – i Atamarie ku swemu przerażeniu, ale i irytacji dostrzegła, że Richard znów zamontował go do samolotu. A przecież powierzchownie nośne były naprawione tylko prowizorycznie, żadne zaś poprawki i ulepszenia nie zostały jeszcze wykonane, wbrew nadziejom Atamarie. Ale na to Richard oczywiście nie znalazł czasu, zanim spontanicznie zdecydował się na kolejną próbę lotu. Montaż silnika do samolotu w ciągu kilku godzin i dodatkowo wciągnięcie go na wzgórze musiało go kosztować niesłychanie wiele energii.

Atamarie się zastanawiała, po co to wszystko. Czy on chciał jej coś udowodnić – a może samemu sobie albo swoim rodzicom? W każdym razie był to kompletny nonsens i wręcz szaleństwo, aby raz jeszcze startować przy zastosowaniu tej samej konstrukcji, która zawiodła kilka tygodni temu. I oczywiście Richard zaprzęgnął do niej konie! Atamarie krzyczała w biegu i machała rękami, aby go skłonić do rezygnacji ze startu, ale dość wrażliwe konie, które wprawdzie przyzwyczyły się do widoku niesamowitej konstrukcji podczas wciągania jej na wzgórze, teraz z kolei przerażyły się hałasem uruchamianego silnika. I gdy mężczyzna wsiadał do swojej maszyny, zwierzęta, zamiast stać w miejscu, przebiegały nerwowo kopytami. Kiedy zaś Richard zwolnił cugle, nagle w panice ruszyły biegiem w dół. Za nimi po wyboistej drodze turkotał samolot, a ten ruch z kolei wpływał na mieszankę paliwa, o czym Atamarie wiedziała. Obciążało to pracę silnika. Próby lotu takimi maszynami należało przeprowadzać na równych drogach, zwłaszcza że gaźniki były bardzo niedoskonałe. Zamiar Richarda nie mógł teraz skończyć się sukcesem, lecz Atamarie, wstrzymując oddech, mimo wszystko obserwowała przyspieszający samolot. Konstrukcja wykonała rodzaj skoku, co Atamarie przypisywała raczej nierówności terenu niż wznoszeniu się w wyniku pracy silnika. To jednak jeszcze bardziej przstraszyło konie, które biegły teraz – dokładnie tak jak za pierwszym razem – prosto w stronę żywopłotu, i zanim Richard uwolnił linki łączące je z samolotem, trójkołowy pojazd uderzył w żywopłot z siłą jeszcze większą niż poprzednio. Hałas silnika umilkł, kiedy samolot się zatrzymał. Nagła cisza wydała się Atamarie niesamowita.

Spodziewała się, że coś zacznie się ruszać pod powierzchniami nośnymi, ale niczego nie widziała. Poczowała narastający strach. Dobiegła na miejsce wypadku i jej obawy potwierdziły się. Richard wisiał bez ruchu na swoim siedzeniu. Z rozległej rany na czole płynęła krew.

– Richard, Dick...

Serce Atamarie biło gwałtownie. Zamierzała zganić Richarda, ale teraz obawiała się o jego życie. Pośpiesznie rozpięła pasy, którymi był przypięty do siedzenia, ale on ciągle się nie poruszał. Ostrożnie wyciągnęła go na zewnątrz, ale nie zdołała go utrzymać i Richard bezwładnie osunął się na ziemię.

– Richardzie, nie umieraj! Richardzie!

Atamarie płakała zrozpaczona, kiedy gorączkowo rozpiniała koszulę Richarda, nie wiedząc, co właściwie ma robić. Wydawało jej się, że serce Richarda bije, ale potrzebny był lekarz, musiała go zawieźć do szpitala...

– Co z nim? Żle? – Atamarie zadygotała z ulgi, słysząc za sobą głos Petersona. – Dobry Boże, dziewczyno, on nie żyje?

Farmer z troską pochylił się nad sąsiadem, ale najwyraźniej miał znacznie więcej wprawy w doszukiwaniu się znaków życia niż Atamarie. – No, żyje. Ma twardą czaszkę... – skonstatował. – Ocknij się, Dick!

Potrząsnął rannym, co przeraziło Atamarie. Wydawało jej się, że tak nie należy postępować z rannym. Ale Richard i tak nie reagował. Atamarie podparła go i przekonała farmera, aby położyć go płasko na ziemi.

– On potrzebuje lekarza. Do szpitala. Jest tu gdzieś szpital?

Atamarie rozglądała się dookoła bezradnie, ale i pełna nadziei, jak gdyby się spodziewała, że szpital znajduje się w najbliższej szopie. A przecież mieszkała tu dostatecznie długo, aby wiedzieć, że nawet do lekarza trzeba było jechać całe mile.

– W Temuka – wyjaśnił Peterson. – Niech pani poczeka, podjadę tu bliżej wozem, jak szkapy się na to odważą. Ale powoli nawet one przyzwyczajają się do latających maszyn Richarda. Jeszcze trzy takie upadki i spokojnie przejadą obok...

Atamarie trzymała Richarda w ramionach, podczas kiedy Peterson przyprowadził wóz. Był to ten sam drabiniasty wóz, na którym przywiózł ją na farmę po jej przyjeździe do Temuka. Farmer ułożył nieprzytomnego na kilku starych workach, które leżały na dnie pojazdu. Atamarie próbowała unieruchomić nimi ciało Richarda, ale Peterson najwyraźniej nie uważał tego za konieczne. Dziewczyna usiadła więc przy Richardzie i przytrzymała go, kiedy wóz najpierw turkotał po nierównej łące, potem zjechał na w miarę równą drogę i dotarł do tej, która prowadziła do Temuka. Oszczędziło jej to też konieczności odpowiadania na komentarze Petersona na temat ponownej próby lotu Richarda.

– On nie może z tym skończyć, jak tylko usłyszałem silnik, to już wiedziałem, co jest. Akurat, najpierw wypróbować silnik na jałowym biegu – tam, gdzie jest Cranky, to latanie musi być możliwe! Tak mu się zdaje. A potem te szkapy, które pędziły jak wściekłe furie przez krzaki... Mam nadzieję, że je ktoś złapie, zanim połamią sobie nogi. W każdym razie zaraz przyszedłem. No, miał szczęście ten Dick, byłem tylko trzy pola dalej... Ale jego *dad* też musi być gdzieś tu w pobliżu...

Atamarie mogła to potwierdzić, ale na razie nie myślała o Digorym jadącym na pługu, który ciągnęły uciekające muły. Przerazało ją to, że Richard ciągle nie dawał znaków życia. Mile dzielące wieś od Temuka ciągnęły się w nieskończoność, zwłaszcza że Peterson nie jechał szybko i nie bardzo martwił się o Richarda. Farmer się roześmiał, kiedy Atamarie zaczęła go wręcz błagać, aby jechał szybciej.

– Jak złamiemy oś, to nie zajedziemy szybciej do miasta – powiedział spokojnie. – A Dick... Ocknie się prędzej czy później. Wariaci zawsze mają szczęście. Dziewczyno, ten facet przeżyje pewnie nas wszystkich.

Atamarie dziękowała jednak wszystkim bogom, kiedy wreszcie dotarli do małego szpitala i dwóch pielęgniarzy wniosło Richarda do środka na noszach. Lekarz uniósł brwi, słuchając bezładnej opowieści Atamarie.

– Latał? On... spadł?

Atamarie potrząsnęła głową.

– Niezupełnie. Ale... proszę, niech pan coś zrobi, on może rozbił sobie głowę!

Lekarz zniknął w końcu wraz z Richardem w gabinecie zabiegowym, Atamarie zaś musiała czekać – także wtedy, kiedy medyk dość szybko wyszedł.

– Jest pani jego żoną? – zapytał w odpowiedzi na wystraszone pytania Atamarie. – Albo siostrą czy też krewną?

Peterson, który żadnej sensacji czekał wraz z nią, potrząsnął głową.

– Niece, to tylko maoryska dziewczyna, która mieszka z nim na farmie.

Atamarie spojrzała na niego ze zdumieniem. Kim ona była? Brzmiało to tak, jak gdyby była kimś w rodzaju dziewczyny lekkich obyczajów, z którą Richard trochę się zabawiał, zanim zamierzał rozejrzeć się za prawdziwym związkiem.

– Pracownica? – dopytywał się lekarz.

Peterson potrząsnął głową i uśmiechnął się oblesnie.

– Niece... – odpowiedział znowu i zrobił ręką tak obsceniczny gest, że Atamarie krew uderzyła do twarzy.

– Ja jestem... – chciała wyjaśnić, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wpadła matka Richarda. W towarzystwie męża, który również był nieco pokiereszowany. Jego jazda na pługu ciągniętym przez oszalałe ze strachu muły też zapewne zakończyła się w jakimś żywopłocie czy podobnej przeszkodzie.

– Co z nim? Jak on się czuje? Czy on... On przecież...

Sarah Pearse była śmiertelnie blada i sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej, podczas kiedy Digory był raczej wściekły. Ale wydawało się, że mimo wszystko oboje nigdy nie odstąpią od czarnej owcy, za jaką Richard uchodził w rodzinie.

– Mogę udzielać informacji tylko członkom rodziny – oświadczył lekarz, ale nie przeszkadzało mu to, że Atamarie słuchała, kiedy informował rodziców o stanie Richarda.

– Ciężki wstrząs mózgu. I złamanie ręki. Ale wyjdzie z tego, nie ma obaw. A teraz jeszcze raz! Jak do tego doszło? Ta młoda kobieta wydaje się dość zmieszana... A może to kwestia języka? Ona jest Maoryską? W ogóle na nią nie wygląda.

Lekarz zmierzył Atamarie badawczym, ale i nieco pożądlivym spojrzeniem, a dziewczyna poczuła narastającą wściekłość. Znowu traktowano ją tak, jak gdyby jej w ogóle nie było albo jakby była najwyżej meblem. Spojrzała na lekarza ze złością.

– Jestem koleżanką ze studiów Mr Pearse'a – oświadczyła. – Studentką nauk inżynierskich na Canterbury College w Christchurch. I tak, to się stało w czasie próby startu aparatu latającego, który jest cięższy od powietrza. My...

– Niechże pan jej nie słucha, ta dziewczyna jest tak samo szalona jak mój syn – wszedł jej w słowo Digory Pearse i zwrócił się do żony: – Od razu ci mówiłem, że nie powinniśmy byli godzić się na taki konkubinat! Ale nie, mówiłaś, że lepiej, aby ludzie mówili, że prowadzi się z dziwką, niż gdyby mieli mówić, że jest wariatem. A teraz... Mamy jedno i drugie! Wkrótce nie będziemy mogli pokazać się w okolicy...! Ale od teraz będzie inaczej! Najpierw pani stąd zniknie, młoda damo, niewiele pani pomogła!

– Za kogo wy mnie macie? – spytała Atamarie, zbyt zdziwiona na to, aby się obruszyć.

Sarah Pearse zwróciła w jej stronę bladą, wynędzniałą twarz. Nie sprawiała wrażenia rozwścieczonej jak jej mąż, lecz raczej zrezygnowanej.

– Myślałam, że dzięki pani on z tym skończy – wyszeptała do Atamarie. – Dobry Boże, nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby chciał się z panią ożenić! Czy Maoryska, czy nie, i tak pani na nią nie wygląda. Gdyby on tylko... Gdyby on tylko był wreszcie normalny. Ale mój mąż ma rację. Przez

panią jest tylko jeszcze gorzej. Niech pani stąd wyjedzie, Miss Turei! I niech pani nie wraca! Lepiej, żeby on pani nigdy więcej nie zobaczył!

Atamarie dała się bez słowa sprzeciwu wyprowadzić ze szpitala. Wiedziała, że właściwie powinna się bronić, ale po przeżyciach ostatnich godzin brakowało jej na to sił i także jakoś – chęci. Mogłaby uporać się jakoś z tym, że tutejsi ludzie ją odrzucali, gdyby nie byli tak podstępni... Atamarie przypomniawszy sobie ich nieco wylewną uprzejmość, ale też uczucie, które miała od samego początku: akceptowano ją tylko dlatego, że mogłaby być przydatna. A rodzice Richarda nigdy nie zaakceptują syna takiego, jakim był. Ale ta świadomość, to zrozumienie, które dawniej było dla niej bolesne, teraz ją rozwścieczyło. A Richard także ją zdradził. Jego bezsensowna próba lotu, skazana z góry na niepowodzenie, miała na celu tylko pokazanie jej, że bez niej też sobie poradzi. Że jej nie potrzebuje, że jej zarzuty na temat jego życia robiły na nim równie małe wrażenie jak propozycje ulepszenia samolotu. On jej nie kochał, najwyraźniej jej nie kochał...

Atamarie ślepa od łez wybiegła na ulicę. Najchętniej wsiałaby od razu do pierwszego pociągu, ale musiała wrócić na farmę Richarda, w końcu były tam wszystkie jej rzeczy i pieniądze. Bilet będzie mogła kupić potem, ale w żadnym wypadku nie chciała przyjechać do Dunedin w tej znoszonej sukni do jazdy konnej, w której dziś najpierw nakarmiła wszystkie zwierzęta, potem pomagała Richardowi w warsztacie, a wreszcie zbierała z Maorysami ziemniaki. Powędrowała więc w kierunku miasta i ukryła się za rogiem, kiedy mijał ją wóz. W żadnym wypadku nie chciała spotkać się znów z Petersonem! Jeszcze teraz robiło jej się gorąco, kiedy myślała o jego obscenicznym geście.

Była późna noc, kiedy pieszo dotarła na farmę Richarda, gdzie najpierw wyprzęgła konie i zamknęła je do stajni. Zwierzęta uspokoiły się i przybiegły do domu, a teraz czekały przed drzwiami stajni na właściciela. Nie sprawiały wrażenia głodnych. Atamarie ze złośliwą radością pomyślała, że może napasły się w ogrodzie Joan Peterson, a nie gdzieś na łąkach Canterbury Plains. Za to ona sama czuła głód po długiej drodze.

Atamarie spojrzała na aparat latający, który wisiał na żywo płocie jak postrzelony ptak. Czy miała zabrać ze sobą przynajmniej plany jego konstrukcji, które sama wykonała? Ale jednak zdecydowała się je zostawić. Richard powinien sam walczyć o swoje, ona nie będzie szła z tym do Dobbinsa i wszystkiego mu ułatwiała. Z żalem zajrzała do warsztatu, kiedy w końcu spakowała wszystkie swoje rzeczy i przygotowała sobie jedzenie na długą drogę do Timaru. Była tu mimo wszystko tak szczęśliwa.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO DUCHÓW

AFRYKA

KARENSTAD

NOWA ZELANDIA

DUNEDIN, PARIHAKA

CHRISTCHURCH, TEMUKA

1902–1903

ROZDZIAŁ I

– No, ale przynajmniej nie jest łowcą posagów!

Uwaga Heather Coltrane zaskoczyła Atamarie. Ponieważ Roberta była od dawna w południowej Afryce, dziewczyna długo się zastanawiała, komu mogłaby powierzyć historię z Richardem. Z kimś jednak musiała porozmawiać, bo wydawało jej się, że oszaleje! W końcu zdecydowała się opowiedzieć o wszystkim swojej ciotce Heather i jej towarzysze życia Chloé. One obie z pewnością nie były pruderyjne, a już zwłaszcza Heather, która tyle podróżowała po świecie. I z pewnością jej nie przeklną, a może nawet znajdą wyjaśnienie, dlaczego Richard w stosunku do Atamarie zachowywał się właśnie tak. Liczyła się ze wszystkimi możliwymi reakcjami, tylko nie z tym, że Richard w oczach Heather znajdzie niemal łaskę.

– Ale jak on mógł? Ja... – Atamarie chciała zaznaczyć, że jeśli o nią chodzi, to przecież nie dysponowała jakimś szczególnym majątkiem, ale umilkła. Jej ciotka miała rację: z finansowego punktu widzenia Richard nie mógłby zrobić niczego lepszego, niż poprosić Atamarie o rękę! Atamarie nigdy nie myślała o pieniądzach, ale rzeczywiście – jej rodzina była zamożna. Nie tylko dzięki dziadkom i otoczonemu tajemnicą źródłu złota w potoku koło Elizabeth Station, nie mówiąc już o Lady's Goldmine. Bo także Kupe i Matariki byli majątni. Kupe zarabiał dobrze jako adwokat i poseł do parlamentu, a Matariki płacono za prowadzenie szkoły w Parihaka. Oboje wydawali niewiele, więc musieli mieć już odłożone spore sumy. Atamarie mogła zatem liczyć na solidny posag – i na finansowe wsparcie dla swoich badań. Kupe i Matariki wiedli życie mocno osadzone w tradycjach swojego ludu, ale nie byli tak ograniczeni jak Pearse'owie.

– Do cholery, to prawda, mogłabym mu pomóc!

Atamarie, zła na siebie, skubała machinalnie pasmo swych długich blond włosów. Nosiła je rozpuszczone – spływały falą na reformowaną suknię i jeśli miała być wobec siebie szczerą, cieszyło ją teraz to, że nie rzucała się w oczy tylko dlatego, że się modnie ubierała. Heather miała tego dnia na sobie zielone spódnicospodnie i odpowiednią do tego krótką kurtkę, Chloé zaś zdecydowała się na bardziej konwencjonalną, ale kolorową suknię w stylu *empire* o wyrafinowanym kroju. I słysząc ostatnie słowa Atamarie, przewróciła wymownie oczami.

– Całe szczęście, że ci to nie przyszło do głowy! – powiedziała sucho. – Lepiej nie myśleć, co by było, gdybyś jeszcze zaczęła go wspierać finansowo! Teraz przynajmniej wiesz, gdzie jesteś. Twój Richard nic sobie z ciebie nie robi. Zapomnij o nim i poszukaj sobie kogoś innego. Albo sama zbuduj samolot, jeśli wiesz, jak to zrobić. Nie potrzebujesz do tego mężczyzny!

Chloé zdecydowanie odrzuciła głowę do tyłu. Miała własne doświadczenia z łowcami posagów. Colin Coltrane, brat Heather i ojciec Atamarie, rozstał się przed laty z Matariki po to, aby poślubić Chloé z powodu jej pieniędzy. To ona właśnie sfinansowała jego hodowlę koni na Fiordlands. Nawet jej za to nie podziękował...

– Ale ja... Ja go potrzebuję. Już sama... sama jego energia, ja bez niego nigdy bym tego nie zrobiła. – Atamarie westchnęła.

A Heather w odpowiedzi się roześmiała.

– Też tak kiedyś myślałam, Atamarie – powiedziała po chwili. – Mój Richard nazywał się Swietłana. I pod pewnymi względami ona była dla mnie dobra. Bardzo mi przecież pomogła, dzięki niej dowiedziałam się, kim jestem i na co mnie stać. Ale tacy ludzie... Atamarie, traktuj ich jak swego rodzaju motory. Oni pomagają nam ruszyć samemu w świat. Ale jeśli za bardzo zaczniemy się na nich zdawać, za nimi się oglądać, to nas zniszczą. A twój Richard wydaje mi się w dodatku niesamowity –

mężczyzna, który niewiele śpi, którego wszyscy uważają za szalonego, który całymi miesiącami tkwi w bezruchu, a potem nie panuje nad własną namiętnością... Chloé ma rację, zapomnij o nim. Czy nie zamierzałaś pojechać do Parihaka? Zostało ci już niewiele czasu, twoje wakacje niedługo się skończą, prawda?

Atamarie w zamyśleniu skinęła głową. Richard jej nie opuścił. Była przekonana, że ich związek rozwinąłby się zupełnie inaczej, gdyby Richard wyjechał z Temuka. Może powinna na niego bardziej naciskać w tej kwestii. Może on musiałby stracić z oczu swoją farmę, aby zrozumieć, że bez rodziny w żadnym wypadku nie będzie samotny, lecz wręcz szczęśliwy.

– Trzy tygodnie to niewiele, jeśli wliczyć w to podróż tam i z powrotem – powiedziała po dłuższej chwili. – Ale mimo wszystko pojedę. Potrzebuję trochę „ducha Parihaka” po małomiasteczkowym zaduchu!

Chloé się roześmiała.

– Można też powiedzieć, że twoje duchy wystraszyły małe miasto. Już sam ten konkubinat! Mogłaś choćby pro forma wynająć jakiś pokój w hotelu. Albo rozstawić namiot czy też zamieszkać u Maorysów, czy coś...

Heather wzruszyła ramionami.

– Ach, ci wieśniacy i tak by się o tym dowiedzieli. Przestań się martwić, Atamarie! Jedź do Parihaka. Nie tylko z powodu duchów. Ta wieś jest pełna przystojnych młodych Maorysów. A jeden z nich pozwoli ci zapomnieć o Richardzie!

I następnego dnia Atamarie rzeczywiście wsiadła w pociąg, nie odwiedzając dalszych członków rodziny. Byłoby to bardzo przygnębiające. Wuj Patrick ciągle chyba opłakiwał Juliet – choć okazał się wspaniałym ojcem dla małej May. Sean i Violet Coltrane’owie mieli ciągle mało czasu. Bardzo się zaangażowali w akcje protestacyjne przeciwko wojnie burskiej. Wygłaszali płomienne przemówienia, przy czym Sean zwracał zasadniczą uwagę na imperializm Brytyjczyków, którzy nie cofali się przed niczym, aby umocnić swoje panowanie w kraju obfitującym w kopalnie złota, Violet zaś mówiła o biedzie i tragicznym losie kobiet osadzonych w obozach koncentracyjnych. Nie przysparzało jej to przyjaciół w narodowych organizacjach kobiecych. National Council of Women już rok wcześniej zdystansowała się od jej poprzedniczki Wilhelminy Sherriff Bain. Oboje Coltrane’owie na tyle długo zajmowali się polityką, że podobne przypadki ich nie przerażały. Violet przebywała obecnie w Christchurch, a Sean aż w Wellington. Wielebny Burton i Kathleen wspierali się nawzajem w swych pacyfistycznych działaniach, zbierając pieniądze dla fundacji Emily Hobhouse, dzięki czemu można było choć trochę złagodzić skutki nędzy i tragicznych warunków w obozach. A na wizytę u Lizzie i Michaela w Otago, co było jej pierwotnym zamiarem, Atamarie straciłaby jeszcze więcej czasu. Nie zawiadomiła więc swoich dziadków o przyjeździe, lecz od razu ruszyła z powrotem.

Serce Atamarie biło gwałtownie, kiedy pociąg wjechał na peron dworca w Timaru. Jakże chętnie dowiedziałyby się, jak się czuje Richard... Ale wysiąść i pytać o niego w szpitalu – to było nie do pomyślenia! A rany, które odniósł, nie zagrażały przecież jego życiu. Jeśli nie... Atamarie chciało się płakać, ale opanowała się. Następny krok – jeśli on w ogóle nastąpi – musi zrobić Richard.

– Kiedyś będziemy tędy latać – powiedziała Atamarie do zdumionej współpasażerki, kiedy następnego dnia znalazła się na promie pływającym między Wyspą Południową a Północną. – I podróż będzie szybka i bardzo wygodna! Na pewno będzie trwała tylko trzy albo cztery godziny i nikt nie będzie cierpiał z powodu choroby morskiej!

Słuchająca jej młoda kobieta rozmyślała nad czymś intensywnie, a potem potrząsnęła głową.

– Nie, tam na górze też będziemy cierpieć, ale nie z powodu choroby morskiej, tylko powietrznej – odpowiedziała i odwróciła się, chcąc odejść. – I można spaść... A nigdy jeszcze nie słyszałam o kimś, kto

utonął w Cieśninie Cooka!

– Ludzie się z tego śmieją! – stwierdziła Atamarie z goryczą, kiedy opowiadała o epizodzie z podróży swojej matce. Razem obserwowały, jak liczne kolorowe latawce unosiły się w niebo nad Parihaka. Ich widok znów kazał Atamarie wrócić do rozmyślań o lataniu. – Ależ piękne są te *manu*! Czy mi się wydaje, czy też one rzeczywiście jakoś lepiej unoszą się w powietrzu niż te, które budowano tu dawniej? A w ogóle: czy puszczanie latawców nie należy do ceremonii powitania Nowego Roku? Myślałam, że w innym czasie to *tapu*.

Matariki się roześmiała. Cieszyła się ogromnie, mogąc znów zobaczyć córkę – choć widziała, że jej nie całkiem udzielał się nastrój wakacji. Coś spowodowało, że Atamarie nagle przerwała swoje odwiedziny u Richarda. Matariki miała nadzieję, że córka później z nią o tym porozmawia.

– Ależ skąd – odpowiedziała teraz. – *Manu* można puszczać o każdej porze roku, jeśli tylko śpiewa się przy tym odpowiednie *karakia*. A już poza rozmową z bogami – dawniej robiono to regularnie, aby przekazywać sobie między szczepami wiadomości. Po śmierci założyciela Ngati Porou ludzie w Whangara ponoć wysłali w niebo *manu*, którego można było zobaczyć aż nad Wyspą Południową. Dlatego Tahu, brat Porourangis, protoplasta rodu Ngai Tahu, mógł go opłakiwać.

Atamarie popatrzyła na matkę nieco sceptycznie, ale nie skomentowała tej historii. Ona też słyszała o *manu*, które musiało trzymać trzydziestu mężczyzn. Ale czy to odpowiadało prawdzie? Pewnie można byłoby bez trudu wznieść się na czymś takim w powietrze.

– Mamy dziś święto latawców, ponieważ jest z nami znów Rawiri – powiedziała Matariki. – Wrócił ze swojej wędrówki po północy, gdzie studiował właściwie u każdego *tohunga* słynącego z umiejętności budowy *manu*. I teraz on sam uchodzi za *tohunga*, i w tym tygodniu będzie uczył dzieci we wsi. Dorosłych oczywiście też, jeśli tylko będą mieli na to ochotę. Też możesz wziąć w tym udział.

Atamarie skinęła głową z zainteresowaniem. Rawiri najwyraźniej dalej zajmował się sprawą latania i podchodził do tego całkiem poważnie. A może chodziło mu tylko o wysyłanie posłannictw do bogów? Atamarie już niezbyt dokładnie pamiętała, co on mówił wówczas, kiedy Richard wyciągnął go z wody, ale większość tego brzmiała jak jakieś spirytualne bzdury. Ale z drugiej strony – Rawiri też chciał latać! Z pewnością interesujące będzie, czego on się dowiedział i nauczył na temat formy i tych właściwości latawców, dzięki którym one latają. Atamarie nie do końca była przekonana, czy kształt maszyny latającej Richarda był właściwy.

Oczy Rawiri rozbłysły, kiedy Atamarie powitała go wieczorem i zgłosiła się do niego jako uczennica. Ona sama tego nie zauważyła – interesowała się przede wszystkim formą latawców, które dzieci wysyłały do gwiazd, aby przekazać bogom swoje posłannictwa. Atamarie skrzywiła lekko usta, kiedy młody *tohunga* na jej pytanie o to właśnie całkiem poważnie zwrócił uwagę na śpiewanie odpowiedniego *karakia*.

– Jak gdyby przez to można było zmieniać prawa natury! – powiedziała potem Atamarie do matki. – Jeśli latawiec ma odpowiednią formę aerodynamiczną, to polec. Jeśli nie, to nie.

Matariki się roześmiała.

– Rawiri na pewno wie o tym równie dobrze jak ty. Ale spójrz na to inaczej: *karakia* służą do tego, aby przypomnieć nam o prawach natury i podziękować jej za to, że nas wspiera, ale i wyznacza granice.

– Jednak te prawa natury chcemy właśnie przewyciężyć – mruknęła Atamarie.

Matariki strofująco potrząsnęła głową.

– Dopiero co powiedziałaś, że to niemożliwe. I tak rzeczywiście jest, natury nie możesz pokonać. Ale możesz ją lepiej pojąć i wykorzystać jej prawa. I tu pomaga rozmowa z bogami, którą prowadzisz w myślach – wszystko jedno, czy wysyłamy w niebo *manu*, czy odmawiamy modlitwy, kiedy na

przykład zbieramy lecznicze zioła. I tak jest dobrze, Atamarie, Rawiri wie, co robi. Zaufaj mu!

Ale Rawiri w żadnym wypadku nie był aż tak pewny siebie – i tej nocy prosił bogów nie o błogosławieństwo dla swojego latawca, lecz raczej o pośrednictwo między nim samym a Atamarie. Nie wiedział, czy ma traktować jako przypadek, czy też jako prezent bogów fakt, że ona naprawdę wróciła, aby uczyć się sztuki budowania *manu*, ale wiedział, że ją kocha. Kiedy tylko spojrzał na jej lśniąca włosy i mądrą, piękną twarz, czuł owo ciepło w piersiach, którego doznał wtedy, przy owym nieudanym locie zakończonym w wodzie. Od tej chwili nosił w sercu jej obraz, a do jego marzenia o lataniu dołączyła myśl o tym, aby kiedyś uczynić ją szczęśliwą. Wszystko, co Rawiri robił od tego dnia, nosiło ten znak. Chłopak szybko zrozumiał, że eksperymenty z samodzielnie zbudowanym latawcem przestaną mu wystarczać. Chciał się uczyć u najlepszych budowniczych, musiał zostać *tohunga*, jak Atamarie! Bo o ile zrozumiał swoją matkę i tych mężczyzn, z którymi ona była wtedy w Parihaka, Atamarie była *tohunga*. Uczyła się wiedzy *pakeha* – a Rawiri chciał jej teraz podarować mądrość Maorysów. Od dawna wiedział już, jak się buduje *manu* i jak należy nimi sterować – z dwoma albo z czterema sznurkami. Słyszał też o wielkiej tradycji swojego ludu: budowania i puszczania olbrzymich latawców. I zgodnie z tym, co mówił jeden z jego nauczycieli, budowano dawniej olbrzymie *manu*, na których mężczyźni mogli wznosić się w powietrze i tańczyć z wiatrem...

Rawiri nie mógł się doczekać odwiedzin Atamarie w jego warsztacie. Rankiem, jeszcze zanim rosa zaczęła padać na trawę, przygotował liście *raupo* i korę drzewa *aute*, jak też drewno *manuka* i *kareao*, z którego miał być wykonany stelaż. Najpierw jednak zjawilo się kilkoro dzieci, aby sklejać razem z nim przeróżne *manu*. Rawiri pochylał się nad ich pracami i nie zauważył, kiedy do warsztatu weszła Atamarie. Aż podskoczył, kiedy usłyszał jej głos.

– Jastrząb, skrzydło i kanu – skomentowała Atamarie formy latawców. – Który będzie latał najlepiej?

Podniosła jeden *manu pakau* i przyjrzała mu się krytycznie.

– Powierzchnia szybująca płaskiego latawca jest zupełnie inna niż na przykład...

– To wiatr przekazuje *manu* swoją siłę – wyjaśniał łagodnie Rawiri. Nie patrzył przy tym na wspaniałe latawiec w formie skrzydła, lecz na Atamarie, bo tego ranka wydała mu się szczególnie piękna. Jej rozpuszczone włosy spływały falą na tradycyjną, tkaną bluzeczkę w barwach Parihaka, która znakomicie pasowała do szerokiej zielonej spódnicy.

– Wiatr przekazuje swą siłę każdemu latawcowi. Ale *manu* nie zabiera wiatrowi mocy, lecz pozwala, aby ślizgała się ona po jego skrzydłach. *Manu* tańczy na wietrze albo wiatr go wznosi.

– On leży na prądzie powietrznym albo wykorzystuje podciśnienie nad powierzchnią szybującą. – Atamarie przetłumaczyła to na język nauki. – I o tym ostatnim chcę się dowiedzieć jak najwięcej, bo to jest nam potrzebne do budowy samolotów. Budowa skrzynkowa jest bardzo interesująca, latawce składają się przecież z różnych kwadratów, jak mi się wydaje, prawda? Dzięki temu zyskują stabilność.

Rawiri patrzył nieco skonsternowany, Atamarie zaś, widząc to, uśmiechnęła się przepraszająco.

– No tak, przecież to wszystko jedno, jak to nazwiemy – powiedziała w końcu. – Pokaż mi po prostu, jak to się robi!

Słuchała uważnie wyjaśnień Rawiri, choć on nie mówił niczego, co byłoby dla niej nowe. W gruncie rzeczy mogłaby już zbudować latawiec, gdyby tylko miała do dyspozycji prototyp. Ale słuchanie głosu Rawiri sprawiało jej przyjemność – był melodyjny, miękki i przypominał trochę głos Richarda. Choć co prawda zdania, które wypowiadał w czasie pracy Richard, były krótkie i miały osobliwy rytm staccato, podczas kiedy wyjaśnienia Rawiri brzmiały jak pieśń, którą śpiewał latawcowi. Ale jednak... Atamarie pozwalała, aby ją to kołysało, i po chwili czuła się prawie tak samo jak w warsztacie na farmie Richarda.

Latawiec Atamarie był gotowy wieczorem – co zdaniem Richarda albo profesora Dobbinsa z pewnością zasługiwałoby na pochwałę, ale Rawiri wydawał się rozczarowany. Bo choć posłuchała jego rad w kwestii techniki, to jednak zignorowała spirytualną stronę budowy latawca. Młody *tohunga* przekazywał jej też tradycyjne śpiewy, medytacje i zawołania związane z każdym etapem pracy. Duchy wiatrów i chmur chciały, aby je zaklinać, wcześniej odwoływano się do siły boga ptaków i błagano o jego błogosławieństwo.

– To przecież służy tylko temu, aby poczekać, aż klej wyschnie – mruzczała Atamarie. – A liście drzewa *raupo* znów urosną, bez względu na to, czy łaskawie zgadzam się z duchami jakiegoś krzaka czy nie.

– Ale tu chodzi o zasadę – stwierdziła Matariki i zaśpiewała cicho słowa *туру manu*, podczas kiedy Atamarie szykowała swój latawiec do lotu: „Leć ode mnie daleko, mój ptaku, tańcz na wysokościach, spadaj jak jastrząb na swoją zdobycz...”.

– Przecież to jest takie piękne, Atami!

– To jest kwestia kierunku prądu powietrza wobec powierzchni latawca – zauważyła Atamarie. – A tańczyć to on nie powinien, bo wpadnie w korkociąg. Pomóż mi, Rawiri... jak myślisz, czy nie powinnam zrobić jeszcze szerszych skrzydeł? Żeby był bardziej stabilny?

Atamarie zdecydowała się na formę latawca zwanego *birdman* – z czystego sentymentu, ponieważ tak Maorysi nazywali Richarda, ale także dlatego, że najbardziej przypominał szybowce *pakeha* oraz napędzany silnikiem przyszyły samolot Richarda.

Matariki przewróciła oczami, ale stwierdziła z zadowoleniem, że Rawiri nie dał się zniechęcić brakiem duchowości Atamarie. Dalej odmawiał swoje modlitwy, ale też słuchał z zainteresowaniem naukowych wywodów Atamarie.

– No widzisz – stwierdził, kiedy wreszcie oboje wypuścili swoje latawce, aby wypróbować diskutowaną przedtem pozycję wagi. – Jeśli *manu* stoi dumnie wyprostowany i rozmawia z człowiekiem, to nie potrzeba więcej siły, aby go utrzymać bez wnoszenia się. Zupełnie jak mężczyzna, który chwali się swoim *mana*, mimo że nie ma boskiego błogosławieństwa. Jeśli *manu* podda się wiatrowi i z szacunkiem pochyli się przed duchami, to szybko się wznosi.

Atamarie chwyciła się za głowę.

– Powiedz lepiej tak: jeśli waga utrzymuje latawiec w pozycji pionowej, to tym większa jest siła wznoszenia. Jeśli latawiec leży płasko, to wzrasta siła wyporu.

Matariki, która siedziała w warsztacie razem ze swoją przyjaciółką Omaką, roześmiała się.

– Każdy mówi swoje modlitwy we własnym języku – zauważyła.

Omaką przytaknęła.

– Ale ci dwoje – wskazała na Rawiri i Atamarie – bez wątpienia zwracają się do tego samego boga.

Atamarie cieszył dzień spędzony z Rawiri, pozwoliła też, aby towarzyszył jej wieczorem, kiedy wszyscy zasiedli przy ogniskach. Rawiri flirtował z nią, przynosił jej napoje i jedzenie i z każdym łykiem whisky jego patetyczne komplementy coraz bardziej poruszały serce Atamarie. I w końcu młody *tohunga* nie tylko wiedział, jak prowadzić w powietrzu latawce i jakimi słowami przypochlebiać się bogom, lecz zachwycał się też złotymi włosami Atamarie, porównywał jej oczy do ciemnych bursztynów i podziwiał jej szczupłe dłonie o długich zręcznych palcach.

– Musisz poprowadzić mój latawiec. Twoje palce będą z nim rozmawiać, kierować nim i wyślą go do świata bogów. I wtedy on przekaze im moje życzenie – abys ktoregos dnia dotknęła także mnie i poprowadziła mnie do krainy miłości...

W innych okolicznościach Atamarie być może by się wzruszyła, oparła głowę na ramieniu wielbiciela, towarzyszyłaby mu na spacerze przez okoliczne wzgórza i pozwoliła na pocałunek. A może

nawet zdecydowałyby się na miłość z nim, w końcu przecież nie była już dziewicą. Nie było niczego, co chciałyby zachować dla kogoś innego, a pieszczoty Richarda sprawiły, że pragnęła ich jeszcze bardziej. Ale po doświadczeniach w Temuka Atamarie była nieufna. Rozsądek mówił jej, że Rawiri nie potraktowałby jej jak dziewczyny lekkich obyczajów, która podarowała mu kilka nocy. Maoryskie kobiety nie czekały do nocy poślubnej, aby zakosztować miłości, a zanim się zdecydowały w obecności całego szczerpu na któregoś z mężczyzn, nikt od nich nie żądał monogamii. Ale zachowanie mieszkańców wsi na wyżynie Waitohi zawstydziło Atamarie i uraziło ją. Nie, nikt już nie miał sądzić, że ona oddaje się każdemu, kogo naprawdę nie kocha. A jej stosunek do Rawiri był daleki od miłości. I tak było nadal, mimo że Rawiri w następnych dniach wyraźnie zalecał się do Atamarie. Choć w pewnym sensie stali się sobie bliżsi – razem budowali kolejne latawce i badali zachowanie różnych form *manu* podczas szybowania – kiedy Rawiri chciał dotknąć Atamarie, dziewczyna cofnęła się gwałtownie.

– Przykro mi – powiedziała ostatniego wieczoru swojego pobytu w Parihaka. Dzięki chwilom spędzonym z Maorysami odzyskała na tyle spokój i równowagę, że mogła porozmawiać z Rawiri o jego bezskutecznych staraniach. – Ale byłam przez jakiś czas z mężczyzną *pakeha* i nie mogę zapomnieć Richarda. On... ja... bardzo dużo nas łączyło, chcieliśmy... po prostu nie mogę jeszcze zacząć czegoś nowego.

Rawiri skinął głową.

– Chcieliście latać – powiedział ze zrozumieniem. – Ty chciałaś z nim latać. Zdobywać niebo. A ja nawet nie mówię dobrze twoim językiem. Ale nauczę się go, Atamarie.

Wskazał na egzemplarz „Scientific American Magazine”, który pożyczyła mu Atamarie i który on z całą powagą bardzo uważnie studiował.

– Nauczę się budować *manu* zgodnie z twoim sposobem i poproszę bogów o zaproszenie, abym mógł dzielić z nimi niebo – uśmiechnął się szelmowsko. – Będę konkurować z twoim *pakeha*, Atamarie, i zobaczymy, czyje aeronautyczne konstrukcje... – wymówił to słowo, wzięte zapewne z czasopisma, bardzo powoli i starannie – ...znajdą łaskę w oczach duchów...

Atamarie nie do końca zrozumiała, co on miał na myśli, ale kiedy dzień później wsiadała do pociągu, ciągle miała przed oczami jego roześmianą twarz, otoczoną długimi czarnymi włosami.

ROZDZIAŁ 2

Wiadomość o likwidacji obozów koncentracyjnych rozeszła się w Karenstad lotem błyskawicy. Towarzyszyła jej radość – ale i lęk przed przyszłością. Wiele kobiet spotkał taki sam los jak Doortje – wiedziały, że po powrocie na swoją ziemię nie zastaną tam męża czy ojca. Ani też domu. Cornelis obawiał się w dodatku pogardy swoich sąsiadów – domyślał się, że niewielu mężczyzn z jego oddziału przeżyło wojnę i że wszyscy wezmą mu za złe to, że on wyszedł z niej prawie bez szwanku. Już prawie nie kulał, rana na jego nodze zagoiła się zupełnie. I nie było też żadnego pilnego powodu, aby wracał do wsi – wprawdzie dziedziczył dwór i ziemię swego ojca, ale Cornelis nie czuł powołania do farmerstwa. Jednak młody Bur wahał się pomiędzy poczuciem obowiązku a pragnieniem poszukiwania innego życia: jego matka przeżyła i uważała za oczywiste to, że syn odbuduje farmę, poszuka sobie żony i może weźmie do domu dalszych starszych krewnych.

Ta perspektywa przerażała Cornelisa – chciał najpierw poszukać sobie jakiejś posady, może właśnie jako tłumacz, zarobić trochę pieniędzy i skończyć college. Może byłyby to wymarzone studia na wydziale weterynarii. W tym pomysle wspierała go Daisy – choć co prawda wołałaby, aby został lekarzem, a nie weterynarzem. Bo ku ogólnemu zdziwieniu dziewczyna odwzajemniała jego sympatię – nikt się nie spodziewał, że ta pełna życia i energii kobieta zakocha się w takim cichym, ciągle wahającym się mężczyźnie, mającym skłonność do popadania w głęboką zadumę. Ale Daisy najwyraźniej się podobało, że to ona trzyma cugle w rękach, i sterowała Cornelisem łagodnie, ale zdecydowanie.

– Mogę nawet pomyśleć o tym, czy nie mogłabym tu zostać – oświadczyła mu któregoś dnia. – To piękny kraj. Ale na weldzie nie chciałabym mieszkać, myślę raczej o którymś z miast. Możesz wybrać, Cornelisie: albo jedziesz ze mną do Kapsztadu, Johannesburga czy też Pretorii, albo z twoją matką na farmę, gdzieś na weld!

Daisy zalotnie odgarnęła kosmyk czarnych włosów, który wymknął się spod jej pielęgniarzkiego czepka. Nikt nie miał wątpliwości co do decyzji Cornelisa, nikt – oprócz Doortje van Stout.

Doortje obserwowała starania Cornelisa o młodą pielęgniarzkę z rosnącą nieufnością, ale mimo wszystko nie traktowała tego poważnie. I w głębi ducha sama snuła plany małżeńskie. Mimo nieśmiały, rodzących się w niej uczuć do Kevina Drury'ego, jeśli patrzyła na swoją przyszłość realistycznie, to w grę wchodziło tylko małżeństwo z Cornelisem. Z punktu widzenia młodej kobiety, i bez wątpienia także jego rodziny i Kościoła, taki krok byłby dla nich obojga bardzo wskazany: Doortje miałyby jakieś utrzymanie, a Cornelis mógłby zdecydować, czy chce odbudować jej, czy też swoją farmę. Dawna farma van Stoutów była wprawdzie bardziej ustronnie położona, za to bliżej Wepener, które z pewnością stanie się znów centrum agrarnym, kiedy Anglicy się wycofają. Nikt nie znał tam bliżej Cornelisa i nikt też nie zarzucałby mu tchórzostwa. Mógłby stać się cenionym członkiem społeczności religijnej i na pewno objąć któryś z urzędów kościelnych.

A Doortje zapomniałaby szybko o Kevinie Drurym i byłaby dobrą żoną dla swojego kuzyna. Ze swoją ciotką Jacobą jako teściową też mogłaby wieść zgodne życie, w końcu matka Martinusa także była kobietą władczą i apodyktyczną i Doortje była przygotowana na wejście do tamtej rodziny. Dla burskiej dziewczyny była to rzecz oczywista – na prawie wszystkich farmach mieszkało razem kilka pokoleń i nikt się z tego powodu nie uskarżał. Samotnych kobiet w społeczeństwie południowej Afryki nie było – Cornelis miał także zobowiązania wobec swojej kuzynki. Gdyby on i jego rodzina nie przyjęli jej do swego domu, Doortje praktycznie nie miała przed sobą żadnej przyszłości.

Ale wówczas się wydało, że Cornelis zamierzał po prostu zdezerterować – jak tchórz. Doortje była

właśnie w szpitalu i myła strzykawki, kiedy Daisy radośnie opowiedziała o swoich zaręczynach. I w ogóle nie zwróciła uwagi na dziwne milczenie swej pomocnicy – za to doktor Greenway pogratulował jej uprzejmie.

– A ten pomysł z weterynarią też mu jeszcze wyperswaduję – paplała wesoło Daisy. – Może przecież zostać prawdziwym lekarzem, wtedy otworzymy razem gabinet albo będziemy pracować w szpitalu!

Daisy w żadnym wypadku nie myślała o rezygnacji ze swojego zawodu. Wręcz przeciwnie: gdyby Cornelis miał wkrótce zacząć studia, ona musiałaby w pierwszych latach zarabiać pieniądze. Dla burskich kobiet takie rozwiązanie było nie do pomyślenia. A Doortje... zakręciło jej się w głowie, kiedy pomyślała o konsekwencjach, jakie niosły ze sobą zwierzenia Daisy. Błada jak kreda upuściła tacę ze strzykawkami, zwracając w ten sposób na siebie uwagę doktora Greenwaya i obu pielęgniarek. Wszyscy popatrzyli na nią z zaskoczeniem, kiedy szkło rozbiło się na podłodze.

– Ale tak przecież nie może być – wyjąkała Doortje. – On przecież wie, że ja... On jest przecież...

Doortje chciała powiedzieć coś o zobowiązaniach jej jedyne go krewniaka, ale wtedy zrobiło jej się czarno przed oczami. Zachwiała się i osunęła na podłogę, w ostatnim przebłysku świadomości niemal ciesząc się z zapomnienia, które podarowała jej utrata przytomności.

Powrót do niej miał się okazać jeszcze bardziej przerażający.

– Siostró Daisy, o ile dobrze interpretuję to, co chciała powiedzieć Miss van Stout... I o ile jest mi bardzo przykro, ale... Czy to pani narzeczony jest ojcem tego dziecka?

Doortje, odzyskując powoli świadomość, słyszała głos doktora Greenwaya, jak gdyby dobiegał z bardzo daleka. Dziecko? Ta Angielka była już w ciąży? Doortje jęknęła. Jeśli Daisy jest w ciąży, niczego nie będzie już można cofnąć, wówczas Cornelis rzeczywiście z nią odejdzie, wtedy...

Ale Daisy zaprotestowała z oburzeniem.

– Nigdy, doktorze Greenway! Na pewno nie! Gdyby cokolwiek było między nią a Cornelisem, to wiedziałabym o tym. A ona w dodatku ciągle jest na niego zła.

Doortje się zdziwiła. O kim oni rozmawiali?

– Może z powodu nieudanego... hm... związku? – snuł swoje przypuszczenia doktor Greenway.

– Ależ skąd!

Doortje poczuła, że Daisy poprawia coś przy jej łóżku. Czy dostała jakiś zastrzyk, kiedy była nieprzytomna? Czy była chora? W każdym razie zemdląca, tego była pewna. Musiała... Gdyby tylko nie czuła się taka słaba...

– I sam pan przecież mówił, że ona jest już mniej więcej w szóstym miesiącu. Czy Cornelis jest tu już tak długo? Ale jak mogliśmy tego nie zauważyć? I dlaczego ona utrzymywała to w tajemnicy?

Doortje zebrała wszystkie siły i otworzyła oczy. Spróbowała się podnieść, ale doktor Greenway łagodnie przytrzymał ją w łóżku.

– Proszę leżeć, Miss van Stout. Proszę odpocząć, musi pani myśleć o swoim dziecku.

Doortje mimo wszystko poderwała się i usiadła.

– O czym?!

– Nie mogę uwierzyć, że tego nie zauważyliśmy.

Kevin chodził niespokojnie po swoim pokoju. Doktor Greenway opowiedział mu właśnie o ciąży Doortje.

– Piąty albo szósty miesiąc...

Greenway otworzył butelkę whisky.

– Niechże się pan uspokoi, Drury, ta młoda kobieta sama o tym nie wiedziała. Myślę, że możemy jej uwierzyć, widziałem, była naprawdę zaskoczona. Tu kobiety, w tej ciasnocie w namiotach, prawie się nie rozbierają. A poza tym spuchnięte brzuchy przy takim niedożywieniu to nic nadzwyczajnego.

Z tego samego powodu może zaniknąć menstruacja, ale o tym pan wie. Nie mamy sobie nic do zarzucenia. Zwłaszcza że żaden z nas nie jest ojcem.

Kevin prychnął.

– Tym razem nie – zauważył i wypił duży łyk whisky. – Ale ojcostwo jest chyba jasne, Greenway... jeśli pamięta pan, w jakim stanie te kobiety tu wtedy przyjechały, Doortje i Johanna... Wiem, odmówiły badania ginekologicznego, ale nie było wątpliwości, że zostały zgwałcone...

Greenway chwycił się za głowę.

– Rzeczywiście... A ja, idiota, podejrzewałem o to narzeczonego siostry Daisy!

Nalał sobie znów whisky.

– Ale to dodatkowo utrudnia sprawę. Już... dziecko miłości... i tak skomplikowałyby życie Miss van Stout. Ale teraz... Owoc gwałtu...

Kevin potarł czoło.

– Jest teraz ktoś przy niej? – spytał. – Żeby sobie czegoś nie zrobiła.

Greenway skinął głową.

– Tak, jest Miss Fence – odpowiedział. – Poleciliśmy ją sprowadzić. Siostra Daisy też byłaby do dyspozycji, ale... jej relacje z Miss van Stout... są teraz raczej trudne. Zdaje się, że ona chce wyjść za mąż za Cornelisa.

Kevin zatrzymał się gwałtownie.

– Doortje chce wyjść za mąż za Cornelisa Pienaara...? Kto to panu powiedział?

Greenway wzruszył ramionami.

– Mrs Vooren, pomocnica pielęgniarek. Wie pan, to ta młoda burska dziewczyna, która jeszcze nie ma dwudziestu lat, a już ma troje dzieci. Bardzo bystra kobieta i nie taka zaciętrzewiona jak pozostałe. Miss van Stout doznała zapaści krążeniowej, kiedy siostra Daisy opowiadała o swoich zaręczynach, i zacząłem się zastanawiać, czy to ma jakiś związek. I Mrs Vooren to potwierdziła. Dlatego też tak zakładałem... Ale tu chodziło raczej o kwestię utrzymania, a nie o miłość.

Kevin odstawił szklankę na stół.

– Pójdę do niej – powiedział zdecydowanie. – Musi być zrozpaczona. Może... Może będę mógł pomóc.

Udawał, że nie dostrzega pytających spojrzeń Greenwaya, kiedy szedł do drzwi, ale w ostatnim momencie odwrócił się i chwycił album o Nowej Zelandii, który ostatnio czytała Doortje.

– Może w ten sposób odwrócę jej uwagę...

Greenway się uśmiechnął.

– No to powodzenia, Drury!

Było już ciemno, kiedy Kevin przyszedł do szpitala, ale sale chorych oświetlone były lampami naftowymi. Jedna z nich świeciła w oddzielnym pomieszczeniu, w którym leżała Doortje. Roberta siedziała obok łóżka i czytała jakąś książkę.

– Nie zepsuj sobie oczu przy tym mdłym świetle – powiedział Kevin przyjaźnie.

Roberta popatrzyła na niego, a jemu przez głowę przemknęła nieśmiała myśl, jak ładna była ta poważna, młoda dziewczyna. Ale kiedy zobaczył na poduszce szczupłą twarz Doortje w burzy jasnych włosów, zapomniał o Robercie. Pierwszy raz widział Doortje bez czepka i był oczarowany miękkością jej rysów. Doortje miała zamknięte oczy, ale była pełna napięcia.

– Czy ona śpi? – spytał z powątpiewaniem.

Roberta potrząsnęła głową.

– Nie – odpowiedziała. – Nie chce rozmawiać. Nie chce też uwierzyć. A przecież... Czy można nie zauważyć, że się jest w ciąży?

Kevinowi się wydało, że rysy twarzy Doortje drgnęły. Przemógł się.

– Tak, Roberto, to może się zdarzyć. Zwłaszcza w tych okolicznościach. A ja... ja zostanę przy niej. Czy byłabyś tak miła i mogłabyś zostawić nas samych?

Roberta poczuła dawny ból. Kiedy powiedziano jej o ciąży Doortje, doznała wręcz uczucia triumfu, choć się tego wstydziła. Doortje była w ciąży z kimś innym. Będzie więc dalej odtrącała Kevina. A on zapomni o niej albo poszuka sobie jakiejś pociechy. Roberta czuła się winna wobec Vincenta, w końcu od jakiegoś czasu robiła mu nadzieję, ale gdyby Kevin jednak zwrócił na nią uwagę, bo Doortje będzie raz na zawsze nieosiągalna... Roberta nie chciała od nowa snuć daremnych marzeń, była zdecydowana zabić w sobie uczucia, jakie żywiła wobec Kevina.

Wstała.

– Oczywiście – odpowiedziała sztywno. – Mogę przyjść potem.

Wyszła z pokoju, ale zatrzymała się za zamkniętymi drzwiami. Jej serce biło gwałtownie, a ona wstydziła się tego, że podsłuchuje. Ale musiała wiedzieć, co ma robić.

Doortje otworzyła oczy, kiedy Kevin został z nią sam.

– Pan... mi wierzy? – spytała niepewnie.

Kevin skinął głową.

– Powiedziałem pani, że może mi pani zaufać i że ja chcę ufać pani. A więc: wierzę, że nie wiedziała pani o tej ciąży. Ale co to za nonsens z Cornelisem Pienaarem?

Kevin przysunął krzesło bliżej łóżka Doortje. Musiał się opanować i powstrzymać chęć odgarnięcia jej włosów z twarzy. Jakże chętnie dotknąłby jej, spróbował jakoś pocieszyć... Ale nie wolno mu było ryzykować, że ona znów go odtrąci.

– Cornelis nie jest ojcem – odparła Doortje sztywno. – Proszę powiedzieć to siostrze Daisy, nie ma powodu, aby w niego wątpić.

Kevin potrząsnął głową.

– Oczywiście, że nie, Doortje, pani i ja wiemy, jak doszło do poczęcia tego dziecka. I jest mi bardzo, bardzo przykro z tego powodu. Ale teraz musi pani podjąć jakąś decyzję. Co pani zamierza? Jak będzie wyglądać pani przyszłość, teraz, z dzieckiem?

– Ja nie chcę tego dziecka! – Doortje usiadła. – Nie chcę go mieć!

Zagryzła gwałtownie wargi i zacisnęła pięści. Każda kobieta w jej sytuacji wybuchnęłaby płaczem, ale Doortje sprawiała wrażenie rozgniewanej i zdecydowanej na wszystko.

– Nie wydam go na świat, ja... – urwała.

Kevin bardzo ostrożnie położył rękę na jej dłoni, aby odwieść ją od myśli zabicia tego dziecka.

– Nie chodzi o to, czy chce pani wydać je na świat – powiedział łagodnie. – Ono już jest, nie może pani niczego zmienić. Gdybyśmy to wcześniej zauważyli... wtedy... wtedy być może moglibyśmy sprowokować poronienie. Ale teraz... Ono rośnie w pani już sześć miesięcy, Doortje. To jest mały człowiek, ma rączki, nóżki, usta, oczy. Właściwie powinno się już poruszać. Nie czuje pani jego ruchów?

Doortje z niechęcią skinęła głową. Dotychczas jej się wydawało, że to po prostu burczenie w brzuchu.

– A więc widzi pani. Ono za trzy miesiące przyjdzie na świat. I będzie tak samo piękne jak pani, Doortje...

– Jego ojciec to potwór! – wyrwało się Doortje.

– Ale jego matka jest piękna jak anioł – odpowiedział Kevin. – A więc to się wyrównuje. Będzie je pani kochać, Doortje.

– Będę je nienawidzić! Zaniosę je na weld i zostawię sępom na pożarcie!

Kevin potrząsnął głową.

– Tego zabrania pani Bóg, Doortje – przypomniał jej. – Proszę pamiętać, co mówi Biblia: nie zabijaj.

Doortje roześmiała się ze złością.

– Ośmiela się pan mi to wypominać? Tu, w tym obozie? W czasie tej wojny?

Kevin wzruszył ramionami.

– Dziecko nic na to nie poradzi. A my oboje... Czyż nie uzgodniliśmy, że nie będziemy wrogami?

– Ono i tak umrze z głodu – odparła Doortje obojętnie. – Nie przyjmie go żadna rodzina, mnie też nikt nie zechce. Mogę spróbować sprzedać farmę – albo raczej to, co z niej zostało. Z tymi pieniędzmi mogę pojechać do miasta, ale to na długo nie wystarczy...

– Gmina pani nie pomoże?

Kevin spytał o to, choć znał odpowiedź. Żadna purytańska gmina nie wspierała upadłych dziewcząt. Bez względu na to, czy kobieta była winna sytuacji, w jakiej się znalazła, czy nie. Doortje potrząsnęła głową.

– Niech się pan nie trudzi, doktorze Drury – odpowiedziała twardo. – Mam przed sobą tylko dwie możliwości. Mogę iść do rzeki tak jak Johanna albo żyć dalej jako dziwka, którą uczynili ze mnie Brytyjczycy. Są przecież takie... takie miejsca w Pretorii... – Na jej bladej twarzy pojawił się rumieniec.

Kevin nie mógł już dłużej wytrzymać.

– Może pani pojechać ze mną do Nowej Zelandii – powiedział zachrypniętym głosem. – Jako... jako moja żona. Kocham panią, Dorothea, Doortje, Miss van Stout. – Uśmiechnął się, może po to, aby dodać sobie odwagi. – Właściwie powinna się pani tego domyślać. W każdym razie nie ma niczego, czego pragnąłbym bardziej niż... poślubić panią.

Doortje patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Z tym... dzieckiem? – spytała zduszonym głosem.

Kevin skinął głową.

– Oczywiście. Będzie dorastało jako nasze dziecko. – Pomyślał nieśmiało o Juliet i poczuł wyrzuty sumienia w stosunku do Patricka. – Jeśli się natychmiast pobierzemy, nikt nie będzie o niczym wiedział. Uznam to dziecko za swoje i będę je kochał.

– Kochać to dziecko? – Doortje niemal wypluła te słowa. – To...? Płód tego potwora?

Kevin wziął jej rękę w swoje dłonie – była zimna i bardzo delikatna, mimo stwardnień po wielu latach pracy w stajni, na polu i w kuchni. Nie można jej było porównać z pięknymi rękami Juliet o długich, wypielęgnowanych palcach.

– Powiedziałem już pani, Doortje. Miłość nie ma nic wspólnego z tym, jak ktoś wygląda. Dla mnie to dziecko będzie piękne, już choćby dlatego, że będziesz się do niego uśmiechać, trzymając je w ramionach.

– Ono nie będzie miało nic wspólnego ze mną! – odparła Doortje przekornie. – To będzie Anglik. Będzie dorastało jako Anglik, Anglik jak jego przeklęty ojciec. – W oczach Doortje znów błysnęła nienawiść.

Kevin westchnął.

– Jako Nowozelandczyk – poprawił. – I jeśli o mnie chodzi... – musiał niemal pokonać samego siebie, aby złożyć jej tę propozycję, ale Doortje była tego warta, dla niej zrobiłby wszystko – ...jeśli o mnie chodzi, możemy mieszkać na farmie. Wiesz, że moi rodzice mają farmę koło Lawrence, w Otago. To bardzo piękne miejsce. Wprawdzie nie jestem rolnikiem, ale mógłbym otworzyć gabinet w mieście. I wówczas dziecko dorastałoby na wsi, tak jak ty.

Doortje gwałtownie potrząsnęła głową.

– Ono nie będzie Burem! – powiedziała ze złością. – Ono nie może być Burem!

Kevin z trudem zmusił się do cierpliwości.

– To prawda, nie może być – odparł. Nie tak gwałtownie, ale jednak za szybko. Nie zdołał przed nią ukryć faktu, że wcale tego nie żałował. Kevin zakochał się w Doortje, ale cały czas nie darzył sympatią jej narodu. Doortje wiedziała o tym i milczała zacięcie. Spróbowała wysunąć rękę z jego dłoni, ale on, zanim ją uwolnił, podniósł ją do ust. – Zastanów się, Doortje – powiedział cicho, kładąc na łóżku książkę o Nowej Zelandii. – Nie jestem Burem i nasz syn też nim nie będzie. Jego ojczyzną nie będzie Afryka i nikt nie będzie mu mówił, że jest z narodu wybranego, czy co tam wy opowiadacie dzieciom. Ale Nowa Zelandia to piękny kraj, a jego babka zna o nim wiele opowieści i legend. Będzie mu opowiadała o Rangi i Papa, o ich wielkiej miłości i o Maui, który chwycił olbrzymie ryby i chciał pokonać śmierć. A kiedy na niebie ukażą się Plejady, wypuścimy w niebo latawce. Mogłoby być pięknie, Doortje. Zastanów się.

Doortje nie odpowiedziała, ale też nie odwróciła się. Powoli położyła rękę na książce.

Przed drzwiami Roberta wycierała łzy z twarzy. Bez względu na to, czy Doortje odpowie tak czy nie, Kevin nigdy nie będzie należał do niej.

ROZDZIAŁ 3

W następnych miesiącach Atamarie często przywoływała w pamięci roześmianą twarz Rawiri – zawsze wtedy, kiedy ogarniała ją rozpacz wobec upartego milczenia Richarda. Z Temuka nie nadchodził żaden list – a mijały już całe tygodnie i czasami z trudem udawało jej się powstrzymać przed tym, aby samej nie napisać. Wspomnienia o Richardzie i związane z nim marzenia ciągle nie bladły. Nie mogła pogodzić się z tym, że wszystko tak po prostu minęło. A przecież – to był tak wyjątkowy związek i mieli tyle wspólnego... Nie była w stanie sobie wyobrazić, że Richard wszystko przekreślił. I wreszcie, prawie pół roku po jej ucieczce z farmy Richarda, do której się nieomal zmusiła, któregoś dnia po powrocie z uniwersytetu znalazła czekający na nią list. Atamarie drżącymi rękami rozerwała kopertę i czuła szybkie bicie serca, kiedy widziała przed sobą jego pismo – wielkie litery o ozdobnych zakrętach. U Richarda kilka słów zajmowało całą kartkę, a tym razem potrzebował aż czterech stron, aby wyjaśnić swoje zachowanie w Temuka. „Nie wiem doprawdy, co mi się stało, ale nie chciałem, abys wyjeżdżała. Po prostu musiałem uruchomić, wprawić w ruch mój aparat latający. Rzeczywiście chciałem ci zrobić niespodziankę, Atamarie, i niejako wylecieć ci naprzeciw. I rozczarowałem cię. Rozumiem, że teraz nie chcesz mnie znać, ale może moglibyśmy przynajmniej do siebie pisać. To zawsze miało dla mnie duże znaczenie”.

Atamarie się zdziwiła, że Richard nic nie pisał o swojej rodzinie, ale doszła do wniosku, że po prostu nikt mu nic nie opowiedział o wydarzeniach po jego ostatnim wypadku. Prawdopodobnie myślał, że ona najzwyczajniej w świecie uciekła, kiedy dowiedziała się o jego głupim pomysle i o ostatniej próbie lotu. Bolało ją trochę, że przypisywał jej tak dziecinne zachowanie, a najbardziej bolało oczywiście takie długie milczenie, o którym teraz nie wspomniał ani słowem. Ale z drugiej strony cieszyła się, że w ogóle nawiązał kontakt. Nawet jeśli list nie zawierał żadnych miłosnych zaklęć, co ją oczywiście irytowało. W końcu opowiedziała o tym liście Heather i Chloé – i nieco ochłonęła, kiedy one obie zgodnie poradziły, aby ten list wyrzuciła.

– Atami, on nie pisze, że ty dla niego dużo znaczysz, tylko o tym, że lubi czytać twoje listy – stwierdziła Heather. – I nie mogę sobie w ogóle wyobrazić, co ty mogłabyś mu teraz napisać. Prawdopodobnie w najważniejszych punktach zacytujesz profesora Dobbinsa. Richard powinien z nim korespondować, tak byłoby lepiej dla was wszystkich.

– Ale jeśli jednak do niego napiszesz, to opowiedz mu przynajmniej, co się stało – dodała Chloé. – Jak potraktowała cię jego rodzina i jak zachowali się wobec ciebie jego sąsiedzi. Może wówczas trochę się zastanowi. I nie zgadzaj się na żadne kompromisy! Jeśli on cię naprawdę chce, to musi przeprowadzić się do Christchurch albo w ogóle do jakiegoś większego miasta.

Atamarie skinęła głową.

– Także jeśli będzie chciał latać – odpowiedziała znużona.

Bez końca dyskutowała o tym z obiema kobietami, także z matką i z maoryskimi przyjaciółkami w Parihaka. I właściwie powinno to być dla każdego zrozumiałe – tylko Richard Pearse był tak uparty.

W następnych miesiącach latanie było tematem tabu między Atamarie i Richardem. Młody mężczyzna chyba całkowicie porzucił swoje marzenie. Po ostatnim wypadku podniesiono samolot – był on mocno uszkodzony i Richard stracił odwagę. A może argumenty rodziny padły wreszcie na podatny grunt – przecież Richard był ciężko ranny po ostatnim wypadku. W każdym razie w ostatnich miesiącach najwyraźniej nie pracował już nad swoim aparatem, lecz poświęcił się całkowicie maszynom rolniczym. Tu realizował swoje ambicje i wynalazcze zapędy... Z dumą pisał Atamarie o swych patentach i o tym, że teraz nawet Peterson używa ulepszonej przez niego przetrząsarki do

siana, a on pracuje nad lepszym urządzeniem do roztrząsania nawozu.

Atamarie opowiadała mu o swoich studiach w Canterbury College. Teraz w planie nauczania była budowa maszyn, co interesowało ją o wiele bardziej niż pomiary gruntów. Dobbins i inni nauczyciele wprowadzali studentów w tajniki maszyn parowych – i wreszcie, pod koniec roku 1902, profesor ogłosił w sali wykładowej wielką niespodziankę.

– Proszę! – oświadczył z dumą, wskazując na przyniesiony przedmiot. – Moi panowie i ciągle jedyna pani! Oto silnik z zapłonem iskrowym! A mówiąc dokładniej, silnik z tłokiem skokowym. Będziemy się tym zajmować w najbliższym czasie, wyjaśniać, jak to funkcjonuje, jakie są możliwości jego zastosowania w samochodach i...

Atamarie wpatrywała się jak urzeczona w stosunkowo mały zgrabny przedmiot. A potem podniosła rękę. Dobbins skinął głową.

– To jest silnik dwusuwowy, sir, prawda? O mocy dwudziestu koni?

Dobbins się uśmiechnął.

– Dwudziestu czterech, Miss Turei. Ale to brzmi tak, jak gdyby zajmowała się już pani takimi silnikami. Mogłaby pani nam coś o tym opowiedzieć?

Atamarie potrząsnęła głową, mimo że jednocześnie chciała przytaknąć.

– Tak... nie... później... Właściwie chciałam tylko o coś zapytać.

– Ależ proszę – odpowiedział Dobbins spokojnie.

Atamarie wstała, już choćby po to, aby móc lepiej obejrzeć silnik. Jeśli było tak, jak sądziła...

– Ile on waży? – spytała, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Co ty chcesz?

Kilka dni po rozpoczęciu letnich ferii Heather i Chloé wraz z Rosie odwiedziły Atamarie w Christchurch. Obie przyjaciółki i ich pokojówka były w drodze na tor wyścigów konnych w Addington – mała klacz Trotting Diamond miała debiutować tam w wyścigu kłusaków. Rosie ledwo mogła wytrzymać ze zdenerwowania. Heather i Chloé chciały właściwie zaprosić Atamarie, aby pojechała wraz z nimi do Addington, bo przecież dziewczyna zawsze znakomicie się bawiła w czasie weekendów, kiedy odbywały się gonitwy, ale Atamarie siedziała na spakowanych walizkach, a pośrodku jej pokoju, ku przerażeniu właściolek wynajmowanego przez nią mieszkania, stał silnik z zapłonem iskrowym!

Właścicielki opowiedziały o tym Heather i Chloé, kiedy tylko te zadzwoniły do drzwi, chcąc zabrać Atamarie.

– Nigdy nie miałyśmy nic przeciwko plamom oleju na ubraniach Atamarie i także na naszych meblach, w końcu to bardzo osobliwy kierunek studiów. Ale teraz ta piekielna maszyna! Niemal spadłyśmy z łóżek, kiedy ona ją uruchomiła. „Chciałam ją tylko wypróbować”. Tak powiedziała. Musicie z nią pomówić, Heather i Chloé. To musi stąd zniknąć!

Jeśli o to chodziło, to obie ladies nie miały się czego obawiać. Heather i Chloé straciły wszystkie złudzenia co do rozsądku Atamarie, kiedy im oświadczyła, co zamierza z tym zrobić.

– On waży tylko pięćdziesiąt siedem kilogramów! – stwierdziła z dumą. – I jak równo pracuje! Sporo wytrzyma! Jest idealny do...

– Jeszcze raz, Atami, bez tych technicznych szczegółów! – Heather zaalarmowana usiadła na łóżku Atamarie. – Chcesz podarować owemu Richardowi Pearse’owi ten silnik na gwiazdkę?

Atamarie rozpromieniona skinęła głową.

– Tak! I on był całkiem tani! To znaczy, oczywiście musiałam poprosić *mommy* o pieniądze, ale to mogłabym w jeden dzień...

Zagryzła wargi. Kopalnia złota na Elizabeth Station była tajemnicą rodziny Drurych i nie wiedziała

o tym nawet Heather.

– No, mogłabym tyle zarobić, gdyby wzięła jakąś pracę na wakacje – poprawiła się. – Dobbins mówi, że instytut dostanie w przyszłym roku jeszcze jeden taki silnik, produkcja rozwija się bardzo szybko, ciągle ktoś coś nowego wymyśla. Ale jeszcze nikt nie wpadł na pomysł, aby coś takiego wbudować do samolotu. Oprócz Richarda. On tylko nie mógł sobie na to pozwolić. Ale teraz... Teraz mamy silnik! I w dodatku taki lekki. To jest nic w porównaniu z wagą tego poprzedniego. Nie rozumiecie tego, Heather i Chloé? Będziemy latać!

Chloé potrząsnęła głową.

– Rozumiem tylko, że znów chcesz wracać do tej dziury, gdzie wszyscy cię nienawidzą – zauważyła. – Do mężczyzny, którego nie widziałas prawie cały rok, choć dzieli was tylko kilka godzin jazdy pociągiem. Powiedziałyśmy ci już, Atami: jeśli jesteś przekonana, że potrafisz latać tą piekielną maszyną, to zbuduj ją sama! Ale ten Richard...

– Richard jest geniuszem! – upierała się Atamarie. – Bez niego nigdy bym tego nie zbudowała. Ale z nim... Chloé, Heather, możemy być pierwszymi ludźmi, którzy polecą! Możemy wznieść się w powietrze samolotem z silnikiem. My...

– I wtedy on cię pokocha?

Chloé patrzyła na Atamarie. Twarz miała bardzo poważną.

Atamarie spuściła głowę.

– Nie musi – powiedziała przekornie. – Naprawdę nie robię tego po to, aby...

Heather westchnęła.

– No to powodzenia – mruknęła.

Heather pomogła bratanicy zorganizować transport silnika do Timaru. Nie było to proste, bo przecież nie mogła zabrać go po prostu do przedziału.

– A poza tym pojedę z tobą – oświadczyła Heather energicznie. – Obejrzę sobie tego mężczyznę. Chloé może jechać z Rosie do Addington, zanim ona pęknie z niecierpliwości i podekscytowania. Ja i tak nie mam pojęcia o wyścigach kłusaków, mogłabym najwyżej wesprzeć Trotting Diamond, stawiając na nią.

Chloé się roześmiała.

– I w ten sposób naraziłabyś na niebezpieczeństwo swoją nieśmiertelną duszę, jak sądzi Violet. Na wyżynie Waitohi nie czyha na ciebie tyle niebezpieczeństw.

Heather uniosła brwi.

– Jesteś pewna, że na wsi diabeł nie urzęduje? – spytała. – Zgodnie z tym, co słyszę od Atamarie, czeka tam na mnie więcej złych duchów niż w pubie w Addington.

Chloé zachichotała.

– To skryj się przed nimi w kadzidlany dymie! – dokuczała przyjaciółce. – I może powinnaś też zapytać Atamarie, czy ona nie ma nic przeciwko towarzystwu. Bo może ten młody człowiek będzie chciał pobyć z nią sam na sam.

Atamarie zagryzła wargi. Czasami miała wrażenie, że Chloé czyta w jej myślach. Czy miało to związek z tym, że była dwa razy mężatką, zanim zdecydowała się żyć z Heather? Atamarie przeczuwała, że jej związek z Richardem nie przypominał Chloé jej pierwszego, bardzo szczęśliwego małżeństwa...

– Czemu miałabym mieć coś przeciwko temu? – spytała teraz z przesadnym zdecydowaniem i rzeczywiście walcząc z mieszanymi uczuciami. Bo z jednej strony z pewnością lepiej będzie mieć w kimś oparcie, kiedy wróci do Temuka. Ale z drugiej – tak, pragnęła być z Richardem sama! I nie mogła tego teraz powiedzieć otwarcie.

– Jak tylko będziesz odróżniać silnik dwusuwowy od czterosuwowego, to Richard na pewno się w tobie zakocha – zażartowała z ciotki.

Heather przewróciła oczami.

– I tak nie odwzajemniłabym jego uczuć – odparła sucho. – Ale na to monstrum powinnaś uważać – powiedziała, wskazując silnik. – Bo jeśli do niego mrugniesz, to prawdopodobnie weźmie cię od razu do łóżka.

Atamarie i Heather przyjechały pociągiem do Timaru, a silnik dostarczyła firma przewozowa. Atamarie zatelegrafowała do Richarda i miała nadzieję, że on odbierze z dworca je obie i silnik, ale Heather mimo wszystko wynajęła pokój w hotelu.

– I ty też tak zrobisz w przyszłości, kiedy go będziesz odwiedzać – poradziła Atamarie. – Oczywiście wszyscy będą wiedzieli, że i tak nocujesz u Richarda. Ale musisz zachować pozory!

Atamarie chciała coś odpowiedzieć, ale umilkła. Zaprzęg Richarda wjechał właśnie na główną ulicę w Timaru. Heather przytrzymała bratanicę za spódnicę, aby ta nie wybiegła mu naprzeciw.

– Opanuj się, Atamarie! – powiedziała. – Pozwól mu zrobić pierwszy krok.

Atamarie stała więc grzecznie obok ciotki i czekała, aż Richard zsiadł z kozła i powitał je obie. Zachowywał się tak, jak gdyby nie było jej najwyżej jeden weekend, i pocałował ją w policzek jak przyjaciółkę.

– Gdzie on jest? – spytał ciekawie, zanim jeszcze Atamarie zdążyła mu przedstawić ciotkę. – I rzeczywiście waży tylko pięćdziesiąt siedem kilogramów? I działa? Nie mogę w to uwierzyć, Atami, nigdy jeszcze nie widziałem samochodu.

– To cudo jeszcze nie przyjechało – odezwała się Heather. – Może więc pan spokojnie wypić z nami filiżankę kawy i poczekać. A poza tym nazywam się Heather Coltrane i jestem ciotką Atamarie.

Atamarie nie wspomniała rodzinie, że należy się liczyć z kompletnym brakiem zrozumienia ze strony Richarda, jeśli mowa będzie o czymś, co nie dotyczy techniki, albo też z tym, że nie będzie w ogóle słuchał. Teraz jednak młody mężczyzna się opanował, przeprosił za swoje zachowanie i zaprowadził obie damy do najbliższej kawiarni, gdzie przy kawie prowadził uprzejmą konwersację. Heather próbowała go ostrożnie wy badać, ale jego odpowiedzi były niewiele mówiące. Tak, w pewnym sensie odziedziczył farmę, na której teraz gospodarzył. Oczywiście wolałby zostać inżynierem, ale tego nie można zmienić i teraz traktuje swoje wynalazki raczej jako rozrywkę.

Heather nie dawała niczego po sobie poznać, ale rzuciła Atamarie zatroskane spojrzenia. Czy jej bratanica rzeczywiście nie dostrzegała, jak bardzo zamiary Richarda nie pasowały do jej planów na przyszłość? Młody mężczyzna najwyraźniej wcale nie myślał o wyjeździe z tego miejsca. Ale Atamarie siedziała obok niego rozpromieniona i wydawała się przeszczęśliwa tylko dlatego, że on trzymał ją pod stołem za rękę. Heather jednak widziała, że to ona chwyciła go za rękę, a nie na odwrót. I większych oznak zakochania nie dostrzegła u swojej bratanicy. A podekscytowanie Richarda dotyczyło tylko sprawy z silnikiem – właściwie nie mógł się doczekać, aż będzie mógł odebrać to cudo, które tymczasem zapewne dotarło do miejscowego składu z towarami żelaznymi.

I rzeczywiście właściciel sklepu właśnie wyładowywał to z wozu, nie kryjąc przy tym swej czci. Silnik przybył prosto z Christchurch razem z dostawą śrub, gwoździ i podobnych przedmiotów, której nie mogli się doczekać miejscowi kowale i mechanicy. Atamarie dostrzegła wśród nich Cecila Woodsa, przyjaciela Richarda – i za chwilę wszyscy troje dyskutowali z ożywieniem na temat silnika, a pozostali słuchacze nie mogli nadążyć za tempem ich wywodów. Heather zwróciła się więc do woźnicy firmy przewozowej. Krępy mężczyzna wydawał jej się znajomy.

– Mogę panu zapłacić czy mam to uregulować w Christchurch u pańskiego pracodawcy?

Na okrągłej twarzy mężczyzny ukazał się uśmiech.

– Sam jestem pracodawcą! – oświadczył z dumą. – Tylko mojemu woźnicy akurat coś wypadło, lady, więc musiałem sam to przywieźć. Jeśli tylko podpisze mi pani papiery, Mrs...

– Miss – poprawiła go Heather i zaczęła intensywnie myśleć. Skąd mogła znać tego mężczyznę? Nigdy przedtem nie miała do czynienia z firmami przewozowymi. Oczywiście często dostarczano jej do galerii obrazy za pośrednictwem firm przewozowych, ale tym zajmowała się Chloé. Co ciekawe, ten mężczyzna też zaczął jej się przyglądać tak, jak gdyby ją skądś znał. I z dużym zaciekawieniem przyjrzał się jej podpisowi.

– Heather Coltrane – przedstawiła się Heather trochę niepewnie. Może jemu przyjdzie coś do głowy, kiedy usłyszy jej nazwisko. Ale nagle doznała olśnienia, kiedy zobaczyła napis na jego wozie. EXPEDITION BULLDOG – SZYBKOŚĆ I MOC DLA WASZEGO TOWARU.

Heather się uśmiechnęła.

– Bulldog? – spytała. – Czy jest możliwe, że to mój ojczym nadał panu to przezwisko, kiedy razem podróżowaliśmy z Londynu do Dunedin?

Mężczyzna uśmiechnął się radośnie.

– Rzeczywiście, przecież pani jest Miss Heather! Córka wielbnego Burtona! A ja spałem w pani kościele!

Heather się roześmiała.

– No, nie w moim. Ale w każdym razie wiem teraz, skąd pana znam. Ale czy nie zamierzał pan szukać złota?

Ponad dwadzieścia lat temu wielbny Burton i Kathleen udali się do Anglii w sprawie spadkowej, a Heather im towarzyszyła. W drodze powrotnej tym samym statkiem płynęła Violet i jej rodzina – oczywiście na międzypokładzie, podczas kiedy Burtonowie podróżowali pierwszą klasą. Heather ciągle martwiła się o Violet i jej małą siostrę Rosie, do chwili kiedy obiemą zaopiekował się piętnastoletni chłopak. Wielbny Burton nazwał go Bulldogiem z powodu jego przysadzistej postury – Heather nigdy się nie dowiedziała, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. A teraz przedsiębiorca przewozowy, którym stał się młody imigrant, wzruszył ramionami.

– Nic z tego nie wyszło – oświadczył krótko. – Wielbny od razu mówił, że tak będzie. I pamiętałem o tym. Inni dalej zostali przy tym zajęciu, ale ja kupiłem muła, kiedy udało mi się znaleźć odrobinę złota. I nie wróciłem z nim do diggersów, którzy szukali na głównych polach, ale pojechałem do tych, co kopali gdzieś w dziczy. Głównie sprzedawałem wtedy whisky. Ten interes dobrze szedł.

Heather skinęła głową. Nietrudno było to sobie wyobrazić.

– Ale ja nie jestem kupcem, wolę jeździć po kraju – opowiadał dalej Bulldog. – Teraz mam pięć wozów, dwadzieścia koni... i ciągle dobrze idzie!

Heather się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że się panu powiodło! Jak pan się właściwie nazywa naprawdę?

Bulldog uśmiechnął się szeroko.

– Tom Tibbs. – Przedstawiając się, z zadowoleniem uniósł czapkę.

– Mogę panią jeszcze o coś zapytać...

– Heather?

W tym momencie Atamarie dotknęła ramienia ciotki.

– Chcemy zaraz ruszać. Pojedziesz przecież z nami na farmę?

Heather odwróciła głowę i zmarszczyła czoło.

– Chętnie, ale nie z twoim Richardem, Atamarie – oświadczyła. – Wynajmiemy dorożkę i przynajmniej stworzymy pozory, że wszystko tu jest zgodne z zasadami. Boże, dziewczyno, czy ty nie widzisz, ludzie już teraz plotkują!

Heather wyjęła portmonetkę.

– Proszę wybaczyć, Mr Tibbs, było mi naprawdę miło pana spotkać. Ale muszę się teraz zająć bratanicą, bo będzie tematem rozmów w całym mieście – wymownie przewróciła oczami – ślepo zakochana.

Heather się uśmiechała, płacąc Buldogowi, i dodała:

– Też pan był wtedy zakochany w Violet, prawda? Jej powodzi się bardzo dobrze. Ale teraz muszę...

Heather pożegnała go i ruszyła w stronę sklepu, aby zapytać sprzedawczynię o stajnię do wynajęcia. Buldog nie doczekał się odpowiedzi na swoje pytanie. Ale choć bardzo go interesowało, jak powodzi się Violet, to nigdy nie był w niej zakochany. Jeśli wspominał dziewczęta, którymi wtedy opiekował się na statku, to nie miał przed oczami pięknej dziewczyny o mahoniowych włosach i niebieskich oczach, lecz czuł w swojej dłoni pewną małą, nieśmiałą rączkę. Rosie wzięła go za rękę tylko raz – kiedy statkiem kołysał sztorm, a w dodatku za dziewczętami szło kilku bezczelnych chłopców. Ale Buldog dziś jeszcze pamiętał, jak słodka, wystraszona i delikatna była ta dziewczynka. Jak cenny klejnot, który on chciał chronić. Ją udało mu się uratować – przynajmniej na statku. Swojej własnej siostrze Molly nie mógł pomóc.

Buldog potarł ręką czoło. Nie chciał już myśleć o Molly i najlepiej także o Rosie. Ale chętnie by się dowiedział, jak jej się wiodło.

Atamarie grzecznie wsiadła do wynajętej przez Heather bryczki, podczas kiedy Richard zawiózł swój silnik na farmę sam swoim zaprzęgiem. Ale mimo to historia o powrocie Atamarie rozeszła się w Timaru lotem błyskawicy – a także wieść o tym, że Cranky Dickowi znów groziła utrata przyczepności do ziemi...

W każdym razie Atamarie czekała niespodzianka, kiedy wreszcie dotarły na farmę Richarda. Bo Atamarie się obawiała, jakie wrażenie zrobi na Heather zaniedbany dom, jeśli ją samą za pierwszym razem przeraził. Jednak od czasów ostatnich żniw coś się tu zmieniło. Oczywiście tu i ówdzie stały i leżały zepsute maszyny rolnicze i części do nich, ale zwierzęta były zamknięte i nie biegały po całym podwórku, które najwyraźniej też ktoś sprzątał. Także pola, znów tuż przed żniwami, były zadbane. Atamarie się zastanawiała, czy Richard wreszcie odkrył w sobie słabość do pracy na farmie, czy rozwiązaniem tej zagadki była postać młodego Hamene. Atamarie powitała go przyjaźnie.

– Pracujesz tutaj? – spytała byłego pomocnika przy żniwach. – Richard miał dobry pomysł, aby zatrudnić cię na stałe!

Hamene, młody silny mężczyzna, który tak dalece dopasował się do życia na wyżynie Waitohi, że nosił farmerskie ubranie *pakeha* i rozstał się z długimi włosami splecionymi w węzeł wojownika, uśmiechnął się do niej.

– To nie był pomysł Richarda, tylko Shirley – wyjaśnił. – A nasi starsi rady nie mieli nic przeciwko temu, abym tu pomagał. Ten *pakeha* nie potrafi tego wszystkiego robić, on jest *tohunga*...

Hamene popatrzył z wyrazem podziwu w oczach na swojego pracodawcę, który właśnie zamierzał wyładować silnik.

Tohunga w szczepie był bardzo cenioną i szanowaną postacią. I oczywiście nie oczekiwano od genialnych konstruktorów latawców, rzeźbiarzy w drewnie bądź w jadeicie, od kapłanów oraz akuserek świadczenia dodatkowych usług w pracy na polach, na polowaniach ani pomocy w hodowli zwierząt użytkowych. Dla Hamene było oczywiste, że nie były to zajęcia stosowne dla Richarda. Ale kim była Shirley? Atamarie po krótkim zastanowieniu przypomniała sobie pewną kobietę – przed jej oczami pojawił się obraz dość pospolitej, niewiele mówiącej dziewczyny o blond włosach, córki Hansleyów. Atamarie widziała ją kilka razy, ale ona wówczas zamieniła tylko kilka słów z Richardem – a nigdy z Atamarie. W każdym razie Atamarie teraz nie mogła sobie przypomnieć, czy wówczas na

dożynkach Shirley tańczyła z jakimś młodym mężczyzną. Była chyba bardzo poważną dziewczyną, która wolała siedzieć z matką i pozostałymi matronami niż wirować w tańcu. A teraz otworzyła przed gośćmi drzwi domu farmy, jak gdyby to było oczywiste! Shirley miała na sobie staroświecką niebieską suknię z zawiązanym na niej białym fartuszkim. Uśmiechała się uprzejmie do Heather i Atamarie, choć ten uśmiech sprawiał wrażenie nieco wymuszonego.

– Co ty tu robisz? – spytała Atamarie, niezbyt zachwycona.

Było to mało uprzejme, wiedziała o tym, ale w końcu tak długo mieszkała na farmie Richarda, że czuła się tu prawie jak pani domu.

Shirley spokojnie wytrzymała jej wzrok – i przez chwilę mierzyła Atamarie równie niechętnym spojrzeniem. A potem się uśmiechnęła i podniosła ręce w geście sprawiającym wrażenie przeprosin. Była mała i krępa, miała okrągłą, nieco dziecinną twarz. Wyglądała bardzo niekorzystnie w zestawieniu ze szczupłą postacią Atamarie.

– Och, pomagam tu trochę – odpowiedziała ostrożnie. – Mr Pearse i moi rodzice... no, byli zdania, że Richard potrzebuje trochę pomocy w domu. I taka jest prawda... – Uśmiechnęła się konspiracyjnie. Prawdopodobnie zastała ten dom tak samo opuszczony i zaniedbany jak Atamarie rok temu. – Ale proszę wejść do środka! – Shirley się cofnęła i otworzyła szeroko drzwi przed gośćmi.

Heather rzuciła Atamarie pytające spojrzenie. Gospodyni? I taka młoda w kawalerskim gospodarstwie? W Dunedin byłoby to niemożliwe.

– Przygotowałam coś do jedzenia, a jeśli panie chcą, to można też przenocować...

Brzmiało to tak, jak gdyby ona sama taki zamiar ze strony gości uważała za co najmniej dziwny, ale też niepodlegający krytyce. I znów Atamarie musiała się zmierzyć z jej niezbyt przyjaznym spojrzeniem. Spokojnie je wytrzymała, bo nigdy nie ukrywała, że nocowała tu całymi tygodniami.

Heather zdecydowanie weszła do środka, podczas gdy Atamarie się wahała, czy ma iść za Richardem i Hamene, którzy właśnie nieśli silnik do szopy, czy też zostać z kobietami, aby może dowiedzieć się czegoś o pozycji Shirley na farmie. Richard o niej nic nie pisał... Ale wobec tego, jak otwarcie powitała obie kobiety, najwyraźniej nie miała nic do ukrycia. I była tu na pewno za zgodą Pearse'ów i Hansleyów. Atamarie przeczuwała, że była to próba zeswatań – nie całkiem zgodna ze zwyczajami *pakeha*, ale całkiem odpowiednia dla Richarda. Atamarie się spodziewała, że rodzice Richarda będą skłonni zmienić swoje zasady moralne, byle tylko dopiąć celu.

Atamarie zdecydowała się w końcu na oglądanie silnika, który Richard umieścił na czystym prześcieradle pośrodku szopy i najwyraźniej od razu szykował się do jego rozbierania. Ale wówczas Shirley zawołała go na kolację, udając się w tym celu osobiście do szopy.

– Dobry Boże, Richardzie, chyba nie zamierzasz bawić się z tym teraz? – spytała z dezaprobatą. – Masz przecież gości, Richardzie! A ja przygotowałam kolację. Zjedz teraz ze swoimi gośćmi, a jutro będziesz mógł zająć się tą piekielną maszyną.

Ku zdziwieniu Atamarie Richard grzecznie posłuchał i ruszył za młodą kobietą do kuchni. Atamarie szła zniechęcona obok niego.

– Kim ona jest? Twoją dziewczyną do dzieci? – spytała gniewnie.

Richard uznał, że było to domaganie się przeprosin.

– Ja... ja potrzebuję chyba czasem kogoś, kto mi przypomni o moich dobrych manierach. – Uśmiechnął się tak szelmowsko, że natychmiast udobruchał Atamarie. Nie brzmiało to tak, jak gdyby dzielił z Shirley łóżko. Także spojrzenia, jakimi obrzucał ją teraz, kiedy silnik zniknął z pola widzenia, nie przemawiały za tym, że istniała w jego życiu jakaś inna kobieta oprócz niej.

„I przez żołądek miłość tym razem też nie prowadziła” – pomyślała Atamarie, kiedy przysłuchiwała się niezbyt ciekawej konwersacji, jedząc również niezbyt smaczną kolację. Tłuczone

ziemniaki i żeberka, wszystko zbyt mało posolone i nijakie. Może Shirley była dobrą gospodynią, ale dobrą kucharką z pewnością nie.

– Ja zaraz ruszam w drogę. Chcesz jechać ze mną czy zostajesz? – spytała Heather bez ogródek Atamarie zaraz po zjedzonej kolacji.

Atamarie była niezdecydowana i spoglądała wymownie to na Shirley, to na Richarda.

– Chcesz wyjechać? – W głosie Richarda słychać było zdziwienie i rozczarowanie.

Atamarie zadała sobie sporo trudu, aby się nie zaczerwienić wobec spojrzeń Shirley, ale ostatecznie zwyciężyła radość, że najwyraźniej Richardowi jej brakowało.

– Nie! – odpowiedziała. – Oczywiście zostanę. My...

Shirley spuściła oczy, ale po chwili opanowała się i uśmiechnęła.

– Jak mówiłam, wszystko jest przygotowane – powiedziała i wskazała na sypialnię w tylnej części domu. – Każdy, kto chce, może zostać. Ale ja już pójdę.

Szybkimi ruchami odwiązała fartuszek. Panowała nad sobą znakomicie, ale Heather, która była doskonałą obserwatorką, dostrzegła wściekłość kryjącą się za udawaną obojętnością.

W sypialni Richarda Atamarie zastała rzeczywiście świeżo powleczonej pościel i noc z ukochanym nie pozostawiała nic do życzenia. Richard znów kochał ją tkliwie i długo, szeptał zaklęcia i słowa miłości, całował ją i pieścił, i udało mu się doprowadzić ją niemal do latania, choć bez zastosowania swojej maszyny. A rano najwyraźniej o wszystkim zapomniał – kiedy tylko zobaczył swój silnik.

Na szczęście Hamene już był i zajął się karmieniem zwierząt. Nie widział też nic złego w tym, że Richard po krótkim powitaniu zniknął w szopie.

– On rozmawia z duchami! – wyjaśnił ze złością wielki Maorys Atamarie. – I to nie jest tak jak u naszych *tohunga*, którzy wołają do bogów i słyszą ich odpowiedź we własnym duchu. Mr Richardowi one odpowiadają całkiem głośno! Naprawdę, sam słyszałem!

Atamarie się uśmiechnęła. Wiedziała, że Richard od pewnego czasu eksperymentował z fonografem, za pomocą którego dawało się nagrać głos i muzykę na nawoskowanych płytach. Nie była to nowa technika, ale miała nadzieję, że uda mu się ją ulepszyć i ucieszy tym swoją matkę, mogąc nagrać muzykę rodzinnej orkiestry i zachować ją dla potomności. Hamene był zapewne świadkiem jego eksperymentów – i z pewnością nie słyszał o wynalezieniu gramofonu. Atamarie zaczęła mu tłumaczyć jego zasadę.

– Richard chciałby zapisać śpiew przy tańcu *haka* albo modlitwę przy *powhiri* – odczarowała działalność Richarda.

Ale Hamene potrząsnął głową z dezaprobatą.

– A po co? – spytał. – Aby rozgniewać bogów? Może im się nie spodobać, kiedy nie będziemy już śpiewać i tańczyć, tylko zbudujemy maszynę, aby to robiła. Mr Richard jest *tohunga*, on może wie, po co to jest. A Waimarama mówi, że on potrzebuje błogosławieństwa bogów, aby przezwyciężyć ciemność. Ale jeśli mnie o to pytasz – to dla mnie nic z tego, co on robi, nie jest przydatne. A może po prostu tego nie rozumiem...

Atamarie się zdziwiła.

– To dlaczego mu pomagasz? – spytała. – Myślałam...

Hamene wzruszył ramionami.

– Shirley mówi, że mam to robić – odparł.

Atamarie, która tym razem obserwowała go uważniej, dostrzegła błysk w jego oczach. A więc dlatego – Hamene był zakochany w Shirley Hansley. Ale czy miał jakieś szanse? A może ona też nie była tutaj z powodu Richarda? Może chciała być bliżej Hamene?

ROZDZIAŁ 4

Heather wyśmiała Atamarię, kiedy ta opowiedziała jej o domniemanym romansie między Hameną a Shirley. Najpierw Atamarię rozplywała się z zachwytem, opowiadając o dniu spędzonym w szopie Richarda – ponoć przywieziony silnik był dokładnie tym, czego mu brakowało do jego innowacji przy budowanym samolocie. O tym, jak była szczęśliwa po poprzedzającej ten dzień nocy, Atamarię nie musiała ciotce opowiadać. Heather niemal widziała to w jej pełnych radości oczach. Ale jeśli chodziło o Shirley, Heather jednoznacznie rozwiała nadzieje Atamarię.

– Ta mała i Maorys, Atami? Chyba sama w to nie wierzysz! Ta dziewczyna jest ucieleśnieniem wiejskiego życia, taki rodzaj miejscowej świętej – w każdym razie za taką chce się uważać. Poświęca się dla twojego Richarda tylko po to, aby on bez wahania wrócił do ciebie. To wymaga niezłej umiejętności cierpienia. A robi to z błogosławieństwem swoich i jego rodziców i chyba tylko Richard nie bierze w tym udziału. On jest jakiś dziwny, Atamarię! Uwierz mi, ja sporo podróżowałam i znałam bardzo ekscentrycznych ludzi. Ale on... Najpierw myślałam, że jest jakiś oziębły, ale potem... A na punkcie tego silnika ma jakąś obsesję!

Atamarię się roześmiała.

– Oziębły na pewno nie jest! – oświadczyła tonem głębokiego przekonania.

Heather wzruszyła ramionami.

– Ale nie jest człowiekiem gorąco kochającym, w takim romantycznym rozumieniu. Ten człowiek jest osobliwy, Atamarię, bądź ostrożna! Nawet jeśli największe niebezpieczeństwo grozi ci teraz ze strony tej świętej Shirley, która ma chyba zamiar wbić ci sztylet w plecy...

Atamarię niezbyt poważnie przyjęła zastrzeżenia swojej ciotki, ale jednak wróciła z nią następnego dnia do Christchurch.

W White Hart Hotel spotkały Chloé, która najpierw podzieliła się z nimi wiadomościami na temat Rosie, która zdecydowała się zostawić swojego podopiecznego pod opieką lorda Barringtona w Addington. Barrington, zamożny Brytyjczyk i „owczy baron”, właściciel farmy na Canterbury Plains, będącej w tej chwili pod czyimś zarządem, zajmował się wyłącznie wspieraniem wyścigów konnych w Nowej Zelandii i zaoferował Rosie posadę opiekunki koni w swojej stajni koni wyścigowych. Głównie dlatego, że chciał wyświadczyć przysługę Chloé. Sama Rosie wolałaby pracować w stajni kłusaków i tam też umieściłaby Trotting Diamond, ale lord, słysząc to, machnął lekceważąco ręką.

– To są... proszę wybaczyć, Miss Chloé, wiem, pani... hm... małżonek także był częścią tej... mody. I z pewnością istnieją stajnie kłusaków, gdzie podchodzi się do tego poważnie. Ale ci trenerzy, których mamy tutaj... Stary Brown jest w porządku, jego działalność jest bez wątpienia niepozbawiona pewnych walorów rozrywkowych...

John Brown, właściciel stajni, gdzie wynajmowano konie, zorganizował swego czasu w Woolston koło Canterbury pierwsze wyścigi kłusaków, kiedy ten sport zaczął być modny w Europie. W Anglii wyścigi kłusaków uchodziły za sport dla ludzi z niższych warstw społecznych. Ludzie prości woleli stawiać na kłusaki, a nie na konie chodzące w galopie, i w pierwszych latach w gonitwach kłusaków brały udział także konie mleczarzy oraz hodowców bydła. Zawodnicy startujący na torze Browna bardzo się więc różnili pod każdym względem, reguły zawodów były niejasne, czasami dochodziło nawet do bójek między jeźdźcami, widzami i sędziami. Ludzie tacy jak Barrington wręcz nie cierpieli tego rodzaju zawodów, a klub jeździecki także bardzo niechętnie udostępniał kłusakom swój tor wyścigowy i należące do niego totalizatory. Ale nie można było położyć kresu tej modzie i od czasu, kiedy kłusaki na zawodach chodziły w zaprzęgach z wózkami *sulky*, a nie pod siodłem, te imprezy

organizowane były już bardziej fachowo i poważnie. Przed kilkoma laty w Addington zbudowano nowy tor wyścigowy, gdzie głównie prowadzono właśnie gonitwy kłusaków, i od chwili połączenia się dwóch klubów jeździeckich planowano organizowanie tutaj większych, lepiej finansowanych imprez. Jednak wśród trenerów i właścicieli koni trafiały się ciągle dość podejrzane typy. I zdaniem lorda Barringtona właśnie w Addington było ich bardzo wielu.

– No i miałyśmy tam bardzo nieprzyjemne spotkanie – opowiadała Chloé. – Heather, czy pamiętasz Josepha Fence’a, syna Violet?

Heather wzruszyła ramionami, ale Atamarie skinęła głową. Oczywiście jej przyjaciółka Roberta opowiadała o swoim bracie. Violet oddała go na naukę do jednego z trenerów koni wyścigowych, zanim wyjechały z Robertą z Invercargill.

– Już wtedy było to bardzo niesympatyczne dziecko – opowiadała Chloé – zupełnie jak jego ojciec, także zewnętrznie. Myślałam, że szlag mnie trafi, kiedy zobaczyłam go w Addington na torze. A Rosie, biedactwo, też zbladła jak ściana na jego widok. Ale szybko przysłała do siebie. Myślę, że uporała się już z tą sprawą Erica Fence’a.

Atamarie dość obojętnie przysłuchiwała się tym opowieściom, a Heather ostentacyjnie przewróciła oczami. Rosie zawsze nienawidziła ówczesnego męża Violet i bała się go. I ani Heather, ani też Chloé nie chciały nic wiedzieć na ten temat, ale z pewnością jakieś ziarno prawdy było w twierdzeniu Josepha Fence’a, jakoby dziewczyna znacząco przyczyniła się do wypadku Erica na torze wyścigowym.

– W każdym razie ten Joe Fence ma teraz w Addington stajnię koni wyścigowych. Barrington uważa ją za jaskinię zbójców. A dla Rosie absolutnie nie wchodzi w grę możliwość brania w tym udziału. Zrobiłam kilka aluzji na temat tej dawnej historii – no i w rezultacie koń Rosie Trotting Diamond stoi teraz między folblutami Barringtona, a Rosie mieszka w jednym z jego pokoi dla służby. Barringtonowie mają bardzo okazały dom w mieście.

– Wiem! – roześmiała się Heather.

Miała znaczny udział w jego wyposażeniu, którego ważnymi elementami były jej obrazy olejne przedstawiające najlepsze konie wyścigowe.

– I w ten sposób obie różyczki brata Roberty będą teraz siały postrach na torze wyścigowym? – spytała Atamarie nieco zaniepokojona. – Bo zgodnie z tym, co opowiadała o nim Roberta i teraz lord Barrington... Nie ma podstaw do obaw?

Chloé wzruszyła ramionami.

– Ufam lordowi, on już będzie na nie obie uważał. Do Barringtona należy połowa toru, nie mówiąc już o połowie Addington. A nadszedł też czas, aby Rosie była dorosła. Ale teraz wracając do ciebie, Atami. Jak było w Temuka?

Heather pozwoliła bratanicy mówić i zgodnie z jej oczekiwaniami była to opowieść pełna słów zachwytu. Młoda kobieta mówiła o radości Richarda ze spotkania z nią i o jego entuzjazmie już na sam widok silnika. Chloé słuchała w milczeniu i od czasu do czasu spoglądała pytająco na przyjaciółkę. Wydawało się, że doskonale wie, iż wersja Heather w znacznym stopniu będzie odbiegać od tego, co właśnie słyszała.

– Chcesz tam jechać jeszcze w czasie tych wakacji? – spytała w końcu Chloé.

Atamarie machinalnie bawiła się kosmykiem włosów.

– Pewnie – odpowiedziała. – Było przecież tak pięknie. A silnik...

– Proszę, żadnego seminarium technicznego – przerwała jej Chloé. – Automobile to rzeczywiście coś pięknego. Jechałam już jednym z nich, Heather, lord Barrington ma bzika nie tylko na punkcie koni – ale to, jak one funkcjonują, jest mi zupełnie obojętne. Bardziej interesuje mnie, jak ty

funkcjonujesz. Mówiąc szczerze, liczyłam się z tym, że od razu tam zostaniesz, skoro jesteś tak zwariowana na punkcie tego młodego człowieka. A jeśli nie – to czy to z powodu tej dziewczyny? Owej „gospodyni”?

Atamarie nagle zaczęła sprawiać wrażenie podenerwowanej. Sprawę Shirley udało jej się wyprzeć ze swoich myśli. Bo rzeczywiście młoda kobieta nie pokazała się na farmie tak długo, jak długo ona tam była.

– Nie wiem, czy jego coś łączy z Shirley – przyznała w końcu. – Ale jeśli nawet, to raczej nic poważnego. Ja... – Dziewczyna mówiła teraz szybko, zanim Chloé i Heather zdążyły otworzyć usta i zaprotestować przeciwko jej wyobrażeniom na temat mniej lub bardziej poważnych związków. – Ja chcę w każdym razie wiedzieć, co będzie dalej z silnikiem. I z samolotem. Chciałabym, aby Richard spełnił to marzenie. To wtedy on mnie też...

– Wtedy będzie cię kochał? – Tym razem to Heather zadała to fatalne pytanie.

Atamarie zagryzła wargi.

– Wtedy wszystko będzie inaczej! – stwierdziła ze stoickim spokojem.

Po krótkich odwiedzinach u Richarda Atamarie spędziła kolejny miesiąc wakacji w Parihaka. I jadąc tam, nie wiedziała, czy ma nadzieję, że zostanie tam Rawiri, czy też obawia się tego. Ku jej zdziwieniu młodego *tohunga* już tam nie było.

– Czy on znów odwiedza jakiegoś konstruktora latawców i siedzi u jego stóp, ucząc się kolejnych *karakia*? – spytała Atamarie kpiąco Panię, matkę Rawiri. – Przecież technikę porzucił, a nie można już zbudować lepszych latawców niż te, które konstruuje Rawiri. I nie można sprawić, aby one jeszcze lepiej latały. No, chyba że odczepi się linki i będzie się sterować nimi śpiewem.

Pania się roześmiała. Była lekarką w szpitalu w Parihaka i podobnie jak Atamarie miała niezbyt dobre zdanie o przesadnej skłonności do duchowości swojego syna.

– Żadnych kolejnych *tohunga*, Atamarie, za co jestem wdzięczna, choć Kocham Parihaka i ducha tej wsi. Ale właściwie widywałam Rawiri częściej na uniwersytecie, a nie przy śpiewaniu modłów i klejeniu latawców. Tak, wiem, to jest wielka sztuka naszego ludu, Atamarie, ale gdyby miał zajmować się tylko tym? W każdym razie jestem ci wdzięczna za to, że wskazałaś mu inny kierunek. Od kiedy byłeś u nas ostatnim razem, Rawiri abonuje „Scientific American Magazine”, był przez dwa semestry w szkole inżynierskiej w Wellington, a teraz jest w Stanach Zjednoczonych.

– Gdzie on jest? – Atamarie była tak zdumiona, że upuściła więcierz, który naprawiała, aby móc wieczorem łowić ryby. – W Ameryce? – spytała raz jeszcze.

Pania skinęła głową.

– W mieście o nazwie Dayton, nie mam pojęcia, gdzie ono dokładnie leży. Ale jest tam fabryka rowerów, Wright Cycle Company. I on tam pracuje.

Atamarie zmarszczyła czoło i zabrała się do swojej pracy.

– I musiał jechać aż do Ameryki, żeby budować rowery? Nie mógł tego robić gdzieś w Auckland? To znaczy... mam na myśli to, że to jest podróż przez cały świat, najpierw przecież trzeba jechać do Chin czy jakoś tak i...

– Tak, był trzy miesiące w drodze – potwierdziła Pania. – I nie pytaj mnie, co on tam dokładnie robi, bo listy też idą trzy miesiące. W każdym razie już tam dotarł i tyle wiem.

Atamarie wzruszyła ramionami.

– On był zawsze dziwny – zauważyła i zaczęła się zastanawiać, czy dotyczyło to wszystkich mężczyzn, który ona uważała za choćby trochę atrakcyjnych.

Pobył Atamarie w Parihaka minął tym razem bez żadnych znaczących wydarzeń, choć było wielu młodych mężczyzn, którzy się do niej zalecali. Dziewczyna ich odtrącała – nie chciała kolejnych

komplikacji. Po trzech tygodniach łowienia ryb, tkania, tańczenia i rzeźbienia w jadeicie miała znów dość ducha Parihaka i postanowiła przed rozpoczęciem kolejnego roku studiów odwiedzić krewnych w Dunedin – i oczywiście po drodze można było zatrzymać się w Timaru.

Choć Atamarie nie chciała się do tego przyznać, to jednak obawy Chloé i Heather wywarły na nią pewien wpływ. Posłuchała więc rad obu kobiet i przynajmniej nie przyjechała do Temuka bez zapowiedzi. Wynajęła pokój w hotelu w Timaru i pojechała do Temuka wynajętą bryczką, choć martwiły ją związane z tym konieczność poniesienia dodatkowych wydatków i bardzo powolny koń. Na miejscu zaskoczyła ją całkowita przemiana, jaka nastąpiła u Richarda. Młody mężczyzna powitał ją pełen takiej energii, zapału do pracy i radości, że Atamarie miała wrażenie, iż on sam nie wie, czy ma ją najpierw zaciągnąć do warsztatu w szopie czy też do łóżka. W czasie pobytu Atamarie w Parihaka dokładnie zapoznał się z budową silnika i snuł teraz nowe plany budowy maszyny latającej. Znowu prawie nie potrzebował odpoczynku ani snu, choć sprawiał wrażenie bardziej odprężonego. Atamarie była uradowana, kiedy wciągnął ją w tajniki konstrukcji samolotu. Richard zdecydowanie odrzucił pomysł budowania dwupłatowca, a jego rysunki były teraz niemal takie same jak rysunki latawca Rawiri. Atamarie była jednak zdania, że te ostatnie sprawiały wrażenie bardziej eleganckich. Wzięła ołówek i nieco zmieniła rysunek przedstawiający konstrukcję.

– Zastosowałabym więcej poprzecznych prętów i umocowałabym je pod pewnym kątem – zauważyła. – To przecież bambus, Dick, parę gramów więcej nie gra roli. Ale za to samolot będzie bardziej stabilny.

Ucieszyła się, kiedy Richard zaakceptował pomysł poprawienia poprzecznych prętów. Powierzchnie nośne były wprawdzie nadal statyczne, ale on wyjaśnił niemal euforycznie, że stabilność tej maszyny jest o wiele lepsza niż wszystkich poprzednich modeli. Richard sprawdził to, utrzymując konstrukcję na jednej tylko powierzchni i popychając ją, co też zaraz zademonstrował Atamarie. Dziewczynę znów dziwiła niesłychana wprost energia, której musiał do tego użyć. Poruszał całą konstrukcją bez śladu zmęczenia.

– Nie wyrwie mi się, nawet jeśli biegnę obok i wprawiam ją w ruch. Tym razem to się uda, Atami, tym razem nie wyląduję w żywopłocie!

Atamarie też miała taką nadzieję, ale chichotała w duchu na samą myśl o tym, jaki widok mieli znów jego sąsiedzi, bo z pewnością nie było to czymś zwyczajnym w Temuka, że ktoś ciągnął za sobą na sznurku swój samolot jak psa na spacer.

– Oni nazywają go moją bestią! – przyznał Richard ze śmiechem, kiedy wyraziła swą myśl głośno. – I tym razem musi polecieć, bo rzeczywiście zrobię z siebie głupca.

Atamarie się cieszyła, że znów był w stanie śmiać się z samego siebie. Richard sprawiał wrażenie rozbawionego, ale i pewnego siebie, i lepiej sobie radził z codziennym dniem. Także bez Shirley, która nie pojawiła się w czasie kolejnej wizyty Atamarie, ale mimo to dom nie był tak zapuszczony jak dawniej. Oczywiście w kuchni i w pokojach można było dostrzec ślady gospodarowania mężczyzny – Atamarie musiała najpierw pozamiatać i dać świeżą pościel do łóżka, zanim poczuła się naprawdę dobrze – ale tak chyba wyglądało każde kawalerskie gospodarstwo.

Pracą na farmie zajmował się nadal Hamene. Młody Maorys z żalem wzruszył ramionami, kiedy Atamarie zapytała go o Shirley.

– Richard ją odesłał – odpowiedział z nieszczęśliwą miną. – Albo sama odeszła, nie wiem. Mr Pearse jest zły z tego powodu, a *missis*...

Atamarie nadstawiła uszu. Najwyraźniej Hamene był świadkiem jakiegoś konfliktu w rodzinie.

– Tak? – spytała zaciekawiona. – I co oni mówili?

Hamene bezradnie uniósł ręce.

– Nie znam przecież dobrze angielskiego – przyznał. – Rozumiem tylko połowę. Ale chodziło o to, że Richard jest niewdzięczny. I że Shirley była tutaj, kiedy on jej potrzebował, a ty...

– No, mnie przecież przepędzili – zauważyła Atamarie jadownicie. – Przecież chciałam z nim zostać! Hamene popatrzył na nią poważnie.

– Tobie by się to nie podobało – stwierdził w końcu z wahaniem.

Atamarie zmarszczyła czoło.

– Co? – spytała.

Hamene zagryzł wargę.

– To było... to znaczy, kiedy Richard wrócił ze szpitala. On był... on był jak... martwy. W każdym razie nic nie robił. Ani na farmie, ani w szopie. Tylko siedział i patrzył. Waimarama mówiła, że opadła go ciemność. Modliła się za niego.

– On w ogóle nic nie robił? – zdziwiła się Atamarie.

Z trudem mogła w to uwierzyć. Ten jego zapał i gorączkowość, bezsenność, pokłady energii, z jakimi prezentował jej swoje plany, niesłychana liczba pomysłów. Ale z drugiej strony... W ciągu sześciu miesięcy ani razu nie napisał do Atamarie!

– W każdym razie wtedy przyszła Shirley – opowiadał dalej Hamene. – I powoli było coraz lepiej. Ale teraz jej nie ma.

– A teraz Richard ma mnie! – oświadczyła Atamarie z triumfem. – Już jej nie potrzebuje!

Hamene popatrzył na młodą kobietę sceptycznie, ale milczał.

Potem Atamarie przyjeżdżała częściej do Temuka, także wtedy, kiedy dawno skończyły się ferie uniwersyteckie. Była szczęśliwa, patrząc, jak postępuje praca nad budową maszyny latającej. Richard też nie sprawiał wrażenia tak lekkomyślnego jak przed rokiem, lecz poddawał swój samolot niezliczonym testom przed decydującą próbą. Peterson przewracał oczami, obserwując Cranky Dicka, jak ciągle nazywał Richarda, na jego łące. Richard puszczał swój aparat latający w dół po wzgórzu, biegł za nim i obsługiwał dźwignię sterującą za pomocą przywiązanych do niej linek.

– Może to cudo pociągnie kiedyś twój pług! – dokuczał mu, kiedy Richard przywitał się z nim w biegu. A potem dostrzegł Atamarie. – Ach, i Miss Turei znów tu jest.

Atamarie śledziła próbny rozbieg aparatu Richarda ze wzgórza.

– W dodatku sprawia wrażenie uskrzydłonej, prawda? – dodał złośliwie.

Atamarie nie odpowiedziała, pogardzała Petersonem i irytowała się na sam jego widok. W czasie swoich ostatnich odwiedzin nie widywała nikogo z rodziny Richarda ani z sąsiadów, ale teraz wszyscy z pewnością będą strzepić sobie języki. Nie można było tego zmienić, lecz Atamarie nie zamierzała się już ukrywać. zaproponowała, aby przeprowadzić pierwszą próbę lotu publicznie, na głównej ulicy miejscowości.

– Tam przynajmniej jest w miarę równo – stwierdziła Atamarie i dodała, że należy to zrobić zaraz przed szkołą i tak, aby wszyscy mogli się temu przyglądać.

Richard stronił jednak od publiczności.

– Nie chcę, żeby się śmiali, kiedy znowu coś pójdzie nie tak – wyjaśnił. – Najlepiej zrobmy to potajemnie.

Teraz, kilka dni przed decydującym wydarzeniem, znów zaczął w siebie wątpić. Z pewnością także dlatego, że jego ojciec kolejny raz go zbeształ. Próby syna, który kierował „bestią” i biegał z nią, nie uszły uwagi Digory’ego Pearse’a.

Atamarie przewróciła oczami i pozbierała naczynia ze stołu. Ugotowała dziś obiad dla Richarda i zjadła razem z nim, ciesząc się, że znów znalazł na to czas. W ostatnich tygodniach martwiła się, bo tak bardzo pochłonął go projekt, że ani nie jadał należycie, ani też nie sypiał dostatecznie długo.

– Potajemnie, Richardzie? Pierwszy lot zmotoryzowanym samolotem? Richardzie, ty przecież chcesz tego dnia zacząć pisać historię! Twoje nazwisko znajdzie się w każdej gazecie, a za pięćdziesiąt lat prawdopodobnie w każdym podręczniku szkolnym i leksykonie. Ale do tego potrzebujesz przede wszystkim świadków. Nigdy nie będzie dość ludzi, którzy mogliby coś takiego potwierdzić, a najlepiej by było, gdybyś poszukał fotografa i zaprosił paru reporterów. Powinniśmy nawet nadać twojemu samolotowi imię!

Richard prychnął.

– Imię? Jesteś przy zdrowych zmysłach? Przestań z tymi głupstwami. To jest maszyna. A nie pies czy koń!

– Ale przecież statkom nadaje się imiona! – odparła Atamarie. – I zeppelinom też. Ludzie powinni pamiętać twój samolot, byłoby dobrze, gdyby jego imię pojawiło się w gazetach.

Zagryzła wargi i w duchu zabroniła sobie marzyć o tym, że Richard mógłby nazwać samolot „Atamarie” lub przynajmniej „Wschód Słońca”. Jednak on zdecydowanie potrząsnął głową.

– Dziecinne bzdury! – oświadczył. – A w ogóle najpierw muszę wznieść się w powietrze, żeby pisali o mnie w gazetach. Pozwól, abym poleciał, i wtedy możesz o mnie opowiedzieć całemu światu!

Od tego Richard nie dał się odwieść, ale oświadczył, że jest gotów przeprowadzić eksperyment na drodze publicznej. Choć co prawda nie w samym środku wsi, lecz nieco poza nią, powyżej jego farmy. Richard miałby opuścić samolot, aby zjeżdżał ze wzgórza, już po włączeniu silnika, a potem go podnieść, kiedy nabierze prędkości. Atamarie sądziła, że to mogłoby zadziałać, nawet jeśli pewne drobiazgi w konstrukcji były nieco inne niż te, na które nie zgodził się Richard. W ostatnim czasie Richard znów był bardzo drażliwy i mało odporny na krytykę i Atamarie naprawdę nie wiedziała, na co właściwie może sobie pozwolić. Ale teraz z pewnością mógł odnieść jakiś sukces i uczcić to – Richard był w stanie ciągłej euforii. I choć Atamarie raczej nie była w odpowiednim nastroju, w noc poprzedzającą dzień ponownej próby lotu doprowadzał ją raz po raz do stanu krańcowej rozkoszy – znów wydawał się kimś zupełnie innym niż wiecznie niezadowolonym guzdrałą, jak miało to miejsce ostatnio.

A potem wreszcie nadszedł ten dzień. Atamarie i Richard wykorzystali poranek na ostatnie testy, a około południa Richard rzeczywiście wciągnął samolot powyżej skrzyżowania dróg przed szkołą i było to właśnie to miejsce, które zaproponowała Atamarie. Lekcje w szkole właśnie się skończyły i dzieci stanowiły ich najważniejszą, bardzo wdzięczną publiczność. Choć co prawda szybko znaleźli się też inni widzowie, już kiedy Richard przeprowadzał pierwsze próby uruchomienia silnika. Atamarie była przerażona, kiedy to akurat się nie powiodło. Podczas ostatniej próby wszystko przecież szło dobrze, a teraz silnik zawarczał kilka razy i umilkł. Atamarie jęknęła.

– Jakie paliwo tam wlałeś, Dick? Jakąś nową mieszankę? O nie, proszę, tylko nie to, ustaliliśmy przecież, że już nie robimy z tym eksperymentów! Teraz znów musimy wyczyścić świece zapłonowe. Mam to zrobić?

Spojrzała z żalem na swoje ubranie. Na ten ważny dzień włożyła prostą, ale czystą, jasnozieloną suknię. Suknię reformowaną, jedną z kreacji Kathleen, której krój podkreślał jej figurę. Znakomicie pasującą do jej blond włosów – i do małego kapelusza. Atamarie nie sprawiałaby więc egzotycznego wrażenia, gdyby ktoś chciał zrobić fotografię i miała nadzieję, że plotki sąsiadów też nie przekroczą rozsądnych granic. W tym dniu uwaga wszystkich miała się skoncentrować na próbie lotu Richarda, a nie na kobiecie u jego boku, choć z całą pewnością wszyscy plotkowaliby na jej temat, gdyby w chwili triumfu Richarda miała na sobie pogniecioną i poplamioną olejem suknię.

– Ja to zrobię! – odpowiedział Richard.

W jego głosie słyhać było irytację, jak gdyby oferta Atamarie go obrażała. A ona przecież wiele razy

czyściła cylindry i zmieniała zamiast niego olej. Potrafiła to zrobić równie dobrze jak on, ale Richard chyba nie chciał, aby teraz widzieli to jego sąsiedzi. A tych było coraz więcej na miejscu wielkiego wydarzenia i padły już pierwsze uszczypliwe uwagi. Nic dziwnego, bo Richard majstrował na oczach wszystkich przy silniku, a Atamarie próbowała rozładować napięcie, prowadząc lekką konwersację. Było jej bardzo nieprzyjemnie rozmawiać z Hansleyem i Petersonem o pogodzie, podczas gdy zdenerwowanie Richarda rosło. Atamarie martwiła się też z powodu coraz silniejszego wiatru, co mogłoby wpłynąć na zachowanie samolotu, bo w końcu był to tylko rodzaj latawca wspieranego siłą silnika.

Atamarie zaczęła się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej wystartować nie w stronę farmy Pearse'a, lecz dokładnie w przeciwnym kierunku, ale nie chciała tego proponować Richardowi – i tak był już dostatecznie zdenerwowany. I w tym momencie, kiedy widzowie zaczęli się już powoli rozchodzić, silnik nagle zaskoczył!

Richard wskoczył na siedzenie pilota – także tu przeprowadził sporo poprawek, większa ruchomość miała zapobiec zranieniom w razie wypadku – i maszyna zaczęła się toczyć w dół. Widzowie zaczęli teraz biec za aparatem latającym i patrzyli podekscytowani, jak w pewnej chwili zaczął wznosić się w powietrze! Atamarie nie mogła się powstrzymać. I mimo że nie przystało to damie, zaczęła krzyczeć z zachwytem, kiedy samolot lekko jak ptak szybował ponad dziesięć stóp nad ziemią. Ale wówczas dziewczyna potrząsnęła gwałtownie głową. Richard manipulował sterem wysokości i najwyraźniej chciał wnieść się jeszcze wyżej.

– Dick, powoli! – krzyknęła z całych sił, choć wiedziała, że on nie może tego usłyszeć. – Nie wznos się pod tak ostrym kątem, bo samolot straci stabilność i...

I wtedy to się stało – kiedy jeszcze krzyczała. Dziób maszyny uniósł się, samolot stracił równowagę, zwłaszcza że z boku uderzył wiatr. Aparat latający Richarda zaczął wirować, opadając, i spadł... na żywopłot. Widzowie, którzy dotychczas milczeli z podziwu, wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Ten żywopłot ma jakąś niesłychaną siłę przyciągania – śmiał się Peterson. – Chodźcie, idziemy go wyciągnąć!

Farmerzy spokojnie ruszyli w tamtą stronę.

– Ale tym razem leciał! – zawołała Atamarie. – Widzieliście to przecież wszyscy, prawda? Tym razem leciał!

Hansley się roześmiał.

– Tak, tym razem leciał. Jednak proszę nie brać mi tego za złe, mała lady, ale gdyby każdy ptak tak lądował, to ten gatunek zwierząt dawno by wymarł.

Pozostali mężczyźni zgodnie skwitowali tę uwagę głośnym śmiechem.

– Nasz Dicky to ciągle taki kiwi, a nie jaskółka – zadrwił inny sąsiad. Kiwi był ptakiem biegającym po ziemi i w dodatku ślepym.

Atamarie miała jak najgorsze przeczucia. Nawet po udanym locie Richard w tej okolicy, wśród tych ludzi, nie będzie miał łatwego życia. A w dodatku wszystko wskazywało na to, że znów był ranny. Trzymał się za ramię, kiedy Peterson i Hansley wyciągnęli go z samolotu, który na szczęście nie był uszkodzony, co stwierdziła po jednym spojrzeniu. Postanowiła nie zwracać uwagi na gapiących się widzów i spontanicznie chwyciła Richarda w ramiona.

– Udało ci się! – powiedziała, starając się, aby brzmiało to radośnie, choć jego pochylona postawa i puste, nieruchome spojrzenie nie wróżyły nic dobrego. – Leciałeś, Richardzie! Jesteś pierwszym, który tego dokonał! Samolot wznosił się w powietrze! Ty dzięki sile silnika...

– Ja nie leciałem – odpowiedział Richard.

Brzmiało to niemal obojętnie. Nie zareagował też na uściski Atamarie. Wpatrując się nieruchomo

w jeden punkt, pozwolił, aby Peterson wepchnął go na wóz.

– Zawieziemy cię lepiej do szpitala, zdaje się, że coś jest złamane.

Atamarie spróbowała jeszcze raz.

– Ale przecież wszyscy to widzieli, Richardzie! Wszyscy mogą o tym zaświadczyć! Ty jesteś...

– Ja nie leciałem – wyszeptał Richard.

Atamarie patrzyła skonsternowana, jak mężczyźni odwozili go do miasta.

ROZDZIAŁ 5

– Jeszcze raz, Miss Turei! Proszę opowiadać, ale powoli i od początku, dokładnie! Richard Pearse zamontował nasz stary silnik spalinowy do aparatu latającego i to się wzniosło w powietrze?

Profesor Dobbins prowadził Atamarię do swojego biura. Właściwie miał teraz prowadzić wykład, ale studenci mogli poczekać. Atamarię szła za profesorem uradowana i pełna ulgi, że się tym zainteresował. Od chwili lotu Richarda w ubiegły wtorek zaczęła powoli wątpić w jego zdrowy rozsądek albo przynajmniej w zdolność postrzegania. Ten człowiek tworzył historię, ale świadkowie potrafili jedynie drwić z jego nieudanego lądowania w żywopłocie. Rodzice Richarda zaczęli mu robić wyrzuty, kiedy znów trafił do szpitala, tym razem ze złamanym obojczykiem. A sam pionier lotów powtarzał, że lot się nie odbył. Rodzina Richarda zignorowała Atamarię w holu szpitala, gdzie ona czekała na wiadomości o jego zdrowiu. Lekarz oświadczył jej krótko, że Mr Pearse nie życzy sobie odwiedzin, ale wpuścił Shirley, która przyjechała ze swoimi rodzicami, najwyraźniej zdenerwowana tak jak Pearse'owie.

Atamarię nie wiedziała w końcu, co ma robić, i uciekła do hotelowego pokoju w Timaru. Następnego ranka postanowiła pojechać do Christchurch i opowiedzieć Dobbinsowi o swojej przygodzie. Profesor ani słowem nie skomentował jej nieobecności na zajęciach, wręcz przeciwnie – był poruszony sukcesem Richarda.

– To rzeczywiście niesłychane! – zachwycał się. – I pani bez wątpienia ma w tym swój udział, Miss Turei, proszę nie zaprzeczać! Ale dlaczego właściwie dowiaduję się o tym dopiero teraz, kiedy to miało miejsce już w ostatni wtorek? Przecież o tym już dawno powinny pisać gazety! I to ze zdjęciami. Czy ktoś to sfotografował? Takie rzeczy trzeba udowodnić, Miss Turei, ale przecież pani o tym wie.

Atamarię skinęła głową i zdecydowała się zwierzyć ze wszystkiego profesorowi. Opowiedziała mu o troskach Richarda przed lotem, o jego braku umiejętności zrozumienia swego triumfu – i przyłapała się w końcu na tym, że dokładnie opisała dziwne wahania nastroju i kłopoty z rodziną swego przyjaciela.

Dobbins wzruszył ramionami. Był technikiem, a nie duszpasterzem. Jednak problemy Richarda najwyraźniej też nie uszły jego uwadze.

– Pearse był zawsze... No, zawsze miał skłonności do melancholii – stwierdził profesor ku zaskoczeniu Atamarię, kiedy raz jeszcze opowiedziała mu o dziwnej reakcji Richarda na próbę lotu. – Coś takiego obserwowano już u geniuszy, takie chwile zwątpienia w siebie samego, a potem stany euforii. A on z pewnością jest geniuszem! I wsparciem mogłaby być rodzina. Albo... narzeczona! Nie chcę być niedyskretny, ale jesteście przecież parą, prawda? Musi go pani raz po raz sprowadzać na ziemię, Miss Turei, w tym wypadku raczej w powietrze! On musi to zrobić jeszcze raz! Mówi pani, że samolot nie został uszkodzony? A jeśli nawet, to on go musi naprawić i dokonać jeszcze jednej próby – na oczach świata, a nie kilku wieśniaków z wyżyny Waitohi! Proszę zaalarmować prasę, ale w żadnym wypadku „Timaru Timesa”, czy jak się nazywa ten szmatławiec, lecz „The Press” w Christchurch, „Otago Daily Timesa”, a najlepiej jednocześnie kilka gazet w Wellington i Auckland. Pani wie przecież, że ten aparat wznosi się w powietrze, czyli nie ma ryzyka, jeśli chodzi o sprowadzenie reporterów. Proszę zrobić z tego wydarzenie, Atamarię, zanim ktoś ubiegnie pani Richarda! Zmotoryzowany lot... – Profesor się roześmiał, ale mówił z naciskiem dalej: – Taki lot w najprawdziwszym sensie tego słowa musi się odbyć w powietrzu. Inni już nad tym pracują. Niech więc pani udokumentuje, że pani ukochany był pierwszy!

Atamarię westchnęła. Widziała przed sobą rozpromienioną twarz profesora i myślała o pustych

oczach Richarda. *Ja nie leciałem...*

Jak miała go zaciągnąć do prasy?

Atamarie poczekała jeszcze jeden weekend, zanim znów pojechała do Timaru. Nie wiedziała, jak długo goi się złamanie obojczyka, ale nie było to jakieś ciężkie zranienie. Richard z pewnością był już na swojej farmie. O ile rodzice nie wzięli go do siebie, aby wyzdrowiał u nich. Z pewnością jego matka chciała się nim zająć. Atamarie przygotowała się więc na kolejne rozczarowanie – w żadnym wypadku nie chciała konfrontacji z rodziną Richarda. W takim wypadku postanowiła wracać od razu nocnym pociągiem. Na wszelki wypadek chciała wynająć pokój w hotelu w Timaru – i była zaskoczona, kiedy okazało się to nie takie proste.

– Mogę pani zaoferować jedynie niezbyt przytulne pomieszczenie – powiedziała właścicielka pensjonatu, w którym zwykle nocowała Atamarie. Była zawsze uprzejma i dyskretna i nigdy nie komentowała ani słowem tego, że Atamarie nie spędzała u niej większości nocy, za które płaciła. – I to tylko dlatego, że jest pani kimś... w rodzaju stałej klientki i nie chcę pani odsyłać z kwitkiem. Ale teraz jest doroczny jarmark rolniczy, wie pani, wystawiane jest wszystko, począwszy od wielkich dyń, a skończywszy na dużych bykach hodowlanych. Przyjechali wszyscy farmerzy z okolicy, a kto mieszka daleko, to wynajmuje pokój.

Timaru było centrum okręgu, który sięgał aż do oddalonego o prawie trzydzieści mil Waimate. Nie opłacało się jechać tak daleko na jeden dzień, a już zwłaszcza wtedy, kiedy trzeba było transportować byki hodowlane i dynie.

Atamarie podziękowała gospodyni – i swojemu losowi. Richard nie przyjedzie do Timaru, aby prezentować to, co udało mu się wyhodować. Ale przynajmniej Joan Peterson z pewnością paliła się do tego, aby zobaczyć wystawę dyń. Na pewno także Hansleyowie, Shirley i jej matka, będą chciały zaprezentować swoje dynie o niezwykłych rozmiarach, a przy odrobinie szczęścia także rodzice i rodzeństwo Richarda. Atamarie miałyby wtedy swego przyjaciela dla siebie. W nieco lepszym nastroju skierowała więc wypożyczonego konia na drogę prowadzącą do wsi, ciesząc się z jednej strony, że zobaczy Richarda, ale z drugiej żałując straconej szansy: jarmark w Timaru byłby idealną okazją do zaprezentowania samolotu Richarda przed większą publicznością. A wokół miasta było pod dostatkiem wzgórz. Ale Atamarie rozumiała, że musi dodać Richardowi ducha przed następną próbą lotu. Postanowiła być wdzięczna losowi za każdy najmniejszy drobiazg, kiedy nie zastała na podwórzu Richarda zaprzęgu Petersona ani Digory'ego Pearse'a. Richard nie przyprowadził jeszcze tutaj swego samolotu. „Bestia” wisiała ciągle na żywopłocie.

Farma na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie opuszczonej, ale potem Atamarie dostrzegła, że Hamene robił coś w szopie. Naprawiał pług, co zaalarmowało Atamarie. Od kiedy to Richard powierzał młodemu Maorysowi troskę o swoje sprzęty i narzędzia? Richarda na farmie nie obchodziło prawie nic, ale jego maszyny były zawsze w doskonałym stanie.

Atamarie właśnie chciała zapytać o to Hamene, ale wtedy dostrzegła Waimaramę. Stara Maoryska akurat wychodziła z domu.

– Ja ją zawołałem – odezwał się Hamene i spojrzał na Atamarie wzrokiem, w którym była prośba o zrozumienie. – Pomyślałem, że ona... może potrafi pomóc. Bo Richard znowu... on znowu nic nie robi, wiesz?

Atamarie zrozumiała przynajmniej tyle, że Hamene wykorzystał nieobecność rodziny Richarda do własnych celów. Ale do czego była Richardowi potrzebna maoryska znachorka? Teraz jednak skłoniła się z szacunkiem przed starą kobietą. Waimarama popatrzyła na nią badawczo.

– Wróciłaś? – spytała. – Chcesz teraz zostać?

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Obawiam się, że nikt mnie o to nie będzie pytał. Ale chcę... Waimarama, bez względu na to, co on mówi i jak się czuje: on leciał! Tylko trzysta albo czterysta jardów, ale...

– On pragnął światła, ale jego droga prowadziła w ciemność – powiedziała Waimarama. – Może bogowie nie chcą dzielić z nim nieba...

Atamarie zwalczyła niedobre przeczucie. Dokładnie tak samo wyraził się Rawiri. Ale to oczywiście była bzdura.

– Może te duchy w żywopłocie mają niezbyt zdrowy stosunek do nauki – odparła kpiąco. – I to te duchy powinniśmy zakląć, Waimarama, żeby go nie przyciągały swoją magiczną siłą. On leciał, Waimarama, tu nie ma co debatować. I powinien być z tego dumny, zamiast zadrećcać się myślami. Bo on to robi, a może źle zrozumiałam, Hamene?

Waimarama podniosła bezradnie rękę.

– On jest teraz zbyt słaby, aby przezwyciężyć ciemność.

Atamarie westchnęła.

– Powinien zadać sobie trochę trudu – stwierdziła. – Czy on jest w domu? To pójdę do niego i spróbuję go rozweselić.

Ruszyła w stronę domu – odważnie i nie kryjąc pewności siebie. A przecież nie była pewna, czy odniesie jakiś sukces. A widok Richarda też nie wróżył niczego dobrego. Młody mężczyzna siedział przy kuchennym stole z głową pochyloną nad „Scientific American”, ale najwyraźniej nie widział przed sobą tekstu. Raczej wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w litery, dokładnie tak samo, jak przed dwoma tygodniami patrzył na swój aparat do latania i na ożywioną twarz Atamarie.

– Atamarie! – Richard podniósł głowę, kiedy weszła, ale wcale nie zamierzał wstać ani też objąć ją i przywitać.

– Chcesz znowu pomagać przy żniwach? Ale żniwa już skończone. Musimy teraz orać... i zapłacić dzierżawę... i siew...

Atamarie zdecydowanie podeszła do niego i pocałowała go – tylko w oba policzki. Richard woniał tak, jak gdyby nie mył się dwa tygodnie, a ubranie miał brudne i pogniecione. Były to ponowne oznaki zaniedbania. Czysty dom i podwórze należało zawdzięczać Hamene i może Shirley.

– Żniwa się skończyły, zanim poleciałeś! – powiedziała energicznie. – A o tę całą resztę nie musisz się martwić. Dobbins mówi, że masz sukces w kieszeni, jeśli wszyscy będą mówić o twoim locie w zmotoryzowanym samolocie.

Richard uśmiechnął się łagodnie.

– Ale ja nie leciałem, Atamarie. Najwyżej... kilka razy podskoczyłem. Tak mówi Peterson, Atami. Kilka razy podskoczyłem. Jak zawsze. Ja...

Atamarie nie była osobą cierpliwą i poczuła narastającą wściekłość.

– Richardzie, to, co mówi Peterson, nie ma żadnego znaczenia. Musisz powtórzyć próbę lotu – najlepiej od razu, przed prasą. Ale jeśli nie ufasz sobie... zaproś Dobbinsa!

Ten pomysł właśnie przyszedł jej do głowy i Atamarie gratulowała sobie w duchu. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Od razu mogła zabrać tutaj profesora.

– Zaproś także jego studentów. Jeśli pół szkoły wyższej z Christchurch zobaczy, jak lecisz, nikt już nie będzie mógł temu zaprzeczyć!

„Także ty sam” – dodała w duchu. Ale na twarzy Richarda znów dostrzegła pusty, bezmyślny uśmiech.

– Ja nie leciałem – powtórzył.

Zanim Atamarie zdążyła coś odpowiedzieć, do domu weszła Waimarama.

– To dla niego nie jest ważne – powiedziała cicho. – On musi znaleźć drogę z ciemności, Atamarie.

Ty chcesz zrobić wszystko, aby on stał się sławny, i ja rozumiem, o co ci chodzi, Atamarie, nie jestem głupia...

Waimarama wskazała na leżące na stole czasopismo.

– Nie znam dobrze angielskiego i tylko trochę umiem czytać. Ale wiem, o co chodzi i jaka to jest ważna sprawa dla *pakeha*, aby wznieść w powietrze aparat latający. I wiem, że tego nikt nigdy jeszcze nie zrobił.

Atamarie skinęła głową ucieszona.

– Ale rozumiesz także, że on teraz musi się zmobilizować. Musi pokazać światu, że...

– On musi znaleźć drogę z ciemności – powtórzyła Waimarama.

Stara kobieta wyciągnęła wiązkę ziół – najwyraźniej planowała jakieś obrzędy, aby uwolnić Richarda.

Atamarie się poddała. Czuła, że jeśli wda się w dalsze dyskusje, to zwariuje. Znała Maorysów – Waimarama będzie powtarzała swoją diagnozę w kółko, podobnie jak Richard upierał się przy tym, że nie polecał. Atamarie potrzebowała zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Idę obejrzeć samolot – zwróciła się do Richarda.

Miała nadzieję, że on jakoś zareaguje, ale Richard opuścił głowę i zaczął wpatrywać się w czasopismo. Atamarie wybiegła, nie czekając, aż Richard, jak się spodziewała, zaprzeczy, że samolot w ogóle istnieje.

Wyszła przed dom, wprost w rześki i jasny jesienny dzień. Było słonecznie, choć chłodno, na niebieskim niebie dostrzegła tylko kilka postrzępionych obłoków. Nie wiał wiatr i było zupełnie cicho. Pomyślała, że to właściwie idealny dzień na próbę lotu. Przy takiej pogodzie Richard nie straciłby panowania nad maszyną. Zatopiona w myślach obeszła osławiony żywopłot i zaczęła oglądać samolot z drugiej strony. Rzeczywiście nie był uszkodzony. Giętkie bambusowe pręty zamortyzowały lądowanie w żywopłocie, jedynie napięte płótno, przymocowane do stelaża za pomocą drutu, obluźowało się w jednym miejscu. Atamarie naprawiła to kilkoma zręcznymi ruchami, a potem wyciągnęła samolot z żywopłotu. Był lekki, mogła poruszać nim bez trudu. Z zafascynowaniem obejrzała jego konstrukcję, a zwłaszcza silnik i ośmiopłatowe śmigło umieszczone powyżej siedzenia. Atamarie wsunęła się na siedzenie, aby skontrolować to małe cudo techniki. Swego czasu pomogła Richardowi je wykonać. A umieszczenie go z przodu było jej pomysłem. Atamarie dotknęła dźwigni steru i lotki i poruszyła je. Wiedziała, jak się obsługuje jedną i drugą, widziała przecież plany konstrukcji. I nie różniło się to aż tak bardzo od latawca Rawiri.

Chciałbym, abyś wypuściła w powietrze mojego manu. Twoje ręce głaskałyby linki, a on wznosiłby się zgodnie z twoimi najlżejszymi ruchami i zaniósł twoje posłannictwo bogom...

Nagle przypomniała sobie czułe i pełne tkliwości słowa Rawiri. I wzruszający dowód zaufania, kiedy rzeczywiście wsunął jej do rąk *aho tukutuku*, misternie splecione z lnu linki, za pomocą których można było sterować olbrzymim latawcem. *Manu* wznosił się w powietrze jak ptak, stał na wietrze pionowo, a Atamarie momentalnie opanowała zasadę manewrowania nim. Aparat latający Richarda należało utrzymywać w powietrzu poziomo.

– Nazwę cię „Tawhaki” – powiedziała Atamarie do samolotu, ciągnąc go na drogę, aby objechać żywopłot i umieścić go w szopie. – Od boga, który dał ludziom wiedzę.

Samolot toczył się lekko koło niej. Nie były potrzebne konie, aby wciągnąć go na wzgórze... Atamarie zagryzła wargi. Nie mogła opanować nagłej, śmiałej myśli, która właśnie przyszła jej do głowy. Gdyby wciągnęła samolot na skrzyżowanie przed szkołą... Nikt by jej nie zobaczył. Szkoła była zamknięta, a wszyscy sąsiedzi pojechali na jarmark. A gdyby nawet ktoś coś zobaczył – z daleka można było wziąć jej niebieską suknię za niebieski kombinezon Richarda. A włosy... Czapka Richarda leżała

jeszcze w samolocie. Mogła je pod nią ukryć...

Atamarie drżała z podekscytowania, ale właściwie nic nie przemawiało przeciwko temu, aby dziś raz jeszcze wystartować samolotem. Mogłaby powtórzyć lot Richarda i udowodnić mu, że on nie zawiódł. Ale też nie odebrałaby mu sławy, bo nikt by jej nie rozpoznał.

Atamarie się zdecydowała i wciągnęła samolot na wzgórze – było to naprawdę łatwe. Miała nadzieję, że silnik zaskoczy – lepiej byłoby sprawdzić jego działanie w szopie. Ale Atamarie założyła, że wszystko pójdzie dobrze. Jeśli nie, to znaczy, że tak miało być.

I rzeczywiście silnik zaryczał głośno natychmiast po uruchomieniu. Pracował równo, nie zacinął się – Richard był zapewne zdenerwowany, kiedy go wtedy uruchamiał i prawdopodobnie zrobił coś źle. Atamarie, przytrzymawszy się siedzenia, odbiła się stopą od ziemi, aby rozpedzić samolot. Ruszył powoli, a ona miała czas wskoczyć na siedzenie i zacząć kontrolować jazdę. Atamarie wstrzymała oddech, kiedy maszyna zaczęła pędzić coraz szybciej – i instynktownie wyczuła właściwy moment. Pociągnęła dźwignię, a Tawhaki zaczął się powoli wznosić. Za chwilę osiągnął wysokość około piętnastu stóp i bez trudu dawał się kierować. Atamarie próbowała utrzymać samolot w równowadze, ale lot wzdłuż drogi uznała za zbyt ryzykowny. Gdyby ktoś nadszedł z naprzeciwka albo gdyby lądowanie się nie udało i samolot roztrzaskał się w ogrodzie Petersona... Zachichotała histerycznie na samą myśl o dyniach Joan.

Ale po chwili w polu widzenia pojawił się żywopłot i Atamarie postanowiła przewyciężyć jego czar. Poruszyła dźwignię lotki i była zaskoczona, widząc, jak posłusznie maszyna skreśliła zgodnie z jej ruchem. I jeszcze trochę wyżej... Atamarie podciągnęła Tawhaki o trzy stopy wyżej w powietrze i krzyknęła z radości, kiedy maszyna przeleciała nad żywopłotem! I tym razem to konie i kozy Richarda uciekały w panice do stajni, kiedy maszyna zbliżyła się do podwórza farmy. Atamarie, opuściwszy ją powoli, posadziła maszynę na ziemi na tym samym padoku, gdzie Richard ćwiczył sterowanie. Powierzchnia gruntu była tu równa i wznosiła się lekko. Tawhaki toczył się coraz wolniej, aż wreszcie się zatrzymał. Atamarie przepęłniało szczęście, kiedy wysiadła.

Hamene i Waimarama patrzyli na nią zdumieni, nie mogąc wymówić słowa.

– No, co tak patrzycie? Mówiłam przecież, że przyprowadzę tutaj samolot! – zawołała do nich Atamarie.

Hamene się roześmiał.

– Czy zaniósłś bogom swoje posłannictwo? – spytał.

Był to żart – aby pomówić z bogami, Atamarie musiałyby oczywiście wznieść się znacznie wyżej. Teraz wskazała na żywopłot.

– Pokazał paru bezczelnym duchom język! – wyjaśniła.

Waimarama nie odwzajemniła jej uśmiechu. Patrzyła poważnie w pełną radości i triumfu twarz Atamarie.

– Nie mów mu tego – poprosiła. – To nie pomoże. Zepchniesz go tylko w jeszcze większą ciemność.

Atamarie nikomu nie opowiedziała o swym locie, choć wydawało jej się, że pięknie, jeśli zatrzyma to tylko dla siebie. Ale nie mogła chwalić się tym przed Dobbinsem, a jej rodzina prawdopodobnie uznałaby ją za szaloną. I dopiero następnego dnia, kiedy wyruszyła w drogę do Christchurch, przyszło jej do głowy, komu mogłaby się z tego zwierzyć – i jednocześnie nie zdradzić siebie.

„Wiem – pisała do maoryskiego *tohunga* Rawiri – nie powinnam była tego robić, ale to było takie łatwe... I wydawało mi się wręcz oczywiste...”

Atamarie miała wrażenie, że słyszy miły, niski głos Rawiri: *Oczywiście, że to było łatwe – twój duch śpiewał właściwą pieśń. Bogowie powitali cię z radością, Atamarie Parekura Turei. Jesteś wybrana!*

ROZDZIAŁ 6

Doortje van Stout nie podjęła na razie żadnej decyzji. Dzień po swoim omdleniu znów zjawiła się w szpitalu, oferując swoją pomoc. Doktor Greenway dał jej jakąś lekką pracę i jako przyszła matka otrzymała też większe porcje jedzenia. Doortje bez słów przyjęła specjalny sposób traktowania. Teraz jasne i zrozumiałe stały się dla niej poprzednie objawy. Wilczy głód, z powodu którego się wstydziła, stan ciągłego zmęczenia i drażliwość. To wszystko były objawy ciąży. Gdyby zauważyła to wcześniej... Ale Cornelis i tak nie poślubiłby jej, wyjechał przeszczęśliwy z Daisy gdzieś do Pretorii, gdy tylko oficjalnie ogłoszono rozwiązanie obozu i uwolnienie jeńców wojennych. Ostatnie oddziały burskie wycofały się, a w maju planowano podpisanie ostatecznych traktatów pokojowych. Doortje i tak byłaby sama – z dzieckiem czy bez.

Ciągle jednak nie mogła sobie wyobrazić, że mogłaby opuścić swój kraj i podążyć za Kevinem do zupełnie innego świata. A jednocześnie nie chciała przyznać sama przed sobą, że zrobiłaby to nader chętnie. Byłoby to nie do pomyślenia – zdrada własnego narodu, rodziny i wszystkich wartości, które jej wpojono, także Kościoła, który odtrąciłby ją, kiedy jej brzuch się zaokrągli. Już teraz kobiety w obozie zaczęły jej unikać – i plotkować za jej plecami. A obozowe dziwki śmiały jej się prosto w twarz. Doortje wiedziała, że Kevin czeka na odpowiedź i że nie ma zbyt wiele czasu. Wojsko rozpoczęło likwidację obozu, a nowy komendant był oczekiwany na dniach.

I rzeczywiście pojawił się w czasie jednego z weekendów, kiedy Roberta i Vincent udali się na kilkudniową wycieczkę na weld. Pojechała na nią także Jenny oraz kilku angielskich oficerów – wszyscy się cieszyli, że będą mogli wreszcie w czasach pokoju podziwiać wspaniałą naturę tego fascynującego kraju. Kevin i pozostali Rough Riders podczas licznych patroli naoglądali jej się wprawdzie aż nadto, ale wielu mężczyzn stacjonowało w czasie wojny w Karenstad i ci w żadnym wypadku nie chcieli wracać do domu, nie spojrzawszy w oczy lwom. Aby uniknąć tego, że zbyt gorliwi obcokrajowcy będą chcieli atakować zwierzęta, Vincent zatrudnił jako przewodników kilku Zulusów z obozu Karenstad II. Ci chłopcy nie tylko potrafili czytać ślady i tropić, ale umieli znakomicie i przyjemnie zorganizować czas uczestnikom safari, podjęli się także rozstawiania namiotów i gotowania.

W obozowym szpitalu tego dnia gotowały pomocnice pielęgniarek, a Doortje zajęła się obieraniem ziemniaków przed domem. Coraz gorzej znosiła gęste, ciężkie powietrze w szpitalu, a innym kobietom i tak wołała schodzić z drogi. Jedyne Antje Vooren rozmawiała z nią od czasu do czasu, pozostałe kobiety szeptały za jej plecami o niej jako o domniemanej dziwce „Tommych”. A przecież musiały być wśród nich kobiety, które pamiętały Johannę i wiedziały, co spotkało ją i Doortje w czasie transportu do Karenstad. Prawdopodobnie było ich mało – wiele nie przeżyło sześciu miesięcy więzienia, inne zaś widziały tyle śmierci i chorób, że w ogóle nie myślały o tragicznych przejściach obu młodych kobiet. A przynajmniej nie liczyły miesięcy, a brzuch Doortje prawie nie był zaokrąglony. Większość kobiet sądziła, że dziecko Doortje zostało poczęto w czasie pobytu w obozie i możliwe było nawet, że stało się to wtedy, kiedy jej matka i rodzeństwo było już na łożu śmierci. Ostatnio kobiety nawet słuwały ostentacyjnie przed Doortje, kiedy ona szła im naprzeciw. Doortje wiedziała, że nie będzie w stanie zbyt długo tego znosić.

Teraz młoda kobieta zaczęła kroić obrane ziemniaki na małe kawałki i za wszelką cenę usiłowała odgonić chmary otaczających ją natrętnych much. Doortje znieruchomiała, kiedy kątem oka dostrzegła dużego czarnego konia zatrzymującego się przed domem kierownika obozu. Zsiadł z niego mężczyzna o blond włosach. Rozpoznała tę postać natychmiast, nawet jeśli nie mogła z tego miejsca dostrzec jego twarzy. Ale w pamięć wryły jej się precyzyjne ruchy colonela, jego zdradzające pewność

siebie gesty, szybki wojskowy chód. I wyprostowana postawa... Kawalerzysta – wszystko, tylko nie dżentelmen.

Obrane ziemniaki wypadły Doortje z ręki – kobieta wstała.

Kevin pracował nad dokumentami – w żadnym wypadku nie chciał przekazać obozu w takim stanie, jak to zrobił jego poprzednik, nawet jeśli oczekiwany kierownik komisaryczny odpowiedzialny był tylko za jego likwidację. Ale jeśli ktokolwiek chciałby dowiedzieć się czegoś o historii Karenstad, powinien był znaleźć wszystkie notatki na ten temat. Dokładne i uporządkowane. Kiedyś, Kevin był tego pewny, uwięzienie kobiet i dzieci w czasie trwania tej wojny będzie uchodziło za zbrodnię.

Prawie nie podniósł głowy, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Wiedział, że otworzy Nandé. Westchnął na samą myśl o czarnej dziewczynie. Także jeśli chodzi o nią, będzie musiał znaleźć jakieś rozwiązanie. Kevin miał nadzieję, że szczep Zulusów nie odtrąci tych członków, którzy nie mieli już rodziny, ale z drugiej strony – czy były tu jeszcze jakieś szczepy, które żyły zgodnie ze starymi tradycjami? I czy Nandé będzie potrafiła się tam odnaleźć, skoro właściwie całe dotychczasowe życie spędziła na farmie białych ludzi? I teraz usłyszał jej miły głos.

– Powitać, *baas* colonel! My pana czekać. Ja pana zapowiedzieć doktor, tak?

Odpowiedzią był głośny śmiech.

– No, cóż za miłe powitanie. Nie spodziewałbym się tego po starym Drurym. Taka miła mała czekoladka... czarna i słodka! Widzę już, że kochany doktor umie sobie osłodzić życie! I co? Zostaniesz ze mną, jak go zwolnię?

Kevin poczuł lodowaty dreszcz. Odłożył pióro i wstał. W głosie Nandé słyhać było teraz strach.

– Ja... ja nie rozumiem, *baas* colonel...! Ja pana zapowiedzieć...

W tym momencie Kevin otworzył drzwi do biura i najpierw uśmiechnął się przyjaźnie do kobiety.

– Już dobrze, Nandé, możesz iść. Nie będziesz już potrzebna.

A potem spojrzał w zmasakrowaną, pokrytą bliznami twarz Colina Coltrane'a i w jego brązowozielone oczy.

– Pan? – zapytał chłodno.

Colin się roześmiał.

– Tak, no i znowu się spotykamy, doktorze Drury. Ale bez obaw, nie jestem na pana zły, trochę kłopotów z powodu kilku martwych łotrów szybko poszło w zapomnienie. Najpóźniej wtedy, kiedy załatwiliśmy kolejne dwa oddziały. Znow wróciłem do łask wielkich szych w Pretorii. A w ogóle – piękna wojna. Żadnych oblężeń, armatnich kul, które latają koło uszu... Tylko kilku głupich wieśniaków, na których można polować jak na zające, o ile właśnie nie puszczą się z dymem ich domów. Miły kraj... Zostanę jeszcze jakiś czas. Jeszcze przez kilka lat potrzebna tu jest obecność wojska, żeby te typy stały się posłuszne.

Uśmiechnął się szeroko.

– A może się tu osiedlę. Sprzedam Burom kilka porządných koni i wezmę sobie jakąś śliczną dziewczynę. Jest ich tu dosyć.

Kevin patrzył na Colina Coltrane'a z nieukrywaną nienawiścią.

– Pan ma przejąć kierownictwo obozu? I repatriację rodzin? Kto wpadł na taki pomysł? Będę protestował przeciwko temu, Coltrane. Tutaj są żony i dzieci tych mężczyzn, których pan zabił.

Coltrane wzruszył ramionami.

– To była wojna, tak to już jest. Nie znajdzie pan oddziału kawalerii, który nie zastrzelił jakichś Burów.

– Pan spalił farmy tych ludzi. I oni pana rozpoznają!

Kevin poczuł bezradność. Coltrane miał rację: nie było istotnych powodów, aby nie przekazać jemu

i jego oddziałowi Rough Riders tego zadania. Ale mimo wszystko czuł sprzeciw na samą myśl o tym, że miałby wysłać swoich podopiecznych na wędrowkę do ich domów z Colinem Coltrane'em.

– No to wie pan, co może ich spotkać, jeśli nie będą słuchać – odparł Coltrane spokojnie. – Ale poza tym... jestem dżentelmenem, doktorze Kevinie Drury. Wiem, jak należy postępować z kobietami. Niech pan zapyta swoją siostrę, uroczą Matariki.

Kevin z trudem się opanował, aby nie wymierzyć mu ciosu pięścią prosto w twarz. Ale prawdopodobnie gorzej by na tym wyszedł. Colin Coltrane był z pewnością wyćwiczonym zabijaką. Colin udał, że nie widzi bezradnej wściekłości przeciwnika.

– Więc proszę mnie teraz oprowadzić – rozkazał z całym spokojem. – Możemy zacząć od pańskiego lazaretu – to będę musiał zlikwidować w pierwszej kolejności.

Kevin ruszył za nim jak oszołomiony. Będzie musiał coś wymyślić. A przynajmniej dołączy się do kolumny jeńców... ale przecież nie zdoła być wszędzie. I w ogóle nie wiedział, przed czym właściwie chciał chronić te kobiety i dzieci. Coltrane był oficerem, absolwentem akademii Sandhurst. Powinien był kontrolować swoich żołnierzy. O ile chciał ich kontrolować...

Coltrane i Kevin wyszli na dwór. Zalało ich jaskrawe, palące słońce Afryki. Kevin miał przed sobą spokojny, sielankowy wręcz obrazek: przed namiotem czarnych pomocnic pielęgniarek, w którym Greenway umieścił białe pomocnice i ich rodziny, bawiły się dzieci. Kevin rozpoznał dwie pociechy Antje Vooren i jakieś dwie starsze dziewczynki, które kobieta z powodu upału prowadziła właśnie do środka. Przy belce między domem a szpitalem stał przywiązany do niej kary Coltrane'a, a Vincent Taylor właśnie pomagał zsiąść z siwego kucyka Robercie Fence. Oboje sprawiali wrażenie zaniepokojonych i śpieszących się, zwłaszcza Vincent. Kevin się domyślał dlaczego. Uczestnicy safari zapewne dowiedzieli się w drodze o przybyciu Rough Riders do obozu. Vincent z pewnością wyruszył od razu, aby ostrzec Kevina – niestety za późno. Ale wcześniejsze zawiadomienie też niewiele by zmieniło. Choć co prawda lekarze mogliby omówić, co mogą zrobić, aby nie dopuścić do powołania Coltrane'a na likwidatora obozu.

Od strony szpitala zbliżała się Doortje van Stout. W normalnych okolicznościach Kevin cieszyłby się, mogąc ją zobaczyć. Jej ciągle milczenie i brak odpowiedzi na jego pytanie były co prawda denerwujące, ale serce Kevina zawsze biło mocniej na jej widok.

Jednak dziś coś zaniepokoiło Kevina. Doortje poruszała się sztywno, jej twarz była kredowobłada i całkowicie nieruchoma. Kobieta sprawiała wrażenie dziwnie spiętej – i coś trzymała w zaciśniętej pięści. Kevin nie był w stanie rozpoznać, co to było. Ale teraz nie mógł się tym zająć. Colin Coltrane, uśmiechając się szeroko, odwrócił się właśnie do Vincenta, który instynktownie zasłonił sobą Robertę.

– Jeszcze jeden stary znajomy! Kto by to pomyślał, nasz weterynarz! Wszyscy nasi intelektualiści na kupie. Brakuje jeszcze tego Bura... Jak on się nazywał?

Kevin zauważył z przerażeniem, że Doortje wpatruje się znieruchomiałym wzrokiem w Colina Coltrane'a. Kobieta wyraźnie drgnęła, słysząc jego głos, ale przyspieszyła kroku.

Roberta, która patrzyła na to z boku, krzyknęła ze strachem, kiedy zobaczyła nóż w ręku młodej burskiej kobiety. Coltrane spojrzał zirytowany. W tym momencie Kevin zrozumiał zamiar Doortje i ruszył do przodu. Było już za późno. Doortje van Stout całą swą siłą wbiła Coltrane'owi nóż w plecy. Ostrze trafiło w łopatkę, ale Doortje wciąż miała nóż w ręku. Zaskoczony Coltrane odwrócił się gwałtownie i chwycił za rewolwer przy pasku.

Kiedy Doortje znów podniosła zakrwawiony nóż, Kevin zareagował instynktownie. Mógł przeszkodzić Doortje albo Coltrane'owi. Ale gdyby przewrócił Doortje, Coltrane wyciągnąłby rewolwer i strzelił. Kevin nie mógł tego ryzykować. Rzucił się na Coltrane'a, chwycił go z tyłu za ramię i wykręcił je do tyłu. Nie zamierzał zrobić tego po to, aby Coltrane miał w tej chwili odsłoniętą pierś. I Doortje

przed sobą.

A Doortje bez chwili wahania wbiła mu nóż w pierś.

– To za Johanę, ty świnię! – krzyknęła i wyciągnęła nóż z rany. Coltrane sapał gwałtownie. Doortje zaś raz jeszcze wbiła ostrze noża między jego żebra. – A to za mnie! I za moje dziecko! I za...

Vincent i Roberta patrzyli na to zesztywniali z przerażenia i dopiero kiedy Doortje po raz trzeci chciała wbić nóż w pierś Coltrane'a, weterynarz podbiegł do niej i odciągnął ją.

– Doortje... na miłość boską, Doortje!

Doortje upuściła nóż, widząc, że ciało Coltrane'a wisi jak worek w ramionach Kevina, który wpatrywał się w nią z osłupieniem.

– On... To był on... – wyszeptała Doortje. – On i... jego ludzie. Oni mieli Johanę i ją... oni ją... A on... on... mnie...

Wybuchnęła gwałtownym płaczem, przyciskając zakrwawione ręce do brzucha. Kevin wypuścił ciało Coltrane'a, które osunęło się na ziemię, i chwycił ją w ramiona.

Vincent ukląkł koło ciała Coltrane'a, by poszukać jego pulsu.

– Nie żyje – powiedział.

Doortje przedziurawiła mu nożem płuca, a drugi cios trafił w serce.

Roberta się rozejrzała. Dookoła było zupełnie pusto.

– Co teraz zrobimy? – spytała.

Vincent patrzył nią, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Tu już nic nie można zrobić – stwierdził. – Mówię przecież...

Doortje i Kevin stali bez ruchu. Żadne z nich nie zamierzało nic robić.

Roberta poczuła znów ukłucie dawnego bólu, kiedy zobaczyła Kevina z inną kobietą. Przez głowę przemknęła jej myśl, którą sama uznała za przerażającą: jeśli wszystko pójdzie teraz zwykłym trybem, to Kevin nigdy nie zobaczy Doortje van Stout. Albo najwyżej w czasie procesu o morderstwo. Po którym Doortje zostanie powieszona – a wówczas Roberta będzie miała wolną drogę.

Ale niemal natychmiast przywołała się do porządku. Nie mogła poświęcić Doortje dla związku, który nie miał przyszłości. Roberta Fence przypomniała sobie o miłości, którą zawsze darzyła Kevina. I postanowiła ratować mężczyznę, który jej nigdy nie zauważał. Zdecydowanie trąciła Vincenta.

– Vincencie, ona go zamordowała! Jak to się wyda, to oznacza dla niej wyrok śmierci! A Kevin... O nieba, on go dla niej przytrzymał! To jest współludź, czy jak to się nazywa. Mam nadzieję, że nikt tego nie widział.

– My to widzieliśmy – wymamrotał ponuro Vincent. – Ale słyszałaś przecież. Coltrane ją... To on ją zgwałcił. A jej siostrę dał swoim ludziom...

Roberta podniosła ręce, jak gdyby chciała nim potrząsnąć.

– To powinna była na niego donieść. Ale nie wolno jej było zakłuć go jak... jak świnię. Jeśli teraz nic nie zrobimy, to będzie pociągnięta do odpowiedzialności.

– Tutaj, wziąć koc. – Nieśmiały głos Nandé przerwał rozpaczliwą próbę Roberty wyrwania Vincenta z letargu. – Wsadzić mężczyznę w koc. Dom? – Czarna dziewczyna wskazała na budynki zarządu.

Roberta z ulgą skinęła głową. Nandé prawdopodobnie także widziała morderstwo, ale jednak była w stanie myśleć. I możliwe, że mogła też pomóc. A oni wszyscy z pewnością mogli jej zaufać.

– Vincencie, szybko, zanim ktoś przyjdzie! – wezwała Roberta weterynarza, który cały czas jak w szoku wpatrywał się w zabitego. – Zawin go w koc. A ty mu pomóż, Nandé. Zanieście go do...

– Do szopy – poradziła Nandé.

W szopie, w której tak chętnie by się urządziła, nie było nic oprócz mioteł i jakichś rupieci. Nikt nie znalazłby tam przypadkowo zwłok.

– A ty, Kevinie, zaprowadź Doortje do domu.

Roberta była jedyną osobą, która była w stanie jasno myśleć. Sił dodała jej pomoc Nandé. Należało wszystko zrobić bardzo szybko. Teraz, w najgorętszej porze dnia, na placu między budynkami gospodarczymi nie było nikogo. Kobiety leżały w cieniu swoich namiotów, w szpitalu zajmowano się zapewne gotowaniem obiadu. Ale ten spokój nie mógł trwać długo. Doktor Greenway pojechał rano do obozu czarnych i w każdej chwili mógł wrócić. A po południu przyjmował u siebie pacjentów.

Vincent zmobilizował się do działania. Zawinął zwłoki w koc i zdecydowanym ruchem przerzucił je sobie przez ramię. Młody weterynarz był silniejszy, niż przypuszczała Roberta, i nie potrzebował pomocy Nandé. Ale czarna dziewczyna dostrzegła inną możliwość pomocy.

– Ja to sprzątnąć...

Wskazała kałużę krwi na ziemi. Roberta zaczęła intensywnie myśleć. Jak usunąć krew z piaszczystego placu.

– Dobrze, Nandé. Zobacz, co możesz zrobić. A ja pójdę do szpitala i sprawdzę, czy byli jacyś świadkowie. Wprawdzie nie sądzę, bo kobiety wyszłyby z namiotów, gdyby to widziały, ale nigdy nie wiadomo. Zwłaszcza jeżeli chodzi o te burskie kobiety. W razie czego będziemy musieli im wyjaśnić, co on zrobił. Wtedy będą milczeć.

– Milczeć? – spytał Kevin nieprzytomnie.

Roberta jęknęła.

– Kevinie, weź się w garść. Mamy tylko dwie możliwości: albo będziemy wszyscy milczeć o tym, co tu się stało, albo twoja ukochana pójdzie do więzienia i ty też. Chcesz tego? A teraz zaprowadź ją do domu!

Inspekcja Roberty w szpitalu ku jej zadowoleniu nie okazała się konieczna. W przedniej części budynku nie było nikogo, a pierwsza sala chorych była pusta. Antje Vooren, która rozdzielala jedzenie w drugiej sali, spytała o Doortje.

– Ona była jakaś dziwna. Wbiegła do środka i wrzuciła ziemniaki do zupy, ale przecież nie wszystkie były obrane. Powiedziała coś jakby „nie mogę” i wybiegła. Niedobrze jej się zrobiło?

Roberta w pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, ale rozmyśliła się.

– Tak, dostała torsji. I była potem całkiem słaba. Doktor Drury zajmuje się nią...

Antje Vooren uśmiechnęła się ze zrozumieniem, ale przyjaźnie. Trudno było nie zauważyć stosunku Kevina do Doortje i jego zalotów. Kobiety zaczynały podejrzewać, że to on jest ojcem dziecka.

– A ja chciałam spytać, czy... czy mogę pomóc. – Roberta miała nadzieję, że usłyszy „nie”, i odetchnęła, kiedy *mevrouw* Vooren rzeczywiście potrząsnęła głową.

– Poradzimy sobie. – Obok Antje Vooren jeszcze dwie burskie pomocnice pielęgniarek zajmowały się nielicznymi pacjentami, ale one raczej nic nie widziały. Były akurat w innych pomieszczeniach szpitala. – Doktora Greenwaya też jeszcze nie ma... A później... No, kiedy pani już jest, to zaraz wróci też siostra Jenny. Pomoże nam, zanim pójdzie do swoich Kafrów...

Roberta poczuła dreszcz przerażenia na myśl o przyjaciółce. Oczywiście Jenny była na safari i powinna lada chwila wrócić. Jak trzeba, ona także będzie milczeć. Ale sprawa robiła się coraz bardziej niebezpieczna wraz z każdą osobą, która o niej wiedziała.

– To idę – powiedziała do kobiet – i zobaczę, co z Miss van Stout.

Słyszała za sobą chichoty i aluzje w afrykanerskim. Najwyraźniej kobiety były zdania, że Doortje jest w dobrych rękach...

Roberta zobaczyła z ulgą, że plamy krwi na placu już nie było. Nandé właśnie rozsypywała w tym miejscu piasek.

– Nikt nie będzie widzieć... *baas*... Miss... – Nandé sobie przypomniała, że ani pielęgniarce, ani młoda nauczycielka nie chciały, aby zwracać się do nich z wiernopoddańczym *baas*. – Ja tak robić na farmie często, jak zarzynane świnię...

Roberta skinęła głową i poszła w stronę domu. W ręce zaciskała kurczowo szmacianego konika, którego zawsze nosiła w kieszeni sukni.

W biurze Vincent mówił coś gwałtownie do Kevina. Doortje siedziała skulona w fotelu, a Kevin klęczał przed nią i gładził jej drżące, zakrwawione ręce. „Ona musi się umyć – przemknęło Robercie przez głowę – i zmienić suknię”. Na koszuli Kevina, podobnie jak na fartuchu Doortje, także widać było plamy krwi.

– Oczywiście, że to nie była obrona konieczna, Kevinie, zacznij wreszcie myśleć! – Vincent pobiegł do szafki, w której stała whisky. Zapewne myślał, że dzięki niej Kevin oprzytomnieje. – Ona zamordowała go z zimną krwią i nie wyjdzie z tego bez szwanku. Nawet wtedy, kiedy opowiemy, jak to było i co zrobił Coltrane. Musimy więc wymyślić coś innego. Walkę czy coś podobnego. Myśl, Kevinie! Jak mogło do tego dojść?

Wyjął butelkę i napełnił szklanki. Dla siebie, Kevina i kobiet. Kevin próbował wlać łyk Doortje.

Roberta wzięła swoją szklankę i zaczęła gorączkowo rozmyślać. Wspólne wyjaśnienie śmierci Coltrane’a było dobrym pomysłem. Ale walka? Kto miałby walczyć? I nic nie wyjaśniało rany Coltrane’a na plecach.

– A gdyby... – powiedziała cicho. – Gdyby ten typ w ogóle tu nie przyjechał?

Vincent wyjechał wozem z obozu w biały dzień. Tak jak się spodziewali, przy bramie nie było nikogo. Od kiedy kobiety były oficjalnie wolne, nikt już nie zasiadał w zakurczonym domku strażnika. Weterynarz zaprzągnął kucyka Lucie należącego do Roberty, a ona sama jechała obok na ognistym karym Coltrane’a. Bała się śmiertelnie i nikt, kto popatrzyłby z bliska, nie uwierzyłby, że to jest czarna łagodna klacz Colleen należąca do Vincenta. Ale jeśli ktoś patrzył z daleka – czarny koń to czarny koń. Nikt nie miałby podstaw do podejrzeń. Zwłoki Coltrane’a leżały na wozie przykryte workami i ciągle zawinięte w koc, aby nigdzie nie została plama krwi.

– Dlaczego nie pogrzebiemy go po prostu na naszym cmentarzu? – spytał Kevin, kiedy Roberta przedstawiła mu swój plan. – To niebezpieczne jechać tak gdzieś daleko przez całe mile.

Po drugiej whisky był zdolny wziąć udział w dyskusji na temat dalszych planów. Szok powoli ustępował i Kevin coraz jaśniej zdawał sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji tego, co się stało. Jeśli znajdą zwłoki Coltrane’a i zostanie wszczęte dochodzenie, ktoś będzie musiał stanąć przed sądem. Kevin myślał początkowo, aby wziąć to na siebie, ale gdyby poszedł do więzienia, Doortje zostałaby bez żadnej opieki, zdana wyłącznie na siebie wraz z dzieckiem. Jedyną możliwością było zniknięcie zwłok Coltrane’a i jego konia – i kłamstwo, że nigdy nie pojawił się w obozie. Nie było to jednak takie proste.

– Od tygodnia nie mieliśmy przypadku śmierci – zauważyła Roberta. – Jeśli teraz nagle pojawi się świeży grób, co powiesz Greenwayowi? A jeśli ten Coltrane dał komuś znać, że jedzie do obozu, to będą go tutaj szukać. I kiedy ktoś się dowie, że nie byliście najlepszymi przyjaciółmi, to tym bardziej będą go szukać. Nie, nie, on musi stąd zniknąć. Trzeba go wywieźć daleko. Bardzo daleko.

Kevin znów wypił łyk whisky.

– Ale dokąd chcecie go zawieźć? W jakąś boczną uliczkę w Karenstad? Bójka w knajpie?

Roberta zagryzła wargę z namysłem.

– Też może być. Ale to ryzykowne. Jak nas ktoś zobaczy... Nie, nie, myślałam...

– ...o weldzie – wszedł jej w słowo Vincent. – Do...

– ...lwów – dokończyła Roberta i spojrzała na Vincenta porozumiewawczo.

Po raz pierwszy dzieliła z nim jakąś myśl.

W końcu zaprzężona do wozu Lucie spokojnie truchtała, a obok jechał koń Coltrane'a z Robertą w siodle. Kevin i doktor Greenway zajmowali się chorymi w szpitalu, Nandé – domem i Doortje, która ciągle sprawiała wrażenie sparaliżowanej. Łatwo było znaleźć drogę, którą czarny przewodnik jeszcze rankiem prowadził Robertę i Vincenta do obozu, ale wóz nie jechał tak szybko i był późny wieczór, kiedy dotarli do tego miejsca na weldzie, gdzie spędzili poprzednią noc. Czarni boye zwinęli już namioty i pojechali za całą grupą. Tylko ślady ogniska i zdeptana trawa na sawannie świadczyły o niedawnej obecności ludzi.

Roberta drżała, pomagając Vincentowi ściągnąć zwłoki z wozu. Weterynarz najpierw rozpalił ognisko i sporządził prowizoryczne pochodnie, aby oświetlić wóz w drodze powrotnej. Żyjące w buszu zwierzęta trzymały się wtedy daleko od ognia – bały się ludzi, a jeszcze bardziej ognia.

– Czy one w ogóle tu przyjdą? – spytała wystraszona Roberta.

Vincent położył zwłoki pod drzewem, po czym spalił zakrwawiony koc.

– Czy lwy są w ogóle... padlinożercami?

Vincent wzruszył ramionami.

– Jak nie lwy, to kojoty albo sępy. A one się zjawiają, jak tylko zgaśnie ogień. Najpóźniej pojutrze będzie tu tylko kilka kości. Jeśli je ktoś znajdzie – to tym lepiej. Najważniejsze, że nie ma zwłok z raną po nożu w plecach. A teraz chodź. A może chcesz się pomodlić?

Roberta potrząsnęła głową. Chciała jak najszybciej odjechać. I oprzeć głowę na ramieniu Vincenta. Ciągle nie wiedziała, czy go kocha, ale знаła go już lepiej, niż kiedykolwiek znała Kevina Drury'ego. Może nie był taki zawadiacki jak Kevin i nie tak przystojny. Ale był... taktowny i delikatny. Roberta, drżąc, patrzyła, jak zdejmuje karemu Coltrane'a uzdę i wiesza ją na krzaku, aby wyglądało to tak, jak gdyby koń sam ją sobie zdarł.

– Może lepiej byłoby ją zostawić, ale wówczas mógłby się jednak o coś zaczepić. Powodzenia, stary!

Vincent klepnął konia w szyję, podniósł ramiona i spłoszył go. Kary natychmiast ruszył galopem i popędził przez weld, jak gdyby go coś ścigało.

– On się boi – westchnął Vincent i podszedł do wozu. Pochodnie jeszcze płonęły, podczas kiedy ognisko ledwie się żarzyło.

– Proszę, Miss... Chodź, Roberto!

Roberta wspięła się na kozioł. Nie broniła się, kiedy Vincent objął ją ramieniem.

– Gdzie właściwie masz swoją maskotkę przynoszącą szczęście? – spytał z zainteresowaniem, aby przerwać pełne napięcia milczenie, które panowało między nimi w drodze powrotnej przez ciemność.

– Ten szmaciany konik. Dziś byłby nam potrzebny.

Roberta potrząsnęła głową.

– Nie, to... nie potrzebowalibyśmy go. On... wiesz, on nie przynosi mi zbyt wiele szczęścia. W każdym razie nie takie, jakiego bym sobie życzyła.

Vincent pochylił się do niej i musiał się opanować, aby nie pocałować jej włosów.

– Nie zawsze jesteśmy szczęśliwi dzięki spełnionym życzeniom, wiesz? – wyszeptał. – Czy masz to... od mężczyzny? Czy byłaś... mu obiecana? I czy dlatego tak trudno jest ci... zacząć coś nowego? Czy dlatego nie możesz mnie pokochać?

Ostatnie słowa wypowiedział niemal wbrew własnej woli.

Roberta potrząsnęła głową.

– On... nigdy mi niczego nie obiecywał – odpowiedziała cicho. – To był... to był tylko rodzaj marzenia...

Vincent przyciągnął ją bliżej do siebie.

– A więc mogłabyś go już wyrzucić – zaproponował.

Roberta skinęła głową.

– Mogłabym – wyszeptła.

Zanim dotarli do Karenstad, pozwoliła, aby Vincent ją pocałował.

Ale nie wyrzuciła szmacianego zwierzątka.

Koń Colina Coltrane'a jeszcze tej samej nocy przybiegł do koszar w Karenstad, ale po jeźdźcu zaginął wszelki ślad. Kilka osób w mieście widziało go, jak gdzieś jechał, w końcu trudno było nie zwrócić uwagi na twarz o tak licznych bliznach. Ale potem ślad się urwał. Przepytywania w obozie jeńców nie przyniosły rezultatu, także patrole, których zadaniem było tropić niedobitki rozproszonych burskich oddziałów, wróciły z niczym. W końcu uznano colonela Coltrane'a za zaginionego w akcji. A ponieważ nie podał żadnego adresu w ojczyźnie, także w Nowej Zelandii nikogo o tym nie zawiadamiano.

Kevin Drury i Dorothea van Stout pobrali się dzień po oficjalnym ogłoszeniu pokoju w kościele w Pretorii. Doortje życzyła sobie ślubu zgodnie z obrządkiem Kościoła niderlandzkiego, ale sama ceremonia ją rozczarowała. Kapłan zwracał się do nich krótko i bezosobowo, a jego parafianie opuścili kościół, kiedy dowiedzieli się o narodowości pana młodego. I w uroczystości wzięli udział tylko Vincent i Roberta, doktor Greenway, Jenny, Daisy i Cornelis. Pojawili się także lekarz sztabowy doktor Barrister oraz doktor Preston Tracy.

– Do pioruna, że też jest mi dane tego dożyć! – śmiał się doktor Barrister. – Zawsze pan mówił, doktorze Tracy, że nasza żelazna lady ma słabość do Drury'ego, bo w drugą stronę nie mogłem tego nie dostrzec. Ale że coś takiego... Że tak się to skończy... – Wskazał na wyraźnie już zaokrąglony brzuch Doortje.

– W Dunedin byłoby piękniej – stwierdził Kevin z żalem, kiedy w końcu prowadził Doortje do hotelowego pokoju.

Młoda kobieta była blada i wyraźnie zmęczona. Nietrudno było rozstać się z małą grupką gości weselnych.

– Ale możemy to potem nadrobić.

– A kto mówi, że musi być pięknie? – spytała Doortje z zaciśniętymi zębami. – I... co chcesz, żebym teraz robiła?

Kevin westchnął. Po śmierci Coltrane'a Doortje pozwoliła się przytulić, ale okazało się, że było to tylko krótkie intermezzo. Wprawdzie następnego dnia zgodziła się na ślub, lecz zaraz potem zachowywała wobec niego wyraźny dystans i mówiła tylko to, co najkonieczniejsze. Także samą ceremonię zniosła ze stoickim spokojem i uparła się, aby włożyć na nią czarną suknię – biały czepek, koronkowy kołnierz i także mankiety tylko trochę złagodziły jej nieskazitelną barwę. Doortje tego dnia w niczym nie przypominała szczęśliwej narzeczonej.

– Nic nie musisz robić – odparł Kevin znużony. – Tylko spać. To był męczący dzień. A jutro pojedziemy do Durbanu, skąd za dwa dni odpływa nasz statek.

W ciągu następnych dni wyjeżdżali wszyscy. Vincent wracał do domu, do Nowej Zelandii, statkiem transportującym oddziały wojskowe. Miał utrzymywać kontakt z Robertą i był przeschęśliwy, kiedy pozwoliła mu się pocałować na pożegnanie. Daisy i Cornelis także wyjeżdżali do Durbanu, bo tam Daisy czuła się swobodniej niż w Pretorii. Doktor Greenway i Jenny towarzyszyli kobietom repatriowanym z Karenstad w okolice Wepener.

Kevin, który dawno już zakończył służbę w armii, zabukował dla siebie i Doortje podróż do Australii, a potem do Dunedin. Roberta postanowiła jechać razem z nimi. Fundacja Emily Hobbouse rozwiązała z nią umowę i Roberta nie miała nic przeciwko temu, aby dzielić kabinę z Nandé, której

zabranie wyprosiła u Kevina Doortje.

– Ona właściwie należy do rodziny – powiedziała sztywno. – W pewnym sensie. I jestem za nią odpowiedzialna.

Kevin uznał to za znak początku zmiany jej sposobu myślenia na temat czarnych i białych. Roberta czuła jednak niechęć Doortje, kiedy Nandé nieśmiało wchodziła za nimi na pokład, a steward niósł za nią jej skromny bagaż tak samo jak za białymi pasażerami.

– Gdyby to zależało od Doortje, to Nandé w najlepszym wypadku należałoby umieścić w pomieszczeniu ładunkowym – wyszeptała Roberta do Daisy, która odprowadzała ją na pokład. – A przedsiębiorstwo żeglugowe też nie jest zachwycone czarną pasażerką, chociaż to australijski statek i wszyscy są ponoć bardzo tolerancyjni i otwarci. Już mi dano do zrozumienia, żeby ona jadła w naszej kabinie, aby nie ranić uczuć afrykanerskich podróżnych... Jak gdyby ona była jakimś meblem! Ale tak całkiem nie zamierzam się temu podporządkowywać. Jeśli o mnie chodzi, to możemy jadać w kabinie, ale nie pozwolimy się w niej zamknąć na całą podróż. A będę uczyć Nandé! Kiedy dotrzemy do domu, będzie umiała czytać, pisać i mówić po angielsku lepiej niż Afrykanerzy!

To ostatnie nie było trudne. Burowie zawsze upierali się przy tym, aby ich służący porozumiewali się z nimi łamanym afrykanerskim.

– To ci się z pewnością uda!

Daisy się roześmiała i zaraz miała okazję być świadkiem ożywionej rozmowy młodej kobiety ze stewardem. Roberta Fence nie uciekała już przed miłością bez przyszłości. I nie była już nieśmiała.

– Sprzedam ci twoją ziemię – powiedział do Doortje Cornelis na pożegnanie. On także odprowadzał Drurych na pokład. – I prześlę ci pieniądze.

Doortje popatrzyła na niego chłodno.

– Nie zadawaj sobie zbędnego trudu – powiedziała. – Ty ją już sprzedałeś.

Zmierzyła pogardliwym spojrzeniem jego i stojącą obok Daisy.

– Tak to się chyba mówi po angielsku, prawda? Zdradzona i sprzedana?

Cornelis podał Kevinowi rękę na pożegnanie, ale cofnął się, kiedy ten chciał go przyjacielsko objąć.

– Życzę powodzenia i szczęścia – powiedział, zerkając na Doortje wpatrującą się na widniejące na horyzoncie Góry Smocze. – Ono będzie panu potrzebne.

ROZDZIAŁ 7

Atamarie może zrezygnowała by ze wszystkiego, co było związane z Richardem Pearse'em i jego lotem. Zbyt wielkie przeżywała rozczarowanie, widząc go siedzącego całymi godzinami i słuchając, jak mówi beznamiętnym głosem o nic nieznaczących sprawach dnia codziennego. A przy tym nie będąc zauważaną ani jako kobieta, ani przyjaciółka. Ale profesor Dobbins ciągle ją nakłaniał, aby spróbowała wywrzeć jakiś wpływ na Pearse'a.

– Proszę nie myśleć tylko o nim, Miss Turei, lecz także o sobie, o naszym kraju! Wszędzie prowadzi się intensywne badania i próby, aby osiągnąć to, co udało się komuś z Nowej Zelandii! Pani sama miała w tym udział, pani, a poprzez pani osobę także lud Maorysów! Pani...

– Maorysi uważają lot z zastosowaniem silnika za całkowicie zbędny – odparła gniewnie Atamarie. Otrzymała właśnie list od Panii. Matka Rawiri dziękowała jej za list i obiecywała przekazać go synowi oraz podawała jego adres. Ale list miał oczywiście iść całymi miesiącami. – Oni wprawdzie są zainteresowani rozmową z bogami, ale w tym celu wypuszczają latawce i nikt nie musi trudzić się osobiście.

Dobbins się roześmiał.

– Ach, w to akurat nie wierzę, proszę sobie przypomnieć historię o Pa Maungaraki i o lotniku, który użył latawca i poleciał nim sam, aby otworzyć bramy zwycięzcom.

Atamarie zmarszczyła czoło.

– A skąd pan zna tę historię? – spytała.

Profesor się uśmiechnął.

– Od pewnego młodego Maorysa, który starał się tu o przyjęcie na studia. I przyjęlibyśmy go, ale on przeczytał o pracy u braci Wright i był zdania, że dzięki nim prędzej osiągnie swój cel.

Atamarie nadstawiła uszu. Czy chodziło o Rawiri?

– Jak się nazywają ci bracia? – spytała.

Pierwszy raz słyszała o Wilburze i Orville'u Wrightach.

W każdym razie dała się przekonać i znów pojechała do Temuka, ale tylko po to, aby stwierdzić, że aparat latający zniknął.

– Co się z nim stało? – spytała Shirley bardzo zdenerwowana Atamarie.

Młoda kobieta powitała ją tym razem bez uśmiechu, ale też nie odważyła się po prostu wyprosić jej z domu. Zwłaszcza że Richard znów coś robił na podwórzu i sprawiał wrażenie kogoś, z kim można rozmawiać. Był także bardziej zadbany niż w czasie ostatniej wizyty. Atamarie powitał spokojnie, ale sprawiał wrażenie bardzo czymś zaabsorbowanego. Shirley najwyraźniej patrzyła na to z zadowoleniem.

– Och, z Dickiem jest o wiele lepiej – powiedziała do Atamarie. Chyba zakładała, że młoda kobieta pyta o swojego przyjaciela. – Jego ojciec przemówił mu do rozsądku i od kiedy nie ma już tej piekielnej maszyny...

Atamarie spojrzała na Shirley z przerażeniem.

– Mr Pearse zabrał samolot? A może zniszczył? Och, Shirley! Richardzie! Powiedźcie, że to nieprawda!

Shirley się skrzywiła, a Richard nie zareagował wcale. Atamarie z rozpaczą rozglądała się po farmie. W końcu jej wzrok zatrzymał się na Hamene. Przynajmniej on powie jej prawdę.

– Hamene! – odezwała się błagalnym głosem do Maorysa. – Gdzie jest samolot?

Kamień spadł jej z serca, kiedy Hamene się uśmiechnął.

– Ptak... – Hamene użył słowa *aute*, którym czasami określano latawce – ...stoi u nas w *marae*. Zabrałem go, kiedy Mr Peterson zaczął tak pożądliwie spoglądać na silnik, a ojciec Richarda zaczął się zastanawiać, ile mógłby za niego dostać pieniędzy, gdyby go sprzedał. To pomyślałem, że go zabezpieczę. Ten ptak to coś... hm... że tak powiem, coś świętego. On wzniósł się w niebo i... no, i zaniósł bogom pewne posłanie...

Hamene mrugnął porozumiewawczo do Atamarie, a ona miała wręcz ochotę rzucić mu się na szyję.

Ale Shirley też zrozumiała, o co chodzi.

– Pytasz o samolot? A Richard jest ci zupełnie obojętny?

Atamarie spojrzała na nią ze złością.

– Widzę, że Richard żyje i ma się dobrze – odparła.

Richard cały czas przykręcał jakieś śrubki do swojej maszyny rolniczej i nie patrzył ani na Hamene, ani na kobiety.

– Ale miałam podstawy, aby się obawiać, że ktoś zniszczył jego marzenie. Shirley, ten samolot jest dla niego ważny! Jego marzeniem zawsze było latanie. On mówi o tym, od kiedy go znam. I nagle ma z tego zrezygnować? Tylko dlatego że wylądował na tym głupim płocie?

Shirley dumnie podniosła głowę.

– Człowiekowi nie jest dane latać! – oświadczyła. – Richard musi to zrozumieć. Może to Bóg postawił ten płot na jego drodze.

Atamarie chwyciła się za czoło.

– Ludzie będą latać, Shirley! I to na pewno! A jeśli Bóg umieścił te krzaki na drodze, to tylko po to, aby on przeleciał ponad nimi. Ale z pewnością nie po to, aby w nich utknął!

Odwróciła się do Richarda.

– Kto wciska się pod krzaki, Richardzie, nie może się dziwić, że jest ciemno!

To powiedziawszy, dosiadła konia i ruszyła w kierunku maoryskiej wsi.

I wkrótce potem delikatnie, niemal z miłością dotykała palcami powierzchni nośnych maszyny latającej, którą Hamene umieścił na wzgórzu powyżej *marae* – w pozycji do startu. Atamarie uznała to za szczęśliwy przypadek. I upięła teraz włosy tak, że zmieściły się pod czapkę Richarda. A tu było dostatecznie daleko od farm *pakeha* i nikt nie będzie słyszał ryku silnika...

Atamarie sprawdziła, czy było dość paliwa. A potem włączyła silnik, zaczęła zjeżdżać w dół wzgórza – i poleciała!

Oczywiście przed wieśniakami z wyżyny Waitohi nie dało się ukryć faktu, że Cranky Dick – albo przynajmniej ktoś, kogo oni za niego uważali – znów latał w ostatnich miesiącach. Atamarie miała szczęście, że nigdy nie pytali o to Richarda. Ale może Peterson i pozostali sąsiedzi wstydzili się trochę z powodu swej złośliwości po ostatniej nieudanej próbie lotu. Niczyjej uwagi nie uszedł też fakt, jak bardzo Pearse potem zamknął się w sobie, i oczywiście plotkowano też o tym, czy tym razem całkiem zwariował. Ale wydawało się, że jednak trochę wrócił do siebie. Zwłaszcza że wykonywał wszystkie prace na farmie i od czasu do czasu pokazywał się gdzieś przy okazji towarzyskich spotkań, zazwyczaj w towarzystwie uroczej Shirley Hansley. Nikogo nie dziwiło jednak to, że znów zajął się swym oryginalnym hobby – jego rodzina i sąsiedzi byli tego świadkami niejednokrotnie. Dick Pearse stale znajdował się albo w euforii, całkowicie wycofując się z życia, albo też w stanie nudnej normalności – i to ostatnie wszyscy przypisywali faktowi, że ojciec od czasu do czasu porządnie zmywał mu głowę. Nie trwało to jednak wiecznie i wieśniacy się nie dziwili, że Richarda Pearse'a znów ciągnęło do chmur. Jedyna różnica między poprzednimi próbami a obecnymi polegała zdaniem sąsiadów na tym, że nie kończyły się one na żywopłocie. Ostatnio człowiek ptak, jak nazywali go z kąśliwym uśmiechem

ludzie, używając częściej maoryskiego określenia, denerwował chyba bardziej Maorysów niż ich białych sąsiadów. Ale doniesienia o tym, że maszyna lata, pojawiały się coraz częściej. I to pokonując dalekie odcinki – pewien zdumiony farmer opowiadał nawet o prawie dwóch tysiącach jardów. A poza tym wszystko wskazywało na to, że „bestią” można było sterować – trzech pomocników przy zniwach mówiło jednym głosem, że maszyna zawróciła, kiedy pilot ich zobaczył.

– Chyba nie chce rzucić się w oczy – stwierdził Peterson, wzruszając ramionami. – Ale z drugiej strony to właśnie cały Cranky Dick: ma coś, co działa, i trzyma to w tajemnicy.

Jeśli chodziło o oficjalną próbę lotu, Atamarie cały czas próbowała wywrzeć jakiś wpływ na Dicka. Nie przyznawała się nawet przed sobą, że była to jej wymówka i pretekst, aby znów pojechać do Temuka – i polatać. Choć powoli zaczynało to przynosić pozytywne rezultaty. Stan Richarda zmieniał się powoli, męczyzna stawał się coraz bardziej otwarty i wydawało się wręcz, że budzi się z czegoś w rodzaju snu. Wprawdzie nadal zaprzeczał temu, że odniósł sukces, ale rozmawiał z Atamarie, interesował się jej studiami i tym, co się działo w Christchurch. Atamarie zdawała tej zimy pierwsze egzaminy i miała zamiar skończyć studia w rekordowo krótkim czasie. Gdyby wszystko poszło po jej myśli, to zdawałaby ostatni egzamin przed Bożym Narodzeniem.

I wówczas, krótko przed tym, kiedy Atamarie wynajęła pokój w hotelu na tydzień, Richard zaczął z nią znów sypiać. Zrobił nawet pierwszy krok i zaczął się o nią energicznie starać. Atamarie się cieszyła i była szczęśliwa już po pierwszej miłosnej nocy.

Jeśli jednak miała być szczerą, wszystko to, co ją tak pociągało w Richardzie, w ostatnich miesiącach nie było już tak silne. W tej chwili jej ukochany dosłownie rozkwitł, ale Atamarie powoli dochodziła do wniosku, że ten męczyzna jest dla niej zbyt trudny i że nie odwzajemnia jej miłości tak, jak ona tego oczekiwała. Wiedziała już, że będzie musiała zakończyć ten związek, ale raz jeszcze chciała zrobić Richardowi prezent.

Shirley znów znikła, kiedy tylko dostrzegła, że Richard teraz w pewnym sensie wrócił do Atamarie i był pełen radosnego optymizmu. Atamarie zaś nie widziała już powodu, aby ukrywać przed nim swoje loty, choć miała przy tym niedobre przeczucia. Może wpadnie we wściekłość i po prostu ją wyrzuci? Ale może też sprowadzi go to na właściwą drogę! Może kiedy on zobaczy, że już nic nie może się nie udać, będzie gotów zaprezentować światu swój wynalazek. Atamarie widziała w tym coś w rodzaju ostatniej szansy dla swojej miłości: jeśli mimo udanego lotu Richard będzie chciał pozostać w Temuka i dzielić sławę z kimś takim jak Shirley Hansley, to ona, Atamarie, nie będzie mu już w stanie pomóc!

Rankiem po wspólnej nocy Atamarie zwabiła swego przyjaciela do maoryskiej wioski.

– Muszę ci coś pokazać, Richardzie! Koniecznie, nawet jeśli miałbyś być potem na mnie zły. Ale musisz to zobaczyć, musisz w to uwierzyć i musisz...

– To chyba nie jest znów ta maszyna? – spytał Richard gniewnie.

Atamarie nie odpowiedziała. Zdecydowanie poprowadziła go obok *marae* prosto na wzgórze, na którym zwykle zostawiała Tawhaki. Po ostatnim locie dobrze знаła to zbocze i wciągnęła samolot na jego szczyt, aby znalazł się od razu w odpowiedniej pozycji startowej.

– Chodź, dokonałam tu trochę zmian. – Atamarie energicznie prowadziła Richarda w stronę jego aparatu latającego. Właściwie wygięła tylko lekko powierzchnie nośne, na tyle, na ile pozwalała na to bambusowa konstrukcja. Poza tym umieściła parę elementów steru bardziej z przodu, aby pęd powietrza za powierzchnią nośną nie zakłócał ich pracy.

– Ale to tylko drobnostki – zapewniała. Richard nie powinien mieć wrażenia, że go zignorowała.

A teraz on popatrzył nieufnie na wprowadzone zmiany, których działanie tak naprawdę było dość istotne. Zachwycona Atamarie dodała, że dzięki nim samolot o wiele lepiej leżał w powietrzu i łatwiej

było nim sterować. Ale w żadnym wypadku nie chciała podważać osiągnięć Richarda, chwając się swoimi dokonaniem. To był w końcu jego samolot i on był pierwszym, który go zbudował.

Richard nie skomentował przeróbek. Widok samolotu najwyraźniej sprawiał, że coś się w nim zamykało.

– Ja nie leciałem – powtórzył znowu.

Atamarie zmusiła się do cierpliwości, po czym sięgnęła po jego czapkę lotnika.

– Ale ja leciałam! – powiedziała zdecydowanie. – Popatrz!

Wprawnym ruchem zapuściła silnik, wskoczyła na siedzenie pilota i ruszyła w dół, zanim Richard zdołał cokolwiek powiedzieć. Samolot bez trudu się wzniósł, Atamarie utrzymywała go na wysokości piętnastu stóp ponad ziemią. Nie robiła wcale zakrętów – tego dnia nie było ani śladu wiatru i z pewnością byłaby w stanie to zrobić, ale w żadnym wypadku nie chciała chwalić się przed Richardem. Leciła więc prosto jakieś osiemset jardów, po czym łagodnie wylądowała na łące.

Richard biegł w stronę Atamarie.

– No? – spytała, wahając się między strachem a triumfem. – Widzisz, że maszyna lata. Tak samo jak wtedy, kiedy ty nią sterowałeś. Miałeś tylko pecha z wiatrem. A więc... chcesz teraz pokazać całemu światu, że wynalazłeś coś cudownego?

Richard patrzył na nią w całkowitym milczeniu, ale potem nagle jakby coś w nim pękło.

– Ona lata! Ona lata! – Chwycił Atamarie w ramiona i zaczął z nią tańczyć wokół samolotu. – Miałem rację, ty miałaś rację! Pierwszy zmotoryzowany lot, Atami! Ja... ty...

– A więc, jeśli mam być szczerą... to robiłam to już kilka razy – wyznała Atamarie. – Ale nieważne. Zaprosimy teraz dziennikarzy? I profesora Dobbinsa? Pokażesz im to wreszcie?

Richard skinął głową i tej nocy uczynił Atamarie najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Czy ona rzeczywiście zastanawiała się poprzedniego dnia nad sensem tego związku? Atamarie potrząsała głową ze zdziwieniem – a Richard po raz pierwszy wspomniął o małżeństwie.

– Bez ciebie nie byłoby to możliwe. Jesteś moją bratnią duszą, moją drugą połową. Chcę być z tobą. Na zawsze!

Atamarie wtuliła się szczęśliwa w ramiona Richarda. Przynajmniej w tym dniu wypędziła z jego życia wszelką ciemność, a jeśli spełnią się wszystkie jego marzenia o lataniu, o sławie i o nieograniczonym finansach na jego wynalazki i badania, to dlaczego miałby w ogóle wpadać w melancholię?

– Jak myślisz, kiedy go wszystkim pokażemy? – spytała, kiedy rano obudzili się razem i znów się kochali. – Jaka byłaby dobra data dla pierwszego zmotoryzowanego lotu?

Richard przeciągnął się ze śmiechem.

– Nie wiem, ty powiedz! Może taka, którą łatwo będzie zapamiętać? Pierwszy stycznia?

Atamarie zmarszczyła czoło.

– Ale to przecież jeszcze tyle tygodni, Richardzie. Nie powinniśmy zaraz...?

Richard potrząsnął głową.

– Ja... potrzebuję jeszcze trochę czasu... A dwudziesty grudnia? A może Boże Narodzenie?

Atamarie zastanawiała się gorączkowo.

– Dwudziestego jestem jeszcze w Christchurch – powiedziała. – Wiesz przecież, mam egzaminy...

Siedemnastego i potem dziewiętnastego Atamarie miała ostatnie egzaminy.

– A więc albo w tym tygodniu, albo rzeczywiście dopiero na Boże Narodzenie. Zróbmy to zaraz, Richardzie, proszę! Zanim będę musiała wrócić do miasta!

Richard przyciągnął ją do siebie.

– Nie możesz się doczekać, co, Atami? Ale tak hop, hop naprawdę się nie da. Już ci wszyscy ludzie,

których koniecznie chcesz zaprosić... Tak szybko nikt nie przyjedzie z Auckland. Ale na Boże Narodzenie... Mogę przedtem trochę poćwiczyć, żeby wszystko dobrze poszło.

Atamarie westchnęła. Znów się wahał. Choć z drugiej strony powinien rzeczywiście poćwiczyć. W końcu nie miał lecieć tylko kilka jardów, ale pięknie wystartować i równie elegancko wylądować. Ona sama zrobiłaby to najchętniej już następnego dnia... Złorzeczyła trochę losowi, że znów będzie na drugim miejscu w kolejce po sławę. Ale to był egoizm. W końcu to był projekt Richarda. Powinien mieć ten czas, którego potrzebował.

Atamarie i Richard spędzili kilka cudownych dni w Temuka, cudownych mimo tego, że nie mogli przeprowadzić planowanych prób lotu. Dzień po demonstracji Atamarie niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami i zaczęło padać. Atamarie zaproponowała, aby lecieć mimo to, ale Richard zaprotestował.

– Lepiej teraz nie ryzykować – zdecydował. – Nie do pomyślenia, co by było, gdybym źle wylądował i pręty się połamały. Nie, poczekajmy, aż się przejaśni.

– Ale wtedy będę już Christchurch – odparła Atamarie.

Richard machnął ręką.

– No i co z tego? – spytał. – Myślisz, że bez ciebie nie dam rady? Atami, kochanie, ja zbudowałem ten samolot!

„A ja nauczyłam się nim latać” – pomyślała Atamarie, ale milczała. I z pewnością niepotrzebnie się martwiła. W końcu sama była w stanie ustalić, jak się prowadzi ten samolot. Richard mógł wykazać się taką samą zręcznością. Może wołał najpierw znów oswoić się z „bestią”? Przemawiało za tym także to, że nie chciał też lecieć w pochmurny, choć bezdeszczowy dzień.

– Nie, nie, a nuż zacznie padać, kiedy będę w powietrzu. Ale powinniśmy sprowadzić ptaka z powrotem do domu, nie sądzisz? Chodź, zrobimy sobie spacer do maoryskiej wsi i przyciągniemy go do naszej szopy.

Atamarie zmarszczyła czoło.

– A to po co? On stoi w dobrym miejscu. To wzgórze jest idealne do zjeżdżania w dół i startowania, o wiele lepsze niż ulica tutaj. I... – Ugryzła się w język, bo chciała wspomnieć o żywopłocie.

– Ale tu jest bardziej centralnie! – upierał się Richard. – Nie chcesz chyba zaprosić dziennikarzy, aby stanęli przed *marae*. To Maorysom nie spodobałoby się z pewnością.

Atamarie pomyślała, że Maorysom byłoby to kompletnie obojętne. Ale w końcu ustąpiła. Wieczorem przed jej wyjazdem do Christchurch samolot stał już znów w szopie, a Richard dokładnie oglądał poprawki, które wykonała Atamarie.

– Wiem, ja umieściłbym elementy steru bliżej punktu ciężkości – powiedział, ale wysłuchał Atamarie, kiedy wyjaśniała, dlaczego przełożyła regulator w inne miejsce, a ona miała nadzieję, że nie przełoży go z powrotem przed swoim triumfalnym lotem. A jeśli nawet, to ona nie miała już na to wpływu. Właściwie nic nie powinno się nie udać. Richardowi udało się przelecieć kilkaset jardów już w marcu, później mogła go jeszcze spróbować przekonać. A nocą przed wyjazdem Atamarie do Christchurch Richard najwyraźniej zapomniał o wszystkich technicznych problemach i niejasnościach. Kochali się aż do wczesnego ranka – wróciła cała jego dawna energia. Atamarie nie mogła sobie życzyć bardziej uważnego kochanka. Próbowwała zapomnieć o tym, że także przed ostatnią próbą lotu był w podobnie euforycznym nastroju. Ale nie, to nie mógł być zły znak, tym razem na pewno wszystko miało pójść dobrze.

Atamarie zdała pierwszy z końcowych egzaminów z odznaczeniem siedemnastego grudnia 1903 roku i dwa dni później w radosnym nastroju przyszła do szkoły na kolejny. Dwaj koledzy, którzy także mieli zdawać tego dnia, wykorzystywali ostatnie minuty przed egzaminem i cierpliwie wkuwali.

Atamarie wołała wpatrywać się z rozmarzeniem w widok za oknem. Za chwilę zamierzała sprawić niespodziankę profesorowi Dobbinsowi i zaprosić go do Temuka. A potem było już tylko pięć dni do tego świątecznego dnia, który miał zmienić jej świat!

– Miss Turei? Atamarie?

Atamarie zdziwiona odwróciła głowę od okna, słysząc wołanie profesora. Kiedy byli sami, zwracał się do niej po imieniu – zwłaszcza kiedy chodziło o Richarda i jego wynalazki, i rozmowa nabierała bardziej prywatnego charakteru. Ale publicznie Dobbins nigdy nie zwracał się tak do swoich studentów. Do mężczyzn mówił po nazwisku, u Atamarie dodawał przed nim uprzejme Miss.

– Atamarie, wie już pani o tym? – Profesor wyszedł ze swego pokoju. Trzymał w ręku gazetę „New Zealand Herald”. – Czy Pearse też już o tym wie?

– Co takiego?

Atamarie zerknęła na zegar stojący w końcu korytarza. Było jeszcze piętnaście minut do egzaminu. Dobbins patrzył na nią badawczo.

– A więc nie wie pani – skonstatował, widząc jej zdziwioną twarz. – Niech pani wejdzie, Atamarie. Proszę to zobaczyć...

Profesor podsunął młodej kobiecie krzesło do przygotowanego na egzamin małego stołu i podał jej gazetę.

Kitty Hawk, North Carolina, USA

Dwaj bracia tworzą historię

Siedemnastego grudnia tego roku Orville'owi i Wilburowi Wrightom udało się przeprowadzić pierwszy w historii zmotoryzowany lot!

Obaj bracia, znani jako genialni konstruktorzy rowerów i biznesmeni, rozwinęli swój mały zakład rzemieślniczy Wright Cycle Company w ciągu kilku lat tak, że stał się wielkim przedsiębiorstwem – kilkakrotnie wzniesli się w powietrze swoim FLYER 1 na specjalnie zbudowanym torze na pustyni w północnej Karolinie. Przy czym Orville Wright był pierwszym człowiekiem, który zasiadł za sterami samolotu, a jego brat Wilbur prześcignął go, jeśli chodzi o długość lotu, i wylądował w 59. sekundzie, mając za sobą odległość 285 jardów w powietrzu...

Atamarie opuściła gazetę na stół.

– Ale to jest nic! – wyszeptała. – Richard już w czasie pierwszego lotu przeleciał kilkaset jardów... A ja...

Zagryzła wargi.

Profesor Dobbins parzył na nią ze współczuciem.

– Tylko teraz nikt mu już nie uwierzy – powiedział twardo. – Cholera, a był przecież tak blisko! I miał tyle miesięcy, aby to opublikować... Tak mi przykro, Atamarie! Wiem, jak się pani starała. A on...

Atamarie wstała. W zamyśleniu wsadziła gazetę do torby, miała zamiar przeczytać do końca potem. Ale teraz...

– Muszę iść. Muszę pojechać do niego. Przykro mi, profesorze, ale teraz nie mogę zdawać egzaminu, to... Ja muszę do Richarda. Jeśli on dowie się o tym od kogoś innego...

Dobbins, wyraźnie zatroskany, potrząsnął głową.

– On prawdopodobnie już o tym wie. Dziś piszą o tym wszystkie gazety...

Atamarie potarła czoło.

– Ale do Temuka gazety tak prędko nie docierają. Nie zna pan tamtych stron, profesorze. To jest... naprawdę koniec świata.

Spojrzała na zegar w pokoju profesora. Jej egzamin miał się właśnie zaczynać...

– Jeśli się pośpieszę, zdążę na poranny pociąg. Przykro mi naprawdę, ja...

Profesor Dobbins machnął ręką.

– Ach, nieważne, nie mogłaby pani dziś zdawać egzaminu końcowego. Niech pani jedzie, wyznaczymy pani jeszcze jeden termin zaraz po Nowym Roku. I proszę powiedzieć Richardowi, że jest mi bardzo przykro, naprawdę. Zawsze w niego wierzyłem.

Atamarie skinęła głową i pozbierała swoje rzeczy.

– Proszę mi życzyć szczęścia, profesorze – powiedziała cicho.

ROZDZIAŁ 8

Atamarie nawet nie dała sobie tyle czasu, aby się przebrać, lecz pobiegła na pociąg ubrana tak jak na egzamin. Wyglądała bardzo poważnie w ciemnej spódnicy, białej bluzce i eleganckim żakiecie – i czarnym kapeluszu na ciasno upiętych włosach. Oczywiście był to zbyt oficjalny strój na wizytę na wsi, ale kiedy w czasie jazdy myślała o tym, co w głębi ducha nazwała „ograniczeniem szkody”, to wcale nie wydawał jej się on nieodpowiedni. W końcu ktoś będzie musiał pojawić się przed prasą, nawet jeśli miałby to być miejscowy szmatławiec z Timaru. Richard musiał jak najszybciej zaprezentować swój samolot opinii publicznej. Dobrze, nie będzie już pierwszym człowiekiem, który odważył się na zmotoryzowany lot – a przynajmniej trudno to będzie udowodnić, kiedy świadkami było tylko kilku wieśniaków. Ale bez trudu powinno się dać podważyć rekord braci Wright. Co znaczyło tych kilkaset jardów prostego lotu z niezbyt łagodnym lądowaniem w piasku wobec dwóch tysięcy jardów, które przeleciała maszyna Richarda? A gdyby Richard zdobył się na trochę wspaniałomyślności i pozwolił lecieć Atamarie, to ona mogłaby nawet wykonać piękny zakręt nad jego farmą i wylądować przed dziennikarzami. To wcale nie był zły pomysł! Atamarie poczuła, że policzki ma gorące na myśl o tym, że pisałyby o niej gazety całego świata. Gdyby stała się znana jako pierwsza kobieta lotnik... Do diabła, wyglądała lepiej niż bracia Wright! Nikt nie mówiłby o Wilburze i Orville’u, gdyby praktycznie w tym samym czasie w powietrze wzniosła się kobieta! Atamarie niemal zachichotała. Tak, to mogłoby się udać! I oczywiście w każdym wywiadzie wspomniałaby o Richardzie, dzieliliby sławę między siebie. Gdyby tylko on dał się do tego skłonić! Żeby tylko nie usłyszał od kogoś innego o tych Wrightach i nie stracił odwagi! Atamarie najchętniej dałaby pociągowi ostrogę jak koniowi, bo godziny wlekły się w nieskończoność. A przy tym nie mogła jechać konno w swojej egzaminacyjnej spódnicy, musiała więc teraz wynająć dorożkę, co znów odwlekało sprawę.

Dopiero późnym popołudniem skręciła na drogę prowadzącą z Timaru do farmy Richarda. Z ulgą zwolniła i klusem wjechała na podwórze. Richarda nie było widać, ale szybko dostrzegła Hamene – który ku jej zdziwieniu nie był zajęty żadną pracą na farmie, lecz po prostu stał na podwórzu i wpatrywał się w niebo w kierunku Temuka.

– Atamarie! – Młody Maorys zwrócił się do niej od razu, kiedy tylko zobaczył dorożkę. Dostrzegła ulgę na jego pełnej napięcia twarzy. – Atamarie, duchy cię zesłały. Coś się stało z Richardem. Przedtem przyszedł jego brat i przyniósł taki papier, który *pakeha* nazywają gazetą. Richard coś tam przeczytał i... całkiem oszalał, podarł ten papier i on... Miss Shirley mówi, że on płakał...

– Shirley? – Frustracja Atamarie wylądowała się teraz w irytacji. – A co ona tu znowu robi?

Ale prawdopodobnie przyprowadził ją ze sobą brat Richarda. Pewnie na pociechę, skoro rodzina Pearse’ów nie potrafiła zrobić niczego innego niż wytknąć Richardowi jego niepowodzenie! Atamarie poczuła narastającą wściekłość.

– Nieważne – stwierdziła, zanim Hamene zdążył odpowiedzieć. – Zajmiemy się tym później. Teraz muszę najpierw... Gdzie jest Richard, Hamene? Co z nim teraz? Co... co on robi?

Atamarie się obawiała, że znów zastanie swojego przyjaciela w kuchni, siedzącego przy stole i tym razem wpatrującego się w gazetę z artykułem o triumfie braci Wright.

Hamene wskazał ręką w kierunku Temuka.

– On zabrał ptaka – powiedział. – Chciałem pomóc, ale on wyciągnął go z szopy i był jak oszalały, myślę, że chyba coś się tam zepsuło. I wtedy wciągnął go na wzgórze. Wypatrywałem go, kiedy nadjechałaś.

Atamarie wskoczyła z powrotem do bryczki i chwyciła cugle.

– Jadę go poszukać, Hamene! O Boże, oby nie zrobił jakiegoś głupstwa!

Wiedziała, że nie miało sensu wypytywać Maorysa, kiedy Richard wyruszył. Hamene nie znał się na zegarku, a próba zrozumienia jego opisów byłaby tylko stratą czasu. Dlatego Atamarie wolała od razu jechać i ruszyła drogą pod górę. Przed żywopłotem stała Shirley i patrzyła w tym samym kierunku co Hamene. Atamarie nie zwróciła na nią uwagi. Musiała powstrzymać Richarda – w stanie takiego wzburzenia nie powinien był latać.

Ale już po kilku krokach, jakie zrobił jej koń, wiedziała, że było za późno. Usłyszała silnik samolotu i za chwilę zobaczyła maszynę lecącą wzdłuż ulicy. Richard podniósł ją powoli i prowadził prosto, nie wykonując żadnych zakrętów i lecąc nie za wysoko nad ziemią. Serce Atamarie się uspokoiło. Robił to świetnie, spokojnie i z widoczną rozwagą. A więc nie zwariował, lecz prawdopodobnie wpadł na ten sam pomysł co ona. I chciał teraz przetestować samolot, zanim zwróci się do prasy.

Ale wtedy samolot zboczył z drogi i nie leciał już wzdłuż ulicy. Zamiast po prostu przelecieć nad farmą Richarda, skręcił przed nią, zaczął tracić wysokość i...

– O nie!

Atamarie krzyczała, ale oczywiście Richard nie mógł jej usłyszeć. I to nie był wypadek. Maszyna nie wpadła w korkociąg i nie spadała. Pilot celowo prowadził ją w kierunku żywopłotu! Lewa powierzchnia nośna roztrzaskała się przy uderzeniu.

Atamarie musiała najpierw zająć się koniem, który bał się olbrzymiego ptaka. Na szczęście zwierzę uspokoiło się szybko, kiedy samolot znikł w zaroślach. Atamarie zostawiła go na skraju drogi, gdzie rosła trawa. Jeśli ucieknie, to będzie miała pecha. Ale najpierw musiała... Co właściwie musiała? Atamarie nie wiedziała, co czuje. Coś w niej umarło, ale jednocześnie coś innego się obudziło – dokładnie w tym momencie, kiedy zobaczyła lecącego Richarda. Dopiero kiedy go zobaczyła wiszącego nieruchomo pod samolotem i przekonała się, że właściwie wyszedł z tego bez szwanku, lecz po prostu nie miał ochoty wsiąść o własnych siłach, wiedziała już, co czuje: wściekłość, dziką wściekłość, taką, że musiała się opanować, aby nie wywlec go siłą i nie potrząsnąć nim jak workiem.

– I co? Lepiej ci teraz? – krzyknęła. – Zniszczyłeś samolot! Zanim będziesz mógł przeprowadzić demonstrację, musisz go teraz naprawić, a to ogromna strata czasu! A twoi głupi sąsiedzi znów będą się śmiać – to ci nie robi dobrej prasy, Richardzie, kiedy nazywają cię Cranky Dick.

Richard popatrzył na nią, a ona poczuła chłód w sercu.

– Ja nie leciałem – powtórzył.

Atamarie już mu nie współczuła, a jej miłość, która dopiero co rozgorzała na nowo z taką siłą, raptownie zgasła na widok jego pustych oczu. Jedyne, co czuła, to wściekłość i pragnienie zranienia go.

– Nie – odpowiedziała ze złością. – Nie leciałeś. Tobie po prostu brakuje animuszu, aby polecieć, Dicku Pearse. Będziesz zawsze tkwił w swoim żywopłocie i zaroślach. Chowasz się w nich jak ślepy ptak. Nigdy nie zdobędziesz nieba, Richardzie! A przynajmniej zanim nie wyrwiesz albo nie spalisz tego żywopłotu! Ty...

– Ja nie leciałem... – powtórzył Richard.

– Ty...! – Atamarie szukała w myślach kolejnych obelg, które mogłaby mu cisnąć w twarz.

– Zostaw go... – Za samolotem nagle pojawiła się Shirley. – Zostaw go w spokoju...

Ale to tylko podnieciło Atamarie. Nie zwracając uwagi na Shirley, znów zaatakowała Richarda.

– Ja cię kochałam, ty... ty mięczaku! Wspierałam cię, podarowałam ci ten silnik. Ale ty... od ciebie nigdy nic nie dostałam... Ty tylko brałeś i brałeś, ty...

– Chciałaś, aby płacono ci za miłość? – zapytała Shirley kpiąco.

Atamarie spojrzała na nią z pogardą.

– Nie! Tylko żeby mnie szanowano! Żałuję, że posłuchałam wtedy Waimaramy. Powinnam była

polecieć sama, na oczach całego świata!

Shirley się zaśmiała.

– Teraz przyznajesz, czego ty naprawdę chciałaś, Atamarie – powiedziała. – Ty chciałaś latać, Richard był ci obojętny.

Atamarie odrzuciła głowę do tyłu.

– To nieprawda! On chciał latać! A ja... tak, ja też chciałam, ale chciałam też, żeby mnie kochał... ja...

– Ty go kochałaś tylko wtedy, kiedy wszystko z nim było w porządku – powiedziała Shirley. – Kiedy było z nim źle, to go opuściłaś. Zawsze myślałaś tylko o sobie.

Atamarie spojrzała na Richarda, który wydawał się nie słuchać rozmowy obu kobiet. Patrzył obojętnie przed siebie pustymi, nieruchomymi oczami.

– Ja nie leciałem – oznajmił niepytany.

Atamarie przewróciła oczami.

– To siedźcie tutaj oboje i zagrzebicie się na tej farmie! – krzyknęła w stronę Shirley. – Życzę ci w każdym razie dużo siły. Bo jedno jest pewne: on jej nie ma!

To powiedziawszy, odeszła z podniesioną głową. Koń na szczęście był i żarł trawę. Atamarie wsiadła do bryczki, zawróciła. Rzuciła ostatnie, pełne smutku spojrzenie na samolot Richarda.

– *Farewell*, Tawhaki – powiedziała cicho. – To nie twoja wina...

CZARNOKSIĘŻNIK Z KRAINY OZ

**WYSPA POŁUDNIOWA
DUNEDIN, LAWRENCE,
CHRISTCHURCH
1903–1904**

ROZDZIAŁ I

– A jak sobie to wyobrażasz? – spytał Michael Drury. Przyjechał do miasta na aukcję bydła i Kevin spotkał się z nim w pubie. – Także jeśli chodzi o twojego brata? Przecież to było od zawsze ustalone, że on odziedziczy Elizabeth Station. Ty nigdy tego nie chciałeś. Ale nagle zmieniasz zdanie, bo twoja burska dziewczyna potrzebuje wiejskiego powietrza. Chcesz jednak zostać farmerem?

Michael wypił duży łyk piwa ze swojej szklanki.

Kevin z westchnieniem potrząsnął głową. Decyzja, aby przyjechać z Doortje do Lawrence, i tak była dla niego bardzo trudna, a teraz tylko tego brakowało, żeby na wszystko nie zgodzili się jego rodzice. I tak był to szczęśliwy przypadek, że mógł tu z ojcem pomówić sam na sam. Lizzie być może wyraziłaby się o wiele dosadniej.

– Oczywiście że nie, tato, jestem i będę lekarzem i na pewno będę mógł otworzyć praktykę w Lawrence. W żadnym wypadku nie będę kwestionować prawa Patricka do dziedziczenia. I to jest tylko... No, może na parę lat. Aż Doortje przyzwyczai się do tutejszego życia. A Patrick przecież jeszcze wcale nie mieszka na Elizabeth Station, on...

– On wypowiedział posadę w ministerstwie rolnictwa – zdradził Michael i zamówił jeszcze jedno mocne piwo. – Nie może już mieszkać sam z May w Dunedin, dziewczynka jest już za duża i nie można jej w kółko zostawiać stale zmieniającym się opiekunkom. Do czasu najbliższej strzyży owiec będzie jeszcze pracował jako doradca, a potem przeprowadza się do nas na Elizabeth Station. Może zajmować się owcami, a Lizzie – dzieckiem. A ja poświęcę się uprawie winorośli. – Michael się uśmiechnął. – Możliwe, że uda nam się wyprodukować coś, co da się pić, i będziemy bogaci.

Kevin się skrzywił. Ta sprawa z uprawą winorośli nie będzie podobać się Doortje. W końcu jej Kościół konsekwentnie odrzucał spożywanie nawet najmniejszych ilości alkoholu. Ale nawet jeśli Doortje pozwoli sobie na kilka krytycznych uwag, to pobyt na farmie rodziców nie będzie większą katastrofą niż ich wspólne życie w Dunedin. I kiedy Michael wypowiadał się na temat szans przyzwyczajania się tej młodej kobiety do życia w Nowej Zelandii, Kevin przypominał sobie ostatnie miesiące, które spędził z żoną w Dunedin po powrocie z południowej Afryki we wrześniu 1902 roku.

Podróż przebiegała spokojnie, bez znaczących wydarzeń – jeśli pominąć to, że kilku pasażerów skarżyło się na obecność Nandé na górnym pokładzie. A przecież nigdy nie było takich problemów, jeśli ona zjawiała się tam razem z Doortje, bo wówczas Nandé przejmowała niejako obowiązki służącej. Ale ta nieprzejednana Roberta Fence – wyznająca, podobnie jak jej matka i Matariki, zasadę równości wszystkich ludzi – upierała się przy tym, aby móc spacerować z czarną dziewczyną po pokładzie, plotkować z nią i śmiać się jak z koleżanką! Kevin sam nie widział w tym nic gorszego, ale przecież należało wziąć pod uwagę poglądy innych ludzi. W każdym razie prowokacje Roberty zaostriły i tak napiętą atmosferę, jaka panowała między Kevinem a Doortje. Zachowanie Doortje powoli zaczynało doprowadzać młodego lekarza do szału. Musiał spać obok niej – w luksusowej kabinie, którą zamówił, znajdowało się tylko podwójne łóżko. Ale Doortje nie zamierzała ulec jego staraniom. Choć robiła co mogła, aby nie wątpił w to, że chce być „posłuszną żoną”. Gdyby zażądał od niej jej małżeńskich powinności, leżałaby grzecznie i cicho – i czasami przychodziło mu nadzwyczaj trudno się opanować. Była już jednak w bardzo zaawansowanej ciąży, co trochę ułatwiało sprawę jego rezygnacji ze współżycia. I wkrótce po przybyciu do Dunedin Doortje zaczęła rodzić – co znów było dla niej powodem niesłychanego wstydu, bo poród odebrał dawny wspólnik Kevin, doktor Folks, a nie akuszerka. Kevin wprawdzie chętnie spełniłby jej prośbę o żeńską pomoc, ale bóle porodowe zaczęły się już drugiego dnia po przyjeździe do Dunedin, kilka dni za wcześnie, co spowodowane było

prawdopodobnie ostatnim etapem podróży statkiem przez rozszalałe Morze Tasmana. Niewiele brakowało, a Kevin sam musiałby odebrać poród, co z pewnością rozgniewałoby ją jeszcze bardziej. Ale na szczęście doktor Folks był do dyspozycji i po kilku godzinach męczarni, kiedy Doortje nie wydała ani jednego krzyku ani nie wylała jednej łzy, lekarz włożył jej w ramiona syna.

– Jest podobny do pani – powiedział przyjaźnie. – Proszę spojrzeć, jakie ma jasne włosy. Jak się będzie nazywać?

Kevinowi było nad wyraz nieprzyjemnie, że dotychczas ani on, ani też Doortje nie zastanawiali się nad imieniem dla dziecka. Zaproponował w końcu „Adrian”, po ojcu Doortje, ale ona zaprotestowała tak gwałtownie, że Christian Folks popatrzył na oboje ze zdziwieniem. Kevin ratował się, proponując Abrahama, pierwsze i jedyne imię ze Starego Testamentu, które mu przyszło do głowy. Będzie można wołać na chłopca Abe. Doortje tym razem nie zgłosiła żadnych sprzeciwów. Od razu, zgodnie z obowiązkami matki, przystawiła syna do piersi, choć trzymała go jak lalkę i ani razu nie uśmiechnęła się do niego. A potem opiekowała się nim wzorowo – a przynajmniej nadzorowała wzorowo Nandé przy tej pracy. Kevin dotychczas nie ustalił, czy Doortje kocha swego syna.

Dla Kevina powrót do Dunedin nie był przyczyną żadnych kłopotów. Mógł od razu wprowadzić się do mieszkania, a doktor Folks był uradowany, że może powitać dawnego kompana znów jako współnika w gabinecie.

– Tu jest dość pracy dla dwóch – oświadczył zadowolony. Najwyraźniej brakowało mu też towarzystwa Kevina. – Tylko owe ladies z drobnostkami przestały przychodzić, kiedy ciebie nie było. No, to teraz... z pewnością je z powrotem zwabisz.

Bardzo szybko pojawiły się też liczne zaproszenia dla młodego lekarza – społeczeństwo Dunedin płonęło wprost chęcią usłyszenia doniesień z wojny z pierwszej ręki, a przede wszystkim – poznania jego młodej żony. Tu jednak zaczęły się trudności. Już samo pojawienie się Doortje na ulicach doprowadziło do małego skandalu. Kevin był przerażony, kiedy zobaczył ją wracającą z pierwszych zakupów w nowym mieście. Laura Folks, małżonka Christiana, była bardzo nieprzyjemnie poruszona.

– Od razu zaproponowałam, że pójdę z nią i kupimy jakieś ubrania, ale ona nie chciała – powiedziała przepaszająco do Kevina i patrzyła przerażona na Doortje, która w swojej przesadnie schludnej niebieskiej sukni, białym fartuszką i wykrochmalonym czepku sprawiała wrażenie kobiety nie z tej epoki i wręcz nie z tego świata. Wszystko zakupiła jeszcze w Pretorii, a Kevin nie skomentował tego ani słowem. Wprawdzie na statku prawie nie było Burów z Transwału, za to bardzo wielu Burów z Kolonii Przylądkowej, którzy dobrze znali ten strój. I była to w dodatku suknia ciążowa, a Kevin zakładał, że w Dunedin będzie mógł ubrać żonę zgodnie z duchem epoki. Wszystko jednak poszło szybciej, niż planował, Doortje sama zwęziła suknię po porodzie i włożyła ją, idąc do miasta. Zarzuciła na nią czarne okrycie, co trochę złagodziło dziwne wrażenie, ale nie mogła nie zwrócić na siebie uwagi, zwłaszcza że towarzyszyła jej Nandé – w podobnym stroju i z małym Abe w ramionach. I jeśli o nią chodziło, to być może potraktowano by taką suknię jako coś w rodzaju uniformu służącej, ale czarny kolor jej skóry przyciągał spojrzenia wszystkich. Laura Folks, ubrana w modny kostium, wstydziła się iść po ulicach w towarzystwie obu kobiet.

Kevin zrozumiał, że coś tu trzeba zrobić.

– Doortje, tak nie możesz tutaj chodzić! – oświadczył kategorycznie. – W Dunedin kobiety nie noszą fartuszków i czepków, chyba że pracują jako pokojówki. Zameężna kobieta z lepszego towarzystwa nosi kapelusz i kostium jak... no, jak Mrs Folks. – Wskazał na garderobę Laury w kolorze głębokiego granatu.

Doortje spojrzała z oburzeniem na tren jej sukni, rzucające się w oczy obszycie guzików żakietu, a przede wszystkim na ciasno zasznurowaną talię.

– W tym przecież nie można pracować! – oświadczyła. – I... i kapelusze...

Laura miała na sobie bardzo modne nakrycie głowy w kształcie turbanu z woalką.

– Nie musisz przecież pracować – odpowiedział Kevin. – Musisz tylko pięknie wyglądać. Proszę więc, Doortje...

– Próżność i zarozumiałość to grzech – oświadczyła Doortje. – Moja suknia jest jeszcze bardzo dobra i nie ma powodu, aby ją wymieniać...

Laura popatrzyła na nią zaskoczona.

– Pani... ma tylko tę jedną, kochana? – spytała z niedowierzaniem.

Kevin westchnął. Między tymi dwiema kobietami leżały odległe epoki i uświadomienie im tego było sprawą wręcz beznadziejną. A przecież Laura wiedziałyby, gdzie Doortje mogłyby się porządnie i modnie ubrać za rozsądną cenę. Nie było więc wyjścia, musiał powierzyć Doortje jednemu domowi mody w mieście, gdzie przy odrobinie szczęścia można było liczyć na stosowne rady: Lady's Goldmine.

– Doortje, złożymy dzisiaj wizytę – zakończył bezsensowną dyskusję. – Burtonom, to starzy przyjaciele naszej rodziny. Kathleen Burton prowadzi dom mod... sklep z ubraniami. A jej mąż jest walebnym.

Kathleen Burton była w dodatku matką Colina Coltrane'a, ale o tym w mieście nie mówiono od lat. Kevin czuł się więc dość bezpiecznie, kiedy zawiózł swoją żonę i jej egzotyczną służącą na plebanię w Caversham – ale tylko do chwili, kiedy Kathleen, która bardzo serdecznie przyjęła Doortje, zerknęła na buzię małego Abe. Gwałtownie zbladła, ale szybko się opanowała i zmarszczyła czoło.

– Kevinie, to niemożliwe, jak on jest ludzako podobny do Colina... Mój Boże, on wyglądał dokładnie tak samo, kiedy był niemowlęciem...

Kevin się przeraził i spojrzał na Doortje, która na szczęście była pochłonięta rozmową z walebnym. Oczywiście była bardzo krytyczna wobec anglikańskiego duchowieństwa, ale Peterowi Burtonowi dzięki jego przyjaznemu sposobowi bycia udało się prowadzić z nią zwyczajną rozmowę.

– To niestety możliwe – wyszeptał Kevin do Kathleen. – Ale na miłość boską, proszę zrobić wszystko, aby to nie dotarło do uszu Doortje. Wpadnę tu jutro i porozmawiamy o tym.

Kathleen nie poruszała więc tego tematu, ale spoglądała badawczo na młodą burską kobietę, która sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie i nieufnej. Walebny, który poznał Colina dopiero wtedy, kiedy ten miał ponad dziesięć lat, nic nie zauważył i starał się tylko, aby Doortje przewyciężyła swą rezerwę. Bądź co bądź znał Stary Testament równie dobrze jak Nowy i znalazł od razu liczne dowody na to, że Bóg nie uważał za ciężki grzech muzyki, dobrego jedzenia i wina. I to samo – dowodził – można też odnieść do pięknych strojów i w końcu Doortje się zgodziła, aby Kathleen ubrała ją zgodnie z duchem czasu. Kevin wolał przy tym nie myśleć o stanie swojego konta w banku. Przesadnie skromna Doortje będzie równie droga co światowa Juliet. Pod wpływem tej myśli Kevin przypomniał sobie o bracie, ale ten problem był na razie kwestią przyszłości. Patrick odwiedzał teraz liczne owcze farmy w Otago, a Kevin nie widział jeszcze jego córeczki May.

Następnego dnia Kevin odwiedził najpierw Kathleen i Claire w Lady's Goldmine i wyjaśnił sprawę Colina Coltrane'a – podając oczywiście jej mocno złagodzoną wersję. Kathleen przyjęła wiadomość o gwałcie z oburzeniem, a uznanie Colina za zaginionego ze spokojem. Colin od lat nie dawał znaku życia i wcale nie musiało to znaczyć, że nie żył. Z całą pewnością miał jakieś powody, aby się ukrywać.

– Żal mi oczywiście tej młodej kobiety – powiedziała w końcu Kathleen. – I wstydzę się za mojego syna. I mam wiele uznania dla ciebie, że wychowujesz to dziecko jako własne. Ale musi być dla ciebie jasne, że pojawią się kłopoty. Oczywiście w towarzystwie da się wszystko wyjaśnić. Ja nie będę młodsza, za kilka lat nikt nie zauważy, że ten mały jest podobny do mnie i mojego syna. Ale chcesz, aby twoja żona żyła w nieświadomości? Jak wyjaśnisz jej podobieństwo z Atamarie – ona w końcu też jest

córką Colina? A to samo nazwisko u Heather i Chloé? Chcesz ją okłamywać?

Kevin wzruszył ramionami.

– Atamarie jak na razie tu nie ma – mruknął. – Ona studiuje przecież w Christchurch, prawda?

Kathleen przewróciła oczami.

– Ona często przyjeżdża tu w odwiedziny i zanim twój mały będzie na tyle duży, aby każdy mógł dostrzec podobieństwo, to ona skończy studia. I co potem? Powinieneś opowiedzieć wszystko twojej Doortje. To w końcu nie zbrodnia być spokrewnionym z Colinem, może nawet będzie lepiej, kiedy ona porozmawia z Matariki i Chloé. Colin w końcu wszystkim załatwił za skórę. A jeśli ona mnie znienawidzi za to, że jestem jego matką, to na to już nic nie mogę poradzić...

Kevin zagryzł wargi. Kathleen miała rację. Gdyby sprawa Colina była jedynym problemem między nim a Doortje, można byłoby to rozwiązać właśnie w taki sposób. Ale problemów było znacznie więcej, a ostatnie, czego pragnął Kevin, to niepokoić teraz Doortje. Mimo upływu kilku miesięcy od porodu młoda kobieta była zamknięta w sobie i małomówna. I odrzucała możliwość jakiegokolwiek kontaktu fizycznego. Choć Kevin oczywiście rozumiał, że po porodzie potrzebowała spokoju i że ten związek potrzebował czasu, aby się rozwinąć. Ale choćby pocałunek od czasu do czasu... jakieś dotknięcie pełne tkliwości... Kevin tęsknił za każdym przejawem uczuć – które w Afryce Doortje z pewnością wobec niego żywiła. Nie wmawiał sobie przecież rodzącej się miłości z jej strony, widział, jak tuliła się do niego po śmierci Coltrane'a, kiedy ustąpiło napięcie... Ale teraz nie pozostało z tego ani śladu. Doortje z niechęcią i nieufnością patrzyła na nowy, nieznany świat, do którego on ją uprowadził, w którym w dodatku niemal wszystko było sprzeczne z tym, czego się dotychczas nauczyła i co знаła. Nandé wydawała się odnajdywać w nim o wiele lepiej – paplała radośnie z innymi pokojówkami i parobkami. Kevina przerażała sama myśl o tym, że któregoś dnia dowie się, że wszyscy ci ludzie otrzymują wynagrodzenie za swoją pracę. Będzie to kolejny koszt.

– Pomyślę o tym, Miss Kathleen – powiedział w końcu grzecznie. – Ale proszę jej na razie nic nie mówić. W żadnym wypadku nie wolno jej znienawidzić pani, zanim nauczy ją pani, jak należy się ubierać w Dunedin.

Kathleen i Claire sprzedały w końcu Doortje proste suknie reformowane z ubiegłorocznej kolekcji, dzięki czemu zakupy okazały się nieco tańsze. Szerokie, noszone bez gorsetów suknie właśnie wychodziły z mody. Tak zwana linia S podkreślała sylwetkę nowoczesnej kobiety. Brzuch i talia znów były ciasno zasznurowane, co uwydatniało biust, dół sukni i spódnice miały kształt dzwonu i kończyły się trenem. Całość była nad wyraz niewygodna i tylko niepotrzebnie utrudniały Doortje odnalezienie się w życiu miasta. Za to w szerokich, luźno opadających sukniach *empire*, które w ostatnim sezonie miały nieco orientalny charakter, Doortje Drury wyglądała porywająco. Kathleen i Claire doradziły jej też zmianę fryzury – w żadnym wypadku nie należało zaplatać włosów w warkocze i upinać ich wokół głowy – i wyszukały dla niej trzy kapelusze. Sama Doortje była zachwycona swoim odbiciem w lustrze. I musiała przyznać, że jest piękną kobietą. Ale tylko zewnątrz w niczym nie przypominała już burskich kobiet ze swojej ojczyzny. Kathleen przypuszczała, że będzie to źródłem kolejnych problemów w społeczeństwie Dunedin. Stało się to jasne już wtedy, kiedy po zakupach Claire zaprosiła Doortje na herbatę. Doortje Drury nie miała najmniejszego pojęcia o tym, jak należy trzymać filiżankę między kciukiem a palcem wskazującym, jak chrupać ciastko do herbaty i jak prowadzić uprzejmą konwersację. Oczywiście można się było tego wszystkiego nauczyć, także Kathleen musiała swego czasu długo nad sobą pracować. Ale ona powoli przystosowywała się do życia w lepszym towarzystwie, a w dodatku miała u swego boku znającą się na wszelkich formach Claire. A Dunedin z czasów jej młodości miało mało wspólnego z dzisiejszym nowoczesnym, pełnym życia miastem. Wśród jego purytańskich założycieli sprzed lat Doortje nie zwracałaby na siebie żadnej uwagi. Church

of Scotland miał wiele wspólnego z Kościołem niderlandzkim. Teraz jednak młoda kobieta znalazła się w świecie i życiu, do którego w ogóle nie była przygotowana, a w dodatku brakowało jej do tego gotowości i chęci. W efekcie Doortje ośmieszała się w czasie oficjalnych kolacji i przyjęć, myśląc kolejność sztuczków przy jedzeniu, a nawet była przyczyną czegoś pomiędzy małym skandalem a rozbawieniem, kiedy w czasie przyjęcia u państwa Dunloe odmówiła wypicia szampana i zażądała podania mleka.

– Zupełnie jak Ohm Krüger przy stole niemieckiego cesarza – skwitował to Sean Coltrane.

Nie miał nic złego na myśli, ale ta uwaga była powtarzana przez wszystkich i goście nie widzieli już w młodej kobiecie egzotycznej, ale porywająco pięknej żony doktora Drury'ego, lecz wrogo nastawioną przedstawicielkę Burów.

Doortje wyszła przerażona i czerwona jak burak z galerii Heather i Chloé, gdzie kobiety zorganizowały wystawę kobiecych aktów, i znudzona rozmawiała głośno w czasie koncertu muzyki kameralnej, bo nie rozumiała różnicy między muzyką w tle na przyjęciu a koncertem. Kevin w końcu nie ważył się już zabierać jej gdziekolwiek, a Doortje maskowała wstyd z powodu braków w wykształceniu, uciekając się do gburowatości. Udawała, że odrzuca wszelkie oferty kulturalne dlatego, że są angielskie, wyciągnęła znów swój burski strój i mówiła do Abe po niderlandzku. I nie ruszała już angielskich książek, które mogłyby jej pomóc odnaleźć się w nowym świecie. Kevin się zastanawiał, gdzie jest ta dziewczyna, która kiedyś z przyjemnością czytała po kryjomu Szekspira. Doortje była teraz jeszcze bardziej niechętna i zacięta.

I teraz, kiedy upłynęło już kilka miesięcy od tych wydarzeń, Kevin nie wiedział, co robić. Musiał dotrzymać obietnicy złożonej Doortje w Afryce i zapewnić jej życie na farmie, takie, do jakiego była przyzwyczajona. Ale Michael i Lizzie nie byli wcale zachwyceni jego pomysłem zamieszkania na farmie. A sprawa Patricka była w dodatku trudniejsza, niż przypuszczał Kevin.

– Doortje po prostu potrzebuje więcej czasu na to, aby się przyzwyczaić – powiedział teraz do ojca. – To wszystko ją przerasta. Boże, czy akurat ty nie możesz tego zrozumieć? Ciągłe jęczysz, że wszystko tu jest takie sztywne i jak bardzo tego nienawidzisz, kiedy musisz zastanawiać się przy jedzeniu, który widelec wybrać.

Była to prawda. Michael, podobnie jak Kathleen, pochodził z niższych warstw społeczeństwa i musiał walczyć w Nowej Zelandii o przetrwanie, pracując jako wielorybnik, bimbrownik i poszukiwacz złota, zanim dzięki maoryskim pokładom złota mógł sfinansować sobie owczą farmę i w efekcie dostatnie życie. W towarzystwie najważniejszych osobistości z Dunedin do dziś czuł się niepewnie. Ojciec Kevina nie był jednak obrażony.

– Właśnie – powiedział i wypił duży łyk piwa. – Nigdy się do tego nie przyzwyczaiłem. A dlaczego ty jesteś przekonany, że ona to zrobi?

ROZDZIAŁ 2

Klacz Rose Trotting Diamond okrążyła równym, szybkim tempem tor wyścigowy w Addington koło Christchurch. Rosie Paisley siedziała w wózku *sulky*, trzymała lekko naprężone cugle i czuła się szczęśliwa, jak zawsze, kiedy prowadziła kłusaka. Brakowało jej tego uczucia przez te wszystkie lata, kiedy pracowała dla Heather i Chloé Coltrane. I mimo że bardzo kochała Chloé, swoją zbawczynię i jednocześnie idolkę z lat dzieciństwa, to nie można było porównać zajęcia pokojówki z cudownym uczuciem unoszenia się nad torem! Rosie lubiła też swoją nową pracę opiekunki koni w stajni wyścigowej lorda Barringtona. Robiło jej się ciepło na sercu, kiedy rano wchodziła do stajni, a konie witały ją radosnym rzeniem, domagając się pożywienia. Rosie kochała każde z powierzonych jej zwierząt.

Tego dnia jednak wzięła wolne po południu i była dumna, że przezwyciężyła nieśmiałość i odważyła się poprosić koniuszego, aby zwolnił ją na kilka godzin z pracy. Rosie jako małe dziecko milczała przez wiele lat po tym, kiedy była świadkiem okrutnej sceny między Violet a jej mężem Erikiem Fence'em, i dziś jeszcze wolała rozmawiać z końmi niż z ludźmi. A w dodatku koniuszy lorda Barringtona był bardzo surowy... Ale życzliwie potraktował prośbę Rosie. Przecież w czasie ostatnich miesięcy nigdy o nic nie prosiła. Nigdy też nie się zdarzyło, że przyszła za późno albo że nie było jej w pracy. Rosie wiedziała, że jest osobą godną zaufania, ale jako jedyna dziewczyna w stajni musiała pracować więcej, aby zyskać w oczach wszystkich należne uznanie i szacunek. I na szczęście przychodziło jej to bez trudu. Rosie z łatwością wykonywała wszystkie najcięższe prace w stajni, była silnie zbudowana – w przeciwieństwie do swojej delikatnej, drobnej siostry Violet i jej córki Roberty. Ale nie była tak piękna. Miała proste ciemnoblonde włosy, twarz w kształcie serca i duże jasnoniebieskie oczy – można ją było określić najwyżej jako ładną. Większość mężczyzn nawet nie zwracała na nią uwagi, ale to akurat bardzo odpowiadało Rosie. Od początku do samego końca była świadkiem okrutnych scen w małżeństwie swojej siostry i ostatnim, czego pragnęła, był jakikolwiek mężczyzna.

Rosie spojrzała na wielki zegar umieszczony nad totalizatorem. Miała jeszcze trochę czasu, a potem musiała zaprowadzić Diamond do stajni i pójść na dworzec po swoją siostrzenicę Robertę. A może mogłaby założyć Diamond inną uprzęż i zrobić Robertcie niespodziankę, proponując jej przejażdżkę wózkiem za pełnym temperamentu koniem? Ta myśl samej Rosie spodobała się bardzo, ale porzuciła ją szybko, ponieważ miała to być właśnie Roberta. Robbie zawsze raczej obawiała się koni. A przecież te zwierzęta nigdy nie uczyniły jej najmniejszej krzywdy. Niebezpieczny był Eric Fence – i oczywiście Colin Coltrane. Ale nie konie, konie były dobre i kochane.

Rosie lekko zwolniła cugle na prostej i Diamond przyspieszyła. W weekend miała brać udział w swojej pierwszej gonitwie i Rosie nie mogła się tego doczekać. Szkoda tylko, że dotychczas nigdy nie dane jej było porównać swojego konia z innymi kłusakami. I było to też trochę ryzykowne wystawić Diamond z wózkiem *sulky* w gonitwie bez uprzedniego treningu obok innych koni. Ale tego Rosie nie mogła zmienić. Schodziła z drogi trenerom stajni wyścigowych. Zarówno staremu Brownowi, którego rubasna hałaśliwość ją przerażała, jak też Joemu Fence'owi, swojemu siostrzeńcowi. Ciągłe jeszcze sam widok Joego powodował u niej niemal atak paniki. Był tak podobny do swego ojca, że Rosie miała wrażenie, jakby jego ojciec po prostu zmartwychwstał. Choć był on teraz najlepszym jeźdźcem w gonitwach. Joe nigdy nie pozwoliłby sobie na taki brak uwagi, jaki zdarzył się niegdyś jego ojcu.

Rosie odetchnęła i cmoknęła na Diamond. Nie czuła się winna śmiertelnemu wypadkowi Erica Fence'a. Tak, to on kazał jej zaprząć konia i Rosie nie zrobiła tego prawidłowo. Ale dobry woźnica

kontrolował zawsze przed jazdą uprząż, podobnie jak jeździec sprawdzał popręg. Eric Fence nie zrobił tego, w dodatku był na wpół pijany po ostatniej nocy. Był to więc jego własny błąd! Jednak Rosie ciągle bała się spojrzeć w oczy swojemu siostrzeńcowi Joemu. Nie zauważyła wówczas, że Joe był świadkiem jej działań, i chłopiec oskarżył ją o morderstwo. Oczywiście nikt mu nie uwierzył. Ale kiedy dziś Joe zobaczył Rosie, ona dostrzegła w jego wodnistych oczach nienawiść.

Jeszcze jedna runda? Powinna już była zacząć wyprzęgać, ale właśnie Joe Fence zbliżał się do toru, prowadząc wózek zaprzęzony we wspaniałego karego ogiera. Za krępyim trenerem szedł wysoki, silny mężczyzna o rudoblond włosach. Rosie nigdy go nie widziała, a teraz mogła tylko na niego zerknąć – Diamond przemknęła obok nich zbyt szybko. Rosie miała nadzieję, że obaj mężczyźni szybko odejdą. Albo że przynajmniej tylko Joe będzie na hipodromie, kiedy ona skończy kolejne okrążenie. Zanim on objedzie tor, Rosie zdąży wyprowadzić konia z terenu toru. Klacz mogła jeździć po ulicy i spokojnie pokłusowałaby do stajni Barringtona.

Nadzieja Rosie okazała się płonna. Kiedy zwolniła i Diamond zaczęła iść stępa, po czym zatrzymała się przed zagrodzonym wyjściem, Joe ciągle rozmawiał z mężczyzną o rudoblond włosach. Rosie, słysząc dźwięk jego głosu, poczuła na plecach dreszcz przerażenia. Było to niemal echo głosu jego ojca – i sposób mówienia Colina Coltrane’a.

– Oczywiście, że on zwycięży, Mr Tibbs! – zapewniał Joe nieznanego mężczyznę. – Musi przecież, jeśli ma być reklamą pańskiej firmy przewozowej, nie?

Joe zaśmiał się głośno.

– I to rzeczywiście doskonały pomysł. Zawsze powtarzam ludziom: dżentelmen angażuje się w wyścigi. Ale jeśli ma to jeszcze służyć interesom, jak w pańskim wypadku...

Rosie zadygotała, kiedy umieszczał w pysku ogiera kielzno. Miało ono skłonić konia do kłusa, ale Rosie była tego samego zdania co Chloé: dobry kłusak nie potrzebował asekuracji, a dobry trener nie stosował metod, które sprawiały koniowi ból i których on się bał. Mr Tibbs, najwyraźniej klient zainteresowany kupnem ogiera, nie dostrzegał tego, co robił Joe. Zobaczył właśnie Rosie i podszedł do wyjazdu z toru, aby podnieść barierkę.

– Czekaj, chłopcze, nie będziesz musiał wysiadać...

Roześmiał się, kiedy ona uprzejmie podniosła czapkę w podziękowaniu i odsłoniła swoje półdługie włosy.

– O, do pioruna, ty jesteś... pani jest... to dziewczyna! Przepraszam, Miss, że mi się tak wymknęło...

Mężczyzna też zdjął swój kaszkiet, zupełnie jak dżentelmen cylinder. Na twarzy Rosie pojawił się nieśmiały uśmiech. Ale zanim Diamond ruszyła, odezwał się do niej Fence.

– O, patrzcie, mała Rosie... Już gotowa? A ja myślałem, że będę mógł pokazać mojemu klientowi, jak jego koń będzie kłusował koło twojego kucyka. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Serce Rosie biło gwałtownie, ale nie zareagowała na obelgę. Trotting Diamond nie była duża, podobnie jak wiele kłusaków, i nie biegła też tak szybko jak inne kłusaki na torze. Joe wyraźnie prowokował. A na okrągłej twarzy obcego mężczyzny o grubych wargach i szerokich brwiach pojawił się nagle dziwny wyraz, co sprawiło, że naprawdę przypominał teraz buldoga. Wyraz zainteresowania? Czujności? Ale nie złości, wręcz przeciwnie, mężczyzna sprawiał wrażenie sympatycznego.

– Czy sprawi mi pani ten zaszczyt, milady? – spytał z lekkim ukłonem. – Mr Fence chciałby mi sprzedać konia i byłoby miło porównać go z innym. To znaczy... Może kłusaki są ogólnie dobrze wyszkolone, ale znając moje zimnokrwiste rumaki i coby, wiem już, że one są spokojne wtedy, gdy mają całą drogę dla siebie. Ale jak tylko inny koń wejdzie w kłus...

– To... u kłusaków też się zdarza – potwierdziła Rosie zachrypniętym głosem.

Ale nie u tych od Joego Fence'a. Joe Fence był kuty na cztery nogi, nie pozwalał koniom na żadne głupstwa.

Mr Tibbs się uśmiechnął.

– A więc jesteśmy jednego zdania, Miss... Rosie?

Jego głos brzmiał teraz miękko.

– To poza tym moje ulubione imię. Pomoże mi pani wypróbować mojego konia?

Rosie była czerwona jak wiśnia, kiedy skierowała Diamond na pozycję startową. Joe wsiadł do wózka za karym ogierem i znów wyszczerzył zęby.

– Coś panu pokażę, Mr Tibbs – obiecał. – Ale muszę rozgrzać Spirit's Dreama. Nie masz nic przeciwko temu, Rosie?

Rosie nie była w stanie wydusić odpowiedzi. Właściwie miałyby coś przeciwko temu, bo przyjdzie za późno na dworzec. Ale Roberta na pewno nie weźmie jej tego za złe. Prawdopodobnie i tak będzie chciała najpierw odwiedzić nowego weterynarza, a potem Rosie. Doktor Taylor opowiadał, że zna Robertę z Afryki. I kiedy to mówił, jego oczy błyszczały – bardziej niż w czasie badania Diamond, którą to klacz Taylor lubił szczególnie. Ale właściwie doktor Taylor lubił wszystkie konie. I dlatego Rosie lubiła doktora Taylora. Poprzedni lekarz pracujący przy wyścigach był hałaśliwy, a ona się go bała. Ale doktor Taylor był młody, sympatyczny i lubił konie. I Robertę, co nietrudno było dostrzec nawet Rosie. I z pewnością będzie mu odpowiadało, kiedy ona zostawi go samego z siostrzenicą. Ale jeśli to nie będzie odpowiadało Robertce? Tu Rosie poczuła wyrzuty sumienia. Co będzie, jeśli Roberta obawia się Vincenta Taylora? Rosie uważała za całkiem możliwe albo nawet wręcz pewne, że kobiety bały się mężczyzn i ona chciałaby w takim razie być z Robertą. Zastanawiając się nad tym, nie usłyszała, że Mr Tibbs zwrócił się do niej. Obserwował właśnie ogiera, który spokojnym klusem wjeżdżał na tor.

– Piękny koń, świetne ruchy. Pytanie, czy jest szybki. Zna go pani?

Rosie drgnęła wystraszona.

– Co? – spytała zirytowana. – Kogo? A prawda... Ogiera...

Znów się zaczerwieniła. Ten mężczyzna oczywiście zakładał, że ona знаła większość klusaków z tego toru. W Invercargill rzeczywiście znała wszystkie. Ale tu rzadko kiedy miała możliwość obejrzenia ich w czasie treningów. W końcu pracowała przecież w stajni lorda Barringtona, a konie chodzące w galopie były trenowane rankiem. Kiedy w końcu na tor wchodziły klusaki, Rosie musiała umyć wszystkie konie wyścigowe, wysuszyć je i nakarmić.

– Mr Tibbs... – Rosie wzięła się w garść i pomyślała. Spirit's Dream... – Ja... Nie, tego konia nie znam, ale myślę, że znałam jego ojca. Czy był to... Spirit? Czarny folblut? Duży? Dawniej koń chodzący w galopie?

Mr Tibbs wyciągnął z kieszeni papiery i przestudiował je powoli.

– Rzeczywiście, Miss Rosie! – rozpromienił się. – Jest pani prawdziwą znawczynią koni! A co pani sądzi o tym ogierze? Ale szczerze. A może jest pani... może jest pani zatrudniona u Mr Fence'a?

Rosie gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie! Nie, nigdy... nigdy...

Już na samą myśl o tym wszystka krew odpłynęła jej z twarzy.

– Ja...

Tibbs znów się rozpromienił. Rosie pomyślała mimowolnie o portretach psów, które dawniej malowała Heather, zanim stała się znaną artystką. Niektóre psy rasy collie rzeczywiście się na nich „uśmiechały”, unosząc wargi, i miały naprawdę sympatyczne, miłe oczy. I dokładnie tak samo uśmiechał się Tibbs. Rosie z zakłopotaniem zauważyła, że czuje się dziwnie bezpiecznie w towarzystwie tego mężczyzny.

– A więc możemy mówić otwarcie – zachęcił ją.

Rosie zagryzła górną wargę i był to grymas, dzięki któremu jej twarz nabrała dziecinnego wyrazu.

A na twarzy Tibbsa znów pojawił się dziwny, pytający wyraz.

– Spirit był dobry – powiedziała Rosie. – On był jej dziadkiem. – Wskazała na Trotting Diamond.

Tibbs znów uśmiechnął się szeroko.

– No coś takiego! A więc rodzina! A przy tym coś przychodzi mi do głowy...

Na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności.

Ale teraz właśnie zbliżał się do nich Spirit's Dream.

– Zdjęłabym mu *overcheck* – wyrwało się nagle Rosie, zanim Fence do nich dotarł. – To... kielzno...

Tibbs spoważniał i skinął głową.

– Wiem, co to jest. Też o tym mówiłem Fence'owi. To przecież bardzo spowalnia konia.

Rosie potrząsnęła głową.

– Nie... niekoniecznie. Nie wtedy, kiedy jest dobrze wytrenowany. Ale... ale... to boli – powiedziała cicho i sama sobie wydała się nagle głupia.

Większości ludzi było zupełnie obojętne, czy sprawiają koniom ból, jeśli tylko one wyglądały dobrze i zwyciężały w gonitwach – kielzna używano nie tylko w wyścigach kłusaków, lecz często także w ozdobnych zaprzęgach bogatych ludzi.

Tibbs się uśmiechnął.

– A tego oczywiście nie chcemy – powiedział wyrozumiale. – A poza tym interesowałoby mnie, czy ogier będzie kłusował, jeśli pani śliczna klaczka go wyprzedzi. A więc: wyjmę mu teraz kielzno, a pani pokaże nam piękny wyścig, dobrze?

Mężczyzna spokojnie wszedł na tor i zatrzymał Fence'a. Po krótkiej dyskusji Tibbs rozluźnił skórzane paski, które prowadziły przez grzywę i czoło do trzgli, zmuszając konia do nienaturalnie wysokiego trzymania głowy. Rosie patrzyła z niedowierzaniem i podziwem. Jak on mógł się odważyć? Tak po prostu rozkazywać Fence'owi, nie zwracać uwagi na jego argumenty... Ten Mr Tibbs musiał być wpływowym człowiekiem. I kogoś Rosie przypominał. Ale teraz dziewczyna musiała skierować Diamond na start.

Joe Fence już się nie uśmiechał. Był wyraźnie zirytowany, a na widok jego miny Rosie znów poczuła lęk. Oczywiście, pewnie sądził, że to ona podsunęła jego klientowi pomysł z kielznem. A przecież Mr Tibbs dziwił się już przedtem.

Joe Fence trzymał krótko cugle, kiedy konie lekkim kłusem przechodziły za linię startu. Rosie rozluźniła cugle. Diamond była spokojna, choć obok niej biegł Spirit's Dream. Rosie utrzymywała ją w tej pozycji, kiedy Joe przyspieszył i spoglądał przy tym na karego ogiera. Spirit's Dream był bez wątpienia szybki – i pewny jako kłusak, nie potrzebował wcale kielzno, jeśli ćwiczyło się z nim prawidłowo. Ale był nerwowy i koniecznie chciał przebiec obok Diamond. Fence wydawał się niezdecydowany, czy ma pozwolić mu teraz iść, zrobili przecież zaledwie jedną trzecią okrążenia. Rosie ułatwiła mu decyzję, utrzymując tempo Diamond, podczas kiedy ogier pognął do przodu. Joe uśmiechnął się z triumfem, gdy koń wyprzedzał klacz.

Rosie westchnęła z niechęcią. Diamond dotrzymywała spokojnie kroku Dreamowi, choć wyścig był już szybki. Próbowała przyspieszyć, ale Rosie szybko ją uspokoiła. Nie było sensu zmęczyć konia przed prostą. I zaledwie minęli zakręt, w polu widzenia pojawiła się meta.

– Teraz!

Rosie cmoknęła na Diamond i poluźniła cugle. Sama była zaskoczona tym, jak szybko klacz ruszyła do przodu. Wprost przefrunęła obok Spirit's Dreama i pędziła jeszcze szybciej, kiedy ogier usiłował przyspieszyć. Konie biegły obok siebie – serce Rosie tańczyło ze szczęścia i dziewczyna nawet spojrzała

na Joego Fence'a z triumfem. On jednak nie zwracał na to uwagi. Z zaciśniętymi wargami walczył ze swoim ogierem, który w żadnym wypadku nie pozwalał się wyprzedzić rudej klaczy. Ale najwyraźniej w klusie Spirit's Dream zaczął mieć trudności. Diamond opuściła pozycję łeb w łeb i wysunęła się przed niego. Była coraz szybsza. Rosie miała ochotę krzyknąć z radości. Jeszcze nigdy nie jechała za tak szybkim koniem, Diamond przeszła wszelkie oczekiwania!

A Fence obok niej skapitulował przed siłą czarnego ogiera. Spirit's Dream wyrwał mu cugle z rąk, zagalopował i triumfalnie przemknął obok grzecznie klusującej Diamond. Na twarzy Rosie pojawił się słodki uśmiech. Ona nie potrzebowała się niczego obawiać. Diamond nie dawała się zirytować szybszym koniom. Joe Fence patrzył na nią, nie kryjąc wściekłości, kiedy jego *sulky* przemknął obok wózka Rosie.

– Szybki to on jest – zauważył Mr Tibbs z pobłażliwym uśmiechem, kiedy Fence zatrzymał się przed nim. – Tylko nad chodami musi pan popracować.

– Mówiłem panu, że on potrzebuje kielzna... – Joe zaczął się wylewnie usprawiedliwiać, ale Rosie go nie słuchała. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła Robertę i doktora Taylora schodzących do niej z trybun.

– Rosie, to wyglądało przepięknie! – Roberta uśmiechała się z radością i objęła ciotkę, kiedy Rosie zeszła z wózka. – Vincent po mnie wyszedł i pomyśleliśmy, że na pewno cię tu spotkamy. I co za niespodzianka, od razu trafiliśmy na gonitwę, i to jaką!

Roberta mówiła przyjaźnie, choć z pewnym dystansem. Podobnie jak jej matka odczuwała wstręt do wyścigów konnych. Ale elegancka Diamond przed lekkim *sulky* i ta zwykle tak nieśmiała Rosie, która teraz pięknie prowadziła ją po torze, naprawdę zrobiły na niej wrażenie.

A Vincent nie panował nad sobą ze szczęścia i podziwu.

– Rosie, to wprost niewiarygodne! Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak pięknie i bez trudu prowadził konia! Zwłaszcza że ogier jest bardzo szybki. W ostatnim dniu wyścigów zwyciężył przecież, prawda, Mr Fence?

Weterynarz zwrócił się do Joego, który wreszcie zsiadł z wózka i dostrzegł jakąś szansę.

– Słyszysz pan, Mr Tibbs. Jeśli wolno mi przedstawić: to nasz weterynarz. I jeśli mam coś doradzić, to niech pan zakłada temu koniowi kielzno.

Joe Fence zasypywał klienta gradem słów. Ale on... patrzył tylko na Rosie... i na Robertę.

– Przecież to nie może być pani – powiedział rzeczowo, choć wyraźnie poruszony, do młodej kobiety w prostym, ale eleganckim kostiumie podróznym. – To zupełnie niemożliwe, że pani to Violet Paisley, ale pani... Jest pani do niej podobna jak kropla wody...

Roberta się roześmiała.

– Jestem Roberta Fence, córka Violet. Ale moja matka wygląda jeszcze bardzo dobrze. – Podała Tibbsowi rękę. – Skąd pan zna moją matkę? I Rosie?

Potężny mężczyzna o rudoblond włosach spojrzał na Rosie radośnie.

– Jestem Tom Tibbs – przedstawił się, w zabawny sposób unosząc kaszkiet. – Ale jeśli pani matka kiedykolwiek wspominała o mnie... na statku nazywano mnie „Buldog”.

Roberta jeszcze nigdy nie widziała, żeby Rosie uśmiechała się tak słodko i otwarcie jak teraz do tego obcego człowieka.

– To pan nas chronił – powiedziała cicho. – Pamiętam, jak pan... poprosił mojego ojca, żeby wyszorował kajutę.

Buldog zaśmiał się głośno.

– No, poprosił to może nie jest właściwe słowo – stwierdził. – Ale potem było tam rzeczywiście czysto... Nie mogę uwierzyć, że ja cię... przepraszam, Miss Rosie, że ja panią... Nie mogę pojąć, że panią

odnalazłem. Nigdy pani nie zapomniałem, wie pani?

Rosie uśmiechnęła się znów.

– Ja pana też – powiedziała.

Joe poczuł się chyba zlekceważony, bo wmieszał się nagle do rozmowy.

– Prawdziwe spotkanie rodzinne – zakpił. – Halo, siostrzyczko. A czemu to zawdzięczam honor twojej wizyty? Nigdy was przecież nie obchodziłem.

– Joe! – Roberta spojrzała na brata i nagle zbladła.

Ona także nigdy nie widziała Joego od czasów dzieciństwa i jego podobieństwo do ojca ją zaskoczyło.

– W ogóle nie wiedziałam, że tu jesteś.

To była prawda. Rosie nie za bardzo lubiła pisać listy, a już zwłaszcza wtedy, kiedy ktoś był tak daleko jak Roberta – w Afryce. A Chloé wprawdzie donosiła Violet o miejscu pobytu jej syna, ale nie miała jeszcze możliwości powiedzieć tego Robertcie. Po jej powrocie z Afryki było tyle ciekawszych tematów do rozmowy, a Roberta prawie nie miała jeszcze czasu, aby chodzić na wernisaże i przyjęcia. Na razie pomagała w szkole w Caversham, ale nie była to jeszcze stała posada. Roberta cały czas nie była pewna, jaki jest jej stosunek do Vincenta Taylora – nie była też pewna swoich planów. Jeśli odwzajemni miłość Vincenta, on poprosi ją o rękę, to było oczywiste. Ale wówczas ona nie będzie mogła pracować jako nauczycielka. Roberta była rozdarta między jedną a drugą możliwością, a ten weekend w Addington miał jej ułatwić podjęcie decyzji. I wizyta była niezobowiązująca, bo przecież oficjalnie odwiedzała nie Vincenta, lecz swoją ciotkę. Jednak gdyby wszystko poszło dobrze... Roberta myślała o tym, że ewentualnie mogłaby przyjąć jakąś posadę w Christchurch i wówczas lepiej poznać Vincenta. Bo jeśli chodzi o małżeństwo, to Roberta była podobnie uprzedzona jak Rosie – obie musiały patrzeć na wręcz katastrofalny, pełen przemocy związek Violet i Erica i obie pamiętały wszystko dobrze. Roberta wprawdzie nie bała się mężczyzn tak jak Rosie, ale najchętniej związałyby się z kimś, kogo знаła od dzieciństwa. I czuła się bezpiecznie w obecności Kevina. Vincent musiał się najpierw sprawdzić.

A teraz weterynarz patrzył na oboje, uśmiechał się – i nic nie rozumiał.

– Poważnie, Joe? Roberta jest pańską siostrą? Rzeczywiście nie mogła wiedzieć, że pan tu jest, Joseph, bo inaczej powiedziałyby mi o tym. Ale Roberta także była długo w południowej Afryce. Macie sobie pewnie wiele do opowiedzenia!

Jednak patrząc na rodzeństwo, można było od razu dostrzec, że mało interesowali się wzajemnie swoim życiem, ale Vincentowi udało się przynajmniej nieco rozluźnić atmosferę.

– A pan przyплыł z Anglii wraz z matką Roberty i z Rosie, Mr...

– Tom Tibbs – powtórzył Buldog. – Ciągle nie mogę uwierzyć...

– Tak, z pewnością byłoby o czym opowiadać – powtórzył Vincent i tym razem spotkał się z bardziej pozytywną reakcją. Buldog przytaknął gorliwie, a Rosie zaczerwieniła się lekko. – To może pójdziemy wszyscy na kawę? – zaproponował Vincent.

– Ja nie mogę – mruknął Joe. – Muszę odprowadzić konia. I jak, Mr Tibbs? Kupuje pan konia?

– Ja muszę zaprowadzić Diamond do stajni – powiedziała nieśmiało Rosie.

Buldog uśmiechnął się swoim uśmiechem collie, ale teraz pokazał trochę zębów. Roberta, widząc to, zrozumiała, skąd to przezwisko, bo Tibbs naprawdę przypominał miłego psa obronnego, którego należało brać poważnie.

– To zależy, z tym ogierem... myślę, że musimy jeszcze pomówić o tym, że pański koń nie jest taki pewny, jeśli chodzi o klus, wbrew temu, co pan twierdzi, Mr Fence. I zależy też od trenera...

– Koń oczywiście może zostać w mojej stajni – oświadczył Fence gorliwie. – Doradzałbym panu

pilnie, aby to fachowcy przygotowali go do gonitw. I mogę się pochwalić, że w całym Addington mój adres jest najlepszy...

Buldog zmarszczył czoło i znów uczynił honor swojemu przezwisku.

– Dalszy trening u pana? Żeby w czasie następnej gonitwy znów zależało od kawałka skóry, czy Spirit's Dream da się wyprzedzić kucykowi?

Tibbs spojrzął na Rosie i uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

– Nie, Mr Fence, to, czy ja kupię Spirita, będzie zależało od jego przyszłej trenerki. Przyjmie pani mojego konia na szkolenie, Miss Rosie Paisley?

Rosie zaczerwieniła się z podekscytowania – i ze szczęścia.

– Tak... nie... Muszę najpierw zapytać lorda Barringtona, czy... to znaczy... Tak... tak, jeśli lord Barrington na to zezwoli, to tak.

Można było jednak śmiało założyć, że lord Barrington nie będzie miał nic przeciwko temu – a w razie konieczności zapyta go o to Chloé. Ale Rosie była teraz tak rozgorączkowana, że nawet odważyłaby się sama zapytać o to właściciela stajni!

Buldog uśmiechnął się dobrodusznie.

– No to cudownie. Z lordem sam porozmawiam, znam go. Mam firmę spedycyjną, wie pani, i zawsze, kiedy Barringtonowie dostają z Anglii meble czy co tam jeszcze, to ja je wożę na Canterbury Plains. Poczekajcie państwo chwilę, zanim nie załatwię wszystkiego z Mr Fence'em. A potem razem zaprowadzimy konie do domu.

ROZDZIAŁ 3

Vincent Taylor z trudem był w stanie pojąć swoje szczęście – jednak miał Robertę wyłącznie dla siebie. Choć nagle pojawienie się tyłu członków rodziny przeraziło go – obawiał się, że ona nie znajdzie już czasu dla niego. I jeszcze ten szmaciany konik. Zobaczył go w torbie Roberty, kiedy pomagał jej wsiąść z pociągu – czyli ciągle nosiła go ze sobą i był to wyraźny znak, że nie zapomniała mężczyzny, z którym on ją łączył. Vincent znów miał uczucie, że musi walczyć z fantomem.

Rosie i Buldog opuścili tor wyścigowy wyraźnie uszczęśliwieni, czego nie można było powiedzieć o Joem Fence’u. Tom Tibbs zapłacił dobrą cenę za ogiera, ale myśl, że Rosie będzie robiła mu konkurencję jako trenerka, wyraźnie drażniła Joego. Roberta patrzyła za swoim bratem z troską. Pożegnał się z nią chłodno, niewiele mówiąc i z ponurym wyrazem twarzy. Znała tę minę – widziała ją wielokrotnie u swego ojca – i nie chciała być w skórze człowieka, na którym Joe wyładowuje teraz swoją wściekłość. Miała nadzieję, że przynajmniej nie będzie to kobieta.

Ale tak czy owak, ona przyjechała tutaj po to, aby spotkać się z Vincentem.

– Co teraz będziemy robić? – spytała go. – Pokażesz mi Addington?

Vincent też zadawał sobie pytanie, co można robić w Addington z dziewczyną, z którą chciałoby się ożenić. I nie było na to łatwo odpowiedzieć. Poza torem wyścigów konnych w Addington właściwie nic nie było, oprócz kilku małych zakładów przemysłowych, których pracownicy tu mieszkali, i oczywiście kilku rezydencji bogatych fanatyków jeździectwa. Jednak Vincent poprowadził swoją przyjaciółkę między rzędami kolorowych domków robotników, skąd dotarli do okolicy o bardzo wiejskim charakterze. Tu spacer miał już bardziej romantyczny charakter. Vincent opowiadał o swojej pracy. Możliwość zajmowania się końmi przy torze wyścigowym uważał za wielkie szczęście – podobało mu się, że mógł pracować wyłącznie z nimi. Jednak kwestionował niektóre metody i niezbyt czyste machinacje niektórych trenerów i był miło zaskoczony, że Roberta się z nim zgodziła. I po raz pierwszy nie była już taka chłodna i opowiedziała mu dokładnie o swojej rodzinie i swoim dzieciństwie.

– Jakiś czas nawet mieszkaliśmy tu w pobliżu, kiedy centrum jeździectwa znajdowało się w Woolston – mówiła. – A moja matka opowiadała, że w weekendy często chodziła z nami piechotą, jeszcze jako dziećmi, do Christchurch, aby słuchać przemówień bojowniczek o prawa kobiet. I tam właśnie poznała Kate Sheppard. – Roberta się uśmiechnęła. – I tam znów spotkała Seana Coltrane’a.

– Adwokata i byłego posła do parlamentu? – spytał Vincent.

Sean był bardzo znany na Wyspie Południowej.

– To twój ojczym, prawda? Czy on nie jest bratem tego strasznego Colina Coltrane’a? Ciągle nie rozumiem tych stosunków pokrewieństwa u was.

Roberta się roześmiała.

– Bratem przyrodnim – wyjaśniła. – Jednocześnie Sean jest bratem przyrodnim Kevina Drury’ego. Z Colinem Coltrane’em łączy go matka, z Kevinem ojciec. Ale Colin i Sean nie wychowywali się razem. Kiedy Kathleen opuściła swojego męża, Colin został z ojcem. Był chyba podobnie... niezrównoważonym człowiekiem jak jego ojciec właśnie.

Vincent się uśmiechnął i bardzo ostrożnie, aby jej nie przestraszyć, objął ją ramieniem.

– Roberto, jeśli kiedyś będziesz pewna, że mnie kochasz... to powiesz „ty gnojku”, jeśli właśnie to będziesz miała na myśli? – zażartował. – Ładnie jest wyrażać się wytwornie, ale czasami w leksykonach konwersacyjnych... jak to powiedzieć... tam nie zawsze można znaleźć trafne słowa, o!

Roberta opowiedziała mu, że jej matka w praktyce oparła całe swoje wykształcenie na kilku tomach

leksykonu, który dostała w prezencie jako młoda dziewczyna.

Teraz kobieta wzruszyła ramionami.

– Ja już naprawdę zdziczałam – poskarżyła się. – Miss Byerly, moja przełożona w szkole w Caversham, stale mnie ruga za mój sposób wyrażania się. I te historie, które opowiadam dzieciom... Afryka nie wpłynęła zbyt dobrze na moją... hm... karierę.

Vincent objął ją ciaśniej.

– Może powinnaś pomyśleć o innym rodzaju kariery – stwierdził. – Jako żona weterynarza mogłabyś nawet kłąć. Oczywiście nie w niedzielę... – Uśmiechnął się.

– Dokuczasz mi! – zgaśniła go Roberta.

– Nie, ja cię sprowadzam na manowce! – wyjaśnił Vincent. – A mianowicie zabieram cię dziś wieczorem do pubu. Nie, nie do jednej z tych spelunek koło toru wyścigowego, lecz do bardzo szanowanego lokalu rozrywkowego. Zagląda tam lord Barrington, kiedy tu przyjeżdża, i wszystkie najważniejsze osobistości miasta. Nic podejrzanego. A dziś wieczorem będzie tam koncert. Przyjdą także inne damy, a więc nie obawiaj się. I nie musimy o tym mówić Miss Byerly. Pójdiesz ze mną?

Roberta zastanawiała się przez chwilę. Miło było iść teraz wzdłuż strumienia, na brzegu którego rosły trzciny i wierzby, miło było czuć obejmujące ją ramię Vincenta. Po spektakularnej, ale jednak budzącej lęk przyrodzie południowej Afryki krajobraz otaczający Christchurch był cudownie uspokajający. Ponoć bardzo przypominał krajobraz Anglii... Roberta ufała Vincentowi i wiedziała, że nie zaprowadziłby jej do jakiegoś podejznanego lokalu. Byłoby głupio siedzieć samej albo z Rosie w wynajętym pokoju w pensjonacie, czytać książkę albo słuchać niekończących się opowieści o koniach i nie iść na ten koncert.

– Śpiew czy muzyka instrumentalna? – spytała odważnie.

Vincent się uśmiechnął.

– Będzie tam występować pewna śpiewaczka – odpowiedział.

Juliet Drury-LaBree już od dawna miała dość Nowej Zelandii. Wiele razy żałowała, że opuściła zespół i przyłączyła się wówczas do tego tournée, którego trasa wiodła za morza. Nowa Zelandia była po prostu za mała i zbyt prowincjonalna i poprzez to nieodpowiednia dla jej sztuki; nie było tu też scen, na których Juliet mogłaby się właściwie zaprezentować. Ani publiczności na światowym poziomie, która byłaby w stanie docenić jej wyrafinowane songi i aranżacje fortepianowe. Lokal w Queenstown, który tak bardzo polecał jej Pit Frazer, okazał się na przykład lepszym burdelem. Oczywiście, nazywał się „hotel”, miał scenę, a zarządzająca próbowała utrzymać jakiś przyzwoity poziom. Ale hotelu Daphne w ogóle nie można było porównać z nocnymi klubami Nowego Orleanu, gdzie swego czasu występowała Juliet. A w dodatku Daphne O'Hara i Juliet bardzo prędko się poróżniły. Juliet ani nie chciała zaakceptować jej programu, ani też nie odpowiadał jej sposób, w jaki miała być traktowana przez publiczność – a tu Daphne nie chciała wykazać zrozumienia. Kiedy Juliet za drugim razem stała przy barze z najważniejszymi osobistościami małego miasta i pozwoliła się zaprosić na lampkę szampana, rudowłosa burdelmama z lisią miną poprosiła śpiewaczkę na stronę.

– Żebyśmy się, słodziutka, dobrze rozumiały: ty nie pracujesz tu na własny rachunek. Moje dziewczyny są przyzwoicie traktowane, ale pięćdziesiąt procent ich dochodów ma trafiać do mnie, i to dotyczy także ciebie, jeśli się tu sprzedajesz. Zrozumiano?

– Sprzedawać się!?! – oburzyła się Juliet. – Nie rozumiem, co pani ma na myśli. Ale jeżeli mówi pani o przyzwoitości, to może postara się pani o przyzwoitego szampana! Bo tego świństwa nikt nie może pić!

Daphne przewróciła oczami.

– Dobrze wiesz, co ja mam na myśli. Jak sprzedajesz się na wyższym poziomie jako moja

dziewczyna, to i tak wychodzi na jedno. A może będziesz mi opowiadać, że robisz to z tym łysym z miłości? – Wskazała na mężczyznę, który cierpliwie czekał przy barze. – A co z tym, do którego zapałałaś uczuciem w poprzednim tygodniu? Tak samo jak do tego pismaka, który cię tu przywłókł! Nie, słodziutka, nie trudź się. Albo będziesz uczciwa, albo oddajesz mi połowę. A za to pracujesz w czystym pokoju bez robactwa i masz codziennie czyste prześcieradło... I nie udawaj, że dla ciebie to oczywiste. Wiem, że masz za sobą gorsze dni, to widać po tobie!

Juliet oczywiście nie zamierzała tego znosić i następnego dnia wyjechała. Potrzebny kapitał startowy zaofiarował mężczyzna, był rzeczywiście wspaniałomyślny – co za bezczelność, nazywać go klientem! Juliet użyłaby raczej słowa „sponsor”. Z pieniędzmi sponsora udała się na zachodnie wybrzeże. Tam niestety wszystko było w budowie, gdzieniegdzie istniały już hotele na światowym poziomie, choć większość jeszcze nie była wykończona.

Niestety ich zarządcy okazali się wyjątkowo pruderyjni. Im z kolei chodziło o to, aby ich lokale odróżniały się w sposób zasadniczy od pubów dla górników w miastach. Juliet wyleciała dwa razy, kiedy chciała zakończyć wieczór z kilkoma panami w swoim pokoju – a byli to przecież bardzo dystyngowani dżentelmeni. Załatwiono to bardzo dyskretnie, nie doszło do głośnej kłótni jak u Daphne. Ale o dłuższych angażach nie było co myśleć, a pieniądze sponsorów wystarczały wprowadzić na życie na odpowiednim poziomie, ale nie na podróż statkiem do Ameryki czy Europy.

A teraz ta dziura o nazwie Addington koło Christchurch – wobec faktu, że Juliet nie znalazła angażu w mieście. Tu mieszkało wprawdzie kilku bogatych mężczyzn, ale ci woleli kibicować koniom, niż sponsorować młode piękne kobiety. Lokal, w którym miała śpiewać, też nie odpowiadał jej gustowi. The Addington Swan był lokalem raczej mieszczańskim. Jazz z Nowego Orleanu pasował tu jak homar do ziemniaczanych klusek. Juliet jednak usiadła grzecznie przy fortepianie i spojrzała na publiczność, zanim zaczęła śpiewać pierwszy song. Pomieszczenie było jasno oświetlone! Nedoręczność: jak miała w tych warunkach stworzyć atmosferę? Słuchacze też sprawiali wrażenie prowincjuszy. Ubrani jak na święta, a nie na wieczór w klubie, za to bez odrobiny wyrefinowania. O nieba, w stosunku do Addington Dunedin było Paryżem! Ale zaraz, ta młoda kobieta w ostatnim rzędzie była chyba jakimś wyjątkiem. Miała na sobie prostą suknię – ale znakomicie podkreślającą figurę. I była to jedna z tych sukien reformowanych, które na szczęście już wychodziły z mody. Większość kobiet wyglądała w nich tak, jak gdyby miały na sobie worki po ziemniakach. Młoda kobieta o długich kasztanowobrazowych włosach zaplecionych w rodzaj greckiego warkocza sprawiała wrażenie klasycznej bogini. Takie suknie reformowane wychodziły właściwie spod igły tylko jednej krawcowej: Kathleen Burton z Lady's Goldmine.

Juliet spojrzała uważniej i od niechcienia zaczęła śpiewać o tęsknocie i miłości. Bogini w ostatnim rzędzie, wyraźnie podekscytowana, szeptała coś do swojego towarzysza, szczupłego młodego mężczyzny, którego miły wyraz twarzy zdaniem Juliet sygnalizował nudę. Ale ta mała... Juliet z pewnością gdzieś ją widziała...

Głos Juliet czarował i olśniewał, podczas kiedy jego właścicielka dokonywała w myślach szybkiego przeglądu swoich dawnych znajomych w Dunedin. I wreszcie jej się przypomniało. Mała wielbicielka Kevina. Nieśmiała dziewczyna, którą można było uszczęśliwić głupim szmacianym konikiem. Teraz jednak najwyraźniej wyrosła na piękną kobietę. Juliet się zastanawiała, czy po koncercie lepiej będzie zejść jej z drogi, czy też zamienić kilka słów. Ten problem rozwiązał się sam. Kiedy Juliet skończyła śpiewać i po skąpych brawach mało pojętej publiczności zeszła ze sceny, młoda kobieta pociągnęła swego towarzysza i podeszła razem z nim do niej.

– Miss Juliet! To było przepiękne. Ale nie wiedziałam... Patrick nic o tym nie wspominał, że śpiewa pani tu, koło Christchurch. Wróci pani do Dunedin? May jest taka urocza.

Juliet postarała się o powściągliwy uśmiech.

– Pani jest... hm... małą siostrzenicą Kevina, prawda?

Roberta potrząsnęła głową.

– Nie całkiem, ja jestem Roberta Fence, przyjaciółka Atamarie. To ona jest siostrzenicą Kevina i oczywiście także Patricka.

W głosie kobiety można było usłyszeć wyraźny wyrzut.

Juliet rozzłościła się w myślach. Oczywiście, to było faux pas, tak po prostu nie wspomnieć o Patricku.

– Tak, tak, słusznie. Proszę wybaczyć. Wtedy w Dunedin... Tyle było spraw, którymi musiałam się zająć...

Uśmiechnęła się przepraszająco, spojrzała nieznacznie na towarzysza Roberty i uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko. To właściwie była najpewniejsza metoda, aby zakończyć rozmowę z inną kobietą.

Roberta nie zareagowała, a mężczyzna też nie zwrócił uwagi na Juliet. Wydawało się, że uwielbia tylko Robertę. A ona... no, albo sobie z niego nic nie robiła, albo ślepo mu ufała.

– Może pani odnowić znajomość z nami wszystkimi, kiedy wróci pani do Dunedin – dodała Roberta, teraz nieco jadowicie i zarazem słodko.

Juliet poczuła coś w rodzaju szacunku. Ta młoda dama chyba uporała się ze swoją nieśmiałością.

– Ach, Dunedin... – Juliet westchnęła teatralnie. – Nie wiem, czy tam zajrzę. Zobowiązania, rozumie pani...

Pozornie niedbałym ruchem odsunęła z twarzy kosmyk włosów i ponownie spojrzała na Vincenta. Roberta także na niego zerknęła.

– Mogę przedstawić? – spytała sztywno. – Doktor Vincent Taylor, weterynarz na torze wyścigów konnych. Vincent i ja byliśmy razem w...

– ...w Południowej Afryce – uzupełnił Vincent i ukłonił się.

Juliet nadstawiła uszu.

– A więc zna pan Kevina Drury’ego? – wymknęło jej się. – Jak... jak on się miewa?

Vincent przytaknął niewinnie.

– Jasne, Kevin i ja byliśmy razem w armii. A Miss Fence jako nauczycielka pomagała w burskich obozach. I wykonała wspaniałą pracę, jeśli mogę dodać.

Rozpromienił się.

– U Kevina wszystko w porządku – wtrąciła Roberta. – Podobnie jak u Patricka i May. Ach, prawda, Kevin jest...

– Sama może się pani o tym przekonać, kiedy wróci pani do Dunedin – powiedział Vincent. – Pani jest żoną Patricka Drury’ego, jak mówiła Roberta?

Juliet nieco zdezorientowana skinęła głową. Czy to znaczyło, że Kevin już wrócił? Oczywiście, ta głupia wojna za morzami już się skończyła. Juliet rozmyślała gorączkowo.

– Ja... ewentualnie się zastanowię, co z tym Dunedin – stwierdziła.

Roberta się uśmiechnęła – sardonicznie, jak stwierdził ku swemu zaskoczeniu Vincent. Nigdy jeszcze nie widział u niej takiego wyrazu twarzy.

– Patrick na pewno niesłychanie się ucieszy. – Roberta patrzyła na dawną rywalkę rozpromieniona. – A Kevin... cóż, on zapewne pali się do tego, aby przedstawić pani swoją żonę. To burska kobieta, wie pani, i wyjątkowa piękność. I mają uroczego małego synka...

ROZDZIAŁ 4

Lizzie przewijała małego Abe i spoglądała bacznie na May, która siedziała na kuchennej podłodze i bawiła się z jednym z collie. Pies był bardzo miły i zawsze zachowywał się przyjaźnie wobec ludzi, ale dziewczynka miała dwa lata i jeśli częstowała go zbyt energicznie swymi małymi piąstkami, mógł zareagować zaskakująco. Choć co prawda May potrafiła już całkiem dobrze kontrolować swoje ruchy. Jak na jej wiek, były one pełne gracji – i Lizzie nie mogła się napatrzeć jej egzotycznej urodzie. Natomiast syn Kevina i Doortje miał bardzo subtelne, delikatne rysy i pierwsze złote loczki na główce. Lizzie się wydawało, że rozpoznaje na nich ów metaliczny połysk, jak na włosach Atamarie. Dziwiło ją to trochę, bo sądziła, że ten kolor włosów pojawia się tylko w rodzinie Kathleen.

Lizzie włożyła Abe koszulkę i śpioszki, pogłaskała May po czarnych lokach i znów przyszło jej do głowy, że została obdarowana prześlicznymi wnuczętami. I byłaby szczęśliwa i zadowolona – gdyby matki tych dzieci okazały się bardziej skłonne, by przystosować się do warunków, w których przyszło im żyć. Lizzie ciągle z przerażeniem myślała o Juliet – jej zdaniem ucieczka synowej była czymś najlepszym, co mogło się przytrafić Patrickowi. Nawet jeśli on nadal zlorzeczył losowi. Patrick Drury ciągle nie mógł dojść do siebie, od kiedy opuściła go żona. Opiekował się wprawdzie bardzo troskliwie swoją „córką”, która właściwie była jego bratanicą, ale był rozczarowany i zdeprimowany. A przecież musiał już zrozumieć, że Juliet tak naprawdę go nie kochała – Lizzie wątpiła nawet w to, czy ta kobieta rzeczywiście odwzajemniała uczciwą sympatię Kevina do niej, choć tych dwoje jednak w swoim czasie coś łączyło.

Lizzie zaczynała się powoli martwić o swojego młodszego syna. Patrick zawsze był w cieniu Kevina, który z kolei bardzo przypominał ojca i był, podobnie jak on, człowiekiem barwnym, o bardzo złożonej osobowości. Jej urokowi nie mogła się oprzeć sama Lizzie, kiedy widziała, jak starszy syn, o błyszczących oczach i czarnych falujących włosach galopował w stronę domu i zatrzymywał swego siwka w ostatniej chwili tuż przed drzwiami. Zawsze przypominał jej się wtedy Michael i to, jaki był dumny z pierwszego własnego konia, kiedy wreszcie osiągnął w życiu stan względnego dobrobytu. Ale Lizzie pamiętała też o jego skłonnościach do lekkomyślności i niestałości. Patrick natomiast przypominał Lizzie. Był bardziej niepozorny, ale za to cierpliwy, godny zaufania i miły. Niestety brakowało mu odporności, której Lizzie nauczyło życie jeszcze w czasach jej młodości w Londynie i potem na wygnaniu w Tasmanii. Zbyt łatwo dał sobie złamać serce przez Juliet. Lizzie mogła tylko mieć nadzieję, że kiedyś wreszcie się z tym upora. A teraz jeszcze Kevin z tą Doortje... I wydawało się, że on rzeczywiście kocha tę dziewczynę. Z właściwym sobie uporem i skłonnością do przekory, co Lizzie latami obserwowała u jego ojca. Bo musiało upłynąć wiele lat, zanim Michael zrozumiał beznadziejność i brak przyszłości jego uczucia do Kathleen... A Kevinowi bądź co bądź udało się nakłonić Doortje, aby poszła z nim do ołtarza. Ale czy to małżeństwo było szczęśliwe? Lizzie ciągle się zastanawiała, jak mogło dojść do poczęcia ich dziecka, kiedy widziała, jak ci dwoje odnosili się do siebie. Ale może Lizzie była uprzedzona. Młoda para mieszkała od kilkunastu dni na Elizabeth Station, ale Lizzie nie była w stanie okazać nowej synowej odrobiny ciepła. A przy tym Doortje była dokładnym przeciwieństwem Juliet. Interesowała się wszystkim, co działo się na farmie, i nie była też leniwa – Lizzie uważała jedynie, że jej troska o Abe pozostawiała czasem sporo do życzenia. Doortje nie śpieszyła się z karmieniem, mimo że dziecko płakało już przez dłuższy czas, a ona była obok i mogła się nim zająć. I uważała to za środek wychowawczy. Lizzie nie mogła znieść płaczu malca, ale Doortje poinformowała ją, że chłopiec powinien się wcześniej przyzwyczajać do wyrzeczeń i niedostatków.

– Ale przecież on nie ma nawet sześciu miesięcy! – protestowała Lizzie.

Ale Doortje nie dawała się przekonać. Obstawała przy swoim w wielu innych kwestiach tak uparcie i twardo, że nikt nie był w stanie niczego jej wyperswadować. I nigdy nie dawała się wyprowadzić z równowagi. Lizzie nie widziała jeszcze kobiety tak opanowanej, ale jednocześnie tak pełnej napięcia. Kiedyś ten wulkan musiał wybuchnąć i Lizzie przerażała ta perspektywa.

– Mogę jakoś pomóc?

Miły, jasny głos mówiący z obcym akcentem przerwał jej rozmyślenia. Nandé znów udało się bezszelestnie wejść do domu – czarna dziewczyna chodziła boso i poruszała się cicho jako kot.

Lizzie uśmiechnęła się do niej. Ze wszystkich istot rodzaju żeńskiego, które w ostatnich latach kwaterowały w jej domu, Nandé była najbardziej sympatyczna. Ta dziewczyna była zawsze zadowolona i zrównowazona, chętna do pomocy i nauki, a jej angielski poprawiał się niemal z dnia na dzień. Ogromnymi, zdziwionymi oczami przyglądała się nowemu światu, który właściwie dla niej był o wiele bardziej obcy i niezrozumiały niż dla jej pani. Pani... Lizzie otrząsnęła się już na samą myśl o tym słowie, ale ona też nie ważyła się w jakiś miły sposób przetłumaczyć tytułu *baas*, którego Nandé ciągle używała w stosunku do Doortje. A Lizzie z początku sądziła, że chodzi tu o słowo *Base*, które było niemieckim określeniem kuzynki, znanym jej z krótkiego okresu pracy w niemieckim gospodarstwie w Blenheim. I to pasowałoby do uwagi Kevina, że Nandé zabrano jako członka rodziny.

Ale w to Lizzie nie wierzyła, a już zwłaszcza po niemiłym zajściu z Haikina i Hemi, którzy zaraz po przyjeździe Doortje przyszli w odwiedziny. Michael był akurat u owiec, Lizzie w winnicy, a Kevin w nowo otwartym gabinecie. Maorysi zastali więc tylko Doortje i Nandé – obie w ogrodzie. Przynieśli prezenty od szczepu dla młodej kobiety, próbowali nawiązać rozmowę – i usłyszeli, że Nandé tytułowała Doortje *baas*. Maorysi, nie podejrzewając nic złego, podchwycili zwrot, a Doortje nie wyjaśniła, kiedy i kto go używa. Wręcz przeciwnie, kiedy Haikina kilka dni później wpadła na farmę, aby pomóc przy winobraniu, zwróciła się tak do Doortje. Lizzie kategorycznie zażądała od niej wyjaśnień i była przerażona reakcją. „Waszych Kafrów nie możecie przecież nazywać po imieniu!” – odpowiedziała Doortje. I znów nie dała się odwieść od swego zdania, nawet wtedy, kiedy Lizzie wyjaśniła jej relacje między Drurymi a Ngai Tahu – nie wspominając oczywiście o złocie. Kevin był wprawdzie zdania, że Doortje można spokojnie wtajemniczyć we wszystko, bo Burowie do pozyskiwania złota mieli podobny stosunek jak Church of Scotland, który z dużym sceptycyzmem odnosił się do „bogactwa bez uprzedniej pracy”. Ale Lizzie i Michael upierali się, aby zatrzymać tę wiedzę dla siebie – a Haikina i Hemi byli tego samego zdania.

– Ona się jeszcze nauczy – powiedziała Haikina pocieszająco do Kevina. – Przyrowadź ją kiedyś do nas do wsi, na któreś ze świąt. A może ona u nas poczyta, co w książkach i gazetach piszą na temat kobiet, które wywalczyły prawa wyborcze, i na temat maoryskiego parlamentu...

– Haikina chętnie ci pożyczy trochę innych książek – powiedziała kilka dni później Lizzie.

Doortje obejrzała jej regał z książkami niemal tak samo nieufnie jak poprzednio Juliet. Tylko że książki Lizzie na temat winiarstwa Doortje uważała nie za nudne, lecz za moralnie gorszące, podobnie jak żurnale dla kobiet, które Lizzie od czasu do czasu sprowadzała, a które z kolei Juliet wprost połykała.

– Czarna umie czytać? – spytała Doortje z przerażeniem. – To nie jest zgodne z wolą boską!

Lizzie w tym momencie zrozumiała przynajmniej, dlaczego Nandé tak starannie ukrywała przed Doortje swój skarb składający się z dziecinnych książek, które należały kiedyś do Kevina i Patricka.

– Haikina jest nauczycielką. I to ona nauczyła czytać twojego męża i jego rodzeństwo! – poinformowała Lizzie swoją synową, teraz już naprawdę wściekła. – A ponieważ do szkoły w Lawrence jest dość daleko, będzie tego uczyła także Abe, o ile ty nie masz takich ambicji. Ale z całą pewnością on nie będzie się tego uczył po niderlandzku czy po afrykanersku, nie mówiąc już o twojej starej Biblii!

I już ja będę wiedziała, jak do tego nie dopuścić!

Doortje w odpowiedzi popatrzyła na nią z wściekłością, ale nic nie odpowiedziała. Na szczęście miało minąć jeszcze sporo czasu, zanim Abe osiągnie wiek szkolny.

Lizzie westchnęła. Przygnębiała ją myśl, że konflikt między nią a synową będzie może trwał latami.

– Możesz w tej chwili wyjść z May – powiedziała teraz do Nandé. – Zanim znów zaczniesz padać. Jak chcesz, weź też Abe. Skończyłyście już pracę w ogrodzie? A gdzie jest Doortje?

– Próbuje doić owce – odpowiedziała dziewczyna. – Ja nie pomagam. *Baas* powiedziec, ja nie muszę pomagać, jak się bać. Naprawdę? – Nandé spojrzała na nią z wyraźnym poczuciem winy.

Lizzie znów westchnęła. Ona sama nie miała nic przeciwko temu, że Doortje próbowała swoich sił przy wyrabianiu serów. Jej synowa miała tu chyba spore doświadczenie, a Lizzie lubiła ser owczy. Ale niestety odznaczane po wielekroć i należące do Michaela dostarczycielki wspaniałej wełny tu stawiały stanowczy opór. Owce i kozy w południowej Afryce były od początku przyzwyczajane do dojenia, za to półdzikie zwierzęta hodowlane Michaela wcale nie zamierzały stać spokojnie, kiedy Doortje chciała je wydoić. Żyły właściwie jak wolne zwierzęta w stadzie, spędzały lato ze swoimi jagniętami na pastwiskach, a ludzi poznawały tylko przy strzyży – i od czasu do czasu przy koceniu. I nie były to przyjemne doświadczenia, toteż zwierzęta unikały każdego kontaktu. Przy próbie przywiązania i dojenia szarpały się i kopały. Nandé już w czasie pierwszej próby dorobiła się bolesnych krwiałków i teraz bała się zwierząt. Michael nie miał zbyt dobrego zdania o tych akcjach, które tylko zakłócały przebieg prac na farmie, i z chęcią pozwolił Nandé, aby trzymała się od owiec z daleka. Doortje za to nie zamierzała ustąpić. Każdego dnia walczyła z trzema maciorkami – i nie było mowy o kompromisie.

– Co roku mamy osierococone jagnięta, Doortje, nie ma żadnych przeszkód, aby dwoje czy troje oswoić i przyzwycząić do dojenia – proponował Kevin. – I za dwa czy trzy lata będziesz miała owce, które nie będą cię odstępować ani na krok, a ser też będzie wtedy smakować tak samo...

Ale Doortje upierała się przy dotychczasowej metodzie – i wręcz wydawała się czerpać przyjemność z codziennej walki ze zwierzętami. Lizzie tylko potrząsała głową z dezaprobatą.

– Ty musisz tutaj tylko jedno, Nandé – powiedziała teraz przyjaźnie do czarnej dziewczyny. – A mianowicie: przestać nazywać Michaela *baas*. On ani nie jest ani twoim wujem, ani panem. Nazywaj go po prostu Michael albo Mr Michael. Ale tego niewolniczego żargonu nie chcę tutaj słyszeć. I z tym wiąże się też sprawa twojego odpowiedniego wynagrodzenia. Nie może być tak, że pracujesz dla nas za darmo.

Nandé popatrzyła na nią zaskoczona.

– Ale co ja zrobię z pieniędzmi?

Lizzie natychmiast mogłaby jej udzielić paru interesujących wskazówek, ale rozmowę przerwał głośny tętent końskich kopyt i turkot kół. Lizzie wyjrzała przez okno i z radością, ale i zakłopotaniem rozpoznała klacz Lady przed wozem Patricka. Jak dobrze, że Patrick już wrócił! Ale z drugiej strony oznaczało to spotkanie z Kevinem – a tej konfrontacji Lizzie obawiała się od miesięcy. W Dunedin Patrick najwyraźniej schodził swojemu bratu z drogi. Kevin uważał to za przypadek, ale Lizzie tak całkiem nie mogła w to uwierzyć. Patrick nigdy nie był w drodze sześć miesięcy – a Kevin też nie był tak zajęty, żeby nie mogli się spotkać. Ale między braćmi ciągle stała Juliet LaBree, a możliwe, że teraz także Doortje, która zachowywała się jak prosta chłopka. Patrickowi mogło się nie spodobać, że zobaczy Kevina i jego żonę na farmie. Elizabeth Station była jego dziedzictwem, Kevinowi rodzice sfinansowali za to długie studia medyczne i gabinet w Dunedin. Lizzie i Michael gotowi byli też sfinansować mu gabinet w Lawrence, ale farma miała należeć do Patricka. Lizzie mogła jedynie mieć nadzieję, że młodszy syn nie odbierze przeprowadzki Kevina do Otago jako afrontu.

Ale teraz Patrick nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego. Wręcz przeciwnie, wprost promieniał radością i pomachał ręką w stronę kuchennego okna, kiedy przejeżdżał obok. Lizzie wzięła May na ręce, aby wyjść mu naprzeciw, ale pies zaczął szczekać na powitanie, zanim wyszła przed drzwi. Patrick odwrócił się do skaczącego wokół niego collie, pogłaskał go i objął Lizzie i May jednocześnie. Lizzie cieszyła się z tak serdecznego powitania, ale i trochę dziwiła. Dawno nie widziała Patricka w stanie takiej euforii.

Ale teraz młody mężczyzna dostrzegł Nandé z małym Abe na rękach – i popatrzył na czarną dziewczynę z zaskoczeniem i zdumieniem.

– Kto to jest? – spytał. – Ale tak czy owak, mam, May, moja słodka! Nie uwierzcie, kogo wam przywiozłem!

May pisnęła radośnie, ale Lizzie ogarnęło jakieś złe przeczucie, które niestety zaraz się potwierdziło.

– Patricku, niespodzianka czy nie, ale nie możesz mnie przecież zostawić w tym wozie! Deszcz pada!

Lizzie usłyszała dźwięczny, ciemny głos – w drzwiach bryczki stała Juliet LaBree. Lizzie patrzyła na nią z niedowierzaniem. Za to Nandé była wyraźnie zainteresowana. Piękna Kreolka była pierwszą kolorową kobietą, którą spotkała w Nowej Zelandii. Juliet się roześmiała.

– Miss Lizzie, czyżby odjęło ci mowę?

Juliet ze sztuczną swobodą podeszła do Lizzie i powitała ją pocałunkiem w policzek.

– Patrick mówił, że trafi cię szlag, ale... no, z pewnością liczyłaś się z tym, że kiedyś wrócę...

Lizzie chrząknęła.

– Nie – wyznała. – Z tym, prawdę mówiąc, się nie liczyliśmy.

Chciała jeszcze coś dodać, ale Juliet weszła jej w słowo – zauważyła już Nandé i patrzyła na nią przez chwilę natarczywie, bez żadnych zahamowań. A potem się roześmiała.

– O nieba, nie wierzę! Czarna! Trzeba przyznać, że śliczna. Ale on zawsze miał dobry gust. Niech no cię obejrzę, mała. Jesteś żoną Kevina?

Nandé zawstydzona spojrzała w ziemię, co pozwoliło Patrickowi odnieść się do mało taktownego powitania Juliet.

– Proszę wybaczyć... – zwrócił się z przeproszającym wyrazem twarzy do Nandé. – Moja żona jest dość... impulsywna. Ale ja też wyobrażałem sobie siebie... przepraszam, panią... inaczej.

Lizzie się opanowała.

– Nandé, to jest Patrick Drury, mój młodszy syn, i jego... hm... małżonka Juliet. Juliet, Patrick, a to jest Nandé. Pokojówka... Doortje.

Szukała w myślach jakiegoś lepszego określenia, bardziej dowartościowującego. To, które usłyszała Nandé, jeszcze bardziej ją zawstydziło.

Juliet się skrzywiła. Małżonka Kevina miała więc służbę. Pokojówka!

Zerknęła na dziecko o jasnych włosach, które Nandé trzymała w ramionach, a ona podeszła do Patricka.

– To jest Abraham – przedstawiła go swoim łagodnym głosem. – Pański... bratanek, tak się mówi?

Patrick uśmiechnął się do niej.

– Tak, dobrze. Uczy się pani angielskiego, Miss Nandé?

Nandé skinęła głową.

Juliet natychmiast zauważyła, że dziecko jest białe – najczystszej białej rasy. A wtedy z kuchni wyszła kolejna kobieta. Doortje Drury miała na sobie burski strój do pracy: niebieską suknię, fartuszek i czepek. Rano strój był czysty i schludny, ale nie wyszedł bez szwanku z walki z maciorkami. Wszystko

było pogniecione i brudne, możliwe nawet, że Doortje przewróciła się w czasie dojenia, w każdym razie jej suknia nosiła wyraźne ślady owczego nawozu i słomy. W dodatku biegła z owczarni w czasie deszczu. Jednak oczy Doortje błyszczały radośnie i były pełne triumfu, i sama Lizzie musiała przyznać, że była to wyjątkowo piękna kobieta, stanowiąca krańcowe przeciwieństwo ciemnoskórej, tajemniczej Juliet. I o wiele bardziej naturalna.

– Mam mleko! – oświadczyła Doortje i podniosła wiadro. – Wydoiłam dwie owce!

Lizzie się uśmiechnęła.

– Czy mogę przedstawić? Dorothea Drury, Patrick i Juliet Drury. Mój młodszy syn, Doortje, i jego żona.

Obie synowe Lizzie patrzyły na siebie tak samo zdumione. Juliet gapiała się na ubrudzony nawozem fartuch Doortje, a Doortje wpatrywała się w negroidalne rysy Juliet.

Patrick rozładował nieco sytuację, podając rękę szwagierce.

– Cieszę się, że mogę cię poznać – powiedział oficjalnie. – A właściwie was... ciebie i małego Abe.

Wziął z rąk Nandé niemowlę.

– Trudno nie dostrzec rodzinnego podobieństwa – zauważył niewinnie. – On wygląda jak Atamarie, prawda?

ROZDZIAŁ 5

Lord Barrington wielkodusznie pozwolił Rosie Paisley wstawić czarnego ogiera Buldoga do swojej stajni, pozwolił też, aby koń trenował na jego terenach. W tym celu lord postarał się o licencję trenera dla Rosie, co oczywiście nie było takie proste: związek jeździecki był ewentualnie skłonny przymknąć oko na woźniców płci żeńskiej, jeśli sprawie nie nadawało się zbyt dużego rozgłosu, ale trener? Lord jednak okazał się człowiekiem bardzo pomysłowym. Towarzyszył Rosie do Canterbury Trotting Club osobiście i poparł jej wniosek o wydanie licencji.

– Ross Paisley – przedstawił Rosie, która ukryła swoje znów krótko ścięte blond włosy pod czapką, a kobiece kształty pod luźną koszulą i spodniami wpuszczonymi w długie buty. – O wielkich zdolnościach, to świetny nabytek dla naszego klubu.

Sekretarz Canterbury Trotting Club niechętnie podniósł głowę znad papierów.

– Jak dokładnie się ten człowiek nazywa? – spytał. – Potrzebne mi jest pełne imię, tak musi być w papierach, a Ross to forma skrócona, prawda?

Lord oparł się o biurko i pochylił się nad nim.

– Pewnie – wyszeptał poufale, jak gdyby powierzał mu jakąś ważną tajemnicę. – Ale chce pan mieć w swoich dokumentach o zatrudnieniu imię i nazwisko Rosamond Paisley?

Sekretarz mruknął coś, a potem zagrzmiał:

– Rosamond?

Rosie poczerwieniała. Właściwie nazywała się Rosalind, ale używanie imienia chłopca wydawało jej się trochę bezczelne.

Sekretarz trzymał się za brzuch ze śmiechu.

– Niektórym rodzicom należałoby doprawdy sprawić lanie... Przy czym... Ten chłopiec robi rzeczywiście nieco kobiece wrażenie...

Rosie zagryzła wargę, ale mężczyzna chwycił już za pióro. I kilka minut później miała w ręku licencję trenera na nazwisko Ross Paisley. Lord uiścił jeszcze stosowną opłatę, którą Rosie miała mu potem zwrócić, i mogła zaczynać pracę. Przy sporządzaniu umowy w sprawie treningu konia Spirit's Dream lord także służył swoją pomocą. Miejsca dla dwóch kolejnych koni miały się wkrótce znaleźć, na razie oprócz Buldoga żaden inny właściciel nie zdecydował się powierzyć swojego zwierzęcia nowemu trenerowi. Oczywiście Joe Fence i dwóch miejscowych trenerów kłusaków z Addington próbowało podważyć licencję Ross Paisley. Płeć Rosie była w końcu znana wszystkim, którzy pracowali na torze. Jednak klub jeździecki postawił na swoim. Lord Barrington miał wielkie wpływy w Addington, a spedytor Tom Tibbs chciał szybko zacząć się liczyć wśród właścicieli koni. Miał przy tym pieniądze i rozum. I z całą pewnością nikt z kierownictwa toru nie odważyłby się zmusić nowego trenera, protegowanego przez dwie tak ważne osobistości, aby publicznie opuścił spodnie. Zwłaszcza że dwa konie, z którymi pracował, były znakomitymi zawodnikami. Vincent Taylor nie był jednak tak zachwycony, kiedy Rosie trzeci raz w ciągu dwóch tygodni wezwała go do swojej kłaczy Diamond.

– Rosie, z nią jest wszystko w porządku! – oświadczył po dokładnym zbadaniu konia. – W poniedziałek też nic jej nie było, tak samo jak dziś. Jest co prawda trochę zdenerwowana, puls też ma trochę wyższy, niż powinna. Ale...

– Ona drżała – upierała się Rosie. – I jakoś się pociła bardziej niż zwykle. Coś z nią jest nie tak, doktorze Taylor. Ja to widzę.

Vincent wzruszył ramionami.

– Ja w każdym razie niczego nie mogę stwierdzić. A biegnie dziś tak jak zwykle, prawda?

Rosie skinęła głową.

– Zakwalifikowała się do Auckland Trotting Cup – oświadczyła z dumą. – Nie wiem tylko, jak ją tam zawiozę. Na Wyspę Północną... To tak daleko...

– Fence też tam wysyła konie – zauważył Vincent mimochodem. – Ale razem z nim chyba nie będzie pani chciała jej transportować. A co z Mr Tibbsem?

Twarz Rosie się rozpromieniła.

– Och, Mr Tibbs jest bardzo zadowolony! – powiedziała. – Ogier biega dobrze, wie pan przecież, że zajął drugie miejsce w ostatnim dniu gonitw. Ale do Auckland... Może w następnym roku.

– Raczej nie myślałem o starcie jego ogiera, tylko o sponsoringu dla pani konia, Rosie – stwierdził Vincent. – Pieniądzy nigdy nie jest za dużo.

Spedycja Buldoga na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie małej firmy i Tom od czasu do czasu sam podejmował się pracy woźnicy. Jednak były to tylko pozory, bo tak naprawdę przedsiębiorstwo miało swoje przedstawicielstwa na całej Wyspie Południowej. Tom miał filie w Blenheim, Queenstown i na zachodnim wybrzeżu. Myślał już o motoryzacji i kupnie akcji kolei żelaznej.

Na twarzy Rosie pojawił się delikatny rumieniec.

– Ach nie, tego nie chcę – mruknęła. – On i tak dobrze płaci za Dreama!

Vincent przewrócił oczami.

– On płaci pani normalne honorarium trenera – stwierdził. – Nie mniej i nie więcej. A pani za to wykonuje świetną pracę. Nie ma się pani czego wstydzić, Rosie.

– Ale ja to lubię robić – odparła Rosie. – Dla... hm... Mr Tibbsa.

Vincent uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

– A czy myślała pani o tym, że Mr Tibbs też może chętnie zrobiłby coś dla pani? – odpowiedział na jej zapewnienie.

Błyszczących oczu Rosie i Tibbsa trudno było nie zauważyć, kiedy zastało się ich razem. Ale ten związek – o ile w ogóle można było tak to nazwać – rozwijał się bardzo nieśmiało. Vincentowi z jego Robertą też oczywiście nie szło lepiej. Weterynarz westchnął, klepiąc na pożegnanie gładką rudobrazową szyję Trotting Diamond. A przecież wszystko szło tak dobrze – jednak po spotkaniu z ową podejrzaną śpiewaczką Roberta najwyraźniej znów zaczęła zamykać się w sobie. Dla Vincenta stanowiło to zagadkę, zwłaszcza że kobiety poróżniły się tego wieczoru. Tu musiało chodzić o Kevina. A jak wynikało z ostatnich listów Roberty, owa Juliet była już z powrotem w Dunedin. Albo w Otago. Chyba mocno zaiskrzyło między Kevinem a jego bratem Patrickiem, tego Vincent dowiedział się bezpośrednio od przyjaciela. Kevin towarzyszył swojemu ojcu na spotkaniu hodowców bydła w Christchurch i mężczyźni się spotkali. Kevin specjalnie przyjechał po to do Addington. Najwyraźniej nie bardzo palił się do tego, żeby przysłuchiwać się wykładom i dyskusjom „owczych baronów”.

– Przecież to chyba zajęcie twojego brata, prawda? – spytał Vincent przy pierwszej whisky. – Czy nie mówiłeś, że twój ojciec też niezbyt chętnie bierze udział w tego rodzaju imprezach?

Kevin wzruszył ramionami.

– Patrick w tej chwili nie odstępuje ani na krok Juliet. I uparł się, żeby ona została z nim w Otago, na farmie moich rodziców. Bo tam ponoć oni będą razem, blisko siebie i znowu będą mogli się odnaleźć. I nic im nie będzie zakłócało spokoju jak w Dunedin...

Kevin ogólnie opisał mu przebieg małżeństwa Patricka, a weterynarz słuchał uważnie. I zacisnął wargi, kiedy pomyślał i dodał dwa do dwóch.

– Juliet to ta dziewczyna, przez którą poszedłeś na wojnę, prawda?

Kevin uśmiechnął się jak przyłapany na gorącym uczynku. Nie zamierzał kłamać.

– Jak na to wpadłeś?

– Reakcja Roberty dała mi podstawy do takich przypuszczeń. Ona jest zwykle bardzo uprzejma i powściągliwa, ale na Juliet zareagowała wręcz alergicznie. I teraz mieszkacie wszyscy na tej farmie? Ty z Doortje i Patrick z Juliet? Trudna sytuacja...

Kevin potrząsnął głową.

– Nie, nie. Juliet i Doortje uważają się nawzajem za nieznośne. Przy czym nie wiem, co Juliet ma przeciwko Doortje...

Vincent niemal zakrztusił się whisky ze śmiechu.

– Chcesz usłyszeć parę przypuszczeń?

Kevin popatrzył na niego karcąco.

– Znakomicie się bawisz – powiedział melodramatycznie. – Co Doortje ma przeciwko Juliet, jest niestety zrozumiałe i jasne. Jej przeszkadza kolor skóry Juliet. Juliet jest Kreolką – ach, prawda, przecież ją widziałeś. Rzadka piękność, nie?

Vincent wzruszył ramionami.

– Uroda to nie wszystko – zauważył. – A w porównaniu z Robertą... Juliet ma w sobie... jakiś niepokój, coś... jak gdyby ją coś prześladowało. Tak szybko nigdzie nie osiadzie na stałe. Ale ty lubisz takie problemy. Doortje...

– Z trudem można było ją skłonić, żeby usiadła z Juliet przy jednym stole – westchnął Kevin. – A Juliet też nie zachowała się tak, jak przystało na lady. Bezlitośnie udowadniała Doortje, że jest wieśniaczką, a ona nie potrafiła jej się natychmiast przeciwstawić. Za to dziwiła się, że „kolorowa” mówi pełnymi zdaniami.

Vincent potrząsnął głową.

– To musi się zmienić, Kevin. Czy ona ciągle jest taka... taka...?

Kevin ukrył twarz w dłoniach.

– Wciąż nie jesteśmy normalnym małżeństwem, Vincent – wyznał przyjacielowi. – Ona się nie broni i muszę się przyznać, że ja... w ciągu ostatnich tygodni wziąłem ją dwa razy. Nie chciałem właściwie, ale też jestem człowiekiem. A ona się nie sprzeciwiała. Wręcz przeciwnie, powiedziała, że się dziwiła... Ale leżała taka... sztywna, nie biorąc w tym udziału... To nie jest w porządku, Vincent. Nic nie jest w porządku. A teraz mieszkam z nią w starym drewnianym domu.

– Jeszcze raz, gdzie mieszkacie? – spytał Vincent.

Dotychczas była mowa tylko o Dunedin i Elizabeth Station.

– W chacie poszukiwaczy złota, którą Michael kiedyś zbudował dla Lizzie, jeszcze na długo przedtem, zanim osiedli na farmie. Jest solidna, choć stara, bliżej do Lawrence, co dla mnie ma same zalety. Moi rodzice nam to zaoferowali, kiedy Patrick... no, on już wyraził się jasno. Nie chce mnie ani Doortje w pobliżu swojej Juliet...

Vincent się uśmiechnął.

– Jakoś go rozumiem – zakpił.

– Jak dobrze, że się tak świetnie bawisz – odparł Kevin gorzko. – W każdym razie Doortje od razu była za tym, zaczęła mówić o własnej farmie, co znów rozjuszyło Patricka. Chata stoi na terenie Elizabeth Station... Ale przynajmniej nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy się tam wprowadzili. A Doortje sprawia teraz wrażenie całkiem zadowolonej. Ma parę owiec, krowę, uprawia ogród... Albo przynajmniej pilnuje Nandé przy tej pracy. To biedactwo zaharowuje się na śmierć, ale dla Doortje podział pracy jest jasny: cięższe zadania dla Kafrów, bardziej intelektualne – dla *baas*. Ona sama piecze chleb, robi ser... Byłoby nawet pięknie, gdyby ona... gdybyśmy byli normalną parą. Rozumiesz, co mam na myśli?

Vincent skinał głową.

– Oczywiście.

Mogłoby być bardzo romantycznie mieszkać z kobietą, którą się kocha, w jakiejś prymitywnej chacie. Przez chwilę myślał o tym, żeby razem z Robertą zbudować dom gdzieś na wsi, ale zganił się w duchu za tak dziecinny pomysł. Roberta była dzieckiem miasta, możliwe, że nawet Addington było dla niej zbyt prowincjonalne... Czy dlatego stała się chłodna w stosunku do niego? Ale nie, to miało coś wspólnego z Juliet. A także – Vincent przyznał to sam przed sobą z niechęcią – z Kevinem.

– Ale przecież... Na tym pustkowiu Doortje musi w końcu poczuć się jak w więzieniu – skarżył się Kevin. – Ja w każdym razie tak się czuję, kiedy wracam z gabinetu. Doortje stawia jedzenie na stole, ja próbuję zacząć rozmowę, ona opowiada coś o spędzonym dniu i to wszystko. Nie mamy sobie nic ciekawego do powiedzenia.

– A Nandé? – spytał Vincent.

– Sypia w szopie z narzędziami. Co też mi się nie podoba. Doortje traktuje tę dziewczynę jak psa! Ale na miłość boską, nie mogę dzielić chaty jeszcze z Nandé! To zwariowana historia bez wyjścia. Chciałbym móc wrócić do Dunedin.

Kevin zamówił jeszcze jedną whisky. Najwyraźniej miał zamiar się upić. Vincent też wypił łyk.

– Powinieneś tam po prostu wrócić – poradził, choć z jakimś niedobrym przeczcuciem. Jeśli ono go nie myliło i to jego przyjaciel był tym tajemniczym mężczyzną w życiu Roberty, to Vincent nie miał żadnego interesu w tym, aby Kevin kręcił się w jej pobliżu. Ale nie mógł patrzeć, jak przyjaciel niszczy sam siebie. – I to bez względu na zdanie Doortje. „Gdzie ty pójdziesz, tam i ja pójdę” – tak jest napisane nawet w Starym Testamencie i ona będzie musiała podporządkować się twoim życzeniom. Nie oddasz Doortje żadnej przysługi, pozwalając jej zbudować w Otago małą Afrykę. A jest jeszcze dziecko, o którym nie wspomnieliśmy. Nie możesz przecież pozwolić, żeby jego wychowanie opierało się na starych legendach o *voortrekkerach* i niderlandzkiej Biblii! Zabierz Doortje do Dunedin i zmusz ją do tego, aby się dostosowała. Poradzi sobie, jest przecież inteligentna, a założę się... założę się, że Roberta chętnie jej pomoże. – Przełknął ślinę. – A jeśli już mówimy o Robercie Fence – mówił dalej, zmuszając się do swobodnego tonu. Ale jednak zdobył się na to pytanie. – Czy ty... czy ona cię kiedykolwiek pociągała?

Kevin spojrzał na niego, bo dotychczas, pogrążony w swoich rozmyślaniach, wpatrywał się na przemian to w kufel z piwem, to w szklanekę z whisky.

– Robbie? Twoja Roberta? Co masz na myśli? Ach, nie mów tylko, że ona ciągle się we mnie durzy! Tak było, kiedy była mała, ale teraz... Jest przecież dorosła, myślałem, że jest bliska tego, aby się z tobą zaręczyć.

– A więc nie uważasz jej za... pociągającą? – spytał poważnie Vincent.

Kevin się roześmiał.

– Nie, Vincencie, naprawdę nie. Jest śliczna, oczywiście. Ale dla mnie jest... moja młodziutka siostrzenica i Robbie dorastały razem. Dobry Boże, kilka lat temu podarowałem tej myszce szmacianego konika! Roberta Fence jest dla mnie jak siostra Atamarie. I lubię ją. Ale nic więcej.

Vincent Taylor poczuł, że zrobiło mu się lżej na sercu. Nieważne, co czuła do niego Roberta. Ale dla jego przyjaciela nie była pokusą. Vincent musiał się więc rozprawić tylko z kilkoma marzeniami i szmacianym konikiem... Też będzie to trudne, ale to nic w porównaniu z rywalizacją z przystojnym mężczyzną z krwi i kości.

Burski porządek świata Doortje w jej osobistej małej Afryce zadrzał w tych dniach w posadach, i to zupełnie bez związku z rozmyślaniami Kevina i Vincenta. A przecież Patrick Drury chciał właściwie tylko poprawić stosunki ze swoją nową bratową, kiedy w ramach inspekcji farm jechał przez pastwiska

dla owiec i zajął do chaty, w której mieszkał Kevin z żoną. Oczywiście uwadze Patricka nie uszedł fakt, że Juliet i Doortje się nie znosiły – przy czym zaczynał rozumieć, dlaczego Juliet odtrącała burską kobietę. Ale w drugą stronę – tu nie rozumiał antypatii Doortje. Patrick nic nie wiedział o południowej Afryce i rasizm był mu całkowicie obcy. Dlatego nie pojmował, czemu Doortje przenosiła na niego swą nieukrywaną niechęć w stosunku do Juliet. Tak, kobiety rzeczywiście się nie lubiły, ale Doortje najwyraźniej miała za złe Patrickowi to, że Juliet była jego żoną. Patrick się zastanawiał, czy ma pomówić o tym z Kevinem. Żałował kłótni z bratem i chciałby wszystko załagodzić, co prawda przy jednoczesnym zachowaniu znacznego dystansu między Kevinem a Juliet... Wszystko to było bardzo trudne, a zachowanie Doortje też niczego nie ułatwiało. Ale mimo wszystko Patrick miał nadzieję na pomoc z jej strony. Gdyby od czasu do czasu wypił z bratową kawę – i oboje nie byłiby przy tym narażeni na złośliwe uwagi Juliet – to chyba w końcu zaczęłyby go trochę lubić.

Tego pięknego wiosennego dnia zatrzymał się więc przed starą chatą Michaela, przywiązał konia i zastukał do drzwi. Nikt nie otwierał, więc Patrick postanowił obejść dom dookoła. Jego matka mówiła, że Doortje zakładała tam ogród, a owce też musiały być gdzieś umieszczone. Bratowa na pewno wolała pracować na dworze niż siedzieć w domu.

I rzeczywiście usłyszał śpiew, kiedy zobaczył ogród i stajnie. Dziewczęcy głos śpiewał coś w całkiem niezrozumiałym języku – i wówczas Patrick dostrzegł Nandé.

Czarna dziewczyna miała na sobie lekką letnią sukienkę – właściwie był to tylko kolorowy kawałek materiału, który zawinęła wokół ciała, na tyle długi, aby zakryć piersi, biodra i uda. Materiał kończył się nad kolanami. Mimo tak lekkiego stroju Nandé była spocona – i nie było w tym nic dziwnego, bo z całej siły wbijała w ziemię szpadel, aby wykopać kolejną grządkę. A że od paru dni nie padał deszcz, grunt był twardy i wyschnięty.

– Miss Nandé! – zawołał Patrick, aby zwrócić na siebie uwagę dziewczyny i nie przestraszyć jej. – Miss Nandé, co pani robi? To jest przecież za ciężka praca dla pani!

Nandé się odwróciła. Kiedy zobaczyła Patricka, na jej szczupłej, arystokratycznej twarzy pojawił się uśmiech.

– Dzień dobry. – Dziewczyna najpierw dygnęła, po czym zachichotała. Ten sposób powitania był jej co prawda obcy, ale podpatrzyła go u pokojówek w Dunedin i była dumna, że go sobie przyswoiła.

Patrick się uśmiechnął.

– Witam, piękny dzień, Miss Nandé – pozdrowił ją i uklonił się oficjalnie.

Czarna dziewczyna znów zachichotała.

– *Baas* Patrick zawsze wesoly! I zawsze bawi się w białą lady z Nandé!

– Bo ja nie widzę różnicy między białą a czarną lady – odparł Patrick. – Ale właściwie chciałem odwiedzić Miss Doortje. Nie ma jej?

Nandé potrząsnęła głową i chwyciła za szpadel.

– Ona poszła do *baas*... eee... do Miss Lizzie zanieść świeży ser.

Patrick skinął głową. Mimo wszystkich różnic Lizzie i Doortje niestrudzenie wymieniały między sobą swoje wyroby. Lizzie z początku się temu dziwiła, bo sądziła, że Doortje się cieszy, mogąc zejść jej oczu. Ale jeśli o to chodziło, to kobiety w burskim społeczeństwie najwyraźniej zachowywały się tak jak żony tych farmerów, którym Patrick doradzał w kwestiach hodowli bydła. Dzielono się wszystkim z sąsiadami, bez względu na to, czy się ich lubiło czy nie, a jeśli oni w dodatku należeli do rodziny, to konfliktów nie traktowano poważnie. Patrick się zastanawiał, czemu Doortje nie zachowywała się tak samo w stosunku do Juliet.

Ale teraz wyjął szpadel z rąk Nandé.

– Proszę pozwolić mi to zrobić, zanim nie wróci Miss Doortje. Nie będzie chyba siedziała tam na

górze zbyt długo. A dla pani to jest i tak za ciężka praca.

Nandé zaprzeczyła całkiem poważnie.

– Ależ skąd, *baas*... Mr Patrick! – Popatrzyła na niego wyczekująco, choć Patrick nie zwrócił uwagi na zwrot, którego użyła. Tak naprawdę nie miał pojęcia, co on znaczył. – Ja... my... zawsze tak robić. To nasza praca na farmie.

– My to znaczy kto? – spytał Patrick przyjaźnie. – No bo ten mały chyba nie ma w tym zbyt wielkiego udziału. – Wskazał na Abe, którego właśnie zauważył. Dziecko spało w koszyku w cieniu krzewów *rata*. Obok leżała otwarta książka Lewisa Carrolla *Alicja w krainie czarów*. – A może on pani czyta na głos, kiedy pani kopie?

Mrugnął do niej.

Nandé znów się roześmiała.

– Nie, on jeszcze nie umie czytać! – powiedziała poważnie, jak gdyby biorąc jego pytanie serio. – To przecież niemowlę, Mr Patrick. My, to jest ojciec i matka, i brat, i Nandé. My zawsze pracowaliśmy na polach *baas van Stout*.

Twarz dziewczyny spochmurniała na samą wzmiankę o rodzinie. Patrick dostrzegł to i nie pytał o los jej krewnych.

– Ale to brzmi tak, jak gdyby tam było co najmniej dwóch mężczyzn, Miss Nandé. A tutaj... – Popatrzył na trzy już obsadzone grządki. – Sama to pani zrobiła?

Nandé przytaknęła.

– Mr Kevin mówi, pomagać, jeśli ma czas. Jeśli będzie miał czas – poprawiła się i nie kryła dumy, kiedy Patrick skinął głową z uznaniem. – Ale on ma dużo pracy w szpital. Lekarz ciężka praca. Ale dobrze! Dobrze, że pomagają ludzie.

Nandé wyjęła z koszyka dziecko, które zaczęło się ruszać.

– Ale pani tutaj też potrzebuje pomocy – stwierdził Patrick, po czym spojrzął na książkę, którą Nandé nieco nerwowo ukryła w koszyku Abe. – A to była kiedyś moja książka, dawniej...

Skóra Nandé pociemniała jeszcze bardziej. Patrick zrozumiał, że odpowiada to czerwienieniu się. Był zdania, że dziewczyna jest porywająca – jeszcze nigdy nie spotkał osoby z tak otwartą i wiele mówiącą twarzą. Nandé wygrzebała szybko książeczkę z koszyka.

– O, przepraszam. Nie wiedziałam ja. Oddam z powrotem, oczywiście. Proszę wybaczyć!

Patrick potrząsnął głową.

– Nie musi pani przepraszać. Pewnie moja matka pożyczyła pani tę książkę, prawda? To ja ją teraz pani podaruję...

Nandé się rozpromieniła.

– Naprawdę, Mr Patrick? Własna książka? To mam już trzy, dwie od Miss Roberty i tę. Ta piękniejsza niż tamte. Tamte o dzieciach, które są biedne i smutne. Biedny mały Oliver i biedny mały David! A tu śmieszne zwierzęta. Króliki mówią! I dziewczynki!

Patrick się roześmiał.

– Właśnie dlatego Kevin mi dokuczał. Że czytam książki dla dziewczynek. I muszę wyznać, że ta książka należała najpierw do Matariki, mojej przyrodniej siostry. Takie książki rodzeństwo zwykle sobie przekazuje, Miss Nandé. Może ją pani kiedyś podarować mojej córce, za dziesięć lat... Wówczas będzie pani czytać Bulwer-Lyttona.

Nandé popatrzyła, nie bardzo rozumiejąc, ale za chwilę się uśmiechnęła.

– Mała May bardzo słodka! – powiedziała. – Ale pan teraz dać mi szpadel. Muszę ja dalej robić, inaczej *baas Doortje* zła. I muszę jeszcze trawę pociąć i owce karmić, i krowę doić, zanim wróci.

Patrick nie kopał, kiedy rozmawiał z Nandé, ale teraz z całej siły wbił szpadel w ziemię.

– Ile mój brat płaci pani za to wszystko? – spytał trochę gniewnie. Bo wyglądało to tak, jak gdyby ta młoda czarna kobieta bała się Doortje. Wskazywał na to pośpiech, z jakim ukryła książeczkę. – Pani jest opiekunką Abe, kopie pani w ogrodzie, zajmuje się bydłem... Zastępuje tu pani cały personel, wie pani o tym?

Nandé wzruszyła ramionami.

– Ja nie dostawać pieniędzy – wyjaśniła. – My nie pytać o pieniądze od *baas*. To jest... niestosowne... – Nandé walczyła z trudnym słowem. – Niezgodne z wolą Boga – dodała. – *Baas* dają jedzenie i pracę, Kafr pracuje. Boży porządek.

Nandé mówiła bez żadnych emocji. Najwyraźniej wcale się nad tym nie zastanawiała.

Patrick znów opuścił szpadeł.

– Haruje tu pani za darmo, Nandé? – spytał przerażony i zapomniał o uprzejmym Miss. – Dlatego że to boży porządek, kiedy biali pilnują, a czarni pracują? Tylko za jedzenie i mieszkanie? No, chciałbym tu widzieć Miss Morison z Tailoresses' Union! Ona chyba wytargałaby Doortje za uszy! I Kevina także. Jak on może...?

– Mr Kevin mówi, że chce coś dać. Nazywa kieszonkowe. A kieszonkowe to boży porządek? – Nandé popatrzyła z powątpiewaniem.

Patrick przewrócił oczami.

– Nandé, Bóg ma mało wspólnego ze strukturą zarobków w tym kraju! Tym zajmują się raczej związki zawodowe. Ale tu w każdym razie istnieje konstytucja, która zabrania niewolnictwa. Nie musi pani kopać w ogrodzie Miss Doortje za darmo.

Nandé wzruszyła ramionami. Znów nic nie rozumiała. Ale w głowie Patricka dojrzał pewien pomysł.

– Nandé, gdyby miała pani otrzymywać wynagrodzenie za swą pracę, ile by pani zażądała?

Nandé zagryzła wargi – pełne, pięknie wykrojone, ciemnoczerwone. Patrick się zastanawiał, dlaczego wargi czarnych określano mianem „grubych”. To słowo nigdy nie przyszłoby mu na myśl.

– Może... hm... jeden funt? – spytała niepewnie.

Prawdopodobnie waluta nowego kraju stanowiła dla niej wielką tajemnicę. Patrick skinął głową. Ogarnęło go poczucie winy, kiedy pomyślał o swoim zamiarze. Ale z pewnością uszczęśliwi w ten sposób Juliet, a sytuacja Nandé też się poprawi.

– Proszę posłuchać, Nandé, moja żona już od dawna chce mieć pokojówkę...

– Poko...? – Nandé nie bardzo wiedziała, co to za słowo.

– Pokojówka to młoda dziewczyna, która pomaga lady przy ubieraniu i układaniu włosów – wyjaśnił. – To ona porządkuje jej suknie, no i czasami pilnuje też jej dziecka. Ale to nie jest ciężka praca.

Nandé spokojnie skinęła głową, coś sobie przypominając.

– Tak, wiem. Na statku mnie ludzie tak nazywali. Pokojówka *baas* Doortje.

– Dobrze – stwierdził Patrick. – A więc może miałyby pani ochotę zostać pokojówką Miss Juliet? Nie mogę pani zbyt wiele zapłacić. Właściwie tylko bogaci ludzie mogą sobie pozwolić na pokojówkę, a ja nie jestem bogaty. Ale jeden funt tygodniowo na początek, a potem może dwa, na tyle mnie stać.

– Na tydzień? – spytała Nandé, nic nie rozumiejąc. – To wkrótce ja bogata!

Patrick się roześmiał.

– Jeśli będzie pani pilnie oszczędzać! – zazartował. – A więc da się pani namówić?

Na twarzy Nandé widać było wyraźnie, że walczy z poczuciem obowiązku – ale i chęcią zarabiania. Uważała Miss Juliet za interesującą kobietę – kolorowa *baas* w Afryce Południowej była nie do pomyślenia, ale może będzie bardziej pobłażliwa niż biała *baas*. A Miss Juliet mieszkała w domu Miss

Lizzie. Wrócić tam – to było marzenie... Miss Lizzie była taka miła i na Elizabeth Station Nandé nie musiały spać w stajni, tylko miałyby własny pokój z łóżkiem i czystym prześcieradłem. Jak biała lady. Ale jednak...

– Ja nie mogę, Mr Patrick. Ja należeć do *baas* Doortje, nasza rodzina pracuje dla jej rodziny. To boży porządek. A Mr Kevin także zapłacić statek. Ja muszę odpracować, mówi *baas* Doortje.

Patrick popatrzył ponuro. A przecież w rodzinie Drurych nieraz rozmawiano o niesprawiedliwościach w stosunku do czarnych! Kevin doskonale wiedział, że robi krzywdę Nandé! A więc nie będzie protestował. A co Doortje na to powie – to było mu zupełnie obojętne!

– Proszę posłuchać, Nandé, zabiorę panią teraz ze sobą. Nie, nie musi pani zostawiać dziecka samego, Abe także zabierzemy, moja matka się ucieszy, mogąc zobaczyć małego. Kevin i Doortje będą mogli go później odebrać, a ja im wyjaśnię, dlaczego będzie pani teraz pracować dla mnie i Juliet. Pani nie potrzebuje się usprawiedliwiać. To jest wolny kraj, Nandé. Może pani iść, dokąd pani chce, i pracować, dla kogo pani zechce. I proszę nie martwić się o tę podróż statkiem. Już dawno ją pani spłaciła. A więc, proszę się zdecydować: chce pani być niewolnicą u Miss Doortje czy też pokojówką i opiekunką dziecka u Juliet i u mnie?

Nandé odetchnęła głęboko. A potem popatrzyła z radością na Patricka.

– Ja pracować chętnie dla Mr Patrick. A Miss Juliet bardzo piękna, missy May słodka.

Patrick się uśmiechnął.

– Tylko niech pani nie próbuje zwracać się do mojej córki przez „pani”! I tak będzie odpowiednio rozpuszczona. No, a teraz sprawdźmy, czy mój koń uniesie nas oboje.

Spojrzał na gołe nogi Nandé i doznał takich odczuć, jakie właściwie były zabronione wobec pokojówki własnej żony.

– Albo nie, to byłoby niestosowne, Miss Nandé. Nie, nie, żadnych sprzeciwów, trochę ruchu dobrze mi zrobi. Mojemu bratu zresztą też. Będzie musiał sam kopać w swoim ogrodzie.

ROZDZIAŁ 6

Kevin Drury zajął jeszcze do swojego gabinetu w Lawrence, zanim ruszył do chaty, w której mieszkał. Nikt nie czekał, a więc w czasie tych dni, które spędził w Christchurch, nikomu nie był potrzebny. Zapotrzebowanie mieszkańców wsi na pomoc lekarską nie było duże, Kevin przecenił je, kiedy zaoferował staremu doktorowi Winterowi przejęcie jego praktyki. Ale Lawrence było oczywiście małą gminą, gdzie mieszkali dawni poszukiwacze złota, którzy nie chodzili z byle głupstwem do lekarza. Ich żony zwracały się ze swymi problemami do akuszerki, a w pobliżu mieszkała chyba także maoryska znachorka. I z pewnością nikt nie wmawiał sobie chorób jak większa część damskiej klienteli w gabinecie Kevina w Dunedin. Nie, Kevin nie zostawiłby tutaj nikogo w potrzebie, gdyby wrócił do miasta... Wszedł do gabinetu zabiegowego. Gdzieś musiał tu mieć butelkę whisky. Kevin się wstydził, że popija po kryjomu, ale Doortje nie ścierpiałaby alkoholu w domu. To także było coś, co powinien był z nią omówić. Vincent miał rację – za bardzo jej ustępował. Za bardzo ją kochał...

– Tak myślałam, że przyjdiesz...

Ciemny, zmysłowy głos.

Kevin niemal upuścił zapałkę, którą chciał zapalić gazową lampę. Lawrence nie było jeszcze zelektryfikowane.

– Juliet!

Juliet się uśmiechnęła i pomachała trzymaną w rękę butelką whisky.

– Co prawda preferuję szampana, ale przyznaję, że nie jest na tyle mocny, aby upić twoją małą kobietkę. Robisz to tutaj, Kevinie? Nie potrzebujesz z nią pić, aby była piękna. Piękna i tak jest. Ale także zimna, prawda, Kevinie? Zimna jak... Czy jest zimno w tym śmiesznym kraju, z którego pochodzi?

Kevin potrząsnął głową. Juliet usiadła w fotelu, między nimi znajdowało się ogromne biurko, na którym Kevin wypełniał karty chorych. Było tam jeszcze krzesło, na którym zwykle siadali jego pacjenci.

Kevin zatrzymał się niezdecydowany.

– Nic nie jest zimne w jej kraju, Juliet – odpowiedział. – Jest tam gorąco... i sucho...

Juliet się roześmiała.

– Kraj, w którym bogowie nie mają łez – zauważyła. – Czy to jest szczęśliwy kraj?

Kevin zaprzeczył.

– Nie, to nie jest szczęśliwy kraj. Ale co ty tu robisz, Juliet? Nie powinnaś tu przychodzić, ludzie będą myśleć...

– Nikt mnie nie widział, kiedy tu wchodziłam – powiedziała Juliet. – A jeśli ktoś mnie zobaczy, kiedy będę wychodzić... To chyba nic takiego. Jestem twoją bratową. Zapomniałeś?

Podniosła się, podeszła do biurka i usiadła na nim. W ten sposób była bliżej niego. I niemal zachęcała, aby ją objąć. Przeciągnęła się kocim ruchem.

– Właśnie – odpowiedział Kevin zachrypniętym głosem. – Właśnie dlatego nie powinniśmy się zbyt do siebie zbliżać. Patrick zrobił dostatecznie dużo dla mnie... dla nas... Nie możemy...

– No nie opowiadaj, że Patrick tylko wyświadczył nam przysługę – mruknęła. – A jeśli cię to uspokoi... wynagrodziłam mu to odpowiednio. Tylko za nazwisko dla dziecka. Drobnostka...

– Dziecko... jest bardzo ładne... – Kevin rozpaczliwie próbował sprowadzić rozmowę na jakiś neutralny temat, ale było to beznadziejne. Juliet już zdążyła go znów opętać. I do diabła, nie było łatwo oprzeć się tak pięknemu kobiecemu ciału w ciemnoczerwonej, niesłychanie obcisłej sukni,

uwodzicielskiemu uśmiechowi, wilgotnym wargom i oczom, w których widać było pożądanie. Zwłaszcza że Kevin od miesiący widział tylko domowe suknie zapięte wysoko pod szyją, surowe czepki na włosach i wykrochmalone fartuchy. Ciało Doortje było piękniejsze niż Juliet, Kevin pożądał swojej żony bardziej, niż teraz kusila go Juliet. Ale co z tego, jeśli Doortje ukrywała swoje wdzięki pod luźną nocną koszulą, a złote włosy pod czepkiem? Gęste czarne loki Juliet opadły na segregator. Dotknęła swymi wąskimi palcami, które zwykle tańczyły po klawiaturze fortepianu, pióra leżącego na biurku, wzięła je i zaczęła wodzić nim po swoim dekolcie – delikatnie, powoli, jak gdyby pisała miłosny wiersz. Kevin pomyślał o stwardniałych od pracy rękach Doortje, o wyrabianych przez nią serach, ciście na chleb, które zagniatała. Próbował wyobrazić sobie jej zapach, świeży, jak wyjęty z pieca chleb... Ale zapach perfum Juliet był silniejszy. Obraz Doortje i myśli o niej zbladły, przynajmniej w perspektywie tej nocy. Jutro będzie znów wiedział, dlaczego zakochał się w Doortje van Stout. Ale teraz... Kevin walczył z gwałtownym pożądaniem.

– On jest moim bratem, Juliet – powiedział, wyraźnie udręczony. – Nie możemy oszukiwać Patricka...

Juliet machnęła lekceważąco ręką.

– On się o tym nie dowie. I... wiem, co zrobić, żeby był nieszkodliwy... Nie bój się...

Uśmiechnęła się sardonicznie, kiedy dostrzegła w oczach Kevina rodzącą się zazdrość. Wkrótce zapomni o tej swojej burskiej kobiecie. A jego brat... Może Kevin i Patrick będą się też wkrótce nienawidzić. Ale to było Juliet obojętne.

– Od czasu do czasu... – wyszeptala namiętnie – potrzebuję prawdziwego mężczyzny. Przecież to rozumiesz, Kevinie, prawda? Znasz Patricka. On jest... – roześmiała się – zbyt grzeczny. A ty też potrzebujesz czasem prawdziwej kobiety. Bo czyż ona nie jest grzeczna, ta twoja piękność z gorącego kraju? Czy też ją tak całujesz, Kevinie? – Podsunęła mu swoje usta. – Czy ona też cię tak kocha?

Juliet przekręciła się na biurku i objęła nogami jego biodra. Kevin Drury się poddał. Chwycił Juliet w ramiona.

ROZDZIAŁ 7

Doortje była jak oszalała, kiedy Kevin wrócił tego dnia do domu.

– Nandé nie ma! – krzyknęła zamiast powitania. – Zobacz sobie!

Podawała mu kartkę, którą znalazła na stole w chacie. Patrick wyjaśniał, co zaszło, w kilku lakonicznych zdaniach.

Kevin wzruszył ramionami.

– Tu już nic nie mogę zrobić – odpowiedział krótko. W żadnym wypadku nie chciał kłócić się z Patrickiem, zwłaszcza po tym, co stało się tego popołudnia w gabinecie. Kevin już teraz się wstydził. Także wobec Doortje. Zrobiłby coś chętnie, aby jakoś zadośćuczynić jej swoje oszustwo. Ale zamiast tego zamierzał jeszcze zniszczyć jej świat. – Nandé nie należy do nas, Doortje. Jeśli woli pracować dla Patricka, to nic nas to nie obchodzi. Powiedziałem ci, że powinniśmy jej zaoferować wynagrodzenie. Ale tak... Musisz się do tego przyzwyczaić, Doortje. To jest wolny kraj.

– Ale ona jest niewdzięczna! – wybuchnęła Doortje. – Jej rodzina mieszkała na naszej ziemi od wielu pokoleń. Dawaliśmy im jeść, opiekowaliśmy się nimi, kiedy byli chorzy...

Kevin westchnął.

– Ale zanim przyszlście, prawdopodobnie była to ich ziemia, Doortje. I nie cierpieli na niej głodu. Ich medycy nie byli gorsi niż wy ze swoimi domowymi środkami i przesądami, widziałem. Nie możesz więc twierdzić, że przewyższaliście ich pod tym względem. Zapomnij o tym, Doortje. Nie jesteś już w Transwalu. I w ogóle nie potrzebujesz Nandé. W końcu nie używasz gorsetu, a włosy sama możesz upinać. Po co ci więc pokojówka? Oczywiście musisz teraz zająć się Abe. Ale dobrze, możemy zastanowić się nad służącą, która będzie cię wyręczać od czasu do czasu.

– Służąca? – Doortje zmarszczyła czoło. – O czym ty mówisz? Skąd chcesz tu wziąć białą dziewczynę do pomocy w domu? A co z ogrodem i bydłem, i...

– Wracamy do Dunedin. I możemy wziąć maoryską dziewczynę – oświadczył spokojnie Kevin, choć czuł gwałtowne bicie serca. Nienawidził tego, co musiał jej oświadczyć i zrobić, ale Vincent miał rację. Tu Doortje nigdy się nie dostosuje i niczego się nie nauczy. – Ale bydła nie zabierzemy. Przykro mi, Doortje. To nie jest południowa Afryka, a ty nie jesteś już *baas* ani też chłopką. Jesteś żoną lekarza z Dunedin, doktora Kevina Drury'ego. I tak się też będziesz zachowywać.

– Ale ty... Ty przecież obiecałeś. – Doortje patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. – Mieliśmy przecież mieszkać na farmie...

– Nie mogę tego dotrzymać, Doortje – wyznał Kevin. – I nie obiecałem ci domu na weldzie z *kraalem* pełnym Murzynów obok ani wieczornego odmawiania modlitw po niderlandzku. W najlepszym wypadku farmę w Nowej Zelandii, ale na Elizabeth Station przecież ci się nie podobało. Naprawdę chciałbym, żebyś była szczęśliwa, Doortje. Ale pomyśl o tym, co ślubowałaś: gdzie ty pójdziesz, tam i ja pójde. A ty... ty kochasz mnie przecież trochę. W Afryce mnie trochę kochałaś...

W oczach Doortje można było dostrzec, że waha się pomiędzy rozpaczą a nienawiścią. Gdyby rzeczywiście kochała i pragnęła Kevina, ukryłaby te uczucia.

– Ja... nigdy tego nie chciałam – powiedziała bezbarwnym głosem. – Tego z tobą. To się po prostu stało. Ale to nie było po myśli Boga. Nawet jeśli... jeśli to nawet wydawało się takie proste. Bo nazwisko dla dziecka wszystko usprawiedliwiało. Ale to dziecko jest i tak przekłete. A ja razem z nim.

– Nie możesz tu więzić swojej żony. – Michael Drury uważał, że musi użyć swego ojcowskiego autorytetu wobec syna Patricka. Jego sympatia wobec Juliet dawno znikła i teraz Michael podzielał zdanie Lizzie, dla której synowa była tylko denerwująca. Ale jakoś rozumiał też Juliet. Ta kobieta po

prostu nie pasowała do życia na wsi i była nieszczęśliwa na Elizabeth Station. Z pewnością nie wytrzymałaby tu najbliższych trzydziestu lat, bez względu na to, czego pragnął Patrick. – Jeśli będziesz przesadzał, to ona ci po prostu ucieknie.

Michael użył ostatecznego argumentu, po którym obiecywał sobie, że odniesie chociaż niewielki sukces.

– Tu w każdym razie nikt jej nie będzie uwodził – twierdził z uporem Patrick. – To nie była jej decyzja, kiedy wtedy odeszła. Tylko ten pismak ją namówił, ten...

Michael przewrócił oczami.

– Ten mężczyzna nie wciągnął jej przemocą na konia i nie odjechał stąd z nią galopem – przypomniał. – Juliet spakowała swoje rzeczy, zostawiła dziecko u Claire i całkiem dobrowolnie wsiadła do dorożki pocztowej.

– Ale on jej obiecał angaż! – powtarzał Patrick wyjaśnienie, które usłyszał od Juliet. – A ona nie mogła się przeciwstawić! On ją wypatrzył!

Michael wzruszył ramionami.

– Następnym razem sama sobie kogoś wyszuka. Patrick, ona tu nie wytrzyma. I my też tego nie wytrzymamy. I nie zaczynaj znowu z pianinem, nie wstawimy go, bo ten dom nie jest na to dość duży.

– Ten dom i tak nie wydaje się dość duży dla mamy i Juliet! – zauważył gorzko Patrick.

Całkiem niedawno doszło do kolejnego spięcia między Juliet a Lizzie, w następstwie którego Lizzie znikła w swojej winnicy, a Juliet w pokoju, który dzieliła z Patrickiem. Wolałyby mieć własny, ale Patrick upierał się przy bliskości.

Michael wzruszył ramionami.

– Nie mogę zaprzeczyć, Patricku. Twoja matka i Juliet nie potrafią się dogadać – i do pewnego stopnia rozumiem powody Lizzie. Ale na dłuższą metę musimy coś wymyślić, może dałoby się rozbudować chatę poszukiwaczy złota. I przede wszystkim musisz zapewnić Juliet odmianę. Pojedź z nią do Dunedin, przynajmniej na kilka dni. Idźcie na jakieś spotkania towarzyskie, na koncerty – uczynj ją szczęśliwą, Patricku! Spróbuj uczynić ją choć trochę szczęśliwą!

Od żony Bura oczekiwano posłuszeństwa – radosnego posłuszeństwa. Doortje widziała to u swojej matki i babki: żona Bura szła za swoim mężem, gotowa była iść za nim za góry, w puszcze i nawet na bitwę. Uczyla się ładować broń i strzelać. Jeśli trzeba było, brodziła we krwi. Była gotowa zabijać i ginąć za sprawę swojego męża i zawsze stała u jego boku: walcząc z wrogami, a nawet z pozostałą rodziną i dziećmi. Dorothea van Stout dowiadywała się o tym od pierwszych chwil swojego życia i teraz zrobiła to, co mogła i była w stanie zrobić w zupełnie innych warunkach swej nowej ojczyzny, aby wypełnić swój obowiązek. Bez słowa skargi opuściła chatę w Otago, zostawiła swoje bydło i dopiero co założony ogród. Kevin zawiózł ją znów do mieszkania nad gabinetem, ale był gotów poszukać w przyszłości jakiegoś innego miejsca zamieszkania, o bardziej wiejskim charakterze.

– Może w Caversham – zastanawiał się. – Tam jest tyle małych domków z ogrodami. I mieszkają tam Kathleen i wielebny, a ich przecież lubisz. Mogłabyś się zaangażować w pracę Kościoła, zając się działalnością charytatywną dla biednych i dzieci...

Doortje w odpowiedzi popatrzyła na niego zdumionymi oczami. Troska i pomoc dla tych ludzi, którzy znaleźli się w potrzebie, ludzi obcych, była nieznaną w jej społeczeństwie. Rodziny były duże i trzymały się razem, obcy ludzie prawie nie zaglądali do burskich wsi czy też na farmy – a poza tym Kościół niderlandzki podzielał zdanie Church of Scotland: jeśli komuś powodziło się źle, to z reguły ten ktoś na to zasługiwał, a w ogóle każdemu człowiekowi był przeznaczony jego los. Od pierwszej chwili życia było ustalone, kto będzie przeklęty, a kto zbawiony. Oczywiście przeżycia ostatnich lat kazały Doortje zwątpić w podstawy jej wiary, ale nie aż na tyle, aby zaangażowała się w charytatywną

działalność Kościoła anglikańskiego.

Najpierw jednak Doortje musiała jakoś odnaleźć się w Dunedin – tym razem nie połowicznie, lecz zgodnie z wyraźnym poleceniem męża. Młoda kobieta zrezygnowała więc ze swego ulubionego burskiego stroju i nosiła suknie reformowane, które Kevin kupił jej w czasie pierwszego pobytu w Dunedin. W tej chwili wyszły one zupełnie z mody, do łask wrócił gorset, a wygodniejsze suknie jednak się nie przyjęły. Ale Kevin tego nie zauważył, podobnie jak inni. Doortje w luźnych sukniach wyglądała w końcu porywająco, nader atrakcyjna doktorska para była mile widziana w towarzystwie w Dunedin. Kevin się upierał, aby przyjmować zaproszenia, już choćby po to, aby znów nawiązać stosunki i znajomości. Doortje daremnie próbowała prowadzić intelektualne rozmowy na wernisażach, męczyła się na kolacjach i przyjęciach i tak gorliwie usiłowała podpatrzeć u Kevina i Roberta prawidłowe używanie sztucców, że często nie słyszała prób nawiązania z nią konwersacji przy stole.

I tu Roberta okazała się dla niej nieocenioną pomocą. Młoda nauczycielka najwyraźniej lubiła przebywać z nią i Kevinem, a jej miły sposób bycia niemal pozwalał Doortje zapomnieć o jej niestosownym zbrataniu się z Nandé w czasie podróży statkiem. Roberta wprowadziła ją w tajniki kroków tańca, i to tak dobrze, że Doortje przetrwała swój pierwszy bal bez większych faux pas. Doortje chodziła na koncerty i była zapraszana przez inne damy z towarzystwa na herbatę, ale robiła to wszystko niechętnie. Jeśli jej się nawet coś podobało – wystawa portretów kobiecych w galerii Heather poruszyła ją ogromnie, muzyka pewnego skrzypka zapadła jej głęboko w serce i niemal cieszył ją dotyk ręki Kevina i wspólne, płynne ruchy w takt walca – to nie ważyła się do tego przyznać przed samą sobą. Śmiech Doortje zawsze był nieco wymuszony, nawet jeśli nikt tego nie zauważał – co Kevinowi rozdzierało serce.

Patrick Drury za radą ojca jeździł do miasta ze swoją żoną. Aby zająć Juliet, chodził z nią na przedstawienia teatralne i wernisaże – i w końcu para znów zaczęła otrzymywać zaproszenia od towarzystwa w Dunedin. Oczywiście nieuniknione było, że Patrick i Juliet kiedyś będą musieli spotkać się przy jakiejś okazji z Kevinem i Doortje. I nastąpiło to pewnego wieczoru w domu Claire i Jimmy’ego Dunloe. Doortje, trzymając Kevina pod ramię, weszła do salonu, uśmiechając się z przymusem, i nagle wyczuła jego napięcie. Podążyła za jego wzrokiem i przeraziła się – choć z zupełnie innych powodów niż jej małżonek.

– Oni ją tu wpuszczają? – spytała Kevina z niedowierzaniem. – Ale przecież to kolorowa!

– Ona jest żoną mojego brata – odparł Kevin. Zbladł gwałtownie i dostrzegł w oczach Doortje, że ona to zauważyła. – Zrób mi więc, proszę, tę przyjemność i zignoruj jej kolor skóry! Juliet jest Kreolką i o ile dobrze zrozumiałem, to farma jej ojca koło Nowego Orleanu jest jakieś dwa razy większa od całego Transwalu. Nie musisz być jej przyjaciółką, ale bądź, proszę, uprzejma.

Doortje byłaby także i teraz posłuszną żoną, ale akurat Juliet jej tego nie ułatwiała. Młoda burska kobieta nie miała co prawda obycia towarzyskiego, ale dostrzegła kpiące spojrzenie Juliet, kiedy tamta patrzyła na nią, a także błysk w jej oczach na widok Kevina. Patrick Drury raczej sztywno i niechętnie poszedł za swoją żoną, kiedy ona ruszyła w stronę Kevina i Doortje. Najprawdopodobniej wolałby trzymać się od nich z daleka. Tchórz... Doortje Patrick przypominał Cornelisa.

– Jak miło cię widzieć, Kevinie... i... Dorothy, prawda? Zupełnie jak ta mała dziewczynka z Kansas, którą trąba powietrzna porwała z jej ojczyzny... Jak się czuje ktoś, kto jest trąbą powietrzną, Kevinie Drury?

Juliet się uśmiechnęła. Konspiracyjnie? Uwodzicielsko? Doortje w każdym razie wydała się sobie głupia. Nie wiedziała, do czego odnosiła się aluzja Juliet.

– Doortje – powiedziała. – Albo Dorothea, jeśli nie potrafi pani tego wymówić.

Juliet zaśmiała się gardłowo.

– Och, poradzę sobie. Jeśli zechcę... Ale powinna się pani zastanowić nad Dorothy. To takie piękne imię. A ona też nosiła takie szerokie, krótkie sukienki... – Zerknęła na suknię Doortje.

Juliet miała na sobie długą ciemnoczerwoną suknię i była ciasno ściśnięta gorsetem, co jeszcze podkreślało jej zapierającą dech figurę. Kevin zauważył, że była to ta sama suknia, w której ona uwiodła go w Lawrence. Starał się nie zaczerwienić.

Patrick wysunął się do przodu.

– Juliet, co to ma znaczyć? Twoja bratowa jest zakłopotana. Doortje, proszę wybaczyć. Wygląda pani przepięknie w tej sukni.

Juliet skinęła głową i skrzywiła swą piękną twarz – Doortje z zaskoczeniem zauważyła, że była umalowana.

– Tak, przepraszam. Zawsze robię się nieznośna, kiedy mam suche gardło... Przyniesiesz nam szampana, Kevinie? Czy też ciągle jeszcze pije pani mleko, Doortje? – wymówiła teraz jej imię poprawnie.

Doortje zagryzła wargi. Jeszcze nigdy nie piła alkoholu. Ale teraz się nie skompromituje.

– Ja... chętnie wypiję kieliszek – powiedziała cicho.

Kiedy Kevin wrócił z szampanem, Doortje popatrzyła nieszczęśliwym wzrokiem na musujący płyn w kieliszkach. Ostrożnie wypiła łyk – i była przyjemnie zaskoczona. Dotychczas wyobrażała sobie alkohol jako coś, co pali na języku, ale ten napój tylko lekko perlił się i smakował trochę kwaśno, prawie jak sok z porzeczek. Może nie był to jeden z tych grzesznych, oszalamiających napojów, przed którymi zawsze przestrzegał pastor. Doortje wypiła go z triumfem tak samo szybko jak Juliet.

Kevin i Patrick starali się prowadzić uprzejmą konwersację.

– Będiesz... pracował w ministerstwie rolnictwa? – spytał brata Kevin. – To znaczy... bo znów mieszkasz w mieście?

Patrick potrząsnął głową.

– Nie, nie, zostanę w Otago. Jesteśmy tu tylko na kilka dni, żeby... No, na dłuższą metę człowiek czuje się na farmie jak w więzieniu. – Uśmiechnął się niemal przepraszająco. Dotychczas takiej uwagi nie można było od niego nigdy usłyszeć. Patrick Drury kochał Elizabeth Station. – A twój gabinet... Nie miałeś żadnych problemów z Folksem? Mam na myśli to, że najpierw byłeś w Afryce Południowej, potem w Otago, a teraz znowu tutaj.

Kevin zaprzeczył.

– Christian jest elastyczny. A ja ciągle mam własnych pacjentów. – Roześmiał się nerwowo. – Do Christiana przychodzą raczej młode rodziny, a do mnie histerycy. On wprawdzie tak nie mówi, ale tak myśli. I nie da się zaprzeczyć, że ci ostatni lepiej płacą. A więc on także ma większy zysk.

– Mr Patrick? – Nandé, z małą May w ramionach, podeszła nieśmiało. Było jej wyraźnie nieprzyjemnie widzieć swego nowego pracodawcę rozmawiającego z Kevinem, ale jednak dzielnie podeszła bliżej. – Mr Patrick, pan mówił, ja wołać...

Patrick zmarszczył trochę czoło, a Nandé uśmiechnęła się przepraszająco.

– To znaczy... pan mówił, że mam zawołać, kiedy May będzie płakać – poprawiła się. – A ona właśnie krzyczała. Więc myślałam...

– Bardzo dobrze zrobiłaś – pochwalił ją Patrick i wziął dziewczynkę z jej rąk.

May najwyraźniej się uspokoiła. Patrzyła z ciekawością na gości – wszyscy ją lubili.

Nandé, uwolniona od dziecka, dygnęła uprzejmie przed poprzednim pracodawcą. Kevin zaś popatrzył za Doortje, ale ona znikła gdzieś z Juliet, co go trochę zdziwiło. Nie spodziewał się, że jego żona wmiesza się w tłum gości akurat z pogardzaną przez nią bratową. Ale nieważne, ona i tak w ogóle

nie podchodziła do innych ludzi bez niego. Kevin uśmiechnął się do Nandé.

– Dobrze wyglądasz, Nandé! – powiedział i popatrzył z uznaniem na jej schludną suknię pokojówki. Niemal taki sam strój, jaki nosiła na farmie Doortje; Nandé musiało się to wydawać śmieszne.

– I dobrze mówisz po angielsku!

Nandé znów spojrziała zawstydzona w ziemię.

– Ja... dziękuję, Mr Kevin. Pan nie zły? To znaczy: pan nie jest zły na mnie?

Kevin potrząsnął głową i dziękował Bogu, że Doortje była gdzieś zajęta.

– Dlatego że sobie poszukałaś lepszej posady? Wprawdzie żalowaliśmy, przede wszystkim Miss Doortje, ale wolno ci oczywiście. Podoba ci się u Miss Juliet?

Nandé przytaknęła żarliwie.

– Podoba mi się tak dobrze u Mr Patrick! – wyznała. – I u małej Miss May... i Miss Juliet...

To ostatnie powiedziała później, ale faktycznie osoba Juliet stanowiła swego rodzaju kroplę goryczy w nowym szczęściu Nandé. Nandé była przyzwyczajona do rugania i niezbyt miłego traktowania, ale nikt w rodzinie van Stout nie miewał tak zmiennych nastrojów. Nandé zawsze wiedziała, czego ma się po kim spodziewać, a nastrój Juliet nieraz zmieniał się w jednej chwili. Obdarowywała Nandé swoimi sukniami i kapeluszami, których już nie nosiła, a za chwilę krzyczała na dziewczynę z powodu jakiegoś głupstwa. Dla Nandé było to tak samo irytujące jak jesienna pogoda w nowej ojczyźnie. Także dlatego nigdy nie wiedziała, jak ma ubrać dziecko na spacer, bo po gwałtownej ulewie często nagle przychodziło słońce.

– Nie „Miss May”, Nandé! – zrugął ją Patrick. Przekomarzał się z trzymanym na ręku dzieckiem, ale Kevin dostrzegł, że cały czas spoglądał na Nandé niemal zakochanym wzrokiem.

– Nie nabijaj dziecku głowy jakimiś głupstwami. I tak niedobrze, że Juliet stroi ją jak księżniczkę.

Rzeczywiście, May miała na sobie sukienkę z prawdziwej koronki i właściwie powinna już spać o tej porze. Nandé wprawdzie rozebrała ją i położyła spać w pokoju specjalnie do tego przygotowanym, ale potem znowu ubrała, aby móc iść poszukać Patricka. I to tłumaczyło też lepszy humor małej – w ramionach ojca gaworzyła coś wesoło i co chwila spoglądała na pozostałych gości, którzy powtarzali, jaka jest śliczna i grzeczna.

Kevin po raz pierwszy widział dziecko z bliska. Podobieństwo rodzinne było bardzo wyraźne. May była podobna do Juliet – ale także do Michaela. Niewiele miała z Patricka i Lizzie. Kevin postanowił się wycofać, zanim dostrzegą to inni goście. A Patrick i tak zajmował się teraz wyłącznie May i Nandé. Mała skakała w jego ramionach, a on spokojnie rozmawiał z jej opiekunką. Juliet i Doortje nadal nie było widać. Kevin przeprosił pod pretekstem poszukania żony.

Zanim jednak znalazł Doortje, natknął się na wielebnego. Peter Burton stał z boku nieco znudzony. Chodził na imprezy takie jak ta tylko ze względu na Kathleen, on sam wolał spotykać się z kilkoma prawdziwymi przyjaciółmi, niż tu prowadzić płytką konwersację. A jeśli chodzi o wydarzenia muzyczne, na które był zapraszany przynajmniej pro forma, to podobnie jak ojciec Kevina Michael, nie bardzo wiedział, jak się do tego odnieść. I teraz Peter uśmiechnął się do przechodzącego Kevina, który natychmiast zatrzymał się koło niego.

– Czy znajdzie pan chwilkę dla mnie, wielebny? – spytał uprzejmie Kevin. Właściwie od dawna już zamierzał porozmawiać z Peterem Burtonem. – Ale chyba powinienem w tym celu przyjść raczej do pańskiego kościoła...

Peter Burton potrząsnął głową.

– Cokolwiek masz na sercu, lepiej o tym mówić przy szklaneczce whisky niż przy blasku świec. Przez co nie chcę powiedzieć, że mój kościół jest zacofany, od pewnego czasu mamy już światło

elektryczne.

Kevin się roześmiał.

– Ale zakładam, że jednak nie ma tam wyszynku whisky – zażartował. – Proszę poczekać, przyniosę dwie szklaneczki i gdzieś pójdziemy...

– Taras nadaje się idealnie do rozmów – zauważył Burton. – Zwłaszcza że akurat nie pada. – Uśmiechnął się. – Może powinienem pomyśleć o tym, aby godziny przyjęć na plebanii miały miejsce pod gołym niebem. Ludzie wówczas byliby skłonni się streszczać.

Kevin wrócił za chwilę z whisky i obaj mężczyźni wypili po kilka łyków, zanim zaczęli rozmowę. Patrzyli przy tym na ciemny, cichy ogród, który stanowił przyjemny kontrast z rozgardiaszem panującym w domu. Kevin dostrzegł uprzednio Doortje w grupie kobiet i uspokoił się.

– A więc, o co chodzi, Kevinie? – spytał wreszcie wielebny. – Problemy rodzinne? Z twoim bratem? Ponoć były między wami jakieś spięcia.

Kevin wzruszył ramionami.

– Tylko drobne nieporozumienia. Nie o to chodzi. Chciałem zapytać... Co pan wie na temat kalwinizmu?

Wielebny się uśmiechnął.

– Seminarium teologiczne zamiast muzyki kameralnej? Na to rzeczywiście nie byłem przygotowany. Ale wracając do tematu... Wszystko zaczęło się od pewnego Szwajcara, Jana Kalwina, który żył w szesnastym wieku i stworzył własną teologię. Bardzo oryginalną, moim zdaniem... Ale zyskała ona wielkie uznanie. Powołują się na nią presbiterianie, Church of Scotland – i oczywiście Kościół niderlandzki, z którym jest albo może była związana twoja żona... Cieszyłbym się, gdybym mógł was oboje powitać na moim nabożeństwie. Bazą są tu cztery części *Sola*, pierwszą z nich jest tak zwana *Sola scriptura*, która zakłada Pismo Święte jako podstawę wiary chrześcijańskiej i która...

– Nie tak skomplikowanie – wszedł mu w słowo Kevin. – Mnie chodzi właściwie o kwestię potępienia, zmartwychwstania i o wybranych. Tyle o tym słyszałem...

Wielebny się uśmiechnął.

– To *Sola gratia*. Mówi ona, że człowiek jest zbawiony tylko dzięki łasce Boga, a nie, jak my nauczamy, w efekcie swych złych i dobrych czynów w życiu i nie przez przebaczenie i pokutę. Kalwin był zdania, że ludzkość od początku wszystkich czasów dzieli się na potępionych i wybranych. To, do której grupy się należy, ustalone jest na długo przed narodzeniem człowieka i w tej kwestii niczego nie można zmienić. Jedni będą zbawieni, drugich czeka wieczne piekło.

– Zwariowane! – stwierdził Kevin. – To po co postępować właściwie i nie popełniać grzechów, skoro to i tak wszystko jedno?

Wielebny uniósł brwi.

– No, Kevinie, mam jednak nadzieję, że dziesięcioro przykazań stanowi dla ciebie zasadniczą wartość i że ich przestrzegasz, bo obawiasz się piekła.

Kevin się roześmiał.

– Ale niebo też stanowi zachętę samą w sobie. Jeśli jednak można postępować tak, jak się chce...

– ...to czasami w życiu wszystko jest o wiele prostsze – przyznał wielebny i opróżnił swoją szklanekę. – Bardzo rozsądnie, nawiasem mówiąc, że przyniosłeś całą butelkę. Nawet jeśli to być może znaczy, że obaj nie należymy do wybranych. Ale wracając do kalwinistów: są oni trzymani bardzo krótko, gmina może ich surowo ukarać, jeśli przekroczą pewne granice. W dodatku w ich oczach ascetyczne, bogobojne życie dowodzi, że należy się do wybranych. To taki rodzaj wniosku z przeciwieństwa: my zakładamy, że będziemy zbawieni, jeśli będziemy możliwie mało grzeszyć, kalwiniści zaś zakładają, że bycie wybranym sprawia, że się możliwie mało grzeszy.

– Czyli wychodzi na to samo? – Kevinowi szumiało już w głowie.

– No, kilka różnic jest. Na przykład obchodzenie się wybranych z niewybranymi. Można tu zaobserwować pewną... hm... arogancję.

Kevin przewrócił oczami.

– Proszę pozwolić mi zgadnąć: Zulusi, Maorysi, mieszańcy, Hindusi... ci już z zasady należą do niewybranych.

– Dokładnie tak – przytaknął Burton. – A faktu bycia wybranym dowodzi też dobrobyt ekonomiczny, troskę o biednych można więc ograniczyć do minimum. Przy czym wcale nie mówimy o niewolnikach, z których nasi kalwińscy współchrześcijanie wyciskają ostatnie poty na plantacjach. Jeśli trzcina cukrowa dobrze się sprzedaje, to jest całkowicie zgodne z wolą bożą.

Peter się uśmiechnął.

– Przykro mi, Kevinie, ale pewnie zauważyłeś, że ich nie lubię. Chodź większość z nich to prawi, dobrzy ludzie, którzy nikomu nie robią krzywdy, poza nimi samymi. W ekstremalnych przypadkach ci ludzie odmawiają sobie najmniejszego luksusu, jakiegokolwiek radości w życiu. To musi być bardzo smutne, kiedy szczęścia i zadowolenia wolno doznać tylko w efekcie kompletnego braku samokrytycyzmu.

Kevin rozmyślał, napełniając swoją szklankę.

– A jeśli ktoś z nich... jeśli ktoś zawsze wierzył, że jest wybrany i będzie zbawiony, a potem stało się coś, co każe mu przypuszczać, że on... jednak jest potępiony...

Burton westchnął.

– Nie wiem dokładnie, Kevinie. To, co ci przedstawiłem, to wiedza książkowa, ale nie znam nikogo z tej wspólnoty. A już zwłaszcza tych najbardziej ortodoksyjnych. Tu wśród nas są tacy, którzy tak pro forma przyznają się do Church of Scotland, ale mimo to piją szampana i szyją suknie u Kathleen. Powiedziałbym, że w takim przypadku taka osoba ma poważny problem. Dla takiego człowieka świat musi zadrzeć w posadach. Kevinie, chodzi o twoją żonę? O Doortje?

Peter Burton patrzył badawczo w jego twarz.

Kevin odstawił szklankę na stół.

– Ja... ja muszę iść do środka, wielebny. Dziękuję za pańskie wywody. Myślę, że wiele mi pan wyjaśnił.

Wielebny skinął głową.

– Musisz zdobyć się na wiele cierpliwości, Kevinie. A twojej Doortje potrzebna jest nowa wiara. Ale jeśli pomyśleć, że ci ludzie byli gotowi za swoją wiarę iść na wygnanie i pokonywać oceany i góry oraz toczyć wojny...

– Ale to były zawsze całe grupy ludzi, którzy wzajemnie dodawali sobie sił – odparł Kevin. – I oczywiście wszyscy byli... wybrani... A Doortje... – jego głos zmiękł – ...Doortje jest zupełnie sama.

ROZDZIAŁ 8

Doortje Drury bawiła się znakomicie. Zdążyła tymczasem wypić już drugi kieliszek szampana i zdobyła się potem na odwagę zrezygnowania z towarzystwa jej niemożliwej czarnej bratowej i nawiązania rozmowy z innymi ludźmi. Sean Coltrane i jego żona Violet na przykład byli uroczymi ludźmi, mimo tego okropnego nazwiska „Coltrane”, ale ono chyba było tak popularne w angielskim jak „Hövel” w niderlandzkim. Violet też nie nosiła gorsetu – czyli nie musiało to być aż tak złe, jak to przedstawiała Juliet. A Sean, o którym wszyscy mówili, że jest taki mądry, potrafił nawet wyjaśnić tę sprawę z Dorothy. Wprawdzie Doortje potrzebowała sporo czasu, aby mu wytłumaczyć, co dokładnie chciała wiedzieć, ale potem nie było to trudne.

– Dorothy i jej pies Toto są głównymi postaciami amerykańskiej książki dla dzieci – Sean się uśmiechnął. – Cudowny *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*. To dość nowa rzecz, ale Roberta jest nią zachwycona. Z całą pewnością ma jeden egzemplarz, proszę ją zapytać. W każdym razie Dorothy mieszka w Kansas, to jest stan na środkowym zachodzie Ameryki. Ale któregoś dnia trąba powietrzna porywa ją do baśniowej krainy, w której rządzą cztery czarownice i jeden czarownik. I tam dziewczynkę spotykają przeróżne przygody – z udziałem lwa, któremu brakuje odwagi, stracha na wróble, który nie ma rozumu, i blaszanego człowieka bez serca.

Doortje zachichotała, bo szampan uderzył jej już do głowy, ale nie było to nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie, rzadko kiedy czuła się tak lekko i swobodnie.

– Tchórzliwy lew?

Sean skinął głową.

– Tak. Ale w dalszym ciągu tej historii okazuje się, że lew potrafi być niesłychanie dzielny, jeżeli widzi któregoś ze swoich przyjaciół w niebezpieczeństwie, blaszany człowiek w potrzebie zdobywa się na współczucie, a strach na wróble potrafi być sprytny i przebiegły. Te postacie jedynie wierzą w to, że są zaklęte.

Doortje nagle zbladła.

Violet spojrzała na nią z troską.

– Źle się pani czuje, Doortje? To wszystko tutaj musi być dla pani męczące. Tak dużo ludzi, wszyscy mówią w obcym języku i te uszczypliwe żarty. Miss Juliet nie powinna się z pani śmiać, nawet jeśli porównanie do Dorothy z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* nie jest obraźliwe. Bo to jest przecież cudowna dziewczynka.

Sean przytaknął.

– Proszę poczekać, przyniosę pani jeszcze jeden kieliszek szampana, odzyska pani siły. Tobie też, Violet, nie widzę tutaj surowych przedstawicielek związku abolicjonistek. Możesz więc pozwolić sobie na więcej. – Mrugnął do obu kobiet i ruszył w kierunku baru.

– Abo... co? – spytała Doortje.

Nie pamiętała, czy kiedykolwiek w życiu zadała komukolwiek tyle pytań i czy zdarzyło jej się tak swobodnie plotkować. W każdym razie nigdy od chwili, kiedy runął jej świat w Transwalu. W czasie spotkań modlitewnych i wspólnych wieczorów z burskimi kobietami z gminy, kiedy zajmowano się głównie robótkami ręcznymi, nie mówiono oczywiście o książkach dla dzieci ani o sukienkach... Takie nieprzystojne plotki i docinki też nie miały tam miejsca. Kobiety rozmawiały najwyżej o tym, kto komu jest już obiecany.

– Abolicjoniści – pośpieszyła z pomocą Violet i w ogólnych zarysach opowiedziała Doortje o ruchu kobiet w Nowej Zelandii, który rozpoczął się od protestów matek i żon przeciwko nadużywaniu

alkoholu przez ich mężów, a zakończył walką o prawa wyborcze kobiet. – I świat się przez to nie zawalił – zakończyła wesoło Violet. – Zobaczysz pani, kiedyś będziemy tu mieć kobietę premiera!

– Tak, wtedy, kiedy Afryka Południowa doczeka się czarnego prezydenta! – rzekł z przekąsem Jimmy Dunloe, który właśnie podszedł do kobiet wraz z Seanem, niosąc kieliszki szampana, i usłyszał jej ostatnie słowa. – Niech pani nie wygłasza przemówienia, Violet, tylko napije się szampana.

Jimmy wręczył zdumionym kobietom kieliszki, a potem znów ruszył w kierunku baru.

– Gospodarz się uparł, aby osobiście przynieść wam szampana – zauważył Sean. – Przepraszam, Violet, on oczywiście nie miał nic złego na myśli, ja chętnie powitałbym kobietę premiera i czarnego prezydenta w Kapsztadzie. Ale ludzie nie zaszli jeszcze tak daleko, żeby...

Doortje zmarszczyła czoło. Szampan z każdym kieliszkiem smakował jej coraz lepiej, ale za to myślenie przychodziło jej z coraz większym trudem.

– Kafr Zulusów jako gubernator? – spytała skonsternowana. – Ale przecież oni... nie mają rozumu.

Oburzona Violet chciała wygłosić płomienne przemówienie, ale Sean się uśmiechnął.

– Strachowi na wróble w krainie Oz też tak mówiono – powiedział przyjaźnie. – Ale pod koniec opowieści czarnoksiężnik jego właśnie wyznaczył na swego następcę. Proszę przeczytać swojemu synowi tę książkę, kiedy będzie większy, Doortje. Ona w znakomity sposób dodaje odwagi.

Doortje stała akurat koło Heather i Chloé Coltrane, kiedy Kevin dostrzegł ją w tłumie gości – i śmiała się. Kevinowi z początku trudno było w to uwierzyć. Czy on w ogóle słyszał, jak jego żona głośno, z całego serca się śmiała? A teraz rozśmieszyła ją jakaś anegdota, którą opowiadała Heather. Chodziło o jakieś językowe nieporozumienie, które przytrafiło się Heather w Amsterdamie. I uśmiech na jej twarzy nie zgasł, kiedy Kevin podszedł do kobiet, co działo się często w ostatnim czasie – Doortje uśmiechnęła się także do niego.

– Miss Heather była w Holandii, wiesz? – powiedziała do Kevina. – W Amster... da... mie...

Heather uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Myślę, Kevinie, że powinieneś już zabrać swoją uroczą żonę do domu – wyszeptała do niego. – Jest całkiem niezłe wstawiona. Ale także czarująca, nigdy bym nie pomyślała, że może być tak wesoła.

– Bo można tam spotkać ludzi takich jak *mijnheer* Rembrandt! – opowiadała Doortje z rozbawieniem o podróżach Heather. – On maluje tak jak Miss Heather. Miss Heather chciałaby mnie też namalować. Myślisz, że... że to jest dozwolone?

Kevin się uśmiechnął i ujął ją pod ramię.

– To znakomity pomysł i oczywiście nie jest to zabronione – powiedział, mrugając do niej. – Ale *mijnheer* Rembrandt już nie żyje. To był wielki i bardzo pracowity artysta. Namalował wiele obrazów. Może odwiedzisz kiedyś Miss Heather, ona na pewno ma wiele replik jego dzieł.

Chloé przytaknęła.

– Ona osobiście kopiowała obrazy Rembrandta – powiedziała z całą powagą. – Ale kto je zobaczy, zrozumie, dlaczego ich nie wystawiamy. W czasie swojej podróży po Europie Heather nie osiągnęła jeszcze poziomu arcyzmu Rembrandta... – Heather uśmiechnęła się, że chce w przyjaciółkę rzucić kieliszkiem. Chloé zachichotała. – Ale teraz oczywiście dawno go przerosła.

Chloé podała Doortje rękę.

– Było naprawdę miło poznać panią bliżej, Mrs Drury.

Heather i Chloé pożegnały się, rzucając wiele mówiące spojrzenia na Kevina. Doortje była podchmielona – i na razie było to sympatyczne, ale gdyby Kevin i ona zostali dłużej, mogłoby zrobić się nieprzyjemnie.

Kevin elegancko podał ramię żonie.

– Czy mogę ci towarzyszyć do domu, Doortje, moja droga? – spytał, zachęcony dobrym humorem

Doortje. – Wiesz, że muszę jutro wcześniej wstać.

– Ale ja nie! – zauważyła Doortje niemal z triumfem. – Ja się mogę wyspać. Ale... to jest oczywiście grzech...

Chwiała się trochę, ale czuła się tak lekko jak jeszcze nigdy w życiu.

– Przykro mi z powodu *mijnheer* Rembrandta, Miss Heather... jeśli był pani przyjacielem...

Lekko się chwiejąc, szła oparta na ramieniu Kevina w kierunku wyjścia. Po drodze natknęli się na Juliet i Patricka. Nandé już z nimi nie było, zapewne kładła May do łóżka.

– No, Kevinie, już idziecie? – spytała Juliet z wyniosłym uśmiechem. – Dawniej byłeś bardziej wytrwały... – Spojrzała na Doortje i oczywiście natychmiast dostrzegła jej stan. – Czy smakował pani szampan, Dorothy? Ale ostrzegam panią, kiedy wróci pani z baśniowej krainy, to będzie panią bolała głowa.

Juliet popatrzyła teraz kpiąco na Kevina. I uwodzicielsko... Podeszła do niego bliżej.

– Ta baśniowa kraina dla ciebie wkrótce się skończy – wyszeptała mu do ucha. – Uważaj, żeby ci nie zasnęła, zanim będziesz gotów...

Doortje popatrzyła na nią, marszcząc czoło. Mogła nie zrozumieć wszystkich słów, ale nie była ślepa.

– Nie jestem w baśniowej krainie – powiedziała delikatnym, dziewczęcym, ale dobrze zrozumiałym głosem. – Nie ma tu lwów... ani strachów na wróble. Tylko... tylko baba od Kafrów bez serca!

Kevin zabrał żonę na spacer przez miasto. Mógł co prawda wziąć dorożkę, ale z domu państwa Dunloe do jego gabinetu i mieszkania na Lower Stuart Street nie było daleko, a świeże powietrze z pewnością było teraz wskazane dla Doortje. Podobnie jak deszcz, który właśnie zaczął padać.

– W tym kraju ciągle pada – skarżyła się Doortje. Kevin pomyślał chwilę, po czym opowiedział jej legendę o Papa i Rangi. Doortje słuchała bardzo uważnie. Zwykle przestawała w ogóle uważać, kiedy tylko była mowa o maoryskich legendach.

– U nas nie pada tak często – stwierdziła w końcu. – Tam, w Transwalu. Tam tak szybko się nie płacze.

Kevin się uśmiechnął.

– Ale popatrz, Doortje – powiedział. – Jeśli bogowie nie płaczą, ziemia wysycha. Uwierz mi, od czasu do czasu można spokojnie okazać trochę uczuć.

Dotarli do gabinetu i Kevin po wejściu do budynku wziął ją w ramiona. Doortje była już bliska normalnego stanu, ale jednak teraz wołała ukryć się w gęstej mgle, w której szampan zwolnił ją z krytycznego podejścia do świata i ciągłego poczucia winy. Było tak dobrze, kiedy ją całował. Ledwo pamiętała pocałunki Martinusa. Też mu je oddawała. Martinus, niemal ją ganiąc, powiedział, że jest dzika. A Kevin najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Prawie przekornie oddała pocałunek i ucieszył ją zachwyt Kevina. Bez oporu pozwoliła, aby wziął ją na ręce i zaniósł po schodach na górę.

– A co z Abe...? – spytała, czując jakiś ślad wątpliwości i wahania, kiedy szedł z nią na palcach przez korytarz.

Kevin też nie zapomniał o dziecku.

– On już od dawna śpi – wyszeptał i na dowód swych słów uchylił drzwi do dzieciennego pokoju.

Abe nie leżał w swojej kołysce. Ale w bujanym fotelu obok spała Maoryska Paika, służąca Claire, która za niewielkie wynagrodzenie chętnie podejmowała się opieki nad Abe, kiedy jego rodzice wychodzili. Abe spał słodko w jej ramionach, rozciągnięty na jej brzuchu, tuląc główkę do piersi opiekunki.

– Ona przecież nie powinna...

Doortje znów poczuła sprzeciw, bo surowo zabroniła Paice kołysać dziecko do snu w ramionach. Abe od pierwszych chwil życia miał nauczyć się zasypiać sam. Ale Kevin szybko i bezszelestnie zamknął drzwi.

– Zostaw ją dziś w spokoju – powiedział. – Dzisiejszej nocy... zapomnijmy o wszystkim... O wychowaniu, o bogach, o Anglii i południowej Afryce. Dziś w nocy jesteśmy tylko my...

Doortje się nie broniła, kiedy rozpiął jej suknię i zaczął pokrywać pocałunkami jej dekolt. Kiedy w nią wszedł, przez chwilę pomyślała, że jest potępiona. Ale to piekło wcale nie było takie straszne...

ROZDZIAŁ 9

Ale następnego dnia Doortje miała wrażenie, że piekło jest całkiem blisko. Obudziła się z takim bólem głowy, jakiego nie było jej dane doznać w całym życiu, a kiedy Kevinowi udało się ją namówić, aby wypła herbatę, natychmiast dostała torsji.

– Jestem chora – wyszeptała przerażona. – Wszystko mnie boli. Co to jest?

– To są skutki wypicia zbyt dużej ilości szampana – uśmiechnął się Kevin. – Nie obawiaj się, wkrótce będzie lepiej. Najpóźniej jutro rano będziesz czuła się całkiem dobrze.

– Chcesz powiedzieć, że ja byłam... pijana? – spytała Doortje przerażona. Pamiętała, że zachowywała się bezwstydnie i prawie zbratała się z tymi Anglikami. Śmiała się z nimi. Śmiała się z Heather z historii, w której ta kobieta drwiła z Holendrów! Ale poza tym...

– Tylko troszkę wstawiona, Doortje. Po prostu nie jesteś przyzwyczajona do alkoholu. Ale nie stało się nic złego, kochanie, wręcz przeciwnie. Byłaś... byłaś czarująca... – Położył się obok niej na łóżku i próbował ją pocałować. Reakcją była pełna przerażenia obrona.

– Nie wolno ci, kiedy jestem chora – powiedziała sztywno.

Kevin westchnął. Właściwie powinien był się z tym liczyć, że nie będzie łatwo.

– Ale ty nie jesteś chora, masz tylko kaca – powtórzył. – Oczywiście nie będę cię mimo to zmuszać. Myślałem tylko... że wczoraj... podobało ci się.

Doortje spojrzała na niego oburzona.

– Nic mi się nie podobało! – skłamała. – Może tylko... uległam pokusie... Czy to możliwe, że ona mnie zaczarowała? Mam na myśli tę babę od Kafrów, tę Juliet. To ona wcisnęła mi szampana, ona...

Kevin się roześmiał, choć trochę z przymusem. Nie chciał mówić o Juliet – jeśli tylko on sam o niej wspomniał albo robiła to jego żona, wydawało mu się, że Doortje widzi w jego oczach coś, co zdradza jego oszustwo.

– Najwyżej pierwsze dwa kieliszki – uściślił. – I z pewnością nie dosypała do nich trucizny. Nie, Doortje, nie chcę zaprzeczać temu, że Juliet ma w sobie coś czarownicy. Ale nie przypisuj jej winy za to, że byłaś podchmielona.

– Ona na ciebie tak patrzyła... – powiedziała Doortje z namysłem.

Kevin przytaknął, czując się trochę nieswojo.

– Tak, patrzyła, ale tak się robi, kiedy się z kimś rozmawia. Zapomnij teraz o Juliet, choć co prawda powinnaś ją przeprosić. To, co powiedziałaś na końcu... to znaczy... A więc z pewnością mówi się o niej w Dunedin jako o kobiecie bez serca, ale ta „baba od Kafrów” – to jest niewybaczalne. A teraz przyniosę ci z gabinetu proszek, który pomoże na twój ból głowy, Doortje. Możesz jeszcze trochę pospać...

– W biały dzień? To jest... – Doortje się poderwała i natychmiast chwyciła za bolące skronie.

– Jesteś chora, sama powiedziałaś. – Kevin się uśmiechnął. – A więc leż. Abe zabiorę do gabinetu. Nie, nie bój się, u nas nie zarazi się żadną zakaźną chorobą. Dzisiejszego ranka mamy samych histeryków, jak mawia Christian. Obecność Abe można więc nawet uznać za swego rodzaju terapię. Wszystkie moje pacjentki będą mówić, że jest słodki...

Doortje wyciągnęła się w łóżku i spróbowała zacząć myśleć mimo pulsującego bólu w skroniach. Oczywiście to ta Juliet ponosiła winę za jej upojenie i wszystkie wyniki z tego komplikacje! Ta kobieta ją sprowokowała i doprowadziła do tego, aby ona się źle zachowywała. Dla Juliet Doortje była celem, ona coś przeciwko niej miała. I patrzyła na Kevina tak, jak żadna przyzwoita kobieta nie powinna patrzeć nawet na własnego męża! A przynajmniej nie publicznie. Doortje pomyślała o Jezebel z Biblii, o żonie Putyfara i o ostrzeżeniach, których ten udzielał swojemu synowi: choć miód wycieka z warg

obcej kobiety i są one słodkie, a jej podniebienie gładkie jak olej, lecz potem jest ona gorzka jak piołun i ostra jak obosieczny miecz...

Dokładnie taka była ta Juliet, owa pułapka posmarowana miodem! I było całkiem możliwe, że Kevin był na najlepszej drodze, aby w nią wpaść. Doortje podjęła decyzję. Nie wiedziała jeszcze, jak ma to zrobić, ale z pewnością był to obowiązek każdej dobrej żony: uchronić męża przed strasznym błędem!

Zaraz po południu, kiedy ból głowy wreszcie ustąpił i tylko żołądek ciągle trochę jeszcze się buntował, Doortje ruszyła do Lady's Goldmine.

– Przykro mi, ale Kate już pojechała do domu. – Piękna, elegancka Claire Dunloe, która ciągle jeszcze onieśmiałała Doortje, potrząsnęła z żalem głową, kiedy Doortje zapytał o Miss Kathleen. – Kółko wielebnego organizuje właśnie zbiórkę używanej odzieży, która będzie sprzedawana na kiermaszu w następną sobotę, i te panie koniecznie chciały mieć Kate przy oględzinach darowanych rzeczy. Potrzebują jej wskazówek, jak ewentualnie łątać i cerować te ubrania... A przecież te panie mają rodziny i doskonale wiedzą, jak się poprawia szwy, prasuje bluzki i tak dalej. Ale kiedy Kate coś z nimi robi, to ich praca zyskuje na wartości. Dlatego wielebny błagał, aby wcześniej wróciła do domu. Mogę pani w czymś pomóc?

Doortje potrząsnęła głową. Nie, Claire Dunloe nie odważyłaby się powierzyć swych trosk, to byłoby krępujące. Ale z drugiej strony nie chciała też czekać do następnego ranka.

– Czy mogę... to znaczy, jak pani sądzi, czy Miss Kathleen będzie to uważała za bardzo niestosowne, jeśli odwiedzę ją w domu? – Doortje znów potarła trochę jeszcze bolące skronie.

Claire się roześmiała.

– Ależ skąd, Mrs Drury. Powiedziałam przecież, że tam zebrali się właśnie kółko kobiet. One się ucieszą, kiedy panią zobaczą, bo i tak już wszyscy plotkują, dlaczego nie pojawia się pani na nabożeństwach. Na razie panuje opinia, że być może pani jest katoliczką, ale przypuszczenia idą także w kierunku Church of Scotland. Jeśli pani się tam wkrótce nie pokaże, to pewnie ludzie zaczną zakładać, że jest pani związana z jakimś zuluskim ruchem wyznaniowym.

Claire żartowała beztrosko, bo nigdy nie słyszała o Kościele niderlandzkim i jego doktrynie, a bursko-angielski konflikt interesował ją najwyżej ze względu na diamenty.

Doortje zaczerwieniła się gwałtownie, ale postanowiła się nie oburzać. Powoli uczyła się rozpoznawać po brzmieniu czyjegoś głosu, czy ktoś żartuje czy nie – i było to coś, co także uważała za dziwne. Ironia, gra słów i aluzje nawiązujące do literatury były czymś zupełnie nieznanym w burskim społeczeństwie – tam mówiono o wszystkim wprost i nazywano rzeczy po imieniu.

– A więc pójdę tam – pożegnała się, a Claire wesoło pomachała jej ręką na odchodnym.

Tak, to prawda, ona z pewnością nie chciała obrazić Doortje. Ale teraz młoda kobieta westchnęła, kiedy znów wyjechała na ulicę z owym dziwnym pojazdem, bardzo nieporęcznym i zajmującym sporo miejsca, który tu nazywano wózkiem dziecinnym. Tego także nie znała w Afryce. Tam dzieci noszono w koszach albo w chuście, tak jak czarne kobiety.

Dziś jednak Doortje się cieszyła, że nie musi nieść Abe. Dotychczas była tylko raz w Caversham i wprawdzie wydawało jej się, że pamięta drogę, ale nie zdawała sobie sprawy, jaka ona była długa. Kiedy tam jechali, Kevin zaprzągnął Silvera do bryczki i dwie mile minęły bardzo szybko. A teraz ciągnęły się w nieskończoność także dlatego, że wygodne skórzane buty, które Doortje nosiła w Transwalu, tu zastąpiły delikatne eleganckie pantofle, które raczej nie nadawały się na długie marsze. Ale za to Abe spał słodko w swoim wózku, a świeże powietrze pozwoliło Doortje zapomnieć o złym samopoczuciu. I kiedy zastukała kołatką do drzwi wielebnego, była już znowu sobą. Jednak nikt nie otwierał. Doortje się wahała, czy ma wracać do domu, i szła już stroną furtki, kiedy dostrzegła

Violet Coltrane, żonę Seana, niosącą wielką torbę.

– Miss Doortje, jak miło! Idzie pani na spotkanie kółka kobiet? Na pewno umie pani szyć! – Violet umilkła, kiedy Doortje przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. – Ależ nie, przecież nie jest... Ale jestem głupia, przepraszam! Zapewne chciała pani odwiedzić Kathleen. Ale ona jest teraz z innymi damami w gminnej sali spotkań. A ja panią po prostu tam zabiorę, nawet jeśli nie należy pani do Kościoła anglikańskiego. Może będzie pani miała ochotę nam pomóc. Zawsze dobrze jest pomagać biednym, a przecież w końcu wszyscy jesteśmy chrześcijanami!

Violet paplała wesoło i beztrzesko, prowadząc Doortje wokół kościoła. Gminna sala spotkań, niezbyt wielkie pomieszczenie, gdzie Peter prowadził zajęcia kółka biblijnego i szkoły niedzielnej, znajdowała się obok świątyni.

– Wyszukałam trochę naprawdę porządnych rzeczy – wyjaśniła Violet, wskazując na torbę. – Ludziom sprawia to taką radość; dobry Boże, jaka ja byłam szczęśliwa, kiedy jako dziewczyna dostałam w prezencie suknię od Heather! Ale pani chyba też to zna, bo przecież była pani w jednym z tych okropnych obozów w Afryce Południowej, prawda? To zbrodnia, której dopuścili się tam Brytyjczycy, i jest to doprawdy niesłychane...

Doortje słuchała zaskoczona. Nigdy by nie pomyślała, że tak bogata żona adwokata jak Violet Coltrane skazana była na noszenie darowanych sukien – i jeszcze się do tego przyznawała! W jej kraju nawet w obozach wstydzono się przyjmować dary. A w dodatku Violet krytykowała brytyjską politykę i opowiadała się po stronie Burów! Doortje zapragnęła mieć więcej czasu, aby to wszystko przemyśleć. Ale teraz Violet otworzyła przed nią drzwi sali zebrania, w której znajdowało się około piętnastu kobiet. Panował wesoły rozgardiasz, kobiety, śmiejąc się i plotkując, sortowały odzież, która była rozłożona na dużych stołach. Kathleen i wielebny także byli wśród nich. Violet pomogła Doortje wnieść wózek.

– Mogłybyśmy nawet zorganizować pokaz mody, tak jak pani to robi w Lady's Goldmine! – zaproponowała ze śmiechem młoda kobieta i podniosła całkiem dobrą suknię. – To byłaby zabawa! Czy to prawda, Mrs Burton, że w tym roku chce pani, aby pani suknie demonstrowała prawdziwa Murzynka?

Doortje osłupiała, Kathleen zaś odpowiedziała swobodnie:

– Prosiłyśmy o to Miss Nandé, służącą Drurych. Ale ona jeszcze się waha. A przecież jest taka piękna i niemal nie potrzebuje gorsetu, żeby zademonstrować linię S. Nad tym wszystkim musimy właśnie popracować, moje panie. A może powinniśmy raczej zrezygnować ze sprzedaży ciast na kiermaszu...

Doortje z trudem mogła pojąć to, co usłyszała: te kobiety uważały Nandé za piękną – i „prosiły” ją, zanim zleciły jej jakąś pracę. Ale teraz Kathleen dostrzegła Doortje i powitała ją radośnie.

– Jeszcze ktoś, na kim nasze suknie wywierają nieodparte wrażenie! – uśmiechnęła się. – Proszę wejść, Doortje, i pomóc nam przy sortowaniu. Ach, i małego Abe też pani zabrała!

Oczy Kathleen błyszczały, kiedy patrzyła na budzące się dziecko.

– Czy mogę go potrzymać?

Doortje niepewnie skinęła głową. Była przyzwyczajona, że wszyscy uważają Abe za słodkie dziecko, ale Kathleen wręcz za nim przepadała. Abe też najwyraźniej ją lubił. Obudził się teraz i zaczął gaworzyć radośnie, kiedy Kathleen trzymała go w ramionach.

– Dobrze pani z nim wygląda! – zaśmiała się jedna z kobiet. – Wie pani co? On jest do pani wręcz podobny!

Doortje z zaskoczeniem spostrzegła, że Kathleen się przeraziła i mało nie upuściła dziecka.

– Ależ skąd, oczywiście, że nie. Jak... jakim cudem mógłby...? – Pośpiesznie włożyła dziecko do wózka. – Co... hm... co chciałaby pani robić, Doortje? Woli pani prasować czy naprawiać ubrania?

Kathleen wskazała dwa stoły, przy których pracowały kobiety.

– Violet, ty musisz szyć! Mrs Coltrane potrafi to prawie tak dobrze jak ja, wiecie, moje panie, że ona pracowała jako dziewczyna w naszym sklepie. Ale migiem, Violet, już zauważyłyśmy, że się spóźniłaś. I nie mów nic o żadnych petycjach do Tailoresses' Union. Chwytaj za igłę, nici i poczuj się dobrze wśród swoich owieczek.

Pozostałe kobiety zaczęły się śmiać – ale Violet nie wydawała się mieć im za złe, że bawiły się jej kosztem. Roześmiała się, wzięła do rąk dziecinną sukienkę i zabrała się do pracy. Doortje nawet nie wiedziała, jak znalazła się koło niej i zaczęła naprawiać jakąś bluzkę. Praca szła jej łatwo – wreszcie coś, co potrafiła tak dobrze jak inne kobiety w Dunedin! A one od razu wciągnęły ją do rozmowy, opowiadały o swoich dzieciach, wnuczętach i o osobistych doświadczeniach ze zbieraniem używanej odzieży. Wiele z tych kobiet przyjechało do Nowej Zelandii z mężami w czasie gorączki złota i zaznały na własnej skórze dobrodziejstwa charytatywnej działalności wielebnego. Kraj, z którego pochodziła Doortje, nie za bardzo je interesował, w końcu była po prostu imigrantką, podobnie jak każda z nich. I tylko jedna z kobiet powiedziała, że w kraju Doortje też było złoto.

– Mój Herbert od razu o tym wspomniał, kiedy je znaleziono. Boże, gdyby miał dwadzieścia lat mniej, to prawdopodobnie nie mogłabym utrzymać go w domu...

Kobiety się roześmiały i zaczęły opowiadać o słabościach i dziwactwach swych mężów.

– A u was też było takie szaleństwo jak u nas w czasie gorączki złota? – zwróciła się do Doortje jedna z dawno już tu osiadłych obywaterek Dunedin. – Bo u nas, kiedy obudziliśmy się rano, wszystkie wzgórza były pełne namiotów! Pół Anglii i Irlandii przyjechało tutaj w nadziei na łatwe i szybkie pieniądze...

Doortje niechętnie podniosła głowę znad swojej pracy.

– Nasi ludzie nie pracują w kopalniach – odpowiedziała sztywno. – Bogactwo zdobyte bez uprzedniej pracy uważamy za coś niemoralnego.

Poczuła się urażona, kiedy kobiety znów się roześmiały.

– Moja droga, z pewnością nie była pani na żadnym ze złotonośnych pól! – oświadczyła małżonka fanatycznego poszukiwacza złota Herberta. – Proszę mi uwierzyć, tam nie zdobywa się bogactwa bez pracy. Dobry Boże, ile myśmy się naharowali! Od rana do wieczora, jak zwierzęta. I czasami nawet nie było nic na kolację. Pewnie, że było paru szczęściarzy. Ale im pieniądze szybko przeciekły między palcami. Nie, nie, serduszko, to już dziesięć razy wolę stolarstwo i ten warsztat, który mamy. Zresztą dzięki wielebnemu.

Spojrzała na Petera z wdzięcznością.

– Bo to on postarał się o pracę dla mojego Herberta, kiedy wróciliśmy z Lawrence. Wtedy to było jeszcze Tuapeka. A później Herbert przejął ten warsztat. Jak to się mówi: rzemiosło ma złote dno.

Doortje szumiało w głowie, kiedy kobiety pożegnały się po dwóch godzinach. Wyszukały i przygotowały mnóstwo sukien na kiermasz, a młodsze z nich udrapowały najlepsze suknie na manekinach i stojakach przyniesionych przez Kathleen z Lady's Goldmine.

– Myślę, że jedną z nich kupię – stwierdziła młoda kobieta, jedna z tych, która wpadła na pomysł z pokazem mody. – I to jest model od Kathleen Burton, ktoś taki jak ja nie może sobie na to pozwolić!

Kathleen się uśmiechnęła.

– Wszystko idzie do kasy przeznaczonej na dary dla biednych, Mary. A więc kupuj.

– To pani sprzedaje te suknie? – spytała Doortje niepewnie, kiedy w końcu szła z Kathleen i wielebnym do domu.

Kathleen oczywiście zaprosiła ją do siebie – najwyraźniej przeczuwała, że młoda kobietami ma jakiś problem i że nie przyszła tylko po to, aby pomóc.

Wielebny skinął głową.

– Tak. Choć po bardzo niskich cenach. Dziecinne sukienki kosztują kilka centów, to raczej symboliczne ceny. Ale ludzie po prostu czują się lepiej, kiedy mogą zapłacić za te rzeczy. Nikt nie lubi jałmużny. A co bardzo nas cieszy, zawsze są wśród tych ubrań jakieś rzeczy z kolekcji mojej żony, za które można dostać jeszcze sporo pieniędzy. Wśród potrzebujących kobiet naszej gminy zawsze znajdują się takie, które są szczęśliwe, że mogą sobie pozwolić na odrobinę luksusu za niewielkie pieniądze. I nikt nie czuje się upokorzony. Zwłaszcza że Kathleen i Claire zwykle doradzają kobietom przy wyborze – także tym biednym. Nie wyobraża pani sobie, jak one się cieszą, kiedy same właścicielki Lady's Goldmine dopasowują im suknie!

Doortje nie bardzo była w stanie to skomentować. Dla niej wszystkie te wynurzenia były tak obce i dalekie, że czasami wydawało jej się, jakby wielebny i wszyscy pozostali mówili jakiś nieznanym jej językiem. Nikt w jej kraju nie martwił się o to, jak czuje się ktoś, kto przyjmuje jałmużnę!

– No, a co panią tu sprowadza, Doortje? – spytała Kathleen przyjaźnie, parząc herbatę. – Chyba nie przyszła pani po to, żeby w towarzystwie zacerować parę pończoch?

Doortje najpierw odpowiadała wymijająco, zanim przeszła do rzeczy, ale potem trudno było jej zatrzymać potok wypowiedzianych przez siebie słów.

– Ta baba od Kafrów patrzy na mojego męża nieprzyzwoicie! – oświadczyła. – A mnie... mnie traktuje jak głupie dziecko, jak gdybym nic nie rozumiała. A najgorsze jest to, że... ona ma rację. Dla niej to wszystko tutaj to zabawa, ona... ona wie, o co tutaj chodzi i w ogóle. A tak nie powinno być, to nie jest... zgodne z wolą boską.

Wielebny z uśmiechem potrząsnął głową.

– Doortje, rzeczywiście może pani czynić Boga odpowiedzialnym za to i za tamto, ale nie za braki w umiejętności zachowania się. Przy czym Juliet też tego brakuje. I ma pani rację, ta dama permanentnie narusza dziesiąte przykazanie. Choć ściśle rzecz biorąc, ono znaczy, że nie powinno się pożądać żony bliźniego swego.

Doortje popatrzyła na niego zdumiona.

– To u Brytyjczyków dozwolone jest... cudzołóstwo z mężem bliźniego?

Burton się roześmiał.

– Nie tylko u Brytyjczyków, Doortje, w waszej Biblii też tak jest napisane, jestem tego pewien. Ale oczywiście należy to rozumieć inaczej. W czasach Mojżesza nie do pomyslenia było, żeby kobieta pragnęła jakiegoś mężczyzny i tego nie ukrywała. Kobiety były bardzo strzeżone i nie miały żadnych praw.

Kathleen tymczasem podeszła do ściennej szafki i wyjęła z niej dwie książki. Jedną z nich była Biblia, w której szybko wyszukała odpowiedni fragment:

– „Nie będziesz pożądać żony swojego bliźniego. Nie będziesz pragnąć domu swojego bliźniego ani jego pola, ani jego niewolnika, ani jego niewolnicy, ani jego wołu, ani jego osła, ani żadnej rzeczy, która należy do twojego bliźniego” – przeczytała. – Mężczyźni ujęci są pod „żadnej rzeczy”, Doortje. W pewnym sensie urocza interpretacja. Powinieneś wygłosić kazanie na ten temat, Peter. – Mrugnęła do męża, a on w odpowiedzi żartobliwie pogroził jej palcem.

– Mojej niewolnicy też pożądała! – powiedziała Doortje gorzko. – I nawet ją dostała!

Kathleen chwyciła się za głowę.

– Doortje, niewolnictwo zostało zniesione, z tym musi się pani pogodzić. Ale pomijając to, wróćmy do Miss Juliet. Ona stale rzuca nieprzyzwoite spojrzenia na wszystkich mężczyzn, nie tylko na pani męża, ale poza tym otrzymała doskonale wychowanie. I potrafi zrobić z niego użytek, niezależnie od koloru skóry i charakteru. Jeśli nie chce pani zostawać za nią w tyle, musi pani uzupełnić swoje braki,

Doortje. Ale mam też dobrą wiadomość: to wcale nie jest takie trudne. Proszę spojrzeć!

Podawała młodej kobiecie drugą książkę, którą wyjęła z szafy. Było to bardzo obszerne dzieło. *How to Behave*. Zdumiona Doortje kartkowała przez chwilę nieco już zniszczoną książkę o zasadach poprawnego zachowania.

– I tu jest wszystko napisane? – dziwiła się. – Jak się trzeba zachować... przy jedzeniu i przy... tańcach i... i w ogóle?

Kathleen skinęła głową.

– A przynajmniej są tu podstawy – uściśliła. – Jeśli będzie pani je wszystkie znać, pani zachowanie nie będzie raziło w towarzystwie w Dunedin. Bo ono wcale nie jest aż tak wytworne. Większość miejscowych zamożnych ludzi to mniej lub więcej nowobogacy. A ta książka może nie wystarczy na okoliczność znalezienia się na angielskim dworze, ale uzupełni pani wszystko osobistym wdziękiem.

Uśmiechnęła się do Doortje szelmowsko.

– Oczywiście powinna pani unikać słów takich jak „baba od Kafrów” czy też niewolnica – dodał sucho wielebny. – To w ogóle nie przystoi lady. Ach, prawda, a poza tym powinna pani zaabonować przynajmniej jeden, a najlepiej pięć z żurnali z modą z Paryża i Londynu. Z nich nauczy się pani takich zwrotów jak: „Znakomicie pani wygląda w tej prosto skrojonej spódnicy, moja droga... Ale czy w tym sezonie nie preferuje się formy dzwonu?” – Ostatnie zdanie duchowny wypowiedział wysokim głosem, udając kobietę.

Kathleen roześmiała się dobrodusznie, a Doortje także zdobyła się na uśmiech.

– Czy to był... przytyk? – spytała ostrożnie.

Wielebny przytaknął rozbawiony.

– Szybko się pani uczy, Doortje. Może to nie jest dobre dla pani nieśmiertelnej duszy, ale takie małe podłostki znakomicie wpływają na nasze poczucie zadowolenia...

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Kevin tego popołudnia pożegnał ostatnią pacjentkę, zobaczył w poczekalni Juliet LaBree.

– Co ty tu robisz? – spytał niechętnie.

Chciał zakończyć pracę i zobaczyć Doortje, o ile ona już wróciła.

Juliet ściągnęła wargi.

– No jak to co? – odpowiedziała swym miękkim głosem. – Jestem przecież pacjentką. Chyba nie możesz mi zabronić leczenia.

– Nie wyglądasz na chorą – stwierdził Kevin.

Juliet się uśmiechnęła.

– Zgaduję, że w przeciwieństwie do twojej małej burskiej kobietki. Wczoraj była wprost pełna szampana. Czy dzięki temu zrobiła się dla ciebie milutka, Kevinie? A może nadal jest przekorna i drapie? Baba od Kafrów... No, jak tylko otworzy buzię, to ma ostry języczek ta twoja Dorothy.

– Ona ma na imię Doortje – powiedział Kevin nieprzychylnie. – I jest po prostu nieprzyzwyczajona do szampana. A przy tym przypominam sobie noce, podczas których ty także z nim przesadzałaś. Ale skończmy. Jakie masz dolegliwości?

Otworzył przed nią drzwi. Wprawdzie nie wierzył w chorobę, ale czegokolwiek ona chciała, lepiej było to omówić w gabinecie. Na korytarzu słychać było rozmowy z poczekalni.

Juliet zdjęła lekki żakiet i bez żadnych wstępów zaczęła rozpinąć suknię i bieliznę.

– Może... zbadasz moje piersi – zachęciła go. – One... są takie napięte. Może jestem w ciąży? A moje serce... ostatnio tak szybko bije.

Suknia Juliet miała z przodu rząd guzików – było to bardzo wyrafinowane na takie chwile jak ta. Kiedy Kevin z rozpaczą próbował skoncentrować się na sygnałach ze stetoskopu i osłuchać jej serce, spokojnie rozpięła dalej i rozwiązała sznurówki gorsetu.

– Ale ono właściwie zawsze bije szybciej, kiedy cię widzę... – zaszczebiotała zmysłowym głosem.

Kevin odłożył stetoskop.

– Nie mogę tu stwierdzić niczego niepokojącego – powiedział sztywno. – A jeśli chodzi o ciążę... Kiedy miałaś ostatnią menstruację?

Juliet wyciągnęła się na leżance.

– Dopiero tydzień temu, Kevinie. A więc nie ma niebezpieczeństwa. Ale nawet gdybyś nie miał tu jednego z twoich gumowych łobuzów... – Jakby znikąd wydobyła opakowanie z kondomem.

Kevin ostentacyjnie przewrócił oczami. Ale nie mógł zaprzeczyć, jej widok go podniecał.

– W tym stadium nie można stwierdzić ciąży – poinformował ją. – A więc...

– Kevinie... – Juliet uwolniła piersi i zwilżyła wargi. – Dobrze, może niczego w tej chwili nie stwierdzisz... Ale uwierz mi, cierpię z powodu melancholii... Pragnę cię, Kevinie. I muszę się w dodatku przyglądać, jak wleciesz ze sobą to małe głupiątko, które wcale nie jest z tego powodu szczęśliwe. Co ma znaczyć sprawa z tą burską kobietą? Po co się z nią ożeniłeś?

– Może z tego samego powodu, dla którego mój brat ożenił się z tobą – odparł Kevin. – Kocham ją. A on kocha ciebie. Jeśli nie potrafi uczynić cię szczęśliwą, to bardzo mi przykro. Ale ja...

– Ty zostawiłeś mnie na łasce losu! – uniosła się Juliet. – Ze swoim bachorem w brzuchu! Co miałam robić, Kevinie? Czekać na ciebie? Dopiero bym sobie napytała biedy...

Po jej twarzy przemknął sardoniczny uśmiech.

– Ale twojej Doortje oczywiście też. Co też ona by powiedziała, gdyby tutaj czekały na ciebie córeczka i porzucona narzeczona?

– Ty nigdy nie byłeś moją narzeczoną, Juliet – odparł Kevin.

Juliet zsunęła suknię obok leżanki i odpięła pas do pończoch.

– Ale mogłabym być, Kevinie... Chodź, kochany, to wszystko da się cofnąć. I nie potrzebujesz sobie wcale brudzić rąk. Ja opowiem twojej małej burskiej kobiecie o May i o Patricku...

Kevin starał się nie patrzeć na nagie ciało Juliet. Nigdy nie mógł jej się oprzeć, kiedy na jego oczach uwalniała swe ciało z gorsetu i odsłaniała jego naturalny kształt.

– Może nie byłaby tak zszokowana, jak ci się wydaje – odparł krótko.

Juliet znieruchomiała.

– Ach, doprawdy? Czyżby i tu czekały nas jakieś niespodzianki? A może ta mała nie jest z gatunku tych „tylko-mnie-nie-dotykaj”? Bo jak się tak zastanawiam i przyglądam, to Abe nie jest w ogóle do ciebie podobny...

Kevin starał się nie okazać przerażenia.

– Abraham jest podobny do Doortje – oświadczył sztywno.

Juliet wzruszyła ramionami bez zainteresowania.

– A może się nad tym zastanowimy? – zamruczała. – Bo to May jest podobna do ciebie. – Powoli rozsunęła uda.

Kevin wmawiał sobie, że robi to tylko po to, aby zmusić Juliet do milczenia. Ale był stracony w tym momencie, w którym jej dotknął. Juliet zaczęła zabawę z nim na leżance, ale w którymś momencie oboje znaleźli się na dywanie pod biurkiem Kevina. Śmiejąc się, związała go bandażem, po czym znalazła brandy, którą Kevin trzymał dla pacjentów, którym groziła utrata przytomności, wylała kilka kropel na jego pierś i podbrzusze, po czym zaczęła je zlizywać.

– Możemy zabawić się w pacjenta i pielęgniarkę – wyszeptała mu wprost do ucha. – Ja jestem Florence Nightingale... mamy tu gdzieś czepek? Może to cię podnieca w tej twojej burskiej kobiecie... ten śmieszny czepek... Nandé opowiadała, że każda kobieta przy stole u van Stoutów musiała mieć czepek. Jeśli go nie miała, ojciec kładł jej na głowie chustkę do nosa. Mam sobie położyć na głowę chustkę do nosa?

Juliet rozpuściła włosy i zaczęła drażnić go długimi kosmykami, a w końcu on się poddał i zabawił z nią w lekarza i pacjentkę. Słuchał uderzeń jej serca, kiedy w nią wchodził, i twierdził, że bada jej odruchy, kiedy podniecił ją tak, że leżąc pod nim, wygięła się w łuk.

– Nie powinniśmy robić czegoś takiego – powiedział w końcu, kiedy leżeli obok siebie wyczerpani, ciężko dysząc. – Patrick... To złamałoby serce Patrickowi...

Juliet się roześmiała.

– Ależ skąd. Jesteś lekarzem, Kevinie. A czy widziałeś kiedykolwiek złamane serce? A jeśli nawet! Jesteśmy sobie przeznaczeni, Kevin. Z nikim nie przeżywałam czegoś podobnego. A ty chyba też nie, prawda? Czyli to tutaj... czy nie można powiedzieć, że to jest... zgodne z wolą boską?

Kevin się podniósł.

– Raczej potępione przez Boga – powiedział gorzko. – Przykro mi, Juliet, ale to się już nie zdarzy. Nie możemy...

Juliet uśmiechnęła się zwycięsko.

– Nie ma obaw. Jutro nie i pojutrze też nie. Przyjedziemy do Dunedin prawdopodobnie za dwa tygodnie, Kevinie. A wtedy... znów będę gdzieś na ciebie czekać...

Doortje się wydawało, że rozpoznała znajomą sylwetkę na tylnym siedzeniu odjeżdżającej dorożki, kiedy wchodziła do domu. Ale przypisała to przewrażliwieniu po ciężkim dniu, a zwłaszcza poprzedzającej go nocy. Miała nadzieję, że Kevin tego wieczoru jej nie dotknie – choć wspomnienie ostatniej nocy... Doortje wstydziła się wprowadzić już samej tej myśli, ale odebrała piekło jako coś

niestychanie przyjemnego. Ale tak czy owak – miała coś do powiedzenia. Kevin z pewnością będzie się cieszył, słysząc coś więcej o jej odwiedzinach u Kathleen; Doortje miała tylko nadzieję, że nie będzie na nią zły z powodu dwóch nowych sukien i gorsetu. Wszystko nabyła na zakończenie wizyty u Kathleen, która odwiozła ją swoim powozem do miasta i była przerażona, słysząc, że Doortje przyszła na piechotę. I przy tej okazji zajęły do sklepu z bielizną, a potem do Lady's Goldmine.

– Kto chce być piękny, musi w tym sezonie niestety cierpieć, Doortje – oświadczyła Kathleen. – Żałuję, że suknie reformowane się nie przyjęły, ale jeśli wbrew obecnej modzie będzie się pani upierać przy starych fasonach, to Juliet będzie pani dokuczać. Ale w tej sukni...

Kathleen i Claire stały pełne podziwu przed Doortje, która przymierzała ciemnoniebieską suknię z błyszczącą satyny z akwamarynowym obszyciem na guziki i takimi samymi aplikacjami.

– W tym przyciągnie pani spojrzenia wszystkich...

Ale spojrzenia Kevina były tego wieczoru dziwnie niespokojne. Skomentował półsłówkami zakupy Doortje, co u niej z kolei wywołało jeszcze większe poczucie winy. Rachunek nie był też przesadnie wysoki. W czasie kolacji prawie nie jadł i w końcu wrócił do gabinetu.

– Muszę jeszcze przejrzeć parę rzeczy, Doortje, nie bądź zła.

Doortje, nieco skonsternowana, została sama. Zaledwie rankiem był taki czuły... A teraz... A przy tym naprawdę chętnie porozmawiałyby z nim. Może o Violet i o innych kobietach z kółka gminnego. Tymczasem Kevin nagle zrobił się zupełnie inny... Doortje ostatecznie schroniła się w łóżku i wzięła książkę o zachowaniu. W ciągu kolejnych kilku dni studiowała ją z właściwą sobie powagą. Drugi raz Juliet jej nie skompromituje!

I następne spotkanie z Juliet było triumfem – bo jeśli chodzi o efekt nowej sukni, to Kathleen i Claire rzeczywiście nie obiecywały zbyt wiele. Patrick i Juliet przyjechali znów dwa tygodnie później do Dunedin i Doortje w czasie sobotniej kolacji u Heather i Chloé zwracała na siebie uwagę wszystkich. W jej cieniu były nawet Juliet LaBree i Roberta Fence. Choć właściwie to młoda nauczycielka była niespodzianką tego wieczoru. Także ona po długim okresie noszenia sukien reformowanych miała na sobie gorset, a jej widok w czekoladowej sukni ozdobionej kremowym haftem wprost zapierał dech w piersiach. Kevin prawił jej komplementy i Roberta na początku najwyraźniej była bardzo szczęśliwa. Ale potem, kiedy zobaczyła Doortje w nowym stroju, zaczęła sprawiać wrażenie niepewnej. Ta kobieta była taka piękna, a oczy Kevina jaśniały tak wyraźnie, kiedy tylko na nią spojrział, że do Roberty po raz kolejny dotarło, że dla niej nie było szans, jeśli chodzi o zdobycie jej dawnej miłości. Zwłaszcza że Doortje coraz lepiej dostosowywała się do tutejszego życia. Bo Roberta opierała swoje nadzieje na tym, że burska kobieta nigdy nie znajdzie swego miejsca w Nowej Zelandii i będzie tak uparcie przeciwko niemu walczyła, iż miłość Kevina w końcu zgaśnie i on się z nią rozstanie. Teraz jednak nic na to nie wskazywało. Roberta westchnęła. Mimo wszystko nie zamierzała brać Doortje czegokolwiek za złe. Rozmawiała więc nieco przesadnie wesoło i swobodnie z młodą kobietą, pytała o jej życie na Elizabeth Station i w Dunedin, i zdziwiła się trochę wobec jej wyraźnej niechęci, kiedy wspomniała o Juliet.

– Patrick mieszka teraz z żoną na farmie, więc dla nas nie było tam miejsca – powiedziała z żalem Doortje. – Próbowaliśmy mieszkać w starej chacie poszukiwaczy złota, ale Kevin chciał jednak wrócić do Dunedin.

Roberta zauważyła, że to nie podobało się Doortje i jej niechęć do Juliet przypisała faktowi ich „wypędzenia” z Elizabeth Station. Ale wówczas do pokoju weszli Patrick i Juliet, a Roberta, wieloletnia ekspertka w kwestii najdrobniejszych zmian nastroju Kevina, niemal usłyszała alarmowe dzwonki.

Bo rzeczywiście obaj bracia Drury zeszytnieli, kiedy Juliet, szeleszcząc ciemnoczerwoną suknią, weszła do pokoju, niby trzymając się ramienia Patricka, ale wyglądało to tak, jak gdyby to ona ciągnęła

swojego małżonka. W oczach Doortje na jej widok najpierw pojawił się lęk, ale także wściekłość i wojowniczość, podczas kiedy Kevin... Roberta nie potrafiła zinterpretować wyrazu jego oczu. On także sprawiał wrażenie zachwyconego na widok Juliet, ale w jego oczach pojawił się też ten błysk, który Roberta widziała wtedy, kiedy czekała go jakaś przygoda – i wyzwanie. Może w tym spojrzeniu kryło się też pożądanie, ale w tym oczywiście nie był sam. Większość mężczyzn w pokoju patrzyła pożądliwie na kołyszące się biodra Juliet, szeroki uśmiech i podkreślone śmiałym dekoltem piersi. Suknia z pewnością nie pochodziła ze sklepu Lady's Goldmine. Projekty Kathleen podkreślały wprawdzie urodę kobiet, ale nie były wyzywające.

– Nie patrz tak w tamtą stronę! – zakpiła Chloé Coltrane ze swojej towarzyszki życia, która pozwoliła sobie na jedno spojrzenie za dużo. – Wystarczy chyba, że wszyscy mężczyźni leżą u jej stóp.

Heather zachichotała.

– Znam ten typ mężczyzn, oni zwykle pożerają takie kobiety jak my na przystawkę, a potem jeszcze paru panów. Ale skoro opanowały cię nieprzystojne myśli, Chloé Coltrane... no, w gruncie rzeczy to mnie uspokaja. Zawsze się bałam, że uciekniesz z jakimś mężczyzną.

W przeciwieństwie do Chloé Heather nigdy nie interesowała się mężczyznami. Roberta i Doortje dostrzegły, że obie kobiety uśmiechały się do siebie porozumiewawczo. Nigdy nie pozwalały sobie publicznie na więcej intymności. Zarówno jedna, jak i druga były bardzo dyskretne – jeśli ktoś nie zastanawiał się zbyt intensywnie albo miał zastrzeżenia natury religijnej przeciwko miłości takiej jak ta, to uważał je po prostu za przyjaciółki. W czasie kolacji obie prowadziły ożywioną konwersację z swoimi towarzyszami, podczas kiedy Roberta plotkowała równie niewymuszenie z Patrickiem. Przyłączyła się do nich Chloé, Juliet zaś rozmawiała ze starszym kupcem, co zakrawało na lekką prowokację, bo Donald McEnroe był umiarkowanym zwolennikiem Church of Scotland i flirtowanie z młodymi kobietami w jego otoczeniu nie było przyjęte.

Doortje nie potrafiła odgadnąć, który z panów towarzyszy Chloé przy stole, ona sama siedziała obok Kevina i czuła się prawie dobrze. Przynajmniej po raz pierwszy nie miała problemów z kolejnością widelców, noży i łyżek leżących koło jej talerza. Kevin był dziwnie zmieszany. Próbował rozmawiać z żoną, ale Roberta zauważyła, że jego spojrzenie co chwila wędrowało w stronę Juliet.

Heather zaś dostrzegła zainteresowanie Roberty Kevinem. Kiedy wszystkie damy po kolacji przeszły do salonu, aby wypić kawę i likier, a panowie poszli zapalić cygara i napić się whisky, Heather bez ogródek zapytała Robertę o Vincenta Taylora.

– A cóż robi twój weterynarz, Roberto? Powoli byłby już czas na zaręczyny. Wróciłeś z Afryki ponad rok temu.

Roberta poczerwieniała.

– Vincent jest w Auckland z końmi z Addington – odpowiedziała wymijająco. – Zaprosił mnie, abym też tam pojechała, ale... to nie uchodzi...

Heather zauważyła, że znów spojrzała z pewną irytacją na Kevina. Juliet Drury żartowała właśnie w otoczeniu kilku panów, wśród których był również on. Była jedyną kobietą, która nie rozstała się z mężczyznami po kolacji.

Heather potrząsnęła głową, patrząc na Robertę strofująco.

– Nie bądź taka pruderyjna, Robbie, oczywiście, że mogłabyś pojechać, gdybyś tylko chciała.

– Ten młody człowiek jest naprawdę bardzo sympatyczny – dodała Chloé. – A w dodatku lubi konie...

Roberta popatrzyła na nią z udręczeniem. Miłość do koni nie grała u niej żadnej roli przy wyborze małżonka. A że Vincent był sympatyczny – to słyszała z każdej strony.

– A czemu wy nie jesteście w Auckland? – spytała, aby zmienić temat, i z trudem oderwała wzrok

od Kevina i Juliet Drury.

Auckland Cup odgrywało ważną rolę na nowozelandzkiej scenie wyścigów konnych. I można było założyć, że Heather i Chloé będą towarzyszyć Rosie i klaczy Diamond. Koń należał przecież ciągle do Chloé.

Chloé westchnęła teatralnie.

– Heather mnie nie puszcza – poskarżyła się. – Mamy wkrótce festiwal sztuki i muzyki oraz wystawę sztuki współczesnej kobiet. Fantastyczny tytuł: *Sztuka jest rodzaju żeńskiego*. To pomysł Heather. – Spojrzała na przyjaciółkę z czułością.

– Ale to Chloé jest taką megalomanką! – dodała Heather wesoło. – Bo wystawiamy nie tylko w galerii, lecz podnajęliśmy dodatkowe pomieszczenia! Obok wernisażu będą wystąpienia Violet i innych kobiet, które walczyły o prawa wyborcze, będziemy miały muzykę w wykonaniu żeńskiej orkiestry kameralnej i pianistki... i nawet Matariki przyjedzie z Parihaka. Z grupą *haka* i dwiema maoryskimi artystkami. Maorysi będą mieli osobną wystawę – rzeźbiarstwo w jadeicie i tkactwo... To jest wielka sprawa i żadna z nas jeszcze czegoś takiego nie robiła. I na miesiąc przed tym Chloé mówi mi o Auckland Cup! Ja miałabym tu wszystko organizować, a ona będzie trzymać swojej klaczy nóżkę! To w ogóle nie wchodzi w grę!

Chloé westchnęła.

– Nie mogłam przecież wiedzieć, że Diamond się zakwalifikuje. Wtedy zorganizowałabym wszystko cztery tygodnie później.

Heather przewróciła oczami.

– I wtedy wszystko kolidowałoby z tymi nowymi gonitwami w Christchurch, co złamałoby serce Chloé i innym uczestnikom. New Zealand Trotting Cup zorganizowane przez kilku biznesmenów z Christchurch, wśród których jak sądzę, znajdzie się pewien pan o przydomku Buldog. Tam oczywiście pojedziemy! Ty też, Roberto, bez żadnych sprzeciwów, znajdziemy ci przyzwoitkę. Seana i Violet również tam zawlecjemy, Violet musi wziąć udział w triumfie Rosie. No i może zdecydują się Kevin i jego piękna żona, i... – Spojrzała badawczo na Juliet i Patricka.

Roberta wykorzystała okazję, aby podjąć nowy temat, który bardzo leżał jej na sercu. Doortje była wprawdzie wśród kobiet, ale rozmawiała z Chloé. Z pewnością nie będzie słuchać.

– Nie podoba mi się, jak Kevin patrzy na swoją bratową – powiedziała Roberta zdecydowanym głosem do Heather.

Heather zareagowała natychmiast. Zmiana tematu nie zirytowała jej, od dłuższego czasu także obserwowała relacje między obu braćmi Drury a Juliet.

– To nie podoba się nikomu – zauważyła. – A przynajmniej nikomu, kto to zauważa. Większość mężczyzn jest ślepa i głucha. Ale przed kobietami nie da się tego ukryć i jutro połowa miasta będzie plotkować. Juliet próbuje za wszelką cenę odbić Kevina Doortje. A Patrick stoi obok, patrzy na to jak zraniona sarenka i nie potrafi się przeciwstawić. I widzę jeszcze, że jest szczęśliwy zawsze wtedy, kiedy gdzieś pojawi się ta czarna opiekunka z May – można by pomyśleć, że to umówione, ale ci dwoje są naprawdę całkiem niewinni. May po prostu robi teatr, kiedy nie może być na jakichś uroczystościach i koncertach. Zupełnie jak jej matka! Ten dzieciak doskonale wie, czego chce. Ale tak czy owak Patrick najpierw obchodzi wszystkich gości, a potem ponoć musi położyć May do łóżka. Patrick ucieka więc, a Juliet ma wolną drogę. Gdyby była moją żoną, tobym ją przepędziła! Albo w każdym razie zażądała wyjaśnień. Jeśli ona chce rozwodu, powinna mu o tym powiedzieć. Ale ona po prostu bezlitośnie deprecjuje jego uczucia. A Kevin... Mam nadzieję, że nic nie ma między nimi, on po prostu kocha swoją żonę, ale jednak – jest tylko mężczyzną. I to nie takim, któremu można zaufać, jeśli wolno mi się tak wyrazić...

To akurat oburzyło Robertę.

– Kevin jest jak najbardziej godny zaufania! – oświadczyła. – Można mu zaufać całkowicie. To, ile zrobił w Afryce...

Heather uśmiechnęła się do niej ze współczuciem.

– Robbie, kochanie, ty ciągle jeszcze nie skreśliłaś go ze swojej listy myśliwskiej? O nieba, dziecko, nie wystarczyło ci, że pojechałaś za nim aż do Afryki? Żeby cię wreszcie zaczął zauważać?

Roberta zagryzła wargi. Właściwie miała nadzieję, że nikt nigdy nie zauważył jej potajemnej miłości...

– On nic sobie z ciebie nie robi! – mówiła Heather. – Choć jesteś śliczna i kochałabyś go bałwochwalczo. Ale ty jesteś dla niego za grzeczna, on w tobie nie widzi wyzwania. Kevin szuka kobiet trudnych, uwierz mi, znam go. Dawniej durzył się w artystkach, których obrazy wystawialiśmy w galerii. A najbardziej w tych, których nie interesowało męskie towarzystwo, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Robił wszystko, aby zwrócić na siebie ich uwagę, czasami było to wręcz nieprzyjemne. A raz zrobił się prawdziwy dramat, kiedy udało mu się zawlec jedną do łóżka, a jej przyjaciółka... Myślałam, że się wyzwą na pojedynek! No ale zostawmy to, to jest zeszłoroczny śnieg...

Heather spojrzała z troską na Doortje, ale ona ciągle była zajęta rozmową z Chloé, która właśnie wyjaśniała jej zasady gonitw kłusaków, co Doortje nie interesowało w najmniejszym stopniu. Za to młoda kobieta ćwiczyła się w dobrym zachowaniu i słuchała uprzejmie.

– W każdym razie Kevin Drury potrzebuje takich wieźm jak ta Juliet czy też wyzwań jak Doortje – mówiła dalej Heather. – Ciebie unieszczęśliwiłby, Robbie. Zrozum to wreszcie.

Roberta przytaknęła w poczuciu winy. Zobaczyła, jak Claire Dunloe podeszła do Juliet i łagodną przemocą odciągnęła ją od kółka otaczających ją mężczyzn, po czym zaprowadziła do kobiet. Doortje najwyraźniej odetchnęła, ale kiedy Kreolka podeszła do kobiet, w gronie których ona stała, Doortje sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– Dorothy! Jakże miło panią widzieć! I tym razem jest pani ubrana jak dorosła kobieta. Ale czy gorset nie uciska pani serduszka, moja droga?

Doortje wzruszyła ramionami. I ku zaskoczeniu wszystkich tym razem miała w zanadrzu gotową odpowiedź.

– My, Burowie – rzekła – jesteśmy dość odporni. Przetrwaliśmy znacznie więcej niż sznurówki od gorsetu i przytyki. A przede wszystkim nigdy się nie poddajemy, Juliet!

Poczekala chwilę, aż jej słowa zrobiły odpowiednie wrażenie. A potem mówiła dalej – i dowiodła, że nie tylko przestudiowała książkę o dobrym zachowaniu, ale także przeczytała *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

– A poza tym domek Dorothy zabija Czarownicę ze Wschodu, a później ona niszczy jeszcze Czarownicę z Zachodu. A więc niech się pani ma na baczności, Juliet. Gdzie leży Nowy Orlean?

Doortje raz jeszcze spojrzała na bratową, po czym odwróciła się i poszła do Claire Dunloe i Kathleen Burton. Juliet stała bez słowa.

Heather, Chloé i Roberta patrzyły na siebie kompletnie zaskoczone.

– A ja nigdy nie wierzyłam Kevinowi, że ta piękność groziła mu bronią! – zachichotała Heather i zwróciła się do Kreolki.

– Powinna pani naprawdę uważać, Juliet, ona świetnie strzela!

Chloé Coltrane patrzyła w zamyśleniu na Juliet, kiedy kobieta odeszła z nieco skrzywioną miną. Chloé zaś dowiodła, że mimo szczegółowych wywodów na temat sportów jeździeckich jednym uchem słuchała także rozmowy Heather i Roberty.

– Ty masz rację, Roberto, tu coś nie gra – mruknęła. – One dwie walczą o Kevina, a Juliet jest pewna

zwycięstwa. Ta mała burska kobieta szybko nadrabia zaległości – ale czy widzieliście, jak Kevin patrzy na Juliet? Obawiam się, że Doortje już przegrała.

PRZEBUDZENIE

WYSPA PÓŁNOCNA

PARIHAKA, AUCKLAND

WYSPA POŁUDNIOWA

DUNEDIN, CHRISTCHURCH, TEMUKA

1904

ROZDZIAŁ I

– Atamarie, tak nie wolno, nie możesz zagrzebać się tu na wieczność!

Nad Parihaka znowu wznosił się księżyc w pełni, w jego promieniach srebrzyście połyskiwało morze, a Mount Taranaki zanurzał się w jego niesamowitym świetle. Jedna z kapłanek prowadziła ceremonię pełni księżyca i błagała boginię Hine-te-iwaiwa o błogosławieństwo dla ciężarnych kobiet. Matariki chętnie usiadłaby gdzieś z dziećmi, aby opowiedzieć im o fazach Księżyca – i miało to być wyjaśnienie naukowe, zgodne z wiedzą. Ale potem miała też opowiadać maoryskie mity o satelicie Ziemi i jego znaczeniu dla orientacji pływających po morzu Polinezyjczyków. Ale jednak tego dnia jakoś nie mogła poddać się świątecznej, rozmarzonej atmosferze księżycowej nocy. Musiała porozmawiać z Atamarie. Tak postanowiła i zamierzała to zrobić. W słuszności tego zamiaru utwierdził ją skład grupy, wśród której znajdowała się Atamarie. Jej córka siedziała ze studentami medycyny, ale także z młodymi ludźmi, którzy próbowali wyjaśniać choroby i wszelkie osobliwości tego świata, opierając się na maoryskiej duchowości, a nie na nauce.

– Więc to może być związane z księżycem? – pytała właśnie Atamarie. – Właściwie nigdy niczego nie dostrzegałam...

– Ale na pewno ma swoje uzasadnienie fakt, że „szaleni” nazywają się po angielsku *lunatics* – stwierdziła znachorka Makutu. – Ja często nie mogę spać przy pełni księżyca.

– Ale u niego... nie wiem, czasami spał jak zabity, a czasami... – Atamarie zmarszczyła czoło.

Matariki westchnęła. Było jak zwykle: bez względu na to, jaki temat był poruszany, Atamarie cały czas próbowała odtworzyć w pamięci wszystkie niuanse swych doświadczeń z Richardem Pearse'em i wytłumaczyć je. Z początku Matariki uważała, że to zrozumiałe. Było normalne, że Atamarie usiłowała uporać się ze swoją historią – w końcu jej rozpieszczona przez życie córka doznała po raz pierwszy rozczarowania. Atamarie traktowała chyba swoją nieszczęśliwą miłość jako osobistą porażkę, choć bodaj nikt oprócz niej tak tego nie odbierał. Ale młoda kobieta od wielu tygodni złorzeczyła swojemu losowi. Matariki była zdania, że to wystarczy.

– Powtarzasz się – oświadczyła surowo, usiadłszy obok córki. – Już chyba wszyscy tu wiedzą, jak dziwny jest Richard Pearse. Ale wyjaśnić nie może tego nikt.

Atamarie zagryzła górną wargę – jak zawsze, kiedy próbowała zrozumieć coś trudnego.

– No więc Omaka znalazła tu krótkie wyjaśnienie i powiedziała, że to coś z tym *taku* i *toku* – to znaczy, jeśli pominie się kontekst *pepeha* i nie przyjmie się za to, co napisane, osobistej ważności opisywanej treści, lecz raczej odpowiedzialność wynalazcy za dokonany wynalazek...

Matariki przewróciła oczami.

– Atamarie, ty próbujesz od zawsze zrozumieć duchowość twojego ludu, ale podchodząc do tego jak inżynier. A w ogóle nie chcesz poczuć ducha Parihaka i dać mu się ponieść. A na koniec chcesz znaleźć to kółko w głowie Richarda, które nie pracuje tak, jak trzeba, i naprawić je, żeby wszystko było dobrze... Ale to jest niemożliwe, Atamarie! Skończ z tym wreszcie, nie możesz do końca swoich dni siedzieć tutaj, nie decydując się na życie w którymkolwiek ze światów, i tylko złorzeczyć twojej utraconej miłości.

– Ale... ja przecież wcale tego nie robię...

Młoda kobieta się nadaśała. Ale tak całkiem nie mogła temu zaprzeczyć. Atamarie była kobietą, która na wszystko szukała odpowiedzi i dotychczas zawsze znajdowała je w książkach. I tylko na temat zachowania Richarda Pearse'a nie było żadnych książek. Choć z początku była nastrojona optymistycznie, kiedy porozmawiała z profesorem Dobbinssem. Bo tak naprawdę Dobbins był w ogóle

pierwszym człowiekiem, któremu Atamarie opowiedziała o ostatnim locie Richarda i o swoim konflikcie z nim i Shirley. Kiedy opuściła Temuka, jeszcze tego samego wieczoru wróciła do Christchurch i z jednej strony była jak oszalała, a z drugiej – wewnątrz zimna jak lód. Była wściekła i rozpaczona, rozczarowana i urażona. Tej nocy nie zmrużyła oka i zdołała się jako tako pozbierać dopiero następnego dnia na uniwersytecie. Była elegancko ubrana i opanowana, ale w środku wszystko w niej wrzało. Miała wrażenie, że Dobbins jej się przygląda. Chyba do niczego nie czuł takiej niechęci jak do zadręczania go jakimiś emocjonalnymi problemami. Jednak przed Atamarie znów otworzył drzwi swojego pokoju, prosząc uprzednio swoją sekretarkę, aby przesunęła termin egzaminów, które mieli zdawać tego dnia inni studenci. Atamarie przemknęła przez głowę myśl, że zdający będą ją za to nienawidzić, ale mimo to i mimo swej konsternacji opowiedziała profesorowi całą historię.

– Czuję ogromne wyrzuty sumienia, profesorze! To był egoizm z mojej strony! Gdybyśmy przeprowadzili tę demonstrację kilka dni wcześniej... Gdybym ja się nie upierała, aby najpierw zdać egzaminy...

Dobbins potrząsnął głową i bez pytania postawił przed Atamarie filiżankę kawy.

– Niech pani wypije, dziewczyno, pani nie panuje nad sobą. I na miłość boską, niechże pani nie przypisuje sobie winy za to, że Pearse zawiódł. Widzi pani, Miss Turei, to nie jest pierwszy raz.

– Nie pierwszy raz? – spytała Atamarie zaskoczona. – Dobrze, on przechodził już kiedyś taką fazę, po tym, jak pierwszy lot zakończył się w żywopłocie. Ale poza tym...

– Poza tym to on jest zawsze całkowicie zrównoważony i łatwy w pożyciu... a potem ni stąd, ni zowąd, z dnia na dzień wpada w melancholię. Proszę mnie dobrze zrozumieć, Miss Turei, ja nie chcę ani robić z niego szaleńca, ani tak o nim mówić. Richard Pearse jest bez wątpienia geniuszem, już to pani raz powiedziałem. Ale jest także bardzo... hm... niezrównoważony. Zawsze uważałem, że pani obecność dobrze na niego wpłynie, Atamarie.

Profesor westchnął, ale mimo to spojrzał z uznaniem na naprawdę śliczną młodą kobietę, która siedziała przed nim.

– No, jego rodzina była dokładnie odwrotnego zdania – mruknęła Atamarie.

Dobbins wzruszył ramionami.

– Może znają go lepiej. Nie wiem, Atamarie, jestem technikiem. Jeśli da mi pani zacinający się silnik, to go rozłożę na części i ustalę, co w nim nie gra. Ale człowiek, który ma skłonności do melancholii? W każdym razie był to powód, dla którego on stracił tutaj posadę niesamodzielnego pracownika naukowego. Nie wiem, co on pani opowiadał o swoich przerwanych studiach. Brak możliwości finansowych w każdym razie nie był powodem, jakoś byśmy go na pewno przepchnęli. Taki talent – i taki wspaniały umysł! Ale on niespodziewanie wyniósł się do Temuka i nie wrócił. Potem wszystko się znów unormowało, usprawiedliwił to problemami rodzinnymi, brakiem pieniędzy, i, i, i... Zabrałem go więc pod Mount Taranaki. Wtedy zaczął opowiadać o tej farmie, którą otrzymał na swoje dwudzieste pierwsze urodziny...

– On przecież mógł ją sprzedać! – powiedziała Atamarie.

Profesor podniósł rękę.

– Richard Pearse mógł zrobić mnóstwo rzeczy. Ale nie zrobił. I to z pewnością nie jest pani wina, Atamarie. Niechże pani nie zadręcza się z powodu tych kilku dni zwłoki. Richard Pearse latał już na rok przed braćmi Wright! I miał dostatecznie dużo czasu, aby opatentować swój lot. Jeśli tego nie zrobił... Proszę o tym zapomnieć, Atamarie. Wyznaczę pani nowy termin egzaminu – pojutrze. Tak, wtedy są już właściwie wakacje, ale proszę się nie obawiać, skrzyknę moich kolegów i członków komisji. A potem proszę się zastanowić, co pani chce robić. Jest pani zamożna, Atamarie, prawda?

Dlaczego nie wsiądzie pani na statek i nie popłynie do Europy? Tam prowadzi się bardzo dużo badań na temat budowy samolotów, może pani mieć w tym swój udział! Albo może pojedzie pani do Stanów i pozna braci Wright? – Dobbins się roześmiał. – Może zakocha się pani w jednym z nich. Choć oni też sprawiają wrażenie ludzi trudnych i wygląda na to, że na razie obaj mają dość siebie samych.

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Nie mogę przecież poślubić obu – zauważyła sucho. – A Europa... Tam kobietom nie wolno studiować, profesorze. W każdym razie na pewno nie nauki inżynieryjne. Mężczyźni w ogóle nie traktowaliby mnie poważnie.

Dobbins podniósł ręce.

– Wie pani, co na pani miejscu zrobiłby mężczyzna? – spytał. – A przynajmniej połowa pani kolegów ze studiów?

Atamarie popatrzyła na niego pytająco. Profesor skrzywił usta.

– Oni w tej sytuacji sami rościliby sobie prawa do sławy. Jeśli jednak to pani odbyłaby samodzielnie lot, Atamarie... To byłaby sensacja! Nie tylko upubliczniłaby pani wynalazek swojego przyjaciela, ale także ruszyła sprawę kobiet o całe wieki do przodu.

Atamarie zagryzła wargi.

– Ale w ten sposób zdradziłabym Richarda. Choć o nim oczywiście też byłaby mowa we wszystkich publikacjach. Z pewnością. Ale mimo wszystko – w drugim rzędzie.

Dobbins uniósł bezradnie ramiona.

– A tak on zdradził panią. I w rezultacie znalazł się zupełnie z tyłu. Ale tego już nie można zmienić. Widzimy się pojutrze, droga Miss Turei. Na egzaminie, i proszę nie tracić głowy!

Atamarie zdała także swój ostatni egzamin z odznaczeniem – po dwóch dniach siedzenia w bibliotece wydziału medycyny i wertowania książek. Przeczytała wszystko, co znalazła na temat melancholii; niektóre objawy rzeczywiście pasowały do Richarda, inne znowu nie. W każdym razie nie znalazła żadnej wskazówki na temat leczenia tego zaburzenia. Profesor miał rację: techniczny umysł nie był w stanie uporać się z tym problemem.

Dzień po egzaminie Atamarie wyruszyła więc do Parihaka i zaczęła szukać wyjaśnienia tego problemu na drodze spirytualnych rozważań. Rozmawiała z maoryskimi znachorami, ale ci też nie mogli powiedzieć jej więcej ponad to, że ten stan ciągłego smutku zwany był *kainatu* i że dotkniętych nim ludzi należało zostawić w spokoju. Oczywiście były różne teorie na ten temat. Pewna znana daleko poza granicami Parihaka znachorka oświadczyła, że ludzie dotknięci *kainatu* nie byli w stanie znieść patrzenia w *nga wa o mua* – przyszłość, która wynikała z przeszłości. Zasada *taku i toku* była natomiast bardzo skomplikowana i Atamarie zrozumiała ją tylko w bardzo ograniczonym zakresie. *Tohunga* poleciła najpierw ustalić wszystko o przodkach osoby dotkniętej tą przypadłością, zakląć kanu, którym przybyła ona do Aotearoa, i poszukać korzeni zła w innych czasach. Atamarie jeszcze kilka miesięcy wcześniej uznałaby to za nonsens, ale teraz zaczęła o tym intensywnie rozmyślać. Aż usłyszała parę stanowczych słów wypowiedzianych przez matkę.

– Zaczyna mi się powoli wydawać, że sama jesteś dotknięta przypadłością zwaną *kainatu*! – powiedziała Matariki surowo. – Ale dosyć tego. Bez względu na to, dlaczego ten młody człowiek jest dziwny, to tym będzie się zajmować Shirley. Ty pojedziesz ze mną do Dunedin, zobaczysz się z Robertą i poznasz młodą żonę Kevina. Bo wieści od twojej babki, Kathleen i Violet są pełne przeróżnych sprzeczności, prawdopodobnie w Dunedin krąży też mnóstwo plotek na jej temat. I weźmiemy udział w wystawie sztuki kobiecej, którą organizuje Heather. Opowiadałam ci o tym.

– Ale ja przecież nie jestem artystką – sarknęła Atamarie. – Kiedy tkam...

– Już jako mała dziewczynka chciałaś poprawić i ulepszyć ramę tkacką – roześmiała się Matariki. –

Nie brakuje ci więc fantazji twórczej. Dlaczego nie zbudujesz *manu*?

– Latawiec? – spytała Atamarie niechętnie. – To byłoby raczej coś dla Rawiri...

– Ale jego jeszcze tu nie ma – zauważyła Matariki.

Podjeżdżała od dłuższego czasu, że także to trzymało jej córkę w Parihaka. Atamarie czekała na Rawiri – choć Matariki nie wiedziała, czy ona ciągle pamiętała jego uporczywe zaloty, czy też chodziło o informacje z pierwszej ręki na temat braci Wright. Rawiri napisał do niej o locie obu braci i przedstawił wszystko bardzo dokładnie. Nie mógł wiedzieć, jakich ran przy tym dotykał. Matariki nie pytała Atamarie o treść tego listu, ale zapewne rozmawiała z matką Rawiri, która oczywiście także otrzymywała pocztę od syna.

– Zbyt euforyczny to on nie był – stwierdziła Pania, trzeźwo myśląca lekarka. – On rozumie czysto techniczne względy, dzięki którym ten samolot wznosi się w powietrze, ale spirytualnie tego nie pojmuje. Ponoć u braci Wright zabrakło mu pokory wobec duchów. Może to nie był zły pomysł, Matariki, aby wysłać Atamarie do szkoły w Dunedin. Rawiri najwyraźniej trochę za bardzo przejął się duchem Parihaka!

– Chodź, Atamarie, możesz budować latawce! – przekonywała Matariki córkę. – Niczego przez to nie odbierzesz Rawiri, zwłaszcza że Heather i Chloé nie dopuściłyby jego prac na wystawę, bo im chodzi o sztukę kobiet. Jazda, Atamarie! Bierz się do roboty, Rawiri pokazał ci przecież, jak to się robi. I byłoby naprawdę pięknie, gdybyśmy w Dunedin też mogli wypuścić parę latawców.

Atamarie postarała się więc o drewno *manuka* i *kareao*. I jeśli latawce miały być wykonane w naprawdę tradycyjny sposób, potrzebowała jeszcze liści *raupo*. Odwiedziła więc *tohunga*, która jej powiedziała, gdzie je znajdzie i że ma je zrywać z wielką czcią i dziękować za to roślinie. Oczywiście Atamarie miała wielką ochotę ograniczyć ową zbędną jej zdaniem duchową oprawę, ale zaraz w pierwszym dniu pracy otoczyła ją liczna grupa dzieci, które także chciały budować latawce.

– Rawiri każdego roku budował z nami *manu* na święto Matariki – skarżył się mały chłopiec. – Ale teraz już drugi raz go nie ma. Zapomnimy całe *tikanga*!

Ostatnie słowa wypowiedział zmartwionym głosem, ze zmarszczonym czołem. Atamarie nie mogła się nie roześmiać. Wprawdzie nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, że w Parihaka zaginą obyczaje, ale jeśli nawet, to ona się do tego nie przyczyni. Przepytała starsze dzieci o pieśni, modlitwy i zawołania, które miały być śpiewane, odmówione bądź wykrzywane w czasie pracy, po czym nakazała młodszym dzieciom, aby zachowały tradycyjne formy latawców, ale zachęciła je także do wypróbowania nowych. I w końcu dzieci budowały latawce w formie dwupłatowców oraz takie, które miały kształt spadochronu, i próbowały, które latają najlepiej.

– Ale przecież to wcale nie jest takie ważne, czy *manu* dobrze latają – oświadczyła z całą powagą mała dziewczynka. – Ważna jest wiadomość dla bogów.

Atamarie się roześmiała.

– Ale latawce muszą najpierw wznieść się w powietrze, aby dotrzeć do bogów! A teraz, Wai, dorysuj swojemu latawcowi roześmianą buzię, żeby Rangi też miał dobry humor i nie płakał, kiedy będziemy je wypuszczać, bo wtedy one nie polecą!

Atamarie i jej mali pomocnicy udekorowali latawce muszelkami i piórkami, a *tohunga* wyjaśnili im znaki, które mieli namalować czerwoną i czarną farbą. Atamarie przewyciężyła obrzydzenie i użyła do wyrobu farb glinki z okropnie śmierdzącego oleju z rekina, tak jak wymagała tego tradycja. I wreszcie wszyscy upletli długie sznurki z lnu – *aho tukutuku*. A na zakończenie pracy każdy latawiec musiał dowieść swojej zdolności do lotu.

– Ale właściwie szkoda, kiedy te małe dzieła sztuki spadną na ziemię – stwierdziła Matariki, której kolorowy *birdman* wydał się zbyt ciężki.

– Moje latawce nie spadają – oświadczyła Atamarie z przekonaniem. – To nie ma znaczenia, czy one są ciężkie, ważne jest to, jak wykorzystują wiatry wstępujące. Poczekajcie, kiedyś w niebo będą wznosić się samoloty duże jak domy, które mimo to nie będą spadać.

– Ale czy wtedy bogowie nie będą się bać? – spytała mała Wai.

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Nie, jeśli zaśpiewamy odpowiednie *karakia*. A więc jazda, dzieci! Jak się zaczyna *туру manu*?

Taku manu, ke turua atu nei

He Karipiripi, ke kaeaea... – zaintonowały dzieci.

Leć daleko, mój ptaku,

Tańcz w niebie bezustannie,

Spadaj jak jastrząb na swoją zdobycz,

Leć coraz wyżej, wspaniały ptaku,

Zdobывaj chmury i fale!

Jedna z pieśniarek z grupy *haka*, która także miała jechać do Dunedin, podchwyciła pieśń i po raz pierwszy Atamarie rzeczywiście miała wrażenie, że także melodia wznosi ich *manu*. W duchu zganiała się za tak głupią myśl – siła wiatru była tego dnia idealna, bez względu na to, czy ktoś śpiewał czy nie.

Ale tak całkiem nie mogła odmówić temu słuszności: czy bogowie postawiliby na drodze Richarda mniej żywopłotów, gdyby on wysłał im parę swoich marzeń?

ROZDZIAŁ 2

– Ta zabawa z dziećmi to rzeczywiście była ogromna przyjemność – oświadczyła z zadowoleniem Atamarie, siedząc z matką i maoryskimi artystkami z Parihaka w pociągu jadącym do Wellington. Dzieła sztuki i instrumenty wysłano za pośrednictwem pewnej firmy przewozowej z Wyspy Południowej, którą Chloé i Heather bardzo gorąco polecały.

– One z początku chciały się tylko bawić, ale potem naprawdę nauczyły się dużo na temat paru ważnych praw fizyki.

– I na temat *tikanga* – uśmiechnęła się Matariki. – A ty przy tym doskonale pojęłaś to, *nga wa o mua* – że przyszłość jest w przeszłości. Śpiewy naszych przodków znakomicie łączą się z twoją nauką na temat wiatrów wstępujących. To wcale nie musi być sprzeczność...

Atamarie przewróciła oczami.

– Czy nie możemy pomówić o czymś innym niż o duchu Parihaka? – spytała.

Matariki wzruszyła ramionami.

– Lepiej mówić o duchu Parihaka niż o duchu Richarda Pearse’a.

Atamarie przestrzegала zaleceń matki, aby nie wspominać dawnego przyjaciela, ale nie było jej łatwo, kiedy dwa dni później pociąg mijał peron dworca w Timaru, a ona nie wysiadła.

– Po prostu chciałabym tylko wiedzieć, co się u niego potem działo – usprawiedliwiała się przed matką, która w odpowiedzi jedynie chwyciła się za głowę.

– Następny pociąg jest za parę godzin, mogłabym nim dojechać do was później. I nie musiałabym jechać do Temuka. Naprawdę nie, *mommy*, naprawdę wcale nie chciałabym...

Matariki zmarszczyła czoło, tym razem naprawdę groźnie.

– Mogłabym po prostu zapytać w sklepie, zupełnie niezobowiązująco, kiedy bym tam po coś zajrzała. Ta kobieta wie wszystko o Pearse’ach.

Atamarie pozornie od niechcienia spróbowała ściągnąć swoją walizkę z górnej półki. Matariki potrząsnęła głową.

– Co chcesz wiedzieć, Atami? Czy Richard już ożenił się z Shirley? A może czy on jednak jeszcze raz latał? O tym ostatnim już byśmy usłyszały. Może nie byłby to temat dla światowych dzienników, ale gazety w Wellington czy Auckland już by o tym pisały, przecież bądź co bądź byłby to pierwszy lot z silnikiem w Nowej Zelandii. Czegokolwiek byś się dowiedziała, Atamarie, sprawiłoby ci to ból. Zapomnij o nim!

Atamarie usiadła z wahaniem.

– A co z przeszłością, która wyznacza przyszłość? – spytała przebiegle.

Matariki trzepnęła ją w głowę ilustrowanym czasopismem, które właśnie czytała.

– Richard Pearse to nie jest kanu, którym twoi przodkowie przybyli do Aotearoa – powiedziała. – On jest tylko twoją pierwszą miłością. A ponieważ nie zrobił niczego, aby cię porwać i wyruszyć ku nowym, nieznanym brzegom, jak kiedyś Kupe i Kura-marō-tini, to raczej nie odegra ważnej roli w historii twojego ludu. Zamknij po prostu rozdział „Richard”, ja już nie mogę tego słuchać. Ciesz się na czekające cię spotkanie z Robertą. Jej chyba udało się przestać myśleć o Kevinie Drurym. Violet pisze, że jest już prawie zaręczona z pewnym sympatycznym weterynarzem.

Atamarie się skrzywiła.

– „Prawie” w ogóle się nie liczy, *mommy*. „Prawie” to ja też już byłam...

Heather i Chloé zawiozły maoryskie artystki i tancerki do hotelu, ale Kevin Drury się upierał, aby Matariki i Atamarie zamieszkały u niego i Doortje. Matariki była kilka lat starsza od Kevina i Patricka,

ale jako rodzeństwo zawsze byli sobie bardzo bliscy. A przy tym tradycje maoryskie wywarły wielki wpływ na ich obraz świata. Wszyscy troje często bywali w *marae* Ngai Tahu i traktowali szczerp jak część rodziny. Zawile stosunki pokrewieństwa, jak na przykład fakt, że Matariki była przyrodnią siostrą obu chłopców, nie grały żadnej roli. Dlatego Kevinowi nawet nie przyszło do głowy, aby przygotować Doortje na tę okoliczność. I dopiero na dworcu, kiedy serdecznie witał Matariki, zauważył, że jego żona wprost osłupiała. Doortje, nic nie rozumiejąc, patrzyła na ciemną cerę Matariki, nieco skośne oczy i gęste czarne włosy, które ona w dodatku nosiła rozpuszczone. Matariki była wyjątkowym zjawiskiem i robiła ogromne wrażenie. Tak jak pozostałe kobiety z Parihaka nosiła suknie reformowane, które były tam szyte – z materiału tkanego w tradycyjne wzory szczerpu, choć dopasowane do długości i ogólnego wyglądu zachodniej odzieży. I bez wątpienia była piękną kobietą – ale z całą pewnością nie białą!

– Ja... ja nie wiedziałam... – Doortje na przemian to bladła, to czerwieniła się, ale Matariki w ogóle tego nie dostrzegła.

– Ty musisz być Dorothea! – powiedziała radośnie. – Kevin napisał mi twoje imię, ale ja nie ważę się go wymówić, zanim mnie tego nie nauczysz. Żeby to nie zabrzmiało jak Dorothy! – roześmiała się. – Kiedy byłam mała, nazywano mnie w szkole Martha. Mnie to nie przeszkadzało, ale już jeśli chodzi o moją córkę Atamarie, to zwracałam uwagę na to, żeby nie zrobili z niej Mary!

Matariki chciała spontanicznie objąć Doortje, jak przed chwilą Kevin objął ją, ale dostrzegła dystans bratowej i zrezygnowała z tego zamiaru. Mogło być przecież tak, że w Afryce było to zakazane.

Atamarie podała jej rękę – ona mniej więcej rozumiała zachowanie Doortje. Roberta lubiła pisać listy i uprzedzenia Burów wobec ludzi o ciemniejszej skórze często były tematem jej wielostronicowych wywodów.

Doortje nie czuła już takiego dystansu w stosunku do Atamarie, bo u młodej siostrzenicy jej męża prawie nie można było dostrzec maoryskiego pochodzenia. Za to stanowiła ona zagadkę innego rodzaju. Córka Matariki bardzo przypominała Kathleen Burton – miała taki sam kolor włosów i takie same arystokratyczne rysy twarzy. W czasie jazdy na Lower Stuart Street Doortje zastanawiała się przez chwilę, jak to jest możliwe. Wiedziała, że Sean Coltrane był synem Michaela i Kathleen. Ta Matariki musiała być więc wynikiem jakiegoś błędu Lizzie. Ale jakim cudem jej córka przypominała żonę wielbego? Czy to Sean był ojcem? Doortje, znając dystyngowanego adwokata, nie mogła sobie tego wyobrazić. Ale na razie przestała się nad tym zastanawiać, bo czekały ją teraz pilniejsze problemy. W Transwalu nikt nigdy nie zażądałby od niej, aby siadła do stołu z kolorowymi członkami rodziny. W ogóle nikt nie przyznałby się do hańby posiadania kogoś takiego w rodzinie. Lecz Matariki była teraz gościem Doortje... Młoda kobieta starała się być uprzejma, ale nie do końca jej się to udawało. W czasie jazdy odpowiadała monosylabami na pytania, a w domu robiła Kevinowi wyrzuty, kiedy Atamarie i Matariki znikły w gościnnym pokoju, aby się odświeżyć.

– Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić!

Kevin wzruszył ramionami.

– Ależ Doortje, wiedziałas przecież, że Matariki przyjedzie z Parihaka. Z maoryskimi artystkami. Jak sądziłaś, co ona tam robi?

– Powiedziałeś, że ona jest nauczycielką! – odpowiedziała Doortje. – Myślałam więc...

– Że wpaja odrobinę cywilizacji biednym zuluskim Kafrom? – zakpił Kevin. – Doortje, znasz historię Parihaka. Czy naprawdę sądzisz, że oni potrzebują *pakeha*, aby uczyli ich czytać i pisać?

– Ale... ale mówiłeś, że mąż Mata... riki zasiada w parlamencie! To mogłam sądzić, że...

Doortje nie wiedziała, czy ma się wstydzić swojej niewiedzy, czy też udowodnić swoją przewagę wynikającą z rasistowskich przekonań. Tak naprawdę знаła historię Parihaka tylko w ogólnych

zarysach. Violet i Lizzie opowiadały jej o tej wsi, ale Doortje prawie nie słuchała. Męczyło ją przysłuchiwanie się rozmowom prowadzonym po angielsku, a czasami, kiedy temat nie był dla niej interesujący, Doortje uciekała w świat marzeń.

Kevin spojrział na żonę ze złością.

– Kupe Parekura Turei jest znanym adwokatem i zasiada w parlamencie jako przedstawiciel Maorysów. Także tego mogłabyś się dowiedzieć, Doortje, gdybyś choć odrobinę interesowała się krajem, w którym teraz mieszkasz. Ale ty ciągle wolisz być kompletną ignorantką! Spraw mi, proszę, tę przyjemność i zachowuj się przyzwoicie w obecności mojej siostry. Matariki jest bardzo inteligentną i miłą kobietą. Gdybyś wreszcie zapomniała o swoim burskim uporze, mogłabyś ją polubić!

Kevin wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Doortje zacisnęła pięści, czując ogarniającą ją wściekłość. Wybuch Kevina był niesprawiedliwy i krzywdzący. Doortje naprawdę starała się dostosować do tutejszych warunków, nosiła odpowiednie ubrania, mimo że ledwo mogła oddychać w gorsecie, dowiadywała się, jakie są odpowiednie formy zachowania, czytała też powieści, aby mieć o czym mówić w czasie spotkań towarzyskich. Ostatnio nawet chodziła z Kevinem na niedzielne nabożeństwa do wielebnego Burtona i wysłuchiwała jego irytujących kazań, które często wydawały jej się bluźniercze. Kółko kobiet, do którego zaprosiła ją Violet, podobało jej się bardziej, i Doortje powoli przyzwyczajała się do anglikańskiego sposobu pojmowania dobroczynności. Kevin doprawdy nie mógł wymagać od niej więcej, on... Doortje rzadko kiedy pragnęła móc zapłakać, jak teraz właśnie. Była całkowicie gotowa, aby sobie na to pozwolić, ale z jej piersi wydobył się tylko krótki suchy szloch.

Kevin już chwilę po swoim wybuchu wstydził się własnych ostrych słów. Oczywiście zabolalo go to, że Doortje odtrącała Matariki, ale miała trochę swoich racji i powinien był to przewidzieć. A w ostatnim czasie naprawdę nie można jej było zarzucić, że nie starała się zapuścić korzeni w Dunedin. Nie, Kevin, jeśli miał być szczery, to musiał przyznać, że jego drażliwość miała inne powody. Od wielu tygodni miał wrażenie, że znajduje się między młotem a kowadłem – czyli między Doortje a Juliet LaBree, której mimo najlepszej woli nie potrafił nazywać Juliet Drury, mimo że próbował dostrzec w niej wreszcie żonę swego brata. Juliet była uwodzicielką, i to od zawsze, tylko że teraz to już nie było zabawą. Kevin dokładnie wiedział, co robił, kiedy raz po raz jej ulegał. Patrick nigdy nie przebaczyłby mu tej zdrady, a Kevin prawdopodobnie straciłby także Doortje. Ale po prostu nie był w stanie oprzeć się Juliet, kiedy ona czyhała na niego w gabinecie, zwabiała go nocą do ogrodu, gdy był w towarzystwie, a raz nawet czekała na niego w stajni. Była to wyrafinowana gra na granicy uwodzenia i szantażu – kiedy Kevin z rozpaczą próbował powiedzieć „nie”, Juliet groziła ujawnieniem ich romansu.

– Kevinie, kochanie, ja twojego braciszka tak czy tak opuszczę... – powiedziała mu, kiedy ostatnim razem spotkali się w cztery oczy. – Życie w Otago jest nie do zniesienia. Jedyne, co mnie tu jeszcze trzyma, to twoja osoba. W ten sposób poniekąd oddajesz Patrickowi przysługę, Kevinie... Mój święty Kevinie. – Roześmiała się gardłowo, a Kevin poczuł się nieprzyjemnie dotknięty. Lizzie opowiadała jej o irlandzkich świętych, po których Kevin i Patrick otrzymali imiona, ale historia legendarnego celtyckiego potomka szlacheckiego rodu, który później został założycielem klasztoru i pogromcą smoków, podobała się Juliet o wiele bardziej niż opowieść o dzielnym misjonarzu Patricku. – Mój słodki Kevin, który idzie na wojnę, aby przynieść wolność niewolnikom i który bierze sobie za żonę upadłą dziewczynę.

Przede wszystkim tego rodzaju aluzje Juliet powodowały, że Kevinowi dosłownie ścinała się krew w żyłach. Kreolka bynajmniej nie była głupia i najwyraźniej przeczuwała, że coś nie grało w jego małżeństwie z Doortje van Stout. I prawdopodobnie nie będzie jej trudno ustalić datę ich ślubu

i porównać ją z datą urodzin Abrahama. Choć przecież nikogo nie powinno to razić, zdarzało się przecież, że para nie chciała czekać, zwłaszcza w okresie wojny.

– Nie wiem, o czym ty mówisz! – bronił się. – Czci Doortje w żadnym wypadku nie można podważyć. Ona nigdy nie była „upadłą dziewczyną”.

Juliet się uśmiechnęła, a Kevin się przeraził, że może dostrzegła lęk w jego oczach. Juliet LaBree wydawała się mieć szósty zmysł do wszelkiego rodzaju skandali albo nieprzeciętnie wnikliwe spojrzenie. Codziennie widziała rysy Kevina na twarzy jego córki – ale Abe, jego domniemany syn, nie przypominał go w najmniejszym stopniu.

– A kto mówi o Doortje – wyszeptała mu do ucha. – Mówię o sobie, mój ty święty Kevinie... Z pewnością jestem upadłą dziewczyną, którą ciągle podnosisz... Która teraz znów potrzebuje koniecznie odrobiny miłości.

Juliet zaczęła zmysłowo gładzić najpierw własne ciało. Kevin próbował nie patrzeć, ale potem jednak odwrócił się do niej. Pożądanie, jakie Juliet odczuwała w stosunku do niego, oraz jej wyrafinowanie tworzyły wręcz wybuchową mieszankę. Kevin sobie wmawiał, że musi chronić Doortje przed ewentualnym ujawnieniem tego romansu – i ulegał czarowi Juliet. A później walczył z dręczącym go poczuciem winy. Tak dalej być nie mogło, ale mimo najlepszej woli nie wiedział, jak ma to zakończyć.

Teraz w każdym razie potrzebował trochę świeżego powietrza – albo trochę dystansu wobec Doortje. Mógł w gabinecie opracować parę kart chorób swoich pacjentów.

Kevin nigdy by nie przyznał, że myślał także o tym, iż tego dnia również Juliet i Patrick przyjadą do Dunedin. Razem z Lizzie i Michaeliem – przyjazd Matariki i powrót do domu Atamarie były dobrym powodem do rodzinnego święta. Kevin westchnął już na samą myśl o tym. Lizzie pewnie zamówi w hotelowej restauracji wino i szampana i będzie się raczyć jednym i drugim, a to zawsze było powodem niechętnym spojrzeń Doortje. Od chwili swojej gafy na wieczorze u państwa Dunloe znów odrzucała wszystkie napoje alkoholowe. A w dodatku to napięcie między nią a Juliet – a teraz do tego także między Matariki. Kevin poszukał butelki whisky, którą ponownie ukrywał w swoim gabinecie, i miał nadzieję, na przekór swym dobrym zamiarom, że Juliet znajdzie jakąś wymówkę, aby opuścić na chwilę swego męża i teściów. Była sobota i gabinet był pusty.

Matariki, idąc do łazienki, usłyszała zduszony szloch swojej bratowej w sypialni Drurych, jak też trzaśnięcie drzwiami. Właściwie nie chciała się wtrącać do małżeńskiej kłótni, zwłaszcza że Doortje nie powitała jej zbyt serdecznie. Zauważyła to także Atamarie, która nie omieszkała skomentować z oburzeniem stanowiska Doortje wobec ludzi o odmiennym kolorze skóry.

– Robbie mówi, że oni tam jeszcze do niedawna mieli swoich niewolników, a ta Doortje dziś jeszcze nie widzi nic nadzwyczajnego w tym, że czarni byli i są całkowicie od nich zależni i nie dostają pieniędzy. Do szkoły też nie chodzą i...

Matariki podniosła rękę uspokajającym gestem.

– Też o tym słyszałam – odpowiedziała spokojnie. – Pierwotnie wszyscy biali byli właśnie tacy. Przypomnij sobie problemy, jakie w swoim czasie miała wieś Parihaka. Ale walka z tym do niczego nie doprowadzi. Musimy im pokazać, że da się żyć inaczej.

– Orać i budować płoty? – zakpiła Atamarie.

Matariki wzruszyła ramionami.

– Jeśli patrzeć na to z bardziej odległej perspektywy, to jednak poprawiło to sytuację wsi – odparła ostrożnie.

Bo opór, jaki w swoim czasie stawili mieszkańcy Parihaka przeciwko zajmowaniu ziemi przez rząd, bezpośrednio przyniósł niewiele korzyści. Ale bądź co bądź Sean Coltrane i Kupe Turei potrafili

potem wywalczyć odszkodowania dla Maorysów, także w innych częściach kraju walczone uparcie, ale legalnie o ich prawa. I wszędzie maoryskie kobiety i mężczyźni udowadniali, że w żadnym wypadku nie czuli się podlegli białym. „Przy czym podanie komuś chusteczki do nosa nie wymaga takiego trudu jak budowanie płotów” – pomyślała Matariki i darowała sobie przytaczanie dalszych argumentów. Doortje najwyraźniej potrzebowała otuchy i wsparcia, bez względu na to, jakie było jej nastawienie do ludzi należących do innych narodów. Matariki zdecydowanie zapukała do drzwi pokoju Doortje i weszła, nie słysząc odpowiedzi. Młoda kobieta siedziała zgarbiona na brzegu łóżka – lecz oczy miała suche. A więc jednak nie płakała?

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała Matariki łagodnie. – Kevin jest czasem porywczy, wiem o tym. Moja matka zawsze mówi, że to irlandzki temperament. Ma to po swoim ojcu.

Uśmiechnęła się do Doortje i usiadła koło niej.

– A teraz proszę się uspokoić i opowiedzieć mi, co panią gnębi.

Doortje wstała. Powrót do bardziej oficjalnego zwracania się do siebie najwyraźniej bardziej jej odpowiadał, ale siedzieć obok kolorowej... Spojrzała nerwowo w lustro.

– Okropnie wyglądam – wyszeptała. – To będzie po mnie widać...

Matariki zmarszczyła czoło.

– Co będzie po pani widać? Że się pani zdenerwowała? Kłótnię z Kevinem? Jeśli teraz umyje pani twarz, przebierze się pani i ułoży włosy, a przede wszystkim, jeśli się pani uśmiechnie, to nikt nic nie zauważy.

– Ale nie mogę się bez przerwy uśmiechać! – wyrwało się Doortje, co zabrzmiało wręcz jak jęk. – Nie mogę zawsze... być jak...

Matariki westchnęła. A więc o to chodziło. Kevinowi coś się nie podobało w zachowaniu Doortje. Jej samej od początku wydało się ono trochę sztuczne. Doortje była modnie ubrana i doskonale wyglądała, ale nie poruszała się jak kobieta, która od dzieciństwa przyzwyczajona była do cierpienia po to, aby być piękną. Możliwe, że chodziło o ten koszmarne gorset.

– Wiem – powiedziała Matariki przyjaźnie. – Społeczeństwo *pakeha* potrafi być bezlitosne. Trzeba zawsze zachowywać elegancką postawę, być perfekcyjnym... Już choćby ten gorset! Ale poza tym wygląda pani porywająco, Doortje. Ta suknia jest ze sklepu Kathleen, prawda? Ale przecież dzisiaj będziemy tylko w gronie rodziny i nie musi się pani tak katować! Atamarie i ja nie włożymy gorsetów, a Lizzie z całą pewnością też nie. Pani zaś wygląda pięknie i bez tych rybich ości, Doortje. Czy mój ojciec nie szaleje za panią? – uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Michael Drury nie jest przecież pani ojcem! – wyrwało się znów Doortje.

Matariki zmarszczyła czoło.

– A więc nie chodziło o pani wygląd, prawda? – spytała spokojnie, choć chłodniej. – Atamarie ma rację, pani nie wiedziała, że jestem Maoryską...

Doortje wydała z siebie zduszony szloch, co zabrzmiało niemal upiornie. Matariki się zastanawiała, czemu ona po prostu nie zalała się łzami, ale Doortje panowała nad sobą znakomicie. Nie płakała z żalu i wściekłości, o tym Matariki już wiedziała – i nie dało się widzieć, że doznała teraz dziwnego wzruszenia. Matariki dostrzegła jednak, że jej reakcja mimo wszystko zaskoczyła Doortje. Chyba po raz pierwszy nikt jej tutaj ostro nie potępił za to, że odtrącała ciemnoskórą kobietę.

– Nie jest pani przecież... – wyszeptała. – Pani jest przecież... półkrwi. Kolorowa. Jak ta... ta Juliet. A to gorzej niż być czarną, bo... Bo ma pani na twarzy piętno Kaina.

Matariki się roześmiała i odrzuciła do tyłu swoje czarne włosy.

– No, na razie zawsze mi mówiono, że dobrze wyglądam. A poza tym jestem córką wodza. Dawniej byłam z tego dumna. Prawdziwa księżniczka...

– Ale kolorowa nie może przecież... W Afryce nikt jej nie zechce, także Kafrowie...

Doortje sprawiała wrażenie zafascynowanej mimo woli. W jej kraju oczekiwano od kolorowych służalczości, tu Juliet LaBree demonstrowała ostentacyjnie impertynencję. Ale ktoś, kto nie ukrywał dumy z powodu swego wątpliwego pochodzenia – kogoś takiego jeszcze nie spotkała.

– Biedne dzieci – powiedziała Matariki ze współczuciem.

Doortje patrzyła na nią ze zdumieniem. Bo była to uwaga, której nigdy by się nie spodziewała.

– Przez wszystkich odrzucane... Los tych ludzi w pani kraju musi być bardzo ciężki. Nic dziwnego, że dopatrują się w swoim wyglądzie piętna Kaina. Ale tu jest zupełnie inaczej. Maoryskie szczepy przyjmują i kochają wszystkie dzieci. A dawniej, kiedy prawie wcale nie było tu *pakeha*, albo też w swoim czasie w Polinezji, skąd pochodzą Maorysi, urodzenie dziecka mieszanej krwi było zaszczytem. Dziewczęta zakradały się do białych i oddawały się im, a jeśli któraś zaszła w ciążę, to uważano, że wyciągnęła szczęśliwy los! Co kraj, to obyczaj, jak mówią *pakeha*. A my mówimy: każdy szczep ma swoje własne *tikanga*... A to słowo pochodzi od *tika*, które znaczy „prawda”. Można to więc przetłumaczyć jako: każdy szczep ma swoje własne zwyczaje, albo: każdy szczep ma swoją własną prawdę.

Doortje potrząsnęła głową.

– Ale tak nie może być. Jest tylko jedna prawda, prawda boska. A Biblia mówi, że jesteśmy wybrani.

Zdziwiła się, kiedy Matariki roześmiała się w odpowiedzi.

– Proszę wybaczyć, ale to już raz słyszałam. Nie, wiele razy. W Biblii chodzi o Izraelitów. Czyli Żydów.

– Żydów? – spytała Doortje skonsternowana. – Nie, nie chodzi o Izraelitów. Żydzi są... raczej jak Anglicy... tacy chciwi... Ich Bóg w ogóle nie lubi! On lubi *voortrekkerów*. Bo ci są jak Izraelici. Oba te ludy zostały wypędzone i musiały przedzierać się przez wrogie kraje, aby dotrzeć do swojej Ziemi Obiecanej!

Matariki potarła czoło.

– Izraelici z Biblii to dzisiejsi Żydzi – wyjaśniła. – Proszę o tym poczytać! A ich obiecaną ziemię zabrali im potem Rzymianie. I Bóg w ogóle tu nie interweniował. Zupełnie jak teraz u pani, Dorothea. I u nas. Zgodnie z naukami niejakiego Te Ua Haumene Maorysi też są ludem wybranym. Mój biologiczny ojciec także tego nauczał – i w efekcie tej nauki posłał wielu ludzi na śmierć. Tak samo jak wasi burscy przywódcy.

– Jestem córką Adrianusa van Stouta! – oświadczyła Doortje zjadliwie. – Jednego z tych burskich przywódców, o których się pani wyraża z taką pogardą. A w moim kraju to zaszczyt i honor...

– A więc też jest pani swego rodzaju księżniczką – uśmiechnęła się Matariki. – To nie zawsze jest łatwe, prawda? Oczekiwania wobec księżniczek są zwykle bardzo wysokie... Ale jednak ja byłam szczęśliwsza jako zwyczajna córka Michaela Drury'ego. On nie jest bohaterem – bez mojej matki zginąłby w tym kraju. Ale to dobry człowiek. Podobnie jak Kevin.

Doortje spojrzała na nią gniewnie.

– Twierdzi pani, że mam wszystko zapomnieć? Moje pochodzenie – i wiarę?

Matariki wzruszyła ramionami.

– W każdym razie powinna pani pozostawić bogom to, kogo oni lubią, a kogo nie. Albo uwierzyć wielebnemu, który mówi, że Bóg kocha nas wszystkich. Podczas kiedy na przykład Maorysi prowadzą raczej pokojową koegzystencję ze swymi bogami i w ogóle nie czynią ich odpowiedzialnymi za problemy, które mają tutaj i teraz. Proszę sobie coś wybrać, dowieść i tak nie można niczego. To kwestia wiary. Ale teraz czas, abyśmy się odświeżyły.

Wstała, podeszła do toaletki w pokoju Doortje, zwilżyła wodą mały ręcznik i włożyła go Doortje do

ręki.

– Księżniczka Matariki mówi: ceremoniał dworski wymaga, aby umyć twarz zimną wodą i uporządkować włosy. Czy rzeczywiście nie chce pani iść coś zjeść ze mną i z Atamarie? Wtedy musi pani powiedzieć, że boli panią głowa. Maoryskim księżniczkom poza tym nie wolno zadawać się ze zwykłymi członkami szczepu.

Matariki żartobliwie zadarła nos i popatrzyła na Doortje z udawaną wyniosłością.

– Na Wyspie Północnej byłaby pani przeklęta już wtedy, gdyby padł na panią mój cień. Ale ja byłabym gotowa przeprowadzić z panią ceremonię oczyszczenia i wówczas nie byłoby to już nic złego.

Matariki popatrzyła z zaskoczeniem na Doortje, która nie śmiała się z jej żartów. Wręcz przeciwnie, kobieta zacisnęła palce na trzymanym ręczniku i najwyraźniej drżała.

– U was można przekleństwo... cofnąć? – spytała młoda kobieta.

W tym momencie Matariki zdała sobie sprawę, że wspólna kolacja z Michaeliem i Lizzie będzie musiała poczekać. Wstała zdecydowanie, wyszła na korytarz i zamknęła drzwi do mieszkania od wewnątrz. Kevin będzie musiał zapukać, kiedy jego dąsy już miną. Słyszała Atamarie śpiewającą w wannie – wszystko wskazywało na to, że jej rozpieszczona córka zażywała rozkoszy związanych z powrotem do cywilizacji. Pierwsza kąpiel po wielu tygodniach w *marae* z pewnością ją zrelaksuje. Tym lepiej. Matariki wróciła do sypialni Doortje i usiadła obok niej na łóżku. Doortje w zamyśleniu co jakiś czas przecierała sobie twarz mokrym ręcznikiem.

– A więc, teraz jesteśmy same, my, dwie księżniczki, Dorotheo. Dlaczego sądzi pani, że pani Bóg panią przeklął?

Obie kobiety, nie niepokojone przez nikogo, długo jeszcze siedziały razem. Bo także Kevin zapomniał o kolacji z rodzicami. I podczas kiedy Doortje powierzała wszystkie żale jego siostrze, on sam piętro niżej zaspokajał Juliet Drury-LaBree.

ROZDZIAŁ 3

– Przepraszam, Rosie, ale pani sobie coś wmawia! Temu koniowi nic nie jest, pani zwariowała!

Vincentowi Taylorowi zrobiło się przykro z powodu tych ostrych słów, zaledwie zdążył je wypowiedzieć. W żadnym wypadku nie było powodu, aby wyładowywać na Rosie zły humor i drażliwość, nawet jeśli ona po raz czwarty w ciągu trzech dni prosiła go, aby przyszedł zbadać jej klacz Trotting Diamond. Nie mówiąc już o badaniach w domu. Ale jak długo ona płaciła za jego usługi, miała do nich wszystkie prawa tego świata.

Rosie zacisnęła wargi.

– Nie zwariowałam, doktorze Taylor, na pewno nie. Diamond coś jest. A dziś rano tak wyglądała... To znaczy, tak na mnie patrzyła, jak gdyby miała gorączkę.

Vincent raz jeszcze skierował światło swojej latarki na oczy Diamond i sprawdził reakcję źrenic. Była zupełnie normalna.

– Miała mierzoną temperaturę? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Po pierwsze sam zmierzył temperaturę ciała, a po drugie Rosie darłaby się jak opętana, gdyby termometr pokazał ponad 102 stopnie w skali Fahrenheita. I byłaby czekała na konsultację kilka godzin, bo Vincent i tak był w stajni Barringtona i zajmował się jednym z jego folblutów.

– Tak, nie miała gorączki – potwierdziła Rosie. – I całkiem dobrze biegła. Raczej troszkę szalała na treningu, nawet dwa razy zagalopowała, a przecież nigdy tego nie robi! Ale dygotała, a ja miałam takie uczucie, jak gdyby kręciło jej się w głowie.

Vincent się uśmiechnął.

– Myślę, że i pani, i pani koniowi trochę puszczają nerwy. I jest to zrozumiałe, Auckland Cup to wielka sprawa. A jeszcze ta podróż statkiem, nieznany tor... To może odbić się na żołądku. Niech pani tylko spojrzy na konie Barringtona... – Vincent właśnie leczył drugiego cierpiącego na kolkę. – A Diamond ma właśnie słabe nerwy.

– Diamond nigdy nie miała słabych nerwów! – zaprzeczyła Rosie. – Nie miała też przyśpieszonego bicia serca dlatego, że boi się pańskiego stetoskopu, jak pan powiedział ostatnim razem. Diamond niczego się nie boi.

Vincent rzeczywiście przypisał wszystko nerwom, ale tak całkiem nie mógł zaprzeczyć argumentom Rosie. Trotting Diamond była zawsze uosobieniem spokoju, ufała swojej Rosie całkowicie i grzecznie weszła na prom jako pierwsza. Nowy boks przy torze wyścigowym w Ellerslie także jej nie przeraził, podobnie jak nieco inny przebieg toru. Od początku żarła wszystko, co jej podano, i spoglądała na świat spokojnie i niewzruszenie, nawet mimo przeróżnych badań Vincenta.

– No to pani ma słabe nerwy, Rosie – wyraził swoje przypuszczenie Vincent. – I to się udziela Diamond. Coś takiego się zdarza, na pewno. I pasuje do tego fakt, że jak ja przychodzę, to jest z nią lepiej. Kiedy na miejscu jest weterynarz, pani się uspokaja i Diamond też. Niech więc pani spróbuje się nie denerwować, bez względu na wszystko. Diamond pobiegnie jutro znakomicie, proszę mi wierzyć.

Rosie mimo wszystko nie wydawała się całkowicie zadowolona, ale przynajmniej pozwoliła mu odejść.

– I tak będę u niej spać! – oświadczyła.

Vincent skinął głową.

– Proszę tak zrobić, jeśli ja nie będę mógł spać w stajni. Teraz wsiądę do pociągu do Auckland i obejrzę sobie miasto. Też powinna pani to zrobić, przecież dotychczas nie podróżowała pani tak

daleko.

Rosie wzruszyła ramionami. Jako dziecko przyjechała z Walii do Londynu i potem z Londynu do Nowej Zelandii, później na zachodnie wybrzeże, skąd wróciła po to, aby znów ruszyć do Fiordlands. A podobało jej się właściwie tylko w końskich stajniach, gdzie było bezpiecznie, ciepło i spokojnie i gdzie wszystko przebiegało zgodnie ze ściśle określonym codziennym porządkiem. Z całą pewnością Rosie nie zamierzała teraz rezygnować z tego poczucia bezpieczeństwa po to, aby oglądać port czy jakieś nowoczesne budynki. Jako tako uspokojona urządziła się obok Diamond.

Vincentowi natomiast brakowało spokoju, aby móc naprawdę podziwiać port, budynki i parki Auckland. On także był tu po raz pierwszy, ale marzył o tym, aby oglądać miasto razem z Robertą. Wyspa Północna byłaby wspaniałym miejscem na podróż poślubną, ze swymi licznymi romantycznymi zakątkami i wielkimi pustymi plażami. Ale Roberta ciągle się wahała i Vincent widywał ją rzadko – nie przyjechała więcej do Christchurch, od kiedy owa Juliet wróciła do męża. To w każdym razie było jedyne wydarzenie, które zdaniem Vincenta wiązało się z ponowną rezerwą Roberty – choć było to dla niego niezrozumiałe. Coś tu nie grało, także listy Kevina, od kiedy ten kreolski wamp wrócił do Dunedin. Bo teraz listy przyjaciela były niewiele mówiące i przypominały spis wydarzeń towarzyskich, w których brał udział z Doortje. Czyli jeśli o nią chodziło, było zapewne lepiej, także z listów Roberty wynikało, że Doortje się coraz bardziej dostosowuje do tutejszego życia. I chyba odnosiła jakieś sukcesy – bo ku zdumieniu samego Kevina nawet kronika towarzyska „Otago Daily Timesa” kilkakrotnie wspomniała o pięknej żonie młodego lekarza. Kevin zapewne musiał być z siebie zadowolony – ale jeśli pisał coś o Doortje, to jedynie drwił z jej złych relacji z jego bratem Patrickiem i jego żoną.

Vincent zaczął rozmyślać i próbował coś z tego wywnioskować. Czy znów ożyła stara miłość i Kevin oszukiwał Doortje z Juliet? Vincent miał nadzieję, że tak nie było, dobrze pamiętał swoje nieudane małżeństwo. Rozwód nie był przyjemny, a Vincent nie widział też szans na szczęśliwy związek z kobietą taką jak Juliet. Jego eksmałżonka była do niej dość podobna – piękna, pełna życia, zawsze wesola... Ale i zbyt niestała, aby być dobrą żoną. Vincent wyciągnął z tego wnioski i wiele się nauczył. Marzył tylko o kobiecie takiej jak Roberta. Miłej, kochającej, cierplivej i absolutnie wiernej – nawet wobec swojej młodzieńczej miłości, od której nigdy nie doczekała się nawet pocałunku. Kevin nadal pociągał Robertę, tego Vincent był pewien. Ale czego ona się po tym spodziewała? Nawet gdyby Kevin rozstał się z Doortje – to Roberta musiałaby zmierzyć się z problemem Juliet. A było to zupełnie niemożliwe dla niewinnej, dobrze wychowanej młodej kobiety, bez względu na to, jak była piękna i dobrze znana w towarzystwie. Vincent był zdecydowany zmusić Robertę do podjęcia decyzji. Roberta miała wkrótce przyjechać do Christchurch na New Zealand Cup albo już nawet na gonitwy kwalifikacyjne. Zapewne przybędzie w towarzystwie Heather i Chloé albo swoich rodziców. Wówczas Vincent poznałby ich i poprosił o rękę Roberty.

Gdyby tylko odpowiedziała „tak”. Gdyby tylko chciała rozstać się ze swoim dziecięcym marzeniem...

Ale na razie Diamond czekała gonitwa w Auckland i ze znajomych Rosie zjawił się jedynie Bulldog. Silny przedsiębiorca transportowy był ogromnie rozczarowany, kiedy Rosie wzbraniała się przed wyjściem z nim gdzieś wieczorem.

– Nie sądzi pani, Miss Rosie, że Diamond też chciałaby pobyć sama przed gonitwą? – Bulldog żartobliwie próbował mimo wszystko przekonać Rosie. – Ona ma tu przecież całkiem miłe towarzystwo.

Rzeczywiście, Diamond całkiem dobrze znosiła towarzystwo swego towarzysza, brązowego wałacha ze stajni wyścigowej Barringtona. Oba konie stały obok siebie także w Addington, więc i teraz

żaden nie musiał przyzwyczajać się do innych towarzyszy w boksach.

– Na Triangle’a też muszę uważać – oświadczyła Rosie. – On wcześniej miał kolkę. A jego opiekun w ogóle się o niego nie troszczy. Nie chcę na niego skarżyć, ale zastanawiałam się już, czy mam to powiedzieć lordowi. Finney robi tylko to, co najkonieczniejsze.

Finney, mały chudy Irlandczyk o twarzy przypominającej szczura, został zatrudniony, kiedy Rosie, dygocząc ze zdenerwowania, prosiła lorda o zwolnienie jej z posady opiekunki koni. Od kiedy Diamond i Dream zaczęły odnosić sukcesy w kolejnych gonitwach, trzech następnych właścicieli koni zaniechało swych uprzedzeń wobec kobiety trenerki. Z pieniędzy otrzymywanych za tę pracę Rosie mogła dobrze żyć, a Buldog nawet zaproponował, aby wziąć w dzierżawę stajnie w Addington. Ale jak na razie Rosie była niezdecydowana, także lord raczej wahał się z radą. Wprawdzie nie wątpił w kompetencje i fachowość Rosie, ale obawiał się o jej zdolność przebiccia się wśród konkurencji.

– Tu mogę na panią uważać, Rosie. Nikt nie może zrobić krzywdy pani ani koniom, koniuszy jest godny zaufania i wszystkie zabezpieczenia są pewne – zwrócił uwagę. – Ale kiedy będzie pani całkiem sama...

Buldog wprawdzie nie pozostawiał cienia wątpliwości co do tego, że on sam chętnie przejąłby rolę opiekuna, ale związek między nimi musiałby być bardziej zażyły. A Rosie zachowywała wielką powściągliwość. Do tego zarówno lord Barrington, jak i Chloé uważali Buldoga za zbyt prostodusznego i naiwnego w obęjściu z takimi ludźmi jak Joseph Fence i inni trenerzy. Buldog śmiał się z tego tylko. Radził sobie z o wiele poważniejszymi przeciwnikami. I równie wytrwale, jak kiedyś walczył o przetrwanie w Londynie, potem opanował międzypokład statku z emigrantami, budował swoją firmę transportową, tak teraz ciągle starał się o Rosie Paisley.

– Ale pani musi coś zjeść, Rosie – przekonywał ją cierpliwie tego wieczoru przed gonitwą. – Niech pani poczeka, mam pomysł! Przyniosę teraz dla nas obojga frytki i rybę z najbliższego pubu i zrobimy sobie piknik tutaj, w stajni!

Uspokojona Rosie zgodziła się – rzeczywiście była głodna. A potem Buldog przyniósł jeszcze piwo. Rosie była w znakomitym humorze i bardzo rozbawiona, kiedy Finney, opiekun koni Barringtona, późnym wieczorem jeszcze raz zerknął na konie. Irlandczyk uśmiechnął się szyderczo do obojga, wróciwszy od koni, i nawet wygłosił uwagę na temat alkoholu w stajni.

– No, gdyby któryś z nas, chłopców stajennych, sobie na to pozwolił – mruknął. – Ale nasz wielki trener Ross może robić, co „on” chce...

Buldog chciał coś odpowiedzieć ostro, ale Rosie położyła palec na ustach.

– Nie, on ma rację. Przeszkadzamy koniom. Najlepiej niech pan już idzie... Buldog... – Uśmiechnęła się. – Wie pan, że ciągle jeszcze tak pana nazywam, kiedy o pana myślę? „Mr Tibbs” jakoś nie chce mi przejść przez usta.

– Powinna też pani mówić Tom – stwierdził Buldog. – Ale bardzo proszę, na Buldoga też reaguję. Tylko wtedy musi pani mówić do mnie „ty”. Może chyba tak być... Rosie?

Buldog wprowadził ją w rytuał picia bruderszaftu i kiedy nieśmiało przytaknęła, delikatnie pocałował ją w policzek. Rosie potem zawinęła się zadowolona w swój śpiwór.

– Teraz tutaj musi być naprawdę spokój – usprawiedliwiała się. – Jutro jest wielka gonitwa, Diamond potrzebuje snu.

Buldog uśmiechnął się w odpowiedzi i rozłożył swój koc na słomie – obok przejścia między boksami, bo w żadnym wypadku nie chciał być natrętny. Ale nie chciał też iść.

– Możemy spać, Rosie, ale samej cię tu nie zostawię – oświadczył kategorycznie, kiedy Rosie spojrzała na niego niespokojnie. – Te stajnie są ogromne, biega tu tylu chłopców, któryś mógłby ci coś zrobić.

I rzeczywiście tylko na chwilę w stajni zapanował spokój. Zaledwie godzinę później znów pojawił się Finney.

– No, najwyraźniej nie zapomina o swoich obowiązkach – wymamrotał Buldog, kiedy Finney po krótkiej inspekcji stajni wrócił od Triangle'a. – Wręcz przeciwnie, jeśli o mnie chodzi, to mógłby już przestać lazić co pięć minut do tej szkapy i ją rozpuszczać.

– Wcale tego nie robi – odpowiedziała Rosie. – Prawie na niego nie spojrział. W tych ciemnościach raczej nic nie można zobaczyć.

Była to prawda. Finney nawet nie zadał sobie trudu, aby zapalić gazową lampę. Prawdopodobnie niechętnie wypełniał jakieś zalecenia koniuszego albo weterynarza.

Rankiem zarówno Diamond, jak i Triangle czuły się dobrze i Buldog porwał Rosie na sute śniadanie w kawiarni koło toru. Potem spotkali w stajni Vincenta, a lord Barrington właśnie dokonywał inspekcji swoich koni. Rosie się uspokoiła. Rozruszała trochę Diamond, a za chwilę był już czas na gonitwę. Vincent przyglądał się jej z boku toru, a lord Barrington zasiadł w łoży właścicieli. Wyścigi kłusaków nie interesowały go tak jak galop, ale Auckland Trotting Cup nie omieszkął obejrzeć. Buldog dał się przekonać i poszedł z nim, aby wypić kieliszek szampana, podczas kiedy rozgrywano pierwszą gonitwę. Ale tuż przed gonitwą wrócił do Rosie, która już się przebrała. Buldog pomógł jej zaprzęgać Diamond.

Ku jego zaskoczeniu Rosie była jednym kłębkim nerwów.

– Ona znowu tak patrzy! – oświadczyła, wskazując Trotting Diamond, która zaskakująco nerwowo przebierała kopytami w zaprzęgu *sulky*. – Nie sądzisz, że ma dziwne oczy?

Buldog spojrział na klacz sceptycznie.

– Ona ma bardzo piękne oczy – odpowiedział. – Zupełnie tak jak jej woźnica. Ty też masz takie błyszczące oczy, Rosie, to jest zdenerwowanie!

– Ale ona trochę drży. – Rosie starannie przywiązała linki uprzęży do *sulky*.

– Jest zdenerwowana, Rosie! – uspokajał ją Buldog. – I to jej przejdzie, kiedy znajdzie się na torze. Mam zawołać doktora Taylora? Widziałem go przedtem, jest na trybunie A. Jeśli chcesz...

Rosie zagryzła wargi. Doktor Taylor powiedział jej wczoraj, że zwariowała. Jeśli ona teraz znów przyjdzie do niego z jakąś urojoną chorobą konia... Potrząsnęła głową.

– Nie, zostaw. Masz rację, to musi być zdenerwowanie. Wprowadzisz nas na tor?

Rosie wskoczyła na siedzenie, a Buldog szedł na start obok Diamond. Właściwie Rosie i Diamond nie potrzebowały pomocy, aby stanąć w grupie pozostałych koni i zająć miejsce. Ale tego dnia Diamond niechętnie potrząsała głową i przebierała nogami, zamiast czekać grzecznie na sygnał startu. W dodatku koń kaszłał. Buldog zauważył, że Rosie znów walczyła ze sobą ze zdenerwowania.

– Jeśli ona się przeziębila...

Budog potrząsnął głową.

– Konie się nie przeziębiają. Teraz pozwól jej biec te dwa tysiące siedemset metrów, a potem doktor Taylor może ją obejrzeć.

Było już za późno, aby wołać weterynarza. Zabrzmiał dzwonek i konie ruszyły. Buldog tym razem przyłączył się do Vincenta na trybunie. Było tam wprawdzie tłoczno i głośno, ale Buldog po prostu nie najlepiej się czuł w łożach właścicieli.

– A w dodatku całkiem zapomniałem, żeby na nią postawić – wymamrotał, kiedy Trotting Diamond natychmiast przesunęła się na środek pola. Rosie przeważnie pozwalała jej biec swobodnie przez pierwszych tysiąc metrów i dopiero potem przyśpieszała, aby na finiszu wyprzedzić wszystkich konkurentów. Ale tym razem jakoś przychodziło jej to trudniej niż zwykle. Diamond nie dawała się powstrzymać, przeciskała się do przodu i po raz pierwszy, od kiedy Vincent widział klacz w gonitwie,

groziło jej niebezpieczeństwo zagalopowania. Zakaszłała, zanim pokonała pierwszy kilometr, ale poza tym najwyraźniej było z nią wszystko w porządku. Nawet wydawała się wręcz tryskać energią, kiedy Rosie pozwoliła jej teraz iść szybciej. Trotting Diamond wysunęła się przed wszystkie konie wyścigowej stajni Fence'a, po czym wyprzedziła ogiera, którym powoził sam Joe. I w końcu był przed nią tylko elegancki kary Rebel Boy, koń z Auckland.

Na trybunach panował ogłuszający hałas, także Buldog ryczał z całych sił, dopingując Rosie i Diamond. Vincent, śmiejąc się, zatkał sobie uszy; nie wątpił w to, że Diamond przemknie obok Rebel Boya. Ale wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Wyglądało to tak, jak gdyby Diamond najpierw czymś się zirytowała, a potem wystraszyła *sulky* Rebel Boya, choć nie przestała kłusować. Rosie mogłaby nadrobić i uzyskać przewagę, którą w wyniku tego zyskał kary, ale najwyraźniej nie chciała tego zrobić. Zamiast tego trzymała konia za wózek Rebel Boya – nie przyspieszyła nawet wtedy, kiedy Joe Fence pogonił swojego ogiera i nawet wyprzedził ją o długość głowy. I ostatecznie trzy konie minęły niemal równocześnie linię mety: ogier pierwszy, a dwa pozostałe niemal łeb w łeb tuż za nim.

– Zwyciężył Rebel Boy, za nim Sundawner i Rose's Trotting Diamond...

Vincent i Buldog biegli już po schodach w dół, zaledwie spiker ogłosił imię zwycięskiego konia. Rosie stała obok swojej klaczy, głaskała Diamond i płakała.

– Co się stało, Rosie? Przecież ona szła wspaniale! Dlaczego jej pani na koniec nie wypuściła? – Vincent spojrzał na klacz, która oczywiście oddychała nieco ciężiej, ale w ogóle nie była spocona. – Ona mogłaby zwyciężyć bez trudu!

Rosie potrząsnęła głową. Obok niej Joe Fence właśnie odbierał szarfę za zajęcie drugiego miejsca i uśmiechał się z triumfem – i tylko kiedy weterynarz podszedł do Diamond, na jego twarzy pojawił się wyraz czujności.

– No, no, Rosie, przecież chyba nie będziesz się teraz martwić, nawet jeśli twojemu konikowi coś jest.

Rosie w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Uspokajała Diamond, która właśnie spłoszyła się na widok mężczyzny, który chciał zawiązać jej na szyi szarfę za zajęcie trzeciego miejsca.

– Ona nic nie widziała! – powiedziała do Vincenta przez łzy. – Przeraził ją ten pierwszy *sulky*! To było tak, jak gdyby ją coś oślepiło, ale tam nic nie było. A ja miałam takie uczucie... ja miałam uczucie, że ona się zatacza! I dlatego jechałam wolniej.

Buldog przewrócił oczami.

– Ale tego w ogóle nie było widać. Spójrz, ona nawet nie jest specjalnie zmęczona.

Skóra Diamond pod sierścią była sucha, ale gorąca. Klacz piła chciwie, kiedy przyniesiono jej wodę, ale większa część płynu wyciekała jej z pyska.

– Niech pan spojrzy, doktorze Taylor! – Rosie chciała zwrócić na to uwagę weterynarza, ale konie już formowały się do wyjścia na rundę honorową i Rosie z trudem mogła utrzymać klacz.

– Zaraz ją obejrzę, Rosie – uspokajał ją weterynarz.

– To rzeczywiście dziwnie wyglądało – zastanawiał się Buldog. – Jak gdyby się zakrztusiła.

Diamond przekłusowała właśnie rundę honorową i wydawała się teraz spokojniejsza. Rosie umyła ją i zaprowadziła do stajni, zanim Vincent mógł ją zbadać. Klacz piła już normalnie.

Weterynarz znów wzruszył ramionami, kiedy wyjął stetoskop.

– Jak zwykle, Rosie. Tym razem serce bije o wiele szybciej, ale to nic dziwnego po gonitwie. Ale poza tym... poza tym nic nie zauważyłem.

– A może być tak, że zjadła coś, co jej zaszkodziło? – spytał Buldog bezradnie.

Vincent i Rosie potrząsnęli głowami.

– Gdyby coś niedobrego zjadła, to dostałaby kolki – powiedzieli niemal jednocześnie.

Buldog jako przedsiębiorca transportowy też właściwie o tym wiedział. Zagryzł nerwowo wargi.

– To znaczy mam na myśli... może jakaś trucizna?

– Ale gdyby ktoś zatrzał konia, to on już by nie żył – stwierdził jakiś czas potem lord Barrington.

Poszukał Rosie w stajni, aby pogratulować jej zajęcia trzeciego miejsca – on w przeciwieństwie do Vincenta i Buldoga zauważył lekkie chwianie się klaczy w zaprzęgu zaraz potem, kiedy Diamond wystraszyła się wózka Rebel Boya. Widok z łoży właścicieli był o wiele lepszy.

– A może ten ktoś, kto chciał ją zatrąć, nie wiedział, ile ma jej tego dać? – zastanawiał się Buldog.

Lord Barrington potrząsnął głową.

– Ależ skąd, Mr Tibbs. To są typy kute na cztery nogi, oni się nie mylą.

– Może nie chciał jej od razu zabić? – wyraziła swoje przypuszczenie Rosie. – Tylko przeszkodzić w zwycięstwie...

– Tego nie da się tak łatwo wyliczyć – oświadczył lord kategorycznie. – W każdym razie nigdy coś takiego nie zdarzyło się w moich stajniach. A co mówi weterynarz?

Vincent znów wzruszył ramionami.

– Mogę tylko powtórzyć, że nic tu nie widzę. Jest normalne, że koń zachował się inaczej niż w domu. Był bardziej nerwowy, to wyjaśnia fakt, że się spłoszył, i bardziej ożywiony – ale to raczej przemawia przeciwko zatruciu. Bo wówczas koń byłby raczej osłabiony i zaszkodziłby wręcz konkurentowi, gdyby chciał szybciej biec do przodu.

– Ale nie w przypadku gdyby zagalopował – zauważyła Rosie.

Lord uniósł brwi i roześmiał się beztrąsko.

– Rosie, chodźmy już, chyba nie traktuje pani poważnie twierdzenia, że ktoś chciałby doprowadzić pani konia do tego, aby narozrabiał trochę na torze w nadziei na to, że pani zostanie zdyskwalifikowana. Zwłaszcza że miała pani wszystko pod kontrolą. Gdyby się pani nie przestraszyła tego, że Diamond się spłoszyła, to ona pokłusowałaby obok i zwyciężyła.

Rosie w odpowiedzi otworzyła drzwi boksu i przytuliła się do Diamond, która teraz sprawiała wrażenie zupełnie normalnej, zdrowej klaczy.

– Właśnie, teraz mu się rzeczywiście nie udało – wyszeptała. – Następnym razem on jej da tego więcej, cokolwiek to jest. Musimy uważać, Buldog. Tylko jak ją upilnujemy?

ROZDZIAŁ 4

Rodzinne spotkanie Drurych tym razem rzeczywiście prześladował jakiś pech. Tego zdania była przynajmniej Lizzie, kiedy ona i Michael siedzieli przy stole w hotelowej restauracji pół godziny po umówionym terminie tylko z wyraźnie zdenerwowanym i niespokojnym Patrickiem, który co chwila spoglądał na zegarek i przeproszał za nieobecność Juliet. Akurat ona była ostatnią osobą, której brak odczuwałyby Lizzie. Oboje Drury nie mieli za dużo do powiedzenia ani jej, ani Patrickowi, a i tak na Elizabeth Station stale dochodziło między nimi do konfliktów. Stosunek Lizzie do Juliet po jej powrocie wcale się nie poprawił. A próby pośrednictwa podejmowane przez Patricka przyczyniały się tylko do wzrostu napięcia. On sam z łatwością odnalazł się w codziennym życiu farmy, ale był rozdarty między swoimi zadaniami, które były związane z hodowlą owiec i pracą doradcy, a ciągłym pragnieniem Juliet zwracania na siebie uwagi. Ogarniał go niepokój, kiedy nie mógł uporać się z jakąś pracą przed kolacją, bo się martwił, że przy stole znów dojdzie do sprzeczki między Juliet a Lizzie, w efekcie czego Juliet wyładuje na nim swoją wściekłość. Próby Patricka, aby znaleźć jakiegokolwiek zajęcie dla swojej pięknej żony, były zarówno wzruszające, jak i bezsensowne. Juliet nie chciała zakładać różanego ogrodu ani hodować pokojowych piesków, a przecież takie hobby było jak najbardziej właściwe dla lady. Mogłaby nauczyć się jeździć konno, ale to też jej nie pociągało. Elegancki koń, którego Patrick nabył dla niej w Christchurch, także był przyczyną kłótni w rodzinie: Lizzie irytowała się z powodu niesłychanie wysokiej ceny zwierzęcia, a Michael, który chętnie by go rozjeździł, złościł się z powodu damskiego siodła. A ono było niemal równie drogie jak koń i uniemożliwiała jazdę komukolwiek innemu. W końcu Juliet poprosiła, aby kłacz stała w Dunedin, skąd jak twierdziła, będzie jeździć na przejażdżki. Patrick wykorzystał okazję, aby zabrać zwierzę sprzed oczu rodziców, i znalazł bardzo drogą stajnię z pensjonatem dla koni. A Juliet tak naprawdę wykorzystywała tego konia do spotkań z Kevinem. Oczywiście nikt o tym nie wiedział, nie stanowiło to też żadnego obciążenia dla pełnokrwistej kłaczy. Pianino – kolejny przedmiot stanowiący przyczynę sporu w rodzinie – zostało w końcu przewiezione do Otago. Patrick był zdania, że Juliet mogłaby wykorzystać na ćwiczenia dawny dom poszukiwaczy złota. Ale Juliet uważała, że to zbyt daleka droga, a poza tym bez publiczności nie sprawiało jej to żadnej przyjemności. Niewinna zachęta Haikiny, aby udzielała lekcji gry kilkorgu maoryskich dzieci – im akurat droga nie sprawiała żadnych kłopotów – była powodem prawdziwego ataku szału. Juliet, i Patrick na dłuższą metę nie mógł temu zaprzeczyć, żyła tylko weekendami w Dunedin. To z kolei rzeczywiście była dość daleka podróż i dodatkowe obciążenie finansowe: kiedy oboje Drury przyjeżdżali do Dunedin, spali zawsze w hotelu.

– Ona na pewno zaraz przyjdzie – oświadczył Patrick po raz kolejny.

Michael zamówił wino. Lizzie będzie choć trochę odprężona, kiedy się go napije – miał co prawda nadzieję, że nie za bardzo. A Lizzie zaprosiła do rodzinnego stołu Nandé – czarna dziewczyna weszła właśnie, aby przynieść mleko dla May z hotelowej kuchni. Oczy zarówno Patricka, jak i Lizzie rozbłyły na ich widok. Ale Nandé odmówiła.

– Miss Juliet będzie się złościć – tłumaczyła się zgnębiona. – I Miss Doortje także...

Lizzie potrząsnęła głową i nałała młodej kobiecie kieliszek wina.

– Ani jednej, ani drugiej na razie nie widać – powiedziała energicznie. – Chodź, Nandé, usiądź i opowiedz, co dzisiaj robiłaś z May. Mam chyba rację, zakładając, że Juliet nie troszczyła się o dziecko?

Nandé zagryzła wargi, jak zwykle w czasie konfliktów, bo z jednej strony nie chciała mówić nic złego na temat swojej pani, a z drugiej – była prawdomówna. Ale brak macierzyńskiej troski u Juliet był właściwie niewinnym tematem. Gorzej, że Nandé doskonale wiedziała o randkach Kevina z Juliet.

A przynajmniej mogła śmiało zakładać, że ci oboje spotykają się w konkretnym celu, bo dlaczego Juliet potrzebowała tyle czasu na przygotowania do spotkania ze szwagrem? I dlaczego zaraz potem musiała być przygotowana dla niej kąpiel? Nandé mogła mieć tylko nadzieję, że nikt nigdy nie zapyta jej o ten związek.

Ale teraz odpowiedziała najpierw na pytanie Lizzie.

– Och, May widziała dzisiaj mnóstwo statków! Mr Patrick pojechał z nami do portu. I Mr Patrick kupił dla nas frytki i rybę! W papierowych torebkach! I wolno nam było jeść palcami. Jak w domu, u... u mojego szczepu.

Nandé uśmiechnęła się tak promiennie, jak gdyby Patrick zaprosił ją do restauracji czterogwiazdkowego hotelu. A Patrick z dumą odpowiedział na jej uśmiech. Z pewnością jego właśnie zasługą było to, że angielski Nandé był niemal perfekcyjny. Dziewczyna wprost połknęła wszystkie znajdujące się w domu Drurych książki młodzieżowe i powieści, potem Biblię, a ostatnio nawet książki z zakresu winiarstwa. Nandé najwyraźniej była tym zafascynowana tak jak Lizzie i lubiła jej pomagać przy uprawie winorośli, kiedy Juliet jej na to zezwalała. A teraz, wobec zadowolonych spojrzeń Patricka i Lizzie, z całą powagą i zainteresowaniem spróbowała lekkiego białego wina, które Michael zamówił jako aperitif. On sam ciągle wolał whisky i piwo.

– Nandé!

Czarna dziewczyna drgnęła przestraszona, słysząc głos Juliet. Kreolka stała w wejściu do jadalni, a jej zaczerwieniona twarz zdradzała pośpiech. A może było to podniecenie? Nandé się poderwała.

– Muszę pomóc Miss Juliet się odświeżyć – powiedziała szybko.

Juliet skinęła głową w stronę Drurych i machnęła niecierpliwie ręką, co oznaczało, że Nandé ma przyjść natychmiast. Lizzie się zastanawiała, dlaczego Juliet po prostu do nich nie podeszła. Nikt nie zwróciłby uwagi na jej popołudniową suknię, w końcu nie była to uroczysta kolacja. A w dodatku popołudniowe suknie Juliet były o wiele bardziej odważne niż większość sukni wieczorowych noszonych przez mieszkanki Dunedin.

– Co ona tak długo robi? – zastanawiała się Lizzie, pijąc drugi kieliszek wina. – I gdzie są wszyscy? Może pociąg Matariki się spóźnił.

To oczywiście się zdarzało, podróż z Parihaka była długa i mogła się przeciągnąć. Drury'om nie pozostawało więc nic innego, jak kontynuować nieco wymuszoną konwersację z Patrickiem. Za to Juliet uśmiechała się promiennie i pachniała uwodzicielsko perfumami, kiedy do nich dołączyła. Lizzie zupełnie tego nie rozumiała.

Ale tak czy owak – Juliet przez następne piętnaście minut zabawiała wszystkich nieszkodliwymi plotkami na temat ludzi, których rzekomo spotkała w mieście, opowiadała o ostatnich koncertach i wieczorach towarzyskich i mówiła o najnowszej modzie – obrzucając pogardliwymi spojrzeniami reformowaną suknię Lizzie.

I wtedy wreszcie zjawili się Kevin, Doortje i goście z Parihaka. Matariki długo trzymała rodziców w ramionach.

– Maorysi tego co prawda nie robią – wyjaśniła przyglądającej się ze zdumionym zainteresowaniem Doortje. – My tylko wymieniamy *hongī*. I nie należy tego rozumieć wyłącznie jako pocieranie nosami!

I ku zaskoczeniu Lizzie, Michaela oraz Kevina Matariki zademonstrowała Doortje krótko, jak najpierw przykładają się nawzajem do siebie czoła i potem łagodnie przyciskało nosy.

– To jest nawiązanie do boga Tane, który tchnął w ludzi pierwszy oddech. Kiedy my w czasie ceremonii powitania wymieniamy *hongī*, to niejako przyjmujemy gości do naszej rodziny.

Juliet się roześmiała.

– Czysto archaiczny obyczaj – stwierdziła. – Mógłby właściwie pochodzić z pani zacofanego kraju, prawda, Doortje? Choć co prawda nie jest on pozbawiony swojego uroku... Można się bardzo do siebie zbliżyć. – Uśmiechnęła się do Michaela.

Matariki zmarszczyła czoło. Słyszała już sporo o Juliet, w końcu wymieniała listy z kilkoma kobietami z Dunedin, a historię Kreolki знаła w ogólnych zarysach. Podobno coś było między Juliet a Kevinem, ale ta potem niespodziewanie wyszła za Patricka. Atamarie, Kathleen i Violet były tym ogromnie zaskoczone, Lizzie milczała o szczegółach, ale za to nie szczędziła im doniesień o ciągłych konfliktach z Juliet w domu. I to zarówno wtedy, tuż po ślubie Patricka, jak i teraz, w ciągu ostatnich miesięcy po jej powrocie. I tylko na trzy miesiące przed narodzinami May Lizzie nie pisała prawie nic, co kobiety niepokoiło w najwyższym stopniu. Teraz ich podejrzenia się potwierdziły: mała May miała takie same rysy jak Kevin – a Juliet wpatrywała się bez przerwy w dawnego kochanka.

Matariki uśmiechnęła się sama do siebie. Najwyraźniej obaj jej bracia wychowywali dzieci innych mężczyzn. Ale wydawało się, że Juliet nie pogodziła się ze swoją sytuacją. Upokarzała Doortje i flirtowała z Kevinem, a w dodatku wprost promieniała urodą. Nic więc dziwnego, że Doortje zareagowała niemal panicznie, bo akurat jej i Matariki niemal zabrakło czasu na staranne przygotowania przed spotkaniem. Doortje w końcu poprosiła Kevina o pomoc przy sznurowaniu gorsetu i niemal się załamała, kiedy on opryskliwie odmówił i zniknął w łazience. To także zdziwiło Matariki. Zgodnie z jej doświadczeniami przynajmniej mężczyźni *pakeha* lubili pomagać przy tym swoim żonom. Musieli najpierw walczyć z urokiem zakazanego owocu, a sama czynność niosła obietnicę późniejszego obnażania ukrywanego teraz ciała żony. Matariki przypuszczała, że jej brat raczej lubi tego rodzaju zabawę. Ale oczywiście Kevin mimo to był wściekły, kiedy ona zamknęła przed nim drzwi. Pośpiesznie i nerwowo mówiąca coś Doortje w ogóle tego nie zauważyła, ale uwadze Matariki nie uszło jego łomotanie do drzwi. Choć co prawda on zjawił się w domu dawno po ustalonym terminie spotkania z rodzicami. Matariki się zastanawiała, gdzie jej brat spędził ostatnią godzinę...

– Och, *hong* ma całkiem praktyczne znaczenie – zwróciła się teraz do Juliet. – Bo my wymieniamy go także z wrogami i przy tym uczymy się ich postaci, zapamiętujemy jej kształt, zapach, poznajemy sposób myślenia wroga... Im bardziej się do kogoś zbliżymy, tym lepiej można z nim walczyć. Czy nie zechciałaby pani dopełnić tego zwyczaju także ze mną, Juliet? Chciałabym panią bliżej poznać. Pani jest przecież Juliet, prawda?

Matariki uśmiechnęła się sardonicznie. Patrick znów wydawał się nieprzyjemnie poruszony. Ale teraz wreszcie można było zamówić jedzenie i czymś się zająć... Patrick podał Nandé May, która dotychczas siedziała na jego kolanach i bawiła się sztućcami. Czarna dziewczyna stała jak cień za plecami Juliet, gotowa do wypełnienia każdego rozkazu swojej pani. I to właśnie, zdaniem Matariki, było nieco archaiczne.

Juliet skwitowała słowa Matariki kilkoma żartobliwymi uwagami i zapewniła ją, że ona także wprost paliła się do tego, aby poznać siostrę męża.

– Bo w końcu nie każdy ma tak egzotyczną krewną – powiedziała z uśmiechem i przeniosła spojrzenie na Lizzie. Matariki z zadowoleniem zauważyła, że jej matka się nie zaczerwieniła, słysząc te słowa. Za to Doortje splonęła rumieńcem. Najwyraźniej wstydziła się za swoje poprzednie rasistowskie uwagi. Ale Matariki ta kolacja zaczęła sprawiać wyraźną przyjemność. Dawno już nie brała udziału w słownych pojedynkach między kobietami, lecz wprawy i wiedzy nabytej w tej kwestii w ciągu kilku lat w Otago Girls' School nie można było zapomnieć.

– Tu się pani myli, Juliet – zauważyła przyjaźnie. – Egzotyczną krewną jest pani. Ja zaliczam się do tubylców. Ale proszę pozwolić mi poznać wreszcie moją bratanicę. – Uśmiechnęła się do Nandé

i popatrzyła na trzyletnią May, która od razu wyciągnęła do niej rączki. – Jeśli już nadal nie jest mi dane poznać bratanka.

Przy tych słowach Matariki skierowała na Doortje i Kevina teatralnie karcące spojrzenie – i zauważyła, że ten ostatni spojrział na Juliet gniewnie. To było już interesujące: Kevin czuł się w obowiązku skarcić Juliet, podczas kiedy Patrick jedynie sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– To prawda! – Lizzie wykorzystała szansę, aby zmienić temat. – Gdzie macie Abe, Doortje i Kevinie?

Doortje spojrzała na ogromny zegar stojący przy ścianie jadalni. Hotel Leviathan był umeblowany zgodnie z wiktoriańskim duchem epoki.

– Paika powinna go właśnie zanieść do nas do domu – odpowiedziała Doortje z wyraźnym poczuciem winy. – Przyszliśmy późno, właściwie już dawno powinniśmy tu być.

Kevin zagryzł wargi.

– O tym rzeczywiście w ogóle nie pomyśleliśmy. Doortje, jak mogłaś zapomnieć?

– Paika? – spytała Atamarie. – Nie mówcie, że macie maoryską niańkę!

Doortje potrząsnęła głową i potarła skronie. Uwaga Kevina najwyraźniej sprawiła jej przykrość.

– Paika to służąca państwa Dunloe. Czasami opiekuje się Abe, jeśli nam coś wypadnie. Dziś właściwie ma wolny dzień. – Doortje mówiła o tym tak, jak gdyby było to coś niestosownego. – I chciała iść na piknik na plażę. Kevin był zdania, że też mogłabym pójść.

Doortje sprawiała wrażenie niepewnej swych słów, kiedy Matariki uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

– Może pani być zupełnie pewna, że ona będzie na niego tak uważać, jak gdyby to było jej własne dziecko. To normalne w szczepach, każdy Maorys kocha dzieci.

„Co prawda maoryscy przyjaciele Paiki raczej nie będą czytali Abe Biblii” – pomyślała z rozbawieniem Matariki. Na razie chłopczyk był jeszcze mały, ale gdy będzie starszy, to przy tego rodzaju uroczystościach zaobserwuje też inne rodzaje miłości. Kevin właściwie powinien o tym wiedzieć, ale przecież nie musiał od razu zaznajamiać Doortje ze wszystkimi osobliwościami tutejszej kultury.

– A takie spóźnienie to też nic złego. Państwo Dunloe mieszkają w pobliżu. Kiedy Paika się dowie, gdzie jesteście, to przyniesie tu Abe.

Lizzie wyraźnie się ucieszyła, Doortje odetchnęła z ulgą, słysząc, że nikt nie widział nic złego w powierzaniu dziecka maoryskiej dziewczynie; tylko Kevin znów sprawiał wrażenie niespokojnego i pełnego napięcia. I to znowu zdziwiło Matariki. Dlaczego nie odpowiadało mu to, że Paika miała przynieść małego Abe do hotelu?

Tymczasem przyniesiono zamówione dania, które okazały się doskonałe. Lizzie z zadowoleniem zauważyła, że Doortje całkiem swobodnie zachowywała się przy stole, nie naruszała żadnych reguł, a nawet wypila dwa kieliszki wina! Kevin także uznał to za zdumiewające. Żałował, że zostawił przedtem Doortje i Matariki same. Bo najwyraźniej coś zaszło między obiema kobietami.

Także Juliet zauważyła, że Doortje tego wieczoru sprawiała wrażenie bardziej swobodnej niż zwykle. Jak gdyby coś uwolniło młodą kobietę od jakiegoś ciężaru. I choć bez wątplenia ciągle istniały jakieś napięcia między nią a Kevinem – to ta nowa Doortje mogłaby bez trudu przeciwstawić się Juliet, o ile ta nie będzie pilnie uważać.

Wreszcie podano koniak i kawę, a kelner zwrócił się do Doortje i Kevina:

– Mrs i Mr Drury, opiekunka państwa dziecka czeka w recepcji. Zechcieliby państwo odebrać syna?

Doortje natychmiast zerwała się od stołu. Podobnie jak Atamarie.

– Ja pójdę z tobą, dobrze? Ciekawa jestem, jak wygląda bratanek mojej mamy.

Tak naprawdę Atamarie nudziła się od wielu godzin. Choć właściwie lubiła przebywać ze swoimi dziadkami i wujostwem, ale Doortje i Juliet były tu obce. Nie toczyły się zwykłe wesołe rozmowy, konwersacja była sztywna i niezbyt swobodna. Atamarie najchętniej spędziłaby ten wieczór z Robertą. Ale z nią miała się spotkać następnego dnia na obiedzie i wreszcie wymienić prawdziwe nowiny.

Matariki ze zdumieniem zauważyła, że Kevin chciał zatrzymać Atamarie, ale Doortje nie miała nic przeciwko temu. Obie kobiety pobiegły do recepcji i za kilka minut zjawiły się z powrotem. Atamarie bawiła się z trzymanym na rękach dzieckiem i trudno było w tym momencie nie zauważyć, że było do niej podobne jak dwie krople wody!

Matariki popatrzyła skonsternowana na córkę i bratanka. Doortje opowiedziała jej o gwałcie i o zamordowaniu swego prześladowcy. Ale nie wymieniła jego nazwiska.

– Kevin? – Matariki starała się niczego po sobie nie pokazać. – Kevinie, możemy wyjść na chwilę? Chcę z tobą porozmawiać.

Juliet patrzyła zaskoczona, jak Kevin wyszedł ze swoją siostrą. Pomyślała, że wyglądał jak zbity pies.

A Matariki nie zastanawiała się długo, tylko poprosiła w recepcji o możliwość wykorzystania na kilka chwil jednego z pomieszczeń konferencyjnych.

– Mogę też wynająć pokój, jeśli nie będzie to możliwe – oświadczyła krótko. – Nawet jeśli państwo nie wynajmujecie na godziny.

Recepcjonista uśmiechnął się wyraźnie udręczony.

– Oczywiście, że nie, ale pani... Pani przecież chyba nie...?

Zniecierpliwiona Matariki przewróciła oczami.

– Niechże mi pan po prostu da klucz do pokoju Waimaramy Te Kanawi. To maoryska artystka, wie pan chyba. Ona z całą pewnością gdzieś wyszła, a jak wróci do hotelu, to będzie musiała chwilę zaczekać. To pewne ważne sprawy szczepowe, rozumie pan? – Zdecydowanym ruchem wzięła klucz i popchnęła przed sobą Keviną.

– A teraz mów prawdę, Kevinie Drury! I nie wypieraj się! Abe jest synem Colina Coltrane'a. Czy Doortje o tym wie?

Matariki znalazła napoczętą butelkę wina – Waimarama i jej przyjaciółki zapewne wznosiły toasty za szczęśliwe przybycie – nalala go do kieliszków, które stały obok, i wypila duży łyk.

Kevin wykręcał się od odpowiedzi.

– Doortje wie, że on nazywał się Coltrane, ale nie wie...

– Nie wie, że ten typ był także ojcem Atamarie? I synem Kathleen? A czy Kathleen wie przynajmniej o wszystkim?

Kevin patrzył na przyrodną siostrę z wściekłością.

– Chyba nie można nie dostrzec rodzinnego podobieństwa. Przynajmniej widzi je każdy, kto znał Atamarie – a także Colina – jako małe dzieci. Tylko mama na razie nic nie zauważyła.

Matariki znów przewróciła oczami.

– Ale to przecież tylko kwestia czasu! – zdenerwowała się. – Przy czym może Lizzie będzie sobie wmawiać różne rzeczy, bo co do wnuków, to nikt nie jest wobec nich krytyczny. Ale ludzie w Dunedin... Przecież to można poznać już teraz po kolorze włosów. Ten metaliczny połysk – takich włosów nie ma nikt oprócz Kathleen. A kiedy rysy twarzy staną się bardziej wyraźne... Ludzie zaczną mówić na ten temat bardzo szybko. Wiesz, na co narażasz Doortje?

– Ludzie będą myśleć, że to typowe w naszej rodzinie. Atamarie jest w końcu kuzynką Abe – bronił się Kevin.

Matariki z niechęcią i pogardą wypuściła powietrze z płuc.

– Może część ludzi będzie tak myśleć. Ale Doortje nie jest głupia. Pewnie jeszcze nie domyśliła się wszystkiego i nie wie, kto z kim jest spokrewniony. To jest w końcu skomplikowane. Ale za pięć czy sześć lat? Musisz z nią pomówić, Kevinie! Kiedy ona w końcu się dowie, że przyjaźni się z matką Colina, że jego siostra ją maluje i w dodatku jej szwagierka ma z nim dziecko... A kiedy miałaś zamiar poinformować Kathleen, Heather i Atamarie o śmierci syna, brata i ojca?

Matariki patrzyła przenikliwie na brata. Pod ostrzałem jej słów Kevin wprost się kulił.

– O nieba, Riki, one i tak nie słyszały o nim już od lat...

– I co z tego? Nie sądzisz, że przynajmniej Kathleen chciałaby coś o nim wiedzieć? Gdzie był, co się z nim stało, Kevinie, ona w końcu jest jego matką! Ma prawo go opłakać!

Kevin milczał i wpatrywał się nieruchomo w gładką powierzchnię stołu. Matariki z żalem spojrzała na pustą butelkę po winie, podeszła do umywalki w rogu pokoju i zaczęła myć kieliszki. A potem przeszła do ostatniego uderzenia.

– A co właściwie masz z tą Juliet, Kevinie? Ona patrzy na ciebie tak, jak myśliwy na swoją zdobycz, a Patrick z kolei wygląda jak zraniona sarna. Coś w tym jest. Sypiasz z nią?

Kevin w odpowiedzi ukrył twarz w dłoniach.

– A więc jeszcze to – westchnęła Matariki. – Musisz się zdecydować, Kevinie! Chcesz Juliet czy Doortje?

Kevin podniósł głowę.

– Nie chcę sprawić Doortje bólu – wyszeptał. – Nie wiem, jaka jej część należy do mnie. Ale nawet tego nie chcę stracić.

Juliet zauważyła, że wszyscy z zakłopotaniem dostrzegli nagłe zniknięcie Matariki i Kevina; Doortje sprawiała wrażenie nieszczęśliwej i urażonej, podczas kiedy Michael i Lizzie próbowali odwrócić uwagę wszystkich od nieprzyjemnej sytuacji, bawiąc się głośno z małym Abe. Patrick przeprosił, tłumacząc się, że musi położyć May do łóżka, i zniknął, nie kryjąc ulgi, wraz z Nandé.

Juliet powoli piła swój koniak. Osobliwa historia. Matariki, taka pogodna i pełna spokoju, nagle niemal traci panowanie nad sobą na widok bratanka, zamiast cieszyć się z wyraźnego podobieństwa między córką a małym Abe. Juliet się zastanawiała, czy może wmawia sobie związek między tymi dwiema sprawami. Doortje nie widziała niczego dziwnego w zachowaniu Kevina i Matariki, najwyraźniej była tylko onieśmielona, ale nie zaniepokojona. I chyba tylko się zastanawiała, co znów zrobiła źle w tym świecie pełnym pułapek, w którym się znalazła.

Juliet wypła łyk koniaku. W tej historii było coś dziwnego. Ale ona już dawno podejrzewała, że istnieje jakaś tajemnica związana z małżeństwem Kevina i Doortje. I dobrze będzie się dowiedzieć, co to za tajemnica.

ROZDZIAŁ 5

Jedyną osobą, którą zawiadomiono o zejściu, względnie o zniknięciu bez śladu Colina Coltrane'a, był Joe Fence, który cały czas utrzymywał z nim dość dobry kontakt. Jego adres znaleziono w rzeczach Colina, kiedy wojna w Afryce się zakończyła i ostatnie oddziały nowozelandzkie wysłano w podróż do domu. Nikt nie liczył na pojawienie się zaginionego Colina, pomieszczenia dla wojska musiały być wysprzątane i oddane, a wszystkie sprawy związane z pobytem oddziałów nowozelandzkich miały być ostatecznie zamknięte. Jeden z sierżantów przejrzał więc nieliczne rzeczy Colina Coltrane'a i znalazł kilka listów z Addington. Kiedy Eric Fence zginął w wypadku, Colin chciał zatrzymać bardzo młodego wówczas Joego jako chłopca stajennego, ale Violet poszukała mu miejsca do nauki u innego, bardzo cenionego i uczciwego trenera. Joe chciał je z początku wykorzystać po to, aby zdobyć i dostarczyć Colinowi poufne informacje na temat innych stajni, ale stajnia Coltrane'a wkrótce została zlikwidowana, on zaś sam najpierw zniknął, aby ująć zemście oszukanych bukmacherów. Później, w czasie kilku niespokojnych lat, zanim znów wstąpił do armii, Colin pojawiał się od czasu do czasu w Invercargill, oczywiście potajemnie, ale Joe robił w jego imieniu niektóre zakłady i w ten sposób pomógł mu przynajmniej częściowo wybrnąć z finansowych tarapatów. Kiedy Joe otrzymał list o zniknięciu Coltrane'a, szczerze go opłakiwał, bo Colin zawsze był dla niego kimś w rodzaju drugiego ojca.

Młody mężczyzna dorastał więc w cieniu toru wyścigów konnych, obserwował, jak się kupuje i sprzedaje konie, jak się je trenuje i przede wszystkim – jak robi się z nich zwycięzców kolejnych gonitw. Ani jego ojcu Ericowi Fence'owi, ani też Colinowi Coltrane'owi nie przeszkadzało, jeśli Joe siedział wraz z nimi, gdy świętowali zwycięstwa kolejnych koni, i dosłownie chłonał wszystkie słowa, jakie wtedy padały. A słyszał obelgi rzucane na jego matkę i Chloé Coltrane, która wówczas rozpaczliwie i za wszelką cenę próbowała przyglądać się prowadzeniu hodowli przez swojego męża. I podejrzane machinacje oraz nieczyste interesy nie mogły ująć jej uwadze, a często bardzo obiecujący plan nie dochodził do skutku w efekcie jej sprzeciwów. Coltrane i Fence przeklinali wówczas zgodnie wszystkie baby tego świata – Joe szybko się nauczył pogardzać kobietami i dziewczętami.

A potem Coltrane został oszukany przez swoją Chloé – która go też opuściła, Rosie zaś, którą wszyscy mieli za niespełna rozumu, spowodowała wypadek, w wyniku którego śmierć poniósł Eric Fence. To była dla Joego nauczka. Trzymał się więc z daleka od kobiet, a okazjonalne wizyty u prostytutek pozwalały mu całkowicie zaspokoić potrzebę damskiego towarzystwa. Te potrzeby nie były zbyt rozbuchane, Joe Fence preferował przyjemności innego rodzaju. Gry na przykład; Joe był na znakomitym pokerzystą i brylował przy blackjacku. Ale przede wszystkim Joe kochał zakłady w końskich gonitwach. Zakłady robione na chybił trafił – przy czym tu często przegrywał – oraz te na zmanipulowane w wyrafinowany sposób, często z góry ustalone zwycięstwa. Tu też nie zawsze wszystko szło dobrze, ale oczywiście znacznie rzadziej. Urok stanowiło w tym przypadku nie ekscytujące uczucie nadziei lub rozpaczliwej bezsilności, kiedy konie startowały, lecz aranżowanie wszystkiego z góry. Należało wiedzieć, kogo się wtajemnicza, kto kogo przekupił, który koń nadawał się do manipulacji i która gonitwa w ogóle wchodziła w rachubę przy takich interesach. To wszystko pozwalało Joemu doznawać upajającego uczucia władzy, czuć się panem sytuacji, człowiekiem wolnym, wyznaczającym bieg przyszłości. Uczniowie w jego stajni podziwiali go za to, wręcz go ubóstwiali – co nie było zresztą niczym dziwnym. Bo Joe mógł przyczynić się do ich kariery jako woźniców w gonitwach, dając im bardzo obiecujące konie, albo też ją zakończyć. Uczniowie wpatrywali się więc w jego usta, kiedy dawał wskazówki przed wyjściem na gonitwę, i wręcz oddawali

mu cześć, jeśli dzięki udanemu zakładowi mogli poprawić swoje nędzne wynagrodzenie. Do pewnego stopnia dotyczyło to także właściciele koni, dzięki którym dochody trenerów były w miarę regularne. U Joego ich czworonogi były w pewnych rękach, od czasu do czasu zwyciężał właściwie każdy – a jeśli nie, to Joe znajdował naiwnego kupca, który płacił mu dużo pieniędzy za mało utalentowanego konia.

I wszystko szło dobrze – do chwili kiedy Joe wcisnął temu Tomowi Tibbsowi, dopiero zaczynającemu zabawę z końmi, bardzo niepewną chabetę, z którą poprzedni właściciel miał same kłopoty. Spirit's Dream był bez wątpienia szybki, lecz jego skłonność do wchodzenia w galop sprawiała, że był bardzo niepewnym kandydatem do manipulacji. Ale Tom Tibbs oddał konia Rosie, by go trenowała, i nagle ogier zaczął elegancko kłusować, wyprzedzając najchętniej właśnie konie Fence'a! Tibbs zgarniał kolejne premie za wygraną, a poprzedni właściciel konia poszedł na skargę. I w końcu także on przeniósł się do Rosie – i Joe Fence nie był w stanie nic zrobić! Oczywiście dodatkową okolicznością był tu też fakt, że Rosie jest kobietą. Joe kilkakrotnie protestował z tego powodu w Jockey Club – ale także nie odnosił sukcesu. Lord Barrington trzymał swoją rękę nad trenerem o nazwisku „Ross Paisley” i okazało się, że nie było żadnego paragrafu w statucie związku, który jednoznacznie wykluczałby kobietę jako trenera. Jak na razie nikt po prostu nie wpadł na pomysł, aby jakaś baba zajęła się profesją dziedziczną z pokolenia na pokolenie wyłącznie przez mężczyzn, a fakt, że Rosie w dodatku odnosiła sukcesy, wydał się klubowi na tyle nieprzyjemny, że jego zarząd wołał, aby przynajmniej w papierach nadal uchodziła za mężczyznę. Oczywiście sprawa była znana wszystkim, ale nikt nie podejmował tego tematu.

Joe Fence nie miał więc innego wyjścia, jak toczyć mniej lub bardziej uczciwą walkę ze swoją ciotką i dawną przeciwniczką. A wiadomość o zaginięciu Coltrane'a jeszcze umocniła go w zamiarze, aby prowadzić ją z całą stanowczością. Nie mogło być przecież tak, żeby Rosie triumfowała. I tak było źle, że wówczas nie poniosła żadnej kary, kiedy posłała na śmierć jego ojca. Fence szykował się więc do zawodów na torze w Addington. New Zealand Trotting Cup miał dorównać znaczeniem zawodom w Auckland i jeśli Fence chciał zachować wiodącą pozycję trenera w Canterbury, musiał tu od razu zdobyć dobrą lokatę. Wydzierzawił nowe stajnie w bezpośredniej bliskości toru, bo dobre zaprezentowanie się od samego początku było wszystkim, o tym wiedział już od Colina Coltrane'a. A Fence posiadał bardzo istotną, choć niewielką część jego dziedzictwa, o której nie miał pojęcia nikt: kiedy jego stajnia została zlikwidowana, chłopak uratował kolorowy, kiczowaty szyld, który zawsze wisiał nad wejściem do stajni: COLTRANE'S TROTTING JEWELS – STUD AND TRAINING STABLES. Nie było łatwo przechowywać latami tę słusznych rozmiarów tablicę. Okres nauki Joego przetrwała ona w jego łóżku, ukryta pod materacem. Od kiedy Joe był już samodzielny, trzymał tablicę w szopie, ale teraz nadszedł czas, aby nadać jej nowy blask. Pewien malarz odświeżył jej kolor i zmienił treść: w miejsce „Coltrane” Joe kazał wstawić „Joe Fence”. Joe się rozpromienił, kiedy to dzieło sztuki znalazło się nad portalem jego stajni. Za to Rosie zbladła, kiedy je zobaczyła. Oczywiście rozpoznała szyld, Chloé Coltrane nienawidziła tego szyldu i zawsze się irytowała, bo jej zdaniem sprawiał on pyszałkowate i nuworyszowskie wrażenie. Jąkając się, opowiedziała Buldogowi historię szyldu, ale on przyjął to ze spokojem.

– Właściwie jest całkiem ładny – zauważył, czym zasłużył sobie na bardzo nieprzychylnie spojrzenie Rosie. – Bo przecież czerwony i złoty kolor robią duże wrażenie. Ale każę dla ciebie zrobić o wiele ładniejszy szyld, jeśli tylko będziesz chciała. Musisz jedynie wymyślić sobie dobrą nazwę.

Rosie nieśmiało potrząsnęła głową. Ostatnie, czego chciała, to ścierać na siebie i na swoje konie zbyt wielką uwagę. Zwłaszcza że od Auckland Cup była trochę zdezorientowana i niespokojna. Tajemnicza choroba Diamond nie dała więcej o sobie znać, co zdaniem Rosie przemawiało właśnie za tym, że ktoś usiłował ją otruć. Od chwili powrotu z Auckland elegancka klacz stała w stajni firmy

spedycyjnej Buldoga i tam szybko awansowała na ulubienicę jej dwu- i czworonożnego personelu. Opiekunowie traktowali ją jak księżniczkę, furmani głaskali ją nieporadnie przy każdej okazji i obiecywali na nią postawić, a wałachy stojące między potężnymi zimnokrwistymi końmi i silnymi cobami ciągnącymi wyładowane wozy Buldoga witały ją radosnym rżeniem i bulgotaniem, kiedy tylko przechodziła obok ich boksów. Wydawało się, że Diamond czuje się tu dobrze. Dla Rosie jej nowe miejsce oznaczało ciągłe krążenie między Christchurch a Addington Raceway. Dom Buldoga i stajnie jego firmy były oddalone o dwie mile od toru wyścigowego. Buldog chętnie by jej tego oszczędził i zaproponował Rosie wynajęcie stajni treningowej w Addington, gdzie znalazłyby się wszystkie konie, które ona trenowała. Ale Rosie ani nie mogła, ani też nie chciała się zdecydować. A w dodatku od chwili powrotu z Auckland najwyraźniej prześladował ją jakiś pech. Ogier Dream źle stąpnął w swoim boksie i naciągnął sobie ścięgno – w rezultacie męczył się, nie mogąc wygodnie stać. Jeden z koni, dotychczas bardzo pewny w klusie, w czasie ostatniej gonitwy zupełnie niespodziewanie zagalopował i został zdyskwalifikowany. Rosie nie potrafiła wyjaśnić przyczyny jego zachowania. Inny koń dostał z kolei kolki przed gonitwą i nie mógł startować. Nie były to najlepsze warunki do otwierania nowej stajni. Rosie przecież nie mogła wprowadzić tam koni niesprawnych czy takich, o których było wiadomo, że nie wygrają żadnej gonitwy. A cierpliwe starania Buldoga o Rosie też nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Krępy i silny spedytor od wielu tygodni nie mógł się doprosić, aby poszła gdzieś z nim choć raz. Rosie ciągle była nieśmiała, unikała restauracji i hoteli. A ponieważ uważała spacerować za nonsens i stratę czasu – w końcu w czasie pracy z końmi ruchu miała aż nadto – Buldogowi nie pozostawało nic innego, jak zalecać się do niej w stajni. Tam w każdym razie Rosie już się go nie obawiała, a od pamiętnej nocy w Auckland lękała się także samotności. Buldog starał się więc, aby wspólne pikniki koło Diamond stały się swego rodzaju rytuałem. Jego pracownicy uśmiechali się dobrotliwie, widząc, że wstawił tam stół i dostarczał menu z restauracji, aby podejmować Rosie we własnych stajniach.

– Ale kelnerem to już nie będę! – śmiał się stajenny, starszy, cierpliwy mężczyzna, który szybko potrafił docenić troskę Rosie o Diamond. – Najwyżej świadkiem na ślubie! Tylko uważajcie, żebyście nie musieli wstawić do stajni także łóżka!

Przyjął też z zadowoleniem kilka dolarów, dzięki którym Buldog kupił sobie odrobinę intymności. Stajenny miał mieszkanie tuż obok stajni i chwalił się tym, że nocami słyszy każde chrząknięcie swoich podopiecznych. I jakkolwiek Buldog był z tego zadowolony, to jednak nie lubił podsłuchiwanie w czasie swoich randek z Rosie.

Dwa dni przed pierwszymi gonitwami kwalifikacyjnymi do New Zealand Trotting Cup u Buldoga zjawiała się nie Rosie, lecz Violet Coltrane. A Buldog akurat przygotowywał się do kolejnego spotkania, które powoli stawały się niemal legendą. Poznał rzecz jasna Violet, choć ona oczywiście postarzała się w ciągu tylu lat. Ale mahoniowe włosy, delikatne rysy – Violet była prześliczną dziewczyną, a teraz także piękną kobietą, choć z Rosie miała niewiele wspólnego. Buldog zakładał, że Violet przypominała swą zmarłą jeszcze przed wyjazdem matkę, podczas kiedy Rosie była podobna do ojca i brata. I teraz powitał radośnie Violet, kiedy ona weszła do stajni.

– Violet! Nie zmieniłaś się ani odrobinę! – powiedział na jej widok. – Albo nie, powinienem teraz mówić pani, proszę wybaczyć, Mrs Coltrane. Ale Rosie tyle opowiada o pani, że jest mi pani bliska...

Violet uniosła brwi.

– Ach, proszę nie prawić mi pochlebstw, Mr Tibbs. Ale ja też się cieszę, że mogę pana zobaczyć – albo też mam nadzieję, że nasze spotkanie będzie naprawdę miłe. Powiodło się więc panu w nowym kraju... Niedługo był pan poszukiwaczem złota?

Buldog wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rozumiem, Mrs Coltrane, pani chce o mnie wszystko wiedzieć. A więc: najpierw byłem pół roku na złotonośnych polach, a potem zamieniłem parę dolarów na muła i od tego czasu inwestowałem każdego centa w moją firmę spedycyjną. A teraz mam, jak to się mówi, filie w Auckland, w Wellington, Blenheim, Queenstown i Christchurch. Jestem zamożnym człowiekiem, Mrs Coltrane, nie ma obawy, potrafię Rosie... O Boże, nie mogę wprost uwierzyć! Bo skoro po raz pierwszy się pani tu zjawiała, to znaczy, że Rosie dała do zrozumienia, że... O Boże, a ja już myślałem, że ona nie wie, o co mi chodzi...

Violet popatrzyła na niego surowo.

– Mr Tibbs, Rosie nie jest niespełna rozumu. Pół życia zajęło mi przekonywanie wszystkich naokoło, że tak jest i dostatecznie często było to nader trudne. Ale jeśli naprawdę jest pan nią zainteresowany...

Buldog podniósł ręce.

– Rosie jest mądra! – oświadczył tonem najgłębszego przekonania. – To najmądrzejsza kobieta, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. A przy tym ona sama ma więcej do czynienia z końmi niż z ludźmi. I jest taką cudowną trenerką i woźnicą! Ostatnio dla zabawy jechała w zaprzęgu z zimnokrwistym koniem – mówię pani, Mrs Coltrane, ja ją wyślę z czwórką koni do Otago!

Oczy Buldoga promieniały dumą.

Violet uśmiechnęła się pojednawczo.

– To może powinnam usiąść – powiedziała.

Buldog przyniósł jej krzesło do pięknie zastawionego stołu. Miał policzki czerwone z zakłopotania.

– Oczywiście mam dom, Mrs Coltrane, nie mieszkam tutaj. To tylko... tylko z powodu Rosie, bo ona tak niechętnie gdziekolwiek wychodzi. Ale ona lubi jeść, ta Rosie, Boże, przecież ona już jako dziecko stale była głodna. Już wtedy ją lubiłem, wie pani?

Violet skinęła głową

– Oczywiście, że wiem. I właśnie to powoduje, że jestem sceptyczna.

– Scept...?

Buldog zmarszczył czoło, a Violet zrozumiała, że on nigdy nie czytał leksykonu.

– To wydaje mi się osobliwe albo wręcz nieprzyzwoite – przetłumaczyła Violet. – Poza tym nie musimy się śpieszyć, Rosie jest na torze i pokazuje mojemu mężowi Diamond oraz wszystkie urządzenia w stajni.

Buldog skinął głową z pewną ulgą.

– Też już się o nią martwiłem – stwierdził. – Bo ona zwykle nigdy się nie spóźnia. Ona ma tutaj bardzo dokładnie ustalony porządek dnia!

Violet powstrzymała się od kolejnej uwagi. Wiedziała, że Rosie mogła funkcjonować właśnie dzięki regularnemu porządkowi dnia. Każda zmiana była powodem jej lęku.

– Rosie była wtedy małym dzieckiem. Nie mógł się pan zakochać w małym dziecku i potem w kobiecie, którą ono się stało po dwudziestu pięciu latach.

Buldog patrzył na nią z zakłopotaniem.

– Dlaczego nie? Ale przecież tej małej Rosie oczywiście nie lubiłem tak, jak teraz lubię dużą.

Buldog także usiadł przy stole.

– A w każdym razie nie w taki sposób, w jaki lubi się kobietę. Wie pani, wtedy, na statku, ona przypominała mi moją małą siostrę, która zmarła jeszcze w Londynie. Też była taka słodka i miała blond włosy... A teraz... Teraz nie pamiętam już Londynu. Pamiętam tylko jej uśmiech. Ona się tak słodko uśmiechała. I też była taka... niewinna. Trzeba było na nią uważać, tak myślę, tylko że wtedy byłem jeszcze za młody. I ona nagle znikła. Policjanci mówili, że jakiś typ ją zakłuł nożem... i wtedy byłem już całkiem sam. Ale teraz znów odnalazłem Rosie. Na Rosie mogę uważać, mogę jej pilnować.

I chciałybym to robić, Mrs Coltrane, jeśli ona mi na to pozwoli.

Violet ku swemu zaskoczeniu zobaczyła łzy w oczach tego silnego mężczyzny.

– Nigdy pan nie był żonaty? – spytała.

Buldog potrząsnął głową.

– Nie, za dużo jeździłem. Raz tu dziewczyna, raz tam. Wie pani, jak tu jest, za dużo kobiet nie ma, a już zwłaszcza dla takiego nędzarza z Londynu jak ja. Teraz już się wszystko zmieniło, mógłbym mieć ich więcej. Ale ja nie chcę takiej, która tak mądrze patrzy, wie pani? Która miała więcej mężczyzn niż ja koni w stajni. Albo takiej z tych lepszych, która studiowała czy coś. One są bardzo miłe. Ale ja... ja byłbym się ich bał.

Violet się roześmiała, słysząc to wyznanie.

– No, Rosie też łatwo wpada w lęk.

Buldog skinął głową.

– Wiem! Ale już nie musi. Będę z nią bardzo ostrożny, obiecuję!

Wyciągnął do Violet potężną prawicę i czekał ufnie, aż ona z wahaniem podała mu rękę. I wtedy rozpromienił się radośnie.

– Wie pani co, Mrs Coltrane, wyślę kogoś do restauracji, skąd przynoszą nam jedzenie. Żeby przynieśli więcej, dla pani i pani męża. I kiedy on przyjedzie z Rosie, to zjemy razem tutaj, jak w którymś pani pięknym hotelu czy restauracji. Rosie by się to spodobało!

Violet się uśmiechnęła.

– Będziemy się czuli zaszczytzeni, Mr Tibbs!

Tom Tibbs wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

– Proszę do mnie mówić „Buldog”. Rosie też tak mówi. Ach, niech pani patrzy, jedzie Rosie i Diamond. I pani małżonek...

– Proszę mówić do mnie Violet. A to jest Sean – przedstawiła Violet, kiedy Sean, trochę zielony na twarzy, zsiadł z *sulky*, na którym siedział za Rosie kurczowo uczepony stelażu.

Rosie wprost promieniała.

– Ona pobiła dziś nowy rekord! – cieszyła się. – I to mimo podwójnego obciążenia!

Rosie prawdopodobnie skierowała klacz w stronę Christchurch i w drodze tam zapewne wyprzedziła niejednego powóz.

– Ona była niesłychanie szybka – potwierdził Sean, nieco udręczony. – I... bierze zakręty dość ostro... Najwyraźniej mam tendencję do zawrotów głowy.

Buldog znów uśmiechnął się szeroko.

– Taaa, trzeba być prawdziwym chłopem, żeby jeździć w gonitwach! – oświadczył z zapałem. – Jak Rosie! Niech pan poczeka, Sean, mam tutaj piwo, po tym będzie panu lepiej. Rosie, przygotuj szybko Diamond na noc. Bo mamy tu dziś kolację. Zaprosiłem Seana i Violet na eleganckie jedzenie, jak w restauracji.

Rosie się zaczerwieniła, ale Violet dostrzegła radość na jej twarzy.

– Ale nie coś takiego, przy czym można pomylić widelce? – spytała nieufnie.

Buldog potrząsnął głową.

– Ależ skąd, Rosie! Znasz mnie przecież. Violet... Sean... Mam nadzieję, że lubicie frytki i rybę...

ROZDZIAŁ 6

Juliet potrzebowała zaledwie kilku dni, aby dowiedzieć się wszystkiego na temat rodzinnej historii Matariki i pochodzenia Atamarie. Rzec nie wymagała specjalnego zmysłu detektywistycznego, lecz po prostu wynikła niejako sama z siebie w czasie kolejnej wizyty w Lady's Goldmine. Juliet nie zamierzała odmawiać sobie przyjemności nabywania i uzupełniania swojej garderoby tutaj właśnie, chociaż Patrick ciągle jęczał na widok cen. Ale teraz Juliet naprawdę potrzebowała nowej sukni na najbliższy weekend w Christchurch, gdzie miały się odbyć wyścigi konne. I właściwie jeszcze jednej na związane z tym wydarzeniem wieczorne spotkania – i tak niedobrze, że musiała chodzić w swoich starych rzeczach na wszystkie koncerty i wystawy organizowane w ramach imprezy *Sztuka jest rodzaju żeńskiego*. Juliet znikła więc w przymierzalni z suknią marzeniem z ciemnoczerwonego szyfonu, podczas kiedy w sklepie Atamarie kręciła się przed lustrem. Juliet przemknęło przez głowę pytanie, skąd ta mała pół-Maoryska ma pieniądze na suknie – których najwyraźniej nie umiała też docenić.

– Suknia jest cudowna, ale ten gorset... Chyba nie będę mogła nic zjeść – skarżyła się właśnie.

Juliet zerknęła przez szparę w drzwiach przebieralni. Młoda kobieta w seledynowej sukni była wprost idealnym ucieleśnieniem linii S.

– Już tak nie narzekaj! – odparła Kathleen. – Od dziesiątków lat kobiety noszą gorsety i żadna nie umarła z głodu. A poza tym przy twojej talii właściwie nie musiałabym zaciągać go za bardzo. Można ci doprawdy pozazdrościć.

Claire Dunloe się roześmiała.

– Widzisz teraz, jak my się czułyśmy wobec innych kobiet, kiedy ty byłaś w jej wieku, Kathleen – zażartowała. – Atamarie jest podobna do ciebie kubek w kubek, niemal się przeraziłam na jej widok, kiedy wychodziła z kabiny. W szerokich sukniach i z rozpuszczonymi włosami to się tak nie rzuca w oczy. Ale w tej sukni... Pamiętam, jak wtedy piłyśmy herbatę w White Hart w Christchurch i wszyscy ludzie się na ciebie gapili.

– Przesadzasz – broniła się Kathleen.

Atamarie też zaprotestowała.

– Ja uważam, że jestem podobna do mojej mamy – stwierdziła.

Juliet Drury wyszła z kabiny i natychmiast zwróciła na siebie uwagę obu kobiet prowadzących sklep. Jedno spojrzenie w lustro przekonało ją o własnej przewadze nad młodziutką Atamarie. Ale Claire miała rację: nie dało się zaprzeczyć, że Atamarie i Kathleen były do siebie niesłychanie podobne.

– Chcesz tę suknię, Atami? – spytała krótko Kathleen, zwracając się do młodej kobiety, która najwyraźniej nie mogła się zdecydować. – No, nie możesz przecież chodzić na koncerty w zupełnie niemodnych sukniach. Masz przecież zobowiązania wobec Lady's Goldmine.

Atamarie zachichotała.

– Reklama? Ale mama nie będzie tego robić, już zapowiedziała.

– Dlaczego? Mogłaby nawet jako Maoryska, choć co prawda za bardzo rzucałoby się to w oczy. Chodź, zrobię ci szybko zaszewki i możesz od razu zabrać tę suknię. Przepraszam na chwilę, Juliet. Zaraz wrócę. Wygląda pani doprawdy zachwycająco.

Kathleen znikła z Atamarie na zapleczu, gdzie dokonywano poprawek odzieży. Juliet zwróciła się nieco kwaśno do Claire.

– Kto wyznacza te ladies, które za reklamę otrzymują od pań suknie? To jakiś... konkurs piękności, o którym nic nie wiem?

Claire Dunloe się roześmiała.

– To byłaby pani pierwsza, którą poprosiłybyśmy o reklamę, gdybyśmy jej rzeczywiście potrzebowały – odpowiedziała. – Ale jako osoba z lepszego towarzystwa lubi pani chyba płacić za zaszczyt noszenia naszych sukien, prawda?

– A ta mała? – Juliet ruchem głowy wskazała na drzwi, za którymi znikła Atamarie.

– To wnuczka Kathleen – odparła najspokojniej w świecie Claire. – Od niej oczywiście nie bierzemy pieniędzy.

– Wnuczka? – zdziwiła się Juliet. – Ale ja sądziłam, że małżonek Matariki jest Maorysem.

Claire Dunloe nie miała okazji przyjrzeć się dokładniej małemu Abrahamowi Drury'emu i niczego nie podejrzewając, opowiedziała Juliet historię Matariki i Chloé.

– Ciągle jeszcze czuję się winna, że nie uchroniłam mojej córki przed tym nieszczęśliwym związkiem. Ale kiedy ona straciła swego pierwszego męża i wydawała się tak szczęśliwa z Colinem... No ale wszystko w końcu obróciło się na dobre – wyjaśniała beztróska.

– A co się stało z synem Kathleen? – spytała pozornie mimochodem Juliet.

Claire wzruszyła ramionami.

– O nim nikt nic nie słyszał już od lat. Zgodnie z teorią mojego męża może wstąpił do jakiejś armii. W końcu jest żołnierzem. Może już nie żyje... Nie mam pojęcia.

Juliet poszła mierzyć kolejne suknie i wreszcie zdecydowała się na jedną wieczorową i dwie popołudniowe. Wyszła ze sklepu ogromnie zadowolona. Nie myliła się więc i miała solidne podstawy do przypuszczeń, gdzie przed dwoma laty mógł być Colin Coltrane. Ale oczywiście musiała najpierw porozmawiać z Kevinem i upewnić się... Juliet uśmiechnęła się sardonicznie. Będzie naprawdę interesujące skonfrontować z nim zastyszane wieści.

– Proszę, Juliet, nie masz pojęcia o tym, jak tam było... – Kevin w pierwszej chwili zareagował niemal paniką, potem wpadł we wściekłość i wreszcie przeszedł do próśb. Juliet bardzo to odpowiadało, bo do pewnego stopnia lubiła, kiedy każdy z jej kochanków padał przed nią na twarz. Gdyby Patrick z tym aż tak nie przesadzał... Ale teraz nie myślała o nim, lecz rozkoszowała się poczuciem zwycięstwa i tym, że jej niechętny i zawsze pełen wahań kochanek jest od niej całkowicie zależny.

– Czego nie rozumiem? – spytała, wodząc lubieżnie palcami po swojej szyi, dotykając obojczyków i wreszcie przesuwając dłoń w dół aż do piersi. W ten sposób łagodnie zmuszała Kevina, by się opanował, kiedy zaalarmowany jej rewelacjami wyprostował się gwałtownie w łóżku. Oboje rozkoszowali się właśnie sprzyjającą chwilą, które zdarzały się rzadko. Patrick był w ministerstwie rolnictwa na spotkaniu ze starymi przyjaciółmi i Juliet poprosiła Kevina, aby przyszedł do jej hotelu. A jemu bardzo się to nie podobało, bo nie chciał się kochać w łóżku swego brata. Ale z drugiej strony było tu o wiele wygodniej niż na leżance w jego gabinecie, a teraz, pod koniec jesieni, nie mogli wyjeżdżać konno i rozkoszować się miłością gdzieś na łące.

– Tak, nie rozumiem tego, że twoja mała burska kobietka sypiała z Colinem Coltrane'em.

Palce Juliet okrężnymi ruchami gładziły jego skórę.

– Choć co prawda wcale nie wydaje mi się to aż tak dziwne. Wprawdzie nie znam brata Heather, ale kiedy przyglądam się jego dzieciom... Musi być przystojny.

Kevin otworzył usta, ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed poprawieniem jej. Juliet i tak wiedziała już za dużo, nawet jeśli interpretowała wszystko całkowicie błędnie. Nie powinna dowiedzieć się jeszcze o śmierci Colina.

– I muszę przyznać, że pewnie ma dużo wdzięku, bo kobiety padają mu w ramiona jedna po drugiej. Twoja siostra, Chloé...

– Juliet, ty to źle rozumiesz!

Kevin znów spróbował usiąść, ale Juliet pieściła go coraz mocniej.

– Ja to dobrze rozumiem – zamruczała. – Jedyne, czego nie rozumiem, to dlaczego dałeś temu dziecku swoje nazwisko. A także dlaczego musiałeś wlec aż tutaj tę gąskę i udajesz, że jest między wami wielka miłość.

– W ogóle nic nie rozumiesz! – powtórzył Kevin i opanował się w jednej chwili, mimo natrętnych pieszczot Juliet. – I nie zamierzam też niczego ci tłumaczyć, bo ciebie to w ogóle nie obchodzi. Musimy pomówić o czymś zupełnie innym, Juliet. Nie o Doortje i o mnie, lecz o tobie i o mnie. To się musi skończyć, Juliet! Jesteś cudowną kobietą i ciągle mnie uwodzisz, ale tak dalej nie można. Pogódź się wreszcie z tym, że jesteś żoną Patricka, a Doortje moją.

Juliet się roześmiała.

– Ale nie jesteś z nią szczęśliwy. – I jej ręka powędrowała niżej. – Kevinie, przyglądam się temu od miesięcy: twoja Doortje jest i będzie burską gąską. Może była kiedyś fascynującą herod-babą i mierzyła ci z flinty prosto między oczy; z jakiegoś powodu musiałeś się przeciw niej zakochać. Ale tu ona jest tylko gąską, burskim dzieciakiem, ładnym, ale nudnym i mdłym. Przecież wiesz o tym sam.

– Ona jest moją żoną!

Kevin znów wił się pod zręcznymi palcami Juliet. A one docierały teraz w takie rejony, których reakcja utrudniała mu skutecznie wypowiedzenie słowa „nie”.

– Ale to przecież można zmienić – wyszeptała Juliet. – Chodź, Kevinie, oboje popełniliśmy błąd. Pozwól, abyśmy go naprawili. Ty wyślesz swoją Doortje z powrotem w dzicz, tam gdzie jej miejsce, a ja rozstanę się z Patrickiem. Oczywiście nie obędzie się bez małego skandalu, kiedy oznajmimy, że May jest twoją córką. Ale ten fakt właśnie dowodzi, jak bardzo jesteśmy sobie przeznaczeni. Patrick wskoczył na twoje miejsce, bo ciebie nie było. Bardzo szlachetnie z jego strony. Ale teraz... teraz natura domaga się swoich praw.

Pochyliła się nad nim i zaczęła wodzić ustami po jego ciele, pomagając w ten sposób naturze. Przynajmniej tego dnia nie będzie już mowy o zakończeniu ich związku. A jeśli chodziło o ewentualną nową orientację... Juliet miała wiele pomysłów na temat wykorzystania swej wiedzy związanej z Colinem Coltrane'em.

Matariki Parekura Turei posiadała wyjątkowy dar, dzięki któremu wszelkie uprzedzenia i upór jej otoczenia w jakimś sensie jej nie dotyczyły. Tak było, kiedy jeszcze była dzieckiem: kiedy Michael i Lizzie zamartwiali się, jak ich córka poradzi sobie z arogancją wszystkich „owczych baronówien” w Otago Girls' School, Matariki najspokojniej nie zwracała uwagi na żadne złośliwości i docinki koleżanek. Gdy jej biologiczny ojciec uprowadził ją na Wyspę Północną, fanatyzm ruchu Hauhau nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Podobnie zresztą jak wrogość wobec Maorysów mieszkańców miasteczka Hamilton, gdzie się w końcu znalazła. I kiedy była tam cały rok więziona przez pewną szkocką parę – fanatycznych zwolenników Church of Scotland – postanowiła nienawidzić przez całe życie wszystkich *pakeha*, co jednak bardzo szybko okazało się niezwykle trudne. Duchowi Parihaka uległa nie tyle z powodów duchowych, ile dlatego, że po prostu doskonale się czuła we wzorcowej wiosce i odpowiadał jej pragmatyczny pacyfizm założyciela wsi Te Whiti.

Ale Matariki wiedziała też, kiedy ta walka była przegrana. I wiedząc, że grozi jej więzienie, uciekła z Parihaka. Później pracowała dla różnych organizacji kobiecych i maoryskich, które walczyły o prawa wyborcze dla kobiet, i także tu sprawdził się jej temperament – pełen spokoju, opanowania i dystansu. Matariki opowiadała się za prawem wyborczym dla kobiet, ale odrzucała bigoterię fanatycznych zwolenniczek Temperance Union – lubiła napić się wina, przygotowując i wysyłając setki petycji do upartych, złośliwych czy wręcz po prostu głupich polityków. I nigdy nie traciła cierpliwości – za to była po prostu wytrwała w tym, co robiła. To pomogło jej także w pracy nauczycielki, kiedy wróciła do

Parihaka ze swym mężem Kupe. Z niesłabnącym zachwytem opowiadała maoryskim dzieciom zarówno o kulturze Parihaka, jak też jej własnego ludu. A przecież nigdy nie była słuchaczką seminarium nauczycielskiego jak Roberta, nikt nie uczył jej choćby podstaw dydaktyki ani sposobów dyscyplinowania uczniów. Matariki była nauczycielką z powołania.

Dzięki tym cechom przyrodniej siostry Kevina Doortje van Stout mogła mówić o szczęśliwym przypadku. Dla młodej burskiej kobiety czymś niesłychanym był fakt, że Matariki nie można było niczym zaszokować ani też zirytować. Ale jednocześnie było to coś w rodzaju uwolnienia. Dotychczas całe społeczeństwo Dunedin wydawało jej się pełne pułapek i podstępów, przy czym problemy czysto techniczne, jak kolejność sztuków, dawały się względnie łatwo pokonać dzięki książce Kathleen o dobrych manierach. Ale Doortje ciągle nie wiedziała, co wolno było mówić, a czego nie, aby nie ściągnąć na siebie niechęci rozmówcy. Tu nie pomagała obserwacja, zwłaszcza że postępowanie mieszkańców Dunedin często w znacznym stopniu odbiegało od prezentowanych przez nich poglądów.

– Nikt z nich nie chce zamienić choćby kilku słów z Nandé! – skarżyła się Doortje Matariki. – Wszyscy traktują ją jak Kafra, nie inaczej niż u nas w domu. Ale biada temu, kto nazwie ją głupią i niecywilizowaną... Wtedy wszyscy się oburzają!

Matariki się roześmiała.

– A przecież Nandé wcale nie jest aż tak głupia i niecywilizowana, prawda? Zgodnie z tym, co mówi Patrick, ona przeczytała już więcej książek niż prawdopodobnie połowa tak zwanych dam z towarzystwa. To, Doortje, nazywa się obłudą albo hipokryzją. Ktoś opowiada i stara się robić wrażenie, że jest szczerzy i otwarty na świat, ale myśli i działa zupełnie inaczej. Nie sądz tylko, że my, Maorysi, nie zaznaliśmy tego! Oficjalnie mamy te same prawa, możemy głosować i zasiadać w parlamencie. Ale właśnie teraz Kupe walczy z pewną ustawą, która ma odebrać nam prawo do sprzedawania własnej ziemi! Albo jeśli chodzi o nas, kobiety: politycy prześcigają się w chwaleeniu nas za uczuciowość, a z drugiej strony są przekonani, że my nie mamy rozumu!

– Ale przecież tak jest, że Bóg stworzył kobietę z żebra Adama. – Doortje nie radziła sobie z szybkimi zmianami tematów przez Matariki. – Podczas kiedy Adam i jego boski oddech...

Matariki wzruszyła ramionami.

– Maorysi twierdzą, że było akurat odwrotnie. Zwróć uwagę na starych ludzi, tych, którzy są jeszcze tatuowani. Kobietom nakłuwa się *moko* tylko wokół ust, aby pokazać, że bogowie właśnie w kobiety tchnęli kiedyś życie. Powinniśmy spytać Nandé, jak widzą to Zulusi.

– Ale... – Doortje chciała coś powiedzieć, ale urwała, przypomniawszy sobie poprzednie wykłady szwagierki, i spróbowała uśmiechnąć się nieśmiało. – Wiem, na nic nie ma dowodów...

Matariki się roześmiała i podeszła do regału z książkami Kevina.

– Tym razem jednak są, Doortje. Poczekaj, mam nadzieję, że Kevin ma *O powstawaniu gatunków*. Możliwe, że trzyma tę książkę w gabinecie, choć właściwie byłoby to zbyt ryzykowne.

– Ryzykowna książka? – spytała Doortje.

Matariki przejrzała rząd książek i zręcznie wyciągnęła z niego niezbyt gruby tomik.

– Wiedziałam, że to tu jest! No i popatrz: nawet mój mały brat jest hipokrytą. Jest wprawdzie przekonany, że Darwin ma słuszność, ale woli dobrze schować tę książkę. Tu wielebny jest zdecydowanie bardziej odważny. Bo w tej książce zawarta jest prawda, Doortje. A przynajmniej Mr Darwin przytacza na to bardzo, bardzo dużo przekonujących dowodów. Bóg nie stworzył człowieka z grudki gliny. Życie na ziemi rozwijało się powoli. Przeczytaj to. Ale nie tylko spis treści! Większość ludzi, których ta książka oburza, wcale jej nie czytała. Dobrze, ale teraz pójdziemy do Heather i obejrzymy razem jej wystawę. Naprawdę mam cię w tym celu zasznurować? Ja nienawidzę gorsetów!

Doortje nienawidziła ich także, ale nie chciała zwracać na siebie uwagi. Z pomocą Matariki wcisnęła się w gorset, nawet jeśli to było nieprzyjemne prawie się obnażyć przed szwagierką.

– W domu tego nigdy nie robiłyśmy – zwierzyła się jej. – To znaczy, żeby się rozbierać. Dzieci oczywiście tak, ale dorosłe kobiety nigdy... to jest nieprzyzwoite. Kafrowie oczywiście to robili. Jak małpy...

Matariki wyjaśniła jej wobec tego, że moryskie kobiety też nie miały pod tym względem żadnych zahamowań i że małpy się nie liczą, bo przecież nie mogą się rozebrać z sierści.

– Myślę, że w ciepłych krajach nie ma takiego *tapu*, tam i tak nie nosi się tyle odzieży, aby stałe zakrywać ciało.

– *Tapu?* – spytała Doortje.

Matariki przystąpiła do kolejnego wykładu.

Mimo że dla Doortje wykłady Matariki były niejednokrotnie nieco dziwne, to jednak pomagały jej zrozumieć świat, w którym się znalazła – a także umożliwiały jej zyskanie nowego spojrzenia na jej poprzednie życie. Doortje się to nie podobało, ale poniekąd nie miała na to wpływu: umysł po prostu płatał jej figle. Broniła się przed tym, czego nie rozumiała, ale Matariki nie dawała jej łatwych przepisów na to, co ma robić, lubić czy też co odrzucić, jak robiły to magazyny z modą, które prenumerowała, czy też książka o dobrych manierach pożyczona od Kathleen. Matariki wyjaśniała. I w czasie wernisażu głównej wystawy tłumaczyła bratowej znaczenie wielkich kolorowych obrazów, wystawianych przez artystki w galerii Heather, albo też demonstrowała jej, że w celu obejrzenia obrazów malowanych techniką puentylizmu należy po prostu cofnąć się i patrzeć na płótno z większej odległości, aby móc uchwycić treść obrazu. Ale Doortje martwiła się z kolei, że obrazy przedstawiające krajobraz po prostu nie odpowiadają jej wyobrażeniom o naturze.

– Doortje, mamy teraz fotografię. Tam masz tyle podobieństwa do przedstawianego fragmentu krajobrazu jak nigdzie indziej. Więc artysta nie potrzebuje już tak dokładnie oddawać tego na swoich obrazach. Tu chodzi o coś innego. Naturę można malować tak, jak się ją odbiera – niejako oczami duszy.

– Ale... ale przecież każdy widzi świat tak samo.

Matariki wskazała na Juliet, która właśnie flirtowała z Jimmym Dunloem i starała się przy tym usilnie zredukować zapasy szampana Heather i Chloé.

– Doortje, naprawdę sądzisz, że ta dama widzi świat tak samo jak Jimmy? – spytała z uśmiechem.

Doortje uczyła się tego każdego dnia, w którym razem z Matariki odwiedzała przeróżne punkty wystawiennicze i koncerty festiwalu sztuki. Czytała Darwina i oburzała się – ale jej bystry umysł nie potrafił tak jednoznacznie odrzucić całej teorii ewolucji: Doortje pochodziła ze wsi, z gospodarstwa, i znała się na hodowli bydła... Było coraz więcej tematów, o których mogłaby porozmawiać z Kevinem – a on nie czuł się już zażenowany, będąc z nią w towarzystwie i słuchając jej wypowiedzi. Wręcz przeciwnie: Doortje zaczynała mieć podobną opinię jak Matariki – jej poglądy były czasami zaskakujące, ale zawsze dobrze przemyślane. Jej angielski też nie był już taki sztywny, znakomicie opanowała też wszystkie zasady zachowania w towarzystwie. Dzięki temu mogła pozwolić sobie na swobodę – i wdzięk. Chętnie naśladowała spokojny, pewny siebie sposób bycia Matariki.

– Wolno ci i możesz być inna, Doortje – zachęcała ją Matariki. – I wolno ci też mówić to, co myślisz. Ale nie upieraj się wówczas, że to jest prawda absolutna!

Kevin mógł być już od dawna dumny ze swojej młodej żony – zwłaszcza że uroda Doortje zwracała na siebie uwagę wszystkich. I właściwie powinien być też zazdrosny, kiedy ona rozmawiała z innymi mężczyznami – wszyscy panowie bardzo zabiegali o jej towarzystwo przy stole. Ale Kevin najwyraźniej wcale nie zauważał tych zmian. Jego stosunek do Doortje był pełen rezerwy i napięcia – nocą nawet nie

próbował jej dotknąć, a za dnia starał się schodzić z drogi Matariki.

– On nie lubi ze mną rozmawiać – stwierdziła po kilku dniach Doortje zrezygnowanym głosem. – Może nie powinniśmy tak często przebywać razem.

Matariki gwałtownie potrząsnęła głową.

– On ci nie może niczego nakazywać – oświadczyła. – A ty możesz przebywać, z kim tylko zechcesz. I na pewno nie jest tak, jak myślisz...

Urwała nagle – zwłaszcza że Doortje popatrzyła na nią pytająco. Doortje potrafiła już czytać między wierszami i słyszeć to, co nie zostało powiedziane – musiała się domyślać, że Matariki wie, dlaczego Kevin zachowuje się tak dziwnie. Ale oczywiście Matariki nie mogła jej zdradzić, że Kevin po prostu dręczyły wyrzuty sumienia. Prawdopodobnie ciągle jeszcze nie zerwał z Juliet, a dodatkowo niepokoiła go tajemnica związana z Colinem. Matariki usłyszała od niego obietnicę, że jak najszybciej powie Doortje prawdę. Ale nie postawiła mu żadnego ultimatum. I teraz zaczynała tego żałować.

ROZDZIAŁ 7

– Wyszły naprawdę piękne – pochwaliła Atamarie Roberta, kiedy pomagała w aranżacji jej *manu* na wystawie sztuki maoryskiej. – A co się dzieje z tym mężczyzną, który pokazał ci, jak się coś takiego buduje?

Atamarie spojrzała zdumiona na przyjaciółkę.

– Nikt nie musiał mi tego pokazywać, jak coś takiego widzę, potrafię sama to zbudować. A jeśli chodzi o Rawiri... On zajął się nauką. Nie uwierzysz, ale siedzi, albo przynajmniej siedział, u stóp braci Wright.

Roberta się roześmiała.

– No, tam gdzie się trzyma stopy w samolocie, chyba nie ma dla niego miejsca – zażartowała. – Jesteś na niego zła, bo on... hm... no, pomógł w pewnym sensie konkurencji?

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Myślę, że i bez niego poradziliby sobie. A Richard tak czy tak nie dałby rady. Więc to wszystko jedno...

– A więc ten Maorys jest ci zupełnie obojętny – zauważyła Roberta. – A Richard już też.

– Właściwie...

Gdyby pytał o to ktoś inny, Atamarie odpowiedziałaby twierdząco, ale nie było sensu okłamywać Roberty.

– Myślę, że on... że on mógłby przynajmniej przysłać kartkę z podróży poślubnej, prawda?

– Myślisz, że ożenił się z tą Shirley?

Roberta układała starannie zaplecione *aho tukutuku*, sznurki do latawców. Dla Atamarie były one oczywiste, ale obserwatorowi nawet bez *manu* przypominały małe dzieła sztuki.

– Byłabym zdziwiona, gdyby się nie ożenił. Jak myślisz, mogę się potem odważyć zaśpiewać przy okazji wystawy? Kobiety uważają, że byłoby pięknie, gdyby w dodatku były śpiewane *karakia*. Po to, aby pokazać, że *manu aute* nie są tylko zwykłymi latawcami, lecz łączą ludzi z bogami. Ale nie wiem... to znaczy bogowie i ja nie jesteśmy sobie zbyt bliscy. – Atamarie udało się zgrabnie zmienić temat, a Roberta zachichotała.

– A nie przyjechały z wami pieśniarki? – spytała. – To one powinny zaśpiewać.

Atamarie potrząsnęła głową i skrzywiła się.

– Tak się nie robi. Waimarama mi to tłumaczyła. One mogą wprawdzie śpiewać, ale to *tohunga* w sztuce budowania latawców musi zacząć śpiewać i musi też być najważniejszym głosem. I właściwie należałoby w tym samym czasie wypuścić latawiec. Ale tu, w mieście...

– Może z dachu?

Atamarie się roześmiała.

– Mamy się tam wspiąć z całym towarzystwem? Już widzę Juliet w gorsecie, jak wspina się mozolnie po stopniach drabiny, którą trzymają Patrick i Kevin.

– Ale jesteś wredna! – Już na samą wzmiankę o Kevinie Roberta natychmiast spoważniała.

– Kevin trzymałby drabinę najwyżej Doortje... Choć Juliet rzeczywiście próbuje wszystkiego, aby go... – Roberta się zaczerwieniła.

– ...aby go uwieść, to masz na myśli? – dokończyła Atamarie. – Trudno tego nie dostrzec. Ale też nie wydaje mi się, że on jest niewzruszony i opiera się niczym skała. Raczej jest jak przybrzeżna trzcina.

– Jesteś doprawdy niemożliwa, Atamarie! I dlatego że w Parihaka... panują takie swobodne obyczaje... to nie możesz tego przenosić na Kevina.

Roberta się odwróciła. Atamarie potarła czoło.

– W Parihaka wcale nie panują aż tak swobodne obyczaje. Jeśli dwoje ludzi bierze ślub, to z reguły oni się tego trzymają i trwają w tym związku. A tymczasem Kevin... wybacź, Robbie, ale fakt, że twoje nadzieje co do Kevina ciągle są niespełnione, wcale nie musi znaczyć, że zostawi go także Juliet.

Roberta zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– To przecież nieprawda, że ja ciągle próbuję Kevina... Ja...

Atamarie odsunęła na bok jeden latawiec, aby móc zająć się następnym.

– Ty robisz sobie dokładnie takie same nadzieje jak Juliet – powiedziała z naciskiem. – Nie trudź się, Robbie, jak się ciebie zna choć odrobinę, to można wszystko wyczytać w twoich listach między wierszami. W tym momencie kiedy dowiedziałas się o kłopotach Kevina z Doortje, przestałaś pisać o weterynarzu. Zamiast niego tylko Kevin, Kevin, Kevin. Kevin robi to, Doortje próbuje tamto, a Juliet też coś... A w ogóle: co z twoim weterynarzem? Czy on może robić sobie jeszcze nadzieje, czy też będziesz ubóstwiać Kevina aż do jego srebrnego wesela? Z Doortje albo z Juliet, ale na pewno nie z tobą.

Roberta powoli osunęła się na krzesło. Wystawa sztuki maoryskiej miała się odbyć w sali zebrzań wielebnego Burtona i nie wszystkie stoły i krzesła były już wyniesione.

– Nie wiem – wymamrotała. – Vincent jest... jest bardzo... sympatyczny. Byłby cudownym mężem i ojcem. Ale jest także...

– Jest troszkę nudny? – prowokowała Atamarie. – Brakuje ci przygody? Ależ Robbie, Kevin też nie wieździe jakiegoś wielce ekscytującego życia. Czy to lekarz, czy weterynarz – żaden z nich nie pojedzie już do południowej Afryki ani nie zrobi czegoś równie zwariowanego. Jedyne, co było dawniej zajmujące u Kevina, to jego historie z kobietami. I... to nie jest zbyt... ciekawa przygoda, być oszukaną.

Atamarie przetarła ręką oczy, po czym usiadła obok przyjaciółki.

– Bardzo chciałabym wieździeć, czy on ożenił się z Shirley – powiedziała cicho. – Wówczas wieździłabym przynajmniej, co robić, gdzie jestem.

Roberta popatrzyła na nią ze smutnym uśmiechem.

– Wtedy spróbowałabyś jeszcze raz? – spytała. – I jeszcze raz, aż... no, powiedźmy do dwudziestej piątej rocznicy lotu braci Wright? Obie jesteźmy szalone, Atami.

Atamarie objęła przyjaciółkę. Roberta miała rację. Ona też nie mogła zapomnieć Richarda.

Otwarcu wystawy sztuki maoryskiej towarzyszył ogromny rozgłos, co było tym bardziej zaskakujące, że Caversham leżało naprawdę daleko od centrum miasta i były ciekawsze miejsca wystawowe niż sala zebrzań parafialnych. Ale Chloé i Heather myślały bardzo praktycznie.

– My musimy sprzedawać obrazy. Inaczej ta impreza nie będzie się liczyć. Wszystkie podnjęte pomieszczenia i mieszkania dla artystek kosztowały masę pieniędzy – tylko z pieniędzy za bilety wstępu na koncerty nie da się tego sfinansować. A sztuką maoryską na razie interesuje się zbyt mało ewentualnych kupców. Ludzie oglądają ją chętnie – i to jest bardzo pozytywne, i cieszy. Ale jednocześnie nikt jeszcze nie zakłada, że wartość tych obrazów i dzieł sztuki będzie rosła. Dlatego nikt w to nie inwestuje.

– Przecież można kupować te prace po prostu dlatego, że są piękne – wtrąciła Matariki.

W Parihaka sprzedawano dużo prac tkackich, obrazów i przede wszystkim rzeźb w jadeicie. Kupowali je goście zwiedzający wieś. Ale to oczywiście były raczej pamiątki, a nie sztuka. Ale jednak artystki i właścicielki galerii były zaskoczone ogromnym zainteresowaniem, jakim ta wystawa cieszyła się wśród społeczeństwa Dunedin. Tak więc publiczność, którą zwykle cieszyły wszelkiego rodzaju premiery, udała się teraz do Caversham. Cieszyły ją i fascynowały kolorowe obrazy maoryskich artystów oraz maleńkie figurki bogów – *hei-tiki* – które można było nosić jako amulety albo gdzieś

ustawić.

Manu Atamarie cieszyły się największym zainteresowaniem wśród mężczyzn.

– Czy one rzeczywiście latają? – spytał Jimmy Dunloe, dotykając ozdobionego piórami *birdmana*. – Latawce, które robiłem jako chłopak, były o wiele lżejsze i miały ogon.

Atamarie się uśmiechnęła.

– Latają, kiedy się śpiewa – odpowiedziała. – Ale o tym zaraz opowiem, kiedy artystki zajmujące się rzeźbieniem w jadeicie skończą mówić o swoich dziełach.

Jedna z nich mówiła właśnie o miejscach, gdzie znajdowano jadeit, o jego właściwościach i znaczeniu dla kultury maoryskiej.

– Dla nas jadeit jest cenniejszy niż złoto – mówiła swym łagodnym głosem Waimarama. – Ale nie kopujemy, aby go znaleźć. Po prostu szukamy i bierzemy to, co dają nam bogowie. I w pewnym sensie go zwracamy, nadając *pounamu* jakąś postać i kształt.

– I to rzeczywiście przynosi szczęście, jeśli nosi się takie *tiki* na szyi? – spytał przekornie Christian Folks.

Maoryska się uśmiechnęła.

– *Tiki* nie może pan nosić na szyi. To są wielkie figury, które stoją w naszych domach zebrzań. Ale *hei-tiki*... Dlaczego nie, jeśli pan w to wierzy? Pana przyszłość albo pana szczęście wynika z tego, co już było. Z tego, co miało dla pana wielkie znaczenie w przeszłości i co pan znaczył dla przeszłości, którą pan sam tworzył i kształtował. Pan – albo pańscy przodkowie. Albo bogowie. Wszystko jest obrazem... – spojrzała na obrazy wiszące ścianie – ...albo tkaniną. Nic prowadzi nas od pierwszych chwil życia aż do jego końca. To pan ją barwi... napina... przedzie... dopasowuje... albo wyciąga – z błogosławieństwem bogów. I na końcu być może powstanie z tego obraz pełen harmonii.

Goście słuchali z ciekawością – niektórzy byli zdziwieni, ale niektórzy się uśmiechali. Wielebny Burton mrugnął porozumiewawczo do Waimaramy. Niebezpieczny temat bałwochwalstwa został szczęśliwie ominięty.

A potem przyszła kolej na Atamarie. Dziewczyna z wielkim zaangażowaniem opowiedziała kilka maoryskich legend związanych z *manu* i nakreśliła ich spirytualne, ale także praktyczne znaczenie.

– Można było za ich pomocą przysyłać wiadomości nie tylko bogom, ale także szczepom zamieszkałym znacznie dalej. Taki latawiec widać było ze sporej odległości. I oczywiście namalowane na nim symbole czy też ozdoby, którymi go oklejano, odgrywały ważną rolę. Im większy był *manu*, tym bardziej był widoczny, a niektóre *manu*, które buduje nasz lud, są naprawdę ogromne.

Z uśmiechem opowiedziała o zdobyciu twierdzy Pa Maungaraki, do czego przyczynił się lotnik używający odpowiednio dużego latawca.

– I było to na długo przed lotem braci Wright! – dodała Atamarie, zbierając zasłużone brawa. – A teraz chciałabym zaśpiewać *karakia* – zakończyła. – Co prawda zbyt dobrze śpiewać nie umiem i nie jestem *tohunga*, potrafię tylko budować latawce, w sprawach bogów kompetentny jest kto inny.

– Może da pani tekst wielebnemu – zażartował Jimmy Dunloe, a Peter Burton w odpowiedzi pogroził mu palcem.

– Wolę spróbować sama.

Atamarie nie dała się zbić tropu. Jasnym, czystym głosem zaintonowała najprostszą modlitwę do bogów, ale po chwili zaskoczona nagle umilkła, kiedy dołączył do niej ciemny, donośny głos:

Taku manu, ke turua atu nei

He Karipiripi, ke kaeaea...

Leć coraz wyżej, wspaniały ptaku,

Zdobywaj chmury i fale,

Leć do gwiazd,
Rzucaj się w chmury
Jak wojownik w bitwę!

Atamarie wypatrywała wśród zebranych gości pieśniarza – i wreszcie dostrzegła łagodną, teraz całkowicie skoncentrowaną na śpiewie twarz Rawiri. Chłopak śpiewał, mając wzrok utkwiony gdzieś daleko, ale kiedy skończył, patrzył już tylko na Atamarie. Dziewczyna odchrząknęła po chwili ciszy i wskazała na młodego mężczyznę.

– Ja... oddaję teraz głos prawdziwemu *tohunga*. Oto Rawiri. Wszystkiego, co wiem na temat *manu*, nauczyłam się od niego.

Szybko zrobiła mu miejsce, aby nikt nie zauważył, jak bardzo ją poruszył jego widok. Jakże on się zmienił w Stanach! Nie tylko dlatego, że miał teraz znacznie krótsze włosy, ale sprawiał też wrażenie człowieka dorosłego, silnego i świadomego swej wartości. Oczywiście, miał przecież swój udział w sławie, jaka otaczała braci Wright... Atamarie przez chwilę poczuła ukłucie zazdrości. A Rawiri zaczął wyjaśniać gościom budowę latawców, ich formę oraz zasadę działania, a także nazwy, po czym dodał kilka informacji na temat ich wykorzystania.

– Czasami znaczenie spirytualne oraz wykorzystanie praktyczne znakomicie się uzupełniają – opowiadał. – Na przykład kiedy użyjemy latawców do wyboru miejsca, w którym zamierzamy się osiedlić. Za pomocą *manu* można było dokonać jego dokładnego pomiaru, ale też najpierw proszono bogów o błogosławieństwo nad tym miejscem. Ale to wystarczy, nie będę państwa zasypywał informacjami. *Manu* się niecierpliwią, słyszę za sobą ich szept...

Słuchacze się roześmiali, ale Rawiri sprawiał wrażenie poważnego.

– Ptaki chcą latać – powiedział łagodnie. – Atamarie, którego mamy wypuścić?

– Tego! – odpowiedział Jimmy Dunloe, ciągle jeszcze nieprzekonany, że te jego zdaniem przeładowane *birdmen* zdołają wznieść się w powietrze.

Atamarie potrząsnęła głową.

– Lepiej *manu whara*. Tu przecież prawie wcale nie ma wiatru, bo jesteśmy w środku miasta.

Parafia miała wprawdzie piękny, nieco zarośnięty, rozległy ogród, ale był on otoczony wysokim murem. Nie było to idealne miejsce na puszczenie latawców.

– I tak można to zrobić tylko z dachu – odparł Rawiri spokojnie. – A najlepiej z wieży. – Wskazał na wieżę kościelną.

Wielebny Burton chrząknął zaniepokojony. Ale to nie on, lecz Kathleen wniosła stanowczy sprzeciw. Prawdopodobnie obawiała się o swój ukochany dom i parafię Petera w Caversham.

– Ani mi się ważcie – powiedziała żartobliwym, choć stanowczym tonem. – Wiecie, co usłyszymy od biskupa, kiedy wy z kościelnej wieży nawiążecie kontakty z waszymi duchami?

– Raczej z przodkami – stwierdziła Atamarie. – Bo weźmiemy *manu whara*. A on ma formę kanu, która...

– Duchy czy przodkowie – to wszystko jedno. Ale ich w kościele nie ma i nie będzie! – powtórzyła Kathleen. – Peter, zabroń im!

Peter Burton się uśmiechnął.

– Ja uważam Boga za dość elastycznego, a modlitwa to modlitwa, wszystko jedno, czy poleci do Boga na sznurku latawca, czy wprost z naszych serc. Ale moja żona ma rację. Biskup mógłby popatrzeć na to inaczej. Akurat na słowo „przodkowie” reaguje on dość... gniewnie.

Kilku członków gminy się roześmiało, słysząc ten żart. Przebieg kariery zawodowej Petera był już nieraz zakłócany z powodu jego niekonwencjonalnych kazań. Wielebny nie robił tajemnicy z tego, że jest zwolennikiem teorii Darwina, i uważał, że da się to całkowicie pogodzić z jego urzędem.

A biskup tylko czekał na kolejne skargi co bardziej gorliwych parafian.

– To wejdziemy po prostu na dach – wyszeptał Rawiri do Atamarie. Oboje stwierdzili ze zdumieniem, że nagle przestano zwracać na nich uwagę i zaczęto dyskutować na temat poglądów Petera Burtona i jego biskupa.

– Chodź!

Rawiri i Atamarie wzięli *manu whare* i *birdmana*. Co prawda wiatr był zbyt słaby jak na potrzeby człowieka ptaka, ale Atamarie poczuła się urażona w swej dumie z powodu wątpliwości Jimmy'ego Dunloego. Teraz, zachwycona niespodzianką spotkania z Rawiri i podekscytowana czekającą ją przygodą, wchodziła po stopniach prowadzących na strych spichrza. Na szczęście na otwarciu wystawy sztuki maoryskiej włożyła luźną, tkaną w Parihaka szatę, a nie porywającą, ale niezbyt wygodną suknię z Lady's Goldmine.

– Mam nadzieję, że nie cierpisz na zawroty głowy? – upewnił się Rawiri, pomagając jej wyjść na dach.

Atamarie się oburzyła.

– Założę się, że latałam wyżej niż ty! – przechwalała się.

Rawiri się roześmiał.

– Mimo wszystko bądź jednak ostrożna, żebyś się nie poślizgnęła. Usiądź na kalenicy!

Za kilka minut Roberta, która obserwowała wspinaczkę Rawiri i Atamarie z ogrodu, poprosiła wszystkich gości na zewnątrz. Zdumieni, ale i zafascynowani mieszkańcy Dunedin słuchali śpiewu obojga, podczas kiedy oba latawce tańczyły na tle wieczornego nieba.

– Śpiewałeś braciom Wright *karakia*? – spytała Atamarie, kiedy skończyli.

Maorys potrząsnął głową.

– Nie. Oni nie wierzą w coś takiego. A w Kity Hawk było też za głośno... ten lot... to był show, Atamarie, a nie nabożeństwo.

Atamarie się zastanawiała, czy dla Richarda Pearse'a to też było nabożeństwo. Ale oczywiście to było źle dobrane słowo. Jednak... Ona pamiętała swój pierwszy lot na Tawhaki i to uczucie, kiedy tak ochrzciła samolot... To nie było tak, że Rawiri całkowicie nie miał racji. Także dla niej było to coś duchowego – zwłaszcza że przechytrzyła mieszkające w żywopłocie duchy. Chciała właśnie wygłosić jakąś żartobliwą uwagę na ten temat, ale dostrzegła, że Rawiri wpatrywał się w nią uważnie.

– Czy dla Richarda Pearse'a śpiewałaś *karakia*? – spytał.

Atamarie zmarszczyła czoło.

– Skąd wiesz...

– Skąd wiem, że latałaś? Widziałem to w twoich oczach. A poza tym mówiłaś o tym przedtem.

Atamarie westchnęła.

– Zapamiętujesz wszystko, co mówię? – zapytała wymijająco.

Nie bardzo wiedziała, czy ma ochotę opowiadać o Richardzie.

– Każde twoje słowo staje się pieśnią w moim sercu – powiedział Rawiri miękko, ale od razu przeszedł do tematu Richarda Pearse'a. – A to, że on latał... no, pisał przecież o tym do Wilbura i Orville'a...

– Co takiego?! – Atamarie mało nie spadła z dachu. Rawiri podał jej rękę, aby poczuła się bezpieczniej. – Richard pisał listy do braci Wright?

Rawiri skinął głową.

– Ależ tak. Choć oni nie traktowali go poważnie. Musiała to być bardzo dziwna korespondencja. Albo pisał niemal bez przerwy, albo milczał całymi miesiącami. Czasami pisał jak naukowiec, a czasami sprawiał wrażenie nienormalnego. Czas, w jakim poczta dostarczała te listy, też stanowił

dodatkowe utrudnienie. W każdym razie Wilbur i Orville uważali go za pomyłonego. Ale od lat byli w kontakcie. Ci ludzie znają się wszyscy.

– Nigdy mi o tym nie opowiadał – wymamrotała Atamarie. – On do nich... Czy on naprawdę im pisał, że latał?

Rawiri wzruszył ramionami.

– Nie pokazywali mi jego listów. Ale kiedyś chyba napisał, że coś mu nie wyszło i że nie polecał, że Bóg nie chce, aby ludzie latali... Chyba chodziło o jakiś żywopłot.

Atamarie westchnęła.

– Trzeba przyznać, że ten płot był pełen duchów. Ale pomijając to, jeśli on pisał braciom Wright o swoim samolocie i o tej próbie lotu, to oni musieli wyciągnąć prawidłowe wnioski. Musieli wiedzieć, że polecał albo właśnie miał zamiar to zrobić. A zaraz potem oni przeprowadzili swój lot... O nieba, Rawiri, jak on mógł być taki głupi!?

Atamarie policzyła błyskawicznie. Bracia Wright przeprowadzili swój pierwszy lot tuż po tym, kiedy Richard poddał się i zrezygnował. Uważali go za pomyłonego, ale wiedzieli, że polecał, więc nie chcieli ryzykować, że nie będą pierwsi.

– Ty dla niego śpiewałaś – skonstatował Rawiri. – Ale duchy cię nie wysłuchały...

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie można śpiewać tylko dla siebie samego – wymamrotała. – Czy ty... zaśpiewasz jeszcze raz ze mną?

Rawiri zaczął śpiewać pieśń do bogów, a Atamarie dołączyła po chwili. Maoryskie pieśniarki na dole w ogrodzie podchwyciły melodię, co w zapadającym zmroku sprawiało wrażenie eterycznego duetu między niebem a ziemią...

– Jakie to piękne – wyszeptała Doortje i nieśmiało dotknęła ręki Kevina.

Nie wiedziała, czy to w ogóle uchodziło, ale ostatnio tęskniła czasami za jego dotykiem. To także było coś, do czego przed kilkoma miesiącami nie przyznałaby się nawet przed sobą. Ale dlaczego nie miałyby pragnąć Kevina? Przecież był jej mężem. I teraz nie bronił się, lecz z tkliwością objął jej palce.

Ten gest nie uszedł uwagi Juliet. Nie odczuła na ten widok bólu, tylko bezsilną wściekłość.

ROZDZIAŁ 8

– Trzymali się za rączki – mówiła następnego dnia zatroskana Roberta do niezbyt tym wszystkim zainteresowanej Atamarie. – Wtedy kiedy wy tam na górze śpiewaliście. Doortje van Stout w ostatnich dniach zmienia się ogromnie. Twoja matka...

– Moja matka zaprosiła go na święto Matariki – odpowiedziała Atamarie z roztargnieniem. – Do naszego szczepu koło Elizabeth Station. Skoro już jesteśmy tutaj, to będziemy świętować z Ngai Tahu. A on się zgodził. I obiecał, że przedtem jeszcze będzie budował latawce z naszymi dziećmi. Może zrobimy to razem...

– Atamarie, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – spytała zirytowana Roberta. – Ja mówiłam o Kevinie i Doortje.

– To przecież bardzo piękne, że oni są wreszcie szczęśliwi – odpowiedziała tym razem przytomnie Atamarie. – A może wolałabyś, żeby on był z Juliet? Już ci powiedziałam, Robbie, i to chyba z tysiąc razy: to będzie jedna z nich dwóch. Ale nie ty.

– A u ciebie to będzie Rawiri? – spytała już nieco znużona Roberta.

Wolałaby podyskutować na temat nieoczekiwanej wymiany tkliwości między Doortje a Kevinem czy też o próbie powyższego zainicjowanej przez Doortje, jakkolwiek by na to patrzeć. Ale słusznie, Roberta wiedziała, że taka rozmowa byłaby po prostu głupia.

Atamarie wzruszyła ramionami.

– On jest sympatyczny – powiedziała. – Kiedy jestem z nim razem, jest... miło. I on mnie kocha. Ale kiedy go porównuję z Richardem... Czy ci mówiłam, że on pisał listy do Wilbura i Orville'a Wrightów?

Roberta jęknęła.

– Powiedz coś jeszcze o Kevinie i o mnie! I o Vincencie! My obie mamy ten sam problem, Atami, wiesz o tym?

W ciągu następnych dni stosunki Atamarie i Rawiri stawały się coraz bliższe. Młody mężczyzna zatrzymał się na jakiś czas w Dunedin – w końcu przecież przyjechał po to, aby starać się o Atamarie. Po powrocie z Ameryki do Wellington dowiedział się, że dziewczyna jest na Wyspie Południowej, i od razu wyruszył w drogę. A teraz chodził z nią na różne koncerty, wystawy i festiwale i okazał się naprawdę ciekawym partnerem do rozmowy. Atamarie, która dotychczas znała Rawiri tylko z pobytów w Parihaka, była mile zaskoczona. Ale Rawiri skończył przecież *high school* i miał za sobą podróż po wielu częściach Stanów Zjednoczonych. Wiedział znacznie więcej o świecie niż Atamarie i potrafił w interesujący sposób opowiadać o swoich podróżach. Mówił o wieżowcach Nowego Jorku, o Brooklyn Bridge, który uchodził za najdłuższy wiszący most świata, opisywał spektakularne budowy kolei żelaznej i automobile, które powoli stawały się najważniejszym elementem miejskiego obrazu Ameryki, opowiadał też o planowanych budowach olbrzymich parowców oceanicznych.

– No i właśnie lotnictwo – stwierdził – które teraz będzie się rozwijać błyskawicznie.

Uśmiechnął się i dodał:

– I to bez względu na to, czy będziemy śpiewać czy nie.

Atamarie opowiadała o swoich egzaminach, planach na przyszłość i ciągle wracała do ostatniego czasu spędzonego z Richardem Pearse'em. Nie chciała mówić Rawiri o wszystkich szczegółach tej historii, ale paliła się do tego, aby porównać jego samolot z samolotem braci Wright. Rawiri zrobił Atamarie tę przyjemność i opisał maszynę z najdrobniejszymi szczegółami.

– Profesora Dobbinsa też powinno to zainteresować – stwierdziła w końcu. – Kiedy będziesz jechał przez Christchurch, powinieneś się z nim spotkać i zaproponować, że wygłosisz studentom wykład na

ten temat.

Rawiri popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Uważasz, że ja byłbym w stanie to zrobić? – spytał. – Wykład, którego będą słuchać wszyscy ci tam studiujący i nie tylko? Dotychczas zawsze miałem wrażenie, że... no, zawsze byłem dla ciebie tylko głupim maoryskim chłopakiem, któremu się zdawało, że będzie latać, jeśli śpiewając, rzuci się w morze.

Atamarie się uśmiechnęła.

– To wcale nie gorzej, niż rzucać się, milcząc, na żywopłot – zauważyła. – A poza tym Richard też nie ukończył żadnej szkoły wyższej. A mimo to zbudował samolot, który latał lepiej niż ten skonstruowany przez braci Wright.

Twarz Rawiri spochmurniała.

– Dlaczego ciągle, kiedy rozmawiamy, musi być z nami Richard Pearse? – spytał cicho. – Mówiliśmy o braciach Wright. I o mnie. Ale ty ciągle wracasz do niego. Kochasz go jeszcze, Atamarie? Wiesz przecież, że ja... Nie chcę cię naciskać, Atamarie. Ale sądziłem, że może razem pojedziemy do Christchurch. Mówiłaś przecież, że profesor zaoferował ci posadę w instytucie. Myślałem, że ją przyjmiesz. A ja mógłbym studiować w Canterbury College – nauki inżynieryjne. Też chciałbym budować samoloty... skonstruować silnik, który byłby śpiewał. Myślałaś o tym, Atami? O tym, że one śpiewają... szepczą z duchami?

Atamarie się uśmiechnęła. Często słuchała hałasu silnika spalinowego. Także dla niej była to muzyka. Ale szept?

– Myślisz, że kiedyś silniki będą... szeptać? – spytała.

Rawiri wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Jestem w stanie sobie wyobrazić, że będą cichsze. Nie powinny przekrzykiwać wiatru... I nie mogą być tak głośne, że ludzie nie słyszą własnych myśli.

Atamarie zaczęła się zastanawiać.

– Gdyby można było obniżyć poziom ich wibracji... – W jej oczach pojawiło się zainteresowanie.

Rawiri potrząsnął głową.

– Zapomnij teraz o silnikach, Atamarie – powiedział. – Muszę wiedzieć, co jest jeszcze między tobą a Richardem Pearse'em. Czy znów odejdziesz, aby być z nim razem? I wrócisz, kiedy on już nie będzie cię chciał? Ja być może jestem alternatywą, Atamarie, ale jakiegoś wyboru będziesz musiała w końcu dokonać.

Atamarie oparła się ufnie o młodego Maorysa. Oboje poszli na plażę, aby puszczać latawce zbudowane przez Atamarie. Rawiri obstawał przy tym, by nie zamykać ich w muzeum, i Atamarie powoli dochodziła do wniosku, że miał rację. Pozostałe eksponaty w parafialnej sali zebrania wielebnego Burtona wydawały się tracić swój blask, kiedy zabrano je z *marae* i *wharehenui*, ze ścian domów, na których wisiały, oraz z szyi ludzi, dla których *hei-tiki* miały znaczenie. *Manu* wydawały się odzyskiwać życie. Pachniały morzem, kiedy były wypuszczane na plaży i kiedy wiatr zmierzwił pióra, którymi były ozdobione. I to wiatr sprawiał, iż wydawało się, że nabierały innego wyrazu. *Birdman*, człowiek ptak, wydawał się opowiadać o swoich przygodach w powietrzu, *jastrząb* spoglądał gniewnie, a *kanu* ukrywał tajemnice przodków. Teraz wszystkie *manu* leżały na piasku obok Atamarie i Rawiri – oboje pili piwo, rozmawiali i patrzyli w zamyśleniu na morze. Atamarie zawsze zachowywała dystans w stosunku do Rawiri, ale teraz coś ciągnęło ją do niego.

– Nie wiem, czy ja mam wybór, Rawiri – westchnęła. – Mogłabym cię pokochać, może już cię kocham. Ale czasami czuję się tak, jak gdyby między mną a Richardem było *aho tukutuku*, len. Len nie tak łatwo rozerwać.

– Roberta mówi, że on prawdopodobnie się ożenił – powiedział Rawiri i popatrzył pytająco na Atamarie. – Czy w efekcie tego... ta lniana taśma się nie zerwała?

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Ciągłe ją jeszcze czuję, Rawiri. Nic na to nie poradzę. To jest silniejsze ode mnie.

– Mówiąc innymi słowami: wystarczy tylko, że on pociągnie za linkę – stwierdził z goryczą Rawiri, szukając jej spojrzenia.

Atamarie odwróciła wzrok.

– Daj mi czas – powiedziała cicho. – Daj mi po prostu trochę czasu.

Roberta przyszła zdecydowanie za wcześnie. Pół godziny przed uzgodnionym terminem stała przed domem na Lower Stuart Street i czekała na Atamarie i Matariki – i oczywiście na Kevina i Doortje – zamierzając iść razem z nimi na koncert. Wmawiała sobie, że był to przypadek. I dziwny nastrój, w efekcie którego wolała iść na spacer przez centrum miasta zamiast jechać dorożką razem z Seanem i Violet. Jej rodzice mieszkali w domu na przedmieściu i Roberta musiała iść dobre pół godziny. Choć tego dnia powietrze było wyjątkowo świeże i rześkie, a Kevin z pewnością powinien być jeszcze w gabinecie w tym czasie, kiedy Matariki, Doortje i Atamarie będą się przebierać. Może drzwi będą otwarte – w czasie godzin przyjęć pacjentów zawsze były tylko przymknięte, a jeśli nikogo nie było w poczekalni, Kevin zostawiał otwarte drzwi także do gabinetu. Już choćby po to, aby zauważyć, że ktoś wchodził do poczekalni. Może Roberta będzie mogła tam zerknąć i może troszkę z nim porozmawiać. Ale oczywiście miał to być tylko przypadek. Roberta nigdy nie zaplanowałaby czegoś takiego...

Była jednak trochę rozczarowana, kiedy drzwi prowadzące na schody do mieszkania okazały się zamknięte. Czy on był już na górze? Ale w tej chwili usłyszała jakieś szmery dobiegające z wnętrza gabinetu. Niepokojące szmery. Jakiś ostry krzyk – ale możliwe, że to akurat sobie wmawiała... i stękanie. Temu nie dało się zaprzeczyć. Roberta się zastanawiała. Kevin miał chyba pacjenta, może był to jakiś nagły przypadek. Ale pielęgniarka, która pomagała obu lekarzom w czasie wizyt pacjentów, z pewnością poszła już do domu. Czy Kevin musiał sam radzić sobie z jakimś naprawdę ciężkim przypadkiem? Roberta też mogła pomóc, w szpitalu w południowej Afryce pomagała nieraz. Niepewnie poruszyła klamką drzwi do gabinetu. Nie były zamknięte, ale tego należało się spodziewać w razie ciężkiego przypadku. Jednak drzwi między poczekalnią a pokojem przyjęć były zamknięte. Roberta weszła do poczekalni i zatrzymała się niezdecydowana. Czy miała zapukać i wejść, aby zaoferować swoją pomoc? Tu stękanie słychać było o wiele wyraźniej – ale jakoś... jakoś nie robiło to wrażenia, że ktoś cierpiał, to brzmiało inaczej niż dźwięki wydawane przez rannego czy ciężko chorego.

Zaciekawiona Roberta przysunęła się bliżej do drzwi – wiedziała już, że ma rację. Do słyszanych dźwięków dołączył śmiech czy też chichot. Kobięcy śmiech. I męski głos. Głos Kevina.

– Nie, Juliet! Nie, nie, naprawdę... ty mała bestio... jesteś doprawdy diabolicą...

– Mylisz się, wiesz przecież, że jestem aniołem... Będę cię ujeżdżać, aż przyznasz mi rację.

Roberta zaczerwieniła się gwałtownie, kiedy zrozumiała, że jest świadkiem aktu płciowego. Ciężki przypadek – jak mogła być taka głupia?! Atamarie chyba umarłaby ze śmiechu, gdyby jej to opowiedziała. Ale czy mogła o czymś takim w ogóle opowiadać? Roberta, powodowana pierwszym odruchem, chciała odwrócić się i uciec. Ale jednak stała jak urzeczona, słuchając głosów zza drzwi.

– Juliet, naprawdę, nie chcę już.

– Kevin, nie mów za twojego małego, bo on akurat wcale nie chce ze mnie wyjść.

– Mój mały? Chcesz mnie obrazić?

W głosie Kevina słychać było udawane oburzenie. A Roberta niemal była gotowa nabrać się na jego

rzekomą niechęć.

Znów chichot.

– Och, wybacz mi, mówiłam oczywiście o twoim potężnym organie... Jesteś prawdziwym ogierem, kochany... Czy tak lepiej?

– Dużo lepiej. Ale naprawdę nie powinnaś... A ja muszę na górę, bo ten koncert...

– Czy mam dla ciebie zaśpiewać? – Juliet nie traktowała poważnie żadnego z jego zastrzeżeń. – Pozwól, aby moje ciało śpiewało dla ciebie... nasz duet jest lepszy niż wszystko, co usłyszysz na tamtej scenie. Chodź, mój ogierze... Teraz twoja kolej na ujeżdżanie.

– Nie powinniśmy tego robić. – W głosie Kevina słychać było udręczenie, a Roberta się zastanawiała, dlaczego on po prostu nie wstanie i nie odejdzie, jeśli to wszystko działo się wbrew jego woli. I dlaczego w ogóle wpuścił Juliet do gabinetu. Roberta chciała już iść. To, co słyszała, było odrażające... I dalekie od nocy pełnych miłości, nocy z Kevinem, o których tak często marzyła. Roberta myślała o tkliwości i miłosnych zaklęciach, o słowach pełnych łagodności – i o cudownym, szczęśliwym milczeniu po tej najważniejszej chwili, którą zawsze wyobrażała sobie jak wschód słońca albo deszcz gwiazd. Ale to tutaj... Ta mieszanka obrzydliwej lubieżności i głupkowatej dziecinady – czy to było to, czego on naprawdę chciał? Bo przecież wzbraniał się ciągle, a jednak to robił... Ostatnie, czego życzyłaby sobie Roberta w tej chwili, to być na miejscu Juliet.

Bo teraz właściwie i tak chciała znaleźć się jak najdalej. Niepewnie cofnęła się o krok, w stronę drzwi wyjściowych. Należało je otworzyć, a potem zamknąć bezszelestnie. Ale Roberta była trochę niezdarna... Odwróciła się gwałtownie – i przeraziła śmiertelnie, kiedy potracona przez nią ogromna wiktoriańska waza przewróciła się i z hałasem rozleciała na tysiące kawałków. Teraz Roberta mogła tylko uciekać.

Nie zdążyła dobiec do wyjścia, kiedy Kevin gwałtownie otworzył drzwi. Był nagi, czego można się było spodziewać, miał tylko ręcznik przewiązany wokół bioder.

– Ro... Roberta?

W jego oczach widać było przerażenie, ale jednocześnie ulgę na widok młodej kobiety. Dzięki Bogu – to tylko Roberta.

– Co ty... eee... tu robisz? Ja... właśnie chciałem się trochę odświeżyć. Na górze w mieszkaniu... są trzy kobiety... – Kevin uśmiechnął się przeproszająco, wyraźnie spodziewając się zrozumienia.

Roberta nagle zdała sobie sprawę, że on uważa ją za głupie dziecko. Tak jak zawsze, bez względu na to, jak ciężko pracowała w Afryce. Kevin może był zdania, że była tam przydatna, ale nie traktował jej poważnie. Młoda kobieta poczuła nagle lodowaty chłód w sercu.

– Nie trudź się, ja wszystko słyszałam, Kevinie – powiedziała spokojnie. – Gdzie chowasz Juliet? Powiedz jej, że może wyjść, mogę jej pomóc sznurować gorset. Chce przecież pięknie wyglądać, kiedy stanie naprzeciw Doortje, prawda?

Kevin zagryzł wargi. Jego pewność siebie, którą zawsze dawał odczuć otoczeniu, nagle gdzieś znikła.

– Roberto... proszę. Nie mów nikomu. Ja... ja wiem, że nie powinniśmy tego robić, chcę z tym skończyć, ja... – błagał.

– To dlaczego to robisz? – spytała Roberta z pogardą.

– Proszę, Roberto, ja kocham Doortje... Ale nie mogę, ja...

Z pokoju przyjął dobiegł śmiech.

Roberta odwróciła się. Tu było o każde słowo za dużo – a ona nie wiedziała już, co mogłaby jeszcze powiedzieć. Wybiegła na korytarz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Roberta! – zawołał za nią Kevin, ale ona nie zareagowała.

Chciał tylko w jakiś sposób zapewnić sobie jej milczenie... przekonać ją pięknymi słowami, zawsze przecież potrafił używać właściwych słów. Ale czy ona będzie milczeć?

Roberta biegła po schodach w dół. W żadnym wypadku nie mogła się teraz spotkać z jakąkolwiek kobietą, Atamarie natychmiast dostrzegłaby, że coś się stało. A ona nie mogła jej powiedzieć, że straciła tyle lat życia, kochając i szanując człowieka, którego teraz zastała w ramionach dziwki – bezwolnego jak małe dziecko. Który był zwykłym oszustem – i jednego dnia tkliwie trzymał za rękę Doortje, a następnego oddawał się w ręce Juliet Drury-LaBree. I jeszcze mówił przy tym o miłości...

Roberta wzięła dorożkę i pojechała do domu rodziców. Violet i Sean będą się pewnie dziwić, jeśli nie pojawi się na koncercie, ale zawsze może im później powiedzieć, że zrobiło jej się niedobrze. Bo ten gorset... Violet i tak się na nią złościła, kiedy go wkładała. A jutro... jutro wsiądzie do pociągu jadącego do Christchurch. To będzie wprawdzie kilka dni za wcześnie, właściwie miała tam jechać z rodziną w weekend, aby zobaczyć Rosie. Diamond miała biec ostatnią gonitwę kwalifikacyjną przed New Zealand Trotting Cup i Roberta teraz wreszcie zapragnęła zobaczyć Vincenta. Choć co prawda z mieszanymi uczuciami, ale to się właśnie zmieniło. Roberta zatęskniła nagle za jego ciepłym, wyrozumiałym uśmiechem, za jego łagodnymi oczami – oczami, które natychmiast potrafiły rozpoznać i ocenić kogoś takiego jak Juliet.

Roberta miała dość miłości, która nie miała być nigdy odwzajemniona. W dodatku miłości do niewłaściwego mężczyzny.

ROZDZIAŁ 9

Ale następnego ranka wszystko okazało się nie takie proste.

Violet się dziwiła, że jej córka wieczorem czuła się chora, a już rano chciała wyruszyć w podróż. I to w dodatku o parę dni wcześniej, niż planowała. Violet ani przez chwilę nie wierzyła w tłumaczenie, że Roberta przed spotkaniem z Vincentem postanowiła odwiedzić dawną koleżankę ze studiów, która teraz uczyła w Christchurch.

– Czy coś się stało, Roberto? Jesteś taka blada... Atamarie czekała wczoraj na ciebie. Nie mogłaś przynajmniej dać znać?

– Ależ nic się nie stało, *mommy*, ja tylko byłam... no, zmęczona. I było mi niedobrze. Ale teraz wszystko jest w porządku, mogę jechać, nie martw się niepotrzebnie.

Roberta starannie układała bluzki i spódnice w swojej walizce.

– A gorset też mogę zostawić w domu.

Violet obserwowała ją ze zmarszczonym czołem.

– Widzę, że coś się stało – powiedziała. – Ale jeśli nie chcesz mi powiedzieć... ale to naprawdę nic złego, Robbie, prawda? Czy ma związek z jakimś mężczyzną?

Violet w młodości została zgwałcona i do dziś pamiętała ten lęk. Mogła sobie powtarzać raz po raz, że Roberta w Dunedin była dość bezpieczna, że na ulicach panował ożywiony ruch, a towarzystwo, w którym przebywała jej córka, było poza wszelkimi podejrzeniami. Ale mimo to ciągle niemal podświadomie zakładała najgorszą możliwość i nie znosiła, kiedy jej córka była sama, jak ubiegłej nocy.

– Nic mi się nie stało, *mommy* – powtarzała Roberta. – Co najwyżej... ja coś...

– Coś widziałaś, Roberto? Czy jakiś mężczyzna zachował się... nieobyczajnie? Są typy, które się cieszą, kiedy mogą się pokazać kobiecie... no... nago. To się nazywa... – Violet w myślach kartkowała leksykon.

Roberta się uśmiechnęła.

– *Mommy*, nie spotkałam po drodze żadnego ekshibicjonisty. I naprawdę dobrze się czuję, chcę po prostu jechać dwa dni wcześniej do Christchurch. Rosie na pewno się ucieszy.

Violet przysłała do głowy inna myśl.

– A ten młody mężczyzna, którego poznałaś w południowej Afryce? Czy chodzi o niego? Roberto, wcale mi się to nie podoba, że ty tak bez towarzystwa... My go w ogóle nie znamy.

Roberta popatrzyła na matkę pobłaźliwie.

– Poznacie go w weekend. Proszę, przestań mnie wypytywać jak inkwizytor. Dobrze się czuję. I dawniej też jeździłam sama do Christchurch, jak wiesz. Nikt mnie nie poźre, a już na pewno nie Vincent Taylor.

Violet westchnęła, ale jednak nie zamierzała tak prędko ustępować.

– A co on sobie pomyśli, jak przyjedziesz dwa dni wcześniej? To przecież tak wygląda, jak gdybyś chciała rzucić mu się na szyję.

Roberta ostentacyjnie chwyciła się za czoło.

– Przecież najpierw chcę odwiedzić moją przyjaciółkę – powtórzyła swoje kłamstwo i wtedy przyszedł jej do głowy jedyny słuszny pomysł. – Ona... ona ma pewien problem i ja o tym myślałam, i sądzę... sądzę, że ona potrzebuje wsparcia. Jest przecież nauczycielką, ale zadała się z pewnym mężczyzną i teraz jest...

– W ciąży? – Violet słuchała ze współczuciem, a Roberta odetchnęła. Jej matka dała się nabrać. –

Ach, biedactwo! Ale to naprawdę należy znieść, ten celibat dla nauczycielek! Nauczyciel może w każdej chwili się ożenić, ale młoda kobieta ma żyć jak zakonnica! Robbie, wyślij twoją przyjaciółkę do biura Women's Christian Temperance Union. Może znajdzie się dla niej jakaś praca. Przy opiece nad dziećmi na przykład, u biednych rodzin. Na pewno!

Roberta przytaknęła i udała, że pilnie słucha wskazówek Violet na temat pomocy dla jej nieistniejącej przyjaciółki. Nienawidziła oszukiwać matki, ale niektóre kłamstewka jednak ułatwiały życie. Starła się przy tym bardzo nie myśleć o Kevinie i Juliet...

Violet sama zawołała dla niej dorożkę i kazała zawieźć córkę na pociąg. Ale zaledwie Roberta w niej zasiadła, natychmiast ogarnęły ją wątpliwości. Matka miała rację, także w Addington wszyscy będą bardzo zdziwieni, kiedy ona pojawi się dwa dni wcześniej. I oczywiście nie mogła tak po prostu pobiec do Vincenta, przeprosić za wszystkie wymówki ostatnich tygodni i poprosić, aby on się z nią ożenił! Rzeczywiście najlepiej byłoby poczekać do weekendu, powitać Vincenta i od początku zachowywać się tak, aby dodać mu odwagi. W jego ostatnich listach można było dopatrzeć się czegoś w rodzaju ultimatum, więc z pewnością zaproponowałyby jej zaręczyny. Ona wtedy mogłaby je przyjąć i swoje wahanie przypisać temu, że nie chciała rezygnować z wyuczonego zawodu. Czy byłby jej uwierzył – to byłaby jego, Vincenta, sprawa. Vincent niejednokrotnie dawał jej do zrozumienia, że coś wie o jej durzeniu się w Kevinie. Potem mogliby o tym nawet pomówić – bo ostatnie, czego pragnęłaby Roberta, to jakieś tajemnice przed własnym mężem. Ale teraz nie była to właściwa chwila na takie wyznania. Vincent nie powinien zakładać, że był alternatywą.

Ale co wobec tego miała zrobić z dwoma nieplanowanymi dniami w Christchurch? Siedzieć w hotelowym pokoju i walczyć ze smutnymi myślami?

I kiedy konduktor zapowiedział przystanek o nazwie Timaru, Robercie przyszedł do głowy zbawienny pomysł. Czy to nie była miejscowość, w pobliżu której mieszkał Richard Pearse? A co by było, gdyby ona tu wysiadła i przeprowadziła małe śledztwo? Kiedy znała już prawdę o Kevinie – to może dowiedziałyby się tutaj prawdy o Richardzie dla Atamarie.

Pełna przedsiębiorczych myśli ściągnęła walizkę z półki. Może będzie sobie mogła nawet obejrzeć owego fantastycznego Richarda. Na razie znała go tylko z opisów Atamarie – jej, jako osobie postronnej, być może wyda się kimś innym.

Roberta się zastanawiała, za kogo mogłaby się podać, aby otrzymać jak najwięcej informacji już w Timaru, ale była zbyt nieśmiała na konspiracyjne dochodzenie. A poza tym – miała przecież czas. I w końcu wynajęła pokój w najbliższym porządnym pensjonacie i poprosiła o wskazanie drogi do stajni, gdzie mogłaby wynająć powóz.

– Chciałabym dostać się do Temuka – wyjaśniła gospodyni. – Chyba dotrę tam dość szybko, prawda?

– Za dwie godziny, jeśli się pani pośpieszy – odpowiedziała przyjaźnie kobieta. – Dawniej często zatrzymywała się u mnie pewna młoda dziewczyna, która miała tam znajomego. I ona opowiadała mi, że raz zajechała tam w godzinę. Ale Miss Turei jeździła jak szatan.

Roberta się uśmiechnęła. Wszystko poszło łatwiej, niż przypuszczała.

– Wiem! – odparła i w ogólnych zarysach nakreśliła swoją misję. Ale gospodyni niewiele mogła jej pomóc.

– Nigdy nie widziałam tego młodego człowieka – oświadczyła. – Co właściwie jest bardzo dziwne. Można przecież przypuszczać, że on zawoził ją na pociąg. Jak się prowadzi uczciwy pensjonat, to takich przyjaciół goszczących kobiet trzeba nawet czasem przepędzić, rozumie pani, co mam na myśli. Ale my nigdy nie mieliśmy kłopotów z Miss Turei. Oczywiście nocowała często w Temuka, ale zakładam, że u jego rodziny.

Te kwestię Roberta pozostawiła otwartą i podziękowała grzecznie za wszystkie informacje. Pokrywały się z tym, co wiedziała na temat Richarda Pearse'a. On nigdy nie przechodził samego siebie w miłości do Atamarie.

W stajni poprosiła o spokojnego konia i ruszyła powoli nieutwardzoną drogą do Temuka. Krajobraz nie zgotował jej żadnych niespodzianek – dookoła ciągnęły się pastwiska dla owiec i pola, jak zwykle na Canterbury Plains. Wokół Timaru okolica była pagórkowata, a potem stawała się coraz bardziej płaska, co sprawiało dość przygnębiające wrażenie, ale na to mogła mieć wpływ także pogoda. Deszcz padał bezustannie i choć Roberta wynajęła dwukołowy pojazd z dachem, to po pewnym czasie jej suknia była już wilgotna. Dziewczyna odetchnęła, kiedy dotarła do Temuka – była to typowa wioska na Canterbury Plains, składająca się ze schludnych drewnianych domów, szkoły i kościoła. Roberta się zastanawiała, czy ma zapytać księdza o Pearse'ów, ale nie przyszedł jej do głowy żaden powód, jak mogłaby takie rozpytywanie wyjaśnić. Zatrzymała więc jadącego z naprzeciwka na koniu mężczyznę i po prostu zapytała o drogę do farmy Richarda. To z pewnością było bardziej niewinne, niż pytać od razu o rodzinę Pearse'ów. W końcu zjechała z drogi do szkoły, gdzie niegdyś Atamarie i Richard ciągnęli samolot. Zaraz potem zobaczyła też osławiony żywopłot. Roberta na ten widok nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mrugnęła do duchów, które w nim ponoć mieszkały. Atamarie opisała jej wszystko tak dokładnie.

Za to farma okazała się prawdziwą niespodzianką. Atamarie opowiadała, że była dość zaniedbana, a na podwórzu miały stać różne stare maszyny rolnicze. Jednak dom był świeżo pomalowany na biało, okiennice zaś i weranda – na niebiesko. Ta ostatnia też wyglądała na odnowioną, stał na niej bujany fotel, a całość sprawiała wrażenie bardzo przytulnego domostwa. Wybiegi dla zwierząt także były zadbane, a na przydomowej łące pasły się dwa dobrze odżywione konie. Podwórze było wysprzątane niemal idealnie, maszyny rolnicze stojące obok szopy wcale nie były stare ani zardzewiałe.

Kiedy wóz wjechał na podwórze, w oknie poruszyła się firanka i za chwilę otworzyły się drzwi. Przed dom wyszła kobieta w średnim wieku i popatrzyła przyjaźnie spod kapelusza o szerokim rondzie, który stanowił ochronę przed każdym rodzajem pogody.

Czy to miała być Shirley? Ale przecież ona nie mogła być dużo starsza od Atamarie i Roberty!

– Dzień dobry! – powiedziała kobieta. – Proszę spokojnie przywiązać konia przed szopą i wejść do środka, bo tak pada. Cieszę się z każdego gościa!

Roberta nieśmiało zeszła z wozu. Deszcz natychmiast przemoczył jej lekkie okrycie.

– Ja... właściwie szukam... Shirley i Richarda Pearse'ów – powiedziała. Sympatyczne powitanie było miłe, ale nieco zaskakujące. – To... jest przecież farma Richarda Pearse'a, prawda?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, przykro mi, młoda damo. Przyjeżdża pani za późno. To była farma Richarda Pearse'a, ale mój mąż i ja kupiliśmy ją pięć miesięcy temu. Mr Pearse dał nam dobrą cenę, to miły młody człowiek, choć nieco... dziwny. – Kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Ale mimo to proszę wejść do środka, właśnie zrobiłam kawę. Czuję się tu jeszcze dość samotna i cieszę się z każdego towarzystwa! A poza tym jestem Emma Baker. – Podała Robertcie rękę.

Roberta uścisnęła podaną dłoń i weszła za gospodynią do domu. Dlaczego nie miałyby wyświadczyć Mrs Baker przysługi i nie dotrzymać jej towarzystwa? Ona z pewnością będzie mogła jej coś opowiedzieć o Richardzie.

– Dlaczego on ją sprzedał? To znaczy, mam na myśli Richarda Pearse'a – spytała Roberta, kiedy już stała przed nią filiżanka kawy i talerzyk z pysznymi ciasteczkami. Mrs Baker nawet napaliła w piecu, żeby ona mogła wysuszyć suknię. – Ale on... nie chciał chyba... przepraszam, ja go właściwie nie znałam. Ale moja przyjaciółka знаła go bardzo dobrze i mówiła, że nie chciał się stąd wyprowadzać.

A już zwłaszcza wtedy, kiedy się ożenił.

– On się ożenił? – Mrs Baker wzięła do ręki ciastko. – O tym nic nie wiem. Nam opowiadał tylko, że przeprowadza się do Milton.

– Milton?

Roberta niemal zakrztusiła się kawą. Miasteczko Milton było oddalone zaledwie trzydzieści mil od Dunedin – i leżało bliżej Lawrence, miejscowości, do której należała Elizabeth Station. Między Milton a Dunedin istniało nawet regularne połączenie kolejowe, Pearse mógł odwiedzić Atamarię w każdej chwili. Oczywiście ona spędziła ostatnie miesiące w Parihaka. Ale Roberta usłyszałaby na pewno, gdyby Richard o nią pytał.

– On tam ponoć kupił farmę, tu mu się nie podobało, tak mówił. I rzeczywiście miał dziwną opinię, a ludzie strzępili sobie języki na jego temat. Więc zrozumiałe, że chciał się wynieść.

Mrs Baker najwyraźniej starała się zrozumieć każdego na tym świecie. Roberta czuła się u niej dobrze.

– On był lotnikiem – zaczęła opowiadać. – Latał wcześniej niż bracia Wright.

Mrs Baker wzruszyła ramionami.

– Tak, mamy jeszcze w szopie ten śmieszny aparat do latania. Mr Pearse nie chciał go zabierać ze sobą, ale nie chciał też dawać go ojcu, bo on chciał go zniszczyć. A mój Rob powiedział, że to może u nas stać. Jeść przecież nie woła. A kto wie, może kiedyś okaże się cenny. – Roześmiała się. – Teraz sąsiedzi nas także uważają za trochę śmiesznych. Ale to się jeszcze ułoży... Ludzie na wsi potrzebują czasu, żeby się do kogoś przekonać.

Roberta zgodziła się z nią i dodała:

– Ale jak zacznie pani rozdawać ciasteczka na gminnym kiermaszu, to wszyscy panią pokochają!

Mrs Baker zachichotała.

– Albo znienawidzą. My pochodzimy z Sussex, a ja dawniej wygrywałam wszystkie konkursy piekarnicze na wystawach rolniczych. A to nie zawsze powoduje, że człowieka lubią... Ale coś mi przychodzi do głowy – jeśli chce pani się czegoś dowiedzieć o Mr Richardzie, to niech pani zapyta na następnej farmie, u Hansleyów. Oni dobrze się znają ze starymi Pearse'ami... którzy z kolei nie za bardzo nas lubią. Digory twierdzi, że za mało daliśmy Richardowi za farmę. Ale to nieprawda, w stanie, w jakim był ten dom, to przy najlepszych chęciach nie mógł żądać więcej.

Roberta nie interesowała się specjalnie ceną farmy, ale nazwisko Hansley wymieniała także Atamarię.

– Czy Richard nie chciał się ożenić z ich córką? – spytała, wstając, aby się pożegnać. – Z Shirley Hansley?

Mrs Baker wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem, kochanie. Ale to naprawdę miło, że pani tu wpadła. W ogóle w Nowej Zelandii ludzie są tacy mili. Oprócz naszych sąsiadów... ale jakoś to z nimi będzie.

Roberta zdała się na jej optymizm w tej kwestii, odwiązała konia i minęła farmę Petersonów, jadąc do Hansleyów. Była to znacznie większa posiadłość niż farma Bakerów, ale także bardzo zadbana. Choć przyjęcie ani w połowie nie było tam tak miłe jak w tej ostatniej.

– Czego pani chce? – Wysoka kobieta o blond włosach wyskoczyła na podwórko, zanim Roberta zdążyła przywiązać konia. Jeśli chodziło o jej ubiór, to mogłaby być siostrą Mrs Baker, ale nie była lekko zaokrąglona ani miła jak tamta, lecz chuda i opryskliwa. – Nie jest tu pani mile widziana, pani...

Roberta wyrzała zaskoczona z powozu, a kobieta zagryzła wargi na widok jej twarzy.

– Och... Przepraszam. Pomyliłam panią... Widziałam tylko konia... Ale to oczywiście wynajęty wóz. Proszę wybaczyć moją nieuprzejmość, myślałam, że to ta impertynencka mała Maoryska...

– Myślała pani, że jestem Atamarie Turei – zrozumiała Roberta. Oczywiście Atamarie była klientką tej samej stajni wynajmującej powozy. – A co ma pani przeciwko niej? To znaczy... Ona jest moją przyjaciółką.

– Pani przyjaciółką? Ale pani jest białą kobietą... no, ale co mnie to obchodzi, to i tak przeszłość. Myśleliśmy wtedy, że ona zawróciła w głowie młodemu Pearse'owi, a Digory i Sarah nadal tak myślą. Ale on wcale nie potrzebował do tego maoryskiej dziwki. I tak miał źle w głowie, że szkoda mówić. A naszej Shirley złamał serce. – Kobieta pociągnęła nosem.

– Atamarie mówiła, że on się z nią ożenił – zdziwiła się Roberta. – Twierdziła, że oni znakomicie do siebie pasowali.

– Pewnie, że pasowaliby do siebie! – oświadczyła Mrs Hansley, która nawet nie zauważyła, że właśnie potwierdzała zdanie znienawidzonej Maoryski. – Sarah Pearse i ja zawsze chciałyśmy, żeby ci dwoje się pożeniło. Zwłaszcza że Shirley jest tak cierpliwa... A Dick naprawdę potrzebuje wyrozumiałej żony. Ale on nie chciał, już myśleliśmy, że on nic sobie nie robi z dziewczyn... Ale potem przywłókł tu tę Maoryską i Sarah nagle zmieniła zdanie.

– Sarah to matka Richarda?

Roberta miała trochę trudności z nadążeniem za tokiem myśli kobiety i wypowiedzianych przez nią słów, bo Mrs Hansley mówiła jak nakręcona, choć nawet nie zaprosiła swego gościa do środka, mimo że nadal padało.

– Pewnie. I myślała z początku, że kiedy ta dziwka tu będzie, to zrobi to dobrze Dickowi. A ta rozpustna dziwka przewróciła wszystko do góry nogami. Chłopcy ze wsi biegali jak zakochane koguty, ale ona tylko chciała z Richardem majstrować przy tym samolocie. A Sarah myślała, że ona odwróci jego uwagę od tych głupstw. Ale jak mówiłam, on był pomyłony, całkiem pomyłony... No i kiedy wreszcie odesłał tę maoryską babę, to spróbowaliśmy jeszcze raz z nim i Shirley. Najpierw raz, a potem znów tamta się pojawiła. A potem drugi raz. I wtedy wszystko zaczęło wyglądać dobrze, przez pierwszych parę tygodni. On się zrobił posłuszny, zaczął pracować na farmie, zostawił te bzdurne wynalazki. – Mrs Hansley wymówiła ostatnie słowo tak, jak gdyby było to coś odrażającego. – Ale potem znów był krnąbrny jak przedtem. Ciągłe to samo, te jego urojenia wróciły... Ale Shirley była z nim cały czas, to dziecko ma złote serce. Aż ją zostawił. I teraz ma farmę gdzieś tam w Otago, w Loudens Gully. Jego ojciec mówi, że to prawdziwy koniec świata, biedak jest całkiem załamany. A Shirley wydaliśmy za jednego chłopaka z Westport. Taka dobra dziewczyna, wyplakiwała sobie oczy, kiedy musiała wyjechać z Temuka. Tak była związana z domem rodziców.

Farma Richarda też się chyba podobała Shirley, ale nie wydawało się, żeby Richard Pearse wyplakiwał sobie za nią oczy. Roberta się zastanawiała, czy on nie nadużył trochę cierpliwości „dziecka o złotym sercu”.

– Miło było z panią porozmawiać – stwierdziła w końcu. Rzeczywiście wynurzenia Mrs Hansley wiele wyjaśniały, ale dach powozu niemal przestał już chronić przed deszczem. Mrs Hansley potoki deszczu najwyraźniej nie przeszkadzały, ona także miała na głowie kapelusz z szerokim rondem. – Ale teraz muszę już naprawdę jechać. I mówi pani, że Richard kupił tam farmę... A nie chciał jednak spróbować żyć ze swoich wynalazków?

Mrs Hansley zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Hodowla owiec – odpowiedziała. – Richard zajmuje się teraz hodowlą owiec. Tam w Otago. A kto miałby mu dać pieniądze na jego głupie pomysły?

Roberta podziękowała i popędziła konia. Chciała uciec z tego deszczu i musiała koniecznie wszystko spokojnie przemyśleć. Czy miała opowiedzieć Atamarie o swoich odkryciach, czy też zachować dalszy ciąg historii Richarda dla siebie?

ROZDZIAŁ 10

Roberta pojechała z powrotem do Timaru, spędziła tam kolejny dzień i następnego ranka wsiadła do pociągu jadącego do Christchurch. Wysiadła na przedmieściu i dołączyła do rodziny jadącej pociągiem z Dunedin. To uspokoiło jej matkę i uczyniło wiarygodną opowiedzianą przez Robertę historię. Violet natychmiast zapytała o ciężarną przyjaciółkę, ale Roberta przygotowała już wcześniej odpowiedź i oświadczyła, że młoda nauczycielka straciła dziecko.

– W tym wypadku to błogosławieństwo – stwierdziła Violet i nie wracała już do tego tematu. Roberta odetchnęła.

Heather i Chloé były już teraz podekscytowane wobec czekających je doznań na torze wyścigów konnych, ale w doskonałym nastroju. Ich festiwal sztuki kobiecej wypadł znakomicie, sprzedały wiele obrazów i nawet sporą część wyrobów sztuki maoryskiej.

– Latawce Atamarie mogłyśmy sprzedać trzy razy, ale ona nie chciała za nic w świecie. Jej nowy przyjaciel wydaje się być zdania, że ona wówczas oddałaby też kawałek swojej duszy albo że dusza latawca cierpiałaby, gdyby się go sprzedało jakimś ludziom, którzy powiesiliby go na ścianie, zamiast pozwolić mu latać. No ale to też trzeba zaakceptować.

Heather oparła się wygodnie na siedzeniu w przedziale.

Sean też najwyraźniej był w wakacyjnym nastroju, podczas kiedy Violet prześladował jakiś niepokój. Z jednej strony cieszyła się na spotkanie z Rosie, ale z drugiej – nienawidziła torów wyścigów konnych, zakłady uważała za co najmniej dwuznaczne moralnie, a w dodatku obawiała się spotkania z synem. W czasie ostatnich odwiedzin u Rosie zobaczyła się z Joem, ale trwało to bardzo krótko, a atmosfera była pełna napięcia. Nowy, jej zdaniem pyszałkowaty sztyld nad stajniami Joego przypominał jej, podobnie jak Rosie, o najgorszym okresie ich życia. Do tego dochodziło jeszcze podobieństwo syna do jej zmarłego męża, które można było dostrzec, już kiedy Joe był dzieckiem. I to także było dla Violet wystarczająco odstręczające. Violet i Joe Fence ani nie mieli ze sobą nic wspólnego, ani też nie mieli sobie nic do powiedzenia. Joe całe życie pogardzał matką, aż wreszcie ją znienawidził, a jednak ona cały czas miała wyrzuty sumienia.

– Zrobiłaś co mogłaś – próbował ją uspokoić Sean. – Nawet jeśli to wygląda inaczej, niż faktycznie było. Ale musiałaś go chronić przed Coltrane’em. I to była słuszna decyzja, aby go oddać na naukę do innego trenera.

– I co to dało? – spytała Violet z nieszczęśliwą miną. – On wygląda teraz jak Eric i handluje końmi jak Coltrane.

Sean wzruszył ramionami.

– Twój mąż z przeniósł się w zaświaty o kilka lat za późno. Joe był już za bardzo ukształtowany przez niego, aby można go było zmienić. Ale to nie twoja wina, Violet, nie zadręczaj się więc.

– Byłam dla niego złą matką – powtórzyła mimo to Violet, także kiedy Roberta zapewniała ją, że było dokładnie odwrotnie.

Poczucie winy wobec Joego stanowiło nieodłączną część życia Violet od chwili, kiedy urodziła to dziecko. W czasie porodu była bliska śmierci i nigdy nie była w stanie pokochać chłopca.

– W każdym razie zaprosimy go na rodzinny obiad! – oświadczyła teraz, a Sean w odpowiedzi dotknął czoła. Rosie i Joe przy jednym stole, to wydawało mu się nie do pomyślenia. Ale pewnie samo zawiadomienie o tym wystarczy, aby albo jedno, albo drugie się nie zjawilo.

Na dworcu czekali Rosie i Tom Tibbs, ale ku rozczarowaniu Roberty nie było Vincenta.

– Doktor prosił, abyście mu wybaczyli – oświadczył Tibbs i rozpromienił się. – Chodzi o pewną

niespodziankę, Miss Fence.

Rosie przytaknęła gorliwie.

– Tak, ona może przybędzie już dzisiaj, a ja już...

– Rosie, nie! To ma być niespodzianka! – Buldog się roześmiał. – Jak teraz zdradzisz, gdzie ty ją... ehm... postawisz...

Roberta popatrzyła na niego.

– Prezent ślubny dla Rosie? – spytała. – *Mommy* mówi, że już ją pan poprosił o rękę, Mr Tibbs. Naprawdę? Nie mogę uwierzyć.

Rosie energicznie chwyciła walizki Chloé i Heather i z rozbawieniem potrząsnęła głową.

– Nie! To jest prezent dla ciebie, Robbie! Twoja...

– Rosie! – Buldog znów przerwał swojej bardzo podekscytowanej narzeczonej, uśmiechając się do niej pobłaźliwie, ale z tkliwością. – Wszystko zepsujesz naszemu doktorowi! Powiedz lepiej, kiedy za mnie wyjdiesz.

Rosie zaczęła rozmyślać intensywnie, co było doskonale widać na jej twarzy.

– Po gonitwach – stwierdziła. – To znaczy, jak teraz przegramy, albo dopiero wiosną, albo na Gwiazdkę. W każdym razie po New Zealand Cup. Bo... najpierw muszę popilnować Diamond. A Buldog nie chce przeprowadzić się do stajni.

Goście roześmiali się z powodu łagodnego oburzenia w jej oczach.

– Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że sypiasz w stajni, Rosie! – przeraziła się Violet.

Rosie skinęła głową.

– Nie tak, jak pani myśli... jak myślisz, Miss... ee... Violet.

W czasie ostatniej kolacji typu „frytki i ryba” Violet i Sean poprosili przyszłego członka rodziny, aby mówił do nich przez ty, ale Buldog ciągle nie mógł się zdobyć na to, aby zwracać się do kogoś z tak eleganckiego towarzystwa jak do równego sobie. Mimo zgromadzonego przez niego majątku.

– Mój koniuszy odstąpił jej swoje mieszkanie, ale ona i tak nie śpi, bo stale zamartwia się o Diamond. Ale tak będzie tylko do tej gonitwy, potem musimy ustalić coś innego. Myślisz o tym, Rosie, aby przeprowadzić się do mnie czy wrócisz do tego pokoju u lorda, jak tym razem nic się nie stanie?

– A więc te wypadki się nie powtórzyły? – wtrąciła się teraz Chloé. – To tajemnicze drżenie klaczy i jej nerwowość?

Buldog potrząsnął głową.

– Tak, raz! – zaprzeczyła Rosie. – Raz ona znów miała takie błyszczące oczy w czasie treningu. Ale doktor nie miał czasu. To pojechałam mimo wszystko, a ona była trochę niespokojna. Ale poza tym...

– Doktor Taylor zbadał ją potem i nic nie stwierdził – rzekł Buldog. – Ty po prostu wariujesz, Rosie, zobaczysz, jutro wszystko pójdzie gładko.

Rosie zagryzła wargę, co sprawiało, że jej twarz miała dziecinny wyraz, ale można też było dostrzec na niej trochę przekory. Buldog i Taylor mogli mówić, co chcieli, Rosie i tak była nieprzejeđnana.

Odpowiednio dramatycznie zapowiadała się też rodzinna kolacja w White Hart Hotel. Rosie za żadną cenę nie dawała się przekonać, aby zostawić Diamond samą i wziąć udział w spotkaniu. I w końcu pomoc nadeszła ze strony Chloé i Heather. Bo zwłaszcza Chloé straciła na nie chęć, kiedy Violet rzeczywiście zaprosiła na kolację Joego, który zgodził się przyjść.

– Całe wieki nie jadłam frytek i ryby – oświadczyła rozbawiona Chloé. – A ty, Heather? A w dodatku ten pub naprzeciwko firmy spedycyjnej Buldoga stał się ostatnio chyba sławny. – Mrugnęła do Tibbsa. – To jak, zaprosi mnie pan na coś w rodzaju kolacji z właścicielem w stajni, a jutro będziemy świętować zwycięstwo w White Hart?

Rosie się rozpromieniła.

Roberta także nie była zachwycona czekającym ją spotkaniem z bratem, którego nigdy nie lubiła. Ale wkrótce po jej przyjeździe pojawił się Vincent, przepaszając wylewnie za spóźnienie, i chętnie przyjął zaproszenie. Sprawiał wrażenie trochę zaaferowanego i wręcz zdyszanego, co najwyraźniej miało związek z zapowiadaną niespodzianką – i chyba coś się tu nie powiodło.

Roberta wykorzystała okazję, aby ten dzień nie był dla niego stracony. Bo kiedy zobaczyła go w hotelowym lobby, zatroskanego i bardzo zaniepokojonego, wiedziała już, że jest to człowiek godny całkowitego zaufania, który martwił się z powodu ledwie niewielkiego spóźnienia. I była już pewna swej decyzji. I tym razem, kiedy go zobaczyła, jej serce zaczęło bić szybciej. Przecież to było takie proste i oczywiste – kochać Vincenta Taylora. Dlaczego do tej pory wydawało jej się to takie trudne i skomplikowane?

– Podaruj mi coś innego – powiedziała zdecydowanie – skoro ta niespodzianka jest tak skomplikowana. Kup po prostu pierścionek. To nie będzie trudne... A ja będę bardzo zaskoczona.

I podczas kiedy Buldog i Rosie oraz Chloé i Heather znakomicie bawili się w stajni koło boksu Diamond, kolacja Seana i Violet Coltrane'ów oraz Joego i Roberty Fence'ów – której towarzyszył Vincent Taylor – przebiegała raczej w dziwnej, pełnej napięcia atmosferze. Vincent promieniał ze szczęścia, a Roberta wydawała się pełna jakiegoś wewnętrznego światła. Violet prawie nie poznawała córki. Jeszcze przed kilkoma dniami wydawała jej się taka dziewczęca i trochę niedojrzała, a teraz widziała młodą, pogodzoną z samą sobą kobietę. Inkwizytorskie przesłuchanie przyszłego zięcia także wypadło bardzo łagodnie, a Sean Coltrane nie miał do niego żadnych zastrzeżeń. Obaj mężczyźni znaleźli od razu wspólny język i zaczęli dyskutować o polityce i Afryce Południowej. Joe Fence nie bardzo potrafił powiedzieć cokolwiek na któryś z tych tematów. Roberta i Violet próbowały mozolnie nawiązać z nim rozmowę o jego dotychczasowym życiu i pracy.

– Masz teraz własną stajnię koni wyścigowych – powiedziała Roberta, starając się, aby w jej głosie było słychać choć cień podziwu.

Joe, który w swojej marynarce w kratkę i kaszkiecie wyglądał nieco dziwnie i niezbyt odpowiednio jak na elegancką hotelową restaurację, wzruszył ramionami.

– No mam, i to od dawna. Ale teraz mam nową, bo kluby jeździeckie się połączyły. Jest większa i więcej się w niej dzieje... Mogę cię oprowadzić. Ciebie też, mammo.

Violet skinęła głową i udała zainteresowanie.

– Chętnie zobaczę, co ci się udało zbudować.

– A jutro bierzesz udział z własnym koniem w gonitwie kwalifikacyjnej? – Roberta starannie złożyła swoją serwetkę.

Joe niedbale przejechał swoją po ustach.

– Trzy konie wystawiam – odparł dumnie. – Z mojej stajni trzy konie biorą udział w gonitwie. Z najlepszym jadę ja, a z dwoma pozostałymi moi uczniowie... Jak dobrze pójdzie, to weźmiemy trzy pierwsze miejsca. – Uśmiechnął się szeroko.

Roberta zmarszczyła czoło.

– A Rosie? Myślisz, że Diamond nie ma szans?

Joe uniósł rękę.

– Baba i ten kucyk? – roześmiał się hałaśliwie.

Vincent Taylor przerwał swą rozmowę z Seanem.

– No, no, Fence, dzięki tej babie i temu kucykowi już kilka razy wylądowaliście na dalszych miejscach w gonitwach. Rosie ma duże szanse, Roberto. Ale Joe oczywiście też. Miejmy nadzieję, że po prostu zwycięży lepszy zawodnik... – Vincent spojrzał na Joego badawczo.

Fence popatrzył na niego z udawaną naiwnością.

– Będzie, jak pan mówi, doktorze. Gdzie ja tu mogę zamówić piwo?

Przygotowania do gonitwy rozpoczęły się już następnego ranka i od razu w stajniach zapanowała nerwowa atmosfera. Konie musiały być nakarmione, wyczyszczone do połysku i rozjeżdżone. Należało też przyprowadzić Diamond ze stajni Buldoga. Gonitwa kwalifikacyjna należała do najważniejszych tego dnia i miała się odbyć po południu, ale Rosie chciała wystawić w gonitwie młodych koni jeszcze te dwa, z którymi pracowała. Diamond miała spędzić czas przed gonitwą w swojej dawnej stajni koło toru – i Rosie już przekonała Buldoga, aby nie spuszczał jej z oczu ani na chwilę.

– A my też tu będziemy – dodała Chloé, zdjęła kapelusz i mimo eleganckiej sukni zaczęła czyścić Diamond. – Ach, jak ja lubiłam wyścigi kłusaków! – westchnęła. – Gdyby Colin nie był takim hultajem...

– Nie mów, że ja nie jestem w stanie uczynić cię szczęśliwą, kiedy ci kupię hodowlę koni.

Heather westchnęła. Ona także lubiła konie, ale jej namiętność do pełnokrwistych rumaków nie była aż tak wielka jak jej towarzyszki życia.

Chloé uśmiechnęła się do niej.

– Stajnię koni wyścigowych – odparła żartobliwie. – I będziemy wystawiały tylko klacze: prędkość jest rodzaju żeńskiego!

Obie zachichotały wobec aluzji odnoszącej się do ich festiwalu sztuki. Rosie patrzyła na nie, nic nie rozumiejąc.

– Ale dobrze wszyscy uważajcie! – przypomniała swoim „strażnikom”, kiedy wyprowadzała pierwszego z młodych koni na tor.

Buldog usadowił się grzecznie obok boksu Diamond – za to Heather i Chloé szybko porzuciły swoje obowiązki i udały się do łoża właściciela na szampana i kanapki. Śniadanie w stajni wypadło raczej spartańsko.

Rosie pewną ręką prowadziła po torze swojego konia – śliczną, brązową klacz, a widzowie obdarzyli ją głośnymi brawami, kiedy przyjechała jako trzecia do mety. I kto postawił na nią i na to miejsce, dostał kilka szylingów. Pierwszy dzień gonitw zapowiadał się bardzo obiecująco. Także pogoda miała w tym swój udział. Dla właścicieli koni siedzących w swoich łożach nie odgrywało to co prawda żadnej roli, także część trybun była zadaszona, ale dla koni i woźniców było o wiele przyjemniej jechać przy dobrej pogodzie, a nie w deszczu.

Violet, Sean i Roberta też się nie śpieszyli z przybyciem na tor. Zjedli spokojnie obfite śniadanie w hotelu, a Roberta nie kryła swojej radości z powodu dobrego wrażenia, jakie na rodzicach zrobił Vincent.

– Tylko nie podoba mi się, że ty znów wylądujesz koło torów i stajni – stwierdziła Violet. – Wychowywać dzieci w takim otoczeniu...

Sean się uśmiechnął.

– Violet, kochanie, to przecież różnica, czy ktoś pracuje na torach jako weterynarz czy też jako trener. Vincent może przecież od czasu do czasu zabrać tu dzieci, ale na pewno nie będzie ich uczył, jak oszukiwać przy zakładach. Raczej będzie je zniechęcał do wszystkiego, co związane z wyścigami. I wydaje się, że bardzo troszczy się o konie, podczas kiedy wręcz nie lubi Joego Fence’a.

– A kto go lubi? – spytała Roberta z przekąsem.

Violet zagryzła wargi.

– Bądź co bądź to twój brat, Roberto. I on... też tu do czegoś doszedł. Może powinniśmy go darzyć trochę większym szacunkiem, my...

– Ty jesteś bardzo dobrą matką! – powiedzieli Roberta i Sean niemal jednocześnie i roześmiali się.

Violet i Sean chętnie przyjęli zaproszenie Chloé do łoża właścicieli, ale Roberta postanowiła

poszukać w stajniach Vincenta. Jednak dziś nie można było do nich wejść tak łatwo. Chłopiec stajenny, który pełnił funkcję strażnika, uprzejmie, ale stanowczo przeprosił Robertę, nie pozwalając jej wejść do środka.

– Musi to pani zrozumieć, nie możemy wpuszczać do stajni każdego, kto tylko chce tam wejść. Tam i tak panuje chaos i jeśli do tego wejdzie ktoś obcy, konie będą jeszcze bardziej niespokojne... i woźnice też. – Uśmiechnął się rozbajajaco. – Ale może usiądzie pani tam, na tej małej trybunie? Trzymamy ją wolną dla weterynarzy, trenerów i gości. A ja powiem panu doktorowi, że pani przyszła. I jak on będzie miał czas, to do pani zajrzy. Czy tak może być?

Roberta skinęła głową. Rzeczywiście wolą usiąść, bo dziś poświęciła wygodę dla mody, miała na sobie gorset i bardzo elegancki zamszowy kostium w kolorze ciemnego bzu, a do tego odpowiedni mały kapelusz. Wszystko wyglądało bardzo dobrze, ale mocno ograniczało ruchy i właściwie zupełnie nie nadawało się na odwiedziny w stajni. Roberta zajęła więc miejsce i pomachała Rosie, która właśnie jechała w swojej drugiej gonitwie. Tym razem do *sulky* zaprzęgnięty był czarny ogier – a krótko po starcie koło Roberty pojawił się też Buldog, który najwyraźniej usiłował się ukryć za jej plecami.

– Tak całkiem szybko Rosie nie może mnie tutaj spotkać, bo właściwie miałem być przy Diamond. Ale muszę zobaczyć, jak biegnie Dream. Bo to mój koń, ten kary. Śliczny chłopak, nie? I w dodatku przynosi szczęście. Gdybym go nie kupił, to nie odnalazłbym Rosie. Nazywa się Spirit's Dream. A Rosie znała już jego ojca. A tego uważa za bardzo obiecującego, choć od jakiegoś czasu kulał. To cud, że on dziś mógł znów wystartować. Rosie nie chciała, ale doktor powiedział, że może spokojnie jechać. A ja to muszę zobaczyć.

Rosie i Dream nie mogli zawieść najwierniejszego kibica. Czarny ogier był w doskonałym nastroju i pobiegł chyba najlepiej w swoim życiu. Przybiegł do celu, wyprzedzając o całą długość konia kłusaka ze stajni Joego Fence'a. Buldog wrzeszczał i wivatował jak młody chłopiec, ale szybko przypomniał sobie o swoich obowiązkach.

– Ojej, muszę szybko z powrotem do stajni. Jak mnie Rosie tu przyłapie, będzie zła. A teraz jeszcze będę musiał udawać, że nie wiedziałem o zwycięstwie... Żeby mnie pani nie zdradziła, Roberto!

Roberta popatrzyła za nim z uśmiechem i zrobiła palcami znak zwycięstwa, kiedy Rosie z Dreamem kłusowała obok niej swoją rundę honorową. Nie mogła się oprzeć, aby nie pomachać także Joemu, który jechał za Rosie markotnie i odpowiedział niechętnie. Zwycięstwo Dreama było dla niego sromotną klęską. Ale najważniejsza gonitwa dnia była jeszcze przed nimi.

Około południa do Roberty zająrzył na chwilę Vincent i zaczął przeproszać i tłumaczyć swą nieobecność.

– Wiem, to miał być nasz weekend, Robbie, a ja tak się cieszyłem na twój przyjazd. Ale dziś niemal każdy koń, który ma biec w gonitwach, cierpi na jakieś głupstwo. Już trzy razy byłem u Joego Fence'a, a Rosie też musiała przed startem krótko pokłusować ze swoim Dreamem, żebym zobaczył, czy nie kuleje albo coś. Ale jutro na pewno będę miał czas dla ciebie... a do tego czasu już na pewno...

– Doktorze? Ma pan iść do Fence'a. Kolka. – Chłopiec stajenny ze współczuciem skrzywił twarz. – Przykro mi, doktorze...

Vincent westchnął.

– No to będę musiał się pośpieszyć, żebym nie przegapił gonitwy Rosie. Muszę zobaczyć kwalifikację. Trzymaj dla mnie miejsce, Robbie!

Pocałował ją pośpiesznie, a chłopak stajenny uśmiechnął się z rozbawieniem na ten widok i ruszył w drogę.

– Buldog, znowu jest coś nie tak, ona ma takie błyszczące oczy, jak kiedyś...

Rosie zaprzęła Diamond, co nie było proste. Klacz była zdenerwowana, niechętnie rozstawała się

ze swoim towarzyszem w stajni i przebierała nogami, kiedy Rosie prowadziła ją przed *sulky*.

Buldog spojrzał na klacz uważnie.

– Ale przecież się nie poci. Nie ma kolki ani niczego podobnego, jest tylko znów zdenerwowana.

Rzeczywiście skóra Diamond była gorąca, ale sucha. Także pysk miała suchy.

– Może chce jej się pić. – Buldog wybiegł, aby przynieść wiadro wody i rzeczywiście Diamond piła chciwie.

– Patrz, tak jej się śpieszy, że aż jej woda leci z pyska – stwierdził z zadowoleniem. – To o to jej chodziło.

– Ale przecież miała wodę w boksie – zauważyła Rosie i spojrzała na niemal pełne wiadro. – No, może była brudna, kiedy ją zmieniałeś ostatni raz?

Buldog spojrzał na nią niemal obrażony.

– To miałem nosić wodę i spuścić z oczu tę grudkę złota? – spytał. – Ale tak czy owak teraz się napiła i może biec. – Pogłaskał szerokie czoło klaczy.

– Życzę ci szczęścia, ślicznotko. A jeszcze więcej szczęścia życzę tobie, moja jeszcze piękniejsza. – Chciał pocałować Rosie, ale ona nerwowo go odepchnęła.

– Tom, wiem, zwariowałam. Ale gdybyś znalazł doktora... Byłoby lepiej, gdyby on ją obejrzał jeszcze raz. Żebyśmy nie ryzykowali. My...

Buldog skinął głową z rezygnacją.

– Poszukam go – powiedział. – Ale jeśli go nie znajdę, nie czekaj tutaj, Rosie. Bierz udział w tej gonitwie i tym razem nie powstrzymuj konia.

– Ale jeśli ktoś ją zatrąf... – Rosie niepewnie wzięła do ręki cugle.

– Dobry Boże, Rosie, nie spuściliśmy jej z oka ani na minutę! Wyprowadź ją teraz, a ja poszukam Vincenta. Zrobię, co będę mógł, Rosie. Powodzenia!

Rosie skinęła głową nieco uspokojona. Diamond przebierała nerwowo kopytami, kiedy przez chwilę z nią kłusowała. Ale nic nie wskazywało na to, żeby klacz była osłabiona.

ROZDZIAŁ 11

Vincent dołączył do Roberty na trybunie, kiedy konie już zajmowały pozycje startowe.

– Uff, w samą porę! Ale się nabiegałem! A w dodatku fałszywy alarm. I jest to coś, czego właściwie u Fence'a nie znam, on zwykle oszczędza na weterynarzu. A kolkę łatwo zdiagnozować... No, tak czy owak koń był rześki i zdrowy. Rosie jest już na starcie?

Dokładnie w tej chwili na trybunę wbiegł także Buldog.

– Tu pan jest, doktorze! Ale nie cały czas, prawda? Harry... – wskazał na chłopca stajennego, który pilnował wejścia do stajni – powiedział mi przedtem, że poszedł pan do kolki.

Vincent skinął głową.

– Właśnie wróciłem. A co takiego?

Buldog przepraszająco podniósł ręce.

– To co zwykle: musi pan obejrzeć Diamond. Jest nerwowa, ma tak dziwne błyszczące oczy, jest gorąca...

– ...ale nie ma gorączki – dokończył Vincent. – Przykro mi, Tom, chętnie uspokoiłbym Rosie, ale...

– Błyszczące oczy? – spytała z uśmiechem Roberta. – A może ona używa belladonny? Ostatnio gdzieś czytałam, że dawniej damy zakrapiały sobie tym oczy, żeby były błyszczące i namiętne.

Buldog się roześmiał. A Vincent najpierw się skrzywił, ale nagle spowaźniał.

– O nieba, atropina! Wyciąg z wilczej jagody! Wszystko pasuje, zmiany nastroju, sucha, gorąca skóra, drżenie i to rzekome chwianie się... Tibbs, czy ona miała kłopoty z przelknięciem?

– Tylko pragnienie. I woda jej trochę wylatywała z pyska, ona...

Vincent się poderwał.

– Atropina, w niskich dawkach, inaczej Diamond już by nie żyła. Tibbs, chodźmy, musimy zatrzymać wyścig. Jeśli ona upadnie w trakcie gonitwy...

Vincent i Buldog biegli na dół z trybun, a tuż za nimi podążała Roberta.

– Ale przecież obserwowaliśmy ją cały dzień – odparł Buldog. – My...

– A kto był z nią w czasie gonitwy pańskiego ogiera? – spytała Roberta. – Czy ona była tam sama?

Buldog potrząsnął głową.

– Co też pani mówi? Był z nią w stajni opiekun koni lorda, ten Finney. Poprosiłem go, aby miał ją na oku.

Vincent umilkł na chwilę.

– Ten obleśny typek, którego lord wtedy zatrudnił dla Rosie? O którym Rosie zawsze mówiła, że pracuje byle jak?

Buldog wzruszył ramionami.

– Nigdy niczego nie zauważyłem. Właściwie pracował pilnie, nawet nocami...

Vincent chwycił się za czoło.

– Niech pan słucha, Tibbs: pójdzie pan na dół i spróbuje pan zatrzymać tę gonitwę. Ja zajmę się tym gówniarzem. Musimy wiedzieć, ile i czego on jej dał.

– Naprawdę pan myśli, że ona może upaść i zdechnąć?

Buldog popatrzył z rozpaczą na tor. Konie wchodziły w kłus przed startem. Nie będzie łatwo je powstrzymać.

– Biegiem, Buldog! – Vincent zdecydowanie wskazał w kierunku toru. – Zanim się nie dowiem, ile ona tego dostała, nie mogę nic powiedzieć. Ale jest w ogromnym niebezpieczeństwie. A więc szybko!

Buldog pobiegł do kierownictwa toru, ale po drodze chyba się uspokoił i ruszył inną drogą.

Vincent biegł razem z Robertą do stajni.

Finney, chłopiec stajenny, krzątał się właśnie przy koniach chodzących w galopie, z których tej niedzieli żaden nie miał znaleźć się na torze – ten dzień był przeznaczony wyłącznie dla kłusaków. Dlatego tym dziwniejsze było to, że chłopak tu właśnie coś robił.

Roberta się przeraziła, kiedy Vincent chwycił go za kurtkę na piersiach i wymierzył pięścią cios prosto w twarz.

– Niniejszym przepraszam, jeśli dopadłem nie tego, co trzeba – oświadczył krótko. – Ale jeśli trafiło na winnego, to było to zamiast dłuższej przemowy. Ile i czego daliście kłaczy?

Mężczyzna za chwilę się pozbierał.

– Jakiej kłaczy? I jak...?

Vincent, nie czekając długo, powtórzył cios.

– A może zdradzicie nam też, kto wam to zlecił? Ale najpierw: co i ile?!

Vincent trzymał go w taki sposób, aby za chwilę móc znowu uderzyć, jeśli nie zacznie mówić. Roberta patrzyła z przerażeniem – czy aż do wczoraj jej się wydawało, że Vincent jest delikatny i trochę słaby?

– Ja... ja nie wiem... pięć kropli... Nie wiem, co tam jest. Środek wzmacniający... – Stajenny, stękając, wydusił słowa z krwawiących warg.

– Środek wzmacniający. Jasne. Gdzie są te krople? I nie ważcie się uciekać! – Vincent puścił mężczyznę, który zatoczył się i upadł na skrzynkę ze szczotkami. – Żadnych sztuczek! – Vincent szedł za nim i chroniąc Robertę, wysunął się przed niego. – Jeśli wrócicie z bronią...

Wystraszony mężczyzna podniósł ręce.

– He... Pokój! Ja nie mam żadnej broni. To tylko kilka tych kropel. – Wskazał na regał.

– Przynieś je, Roberto. – Vincent wpatrywał się z wściekłością w swoją ofiarę. – Jest tam coś napisane? – spytał.

– Atropina – przeczytała Roberta i zaczęła uważnie studiować dane roztworu.

Vincent skinął głową.

– Zawsze dawaliście jej pięć kropli? – spytał.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Zwykle trzy. Ale tym razem, Mr Fence sądził, że...

Vincent wymierzył mu na zakończenie potężny cios prawym sierpowym.

– Wynoście się! I nie próbujcie uciekać! Właściwie należałoby was zamknąć, ale mam teraz co innego do roboty niż szukać kogoś, kto będzie was pilnował! Ale biada, jak skłamaliście!

Vincent wybiegł ze stajni, a zasapana Roberta szła tuż za nim.

– Czy ona od tego zdechnie?

Weterynarz potrząsnął głową.

– Raczej nie. Ale powinno się ją zostawić w spokoju. To dodatkowe obciążenie układu krążenia... Choć takie niebezpieczeństwo istnieje. Cholera, powinniśmy byli wcześniej na to wpaść. Ten Fence to podły hazardzista. Nie chciał jej zabić, tylko wykluczyć możliwość wygranej. A środek wybrał perfekcyjnie. W małych ilościach powoduje euforię, to tłumaczy jej nerwowość. I obciąża wzrok – dlatego płoszyła się w stajni w Auckland... O Boże, co to jest?

W czasie gonitwy na trybunach zawsze panował ogłuszający wrzask, Vincent i Roberta do tej pory nie zwracali na to uwagi. Ale teraz brzmiało to jak wspólny okrzyk zdziwienia.

– Tam się coś stało!

Vincent biegł jeszcze szybciej, Roberta tuż za nim, na ile pozwalał jej na to gorset. W głębi ducha przysięgła sobie, że nie włoży go już nigdy w życie.

Ale na szczęście nic nie wskazywało na jakiś poważny wypadek, kiedy dotarli do trybun. Konie wychodziły z zakrętu przed prostą i było już po pierwszej rundzie.

– Chyba żaden koń nie upadł – dyszał Vincent, patrząc w kierunku biegnących koni. Roberta zerknęła w drugą stronę.

– Vincent, tam!

Buldog wspinał się na ogrodzenie przed trybunami. Najwyraźniej zamierzał stanąć na drodze pędzących koni i próbować je zatrzymać.

– On próbuje zatrzymać całą gonitwę. Czyli kierownictwo toru nie zareagowało!

Vincent ruszył biegiem w kierunku Buldoga.

– Tibbs, Tibbs, pan oszalał?! Nie zatrzyma ich pan!

Vincent wrzeszczał, próbując go ostrzec, ale oczywiście było za późno. Ani Buldog nie mógł go usłyszeć, ani też Vincent nie mógł już zdążyć dobiec do Tibbsa i ściągnąć go z toru. Kilku mężczyzn spośród publiczności próbowało to właśnie zrobić, ale silny jak niedźwiedź przedsiębiorca transportowy strząsnął ich z siebie, jak gdyby byli natrętnymi insektami.

Roberta nic już nie widziała – ale jeśli Buldog stanie na drodze pędzących koni, one go niechybnie stratuja. Lecz wówczas Buldog nagle przestał krzyczeć i zaczął wpatrywać się w pędzące konie pośrodku toru. Rosie właśnie tu docierała i przyśpieszyła na widok narzeczonego wspinającego się po zewnętrznej bandzie. Od strony wewnętrznej na torze nie było ogrodzenia, Rosie i jej koń mogli bez trudu zjechać na bok gdzieś między startem a drugim zakrętem. Buldog wyglądał tak, jak gdyby chciał biec do niej przez tor pełen rozpędzonych koni z wózkami, ale jednak rozsądek wziął górę: mężczyzna przycisnął się do bandy, kiedy przemknęły obok niego zaprzęgi. Dopiero wtedy zaczął biec, płacząc i śmiejąc się jednocześnie, w stronę zjeżdżających z toru Rosie i Diamond. Roberta i Vincent biegli za nim.

– Nie jesteś zły, prawda? – pytała go wystraszona Rosie, choć już jego gwałtowny uścisk wskazywał na to, że Buldog w żadnym wypadku nie był na nią zły. – Ale Diamond... ona biegła szybko, ale coś było nie tak... Doktorze...

Vincent wyciągnął już stetoskop i osłuchiwał serce klaczy. Diamond chwiała się lekko.

– Jest dobrze, Rosie, zrobiła pani najmądrzejszą rzecz, jaką tylko można było zrobić. Teraz proszę ją wyprzęgnąć, powoli zaprowadzić do stajni i dać jej węgiel aktywny. Rosie, proszę nie płakać, ona nie zdechnie. Wyjdzie z tego. Ale jest...

Buldog tymczasem zdążył się już opanować.

– Kto to zrobił? – spytał z zaciśniętymi zębami. – Gdzie jest ta świnia? Jak go dopadnę...

Vincent wskazał na nadciągające znów konie na torze.

– Jeśli się pan pośpieszy, to go pan dopadnie przy dekorowaniu zwycięzców... Niech pan nie zwleka. Ale niech go pan też nie zabije. To był Joseph Fence.

– Co się teraz z nim stanie? – Rosie zanosila się od płaczu.

Trzy godziny po gonitwie stan Diamond wyraźnie się poprawił. Dawka atropiny, którą podał jej stajenny, nie była wysoka, teoretycznie Diamond mogła biec dalej w gonitwie i może nawet wygrać. Ale równie dobrze mogła się zachwiać, potknąć i przewrócić wraz z *sulky* i siedzącą na nim Rosie. To niosło ze sobą zagrożenie życia, nawet gdyby tylko jeden koń się przewrócił. Ale przy tak licznej gonitwie kwalifikacyjnej skończyłoby się to o wiele gorzej. Fence ryzykował śmiercią wielu ludzi i zwierząt.

– Z kim? – spytał Vincent, który był wyraźnie spokojniejszy. Przez dłuższą chwilę obawiał się o Diamond. – Z Tibbsem czy Fence'em? Tibbsa niedługo wypuszczą z aresztu. Sean Coltrane już się za nim wstawił, a można założyć, że twój narzeczonej nie będzie się więcej awantuował. Ale Fence ze

złamaną szczęką będzie musiał wytrzymać kilka tygodni. Z nosem chyba też coś nie w porządku, prawda? W każdym razie dziś na pewno nie będzie w stanie cieszyć się ze zwycięstwa.

– Ale on chyba pójdzie do więzienia, prawda? – spytała Roberta.

Towarzyszyła Rosie i Vincentowi w drodze do stajni i nie widziała „występu” Buldoga w czasie dekoracji zwycięzców. Zgodnie z tym, co mówiły Chloé i Heather, narzeczony Rosie wpadł w prawdziwą furję. Potężny przedsiębiorca transportowy udzielił właściwej lekcji Fence’owi na oczach wszystkich widzów, kierownictwa toru i pozostałych woźniców.

Chloé wzruszyła ramionami.

– No, karę poniesie raczej Buldog – stwierdziła realistycznie. – Joemu właściwie niczego nie można udowodnić. Nie powinniście byli pozwolić uciec temu stajennemu. Nie mogłaś go związać twoim paskiem do pończoch, Robbie? – zakpiła.

– Wydawało nam się, że ważniejsze jest ratowanie konia – stwierdził Vincent. – Ale ja już wysłałem małego Harry’ego, aby sprawdził okoliczne knajpy. Przy odrobinie szczęścia dopadnie tego typka, który na pewno nie uciekł, tylko leczy rany za pomocą whisky. – Vincent się uśmiechnął, nie tając gniewu. – Ale poza tym... jak Fence wszystkiemu zaprzeczy, to przed sądem niewiele się wskóra. Ale tu, na torze, nie będzie już dla niego miejsca. Trenerzy i woźnice uwierzą mnie – i będą nieźle wściekli. Ten typ ryzykował nie tylko życie Rosie, ale także ich.

– To zamkną Buldoga, a nie Joego? – pytała bezradnie Rosie. – Ale to przecież nie fair!

– Wobec takiego odkrycia może wreszcie będziesz mieć dość wszystkiego, co związane z gonitwami i jeździectwem? – rozległ się energiczny głos Violet stojącej w wejściu do stajni. Właśnie oboje z Seanem weszli do stajni i Rosie rzuciła się jak dziecko w ramiona starszej siostry – jak dziecko w objęcia matki. Już troska o Diamond była wystarczająco ciężkim przeżyciem, ale gdyby w dodatku Buldog miał wylądować w więzieniu... Rosie rozszlochała się jak nigdy przedtem. Violet głaskała ją po włosach, a Sean Coltrane uspokajająco potrząsnął głową.

– Nie napędzaj jej stracha, Violet – powiedział przyjaźnie. – Tom Tibbs już wyszedł z aresztu na posterunku policji, Rosie. Czeka na ciebie. Powiedział, że w domu. Był jeszcze za bardzo zdenerwowany, żeby przyjść tu z nami.

Potrzeba było trzech silnych mężczyzn, aby oderwać Buldoga od Joego, a policja w czasie jego aresztowania też nie obeszła się z nim zbyt łagodnie.

– W każdym razie Tom powiedział, żebyś zabrała Diamond do niego do stajni, jak tylko to będzie możliwe. A Roberta i Vincent też są oczekiwani, ale to ma być niespodzianka. Właśnie zawitała do Addington... – Sean mrugnął porozumiewawczo do Vincenta. – Ach, prawda, a jeśli ktoś miałby być głodny, to Tom zamówił już frytki i ryby...

Dla każdego, kto znał Rosie, musiała to być sensacja, kiedy powierzyła Vincentowi i stajennemu zadanie przeprowadzenia Diamond do stajni Buldoga, a sama w tym czasie udała się do narzeczonego. Chloé i Heather na chwilę przeprosiły całe towarzystwo, ale oświadczyły, że później także pojawią się u Toma.

– Chętnie zjemy frytki i rybę! – śmiała się Heather. – Ale tym razem będzie do tego szampan. Do piwa w tym życiu już się nie przyzwyczaję!

Kobiety wzięły dorożkę i ruszyły do White Hart w nadziei, że będą mogły kupić kilka butelek w hotelowej restauracji.

Sean powstrzymał Violet, kiedy chciała iść za Robertą i Vincentem do stajni Buldoga.

– Zostaw ich, niech sami zobaczą, co to za niespodzianka – powiedział, mrugając porozumiewawczo. – Wszystko zmierza do kolejnych zaręczyn i doprawdy nie potrzebujesz szukać powodów, aby od razu napić się z nami szampana. Wobec tylu radosnych wydarzeń żadna

z fanatyczek wstrzemięźliwości nie może ci czegokolwiek zarzucić.

Usłyszawszy to, Violet już szykowała się do wygłoszenia stosownego wykładu o tym, że odkrycie nieczystych machinacji Joego Fence'a jest wydarzeniem dalekim od radosnego. Bo w gruncie rzeczy tego dnia ponownie – i tym razem ostatecznie – straciła swojego syna. Sean, który rozumiał jej ból, objął ją ostrożnie ramieniem.

– Zapomnij o przeszłości. Uratowałaś swoją siostrę, córkę – a przede wszystkim siebie. A to, że nie mogłaś uratować Joego... On otrzymał wszystkie możliwe na tym świecie szanse. I z pewnością spadnie teraz jak kot na cztery łapy, nawet jeśli tu będzie miał ogromne kłopoty. Pewnie wyniesie się na Wyspę Północną i tam zacznie wszystko od początku.

Zimnokrwiste perszerony i coby w stajni Buldoga powitały swą niedawną towarzyszkę Diamond radosnym rżeniem, kiedy Vincent wprowadził klacz do środka. Ale Roberta usłyszała też nieco inne, łagodne i dobrze jej znane bulgotanie. Zdumiona poszła w tym kierunku, podczas kiedy Vincent dawał stajennemu wskazówki, jak karmić Diamond – i nie wierzyła własnym oczom. W kącie stajni zobaczyła znaną jej z Afryki białą klaczkę basuto! Lucie była co prawda trochę wychudzona i wyraźnie zmęczona, ale natychmiast rozpoznała Robertę i zarżała radośnie – zupełnie tak samo, jak robiła to w Afryce!

– Vincencie! To jest ta niespodzianka? Ale... ale to przecież niemożliwe... Sprowadziłeś mojego konia z Afryki? – Roberta z niedowierzaniem głąskała Lucie po miękkich chrapach.

Rozpromieniony Vincent podszedł do niej.

– Właściwie chciałem jej zawiązać czerwoną kokardę na szyi, żeby wyglądała naprawdę jak duża niespodzianka... ale skoro odnalazłyście się same... Cieszysz się?

Roberta skinęła głową.

– Pewnie. Ale... jak ci się to udało? Koń z Afryki... To na pewno było bardzo drogie.

Vincent potrząsnął głową.

– Ależ skąd, musiałem tylko uruchomić kilka znajomości. Przyjechała z oddziałam kawalerzystów z Christchurch. Oni też zabierali do domu swoje konie. A ponieważ konie nie robią różnicy między wrogami a przyjaciółmi, także żaden z czworonogów nie miał nic przeciwko dodatkowemu ładunkowi. – Uśmiechnął się.

Roberta ufnie oparła się o przyjaciela.

– Nigdy tego nie mówiłam, ale bardzo się o nią martwiłam i myślałam, co się z nią tam stało...

Vincent przyciągnął ją do siebie.

– No i mamy ją tutaj. Przecież lubisz konie. I pomyślałem, że jeśli będziesz mieć żywego, to może wreszcie rozstaniesz się z tym tutaj... – Wskazał na jej torebkę, a Roberta się zaczerwieniła. Rzeczywiście nie potrafiła wyrzucić szmacianego konika, którego Kevin wygrał i podarował jej już tyle lat temu. Konik wisiał przywiązany do jej torebki. Chciała właściwie wyrzucić go jeszcze przed podróżą, ale jakoś nie miała do tego serca.

– To... maskotka przynosząca szczęście – wyszeptała.

Vincent popatrzył na nią surowo.

– To tylko fetysz, moja kochana. Nie zaprzeczaj, wiem, skąd to masz. Kevin mi o tym opowiedział.

Roberta miała ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię.

– Kevin wiedział...? – spytała zakłopotana.

Vincent się uśmiechnął.

– Każdy o tym wiedział, Robbie. Ale myślałem, że przy odrobinie cierpliwości... Musisz mi opowiedzieć, co spowodowało, że zmieniłaś zdanie. No, wyrzucisz go teraz?

Roberta potrząsnęła głową.

– Nie. On na to nie zasłużył. Ja tylko... źle go oceniałam. Ale w końcu jednak przyniósł szczęście,

prawda?

Podniosła głowę i popatrzyła Vincentowi w twarz – zobaczyła jego rozjaśnione oczy, kiedy ją całował.

Lucie szarpała skórzany rzemyk, którym Roberta przywiązała konika do torebki... aż wreszcie go zerwała.

ROZDZIAŁ 12

– A co będzie teraz z tym Fence'em i owym zabawnym narzeczonym Rosie? – dopytywała się Atamarie. Teraz, ponieważ, było jej przykro, że nie pojechała z przyjaciółką na gonitwy do Christchurch. Jak się okazało, wycieczka nieoczekiwanie zrobiła się bardzo ekscytująca. Atamarie nie mogła się nasłuchać o tym, jak sympatyczny weterynarz Roberty zamienił się nieoczekiwanie w groźnego wojownika, kiedy oboje odkryli nieczyste machinacje Joego.

– Który z nich pójdzie do więzienia?

– Żaden. – Roberta z wyrazem szczęścia na twarzy bawiła się w zamyśleniu zaręczynowym pierścieniem. – Harry, stajenny, który miał iść śladami tego Finneya do pubów, rzeczywiście go znalazł! I on oczywiście wyspał swojego zleceniodawcę u lorda Barringtona i także na policji. Nie tylko doprowadził do choroby Diamond, ale manipulował wszystkimi końmi, które trenowała Rosie. I było to bardzo proste, bo te konie stały w stajni u lorda. Lord przeproszał po sto razy, ale rzeczywiście tu nie mógł poradzić. Joe pracował w tych stajniach. Ale on oczywiście przedstawił to jako drobne przewinienie, bo tak naprawdę nie chciał poważnie zaszkodzić ani człowiekowi, ani zwierzęciu. Chciał tylko zrujnować opinię Rosie jako trenera. Miał nadzieję, że na koniec będzie mógł kupić Diamond i dostać pozostałe konie do treningu. To oczywiście wiąże się z pieniędzmi.

– I nie pójdzie za to do więzienia? – Atamarie uważała to wszystko za wystarczająco złe.

– Chłó i Rosie wycofały swoje doniesienie – powiedziała Roberta. – A w zamian za to Joe zrezygnował z dochodzenia przeciwko Buldogowi za pobicie. Bo on mógłby mieć więcej kłopotów niż Joe, którego nieźle urządził. Kiedy Joe się wygrzebie, będzie mógł w zasadzie zatrzymać swoją stajnię. Jeśli ktokolwiek będzie jeszcze na tyle głupi, aby powierzyć mu konie. Vincent mówi, że słyszał na torze, jakoby Joe planował emigrację... Australia czy coś...

Atamarie się roześmiała.

– Im dalej, tym lepiej. Czyli tor wolny dla Rosie.

Roberta potrząsnęła głową.

– Z karierą Rosie jako trenera koniec. Patrząc na to w ten sposób, Joe osiągnął swój cel. Po skandalu z trenerem o nazwisku „Ross Paisley” nie ma co dalej o tym myśleć, każdy wie, że „on” jest kobietą, nawet pisały o tym gazety. Dotychczas było to ogólnie znaną tajemnicą, ale teraz inne kluby jeździeckie wniosły skargi. Rosie zrezygnowała z licencji. Nie chce też już tam być. Klimat na torach wyścigów konnych jest zbyt surowy dla kogoś, kto kocha konie. I Rosie jeździ teraz w czterokonnym zaprzęgu perszeronów. Mr Tibbs dowcipkuje, że ma najszybszą spedycję w całej Nowej Zelandii.

– No, najważniejsze, że są szczęśliwi. – Atamarie rozsiadła się wygodniej i grzała twarz w wątlých promieniach zimowego słońca. Dziś wyjątkowo nie padało i obie młode kobiety zajęły miejsca w zimowym ogrodzie małej kawiarni koło katedry. Mimo słońca było dość zimno.

– Pojedziesz ze mną do Ngai Tahu koło Elizabeth Station? – spytała po dłuższej chwili Atamarie.

Roberta aż się zatrzęsała.

– Aby przeżyć święto Matariki i pojawienie się gwiazd? Siedzieć na dworze, patrzeć w niebo i marznąć, podczas kiedy ty będziesz flirtowała z twoim Rawiri? O ile można nazwać flirtem ciągłe rozmowy na temat steru wysokości i powierzchni nośnych.

W jej głosie nie było słycać zachwyty wobec tego pomysłu.

– Kevin i Doortje też przyjdą – dodała chytrze Atamarie.

Jeszcze tydzień wcześniej takie wyznanie spowodowałyby u Roberty całkowitą i natychmiastową zmianę zdania. Ale teraz dziewczyna jedynie wzruszyła ramionami.

– Patrick i Juliet też – uzupełniła Atamarie.

Roberta zagryzła wargę. Nie opowiedziała jeszcze przyjaciółce o tym, czego była świadkiem w gabinecie Kevina, i miała zamiar to zrobić.

– Doortje powinna... uważać na Kevina – zaczęła ostrożnie.

Ale gdy zastanawiała się jeszcze nad doborem dalszych słów, do ogrodu wszedł Rawiri.

– Tu jesteście! – zawołał i lekko przyłożył nos i czoło do twarzy Atamarie. Wymienił z nią *hongi*, mimo że sytuacja nie wymagała jakiegoś oficjalnego powitania. Ale Rawiri obawiał się pocałunku. Jak długo Atamarie nie podjęła ostatecznej decyzji, chciał zachować pewien dystans.

– Czemu tu siedzicie i marznicie?

– Ćwiczymy przed świętem Matariki – odparła Roberta. – Atamarie chce mnie tam zabrać, ale ja nie mam ochoty!

– Przecież to taka podniosła uroczystość! – zachwycił się Rawiri. – Zwłaszcza jeśli noc będzie jasna. Te pieśni, tańce, latawce... Nie chce pani przesłać bogom pozdrowienia – wprost do nieba? Nie ma pani żadnego życzenia?

Roberta ze śmiechem potrząsnęła głową.

– Jestem bezgranicznie szczęśliwa i niczego już nie pragnę! – odparła i pokazała mu pierścienek zaręczynowy.

Rawiri się uśmiechnął.

– Też mógłbym być – stwierdził. – Atami, profesor Dobbins do mnie pisał. Rzeczywiście chciałby, abym wygłosił wykład na temat braci Wright i zorganizował seminarium poświęcone budowie maoryskich latawców. Pisał też, że cieszyłby się, gdyby mógł mnie przyjąć w poczet swoich studentów już w najbliższym semestrze. A więc, jeśli ty chciałabyś...

Twarz Atamarie się zachmurzyła. Ona także otrzymała pocztę od Dobbinsa, który ponownie zaoferował jej posadę niesamodzielnego pracownika naukowego, co było bardzo wielkoduszne. Jej pierwsze, robione trochę od niechcenia starania w rozpisanych konkursach o miejsca pracy wykazały, że kobieta inżynier raczej nie będzie zasypywana ofertami.

– A poza tym ja... – Rawiri zapiął ciasniej kurtkę, jak gdyby chciał się w niej ukryć – ...ja napisałem mu też, że nie miałbym nic przeciwko ewentualnej współpracy z Richardem Pearse'em.

Obie kobiety zaalarmowane nagle się wyprostowały.

– Co mu napisałeś? – spytała Atamarie.

Rawiri spuścił wzrok.

– No, pomyślałem, że on może chciałby pokazać swój samolot i opowiedzieć o próbach lotu, a ja – o braciach Wright. To chyba byłoby fair, prawda? To mogłoby być takie... porównanie.

Atamarie popatrzyła na niego wyraźnie wzruszona.

– To jest... to jest bardzo... wielkoduszne z twojej strony – wymamrotała.

Rawiri wzruszył ramionami.

– Nic na tym nie tracę. Ja przecież nie latałem...

– Ale dałbyś mu forum! – Atamarie nagle się ożywiła. Wyraźnie zaczęła się interesować tym pomysłem. – On mógłby przynajmniej przedstawić swoje prace i dokonania, choć trochę zwrócić na to uwagę...

Roberta przewróciła oczami.

– A co na to Dobbins? – zwróciła się Atamarie do Rawiri. – Zgodził się na to?

Rawiri patrzył na nią z czułością, ale błysk w jego oczach zgasł nagle.

– Sam pomysł nawet mu się spodobał – odparł. – Ale nie udało mu się skontaktować z Pearse'em. List wrócił nierozpieczętowany z dopiskiem, że adresat jest nieznany. Przykro mi, Atami. Myślałem...

chciałem ci pomóc w podjęciu decyzji. Ale bogowie najwyraźniej prowadzą nieczystą grę. Dalej będę musiał walczyć z duchem.

Roberta odetchnęła głęboko. Rawiri wydawał jej się niezwykle sympatycznym człowiekiem – ale ona także widziała, jak rozbłyły oczy Atamarie, kiedy pojawiła się nadzieja na spotkanie Richarda Pearse’a.

– Ten duch – powiedziała powoli – mieszka koło Loudens Gully, w pobliżu Milton, w Otago. To mniej więcej trzydzieści mil stąd, Atami. Możesz pojechać tam jutro pociągiem.

Atamarie i Rawiri zapomnieli zupełnie o chłodzie, kiedy Roberta opowiadała o swojej wycieczce do Temuka. Rawiri słuchał z udawanym spokojem, Atamarie zaś z rosnącą ekscytacją.

– On nie ożenił się z Shirley? – spytała. – On... po prostu stamtąd uciekł?

Roberta skinęła głową.

– Chyba do ciebie – powiedział Rawiri z rezygnacją. – Bo dlaczego miałby przyjeżdżać akurat do Otago?

– Do mnie? – Atamarie aż podskoczyła. Jej oczy wprost zapłonęły gniewem. – Gdyby chciał przyjechać do mnie, to mógłby po drodze wysiąść, kiedy pociąg się tu zatrzymał! Jeśli chciał jechać do mnie, to dlaczego kupuje sobie pierwszą lepszą farmę w najbliższej zapomnianej przez Boga i ludzi okolicy? Loudens Gully – znacie to miejsce? Wszędzie dookoła są tylko wzgórza! Gdyby próbować wystartować tam skądkolwiek samolotem, to natychmiast wjedzie się na następne wzgórze! Tam nie można latać! A więc jeśli on chciał jechać do mnie... jeśli chciał mnie... – Atamarie się odwróciła, walcząc ze łzami.

Roberta uważnie popatrzyła na przyjaciółkę.

– Czy ty pragniesz jego, Atamarie, czy też chcesz latać? – spytała poważnie.

Atamarie opuściła głowę.

– Nie wiem, Robbie, po prostu nie wiem. Ale myślę... gdyby on mnie chciał...

Rawiri wstał.

– Pomyśl o tym, Atamarie – powiedział łagodnie. – Jeśli jeszcze raz chcesz spróbować, to po prostu tam pojedź. Porozmawiaj z nim, namów go na ten wspólny wykład. – Maorys popatrzył na Robertę, a potem znów na Atamarie. – Ale nie zadawaj sobie pytania, czego chcesz: latać czy być z nim. Bo to jest źle sformułowane pytanie, Atami. Ty chcesz latać i możesz latać. Jeśli on rezygnuje ze swoich marzeń, to jego sprawa. Ale ty nie rezygnuj ze swoich marzeń dla niego!

Atamarie w ciągu następnych dni rozmyślała stale – i tak usilnie jak jeszcze nigdy w swoim życiu. Przyłączyła się do Patricka i Juliet, którzy w weekend wracali na Elizabeth Station – i przeżyła wiele bardzo denerwujących chwil w podróży, bo Juliet była stale nadąsana i nie kryła tego, że nienawidzi powrotów na farmę. Patrick w pierwszych godzinach starał się ją rozbawić jak mógł, ale w końcu się poddał i po chwili toczył ożywioną rozmowę z Nandé. Czarną dziewczynę od dłuższego czasu pochłaniała uprawa winorośli i teraz wykorzystwała okazję, aby wprost zasypać Patricka niekończącymi się pytaniami. Atamarie się zastanawiała, czy ona rzeczywiście aż tak się tym interesowała, czy też chciała rozweselić swego pracodawcę. Dziewczyna wyrażała się w sposób bardzo wyszukany, mówiła perfekcyjnie po angielsku i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Gdyby jeszcze nie spoglądała tak ostrożnie na Juliet...

Atamarie nie mogła mieć jej tego za złe. Juliet była bez wątpienia bardzo kapryśna i prawdopodobnie wyładowywała na Nandé swoje humory. Atamarie się zastanawiała, co Roberta opowiedziałaby o Kevinie, gdyby nie przerwał jej Rawiri. O sprawie z Richardem już nie myślała i teraz się złościła, że nie wypytała Roberty. Ale wkrótce zapomniała także o Juliet, bo wreszcie dotarli do Elizabeth Station. Lizzie i Michael ucieszyli się z jej wizyty ogromnie, a Michael natychmiast był

gotów pożyczyć jej następnego dnia konia.

– Loudens Gully jest stąd oddalone o pół dnia jazdy – powiedział. – Ale na dobrym koniu. Drogi są dobre i można jechać szybko, bo to dawniej był teren, gdzie poszukiwano złota. Ale czy naprawdę chcesz jechać do tego mężczyzny... To znaczy, wybacz, Atami, ale moim zdaniem to ty się za nim ugniasz.

Atamarie zagryzła wargi, ale Lizzie natychmiast załagodziła całą sprawę.

– Za niektórymi mężczyznami trzeba się niestety trochę pouganiać – dokuczała mężowi. – Gdybym wtedy nie przyjechała za tobą nad Ściek Gabriela, to do dziś byłbyś bezskutecznie szukał złota.

Michael roześmiał się w odpowiedzi.

– Nie, kochanie, dawno bym wrócił do pędzenia whiskey – stwierdził. – A poza tym wtedy żadna przyjaciółka nie musiała ci mówić, gdzie byłem. Doskonale wiedziałaś, gdzie mnie szukać. Wcale przed tobą nie uciekałem.

Atamarie spojrzała przerażona na dziadka.

– Sądzisz, że on... ucieka przede mną? – spytała.

Michael wzruszył ramionami.

– Ja go w ogóle nie znam. Może ucieka przed czymś innym. Ale popatrz na to z punktu widzenia farmera, Atami: czy pracuję na farmie na Canterbury Plains czy w Otago, to wychodzi właściwie na to samo. Twój młody przyjaciel nie wyruszył stamtąd po to, aby szukać złota i szczęścia. On tylko chciał zmienić miejsce zamieszkania. Nie widzieć i nie słyszeć niczego ze swojej przeszłości. Odciąć się od wszystkiego.

Atamarie to także uznała za jeden z tematów do przemyślenia i udała się w tym celu nad wodospad. Rawiri, jak sądziła, prawdopodobnie zwróciłby się do duchów. Albo może zrobiłby to, gdyby tak całkowicie nie pochłonęła i nie przekonała go nauka. Całkowicie? A może jednak pragnął także decyzji bogów? Czy jego wielkoduszna propozycja, aby zaprosić Richarda do wspólnego wykładu w Canterbury College, nie była czymś w rodzaju wyroczni?

Atamarie się uśmiechnęła. A właściwie dlaczego nie?

Następnego dnia pożyczyła konia od Michaela i ruszyła w góry. Śpiewała cicho tradycyjne pieśni, szukając liści krzewów *raupo* i ze złości prosiła bogów o pozwolenie, zanim zerwała kilka. Atamarie nie budowała tym razem dużego latawca, ale zadała sobie dużo trudu, konstruując stelaż z drewna *manuka*, i starannie wyliczyła rozpiętość skrzydeł *birdmana*. Ten *manu* miał być naprawdę zdolny do lotu, więcej, on miał być naprawdę dobry. Atamarie intonowała stare modlitwy i zaśpiewy, łącząc starannie wszystkie jego części. Ale nocą, kiedy leżała samotnie w swoim namiocie przy ognisku i wpatrywała się w gwiazdy, pozwoliła myślom unosić się daleko. *Taku i toku* – przeszłość i jej ocena. Jak często jeździła do Richarda, jak często go pocieszała, dodawała mu odwagi i pomagała? Atamarie z dreszczem przerażenia przypominała sobie czas żniw. A jak często on próbował nawiązać z nią kontakt? Jak często się o nią troszczył? Ona dzieliła z nim namiętność i łóżko i było jej z nim dobrze. On poruszył jej serce. Ale czy także duszę? Atamarie się zastanawiała, jak dalece on pasowałby do jej *pepeha*, opisu jej życia, gdyby miała je wygłosić. Na ile on był dla niej ważny? I na ile ona była ważna dla niego? Czy on potrafił ją docenić? Czy przeszłość mogła być dla niego przyszłością, a może dla niego nie istniała ani jedna, ani druga? Co trzymało go w terażniejszości? Atamarie nie potrafiła dostrzec *maunga*, czegoś, co w dosłownym i przenośnym sensie stanowiłoby oparcie dla Richarda Pearse'a. Widziała tylko ów żywopłot – symbol jego klęski. I na przemian chciało jej się to śmiać, to płakać, kiedy po trzech dniach pracy, tuż przed świętem Matariki, wypuściła w powietrze latawiec. Pomalowała go bardzo starannie – nawet sądziła, że w jakiś sposób przypominał Richarda. *Birdman* – tak Maorysi nazywali Pearse'a. Istota zawieszona między ziemią a niebem, ni to ptak, ni to człowiek. Może godna

uwielbienia, ale jednocześnie niebędąca w stanie znaleźć swojego miejsca w doczesnym świecie.

Atamarie patrzyła za wznoszącym się latawcem, trzymała go jeszcze na jednej cienkiej *aho tukutuku*. Nie była to linka, za pomocą której można było nim sterować. Ten latawiec mieli prowadzić bogowie, nie ona. Podmuch wiatru, który porwał latawiec, z początku był delikatny i przyjemny. *Birdman* szybko się wznosił, a Atamarie śpiewała. Ale w pewnej chwili umilkła i czekała. Latawiec poruszał się w coraz silniejszym wietrze i szarpał za linkę. Atamarie ciągle trzymała ją mocno. Trudno jej było ją puścić. Ale wówczas silniejszy podmuch szarpnął latawiec i przesunął go w bok. Atamarie trzymała linkę, ale wiedziała, że nie byłaby już w stanie zapobiec jego upadkowi. Lot latawca znów wydawał się stabilny, kiedy linka powoli wymykała jej się z palców. *Manu* poszybował stromo do góry, ale nagle się zachwiał... Atamarie zobaczyła, że zaczął spadać – i po chwili zniknął gdzieś w krzakach. To nie był żywopłot. Ale zgodnie z wierzeniami przodków duchy mieszkają we wszystkich krzewach. Zdecydowały o losie latawca tak samo jak o losie Richarda Pearse'a w Temuka.

Atamarie nie szukała swojego latawca. I nie pojechała do Loudens Gully.

POWRÓT GWIAZD

WYSPA POŁUDNIOWA

LAWRENCE

1904

ROZDZIAŁ I

Kevin Drury chyba jeszcze nigdy w swoim życiu nie wstydził się tak jak tego wieczoru, kiedy Roberta Fence przypadkowo przyłapała go na schadzce z Juliet. Akurat Roberta, dziewczyna, która przez całe życie durzyła się w nim i widziała w nim bohatera, niemal człowieka bez skazy. Kevin nawet nie próbował sobie wyobrazić, co ona teraz o nim myśli! I od dawna nienawidził samego siebie za oszukiwanie Doortje. Zwłaszcza że nie było żadnego usprawiedliwienia dla tego, co robił. Doortje coraz bardziej tajała w swoim uporze i niechęci i przestawała odtrącać świat, w którym się znalazła, a także wydawała się gotowa pokochać Kevina. Albo wręcz przyznać się do tego, że już go kochała. Ten zdradzający ją błysk w oczach na jego widok, który Kevin dostrzegł już dawno, na farmie van Stoutów.

Za to Juliet... Kevin wiedział już w czasie swej ucieczki do Afryki Południowej, że między nim a Kreolką nie było miłości. W zasadzie można było ten romans zakończyć bez żadnych emocjonalnych problemów, gdyby Juliet nie wpadła na pomysł, aby zamienić Kevina na Patricka, zupełnie jak parę butów! A Kevin potem raz po raz ulegał jej manipulacjom. Ale teraz sobie przysiągł, że to się już nie powtórzy. Od kiedy Roberta ich przyłapała, schodził Juliet z drogi jak tylko mógł. A teraz Patrick znów z nią wyjechał. Do następnego spotkania miało dojść na Elizabeth Station. Święto Matariki miało być rodzinną uroczystością. Lizzie znów pragnęła mieć wreszcie wszystkie troje dzieci w domu, nawet jeśli farma pękała w szwach. I dlatego z pewnością nie będzie okazji, aby znaleźć się z Juliet sam na sam – a przynajmniej nie dłużej niż na kilka minut. Tylko tak długo, aby jej powiedzieć, że wszystko definitywnie skończone.

Kevin rozmyślał o tym, kierując wóz w stronę Lawrence. Siedział sam na koźle, a Matariki i Doortje z tyłu paplały coś wesoło i bawiły się z małym Abe. Matariki pokochała malca, a jego widok budził w niej wspomnienia czasów, kiedy Atamarie była mała. Nie myślała o Colinie Coltranie, z tą historią uporała się już dawno. A dla Doortje było to błogosławieństwo, że nigdy nie widziała Colina, zanim jego twarz została tak potwornie zniekształcona. Także dla Kevina, a szczególnie dla Patricka. W czasie krótkiego romansu Matariki i Colina obaj bracia byli jeszcze dziećmi i mieszkali w szkole z internatem w Dunedin. Przyjaciela siostry widzieli raz czy dwa razy i nie zwrócili na niego uwagi. Doortje najwyraźniej także przezwyciężyła traumę związaną z poczęciem Abe i nie obciążała nią dziecka. Była dobrą matką, przynajmniej w rozumieniu swojego narodu. Matariki próbowała właśnie nieco złagodzić jej żelazne i surowe zasady wychowywania.

– Ach, przestań, on z pewnością nie będzie tchórzem i mięczakiem tylko dlatego, że go weźmiesz na rękę, jak płacze! Maoryskie dzieci stale są pieszczone i noszone na rękach, nikt ich nie bije ani nie straszy, należą do całej wsi bez względu na to, kto jest ich ojcem i matką. I mimo to chłopcy są potem dzielnymi wojownikami, a dziewczęta silnymi kobietami. Wiesz, że są także wodzowie płci żeńskiej? Dawniej było ich o wiele więcej. Tu Anglicy mieli na nas zły wpływ, po prostu nie traktowali kobiet *ariki* poważnie. I potem kobiety nie były już wybierane na szczeptowych wodzów, Maorysi są praktyczni. Ale mogę ci dziś jeszcze pokazać maczugi wojenne i inne rodzaje broni wykonywane z myślą o kobietach. Potrafimy walczyć tak samo dzielnie jak twój lud, mimo że rozpieszczamy dzieci.

Matariki pozwalała Abe, by skakał na jej kolanach, i kołysała go na rękach, kiedy był senny. Kevin uśmiechał się wobec usiłowań siostry, które najwyraźniej padały na podatny grunt. Doortje nie sprzeciwiła się ani słowem, kiedy ruszyli w podróż, aby obchodzić pogańskie w jej oczach święto gwiazd we wsi Ngai Tahu. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że jest bardzo zaintrygowana. I najwyraźniej dobrze rozumiała się także z Lizzie w czasie ostatniego rodzinnego spotkania. Jeśli teraz nie urazi czymś Haikiny i innych członków szczeptu Ngai Tahu, to z pewnością dostanie drugą

szansę na farmie Elizabeth Station.

Kevin był zdecydowany tego nie niszczyć. Chciał zakończyć swój romans z Juliet i wkrótce potem porozmawiać z Doortje o sprawie Coltrane'a. Przyłapał sam siebie na gwizdaniu wesolej piosenki, kiedy Silver żwawo jak zwykle jechał pod górę między Lawrence a Elizabeth Station. Wszystko wyglądało coraz lepiej i Kevin miał nadzieję, że wreszcie mu się uda uporządkować swoje życie.

Matariki spadł kamień z serca, kiedy Atamarie wróciła na Elizabeth Station. Rozmawiała z Rawiri i Robertą o jej nagłym wyjeździe z Dunedin i dzieliła z nimi ich najgorsze obawy: kolejna próba związku z Richardem Pearse'em, kolejne rozczarowania, łzy i wątpliwości. Ale jej córka najwyraźniej się opamiętała. Atamarie powitała ją w doskonałym nastroju, cieszyła się z nadchodzącego święta i natychmiast spytała o Rawiri. Matariki mogła teraz mieć tylko nadzieję, że on nie zmienił decyzji i nie wrócił do Parihaka, zamiast, tak jak planował, udać się do Otago. I razem z córką i Nandé zajęła swój dawny pokój. Miejsce zamieszkania pokojówki Juliet znów stało się przyczyną kłótni. Zwykle Nandé sypiała w dawnym pokoju Matariki, ale teraz, kiedy przyjechały Atamarie i jej matka, Juliet chciała zakwaterować pokojówkę na korytarzu przed jej pokojem albo w szopie. Oczywiście Lizzie zaprotestowała ostro.

– W żadnym wypadku, Juliet, ona nie będzie spała na twoim progu jak pies. Może ty uważasz, że to praktyczne, ale dla mnie to jest niegodne człowieka! I nie może też spać zimą na słomie. Czyżby księżniczka nie zauważyła, że tam nie można rozpałić ogniska?! Dziewczyna zamarłaby na śmierć, zwłaszcza że pochodzi z tak gorącego kraju... I gdzie wtedy miałyby spać dziecko?

Nandé zwykle zabierała May na noc do swojego pokoju, była z dzieckiem całą noc, jeśli nie mogło spać. Lizzie bez słowa przyniosła ze spichlerza stare dziecinne łóżeczko i wstawiła je do dawnego pokoju Matariki. Matariki w ogóle nie rozumiała, że to mogłoby stanowić jakiś problem. Była gotowa dzielić pokój z Nandé i małą May. Oczywiście zrobiło się trochę ciasno, bo stały tam już dwa łóżka, ale Matariki nie potrzebowała dużo miejsca. To samo dotyczyło Atamarie. Kiedy młoda kobieta wróciła z gór, rozłożyła po prostu swoją matę na podłodze, co było szokiem dla Nandé. Nie mogła przecież spać w łóżku, podczas kiedy biała kobieta miała spać na podłodze.

– Nie jestem białą kobietą – oświadczyła na to Atamarie. – Jestem Maoryską. A poza tym co ma wspólnego kolor skóry z łóżkiem? Tu raczej działają inne prawa: przecież to twój pokój.

Propozycja spotkała się z akceptacją. Matariki, Atamarie i Nandé rozumiały się znakomicie. Mała May też była chętnie widziana i rozpieszczana przez wszystkie trzy kobiety.

Doortje wykazała się nowo nabytą dyplomacją, w ogóle nie poruszając tego tematu, ale może też miała dość ciągłego ostentacyjnego odtrącania jej przez Juliet. Ona, Kevin i Abe zajęli dawny dziecinny pokój Kevina, co Juliet miała im za złe. Bo ten pokój Kreolka zwykła uważać za własny i niejako go zaanektowała, nikogo nie pytając o zgodę. Pomieszczenie, w którym mieszkała z Patrickiem, było jej zdaniem za ciasne. Uważała, że potrzebuje przynajmniej jeszcze jednego pokoju do przebierania. Jako taki służył jej właśnie dawny pokój Kevina i Juliet przeważnie tam także sypiała. „Odwiedzała” Patricka w jego pokoju albo pozwalała mu przyjść do swojego, co robiła bardzo niechętnie. Dawno wybiła mu z głowy marzenie o zasypianiu w jej ramionach.

– Na kilka dni musimy się nieco ograniczyć, Juliet – stwierdziła Lizzie. – Ale takie spotkanie rodzinne jest przecież tego warte! Ten pokój należy teraz do Kevina i Doortje, którzy dzielą go z Abe. Ty za to masz przywilej zostawiania dziecka z Nandé. Ciesz się zatem i powstrzymaj się od krytyki!

Juliet zachowywała się więc spokojnie, ale wszyscy mieli bardziej lub mniej zwarzone humory w efekcie jej wiecznych dąsów i złośliwych uwag, które dotyczyły oczywiście niedostatecznej liczby pomieszczeń na Elizabeth Station. Dwór, w którym były tylko cztery sypialnie, był ponoć nie do pomyślenia w Luizjanie.

– Na przyszłość należałoby tu pomyśleć o rozbudowie albo najlepiej o budowie nowego! – oświadczyła niechętnie.

Michael i Lizzie znosili to wszystko ze stoickim spokojem, bo chyba także oni zrezygnowali z walki z ciągłymi humorami Juliet.

– Żyję tylko nadzieją, że ona kiedyś znowu ucieknie – zwierzyła się Lizzie Matariki. – Ona jest tu przecież stale nieszczęśliwa! Z całą pewnością czeka tylko na stosowną okazję w Dunedin. Jeśli pojawi się odpowiedni mężczyzna, to znów zniknie.

Matariki nie widziała tego tak optymistycznie. Wprawdzie brakowało jej dowodów na to, że Juliet była bliska swojego celu, ale spojrzenia, którymi obrzucała Kevina, świadczyły o tym, że „właściwego mężczyznę” już znalazła.

Juliet rzeczywiście od chwili przyjazdu na Elizabeth Station ani na chwilę nie spuszczała Kevina z oka, ale nie dostrzegła tego nikt oprócz jego samego, Matariki – i może Doortje. Wszyscy mówili jedno przez drugie, oszołomieni spotkaniem po długiej rozłące – a potem także winem Lizzie. Atamarie opowiadała o zaręczynach Roberty i jej przygodach w Christchurch, Matariki o sukcesach festiwalu sztuki, a Patrick o interesującym spotkaniu z jednym z „owczych baronów”, który interesował się owcami z hodowli Michaela. Matariki wciągnęła do rozmowy Doortje, pytając młodą kobietę o ostatnio przeczytaną książkę, a Nandé spowodowała mały skandal, wtrącając się natychmiast do rozmowy. Także ona dosłownie połknęła *Ostatnie dni Pompei* i oczywiście wyraziła swoje zdanie na temat książki. Doortje popatrzyła na nią z irytacją, a Juliet upomniała ją ostro.

– Służba milczy, kiedy państwo rozmawiają, Nandé. To chyba należy do zasadniczych reguł w cywilizowanym domu. Czy nie tak było w Afryce, Dorothy?

Doortje otworzyła usta, aby coś odpowiedzieć, ale rozmyśliła się i umilkła. W południowej Afryce uważano by dziewczynę od Kafrów po prostu za zbyt głupią, aby wtrącała się do rozmowy, a przede wszystkim zwykle te dziewczyny nie umiały czytać i pisać. Ale tam także nie dyskutowano by o powieści Bulwer-Lyttona, lecz w najlepszym wypadku o Biblii, a na ten temat nie było też żadnych różnych zdań.

– Na twoim miejscu byłabym ostrożna, Juliet – odpowiedziała zamiast niej Matariki. – Bo ta książka w bardzo miły sposób ukazuje, że państwo mogą być też skazani na dobrą wolę swojej służby. Gdyby Nydia nie zaprowadziła Glaukosa i Jone do portu, to oboje zginęliby w czasie wybuchu wulkanu. Atami, opowiedz Juliet trochę o aktywności wulkanicznej na Nowej Zelandii.

Wszyscy roześmiali się i tylko zawstydzona Nandé milczała i patrzyła w podłogę.

– Ja nie pozwoliłabym panu zginąć w deszczu popiołów, Mr Pat! – powiedziała cicho Nandé do Patricka, podczas kiedy Atamarie z uśmiechem opowiadała o ostatniej erupcji Ruapehu. – Ani małej May.

Patrick uśmiechnął się do niej.

– Wiem, Nandé. I też mi się nie podobało, że niewolnica pod koniec książki się zabija. Mr Bulwer-Lytton powinien był wymyślić inne rozwiązanie i pozwolić jej być szczęśliwą!

– Mam ci pomóc z gorsetem? – spytał Kevin, kiedy później razem z Doortje weszli do ich małego pokoju. – Ślicznie wyglądałaś dziś wieczór, ale naprawdę nie potrzebujesz się tym ścisnąć. Mama tego nie robi, Matariki i Atami też nie.

Doortje pozwoliła, aby Kevin rozpiął jej jasnoniebieską suknię w kwiaty. To prawda, była to wprawdzie suknia popołudniowa, ale zbyt elegancka na taką okazję. Matariki powiedziała jej to od razu, ale Doortje nie chciała wypaść gorzej w porównaniu z Juliet. Tamta miała na sobie ciemnoczerwoną suknię wieczorową. Dla Kevina był to wyraźny sygnał. A dla pozostałych tylko kolejny występ w sukni za bardzo rzucającej się w oczy, niezbyt właściwej na tę okazję. Suknia Doortje była

zapięta po szyję, a jej kolory dyskretnie podkreślały naturalną urodę młodej kobiety. Nawet najdelikatniejszy makijaż był przy tej sukni wręcz niewskazany, podczas kiedy garderoba Juliet wręcz go wymagała, aby wszystko stanowiło całość.

– Ta suknia... podoba ci się? – spytała Doortje niepewnie. – Ja... ci się podobam?

Kevin się uśmiechnął. O to jeszcze nigdy nie pytała. Odważył się i zaczął delikatnie całować jej ramiona, kiedy suknia powoli zsuwała się na ziemię. Doortje drgnęła i zeszywniała, ale nie cofnęła się.

– Zawsze mi się podobasz, ale w tej sukni szczególnie. Choć zupełnie bez sukni podobałabyś mi się najbardziej.

Kevin znów zaczął całować jej ramiona i kark. Dawniej cofnęłaby się natychmiast. Wprawdzie każdej nocy była do jego dyspozycji, ale to ona określała warunki: zawsze oczekiwała go w skromnej koszuli nocnej przykryta po uszy kołdrą. A teraz nawet światło nie było zgaszone.

– Podoba ci się... to? – spytał, całując ją.

Doortje nieśmiało odwróciła się do niego.

– Nie wiem – przyznała. – Ale... w Biblii jest napisane...

Kevin westchnął.

– Nie, nie... nie to, co myślisz. Ja... czytałam Księgę Salomona i... Pieśń nad Pieśniami.

Kevin się uśmiechnął.

– Nie znam tego na pamięć, ale o ile sobie przypominam... czy nie ma tam mowy o dwóch piersiach, które są jak dwoje koźląt?

Zsunął jej suknię, rozwiązał sznurówki gorsetu i przesunął wargi po wycięciu dekoltu w stronę piersi.

– Jak bliźnięta gazeli – wyszeptała Doortje, czując, jak jej własny oddech staje się coraz szybszy pod jego pieszczotami. – To jest też... w Biblii holenderskiej...

Kevin roześmiał się cicho.

– Dlaczego miałyby tam nie być? Przecież to najpiękniejsza Biblia, kochanie... Tak przynajmniej mówisz. Kiedy wrócimy do Dunedin, poszukam tego miejsca i nauczę się na pamięć. Obiecuję!

Doortje potrząsnęła głową i odchyliła ją do tyłu, poddając się jego pocałunkom.

– Nie musisz. Byłbyś wszystko źle wymawiał. Jak „*mejuffrouw* Doortje”...

Kevin podniósł ją i zaniósł do łóżka.

– *Mevrouw* Doortje... Przecież dobrze, prawda?

Doortje skinęła głową.

– Bardzo dobrze – wyszeptała szczęśliwa.

Juliet już na pierwszy rzut oka zauważyła, że coś się zmieniło. Między Doortje a Kevinem była jakaś zupełnie niezwykła bliskość, kiedy rano oboje zeszli na śniadanie. Oboje uśmiechali się do siebie, nie za bardzo zwracając uwagę na otoczenie, i byli pełni jakiegoś wewnętrznego światła. Matariki, która także to zauważyła, patrzyła na nich z radością i wręcz przypominała zadowolonego kota. Juliet zagryzła wargi. Coś się musiało wydarzyć.

– Co... co dziś będziemy robić? – spytała z udawaną wesołością, jedząc chleb posmarowany miodem. Była znów ciasno zasznurowana i elegancko ubrana. Jej domowa suknia skrojona była perfekcyjnie do figury. Doortje miała na sobie luźną suknię z Parihaka, prezent od Matariki.

– Idziemy do wsi – powiedziała Matariki. – Chcę odwiedzić moich przyjaciół, a Atamarie wprost pali się do tego, aby nauczyć się jeszcze czegoś na temat budowania latawców, choć ja sądzę, że jeśli chodzi o latanie, to ona już wie wszystko. Ale w każdym razie chciałyby też zobaczyć, czy już przybył tam odpowiedni *tohunga*.

– Mommyyy! – Atamarie zaczerwieniła się jak wiśnia.

– I chciałaś mi pokazać wieś – powiedziała ku zaskoczeniu wszystkich Doortje. – Snycerkę na domach i...

Matariki skinęła głową. Nie wspomniała ani słowem, że Doortje mieszkała wiele miesięcy na Elizabeth Station i nigdy nie odwiedziła maoryskich sąsiadów.

– Tak, zobaczysz, że to coś zupełnie innego niż *kraal* w Afryce – dodał Kevin. – Zupełnie inny styl architektoniczny i chyba nie można go też porównać z polinezyjskimi chatami, prawda, Riki?

Matariki uniosła ramiona.

– Nigdy nie byłam na tamtych wyspach, z których ponoć pochodzą Maorysi. Ale wiem, że jest tam o wiele cieplej niż tutaj. A więc z pewnością budowane tam chaty są bardziej przewiewne, może takie jak wasze w Afryce. Nandé, pójdziesz z nami? Juliet raz może sama popilnować swojej córki. To nie byłoby takie złe, Juliet. Bo mogłoby być nieprzyjemnie, kiedy w towarzystwie May cię nie rozpozna.

Juliet spojrzała z irytacją na szwagierkę. Ale szybko dostrzegła swoją szansę. Kevin z pewnością nie pozwoli iść kobietom samym. A Patrick miał sporo pracy na farmie.

– Pójdę z wami – oświadczyła. Lizzie omal nie upuściła filiżanki z kawą ze zdziwienia. Juliet odgarnęła z czoła kosmyk włosów, który uwolnił się ze starannej fryzury i zsuwał na czoło, co było zamierzonym efektem: mogła pozornie bezwiednym ruchem odsuwać go z twarzy, zwilżając przy tym wargi i zerkając na Kevina. – Jeśli wam to nie przeszkadza, to chcę posłuchać. Bardzo interesuję się... snycerstwem – Uśmiechnęła się sardonicznie. – Na przykład greckie figury bogów... Dawid... – Przesunęła spojrzeniem po sylwetce Kevina, który w ogóle tego nie zauważył.

– To jest rzeźbiarstwo – poprawiła ją Atamarie z pełnymi ustami. – Pyszny ten miód! Sam go robisz, Patricku? A więc rzeźbiarze wykonują swoje figury z kamienia, przeważnie z marmuru, za pomocą młotka i dłuta. A Maorysi raczej używają drewna. Albo jadeitu *pounamu*. To bardzo interesujący materiał.

– Ale podstawowe cechy płciowe można dostrzec także na naszych *tiki* – zauważyła sucho Matariki. – Juliet bez wątpienia wyjdzie więc na swoje.

Ku jej zaskoczeniu oprócz Atamarie także Nandé parsknęła śmiechem. Doortje i Lizzie nie zrozumiały aluzji i Matariki się zastanawiała, czy czarna dziewczyna wzięła przykład z Violet i zaczęła wertować leksykony.

Kevin rzeczywiście towarzyszył kobietom do wsi. Lizzie została w domu i zaferowała swoją opiekę nad dziećmi. Padał deszcz i Matariki wraz z Atamarie spoglądały z irytacją na elegancką panią Nandé, którą przed wilgocią chronił wielki parasol niesiony przez pokojówkę. Juliet opóźniała jeszcze ich marsz, bo w gorsecie i eleganckich butach nie mogła oczywiście iść tanecznym i szybkim krokiem. Pozostałe kobiety, które osłaniały się tylko chustami i szalami, wkrótce zaczęły marznąć. Doortje, co było raczej dziwne, wydawała się nie zauważać, że okrywająca ją wełniana chusta zsuwa jej się z głowy i jej jasne włosy były wkrótce mokre. Miała oczy utkwione w Kevinie i była dziwnie rozpromieniona, a zarazem nieobecna.

Juliet podeszła do Kevina, kiedy kobiety rozmawiały między sobą.

– Musimy... pomówić – wyszeptała.

Kevin skinął głową.

– Musimy – odparł. – Może we wsi będzie jakaś możliwość. To będzie krótka rozmowa, Juliet, bo ja chcę wreszcie to zakończyć.

Juliet się uśmiechnęła.

W polu widzenia pojawiła się już wieś, otoczona niskim płotem i zagrodami dla owiec. Także Ngai Tahu je hodowali, a ich zwierzęta pod względem jakości prawie nie ustępowały tym od Michaela.

– Na Wyspie Południowej buduje się z mniejszym nakładem kosztów i pracy niż na Wyspie Północnej – zaczęła objaśniać Matariki. – Jest tu znacznie chłodniej, ziemia nie tak urodzajna, dlatego też szczepy często wędrowały, aby gdzieś polować czy łowić ryby. Gęstość zaludnienia jest mniejsza, szczepy rzadziej wchodziły sobie w paradę i prawie nie dochodziło do zbrojnych konfliktów. Ale nasz szczep jest bogaty, także dzięki hodowli bydła. Nie brakuje żywności, jeśli gdzieś wędrujemy, to głównie dla przyjemności albo z chęci poznania i raczej nie całym szczepem. Nasz *iwi* stał się szczepem osiadłym i zbudował wiele pięknych domów.

W czasie deszczu na dworze było niewiele ludzi, ale wieść o odwiedzinach mimo to rozeszła się szybko. Przybyłe kobiety zaraz otoczyli mieszkańcy wsi. Matariki, Atamarie, a także Kevin wymieniali *hong*i z połową wsi. Na Nandé wszyscy patrzyli z ogromnym zdumieniem. Wielu ludzi ze wsi, zwłaszcza starszych, nigdy nie widziało czarnoskórej kobiety. Ci podziwiali skórę Nandé i śmiali się z figury Juliet ściśniętej gorsetem.

– Co wam, *pakeha*, podoba się w tak chudych kobietach? – spytał wódz.

Kevin z uśmiechem wzruszył ramionami.

– To nie my wymyśliłyśmy modę. To ustalają między sobą damy. Ale uwierz mi, *ariki*, rozpakowywanie takiej paczki wieczorem naprawdę sprawia przyjemność.

Atamarie patrzyła tylko na szczupłego młodego mężczyznę o łagodnych oczach, otoczonego grupą dzieci.

– Chodź, Rawiri! One są nudne, te kobiety *pakeha*! A my musimy skończyć latawce. Inaczej nadejdzie święto Matariki i nie będziemy mieli gotowych pozdrowień dla duchów!

Rawiri i Atamarie uśmiechnęli się do siebie.

– Coś takiego duchy miałyby za złe – stwierdziła Atamarie. – I a nuż postawiłyby nam wtedy na drodze żywopłoty.

Rawiri się uśmiechnął.

– Lepiej je usposobić przyjaźnie. Ale nie ma obaw, *manu* będą gotowe. Zwłaszcza że mamy pomoc. A może nie? – Spojrzał na Atamarie pytająco.

Dziewczyna skinęła głową.

– Ty też jesteś *tohunga* od *manu*? – spytała sceptycznie jakaś mała dziewczynka.

Rawiri, patrząc na nią, położył palec na ustach.

– Nie tylko – wyszeptał, jak gdyby zdradzał jakąś tajemnicę. – Atamarie potrafi latać. Ale teraz chodźcie, idziemy dalej budować latawce. Pójdiesz z nami, Atamarie?

Atamarie podeszła do niego, popatrzyła mu w oczy i przyłożyła czoło do jego twarzy, kiedy się do niej nachylił. A potem rozchyliła wargi.

Rawiri udowodnił, że opanował także sztukę całowania zgodnie z zasadami *pakeha*.

ROZDZIAŁ 2

Juliet, kiedy tylko dostrzegła taką możliwość, postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję i zaciągnąć Kevina do pustego teraz domu zebrzań. Deszcz przestał padać i mieszkańcy wsi wyszli na dwór z domów do swoich zajęć. Większość mężczyzn udała się na polowanie i połów ryb; na nadchodzące święto potrzebne były większe ilości mięsa. Matariki, Doortje i Atamarie otoczyły kobiety – wraz z Haikiną chciały koniecznie dowiedzieć się czegoś o Parihaka. Starsze zasypały Nandé pytaniami o jej ojczyznę.

Kevin się rozejrzył, czy nikt go nie widzi, zanim wszedł za Juliet do ozdobionego licznymi płaskorzeźbami domu. Przy ścianach stały figury bogów wielkości człowieka, których męskość była aż nadto widoczna. Ale Juliet nie zwróciła na to uwagi.

– Ach, jak dobrze wreszcie być samemu! – westchnęła. – Ta ciasnota na farmie męczy mnie niesłychanie... Powinniśmy też zrezygnować z mieszkania w Dunedin. Porządny dom w mieście, Kevinie... Z pomieszczeniami dla służby w suterenie i pokojami dla gości...

Juliet podeszła do niego i próbowała zarzucić mu rękę na szyję. Kevin odsunął ją niechętnie.

– Juliet, proszę, nie chcę już tego...

Juliet się roześmiała.

– Powtarzasz się.

Kevin odetchnął głęboko.

– Przykro mi, Juliet, ale mówię teraz poważnie. Nigdy więcej nie będę z tobą, ja...

– Nie musisz nic robić...

Juliet uklękła przed nim, wsunęła rękę pod jego koszulę i rozpięła mu spodnie.

– Juliet!

Kevin cofnął się gwałtownie i prawie przewrócił przy tym statuę boga. Ale ona już obnażyła jego członek i zaczęła go gładzić i ocierać się o niego.

– Juliet, naprawdę, to koniec, ty...

– Ja ustalę, kiedy będzie koniec...

Kevinowi groziła już utrata panowania nad sobą, ale jednak miał jeszcze na tyle siły woli, że chwycił Juliet za ramiona i odepchnął ją od siebie. Żadne z nich nie usłyszało otwieranych drzwi.

– Kevinie! – W wejściu do domu zebrzań stały Doortje i Matariki. I to ta ostatnia odwróciła się ze wstydem. Ale Doortje wpatrywała się w nich z niedowierzaniem – poza obojga była jednoznaczna – nie do końca zdając sobie sprawę, co oni robili.

– Kevinie, co... co ty robisz?

Juliet się roześmiała. Z pozornym spokojem odwróciła się od Kevina i wstała powoli.

– A na co to wygląda, Dorothy? – spytała.

Doortje nie była w stanie wydobyć słowa. Wpatrywała się w nią rozszerzonymi z przerażenia oczami i stała nieruchomo jak sparaliżowana. Czowała jedynie pustkę i ogarniający ją powoli lodowaty chłód. Juliet poprawiła zsuniętą suknię i przyglądała włosy. Kevin próbował możliwie dyskretnie zapiąć spodnie.

– Powinnaś właściwie wiedzieć, jak to się robi – powiedziała ze śmiechem Juliet – ...jako zamężna kobieta. A przecież przedtem też nie byłaś całkiem niewinna. Wiesz, o czym myślę, Dorothy?

Doortje bez słowa wpatrywała się w szwagierkę. Kevin i Matariki także stali jak sparaliżowani. Ale Juliet bezlitośnie mówiła dalej.

– Myślę, Dorothy, że ty po prostu nie umiesz się dzielić. A powinnaś mieć w tym doświadczenie.

Powiem tylko: Colin... kochany Colin Coltrane. – Doortje, słysząc to, zbladła jak ściana. – Przed tobą uszczęśliwił słodką Chloé, a jeszcze przedtem uroczą Matariki... nigdy jej o tym nie opowiadałaś, Matariki? O ojcu twojej córki?

Doortje zaczęła dygotać.

– To nieprawda! – wyrzuciła z siebie. – Ja nigdy z Colinem... nikt nie wie o... Coltrane... ja...

Juliet uśmiechała się coraz bardziej zadowolona. Trafiała w czuły punkt i postanowiła wykorzystać okazję. To było zupełnie tak, jak gdyby obracała nóż wbity w ranę.

– A dobra Kathleen, małżonka tego klechy? Ona też nie wie, że zrobiłaś z niej babcię? Ale przecież powinna o tym wiedzieć, Dorothy. Twój syn jest do niej podobny jak dwie krople wody, to przecież wyraźne rodzinne podobieństwo. Czy nigdy nie patrzyłaś swojemu kochankowi w twarz?

Scena w domu zebrzań znikła sprzed oczu Doortje. Miała przed sobą znów potwornie zniekształconą i pełną blizn twarz Colina Coltrane'a. Pochyloną nad nią w przypiływie szaleńczej żądz i okrucieństwa. Ta twarz nie miała nic wspólnego z regularnymi rysami Atamarie i Kathleen. Tylko te włosy... Metaliczny połysk blond włosów u Atamarie i Abrahama – to Doortje dostrzegła dawno. A teraz Juliet mówiła, że wiedzieli o tym wszyscy. Wszyscy wiedzieli o jej hańbie. Więcej... Juliet zakładała, że ona oddawała się Colinowi z własnej woli.

Z ust Doortje wydobył się dziwny, zduszony dźwięk. Nie był to krzyk, na to nie miała siły. Rzuciła na Kevina pełne bezgranicznej rozpaczey spojrzenie, a potem odwróciła się i wybiegła. Nie mogła tego znieść. Nie mogła dłużej żyć z taką hańbą.

Kevin widział przed sobą Juliet i jej pełną zadowolenia twarz. W przypiływie rozpaczey i wściekłości zamachnął się i uderzył z całej siły.

– Kevin! – Matariki opanowała się i chwyciła go za ramię. – Zostaw, na to jest za późno! Biegnij za Doortje. Ty... my... musimy jej wszystko wyjaśnić. O nieba, jak mogłeś, jak mogłeś być taki głupi?!

Deszcz znów zaczął padać. Kobiety wróciły do domów i do wspólnej kuchni, bo był już czas, aby zacząć przygotowywać obiad. Mężczyźni nie wrócili jeszcze z polowania... A Doortje nie było nigdzie widać.

Kevin i Matariki biegali po całej wsi, próbując znaleźć jakieś ślady albo świadków jej ucieczki. Nie znaleźli ani jednego, ani drugiego. Atamarie i Nandé siedziały w kuchni, a kobiety wypytywały czarną dziewczynę o potrawy z jej ojczyzny i zastanawiały się, jak smakuje proso – podstawowy artykuł spożywczy czarnych, którego Maorysi nie znali w ogóle. Wszyscy byli pochłonięci rozmowami i szykowaniem posiłków i nikt nie widział Doortje od chwili, kiedy Matariki zaczęła oprowadzać ją po wsi.

Atamarie nie rozumiała zdenerwowania Matariki.

– Daleko nie mogła zajść – powiedziała spokojnie. – Prawdopodobnie gdzieś się wyplakuje. To rzeczywiście nieprzyjemne, Kevin powinien się wstydzić. A ona na pewno zaraz przyjdzie.

Matariki zniecierpliwiona zostawiła córkę u kobiet i wybiegła z powrotem na deszcz, żeby zobaczyć, co z Kevinem. On jednak także daleko nie zaszedł. Grunt we wsi był całkowicie zdeptany, a przed domem zebrzań przeszło tymczasem tyle ludzi, że nie można było dostrzec śladów Doortje. A przynajmniej nie mógł ich dostrzec Kevin, który nie był najlepszym tropicielem – i w dodatku odchodził od zmysłów z przerażenia.

– Riki, jeśli ona sobie coś zrobi... – Z oczu popłynęły mu łzy.

Matariki objęła go ramieniem.

– No, uspokój się, to nie tak szybko. Sądzisz, że ona jest do tego zdolna? Tak... głęboko wierząca?

Kevin wzruszył ramionami. Miał przed oczami bladą twarz Johanny, jej długie mokre włosy, kiedy wyciągnięto ją z wody. Druga siostra van Stout, równie głęboko wierząca, która nie była w stanie żyć

dalej z hańbą. Doortje wtedy się z tym uporała, ale czy uda jej się to zrobić po raz drugi?

Skinał głową w odpowiedzi na pytanie siostry.

Matariki raz jeszcze rozejrzała się po wsi. Zastanawiała się, dokąd ona sama poszłaby w takiej sytuacji, ale to oczywiście nie miało sensu. Doskonale знаła wieś oraz dobrze wiedziałyby, gdzie szukać jeziora albo klifu, z którego można by się rzucić w dół. A Doortje zapewne pobiegła wprost przed siebie w las, na ślepo.

– Potrzebujemy dobrych tropicieli – powiedziała Matariki. – Hemi, Rewi i Tamati. Ale oni są jeszcze w lesie na polowaniu.

Myśliwi powinni niedługo wrócić, przy tym deszczu ukryły się zarówno żyjące tu od dawna ptaki, jak i przywleczone z Europy króliki, które stanowiły ulubiony obiekt polowań. Ale do chwili powrotu myśliwych niewiele można było zrobić.

Matariki wróciła do domu zebrnąć, aby porozmawiać z Juliet. Wiedziała, że niewiele to pomoże, ale potrzebowała jakiegoś wentylu, aby wyładować swoją wściekłość i bezsilność.

Ale Juliet także znikła.

Minęła dobra godzina, zanim wrócili myśliwi, ale ci znaleźli ślady Doortje dość szybko. Młoda kobieta pobiegła w stronę gór, przez las, unikając dróg. Z początku biegła, ale potem, w gęstym poszyciu lasu, musiała zwolnić. W dodatku robiło się tu coraz bardziej stromo. Kevin wspinał się za myśliwymi. Wiedział dokładnie, gdzie kończyło się to podejście. Był to z pewnością przypadek, ale Doortje wbiegała na górę, która z drugiej strony kończyła się urwiskiem od strony doliny. Widok z wierzchołka zapierał wprost dech w piersiach, a dla Maorysów to miejsce uchodziło za święte – *tapu*. Przychodzili tutaj, aby medytować, łączyć duszę z krajobrazem... Kevin dotychczas był tam tylko raz, jeszcze jako chłopiec, razem z Patrickiem. Obaj przeczytali gdzieś o spektakularnym podejściu i planowali opuścić się na linie w dół urwiska, aby przygotować się na zdobywanie w przyszłości Mount Everestu. Hainga, Mądra Kobieta ze wsi, przyłapała chłopców, zanim spadli w przepaść. Obaj otrzymali potem podwójną burę: od Michaela i Lizzie za lekkomyślność, a od maoryskich przyjaciół za naruszenie *tapu*.

– Tu dalej nie można już iść – stwierdził w końcu Hemi, kiedy las po mniej więcej godzinnym podejściu w górę przerzedził się, a za chwilę przed nim odsłonił się widok na wąwóz i dolinę.

Widok, nawet mimo deszczu, robił ogromne wrażenie. Po stromym zboczu płynął strumyk, w dole ciągnęły się porośnięte trawą i lasami wzgórza i rozległa dolina. Daleko na horyzoncie można było dostrzec pokryte śniegiem wierzchołki Alp Południowych.

– Mogła pobiec w prawo albo w lewo – stwierdził któryś z Maorysów. – Ale nie mogę już znaleźć śladów.

Grunt był tu skalisty, w dodatku mocno zdeptany przez licznych *tohunga* z adeptami swoich sztuk, którzy zawędrowali tu w poszukiwaniu swoich bogów.

– Może po prostu wróciła drogą w dół.

Doortje przedarła się tu przez las, ale do wsi prowadziła oczywiście dobrze udeptana ścieżka, która kończyła się nieco dalej po prawej stronie, i Doortje powinna była ją zobaczyć.

– To najbliżej, a przy tym deszczu... Ona musi być całkiem przemoczona.

Mężczyzna poszedł kawałek drogą, ale na próżno szukał śladów Doortje. Hemi i Kevin patrzyli w dół klifu.

– Co... co ona miała na sobie? – spytał nagle Hemi zduszonym głosem.

– Suknię utkaną we wzory szczepu Matariki. – Kevin niemal miał przed oczami swoją żonę, jak rankiem pełna radości zeszła na dół na śniadanie i usiadła naprzeciw niego. Wreszcie udało im się odnaleźć samych siebie. Wreszcie wszystko było dobrze. A teraz... Kevin Drury jeszcze nigdy nie czuł

się tak podle i tak pełen winy. – I narzucony na nią szal. Wełniany niebieski szal Lizzie.

Ona tak pięknie wyglądała, kiedy niemal od stóp do głów była zawinięta w szeroki i długi szal. Robiła niemal orientalne wrażenie i zaczerwieniła się, kiedy jej to powiedział.

– Na Dalekim Wschodzie kobiety zakrywały włosy przed każdym, oprócz małżonka – powiedział. – Czuję się zaszczycony, że ty także zawijasz się dla mnie w ten szal.

A teraz pełen poczucia winy przypomniał sobie jej odpowiedź:

– Ale mojego czepka wtedy nie lubiłeś.

A dzisiejszego wieczoru chciał jej powiedzieć, jak bardzo lubił jej czepek. Jak bardzo go to podniecało, kiedy ona ukrywała przed nim swoje włosy, kiedy ona...

– Szal leży na dole – powiedział Hemi.

Kevin odczuł te słowa jak cios nożem.

– Tylko... szal? – spytał bezbarwnym głosem.

Hemi wzruszył ramionami.

– Nie mogę rozpoznać. Ale zobacz sam. Tam, przed tym występem skalnym. Widzisz? Ona może...

Kevin dygotał, patrząc, i po chwili skinął głową. Ona mogła leżeć pod szalem. Albo jej ciało mógł zakrywać ten skalny występ.

– Można... tędy zejść na dół? – spytał cicho.

Hemi potrząsnął głową.

– To byłoby *tapu* – powiedział z wahaniem. – Ale mogliśmy oczywiście zrobić to i tak. Tylko... Potrzebowaliśmy liny... Haków... Tu trzeba się asekurować. Schodzić bez tego byłoby... To nic nie da, Kevinie, jeśli kilku z nas także tu zginie.

Hemi położył przyjacielowi rękę na ramieniu.

Kevin chciał zaprzeczyć. Chciał powiedzieć, że Doortje była warta każdego ryzyka tego świata, że on sam wolałby nawet umrzeć niż... Ale przywołał się do porządku. Jeśli ona rzuciła się stąd w dół, to nie mogła już żyć. Zejście służyć będzie upewnieniu się i jego celem będzie zabranie zwłok. Hemi miał rację, to nie wymagało pośpiechu ani też nie usprawiedliwiała ryzyka.

– To... – powiedział Kevin zachrypniętym głosem – przynieście linę. I haki, i... wszystko, czego potrzebujemy... – Pomyślał o noszach.

Hemi skinął głową.

– Inni mogą iść. Ja tu zostanę z tobą.

Kevin nie musiał mu mówić, że nie miał zamiaru się stąd ruszać, zanim nie odnajdzie Doortje. Powoli osunął się na skaliste podłoże, kiedy mężczyźni zaczęli schodzić w dół. Hemi usiadł obok niego.

– To moja wina – wyszeptał Kevin.

Hemi milczał. Nie było niczego, co mógłby powiedzieć w tej sytuacji. Mógł tylko zostać przy nim i zrobić to, co robili jego przodkowie od lat: stać się jednością z niebem i ziemią, górą i doliną, przeszłością i przyszłością. Może udało się to też żonie Kevina. Choć jej *maunga* była tak daleko stąd, w owym dziwnym, gorącym kraju, pełnym olbrzymich zwierząt i wojowniczych ludzi. Hemi próbował poczuć jej duszę, sądził, że może uda mu się wciągnąć Kevina w swój związek z krajem, światem i bogami za dalekim niebem...

Kevin cierpiał strasznie i Hemi musiał zdobyć się na ogromną cierpliwość, aby przetrwać ten dzień wraz z nim na klifie. Kevin nie mógł pogodzić się z bezczynnością – co chwila wstawał i spoglądał na leżący w dole niebieski szal. Drgnął, kiedy nieco się przejaśniło i zerwał się silny wiatr, który osuszył materiał i nadał go jak namiot. Czy Doortje mogła żyć? Czy coś się poruszało pod szalem? Co chwila pytał, kiedy przyjdą ludzie z linami, ale zebranie kilkunastu osób i zorganizowanie ekipy ratunkowej musiało oczywiście potrwać dobrych kilka godzin. W maoryskiej wiosce było dość

dużo tego rodzaju sprzętu, a wiadomość o zniknięciu Doortje dotarła już do Elizabeth Stadion. Michael i Patrick zebrali wszystko, co mogłoby się przydać, a co znaleźli w szopach na farmie. Michael przygotował konie, dzięki którym mogli szybciej pokonać wzniesienie – i zarówno Hainga, jak i *ariki* byli na tyle mili, że nie protestowali przeciwko naruszeniu *tapu* świętego miejsca. Haikina rozważała, czy nie należałoby obejść klifu, a Patrick rzeczywiście znał drogę prowadzącą do znajdującej się pod nim doliny.

– Ale to byłby przynajmniej dzień drogi – stwierdził. – I nie ruszałbym od razu. Mimo że to bardzo smutne, ale jeśli ona tam rzeczywiście spadła... To już nikt jej nie pomoże. I mamy dużo czasu.

– A zwierzęta? – Nandé płakała rozpaczliwie i właściwie bez przerwy, od kiedy usłyszała o szalu pod klifem. – Do tego czasu pożrą ją dzikie zwierzęta. Zawloką ją gdzieś. I wtedy nie będzie nawet grobu... Proszę, proszę, Mr Patrick...

Patrick chciał odpowiedzieć, że tu nie ma tak dużych zwierząt, które mogłyby zawlec gdzieś ludzkie zwłoki. Ale wyraz twarzy Nandé poruszył go.

Patrick nie całkiem zrozumiał, co zaszło w domu zebrań – usłyszał tylko o kłótni oraz zniknięciu Doortje i Juliet. I nieobecność tej drugiej we wsi łatwo było wytłumaczyć, bo po prostu wróciła na Elizabeth Station i zabarykadowała się w swoim pokoju. Był to powód, dla którego Patricka też dręczyło niejasne poczucie winy. Z pewnością Juliet była urażona i dotknięta, ale nie mógł się nią teraz zająć – ani nie chciał. W ostatnich tygodniach Juliet reagowała wybuchami wściekłości na każdą, nawet najmniejszą próbę zbliżenia z jego strony. Kto wie, co usłyszałby teraz o tym, co zrobiła Doortje – a może Kevin, Matariki czy też ktokolwiek – że aż tak urazili Juliet.

– Zajmiemy się wszystkim, Nandé – uspokajał czarną dziewczynę. – Zrobimy dla niej wszystko, co możliwe, obiecuję ci. Ale wróć na farmę. Ktoś musi się zatroszczyć o Miss Juliet.

I wtedy Patrick dostrzegł dziwny błysk w oczach Nandé. Wściekłość czy też niechęć, w każdym razie takie uczucie, na jakie ona nigdy sobie nie pozwalała. Jej twarz była nadal nieruchoma, nikt oprócz Patricka nie odczytał jej myśli.

– Wiem, Nandé, z nią jest ciężko – westchnął. – Ale ona... dla niej też nie wszystko jest proste. Przy odrobinie cierpliwości...

Nandé zagryzła wargi.

– Ona jest... ona... – zaczęła, ale jednak umilkła. Nie powinien był dowiedzieć się tego od niej.

Ktoś będzie musiał mu powiedzieć, bo połowa wsi wiedziała już mniej więcej, co się stało w domu zebrań. Matariki nie była tu zbyt dyskretna. Opowiedziała przynajmniej Haikinie i Haindze o tym, co dane jej było zobaczyć, już choćby po to, aby wszyscy tym gorliwiej zajęli się akcją poszukiwawczą i aby usprawiedliwić naruszenie *tapu*. Nandé nikt nie musiał o tym mówić, ona już po spojrzeniu swojej pani wiedziała, co planowała Juliet.

– To pójdę – powiedziała Nandé z rezygnacją. – Pan... przywiezie... Miss Doortje do domu?

Patrick przecesał ręką wzburzone włosy.

– Spróbujemy, Nandé. Przedtem... możemy się tylko modlić.

Zanim liny i wszystko, co było potrzebne do asekuracji, zostało zanesione na klif, a mężczyźni mogli przygotować się do zejścia, zaczął zapadać zmrok. Zimą wcześniej robiło się ciemno. Michael i Hemi ostrożnie próbowali wyjaśnić Kevinowi, że cała akcja musi być przeniesiona na następny dzień.

– Nocą nie zejdziemy na dół, a ty i tak nic byś tam nie zobaczył. W dodatku nadciągają chmury, nawet nie będzie światła gwiazd ani księżycy. Zostaniemy więc wszyscy tu, na górze, i zaraz o świcie, kiedy będzie dostatecznie jasno, zaczniemy schodzić w dół.

– Możliwe, że wystarczyłoby opuścić w dół duże lustro – zauważyła Atamarie. Weszła na klif razem z Rawiri, usiadła z nim nieco dalej od wszystkich i rozważała możliwości sprawdzenia, gdzie mogła

być Doortje. – Wówczas można by zajrzeć pod ten skalny występ. Nie może leżeć dużo dalej niż szal. Albo można opuścić jakiś hak, aby poruszyć szal i zobaczyć, czy ona jest pod nim. Schodzić tu w dół po tej stromiźnie – to wydaje mi się zbyt niebezpieczne.

Rawiri się uśmiechnął.

– A lecieć w dół byś się nie bała? – spytał.

Atamarie wzruszyła ramionami.

– Nie tak bardzo jak schodzić. Ale potrzebowalibyśmy lotni. I zanim byśmy ją zbudowali, to mężczyźni opuściliby się tam po linach albo dotarli naokoło. A poza tym ja nie wierzę, że ona tam leży, a już zwłaszcza pod szalem. Obejrzyj sobie ten kąt... Niemożliwy jest taki kąt spadania dla czegoś, co jest cięższe niż szal, który unosił wiatr. Czy nikomu nie przyszło na myśl, aby zrzucić tam duży kamień i się o tym przekonać?

Rawiri odgarnął jej włosy z czoła. Po raz pierwszy leżała w jego ramionach, a on, mimo tragedii, z powodu której byli tutaj, na górze, czuł się niesłychanie szczęśliwy.

– Atami, zostaw to bogom – powiedział łagodnie. – Nikt nie chce tu słyszeć o kącie spadania ani też o opuszczaniu lustra. A już na pewno nie Kevin. On musi zobaczyć na własne oczy to, co jest na dole. To musi stać się dla niego rzeczywistością, tylko wtedy będzie mógł żyć dalej. Co i tak będzie dla niego trudne. Nie chcę być winny temu, że ty...

Atamarie przytuliła się do niego.

– Ale mimo wszystko zbudowałbyś dla mnie latawiec, na którym mogłabym polecieć w dół... Kocham cię, Rawiri.

Rawiri ją pocałował.

– Zrobiłbym to dla ciebie – wyszeptał. – Ale najpierw pojedziemy do Christchurch. I jestem wdzięczny bogom, że Canterbury Plains są dość płaskie.

ROZDZIAŁ 3

Lizzie spędziła potworną noc pełną strachu i niepewności. Chętnie zamieniłaby ciepło domu na miejsce koło męża i obu synów. Lizzie już wiele lat żyła wśród Ngai Tahu i znała wiele tajemnic szczepu. Znała też dobrze klify i odczuwała dreszcz przerażenia na samą myśl o schodzeniu w dół stromą ścianą. I martwiła się nie tylko o Doortje, lecz o Michaela, Kevina i Patricka. Chętnie wzięłaby konia i pojechała do nich, aby powstrzymać ich przed ewentualnymi głupstwami, ale opiekowała się dziećmi. Tego dnia sama położyła May do łóżka. Juliet nigdy nie zajmowała się córką, a Nandé, nie dość, że załamana z powodu zniknięcia Doortje, to jeszcze była bez przerwy rugana przez Juliet, która co chwila wynajdywała jej jakieś nowe zajęcie. Lizzie potrafiła już dostrzec oznaki zbliżającego się złego humoru synowej, który ona bez litości wyładowywała na swojej pokojówce. I teraz Lizzie w którymś momencie miała dość, i wysłała Nandé do jej pokoju.

– Ta dziewczyna ma już wolne, Juliet, każdy dzień pracy musi mieć swój koniec – poinformowała synową, kiedy ta znów po coś zawołała pokojówkę. – Połóż się spać i mam nadzieję, że jutro mi opowiesz, co było powodem tego dramatu! Na ile cię znam, Juliet, nie jesteś tu całkiem bez winy. Przemyśl więc to i zostaw Nandé w spokoju.

Juliet o dziwo umilkła, ale Nandé płakała do późna w noc. Lizzie się zastanawiała, czy czarna dziewczyna rzeczywiście opłakiwała swoją poprzednią panią. Stosunek łączący Burów z miejscowymi musiał być doprawdy dziwny. Doortje właściwie nie widziała w Nandé nikogo innego poza niewolnicą, ale jednak upierała się przy tym, aby nie zostawiać jej samej w Afryce, bo czuła się za nią odpowiedzialna. Nandé zaś przy pierwszej okazji uciekła od Doortje, ale teraz opłakiwała ją jak członka własnej rodziny.

Kiedy wreszcie w domu zapadła cisza, Lizzie nalała sobie kieliszek wina, aby móc zasnąć po jego wypiciu. Czuła się niemal winna temu, że nie płakała, ale jakoś nie mogła uwierzyć w śmierć Doortje. Wprawdzie w pierwszym okresie jej pobytu tutaj nie za bardzo lubiła burską kobietę – jej niesłychany upór i bigoteria doprowadzały Lizzie do białej gorączki – ale w jakiś sposób Doortje jednak jej imponowała. Lizzie niechętnie to przyznawała, ale czasami przychodziło jej do głowy, że Doortje była do niej trochę podobna. Gdyby Lizzie konsekwentnie nie starała się realizować swoich planów i nie dążyła uparcie do swoich celów, to nie byłoby jej tu, gdzie jest teraz. Miała za sobą twarde, bardzo burzliwe życie i doskonale wiedziała, co to znaczy być poniżanym i cierpieć głód.

Ale mimo wszystko nigdy się nie poddawała i nie sądziła, że tego można było się spodziewać po Doortje. Związek Doortje z jej synem może nie był zbyt bliski i głęboki – ale Lizzie mimo wszystko nie wierzyła, że ta kobieta rzuciła się w rozpacz z klifu w dół i zostawiła swoje dziecko samo. Zwłaszcza że stało się coś, co kazało jej zwątpić w jego ojca. Przypuszczenia Lizzie co do wydarzeń w domu zebrzań odbiegały zbyt daleko od prawdy. Doortje była przyzwyczajona do złośliwości i kpin Juliet. Musiało się wydarzyć coś więcej niż zwykła kłótnia, aby Kevin się obawiał, że była gotowa odebrać sobie życie.

Lizzie rozmyślała przez pół nocy, aż wreszcie zapadła w niespokojny sen. Obudziła się, kiedy już szarzało. Mężczyźni zapewne szykowali się teraz do zejścia w dół po stromej ścianie klifu i Lizzie dziękowała Bogu, że nie pada... Leżała przez chwilę, rozmyślając, po czym wstała i spojrzała przez okno. Nie mogła dłużej wytrzymać w domu. Narzuciła szybko domową suknię, jakieś okrycie i ruszyła w drogę – do wodospadu. Do jej *maunga*. Kiedy miała jakieś zmartwienie albo po prostu musiała pomyśleć, przychodziła tutaj. I choć była wierzącą parafianką anglikańskiej gminy i nad wszystko ceniła wielebnego Burtona, to swoich bogów spotykała właśnie tutaj.

Jednak skulona postać szukająca ochrony przed nocną wilgocią w cieniu skały nie miała w sobie nic

boskiego. W szarym świetle dopiero co zaczynającego się dnia Lizzie się wydawało, że to drżące zwierzę, ale nagle rozpoznała jasne włosy Doortje. Młoda kobieta jeszcze jej nie zauważyła, siedziała przytulona do kamienia, z twarzą przyciśniętą do kolan, które obejmowała ramionami. Jej o wiele za cienka suknia była zupełnie przemoczona, brudna i podarta. Nic dziwnego, zapewne błędziła po lesie przez całą noc.

– Doortje! – Lizzie podbiegła do synowej, zdejmując okrycie, aby zawinąć w nie młodą kobietę. – Mój Boże, dziecko, dlaczego nie przyszedłeś do domu? Kevin myśli, że nie żyjesz! Mężczyźni szukają cię tam, pod klifem... byłeś tam, prawda? O nieba, Doortje, jesteś zupełnie przemarznięta!

Lizzie okryła ją, jednocześnie zmartwiona, zirytowana i pełna niewysłowionej ulgi. Doortje dygotała, ale jednak dawała znaki życia. Podniosła głowę, spoglądając w pierwsze promienie słońca, a Lizzie spojrzała w jej puste, pełne rozpaczycy oczy.

– Zgubiłam twój szal... – wyszeptała. – Na klifie. Chciałam... Przykro mi...

Nie mogła mówić dalej, lecz skuliła się jeszcze bardziej. Lizzie mimo woli pomyślała o zranionym zwierzęciu. Uklękła przy synowej i objęła ją ramionami.

– Co się stało, Doortje? Co się stało?

Doortje początkowo poddała się jej objęciom, ale po chwili zeszywniała i cofnęła się.

– Colin Coltrane – wyrzuciła z siebie. – Ty... też o tym wiedziałaś?

Lizzie widziała rozpacz w jej oczach i bezradne pragnienie, aby móc zaufać choć jej, teściowej.

– O czym, kochanie? O czym miałam wiedzieć?

Skąła, na której obie siedziały, była wilgotna, zimna i bardzo niewygodna.

– Powinnyśmy pójść do domu i tam porozmawiać – stwierdziła Lizzie.

Ale Doortje zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie pójdę, jak długo ona tam jest! Nigdy nie chcę jej widzieć. Ona... ona wiedziała, ale ona... To wszystko było inaczej!

Lizzie próbowała zrozumieć cokolwiek z jej słów.

– Juliet. Nie chcesz iść do domu, jak długo ona tam jest. Mogę to zrozumieć... Ale o czym ona wiedziała, Doortje? I co dla ciebie znaczył Colin Coltrane?

– A więc znasz go – wyszeptała Doortje. – Wiedziałaś o tym także. To prawda, co ona mówiła. O... Matariki...

Lizzie odetchnęła głęboko.

– Tak – powiedziała. – Wprawdzie nie wiem, o co tutaj dokładnie chodzi, ale znałam Colina Coltrane'a. To on uwiódł moją córkę, a potem Chloé, przy czym Matariki może jeszcze mówić o szczęściu. Jej Colin zostawił tylko uroczą córkę, a Chloé prawie zniszczył życie. Colin jest oszustem i łotrem, Doortje, bez względu na to, co ktokolwiek mówił ci na jego temat. Choć ja... ja właściwie nie powinnam rościć sobie prawa do osądzania go, ja... – Umilkła, ale coś w niej samej mówiło, że winna jest tej młodej kobiecie dowód zaufania. Była gotowa powierzyć jej najciemniejszą tajemnicę swego życia. – Ja zniszczyłam jego życie – powiedziała – zabijając jego ojca. Nie wie o tym nikt, Doortje, tylko Michael, wielebny i ja. To była obrona konieczna, nie mam sobie nic do zarzucenia. Ale to ja jestem winna temu, że Colin dorastał jako pólsierota... przy czym Kathleen zrobiła dla niego wszystko, co mogła. Była dobrą matką dla wszystkich swoich dzieci, ona...

– Czy to prawda, że Kathleen...?

Głos Doortje bez cichy, bezbarwny. Lubiła Kathleen, ufała jej... ale także ta kobieta ją oszukiwała. Kathleen, którą Doortje miała za przyjaciółkę, była matką jej prześladowcy. I musiała wiedzieć o pochodzeniu Abrahama...

Lizzie objęła synową ramieniem. Tymczasem weszło już słońce i Lizzie miała nadzieję, że zrobi

się trochę cieplej. Doortje mogła nabawić się ciężkiej choroby w swych kompletnie mokrych ubraniach. Ale na razie nie mogła temu zaradzić. Lizzie delikatnie gładziła ramiona Doortje i zaczęła opowiadać. O młodzieńczej miłości Michaela i Kathleen, o ich wspólnym synu Seanie i rozpaczliwej próbie Kathleen, by dać mu nazwisko. Wtedy właśnie Kathleen poślubiła handlarza bydłem Iana Coltrane'a i potem urodziła mu dwoje dzieci – Colina i Heather.

– Ale Colin był dokładnie taki jak jego ojciec i w końcu, kiedy Kathleen uciekła od Iana, nie chciał jechać razem z nią. Został z Ianem i wyrósł na takiego samego łotra jak on. I kiedy zabiłam Iana...

– Ty naprawdę zabiłaś ojca Colina? – spytała Doortje z niedowierzaniem. Dopiero teraz zaczynała rozumieć.

Lizzie skinęła głową.

– W obronie koniecznej. On... on chciał... – musiała się przemóc, aby mówić dalej. Ian Coltrane zgwałcił ją i chciał zabić. A chodziło o złoto znalezione poniżej wodospadu, nad którym dziś znajdowała się Elizabeth Station... – on chciał mnie zabić – dokończyła. – Z żądzy złota. A ja zabiłam go maoryską maczugą wojenną.

Doortje drżała, ale teraz nie tylko z powodu chłodu.

– Colin... – wyszeptała – on... użył przemocy wobec mnie. I wobec mojej siostry. Moja siostra nie żyje. A ja... ja przeżyłam, ale zaszłam w ciążę. A teraz... teraz wszyscy wiedzą, że Abe... że Abe nie jest dzieckiem Kevina i myślą... myślą, że oszukiwałam Kevina z Coltrane'em.

Zaszlochała.

Lizzie przyciągnęła Doortje bliżej do siebie i kołysała ją jak dziecko. Wreszcie zrozumiała.

– O Boże, powinnam była zauważyć – westchnęła. – Abe ma taki sam kolor włosów jak Atamarie i z czasem będzie do niej coraz bardziej podobny... Musiałam być ślepa... Ale przysięgam ci, Doortje, że o niczym nie wiedziałam!

– Ja też nie – płakała Doortje. – Nigdy bym tu nie przyjechała, gdybym wiedziała, że wszyscy będą to widzieć... Taka hańba...

Lizzie potrząsnęła głową.

– Ja tego dotychczas nie zauważyłam – powtórzyła spokojnie. – Michael także nie. Dlatego zakładam, że może to dostrzec tylko ktoś, kto znał Colina jako niemowlę. I może także ktoś, kto widział Atamarie w wieku Abe. Michael i ja poznaliśmy Atamarie dopiero, kiedy była małym dzieckiem, Riki mieszkała wtedy w Wellington. A więc nie „wszyscy”, w grę wchodzi jedynie Kathleen i Matariki, ewentualnie jeszcze Claire Dunloe. Ale jak dowiedziała się o tym Juliet, tego mimo najlepszych chęci nie mogę odgadnąć... Prawdopodobnie będzie zgadywać dalej, kiedy już tyle wie... – Lizzie zaczęła się zastanawiać. A potem jej twarz nieoczekiwanie spoważniała. – A może myślisz, że to Kevin...?

Doortje potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Tak... głupi już być nie może, on... on w ten sposób oddawałby się w jej ręce.

Lizzie się roześmiała.

– Z powodu ojcostwa? No, wiesz...

Doortje potrząsnęła głową jeszcze gwałtowniej.

– Nie, z powodu... morderstwa. Ja się zemściłam, Lizzie.

Doortje odetchnęła głęboko.

– Ja zabiłam Colina Coltrane'a. Nożem. Ja... ja obierałam ziemniaki... i...

Lizzie z niedowierzaniem słuchała całej historii, z trudem pojmując każde słowo. Doortje opowiadała o śmierci Colina, o mimowolnym udziale Kevina w morderstwie i o pomysłe Roberty, aby zwłoki zniknęły.

– I Kevin zaproponował mi, że się ze mną ożeni. Przecież ja potrzebowałam... potrzebowałam ojca dla mojego dziecka.

– Kevin musi cię bardzo kochać – powiedziała Lizzie wprost, kiedy synowa skończyła swą opowieść. – I nie, nie sądzę, że on powiedział o wszystkim Juliet. On...

Doortje spojrzała na nią ze złością.

– Dlaczego on w ogóle rozmawia z Juliet? Jeśli mnie tak kocha, dlaczego mnie z nią oszukuje?

Lizzie westchnęła. Czasami Doortje rzeczywiście przypominała jej zagubione dziecko z Krainy Oz...

– Doortje, mój Michael... a także twój Kevin... obaj są w gruncie rzeczy dobrymi ludźmi. To porywający mężczyźni, szarmanccy, energiczni. Michael był zawsze cudownym kochankiem, zakładam, że Kevin jest do niego podobny. – Doortje się zaczerwieniła i pomyślała o ostatniej nocy. – Ale Michael zawsze potrzebował kobiety, która na niego uważała – mówiła Lizzie. – Kathleen była na to jeszcze za młoda, wtedy w Irlandii. A ja potrzebowałam połowy mojego życia, aby to zrozumieć. Ale beze mnie Michael był jak liść na wietrze, a z Kevinem jest podobnie. W pewien sposób Juliet to rozumiała – ona ma nad nim władzę, ale nie jest dla niego dobra. Na szczęście on o tym też wie, nawet jeśli daje się jej uwodzić. On... raz już przed nią uciekł.

Lizzie wzięła w swoje ręce zimne, drżące dłonie Doortje. Wiedziała, że jeszcze bardziej zniszczy jej świat, opowiadając jej o May, a zdradzanie własnej tajemnicy też było czymś innym niż opowiadanie o życiowym kłamstwie Patricka. Ale tu mogła pomóc tylko bezwarunkowa otwartość. Bo w przeciwnym razie dziecko Kevina będzie kolejną bronią, którą Juliet wykorzysta przeciwko Doortje. Ale ku zaskoczeniu Lizzie Doortje przyjęła tę wiadomość wręcz z rozbawieniem.

– Kevin nie jest ojcem Abe, a Patrick nie jest ojcem May... to jest... zawsze myślałam, że te śmieszne powieści w kobiecych żurnalach są mocno przesadzone... Ale... ty jesteś matką Kevina, prawda?

Lizzie się uśmiechnęła.

– Przysięgam! – powiedziała. – A jeśli chodzi o tajemnice: Kathleen umie milczeć, a Matariki także. I jestem przekonana o tym, że obie rozmawiały już z Kevinem, kiedy dostrzegły podobieństwo między Abe i Atamarie. Kevin nie opowiadał im o śmierci Colina, ale z pewnością o tym, jak doszło do poczęcia Abe. Jeśli uważasz gwałt za hańbę, będziesz musiała żyć i pogodzić się z tym, że wie o tym kilkoro twoich przyjaciół. Ale nikt, Doortje, nie wierzy i nie sądzi, że oszukałaś twojego męża!

Doortje zdecydowanym ruchem wytarła łzy z oczu.

– Myślę, że mogę już żyć i pogodzić się ze wszystkim – stwierdziła. – Tylko nie z Juliet LaBree. Uważasz, że powinnam przebaczyć Kevinowi, Lizzie... mam... Ale to jest możliwe tylko wtedy, kiedy ona... kiedy ona... to znaczy jak... jak mam się jej pozbyć?

Lizzie się uśmiechnęła.

– Nawet nie myśl o maczugach wojennych i kuchennym nożu. Są o wiele prostsze metody, aby pozbyć się ludzi takich jak Juliet LaBree. I możemy wykorzystać do tego tę wczesną godzinę... Pokażę ci teraz, jak się płucze złoto, Dorotheo Drury. I tym samym przyjmuję cię ostatecznie i bezwarunkowo do naszej rodziny. Bo o tej tajemnicy wiedzą tylko Drury i Ngai Tahu.

Juliet właśnie wstała, kiedy Lizzie i Doortje wchodziły do domu. Doortje z wahaniem, bo nienawidziła myśli, że będzie musiała stanąć z Juliet twarzą w twarz, ale Lizzie się upierała, aby ona jej towarzyszyła.

– Uporamy się z tym obie razem, Doortje. Powinnam była zrobić to dawno, ale nie chciałam... nie chciałam jeszcze dodatkowo ranić Patricka. Bo jednocześnie zniszczymy jego marzenia, Doortje, i złamiemy mu serce, ale inaczej nie da się tego zrobić. Ale nie każ mi robić tego samej!

Doortje popatrzyła na nią i w jej oczach pojawiły się upór i siła burskiej kobiety.

– Nie jest tak łatwo złamać serce! – oświadczyła twardo. Lizzie westchnęła, ale nie zaprzeczyła.

Obie zastały Juliet przy śniadaniu. Nandé krzątała się przy kuchni i smażyła pączki. Była zapłakana i wyraźnie niewyspana. Z całą pewnością nie było jej w głowie przygotowywanie wystawnego śniadania. A przynajmniej nie do chwili, kiedy zobaczyła Doortje. Wówczas czarna dziewczyna wydała okrzyk radości i upuściła patelnię. Gorący tłuszcz opryskał szlafrok Juliet, ale Nandé w ogóle nie zwracała na to uwagi.

– *Baas! Mejuffrouw* Doortje! – krzyknęła Nandé, bezwiednie wracając do poprzedniego języka.

Wyrzucała z siebie bezładne słowa w łamanym afrykanerskim i rzuciła się przed Doortje na kolana, aby ucałować jej rękę. Doortje natychmiast podniosła ją i objęła jak siostrę.

– Tego *baas* Lizzie nam zabroniła – wymamrotała zakłopotana.

Lizzie się uśmiechnęła i odwróciła się do Juliet, która właśnie zaczęła krzyczeć na Nandé, że zniszczyła jej szlafrok. Lizzie podniosła rękę i kazała jej zamilknąć. Jej gest był tak władczy, a wyraz twarzy tak surowy i stanowczy, że Juliet umilkła.

– A teraz jeśli chodzi o ciebie, Juliet – zaczęła spokojnie. – Mamy już dosyć, i Doortje, i ja. A Kevin... myślę, że mogę mówić w jego imieniu. Patrick może nie od razu zrozumie, ale jemu też nie może się przytrafić nic lepszego niż twoje zniknięcie. A więc krótko: ile?

Doortje patrzyła, nie rozumiejąc, a Juliet się uśmiechnęła, rzeczywiście nieco zirytowana.

– Nie rozumiem – oświadczyła. – Dlaczego mam odejść? Jestem żoną Patricka, zapomnieliście już o tym? I matką May. Mam wszystkie prawa tego świata, aby tu mieszkać.

Lizzie spokojnie skinęła głową.

– Ile? – powtórzyła.

Juliet odgarnęła włosy z czoła.

– Ile czego? – spytała obłudnie.

– Pieniądzy, Juliet – odpowiedziała Lizzie. – Na tym przecież trochę się znasz. Tak, rzeczywiście, dotychczas otrzymywałaś je raczej za to, aby przychodzić do mężczyzny, a nie odchodzić. Ale teraz będzie inaczej. A więc ile?

– Uważasz, że można mnie kupić? – Juliet oparła się wygodnie.

Lizzie jęknęła zniecierpliwiona.

– Juliet, chcę to załatwić krótko. Mam naprawdę co innego do roboty. Ale dobrze, mówmy bardziej otwarcie. Ile pieniędzy żądasz za to, abyś dziś jeszcze stąd znikła?

– Mam wyjechać? Dokąd? – spytała Juliet.

Lizzie potarła czoło.

– Do Ameryki. Albo do Europy. Albo na wyspy Fidzi. Ale precz z Nowej Zelandii. I to szybko!

Juliet się roześmiała.

– Tak szybko to się chyba nie da. A może chcesz mi od razu kupić statek?

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Jeśli będzie trzeba, kupię. Ale ostrzegam cię, nie będzie niezatapialny. A więc ile?

Juliet skrzyżowała ramiona na piersiach i szybko rozmyślała, jak zacząć pertraktacje. Musiała wyznaczyć wysoką sumę.

W końcu się uśmiechnęła.

– Dziesięć tysięcy funtów.

Twarz Lizzie nawet nie drgnęła.

– Trzeba było od razu! To szykuj się, Juliet, do południa masz stąd zniknąć. Weź sobie powóz, ten kryty, żebyś nie zmokła, jak zacznie padać.

Juliet patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– Ty chcesz... ty płacisz dziesięć tysięcy funtów?

Walczyła z myślami, a głos uwiązał jej w krtani. Skąd Lizzie miała taką sumę?

Lizzie jednak mówiła niewzruszenie dalej.

– Pojedziesz do Dunedin i odstawisz powóz i konia do stajni. Potem wsiądziesz w pociąg do Christchurch. Dziś zdążysz tam jeszcze zajechać. Weź pokój w White Hart. W ciągu trzech dni zjawi się u ciebie adwokat, a możliwe, że nawet jutro. Podpiszesz zgodę na rozwód z Patrickiem i na zawsze zrzekniesz się praw do twojej córki May.

– O May dotychczas nie było mowy! – wtrąciła Juliet. – Jeśli mam odstąpić od praw do niej, to chcę... pięć tysięcy więcej!

Na twarzy Lizzie widać było tylko pogardę.

– To interesujące usłyszeć, ile ona jest dla ciebie warta – powiedziała krótko. – Pisemnie zrezygnujesz więc ze wszystkich praw do swojej córki, a za to adwokat wręczy ci gotówką piętnaście tysięcy funtów. I odpłyniesz najbliższym statkiem.

Juliet się uśmiechnęła.

– A jeśli nie odejdę? – spytała.

Twarz Lizzie spoważniała.

– Są w tym kraju mężczyźni, którzy będą skłonni pozbyć się ciebie za o wiele mniejszą sumę niż piętnaście tysięcy funtów. Nie ryzykuj tego!

To powiedziawszy, odwróciła się.

– Chodź, Doortje, idziemy do maoryskiej wsi i potem na klif. Nandé może pomóc Juliet się spakować, dzieci zabieramy ze sobą. Może uda nam się wybić mężczyznom z głowy ten pomysł ze spuszczeniem się na linie. Choć co prawda chętnie odzyskałabym mój szal. To bardzo piękny szal... i przecież nie należy marnować pieniędzy. – Uśmiechnęła się do Doortje konspiracyjnie.

Doortje pomyślała o złocie, które Lizzie ukryła w ogrodzie. Bez wątpienia można było za to kupić bardzo wiele szali.

Albo uwolnić się od Juliet LaBree.

ROZDZIAŁ 4

Kobiety w maoryskiej wsi przekrzykiwały się z radości, kiedy pojawiły się tam Lizzie z Doortje i dziećmi. Matariki, śmiejąc się i płacząc, obejmowała je obie naraz. I nie mogła się wprost doczekać, aby z nimi porozmawiać.

– Kevin mi wszystko opowiedział, Doortje. Pamiętasz, że wyszłam z nim, kiedy tylko zobaczyłam Abrahama? Abe jest bardzo podobny do Atami – są jak dwie krople wody. I od razu wiedziałam, że coś tu jest nie tak. Kathleen także dostrzegła to na pierwszy rzut oka, ale ona wie tylko... o ojcostwie... Nie wie o śmierci Colina i nie musi wiedzieć. I uwierz mi, że chciałam skłonić Kevina, aby ci wszystko opowiedział. Omal nie zrobiłam tego sama – wszystko byłoby lepsze niż ta historia teraz. Ale on... on nie chciał sprawiać ci bólu, Doortje, choć wiedział, że mimo wszystko to robił. Ta przeklęta Juliet...

– To już historia – stwierdziła Lizzie spokojnie. – Rzeczywiście powinnaś mi była o wszystkim opowiedzieć, Riki, bo nic nie wiedziałam. Ale teraz chodźmy na klif. Mężczyźni już tam poszli?

Matariki skinęła głową.

– Oni tam nocowali na górze – powiedziała. – Kevin nie chciał tracić ani chwili czasu. I chcieli schodzić, jak tylko się rozjaśni. – Spojrzała na słońce. – Chyba powinni być wkrótce z powrotem... Ach, patrzcie, Haraki już jest.

Haraki, chudy, może dziesięcioletni chłopiec, wpadł właśnie do wsi.

– Mam nowiny! – wykrzyknął. – Mam wiadomość, że *vahine* Kevina nie spadła z klifu! Ale Kevin...

Doortje nie rozumiała ani słowa z tego, co chłopiec szybko i chaotycznie mówił po maorysku, ale dostrzegła na twarzach Lizzie i Matariki, że coś się stało.

– Co się dzieje, co się...? – zwróciła się zaniepokojona do Lizzie, ale ona machnęła ręką, chcąc skoncentrować się na słowach chłopca. W końcu Haikina przetłumaczyła.

– Kevin spadł. Śpieszył się, żeby jak najszybciej być na dole, i chyba pod koniec zejścia nie docenił wysokości. Nie wiem, czy jest ciężko ranny, ale o własnych siłach chyba nie może iść, muszą go jakoś nieść. My... my chyba razem z Haingą powinniśmy wyjść im naprzeciw.

Hainga, Mądra Kobieta, była też znachorką szczepu.

Lizzie skinęła głową.

– A Kiri tu nie ma? – spytała cicho.

Kiri, wnuczka Haingi, studiowała najpierw tradycyjne sztuki leczenia Maorysów, a potem medycynę w Dunedin. Lizzie nie wiedziała już, czy lepiej było zaufać jednej czy drugiej.

Haikina potrząsnęła głową.

– Nie. Chciała przyjść do Matariki, ale...

– Czy on umrze? – wyszeptała Doortje. – On przecież nie może... on nie może teraz...

Matariki znów zaczęła wypytywać Haraki, a chłopiec w odpowiedzi zasypał ją słowami. Doortje wyczekiwała w napięciu, aż ktoś przetłumaczy, ale Matariki potrząsnęła głową.

– Mały nic nie wie – powiedziała krótko. – Tylko tyle, że Kevin się ruszał, to było widać z góry, i że mógł mówić. To znaczy, chłopak tak sądzi. Hemi jest z nim na dole, a pozostali próbują tam zejść z noszami, które na szczęście zabrali ze sobą. I to wszystko, co on wie. Lepiej go nie wypytujcie, bo jeszcze coś wymyśli.

– On może spaść jeszcze raz, kiedy będą próbowali z noszami wejść na górę – wyszeptała Doortje. – To są przecież... Czy to są doświadczeni wspinacze, Matariki?

Matariki zaprzeczyła.

– My nie wspinamy się po górach tylko dlatego, że one są – odpowiedziała. – Ale mimo wszystko aż

tak się nie obawiam. Atamarie i Rawiri też są tam z nimi na górze. A oni mają techniczne, ściśle umysły. Atamarie obliczy każdą drobnostkę, zanim przyczepi gdzieś linę. Nie martw się, Doortje, skoro on żyje, to go wyniosą na górę.

Doortje się rozszlochała.

– On nie może umrzeć. On nie... I... to byłaby moja wina...

– Wczoraj słyszałam to samo od Kevina – stwierdziła Matariki. – I żyjesz. A więc nie trać od razu odwagi. Chodźmy tam lepiej i zobaczmy, co się stało.

Kobiety ruszyły pośpiesznie, ale nie potrzebowały wchodzić na klif. Spotkały mężczyzn już w połowie drogi.

Doortje poczuła dreszcz przerażenia, kiedy usłyszała kroki i głosy. Wszystko poszło więc szybciej, niż się spodziewała – z pewnością na transport ciężko rannego potrzebowaliby więcej czasu. Może więc nie było tak źle albo... albo... Gdyby transportowano na górę zwłoki, nie byłoby już potrzeby zachowywania takiej ostrożności...

Lizzie i Matariki myślały tak samo, ale uspokoiły się, kiedy były na tyle blisko, że mogły zrozumieć coś ze słyszanych słów. Hemi i kilku mężczyzn dyskutowali głośno o tym, gdzie może być Doortje, skoro nie było jej na dole pod klifem. Chyba nie robiliby tego, gdyby transportowali zwłoki. Ale Doortje dostrzegła nosze, które niosło dwóch mężczyzn. Ktoś na nich leżał, przykryty szalem Lizzie.

– Kevin! – Doortje ruszyła biegiem i rzuciła się w stronę noszy. – Kevin...!

Zerwała szal, ale na noszach były liny i haki, które mężczyźni, nie tracąc czasu na ich zwijanie, transportowali w ten sposób. Doortje, nic nie pojmując, rozglądała się dookoła, ale nie dostrzegła wśród mężczyzn Kevina.

– Doortje! O Boże, Doortje!

Głos Kevina dobiegł z góry – Doortje teraz dopiero zauważyła dwa konie, które Michael zabrał na klif. Kevin tkwił w siodle jednego z nich i wyglądał na dość wycieńczonego. Miał mocno podrapaną twarz, a jedną rękę na temblaku. Doortje podbiegła do konia i rozpaczliwie uczepiła się nogi Kevina.

– Ty żyjesz, Kevinie, ty żyjesz...

– Nic mi nie groziło! – odparł Kevin, a otaczający go mężczyźni, słysząc to, wybuchnęli histerycznym śmiechem. Patrick i Michael prowadzili konie, Kevin sam prawdopodobnie nie byłby w stanie jechać.

– On zleciał mniej więcej dziesięć metrów prosto w kolczaste krzaki i chyba złamał nogę, tę właśnie, na której wiesz, Doortje – wyjaśniła Atamarie. – Bo gdyby było gorzej, to krzyczałby, zamiast wygłaszać takie głupie uwagi. Ale może ją sobie tylko zwichnął. Takie zarośla są jak materac i znakomicie sprężynują.

Kevin i Doortje w ogóle nie słuchali. Michaelowi tylko cudem udało się powstrzymać syna, aby nie zsiadł, by objąć Doortje. Kevin pochylił się wobec tego w siodle najniżej, jak tylko było to możliwe, i dotykał zdrową ręką jej twarzy, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że naprawdę ją widzi.

– Tak się o ciebie bałem – wyszeptał. – Kiedy zobaczyliśmy ten szal, tam na dole... ja byłbym wszystkiemu winien...

– Nie powinnam była uciekać – wymamrotała Doortje. – Wtedy nie musiałbyś schodzić w dół... ale to ja byłabym winna.

– Nie moglibyście tego omówić potem? – spytała Matariki. – We wsi? W jakimś suchym pomieszczeniu?

Właśnie znów zaczęło padać.

Lizzie dała Doortje swój szal.

– Masz, weź go, ale gdybyś go miała znowu zgubić, to w jakimś bardziej dostępnym miejscu.

Michaelu, zawieziemy Kevina od razu do domu...nie żebym miała coś przeciw Haindze, ale może potrzebny będzie lekarz.

Kevin z powątpiewaniem patrzył to na nią, to na Doortje.

– Mamo, może byłoby najlepiej, gdybyśmy pojechali od razu do Dunedin. Albo zostali u Ngai Tahu i poczekali, aż Hainga to opatrzy. Noga nie jest złamana, nie ma obaw, niedługo wszystko będzie w porządku. Ale nie chcę, żeby Doortje i Juliet...

– A co właściwie zaszło między Doortje i Juliet? – spytał Patrick.

Doortje szukała wzroku Kevina, a on patrzył na nią błagalnie. Doortje wyraźnie walczyła ze sobą. Patrick także został oszukany. Czy nie powinien był się tego dowiedzieć? Ale wówczas może znienawidzi Kevina na całe życie...

– Nic – wyszeptała Doortje. – Nic, my tylko... tylko się pokłóciłyśmy. Ona... była dla mnie dość niemila. I zachowała się nieładnie.

Patrick zdecydowanie skinął głową.

– Postaram się, aby to się więcej nie powtórzyło, Doortje. Uwierz mi, ja już coś wymyślę. Tak dalej być nie może, ona nie będzie...

Doortje chciała coś powiedzieć, ale Lizzie nieznacznie potrząsnęła głową. Patrick i tak dość szybko się dowie, że Juliet odeszła.

I rzeczywiście był już wieczór, kiedy wszyscy dotarli na Elizabeth Station. Kobiety z maoryskiej wioski przygotowały bowiem posiłek i powitały uczestników ekspedycji ratunkowej dopiero po poddaniu ich przeróżnym procedurom oczyszczania. W końcu naruszono przecież *tapu*, kapłani i kapłanki szczepu musieli prosić bogów o wybaczenie i usposobić ich przyjaźnie. Hainga była tym zaabsorbowana przez całe godziny, opatrunkiem Kevina zajęły się więc Doortje i Lizzie. Burska kobieta okazała się tu nadzwyczaj zręczna.

– U nas nie ma lekarzy – odpowiedziała na dociekliwe pytania Lizzie. – My, kobiety, wszystko robimy same. I nie jest tak, jak mówią Anglicy, że nasi pacjenci umierają.

Doortje spojrzała surowo na Kevina.

– Robisz to bardzo dobrze – powiedział łagodnie, wodząc za nią zakochanym wzrokiem.

Wreszcie obfita kolacja zamieniła się w prawdziwe święto, szczepowi muzycy zaczęli grać, krążyły butelki whisky i dzbanki piwa, a każdy z uczestników ekspedycji szczegółowo opowiadał o swoich przeżyciach na klifie. I oczywiście czekano na Matariki, ale tej nocy gwiazdy nie pokazały się na niebie.

Lizzie była naprawdę zmęczona, kiedy wreszcie przyszli do domu. Na zmianę z Doortje niosły Abe. Kevin jechał na koniu, ale czuł się już na tyle dobrze, że mógł wziąć przed siebie na siodło małą May. Dziewczynka po dniu pełnym wrażeń była marudna i w końcu zasnęła. Kevin ostrożnie podał ją Patrickowi, kiedy zatrzymali się przed domem na farmie.

– Położę ją zaraz do łóżka. Nandé pewnie już śpi, ale...

Kiedy Michael pomagał Kevinowi zsiąść z konia – młody mężczyzna mógł poruszać się tylko o kulach – Lizzie poszła za młodszym synem do domu, wyczerpana, ale pełna obaw co do jego reakcji. Zobaczyła, że Patrick ostrożnie stukał do drzwi pokoju Nandé.

– Czemu ona nie otwiera? – spytał zdziwiony. – Przecież zwykle ma taki lekki sen.

Lizzie nienawidziła tego, że teraz, nocą, będzie musiała załatwić także tę sprawę, ale spokojnie otworzyła drzwi. Była zaskoczona, bo oprócz rzeczy Matariki i Atamarie pokój był pusty.

– Ona wyjechała, Patricku – oświadczyła. – Przykro mi.

Patrick patrzył na nią z przerażeniem.

– Ona... Uciekła? Nandé... Juliet!

Patrick wcisnął córkę w ramiona Lizzie i jak oszalały pobiegł do sypialni, którą dzielił z Juliet.

– Juliet, ty bestio, coś ty zrobiła, co jej zrobiłaś?

Lizzie spojrzała zaskoczona na Michaela, który właśnie wszedł do domu z Doortje, Kevinem i małym Abe. Michael wiedział o wszystkim, Lizzie już w czasie kolacji u Maorysów powiedziała mu, że skłoniła Juliet do wyjazdu. Co prawda, nie wdając się w szczegóły, sprawę pieniędzy postanowiła na razie przemilczeć. Michael także o to nie pytał, ale ku zdumieniu Lizzie natychmiast poruszył sprawę Nandé.

– A co z czarną dziewczyną? – spytał. – Ona zabierze ją ze sobą?

Lizzie zmarszczyła czoło. Rzeczywiście ani ona, ani Doortje nie pomyślały o niej.

– Nie, dlaczego miałyby ją zabierać? Nandé miała jej tylko pomóc przy pakowaniu. Przecież nie będzie chciała z nią jechać – odpowiedziała.

Michael we właściwy sobie sposób przewrócił oczami.

– Lizzie, Nandé nikt nigdy nie pytał o to, czy chce gdzieś jechać czy nie. Doortje przywiozła ją z Afryki. Potem Patrick zwerbował ją do pracy tutaj. Ale Juliet – ona robiła wszystko, aby ta dziewczyna się jej bała. Dla niej Nandé była tylko niewolnicą.

Lizzie nerwowo zagryzła wargi. To był oczywiście błąd z jej strony, że zostawiła czarną dziewczynę z Juliet. Ale na Boga, nie mogła przecież myśleć o wszystkim! A teraz Nandé znikła ze swoją panią, a Patrick...

– Juliet też nie ma! – oświadczył jej młodszy syn, zajrzawszy do sypialni. – Ona jest... co jej się tak nagle stało?

I choć w jego głosie słychać było zaskoczenie, nie była to taka sama pełna przerażenia i rozpacz reakcja, jak na widok pustego pokoju Nandé. Lizzie odetchnęła.

– Odesłałam ją, Patricku – powiedziała łagodnie. – Przykro mi, że tak się stało, ale ona tu nie pasowała. I sama o tym wiedziała. Ona...

Ale Patrick wydawał się jej nie słuchać. Wszedł z sypialni Juliet i znów pobiegł do pokoju Nandé. Zrozpaczony otwierał szafy, jak gdyby mając nadzieję, że znajdzie jakiś dowód na to, iż czarna dziewczyna wyjechała tylko na krótko.

– Nie mogła przecież tak po prostu odejść! I May. Ja... Ja myślałem, że ona ją kocha. A jeśli nie... Ale myślałem, że ona może mnie... ja... myślałem że jednak znajdziemy czas...

Lizzie potrząsnęła głową. Nie wiedziała już, ile razy miała to jeszcze powtórzyć.

– Juliet nigdy cię nie kochała – powiedziała cierpliwie. – I nigdy nie zależało jej na May. Ona...

Patrick popatrzył na nią już ze złością.

– A kto mówi o Juliet?! – spytał lodowato. – Nie trudź się, mamó, wiem o tym sam od dawna. Ale Nandé... ja... ja nigdy nie pomyślałbym, że ona... że ona zostawi May.

– May? – spytał Michael kpiąco. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a Lizzie, widząc to, wepchnęła go zdecydowanym ruchem do sypialni i weszła za nim.

– Nie poruszaj tego teraz! – zganiła go i westchnęła. – Sprawa jest więc bardziej skomplikowana, niż myślałam. Ale może tak jest lepiej. Michaelu, muszę jutro pojechać do Dunedin i porozmawiać z Seanem Coltrane'em. Z obcym adwokatem nie da się tego przeprowadzić. Ale wygląda na to, że obok ugody rozwodowej i rezygnacji z praw do dziecka będziemy musieli jeszcze wykupić niewolnicę!

– No, chodź z nami!

Nad Elizabeth Station zapadał powoli zmrok, a jeśli Kevin i Doortje Drury zamierzali czekać razem ze swymi maoryskimi przyjaciółmi na pojawienie się Plejad, był najwyższy czas, aby wyruszyć. Atamarie i Matariki włożyły świąteczne suknie, także Doortje miała na sobie szatę utkaną w Parihaka. Była szczęśliwa jak nigdy, podobnie jak Kevin, choć on po przygodach poprzedniego dnia sprawiał nadal wrażenie dość zmęczonego. Lizzie i Michael nie wrócili jeszcze z Dunedin, ale z pewnością będą

świętować razem ze wszystkimi, jak tylko przyjadą. Tylko Patrick siedział z May w swoim pokoju. Przypuszczalnie wolałby pokój Nandé, ale ten zajęły Matariki i jej córka. I to one obie od godziny namawiały Patricka, aby wyszedł.

– Nie będzie ci lepiej, jeśli będziesz tu siedział przez całą noc i zamartwiał się! – stwierdziła Matariki.

– A May na pewno będzie chciała zobaczyć latawce! – dodała Atamarie.

Była w doskonałym nastroju – i właściwie przyszła tu tylko po to, aby się przebrać. Noce spędzała u Rawiri w namiocie już od chwili, kiedy spotkała go we wsi. Ale odrzuciła jego propozycję, aby wykorzystać święto i spędzić oficjalnie wspólną noc w domu zebrań, co oznaczało zawarcie małżeństwa.

– Na to jestem za bardzo *pakeha* – oświadczyła w odpowiedzi. – Swój ślub wyobrażam sobie w kościele, w sukni z Lady's Goldmine.

I roześmiała się, kiedy Rawiri popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Później możecie przespać się w domu zebrań – dodała Matariki – aby tradycji stało się zadość...
Może w Parihaka?

Atamarie skinęła głową.

– Tylko przespać, to jest w porządku. Zwłaszcza że już dawno jesteśmy parą. Ale do czegoś innego nie potrzebuję świadków. A w tej chwili samo spanie byłoby stratą czasu, prawda? – Mrugnęła do Rawiri i zniknęła z nim w namiocie. Oboje byli teraz bezgranicznie szczęśliwi; ich latawce miały chyba zanieść bogom wyłącznie podziękowania.

Ale Patrick potrząsał głową i odmawiał, mimo jak najlepszej woli wszystkich zapraszających.

– Nie jestem w nastroju do świętowania, Atami. A już zwłaszcza nie w towarzystwie. May i ja będziemy czekali na gwiazdozbiór Matariki przy wodospadzie. Sami!

I aby podkreślić, że uważa rozmowę za zakończoną, wstał, wziął May na rękę i ruszył w stronę drzwi.

– A jeśli będę chciał wysłać bogom jakiejś wieści... to nie sądzę, że będą chcieli usłyszeć, co mam im do powiedzenia.

Atamarie się roześmiała.

– Mam ci pożyczyć *manu* z bezpośrednim połączeniem do odpowiedniej placówki w niebie? – żartowała. – Jeden mam tutaj, to prawdziwy *birdman*. Bardzo starannie ozdobiony, znakomicie nadaje się na posłańca. Może poruszy serce bogini, a ona zwróci ci Juliet.

Matariki i Atamarie poszły za nim, nie chcąc go zostawiać samego.

– Tylko nie to, Atami. – Matariki westchnęła i spojrzała badawczo w niebo. Było bezchmurne, ale gwiazd nie było jeszcze widać. Łatwo będzie dostrzec Plejady, jeśli się pojawią. To dobry znak na przyszły rok, podobnie jak odejście Juliet.

– Wszyscy się cieszymy, że jej nie ma, ty chyba też, Patricku, jeśli masz być szczery, prawda? – Objęła brata ramieniem. – Przecież to od dawna nie było normalne małżeństwo... To jej ciągle niezadowolenie, te kłótnie...

– Pozwólcie, abym sam ocenił, co mam rozumieć przez małżeństwo! – Patrick z wściekłością strącił rękę Matariki. – Uwierz mi, że sam bym to zakończył! Ale nie tak! Było jeszcze parę spraw do uregulowania!

– Między tobą a Juliet? – spytała Matariki, potrząsając głową. – Ja uważam, że tu wszystko już zostało powiedziane.

Patrick odwrócił się do niej ze złością.

– A kto mówi o Juliet, Matariki? Wy... wy nic nie wiecie, wy... – Ruszył wprost przed siebie.

Kobiety poszły więc za nim. Ścieżka prowadziła w dół nad staw, a nie do wodospadu, ale Patrickowi było to najwyraźniej obojętne. Chciał po prostu uciec.

Matariki się uśmiechnęła.

– Chodzi o Nandé, prawda? Cały czas się zastanawiałam, czy tu się coś nie kluje... Ale ja nie porzucałabym nadziei, Patricku. Mama coś wspomniała, że... Może przywiezie Nandé ze sobą?

Patrick ze świstem wypuścił powietrze z płuc i ruszył szybciej. Zasapał się, bo May miała już trzy lata i była dość ciężka.

– Do mnie to też dotarło – oświadczył. – I wypraszam to sobie. Dla mnie jest jasne, że mama miała coś wspólnego ze zniknięciem Juliet. I już samo to jest podłe! Ale jeszcze „odkupić” od niej Nandé... To jest... to byłoby...

Patrick nagle umilkł. Przed nimi było małe jezioro, do którego spadał wodospad. Nad jeziorem klęczała dziewczyna o mocno kręconych, spadających na plecy włosach i piła wodę. Więcej nie można było dostrzec, młoda kobieta czerpała wodę rękami. Ale więcej też nie musiał widzieć Patrick. May wydała radosny pisk i wyciągnęła rączki.

– Nandé! – zawołała. – *Daddy*, May do Nandé!

Mała się uparła, aby postawić ją na ziemi, i pobiegła do młodej kobiety, która właśnie się podnosiła. Patrzyła na Patricka i po chwili pochyliła się ku jego córce. Nandé nie miała na sobie butów, a jej suknia służącej była brudna i przepocona. Patrick patrzył na dziewczynę jak oniemiały.

– Mr Patrick... ja... Wolno mi było uciec, prawda?

Patrick podniósł bezradnie ramiona.

– Możesz iść, dokąd chcesz, Nandé! – wyszeptał i wreszcie podszedł do niej bliżej. – Wiesz przecież o tym. Ale ja... to znaczy, było mi smutno, kiedy zobaczyłem, że odeszłaś. – Podał jej obie ręce, a dziewczyna ujęła je nieśmiało.

– Ja przecież nie uciekłam od pana – powiedziała Nandé. – Do pana ja... jak to się mówi? Dobiegłam?

Patrick się uśmiechnął.

– Wróciłam, Nandé – poprawił ją. – Ale skąd się tu wzięłaś? I w ogóle dlaczego...? Ale to nieważne, Nandé. Chodź, na pewno jesteś głodna. Szłaś pieszo? Skąd?

– Z Dunedin – odpowiedziała Nandé spokojnie. – Miss Juliet chciała, żebym pojechała z nią. Do Christchurch, a potem do Ameryki. Ale ja nie chcę tam jechać. I ciągle myślałam o tym, co Miss Doortje czytała nam z Biblii, że trzeba być dobrym sługą. Ale także o tym, co pan mówił: że jestem wolna. I o tym, co Miss Violet mówiła o kobietach i o... związkach zawodowych...

Przy okazji festiwalu sztuki Violet wygłosiła przemówienie na temat walki o prawa wyborcze kobiet, w której po raz pierwszy pewną rolę odegrały także członkinie Tailoresses' Union.

– I potem, potem ja – jak to się mówi? Przymknęłam Miss Juliet.

– Wymknęłam się – poprawił Patrick, wyraźnie uszczęśliwiony.

– Miałam coś kupić do jedzenia, zanim pociąg ruszył, i uciekłam. Z pieniędzmi. Ale mam je tutaj, Mr Patrick, nie chciałam ich ukraść!

Nandé mrugnęła do Patricka. Oboje wyglądali jak dzieci zdające sobie sprawę ze splatanego figła, a nie jak pan i służąca. Albo jak... zakochani. Atamarie intrygowało co innego.

– Szłaś całą drogę pieszo? Z Dunedin? Prawie czterdzieści mil?

Nandé skinęła głową.

– Wszyscy z mojego ludu jesteśmy dobrymi biegaczami – oświadczyła z dumą. – Ale teraz jestem trochę zmęczona. Mogę tu zostać?

– Nandé! – powtórzyła May i ku zaskoczeniu wszystkich dodała: – *Mommy!*

Matariki zmarszczyła czoło.

– Czy ona do tej pory nie mówiła tylko *daddy*? – spytała.

Chyba nikt nigdy nie słyszał rozmowy między córką a Juliet.

Patrick się uśmiechnął.

– Może ona chce przez to powiedzieć, że chciałaby mieć nową mamę...?

– I właśnie dokonuje wyboru! – roześmiała się Atamarie. – Mądre dziecko. Ale teraz chodźcie wreszcie, mieliśmy iść przecież do wsi. Naprawdę robi się ciemno, a Rawiri będzie na mnie czekał.

– Patrzcie!

Matariki patrzyła na niebo. Na firmamencie ukazywały się pierwsze gwiazdy, a wśród nich najintensywniej błyszcząły oczy boga Tawhirimatea – jasna gwiazda Whanui wraz z sześcioma już nie tak jasnymi gwiazdami córkami.

Ka puta Matariki ka rere Whanui.

Ko te tohu tena o te tau e!

Matariki starą pieśnią powitała gwiazdozbiór, którego imię nosiła. Atamarie podjęła śpiew, po czym obie przytuliły Patricka, Nandé i małą May, która pisała radośnie.

– Szczęśliwego Nowego Roku!

Także na górze, w maoryskiej wsi, wszyscy śmiali się, tańczyli i obejmowali. Rawiri i jego uczniowie wypuszczali pierwsze latawce, dzieci zaczynały śpiewać *karakia*, aby sterować nimi śpiewem i powitać gwiazdy. Tylko starzy ludzie płakali i skarżyli się jak co roku.

– Dlaczego oni płaczą? – spytała Doortje męża, tak jak kiedyś Atamarie jako mała dziewczynka spytała matkę. – Myślałam, że Matariki to radosne święto.

Kevin skinął głową.

– Matariki to święto Nowego Roku. Święto końca, a zarazem początku. Wschodzi gwiazdozbiór Matariki, oczy boga po długiej nieobecności spoczywają na nas. Najstarsi ludzie ze szczepu opowiadają mu, co się działo w tym czasie. Opłakują swoich zmarłych i skarżą się na całe zło, którego w minionym roku doznał szczep. Ale poprzez to żale się kończą, zmarli wracają do swych przodków i stają się częścią przeszłości. Po tej nocy nikt już nie myśli o nich z gniewem ani ze łzami. Zmarli są częścią wspomnienia i poprzez to wyznaczają też przyszłość.

– To... piękny zwyczaj – powiedziała Doortje z wahaniem. – Czy myślisz, że... że ten maoryski bóg... czy on wysłuchałby także mnie?

Kevin pocałował ją.

– Oczywiście. Idź po prostu do starych ludzi. Usiądź przy nich, zaśpiewaj z nimi... Opowiedz im o swojej rodzinie, o tym wszystkim, co straciłaś, opisz swój kraj... Zrozumieją cię. Ludzie i gwiazdy...

– A jeśli będę płakać? – spytała Doortje zduszonym głosem.

– Płacz, Doortje. Tak jak oni. Dziś jest czas płakania. Ale jutro zaczyna się przyszłość.

Kevin objął żonę ramieniem i zaprowadził do grupy najstarszych szczepu. Hainga wskazała jej miejsce i poprosiła, aby usiadła. Wciągnęła Doortje w krąg żalu i starych pieśni.

Doortje van Stout płakała tej nocy po raz pierwszy, od kiedy była małą dziewczynką i jej ojciec ją za to ganił. Opłakiwała raz jeszcze swoich zmarłych, wymieniała imiona swoich rodziców i rodzeństwa, wspominała utracony dom i zniszczony kraj.

Ale Kevin trzymał ją w ramionach, a nocą wiatr suszył łzy na jej twarzy. Rankiem obudziły ich śpiewy dzieci. W niebo wzlatywały latawce Atamarie i Rawiri. Kolorowe *manu* niosły do bogów marzenia. Leciwały daleko i zabierały ze sobą żale i smutki.

POSŁOWIE

Wyspa Południowa Nowej Zelandii jako ojczyzna pioniera lotnictwa, który wzniósł się w powietrze swoim samolotem z silnikiem spalinowym przed braćmi Wright?

Także mnie to zdziwiło, kiedy zaczęłam dokładniej dociekać, dlaczego lotnisko w Timaru jest nazwane jego imieniem.

Jednak to rzeczywiście okazało się prawdą: Richard Pearse był z całą pewnością pierwszym lotnikiem świata i wiele poszlak przemawia za tym, że na wiele miesięcy przed lotem braci Wright szybował nad równiną Waitohi i spadł na żywo płot. Zresztą u Wilbura i Orville'a Wrightów też zakończyło się to podobnie. Ich pierwsze loty kończyły się równie miękko, choć nie tak kłująco, bo na piaszczystych wydmach. Sporna jest jedynie data pierwszego lotu, jako że nie było oficjalnych świadków prób lotu Pearse'a. Rzeczywiście Pearse nikogo na nie nie zaprosił, ani przedstawicieli prasy, ani fachowców, ani też swoich prób nie udokumentował. Choć nie brakowało przypadkowych świadków czy też członków rodziny obserwujących lot. W Internecie do dziś można znaleźć wywiady telewizyjne i radiowe na ten temat ze świadkami z tamtych czasów. To, że oni ponoć nie pamiętają, czy Pearse wzniósł się w powietrze w pierwszych miesiącach roku 1903 czy też dopiero w roku 1904, tłumaczy się „prostą strukturą duchową mieszkańców wsi”, którzy wówczas nie zwracali aż tak bardzo uwagi na liczby oznaczające lata. Mnie wydaje się to niewiarygodne – rolnik, który po raz pierwszy widzi lotnika szybującego nad swymi polami, pamiętałby, czy wszystko było na nich zżęte czy nie! A nawet jeśli nikt nie pamięta dokładnej liczby oznaczającej rok, to przecież istnieją osobiste wydarzenia odnoszące się do lat, które umożliwiłyby ustalenie daty. Dlaczego nikt tego nie próbował ustalić i dociec, pozostanie chyba niewyjaśnione i poprzez to Richard Pearse na zawsze znalazł się w drugim lub trzecim rzędzie pionierów lotnictwa. I podobno rzeczywiście korespondował z braćmi Wright – ale nie można ustalić, jaki był zakres tej korespondencji ani czy było to przed, czy też po ich udanej próbie lotu. Dane, które podaję w mojej książce, są więc fikcyjne. Podobnie jak jego działalność w Canterbury College oraz udział w ekspedycji pod Mount Taranaki i oczywiście miłosna historia z Atamarie i Shirley. Choć rzeczywiście Richard Pearse nigdy się nie ożenił, nieznane są też fakty dotyczące jego bliższych stosunków z kobietami. Ale większość informacji na jego temat zawartych w tej książce, a dotyczących jego życia i stosunków rodzinnych, jest prawdziwa. Liczne źródła podają różne informacje na temat liczby koni mechanicznych używanego przez niego silnika, nie próbowałam więc tego weryfikować, lecz przyjąłam to, co wydało mi się najbardziej pasujące. Nie jestem ekspertem od samolotów i mimo moich wszelkich usiłowań inżynierowie zajmujący się samolotami znajdą tu może jakieś błędy, za co z góry przepraszam. Świadomie podałam błędną datę w historii Pearse'a tylko raz: wynalazca nie przeprowadził się ze swojej starej farmy w Christchurch na nową w Otago w roku 1904, lecz w 1911. Powody tego mogły być podobne do tych, które przedstawiłam w książce, lecz zwłokę trudno jest wyjaśnić. Jest wiele białych plam w jego udokumentowanym życiorysie, jak też wiele niezgodności, na przykład jego twierdzenie, że on nigdy nie leciał. Wszystko to było powodem licznych spekulacji na temat stanu psychicznego Richarda Pearse'a: mężczyzna, którego w tej powieści poznaje Atamarie, cierpi na zaburzenia maniakalno-depresyjne – tej choroby nie znano w początkach XX wieku, lecz opisywano ją ogólnie jako melancholię. Dla mnie to zaburzenie wiele tłumaczy w życiorysie Pearse'a, w pewien sposób także troskę jego otoczenia, jeśli chodzi o zbyt dużą publiczność i sławę, z jaką musiałby się zmierzyć ich labilny sąsiad, przyjaciel, syn i brat. Oczywiście to założenie jest fikcyjne. Jedyna wskazówka na temat jego choroby psychicznej to fakt, że pod koniec swego życia, w roku 1951, z objawami ciężkiej paranoi został umieszczony w klinice psychiatrycznej w Christchurch, gdzie dwa lata później zmarł.

W przeciwieństwie do postaci Richarda Pearse'a profesor Dobbins, kierownik Canterbury College of Engineering, jest postacią całkowicie fikcyjną. Choć wzorowany jest na prawdziwej postaci profesora Dobsona, który należał do założycieli fakultetu nauk inżynierskich i w tym okresie przebywał w Nowej Zelandii. Jednak nie można było ustalić, czy on oprócz swojej pracy w Christchurch – miasto zawdzięcza mu wodociągi miejskie – wykładał też w college'u. Plan nauczania szkoły jest autentyczny, choć jest raczej nieprawdopodobne, że wtedy wydział ten mogła ukończyć kobieta. Ale teoretycznie jest to możliwe, bo szkoły wyższe w Nowej Zelandii otwierały swoje podwoje dla kobiet niezwykle wcześnie, często już wraz z chwilą ich zakładania.

Park narodowy wokół Mount Taranaki został rzeczywiście utworzony w roku 1900, ale wymyśliłam sobie ekspedycję, która udała się tam w celu przeprowadzenia jego pomiarów.

Wszystkie dane na temat sztuki budowania latawców przez Maorysów pochodzą z autentycznych źródeł, a kunsztowne *manu* należą dziś jeszcze do elementów ich kultury. Opowieści na temat lotów wykonywanych przez ludzi na olbrzymich latawcach są legendą, dlatego też zrezygnowałam z opisu lotu Atamarie i Rawiri na lotniach.

Uwikłanie Nowej Zelandii w wojny burskie i historia Rough Riders jak najbardziej odpowiada faktom, podobnie jak opis warunków panujących w obozach koncentracyjnych. To pojęcie odnośnie do obozów w Afryce Południowej zostało wówczas użyte po raz pierwszy. Obóz w Karenstad jest fikcyjny, ale wzorowany na obozie Kroonstad.

Miejscowość Wepener zlokalizowana jest w książce „na granicy z krajem Basuto”. Znajduje się ona tam dziś rzeczywiście, ale kraj Basuto nazywa się obecnie Lesotho.

Koniki basuto zachowały swą nazwę, należą one ciągle do najbardziej wytrzymałych koni roboczych o wzroście w kłębie 140 cm i żyją w stanie dzikim w okolicach Gór Smocznych i Maluti.

Jeśli chodzi o historię wyścigów kłusaków w Nowej Zelandii, to wymienione gonitwy miały rzeczywiście miejsce, a New Zealand Trotting Cup odbył się po raz pierwszy w listopadzie 1904 roku.